ROK XXIV SERIA II KRAKÓW Nr 1 1968

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

ÓSMY ZESZYT
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM LEKARSKIM
OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

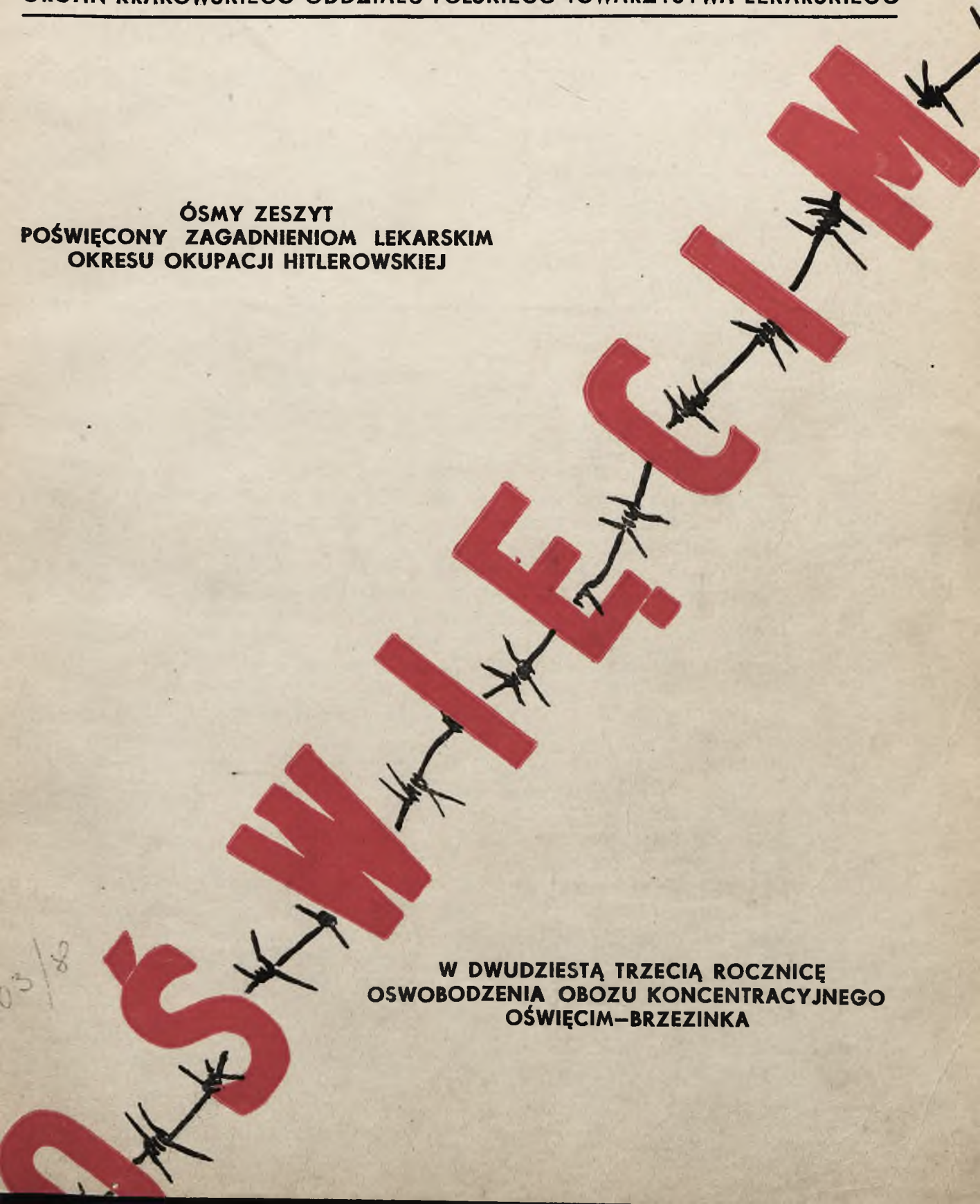

W DWUDZIESTĄ TRZECIĄ ROCZNICĘ
OSWOBODZENIA OBOZU KONCENTRACYJNEGO
OŚWIĘCIM–BRZEZINKA

Komitet Redakcyjny: Prof. dr J. Chlebowski (Białystok), prof. dr M. Górski (Gdańsk), doc. dr H. Gaertner, prof. dr Wł. Jakimowicz, doc. dr J. Kobiela, prof. dr W. Mikułowski, prof. dr T. Tempka, doc. dr W. Wcisło (Kraków), prof. dr S. Liebhart (Lublin), prof. dr J. Grott, prof. dr W. Markert (Łódź), prof. dr J. Jankowiak (Poznań), prof. dr K. Gibiński (Rokitnica), prof. dr E. Gorzkowski (Szczecin), prof. dr T. Orłowski (Warszawa), prof. dr E. Szczeklik (Wrocław)

Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego: Prof. dr J. Bogusz

Redaktor naczelny: Prof. dr med. Bronisław Gięgosz, Z-ca redaktora naczelnego: Doc. dr Włodzimierz Ostrowski
Sekretarz Redakcji: Dr med. Adam Wajdowicz

Adres Redakcji: Kraków, ul. Czysta 18, tel. 339-47
Wydawca: Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich — Warszawa, ul. Długa 38/40

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą

Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego podjął inicjatywę naukowego opracowania zagadnień lekarskich związanych z dziejami hitlerowskiej okupacji, hitlerowskich obozów koncentracyjnych, a przede wszystkim największego i najstraszliwszego obozu zagłady, Oświęcimia-Brzezinki, osławionego pod oficjalną nazwą *Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau*. Uważając to zadanie za moralny obowiązek, stwierdzamy jednocześnie, że powyższa tematyka ma wielką wagę naukowo-badawczą dla wszystkich dziedzin medycyny oraz poważne znaczenie praktyczne w leczeniu chorób ofiar obozów koncentracyjnych.

Towarzystwo nasze zainicjowało dotychczas prace nad następującymi tematami, z którymi zapoznało środowisko lekarskie w serii odczytów i artykułów:

I. Badania psychologiczno-lekarskie;
II. Zagadnienia prawno-lekarskie;
III. Materiały historyczno-dokumentarne.

Towarzystwo nasze apeluje do wszystkich towarzystw lekarskich w kraju i za granicą o podjęcie podobnych inicjatyw we wszelkich specjalnościach, a zwłaszcza o zainteresowanie tą tematyką młodych naukowców. Będzie to hołd złożony rzeszy lekarzy i pracowników służby zdrowia wszystkich narodowości, wymordowanych w hitlerowskich obozach, a jednocześnie jest to humanistyczne zadanie właściwe naszej nauce i naszemu zawodowi.

KRAKOWSKI ODDZIAŁ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

ROK XXIV SERIA II KRAKÓW Nr 1 1968

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

100596
III
24(1968)

Ósmy zeszyt
poświęcony zagadnieniom lekarskim
okresu hitlerowskiej okupacji

wydany staraniem

Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego,
Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację
i Krakowskiego Klubu Oświęcimskiego ZBoWiD,
przy współpracy Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego

Zredagowali:

Prof. dr Józef Bogusz
Doc. dr Antoni Kępiński
Dr Stanisław Kłodziński
Mgr Jan Masłowski

Biblioteka Jagiellońska
1001243598

TREŚĆ

Bogusz J.: Słowo wstępne 3
Cyrankiewicz J.: Przemówienie na uroczystości odsłonięcia pomnika w Oświęcimiu-Brzezince 16

DZIAŁ NAUKOWY

Gutt R. W.: Próba rozważań na temat etyki lekarzy nazistowskich 23
Kępiński A.: Refleksje oświęcimskie: rampa; psychopatologia decyzji 26
Dąbrowski S.: Likwidacja chorych szpitala psychiatrycznego w Obrzycach a problem eutanazji 33
Kasperek S.: Sterylizacje ze wskazań eugenicznych w latach 1934—1944 na Śląsku Opolskim 40
Makowski A.: Niedożywienie więźniów politycznych (według pracy Howarda H. Inglinga) 47
Kowalski S.: Wstępne wyniki badań byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska warszawskiego) . 54
Witusik W., Witusik R.: Ślady następstw chorobowych związanych z pobytem w więzieniach i obozach koncentracyjnych (u byłych więźniów ze środowiska oświęcimskiego) 56
Zdawski T.: Wstępne wyniki badań ftyzjatrycznych byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego) 64
Budny J.: Wpływ przebywania w obozie koncentracyjnym na uzębienie byłych więźniów 65
Zabłotniak R.: Studia medyczne w czasie okupacji hitlerowskiej 71

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

Witkowski J.: Hitlerowski obóz dla dzieci w Łodzi 73
Olbrycht J. S.: Przeżycia medyka sądowego w czasie okupacji hitlerowskiej oraz po wyzwoleniu w sprawach z nią związanych 82
Popielski B.: Zakład Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego podczas okupacji hitlerowskiej 92
Wlazłowski Z.: Gruźlica płuc i postępowanie z chorymi na gruźlicę w obozie koncentracyjnym Gusen 98
Kłodziński S.: Proces lekarza SS, Horsta Fischera 102
Jagielski S.: Psychiczne „galwanizowanie muzułmana" 106
Hanke E.: Refleksje więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau, Wincentego Spaltensteina 110
Zabłotniak R.: Pomoc lekarzy dla ruchu oporu we wschodniej Białostocczyźnie . . 116
Matus B.: Zielony Krzyż, służba sanitarna Batalionów Chłopskich 117
Kiełkowski R.: Rządy Hansa Franka w świetle dokumentacji Rady Głównej Opiekuńczej 126
Łakociński Z.: Folke Bernadotte i akcja Szwedzkiego Czerwonego Krzyża 145

WSPOMNIENIA

Sztaba R.: Ze wspomnień lekarza obozu w Gross-Rosen 153
Nowicki J.: Od Stutthofu do Sandbostel . 158
Perzanowska S.: Szpital obozu kobiecego w Majdanku 169
Pawłowska Z.: W rewirze na Majdanku . 181
Rubin B.: Wspomnienia lekarza z Falkenbergu i Ebensee 182
Danimann F.: W obozie oświęcimskim . 187
Głogowski L.: Moje pierwsze dni w obozie oświęcimskim 191
Tytoniak A.: Jesień 1942 roku w szpitalu kobiecym w Brzezince 195
Piątkowska A.: Z przeżyć oświęcimskich 201
Dziaduś S.: Urywki wspomnień z Oświęcimia-Brzezinki 204
Kret J.: Ze wspomnień oświęcimskich . . 209
Wolny J.: Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen (II) 213
Ciesielski E.: Ucieczka z Oświęcimia . 218
Salwa W.: Wspomnienia rannego partyzanta 225
Kiciarski M.: Olkusz pod okupacją hitlerowską. Wspomnienia lekarza 228
Sowiakowski J.: Okupacyjne wspomnienia z Janowa Lubelskiego 236
Seweryn T.: Do psychologii „übermenschów". Kartki z pamiętnika 243

SPRAWOZDANIA

Brzezicki E., Gawalewicz A., Hołuj T., Kępiński A., Kłodziński S., Wolter W.: Więźniowie funkcyjni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. (Dyskusja) 253
Wesełucha P.: Uwagi o swoistości psychicznej byłych więźniów 262

SYLWETKI ZASŁUŻONYCH LEKARZY

Nowak J., Perzanowska S.: Dwugłos o profesorze Mieczysławie Michałowiczu . 266
Kłodziński S.: Dr Józef Żegleń . . . 270

OCENY

Masłowski J.: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1967 272

*

Treść poprzednich zeszytów „Przeglądu Lekarskiego", poświęconych zagadnieniom lekarskim okresu okupacji hitlerowskiej . . 282

100596
III

JÓZEF BOGUSZ
Przewodniczący Krakowskiego Oddziału
Polskiego Towarzystwa Lekarskiego

Kraków

Słowo wstępne

Zeszyt ósmy „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" ukazuje się w kolejną XXIII rocznicę oswobodzenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka.

Po raz drugi wypadło nam przygotować do druku to wydawnictwo bez światłej i niezawodnej pomocy nieodżałowanej pamięci prof. dr *Jana Sehna*. 12 grudnia 1967 roku minęła druga rocznica Jego śmierci. Poświęciliśmy pamięci Jego wiele serdecznych słów w zeszycie szóstym (Przegl. Lek., 1966, nr 1) i siódmym (1967, nr 1). Tu pragniemy dać znowu wyraz głębokiemu żalowi i ponownie podkreślić, jak bardzo brakuje nam Jego pomocy i jak żywa jest pamięć chwil wspólnych dyskusji.

Odczuliśmy boleśnie jeszcze drugą śmierć. Nagły zgon 5 czerwca 1967 roku dr *Jerzego Sawickiego*, profesora prawa karnego Uniwersytetu Warszawskiego, przeciął życie znakomitego znawcy zagadnień „norymberskich" oraz zagadnień prawno-lekarskich. Zostaliśmy pozbawieni zapowiedzianej współpracy tego świetnego autora z naszymi zeszytami.

Miniony rok 1967 stał — jeśli chodzi o naszą problematykę — pod przemożnym wpływem uroczystości odsłonięcia międzynarodowego pomnika w Oświęcimiu-Brzezince, poświęconego pamięci wymordowanych tam ofiar.

Uroczystość odsłonięcia pomnika-mauzoleum w Brzezince skupiła około 200 tysięcy uczestników z całego prawie świata w dniu 16 kwietnia 1967 roku na terenach byłego największego hitlerowskiego obozu masowej zagłady, nazwą swą symbolizującego martyrologię milionów ludzi gnębionych i niszczonych przez hitleryzm. Ta pamiętna niedziela była ostatnim dniem obchodów Tygodnia Międzynarodowej Solidarności Bojowników Ruchu Oporu, przypadającego zawsze w rocznicę wyzwolenia Buchenwaldu.

W tym miejscu Brzezinki, gdzie dobiega tor kolejowy, kończyła się droga pociągiem do gazu i krematoriów. Tam właśnie, wśród ruin urządzeń zagłady, wzniesiono międzynarodowy pomnik ku czci zamordowanych. Pomnik ten, zatwierdzony w drodze konkursu, zaprojektowali ze strony polskiej *Jerzy Jarnuszkiewicz* i *Julian Pałka*, a ze strony włoskiej *Petro Cascella*. Wielkie, kamienne bloki pomnika wyobrażają obalone i potrzaskane sarkofagi i nagrobki. W środku kamienny obelisk przypomina krematoryjny komin. Pod nim jest symboliczna rzeźba, przedstawiająca splecione ludzkie ciała. Płyty ułożone wzdłuż drogi pokryte są różnojęzycznymi napisami. Zdjęcie płyty z napisem polskim reprodukujemy na ostatniej karcie okładki niniejszego zeszytu. To dzieło polsko-włoskiego zespołu artystów rzeźbiarzy uwieczniło pamięć o oświęcimskim *pandemonium*, a również wzniesione zostało dla przestrogi i ostrzeżenia. W dniu wspomnianej uroczystości 30 masztów z różnymi flagami narodowymi obok różnojęzycznych plakatów z napisem „Nigdy więcej!" prezentowało międzynarodową solidarność i postawę zebranych. Aktu odsłonięcia monumentu dokonał przewodni-

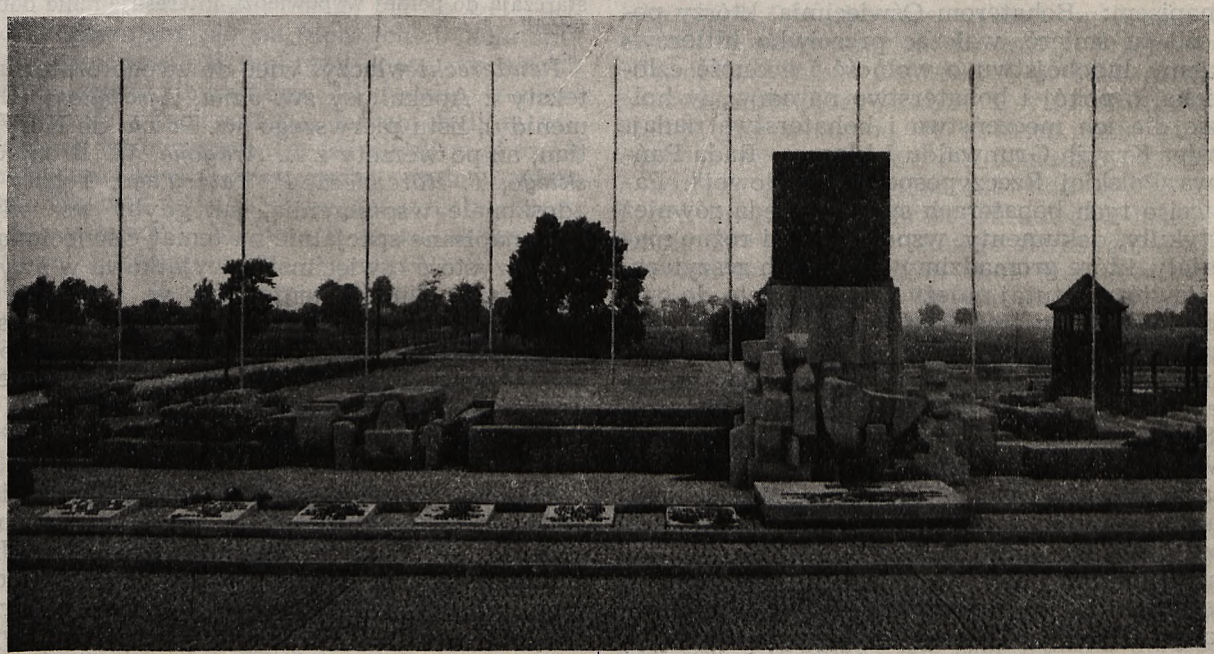

Pomnik Ofiar Oświęcimia-Brzezinki. Pod środkową poziomą osią zdjęcia widoczny jest szereg tablic z różnojęzycznymi napisami. Na ostatniej karcie okładki niniejszego zeszytu reprodukujemy zdjęcie tablicy z napisem polskim. Fot. *Adam Kaczkowski*

czący Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, minister *Janusz Wieczorek*.

Podczas uroczystości przemawiali: prezes Rady Naczelnej ZBoWiD i prezes Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej *Józef Cyrankiewicz*, prezes Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego prof. dr *Robert Waitz* ze Strasburga oraz generał lejtenant *Wasilij Pietrenko* z ZSRR, którego oddziały wyzwoliły w styczniu 1945 roku Oświęcim.

Publikacje zawarte w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" poprzedzamy tekstem przemówienia *Józefa Cyrankiewicza*, byłego więźnia Oświęcimia, wygłoszonym na tej uroczystości. Przemówienie to jest nie tylko wyrazem oficjalnego stanowiska Rządu polskiego oraz organizacji zbowidowskiej, skupiającej byłych więźniów i kombatantów. Jest ono przede wszystkim wyrazem postawy i poglądów narodu polskiego wobec tego, co się działo podczas okupacji hitlerowskiej i wobec zachodnioniemieckich, rewizjonistycznych prób usprawiedliwienia i odrodzenia faszyzmu. Publikujemy więc to przemówienie w naszym zeszycie, daje ono bowiem syntezę ujmującą z perspektywy ćwierćwiecza najbardziej żywotną dla nas problematykę.

„Uparcie wracamy do tych spraw i będziemy do nich wracać" — powiedział między innymi *Józef Cyrankiewicz*. W ten trud konsekwentnego przypominania, a zarazem ostrzegania przed powtórzeniem się tragicznej przeszłości włączone są zeszyty „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". W słowie drukowanym pragniemy utrwalić choć cząstkę przeżyć niektórych spośród milionów ofiar Oświęcimia-Brzezinki i innych obozów i więzień hitlerowskich. Tych milionów, ku czci których wystawiono pomnik, symbolicznie udekorowany wśród łoskotu werbli Orderem Krzyża Grunwaldu I klasy. Pod pomnikiem jest płyta z wizerunkiem orderu i napisem: „Bohaterom Oświęcimia, którzy ponieśli tu śmierć, walcząc przeciwko hitlerowskiemu ludobójstwu o wolność i godność człowieka, o pokój i bohaterstwo narodów, w hołdzie dla ich męczeństwa i bohaterstwa nadaje Order Krzyża Grunwaldu I klasy — Rada Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej". Pamięci o tych bohaterach sprzyjać będą również artykuły, dokumenty, wspomnienia i różne materiały, które gromadzimy w naszych zeszytach.

Powtórzyć tutaj należy słowa z apelu do opinii świata, przyjętego pod koniec kwietniowych uroczystości oświęcimskich, a wygłoszonego tamże przez *Kazimierza Rusinka*, sekretarza generalnego ZBoWiD i wiceministra Kultury i Sztuki, byłego więźnia obozu w Mauthausen: „Wołamy do naukowców i pisarzy, filozofów i artystów, polityków i działaczy społecznych, parlamentarzystów i związkowców, kombatantów wojen światowych i do młodzieży (...): Zachowajcie czujność wszędzie tam, gdzie pojawi się choćby iskra niebezpieczeństwa faszystowskiego i niebezpieczeństw wojny (...). Oto są nasze obowiązki wobec zmarłych i pomordowanych, wobec nas samych, wobec następnych pokoleń...". Zgłębianie prawdy o latach okupacji, choćby na wąskim, lekarskim odcinku, powtarzanie na tym przykładzie aktualnych prawd etycznych i gruntowanie negatywnej postawy wobec poniżania człowieka i gwałcenia jego praw uważamy za cząstkę składową obowiązku, o którym mowa w cytowanym apelu. „Minęły 22 lata, lecz nigdy nie zapomnimy tych strasznych krzywd, które przyniósł narodom faszyzm" — powiedział gen. *Pietrenko*. Prof. dr *Robert Waitz* w swym przemówieniu podkreślił zadanie młodzieży, która również nie powinna zapominać, „do czego prowadzi wojna, totalizm, zaprzeczenie istoty ludzkiej, rozpętanie nienawiści rasowej, sadyzmu i najniższych instynktów".

Z myślą o młodzieży i przyszłych badaczach kontynuujemy naszą skromną edycję zeszytów.

Odnotować też trzeba, że oprócz pomnika martyrologia oświęcimska uwieczniona została również w dziele sztuki muzycznej. Przedstawiciele władz i część manifestantów wysłuchała w dniu uroczystości oświęcimskich w Domu Kultury Zakładów Chemicznych „Oświęcim" „Dies irae" *Krzysztofa Pendereckiego*. Było to światowe prawykonanie — przez orkiestrę, chór Państwowej Filharmonii im. K. Szymanowskiego w Krakowie pod dyrekcją *Krzysztofa Missony* i solistów — słynnego oratorium poświęconego pamięci zamordowanych w Oświęcimiu, a skomponowanego specjalnie na tę uroczystość. Warto zacytować, co sam autor na ten temat powiedział (Polska 1967, nr 7, s. 7):

„(...) Już dawno chciałem wyrazić swój osobisty stosunek do tego, co działo się w Oświęcimiu przed dwudziestu paru laty. Problem wielkiej Apokalipsy, wielkiej zbrodni wojennej, tkwił w mojej podświadomości chyba jeszcze od chwili, kiedy jako dziecko z okna rodzinnego domu w miasteczku Dębica widziałem zagładę tamtejszego getta (...). Oświęcim stanowi dla mnie symbol, problem wykraczający daleko poza obozowe druty (...). Ponieważ środki muzyczne nie zawsze wystarczają do pełnej wypowiedzi, interesuje mnie dobry tekst".

Penderecki włączył więc do swego oratorium teksty z Apokalipsy św. *Jana*, *Ajschylosa* (Eumenidy), listu pierwszego św. *Pawła* do Koryntian, aż po wersety z *L. Aragona*, *W. Broniewskiego*, *T. Różewicza*, *P. Valéry'ego*. Teksty te „doskonale współbrzmią, jak gdyby wszystkie były napisane specjalnie na temat Oświęcimia".

Uroczystość oświęcimska, wyjątkowa w swym rozmiarze, monumentalna w wymowie, a w przestrzeni czasu sumująca refleksje z perspektywy blisko ćwierćwiecza, tutaj pokrótce wspomniana, odbiła się szerokim echem w prasie krajowej i zagranicznej.

*

A jakie są nastroje w Niemieckiej Republice Federalnej? Oczywiście nie należy i nie można generalizować; na to zwracaliśmy uwagę. Uogólnianie dałoby tylko asumpt do niewłaściwego sądu i do wytworzenia fałszywego obrazu. Istnieją w NRF — i to nie całkiem wyjątkowe — jednostki, które reprezentują światły i postępowy światopogląd. Takim przykładem jest między innymi *Karl Saller*, profesor

antropologii i dyrektor Instytutu Genetyki Ludzkiej Uniwersytetu w Monachium, którego znakomity artykuł opublikowaliśmy w poprzednim zeszycie [1], oczywiście członkowie VVN [2] i wielu innych. Rozumne głosy notujemy z całym uznaniem i szacunkiem. Głosy oficjalne są tam jednak całkiem odmienne.

Pozwolę sobie przytoczyć rozmowę, jaką przygodnie przeprowadziłem ostatnio z młodym, 27-letnim Niemcem, prowadzącym gospodarstwo rolne pod Monachium. Opowiadał o dobrobycie, o wysokiej stopie życiowej w NRF. Zapytał mnie, czy byłem w NRF lub w Berlinie zachodnim. Odpowiedziałem, że nie. „Jak to — zdziwił się — pan, który sporo podróżował i włada dobrze językiem niemieckim, nie był tam jeszcze? Czy pana to nie ciągnie?" Odparłem, że cienie wojny unoszą się jeszcze zbyt nisko. Nastąpił teraz wykład, wygłoszony z wielkim temperamentem: to była mała grupa ludzi, którzy byli pod wpływem *Nietzschego;* pan wie, kto to był *Nietzsche* — i teorie *Nietzschego* między innymi o *übermenschach* tak na nich podziałały; ale ogół narodu niemieckiego był inny, przecież u nas był ruch oporu itd.

Była to istna lawina słów. Powiedziałem, że ta mała grupa ludzi pociągnęła jednak za sobą i wprzęgła w swą służbę niemal cały naród niemiecki i nie tak wiele brakowało, by narzucili teorie o *übermenschach* całej Europie. Nie było ani jednego słowa zrozumienia, jak straszne krzywdy wyrządziły hitlerowskie Niemcy innym narodom, między innymi i nam; przeciwnie, spotkałem się u mojego rozmówcy ze skargami na rzekome krzywdy doznane przez Niemców w czasie wojny i po jej ukończeniu ze strony Amerykanów, Rosjan i innych.

Co się tyczy ruchu oporu w Trzeciej Rzeszy, wspomnianego przez mojego interlokutora, to ruch ten istniał rzeczywiście, ale to był ruch oporu opierający się na niemieckich komunistach i części socjaldemokracji oraz na pewnych kołach obozu liberalnego. Ci ludzie, tropieni nieustannie przez gestapo, traceni byli w publicznych egzekucjach lub też ginęli w obozach koncentracyjnych. Nie można żadną miarą identyfikować tego rzeczywistego ruchu oporu w hitlerowskich Niemczech z zamachem na *Hitlera,* dokonanym 20 lipca 1944 roku przez pułkownika *Stauffenberga,* który na pewno szukał kontaktów z grupami liberalnymi. Ale wśród ludzi „20 lipca" istniały najróżniejsze ugrupowania, a przede wszystkim zawiedzeni generałowie *Wehrmachtu* i niezadowoleni z klęsk prawicowi politycy, którzy wobec zbliżającego się końca Trzeciej Rzeszy widzieli jako jedyny cel zgładzenie *Hitlera* i uratowanie za tę cenę owoców jego początkowych sukcesów [3]. W Bonn i w łonie *Bundeswehry* obchodzi się uroczyście rocznicę zamachu z 20 lipca 1944 roku, który miałby stać się symbolem ruchu oporu w hitlerowskich Niemczech. Nic bardziej błędnego.

Na pewno nie można powiedzieć, że ten młody człowiek, czy inni jemu podobni, którzy w czasie wojny byli kilkuletnimi dziećmi, miałby być odpowiedzialny za to, co działo się w Niemczech w latach 1933—1945. Ale ważne ze wszech miar byłoby to, aby ta młodzież zdawała sobie sprawę z prawdziwej historii hitlerowskich Niemiec. Tymczasem jest wręcz odwrotnie. Podręczniki szkolne i całe nauczanie albo całkowicie, albo prawie całkowicie przemilcza hańbiący okres historii hitlerowskich Niemiec.

Nie przeprowadzono w Niemieckiej Republice Federalnej właściwego rozliczenia z tą niedawną przeszłością. Tuż po wojnie nie było w Niemczech takiej instancji, która ciesząc się autorytetem moralnym, powiedziałaby całą prawdę o zamkniętym właśnie okresie narodowego socjalizmu. Uważano zresztą wtedy, że naród niemiecki jest załamany i należy go oszczędzać. A potem przyszedł tzw. *Wirtschaftswunder,* bogacenie się, *prosperity.* Ważna i niepowtarzalna możliwość została zaprzepaszczona.

Znowu gwoli sprawiedliwej oceny należy przypomnieć, że w roku 1949 dwaj szlachetni niemieccy lekarze *Mitscherlich* i *Mielke* wydali ważną dokumentarną książkę pt. *Wissenschaft ohne Menschlichkeit,* opartą na materiałach procesu lekarskiego, jaki toczył się w Norymberdze w czasie od 25 października 1946 do 20 sierpnia 1947 roku przed amerykańskim Trybunałem Wojskowym nr 1. Warto wspomnieć, jakie były losy tej książki, która unaoczniała zdeptanie przez lekarzy hitlerowskich wszystkich elementarnych zasad etyki i moralności lekarskiej. Oto pierwsze wydanie w liczbie 10 tysięcy egzemplarzy miało zostać przekazane Niemieckiej Izbie Lekarskiej w celu rozprowadzenia pomiędzy lekarzy. Czy to istotnie nastąpiło, nie wiadomo. W każdym razie zamilczano o tej książce bardzo dokładnie w NRF, a autorzy musieli wypić niejeden kielich goryczy, przyrządzony przez ich kolegów-lekarzy. Dopiero w roku 1960 ukazało się drugie wydanie pod tytułem *Medizin ohne Menschlichkeit.* Jeden z autorów, *Mielke,* nie dożył tej edycji, toteż przygotował ją do druku już tylko *Mitscherlich.* Książka ta została udostępniona również polskim czytelnikom [4].

W Niemczech zachodnich oficjalny język, to dopominanie się o prawo do zbrojeń atomowych, rozbudowywanie armii, jawne i oficjalne popieranie stowarzyszeń ziomkowskich, których celem jest podtrzymywanie ducha odwetu, uchwalenie przedawnienia zbrodni w roku 1969, osądzanie zbrodniarzy hitlerowskich przez sądy w sposób jaskrawie naruszający wszelkie poczucie sprawiedliwości (np. ostatnio umorze-

[1] *K. Saller:* Mord na tle rasowym i urojenie bohaterstwa w narodowym socjalizmie. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 13—30.

[2] *Vereinigung der Verfolgen des Naziregimes* (Związek Prześladowanych przez Narodowy Socjalizm).

[3] Patrz również: *J. Bogusz:* Słowo wstępne. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 3—4 (omówienie książki *Schlabrendorffa* pt. *Offiziere gegen Hitler*).

[4] Nieludzka medycyna. Dokumenty procesu norymberskiego przeciwko lekarzom. Wydali i opatrzyli komentarzem *A. Mitscherlich* i *F. Mielke.* Przedmowa *J. Sawickiego.* PZWL, Warszawa 1963.

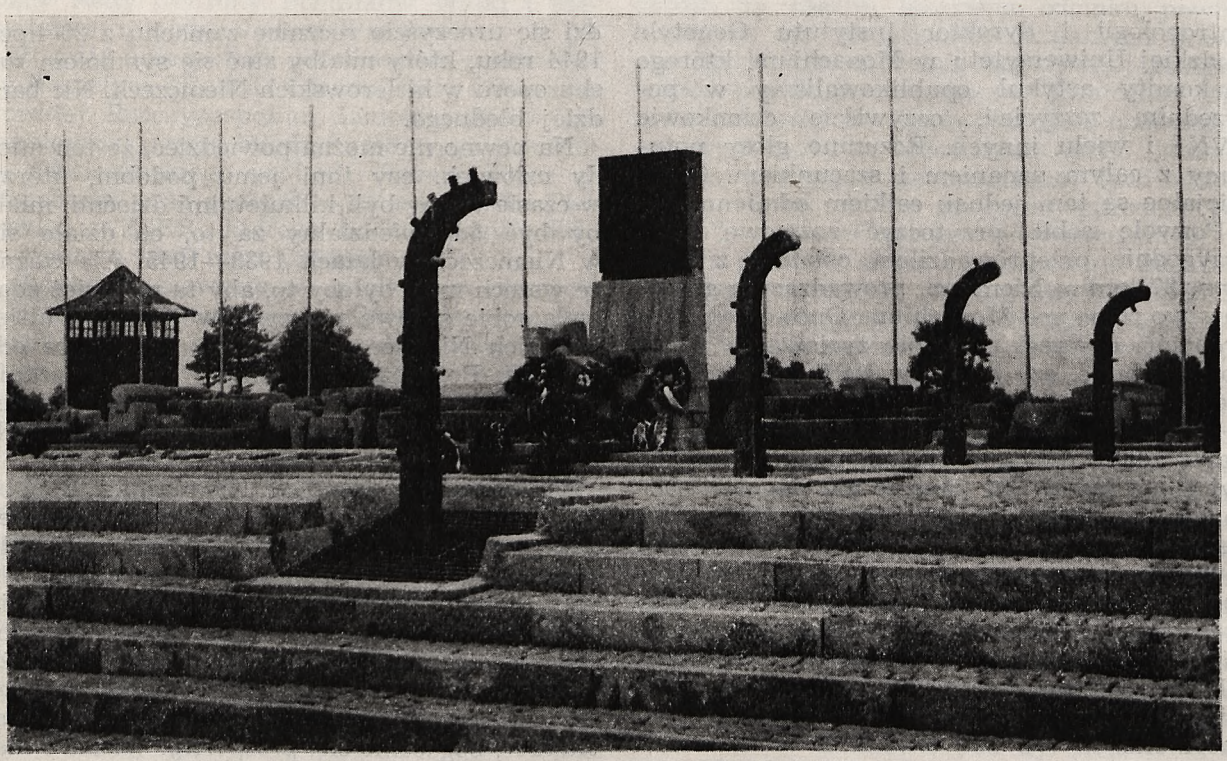

Fragment Pomnika Ofiar Oświęcimia w Brzezince
(fot. *Adam Kaczkowski*)

nie postępowania przeciw katowi Warszawy, gen. *Reinefarthowi*). Rząd NRF rości sobie pretensje do wyłączności reprezentowania całego narodu niemieckiego z zupełnym pominięciem NRD. Te roszczenia, pozbawione jakiejkolwiek podstawy prawnej, politycznej czy moralnej są wysoce charakterystyczne dla zarozumiałych tendencji rewizjonistycznych.

*

* *

Przechodząc do omówienia treści niniejszego zeszytu, pragnę zaznaczyć, że zawiera on tylko część tekstów, którymi dysponuje redakcja w zakresie lekarskiej problematyki okupacyjnej. Rozmiary zeszytu nie pozwalają na bieżące publikowanie wszystkich wartościowych materiałów. Część prac spośród nie ogłoszonego zapasu znajdzie się w zeszycie dziewiątym. O pierwszeństwie publikacji zadecydował czas nadesłania prac, ich wartość naukowa lub dokumentarna oraz przekrój tematyczny zeszytu. Z wielkim żalem godzimy się z koniecznością opóźnienia publikacji prac, które zasługują na szybkie udostępnienie czytelnikom, a z braku miejsca nie mogły się znaleźć w niniejszym zeszycie.

Po ogólnym wprowadzeniu czytelnika w aktualną problematykę, po tekście wspomnianego już wyżej przemówienia *Józefa Cyrankiewicza* następuje D z i a ł n a u k o w y zeszytu. Otwierają go dwie rozprawy, śmiało powiedzieć można medyczno-filozoficzne, pióra dra *Romualda Wiesława Gutta* z Bielska-Białej oraz doc. dra *Antoniego Kępińskiego* z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie. Autorzy ustosunkowują się do szczególnie trudnych zagadnień teoretycznych i przedstawiają swój lekarski punkt widzenia.

I tak, dr *R. W. Gutt* w pracy pt. „Próba rozważań na temat etyki lekarzy nazistowskich" snuje dalej nić problematyki etycznej, która już przewijała się uprzednio w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim", zwłaszcza w zeszycie siódmym. Swój krytyczny stosunek do wybranych zagadnień z zakresu etyki lekarzy hitlerowskich dr *R. W. Gutt* opiera na rozległym sondażu różnych publikacji.

Tematykę zagadnień psychiatrycznych obozów koncentracyjnych kontynuuje doc. dr *Antoni Kępiński* w artykule pt. „Refleksje oświęcimskie; rampa: psychopatologia decyzji". Autor na podstawie analizy sytuacji na rampie omawia niektóre zagadnienia związane z problemem decyzji.

W kolejnej pracy doc. dr *Stanisław Dąbrowski*, kierownik Kliniki Psychiatrycznej AM w Poznaniu, podjął temat: „Likwidacja chorych szpitala psychiatrycznego w Obrzycach a problem eutanazji". Autor syntetycznie i źródłowo przedstawił likwidację chorych psychicznie w szpitalu obrzyckim, a jednocześnie rozważył lekarski i prawny aspekt zagadnienia eutanazji. Zbrodnia hitlerowska w Obrzycach, jak wynika jasno z uzasadnień doc. *Dąbrowskiego*, nie może być traktowana jako eutanazja w znaczeniu *delictum sui generis*. Było to przemyślane ludobójstwo i zbrodnia nie znajdująca usprawiedliwienia w pobudkach eutanazji. Artykuł ten jest także kontynuacją rozważania zagadnień etycznych w naszych zeszytach. W dziale „Oceny" znajdzie czytelnik kilka uzupełniających informacji o zbrodni obrzyckiej.

Podobną tematykę poruszył dr *Stefan Kasperek* z Kliniki Neurologii Śląskiej Akademii

Widok środkowych elementów Pomnika Ofiar Oświęcimia (fot. *Adam Kaczkowski*)

Medycznej. Jego artykuł pt. „Sterylizacje ze wskazań eugenicznych w latach 1934—1944 na Śląsku Opolskim" porusza sprawę ogółowi czytelników zupełnie nieznaną. Jest to wycinek problemu sterylizacji w Trzeciej Rzeszy, wprowadzający w zagadnienie, a dotyczący Opolszczyzny, zwłaszcza Bytomskiego, a więc przed wojną ziemi zamieszkałej przez Polaków i objętej od początku istnienia władzy hitlerowskiej jej zbrodniczymi represjami. Artykuł dra *Kasperka* ma charakter komunikatu wstępnego; autor pracuje nadal nad sprawą sterylizacji.

Szczególną wartość historyczną i naukową ma praca dra *Antoniego Makowskiego* z Warszawy, którego czytelnicy nasi znają ze wspomnień zamieszczonych w poprzednim zeszycie („Wspomnienia lekarza z obozów koncentracyjnych w Monowicach, Buchenwaldzie i Zwieberge-Langensteinie"). „Niedożywienie więźniów politycznych (według pracy *Howarda H. Inglinga*)" jest między innymi analizą stanu somatycznego więźniów, którzy ocaleli z obozu Zwieberge-Langenstein, a których dr *Makowski* wspólnie z amerykańskim lekarzem, kapitanem *H. H. Inglingiem*, przywracał życiu po wyzwoleniu w roku 1945 w 20 Szpitalu Polowym IX armii amerykańskiej. Dr *Ingling* praktykuje obecnie jako lekarz w Donnelsville pod Springfield (Ohio, USA). Przed 23 laty, lecząc uwolnionych więźniów, obaj wymienieni lekarze poczynili obserwacje lekarsko-naukowe, tutaj w skrócie przedstawione.

Następuje jedno z najważniejszych ogniw w naszych zeszytach, mianowicie kolejna grupa prac dotyczących obecnego stanu zdrowia byłych więźniów hitlerowskich katowni. Dr *Stanisław Kowalski* z Warszawy podaje krótką informację o „Wstępnych wynikach badań byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska warszawskiego)". Autor, były więzień Pawiaka i Oświęcimia-Brzezinki, zajmuje się nadal tym zagadnieniem. Wyczerpująca i wszechstronna jest praca dra med. *Władysława Witusika* i mgr inż. biochemii *Romualdy Witusik*, podająca obok szczegółowych wyników również obraz wykonanych analiz laboratoryjnych, a także opisy losów i stanu zdrowia poszczególnych badanych. Autorzy, którzy osiedlili się ostatnio w Jaśle, zbadali „Ślady następstw chorobowych związanych z pobytem w więzieniach i obozach koncentracyjnych (u byłych więźniów ze środowiska oświęcimskiego)", mieszkając w Oświęcimiu.

Praca ta dotyczy byłych więźniów głównie Oświęcimia i Mauthausen, którzy zamieszkali po wojnie na terenie powiatu oświęcimskiego. Podstawą artykułu są badania profilaktyczne, wykonane w drugim półroczu 1966 roku. Zbadano 74 byłych więźniów z 22 obozów koncentracyjnych. Praca była wygłoszona na naukowym posiedzeniu lekarzy oświęcimskiego koła Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Warto dodać, że dr *Władysław Witusik* (pseudonim „Wi-

cher") w roku 1944 do wyzwolenia był partyzantem w oddziale *„Jawora"* Armii Ludowej na Podkarpaciu.

Wspomniane ogniwo zamykają dwie prace specjalistyczne. Ppłk lek. *Tadeusz Zdawski* ze Szczecina podaje „Wstępne wyniki badań ftyzjatrycznych byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego)". Praca ta jest wyrazem podjęcia przez przedstawiciela medycyny Wojska Polskiego badania byłych więźniów na apel zbowidowskiej komisji zdrowia, a wykonana została w Oddziale Płucnym Szpitala Garnizonowego w Szczecinie. Zagadnienia stomatologiczne porusza dr *Jerzy Budny* z Warszawy w szczegółowej pracy pt. „Wpływ przebywania w obozie koncentracyjnym na uzębienie byłych więźniów". W poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" zamieściliśmy pracę prof. dra *Janusza Krzywickiego* z Warszawy pt. „Obrażenia szczękowe w obozie oświęcimskim". Liczbowe przedstawienie stanu uzębienia byłych więźniów przez dra *Budnego* jest nawiązaniem do wspomnianej pracy prof. *Krzywickiego*.

Ostatnią pozycją „Działu naukowego" jest artykuł dra *Ryszarda Zabłotniaka* z Białegostoku pt. „Studia medyczne w czasie okupacji hitlerowskiej", oparty na literaturze przedmiotu. Jest to zwięzły przegląd problematyki nielegalnej kontynuacji studiów lekarskich podczas okupacji hitlerowskiej w różnych ośrodkach polskich. Szkic ten może być punktem wyjścia dla dalszych, szerszych opracowań, niewątpliwie bowiem ten aspekt okupacji jest w dziedzinie medycyny wyraźnie zaniedbany, a zasługiwałby na osobną książkę. Ubiegli nas badacze innych fakultetów, którzy zaawansowali studia nad tajnym nauczaniem np. w zakresie nauk humanistycznych (dość przypomnieć choćby pracę zbiorową pt. *„Alma Mater* w podziemiu. Kartki z dziejów tajnego nauczania w Uniwersytecie Jagiellońskim 1941—1945", zredagowaną przez *Marię* i *Adolfa Zarębów*). Praca dra *Zabłotniaka* orientuje, że treść proponowanej książki o tajnym nauczaniu medycyny podczas okupacji może objąć nie tylko jedną uczelnię, ale wszystkie ośrodki tego zakresu podziemnej działalności lekarzy.

Dział historyczno-dokumentarny rozpoczyna się relacją o dzieciach gnębionych przez hitleryzm w przemyślany i zorganizowany sposób. O dzieciach tych pisaliśmy już niejednokrotnie; tym razem znów prezentujemy czytelnikom szczegóły prawie całkiem nieznane, w większości zaś po raz pierwszy w niniejszym zeszycie podane w źródłowej pracy dokumentarnej *Józefa Witkowskiego* z Wrocławia pt. „Hitlerowski obóz dla dzieci w Łodzi". Autor był więźniem owego *Polen-Jugendverwahrlager Sicherheitspolizei in Litzmannstadt*. Jest to wstrząsająca relacja o martyrologii dzieci począwszy od drugiego roku życia, zamkniętych w tym obozie w Łodzi przez hitlerowców. Reprodukujemy unikalne dokumenty, zebrane staraniem autora, który oprócz własnych przeżyć oparł się także na relacjach odszukanych przez siebie byłych więźniów obozu dla dzieci w Łodzi.

Józef Witkowski urodził się w roku 1929. Parokrotnie był aresztowany podczas okupacji. Raz uciekł z transportu, przewidując, że go wywożą do Oświęcimia. W roku 1943, po pobycie w obozie śledczym gestapo w Mysłowicach, skąd przemycał listy więźniów, wywieziono go do wspomnianego obozu w Łodzi, gdzie przebywał od października 1943 do 18 stycznia 1945 roku, tj. do wyzwolenia. *Józef Witkowski* pracuje nadal nad zbieraniem materiałów dotyczących *Polen-Jugendverwahrlager* w Łodzi i dąży do wydania książki na ten temat, która powinna znaleźć się w planach wydawniczych.

Prof. dr *Jan Olbrycht* napisał dla naszego zeszytu artykuł zatytułowany „Przeżycia medyka sądowego w czasie okupacji hitlerowskiej oraz po wyzwoleniu w sprawach z nią związanych". Nasz znakomity uczony, liczący obecnie 81 lat, cieszący się do niedawna pozazdroszczenia godną bystrością i rzeskością umysłu, do niedawna w pełni aktywny naukowo, zdecydował się na naszą prośbę skreślić swoje osobiste przeżycia z czasu pogardy. Spędził w obozach koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka i Mauthausen ciężkie trzy lata. Szczęśliwy los pozwolił mu przetrwać katorgę obozową i powrócić do Krakowa, gdzie mógł na nowo podjąć swą umiłowaną pracę jako kierownik Zakładu Medycyny Sądowej UJ, później AM. Nie tu jest miejsce na szczegółowe omówienie jego dorobku ani na wymienienie licznych godności i odznaczeń, jakie stały się jego udziałem [5]. Tu pragnę tylko zaznaczyć, że był to uczony znany i ceniony szeroko w świecie. W chwili przygotowywania tego zeszytu prof. *Olbrycht* zmarł.

W zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" opublikowane zostały dwie wielkie jego opinie, opracowane dla Najwyższego Trybunału Narodowego, a to: „Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu", orzeczenie biegłego wygłoszone 10 grudnia 1947 roku na rozprawie przeciwko załodze esesowskiej obozu oświęcimskiego (Przegl. Lek., 1962, nr 2a, s. 37—49) oraz „Sprawy zdrowotne w tak zwanym Generalnym Gubernatorstwie", orzeczenie biegłego wygłoszone 20 czerwca 1948 r. na rozprawie przeciwko dr *Józefowi Bühlerowi*, byłemu szefowi w tzw. rządzie GG. Te znakomite opinie pozbawione były jakiejkolwiek nuty subiektywnej; opierały się jedynie na pozostawionych oryginalnych dokumentach hitlerowskich i materiałach zgromadzonych przez Krakowską Komisję Okręgową Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, autor bowiem przestrzegał ściśle zasad, że opinia sądowo-lekarska powinna opierać się tylko na faktach oraz pełnej obiektywności i bezstronności. Dlatego mimo swych osobistych przeżyć w katowni obozowej prof. *Olbrycht* umiał w tych opiniach wyrzec się wszelkich uczuciowych momentów. Dokumenty te cechuje również nieczęsto spotykany wnikliwy krytycyzm i podziwu godna

[5] Patrz Przegląd Lekarski, 1966, zeszyt 9, wydany dla uczczenia osiemdziesięciolecia prof. *Olbrychta*.

samodzielność myślenia, poparta rozległą erudycją.

W artykule opublikowanym w niniejszym zeszycie prof. *Olbrycht* daje wyraz szczegółowej ocenie faktów w oparciu o swe osobiste przeżycia i subiektywne doznania. Tym większą wartość ma ten artykuł. Znajdziemy w nim między innymi spostrzeżenia wykazujące, że w ciężkich warunkach życia obozowego nierzadko włamywacz wykazywał więcej cech ludzkich niż osoba z wyższym wykształceniem. Uwagi autora o bloku 11, o pracy w aptece, o wpływie *psyche* na *soma* i wiele innych sprawiają, że artykuł czyta się jednym tchem. Przetrwanie ewakuacji 18 stycznia 1945 roku z Oświęcimia pieszo, a z Wodzisławia do Mauthausen otwartą węglarką kolejową przez trzy doby przy mrozie kilkunastostopniowym pozostaje tajemnicą wytrzymałości ludzkiego ustroju.

W artykule prof. *Olbrychta* spotykamy się po raz pierwszy ze sprostowaniem błędnego użycia słowa „kanibalizm". Nie o kanibalizm chodziło w obozach koncentracyjnych, gdyż słowo to oznacza zabijanie i zjadanie się wzajemne osobników tego samego gatunku, ale, jak słusznie prostuje prof. *Olbrycht*, idzie o nekrofagię, czyli o zjadanie części ciała ludzkiego pobranych ze zwłok ludzkich.

Prof. dr *Bolesław Popielski*, kierownik Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu, w swym artykule pt. „Zakład Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego podczas okupacji hitlerowskiej" kreśli historię tego Zakładu w owym okresie. Przybył do Krakowa w listopadzie 1943 roku, a więc już po uwięzieniu prof. *Olbrychta*, co nastąpiło w czerwcu 1942 roku. Szczególnie cenna jest charakterystyka dra *Wernera Becka*, który w kwietniu 1940 roku jako asystent Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu objął kierownictwo Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie. Ten siejący atmosferę grozy i terroru alkoholik o sadystycznych upodobaniach, szczegółowo scharakteryzowany w pracy prof. *Popielskiego*, zajmuje dziś poważne stanowisko w Akwizgranie (Aachen, NRF), a jego dokładny adres podaje w swym artykule prof. *Olbrycht*.

Obie relacje profesorów *Olbrychta* i *Popielskiego* uzupełniają się i stanowią wspólnie niezmiernie ważną, udokumentowaną historię Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego z okresu hitlerowskiej okupacji.

Przyczynkiem do dziejów medycyny obozów koncentracyjnych jest praca dra *Zbigniewa Wlazłowskiego* z Gdyni pt. „Gruźlica płuc i postępowanie z chorymi na gruźlicę w obozie koncentracyjnym Gusen". Leczenie gruźlicy hitlerowską metodą polegało oczywiście na uśmiercaniu chorych różnymi sposobami. Autor nawiązuje do swej pracy o szpitalu w Gusen (Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 112).

Na temat procesów lekarzy esesowskich na ogół nie znajdujemy w piśmiennictwie polskim szczegółowych relacji. Artykuł pt. „Proces lekarza *SS*, *Horsta Fischera*", oparty na materiałach z przewodu sądowego, jest tym cenniejszy, że autor, dr *Stanisław Kłodziński*, był świadkiem rozprawy sądowej *Fischera*, jednego z największych zbrodniarzy spośród esesowskiej służby zdrowia w Oświęcimiu. Oprócz danych z procesu publikacja ta zawiera sylwetkę *Fischera*, która może zainteresować psychopatologów.

Bardzo cennym materiałem jest artykuł dra *Stanisława Jagielskiego* z Warszawy, którego książka pt. „*Sclavus saltans*. Wspomnienia lekarza obozowego" (Warszawa 1946) należy do ważnych pozycji literatury obozowej. Tytuł „Psychiczne «galwanizowanie muzułmana»" mówi o tym, jak dobre słowo, życzliwy stosunek, a także umiejętnie i w odpowiedniej chwili podany wiersz działał jak gdyby najlepszy lek, podtrzymując na duchu „muzułmanów". Słowo „galwanizowanie" (przenośnie znaczące: sztuczne ożywianie, pobudzanie, dodawanie krótkotrwałej energii) nasunęło się w tym wypadku jako najtrafniejsze już w obozie prof. *Michałowiczowi*, o którym także w innych miejscach tego zeszytu czytelnik znajdzie interesujące i cenne wspomnienia. O „muzułmanach" obozowych nikt chyba nigdy nie napisze wszystkiego. Przeżyć tych najbardziej udręczonych i wyniszczonych więźniów, stanowiących w hitlerowskich obozach koncentracyjnych typową społeczność, z pewnością nie można wyrazić w słowach choćby najzręczniejszych i najtrafniejszych. Toteż cenne są nowe informacje o „muzułmanach", a takie znajdujemy w artykule dra *Jagielskiego*. Badaczy sztuki obozowej niewątpliwie zainteresują wiersze, które krzepiły więźniów na duchu. W artykule tym zawarta jest cząstka nie zanalizowanej jeszcze w pełni poezji obozowej, która odgrywała doniosłą rolę w utrzymywaniu życia, a także jej psychologiczna interpretacja. Były to zarówno utwory oryginalne, jak też pisane przed wojną i w obozach przetworzone. Towarzyszyła im muzyka i pieśń.

Dr *Edward Hanke*, autor znanej książki „Trudy i oczekiwania" (Warszawa 1965), omówionej w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" (1967, siódmy zeszyt specjalny, str. 247), udostępnił nam wspomnienia *Wincentego Spaltensteina*, działacza-patrioty, byłego więźnia kilku obozów koncentracyjnych, między innymi Dachau. We wprowadzeniu do tego artykułu, zatytułowanego „Refleksje więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau, *Wincentego Spaltensteina*", podane są bliższe szczegóły.

„Pomoc lekarzy dla ruchu oporu we wschodniej Białostocczyźnie", to całkiem nowy temat w naszych zeszytach, naszkicowany tutaj przez dra *Ryszarda Zabłotniaka*. Spodziewać się należy, że podobne cząstkowe opracowania złożą się w przyszłości na syntetyczną monografię o udziale polskiej służby zdrowia w ruchu oporu.

Długo zapomnianym i zaniedbanym tematem był „Zielony Krzyż, służba sanitarna Batalionów Chłopskich". Pod tym tytułem mgr *Barbara Matus* z Warszawy przedstawia nieznane dotychczas czytelnikom, bardzo ważne wiadomości o czołówkach sanitarnych Zielonego

Krzyża, o jego placówkach, o zaopatrywaniu w sprzęt sanitarny itp. Bardzo plastycznie wypadły opisy różnych epizodów tej akcji, jak na przykład transportowanie potrzebnych środków ze sklepu Drobnera w Krakowie w wózku dziecinnym; dziecko położone na paczkach umieszczonych w wózku maskowało przed okiem Niemców i konfidentów właściwą rolę tego niecodziennego środka transportu. Autorka przypomina liczne nazwiska ofiarnych działaczek Zielonego Krzyża; kreśli sylwetki kilku dzielnych kobiet wiejskich, które przyrównuje do licznych Emilii Plater. Wręcz niewiarygodne się wydaje, że dopiero po latach przypominać trzeba postacie tych bohaterek. Artykuł jest ich należnym uczczeniem. Trafnie autorka zauważa, pisząc o matkach i babkach aktywistek Zielonego Krzyża, że były one „drugą armią LZK [Ludowego Związku Kobiet], nie zaprzysiężoną, nie zarejestrowaną, nie odznaczoną krzyżami i honorami, ale potężną i ważną". Jakże słuszne słowa! Nie odznaczenia i honory są ważne, ale to, co się czyni. Trudno jednak pominąć uwagę, jak krzywdząca jest niepamięć o wielu jeszcze nieznanych bohaterach okresu podziemnego ruchu oporu w Polsce, którzy pozostają w cieniu, gdyż ani nie ma ich kto odkryć, ani też sami nie głoszą o swojej przeszłości.

Barbara Matus, urodzona w roku 1914 w Krakowie, jest prawnuczką *Jana Kantego Andrusikiewicza* (1815 — 1850), który wraz z księdzem *Józefem Leopoldem Kmietowiczem* i w porozumieniu ze znanym agitatorem Sprzysiężenia Demokratów Polskich, *Julianem Maciejem Goslarem*, stanął w lutym 1846 roku na czele zbrojnego powstania górali chochołowskich. Te tradycje walki o wolność zaważyły na jej życiu, które poświęciła działalności politycznej i wyzwoleńczej. W młodości była członkiem Związku Młodzieży Komunistycznej. Od roku 1939 związała się z ruchem ludowym. W konspiracji brała czynny udział w działalności Stronnictwa Ludowego ROCH, w Batalionach Chłopskich i w Ludowym Związku Kobiet. Pełniła funkcje szefa sanitarnego w Komendzie Okręgu BCh, członka kierownictwa wojewódzkiego Ludowego Związku Kobiet i organizatora Zielonego Krzyża na Małopolskę, redaktora agencji informacyjnej „Co słychać" i redaktora „Wiadomości Kobiecych", prowadziła punkt kontaktowy dla ROCHa i komendy BCh, współpracowała z szefem łączności *Janem Mazurkiem* i jego zastępcą, *Wojciechem Jekielkiem* przy sporządzaniu „lewych" dokumentów, w pracach łączności i kolportażu. Od roku 1956, niezależnie od pracy zawodowej, *Barbara Matus* pracuje przy zbieraniu materiałów z okresu walki, między innymi w Zakładzie Historii ZSL (dawna Komisja Historii Ruchu Ludowego). Jak widać, dokumentarną pracę o Zielonym Krzyżu otrzymaliśmy z autorytatywnego źródła.

Również nieznane dotąd informacje zawiera praca pt. „Rządy *Hansa Franka* w świetle dokumentacji Rady Głównej Opiekuńczej" pióra dra *Romana Kiełkowskiego*, obecnie prezesa Okręgowego Sądu Ubezpieczeń Społecznych w Krakowie. Stanowi ona materiał objęty zeznaniami *Konstantego Tchorznickiego*, prezesa Rady Głównej Opiekuńczej, instytucji charytatywnej, działającej w Polsce w okresie okupacji. Praca jest ściśle źródłowa, gdyż fakty zeznawane przez *Tchorznickiego* znane mu były bądź z autopsji, bądź z utrwalanej na bieżąco dokumentacji Rady Głównej Opiekuńczej. Przesłuchania dokonał jesienią 1945 roku autor pracy, podówczas sędzia grodzki w Krakowie i członek Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Materiały zawarte w zeznaniach *Tchorznickiego* stanowiły część środków dowodowych w procesie *Hansa Franka* w Norymberdze, tudzież w procesie dra *Bühlera*, sekretarza stanu w tzw. rządzie GG (proces przeprowadzony był w Krakowie). Całość zeznań *Konstantego Tchorznickiego* stanowi istotny przyczynek do dziejów okupacji hitlerowskiej w Polsce, ujawnia bowiem wiele faktów nieznanych skądinąd. Opracowane i usystematyzowane chronologicznie i rzeczowo, w konfrontacji z istotnymi fragmentami dziennika *Hansa Franka*, ukazują się w druku po raz pierwszy.

Dział historyczno-dokumentalny zamyka praca dra *Zygmunta Łakocińskiego* z Lund w Szwecji pt. „*Folke Bernadotte* i akcja Szwedzkiego Czerwonego Krzyża". Z publikacji tej czytelnik dowie się szczegółów dotyczących pomocy szwedzkiej w ratowaniu więźniów, wydobywaniu ich z rąk hitlerowców i leczeniu. Autor, świadek wydarzeń, przekazuje informacje, które zna autorytatywnie.

W s p o m n i e n i a, to dział wyodrębniony nie tylko ze względów formalnych, lecz przede wszystkim z uwagi na znaczenie, jakie ma ten rodzaj piśmiennictwa w odniesieniu do problematyki okupacyjnej. Znaczenie wspomnień wyczerpująco już uzasadniliśmy w naszych zeszytach (Przegl. Lek., 1967, nr 1, str. 247—248). Pamiętniki i wspomnienia będą w wielu wypadkach niezbędnym materiałem badawczym w pracach naukowych. Ponadto są one w pewnym zakresie jedynym sposobem przedstawienia różnych treści, których w innej formie ująć się nie da, jak tylko w tej postaci dokumentu osobistego.

Dział ten rozpoczynamy tematyką lekarską dotyczącą obozu w Gross-Rosen. Obóz ten i historia jego służby zdrowia są już znane w ogólnym zarysie z wyczerpującej monografii *Mieczysława Mołdawy* „Gross-Rosen. Obóz koncentracyjny na Śląsku" (Warszawa 1967), natomiast artykuł „Ze wspomnień lekarza obozu Gross-Rosen" doc. dra *Romualda Sztaby* z Gdańska, który tam był więziony, zbliża do czytelnika atmosferę i wydarzenia dziejące się w tym obozie, opisane z punktu widzenia lekarza. Autor przedstawia sylwetki lekarzy-więźniów; wśród nich czytamy o takich lekarzach, jak doktorzy *L. Fischer, K. Gibiński, S. Konopka, Z. Kulig, J. Nowak, W. Popek, J. Żegleń* i inni. Jak wiadomo, niektórzy z nich są znanymi profesorami. Tutaj dowiadujemy się o ich obozowej martyrologii. Niektóre postacie zna-

my z poprzednich publikacji (np. sylwetkę dra *L. Fischera* pamiętamy z biografii w Przeglądzie Lekarskim, 1966, nr 1, str. 229—234). Znajdujemy we wspomnieniu doc. *Sztaby* wstrząsające, a jednocześnie plastycznie opisane szczegóły, które ze względów kompozycyjnych nie mogłyby wejść do syntetycznej monografii o obozie. I tak przeraża nas scena maltretowania prof. *Michałowicza* przez esesmana *Drozdowskiego*, będąca jaskrawym wyrazem poniżania więźniów, wzrusza moralna postawa lekarzy w obozie, głęboką mądrość i doświadczenie odkrywamy np. w wykładach prof. *Michałowicza* o humanizmie i poświęceniu, o których wspomina autor. W straszliwych warunkach obozowych ludzie ci nie zapominali bowiem o godności i umieli utrzymać dyscyplinę etyczną.

Przeważnie nieznane treści wnosi wspomnienie *Jerzego Nowickiego* pt. „Od Stutthofu do Sandbostel". Autor był wywieziony do Prus Wschodnich na roboty przymusowe, skąd wtrącono go do więzień, a następnie do obozu koncentracyjnego w Stutthofie i podobozu w Policach. Z kolei *Nowicki* przebywał w podobozie w Gdyni, skąd odbył dramatyczną ewakuację statkiem śmierci do Hamburga. Ten „muzułmanin" prawie przez cały czas katorgi, relacjonuje także swoje przeżycia z obozu w Sandbostel. Jest jednym z garstki ocalałych z Polic i Sandbostel.

W pracy pt. „Jurandowskie czasy", której fragmenty publikował „Robotnik Rolny", *Nowicki* opisał swój okres robót przymusowych. Praca ta została wyróżniona I nagrodą w konkursie „Robotnika Rolnego", Związku Zawodowego Pracowników Rolnych i Zarządu Głównego ZBoWiD. „Jurandowskie czasy" wydawnictwo „Książka i Wiedza" opublikowało w książce zbiorowej pt. Przemoc, poniżenie, poniewierka (Warszawa 1967, s. 39—100).

Wspomnienia „Od Stutthofu do Sandbostel", napisane specjalnie dla naszych zeszytów, zasługują na uwagę ze względu na nowe informacje, a zwłaszcza opis ewakuacji z Gdyni do Hamburga i relację o upiornych warunkach panujących w Sandbostel, obozie niemal zupełnie nieznanym. Wspomnienie *Nowickiego* cechuje zwięzłość, umiejętność podkreślania przeżyć psychicznych, nagromadzenie istotnych szczegółów, ważnych z lekarskiego punktu widzenia, a także plastyczność, nadająca zalety artyzmu temu tekstowi.

Warto dodać, że na mocy uchwały Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Policach nr XXIV/138/67 z dnia 25 kwietnia 1967 roku *Jerzy Nowicki* otrzymał honorowe obywatelstwo miasta Polic.

Urywki wspomnień dr *Stefanii Perzanowskiej*, autorki artykułów publikowanych już w poprzednich naszych zeszytach, stanowią syntezę dotyczącą „Szpitala obozu kobiecego w Majdanku". Zarówno autentyzm tych wspomnień, pięknie napisanych, serdeczność i wnikliwość, z jaką autorka przedstawia swoiste doznania psychiczne kobiet związanych ze szpitalem w Majdanku, jak też skupienie w tym tekście licznych nazwisk i faktów — stanowi o wartości tej pracy. Cenne są także tutaj spostrzeżenia lekarskie o rodzajach i przebiegu chorób w Majdanku. Uważny czytelnik dostrzeże, że pewne informacje, znajdujące się w tym wspomnieniu, przewijały się już w poprzednich pracach autorki, np. w odniesieniu do pomocy dla szpitala w Majdanku (Przegl. Lek., 1965, nr 1), ale są one w tym wszechstronnym opracowaniu konieczne dla przedstawienia pełnego obrazu tego kobiecego „rewiru".

Po wyczerpującej pracy dr *Perzanowskiej* o szpitalu w Majdanku następuje kompilacja krótkich fragmentów z obszernego pamiętnika *Zofii Pawłowskiej*, więźniarki z kolumny sanitarnej w Majdanku. „W rewirze na Majdanku" tej autorki ma charakter osobistego wspomnienia.

O sprawach lekarskich dotyczących obozów w Falkenbergu (był to podobóz Gross-Rosen) i Ebensee interesujące i cenne informacje podaje dr *Bronisław Rubin* z Tarnowa. Zwraca uwagę fakt, że grupa więźniów, wśród których znajdował się autor „Wspomnień lekarza z obozów w Falkenbergu i Ebensee", jeszcze po uwolnieniu musiała borykać się z dużymi trudnościami pod wątpliwą opieką austriackich lekarzy.

Drugą pracą z zagranicy — oprócz wspomnianego już artykułu o akcji hr. *Bernadotte'a* — jest interesujące wspomnienie *Franza Danimanna* z Wiednia pt. „W obozie oświęcimskim". Autor był sanitariuszem w bloku 20 w Oświęcimiu (w „sztubie" VI). Pozostał tam nie ewakuowany. Należał do grupy więźniów z ruchu oporu. W zamieszczonych wspomnieniach *Franz Danimann* w narracyjnej, obrazowej, bezpośredniej i bardzo osobistej formie przedstawia swe przeżycia doznane w związku z pobytem w szpitalu obozowym oraz swe dramatyczne przejścia podczas selekcji chorych dokonywanej przez lekarza *SS*, gdy cudem uniknął skierowania do gazu. Sylwetka lekarza obozowego ukazana jest jak gdyby w filmowym zbliżeniu. Autor podkreśla, że długo w obozie nie mógł uwierzyć w istnienie komór gazowych.

Dr *Leon Głogowski* z Katowic w artykule pt. „Moje pierwsze dni w obozie oświęcimskim" dorzuca kilka dalszych uwag do swych wspomnień, opublikowanych w poprzednich zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", dając bezpretensjonalną, prostą relację o swych przeżyciach z początku pobytu w obozie. Jest to przyczynek do zagadnienia szpitali oświęcimskich.

Była więźniarka, *Anna Tytoniak* z Krakowa, w swej relacji wspomnieniowej opisuje uciążliwą „Jesień 1942 roku w szpitalu kobiecym w Brzezince". Obrazowo przedstawia potworne warunki, w jakich znajdowały się tam chore więźniarki.

Autorka kolejnego artykułu, *Antonina Piątkowska* z Warszawy, więziona w Oświęcimiu-Brzezince, Ravensbrück i Neustadt-Gleve, przebywała od 10 marca 1941 roku w więzieniu Montelupich w Krakowie, a w obozach od 27 kwietnia 1941 do 18 stycznia 1945 roku. Jest odznaczona Krzyżem Virtuti Militari V

klasy, Krzyżem Walecznych i dwukrotnie Złotym Krzyżem Zasługi. Wespół z innymi więźniarkami Oświęcimia-Brzezinki z narażeniem życia ukrywała i przechowywała różne dokumenty obozowe (plany krematoriów, komór gazowych, spisy zmarłych więźniarek-Polek itp.). Pisze o tym *T. Sobański* w artykule pt. *„Waschraum"* (Trybuna Ludu 1962, nr 27, str. 6). Wspomnienia *Piątkowskiej* pt. „Z przeżyć oświęcimskich" są znamiennym przykładem walki psychicznej więźniów z koszmarem obozowym i załamywaniem się. W trafny sposób uwydatniają krzepiącą rolę życzliwości ze strony współwięźniów, a także znaczenie pomocy materialnej w lekach, środkach opatrunkowych, żywności itp.

Piątkowska pisze w swym wspomnieniu o śmierci swojego syna, który został wybrany przez komisję lekarską *SS* w lipcu 1945 roku do transportu, mającego rzekomo odejść do sanatorium. Gdy przyszły z powrotem do obozu części odzieży wywiezionych, stało się publiczną tajemnicą wśród więźniów, że cały ten transport trafił do komór gazowych. Warto przypomnieć, że dr *Horst Schumann*, oczekujący na proces w NRF, będzie niewątpliwie sądzony za udział w tego rodzaju komisjach lekarskich *SS*, odwiedzających obozy koncentracyjne. Zadaniem tych komisji było selekcjonowanie chorych i kalek i kierowanie ich do komór gazowych. Dokumentacja na ten temat znajduje się w „Zeszytach Oświęcimskich", wydawanych przez Państwowe Muzeum w Oświęcimiu.

„Urywki wspomnień z Oświecimia-Brzezinki" dra *Stanisława Dziadusia* z Myślenic są cenną pozycja, która wzbogaca lekarską okupacyjną tematykę wspomnieniową. Autor był w latach 1937—1939 studentem medycyny Uniwersytetu Warszawskiego. Aresztowany został w Leżajsku 11 listopada 1941 roku. W obozie oświęcimskim co prawda nie pracował jako lekarz; funkcję tę pełnił okresowo w Gross-Rosen, gdzie też pracował jako cieśla. Dr *Dziaduś* przygotowuje również wspomnienia z tego okresu swej martyrologii obozowej.

W grupie artykułów dotyczących obozu Oświęcim-Brzezinka kolejną pozycją jest relacja *Józefa Kreta* z Krakowa pt. „Ze wspomnień oświęcimskich". Zamieszczamy ją zgodnie z przyjętą zasadą odstępowania czasem od ściśle lekarskiej treści publikacji, jeśli zawierają one relacje i informacje interesujące między innymi z psychologicznego czy moralnego punktu widzenia. Autor porusza mało znane zagadnienie, mianowicie opisuje bohaterską postawę harcerzy-więźniów w obozie, którym — podobnie jak lekarzom (o czym pisał w Przeglądzie Lekarskim, 1966, nr 1, str. 184—190) — zawdzięczał w Oświęcimiu istotną, serdeczną pomoc. W dużej mierze dzięki odpowiedniemu podejściu i postawie harcerzy autor przezwyciężył swój psychofizyczny kryzys, w jakim się znalazł pod wpływem nieludzkich warunków. Tym chętniej publikujemy artykuł, w którym jest mowa o harcerzach, że ostatnio niewiele się pisze o ich bohaterstwie, jeśli wyłączyć np. reportaż o walce podziemnej harcerzy gdyńskich w czasie okupacji [6].

Praca *Jana Wolnego* z Jarocina pt. „Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen. Część II" jest kontynuacją relacji tego autora z zeszytu szóstego (Przegl. Lek., 1966, nr 1, str. 198—202).

„Ucieczka z Oświęcimia" *Edwarda Ciesielskiego* jest redakcyjnym skrótem wybranego rozdziału pamiętnika tego nie żyjącego już autora. Fotokopię tekstu udostępniło nam Państwowe Muzeum w Oświęcimiu. Dramatyczne ucieczki podejmowane przez więźniów obozu oświęcimskiego są znane czytelnikom z książki *T. Sobańskiego* („Ucieczki oświęcimskie", MON 1966). Relacja *Ciesielskiego* podkreśla rolę oświęcimskich „rewirów" szpitalnych we współorganizowaniu ucieczek z obozu. Więźniowie przeważnie uciekali nie po to, aby ratować się przed zagładą, ale z inspiracji oświęcimskiej organizacji ruchu oporu podejmowali to ryzykowne zadanie przemycenia poza obóz danych o zbrodniach hitlerowskich, a także aby nawiązać kontakt z przyobozowym ruchem podziemnym. Ponadto w relacji *Ciesielskiego* znajdujemy istotne momenty dotyczące etyki więźniów (np.: czy uciekając można cywilnym pracownikom zabrać odzież, aby się w nią przebrać), przeżyć psychicznych (cykl nerwicujących przeszkód na drodze do wolności) itp. Pamiętnik *Edwarda Ciesielskiego* przygotowuje do druku Wydawnictwo Literackie w Krakowie.

Warto zacytować niektóre dane o autorze z nadesłanych nam przez jego żonę, *Teresę*, informacji o nim:

„Edward Leopold Ciesielski, syn *Stanisława*, pseudonimy *«Beton»*, *«Ewa«*, *«Kula»*, urodził się 16 listopada 1922 roku w Woli Korzeniowej (powiat konecki). Był uczestnikiem konspiracji od 1939 roku oraz współzałożycielem partyzanckiego zgrupowania BCh *«Ośki»*, jak również zastępcą dowódcy tego zgrupowania (...) W Oświęcimiu (...) wstąpił w szeregi Tajnej Organizacji Wojskowej (TOW) i współpracował z założycielem tej organizacji, rotmistrzem *Witoldem Pileckim*, pseudonim *«Witold»*. 27 kwietnia 1943 wespół z (...) *Pileckim* i por. *Janem Redzejem* w wyniku ustaleń sztabu TOW organizuje ucieczkę z obozu w celu nawiązania bezpośredniej łączności z ośrodkami dyspozycyjnymi polskiego podziemia i zorganizowania akcji uwolnienia więźniów oraz ujawnienia niemieckich bestialstw dokonywanych w obozie. Po ucieczce (...) *Ciesielski* przekazywał pisemne raporty w tych sprawach (...) Komendzie Głównej AK i Komendzie Głównej BCh (...). W czasie powstania warszawskiego (...) 4 sierpnia 1944 roku został wzięty do niewoli przez żołnierzy ukraińskiej dywizji *SS* i osadzony w dawnym zakładzie Baudouina przy ulicy Nowogrodzkiej. Tam podstępem udało mu się zdobyć od niemieckiego podoficera *SS* informacje o rozmieszczeniu pozycji nieprzyjaciela i jego stanowiskach ogniowych. W tym czasie ukraińskie oddziały *SS* przygotowywały natarcie na stanowiska powstańców, znajdujących się w rejonie poczty kolejowej (nad torami w Alejach Jerozolimskich). W ostatniej chwili przed rozpoczęciem natarcia na pocztę kolejową *Ciesielski* zdobywa się na brawurową ucieczkę. Chwycił leżący na ziemi kamień i pozorując odbezpieczenie granatu rzucił nim w obsługę ckaemu. Skorzystał z paniki obsługi i przeskoczył mur otaczający wspomniany zakład, a następnie pobiegł ulicą Nowogrodzką (...). Na Placu Starynkiewicza wskutek

[6] *R. Bolduan, M. Podgórecznу:* Bez mundurów. Wyd. 2. Wydawn. Morskie, Gdynia 1966.

trafienia pada (...). Pod osłoną mroku ranny doczołguje się do barykady powstańczej przy poczcie kolejowej".

Edward Ciesielski zmarł mając zaledwie 39 lat.

Kolejna praca, to „Wspomnienia rannego partyzanta" pióra dra *Władysława Salwy* (pseudonim *„Mazur"*), obecnie lekarza krakowskiego, który podczas wojny walczył na Kielecczyźnie w partyzantce w akowskim oddziale „Wybranieckich". Dr *Salwa* opisuje swe przeżycia po zranieniu go przez Niemców, podkreślając, jak trudno było o opiekę lekarską w warunkach partyzantki.

Dziejom oddziału „Wybranieckich", w którym służył dr *Salwa*, osobną książkę poświęcił *Marian Sołtysiak*, pseudonim *„Barabasz"*, o którym *Salwa* wspomina w swej pracy. Jest to książka pt. „Chłopcy «*Barabasza*»", wydana przez „Pax" w roku 1965, po raz drugi zaś w roku 1967. „Wybranieccy" niszczyli transporty kolejowe, likwidowali niemieckich konfidentów, urządzali zasadzki i wypady na niemiecką żandarmerię i wojsko. Ich dowódca, *„Barabasz"*, utrzymywał kontakty z dowódcą brygady AL „Grunwald", *Maksem-Broniczem* (pseudonimy gen. *J. Sobiesiaka*). Nawzajem przychodzili oni sobie z pomocą w trudnych warunkach walki z okupantem [7].

W następnym artykule, zatytułowanym „Olkusz pod okupacją hitlerowską. Wspomnienia lekarza" dr *Marian Kiciarski* (*„Jur"*) relacjonuje niektóre zagadnienia dotyczące prześladowanych przez hitlerowców mieszkańców tego miasteczka w województwie krakowskim, zwłaszcza uwydatniając problematykę lekarską i zagadnienia miejscowego ruchu oporu. Znajdujemy w tej pracy liczne, nieznane fakty, podane na podstawie źródeł, jak również z osobistych przeżyć autora.

Kolejna publikacja, „Okupacyjne wspomnienia z Janowa Lubelskiego" dra *Jeremiasza Sowiakowskiego*, chirurga ze Szczecina, lekarza ZBoWiD, szerzej wnosi do naszych zeszytów problematykę kampanii wrześniowej 1939 roku, mianowicie niektóre dane o jej przebiegu w rejonie Janowa, a także interesujące informacje, częściowo tylko znane skądinąd, o tamtejszej partyzantce. W swym artykule autor ukazał dzieje szpitala janowskiego, placówki bardzo zasłużonej w latach wojny. Dr *Sowiakowski* jest znany jako pamiętnikarz ze swych „Wspomnień lekarza", drukowanych w odcinkach w dwutygodniku Za Wolność i Lud (1967, nr 4, 11 i 13). Autor został w kwietniu 1934 roku dyrektorem szpitala powiatowego w Janowie Lubelskim; tam przeżył wojnę i okupację. W kwietniu 1945 roku został przeniesiony do Puław w celu zorganizowania szpitala zlikwidowanego w czasie działań wojennych (przyczółek puławski). W roku 1951 osiedlił się w Szczecinie.

Na tle piśmiennictwa dotyczącego okupacji hitlerowskiej zarówno treścią, jak i formą wyróżnia się praca prof. *Tadeusza Seweryna* pt. „Do psychologii *übermenschów*. Kartki z pamiętnika". O działalności podziemnej autora pisaliśmy już w naszych zeszytach (Przegl. Lek., 1965, nr 1, str. 11). Obecna publikacja prof. *Seweryna* zawiera oryginalne spostrzeżenia z czasów okupacji, z kontaktów autora z Niemcami, pogłębione poważną refleksją i interesująco ujęte, a także wyróżniające się niebanalnymi walorami literackimi. Ostatni fragment tekstu wyraża, jak głęboko w psychikę człowieka zapadły przeżycia okupacyjne. Praca ta może być cenna dla przyszłych opracowań psychologicznych. Autor przekonywająco ukazał schematyczność myślenia hitlerowców, a trudną problematykę umiał nieraz przedstawić w postaci wyrazistej anegdoty. Tekst ten jest przykładem umiejętnego wysnuwania uogólniających spostrzeżeń na kanwie własnych przeżyć.

Dział S p r a w o z d a n i a zawiera niezwykłą pozycję, mianowicie skrócony tekst dyskusji na temat „Więźniowie funkcyjni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych". Oto w dniu 25 stycznia 1967 roku na dorocznym uroczystym posiedzeniu Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, urządzonym z okazji 22 rocznicy oswobodzenia obozu oświęcimskiego, trzej lekarze, dwóch prawników i jeden literat podjęli dyskusję na ten trudny temat, niekiedy drażliwy i nie dający się zawsze w sposób zdecydowany rozstrzygnąć. Pięciu spośród uczestników dyskusji, to byli więźniowie obozów koncentracyjnych (więźniowie Oświęcimia *T. Hołuj*, dr *A. Gawalewicz* i dr *S. Kłodziński;* więźniowie Sachsenhausen prof. dr *E. Brzezicki* i prof. dr *W. Wolter)*, jeden zaś nie był więźniem (doc. dr *A. Kępiński*). Dyskusja porusza wiele spiętrzeń pełnych napięcia, analizuje mechanizm zamiany człowieka w numer, omawia nie tylko nieludzkie, ale wręcz przeciwludzkie stosunki panujące w obozie, a stworzone i narzucone więźniom przez hitlerowców. Warto tu przytoczyć myśl wypowiedzianą przez jednego z uczestników dyskusji (doc. *Kępińskiego*):

„W obozie człowiek nie mógł sam przezwyciężyć własnej słabości; działał na zasadzie instynktu stadnego; życie zaczynało się od «my»; musiał znaleźć sobie kogoś albo jakąś grupę i to grupę o dość silnej strukturze. Zdaje mi się, że nie jest kwestią przypadku, iż późniejszy samorząd obozowy był samorządem czerwonych; mianowicie ideologii hitlerowskiej musiała się przeciwstawić grupa o bardzo twardej i silnej ideologii. Prawdopodobnie jakaś inna ideologia nie miałaby siły, by przeciwstawić się *SS* i nie miałby tej siły poszczególny człowiek".

Opublikowana w niniejszym zeszycie dyskusja stanowi niewątpliwie ważną pozycję. O jej tekst dopominano się z wielu stron po odbytym posiedzeniu Krakowskiego Towarzystwa Lekarskiego.

Byłoby pożyteczne, gdyby rola więźniów funkcyjnych stała się przedmiotem wyczerpującej pracy naukowej. Jej punktem wyjścia byłaby zapewne analiza pod tym kątem relacji, pamiętników i wspomnień obozowych, protokołów z procesów zbrodniarzy hitlerowskich,

[7] Por. Przegl. Lek., 1967, nr 1, str. 247, przypis 26.

myśli na ten temat wyrażonych w utworach literackich itp. Zamieszczony tutaj tekst dyskusji zakreśla z grubsza kierunki tematyczne takich badań.

Dla mechanizmu obozowego, stworzonego przez hitlerowski system przemocy i nieludzkiej ideologii, ważna jest też rola załogi esesowskiej w obozach. W tym zakresie literatura piękna wyprzedziła naukę, próbując przedstawić atmosferę, w jakiej kształtowała się psychika ludobójcy. Spośród dziesiątków utworów można wymienić przykładowo „Śmierć jest moim rzemiosłem" *Merle'a*, a z ostatnich polskich pozycji powieść *Dobraczyńskiego* [8]. Oto co pisze na ten temat recenzent [9]:

„...bohaterem [tej powieści] jest człowiek, który wprawdzie podczas wojny i przed nią przyjął bez zastrzeżeń hitlerowską ideologię, ale w chwili próby, kiedy znalazł się w (...) obozie jako zastępca komendanta, odwraca się od hitlerowskiej praktyki, budzi się w nim człowiek i prawnik. Szlachetne gesty bohatera niczego wprawdzie nie mogą zmienić, nie mogą uratować ani jednego życia (...), osobiście nie będzie [on] winien niczyjej śmierci (...); pozostanie biernym ogniwem ludobójczego systemu, nie ryzykując jednak niczego, aby sprawność jego działania zamącić (...). [Autor jednak] pozostawia (...) bez próby odpowiedzi pytanie, jak osądzić (...) całą jego wojenną karierę (...). Brak (...) w «Doścignętym» (...) próby (...) poszukiwania (...) obszarów, na których [autor] szukać mógłby korzeni okrucieństwa i strachu, głęboko ukrytych instynktów, które hitlerowskie frazesy zmieniły w rzeczywistość obozów koncentracyjnych (...). W rezultacie na najbardziej już banalne pytanie: jak to było możliwe, wciąż jeszcze nie ma odpowiedzi..."

Tematyka podjęta zarówno przez zamieszczoną dyskusję, jak też przypomniana przez krytyka literackiego byłaby niewątpliwie potrzebnym polem dla badania naukowego.

Sprawozdanie dra *Piotra Wesełuchy* z Krakowa z podróży grupy byłych więźniów w lecie 1967 roku do Anglii, zaproszonych tam prywatnie, jest tekstem głęboko refleksyjnym. Autor maluje sylwetki byłych więźniów i ich wrażenia podczas tej grupowej podróży i tak niecodziennego wspólnego przebywania. Czytelnicy pamiętają wspomnienia obozowe dra *Wesełuchy*, zamieszczone w zeszycie poprzednim [10].

Dział poświęcony Sylwetkom zasłużonych lekarzy otwiera szkic biograficzny dotyczący profesora *Mieczysława Michałowicza*, o którym w dziale Wspomnień pisze nadto prof. *Romuald Sztaba*, relacjonując przeżycia z obozu w Gross-Rosen. „Dwugłos o profesorze *Mieczysławie Michałowiczu*", sławnym polskim pediatrze, więźniu Majdanka i Gross-Rosen, to wspomnienia o nim pióra dra *Jana Nowaka* z Warszawy i dr *Stefanii Perzanowskiej* z Radomia, byłych więźniów Majdanka.

Są to relacje osobiste, które należy poprzedzić w tej przedmowie kilkoma informacjami. Prof. *Mieczysław Michałowicz* (urodzony 29 sierpnia 1876 roku, zmarł 22 listopada 1965 roku) był nie tylko pediatrą, lecz także działaczem społecznym i politycznym. Od roku 1896 należał do PPS. Przed pierwszą wojną światową był współzałożycielem znanego towarzystwa Kropla Mleka, którego zadaniem było systematyczne dożywianie dzieci. W roku 1937 współorganizował on i był pierwszym prezesem Klubu Demokratycznego w Warszawie. W latach 1935—1938 piastował godność senatora. W roku 1939 został wybrany prezesem Zarządu Głównego Stronnictwa Demokratycznego. Podczas okupacji działał w konspiracyjnym SD, po czym w latach 1942—1945 przebywał w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Od roku 1945 do 1949 był prezesem Rady Naczelnej SD, po czym honorowym prezesem Stronnictwa. Posłował w latach 1945—1946 do KRN, a w okresie lat 1947—1952 do Sejmu. Profesorem Uniwersytetu Warszawskiego był od roku 1920. Od roku 1964 był doktorem *honoris causa* AM w Krakowie. Był członkiem PAU, PAN i Fińskiego Towarzystwa Lekarskiego „Duodecim". W pediatrii opierał się na nowoczesnych podstawach biochemicznych i anatomopatologicznych, zajmował się też psychiką dziecka.

Bohaterską i ofiarną postać dra *Józefa Żeglenia* przedstawił dr *Stanisław Kłodziński*. Jest to przykład nieugiętego charakteru, ofiarnej pomocy współwięźniom, troski o postawę moralną najmłodszych uwięzionych w obozie i przetrwania bez szwanku moralnego w najcięższych sytuacjach pod jarzmem esesowskim.

W dziale Oceny dziesiątki bieżących pozycji omawia, jak corocznie, mgr *Jan Masłowski* w artykule pt. „Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1967". Autor uwydatnia zespoły tematyczne, które ostatnio pojawiły się w tekstach ogłoszonych poza „Przeglądem Lekarskim — Oświęcim".

Zamieszczoną na końcu zeszytu treść poprzednich numerów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" ujęto według podziału merytorycznego.

*

* *

Warto podać małe obliczenie. Omówione wyżej pozycje zeszytu ósmego napisało 5 profesorów wyższych uczelni, 2 autorów z zagranicy (z Austrii i Szwecji) oraz liczni autorzy z różnych stron Polski. W zeszytach 1—8 „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" prace swoje opublikowało 144 autorów, w tym 14 autorów z zagranicy i 29 profesorów uczelni wyższych. Osiem zeszytów liczy łącznie 1356 stron druku i zawiera 230 prac.

*

Dla uzupełnienia należy podać, że recepcje zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" były różnorodne, począwszy od licznych wzmianek i szerszych omówień w różnych czasopismach, a skończywszy na obfitej korespondencji z kraju i zagranicy. Spotykamy się zwłaszcza z licznymi głosami upominającymi się o edycje obcojęzyczne naszych zeszytów,

[8] *J. Dobraczyński*: Doścignięty. „Pax", Warszawa 1967.

[9] *Z. Kubikowski*: Wojna we wszystkich przypadkach. Życie Literackie 1967, nr 40, str. 10.

[10] *P. Wesełucha*: Niemcy. Wspomnienia z Działdowa, Dachau i Mauthausen-Gusen. Przegl. Lek., 1967, nr 1, str. 192—196.

a przynajmniej streszczenia w językach kongresowych. Ze streszczeń tych zrezygnowaliśmy, biorąc pod uwagę brak miejsca, a przede wszystkim fakt, że zaawansowane są prace nad wydaniem materiałów z naszych zeszytów w poszczególnych tomach w języku angielskim.

Z obowiązku sprawozdawcy pragnę przytoczyć przynajmniej niektóre opublikowane teksty, dotyczące „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Spośród recepcji zagranicznych warto wymienić np. *„The Wiener Library Bulletin"*, który podał treść już pierwszego zeszytu naszej serii (1963, nr 2, str. 20) w notatce pt. *„Polish Medical Research"*. Obszerne omówienie zeszytu czwartego, uzupełnione fotokopiami, zamieściło czasopismo wydawane w Moskwie [11]. O zeszytach naszych relacjonowało także pismo ukazujące się w języku jidisz „Fołks-Sztyme" (Głos Ludu), zwracając uwagę zwłaszcza na prace naukowe [12]. Informacje o naszych zeszytach znalazły się także w języku angielskim w wydawanych w kraju zeszytach *„Folia Biologica"* (1963, nr 4, str. 491—492 i 1964, str. 363—366). Również bibliografowie notowali nasze wydawnictwo; przykładem jest dość szczegółowa informacja o sądowopsychiatrycznym wycinku problematyki „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", znajdująca się w *„Deutsche Zeitschrift für die gesamte gerichtliche Medizin"* (1965, tom 56, zeszyt 4), pióra *H. Schweitzera*. Spośród recenzji zamieszczonych w polskich czasopismach lekarskich należy wymienić piękną ocenę zeszytu siódmego, napisaną przez prof. dra *Tadeusza Kielanowskiego* („Biuletyn Głównej Biblioteki Lekarskiej ", 1967, nr 7/8, str. 584—586), a także artykuł pt. „Te zbrodnie nie będą zapomniane", poświęcony temuż zeszytowi („Służba Zdrowia", 1967, nr 45, str. 11).

Z wdzięcznością przyjęliśmy także zainteresowanie naszymi zeszytami ze strony ogólnie dostępnych polskich czasopism i dzienników. Recenzujący zadali sobie trud informowania nawet o poszczególnych pozycjach zeszytu, np. *Jacek Wilczur* w „Prawie i Życiu" (zeszyt siódmy omówiony w numerze 9 z roku 1967) czy *Władysław Bartoszewski* w „Tygodniku Powszechnym". Corocznie też pamięta o „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" red. *Ewa Zagórska* w „Dzienniku Polskim". Nie zapomina o tych edycjach „Za Wolność i Lud". Różne dzienniki notują je w swych przeglądach prasy, np. „Trybuna Ludu" (wyczerpująca informacja o zeszycie siódmym w numerze 67 z roku 1967) czy „Gazeta Krakowska" (szczegółowe omówienie pióra red. *Olgierda Jędrzejczyka* w numerze 62 z roku 1967), „Głos Nowej Huty" i inne. Osobno pragnę podkreślić wyczerpujący reportaż o naszych zeszytach, zamieszczony w miesięczniku „Polska" (1966, nr 10), a także obszerny i bardzo wnikliwy artykuł o „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" red. *Tadeusza Robaka*, który zanalizowawszy zeszyty trafnie ujął intencje i metody naszej pracy redakcyjnej [13].

Te i inne artykuły i notatki dotyczące naszych zeszytów sprawiają nam prawdziwą satysfakcję, są bowiem dowodem, że specjalistyczne czasopismo naukowe, jakim jest „Przegląd Lekarski", cieszy się także zainteresowaniem poza kręgiem czytelników-lekarzy.

*
* *

„Przegląd Lekarski — Oświęcim" stoi otworem dla wszystkich autorów, którzy pragną wnieść nowe treści zgodnie z tematyką odpowiadającą naszym zeszytom. W związku z napływającymi pracami, dotyczącymi zagadnień lekarskich okresu okupacji hitlerowskiej, podajemy kilka ogólnych uwag dla autorów.

Ułatwieniem w pracy redakcyjnej jest przysyłanie artykułów ujętych możliwie zwięźle i sporządzonych w maszynopisie znormalizowanym (30 linijek na jednej stronie, 4-centymetrowy margines, zwykła wielkość czcionki maszyny). Prosimy zwracać uwagę na dokładną weryfikację tekstu, a zwłaszcza na daty, imiona i nazwiska, nazwy instytucji, miejscowości, obozów itp., funkcje i stopnie wymienianych osób (np. z *SS*), numery więźniów, zgodność danych liczbowych w tabelach, właściwe wykonanie rycin (pismem technicznym na kalce, z dość dużym liternictwem, aby objaśnienia i liczby wyraźne były po zmniejszeniu ryciny do formatu kliszy) i fotokopii (na błyszczącym papierze). Opisy bibliograficzne powinny być dokładne (imię i nazwisko autora, tytuł pracy wraz z podtytułem, wydawca, miejsce i rok wydania, stronica książki lub nazwa, rok wydania, numer i stronice czasopisma).

Do najbliższego kolejnego zeszytu wchodzą prace nadesłane (na adres prof. dra *Józefa Bogusza*, Kraków, I Klinika Chirurgiczna AM, ul. Kopernika 40) nie później niż w pierwszym półroczu roku kalendarzowego. O kolejności publikacji zakwalifikowanych do druku decyduje w zasadzie data ich nadesłania oraz koncepcja tematyczna danego zeszytu. W sprawie szczegółów technicznych oraz adaptacji maszynopisów do druku można porozumiewać się bezpośrednio z mgr *Janem Masłowskim* (Kraków, Klinika Psychiatryczna, ul. Kopernika 21).

*
* *

Kończąc słowo wstępne, składamy wyrazy serdecznego podziękowania Autorom za ich opracowania. Ani oni, ani my nie zdajemy sobie dziś jeszcze sprawy z właściwej wartości tych artykułów. Wydaje się, że właściwa ich wartość będzie mogła zostać oceniona dopiero w przyszłości, wówczas, kiedy historyk sięgnie do opracowania dziejów tej epoki. Wyrazy serdecznego podziękowania składamy prof. drowi *Bronisławowi Gędoszowi*, redaktorowi naczelnemu „Przeglądu Lekarskiego" za wnikliwą i życzliwą pomoc. Dyrekcja Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, jak zawsze, służyła nam chętnie pomocą w pracach redakcyjnych oraz przez udostępnienie zdjęć. Dziękujemy za to serdecznie. Dyrekcji i pracownikom Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich dziękujemy serdecznie za nie ustającą, życzliwą opiekę, za wielką wyrozumiałość i cierpliwość, z ja-

[11] *N. N. Aczerkan*: Oswiencim. (Echo wojny). Sudiebno-miedicinskaja Ekspiertiza, 1964, nr 3, str. 33—38.

[12] „Fołks-Sztyme", 1964, nr 75, str. 7.

[13] *T. Robak:* Nauka o zbrodni. Życie Literackie, 1967, nr 16, str. 3.

ką zawsze spełniali nasze życzenia związane z wydawaniem znacznie zwiększonych zeszytów. Dziękujemy serdecznie Dyrekcji i zespołowi pracowników Krakowskich Zakładów Graficznych za staranne i terminowe wykonanie druku. Długoletnia współpraca była zawsze bardzo owocna. Zarówno kierownictwo czuwające nad żmudnym procesem produkcyjnym zeszytu, jak też składacze z Zakładu Nr 4 wykonujący pospiesznie składy zecerskie nie szczędzili wysiłków w tej pracy.

Na koniec niechaj mi będzie wolno złożyć wyrazy szczególnego podziękowania moim kolegom z zespołu redakcyjnego, a to doc. dr *Antoniemu Kępińskiemu*, drowi *Stanisławowi Kłodzińskiemu* i mgr *Janowi Masłowskiemu*. Nie słabnący zapał i entuzjazm, pasja i jakaś niespotykana konsekwencja cechuje ich od wielu lat w tej pracy społecznej. Te właściwości pozwalają rokrocznie doprowadzić do skutku edycję „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Szczególny, nie mający precedensu styl pracy zespołu redakcyjnego, opisany w słowie wstępnym do poprzedniego zeszytu, ideowe zaangażowanie sprawiają, że harmonijna współpraca jest dla każdego z nas przeżyciem o szczególnie głębokiej treści i sensie. Dziękuję również serdecznie drowi *Zenonowi Jagodzie* z Uniwersytetu Jagiellońskiego za pomoc w pracach redakcyjnych.

JÓZEF CYRANKIEWICZ Warszawa
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 62933

Przemówienie na uroczystości odsłonięcia pomnika w Oświęcimiu-Brzezince

Na miejscu, w którym zamordowanych zostało przez hitlerowców w sposób metodyczny i zorganizowany około czterech milionów ludzi, bezbronnych mężczyzn, kobiet i dzieci, z Polski i z wszystkich krajów Europy, odsłaniamy dziś pomnik. Pomnik Oświęcimia.

Spełniamy w ten sposób wolę naszego narodu i wszystkich narodów Europy, aby utrwalić pamięć i hołd złożyć tym, co zginęli i aby wzywać do czujności tych, co przeżyli i ostrzegać następne pokolenia, aby już nigdy więcej... Aby nigdy nie dopuścić do tego, co spowodowało tragedię milionów i co niezatartą hańbą ludobójstwa rzuciło mroczny cień na człowieczeństwo.

A więc i wieczna pamięć, i hołd, i ostrzeżenie. Ostrzeżenie, a więc walka o to, aby nie dopuścić do powtórzenia. Walka o budowę nowych stosunków między narodami, walka z nacjonalizmem, z rasizmem, z kultem przemocy, z wyzyskiem narodu przez naród, z imperializmem.

Czuwajcie i bądźcie w pogotowiu, aby nigdy więcej nic takiego zdarzyć się nie mogło.

Zgromadziliśmy się tu, członkowie ruchu oporu, byli więźniowie kacetów i byli kombatanci wielkiej wojny antyhitlerowskiej z wszystkich krajów Europy, aby powtórzyć nasze ślubowanie, że celem naszego życia przez los podarowanego jest walczyć o to, aby nigdy więcej.

Jest tu wraz z nami polska klasa robotnicza i chłopi z Krakowskiego i ze Śląska. Są przedstawiciele polskiego narodu z całego kraju, jest polska inteligencja, jest młode polskie pokolenie, które nie było naocznym świadkiem tego, co działo się tutaj przed 25 laty, ale jest wraz z młodym pokoleniem narodów naszego kontynentu strażnikiem przyszłości, która może być inna, w której można nie dopuścić do tego, aby się powtarzała, i to nawet zwielokrotniona nowymi środkami technicznymi, tragedia.

Jest z nami polskie pokolenie, które wie, że istnieje dlatego, że przed 22 laty pod ciosami Armii Radzieckiej, pod ciosami koalicji antyhitlerowskiej, w wyniku walki narodu polskiego i narodów Europy o wolność, o zrzucenie jarzma okupacji, hitlerowcy musieli uchodzić z tej ziemi i wysadzać w powietrze komory gazowe i krematoria, przeznaczone również dla eksterminacji polskiego narodu. To jest także nauka i ostrzeżenie.

Ta hitlerowska maszyna śmierci miała zemleć w pierwszym rzędzie nasz naród, nie oszczędzając i innych. Według planów hitlerowskich miała służyć eksterminacji narodów, by uczynić większą przestrzeń życiową dla narodu panów — *Lebensraum* dla *Herrenvolku* — który podbijał świat dla „wielkiej Rzeszy" w imię „nowego" porządku, chciał na gruzach wolności narodów i na cmentarzach tych narodów ugruntować 1000-letnią przemoc *Reichu*.

Tym planom można wierzyć, że byłyby realizowane z najbardziej okrutną metodycznością, tak jak trzeba było wcześniej wierzyć temu, co zapowiadał Hitler w swojej książce *Mein Kampf*, a co świat do czasu wojny uważał tylko za stek bredni. Realizacji tych ludobójczych planów przeszkodziła klęska wojenna Trzeciej Rzeszy, rozbicie machiny wojennej *Hitlera*. Kosztowało to świat miliony ofiar, żołnierzy i bojowników ruchu oporu poległych w walce od Stalingradu po Atlantyk, poległych w Afryce i Azji.

Zwycięstwo wielkiej koalicji, wielka zwycięska droga, pełna krwawych bitew od Stalingradu po Berlin — Armii Radzieckiej — urato-

wała narody Europy i przed niewolą, i przed zagładą. Dzięki temu odwróciły się losy Europy, losy świata śmiertelnie zagrożonego przez *Hitlera*, odwróciły się losy narodów wprost wyrwanych z paszczy hitlerowskiej machiny zniszczenia.

Dzięki temu zwycięstwu istniejemy i rozwijamy się jako naród i jako państwo; dzięki temu zwycięstwu mogliśmy rozpocząć budować skutecznie w Europie taki system bezpieczeństwa i walczyć o jego rozszerzenie, który nie pozwoli na powtórzenie się tragedii narodów.

Nie damy sobie wydrzeć owoców zwycięstwa, bo tylko jego utrwalenie gwarantuje pokój w Europie, gwarantuje poszanowanie narodów i średnich i małych, gwarantuje bezpieczeństwo, życie i godność narodów.

Ciężko ta godność narodów, godność ludzkości i godność człowieka zbezczeszczona została tutaj w Oświęcimiu. Ażeby na to poważył się *Hitler*, musiał mieć naprzód ujarzmioną Europę, musiał być opętany pewnością zwycięstwa, bo, jak sam mówił, zwycięzców nikt się o racje nie pyta, musiał mieć ideologię wyższości jednego narodu nad innymi i jednej rasy nad drugą.

A jeszcze przedtem musiał w samych Niemczech zniszczyć wszystkie siły postępowe, demokratyczne, wszystko, co szlachetne, ale co okazało się słabe i zdezorganizowane sporami drugorzędnymi, albo co nie w pełni i niekonsekwentnie i nie do końca, wskutek czadu nacjonalistycznego, widziało grozę śmiertelną, jaką niósł Niemcom, a potem światu, *Hitler*.

Dlatego to na początku drogi, która wiodła Trzecią Rzeszę do praktyk ludobójstwa, do tego, co działo się tutaj w Oświęcimiu i w innych miejscach zagłady — na początku musiało nastąpić obezwładnienie słabej zresztą, niedorozwiniętej w poczuciu społeczeństwa demokracji niemieckiej, której naród nie umiał bronić. Musiało nastąpić obezwładnienie klasy robotniczej, rozbicie partii robotniczych, sparaliżowanie postępowej, niestety nielicznej inteligencji, podporządkowanie sobie tzw. katolickiego centrum.

Gdy w pierwszych hitlerowskich obozach koncentracyjnych znaleźli się przywódcy i działacze komunistyczni i socjaldemokratyczni, z którymi potem dzieliliśmy los w kacetach, i ludzie tego pokroju, co szlachetny *Ossietzky*, laureat pokojowej nagrody Nobla, gdy symbol oporu przeciw hitleryzmowi, bohaterski *Thälmann* siedział w Moabicie, a potem w Buchenwaldzie zamordowany u progu klęski *Hitlera*, gdy w zatomizowane przez uwięzienie demokratycznych przywódców społeczeństwo niemieckie można było wstrzykiwać, jak potem cyklon w Oświęcimiu, oszałamiający gaz obłędnego nacjonalizmu i nienawiści, i megalomanii — droga stała się w pełni wolna dla brunatnych batalionów, *„Die Strassen frei den braunen Batallionen"*. Niemcami zawładnęła w pełni banda brunatnych morderców i sięgnęła w dodatku po rząd dusz. Wtedy hitlerowcy mogli z przekonaniem śpiewać *„Heute gehört uns Deutschland, morgen die ganze Welt"*.

Trzeba tu dla pełnej ścisłości, jeśli chodzi o skarbnicę tradycji *Wehrmachtu*, powiedzieć, że *Reichswehra* i wszyscy pruscy arystokratyczni „dżentelmeni" generałowie i zawodowi wojskowi właśnie w *Hitlerze* i hitleryzmie widzieli żywioł polityczny, który pozwoli wskrzesić stare imperialistyczne plany niemieckiego sztabu generalnego.

Kto tam potem trzymał kogo za głowę, to już inna sprawa. Przy czym, jeśli chodzi o mordy masowe, nie było tutaj żadnych rozdźwięków.

Wówczas to Trzecia Rzesza wkraczała na drogę, której etapem było rozpętanie drugiej wojny światowej — skąpanie świata we krwi, bezlitosna okupacja Polski i innych krajów Europy i rozpoczęcie masowych akcji ludobójstwa, wstęp do ujarzmienia świata.

Mówię o tym wszystkim właśnie tutaj — o fragmentach mechanizmu politycznego i psychologicznego dochodzenia do władzy *Hitlera*. Bo jeśli mamy walczyć w interesie ludzkości i wespół z postępowymi Niemcami, aby się to wszystko, co przeżył świat nie powtórzyło, to walczyć trzeba na czas, nie wtedy, kiedy jest już za późno, tak jak to się już raz zdarzyło.

Historia nie powtarza się nigdy dosłownie, ale, niestety, w tym wypadku już dziś obserwujemy nieraz w postaci embrionalnej, nieraz w znacznie poważniejszej, podobne zjawiska, które kiedyś były niedoceniane albo o nieprzewidzianych konsekwencjach.

Na tym polega obowiązek czujności w interesie wszystkich narodów Europy, w interesie narodu niemieckiego, w interesie młodych pokoleń naszych narodów. Trzeba dziś już zaglądać do lokali wyborczych, w których rosną głosy na *NPD*, i do nuklearnych planów rządu bońskiego, i do koszar *Bundeswehry*, co się tam dzieje i co się tam mówi.

Jesteśmy tutaj na największym cmentarzu świata, największym cmentarzu historii. Na cmentarzu, gdzie nie ma grobów, gdzie nie odnajdziesz śladu pojedynczego człowieka. Na cmentarzu czterech milionów, których prochy, zmieszane z sobą, wdeptane zostały w ziemię, by nie pozostało po nich nic. Pomnik stoi u rampy kolejowej, która była ostatnią stacją dla tych czterech milionów. Krańcem bezpowrotnej podróży, gdzie zbiegały się linie wiodące ze wszystkich krajów Europy do tego miejsca, obok obozu ze Ścianą Śmierci, którego brama opatrzona została napisem *„Arbeit macht frei"*, zamiast słów „porzućcie wszelką nadzieję" — *„Lasciate ogni speranza"*. Przez tę rampę przeszły, by już nigdy nie powrócić, cztery miliony ofiar. Trudna do ogarnięcia wyobraźnią liczba, jakby abstrakcja. Ale ta abstrakcja nabiera nagle konkretnych kształtów, gdy wzrok nasz pada na znajdujące się tu dowody rzeczowe: buty i buciki, dokumenty osobiste, okulary, szczoteczki do zębów, zabawki, nade wszystko zabawki dziecięce, i włosy, włosy kobiece — ta część, której nie zdążono wywieźć, aby służyły jako surowiec dla Trzeciej Rzeszy, włosy, które opiewa *Penderecki* w Oratorium poświęconym pamięci zamordowanych w Oświęcimiu, podkładając słowa *Różewicza:*

W wielkich skrzyniach
kłębią się suche włosy
uduszonych
i szary warkoczyk
mysi ogonek ze wstążeczką
za który pociągają w szkole
niegrzeczni chłopcy.

Wszystko to zabezpieczone zostało po wyzwoleniu obozu, by dać świadectwo prawdzie. Brakuje tu, w muzeum, złotych zębów wyrywanych po śmierci zagazowanych i wysyłanych za ścisłym zarachowaniem do skarbca banku Trzeciej Rzeszy. Pozostałe tu rozpaczliwe szczątki ludzkich egzystencji sprawiają, że spoza abstrakcyjnego zestawu liczb widzimy ludzi, mężczyzn, kobiety, dzieci, że uświadamiamy sobie, iż prochy wdeptane w tę ziemię miały kiedyś kształt żywego człowieka, iż owa liczba czterech milionów równa się czterem milionom osobistych tragedii, czterem milionom indywidualnych śmierci. I wtedy pojmujemy cały ogrom dramatu, który się tu rozegrał.

Pomnik Ofiar Oświęcimia w Brzezince.
Fot. *Adam Kaczkowski*

Są na świecie inne masowe cmentarze, choć tak wielkiego nie ma nigdzie. I tamte są to cmentarze czasu wojennego, do których się wraca pamięcią, otacza czcią i troskliwą opieką. Jest cmentarz pod Verdun, gdzie przed pół wiekiem legło 700 tysięcy. Są z tamtego czasu cmentarze nad Sommą, gdzie spoczęło pół miliona zwłok żołnierzy, na pół rozszarpanych przez pociski, na pół utopionych w bagnach. Jest o ćwierć wieku późniejszy cmentarz pod Leningradem, gdzie spoczywają setki tysięcy ofiar oblężenia bohaterskiego miasta. Są inne cmentarze drugiej wojny światowej, rozrzucone na pobojowiskach całej Europy, od Kaukazu i Stalingradu po wybrzeża Atlantyku. Są wśród nich cmentarze kryjące zwłoki polskich żołnierzy, którzy się bili od Narwiku po Tobruk i od Lenino po Berlin. Wielkie masowe cmentarze, które kryją w sobie hekatomby ofiar dwóch wojen światowych, obu zresztą wywołanych przez nienasycony imperializm i militaryzm niemiecki. Każdy z tych cmentarzy wstrząsa ogromem ofiar i wymową śmierci. Ale mimo wszystko inna jest ich wymowa, bo inna to była śmierć. Ci spod Verdun i znad Sommy, i ci spod Leningradu, Moskwy, Stalingradu, Dunkierki, spod Tobruku i Narwiku, Monte Cassino, Lenino i Wału Pomorskiego, ci z plaż Normandii i spod Berlina zginęli śmiercią żołnierską. Z bronią w ręku, w starciu z przeciwnikiem, w ogniu walki.

Ginęli w boju i inna śmierć zaglądała im w oczy. I dlatego tamte cmentarze tak inną mają wymowę, też tragiczną, ale inną od tych w Oświęcimiu, na Majdanku, w Treblince, Sobiborze i w Babim Jarze. Bo tam są cmentarze wojenne, a tu są cmentarze ludobójstwa.

Nie znała tego słowa ludzkość aż do czasu *Hitlera* i Trzeciej Rzeszy. Zrodziło się pod względem prawnym dla zdefiniowania zupełnie nowego zjawiska w dziejach ludzkości: masowej zagłady narodów, grup etnicznych, religijnych, społecznych, masowej eksterminacji ludzi bezbronnych, przywożonych do fabryk śmierci. Tu pękła ogłuszająca sumienie ludzkości bariera ludobójstwa.

Trzecia Rzesza była pierwszym w dziejach państwem, które wydało wojnę kobietom i dzieciom, starcom i chorym, które stworzyło masowe fabryki śmierci. Naukowo zorganizowane zakłady *Massenmordu*, konkurujące między sobą o większą przepustowość, większą wydajność, większą sprawność w mordowaniu ludzi. Sprężysty i z całą systematycznością funkcjonujący aparat mordu, sterowany z centralnych ośrodków dyspozycyjnych Trzeciej Rzeszy, z kancelarii *führera*, z biur *Himmlera*, z głównej kwatery *Wehrmachtu*. Aparat, który wciągnął w swe tryby miliony ludzi aktywnie współdziałających w tej bezprzykładnej zbrodni, Niemców ze wszystkich ogniw wojskowego, cywilnego, partyjnego aparatu Trzeciej Rzeszy, z *SS* i gestapo, z administracji okupacyjnej, z *Wehrmachtu*.

Nikt i nic nie zdoła zdjąć ani pomniejszyć odpowiedzialności, ani zmyć piętna hańby z tych, którzy uczestniczyli w tej orgii zniszczenia i mordu, orgii, której krańcowym prze-

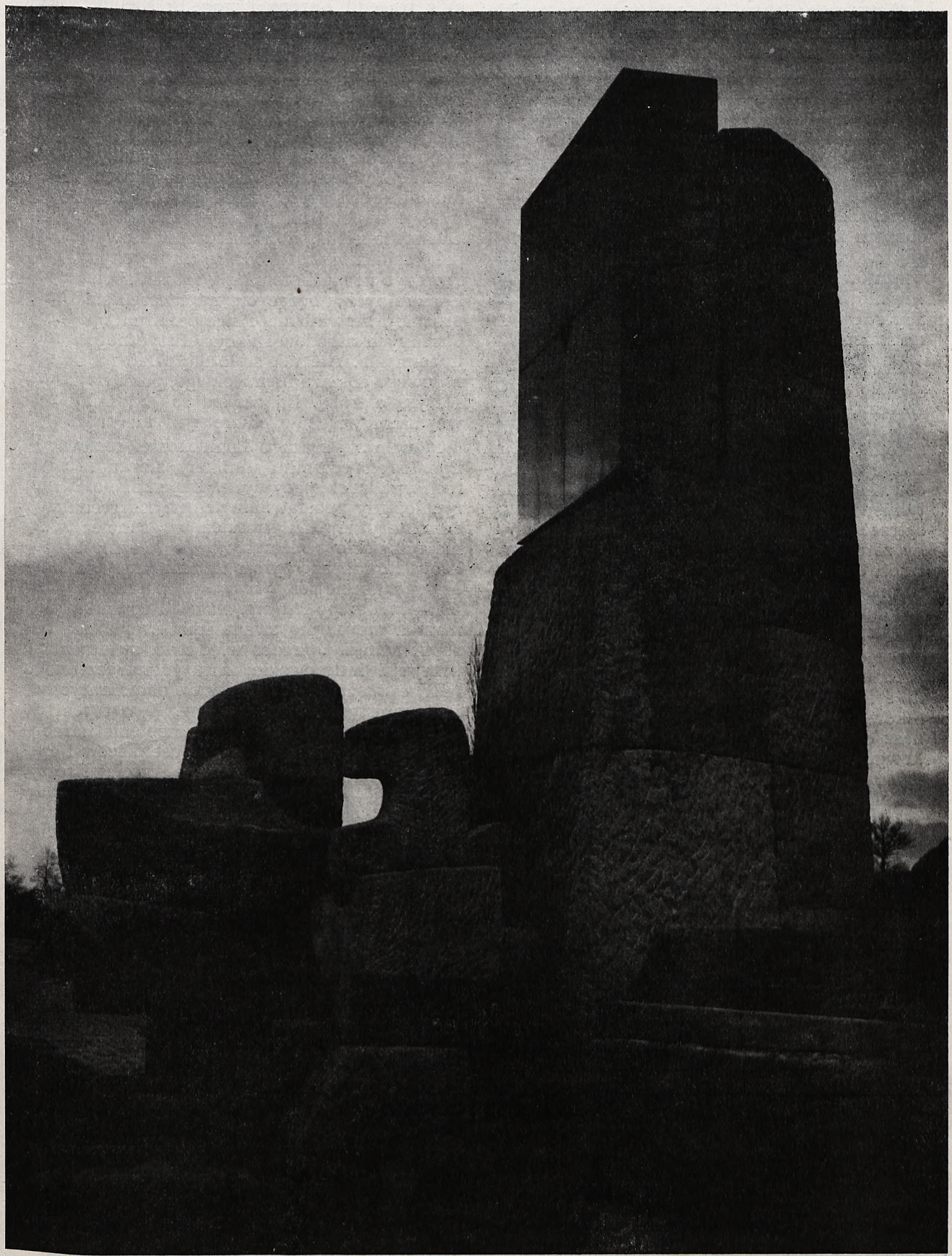

Fragment Pomnika Ofiar Oświęcimia w Brzezince. Fot. *Adam Kaczkowski*

jawem stał się Oświęcim — imię strasznej sławy, miejsce kaźni czterech milionów.

Wstrząsają fakty, że gdy tutaj po niebie oświęcimskim snuły się dymy krematoriów i gdy krematoria nie nadążały, i ziemię oświęcimską rozświetlały podpalone naftą stosy trupów, ofiar metodycznego ludobójstwa, z pięknych gotyckich katedr płynęły bluźniercze modły biskupów niemieckich, nie do Wotana, bożka Germanów, ale do Boga chrześcijańskiego, aby dał zwycięstwo *Hitlerowi*, aby jeszcze krwawiej żarzyły się łuny krematoriow w Europie. Działo się to wtedy, gdy w hitlerowskich obozach koncentracyjnych ginęli polscy księża, gdy w Oświęcimiu, podczas dziesiątkowania więźniów stojących na apelu, za ucieczkę kilku więźniów występował z szeregu ksiądz *Kolbe*, aby swoje życie oddać za innego wyznaczonego na śmierć.

Próbowali hitlerowcy, gdy widmo klęski zaglądało im już w oczy, zatrzeć ślady tych zbrodni, zburzyć krematoria. Tak samo postępowali zresztą w innych obozach. Zacieranie zbrodni stało się w końcowej fazie Trzeciej Rzeszy doniosłym i pilnym zadaniem hitlerowców. Ale nie tylko ich, bo i dziś jest pilnie kontynuowane. Czyni się w NRF duże wysiłki, by zatrzeć ślady tych zbrodni w pamięci ludzkiej, by zetrzeć ślady krwi, które nie dadzą się zatrzeć. Gdyby dziesiątą część tych wysiłków obrócono na ściganie zbrodniarzy wojennych, wciąż jeszcze chodzących tam na wolności, dawno już sprawiedliwości stałoby się zadość.

Ściganie zbrodni wojennych stało się w NRF parodią wymiaru sprawiedliwości mimo wysiłku szeregu uczciwych ludzi, w tej liczbie prawników, prokuratorów. Tym większy szacunek nasz dla tych organizacji robotniczych, związkowych i ich działaczy, którzy nie szczędzą wysiłku, aby w interesie samego narodu niemieckiego ukazać mu chociaż część prawdy o czasach Trzeciej Rzeszy. Niewiele przy tym brakowało, by uznano te wszystkie zbrodnie za przedawnione, zapobiegł temu wybuch oburzenia w opinii światowej. Cały system wychowania młodzieży NRF zmierza niestety do zatarcia w pamięci narodu zbrodni hitlerowskich. Z nielicznymi wyjątkami, tym bardziej zasługującymi na szacunek wielu historyków, NRF stara się zdjąć z Trzeciej Rzeszy i *Hitlera* odium za wywołanie wojny światowej. Już dziś coraz głośniej szerzy się w NRF tezę o rzekomej współodpowiedzialności ofiar agresji za wybuch wojny. Odradza się na nowo zgubna teoria o rzekomym ciosie w plecy, który sprawił jakoby, że nie na polu walki rozgromiono *Wehrmacht*, lecz klęska była skutkiem zdrady. Niezadługo usłyszymy zapewne, jak to było po pierwszej wojnie światowej, że to Niemcy zostały napadnięte i musiały się bronić.

Uparcie wracamy do tych spraw i będziemy do nich wracać. Jesteśmy tu właśnie po to, by przypomnieć — i ten pomnik ma stanowić trwałe i wieczyste przypomnienie tych nieopisanych zbrodni. Albowiem nie zmieniło się tam, gdzie powinno się było zmienić. Tylko na 1/3 obszaru narodowego Niemiec, w Niemieckiej Republice Demokratycznej, wyciągnięto wnioski z tragedii Europy i tragedii Niemiec, jaką był hitleryzm i imperializm.

Tu podjęto trudne i doniosłe dzieło edukacji narodu niemieckiego. Usunięto społeczno-ustrojowe przesłanki tych plag, które ciążyły na nim od stuleci. Wyrzucono ze sceny historyczne klasy społeczne, które były kolebką imperializmu, militaryzmu, faszyzmu. Wydobyto całą prawdę o przeszłości. Nie tajono zbrodni systemu hitlerowskiego, wręcz przeciwnie, wydobyto je w pełni na jaw, by wzbudzić w społeczeństwie NRD, a zwłaszcza w nowych jego pokoleniach wstręt i odrazę do tej ohydy, i by stworzyć nową hierarchię wartości społecznych i moralnych, będących zaprzeczeniem buty pruskiej, szowinizmu i nacjonalizmu, pogardy dla innych narodów i nacjonalistycznego samouwielbienia. Ale tak stało się tylko na 1/3 narodowego obszaru niemieckiego, pomiędzy Odrą i Nysą a Łabą. Na zachód zaś od Łaby rozwój szedł wręcz w odwrotnym kierunku.

Mówiło się zrazu o konieczności reedukacji. Był to od początku ulubiony slogan zachodnich władz okupacyjnych. Zapomniano o nim rychło, gdy podstawiono w miejsce reedukacji remilitaryzację. A przecież w gruncie rzeczy nie tylko szło o reedukację, ile w ogóle o edukację. Bo kiepsko było z tą demokracją w Rzeszy niemieckiej od *Bismarcka*, poprzez *kajzera Wilhelma* aż po *Hitlera*. Nawet Republika Weimarska nie darmo zwana była „republiką bez republikanów". Trzeba więc było, zwłaszcza po przejściu hitlerowskiej zarazy, społeczeństwu NRF edukacji republikańskiej, demokratycznej i humanistycznej od podstaw. A wstępem do tej edukacji musiało być wszczepienie narodowi prawdy, całej prawdy o epoce pieców i czasach pogardy, o hitleryzmie i Trzeciej Rzeszy, o zbrodniach wojennych, bestialstwie wywołanej przez Hitlera wojny. Tylko taka prawda, bezlitosna i pełna, mogła stanowić uzdrawiający szok i skłonić cały naród do przeprowadzenia gruntownego rozrachunku z własną historią i do szukania nowych dróg i nowych rozwiązań. Nic takiego się nie stało i dlatego podnosimy z tego miejsca głos oskarżenia i głos ostrzeżenia. Kierujemy się jednym tylko motywem: interesem narodów Europy, które pragną żyć w pokoju i bezpieczeństwie oraz interesem samego narodu niemieckiego, który dwukrotnie ściągnął na siebie katastrofę klęski w dwóch wojnach światowych.

Nie potępialiśmy nigdy całego narodu niemieckiego, bo obcy nam jest wszelki nacjonalizm. Mamy głęboki szacunek i przyjaźń dla pierwszego państwa niemieckich pracujących, dla NRD. Mamy szacunek do wszystkich Niemców w NRF wyraźnie i konsekwentnie odżegnujących się od *Hitlera*. Doceniamy stronę moralną tego nastawienia. Chcielibyśmy jednak, aby z tego rodziła się też siła polityczna, której nie zmiecie byle podmuch militaryzmu i nacjonalizmu.

A tymczasem rządzące w NRF koła zgodnie

podtrzymują zasadnicze założenia dawnej polityki: trwają przy fikcyjnej tezie o prawie do wyłącznego reprezentowania całych Niemiec. Uważają NRF za przedłużenie dawnej Rzeszy, upierają się przy granicach hitlerowskiej Rzeszy z roku 1937. Można by się zapytać, czy chcą reprezentować Rzeszę z roku 1937 tylko w jej kształcie terytorialnym, czy też w jej kształcie moralnym. Czy także w jej kształcie politycznym? Nie dadzą się bowiem te rzeczy w żaden sposób rozdzielić.

Kto pragnie Rzeszy w granicach z 1937 roku, ten głosi jawny rewizjonizm terytorialny, ten czyha na cudze ziemie. Nad Odrą i Nysą. W Sudetach. W Górnej Adydze. I gdzie indziej. Kto czyha na cudze ziemie, ten pragnie podważyć ład międzynarodowy, ustalony po klęsce *Hitlera*. Kto czyha na ten ład, ten pragnie odwrócić skutki klęski III Rzeszy. Kto zaś pragnie odwrócić skutki klęski III Rzeszy, ten nawołuje do odwetu. Kto zaś nawołuje do odwetu, jawnie zagraża pokojowi i bezpieczeństwu Europy i świata. To jest ciąg logiczny, w którym jedno ogniwo wypływa nieuchronnie z drugiego. Nie pomogą tu próby kazuistycznego przeinaczania słów i pojęć. Ani próby przesłaniania rzeczywistych intencji i celów frazesem o gotowości wyrzeczenia się siły. Kto zabiega usilnie o broń nuklearną, ten nie zamierza wyrzec się siły. A kto moralnym terrorem stara się we własnym społeczeństwie zdusić każdy głos sprzeciwu, każdą próbę szukania nowych rozwiązań poprzez uznanie granic i drugiego państwa niemieckiego, jak to miało miejsce między innymi po wystąpieniach niektórych polityków z opozycyjnej *FDP*, ten daje dowód, że nie myśli o żadnej naprawdę nowej polityce wschodniej, lecz tylko o bardziej perfidnej metodzie realizowania starych celów,

Fragment terenów byłego obozu zagłady Oświęcim-Brzezinka. Fot. *Adam Kaczkowski*

kiedy już zawiodły przestarzałe metody. Nie dajmy się wszakże omamić. Unowocześnianie arsenału nie zwiastuje pokojowych intencji.

Nie tracimy wszakże nadziei, że rozwój sytuacji międzynarodowej mimo wszelkie przeciwdziałające temu wysiłki polityków bońskich zmierza ku odprężeniu i że oddalamy się coraz bardziej od zimnej wojny. W opinii świa-

Obecny widok części byłego obozu w Brzezince.
Fot. *Adam Kaczkowski*

towej coraz silniej szerzy się zrozumienie niebezpieczeństwa płynącego z rewizjonistycznych i odwetowych pretensji NRF, coraz silniejszy niepokój budzi odradzanie się hitlerowskich formacji w rodzaju *NPD*. Rośnie — nawet wśród sojuszników Bonn — obawa wobec jego nuklearnych aspiracji. Jesteśmy tu, by budzić czujność tej opinii, by przypominać i ostrzegać, by uświadomić narodom Europy, że nie wolno poddawać się złudzeniom ani pozwolić się usypiać pozorom. Przemawiam z miejsca uświęconego śmiercią milionów. Z tego miejsca potępiamy zbrodnię największą w dziejach, która mogła dojść do skutku, bo nie na czas dojrzeliśmy w pełni niebezpieczeństwo i grozę śmiertelną, jaką narodom Europy niósł hitleryzm. Z tej trybuny nawołujemy narody Europy, by nie zapomniały i by zachowały czujność. Nie pozwolimy, by tragedia miała się kiedykolwiek powtórzyć, bo w epoce atomowej jest brzemienna groźba zagłady powszechnej. Bądźmy czujni na każdy przejaw odradzania się tej groźby. Ten apel kierujemy także i do narodu niemieckiego, a przede wszystkim tego jego odłamu, który żyje na zachód od Łaby, w Niemieckiej Republice Federalnej.

Od gruntownej zmiany polityki NRF zależy bezpieczeństwo i pokój w Europie. Od poniechania dążeń rewizjonistycznych, od uznania drugiego państwa niemieckiego i od wyrzeczenia się aspiracji nuklearnych przez NRF zawisło prawdziwe odprężenie w Europie. Taka polityka byłaby zapoczątkowaniem prawdziwej normalizacji i wstępem do rzeczywistego pojednania narodu polskiego i wszystkich narodów Europy wschodniej z Niemcami w NRF. To jednak zależy od nich.

My zrobimy wszystko, aby ofiara tych milionów, które oddały życie w drugiej wojnie światowej, nie poszła na marne.

Jesteśmy w Oświęcimiu, w miejscu, które stało się symbolem Europy ujarzmionej przez *Hitlera*, Europy wszystkich umęczonych narodów. Tak tę Europę widział *Hitler*. To był ten „nowy porządek" europejski.

Na gruzach tego hitlerowskiego porządku narody Europy są dziś w stanie przekształcić nasz kontynent w Europę bezpieczeństwa, pokoju i współżycia narodów.

Niech więc stąd — właśnie z Oświęcimia — płynie w świat apel o budowanie takiej właśnie Europy.

Dziś, po upływie 22 lat od klęski Trzeciej Rzeszy, jest to zadanie i realne, i konieczne.

W tej myśli pozdrawiam wszystkich byłych więźniów Oświęcimia, obecnych tutaj na tej uroczystości. I moich rodaków, i obozowych towarzyszy niemieckich, austriackich, rosyjskich, czeskich, francuskich, jugosłowiańskich i wszystkich, którzy tu są z nami, i tych Niemców, i tych przyjezdnych z Niemiec, którzy walczą wraz z nami o pokój i współżycie narodów.

Pozdrawiam rodziny byłych więźniów Oświęcimia i rodziny zamordowanych. Pozdrawiam pielgrzymów przybyłych z całej Europy.

Pozdrawiam przyjaciół radzieckich, tych, którzy wyzwalali oświęcimski obóz, którzy przybyli tu, by wraz z nami brać udział w tej uroczystości.

Pozdrawiam przybyłych tu licznie polskich robotników, chłopów, polską inteligencję, polską młodzież, Was wszystkich, którym dane jest pod przewodem naszej partii budować Polskę coraz piękniejszą i nowocześniejszą.

Pozdrawiam wszystkich ludzi dobrej woli wszystkich narodów, którzy chcą wraz z nami walczyć o to, by sumienia ludzkości już nigdy nie plamiła zbrodnia ludobójstwa, którzy walczą o równość między narodami i współżycie, którzy walczą dziś w dalekiej Azji z imperializmem amerykańskim, dławiącym wolnościowe aspiracje narodów.

Oddajmy hołd wszystkim tutaj zamordowanym, budując wedle swoich sił i umiejętności nowe życie wolnych, współżyjących z sobą narodów, aby zmazać tę hańbę z ludzkości, jaką było to, co działo się w Oświęcimiu. Aby już nigdy więcej! Tylko wtedy będzie to pomnik nie tylko pamięci i ostrzeżenia, i czujności, ale i pojednania ludzi i narodów, idących tą samą drogą do tych samych celów.

Chcę teraz imieniem narodu zamieszkującego tę ziemię, na której był Oświęcim, z upoważnienia Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przekazać bohaterom Oświęcimia, którzy ponieśli tu śmierć, walcząc przeciwko hitlerowskiemu ludobójstwu o wolność i godność człowieka, o pokój i braterstwo narodów, w hołdzie dla ich męczeństwa i heroizmu Order Krzyża Grunwaldu I klasy.

ROMUALD WIESŁAW GUTT

Bielsko-Biała

Próba rozważań na temat etyki lekarzy nazistowskich

„Nienasycona się bowiem staje i bez granic żądza władzy, jeśli zapadnie w duszę, która sobą nie włada"
Andrzej Frycz-Modrzewski

Seneka wskazuje, że „wielka różnica zachodzi, czy ktoś występków popełniać nie chce, czy też nie umie" (*multum interest, utrum peccare aliquis nolit, aut nesciat; Epist.* XC). Cóż powiedzieć, jeżeli ktoś — całkiem przeciwnie — zarówno chce, jak i znakomicie umie? Bo taka była moralna postawa ludzi szkolonych przez III Rzeszę i w tym kierunku ich kształcono. Tyle, że z ust wychowawców nie padło nigdy określenie „występek" w odniesieniu do programu ideologicznego i mitologii, którą się upajali.

Ustrój faszystowski, starający się przez szkolenie militarne i paramilitarne wpoić przekonanie, że rozkaz jest wszystkim, co stwarzało podstawy dla bardzo swoiście pojmowanej deontologii, wiódł przede wszystkim do zabijania indywidualizmu, do niweczenia poczucia odpowiedzialności za własne czyny (8), do maniackiego pojmowania „honoru" grupy, która cokolwiek by reprezentowała, stanowiła człon tzw. Wielkich Niemiec, narodu — w przekonaniu przywódców — wybranego, wyższego. To błędne założenie pojawiało się już niejednokrotnie na przestrzeni dziejów; za każdym razem jego wynikiem była klęska. Zanim jednak do niej dochodziło, działo się tymczasem wiele złego. „Nacjonalizm jest niewątpliwie największym złem naszych czasów" — pisał *Bertrand Russell* (17), wskazując w innym miejscu, że „interesy całego społeczeństwa są rzeczą dostatecznie mglistą, aby ją łatwo można było pogodzić z korzyścią własną" (18).

Natura jest sprawiedliwa: im mniej człowiekowi daje zalet, tym szczodrzej obdarza go zarozumiałością i pychą, pycha zaś, jak definiuje *Spinoza*, to radość pochodząca stąd, że człowiek sądzi o sobie lepiej niż na to zasługuje. Zatem „pyszny lubi obecność pasożytów i pochlebców, nienawidzi zaś szlachetnych" (*Eth.* IV, 57).

Fakt, że wśród skazanych w Norymberdze znalazło się siedmiu profesorów medycyny, że zasiedli tam dyrektorzy klinik i instytutów naukowych, jest przerażający i przy tym bardzo wymowny, niejako symptomatyczny; o obsadzaniu katedr i stanowisk kierowniczych decydowała przecież *NSDAP*. Obawiam się jednak, że *Milčinski* niesłusznie mówi o kryzysie etyki lekarskiej (13). Nie było żadnego kryzysu dlatego, że po prostu nie było etyki.

Władcy reżimu byli pewni siebie i przeżarci pychą. Obsiadły ich natychmiast usłużne tłumy pasożytów typu „Thilo-Mengeloidów", stwarzających warunki do przerabiania głupoty swych władców na pozorną mądrość, pomagających w przetasowywaniu pojęć uczciwość — podłość, sprawiedliwość — gwałt, odwaga — tchórzostwo itp. Entuzjazm dla dyktatury powstaje jedynie w dwóch krańcowo odmiennych naturach — zauważa *A. Grzymała-Siedlecki*. — U tych, którzy by chcieli przewodzić i u jednostek politycznie masochistycznych, z zamiłowania uległych (5). Tych ostatnich jest z reguły więcej w każdym układzie społecznym, gdyż entuzjazm dla dyktatury jest równoznaczny ze zwolnieniem z obowiązku krytycznego myślenia i podejmowania decyzji. Ale nie brak również ludzi żywiących zamiłowania władcze, na każdym dostępnym szczeblu.

Empedokles z Agrygentu wyróżnił się w walkach o wyzwolenie, lecz gdy ofiarowywano mu godność królewską, nie przyjął jej, czując się władcą Nauki i Prawdy. Tebański wódz *Epaminondas* wyrzucił łapówkarza niosącego złoto od wroga, lecz ani *Empedokles*, ani *Epaminondas* nie mieli zbyt wielu naśladowców w historii. Dzieje władzy dyktatorskiej nasuwają na myśl paletę malarza posiłkującego się techniką jednobarwną, dającą tylko różnice odcieni i różną skalę wysycenia barw. *Agamemnon, Aleksander Macedoński, Mariusz, Kaligula* i inni, rysowani w różnych epokach, pokazują różne odcienie barwy brunatnej, barwy doprowadzonej przez *Hitlera* do stężenia stającego się symbolem bezprawia. Zachodzi bowiem olbrzymia różnica między ludźmi, którzy przyjmowali władzę, a tymi, którzy po nią sięgali czy do niej dążyli. Dwie wypowiedzi starożytnych charakteryzują istotę rzeczy: *Dominus eligitur. Quid tua, uter vincat?* — pyta *Seneka*. — *Potest melior vincere, non potest non peior esse, qui vicerit* (*Epist.* XIV). *P. Korneliusz Tacyt*, opisując walkę *Othona* i *Witeliusza*, stwierdza to samo: *Quorum bello id scires, deteriorem fore, qui vicisset* (*Hist.* I 50). Pragnienie władzy nad innymi na ogół stanowi źródło konfliktów, toteż, jak wskazuje *B. Russell*, należałoby ludzi raczej od niego odwodzić (19).

Hitler dążył do władzy i nabrawszy zaufania do swej siły * poważył się na zuchwalstwa ma-

* Ocena XX stulecia dokonana okiem lekarza uzna datę 1 września 1939 roku za ujawnienie choroby, której inkubacja trwała od traktatu wersalskiego. Pierwsze objawy choroby, z dnia 7 marca 1936 roku, jakoś

jące precedensy historyczne natury jakościowej, lecz nigdy ilościowej, bo w tym go na przestrzeni dziejów nikt przewyższyć nie zdołał. Owszem, chociażby w czasie wojny peloponeskiej także „przeważnie górą byli ludzie ograniczeni" i owi także posługiwali się sloganami, a „w zemście nie oglądali się ani na prawo, ani na interes publiczny, lecz kierowali się wyłącznie samowolą" (*Tucyd.* III 82. 83), co jednak w XX stuleciu gdzie indziej od dawna było występkiem, w III Rzeszy stało się obyczajem, wykazując, jak bardzo utopijny był kierunek reprezentowany przez *Kropotkina* (10). Główną winę tego, że przeciętny obywatel może się stać wspólnikiem morderstwa, ponosi zdaniem *Bertranda Russella* wychowanie (17). Niewątpliwie, stanowi ono moment zasadniczy i epizody przedstawione przez *Curzia Malapartego* („Skóra"), *Annę Seghers* („Umarli pozostają młodzi") czy *Hansa Falladę* („Każdy umiera w samotności") dostatecznie przejrzyście ilustrują formy deprawowania młodzieży. Lecz w jaki sposób zdołano oddziałać wychowawczo na docenta anatomii, dra medycyny i filozofii *Johanna Paula Kremera*, który wstąpił do *SS* licząc 52 lata? *Kremer*, spisujący pedantycznie swe wrażenia, po pierwszym udziale w akcji specjalnej orzeka, iż „Piekło" *Dantego* jest komedią w porównaniu z Oświęcimiem, lecz bezpośrednio potem wylicza, co było do zjedzenia w kasynie oficerskim. Co wreszcie wychowało dr *Mengelego*, który dostrzegłszy tłustą plamę na teczce zawierającej protokoły rzekomo naukowych badań, czyni węgierskiemu prosektorowi wymówkę: „Jak może się pan tak obchodzić z teczkami, które zbierałem z taką miłością!" (6, 15). Dwie wyjątkowe postacie? Nie, gdyż wyjątkiem był dr *Hans Münch*, który pomagał więźniom i potajemnie zaopatrywał ich w leki, jedyny spośród oskarżonych uniewinniony przez NTN.

Höss pisząc — po wyroku — do żony wyznaje, że przez długie lata ukrywał przygnębienie i wszystkie swe wątpliwości, lecz „etyka" nazistowska nakazywała mu tłumić wszelkie wewnętrzne opory (6). Podobnie wyglądała „etyka" lekarzy, a gdyby nie klęska stalingradzka, zapewne nie pojawiłyby się żadne w ogóle wątpliwości. Ale jeszcze w roku 1944 oficer *SS* dr *Meyer*, prezes Izby Lekarskiej w Poznaniu, instruuje lekarzy, iż nie należy w ogóle leczyć dzieci polskich, dorosłych zaś wtedy jedynie, gdy wiadomo, że będą mogli stanowić siłę roboczą (6). Sprawozdania o „leczeniu" w obozach koncentracyjnych zgadzają się ściśle z charakterem tych wytycznych (14). Określenie „pustynia lekarska", użyte przez prof. *Pigonia*, pokazuje bardziej precyzyjnie stan rzeczy niż niejeden gruby tom (16).

Prof. *Juliusz Bauer* z Wiednia zwrócił w roku 1935 na łamach prasy lekarskiej uwagę na niebezpieczną epidemię nazizmu (2a). Otrzymał wtedy od wielu uniwersyteckich kolegów z Niemiec potajemnie przekazane gratulacje, żaden jednak z nich nie odważył się wystąpić oficjalnie (2b). Natomiast *Reichsärzteführer Wagner* postarał się, by prof. *Bauera* skreślono z listy członków niemieckich towarzystw naukowych (25).

Prof. *Włodzimierz Mikułowski* sprecyzował zwięźle, że „jaka władza, taka etyka i do takich warunków dostosowuje się mentalność lekarska" (12). Z kolei prof. *Hans Schulten* pisze: „Nie powinno się mówić o jakiejś odrębnej etyce lekarskiej, my bowiem, lekarze, jesteśmy tak samo dobrzy, czy jak bym wolał rzec: tak samo źli, jak wszyscy inni ludzie" (20). Te dwie wypowiedzi wyznaczają granice rozważań na temat moralno-etycznej postawy lekarzy nazistowskich: jeśli byli źli, byli tak samo źli, jak inni; ich mentalność została ukształtowana przez władzę stanowiącą antytezę sprawiedliwości. Niweczenie krytycyzmu i masowe wytwarzanie psychozy lękowej, to dwa momenty natury zasadniczej.

Przeciwnik reżimu, prof. *Gustaw von Bergmann*, wspomina interesujący epizod: przy stole, przed wyjazdem na kongres naukowy do Aten, wpływowy lekarz, członek *NSDAP* rzekł w przystępie szczerości do żony profesora: „Wie pani, abv to czyniło wrażenie (na cudzoziemcach — *R. G.*), chętnie oddelegowujemy męża pani na takie naukowe imprezy. Lecz tu, w Rzeszy, nie powinien się nawet pokazywać..." (3). Dla władców III Rzeszy było rzeczą zrozumiałą, że *Pg. Thilo* czy *Pg. Mengele* absolutnie nie nadają się do reprezentowania nauki niemieckiej na forum zagranicznym. Dr *Goebbels* wiedział dobrze, co ma o kim sądzić.

Uriel Acosta opowiadając o swych losach mówi: „Nie ukamieniowali mnie, bo nie mieli po temu możności" (*tantum non lapidabar, quia facultas deerat*). *Himmler* na brak możności czy sposobności nie mógł narzekać, ale niektórzy ludzie nauki przetrwali tylko dzięki temu, że względy propagandowe stawiano na pierwszym miejscu.

Hitleryzm był systemem, a ludzie trzymający się pewnego systemu dochodzą do tego, że uważają ów system za nietykalny (18), tym łatwiej, im większe płyną z niego korzyści osobiste. Lecz im bardziej wyrobiony intelekt, im silniejsza indywidualność i krytycyzm poszczególnych ludzi, tym trudniejsze przyjęcie systemu i konformistyczne wyrażanie zgody na jego poczynania.

Hitler wiedział, że im większe i im bardziej nieprawdopodobne jakieś kłamstwa sloganowe, tym łatwiej może hipnotyzować masy (2b). Przez kulturę rozumiemy sumę idei, pojęć, nawyków i reakcji uczuciowych o charakterze odruchu warunkowego wspólnych pewnej grupie społecznej (11). Pseudokultura nazistowska miała za fundament przekonanie o wyższości rasowej. *Oswald Spengler* w pół roku po dojściu *Hitlera* do władzy wyraził zapatrywanie, że kto za wiele mówi o rasie, ten sam już nie reprezentuje żadnej (22). Być może, *Spengler* właśnie dopiero w roku 1933 pojął, czym jest

---

zostały przeoczone. Ale mówiąc o drugiej wojnie, należałoby tę właśnie datę przyjąć za jej początek. Gdyby nie remilitaryzacja Nadrenii, prawdopodobnie *Hitler* nie utrzymałby się długo na stanowisku kanclerza Rzeszy.

filozofia wypaczona w fabryce propagandy, gdyż tak *Spengler*, jak *Hitler*, opierali się na światopoglądzie *Nietzschego*, wszelako bohaterski człowiek-ideał *Nietzschego* powinien by łączyć w sobie najlepsze zdrowie i największy geniusz. Taka kombinacja, jak wskazuje *Kretschmer*, nie istnieje. Jest to ideologia bardzo sugestywna, niestety jednak stanowiąca absurd z punktu widzenia biologicznego (9). Cóż jednak mówić o sugestywności mas, kiedy ludzie tego rzędu, co szwajcarski psychiatra *C. G. Jung* także należeli do entuzjastów hitleryzmu. *Jung* uważał w roku 1934 nazizm za zjawisko, „na które cały świat spogląda z podziwem" i zapytywał: „Gdzie podziewały się to niesłychane napięcie i napór, gdy jeszcze nie było narodowego socjalizmu? Spoczywały ukryte w głębi germańskiej duszy..." (24).

Ludzie wychowywani na pożywkach masowych chętnie zapominają o faktach przykrych, jeszcze chętniej o wydarzeniach kompromitujących, jeżeli zaś o nich pamiętają, czynią równocześnie starania, by wydarzenia te nie były przypominane, aby nie rzucały niekorzystnego światła na jednostki, czy grupę organizacyjną, bądź społeczną. Przykładem tego jest osobliwa reakcja dra *A. Brusisa*, który oburzył się na łamach miesięcznika *Ars Medici* (4) na autora artykułu zamieszczonego w tym samym czasopiśmie, a dedykowanego pamięci *Tadeusza Boya-Żeleńskiego* i pozostałych uczonych bestialsko zamordowanych we Lwowie w nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku (7a). Dr *Brusis*, dotknięty wzmianką, iż mordu dokonał batalion *Nachtigall*, argumentuje, że jest to rzeczą niemożliwą, gdyż *Nachtigall* bynajmniej nie należał do *SS*, lecz do *Wehrmachtu*, poza tym mord miał być dokonany „nie w nocy z 3 na 4 lipca, lecz o tydzień później" (!), co w mentalności p. *Brusisa* odbiera mu charakter przestępstwa (4). Taka „logika" szokuje, podobnie jak usiłowanie zamazania w pamięci bestialskiej, starannie ukartowanej zbrodni (7b). Wiemy dobrze o tym, że mordu dokonano 4 lipca 1941 roku nad ranem (1). Fałszywie pojmowany „honor grupy" pobudza do wściekłości członka byłej Trzeciej Rzeszy w ćwierć wieku po dokonaniu kompromitującej zbrodni i stanowi dowód, jak potężny może być duch korporacyjny w państwie nastawiającym się na odwet od chwili podpisania traktatu wersalskiego.

Dalecy od wszelkich uogólnień, stwierdzić musimy, że psychoza masowa może się szerzyć tylko tam, gdzie panuje namiastkowość nauki, gdzie dominuje wychowanie dopuszczające tylko taki zakres wiadomości, jaki władcy uznali za wygodny i stosowny do psychologicznego deprawowania umysłów. Jednostki o umysłowości krytycznej zmuszono w III Rzeszy do milczenia. Nie brak Niemców, którzy poczuwają się do głębokiej odpowiedzialności za hitlerowskie wyczyny, ale nie brak równocześnie i tęsknoty wielu za „dobrymi czasami narodu panów".

Błędem jest posiłkowanie się tymi metodami, które właśnie rażą nas u przeciwnika. Toteż uogólnianie mające utożsamiać każdego Niemca z neohitlerowcem należy potępić jako formę bezmyślnego szowinizmu. Nie brakło bowiem sympatyków nazizmu i kolaborantów Polaków, Czechów, Francuzów, Norwegów, cechujących się nadgorliwością neofitów. Nie narodowość ma stanowić kryterium, lecz indywidualne cechy ludzkie.

Ci lekarze III Rzeszy, którzy nie godzili się z hasłami reżimu, na swój sposób pozostali wierni przysiędze Hipokratesa, ale większość spośród nich ograniczała się do zajmowania postawy biernej. Nieliczni jedynie pomagali ludziom ujarzmionym.

Tu jednak była mowa o pseudoetyce ludzi reżimu.

Ponieważ profilaktyka jest zawsze bardziej cenna od terapii, należałoby pomyśleć o niej także i w odniesieniu do tych spraw. Śmiechy młodych ludzi, rozlegające się w chwilach najmniej po temu stosownych w czasie wyświetlania filmów o tematyce martyrologicznej, każą myśleć o nieudolności reżysera, niemniej jednak ich podłoże jest inne: duży odsetek młodzieży cechuje zarówno niewiara w fakty z obłędnych lat 1939—1945, jak i stępienie wszelkiej uczuciowości, za co w dużym stopniu winę ponosi gloryfikowanie sportu w rodzaju boksu czy tematyka wielu filmów pokazywanych w telewizji. Trzeba uczyć młodych ludzi, że podstawą współżycia społecznego powinna być pomoc wzajemna (10), że wszelkie okrucieństwa i gwałty są wyrazem zwyrodnienia. Trzeba wreszcie wpajać przekonanie, że kara nigdy nie może być utożsamiana z zemstą. *Spinoza* mówi, że „kto wyobraża sobie, że rzecz przez niego znienawidzona uległa zniszczeniu, ten będzie się radować" (*Eth.* III 20). Jako naród mamy wszyscy podstawy po temu, by radować się z upadku III Rzeszy, ale powinna to być radość podobna do tej, jaką odczuwa chirurg po dokonaniu amputacji zgangrenowanego członka, zagrażającego całemu ustrojowi. Doba staje się coraz krótsza, toteż może w nauce historii należałoby wziąć pod rozwagę, że głęboka analiza faktów i nauczanie historii obyczajowości ludzkiej ma bezspornie większą wartość niż znajomość daty bitwy pod Kannami, wystawienia przywileju *nihil novi*, czy sukcesji tronów. Przykłady zwyrodnienia obyczajowości winny uczyć i jednocześnie ostrzegać.

PIŚMIENNICTWO

1. *Albert Z.*: Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 r. Przegl. Lek. 1964, 1, 52. — 2. *Bauer J.*: a) Schweiz. med. Wochenschr. 1935, 65, 633, cyt. wg poz. 2b; b) Irrwege der menschlichen Gesellschaft. Lüdin 1959. — 3. *Bergmann G. v.*: Rückschau auf mein Leben. München 1954. — 4. *Brusis A.*: Internationaler Meinungsaustausch — Ad Fussnote zum Artikel von R. W. Gutt Nr 10, 1966 der A. M. p. 685. Ars Medici 1967, 57, 1, 44. — 5. *Grzymała Siedlecki A.*: Sto jedenaście dni letargu. Kraków 1965. — 6. *Gumowski J., Kułakowski T.*: Zbrodniarze hitlerowscy przed NTN. Wyd. 3, Warszawa 1967. — 7. *Gutt R. W.*: a) Die ärztliche Bildung und die Bedeutung der paramedizinischen Lektüre. Ars Medici 1966, 56, 10, 685—696. b) Przestępcy. Służba Zdrowia 1967, 27, 6. — 8. *Kępiński A.*: a) „Anus mundi". Przegl. Lek. 1965, 1, 150; b) Refleksje oświęcimskie: psychopatologia władzy. Przegl.

Lek. 1967, 1, 52. — 9. *Kretschmer E.*: Geniale Menschen. V. A., Berlin-Göttingen-Heidelberg 1958. — 10. *Kropotkin P.*: Etyka. Łódź 1949.

11. *Linton R.*: Culture and mental disorders. Springfield, Ill. 1956. — 12. *Mikułowski W.*: O wpływie poglądów etycznych i społecznych na medycynę w różnych okresach historii. XVIII Międzynarodowy Kongres Historii Medycyny. Warszawa, 18. IX. 1962. — 13. *Milčinski J.*: Kryzys etyki lekarskiej. Przegl. Lek. 1967, 1, 30. — 14. *Mołdawa M.*: Gross-Rosen. Warszawa 1967. — 15. *Nyiszli M.*: Pracownia doktora Mengele. Warszawa 1966. — 16. *Pigoń S.*: Wspominki z obozu w Sachsenhausen. Warszawa 1966. — 17. *Russell B.*: Wychowanie a ustrój społeczny. Warszawa 1933. — 18. *Russell B.*: Drogi do wolności. Warszawa 1935. — 19. *Russell B.*: Zarys filozofii. Warszawa 1939. — 20. *Schulten H.*: Der Arzt. III. A. Stuttgart 1966.

21. *Seneca L. A.*: Listy moralne do Lucyliusza. Warszawa 1961. — 22. *Spengler O.*: Jahre der Entscheidung. I. Teil, München 1933. — 23. *Spinoza*: Dzieła. Tom I. Warszawa 1914. — 24. *Strooman G.*: Aus meinem roten Notizbuch. Frankfurt am Main 1960. — 25. *Wagner*: Klin. Wochenschr. 1935, 36, 1304 (cyt. wg 2b).

ANTONI KĘPIŃSKI Kraków

Refleksje oświęcimskie: rampa Psychopatologia decyzji

Jednym z obozowych obrazów, które obok kominów krematoryjnych i stosów nagich, wyniszczonych ciał utkwią na długi czas w pamięci ludzkości, jest scena selekcji na rampie. Tłum kobiet, mężczyzn, starców, dzieci, bogatych i biednych, pięknych i brzydkich defilował przed lekarzem *SS*, stojącym w postawie władcy i sędziego. Nieznaczny ruch ręki tego człowieka decydował, czy stojący przed nim drugi człowiek pójdzie za chwilę do gazu, czy też dana mu będzie możliwość przeżycia choćby kilku dni lub miesięcy. Było w tej scenie coś z sądu ostatecznego; ruch ręki kierował do ognia lub dawał sposobność ocalenia. Ci, co czekali na wyrok, zazwyczaj nie wiedzieli, co ich czeka. Wiedzieli tylko, że ruch ręki jest ważnym znakiem w ich życiu, coś oznacza, ale co, pozostało dla nich nieraz tajemnicą aż do chwili, gdy w otworze sufitu rzekomej łaźni ukazała się głowa w masce gazowej. Gdy więźniowie szli do selekcji i wiedzieli, że idą do gazu, ostatkiem sił starali się wyprostować, maszerować sprężystym krokiem, by zrobić na lekarzu *SS* dobre wrażenie i znaleźć się po jego prawicy.

Jedną z paradoksalnych cech życia obozowego było, jak się zdaje, to, że przy swej przygniatającej szarości, prawdziwej *„Nacht und Nebel"*, miało ono także niesłychaną ostrość. Zjawiska w normalnym życiu dyskretne, objawiające się w rozmaitych subtelnych odcieniach i dlatego niekiedy niedostrzegalne, tutaj występowały dramatycznie, w proporcjach niezwykłych, budząc w obserwatorze przerażenie i jednocześnie podziw dla ludzkiej natury. Dlatego analiza życia obozowego może pomóc w zrozumieniu wielu zjawisk życia ludzkiego, które normalnie wymykają się spod obserwacji z powodu swej dyskretności i wieloznaczności. Można by się tu dopatrywać pewnych analogii z psychiatrią, której teren obserwacji obejmuje także zjawiska życia ludzkiego w wyolbrzymionych proporcjach, dzięki czemu są łatwiej spostrzegalne. Niezwykłą ostrością przeżyć obozowych należy też tłumaczyć fakt ich głębokiego wrycia się w pamięć. Wielu byłych więźniów do tej pory ma sny obozowe, a niektóre obrazy życia obozowego często i łatwo władają ich wyobraźnią.

Tak zwykły w codziennym życiu życzliwy gest, przyjazne słowo, serdeczny uśmiech mogły w obozie komuś uratować życie, przywrócić mu wiarę w siebie. Piszą o tym między innymi dr *Jagielski* oraz *A. Piątkowska* w niniejszym zeszycie. Tak częste w życiu każdego stany rezygnacji i tęsknoty za końcem codziennej udręki, które mijają jak pochmurne dni bez śladu, w obozie nierzadko kończyły się śmiercią. Kto nie chciał żyć, miał już wszystkiego dość, niejednokrotnie nie budził się następnego ranka. Związki przyjaźni w obozie były tak silne, że przetrwały próbę czasu i wyparły nierzadko wszelkie inne więzi uczuciowe, wcześniejsze i późniejsze. Dla tych, co przeszli obóz, towarzysze niedoli pozostaną na zawsze najbliższymi i jedynymi ludźmi, umiejącymi ich zrozumieć. Cechy dobre i złe ludzkiej natury, które u każdego w normalnym życiu mieszczą się razem, tworząc skomplikowany obraz jego charakteru, w obozie rozrastały się do wymiarów bohaterstwa, świętości i męczeństwa lub potwornej brutalności, egoizmu, okrucieństwa i zwyrodniałego cynizmu. Przykładów takich można by cytować wiele. Życie na krawędzi śmierci, gdzie jeden fałszywy krok, mylna decyzja lub po prostu przypadek mogły skończyć się unicestwieniem więźnia lub pchnąć go na drogę brutalnej przemocy, na której stopniowo tracił swe człowieczeństwo, było prawdopodobnie główną przyczyną zaostrzenia cech i praw ludzkich.

Takiemu zaostrzeniu uległ też w obozie problem decyzji. Sytuacja na rampie obejmowała trzy warianty ludzkiej decyzji: tego, co decyduje o losie drugiego człowieka, tego, co wie, co go czeka i postanawia wyjść z próby zwycięsko oraz tego, co nie wiedział, co mu los gotuje i jak mu wyjść naprzeciw, który w swych wątpliwościach, lęku i niepewności podejmował decyzje przypadkowe i nierzadko bezsensowne.

Te trzy warianty spotyka się także najczęściej w życiu codziennym.

Najłatwiej wyobrazić sobie przeżycia tych, którzy ostateczny wyrok ferowali. Może chwilami czuli się oni w roli Boga na sądzie ostatecznym, ale raczej byli tym wszystkim znużeni i znudzeni. Wierzyli, że w ten sposób spełniają swój obowiązek oczyszczania rasy, spieszyli się, bo myślami byli już gdzie indziej, po ciężkim obowiązku czekała ich zwykle libacja, alkohol spłukiwał ślady wyrzutów sumienia. Decydujący o życiu ruch ręki był raczej kwestią przypadku niż przemyślenia; co dziesiątemu czy co dwudziestemu można było darować życie.

W normalnym życiu społecznym trudno uniknąć sytuacji, w których musi się o losie drugiego człowieka decydować lub w których własny los od cudzej decyzji jest zależny. Zakres władzy i stopień hierarchii społecznej są na ogół proporcjonalne do wagi decyzji. Decyzja jest tym ważniejsza, im więcej osób dotyczy i im większy wpływ na ich los wywiera. Każda decyzja jednak, gdy dotyczy drugiego człowieka, jest obarczona ciężarem dużej odpowiedzialności. Można nawet postawić pytanie, w jakim stopniu ma się prawo brać tę odpowiedzialność na siebie.

Ci, którzy na rampie decydowali o życiu i śmierci tysięcy ludzi, z wszelkim prawdopodobieństwem poczucia odpowiedzialności za ich los nie mieli lub mieli je w sensie negatywnym jako poczucie odpowiedzialności za to, by sprawnie zlikwidować tych, którzy w ich pojęciu byli zakałą ludzkości. Trzeba chyba przyjąć, że cierpieli oni na patologiczny brak wyobraźni. Inaczej ruch ręki nie przychodziłby im z taką łatwością. Działali na zasadzie automatu: byle więcej, byle szybciej.

Każdemu zdarza się decydować o losie drugiego człowieka. Decyzje te nie należą do łatwych. I dlatego w takich sytuacjach dużą pomocą są różnego rodzaju normy, z góry określające, jaką decyzję wydać w danych warunkach. Takimi normami dla sędziego są przepisy prawne, dla lekarza wiadomości z zakresu diagnostyki i prognozy, dla nauczyciela zakres wymagań egzaminacyjnych. Im decyzja ma być bardziej bezstronna, tym silniej trzeba oprzeć się na normach, a wyłączyć momenty natury subiektywnej, zwłaszcza emocjonalnej. Tym samym decyzja przestaje być własną, a staje się decyzją normatywną, tzn. jakikolwiek inny człowiek, opierający się na tych samych normach, wydawałby decyzję identyczną. W tym sensie sprawiedliwość jest ślepa. Człowiek idealnie sprawiedliwy nie patrzy na człowieka, o którym decyduje, swoimi oczyma, ale z punktu widzenia norm, których jest przedstawicielem. Idąc tokiem tego rozumowania można by dojść do absurdalnego wniosku, że w sytuacji na rampie człowiekiem „idealnie sprawiedliwym" był lekarz *SS*, który ślepo trzymał się norm zleconych mu przez przełożonych: najsilniejsi do obozu, wszyscy inni do gazu; ze swej decyzji wyłączał on wszelkie momenty subiektywne, zwłaszcza emocjonalne i działał jak automat. Otóż absurdalność takiego wniosku zdaje się tkwić w tym, że człowiek normalnie nie jest zdolny do decyzji absolutnie sprawiedliwych i że nie może zasłonić sobie oczu jak przysłowiowa Temida. Decydując o losie drugiego człowieka nie może on tylko trzymać się norm, ale też musi go widzieć, wczuć się w niego, wyobrazić sobie jego sytuację przeszłą, teraźniejszą i przyszłą itd. Wszystkie czynności psychiczne związane z taką decyzją odbywają się kosztem dużego zaangażowania uczuciowego. Wie o tym dobrze każdy nauczyciel, lekarz i sędzia, a więc ludzie, których zawód w dużej mierze polega na decydowaniu o cudzym losie. Nigdy też najlepszy nawet mózg elektronowy nie zastąpi ich w pracy.

Przykład lekarza *SS* przy selekcji na zasadzie kontrastu uzmysławia nam znaczenie czynnika emocjonalnego w powstawaniu decyzji zwłaszcza tych, które odnoszą się do innych ludzi. Najważniejszym otoczeniem człowieka są inni ludzie i dlatego decyzje ich dotyczące są najważniejsze i najbardziej uczuciowo angażujące. Podstawową decyzją emocjonalną w stosunku do drugiego człowieka jest decyzja zbliżenia się do niego lub oddalenia. Pomijając różne odcienie uczuciowe, jakie w tych dwóch kierunkach się mieszczą, można określić je jako postawę sympatii i antypatii lub całkowitej obojętności. Dla lekarza *SS* Żydzi, których selekcjonował, byli antypatyczni lub w najlepszym razie całkowicie obojętni, w tym duchu bowiem został wychowany, te idee mu wszczepiono. Nie widział on w nich ludzi, nie interesowali go, chyba jako obiekt badań rzekomo naukowych lub grabieży; na pewno nie zaświtała mu w głowie myśl, by do nich się zbliżyć, zamienić kilka słów, dowiedzieć się o ich przeżyciach. Fakt oddalenia emocjonalnego jest istotny w każdej propagandzie wojennej; do minimum redukuje się kontakty obywateli z wrogiem, starając się przedstawić jego obraz w najgorszych kolorach. Również w najbliższych stosunkach uczuciowych, gdy dwie osoby dotychczas ze sobą związane zaczynają się od siebie oddalać, tracą wspólny język, przestają się rozumieć i sobą interesować, oznacza to z reguły rozbicie związku uczuciowego.

Lekarze-więźniowie musieli też niejednokrotnie decydować o życiu i śmierci swoich podopiecznych. Na pewno decyzje te były dla nich bardzo trudne. Nie mogli ich jednak uniknąć; tylko dla niewielu wystarczało lekarstw, które mogły uratować życie, nie wszystkich można było uratować od selekcji itd. Trzeba było wybierać, kogo skazać na śmierć, a komu dać możliwość życia. Można by znów wysnuć absurdalną analogię, że decydowali oni podobnie jak lekarze *SS*. Absurdalność takiego wniosku polega na nieuwzględnianiu różnicy postawy emocjonalnej. Lekarze-więźniowie chcieli za wszelką cenę pomóc swym chorym, nawet tym, którym pomóc nie mogli i wbrew swej woli musieli skazać ich na śmierć. Dla lekarzy *SS* chorzy byli elementem obcym i obojętnym, przeznaczonym szybciej lub później do likwidacji.

Coraz szybsza przemiana środowiska naturalnego w technice, jakiej jesteśmy świadkami w naszym stuleciu, sprzyja technicznemu

spojrzeniu na drugiego człowieka, tzn. że coraz słabiej widzi się w nim cechy ludzkie, a coraz wyraźniej atrybuty związane ze sprawnym funkcjonowaniem maszyny techniczno-społecznej. Spojrzenie takie jest może jednym z największych niebezpieczeństw współczesnej cywilizacji. Przykład lekarza *SS* na rampie, który jest właśnie takiego spojrzenia skrajną realizacją, powinien być ostrzeżeniem.

Drugi wariant reprezentują ci stosunkowo nieliczni więźniowie, którzy zdawali sobie sprawę z tego, co ruch ręki lekarza *SS* oznacza. Wielu z nich było już w takim stanie prostracji, że przyjmowali swój los obojętnie, nie byli już w stanie podjąć żadnej decyzji, a tym bardziej zdobyć się na wysiłek, by będąc u kresu sił, w stanie muzułmaństwa, przybrać postawę człowieka zdrowego i silnego. Byli jednak tacy, u których decyzja przetrwania przemogła wyniszczenie, chorobę, osłabienie i towarzyszący im stan apatii. Potrafili oni zmobilizować się i z niesłychanym wysiłkiem woli wyprężyć swe udręczone ciało i przemaszerować sprężystym krokiem przed lekarzem *SS*. Nawet dzieci, przechodząc pod okiem esesowców, wspinały się na palcach, by dotknąć główką poprzeczki, której poziom wyznaczał granicę życia i śmierci. Nie zawsze zresztą ten olbrzymi wysiłek na coś się przydawał, od przypadku bowiem i humoru „sędziego" w dużej mierze zależało, czy więzień szedł do gazu, czy dawało się mu jeszcze możliwość przeżycia. W każdym razie przyjęli oni warunki egzaminu; starali się być takimi, jakimi chcieli widzieć ich oprawcy, tj. zdatnymi jeszcze do pracy numerami. Reżim obozu wymagał bowiem, aby, nim przyjdzie całkowite wyniszczenie i śmierć, być silnym i zdolnym do pracy. Numer musiał do końca funkcjonować sprawnie; niemieckie poczucie porządku i oszczędności nie zgadzało się z pozostawianiem przy życiu numerów niezdatnych już do pracy dla dobra III Rzeszy.

Akceptacja modelu zachowania się, jaki był ustalony dla więźniów przez twórców obozów koncentracyjnych, była pierwszą koniecznością życia obozowego. „Ceremoniał przyjęcia" zmierzał do szybkiego zlikwidowania dotychczasowego modelu życia i jak najszybszego wdrożenia w model obozowy. „Ceremoniał przyjęcia" nie jest specjalnym wymysłem organizatorów życia obozowego. Istnieje on — oczywiście w nie tak drastycznej postaci — w różnych instytucjach społecznych, zwłaszcza tam, gdzie trzeba szybko nowych członków danej instytucji przyzwyczaić do obowiązujących w niej norm. W tym celu konieczne jest osłabienie

Ryc. 1. Rampa kolejowa wewnątrz obozu w Brzezince. Ludzie wysiadający z pociągu towarowego; *SS* później dokonywało na nich selekcji bądź też cały transport pędzono do komór gazowych. W głębi widoczne (z lewej) krematorium II i (z prawej) krematorium III. — Ta i następne cztery reprodukcje pochodzą z cyklu zdjęć „Selekcja na rampie obozu w Brzezince". Serię tę, liczącą 205 zdjęć, wykonał *SS-Hauptscharführer Walter*, szef *Erkennungsdienst* (służba rozpoznawcza) obozu oświęcimskiego w roku 1944 na rampie kolejowej wewnątrz obozu w Brzezince. Fotokopie, otrzymane z archiwum w Oświęcimiu, reprodukujemy za zgodą Państwowego Muzeum w Oświęcimiu

dotychczasowych modeli zachowania się, szczególnie tych, które nie zgadzają się z wzorami obowiązującymi w instytucji, przy jednoczesnym narzucaniu wzorów w niej obowiązujących. Typowym przykładem jest tu okres rekrucki w wojsku. Nie tylko jednak w wojsku musi się przejść przez trudny nieraz okres próby. To samo dzieje się w nowym miejscu pracy, w nowym środowisku szkolnym czy pozaszkolnym itp. Zawsze trzeba płacić „frycowe", wchodząc w nową grupę społeczną. Okres próby jest tym trudniejszy, im grupa ma bardziej rygorystyczne normy zachowania się. Z czasem nowe formy zachowania się ulegają automatyzacji, wykonuje się je bez zastanowienia, tzn. nie trzeba podejmować decyzji, czy wykonać je, czy nie i w jaki sposób je wykonać. Nim jednak do tego dojdzie, trzeba nowych form nieraz długo się uczyć. Rekrut uczy się salutować; nie od razu mu to zręcznie wychodzi, później wszakże wykonuje tę czynność automatycznie, bez większego zastanowienia i z minimalnym wysiłkiem woli.

Przyjęcie nowych norm zachowania nie zawsze jest równoznaczne z ich wewnętrzną akceptacją. Żołnierz może zgrabnie salutować przed swoim przełożonym, ale nie zawsze musi wobec niego żywić szacunek, którego przecież żołnierskie pozdrowienie ma być wyrazem. Pojęciem konformizmu określa się przyjmowanie pewnych norm bez ich wewnętrznej akceptacji. Mimo że coś się wykonuje wbrew swemu przekonaniu, że decyzja nie jest własna, ale cudza, z zewnątrz narzucona, czynność daną wykonuje się z czasem równie sprawnie, jak tę, którą z upodobaniem się wybrało. Bunt przeciw narzuconej formie nie może być zbyt silny, z czasem musi on stępieć, inaczej bowiem paraliżowałby on nauczenie się i wykonywanie nowej formy zachowania się. W hipnozie zakres cudzej woli jest większy niż własnej. Pod wpływem sugestii hipnotyzera hipnotyzowany może wykonywać czynności, których by nie potrafił sam wykonać przy największym nawet wysiłku własnej woli, np. zwiększyć napięcie mięśniowe do całkowitego usztywnienia ciała, kierować układem wegetatywnym tak, by zwalniać lub przyspieszać dowolnie akcję serca, kurczyć naczynia krwionośne itd., wpływać na percepcję: nie czuć bólu, nie słyszeć lub nie widzieć lub widzieć i słyszeć to, czego chce hipnotyzer, aktywować zapisy pamięciowe, których normalnie nie można wywołać, jak np. przeżyć z wczesnego dzieciństwa itd. Niemniej jednak hipnotyzer nie może narzucić tego, co jest całkowicie sprzeczne z wolą hipnotyzowanego, np. by kogoś lub siebie zabić.

W obozie większość więźniów nie akceptowała narzuconych im norm życia. Wyjątek stanowili ci, którzy chcieli się upodobnić do władców obozowych, przyjmowali ich strukturę myślenia i jak wszyscy neofici byli nieraz od nich gorliwsi. Początkowo więźniowie byli całkowicie ogłuszeni obozowym modelem życia; pomagał tu wspomniany „ceremoniał przyjęcia". W tym stanie ogłuszenia łatwiej było zachowywać się jak automat, robić to, co nakazywał reżim obozowy, zrzucić przyzwyczajenia dotychczasowego życia. Z czasem tępieli na widoki, które by dawniej wywoływały gwałtowny odruch zgrozy lub obrzydzenia; tępieli też na własny ból i cierpienia. Wiele czynności życia obozowego ulegało automatyzacji; automatycznie prężyli się i ściągali czapki na widok esesmanów, automatycznie stawali na apelu, szli do pracy itd. Automatyzacja była koniecznością. Nie można było nad nakazaną czynnością zastanawiać się: zrobić czy nie zrobić i jak zrobić; trzeba ją było jak najszybciej i jak najsprawniej wykonać, gdyż niewykonanie groziło biciem, a nawet śmiercią.

Sytuacja na rampie była dla więźnia egzaminem, czy jeszcze do pełnienia funkcji więźnia obozu koncentracyjnego jest zdolny, czy też zdatny jest tylko do gazu lub zaszpilowania. Dlatego maksymalnym wysiłkiem woli starał się on w tym egzaminie wypaść dobrze. W każdej instytucji istnieją sytuacje egzaminacyjne, w których sprawdza się zdatność jej członków. Niezdatni zostają wyłączeni. W obozie wyłączenie oznaczało śmierć.

Śmierć, która była codzienną rzeczywistością obozu koncentracyjnego, stwarzała konieczność szybkich decyzji; nie było czasu na zastanawianie się, jaką drogę wybrać, na medytowanie, co lepsze, a co gorsze. Trzeba było działać szybko, gdyż wahanie często kończyło się śmiercią. Nie można było się mylić; fałszywa decyzja też mogła oznaczać śmierć. W podobnej sytuacji znajduje się żołnierz w czasie walki; czas jest zbyt krótki, by zastanawiać się i wahać; większość decyzji wykonuje się automatycznie, bez pełnego udziału świadomości.

Groźba śmierci zmienia perspektywę czasową życia ludzkiego. Normalnie czas przyszły rozciąga się do nie oznaczonego końca. Nawet u ludzi starych czy ciężko chorych, których kres życia jest bliski, fakt ten nie dociera jakby do ich świadomości; mają przed sobą wolną przestrzeń czasu przyszłego. Ta wolna przestrzeń pozwala na swobodę poruszania się; można wybierać te czy inne formy aktywności, można się mylić, bo pomyłka jest jeszcze do naprawienia, jest czas na wahanie i podjęcie świadomej decyzji.

W sytuacji zagrożenia perspektywa czasowa zmienia się. Czas przyszły skraca się i dzięki temu nabiera niezwykłej wagi i intensywności. Bliskość śmierci sprawia, że decyzje stają się ważne; błędne mogą oznaczać śmierć, właściwe — zwycięstwo nad nią. Wszystkie inne, które nie odnoszą się bezpośrednio do walki o życie, stają się zbyteczne. Występuje redukcja form zachowania się do zasadniczych, związanych z walką o życie. To wszystko, co stanowiło dotychczasową treść życia i determinowało dotychczasowe akty woli, zostaje wyłączone jako nieważne. Nikt w takich sytuacjach nie zastanawia się nad sprawami, które w życiu codziennym przyprawiały go nieraz o ból głowy. Trudności codziennych decyzji wobec wagi decyzji w sytuacji zagrożenia wydają się śmieszne. Jednocześnie decyzje muszą być bardzo szybkie, nie ma czasu na wahanie się

Ryc. 2. Transport z ludźmi na rampie wewnątrz obozu w Brzezince. Pierwszy z prawej esesman *Stefan Baretzki* (sądzony we Frankfurcie nad Menem), członek załogi *SS* obozu oświęcimskiego

i rozważanie *pro* i *contra* tej czy innej drogi. Decyzje są często podejmowane impulsywnie. Dopiero po przejściu sytuacji zagrożenia przychodzi nieraz refleksja, dlaczego właśnie w ten, a nie inny sposób się postąpiło. W sytuacji normalnej nie potrafiłoby się tak szybko zdecydować i wybrać tak odpowiedniej drogi zachowania (złego wyboru nie pamięta się, bo kończy się on śmiercią).

Mimo że zachowanie się w sytuacjach zagrożenia zwykle nie jest wynikiem w pełni świadomego aktu woli, lecz raczej zbliżone do działania odruchowego i automatycznego, to jednak czujemy się za nie odpowiedzialni i otoczenie też tak je ocenia; co więcej, często te właśnie sytuacje są uważane za probierz ludzkiej wartości.

Czy stanowisko takie jest słuszne? Wewnętrzne przekonanie mówi o tym, że sytuacja graniczna jest najwyższym sprawdzianem wartości człowieka, natomiast logiczne rozumowanie sprzeciwia się takiemu ujmowaniu sprawy. Jak bowiem decyzją o największym walorze, ogniskującą wartość człowieka, ma być decyzja, w której nie ma czasu na wahanie, na rozważanie *pro* i *contra*, a która powstaje nieraz w momentalnym olśnieniu, że „właśnie tak trzeba", lub całkiem odruchowo. Czy ma się zatem prawo oceniać decyzje podjęte w sytuacji granicznej, gdy pozbawione są istotnego atrybutu świadomej decyzji — wahania się między przeciwstawnymi formami aktywności i rozważnego wyboru właściwej.

Sprzeczność ta między wewnętrznym przekonaniem a logiką rozumowania wynika z założenia, że decyzja jest równoznaczna z aktem woli, a wola jest najwyższym przejawem życia psychicznego, ona steruje zachowaniem się człowieka. U podłoża powyższego założenia tkwi, jak się zdaje, kartezjański model człowieka, skrajnie dualistyczny, w którym ciało jest mechanizmem kierowanym przez psychikę. Akt woli jest rozkazem do tego mechanizmu wysyłanym. Jako taki musi być jakby kwintesencją życia psychicznego; nie może być czymś impulsywnym, odruchowym, nieprzemyślanym.

Sposób patrzenia na przyrodę ożywioną, a także na człowieka w znacznym stopniu jest kształtowany na modelach technicznych. Co człowiek sam stworzył, najłatwiej mu zrozumieć. Model mechaniczny polega na tym, że istoty żywe uważa się za skomplikowane mechanizmy. Tego rodzaju podejście ułatwiało w medycynie badanie ustroju ludzkiego. Mechanizmem można bowiem dowolnie manipulować, można go rozkładać na części składowe, co jest istotnym warunkiem poznania naukowego. Poglądy mechanistyczne utorowały drogę naukowej medycynie. Mechanizm jednak sam z siebie działać nie może, musi mieć jakąś siłę napędową i coś, co nim kieruje. I tu zaczynały się kłopoty. Jeśli przyjmowało się istnienie duszy, to obarczało się ją obowiązkiem sterowania. A że duszę mają tylko ludzie, więc tylko oni mają wolną wolę, a zwierzęta jej nie mają, zachowują się jak automaty reagujące w określony sposób na określony bodziec. Również chorzy psychicznie byli pozbawieni wolnej woli, gdyż dusza ich była chora. Wyznawcy poglądu dualistycznego mieli dodatkowy kłopot z wytłumaczeniem, w jaki sposób psychiczne łączy się z somatycznym, gdzie jest między nimi punkt styczny. *Kartezjusz*, jak wiadomo, szyszynkę obarczał rolą przełącznika między psychicznym a somatycznym. Odrzucając istnienie duszy, odrzucało się konsekwentnie zagadnienie wolnej woli. Stawało się na gruncie ścisłego determinizmu. Prawa obowiązujące w przyrodzie obowiązywały też człowieka; w nich się całkowicie zamykał i nie miał wolności wyboru. Z końcem ubiegłego stulecia panował optymistyczny pogląd, iż nawet tak bardzo skomplikowany mechanizm, jakim jest człowiek, da się bez reszty wytłumaczyć ruchem elementarnych cząsteczek, tj. ująć w prawa fizyki i chemii. Pogląd ten w medycynie odegrał dużą rolę; jemu zawdzięcza się wspaniały rozwój biochemii, a w terapii dotychczas panuje przekonanie, że wszystko da się rozwiązać na drodze chemicznej.

Od drugiej wojny światowej datuje się rozwój nowego modelu technicznego, opartego na urządzeniach samosterujących. Już sama nazwa tych urządzeń wskazuje na to, że zagadnienie

Ryc. 3. Transport na rampie wewnątrz obozu w Brzezince na chwilę przed selekcją

sterowania i podejmowania decyzji (w języku psychologicznym aktu woli), a więc tego, co tak trapiło badaczy przyrody operujących modelem mechanicznym, zostało tu rozwiązane technicznie. Urządzenie sterujące lufą działa przeciwlotniczego samo decyduje, jak lufę nastawić i kiedy wyzwolić pociski. Każdy, kto strzelał, wie, że pociągnięcie za język spustowy jest związane z pewnym wahaniem i napięciem, chce się bowiem wybrać moment najodpowiedniejszy, w którym ma się pewność, że się trafi do celu. U wprawnych strzelców decyzja wyboru właściwej chwili przychodzi szybciej; niekiedy najcelniejszy strzał jest oddany automatycznie. Skomplikowany proces związany z podejmowaniem decyzji, uważany przez wielu za najwyższą czynność psychiki, może być wykonywany przez maszynę często sprawniej niż przez człowieka. Nie znaczy to, by maszyny elektronowe miały duszę i że życie psychiczne można nimi zastąpić. Fakt jednak, że mogą one wykonywać pewne czynności uważane do niedawna za atrybut psychiki ludzkiej, jak logiczne rozumowanie i podejmowanie decyzji, zmusza do rewizji pojęcia psychiki. W każdym razie nie można jej identyfikować z jakąś poszczególną funkcją, np. aktem woli. Podobnie jak nie mamy zadowalającej definicji życia, tak też nie dysponujemy dotychczas definicją tego, co jest subiektywnym przejawem życia, a co określa się pojęciem duszy czy psychiki.

W maszynach samosterujących zdolność wydawania decyzji jest uzależniona od trzech urządzeń: zaprogramowania celu, zdolności odbierania informacji z otoczenia, zwłaszcza tych, które dotyczą efektu własnego działania (sprzężenie zwrotne — *feedback*) i pamięci. Z tych trzech składowych formuje się decyzja, która może być wydana w postaci alternatywnej (odpowiedzi „tak" lub „nie"), jak w maszynach cyfrowych, albo też w formie ciągłej (modulacji odpowiedzi), jak w maszynach analogowych.

Modele cybernetyczne ułatwiły zrozumienie czynności mózgu. Z drugiej strony cybernetycy dużo skorzystali z badań neurofizjologicznych (schemat połączeń korowych *Lorente de Nó* pomógł technikom w konstruowaniu różnego typu urządzeń samosterujących). Już sama morfologiczna struktura neuronu wskazuje na to, że w nim dokonuje się jakaś decyzja. Wieloma bowiem wypustkami (dendrytami) odbiera on sygnały z otoczenia (poza tym sygnały dochodzą bezpośrednio do ciała komórkowego za pomocą tzw. synaps akso-somatycznych), a tylko jednym kanałem (aksonem) sygnały wychodzą z komórki. We wnętrzu komórki musi więc dokonać się integracja dochodzących sygnałów i powstać decyzja, jaki sygnał wysłać w otoczenie.

Ryc. 4. Moment selekcji na rampie w obozie w Brzezince, dokonanej przez lekarza *SS*, dr *Thilo*; w głębi widoczna *Blockführerstube* przed wejściem na odcinek B I obozu kobiecego oraz droga, która prowadziła do krematorium

Ryc. 5. Kobiety i dzieci pędzone do komory gazowej po selekcji w Brzezince; w głębi widoczne krematorium III

Struktura połączeń między neuronami jest taka, że zapewnia powrót części sygnałów wysłanych przez neuron do niego z powrotem (tzw. obwody zamknięte). W ten sposób spełnia się zasada sprzężenia zwrotnego. Neuron jest informowany o skutkach swego własnego działania. Sygnały dochodzące zostają zarejestrowane. Według hipotezy *Hydena* mechanizm pamięci polega na zmianie struktury DNA i RNA pod wpływem strumienia impulsów wchodzących do neuronu. Jest to hipoteza nęcąca swym połączeniem pamięci filogenetycznej (dziedziczności) z pamięcią ontogenetyczną za pomocą identycznego mechanizmu biochemicznego. Zaprogramowanym celem w komórce nerwowej byłaby jej substancja genetyczna (DNA), która, jeśli hipoteza *Hydena* okaże się słuszna, ulegałaby pewnym modyfikacjom pod wpływem aktywności komórki nerwowej.

Neuron spełnia więc warunki potrzebne w układach samosterujących do wydania decyzji. I podobnie jak w nich, wydane decyzje mogą być typu „albo — albo" lub typu ilościowego. W pierwszym wypadku ma się do czynienia z pełnym wyładowaniem całej komórki nerwowej (tzw. potencjał czynnościowy), którego wielkość jest maksymalna i niezależna od siły bodźca działającego na komórkę, albo z brakiem tegoż wyładowania. Jak w maszynach cyfrowych, obowiązuje tu język dwójkowy (1 — wyładowanie, 0 — brak wyładowania). W drugim wypadku występuje miejscowa zmiana potencjału elektrycznego, tzw. odczyn miejscowy, nie obejmująca całej komórki i proporcjonalna do siły bodźca.

W zbudowanej z miliardów neuronów sieci różnego typu połączeń obowiązuje hierarchia, polegająca na tym, że decyzje poszczególnych komorek nerwowych są od siebie uzależnione. Pewne grupy komórek tworzą jakby zespoły robocze zajmujące się określonym zagadnieniem (tzw. ośrodki nerwowe). Decyzja dochodząca do takiej grupy neuronów ma charakter globalny: wykonać daną czynność lub ją wstrzymać; nie zajmuje się już ona szczegółami wykonania.

Z hierarchizacją decyzji wiąże się zagadnienie selekcji. Nie wszystkie informacje mogą dotrzeć wyżej, część musi ulec odrzuceniu. O selekcji decyduje znaczenie danej informacji dla ustroju. Zagadnienie selekcji jest tak wyraźne, że da się je ujawnić za pomocą badań anatomicznych. Dla przykładu: siatkówka ludzka składa się z 6 milionów czopków i 110 milionów pręcików, a nerw wzrokowy ma zaledwie 1 milion włókien. Jak pisze *Walsh*, „siatkówka dąży do wychwytywania elementów o prawdopodobnym znaczeniu biologicznym przy równoczesnym odrzucaniu elementów pozostałych" (str. 320). Odwrotna sytuacja istnieje przy strumieniu informacji biegnących na obwód; decyzja „odgórna" ulega powieleniu, jeśli wykonawca (efektor) jest mało ważny, a jest bardziej jednostkowa, gdy jego rola jest poważniejsza. Klasycznym przykładem przedstawionej sytuacji jest korowe pole ruchowe. Reprezentacja korowa ręki, ust, języka jest wielokrotnie większa niż mięśni tułowia i kończyn dolnych. Dlatego homunkulus ilustrujący reprezentację korową wygląda tak karykaturalnie. Jego karykaturalność wynika stąd, że nie ma równości między poszczególnymi jednostkami wykonawczymi; mięśnie grzbietu są plebsem w porównaniu z mięśniami ręki czy języka. Zniekształcenie stosunków anatomicznych w reprezentacji korowej jest znacznie mniejsze u zwierząt; stopień ważności poszczególnych efektorów rozkłada się u nich bardziej równomiernie. W drodze ewolucji u człowieka głównym kanałem działania na świat otaczający, a tym samym kanałem sygnałów wysyłanych, stała się aktywność ręki i narządu ruchowego mowy, dlatego znaczenie tych elementów ruchowych jest większe niż pozostałego aparatu ruchowego. Natomiast u zwierząt równowaga pomiędzy poszczególnymi elementami efektorycznymi jest bardziej zachowana. Skala ważności obowiązuje też sygnały wchodzące do układu nerwowego; według niej dokonuje się ich selekcja. Następstwem tej selekcji jest zniekształcenie obrazu świata otaczającego; widzimy to, co jest dla nas ważne.

W zespołach neurastenicznych zarówno organicznego, jak i psychogennego pochodzenia osiowym objawem jest zaburzenie hierarchii pracy układu nerwowego, a tym samym także selekcji. Sygnały mało ważne, które normalnie zostają stłumione, na równi z sygnałami ważnymi aktywują cały układ nerwowy, tworzy się chaos („szum" w języku cybernetycznym), przypominający zły system biurokratyczny, gdzie władze centralne o wszystkim muszą wiedzieć i o wszystkim decydować, wskutek czego o niczym nie wiedzą i o niczym nie decydują. Odwrotna sytuacja istnieje w konwersji histerycznej; pewne układy czynnościowe zostają wyłączone z ogólnej hierarchii układu nerwowego i uzyskują sztuczną autonomię, co klinicznie objawia się ich porażeniem lub nadmierną aktywnością. W systemach społecznych analogiczna autonomizacja występuje, gdy aparat władzy, zbyt sprzeczny z interesem podległych mu jednostek, integruje w sposób sztuczny ich życie; tworzą się wówczas przeciwstawne mu systemy organizacyjne, dzięki którym tendencje tłumione przez oficjalny system organizacyjny znajdują wyładowanie.

Trzecią — obok hierarchii i selekcji — cechą pracy układu nerwowego, odgrywającą rolę w formowaniu się decyzji, jest kolektywność. Mimo że pojedynczy neuron podejmuje decyzje, to jednak są one bez większego znaczenia, jeśli nie są wsparte decyzjami innych neuronów. Z kolei decyzja pojedynczego neuronu zależy od decyzji innych neuronów; zależnie od sygnałów od nich dochodzących może on dać odpowiedź „tak" lub „nie" (potencjał czynnościowy), może też ograniczyć się tylko do odczynu miejscowego. Odczyny miejscowe, aktywując tylko część komórki nerwowej, przygotowują ją do odpowiedzi ostatecznej „tak" lub „nie". Mimo wzajemnego oddziaływania neuronów na siebie i kolektywnego charakteru ich pracy zachowują one swą indywidualność; każdy ma swoisty rytm pracy, którą w istocie jest formowanie decyzji, alternatywnej (tak — nie) lub ilościowej (odczyn miejscowy). Z kwantów decyzji, jakimi są decyzje poszczególnego neuronu, formują się decyzje grupowe. Pewne grupy neuronów łączą wspólne zadania, a w związku z tym także wspólne decyzje. Wytwarza się hierarchia i specjalizacja. Jedne grupy podlegają drugim, tworzy się łańcuch zależności. Wystarczy jeden sygnał, by aktywować cały ciąg wydarzeń, niekiedy bardzo skomplikowany.

Zagadnienie padaczki zdaje się polegać na zerwaniu struktury wzajemnej zależności i kolektywnego charakteru pracy neuronów. Pewna grupa komórek nerwowych zaczyna wyładowywać się według własnego rytmu, nieskrępowana, rzec można, aktywnością pozostałych neuronów. Rytm ten przenosi się stopniowo na inne komórki nerwowe, prowadząc do uogólnionego wyładowania padaczkowego. Gdyby porównać pracę układu nerwowego do gry olbrzymiej orkiestry, w której każdy muzyk gra w swoisty sobie sposób, ale w sumie powstaje wspólna melodia, to atak padaczkowy byłby sytuacją taką, w której jeden z muzyków zaczyna bić w bęben niezależnie od tej wspólnej melodii. Rytm bębna opanowuje innych muzyków, w końcu wszyscy biją w jeden takt. Oceniając wyładowanie komórki nerwowej jako jej decyzję typu alternatywnego: tak lub nie, w ataku padaczkowym mamy przykład skrajnej wolności decyzji, która prowadzi do skrajnej dezindywidualizacji i niewoli. Atak padaczkowy jest antytezą kolektywnego charakteru

pracy układu nerwowego; kolektywność ta polega na ścisłej zależności decyzji poszczególnej komórki nerwowej od decyzji innych komórek nerwowych; zerwanie tej zależności prowadzi do totalistycznego ujednolicenia decyzji, zamiast różnorodnych i indywidualnych ich rytmów powstaje jeden wspólny rytm.

Kolektywność decyzji maleje w miarę powtarzania się zadania. Nowe zadanie aktywuje cały układ nerwowy, a za jego pośrednictwem cały ustrój. Subiektywnie jest to odczuwane jako skoncentrowanie się na określonej czynności, wahanie się, czy zrobić tak, czy inaczej, wewnętrzne napięcie związane z podjęciem decyzji, któremu nierzadko towarzyszą objawy wegetatywne i nie jest przesadą wyżej przedstawione twierdzenie, iż w decyzji bierze udział cały ustrój. W miarę jednak powtarzania się zadania decyzja staje się coraz łatwiejsza, wybór odpowiedniej struktury czynnościowej z czasem dokonuje się automatycznie. W danej aktywności nie bierze już udziału cały układ nerwowy, lecz tylko ta jego część, która najlepiej może nią pokierować. Obowiązuje tu zasada ekonomii wysiłku, której podlega zarówno rozwój filogenetyczny, jak ontogenetyczny. Komórki ustroju specjalizują się w określonych czynnościach, zwalniając tym samym inne komórki od obowiązku zajmowania się tą czynnością, w której nie są wyspecjalizowane. Nie należy zapominać, że cały układ sygnalizacyjny, tj. receptoryczny, nerwowy i efektoryczny powstał z wyspecjalizowania się pewnej grupy komórek w trzech podstawowych funkcjach każdej komórki: odbierania sygnałów, przenoszenia ich i reagowania na nie.

Proces specjalizacji nie kończy się na filogenezie, lecz obowiązuje także w rozwoju osobniczym. Dziecko ucząc się chodzić, mówić, pisać itd., angażuje w tych czynnościach cały swój aparat receptoryczny, nerwowy i ruchowy. Z jego zachowania widać, ile wysiłku wkłada w wybór właściwej formy ruchu i w jej konsekwentne zrealizowanie. Cały wysiłek woli jest skoncentrowany na danej aktywności. Z czasem czynność ulega automatyzacji, wykonuje się ją bez zastanowienia, wystarczy rozkaz wydany sobie: chodź, mów, pisz itp., aby aktywować skomplikowany łańcuch wydarzeń prowadzący do wykonania danej czynności. Zagadnienie wyboru i decyzji, tak charakterystyczne dla pracy układu nerwowego, nie znika przy automatyzacji jakiejś czynności, tylko przestaje ono angażować całościowo układ nerwowy, ogranicza się do części układu nerwowego wyspecjalizowanych w danej czynności. W sytuacji trudnej zautomatyzowana czynność z powrotem staje się świadoma (np. na trudnej ścieżce górskiej każdy krok wymaga podjęcia świadomej decyzji); decyzja z powrotem staje się decyzją ogólną, a nie częściową, jak w przypadku czynności zautomatyzowanych.

Zagadnienie automatyzacji wiąże się ściśle z zagadnieniem hierarchizacji decyzji. Kwanty decyzji, tj. decyzje poszczególnych neuronów, wiążą się w mniejsze i większe zespoły wzajemnie ze sobą powiązane. Poszczególne zespoły specjalizują się w określonych zagadnieniach, np. selekcji sygnałów wchodzących do układu nerwowego, sterowania pewną czynnością wegetatywną czy ruchową, koordynowania decyzji itd. Hierarchia decyzji jest tym wyższa, im więcej aktywuje zespołów. Życie stawia wciąż nowe zadania, toteż decyzje o najwyższym stopniu hierarchii muszą być ciągle formowane. W miarę powtarzania nowego zadania dana decyzja obniża się w hierarchii na zasadzie ekonomii funkcji; aktywuje tylko te zespoły neuronów, które są konieczne do sterowania danym zadaniem. Na tym polega automatyzacja.

Trzy czynniki wpływają na styl decyzji: jej tematyka (zaprogramowanie), szybkość wyboru i zmienność. Tematyka zależy oczywiście od programu genetycznego zakodowanego w jądrze komórki nerwowej, niemniej jednak wpływa na nią historia życia komórki nerwowej. Jeśli na nią będą działać analogiczne bodźce, z czasem wytworzą się typowe decyzje. Wyspecjalizuje się ona w pewnym typie zagadnień i w określony sposób będzie je rozwiązywać. Np. jej tematyką może być selekcjonowanie impulsów dochodzących z komórek receptorycznych siatkówki; selekcja będzie przebiegać w sposób typowy zależnie od impulsów pochodzących od neuronów wyżej stojących w hierarchii. Dzięki temu człowiek inaczej spostrzega otaczający świat w zależności od swego nastroju, stosunku uczuciowego do otoczenia, zainteresowań, rodzaju pracy itp.

Tematyka wiąże się z szybkością decyzji. Im tematyka węższa, tym jest większa szybkość decyzji. Komórki nerwowe, wyspecjalizowane w wąskim zakresie, łatwiej mogą dać odpowiedź „tak" lub „nie" niż komórki bez określonej specjalizacji, mogące przyjmować różnego rodzaju sygnały z różnych stron układu nerwowego (np. komórki kory mózgowej lub układu siateczkowego). Można przypuszczać, że w neuronach niewyspecjalizowanych dominują odpowiedzi typu ilościowego, a nie alternatywnego. Szybkość decyzji zależy od długości łuku odruchowego, tzn. decyzja, która angażuje większą liczbę neuronów, będzie trwać dłużej niż ta, która rozgrywa się w małym łuku odruchowym. W miarę automatyzacji decyzje dokonują się szybciej. Zmienność decyzji zależy od stopnia perseweracji, tj. powtarzania określonego modelu reakcji niezależnie od dopływu sygnałów z otoczenia. Im stopień perseweracji jest większy, tym mniejsza jest chwiejność decyzji. W mózgu, szczególnie w korze mózgowej, spotyka się bardzo często układ neuronów typu obwodu zamkniętego, polegający na tym, że sygnał, który wyszedł z komórki nerwowej A, po przejściu przez wiele komórek B, C, D itd., wraca z powrotem do komórki A, dzięki czemu krążyć on może w takim obwodzie, teoretycznie rzecz biorąc, w nieskończoność. Układy tego typu zwiększają stabilność decyzji.

Przedstawiona tu próba ujęcia zagadnienia decyzji w świetle współczesnych wiadomości neurofizjologicznych ma oczywiście charakter hipotezy nietrwałej, która musi ulec zmianie

w miarę pogłębiania wiadomości z zakresu fizjologii układu nerwowego. A rozwój tej wiedzy w dużej mierze zależy od postępu technicznego, nie tylko dlatego, że dzięki niemu powstają nowe metody badawcze, ale też dlatego, że pozwala on na tworzenie nowych modeli teoretycznych, które lepiej ułatwiają zrozumienie czynności mózgu (model mózgu elektronowego lepiej pozwala nam zrozumieć pracę mózgu żywego niż np. dawny model centrali telefonicznej). Jak w innych dziedzinach życia, działa tu zasada łączności spostrzegania z działaniem (zasada łuku odruchowego); widzimy świat tak, jak na niego działamy, czyli żyjemy w świecie przez nas samych stwarzanym.

Byłoby grubym nieporozumieniem stawianie znaku równości między decyzją w sensie neurofizjologicznym a decyzją w sensie psychologicznym. Zagadnienie decyzji nurtowało człowieka chyba od czasu, gdy zaczął on zastanawiać się nad sobą. Jest ono jednym z przewodnich tematów myśli filozoficznej, a także dociekań psychologicznych i psychiatrycznych. Psycholog i psychiatra w każdym badanym przypadku stara się dojść do tego, co spowodowało taką, a nie inną decyzję; z tym ściśle wiąże się zagadnienie motywacji zachowania się. Każdy zresztą sam sobie takie pytanie stale stawia i stara się dać na nie możliwie racjonalną odpowiedź. Racjonalność tłumaczenia własnej czy cudzej decyzji nie jest równoznaczna z trafnością tego tłumaczenia. Przykładem może być człowiek, który pod wpływem rozkazu wydanego w transie hipnotycznym lub ulegając działaniu sygnałów podprogowych, tj. nie docierających do świadomości (metoda stosowana czasem na zachodzie w reklamie telewizyjnej), podejmuje narzuconą mu w ten sposób decyzję, ale nieświadomy tego, że jest zdalnie kierowany, znajduje racjonalną motywację swego postępowania.

Zdają się jednak istnieć pewne analogie między decyzją w ujęciu neurofizjologicznym a decyzją w sensie psychologicznym. Na kilka z nich warto zwrócić uwagę, gdyż mogą one ułatwić zrozumienie skomplikowanego zagadnienia aktu woli.

Decyzje alternatywne i ilościowe, które stanowią dwa typy decyzji, jakimi posługuje się układ nerwowy, można by porównać w życiu psychicznym do wyboru między dwiema przeciwstawnymi możliwościami i do ciągłych wahań, które jeszcze wyborem nie są, ale które stwarzają odpowiedni klimat do alternatywnej decyzji.

Kolektywny charakter pracy układu nerwowego odpowiada w życiu psychicznym zasadzie integracji; sprzeczne uczucia, myśli, dążenia tworzą jednak w sumie mniej lub bardziej harmonijną całość, określającą danego człowieka i będącą podstawą jego tożsamości. Świadoma decyzja jest wynikiem tej integracji i dlatego też wymaga ona nieraz dużego wysiłku, gdyż tworzenie całości z przeciwstawnych tendencji nie jest sprawą łatwą. Istotą decyzji jest selekcja. To, co zostało odrzucone, nie znika jednak bez śladu. Zasługą *Freuda* jest zwrócenie uwagi na ten, jakby się zdawało, oczywisty fakt. Swą analizą objawów nerwicowych, marzeń sennych i czynności pomyłkowych wykazał on ewidentnie istnienie w psychice tego, co zostało stłumione. W nerwicy natręctw zdolność decyzji jest wyraźnie osłabiona przez występujące przymusowo myśli, czynności lub fobie. Walka z tym obcym i odrzucanym przez świadomość elementem psychiki do niczego nie prowadzi; zwiększa jeszcze siłę doznań natrętnych. To, co niegdyś uległo selekcji, teraz mści się jakby na tym, co z selekcji niegdyś wyszło zwycięsko. Normalnie tylko drobna część procesu selekcyjnego rozgrywa się świadomie. Wprawdzie bez przerwy wybieramy i decydujemy, to jednak znaczna większość decyzji rozgrywa się poza naszą świadomością; później przychodzi nieraz zdziwienie, dlaczego właśnie w ten sposób postąpiliśmy. W schizofrenii odsłania się mechanizm walki między dwiema wyłączającymi się możliwościami alternatywy, wymagającymi wyboru, normalnie zasłonięty. Chorobliwe odsłonięcie procesu selekcji dotyczy przede wszystkim wyboru między zasadniczymi postawami uczuciowymi. Wybór ten dokonuje się normalnie poza udziałem świadomości; nie można zmusić się do miłości, nienawiści, lęku. W schizofrenii też wprawdzie nie można kierować swymi uczuciami, lecz odsłania się w sposób nieraz dramatyczny walka między sprzecznymi postawami emocjonalnymi, tak silna, że żadna z nich nie może zwyciężyć. Niemożność dokonania wyboru zasadniczej postawy uczuciowej odbija się na całym życiu psychicznym i zachowaniu się chorego. postawa ta bowiem stanowi jakby fundament, na którym budują się już bardziej szczegółowe formy aktywności. Chory przy powitaniu wyciąga rękę i zaraz ją cofa, siada na wskazanym miejscu i wstaje, na jego twarzy malują się różne, nieraz sprzeczne uczucia, zwykle nie odpowiadające sytuacji itp. Są to elementy zachowania uderzające przy pierwszym zetknięciu, a wynikające z braku decyzji emocjonalnej, tj. wyboru odpowiedniej dla danej sytuacji postawy uczuciowej.

Kolektywny charakter decyzji przejawia się także w życiu społecznym. Decyzje jednego człowieka wpływają na decyzje drugiego. W życiu obozowym zjawisko to występowało niezwykle silnie. W stanach skrajnego wyczerpania lub w początkowym okresie pobytu w obozie więzień tracił zdolność wyboru, robił to, co najbliżsi sąsiedzi, poruszał się tam, gdzie go popchnięto. Wyjście z tego stanu automatyzmu było koniecznym warunkiem przeżycia obozu. Zdolność decyzji jest bowiem zasadniczym atrybutem życia. Pomoc kolegi, czyjeś dobre słowo itp. przywracały stopniowo zdolność wyboru. Ten, kto przychodził z pomocą, stanowił wzór w formowaniu decyzji; „ja chcę" krystalizowało się ze zbiorowego „my chcemy".

Zagadnienie automatyzacji, tak istotne dla ekonomii pracy układu nerwowego, wskazuje na znany fakt, że nic w naturze nie ginie, każda decyzja zostaje zarejestrowana w komórkach nerwowych i wpływa na decyzje następ-

ne. Dzięki temu decyzje następne są łatwiejsze; zamiast wciągać cały układ nerwowy, angażują tylko tę jego część, która jest niezbędna do wykonania zadania. W sensie psychologicznym mówimy o automatyzacji, gdy pewne czynności dzięki powtarzaniu przestają angażować świadomość, odnośne decyzje dokonują się poniżej progu świadomości. Proces ten jest istotny w każdym szkoleniu; na nim polegało też szkolenie esesmanów.

W tym miejscu wypadałoby się pokusić o odpowiedź na pytanie, które było impulsem do przedstawionych tu rozważań na temat decyzji, gdzie zaczyna się odpowiedzialność za własne czyny. Zagadnienie odpowiedzialności nie jest wprawdzie zagadnieniem lekarskim, lecz etycznym, prawniczym, filozoficznym, niemniej jednak w stopniu, w jakim jest to zagadnienie po prostu ludzkie, interesuje ono medyka, choć sprzeczne z jego zawodem jest stanowisko sędziego, nie jego bowiem rzeczą jest ocenianie, czy ktoś postępuje dobrze, czy źle i w jakim stopniu za swe czyny odpowiada. Z dwóch ewentualności, że odpowiada się tylko za decyzje w pełni świadome lub że odpowiada się za wszelkie decyzje, jak się zdaje, bliższa myśleniu biologicznemu jest druga możliwość. Pierwsza odnosi się tylko do małego wycinka życia, w którym decyzja jest podejmowana. pełna świadomość jest warunkiem przyjęcia za nią odpowiedzialności. Gdy jednak rozpatrujemy nie tylko moment krytyczny, ale całe życie człowieka, którego czyn oceniamy, to wówczas możemy dojść do punktu w historii życia, w którym zrodziła się decyzja ocenianego czynu, znikła ona wszakże ze świadomości wskutek stłumienia lub automatyzacji i w momencie krytycznym czyn był wykonany impulsywnie lub automatycznie, bez udziału „wolnej woli", niemiej jednak świadczy on o tym, że to coś, co stanowi istotę tego czynu, tkwiło w tym człowieku. Co więcej, tkwiło ono silniej niż w decyzji świadomej, ta ostatnia bowiem stanowi jakby wierzchnią warstwę naszego życia, powstaje wskutek pierwszego zetknięcia z nową sytuacją, a decyzja nieświadoma jest wyrazem tego w życiu człowieka, co wielokrotnie się powtarzało lub głęboko w nim utkwiło. Byłoby to odwrócenie zasady *qui dormit, non peccat*. Marzenie senne, podobnie jak upojenie alkoholowe, w myśl powiedzenia *in vino veritas* odsłania lepiej prawdziwy obraz człowieka niż jego życie na jawie, w którym świadome decyzje maskują nieraz istotną jego prawdę. Jak wiadomo, w warunkach życia obozowego ta politura codziennego, zwykłego życia szybko się ścierała; zostawał nagi człowiek. W tym sensie obóz był sprawdzianem wartości człowieka.

Trzeci wariant sytuacji na rampie stanowi najliczniejsza grupa więźniów, mianowicie tych, którzy nie zdawali sobie sprawy z losu, jaki ich za chwilę czeka. Esesmani starali się zresztą do końca utrzymać ich w tej nieświadomości. Dlatego zachowywali się na ogół jak na nich dość kulturalnie. Może niektórzy więźniowie wyczuwali niesamowitość sytuacji i mieli przeczucie wiszącej nad nimi zagłady. Rozsądek jednak sprzeciwiał się tym intuicyjnym przewidywaniom i kazał zajmować się aktualnymi i realnymi sprawami, zdobyciem wody, pożywienia, troską o najbliższych, o własny dobytek, planami na najbliższą przyszłość itp. W tym kręgu formowały się decyzje; nie odbiegały one od decyzji podejmowanych w poprzednim okresie, od czasu uwięzienia. Wyglądałyby one inaczej, gdyby najbliższa przyszłość była wiadoma.

Sytuacja jest więc w zasadzie podobna do tej, którą przeżywa każdy człowiek w codziennym życiu. Przyszłość jest mu nieznana, niemniej jednak w nią przez swe decyzje wchodzi, w nadziei, że ukształtuje się ona zgodnie z jego planami. Cechą życia jest ustawiczne rzutowanie się w przyszłość. Decyzja jest punktem, w którym przyszłość zamienia się w przeszłość; z wielu możliwych zostaje wybrany jeden plan działania i zaczyna się jego realizacja. Sam wybór jest już wejściem w przyszłość, wskazuje drogę, jaką ma się w niej kroczyć. Sytuacja na rampie okazuje złudność tej drogi; los może ją przeciąć w każdym punkcie. Oczywiście fakt, że nasz los jest nam nieznany, czyli że „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi", nie osłabia tendencji do rzutowania się w przyszłość, gdyż tendencja ta jest istotną cechą życia. W depresji dynamika życiowa słabnie; w związku z tym gaśnie tendencja do rzutowania się w przyszłość; wydaje się ona czarna, decyzje stają się niezwykle trudne. Normalnie jednak człowiek nawet w najgorszych dla siebie chwilach nie odwraca zwroku od przyszłości i nie traci zdolności decyzji, dzięki którym przyszłość zdobywa.

Przedstawione tu trzy warianty sytuacji na rampie nie wyczerpują wszystkich możliwości związanych ze skomplikowanym zagadnieniem decyzji, niemniej jednak, jak wiele sytuacji obozowych, dzięki swej jaskrawości ułatwiają jego zrozumienie.

PIŚMIENNICTWO

1. *Hyden H.*: The neuron. Acad. Press, Göteborg 1961. — 2. *Rosenblith W. A.* (edit.): Sensory communication. The M. I. T. Press, Mass. Inst. of Technology and John Willey & Sons, New York—London 1961. — 3. *Walsh E. G.*: Fizjologia układu nerwowego. PZWL, Warszawa 1966.

STANISŁAW DĄBROWSKI Poznań

Likwidacja chorych szpitala psychiatrycznego w Obrzycach a problem eutanazji [1]

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Poznaniu
Kierownik: Doc. dr *St. Dąbrowski)*

Zakończenie drugiej wojny światowej, rok 1945, to zarazem dwusetna rocznica urodzin *Filipa Pinela* [2]. Jego postać, wyznaczająca początek nowożytnej psychiatrii, jest dla nas symbolem humanitarnego stosunku do chorych psychicznie i radykalnej reformy postępowania z nimi. Wydawałoby się, że wraz z wielką rewolucją francuską zakończył się raz na zawsze tragiczny rozdział historii psychiatrii i że nie powtórzą się już nigdy czarne karty średniowiecza, kiedy chorzy psychicznie tysiącami płonęli na stosach, byli bici, głodzeni i torturowani. Z początkiem drugiej wojny światowej widmo średniowiecza pojawiło się jednak znowu i dopiero w roku 1945 zakończyło się przerażające piekło hitlerowskiej eutanazji, przy której bledną stosy inkwizycji.

Program tzw. eutanazji w stosunku do psychicznie chorych obywateli III Rzeszy był jednym z ogniw szeroko zakrojonego planu totalnego wyniszczenia nieuleczalnie chorych. Realizowano go równolegle z metodycznym tępieniem politycznie niepożądanych, tzw. „mniej wartościowych narodów": Żydów, Polaków i innych. Zagłady tej — podobnie jak psychicznie chorych obywateli tych narodów — nie próbowano nawet uzasadniać względami lekarskimi. Organizatorzy akcji uśmiercania własnych, niemieckich obywateli nie mogli jednak nie liczyć się z opinią społeczną i z obowiązującymi przepisami, które — przynajmniej formalnie — chroniły życie ludzkie jako najwyższe dobro. W tej sytuacji upozorowanie masowych morderstw względami lekarsko-humanitarnymi było konieczne. Jak dalece jednak ta „eutanazja" była sprzeczna z niemieckimi ustawami, świadczy fakt, że przywódcy III Rzeszy oraz *Führerkorps der beamteten deutschen Justiz* odważyli się realizować ją dopiero podczas wojny.

Czy rzeczywiście ten szczególny rodzaj ludobójstwa miał coś wspólnego z właściwą — choćby najszerzej pojętą — eutanazją? Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy pokrótce zatrzymać się na problemie eutanazji. Pojęcie eutanazji (ze starogreckiego, „dobra śmierć"), czyli tzw. „pomocy do śmierci" (*Sterbehilfe*), jest bardzo wieloznaczne i sporne [3]. Najczęściej wiążą się tu dwa zagadnienia: po pierwsze, zabójstwo na żądanie, po drugie, właściwa eutanazja.

Zabójstwo na żądanie i pod wpływem współczucia, czyli tzw. dobrowolna eutanazja, zawsze jest traktowane jako czyn bezprawny i karalny. Bezprawność tego czynu *communis opinio* uzasadnia się tym, że pozbawienie życia cierpiącego człowieka, choćby na jego żądanie i pod wpływem szlachetnych motywów, nie może być działaniem moralnie i społecznie obojętnym. Pozostawienie tego czynu bez kwalifikacji przestępnej mogłoby prowadzić do nadużyć, do pochopnego szafowania życiem ludzkim, a nawet do bezkarności zwyczajnych zabójstw. Zarazem zabójstwo na żądanie jest wyodrębnione w większości ustaw karnych jako *delictum sui generis*, tj. przestępstwo uprzywilejowane w stosunku do zwyczajnego zabójstwa. Za tym przemawia mniejsza niewątpliwie szkodliwość tego czynu; sprawca nie gwałci bowiem woli do życia chorego i zabija jednostkę, która sama uznaje swą bezwartościowość dla życia. Sprawca działa ponadto pod wpływem pobudek humanitarnych, altruistycznych. Jest on głęboko przekonany, iż zabija dlatego, że tak mu dyktuje ludzki obowiązek wobec cierpiącej ofiary. Większość ustaw karnych wymaga kumulatywnego współistnienia dwóch znamion. Znamię podmiotu (podmiotem przestępstwa jest sprawca) — „pod wpływem współczucia" — ma dwojakie znaczenie: chory musi znajdować się w takim stanie, który uzasadnia współczucie, ponadto współczucie musi być zasadniczym motywem działania sprawcy. Co się tyczy znamienia przedmiotowego (przedmiotem jest chory) — „żądania" — należy podkreślić, że musi być ono wyraźne, bezpośrednie, stanowcze, swobodne i świadome. A zatem żądanie śmierci wyrażone przez osobę chorą psychicznie nie posiada znaczenia prawnego. W związku z tym zabójstwo na żądanie dokonane na psychicznie chorym musi być poczytane za zwykłe zabójstwo.

Zabójstwo na żądanie wiąże się ściśle z zagadnieniem właściwej eutanazji. Mianem tym

---

[1] Referat wygłoszony na konferencji naukowej w Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Międzyrzeczu-Obrzycach w dniu 18 marca 1967 roku, zorganizowanej przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze. Zob. też: *S. Swierczek:* Okrucieństwa niemieckie w stosunku do psychicznie chorych, przeważnie niemieckich, w zakładzie psychiatrycznym Obrzyce (Obrawalde). Rocznik Psychiatryczny 1949, tom 37, nr 1, s. 95—103. — *W. Lemiesz:* Zbrodnia w Obrzycach. ZAP, Warszawa 1966.

[2] *K. Spett: Filip Pinel* — reformator psychiatrii. Przegl. Lek. 1947, nr 10, s. 570—574.

[3] Zagadnienie to rozważa między innymi *G. Williams:* Świętość życia a prawo karne. PZWL, Warszawa 1960. — *H. Ehrhard* i *W. Villiger: Forensische und administrative Psychiatrie.* W: *Psychiatrie der Gegenwart.* Tom III. Springer-Verlag 1961, s. 235—237. — *H. Ehrhardt: Euthanasie und Vernichtung „lebensunwerten" Lebens* (Forum der Psychiatrie, nr 11), Stuttgart, F. Enke, 1965, VII, refer. w: Zentralblatt f. d. ges. Neurol. u. Psychiatrie, 1965, t. 181, z. 3, s. 302.

określa się świadome pozbawienie lub skrócenie życia osoby znajdującej się w obliczu nieuniknionej śmierci w celu wyzwolenia jej od cierpień fizycznych. Charakterystyczna cecha właściwej eutanazji, odróżniająca ją od zabójstwa na żądanie, dotyczy strony przedmiotowej. Polega ona na braku wyraźnej zgody chorego. Z tego względu właściwa eutanazja wymaga odrębnej oceny prawnej. Jest ona zawsze oceniana jako przestępstwo i uwzględniana jedynie przez nieliczne ustawy karne. Dopuszczają one łagodniejszą sankcję karną, gdy sprawca przyspieszył nieuniknioną śmierć chorego w celu uwolnienia go od aktualnych męczarni. W świetle większości ustaw właściwa eutanazja jest zwykłym zabójstwem. Na temat właściwej eutanazji toczy się wieloletni spór.

Szczególnie interesująca jest nowa dyskusja, która rozpoczęła się wokół publikacji *Köhlera, Liszta, Mayera, Nathana* [4] i w szczególności prac *Josta* [5], głównego przedstawiciela klasycznej szkoły prawa karnego *Bindinga* oraz znanego psychiatry, *Hochego* [6]. Tych trzech autorów dołącza nowy, decydujący element do podstawowego w eutanazji znamienia: współczucia. To *novum* ma charakter czysto utylitarny. Chodzi bowiem o bezwartościowość życia nieuleczalnie chorych. Z myślą o dopuszczalności skracania życia psychicznie chorym pierwszy ujawnił się prawnik *Jost*. Pogląd ten został rozwinięty przez *Bindinga* i *Hochego* we wspólnej pracy z roku 1920 pt. *Freigabe der Vernichtung lebensunwerten Lebens* (O dopuszczalności niszczenia bezwartościowego życia). Programowe założenia tych autorów brzmiały względnie umiarkowanie. Występują oni za uprzywilejowaniem, a nawet bezkarnością zabójstwa na żądanie, przy tym każde „nie zabronione zabójstwo osoby trzeciej musi być przez nią odczuwane co najmniej jako wybawienie" (*Erlösung*) [7]. Zarazem wymagają oni uszanowania woli do życia wszystkich „najbardziej cierpiących i całkowicie bezużytecznych". Wyłączają możliwość zabójstwa chorego psychicznie, który „czuje się szczęśliwy w swym życiu".

Przedstawione tezy obu autorów różnią się jednak istotnie od proponowanych przez nich wniosków ustawodawczych. Ze względu na praktyczną stronę eutanazji wymienieni autorzy dzielą wszystkich chorych na dwie grupy. Jedna z nich dotyczy właśnie nieuleczalnie psychicznie chorych (*unheilbar Blödsinnige*). Zdaniem *Bindinga* i *Hochego* chorzy ci są pozbawieni woli do życia i woli do śmierci, a zatem w odniesieniu do nich nie zachodzi „żadne zasługujące na uwagę zezwolenie na śmierć (...); ich życie jest całkowicie bezcelowe, sami jednak nie odczuwają go jako ciężaru nie do zniesienia". „Dla rodziny, jak i społeczeństwa stanowią dotkliwy ciężar", a „śmierć ich nie powoduje najmniejszej luki (...); nikt nie może zaprzeczyć, że w tym tkwi okropna niedorzeczność, nadużywanie siły życiowej do niegodnych celów". Według autorów, o dopuszczalności niszczenia tych „bezwartościowych" jednostek powinien orzekać właściwy organ lub też sprawca może działać na własne ryzyko, zawiadamiając potem odpowiednią władzę.

Z tego streszczenia poglądów *Bindinga* i *Hochego* wynika, że żądanie dopuszczalności eutanazji w stosunku do chorych psychicznie motywowali oni z jednej strony względami utylitarnymi (potrzebą uwolnienia społeczeństwa od bezużytecznego ciężaru), z drugiej strony nie uzasadnionymi naukowo hipotezami dotyczącymi podmiotowego stanu psychicznie chorych. Do nich należy zarówno bezpodstawny pogląd, że życie tych chorych jest dla nich męczarnią, z której chcieliby się jak najrychlej wyzwolić, jak również przypuszczenie, że chorzy psychicznie są pozbawieni woli do życia i woli do śmierci.

Poglądy obu autorów spotkały się z mniej lub bardziej stanowczym sprzeciwem i mimo autorytetu, jaki mieli w nauce, nie znalazły pozytywnego oddźwięku w żadnym podręczniku prawa karnego i psychiatrii. Przeciwnicy podkreślają, że dopuszczalności właściwej eutanazji nie da się uzasadnić *de lege lata* i *de lege ferenda* i że żaden człowiek nie ma prawa ani kwalifikacji do decydowania o wartości dla życia drugiego człowieka, dopóki on sam nie zażąda swej śmierci.

Na uwagę zasługuje jeszcze inny argument dotyczący stanu psychicznego chorych. Chodzi tu o stosunek emocjonalny chorego do lekarza, o to, co nazywa się zaufaniem. Świadomość tego, że lekarz ma prawo pozbawić go życia — nawet wbrew jego woli — prowadziłaby zapewne do ograniczenia liczby osób korzystających z pomocy lekarzy do tych chorych, którzy pragną umrzeć. Zdaniem oponentów uzasadnienie dopuszczalności eutanazji względami utylitarnymi nie może w ogóle być przedmiotem dyskusji. W ostatecznych konkluzjach przeciwnicy eutanazji — wśród nich również Niemcy — stwierdzają, że pozbawienie życia chorego bez jego zgody lub wbrew jego woli powinno być zawsze poczytane jako zwykłe zabójstwo lub morderstwo.

Omawiając poglądy przeciwników eutanazji, celowo pominąłem jeszcze jedną okoliczność, która zdecydowanie przeczy dopuszczalności lub uprzywilejowaniu właściwej eutanazji. Chodzi o to, że legalizacja zabójstwa chorego bez jego zgody mogłaby umożliwić realizację nie tylko humanitarnych dążeń, lecz również zwykłych morderstw, dokonanych z niskich, hańbiących motywów. Jak o tym świadczą fakty, obawy i zastrzeżenia przeciwników eutanazji nie były płonne. W roku 1939 pod pozorem legalności wprowadzono program masowego niszczenia istnień „niegodnych życia". Wstępem do tej akcji był nigdy nie ogłoszony dekret *Hitlera*. Jednym z ośrodków eutanazyjnych — prócz Hadamaru w Hesji, Hartheimu pod Linzem, Grafenecku w Wirtembergii, Sonnensteinu

[4] Cyt. wg *S. Glasera*: Zabójstwo na żądanie. Warszawa 1936, s. 60, 61, 62.

[5] Cyt. wg *S. Glasera*, l. c.

[6] *K. Binding, A. Hoche: Die Freigabe der Vernichtung lebensunwerten Lebens*. Leipzig 1920.

[7] Cytaty wg przekładu *S. Glasera*, l. c.

koło Pirny, Brandenburgu nad Hawelą [8] — był również Meseritz-Obrawalde, tj. Międzyrzecz-Obrzyce.

Jak wiadomo, lekarze i pielęgniarki szpitala w Obrzycach do sierpnia 1941 roku nie brali bezpośredniego udziału w zabijaniu chorych. Szpital w Obrzycach w tym okresie współdziałał jedynie w akcji eksterminacyjnej; kwalifikował chorych pod kątem ich użyteczności dla III Rzeszy i przekazywał na stracenie do innych zakładów eutanazyjnych. Bezpośredni udział w mordowaniu chorych rozpoczął się dopiero na przełomie lat 1941 i 1942 po pozornym wstrzymaniu programu „eutanazji". Do stycznia 1945 roku zginęło w Obrzycach przeszło 10 tysięcy chorych. Z tego okresu pozostały liczne ślady zbrodniczej działalności.

Szczególnie interesującym dowodem są zachowane historie chorób, stanowiące część obszernego archiwum szpitalnego. Zapoznanie się z niewielkim fragmentem tych dokumentów daje wystarczające wyobrażenie o niektórych praktycznych aspektach programu hitlerowskiej eutanazji. Wiele z tych historii chorób musi wzbudzić podejrzenie nawet nie uprzedzonego czytelnika, który cokolwiek orientuje się w dokumentacji szpitala psychiatrycznego. Wystarczy spojrzeć na obwoluty różnobarwnych, sztywnych okładek z licznych szpitali psychiatrycznych (oryginały historii chorób przesyłano do Obrzyc wraz z chorymi). Zielony kolor okładek, to głównie *Landesheil- und Pflegeanstalt* Meseritz-Obrawalde, fioletowy — Stettin, niebieski — Görden, szary — Zschadrass, żółty — Bonn. Różowe okładki pochodzą z *Landesheilanstalt Schleswig*. Same one rzucają się w oczy. Widoczne są znamienne pieczątki: z prawej strony *„14 September 1944, verlegt nach Meseritz"*, z lewej *„Meseritz-Obrawalde 15. 9. 44"*. Pod datą przybycia do Obrzyc znajduje się stylizowany krzyżyk i obok data zgonu. Z tych biurokratycznych oznaczeń wynika, że przeważająca większość chorych „przeniesionych" (*verlegt*) ze Szlezwiku do Obrzyc umierała w okresie pierwszych dwóch tygodni. Na kartach historii chorób obok daty zgonu stereotypowo powtarza się zwrot: *„exitus letalis"* oraz litery *„T. U."* (*Todesursache*). Przyczyny zgonu są również stereotypowe; najczęściej grypa, zapalenie płuc, wyczerpanie, gromadne napady padaczkowe. Nierzadko nad wzmianką o *„exitus letalis"* widoczna jest notatka o chorobie somatycznej, poprzedzająca zgon o jeden lub dwa dni. Notatka ta sporządzana jest z reguły przez tę samą osobę, która wpisała *„exitus letalis"*. Często jest ona po prostu dopisywana do zakończonej obserwacji z poprzednich dni, sporządzonej przez inną osobę. Niekiedy brak jest w ogóle formuły *„exitus letalis"*, a datę zgonu zaznaczono jedynie w rubryce *„Abgangstag"*.

W omawianych historiach chorób tych osób, które zostały przeniesione do Obrzyc, brak jest z reguły danych o sposobie leczenia zarówno choroby psychicznej, jak i tej, która doprowadziła do zgonu; brak jest również kart gorączkowych oraz godziny zgonu. To samo dotyczy historii chorób osób przeniesionych z Bonn w dniu 7 lipca 1944 roku. Ta szczególna dokumentacja lekarska stoi w rażącej sprzeczności z innymi historiami chorób nie tylko sprzed

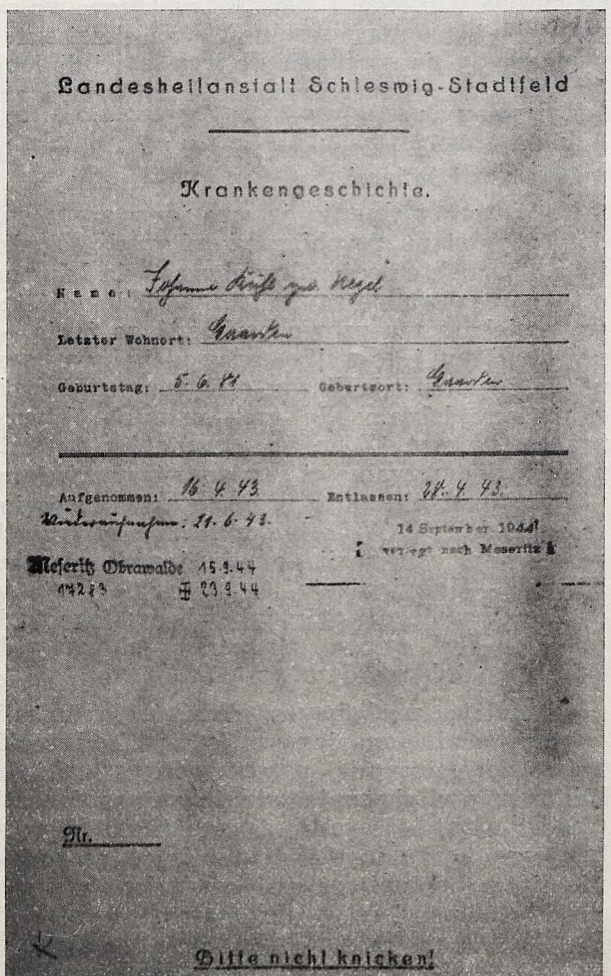
Landeshellanstalt Schleswig-Stadtfeld

Krankengeschichte.

Name: Lefèvre Käthe geb. Weigt

Letzter Wohnort: Gaarden

Geburtstag: 5. 6. 91 Geburtsort: Gaarden

Aufgenommen: 16. 4. 43 Entlassen: 28. 4. 43

Wiederaufgenommen: 11. 6. 43.

14 September 1944
verlegt nach Meseritz

Meseritz Obrawalde 15.9.44

Nr.

Bitte nicht knicken!

Ryc. 1. Reprodukcja okładki historii choroby *J. Kühla* (data urodzenia: 5. VI. 1891 r.)

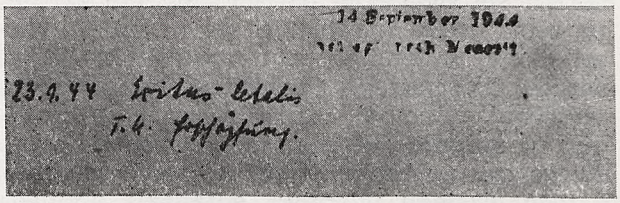
14 September 1944
verlegt nach Meseritz

23.9.44 Exitus letalis
T. U. Lobstickpneumonie.

Ryc. 2. Ostatnia notatka w historii choroby *J. Kühla*

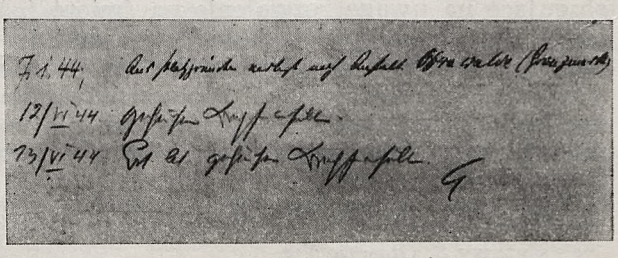
7.1.44, Aufgenommen auf Rechnung Ostpreußen (Prinzenhof)
12/VI 44 gestorben Lungenembolie
13/VI 44 Gl 81 gestorben Lungenembolie G

Ryc. 3. Końcowe notatki w historii choroby *G. Meisala* (data urodzenia: 21. IV. 1922 r.); chorego tego przeniesiono z Hochweizschen

[8] Zob. między innymi: Nieludzka medycyna. Dokumenty procesu norymberskiego przeciw lekarzom. Wydali i opatrzyli komentarzem *A. Mitscherlich* i *F. Mielke*. Przedm. do wyd. pol. *J. Sawicki*. Tłum. z niem. *A. Bukowczyk*. PZWL, Warszawa 1963.

roku 1939, lecz również z okresu wojennego. Historie choroby osób, które leczyły się podczas wojny bądź też umierały naturalną śmiercią nawet w roku 1944, są prowadzone *lege artis*. W aktach znajdują się obserwacje, zaznaczano sposób leczenia i sporządzano również krótkie wyciągi z poprzednich pobytów w innych szpitalach psychiatrycznych. W wypadku zejścia śmiertelnego są notatki o przebiegu choroby somatycznej i sposobie jej leczenia, o godzinie, a nawet o minucie zgonu. Załączano również karty gorączkowe.

Olbrzymia większość chorych, którym w Obrzycach przygotowywano „wybawienie" *(Erlösung* według terminologii *Bindinga* i *Hochego*), to obywatele III Rzeszy. Wielu jest robotników, są gospodynie domowe, urzędnicy, kupcy, żołnierze, a także matki żołnierzy, którzy w tym czasie ginęli na froncie (w aktach zachowały się zawiadomienia o śmierci i fotografie ich grobów). Przeważają osoby młode lub w średnim wieku nad starcami i dziećmi. Najczestsze rozpoznania psychiatryczne, to schizofrenia, porażenie postępujące, padaczka i niedorozwój umysłowy. Są również przypadki przewlekłej depresji w podeszłym wieku. Wielu z tych chorych poddano przymusowej sterylizacji. Chorzy wielokrotnie przebywali w szpitalach psychiatrycznych, a ich stan psychiczny w miesiacach poprzedzających transport do Obrzyc nie uległ istotnyr zmianom *(Im dem Befinden ist keine wesentliche Veränderung eingetreten)*. Na podstawie historii chorób trudno wnosić, w jakim stanie somatycznym znajdowali się chorzy przywożeni do Obrzyc. Watpić jednak należy, aby transportowano umierających lub ciężko chorych cieleśnie. Wprawdzie niektórzy ginęli podczas uciążliwej podróży lub zaraz po przyjęciu *(ist am gleichen Tage verstorben)*, w większości jednak chorzy byli prawdopodobnie we względnie dobrym stanie somatycznym, inaczej bowiem nie dotarliby do Obrzyc.

W zachowanych aktach oczywiście nie znajdziemy odpowiedzi na zasadnicze pytanie, czym się kierowano w doborze chorych przeznaczonych na zagładę. Ginęli przecież starzy i młodzi, schizofrenicy, epileptycy i oligofrenicy, zdrowi i chorzy cieleśnie. Wszyscy mieli jednak wspólną cechę, która kwalifikowała ich na „*Gnadentod*" z rąk lekarzy i pielęgniarek. Wydaje się, że polegała ona przede wszystkim na tym, że po pierwsze, wymagali oni leczenia i opieki, którą miały im zapewnić *Heil-* und *Pflegeanstälte*, a po drugie, nie mogli sprostać wymaganiom szczególnej „*Arbeitstherapie*", jaką im ordynowano w tych szpitalach. Że te kryteria odgrywały istotną rolę, świadczy miedzy innymi fakt, iż w nielicznych historiach chorób ze Szlezwiku bez stereotypowego „*exitus letalis*" są wzmianki o zatrudnieniu chorych.

W niektórych wypadkach wchodziły w rachubę również inne względy. Przykładem może być Polak, *Sylwester Tabbat*, urodzony w roku 1897, robotnik rolny, zamieszkały na stałe w Poznaniu. Rozpoznanie: psychopatia. W roku 1933 *Tabbat* leczył się w sanatorium w Kościanie, następnie w Dziekance i potem na oddziale psychiatrycznym w Poznaniu przy ul. Grobla 26. Podczas okupacji został wywieziony na roboty do miejscowości Deutsche Krone i stąd przekazany został do Obrzyc w roku 1940. *Tabbat* wielokrotnie uciekał (*aus der Abteilung entwichen*). Dnia 23 lipca 1943 roku znaleziono go w kanale ogrzewniczym, gdzie się ukrywał. Po trzech dniach *Tabbat* już nie żył. Pod datą 26 lipca 1943 roku jest widoczna wzmianka: „*exitus letalis*" i „*Lungenentzündung*". Autor tej wzmianki dopisał do wspomnianej notatki z dnia 23 lipca, sporządzonej przez inną osobę, następujące słowa: „*War durch Nahrungsmangel sehr geschwächt* (ostatnie słowo nieczytelne): *Pneumonie*". Sądzę, że fakty te nie wymagają komentarza.

Wystarczy to krótkie omówienie materiałów zawartych w niewielkiej tylko części zachowanych akt, aby dać dostatecznie przekonywającą ilustrację hitlerowskiego wariantu idei *Bindinga* i *Hochego*. Wariant ten niewątpliwie odbiegał od prototypu, niemniej jednak pokrewieństwo jest niezaprzeczalne. Nie cho-

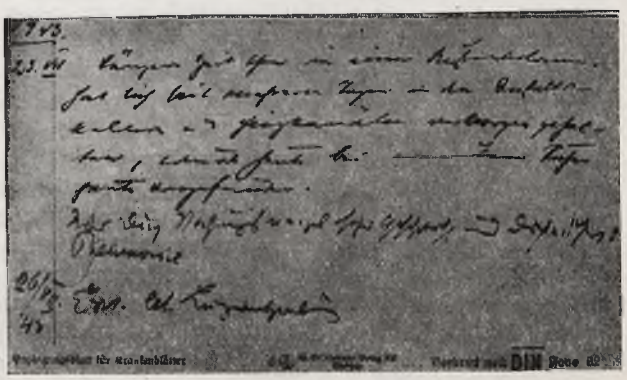

Ryc. 4. Końcowe notatki z historii choroby *S. Tabbata* (data urodzenia: 31.XII.1897 r.)

dzi tu tylko o pochodzenie biurokratycznego określenia skazanych na zagładę: „istnień niegodnych życia" *(lebensunwertes Leben)*. Priorytet w tym względzie bezspornie należy do obu autorów pracy „O dopuszczalności niszczenia istnień niegodnych życia". Są ponadto bardziej ścisłe powiązania. Do nich należy „odkrywcza" koncepcja o przedmiotowym wartościowaniu życia ludzkiego, uwzględniająca kryteria diagnostyki psychiatrycznej, a także myśl o potrzebie uwolnienia społeczeństwa od bezużytecznego ciężaru, jaki rzekomo stanowią psychicznie chorzy. Ten wynalazek *Bindinga* i *Hochego* po odpowiednim zmodyfikowaniu przez przywódców III Rzeszy przerodził się w dziki, brutalny, barbarzyński utylitaryzm. W obłudnej trosce o „zdrowie narodu" i „bezpieczeństwo narodowości niemieckiej" kryteria użyteczności społecznej uznano za niewystarczajace. „Niegodny życia" stał się nie tylko psychicznie chory Niemiec, lecz także każde politycznie niepożądane „istnienie", należace do „mniej wartościowego narodu". Różnica między nimi dotyczyła głównie metod i środków przeprowadzenia eksterminacji. Psychicz-

nie chorzy Niemcy ginęli *„abgespritz"*, bez uprzedzenia, natomiast inni, „mniej wartościowi", przechodząc pod bramą *„Arbeit macht frei"*, wiedzieli dokładnie, co ich czeka. Na morderstwach psychicznie chorych Niemców oszczędzano rokrocznie około 90 milionów marek, natomiast z innych „mniej wartościowych" produkowano mydło.

Oczywiste jest, że idea o przedmiotowym wartościowaniu życia ludzkiego posłużyła na koniec do przetwarzania człowieka w użyteczne przedmioty. Taka ewolucja myśli o „niszczeniu istnień niegodnych życia" nie przyśniłaby się *Bindingowi* i *Hochemu* w najkoszmarniejszym nawet śnie. Niech będzie ona przestrogą dla tych prawników i lekarzy, którzy nadal pragną jeszcze podnieść eutanazję właściwą do rangi zagadnienia.

STEFAN KASPEREK Bytom

Sterylizacje ze wskazań eugenicznych w latach 1934—1944 na Śląsku Opolskim

(Z Kliniki Neurologicznej Śląskiej AM w Zabrzu
Kierownik: Doc. dr *S. Żebrowski*)

Konsekwencją przyjęcia kryteriów rasowych oraz zasady biologicznej wyższości jednych narodów nad innymi była szczególna troska państwa hitlerowskiego o utopijną wprost doskonałość biologiczną narodu niemieckiego. Znalazło to wyraz przede wszystkim w szeroko zaplanowanej ingerencji w procesy populacyjne, ingerencji zarówno „pozytywnej" (akcja *Lebensborn*), jak i „negatywnej" — początkowo w formie eliminowania z procesu rozrodczego przez obezpładnianie, a później przez bezpośrednią likwidację jednostek niepełnowartościowych z punktu widzenia rzekomo naukowych kryteriów eugenicznych.

W zamierzeniach władców III Rzeszy w tej dziedzinie znajdowały się ponadto ponure plany zapobiegania — w drodze masowej sterylizacji — reprodukcji biologicznej tych społeczeństw lub ich części, których ze względów utylitarno-ekonomicznych bądź po prostu czysto „technicznych" nie przeznaczono do szybkiej, bezpośredniej zagłady.

Realizację tych zamierzeń, nie mających nic wspólnego z kulturą i ludzką naturą, zdołano zaledwie zapoczątkować. Czasu wystarczyło jedynie na opracowanie przez profesora ginekologii *Karla Clauberga*, dr *Horsta Schumanna* i innych lekarzy szczegółowej techniki, a także zagadnień organizacyjnych masowej sterylizacji kobiet oraz kastracji rentgenowskiej kobiet i mężczyzn (6, 8, 9). Zbrodnicze eksperymenty w tym kierunku przypłaciły życiem tysiące więźniów Oświęcimia.

Natomiast w pełniejszym zakresie zrealizowano inne metody „demografii negatywnej" (*Clauberg*): zagładę ludności żydowskiej, Cyganów i dużych liczebnie grup Polaków i Rosjan, pospolite mordy psychicznie chorych pod hasłem „eutanazji" w szpitalach oraz w specjalnie utworzonych w tym celu tajnych zakładach, zabijanie dzieci z wadami rozwojowymi i dzieci upośledzonych umysłowo (8). Zbrodnie te, dokonywane przy czynnym udziale niektórych lekarzy niemieckich, nie wyłączając profesorów fakultetów medycznych oraz fachowego personelu medycznego, stanowią najbardziej haniebne karty w historii medycyny. Dzięki procesom tych zbrodniarzy i publikacjom dokumentarnym znane są, bardziej czy mniej dokładnie, rozmiary i okoliczności akcji wyniszczających, przeprowadzanych w poszczególnych okresach drugiej wojny światowej.

Skupiający wciąż uwagę ogrom śmierci i cierpień, zadanych przez lekarzy hitlerowskich bezbronnym ludziom zdrowym, upośledzonym i chorym, skłania do zainteresowania się etapami poprzedzającymi te najokrutniejsze zbrodnie faszyzmu w dziedzinie medycyny i zagadnień populacyjnych. Chronologicznie pierwszym uczynionym krokiem była niewątpliwie wydana 14 lipca 1933 roku, a więc w niespełna 6 miesięcy po dojściu *Hitlera* do władzy, ustawa o „zapobieganiu dziedzicznie choremu potomstwu" (*Gesetz zur Verhütung erbkranken Nachwuchses*).

Powszechne w Europie w latach dwudziestych i trzydziestych zainteresowanie sprawami eugeniki znalazło w założeniu partii hitlerowskiej żywy oddźwięk. Jednak jeszcze w roku 1927 otwarto w Berlinie *„Kaiser Wilhelm Institut für Anthropologie, menschliche Erblehre und Eugenik"*, a już w lipcu 1932 r. pruska Krajowa Rada Zdrowia wypowiedziała się za wprowadzeniem dobrowolnej sterylizacji eugenicznej. Późniejsza czołowa osobistość hitlerowskiej służby zdrowia, osławiony dr *Conti* domagał się na tym posiedzeniu w imieniu *NSDAP* sterylizacji przymusowej, uwzględniającej kryteria rasowe (12). W chwili objęcia władzy przez *Hitlera* projekt ustawy sterylizacyjnej był gotowy, przewidywał jednak jako warunek obezpłodnienia zgodę zainteresowanej osoby lub jej opiekuna. Zwolennicy projektu i czynniki rządowe powoływały się na obowiązujące już tego rodzaju akty prawne w niektórych stanach

USA, w Danii oraz w szwajcarskim kantonie Vaud.

Hitlerowska ustawa sterylizacyjna sankcjonowała obezpłodnienie przymusowe w drodze chirurgicznej osób „dziedzicznie chorych" (*erbkrank*), tj. takich, u których stwierdzono jeden z następujących stanów chorobowych: 1) wrodzony niedorozwój umysłowy (*angeborener Schwachsinn*); 2) schizofrenię; 3) psychozę maniakalno-depresyjną; 4) dziedziczną padaczkę (*erbliche Fallsucht*); 5) pląsawicę Huntingtona; 6) dziedziczną ślepotę (*erbliche Blindheit*); 7) dziedziczną głuchotę (*erbliche Taubheit*); 8) ciężkie dziedziczne cielesne wady rozwojowe (*schwere erbliche körperliche Missbildung*).

Obezpłodniona mogła być też osoba obarczona ciężkim alkoholizmem (*schwerer Alkoholismus*). Natomiast zakazana była sterylizacja ze wskazań socjalnych, a także sterylizacja zdrowych członków rodziny „dziedzicznie chorego". Obejmująca 18 paragrafów ustawa weszła w życie 1 stycznia 1934 roku. Przewidywała ona, że z wnioskiem o obezpłodnienie występować mógł sam chory bądź jego opiekun, lub też lekarz urzędowy (powiatowy), a w stosunku do chorych przebywających w zakładach — ich kierownicy. Te same uprawnienia mieli również lekarze więzienni i obozów koncentracyjnych, jednostek wojskowych, oddziałów policji oraz *SS*. Osoby zajmujące się leczeniem i opieką nad chorymi zobowiązano do zgłaszania lekarzowi urzędowemu „dziedzicznie chorych" i alkoholików. Wniosek lekarza (jednego i obojętnie jakiej specjalności) rozpatrywała specjalnie powołana instytucja, tzw. sąd dla spraw zdrowia dziedzicznego (*Erbgesundheitsgericht*). Sądów tych było na terenie Niemiec 205 (12). Zespół orzekający stanowili sędzia (prawnik) oraz dwóch lekarzy, jeden „urzędowy", nie ten jednak, który podpisał wniosek o sterylizację, oraz drugi, wobec którego ustawa wyraźnie, ale też i jedynie postulowała „dobrą znajomość zagadnień zdrowia dziedzicznego". Członkami sądu mogli być tylko lekarze-„aryjczycy", stojący bez zastrzeżeń na gruncie ustawy. Kandydatury i opinie w tej sprawie były zgłaszane bądź uzgadniane z *NSDAP* (ryc. 1).

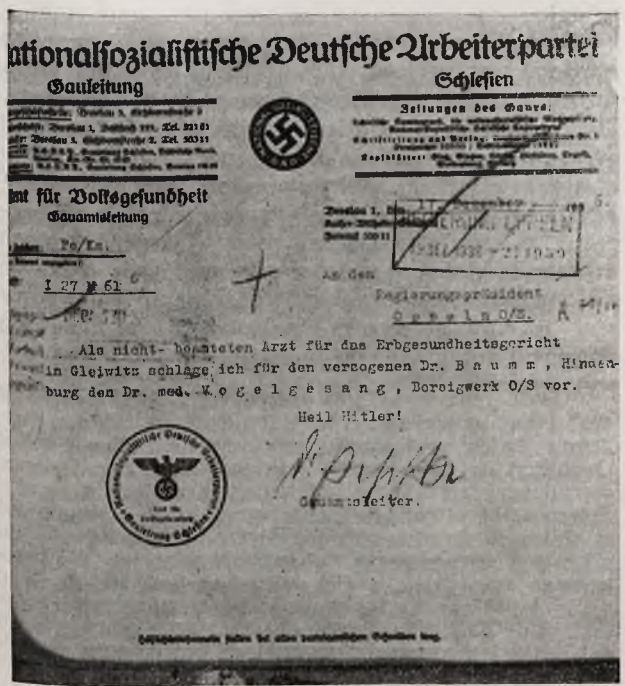
ationalsozialiftiſche Deutſche Arbeiterpartei
Gauleitung
Schleſien
Zeitungen des Gaues:
mt für Volksgesundheit
Gauamtsleitung
Pe/Ke.
I 27 M 61
An den
Regierungspräsident
Oppeln O/S.
Als nicht- beamteten Arzt für das Erbgesundheitsgericht in Gleiwitz schlage ich für den verzogenen Dr. Baumm, Hindenburg den Dr. med. Vogelgesang, Borsigwerk O/S vor.
Heil Hitler!
Gauamtsleiter.

Ryc. 1. Reprodukcja pisma *NSDAP* w sprawie obsadzenia stanowiska w *Erbgesundheitsgericht* (bliższy komentarz w artykule)

Sąd wzywał osobę, której wniosek dotyczył, do osobistego stawienia się na rozprawę, a w razie potrzeby zarządzał jej doprowadzenie. Mógł powoływać świadków i biegłych, zachowując jednak swobodną ocenę tych dowodów i rozstrzygał przez głosowanie w przedmiocie wniosku. W olbrzymiej większości wypadków wnioski sterylizacyjne zatwierdzano (11). Odwołanie od wyroku rozpatrywały tego samego typu sądy drugiej instancji (*Erbgesundheitsobergericht*), utworzone przy 26 tzw. *Oberlandesgerichte*. W wykazach osobowych sądów drugiej instancji spotkać można nazwiska znanych psychiatrów. W *Erbgesundheitsobergericht* w Kassel zasiadał między innymi twórca typologii człowieka, prof. *Ernst Kretschmer*, w Berlinie prof. *Karl Bonhöffer*, a we Wrocławiu prof. *Johannes Lange*, dyrektor kliniki neuro-psychiatrycznej (12).

Według instrukcji ministra sprawiedliwości sąd pierwszej instancji mógł rozpatrywać 15—20 spraw, a sąd drugiej instancji 12—15 spraw na jednym (!) posiedzeniu.

Wyrok był wykonywany w szpitalach wyznaczonych na danym terenie tylko przez upoważnionych lekarzy. W myśl § 12 ustawy obezpłodnienie należało przeprowadzić również wbrew woli zainteresowanego, korzystając ewentualnie z pomocy policji przy zastosowaniu przymusu (*unmittelbarer Zwang*). Jedynym sposobem uniknięcia wykonania prawomocnego wyroku było umieszczenie takiej osoby na stałe w zamkniętym zakładzie, absolutnie wyłączającym możliwość kontaktu z osobami drugiej płci. Do takich zakładów zaliczano między innymi oficjalnie obozy koncentracyjne, natomiast nie zaliczano ani klasztorów, ani prowadzonych przy nich zakładów opiekuńczych. Zabiegi sterylizacyjne wykonywano u osób po ukończeniu 10 roku życia. Wobec dzieci można było stosować środki przymusu dopiero od 14 roku życia. Początkowo pozostawiono operującym swobodę wyboru metody operacyjnej. Ponieważ jednak powtarzały się wypadki, w których przeprowadzone zabiegi okazały się nieskuteczne, zalecano później u mężczyzn resekowanie co najmniej 5 cm obu nasieniowodów. W roku 1936 dopuszczono u kobiet powyżej 38 roku życia obezpłodnianie promieniami Röntgena i radu pod warunkiem uzyskania zgody kobiety lub jej opiekuna na ten sposób sterylizacji.

Omówioną tutaj pokrótce hitlerowską ustawę sterylizacyjną stosowano na szeroką skalę na podstawie rozporządzeń wykonawczych. Rozporządzenie z 31 sierpnia 1939 roku miało na celu poważne ograniczenie całej akcji do wypadków, gdy istniało „szczególnie wielkie niebezpieczeństwo rozrodu". We wrześniu 1944

roku zarządzono zaniechanie stawiania wniosków sterylizacyjnych. Termin ograniczenia akcji, uwarunkowany głównie zapewne stanem wojny, dość wymownie zbiega się jednak z wszczęciem przygotowań do „eutanazji" w stosunku do psychicznie chorych. Nie brak zresztą zupełnie jednoznacznych dowodów (8), że już znacznie wcześniej hitlerowscy eugenicy i „poprawiacze" rodzaju ludzkiego w kontekście z prawnie obowiązującą, przymusową sterylizacją tzw. *Ballastexistenzen* (osób stanowiących ekonomiczne obciążenie państwa) projektowali ich uśmiercenie „z litości" (*Gnadentod*). W archiwum w Merseburgu (NRD) znalazłem na przykład sprawozdanie z narady odbytej w sierpniu 1933 roku w Münster, zatytułowane *„Debatte über Sterilisierung und Euthanasie"*. Biorący w niej udział prof. *Tischleder* z katolickiego wydziału teologicznego uniwersytetu w *Münster* już wtedy przypominać musiał jakże oczywiste, zdawałoby się, sprawy: „Wolno państwu pozbawiać życia zbrodniarzy, ale nie niewinnych (...). Duchowe i etyczne *imponderabilia* ważniejsze są od rachunkowych wyliczeń (...). Gdyby postępowano wyłącznie w myśl zasad eugenicznych, niejedna wielkość duchowa świata, nie będąca okazem fizycznej doskonałości, żyć nie miałaby prawa (...)".

Mimo oporu w społeczeństwie, protestów i krytyki z różnych punktów widzenia za granicą (3, 4, 5, 7) zalegalizowana przymusowa sterylizacja była konsekwentnie stosowana przez aparat III Rzeszy. Akcja ta, prowadzona z pogwałceniem wolności osobistej, pełna pogardy dla upośledzonego człowieka i godności ludzkiej w ogóle, niewątpliwie stworzyła odpowiedni klimat dla zbrodni znacznie większego kalibru. Z kolei zaczęto masowo realizować „eutanazję", nie usankcjonowaną już żadnym aktem prawnym, a jedynie poufnym poleceniem *Hitlera*, wydanym jesienią 1939 roku (8, 10).

Zagadnienie realizacji hitlerowskiej ustawy sterylizacyjnej zasługuje na odrębne, wyczerpujące opracowanie, które jednak wykraczałoby poza rozmiary artykułu. Tutaj dla przykładu wystarczy się przyjrzeć, jak ta sprawa wyglądała na terenie Bytomia i powiatu bytomskiego, należących wówczas administracyjnie do tzw. rejencji opolskiej. Opracowanie oparte jest na oryginalnych niemieckich materiałach urzędowych, zachowanych w wojewódzkich archiwach państwowych we Wrocławiu i w Katowicach. Przedstawienie całości tych materiałów, odnoszących się do Opolszczyzny i Dolnego Śląska, będzie wymagać obszerniejszego omówienia.

Przy bytomskim sądzie grodzkim (*Amtsgericht*), podobnie jak w Gliwicach, utworzono *Erbgesundheitsgericht* z następującą obsadą lekarską: lekarze „urzędowi": dr *Fabisch* (lekarz sądowy, neurolog), dr *Andreas Fox*, dr *Jürgens* (lekarz powiatowy w Zabrzu); lekarze „nieurzędowi": dr *Stridde*, dr *Wiesner* (lekarz powiatowy w Strzelcach Opolskich), dr *Scholz*, a później dr *Lemmel*. Wszczęciem postępowania sterylizacyjnego zajmował się głównie *Gesundheitsamt* (odpowiednik miejskiego wydziału zdrowia). Jego kierownikiem był dr *Fox*, zastępcą dr *Ebert*. Te dwa nazwiska widnieją pod kilkoma zachowanymi protokołami badań, obejmujących szczegółowy wywiad osobisty, a zwłaszcza rodzinny, ocenę stanu fizycznego i psychicznego, rozpoznanie oraz uzasadnienie zakończone wnioskiem o obezpłodnienie. W wypadkach „wrodzonego niedorozwoju umysłowego" wypełniano formularz pod nazwą *„Intelligenzprüfungsbogen"*. Formularz zawierał bardzo liczne, wydrukowane już pytania i zadania rachunkowe o pewnej skali trudności, włącznie z arytmetycznymi zadaniami tekstowymi, pytania o Lutra, odkrywcę Ameryki itp. Do badań wzywano osoby uprzednio wskazane przez personel służby zdrowia, administracji, a zwłaszcza instytucji opieki społecznej [1]. Na podstawie wywiadu w miejscu zamieszkania chorego pielęgniarki wydziału zdrowia sporządzały obszerny wykaz drzewa genealogicznego. Z wnioskami sterylizacyjnymi występowano jednak tylko w stosunku do członków rodziny o ujawnionych w fenotypie stanach chorobowych. Pozostałych, jawnie zdrowych, ale, jak można było przypuszczać, w myśl zaaprobowanych praw genetyki mendlowskiej obciążonych w genotypie ustawa nie obejmowała.

Zadaniem sądu było przekonać się na niejawnej rozprawie o zasadności wniosku lekarza urzędowego. Przesłuchiwano więc „dziedzicznie chorego". W nielicznych tylko wypadkach kierowano te osoby na obserwację do szpitali psychiatrycznych w Toszku, Branicach lub do klinik wrocławskich. Odwołania od decyzji sądu bytomskiego rozpatrywał *Erbgesundheitsobergericht* we Wrocławiu na podstawie akt, bez wzywania zainteresowanej osoby. Przepisy wymagały dokonania zabiegu w ciągu 14 dni od zapadnięcia prawomocnego postanowienia.

Na każdym etapie tej procedury szeroko praktykowany (por. tab. III) był przymus policyjny, tj. doprowadzenie chorego pod eskortą. Potrzeba użycia policji zachodziła najczęściej w celu sprowadzenia chorego do szpitala. Zachowała się bogata korespondencja między placówkami policji a zainteresowanymi instytucjami z ministerstwem spraw wewnętrznych włącznie, dotycząca konkretnych osób (ryc. 2). Dla uniknięcia sterylizacji osoby te ukrywały się, a nawet przekraczały pobliską granicę Rzeszy, uchodząc do polskiej części Śląska [2].

[1] Dość znamienny jest dokument z dnia 8 czerwca 1935 roku, zawierający ponaglenie dla dyrektora tzw. Domu Kalek w Bytomiu (obecnie Centralny Szpital Górniczy) dr *Seifferta* do występowania z wnioskami sterylizacyjnymi. Fakt, że lekarz ten, mający w swojej opiece setki ułomnych i chorych, zamiast występować w stosunku do nich z wnioskami o obezpłodnienie (do czego był uprawniony), dokonywał tylko ich obowiązkowego zgłoszenia, zdaje się wskazywać na tle jego ogólnej postawy (wypowiedź ustna *J. Kwietniewskiego*), że dr *Seiffert* celowo nie włączył się aktywnie do tej akcji, jak to czyniło wielu jego kolegów na terenie miasta.

[2] Nazwiska osób ukrywających się w związku z akcją sterylizacyjną były ogłaszane w *Deutsches Kriminalpolizeiblatt*, stałym wydawnictwie publikującym wykazy osób ściganych.

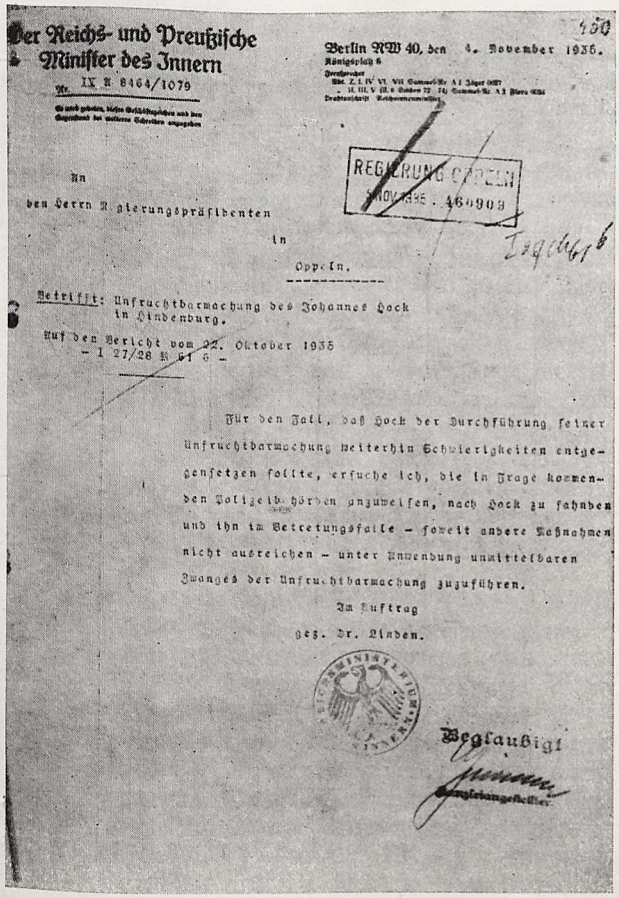

Der Reichs- und Preußische Minister des Innern

IX E 8464/1079

Berlin NW 40, den 4. November 1935.
Königsplatz 6

An
den Herrn Regierungspräsidenten
in
Oppeln.

Betrifft: Unfruchtbarmachung des Johannes Hock in Lindenburg.

Auf den Bericht vom 22. Oktober 1935 - I 27/28 E 61 G -

Für den Fall, daß Hock der Durchführung seiner Unfruchtbarmachung weiterhin Schwierigkeiten entgegensetzen sollte, ersuche ich, die in Frage kommenden Polizeibehörden anzuweisen, nach Hock zu fahnden und ihn im Betretungsfalle - soweit andere Maßnahmen nicht ausreichen - unter Anwendung unmittelbaren Zwanges der Unfruchtbarmachung zuzuführen.

Im Auftrag
gez. Dr. Linden.

Beglaubigt

Ryc. 2. Reprodukcja pisma ministerstwa spraw wewnętrznych, nakazującego przymusową sterylizację *J. Hocha*

Kto zdecydował się na powrót, trafiał w ręce policji i na stół operacyjny.

Szpitale wyznaczone do przeprowadzania chirurgicznych zabiegów obezpładniających są podane w tabeli I.

Tabela I

Szpitale wyznaczone do przeprowadzania chirurgicznych zabiegów obezpładniających

Lp.	Szpital	Uprawnieni lekarze	Liczba zabiegów wykonanych do 30. VI. 1935 r.
	U mężczyzn		
1	Szpital Miejski w Bytomiu (obecnie Miejski nr 1)	*Max Wülfing*	135
2	Szpital Spółki Brackiej w Bytomiu (obecnie Miejski nr 2)	*Johannes Becker, Peter Amende, Ernst Undeutsch*	12
3	Szpital Spółki Brackiej w Rokitnicy (obecnie siedziba Śląskiej Akademii Medycznej)	*Arch. Clifford, Kulczynski*	4
	U kobiet		
4	Klinika Kobieca Spółki Brackiej w Bytomiu (obecnie Szpital Miejski nr 2)	*Baum, Schmidt*	brak danych

Większość kobiet z terenu Bytomia obezpładniano w *Landesfrauenklinik* (obecnie Instytut Onkologii) w Gliwicach. W ciągu pierwszych 18 miesięcy trwania akcji wysterylizowano w tym ośrodku 478 kobiet z różnych okolic Śląska Opolskiego (dr *Scheffzek*, dr *Nieslony*). W tabeli II zebrano dane dotyczące sterylizacji dokonanych u osób mieszkających na terenie miasta Bytomia oraz powiatu (Bobrek-Karb, Miechowice, Miedary, Mikulczyce, Rokitnica, Stolarzowice, Szombierki, Wieszowa i Zbrosławice). Statystyka ta jest niepełna, bo obejmuje tylko okres do pierwszego półrocza 1938 roku. Danych z późniejszego okresu dotychczas nie odnaleziono.

Biorąc pod uwagę, że liczba ludności wynosiła na tym terenie niecałe 200 tysięcy, liczba 616 obezpłodnień w okresie 4 i pół lat uzmysławia nasilenie i pośpiech akcji. W 33 stanach Ameryki Północnej w latach 1907—1953 obezpłodniono ze wskazań eugenicznych łącznie 56 139 osób (*The Encyklopedia Americana*, 1959), a w całej Danii w latach 1929—1934 zaledwie 190 (11).

Według niepełnych danych (tab. II) największy odsetek sterylizacji w rejonie Bytomia przypada na „niedorozwój umysłowy", na drugim miejscu znaleźli się zapewne schizofrenicy, na trzecim — epileptycy. Krytyka tych poczynań eugenicznych przekraczałaby ramy artykułu. W odniesieniu do chorób psychicznych, które — jak można sądzić na podstawie materiału bytomskiego — stanowiły zapewne wraz z oligofrenią ogromną większość wskazań do zastosowania hitlerowskiej ustawy sterylizacyjnej, krytykę taką przeprowadził *T. Bilikiewicz:* „Wynikające z praw Mendla ustawodawstwo sterylizacyjne jest oparte na błędnych podstawach, nie prowadzi do celu w praktyce i połączone jest z krzywdą ludzi poddanych ubezpłodnieniu (...). Przeważnie stwierdza się przenoszenie chorób dziedzicznych poprzez łańcuchy genealogiczne boczne, a więc za pośrednictwem genotypów. Wyłapanie tych genotypów jest praktycznie niemożliwe, a gdyby się znalazł u władzy taki szaleniec, musiałby ubezpłodnić w każdym kraju co najmniej 1/6 ludności. Akcja zapobiegawcza na tak obłędną miarę doprowadziłaby zresztą równocześnie do odmówienia prawa do życia mnóstwu ludzi uzdolnionych i genialnych. Geniusz i obłąkanie chodzą bowiem niewątpliwie w parze" (1).

Spośród najbardziej rażących faktów dotyczących hitlerowskiej praktyki eugenicznej warto zwrócić uwagę na następujące:

1. W komentarzu do ustawy, stanowiącym rodzaj poradnika dla wszystkich jej wykonawców, *Gütt* (dr medycyny w ministerstwie spraw wewnętrznych), *Rüdin* (profesor psychiatrii w Monachium) i *Ruttke* (prawnik w ministerstwie spraw wewnętrznych) następująco sformułowali definicję „wrodzonego niedorozwoju umysłowego": „...każdy dający się w sensie medycznym ustalić jako wyraźnie nienormalny stopień słabości umysłu (*Geistesschwäche*), a więc od przypadków idiotyzmu, przez duży zakres odmian imbecylizmu aż do debilizmu".

Tabela II

Zestawienie obezpłodnień przeprowadzonych w okresie od 1. I. 1934 do 30. VI. 1938 roku na terenie Bytomia według wskazań

Rok	Niedorozwój umysłowy		Schizofrenia		Cyklotymia		Padaczka		Pląsawica Huntingtona		Ślepota		Głuchota		Wady rozwojowe		Alkoholizm		Razem	
	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k
1934																				
Bytom (miasto i powiat)	42	28	22	20	1	2	19	9	—	—	1	—	1	—	1	—	2	—	89	59
1935																				
Bytom (miasto)	(48)		(20)		(—)		(22)		(—)		(—)		(7)		(9)		(2)		63	51
Bytom (powiat)	(44)		(18)		(—)		(8)		(—)		(—)		(2)		(—)		(—)		53	39
1936																				
Bytom (miasto)	12	14	7	4	—	—	3	1	—	—	—	—	3	2	—	—	1	—	26	21
Bytom (powiat)	16	17	9	3	—	—	3	1	—	—	—	—	5	2	1	1	1	—	35	24
1937																				
Bytom (miasto)	12	6	6	6	—	—	1	2	—	—	1	—	3	2	—	—	—	1	23	17
Bytom (powiat)	34	22	4	5	—	—	5	3	—	—	—	2	—	—	—	—	—	—	43	32
1938 (1 półrocze)																				
Bytom (miasto)	Brak danych																		5	7
Bytom (powiat)																			13	16
Razem	116	87	48	38	1	2	31	16	—	—	2	2	12	6	2	1	4	1	350	266

m — mężczyźni, k — kobiety
W nawiasach podano liczbę wniosków w sprawie sterylizacji mężczyzn i kobiet łącznie

I dalej: „Intencją ustawodawcy jest, by tylko wtedy zrezygnować z obezpłodnienia, kiedy przyczynę niedorozwoju umysłowego można n a p e w n o (podkreślenie w tekście oryginalnym — *S. K.*) ustalić jako egzogenną. Sądowi dla spraw zdrowia dziedzicznego pozostawia się swobodną ocenę, czy dowód zadziałania szkodliwości zewnętrznej należy uznać za przeprowadzony bez zastrzeżeń, czy też nie". W Niemczech miało być 300—600 tysięcy osób obarczonych „wrodzonym niedorozwojem umysłowym", z czego co najmniej $^2/_3$ według autorów komentarza było uwarunkowane dziedzicznie. W rzeczywistości, jak stwierdza *Bilikiewicz*, „traktowanie oligofrenii jako jednostki nozologicznej jest niedopuszczalne, gdyż przygniatająca większość tych przypadków powstaje z przyczyn nabytych".

2. Przez pojęcie „dziedzicznej padaczki" *Gütt, Rüdin, Ruttke* rozumieli *epilepsia genuina* i zalecali rozpoznawać ją, jeśli nie udało się obiektywnie udowodnić żadnych nabytych uszkodzeń mózgu. Niewystępowanie w rodzinie dalszych przypadków padaczki nie miało znaczenia. W odniesieniu do padaczki hitlerowskim eugenikom zarzucić trzeba jednak nie tylko nietrafne, anachroniczne dziś poglądy na dziedziczność tej choroby (2), które nie znajdują potwierdzenia w faktach (1), ale również okoliczność rozpoznawania padaczki skrytopochodnej bez przeprowadzania w każdym wypadku szczegółowego badania klinicznego, mogącego zmienić rozpoznania medyków urzędowych i sądowych. Nie wymagano przecież od nich

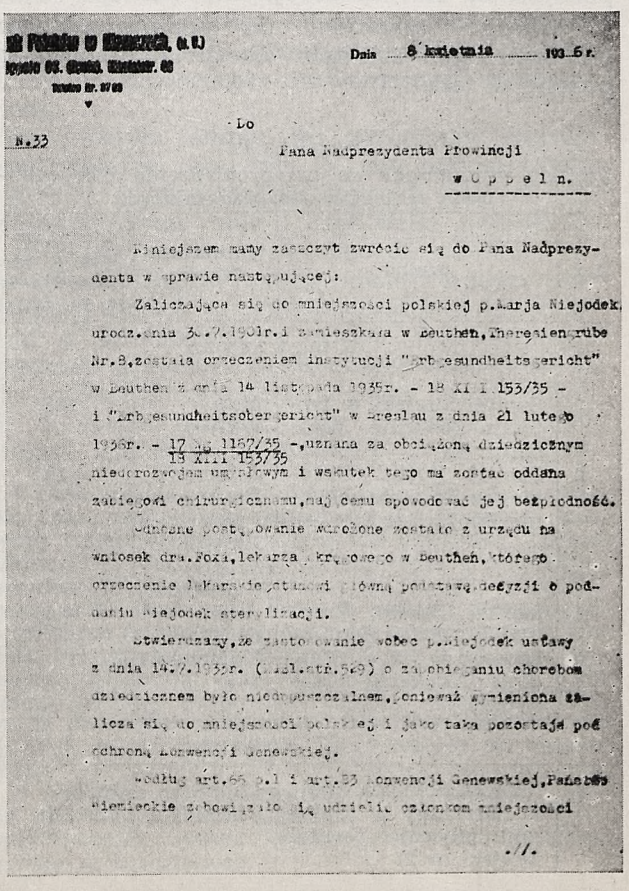

Dnia 8 kwietnia 193 6 r.

Do

Pana Nadprezydenta Prowincji

w O p o l u.

Niniejszem mamy zaszczyt zwrócić się do Pana Nadprezydenta w sprawie następującej:

Zaliczająca się do mniejszości polskiej p.Marja Niejodek urodz.dnia 30.7.1901r. i zamieszkała w Beuthen,Theresienstrasse Nr.8,została orzeczeniem instytucji "Erbgesundheitsgericht" w Beuthen z dnia 14 listopada 1935r. - 18 XI 153/35 - i "Erbgesundheitsobergericht" w Breslau z dnia 21 lutego 1936r. - 17 Wa 1167/35 - uznana za obciążoną dziedzicznym niedorozwojem umysłowym i wskutek tego ma zostać oddana zabiegowi chirurgicznemu,mającemu spowodować jej bezpłodność.

Odnośne postępowanie wszczęte zostało z urzędu na wniosek dra.Foxa,lekarza okręgowego w Beuthen,którego orzeczenie lekarskie stanowi główną podstawę decyzji o poddaniu Niejodek sterylizacji.

Stwierdzamy,że zastosowanie wobec p.Niejodek ustawy z dnia 14.7.1933r. (Ustaw.str.529) o zapobieganiu chorobom dziedzicznem było niedopuszczalnem,ponieważ wymieniona zalicza się do mniejszości polskiej i jako taka pozostaje pod ochroną Konwencji Genewskiej.

Według art.66 p.1 i art.83 Konwencji Genewskiej,Państwo niemieckie zobowiązało się udzielić członkom mniejszości

.//.

Ryc. 3. Oryginalny tekst interwencji Związku Polaków w Niemczech, protestującej przeciw sterylizacji Polki *Marii Niejodek* z Bytomia

bynajmniej dobrej znajomości patologii układu nerwowego. Nie dziwi więc, że tacy „rzeczoznawcy", uzbrojeni w wywody różnych funkcjonariuszy partyjnych z dyplomami i tytułami uniwersyteckimi, nie przywiązywali dostatecznej wagi do wywiadu, a nawet ignorowali świadectwa lekarzy domowych o przebyciu przez chorego spraw chorobowych, sugerujących stany zapalne oponowo-mózgowe (13). Ponadto rozpoznania *„erbliche Fallsucht"*, jakie stawiała klinika wrocławska i inne ośrodki w nielicznych wypadkach poddanych obserwacji szpitalnej, z reguły nie były oparte na takich dostępnych już wówczas badaniach, jak np. odma mózgowa. Daremne prośby o „ułaskawienie", pisywane przez rodziny i samych epileptyków do *Hitlera* czy różnych instancji, są szczególnie przejmujące; obrazują ogrom krzywdy wyrządzonej tym chorym przez dalsze ich okaleczenie.

Przechodząc do omówienia przebiegu akcji sterylizacyjnej wobec ludności polskiej, stwierdzić trzeba, że hitlerowska ustawa sterylizacyjna dotyczyła wszystkich mieszkańców Rzeszy bez względu na ich obywatelstwo czy narodowość. Wobec obywateli państw obcych (na Opolszczyźnie głównie Polski i Czechosłowacji) na wyraźne nalegania ministerstwa spraw zagranicznych unikano stosowania bezpośredniego przymusu. Pozostałe artykuły ustawy i cała procedura miały jednak zastosowanie. Skazani na obezpłodnienie obcokrajowcy mieli do wyboru poddanie się zabiegowi, stały pobyt w zakładzie zamkniętym albo emigrację. Emigrujący wprost z zakładów musieli być konwojowani przez policję do samej granicy. W wielu wypadkach następowało przekazanie ich władzom polskim na punkcie granicznym na dworcu kolejowym w Bytomiu.

Ludność polska o obywatelstwie niemieckim przyjęła hitlerowską ustawę sterylizacyjną z nie mniejszym wewnętrznym sprzeciwem i obawą niż większość społeczeństwa niemieckiego. Po wytoczeniu pierwszych spraw sterylizacyjnych bytomskim Polakom wystąpił w ich obronie Zarząd Dzielnicy I Związku Polaków w Niemczech z siedzibą w Opolu. Wiązano z tą akcją pewne nadzieje, ponieważ ludność polska jako tzw. mniejszość narodowa posiadała formalnie pewną ochronę prawną w Konwencji genewskiej, obowiązującej do lipca 1937 roku. W jednym z artykułów Konwencji „państwo niemieckie zobowiązało się udzielić członkom mniejszości polskiej całkowitej ochrony życia i wolności". Związek Polaków wnosił więc skargi w obronie wielu osób do tzw. komisji mieszanej, organu międzynarodowego, powołanego na podstawie wspomnianej Konwencji, stwierdzając: „Ponieważ zabieg chirurgiczny mający na celu sterylizację jednostki jest bezsprzecznie ciężkim uszkodzeniem ciała, które pociąga za sobą odebranie życiu danego osobnika jednego z najgłówniejszych celów życiowych, tj. zachowania gatunku, więc zastosowanie takiego zabiegu wobec członków mniejszości polskiej stanowi w każdym wypadku naruszenie postanowień Konwencji genewskiej".

Ponadto w skargach wysuwano zarzut przeprowadzania badania poziomu umysłowego osób narodowości polskiej w języku niemieckim, mimo iż mogły one język ten znać niedostatecznie (ryc. 3). Trudno ustalić, czy zarzut ten był

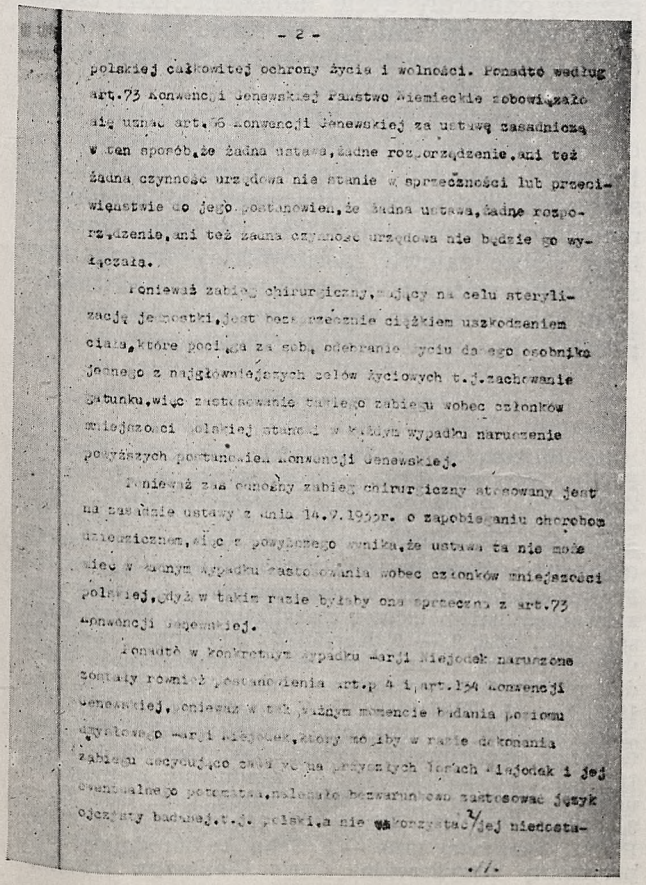

- 2 -

polskiej całkowitej ochrony życia i wolności. Ponadto według art.73 Konwencji Genewskiej Państwo Niemieckie zobowiązało się uznać art.66 Konwencji Genewskiej za ustawę zasadniczą w ten sposób,że żadna ustawa,żadne rozporządzenie,ani też żadna czynność urzędowa nie stanie w sprzeczności lub przeciwieństwie do jego postanowień,że żadna ustawa,żadne rozporządzenie,ani też żadna czynność urzędowa nie będzie go wyłączała.

Ponieważ zabieg chirurgiczny,mający na celu sterylizację jednostki,jest bezsprzecznie ciężkim uszkodzeniem ciała,które pociąga za sob, odebranie życiu danego osobnika jednego z najgłówniejszych celów życiowych t.j.zachowanie gatunku,więc zastosowanie takiego zabiegu wobec członków mniejszości polskiej stanowi w każdym wypadku naruszenie powyższych postanowień Konwencji Genewskiej.

Ponieważ zaś omówiony zabieg chirurgiczny stosowany jest na zasadzie ustawy z dnia 14.7.1933r. o zapobieganiu chorobom dziedzicznem,więc z powyższego wynika,że ustawa ta nie może mieć w żadnym wypadku zastosowania wobec członków mniejszości polskiej,gdyż w takim razie byłaby ona sprzeczna z art.73 Konwencji Genewskiej.

Ponadto w konkretnym wypadku Marji Niejodek naruszone zostały również postanowienia art.66 i art.134 Konwencji Genewskiej, ponieważ w żadnym momencie badania poziomu umysłowego Marji Niejodek,który mógłby w razie dokonania zabiegu uniemożliwić ewentualne przeniesienie Niejodek i jej ewentualnego potomstwa,należało bezwarunkowo zastosować język ojczysty badanej,t.j. polski,a nie w konsekwencji jej niedosta-

./.

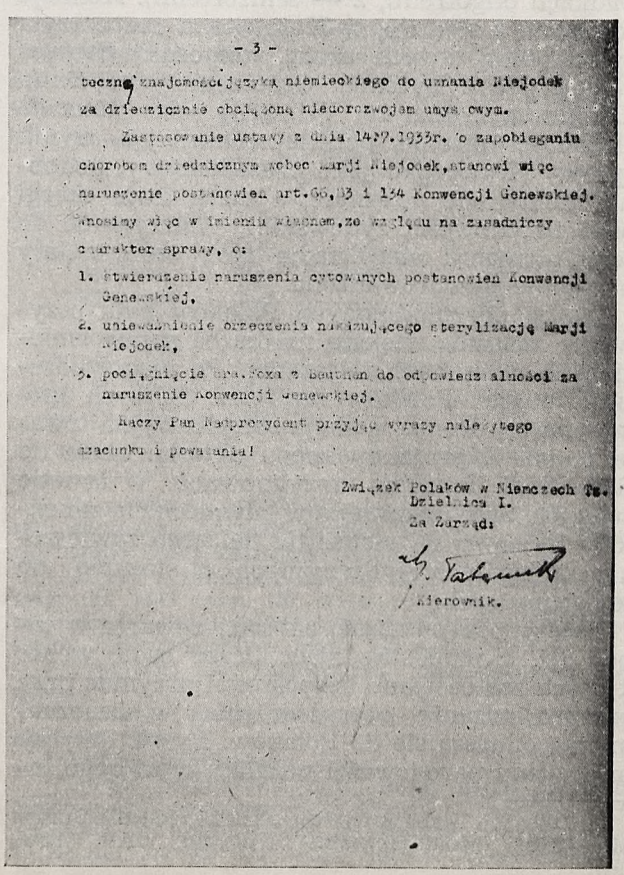

- 3 -

tecznej znajomości języka niemieckiego do uznania Niejodek za dziedzicznie obciążoną niedorozwojem umysłowym.

Zastosowanie ustawy z dnia 14.7.1933r. o zapobieganiu chorobom dziedzicznym wobec Marji Niejodek,stanowi więc naruszenie postanowień art.66,83 i 134 Konwencji Genewskiej. Wnosimy więc w imieniu własnem,ze względu na zasadniczy charakter sprawy, o:

1. stwierdzenie naruszenia cytowanych postanowień Konwencji Genewskiej,
2. unieważnienie orzeczenia nakazującego sterylizację Marji Niejodek,
3. pociągnięcie urzędnika z Bautzen do odpowiedzialności za naruszenie Konwencji Genewskiej.

Raczy Pan Rzeczpoznawca przyjąć wyrazy należytego szacunku i poważania!

Związek Polaków w Niemczech Ts.
Dzielnica I.
Za Zarząd:

Kierownik.

trafny i uzasadniony. W zbadanych przeze mnie materiałach niemieckich znajdują się wzmianki o posługiwaniu się w związku z tym zarzutem przez lekarzy i sądy tłumaczami. Nie ulega jednak wątpliwości, że warunki, w jakich prowadzono te badania, nie sprzyjały obiektywnym wynikom. Uwzględnić też trzeba takie okoliczności, jak atmosfera pruskiego urzędu i sądu, których od najwcześniejszych lat życia uczono się nie tylko respektować, ale i lękać, przedmiot przesłuchań i ich ewentualny wynik, widmo grożącej operacji, może impotencji, może kalectwa, poczucie zadawanego gwałtu, przed którym nie wiadomo jak się bronić, obecność ewentualnego tłumacza, laika, a nie lekarza, o wątpliwym przygotowaniu i podejściu itp.

Lekarz lub tłumacz, odczytujący z formularza pytania o Lutra, Bismarcka, Hindenburga, ustrój państwa, o różnicę między prokuratorem a adwokatem (*Staatsanwalt — Rechtsanwalt*), nakazujący może chłopcu czy dziewczynie z polskiej rodziny objaśnić znaczenie przysłów niemieckich, jak choćby tego: *Unrecht Gut gedeiht nicht*", i to zazwyczaj po uprzednim konwoju policyjnym, zawstydzającym i demaskującym wobec otoczenia, wzbudzającym napięcie i lęk, oto sytuacja, która była wymierzona przeciw ofierze. Dr *Fox*, najaktywniejszy propagator i wykonawca hitlerowskiej ustawy sterylizacyjnej na terenie Bytomia, stwierdził w jednym z dokumentów, że języka polskiego nie zna zupełnie.

Na ogólną liczbę 32 skarg [3], wniesionych przez Związek Polaków z terenu Śląska Opolskiego, na Bytom przypada ich 18 (16 w przypadkach oligofrenii, 2 — schizofrenii). Komisja mieszana z siedzibą w Katowicach rozpatrzyła tylko jedną z tych skarg, dotyczącą *Stefana Krawczyka* z Bytomia. Orzeczenie prezydenta *Calondera* z dnia 26. VII. 1936 roku odmawia słuszności stronie polskiej. Oceniając wynik sprawy *Krawczyka* jako precedensowy, podobnie załatwiono pozostałe, a także dwie skargi osób narodowości żydowskiej. Wstrzymane do tego momentu sterylizacje tych osób zostały następnie przeprowadzone.

Liczba obezpłodnionych Polaków była oczywiście znacznie większa niż liczba spraw wniesionych do komisji mieszanej. Po niepowodzeniu Związek Polaków zaniechał dalszych kroków na tej drodze, a akcja sterylizacyjna trwała nadal. Z projektowanego odwołania się do Rady Ligi Narodów zrezygnowano. W świetle znanych dziś dokumentów niemieckich zmusiłoby to zapewne władze do dalszego zawieszenia zabiegów sterylizacyjnych w stosunku do tej grupy osób.

Należy przypuszczać, że dane zawarte w tabeli III, a przedstawiające liczbę osób, wobec których zastosowano bezpośredni przymus przy przeprowadzaniu obezpłodnienia, w znacznej mierze odnoszą się do Polaków. Ryc. 2 dotyczy mężczyzny narodowości polskiej, w którego in-

[3] Taką ich liczbę zawierają akta Urzędu dla Spraw Mniejszości (*Minderheitsamt*) w Opolu. WAP Wrocław.

Tabela III

Liczba osób, wobec których zastosowano bezpośredni przymus przy przeprowadzaniu obezpłodnień

Rok	Bytom	
	miasto	powiat
1934	70	48
1935	67	40
1936	10	18
1937	8	28
1938	brak danych	brak danych
Razem	155	134

teresie wystąpił Związek Polaków; ministerstwo spraw wewnętrznych nakazuje przymusową sterylizację. Podobnych dokumentów zachowało się wiele.

Zestawienie danych z tabeli II i III za lata 1934—1937 wykazuje, że na 575 obezpłodnień przeszło połowa, bo 289, odbyła się przy zastosowaniu bezpośredniego przymusu policyjnego. „Popularność" całej akcji w społeczeństwie wynika choćby stąd, że w okresie 4 i pół lat zaledwie 11 osób wystąpiło we własnym imieniu o sterylizację eugeniczną, a dwie osoby mające wyroki sterylizacyjne wybrały stały pobyt w zakładzie zamkniętym zamiast zabiegu.

Dane te wykazywali sami Niemcy w swoich sprawozdaniach. Istnieje chyba dostateczna pewność, że nie są to dane przesadzone. Co więcej, wielu chorych udawało się do szpitala, unikając kontaktu z policją ze względu na różne konieczności życiowe. Wszyscy oni stali się jednymi z pierwszych ofiar „nieludzkiej medycyny".

Chociaż ręce, które ich „tylko" okaleczały, później odbierały życie milionom ludzi często wybitnych, nie zmienia to faktu, że również krew tych słabszych istot ludzkich pozostawiła trwały ślad na tych rękach.

Zmniejszający się w miarę prowadzenia akcji odsetek wypadków, z którymi były kłopoty policyjne, stanowi odbicie słabnącego oporu społeczeństwa wobec krzepnącej hitlerowskiej machiny państwowej i jest wyrazem kapitulacji wobec zalewu rasistowskiej propagandy, straszącej widmem degeneracji i przedstawiającej społeczeństwu wyolbrzymione ciężary, ponoszone dla opieki nad upośledzonymi.

PIŚMIENNICTWO

1. *Bilikiewicz T.*: Psychiatria kliniczna. Wyd. 3, PZWL, Warszawa 1966. — 2. *Dowżenko A., Huber Z.*: Zagadnienie dziedziczności w padaczce. Neurol., Neuroch. i Psych. Pol., 1960, 10, 639—649. — 3. *Hanke E.*: Stanowisko medycyny i Kościoła wobec sterylizacji. Gazeta Lek. Śląska Pol., 1937, 2. — 4. *Hirszfeldowa H.*: Prawa dziedziczności w zastosowaniu do medycyny z uwzględnieniem ustawy sterylizacyjnej. Warsz. Czasop. Lek., 1936, 8. — 5. *Karfiol Z.*: Krytyczne uwagi do ustawy Rzeszy Niemieckiej w celu zapobieżenia dziedzicznie choremu potomstwu. Gazeta Lek. Śląska Pol., 1937, 3. — 6. *Kłodziński S.*: Z zagadnień ludobójstwa. „Sterylizacja" i kastracja promieniami Röntgena w obozie oświęcimskim. Przegl. Lek., 1964, 20, 1. 105—111. — 7. *Mikułowski W.*: O zagadnieniu niemieckiej ustawy sterylizacyjnej. Warsz. Czasop. Lek., 1936, 35. — 8. *Mitscherlich A., Mielke F.*: Nieludzka medycyna. PZWL, Warszawa 1963. — 8. *Sehn J.*: Zbrodnicze eksperymenty sterylizacyjne *Carla Clauberga*. Zeszyty

Oświęcimskie nr 2. Wyd. Państw. Muzeum w Oświęcimiu, 1958. — 10. *Sehn J.*: Niektóre aspekty prawne tzw. eksperymentów dokonywanych przez hitlerowskich lekarzy *SS* w obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1961, 1a, 35—44.
11. *Żółtowski H.*: Obezpłodnienie w świetle nauk społecznych. Higiena Psych., 1935, 3/5, 134—154. — 12. Byłe Tajne Pruskie Archiwum Państwowe; obecnie *Deutsches Zentralarchiv*, Abt. Merseburg (NRD), Rep. 76 — Vc, nr 128 i 128a. — 13. Wojewódzkie Archiwum Państwowe, Wrocław; zespoły: Rejencja Opolska, sygn. I/13703—13708. Nadprezydium w Opolu, sygn. 819 i nast. Urząd dla Spraw Mniejszości w Opolu, sygn. 597 i nast. — 14. Wojewódzkie Archiwum Państwowe Katowice; akta b. *Staatliches Gesundheitsamt des Stadt- und Landkreises Beuthen.*

ANTONI MAKOWSKI
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 131791 i Buchenwald nr 122774

Warszawa

Niedożywienie więźniów politycznych
(według pracy Howarda H. Inglinga[1])

Hitlerowski obóz koncentracyjny Zwiebergе-Langenstein, filia Buchenwaldu, założony w maju 1944 roku na wschodnich stokach gór Harzu w odległości około 6 km od Halberstadtu, był przeznaczony do wyzyskania sił roboczych więźniów do budowy podziemnej wytwórni samolotów Junkersa. Na początku roku 1945 była już czynna fabryka w pierwszych gotowych halach; dalsze prace przy budowie były prowadzone do 5 kwietnia 1945 roku[2].

W obozie więziono ogółem około 7000 więźniów politycznych różnych narodowości (por. tab. I). Z tej liczby około 450 słabych i chorych odtransportowano w okresie od maja do października 1944 roku do obozu w Buchenwaldzie, około 2000 zmarło w obozie w okresie od października 1944 roku do kwietnia 1945 roku, 150 wywieziono w marcu 1945 roku do pracy w Magdeburgu. W kwietniu 1945 roku liczba więźniów w obozie wynosiła około 4400, z których w dniu 9 kwietnia 1945 roku około 3000 Niemcy ewakuowali (pieszo) na wschód (z tych więźniów bardzo wielu zginęło w czasie marszu, lecz brak jest bliższych danych). Z pozostałych około 1400 część na własną rękę opuściła obóz po uwolnieniu go przez wojska amerykańskie; resztą, tj. około 1100 osobami zaopiekował się w dniu 20 kwietnia 1945 roku 20 Szpital Polowy IX Armii USA, który w tym celu skierowano do Halberstadtu i rozwinięto tam w poniemieckich koszarach wojskowych.

Szpital był czynny od 20 kwietnia do początku czerwca 1945 roku. Część chorych, głównie Belgów i Francuzów, została stosunkowo wcześnie przetransportowana do swych krajów; około 100 chorych zmarło w czasie hospitalizacji, około 200 po likwidacji szpitala polowego przeniesiono do dalszego leczenia szpitalnego w Brunszwiku; resztę w niezłym ogólnym stanie zdrowia wypisano.

Wraz z kilku innymi lekarzami pracowałem w amerykańskim szpitalu polowym w Halberstadcie, otaczając opieką byłych współwięźniów. Lekarze amerykańscy, wstrząśnięci stanem chorych po przyjęciu ich do szpitala, wraz z całym pozostałym personelem wojskowym otoczyli wszystkich chorych serdeczną, zorganizowaną opieką. Jeden z lekarzy, dr *H. H. Ingling*, podjął próbę syntetycznego opracowania obserwacji i wyników leczenia. Na jego prośbę przygotowałem wtedy materiały dotyczące obozu Zwieberge-Langenstein (stany liczbowe więźniów, liczby zgonów, rodzaje wykonywanych prac, otrzymywane wyżywienie). Opracowując te dane, opierałem się na własnych obserwacjach i na relacjach od kolegów, byłych współwięźniów.

Tabela I

Liczba więźniów
w obozie koncentracyjnym Zwieberge-Langenstein

Okres	Liczba pozostałych	Przybyło	Ubyło	Liczba zgonów[1]	Odsetek wymieralności tygodniowo
X. 1944	3100[2]	—	—	14	0,1%
XI. 1944	3086	900	—	40	0,3%
XII. 1944	3946	—	—	198	1,1%
I. 1945	3748	500	—	392	2,3%
II. 1945	3856	2050	—	460	2,0%
III. 1945	5446	—	150[3]	650	2,5%
1-19. IV. 1945	4646	—	3000[4]	250[5]	1,7%
20. IV. 1945	1400[6]	—			
Razem				2004[5]	

[1] Na podstawie książki zgonów prowadzonej w szpitalu obozowym od października 1944 roku. Nie udało się ustalić liczby zmarłych wcześniej.
[2] Liczba przybliżona; odnosi się do początku października 1944 roku. Od maja do października 1944 roku słabi i ciężej chorzy byli przewożeni do Buchenwaldu (prawdopodobnie około 450 osób).
[3] Transport do Magdeburga ludzi zdolnych do pracy.
[4] Transport pieszy „ewakuacyjny" w dniu 9 kwietnia 1945 roku.
[5] Liczby przybliżone.
[6] Liczba przybliżona. Z tej liczby około 300 osób opuściło obóz na własną rękę między 13 kwietnia a 24 kwietnia 1944 roku. Resztę, tj. 1100 osób, objął opieką 20 Szpital Polowy IX Armii Stanów Zjednoczonych.

[1] *Malnutrition of political prisoners.* Wyd. *Howard H. Ingling, M. D.*, Springfield, Ohio. Bez daty wydania Stron 15.
[2] Zob. też: *A. Makowski:* Wspomnienia lekarza z obozów koncentracyjnych w Monowicach, Buchenwaldzie i Zwieberge-Langensteinie. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 212.

Dr *Ingling* ujął cały materiał w broszurze [3], wydanej własnym nakładem w Stanach Zjednoczonych w roku 1945 lub 1946. W niniejszej pracy podaję w obszernym streszczeniu tę broszurę, przytaczając część sformułowań autora dosłownie.

W tym miejscu pragnę wyrazić dr *H. H. Inglingowi* podziękowanie za pozwolenie wykorzystania jego publikacji.

*
* *

„Przed wielu laty ludzie badali skutki niedożywienia na zwierzętach i na nielicznych ochotnikach. Obecnie druga wojna światowa dostarczyła nam, niestety, niezliczonej liczby ludzkich obiektów do obserwacji niedożywienia. Chcemy tych chorych jak najszybciej i jak najprościej wyleczyć z ich wyniszczenia, a przy okazji — jeśli to możliwe — uzyskać pewne dane naukowe (...). Mówiąc o tych chorych musimy sobie uprzytomnić, że chociaż brak pożywienia był najważniejszą przyczyną ich choroby, to jednak istnieje bardzo wiele innych powodów, dla których znajdowali się oni w takim stanie, w jakim ich znaleźliśmy. Przede wszystkim ludzie ci, więzieni od 2 do 5 lat, byli narażeni na urazy psychiczne i fizyczne, które są udziałem wszystkich więźniów, ale szczególnie dotyczą więźniów politycznych. Zmuszano ich do wykonywania bardzo ciężkiej pracy fizycznej przez cały czas uwięzienia, zmuszano do życia i pracy przy niedostatecznej ochronie przed ujemnymi wpływami przyrody. Szczególnie zaś w ciągu ostatnich 3 miesięcy wyżywienie było bardzo niedostateczne w odniesieniu do najistotniejszych składników".

„Aby ocenić stan chorych w chwili ich przyjęcia do szpitala, będziemy się starali ustalić, jak prawdopodobnie przedstawiali się oni przed uwięzieniem. Jak wykazuje tabela II, byli to przedstawiciele wielu różnych narodów europejskich, przy czym najliczniejsze grupy stanowili Polacy, Francuzi i Rosjanie. Przeciętny wiek w chwili uwięzienia wynosił około 30 lat, przeciętny ciężar ciała około 72 kg. Prawdopodobnie ich ogólny stan fizyczny i stan zdrowia był typowy dla osób tego wieku i narodowości. Wiemy, że wielu zmarło, zanim ujrzeliśmy tę grupę chorych. Niewątpliwie dotyczyło to najsłabszych. Należy więc przyjąć, że chorzy, których widzieliśmy, byli w przybliżeniu dwa lata przedtem ludźmi zdrowymi".

Ilość i jakość pożywienia otrzymywanego przez więźniów w ciągu ostatnich 6 miesięcy przedstawiają tabele III i IV. Dr *Ingling* analizuje wyżywienie pod względem zawartości poszczególnych składników i wartości kalorycznej [4]; dochodzi on do wniosku, że władze obozowe dążyły do takiego żywienia więźniów

Tabela II
Zgony i przyczyny zgonu w czasie pobytu w szpitalu (z podziałem na narodowości)

Narodowość	Liczba chorych	Liczba zgonów			
		z powodu			Razem
		gruźlicy	niedożywienia	biegunek	
Polacy	383	13	16	2	31
Francuzi	264	4	14	3	21
Rosjanie	114	15	3	—	18
Włosi	49	—	—	—	—
Łotysze	44	3	2	—	5
Belgowie	42	1	2	—	3
Węgrzy	41	1	2	—	3
Czesi	40	2	3	—	5
Holendrzy	28	1	2	—	3
Niemcy	26	1	3	—	4
Jugosłowianie	21	2	—	—	2
Hiszpanie	8	—	—	—	—
Litwini	5	—	—	—	—
Austriacy	5	1	—	—	1
Estończycy	3	1	—	—	1
Rumuni	2	—	—	—	—
Luksemburczycy	2	—	—	1	1
Algierczycy	2	—	—	—	—
Turcy	2	—	—	—	—
Grecy	2	—	—	—	—
Inni	3	—	1	—	1
Razem	1086	45	48	6	99

(a przynajmniej takie usiłowania były czynione do początku 1945 roku), aby utrzymać ich w stanie umożliwiającym wykonywanie pracy fizycznej.

Główną część pożywienia stanowiły produkty zbożowe (chleb razowy z dodatkiem żołędzi i kasztanów, kasza, makaron, otręby). Białka pochodziły przeważnie ze zboża (około 90%), reszta z sera i mięsa. Źródłem soli mineralnych i witamin grupy B w większości były produkty roślinne, reszta pochodziła z mięsa i sera. Witamina A, trochę tłuszczu pochodziły z mięsa i sera, resztę tłuszczu podawano w postaci margaryny. Źródłem witaminy C i soli mineralnych były zapewne łupiny z ziemniaków. Marchew w ostatnich dwóch miesiącach dostarczała prowitaminy A. Uchwytnego źródła witaminy D nie było. Witaminy B_1 i C ulegały zapewne w dużej części zniszczeniu przez gotowanie. Główną podstawę kaloryczną stanowiły węglowodany ze zboża i ziemniaków.

Od końca stycznia 1945 roku nastąpiło bardzo gwałtowne obniżenie liczby kalorii i ilości białek na dobę. Od 13 kwietnia 1945 roku produkty dowożone z zewnątrz umożliwiły gotowanie i wydawanie obfitych, wartościowych posiłków.

Rodzaj pracy wykonywanej przez więźniów oraz ich zapotrzebowanie kaloryczne przedsta-

[3] Zob. przypis 1.

[4] Tabele wyżywienia (tab. III i IV) obejmują dość dokładne dane ilościowe. Obliczenie jednak zawartości białek i kalorii, dokonane przez dr *Inglinga*, jest z pewnością zawyżone. Różnica (sięgająca dla okresu X. 1944 — I. 1945 roku do 30%, a dla późniejszych miesięcy około 15%) wynikła zapewne ze zbyt optymistycznej oceny opisywanych przeze mnie posiłków gotowanych. Dlatego w tabeli III podaję obliczenie białek i kalorii, oparte na osobistej ocenie składników wyżywienia otrzymywanego faktycznie. W rzeczywistości niedobór kalorii był jeszcze większy, gdyż ocena nie uwzględnia jakości otrzymywanych produktów (np. ilość wody w kiełbasie, ilość bezwartościowych domieszek w chlebie itp.).

Tabela III
Wyżywienie więźniów w obozie koncentracyjnym Zwieberge-Langenstein

Okres	Ilość	Chleb żytni razowy			Margaryna		Ser	marmolada, miód sztuczny	Mięso (kiełbasa, siekane, surowe)		Zupy (zob. tab. IV)	Ogółem dziennie		
		dla pracujących	dla chorych	dla pracujących w tunelu	dla pracujących i chorych	dla pracujących w tunelu	dla wszystkich		dla pracujących i chorych	dla pracujących w tunelu	dla wszystkich	dla pracujących	dla chorych	dla pracujących w tunelu
X. 1944	gramów[1]	3970		4770	175	275	50	40	320	480	7000 a, b, c[2]	—		—
	białka[3]											65		76
	kalorii[4]											2153		2620
XI. 1944	gramów	3270		4070	175	275	50	40	320	480	7000 a, b, c	—		—
	białka											56		68
	kalorii											1928		2395
XII. 1944	gramów	2916		3716	175	275	50	40	230	390	7000 a, b, c	—		—
	białka											51		63
	kalorii											1760		2227
I. 1945	gramów	2685		3485	175	275	50	40	210	330	7000 a, b, c	—		—
	białka											48		59
	kalorii											1668		2111
II. 1945	gramów	2520		3320	140	220	40	40	140	220	7000 d	—		—
	białka											37		47
	kalorii											1270		1666
1—10. III 1945	gramów	2730	1964	3330	110	190	40	40	105	145	7000 e	—	—	—
	białka											36	24	43
	kalorii											1146	900	1458
11—31. III. 1945	gramów	2900	2114	3300	110	170	40	40	140	170	7000 f	—	—	—
	białka											39	30	45
	kalorii											1258	1006	1451
1—12. IV. 1945	gramów	2800	2000	3200	110	170	—	40	105	135	7000 g	—	—	—
	białka											36	26	41
	kalorii											1173	916	1387
13—20. IV. 1945	gramów	4340		—	210	—	—	—	450	—	10500 h, i	—		—
	białka											105		—
	kalorii											3185		—

[1] Podano ilość gramów na tydzień.
[2] Oznaczenia literowe odnoszą się do tabeli IV.
[3] Podano ilość gramów białka na dzień.
[4] Podano ilość kalorii na dzień.

Tabela IV
Skład posiłków płynnych (zup)
(Aneks do tabeli III)

Oznaczenia w tabeli III	Składniki posiłków	Dodatek niewielkich ilości		Jakość zupy
		mięsa	margaryny	
a	Kasza, otręby, ziemniaki	+	+	dość gęsta
b	Kasza i makaron	+	+	dość gęsta
c	Ziemniaki w łupinach + zupa z kaszy i otrąb	+	+	dość gęsta
d	Ziemniaki w łupinach, otręby	+	+	1/3 do 1/4 gęstej zawartości
e	Marchew, obierki z ziemniaków	O	O	3—4 łyżki gęstej zawartości na 1 litr
f	Marchew z niewielką ilością ziemniaków	+	O	1/4 gęstej zawartości
g	Marchew z bardzo małą ilością ziemniaków i łupin	O	O	1/5 gęstej zawartości
h	Kasza manna na mleku z cukrem	—	—	gęsta, 1/2 litra
i	Ziemniaki, kasza, mąka	++	++	gęsta, 1 litr

wiają tabele V i VI. Praca była przeważnie wyczerpująca, jedynie bardzo niewielki odsetek więźniów miał względnie lekkie zajęcia (zaliczone do grupy 6 w tabeli V). W celu zobrazowania faktycznej liczby godzin trzeba do 8 bądź do 12 godzin doliczyć jeszcze czas tracony na apelach, przemarszach do pracy i z powrotem. Praca była nie tylko bardzo ciężka, ale odbywała się bez względu na pogodę; więźniowie pracowali w niedostatecznej odzieży; wszystko to, łącznie ze złymi warunkami bytowania w obozie i brakiem odpowiedniego wypoczynku (przerywany sen), wzmagało zapotrzebowanie kaloryczne i zmniejszało odporność więźniów.

Jak wynika z tabeli I, śmiertelność więźniów w obozie wyraźnie wzrastała. W październiku 1944 roku wskaźnik wymieralności wynosił około 0,1% tygodniowo, a w marcu 1945 roku był przeszło 20 razy większy. Oko-

Tabela V

Rodzaj pracy więźniów w obozie koncentracyjnym Zwieberge-Langenstein

A. Rodzaje pracy (grupy); (praca 7 dni w tygodniu)

Grupa	Miejsce pracy	Nasilenie pracy	Rodzaj pracy	Liczba godzin pracy	Przybliżone zapotrzebowanie kaloryczne **
1	w tunelu	bardzo ciężka	wiercenie nowego tunelu (świder pneumatyczny, młot), ładowanie kamieni, pchanie wózków	8*	4500
2	w tunelu	ciężka	wykańczanie tunelu: roboty murarskie, betonowanie, transport materiału, transport i ustawianie maszyn	12*	4500
3	na powietrzu	bardzo ciężka	kamieniołom, budowa szosy i kolei (około 5 km drogi do miejsca pracy)	12	4500
4	na powietrzu	ciężka	prace ziemne, kanalizacja, transport, wyładowywanie wagonów (kamień, rury); (około 3 km drogi do pracy)	12	4000
5	na powietrzu	średnio ciężka	prace ziemne koło obozu i w obozie, robienie cegieł z betonu, mielenie kamieni	12	3500
6	przeważnie pod dachem	lekka	funkcyjni w obozie (bloki, kuchnie, biura, magazyny, szpital, baraki *SS*), nadzorcy (*vorarbeiter*), prace dla „inwalidów"	12	3250

* Praca zmianowa; podano faktyczny czas pracy bez uwzględnienia około 2 km drogi do miejsca pracy.

** Wg pracy *H. H. Inglinga;* liczby są na pewno zaniżone; wprawdzie w przybliżeniu zgodne z tabelami z piśmiennictwa, ale nie uwzględniają warunków pracy i dodatkowych obciążeń obozowych.

Tabela VI

Rodzaj pracy więźniów

w obozie koncentracyjnym Zwieberge-Langenstein

B. Przybliżony stan liczbowy więźniów w poszczególnych grupach

Okres	Ogółem więźniów w obozie (przeciętnie)	Liczba chorych		Liczba pracujących	Grupa pracy					
		w szpitalu	zwolnionych [1]		1	2	3	4	5	6
V—X. 1944 r.	2000	80	20	1900	450	100	130	700	200	320
XI. 1944 — I. 1945	3600	220	500	2880	750	800	150	600	150	430
II—IV. 1945	4800	600	1000	3200	1000	1135	150	200	250	465

[1] Zwolnieni od pracy (tzw. *Schonung*).

ło 1100 ludzi w różnym stopniu niedożywienia i z różnymi chorobami zostało przyjętych do szpitala amerykańskiego w okresie od 20 do 24 kwietnia 1945 roku.

„Przy przyjęciu chorzy wyglądali jak «żywa śmierć», wyraźnie odwodnieni i wyniszczeni. Stracili na wadze z przeciętnej 72 kg do przeciętnej 45 kg, a więc około 37%. Średni wiek — 32 lata, przy czym było kilku młodych, 15-letnich, kilku 60-letnich i przeszło 60-letnich. Byli zadowoleni, że żyją i wydawało się, że nowa wolność nie sprawia na nich wrażenia. Natychmiast po przyjęciu zdjęto z nich brudne odzienie, usunięto owłosienie na głowie i całym ciele, umyto, natarto «kerosenem» i posypano DDT, ubrano w nowe ubrania i koce, nakarmiono".

Tabela VII przedstawia skargi chorych,

Tabela VII

Skargi, objawy i rozpoznania chorób [1]

Skargi	Osłabienie	95%
	Kaszel	45%
	Biegunka	51%
	Nocna ślepota	0,5%
	Duszność	18%
	Zapalenie nerwów	6%
	Obrzęki	35%
Ciężar ciała (średni)	Normalny	72 kg
	Przy przyjęciu do szpitala	45 kg
	Średni ubytek	37%

[1] Przeciętny wiek chorego: 32 lata. W tabeli podano odsetki badanych.

Objawy:	Średnie ciśnienie krwi	100/66
Skóra	Nadmierne rogowacenie	41%
	Zanik skóry	15%
	Wybroczyny punkcikowate	1%
	Zapalenia skóry	1,5%
	Pasożyty:	
	wszawica	100%
	świerzb	10%
	Zakażenia:	
	ropne zapalenie skóry	4%
	ropnie, zapalenie tkanki podskórnej itp.	11%
	czyraczność	12%
Oczy	Zapalenie spojówek	1%
	Rogowacenie powiek	0%
Jama ustna	Pękanie warg	3%
	Zapalenie języka	21%
	Zasinienie dziąseł	18%
Kończyny i stawy	Bolesność stawów	8%
	Obrzmienia stawów	11%
	Wylewy krwawe do stawów	0,5%
Rozpoznanie (podstawowe)	Czynna gruźlica płuc	31%
	Niedożywienie	50%
	Zapalenie płuc (atypowe)	1%
	Zapalenie jelit (niebakteryjne)	15,5%
	Choroby serca	1%
	Zapalenie nerek	1%
	Zapalenie stawów	0,25%
	Psychonerwica	0,25%

stwierdzone objawy oraz rozpoznania podstawowe.

Około 35% chorych skarżyło się na przejściowe lub stałe obrzęki, a jedynie w 1/3 tych przypadków stan taki stwierdzono wyraźnie przy przyjęciu. Badania promieniami Röntgena, badania plwociny i obserwacje kliniczne pozwoliły rozpoznać u 31% chorych czynną gruźlicę płuc.

„Nasze natychmiastowe i główne postępowanie było oczywiście dietetyczne. Karmiliśmy chorych przez 5 dni 6 razy dziennie. Posiłki składały się głównie z kaszy manny, jajek z mlekiem, kremu, chleba z masłem, sera, napoju z czekolady. Stopniowo posiłki ograniczono do trzech dziennie z dodatkowym posiłkiem w nocy. Składały się one z mięsa konserwowego, sera, ryżu, ziemniaków, suszonych owoców i jarzyn, jajek, mleka, potraw mącznych i kremu. Dieta ta zawierała przeszło 120 g białka i przeszło 3500 kalorii dziennie.

Proszek DDT rozpylano codziennie przez 7 dni, a następnie 1 raz tygodniowo z doskonałym wynikiem.

Biegunki leczono zwykłą mieszanką bizmutu z opium, która dawała w połączeniu z półpłynną dietą dobre wyniki, z wyjątkiem kilku przypadków. Bezskutecznie próbowano znaleźć drobnoustroje jako przyczynę bardziej opornych biegunek. Wiele z nich jednak zareagowało na sulfatiazol po 0,5 g doustnie i 20 000 j. penicyliny co 3 godziny. 10% chorych zarażonych świerzbem zareagowało bardzo dobrze na dwukrotne zastosowanie *benzylium benzoatum* w 10 minut po gorącej kąpieli. Zakażenia skórne przeważnie ustąpiły po zestawionym działaniu należytego pożywienia, leków siarkowych i penicyliny, łącznie z ogólnymi zabiegami higienicznymi.

U chorych z niedokrwistością (krwinek czerwonych 3 miliony i poniżej) zastosowano przetaczania krwi. Słabsi i wykazujący obrzęki otrzymali plazmę krwi. Każdy chory dostawał multiwitaminę po 6 kapsułek dziennie. Skrajnie wyniszczonym i osłabionym podawano dodatkowo witaminę B_1 i C oraz wstrzykiwano wyciąg wątrobowy.

Ogólnie można powiedzieć, że leczenie polegało na uzupełnieniu chorym brakujących im białek, krwi, kalorii, płynów i witamin".

„Początkowo został urządzony oddział, nazywany poufnie «salą umierających», na którym umieszczono najciężej chorych. Wkrótce mieliśmy możność przekonać się o prawie cudownym wpływie, jaki u tych umierających z wygłodzenia odniosły przetaczania krwi i plazmy. «Sala umierających» stopniowo zmieniła swą nazwę na «salę żywych». Pomimo to było 48 chorych, którzy zmarli wyłącznie z wygłodzenia (zob. tabela II). Doszli oni zapewne do takiego stopnia wyniszczenia, którego żadne leczenie już nie odwróci. Śmierć z wygłodzenia jest najprawdopodobniej typem śmierci bezbolesnej. Człowiek wydaje się nie cierpieć, wpatruje się przed siebie bez spostrzegania czegokolwiek i sprawia wrażenie, że nie ma już żadnych życzeń; stopniowo oddycha coraz płyciej, wreszcie wszystkie procesy życiowe ustają i prześlizguje się z życia ku śmierci prawie niepostrzeżenie".

Tabela VIII
Wyniki laboratoryjne u chorych wkrótce po przyjęciu do szpitala
(przypadki wyrywkowe, bez doboru)

Badanie moczu (24 przypadki)	Ciężar właściwy	1,011 — 1,029 (średnio 1,020)	
	Odczyn	wszystkie próbki kwaśne	
	Białko	+ w 5 przypadkach (20%)	
	Cukier	+ w 19 przypadkach (80%)*	
	Osad	Poszczególne krwinki białe i czerwone w 23 przypadkach (95%); wałeczki ziarniste w 1 przypadku (5%)	
Badanie krwi obwodowej	Obraz krwinek czerwonych w 41 przypadkach	Liczba krwinek	od 1,56 do 4,34 milionów w 1 mm^3 (średnio 3,2 miliona)
		Hemoglobina	37% — 80% (średnio 69%)
		Wskaźnik barwny (średni)	1,09
	Liczba krwinek białych (20 przypadków)	Liczba krwinek ogółem	od 1800 do 13450 w 1 mm^3 (średnio 7710)
		Limfocytów	od 19% do 79% (średnio 40%)
		Granulocytów	od 19% do 81% (średnio 58%)
		Monocytów	0—5% (średnio 1%)
Obraz białek surowicy krwi ** (45 przypadków)	Białko całkowite	4,0—6,1 g% (średnio 5,0 g%)	
	Albuminy	2,0—4,4 g% (średnio 3,4 g%)	
	Globuliny	0,2—3,6 g% (średnio 1,6 g%)	
	Stosunek albumin do globulin	3,4 : 1,6 = 2,1	

* Dieta była bogata w węglowodany.

** Normalny poziom białek całkowitych: 6,0—8,0 g%; wskaźnik stosunku albumin do globulin 1,5—3,0; „obrzękowy" poziom białek całkowitych: 5,0%; wskaźnik stosunku albumin do globulin 0,3.

„Tak wcześnie, jak to było praktycznie możliwe, przeprowadzono badania laboratoryjne przede wszystkim u tych, którym to było potrzebne dla rozpoznania i do leczenia. Następnie wykonano pewne badania z zamiarem ustalenia, jakie skutki miały u naszych chorych niedostateczne odżywienie, przepracowanie i złe warunki bytowania". (Wyniki badań zob. tabela VIII). „Badania przeprowadzono u chorych wyrywkowo, bez specjalnego ich dobierania. Trzeba też wziąć pod uwagę, że były one wykonywane u ludzi jeszcze odwodnionych".

„Interesujące było spostrzeżenie, że z chwilą ustąpienia biegunki obrzęki stały się częstsze i wyraźniejsze. Względny brak obrzęków na początku musiał być spowodowany odwadniającym wpływem biegunek. Około 20 osób było

Tabela IX
Wyniki badań laboratoryjnych u chorych z ciężkimi obrzękami

	Obrzęki zaznaczone (po 20 dniach leczenia rutynowego)						Obrzęki nieznaczne lub brak (w tydzień później po diecie wysokobiałkowej z ograniczeniem soli oraz płynów do 1000 ml na dobę)				
Lp.	Białko w surowicy: całkowite w g%	Białko w surowicy: stosunek albumin do globulin	Krwinki czerwone, w milionach	Hb %	Krwinki białe	Mocz	Białko całkowite g% w surowicy	Krwinki czerwone, w milionach	Hb %	Krwinki białe	Mocz
1	10		5,3	90	20400	białko +; wałeczki krwinki białe i czerwone	7,2	4,5	92		białko +; wałeczki szkliste; nieliczne krwinki białe i czerwone
2			2,5	62	5150	bez zmian	7,5	4	80		bez zmian
3	5,8				4850	bez zmian	6,5	3,8	80		bez zmian
4	6,5		3,8	80		białko +; poszczególne wałeczki szkliste	6,8	3,8	80	7250	
5	5,8		2,5	64	10900	ślad białka; osad bez zmian	6,8	3,8	80		białko +; nieliczne krwinki białe
6	6,15		3,2	66		ślad białka; osad bez zmian	7,5	4	80		bez zmian
7	5,7		2,6	48	3800	białko +; osad bez zmian	6,5	4,8	80		białko +; nieliczne krwinki czerwone
8	5,1		2,3	52	3350	białko 0; liczne krwinki białe	6,5	3,8	80		ślad białka; nieliczne krwinki białe
9	7,8		2,6	72	9450	bez zmian	6,85	4	80		ślad białka; nieliczne krwinki białe
10			2,4		4750	białko ++++; krwinki białe i czerwone	7,2	3,6	82	13800	bez zmian
11	5,1		2	54	3600	ślad białka; osad bez zmian	6,5	3,8	80		białko +
12	6,5		3,6	80	6450	białko +; nieliczne wałeczki		3,1	64	7800	białko O
13	5,3	A: 2,2 G: 3,1				białko ++++; krwinki białe, nieliczne wałeczki	7,8	3,86	60	17000	bez zmian
14	7,5		2,7	82			8,2	3,2	80		ślad białka; osad bez zmian
15	5,7	A: 2,1 G: 3,6				białko ++++; krwinki białe i czerwone, wałeczki	6,5	3,5	82	9900	białko +++; liczne krwinki białe i czerwone, nieliczne wałeczki
16	4,45		2,5	70	6400	białko ++; liczne krwinki czerwone, poszczególne wałeczki z krwinek	5,17				
17	3,6	A: 2,3 G: 1,3	2,6	65	17200	ślad białka; cukier +	5,8	2,6			
Średnio	6,0	A: 2,2 G: 2,7	3	68	8000		6,9	3,8	79	10400	

obłożnie chorych z powodu dość długo trwających złamań nóg lub też z powodu ciężkich odmrożeń stóp. Ci chorzy byli we względnie lepszym stanie odżywienia niż inni prawdopodobnie dlatego, że otrzymując w obozie nie więcej pożywienia niż współtowarzysze, zużytkowali o wiele mniej energii. Nierzadko spotykaliśmy chorych odwodnionych, u których badanie nie wykazało zmian w płucach, ale za to wybitne zmiany gruźlicze przy prześwietlaniu promieniami Röntgena. Później, w miarę nawadniania, objawy fizykalne zaznaczały się wyraźniej.

Większość chorych wyrażała chęć jedzenia i picia pokarmów kwaśnych. Wielu bardzo chwaliło podawany rozcieńczony kwas solny, który nie tylko poprawiał smak, lecz także łaknienie.

Początkowo lekarze przypuszczali, że stwierdzą wiele typowych, podręcznikowych przypadków niedoboru witamin. Nie zaobserwowano jednak pełnych zespołów chorobowych awitaminozy; niedobory witamin występowały w różnym stopniu jako objawy towarzyszące.

„Niedobór witaminy B_1 prawdopodobnie najwyraźniej występował u chorych z szybkim, miękkim tętnem i skłonnością do obrzęków. Zapalenia nerwów, których można by oczekiwać, występowały dość rzadko (6%). Inne objawy, jak drażliwość, brak zainteresowania otoczeniem, zaburzenia pamięci, zmęczenie i niezrównoważenie umysłowe były wprawdzie spostrzegane, ale mogły być spowodowane innymi czynnikami niż brak witaminy B_1.

Niedobór witaminy B_2, objawiający się zapaleniem języka, występował w 21% przypadków, a pękanie warg jedynie w 3%.

Niedoboru kwasu nikotynowego pod postacią typowej pelagry nie obserwowano. Wielu chorych miało biegunki, brak żywotności umysłu, zaburzenia pamięci, niektórzy brak łaknienia i zmiany w jamie ustnej, ale nie było typowych dla pelagry zmian skórnych.

Brak witaminy C występował pod postacią zasinienia dziąseł (20% przypadków) i zakażeń skórnych. Brak witaminy A (w wywiadzie nocna ślepota) prawie nie występował (0,5% przypadków). Zmętnienia rogówek nie notowano, prawie jednak w połowie przypadków stwierdzono uogólnione nadmierne rogowacenie skóry. Brak witaminy D mógł się przejawiać w ogólnie zaobserwowanym odwapnieniu kości. Możliwe, że wysoki odsetek (31%) czynnej gruźlicy płuc mógł wiązać się częściowo z niedoborem witaminy D."

„Przebieg obserwacji chorych był niepełny z różnych przyczyn. Część byłych więźniów została zwolniona ze szpitala stosunkowo wcześnie i odjechała do swych krajów macierzystych; wielu było stopniowo wypisywanych, gdy stan ich się poprawiał i mogli radzić sobie samodzielnie.

Ogólnie można jednak stwierdzić, że niedokrwistości zmniejszały się, wzrastała ilość białek we krwi, obrzęki znikały; chorzy przybierali na wadze 3—5 kg tygodniowo, powracała siła i napięcie mięśniowe. Objawy skórne i ślizówkowe niedoboru witamin zmniejszały się. Chorzy zaczynali interesować się tym, co się dzieje na świecie. Występowało to przeważnie po upływie około 3 tygodni, z wyjątkiem ciężej chorych na gruźlicę".

„U pewnej grupy chorych (w liczbie 17), raczej nietypowych, po 2—3 tygodniach leczenia spoczynkowego, dietetycznego i uzupełniającego występowały jeszcze mierne obrzęki. Wyniki badań laboratoryjnych tych osób przedstawia tabela IX.

Po tygodniowej diecie bogatej w białka, z ograniczeniem soli i płynów, po przetaczaniu krwi i plazmy w niektórych przypadkach, stan chorych poprawił się i obrzęki znikły.

Obrzęki w niedożywieniu nie zawsze są łatwe do wyjaśnienia. W tej grupie chorych nie można wskazać jakiejś jednorodnej, bezpośredniej przyczyny. Prawdopodobnie obrzęki były zależne od współistnienia różnych czynników: niedobiałczenia krwi, niedokrwistości, zwiększonej przepuszczalności naczyń włosowatych, niewydolności mięśnia sercowego i innych czynników zależnych od niedoboru wszystkich istotnych składników diety".

*

* *

„Niedożywienie może być określone jako stan, w którym człowiek zużywa przez długi czas więcej energii niż ma do dyspozycji wyrównawczego pokarmu, co doprowadza do osłabienia, wyraźnego spadku ciężaru ciała, zaniku tkanek i ogólnego zmniejszenia wszystkich czynności ustroju.

Niedożywienie może być ujmowane tak, jak zwykle myślimy o wstrząsie, z wyjątkiem czynnika czasu. W obydwu stanach występuje częściowa utrata najważniejszej tkanki ciała, jaką jest krew. W dążeniu do wyrównania tej straty ustrój zużywa dużą część innych swych tkanek, co powoduje utratę siły, ciężaru, odporności na choroby wraz z oznakami niedoboru witamin i powikłaniami chorobowymi. Osłabienie występuje oczywiście głównie z powodu niedostatecznej podaży kalorii. Ten niedobór jest częściowo wyrównywany przez zużywanie zmagazynowanego glikogenu z wątroby i tkanki mięśniowej, zmagazynowanego tłuszczu ze wszystkich okolic ciała i w końcu przez zużywanie białek z mięśni i krwi. Powoduje to oczywiście zmniejszenie ciężaru ciała i z biegiem czasu zanik mięśni. Następuje obniżenie wszystkich czynności ustroju, powodując zahamowanie psychiczne, obniżenie ciśnienia krwi, osłabienie tętna, obniżenie ciśnienia osmotycznego krwi, wzmożenie przepuszczalności naczyń włosowatych ze skłonnością do tworzenia się obrzęków, obniżenie wydzielania gruczołów dokrewnych, obniżenie napięcia wszystkich tkanek ustroju i wskutek tego zmniejszenie jego odporności.

Również leczenie może być porównane do leczenia wstrząsu, gdyż pierwotnie w tej ciężkiej chorobie najpierw zastępujemy najważniejszą tkankę, tj. krew, za pomocą przetaczania pełnej krwi, a następnie zapewniamy odpowiednią dietę i leczymy powikłania".

STANISŁAW KOWALSKI
były więzień Pawiaka i obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 4410

Warszawa

Wstępne wyniki badań byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych

(ze środowiska warszawskiego)

Środowiskowa Komisja Zdrowia przy Zarządzie Okręgowym ZBoWiD w Warszawie prowadzi od 5 lat w oparciu o pracę społeczną lekarzy (byłych więźniów) akcję badania stanu zdrowia osób, które przebywały w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych. Są to tzw. okresowe badania niedzielne. Obejmują one wszystkich byłych więźniów zarejestrowanych w różnych klubach. Badania nasze mają w pierwszym etapie charakter badań ogólnych. W drugim etapie osoby wymagające badań specjalistycznych są kierowane do odpowiednich specjalistów.

Dotychczas zbadano około 1000 osób. Analiza ta dotyczy 740 osób (w tym 195 kobiet) w wieku od 40 do 75 lat życia (tab. I). Badani rekrutują się z różnych obozów koncentracyjnych, a ich pobyt w obozie trwał od 1 roku do 5 lat. Każdemu badanemu założono kartę zdrowia (wzór własny) i wykonano podstawowe badania dodatkowe (zdjęcie radiologiczne klatki piersiowej, skład morfologiczny krwi, badanie moczu).

Badający ustalał w oparciu o dane kliniczne i badania dodatkowe wstępne rozpoznanie oraz dalsze wskazania, w myśl których kierowano chorych do badania specjalistycznego, do sanatorium, do szpitala lub do leczenia ambulatoryjnego. Badania specjalistyczne wykonano u 30% osób ze zbadanej grupy. Tutaj przedstawiono tylko wyniki badań wstępnych. Zdajemy sobie dokładnie sprawę, że badania przeprowadzono u ludzi, którzy opuścili obozy zagłady przed 15—20 laty, licząc od chwili konsultacji lekarskiej. W związku z tym musiano oprzeć badania częściowo na danych podmiotowych (wywiad).

Analiza badań uwzględnia następujące punkty związane z etiologią obecnych dolegliwości: 1) urazy i choroby związane z okresem pobytu w więzieniu lub obozie (na podstawie wywiadu), 2) stan przedmiotowy więźnia bezpośrednio po uwolnieniu (w oparciu o dane z wywiadu), 3) obecny stan zdrowia i kwalifikacje badanego do grupy chorób w aspekcie anatomicznym (narządowym) bez podziału na jednostki kliniczne, 4) ewentualne zakwalifikowanie do leczenia ambulatoryjnego, szpitalnego lub sanatoryjnego.

W odniesieniu do chorych na gruźlicę wydaje się słuszny podział na dwie grupy: a) chorzy, u których w obecnym badaniu radiologicznym klatki piersiowej nie stwierdzono zmian chorobowych, natomiast na podstawie wywiadu lub przedstawionych dowodów stwierdzono kontakt z chorobą, np. chorzy po leczeniu chirurgicznym (*segmentectomia*) itp.; b) wszyscy pozostali chorzy, u których badaniem radiologicznym stwierdzono zmiany gruźlicze płuc lub innych narządów.

Wyniki analizy kart zdrowia osób zbadanych, dotyczące stanu zdrowia więźniów bezpośrednio po uzyskaniu wolności, zestawiono w tabeli I.

Opierając się na danych z wywiadu, można stwierdzić, że 97,7% więźniów po uzyskaniu

Tabela I
Wyniki analizy kart zdrowia w oparciu o dane z wywiadu
(choroby przebyte w obozie)

Lp.	Rozpoznanie	Odsetek badanych
1	Uraz głowy	38,7
2	Urazy klatki piersiowej, kończyn i kręgosłupa	31,1
3	Urazy głowy i ciała	15,9
4	Choroby zakaźne:	
	a) dur wysypkowy	22,1
	b) dur brzuszny	5,1
	c) dur wysypkowy i brzuszny	5,4
	d) czerwonka, zimnica, biegunka zakaźna i inne choroby przewodu pokarmowego	23,8
	e) gruźlica przebyta	16,57
	gruźlica czynna	7,8
	gruźlica kości	0,02
5	Choroby skóry (czyraczność, ropowica itp.)	31,7

Tabela II
Stan zdrowia stwierdzony w czasie badań wstępnych

Lp.	Choroby	Odsetek badanych
1	Choroby neurologiczne	34,09
2	Choroby kardiologiczne	54,09
3	Choroby reumatologiczne	27,23
4	Choroby przewodu pokarmowego i dróg żółciowych	16,57
5	Choroby płuc (rozedma, astma, zapalenie oskrzeli itp.)	13,14
6	Choroby laryngologiczne i okulistyczne	12,10
7	Choroby dermatologiczne	5,20
8	Choroby urologiczne	6,47
9	Choroby chirurgiczne	6,09
10	Choroby naczyń obwodowych	6,08
11	Choroby endokrynologiczne:	
	a) cukrzyca	3,04
	b) nadczynność tarczycy, otyłość i inne	6,47

wolności znajdowało się w stanie skrajnego wyniszczenia fizycznego i psychicznego.

Stan zdrowia stwierdzony w czasie badań wstępnych przedstawia tabela II.

Osoby zakwalifikowane do leczenia na podstawie przeprowadzonych badań zestawiono w tabeli III.

Tabela III

Odsetek badanych zakwalifikowanych do leczenia

Rodzaj leczenia	Odsetek badanych
Ambulatoryjne z uwzględnieniem przychodni „G"	71,01
Szpitalne	13,71
Sanatoryjne	14,09
Nie wymaga leczenia	1,19

Z wywiadu wynika, że 70% zbadanych osób odniosło różne obrażenia ciała. Urazy te zostały spowodowane biciem więźniów w czasie śledztwa, a także podczas pobytu w obozie. Wielu spośród zbadanych odniosło obrażenia mnogie. Liczną grupę stanowią więźniowie z przebytymi, nie leczonymi wstrząśnieniami mózgu, co zostało ustalone na podstawie przedstawionych dolegliwości i objawów. U 2 więźniów stwierdzono pourazowe wgłębienie kości w okolicy czołowej lub ciemieniowej, powstałe, jak podają, po pobiciu w obozie. Jak wspomniano, 97,7% badanych znajdowało się w stanie zupełnego wyczerpania psychicznego i wyniszczenia fizycznego. U wielu badanych ciężar ciała wskutek pobytu w obozie wynosił 35—45 kg, co świadczy o znacznie zaawansowanych zmianach biochemicznych komórek całego ustroju. Skutki takiego wyniszczenia ustroju mają niewątpliwy wpływ na obecną patologię chorych. Nasuwa się pytanie, czy liczba ta odpowiada prawdzie. Według naocznych świadków, a głównie lekarzy — byłych więźniów, 90% więźniów obozów koncentracyjnych znajdowało się w podobnym stanie fizycznym i psychicznym. Potwierdzeniem tego są np. doniesienia przedstawione w roku 1954 na Międzynarodowym Zjeździe FIR w Kopenhadze; według nich śmiertelność w grupie byłych więźniów jest czterokrotnie większa niż wśród ludzi, którzy tego losu uniknęli. Ze względu na brak rejestracji wszystkich byłych więźniów w Polsce nie można przeprowadzić dokładnego porównania.

Znane antysanitarne warunki obozowe w wysokim stopniu sprzyjały szerzeniu się chorób zakaźnych i epidemii. Brak opieki lekarskiej, a przede wszystkim lekarstw znacznie nasilał zachorowalność. Tylko 1,19% zbadanych nie zgłasza obecnie dolegliwości. Nie świadczy to jednak, że są oni zdrowi i nie wymagają leczenia. Pozostałe 98,81%, jak wynika z naszych wstępnych badań, wymaga dokładnego zbadania i opieki specjalistycznej. Wielu spośród badanych odczuwa dolegliwości różnych narządów i wymaga leczenia przez kilku specjalistów.

Na podstawie wstępnej analizy nasuwają się następujące wnioski: 1. Dolegliwości obecnie zgłaszane przez badanych mają w większości wypadków bezsprzecznie swój związek przyczynowy z pobytem w obozach koncentracyjnych. 2. Zdecydowana większość byłych więźniów wymaga dokładnego zbadania w celu ustalenia odpowiedniego leczenia. 3. Wskazane jest przyspieszenie akcji badania byłych więźniów w różnych ośrodkach w Polsce zarówno w trosce o ich zdrowie, jak też z myślą o popularyzacji wśród lekarzy zagadnień tzw. patologii poobozowej za pomocą ogłaszania prac naukowych opartych na badaniach wstępnych, uzupełnionych badaniami specjalistycznymi.

W toku dalszych badań zostanie opracowane bardziej wyczerpujące omówienie ich wyników z uwzględnieniem porównania z wynikami uzyskanymi w innych ośrodkach w Polsce i z podaniem wybranych opisów niektórych przypadków.

Rzeźba ceramiczna z cyklu „Oświęcim". Muzułmanin". Wykonał *Zygmunt Flin*, były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 108060.

WŁADYSŁAW WITUSIK, ROMUALDA WITUSIK Jasło

Ślady następstw chorobowych związanych z pobytem w więzieniach i obozach koncentracyjnych

(u byłych więźniów ze środowiska oświęcimskiego) [1]

Celem obozów koncentracyjnych, jak wiadomo z licznych publikacji, było systematyczne likwidowanie ogromnych mas ludzi przez szybko postępujące wyniszczenie poszczególnych osób. Cel ten osiągano przez a) morderczą, bezsensowną pracę fizyczną oraz pozbawienie więźniów należytego wypoczynku i snu; b) wycieńczenie wskutek stałego głodu (racje żywnościowe praktycznie pozbawione były białka, tłuszczu, witamin i soli mineralnych, zwłaszcza żelaza i wapnia) [2]; c) zimno (więźniowie okryci byli często tylko płóciennym odzieniem); d) złe warunki higieniczne (źródło różnych zakażeń); e) zorganizowaną atmosferę terroru i strachu, która doprowadzała do poniżenia i degradacji godności człowieka, a ustawiczne wstrząsy emocjonalne (groza śmierci, egzekucje, tortury i bicie) utrzymywały więźniów w stałym napięciu nerwowym i psychicznym.

Te współdziałające czynniki tworzyły etiologię chorób obozowych, które można podzielić na trzy grupy: 1) choroby zakaźne, jak dury, czerwonka, gruźlica płuc; ropnie, ropowica, zakażenia jelitowe itd.; 2) stan znacznego niedożywienia z pełnym obrazem choroby głodowej i niedomogą gruczołów wewnętrznego wydzielania (gruczoły płciowe, tarczyca itd.); 3) zmiany psychiczne (tzw. *KZ-Syndrom*; początkowo nazywano ten zespół „astenią poobozową"; znaczne przeciążenie nerwowe i psychoafektywna traumatyzacja pozostawiły, jak wiadomo, u przeważającej większości byłych więźniów niezatarte ślady).

Nawiązując do prowadzonych intensywnie od kilku lat badań lekarskich byłych więźniów z różnych środowisk w Polsce, podano w niniejszej pracy wyniki badań osób, które przebyły hitlerowskie więzienia i obozy koncentracyjne, a mieszkają na terenie Oświęcimia i w okolicy. Chodziło o odtworzenie patologii poobozowej i śladów następstw chorobowych u osób więzionych podczas okupacji.

Badania te przeprowadzono po upływie 21 lat od chwili opuszczenia obozów koncentracyjnych przez byłych więźniów. Analizę oparto na danych podmiotowych (wywiad), zestawiając je z badaniami laboratoryjnymi zarówno podstawowymi, jak mikrobiologicznymi, biochemicznymi i badaniami specjalistycznymi. Wyzyskano również w miarę możliwości dokumentację Państwowego Muzeum w Oświęcimiu oraz korzystano z dokumentacji sanatoriów, szpitali i klinik tak polskich, jak i aliancki. Niektóre uzyskane fotokopie są tutaj reprodukowane.

Tabela I przedstawia wiek badanych, wiek w chwili uwięzienia i czas pobytu 74 byłych więźniów w obozach koncentracyjnych. Wiek badanych i wiek w chwili uwięzienia jest podstawą podziału na 6 grup według dziesięcioleci. Zbadano 60 mężczyzn i 14 kobiet. Najliczniejsza jest grupa III — wiek uwięzionych od 18 do 26 roku życia: 22 mężczyzn i 6 kobiet = 28 badanych, oraz grupa IV — wiek uwięzionych od 27 do 36 roku życia: 21 mężczyzn i 1 kobieta = 22 badanych.

Czas pobytu w obozach podzielono w tabeli w każdej grupie na trzy okresy: do 1 roku,

[1] Praca zaopiniowana dla „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" przez Kolegium Redakcyjne przy Państwowym Muzeum w Oświęcimiu (przyp. red.).

[2] Deficyt kaloryczny wyżywienia obozowego zanalizował między innymi *H. Münch* w nieopublikowanej części swej pracy pt. *Hunger und Lebenserwartung in Auschwitz* (zob. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 8).

Tabela I

Wiek badanych, wiek w chwili uwięzienia i okres pobytu byłych więźniów w obozach koncentracyjnych

Wiek badanych (w latach życia)	Grupa I 23—26			Grupa II 31—40			Grupa III 41—50			Grupa IV 51—60			Grupa V 61—70			Grupa VI powyżej 70 roku życia			Razem
Wiek uwięzienia (w latach życia)	0—3			15—17			18—26			27—36			37—44			45—53			
Liczba badanych	m 1 k 1 2			m 1 k 3 4			m 22 k 6 28			m 21 k 1 22			m 11 k 3 14			m 4 k 0 4			m 60 k 14
Czas pobytu w obozach (w latach)	do 1	<1 do 3	<3 do 5	do 1	<1 do 3	<3 do 5	do 1	<1 do 3	<3 do 5	do 1	<1 do 3	<3 do 5	do 1	<1 do 3	<3 do 5	do 1	<1 do 3	<3 do 5	
Liczba badanych	—	2	—	2	1	1	10	11	7	7	5	10	3	8	3	2	1	1	74

m = mężczyźni, k = kobiety

dłużej niż rok do 3 lat, powyżej 3 lat do 5 lat. W III grupie 11 badanych przebywało w obozie powyżej 1 roku, 7 badanych powyżej 3 do 5 lat; w IV grupie 10 badanych powyżej 3 do 5 lat. W I grupie umieszczono dwoje dzieci; jedno (chłopiec) urodziło się w obozie, drugie (dziewczynka) dostało się do obozu razem z matką, mając 3 lata. Została ona oddzielona od matki przez esesmanów.

Urazy i choroby

I. Urazy i choroby związane z okresem pobytu w obozach koncentracyjnych u 74 byłych więźniów (na podstawie danych z wywiadu):

Stwierdzono: 1) urazy głowy u 9,45% badanych, w tym 2,7% pourazowej głuchoty; 2) urazy klatki piersiowej, kończyn i kręgosłupa u 13,51%; 3) urazy głowy i ciała u 4,05%, w tym pourazowe pęknięcie jednego jądra u 1,35% badanych; 4) choroby narządu zębowego u 95,94% badanych; 5) choroby zakaźne: a) dur u 28,37%, w tym dur wysypkowy u 8,1%, dur brzuszny u 6,75%, dur wysypkowy i brzuszny u 13,5% badanych; b) czerwonkę u 6,75%; c) zimnicę u 1,35%; d) inne choroby przewodu pokarmowego u 13,51% badanych; 6) gruźlicę płuc (przebytą i stwierdzoną) u 12,16% badanych; 7) ponadto stwierdzono po zbadaniu następujące choroby: a) narządu krążenia i serca u 83,78%; b) skóry (ropowice, czyraczność itp.) u 21,62%; c) tylko choroby endokrynologiczne podawało 18,91%, a stwierdzono u 5,4%; d) płuc (rozedma, astma itd.) u 18,90%; e) wątroby u 12,16%; f) naczyń obwodowych u 12,16%; g) chirurgiczne u 8,1%; h) nerek u 8,1%; i) laryngologiczne u 8,1%; j) urologiczne u 2,7%; k) krwi u 2,7%; l) trzustki u 1,35% badanych.

II.Stan zdrowia byłych więźniów po uzyskaniu wolności:

Opierając się na danych z wywiadu i posiadanej dokumentacji obliczono, że 91,9% byłych więźniów środowiska oświęcimskiego po wyzwoleniu przed 21 laty (licząc od chwili badania) znajdowało się w stanie skrajnego wyczerpania fizycznego i psychicznego. Byli więźniowie ważyli średnio od 25 do 40 kg i mieli 20 do 40 kg niedowagi, co jest zgodne z obserwacjami innych autorów (1, 2, 8, 13).

III. Stan zdrowia byłych więźniów stwierdzony w czasie badań profilaktycznych w roku 1966 (21 lat po uwolnieniu):

1. Choroby narządu zębowego stwierdzono u 95,94% badanych: od 9,3 do 25% uzębienia u 9,45% badanych; 25—50% u 12,15%; 50—75% u 18,9%; 75—100% u 55,44% badanych (w tym bezzębie u 37,83%).

2. Choroby serca i narządu krążenia stwierdzono (lekarz internista reumatolog *S. Wojciechowska*) badaniem fizykalnym i (lek. *T. Smreczyński*) kardiologicznym u 74,32% badanych; w grupie II u 1,35% badanych stwierdzono niedotlenienie i uszkodzenie mięśnia sercowego; w grupie III u 17,58% badanych rozpoznano uszkodzenie mięśnia sercowego, a u 6,74% niedotlenienie i uszkodzenie mięśnia sercowego (łącznie 24,32% badanych); w grupie IV stwierdzono odwrotny stosunek: u 14,88% badanych niedotlenienie i uszkodzenie mięśnia sercowego, a u 10,81% uszkodzenie mięśnia sercowego (łącznie 25,69% badanych); podobnie w grupie V: u 12,16% niedotlenienie i uszkodzenie mięśnia sercowego, a u 5,4% uszkodzenie mięśnia sercowego (razem 17,56% badanych); w grupie VI u 5,4% badanych rozpoznano te choroby, w tym u 4,05% niedotlenienie i uszkodzenie mięśnia sercowego (i równocześnie u 2,7% nadciśnienie tętnicze II stopnia), a u 1,35% uszkodzenie mięśnia sercowego z nadciśnieniem tętniczym II stopnia. U 9,05% badanych badaniem ekg powzięto podejrzenie o uszkodzenie mięśnia serca bez potwierdzenia badaniem fizykalnym.

3. Chorobę nadciśnieniową rozpoznano u 25,67% badanych (za pomocą badania ciśnienia krwi sfigmomanometrem oraz na podstawie objawów nadciśnienia tętniczego w naczyniach siatkówki), w tym u 9,45% chorobę nadciśnieniową II stopnia; w III grupie — 6,75%, a w IV grupie — 4,05%, w V grupie — 10,82%, w VI grupie — u 4,05% badanych. W V grupie 1 przypadek z podciśnieniem tętniczym.

4. Choroby naczyń obwodowych rozpoznano u 12,15% badanych (rozsiana miażdżyca naczyń tętniczych u 9,45%, żylaki goleni i limfadenopatie po 1,35%).

5. Choroby reumatologiczne stwierdzono (lek. *S. Wojciechowska*) u 43,22% badanych: w II grupie 2,7% cierpi na reumatyzm okołostawowy, w III grupie 18,91% (w tym 1,35% równocześnie z dyskopatią lędźwiową), w IV grupie 13,51% — reumatyzm okołostawowy (w tym u 1,35% przewlekłe zapalenie stawów i u 1,35% zapalenie okołostawowe barku), w grupie V stwierdzono u 8,1% reumatyzm okołostawowy, w tym u 2,7% badanych spondyloartrozę szyjno-lędźwiową.

6. Choroby neurologiczne: 39,18% badanych cierpi na dystonię neuro-wegetatywną (w I grupie 1,35%, w II grupie 4,05%, w III grupie 21,63%, w IV grupie 8,1%, w V grupie 4,05%, w tym w grupie II i V po 1,35% badanych ma dystonię neuro-wegetatywną szczególnie przewodu pokarmowego).

7. Tzw. astenię poobozową stwierdzono u 83,78% badanych (z dwoma przypadkami psychonerwicy).

8. Schorzenia dermatologiczne — blizny pourazowe i po ropowicach — stwierdzono u 21,62% badanych.

9. Choroby przewodu pokarmowego stwierdzono u 20,27% badanych: w III grupie 8,1% (w tym chorobę wrzodową dwunastnicy u 2,7%, chorobę wrzodową żołądka i przewlekły nieżyt żołądka i jelit po 1,35%, przewlekłe zaparcia stolca u 2,7% badanych); w IV grupie 10,82% badanych (w tym rozpoznano chorobę wrzodową dwunastnicy u 4,05%, chorobę wrzodową żołądka u 1,35%, chorobę wrzodową żołądka i dwunastnicy u 1,35%, przewlekły nieżyt żołądka z niedokwasotą u 2,7%, opadnięcie trzew u 1,35%); w grupie V stwierdzono chorobę wrzodową dwunastnicy u 1,35% badanych.

10. Choroby płuc (rozedmę, astmę, przewlekłe nieżyty oskrzeli) stwierdzono u 18,9% badanych (w III grupie 4,3%, w IV grupie 2,7%, w V grupie 9,2%, w VI grupie 2,7%).

11. Gruźlica płuc została stwierdzona na podstawie przedstawionej dokumentacji i rtg płuc u 12,16%.

12. Choroby wątroby (cholecystopatie) rozpoznano u 12,16% badanych (w III grupie 6,76%, w IV grupie 4,05% i w V grupie 1,35%).

13. Choroby nerek (nefropatie) występują u 8,1% badanych.

14. Choroby chirurgiczne znaleziono u 8,1% badanych: przepukliny u 2,7%, po 1,35% stan po złamaniu prawej goleni, garb pourazowy, stan po operacji wola zamostkowego, blizna po złamaniu żuchwy, wpuklenie kości pokrywy czaszki, stan po złamaniu kości ramieniowej.

15. Choroby laryngologiczne stwierdzono u 8,1% badanych: przewlekłe zapalenie zatok szczękowych u 4,05%, przewlekły nieżyt krtani u 1,35% i pourazową głuchotę u 2,7%.

16. Choroby endokrynologiczne u 5,4% badanych, to cukrzyca i otyłość (po 2,7%).

17. Choroby urologiczne — u 2,7% badanych, w czym pourazowy wodniak jądra i nietrzymanie moczu po 1,35%.

18. Choroby krwi u 2,7% badanych: niedokrwistość wtórna niedobarwliwa i niedokrwistość wtórna.

19. Choroby trzustki — 1,35%.

20. Choroby okulistyczne — u 12,16% badanych; na dnie oczu stwierdzono zmiany patologiczne w siatkówce oraz zmiany w naczyniówce: a) dokonane ograniczone okołoplamkowe zapalenie naczyniówki i siatkówki obu oczu u 5,41%; b) dokonane rozsiane zapalenie naczyniówki i siatkówki obu oczu u 5,4%; stan po zakrzepie żyły środkowej siatkówki u 1,35% (u 4,05% w wyniku eksperymentów).

Wyniki badań laboratoryjnych

Wyniki podstawowych badań laboratoryjnych i biochemicznych (mgr *R. Witusik*) oraz mikrobiologicznych (mgr *H. Pudełko*) są następujące. U 10,82% byłych więźniów z chorobami reumatologicznymi oB był średnio przyspieszony (15/35 — 17/40), u 1,35% znacznie przyspieszony (36/90), u pozostałych badanych oB był w normie. 8,1% badanych miało w moczu białko do 0,015 promille, liczne pasma śluzu i świeże erytrocyty oraz podwyższoną resztę azotową w surowicy krwi: 45,8 do 57 mg%. Według *Homolki*, może to być następstwem przebytego odwodnienia po biegunkach lub wynikiem długotrwałego wstrząsu obozowego. U tych badanych rozpoznano nefropatię na podstawie wywiadu, badania fizykalnego i opisanych wyników badań laboratoryjnych. Pozostałe wyniki badania moczu nie wykazały zmian patologicznych.

Na podstawie kilkakrotnego badania krwi u 2,7% badanych rozpoznano wtórną niedokrwistość; pozostałe badania krwi nie wykazały zmian patologicznych.

U 74 byłych więźniów wykonano ekg spoczynkowy, a u 69 nadto ekg wysiłkowy. U 6 badanych w zestawieniu z badaniem spoczynkowym stwierdzono w ekg wysiłkowym wyraźniejsze cechy uszkodzenia mięśnia serca. Wyniki badań ekg przedstawiono w ustępie III punkt 2.

Na podstawie zdjęć rtg płuc, wywiadu i przedstawionej dokumentacji stwierdzono u 12,16% badanych gruźlicę płuc, a przewlekłe nieżyty oskrzeli, rozstrzenie oskrzeli, rozedmę płuc — u 18,9% badanych; pozostałe badania rtg płuc nie wykazały zmian patologicznych.

Cholecystopatie, jak już wspomniano, stwierdzono u 12,16% badanych. Wykonane u nich próby wątrobowe są następujące: kadmowa dodatnia, wstęga Weltmanna 8—9 próbówka, transaminazy: glutaminowo-szczawiowo-octowa (SGOT) 50—75 j. C. W., glutaminowo-pirogronowa (SGPT) 65—85 j. C. W., poziom bilirubiny w surowicy krwi 0,8—1,2 mg%, poziom cholesterolu od 135 do 192,5 mg%. W niektórych przypadkach oprócz dodatnich prób wątrobowych była również podwyższona reszta azotowa do 45,8 mg%. Poziom cholesterolu w surowicy krwi u 25 byłych więźniów był w dolnych granicach normy; w jednym przypadku poziom cholesterolu wynosił 420 mg%. Według *Homolki*, poziom cholesterolu wzrasta podczas głodzenia i złego odżywiania. Poza dwoma przypadkami cukrzycy poziom cukru we krwi na czczo (metodą *Hagedorna-Jensena)* mieścił się w granicach normy. Badania mikrobiologiczne wykonano w Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Oświęcimiu; 70 badań kału na pałeczki *Salmonella* i *Shigella* dało ujemne wyniki.

Zdjęcia rtg górnych i dolnych kończyn, czaszki (wpuklenia kości, zupełne lub znaczne braki uzębienia) wykazały ślady po przebytych urazach [3].

Opis przypadków

A. Pourazowe ślady somatyczne

Przypadek 1, lp. 62, P. B., lat 64, aresztowany w 41 roku życia w majątku Lubań pod Wilejką (BSRR), przebywał w więzieniu w Wilejce, obozie w Mińsku (Białoruś), a od grudnia 1943 roku w obozie Oświęcim-Brzezinka (nr więźnia 165673). Trzykrotnie bili go esesmani do utraty przytomności, przypalali go ogniem, w czasie śledztwa złamano mu lewe podudzie. W następstwie bicia wystąpiło powiększenie się skrzywienia kręgosłupa. Ze złamanym podudziem więzień musiał chodzić do rżnięcia drewna. Ważył w obozie 37 kg. Wskutek pobicia nastąpiło zatrzymanie moczu. Leżał w szpitalu w Brzezince nie leczony, tylko cewnikowano mu pęcherz moczowy. Obecne dolegliwości: skargi na osłabienie lewej kończyny dolnej, na częste bóle głowy w okolicy ciemieniowej, duszność wysiłkową, dolegliwości sercowe i ze strony woreczka żółciowego, lęki, trudności w oddawaniu moczu. Typ pikniczny. Blizny na podudziu lewym i lewym przedramieniu. *Vis. oc. dext.* = 0,5 + + 1,0, *Dsph* = 1,0, *Vis. oc. sin.* = 0,5 + 1,5 *Dsph* = 1,0; rogówki: mgiełkowate zmętnienie warstw podnabłonkowych i miąższu; soczewki: intensywne wysycenie szwów; szklistki: pyłkowate męty; dno oczu: okres drugiego stopnia nadciśnienia tętniczego krwi w siatkówce z miażdżycą tętnic. Błony śluzowe jamy ustnej zanikowe. Układ oddechowy: zniekształcenie beczkowate klatki piersiowej, garb, odgłos opukowy jawny z odcieniem bębenkowym, szmery oddechowe pęcherzykowe. Serce: granice nieco poszerzone, akcja miarowa, tony ciche, głuche, tętno 76/min. RR = = 150/100. Układ pokarmowy — żylaki odbytnicy. Badanie ortopedyczne (dr med. *Z. Ćwiklicki*): lewa kończyna dolna skrócona o 1,5 cm, wykazuje mierny zanik tkanek miękkich, szczególnie zanik mięśni strzałkowych. Obwód podudzia lewego mniejszy o 1,5 cm od prawego nad kostką i łydką. Na zdjęciu rtg widoczne skrzywienie kręgosłupa piersiowo-lędźwiowego ze zmianami zniekształcającymi. Badania dodatkowe: oB, krew i mocz bez zmian. Rtg płuc: prawa przepona wyżej ustawiona, słabiej oddechowo ruchoma, prawa zatoka przeponowo-żebrowa zatarta, serce poszerzone w lewo. Ekg przemawia za uszkodzeniem mięśnia sercowego. Próby wątrobowe: kadmowa (+), wstęga Weltmanna próbówka 8, transaminazy: SGOT = 50 j. C. W., SGPT = 65 j. C. W., RN = 45, 8 mg%. Cholesterol = 157 mg%, bilirubina = 0,9 mg%. Utrata zębów 40,62%. Rozpoznanie: stan po złamaniu podudzia lewego w 1/3 dolnej, skrzywienie kręgosłupa piersio-

[3] Ze względów technicznych zrezygnowano z reprodukcji nadesłanych przez autorów zdjęć radiologicznych (przyp. red.).

wo-lędźwiowego ze zmianami zniekształcającymi (garb), tzw. astenia poobozowa, uszkodzenie mięśnia sercowego przy nadciśnieniu tętniczym II stopnia i z miażdżycą naczyń tętniczych, cholecystopatia, nietrzymanie moczu.

Przypadek 2, lp. 33, G. S., lat 50 aresztowany w 24 roku życia za usiłowanie przekroczenia granicy, był przez 5 lat więziony w Monachium oraz w obozach w Buchenwaldzie (nr więźnia 2073), Ravensbrück (nr 51136) i Sachsenhausen (nr 135648). Skutkiem bicia w śledztwie było wybicie 6 zębów, rozległa, głęboka rana w okolicy żuchwy po stronie prawej i prawdopodobnie złamanie żuchwy oraz pourazowa choroba nerek. Od czasu śledztwa ma blizny w okolicy prawej podżuchwowej i prawego łokcia. Badanie ortopedyczne: stwierdza się zniekształcającą bliznę w okolicy podżuchwowej prawej, twardą, uciskowo bolesną, zrośniętą z okostną, mało przesuwalną (ryc. 1). Uwol-

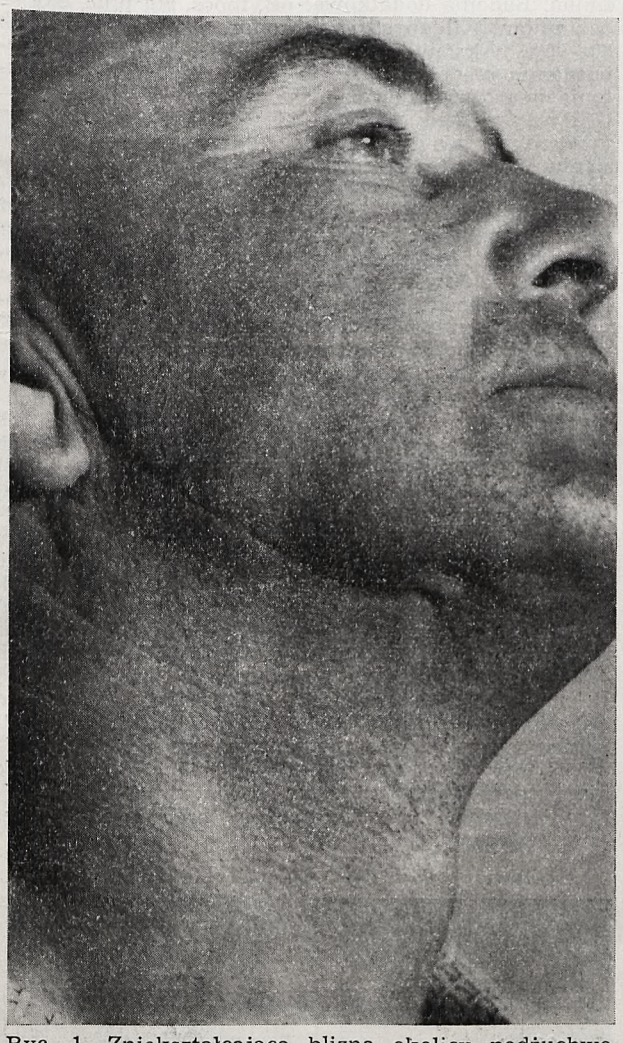

Ryc. 1. Zniekształcająca blizna okolicy podżuchwowej u byłego więźnia G. S.

niony 2 maja 1945 roku przez aliantów pod Szwerynem ważył 36 kg, był ogólnie wycieńczony, w bardzo złym stanie psychicznym, leczono go w szpitalu amerykańskim.

Przypadek 3, lp. 57, M. M., lat 61, aresztowany w 38 roku życia za pomoc udzielaną więźniom obozu oświęcimskiego, przebywał 2 lata w obozach Oświęcim (nr 119772) i Buchenwald (80219). Wskutek pobicia doznał złamania szyjki kości ramieniowej lewej. Badanie ortopedyczne: obecnie ma ograniczoną ruchomość lewego stawu barkowego, unoszenie lewego ramienia możliwe tylko do poziomu. W obrębie lewego barku stwierdza się mierny zanik tkanek miękkich. Reprodukuje się dokument o pobycie w obozach (ryc. 2 i 2a) oraz fotokopie wpisu z obozowej rentgenowskiej księgi rejestracyjnej (ryc. 3). Rtg. płuc: pola

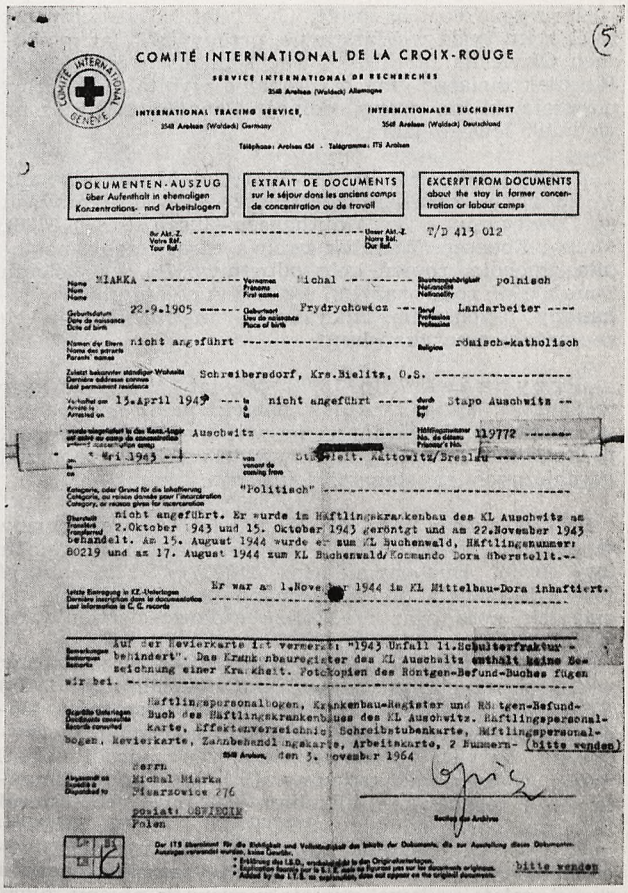

COMITÉ INTERNATIONAL DE LA CROIX-ROUGE
SERVICE INTERNATIONAL DE RECHERCHES
INTERNATIONAL TRACING SERVICE
INTERNATIONALER SUCHDIENST

DOKUMENTEN-AUSZUG über Aufenthalt in ehemaligen Konzentrations- und Arbeitslagern
EXTRAIT DE DOCUMENTS sur le séjour dans les anciens camps de concentration ou de travail
EXCERPT FROM DOCUMENTS about the stay in former concentration or labour camps

T/D 413 012

MIARKA — Michal — polnisch
22.9.1905 — Frydrychowice — Landarbeiter
nicht angeführt — römisch-katholisch
Schreibersdorf, Krs. Bielitz, O.S.
15. April 1943 — nicht angeführt — Stapo Auschwitz
Auschwitz — 119772
April 1943 — Stalag VIII B Lamsdorf, Kattowitz/Breslau
"Politisch"

nicht angeführt. Er wurde im Häftlingskrankenbau des KL Auschwitz am 2.Oktober 1943 und 15. Oktober 1943 geröntgt und am 22.November 1943 behandelt. Am 15. August 1944 wurde er zum KL Buchenwald, Häftlingsnummer 80219 und am 17. August 1944 zum KL Buchenwald/Kommando Dora überstellt.--

Er war am 1.November 1944 im KL Mittelbau-Dora inhaftiert.

Auf der Meierkarte ist vermerkt: "1943 Unfall li.Schulterfraktur - behindert". Das Krankenbauregister des KL Auschwitz enthält keine Bezeichnung einer Krankheit. Fotokopien des Röntgen-Befund-Buches fügen wir bei.

Häftlingspersonalbogen, Krankenbau-Register und Röntgen-Befund-Buch des Häftlingskrankenbaues des KL Auschwitz. Häftlingspersonalkarte, Effektenverzeichnis, Schreibstubenkarte, Häftlingspersonalbogen, Meierkarte, Zahnbehandlungskarte, Arbeitskarte, 2 Nummern- (bitte wenden)

3548 Arolsen, den 3. November 1964

Herrn
Michal Miarka
Miaszowice 276
powiat: OSWIĘCIM
Polen

bitte wenden

Ryc. 2. Reprodukcja z dokumentu o pobycie w obozach.

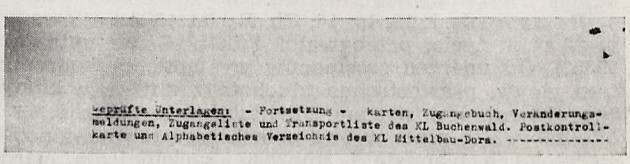

geprüfte Unterlagen: - Fortsetzung - karten, Zugangsbuch, Veränderungsmeldungen, Zugangsliste und Transportliste des KL Buchenwald. Postkontrollkarte und Alphabetisches Verzeichnis des KL Mittelbau-Dora.

Ryc. 2a. Strona druga dokumentu

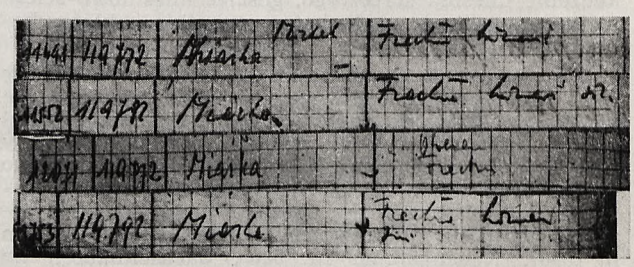

Ryc. 3. Reprodukcja wpisów do rejestracyjnej księgi rentgenowskiej (Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu) po wykonaniu zdjęć rtg lewego ramienia u więźnia nr 119772 (tom 19, str. 53 z dnia 2.X.1943 roku, str. 57 z dnia 4.X.1943 roku, str. 70 z dnia 7.X.1943 roku i tom 20, str. 16 z dnia 15.X.1943 roku)

płucne o wzmożonym rysunku, obie przepony w zrostach. Ekg spoczynkowy budzi podejrzenie, a wysiłkowy przemawia za uszkodzeniem mięśnia sercowego. Utrata zębów 100%. Rozpoznanie: stan po złamaniu szyjki kości ramieniowej lewej, zrost z przemieszczeniem odłamków, uszkodzenie mięśnia sercowego, tzw. astenia poobozowa.

Przypadek 4, lp. 69, B. P., lat 69, aresztowany w 43 roku życia, przebywał w obozach 3 miesiące (Dachau i Mauthausen-Gusen). Od bicia i kopania ma wybite zęby, zwichniętą prawą kończynę dolną w stawach skokowym i biodrowym.

Przypadek 5, lp. 41, C. F., lat 53, aresztowany w 27 roku życia w Warszawie, przebywał 5 lat w obozach Oświęcim (nr 1787) i Sachsenhausen (nr 122000). Wskutek bicia po głowie i kopania wybito mu 3 zęby, powstała blizna wargi dolnej. Ponadto stwierdzono wodniak lewego jądra.

Przypadek 6, lp. 45, G. J., lat 55, aresztowany w 33 roku życia za działalność w AL. Przebywał w Oświęcimiu i w Mauthausen-Gusen (nr 118786), Melk i Ebensee. Wskutek pobicia utracił zęby, nastąpiła głuchota, ropień koło odbytnicy. Po wyzwoleniu 6 maja 1945 roku ważył 37 kg, był zupełnie głuchy, załamany psychicznie, miał zanik mięśni, leczono go w szpitalu amerykańskim.

Przypadek 7, lp. 13, K. W., lat 44, aresztowany w 23 roku życia; wskutek pobicia przez esesmanów w obozie w Oświęcimiu (nr więźnia 156732) doznał uszkodzenia szczęki górnej, wybicia zębów, zaburzeń psychicznych ze stanami lękowymi.

Przypadek 8, lp. 63, K. W., lat 64, aresztowany w 40 roku życia, był 2 lata w obozach Oświęcim (nr 27009), Buchenwald (nr 28721) i Flossenbürg. Wskutek pobicia przez esesmana powstała blizna na grzbiecie nosa oraz w okolicy czołowo-ciemieniowej.

Przypadek 9, lp. 38, G. S., lat 51, aresztowany w 26 roku życia, pozostawał w Oświęcimiu (nr 20748 EH) przez 3 miesiące. Był bity przez esesmanów. Badania dodatkowe: oB = 2/15, krew bez zmian, mocz — obecne barwiki żółciowe, wzmożony urobilinogen. Próby wątrobowe: kadmowa (+), wstęga Weltmanna — 8 próbówka, bilirubina 0,9 mg%, cholesterol 192,5 mg%, transaminazy: SGOT=70 j. C. W., SGPT= = 85 j. C. W. Rtg płuc: lewa przepona zrostami podciągnięta w górę, lewy górny płat marski, tchawica przeciągnięta w lewo, pozostały rysunek płucny miernie wzmożony. Ekg: niedotlenienie i uszkodzenie mięśnia sercowego. Rozpoznanie: tzw. astenia poobozowa, gruźlica płuc, stan po zapaleniu wątroby.

Przypadek 10, lp. 16, Ch. E., lat 45, aresztowany w 22 roku życia, przebywał 2 lata w Oświęcimiu (nr 92380). Od uderzeń esesmanów wystąpiło uszkodzenie tyłu głowy, prawostronna głuchota z ubytkiem błony bębenkowej, lewostronne zniekształcenie żeber i wybite zęby. Rtg płuc: w obu polach szczytowych i podszczytowych plamiste i smużaste zaciemnienia ostro konturowane. Ekg: uszkodzenie mięśnia sercowego. Utrata zębów 81,25%. Rozpoznanie: gruźlica płuc, uszkodzenie mięśnia sercowego, gościec mięśniowo-ścięgnisty, prawostronna głuchota z ubytkiem błony bębenkowej.

Przypadek 11, lp. 35, B. A., lat 51, aresztowany w 24 roku życia za usiłowanie przejścia przez granicę na Węgry. Wskutek pobicia przez esesmanów doznał uszkodzenia głowy (rtg: wpuklenie kości pokrywy czaszki w okolicy ciemieniowo-potylicznej), prawego kolana oraz nerek. Aresztowany przez gestapo w Zakopanem, przebywał w obozach 5 lat po pobycie w więzieniu na Montelupich w Krakowie (Oświęcim nr 5907, Neuengamme nr 5265, Sachsenhausen nr 72199). Wyzwolony przez armię amerykańską Obecne dolegliwości: częste bóle głowy, zwłaszcza w okolicy ciemieniowo-potylicznej, prawego kolana, wzmożona pobudliwość nerwowa, duszność wysiłkowa, okresowe biegunki. Blizna na skórze głowy w okolicy ciemieniowo-potylicznej, na prawym barku, liczne blizny na kończynach dolnych. Układ oddechowy i pokarmowy bez zmian. Akcja serca miarowa, tony głuchawe. Tętno 70/min. RR = 140/90. Badania dodatkowe: oB i rtg płuc bez zmian. Mocz — białko 0,015 promille, nieliczne pasma śluzu, nieliczne erytrocyty w polu widzenia, urobilinogen wzmożony. RN = 45,9 mg%, transaminazy: SGOT = 45 j. C. W., SGPT = 70 j. C. W.; cholesterol 250 mg%. Ekg wykazał niedotlenienie i uszkodzenie mięśnia sercowego. Utrata zębów 68,75%. Rozpoznanie: pourazowe wpuklenie kości pokrywy czaszki w okolicy ciemieniowo-potylicznej, nefropatia, niedotlenienie i uszkodzenie mięśnia sercowego, reumatyzm okołostawowy, astenia poobozowa.

B. Eksperymenty pseudolekarskie

Przypadek 1, lp. 2, S. L., lat 26, jako 3-letnie dziecko dostała się do obozu wraz z aresztowaną matką. W obozie oświęcimskim esesmani oddzielili ją od matki; otrzymała numer 70072 i przebywała tam od 11. XI. 1943 do 27. I. 1945 roku. Podczas pobytu w obozie była bardzo osłabiona i wyczerpana po eksperymentach przeprowadzanych przez dra *J. Mengelego*, który upuszczał jej krwi z żył, a wstrzykiwał fizjologiczny roztwór soli (świadkiem była lekarka-więźniarka *Nikiticzna* z Kijowa). Wskutek doświadczeń pseudolekarskich nabawiła się przewlekłej, okresowo powracającej niedokrwistości. Obecne dolegliwości: skargi na kłucie w okolicy serca, wzmożona pobudliwość, bóle wzdłuż podudzi i okresowa niedokrwistość. Typ leptosomiczny. Ma blizny na prawym podudziu. Układ oddechowy, sercowo-naczyniowy, pokarmowy, moczowy — bez zmian. Narząd ruchu bez zmian. Badania dodatkowe: oB, mocz, rtg płuc, ekg — bez zmian. Kilkakrotnie wykonane badanie krwi: Hb 60—70%, wskaźnik 0,83, k. c. 3500000, k. b. 5800. Rozpoznanie: niedokrwistość wtórna niedobarwliwa. Dystonia neuro-wegetatywna.

Przypadek 2, lp. 31, S. T., lat 49, aresztowany w 24 roku życia w Łańcucie, 4 lata przebywał w więzieniu „Zamek" w Rzeszowie, na Montelupich i w obozach Oświęcim (nr 20034), Gross-Rosen (77236) i Buchenwald (128031). Więzień polityczny. W lipcu 1942 roku otrzymał zastrzyk, po którym zachorował na dur wysypkowy. Przypadek opisany w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" (1965, nr 1, s. 56). Po wyzwoleniu przechodził dwukrotny nawrót duru wysypkowego; w roku 1955 leczony w Łańcucie, w roku 1963 w Klinice Chorób Zakaźnych AM w Krakowie.

Przypadek 3, lp. 66, K. W., lat 67, uwięziony w 43 roku życia w Nowym Sączu jako więzień polityczny. 3 lata i 2 miesiące przebywał w więzieniach w Nowym Sączu i w Tarnowie oraz w obozach w Oświęcimiu (nr 29638) i Mauthausen-Gusen (nr 1164 i nr 43946). W Gusen wstrzyknięto mu ropę do lewej łydki, następnie dwukrotnie dokonano eksperymentalnych zabiegów chirurgicznych. Wskutek eksperymentu z ropowicą utrzymują się bóle lewej kończyny dolnej, osłabienie siły mięśniowej oraz mierny zanik tkanek miękkich, a wskutek pobicia przez esesmana doznał uszkodzenia kręgosłupa w okolicy kręgu D-VII oraz wybicia zębów. W I Klinice Chorób Wewnętrznych AM w Warszawie stwierdzono w karcie informacyjnej l. ks. gł. 12258/287 z 30. IX. 1965 roku: *„Phlegmona experimentalis cruris sinistri in anamnesi anno 1942 subsequente cicatrices pedis et cruris sinistri multiplices, atrophia musculorum, paresthesia et myalgia loco experimenti. Syndroma psychoorganicum chronicum probabiliter experimentum pseudomedicum et post traumam capitis (...)"*.

Ryc. 4. Blizny prawego pośladka po eksperymentach pseudolekarskich u byłego więźnia G. J.

Przypadek 4, lp. 32, G. J., lat 49; aresztowano go w 23 roku życia w Nowym Sączu. Przebywał w obozach 5 lat, w Oświęcimiu (nr 449) i w Sachsenhausen. W czasie jednego miesiąca pobierano mu eksperymentalnie krew. Dokonano wycięcia obu ślinianek przyusznych, jak również eksperymentalnej operacji prawego biodra. Wskutek przeprowadzonych eksperymentów pozostały ślady w postaci trzech dużych blizn na prawym pośladku i w okolicy prawego biodra (ryc. 4) oraz operacyjne blizny w okolicy ślinianek przyusznych.

Przypadek 5, lp. 14, N. T., lat 45, aresztowany w 19 roku życia, przebywał 5 lat w Dachau i w Mauthausen-Gusen (nr 4346 i 46090). Przez 4 miesiące w roku 1944 wstrzykiwano mu domięśniowo raz w tygodniu nieznane substancje. Wskutek domięśniowych wstrzyknięć powstały na prawym podudziu i pośladkach ropnie, a po ich wygojeniu liczne, duże blizny.

C. Tzw. astenia poobozowa

Przypadek 1, lp. 26, S. J., lat 47, aresztowany w 21 roku życia, przebywał 5 lat i 4 miesiące w obozach w Sachsenhausen (nr 20615), Oświęcim (71976), Buchenwald i Leitmeritz (Litomierzyce). Przechodził w obozie dur wysypkowy. Obecne dolegliwości: skargi na zawroty głowy, dolegliwości serca, wzmożoną pobudliwość, bóle w prawym nadbrzuszu, odbijania, częste wymioty, zaparty stolec. Typ leptosomiczny. *Vis. oc. utr.* = 1,0; rogówki: mgiełkowate zmętnienie warstw podnabłonkowych i miąższu; soczewki: mgiełkowate zmętnienie warstw korowych i brunatne torebki tylnej; szklistki: pyłkowate męty; dno oczu: rozwinięta miażdżyca naczyń tętniczych. Układ oddechowy, krążenia, moczowy bez zmian. Układ pokarmowy: tkliwość uciskowa w prawym nadbrzuszu. Badania dodatkowe: oB 11/36, krew, mocz, rtg płuc bez zmian. Ekg budzi podejrzenie o niedotlenienie i uszkodzenie mięśnia sercowego. Rtg żołądka i dwunastnicy: opuszka dwunastnicy o ścianach znacznie zniekształconych, kontrast przechodzi z trudnością wąskim strumieniem szerokości 3 mm. Próby wątrobowe: kadmowa (+), wstęga Weltmanna — 8 próbówka. Transaminazy: SGOT = 65 j. C. W., SGPT = 70 j. C. W. Cholesterol 135 mg%, bilirubina 1,2 mg%. Utrata zębów 100%. Rozpoznanie: tzw. astenia poobozowa, choroba wrzodowa dwunastnicy, cholecystopatia, dystonia neurowegetatywna.

Przypadek 2, lp. 46, P. M., lat 55, aresztowany w 33 roku życia, przebywał 1 rok i 1 miesiąc w Oświęcimiu, Gross-Rosen (nr 16391) i „Dora" (nr 118336) w pobliżu Nordhausen. Reprodukuje się dokument obozowy (ryc. 5). Według zaświadczenia z 10. IX. 1945 r. był leczony od 4. VI. 1945 do 10. IX. 1945 roku w Szpitalu Polskim w Seesen. W obozach chorował na biegunkę i chorobę wrzodową dwunastnicy. Leczony był po oswobodzeniu również w Powiatowym Szpitalu Ewangelickim Bad Gardersheim. Rtg żołądka i dwunastnicy (według pisma *Evgl. Kreiskrankenhaus* z 20. VII. 1945 roku) wykazał niszę wrzodową na krzywiźnie dwunastnicy. Rtg płuc z 17. V. 1945 roku wykazał gruźlicę płuc włóknisto-guzkowatą. Obecne dolegliwości: skargi na ściskanie w klatce piersiowej przy wysiłku, napadowe bicie serca, uczucie nagłego wyczerpania wieczorem, dolegliwości ze strony przewodu pokarmowego, bóle prawego stawu barkowego, słuch przytępiony. Typ leptosomiczny. *Vis. oc. dext.* = 6/35 z —3,0 *Dsph* = 6/7,5. *Vis. oc. sin.* = 6/25 z —2,0 *Dsph* = 6/6. Zmiany w rogówce, w soczewce, w szklistce i w dnie oka, jak w przypadku A1. Badania dodatkowe: oB, krew, mocz — bez zmian. Rtg płuc: zaciemnienie w szczycie prawym. Rtg żołądka: owrzodzenie dwunastnicy. Ekg: uszkodzenie mięśnia sercowego. Utrata zębów 81,25%. Rozpoznanie: tzw. astenia poobozowa, gruźlica płuc włóknisto-guzkowa, uszkodzenie mięśnia sercowego, choroba wrzodowa dwunastnicy, krótkowzroczność obu oczu, neuralgia splotu barkowego prawego, blizny błony bębenkowej prawej (powstałe według badanego po uderzeniach w bloku 11 w Oświęcimiu).

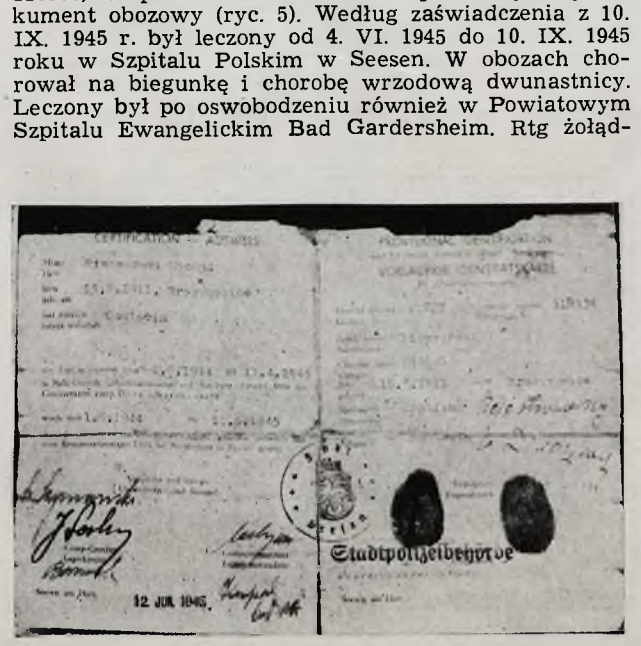

Ryc. 5. Reprodukcja dokumentu byłego więźnia P. M.

Przypadek 3, lp. 54, L. A., lat 58, aresztowany w 36 roku życia, przebywał 11 miesięcy w obozach Gross-Rosen i Landeshut. Był kilkakrotnie pobity przez „kapo", szczególnie po głowie, tak, że miał krwawe wycieki z uszu. Po odzyskaniu wolności ważył 47 kg. Był „muzułmanem", w bardzo złym stanie psychicznym; nie mógł sobie przez dłuższy czas uzmysłowić, że odzyskanie wolności jest rzeczywistością. Przez kilka miesięcy w ciągu nocy miał koszmarne sny, które go bardzo wyczerpywały; powtarzają się jeszcze one obecnie, ale w dłuższych odstępach czasu. Obecne dolegliwości: już rano odczuwa zmęczenie, które ustępuje nieco w ciągu dnia, wieczorem zaś wzrasta; występuje uczucie nagłego wyczerpania; okresowo źle sypia, odczuwa duszność wysiłkową, ściskanie w klatce piersiowej przy wysiłku, bóle w okolicy serca, napadowe bicie serca, trudności w skupianiu uwagi. Typ leptosomiczny. *Vis. oc. dext.* + 6/15 + 1,5, *Dsph* = 6/6; *Vis. oc. sin.* = 6/7 + 1,0, *Dsph* 6/6; rogówki: mgiełkowate zmętnienie warstw podnabłonkowych i miąższu; soczewki: szare i szarobrunatne zmętnienie torebki tylnej; szklistki: pyłkowate męty; dno oczu: rozwinięta miażdżyca naczyń tętniczych siatkówek. Układ oddechowy i pokarmowy bez zmian. Akcja serca miarowa, tony głuche, tętno 60/min., RR = 130/90. Badania dodatkowe: oB = 8/22, krew bez zmian; kilkakrotne badanie moczu: białko 0,015 promille, liczne pasma śluzu, świeże erytrocyty. Reszta azotowa = 57 mg%, cholesterol 175 mg%. Ekg: uszkodzenie mięśnia sercowego. Utrata zębów 78,12%. Rozpoznanie: tzw. astenia poobozowa, uszkodzenie mięśnia sercowego, nefropatia, lewostronna przepuklina pachwinowa.

Przypadek 4, lp. 58, M. R., lat 62, aresztowany w 39 roku życia, przebywał dwa lata w obozie oświęcimskim (nr 164978). Wskutek pobicia przez esesmanów nastąpiło osłabienie słuchu. W obozie chorował na biegunkę i gruźlicę płuc. Po oswobodzeniu był leczony w sanatorium w Ambergu (przedstawił zaświadczenie stamtąd, wydane 21. XI. 1945 roku („*Tbc. der bd. Ober- u. Mittelfelder mit mehreren kleinen Cavernen*"), a także „epikryzę", ze szpitala w Cham), (ryc. 6). Rtg płuc z dnia 2. VII. 1945 roku: obustronna włóknisto-wysiękowa gruźlica płuc z licznymi małymi jamami. Obecne dolegliwości: skargi na przytępienie słuchu (audiogram wykonała Klinika Chorób Uszu, Nosa i Krtani AM w Krakowie), ściskanie w klatce piersiowej, przy wysiłku, napadowe bicie serca, uczucie nagłego wyczerpania wieczorem. Typ pikniczny. *Vis. oc. utr.* = 6/6. Zmiany w narządzie wzroku, jak w przypadku A1. Badania dodatkowe: oB, krew i mocz — bez zmian. Rtg płuc: włóknisto-guzkowate zagęszczenie w obu polach szczytowo-podszczytowych, zrost przeponowo-żebrowy prawy. Ekg: niedotlenienie i uszkodzenie mięśnia serca. Utrata zębów 100%. Rozpoznanie: tzw. astenia poobozowa, gruźlica płuc włóknisto-guzkowata, niedotlenienie i uszkodzenie mięśnia serca.

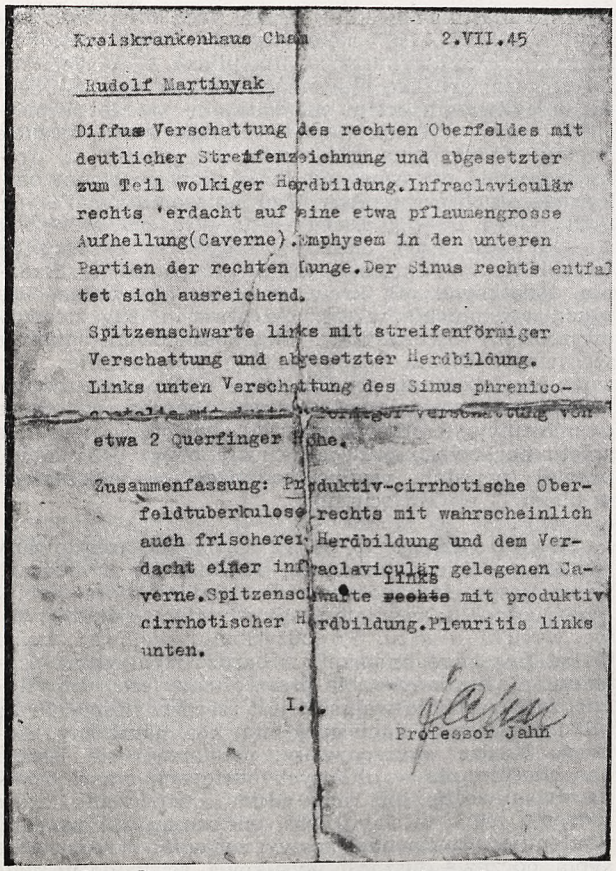

Kreiskrankenhaus Cham 2.VII.45

Rudolf Martinyak

Diffus Verschattung des rechten Oberfeldes mit deutlicher Streifenzeichnung und abgesetzter zum Teil wolkiger Herdbildung. Infraclaviculär rechts Verdacht auf eine etwa pflaumengrosse Aufhellung (Caverne). Emphysem in den unteren Partien der rechten Lunge. Der Sinus rechts entfaltet sich ausreichend.

Spitzenschwarte links mit streifenförmiger Verschattung und abgesetzter Herdbildung. Links unten Verschattung des Sinus phrenico-costalis mit dichter streifiger Verschattung von etwa 2 Querfinger Höhe.

Zusammenfassung: Produktiv-cirrhotische Oberfeldtuberkulose rechts mit wahrscheinlich auch frischerer Herdbildung und dem Verdacht einer infraclaviculär gelegenen Caverne. Spitzenschwarte links mit produktiv cirrhotischer Herdbildung. Pleuritis links unten.

I.A.

Professor Jahn

Ryc. 6. Reprodukcja zaświadczenia lekarskiego ze szpitala w Cham dla byłego więźnia M. R.

Omówienie

Zbadano 74 byłych więźniów z 22 obozów koncentracyjnych. Większość z nich była przerzucana z obozu do obozu i przebywała kolejno w 2, 3 lub 4 *kacetach*. 49 byłych więźniów przebywało między innymi w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka, a 19 w Mauthausen-Gusen. Wykształcenie wyższe ma 12 byłych więźniów, średnie 26, podstawowe z zawodem 21, a podstawowe bez zawodu 15. W tej grupie 63 pracuje czynnie zawodowo, a 11, to renciści.

W badaniu przyjęto klasyfikację konstytucji byłych więźniów według *Kretschmera*, który uwzględnia nie tylko cechy budowy ciała, lecz także szerzej reakcje różnych typów anatomicznych na wpływy zewnętrzne. U 68,91% byłych więźniów stwierdzono typ leptosomiczny, u 29,74% pikniczny, a u 1,35% atletyczny. W typie leptosomicznym stwierdzono przeważnie dość duży niedobór ciężaru ciała spowodowany przeżyciami obozowymi, zaburzeniami ze strony przewodu pokarmowego (biegunki obozowe, tzw. *durchfall* jako wyraz niedoboru białka), upośledzoną resorpcję na tle zaniku błony śluzowej przewodu pokarmowego. U byłych więźniów początkowa *dystrophia alimentaris* przewodu pokarmowego przechodziła w atrofię błony śluzowej przewodu pokarmowego, zanik mięśnia serca, wątroby, mięśni (2). U 95,4% badanych stwierdzono cechy rozwiniętego zaniku błony śluzowej jamy ustnej, dziąseł, gardła. Wyniki te potwierdzają obserwacje *Krzywickiego* (9, 10, 11). U 29,74% byłych więźniów stwierdzono typ pikniczny przy zupełnie miernym apetycie; często skarżyli się oni na oligurię przy wzmożonym pragnieniu. Objaw ten można również uznać za ślad następstw poobozowych, a jego etiologię stanowią obozowe czynniki somatyczno-psychiczne.

Kowalczykowa i *Waitz* opisali powszechnie stwierdzone fakty zaburzeń menstruacji u więźniarek po uwięzieniu i powrót miesiączki po wyzwoleniu. U większości kobiet menstruacja występowała jeszcze 2—3 razy po uwięzieniu. Wskutek głodzenia, a także działania stressów psychicznych więźniarki traciły miesiączkę (zaburzenia te podało 12,16% więźniarek).

W grupie przypadków opisanych w punkcie A przedstawiono 11 skróconych opisów, w których występują ślady somatyczne w postaci blizn skóry, zrostów pękniętych lub złamanych kości. Więźniom zadawano w obozie ciężkie urazy czaszki (ślady potwierdzone radiologicznie), połączone z utratą przytomności, uszkodzeniem kości nosa i z ubytkami błony bębenkowej, przypalano ich w śledztwie ogniem. W następstwie bicia i kopania jedni więźniowie mieli połamane kończyny górne i dolne, wpuklone kości pokrywy czaszki, uszkodzony kręgosłup, inni złamania szczęki, rozszarpane wargi, wybite zęby, złamane obojczyki, pęknięte i zniekształcone żebra, zwichnięte w stawach kończyny dolne lub górne. Stwierdzone radiologicznie i badaniem fizykalnym ślady następstw tych somatycznych stressów przedstawiono w ustępie I. O maltretowaniu i torturowaniu więźniów pisano niejednokrotnie w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". Sami esesmani potwierdzili to również, np. *J. P. Kremer* w swym pamiętniku. *Krzywicki* podkreśla w swojej pracy (10), że brutalne traktowanie więźniów przez esesmanów i funkcyjnych obozowych w wielu przypadkach pozbawiało ich w jednej chwili większej liczby zębów. Obozy koncentracyjne były tanimi poligonami doświadczalnymi niemieckiej medycyny; o wykonywanych w nich na więźniach eksperymentach pseudolekarskich pisano wielokrotnie. W czasie tych eksperymentów, jak wiadomo, więźniowie często znosili męczarnie i wielki ból, a większość z nich doznawała trwałych okaleczeń i uszkodzeń ciała, albo ginęła w bezpośrednim następstwie eksperymentu lub wskutek braku późniejszej opieki. Więźniom wstrzykiwano dożylnie wodę utlenioną, benzynę, ewipan, fenol, a później dosercowo fenol, zakażano ich krwią pobraną od chorych na dur, zimnicę, żółtaczkę zakaźną, wykonywano na nich doświadczenia z ropowicami itd. *Fejkiel* dzieli eksperymenty esesowskie na „biologiczne", farmakologiczne i chirurgiczne.

W ustępie B opisano 5 przypadków, w których wykonano pseudolekarskie eksperymenty. Wskutek eksperymentu przeprowadzonego przez dr *Mengelego* badana S. L. (B1) cierpi na przewlekłą, okresowo powracającą niedokrwistość jako ślad następstwa chorobowego po dokonanym eksperymencie. S. T. (B2) wskutek sztucz-

nego zakażenia krwią chorego na dur wysypkowy ciężko zachorował w obozie i trzykrotnie w okresie powojennym. Eksperymenty chirurgiczne wykonane u G. J. (B4) i wstrzykiwanie substancji drażniących u N. T. (B5), po których powstały ropnie, nie wymagają komentarzy. Należy podkreślić, że w warunkach wygłodzenia obozowego — ilościowo i jakościowo nie wystarczające odżywienie (1, 3, 8, 12) — ustrój więźniów cierpiał na brak rezerw i sił obronnych, co powodowało według *Olbrychta* znaczne upośledzenie wzroku i słuchu, a często drobne sprawy ropne przechodziły w rozległe ropowice. Dlatego eksperymenty „biologiczne" były bardzo źle znoszone przez więźniów.

W grupie C opisano 4 przypadki przewlekłej, postępującej astenii. Mimo że w ustępie III punkt 7 podano, iż astenię poobozową stwierdzono u 83,78% badanych, to wszystkich przypadków nie opisywano ze względu na podobieństwo jej objawów, co jest zgodne z obserwacjami innych autorów, np. *Rybackiego* czy *Szymusika*. Obserwując tę grupę w życiu towarzyskim stwierdzono, że osoby te mają napadowe stany nadwrażliwości pamięci, czyli stany hipermnezji napadowej. Występuje ona u nich w okresie złego samopoczucia, bądź przy zmęczeniu jako objaw nerwicowy lub dodatkowy objaw niedotlenienia i uszkodzenia mięśnia serca. Należy zaznaczyć, co już *Półtawska* w swojej pracy podkreśliła, że byli więźniowie niechętnie mówią o nagłym natłoku patologicznie żywych wspomnień obozowych w postaci kolorowych obrazów i scen najbardziej makabrycznych. Ekspresja stanów hipermnezji napadowej wraz z towarzyszącym zespołem objawów wegetatywnych mimo upływu wielu lat nie zmniejsza się. Jest to utrwalony ślad przeżyć obozowych.

Wnioski

1. Po skonfrontowaniu wybitnie złego stanu uzębienia byłych więźniów, których badania tutaj przedstawiono (w ustępie III, punkt 1), ze stanem uzębienia byłych więźniów ze środowiska warszawskiego (*Krzywicki*, 9, 10, 11) nasuwa się wspólny wniosek, że pobyt w obozach koncentracyjnych wpłynął bezwzględnie ujemnie na narząd zębowy byłych więźniów.

2. Po porównaniu danych statystycznych stanu zdrowia byłych więźniów ze środowiska poznańskiego (18), wrocławskiego (5) i szczecińskiego (17) ze stanem zdrowia byłych więźniów ze środowiska oświęcimskiego na pierwszy plan wysuwają się choroby układu krążenia: środowisko poznańskie 75,5%, oświęcimskie 74,32%, wrocławskie 58,3%, szczecińskie 34,8%. Wyniki badań klinicznych i kardiologicznych wszystkich środowisk potwierdzają tezę *Blahy* i *Kłodzińskiego*, że obozowy głód doprowadził do trwałych zmian w mięśniu serca.

3. Zmiany chorobowe oczu wyłączono do odrębnego opracowania. Warto zauważyć tylko, że miażdżyca tętnic — jak podają różni autorzy (np. 2) — była znacznie bardziej zaznaczona u tych więźniów, którzy dłużej przebywali w obozach; na podstawie wyglądu obrazu dna oczu można by wysnuć analogiczny wniosek. U 12,16% byłych więźniów stwierdzono przebyte choroby naczyniówki i siatkówki; w tym u 4,05% można znaleźć związek z pseudolekarskimi eksperymentami (w zbadanej grupie kontrolnej — tylko u 1,5%; zob. pozycja piśmiennictwa 21).

4. Znacznie częściej u byłych więźniów niż u innych ludzi występują choroby reumatologiczne, urologiczne, przewodu pokarmowego i płuc zarówno w badanej grupie, jak też w innych środowiskach byłych więźniów (5, 17, 18). W porównaniu z danymi ogólnopolskimi (16) gruźlica płuc u byłych więźniów ze środowiska krakowskiego (6) była 3—4-krotnie częstsza, a u byłych więźniów z rejonu Oświęcimia (ustęp III, punkt 11) jest 5,5-krotnie procentowo większa.

5. Obozy wpłynęły w wybitny sposób na zwiększenie się chorobowości byłych więźniów, podobnie jak w innych środowiskach (5, 17, 18). Opisane ślady somatyczne następstw chorobowych są związane przyczynowo z pobytem w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Dotyczy to również trwałych śladów psychicznych w postaci stanów hipermnezji napadowej, zmian osobowości (przygnębienie, nieufność, wybuchowość), a więc objawów neuropsychicznych, psychastenii, z trudnościami w przystosowaniu się do normalnych warunków życia, a szczególnie utrudnionego nawiązywania kontaktów międzyludzkich i zaburzeń psychicznych. Objawy te opisywano już szczegółowo w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim", a w przedstawionych badaniach środowiskowych zostały one potwierdzone.

PIŚMIENNICTWO

(Wybór; pełna bibliografia u autora)

1. *Bellert J.*: Praca polskich lekarzy i pielęgniarek w Szpitalu Obozowym PCK w Oświęcimiu po oswobodzeniu obozu. Przegl. Lek. 1963, 1a, 66—69. — 2. *Blaha F.*: W sprawie patogenezy miażdżycy tętnic. Przegl. Lek., 1964, 1, 45—50. — 3. *Fejkiel W.*: Eksperymenty dokonywane przez personel sanitarny *SS* w głównym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1964, nr 1, 101—105. — 4. *Homolka J.*: Diagnostyka biochemiczna. PZWL, Warszawa 1961. — 5. *Kempisty C.*: Stan zdrowia byłych więźniów ze środowiska wrocławskiego. Przegl. Lek., 1967, 1, 96—98. — 6. *Kłodziński S.*: Wyniki badań byłych więźniów Oświęcimia w kierunku gruźlicy płuc, przeprowadzonych w 15 lat po wyzwoleniu. Przegl. Lek., 1961, 1a, 74—75. — 7. *Kłodziński S.*: Cel i metodyka badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1965, 1, 34—36. — 8. *Kowalczykowa J.*: Choroba głodowa w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1961, 1a, 58—60. — 9. *Krzywicki J.*: Badania stomatologiczne byłych więźniów obozów hitlerowskich. W: I Ogólnopolski Zjazd Lekarzy ZBoWiD 1964, 149—155. — 10. *Krzywicki J.*: Stan uzębienia u byłych więźniów obozów hitlerowskich. Przegl. Lek., 1965, 1, 36—37.

11. *Krzywicki J.*: Obrażenia szczękowe w obozie oświęcimskim. Przegl. Lek., 1967, 1, 94—96. — 12. *Münch H.*: Głód i czas przeżycia w obozie oświęcimskim. Przegl. Lek., 1967, 1, 79—88. — 13. *Olbrycht J.*: Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1962, 1a, 37—49. — 14. *Półtawska W.*: Stany hipermnezji napadowej. (Na marginesie badań tzw. „dzieci oświęcimskich"). Przegl. Lek.,

1967, 1, 89—93. — 15. *Rybacki T.*: Zagadnienie przewlekłej postępującej astenii poobozowej w świetle obserwacji poczynionej u osób, które przeszły więzienie i hitlerowskie obozy zagłady. W: I Ogólnopolski Zjazd Lekarzy ZBoWiD 1964, 40—65. — 16. *Saldak B.*: Analiza, ocena i koncepcja organizacji walki z gruźlicą w otwartej opiece zdrowotnej. Instytut Gruźlicy w Warszawie. Komunikaty. Zeszyt 12, 1965. — 17. *Schwann-Pawłowska J.*: Wstępne wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego). Przegl. Lek., 1967, 1. 98—101. — 18. *Szwarc H.*: Chorobowość byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1965, 1, 38—40. — 19. *Szymusik A.*: Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1964, 1, 23—29. — 20. *Waitz R.*: Zmiany chorobowe u byłych więźniarek obozów koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1963, 1a, 41—50.

21. *Witusik W.*: Der Einfluss einiger untertoxischer Faktoren auf das Sehorgan der in der Baumwollindustrie beschäftigen Arbeiter. Klin. Mbl. Augenheilk, 1964, t. 145, 274—280.

TADEUSZ ZDAWSKI Szczecin

Wstępne wyniki badań ftyzjatrycznych byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych

(ze środowiska szczecińskiego)

(Z Oddziału Płucnego Szpitala Garnizonowego w Szczecinie)

Na apel komisji zdrowia przy zarządzie okręgu szczecińskiego ZBoWiD podjąłem się zbadania stanu zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych ze środowiska szczecińskiego. Badania te opierały się głównie na rentgenogramach ze szczególnym uwzględnieniem gruźlicy płuc.

W wypadku stwierdzenia swoistego procesu narządu oddechowego (*tbc*) chorzy byli w przeważnej liczbie przypadków hospitalizowani w Oddziale Płucnym Szpitala Garnizonowego w Szczecinie. Wykonywano tam oprócz badań rutynowych stosowanych w gruźlicy płuc, jak zdjęcia radiologiczne, badania plwociny na prątki Kocha, oB, mocz, morfologia i odczyn Wassermanna u każdego chorego, badania spirograficzne, elektrokardiogram i analizę poziomu białek w surowicy krwi.

Równocześnie korzystano z usług oddziału wewnętrznego, poddając badaniu byłych więźniów przez specjalistę z zakresu chorób wewnętrznych.

Dla uzyskania całości obrazu chorobowego uwzględniono ankiety, zawierające oprócz danych osobowych informacje o czasie i okoliczności uwięzienia, o warunkach bytowych w obozie, przebytych chorobach itp. Osoby cierpiące na gruźlicę i pozostające pod opieką poradni przeciwgruźliczych dostarczały Oddziałowi całą dokumentację dotyczącą dotychczasowego przebiegu i stosowanego leczenia choroby. Po wykorzystaniu historii chorób i badań dodatkowych wypożyczone dokumenty zwracano po ukończonej obserwacji szpitalnej do placówek służby zdrowia. Badania są kontynuowane. Dotychczas zbadano 269 osób ze Szczecina i województwa szczecińskiego, tj. 56% członków tamtejszego koła ZBoWiD.

Czas, w jakim badano byłych więźniów obozów koncentracyjnych (lata 1964—1966), stanowił 20—22 lata od chwili opuszczenia przez nich ciężkich warunków obozowych. Stwierdzono 30 przypadków gruźlicy płuc, przy czym tylko u jednego z badanych wykryto świeży proces swoisty. Pozostali wiedzieli o swej chorobie i leczą się aktualnie lub są pod okresową kontrolą poradni przeciwgruźliczych.

Z analizy wyłączono osoby, które według wywiadu chorowały kiedyś na gruźlicę płuc, a obecnie nie stwierdzono w badaniu rentgenowskim zmian chorobowych w płucach lub też proces został wyleczony z pozostawieniem nielicznych zwapnień czy niewielkich zrostów opłucnowych.

Pod względem rodzaju stwierdzonych zmian gruźliczych poszczególne przypadki zaszeregowano jak w tabeli I.

Tabela I
Postacie gruźlicy płuc

Postać gruźlicy	Liczba chorych
Ograniczona guzkowa gruźlica płuc	12
Gruźlica naciekowa płuc	11
Przewlekła włóknisto-jamista gruźlica płuc	6
Marskość gruźlicza płuc	1
Razem	30

Jak wynika z tabeli I, przeważa gruźlica drobnoguzkowa oraz naciekowa w fazie włóknienia. Zaawansowanej gruźlicy włóknisto-jamistej jest 6 przypadków, przy czym w roku 1965 zmarł z tej grupy jeden chory, u którego oprócz rozległych zmian jamistych w płucach stwierdzono chorobę nowotworową żołądka.

Po przeprowadzeniu szczegółowego wywiadu okazało się, że wszyscy więźniowie byli zdrowi przed przybyciem do obozu lub nie wiedzieli o stanie swych płuc.

Tabela II

Rok wykrycia gruźlicy

Rok zachorowania	Liczba chorych z rozpoznaniem				Łącznie chorych
	ograniczonej guzkowej gruźlicy płuc	gruźlicy naciekowej płuc	włóknisto-jamistej gruźlicy płuc	marskości gruźliczej płuc	
1942				1	1
1943	4	3			7
1944	3	2			5
1945	1				1
1946					
1947	1				1
1948					
1949			1		1
1950			1		1
1951			1		1
1952		2			2
1953	1		1		2
1954		1	1		2
1955					
1956			1		1
1957					
1958					
1959					
1960	1				1
1961					
1962					
1963		1			1
1964		1			1
1965	1	1			2
Razem	12	11	6	1	30

Z tabeli II wynika, że wszystkie przypadki przewlekłej włóknisto-jamistej gruźlicy płuc zostały ujawnione w kilka lat po wyjściu z obozu, najwcześniej w roku 1949, przy czym tylko jeden chory, u którego wykryto zaawansowany proces swoisty płuc w roku 1954, nie był badany radiologicznie od czasu opuszczenia obozu.

Spośród 30 przypadków gruźlicy u byłych więźniów — oprócz 6 osób chorujących na włóknisto-jamistą gruźlicę płuc — w leczeniu przeciwprątkowym pozostaje 3 chorych z rozpoznaniem naciekowej gruźlicy wykrytej w latach 1963—1965 oraz 1 chory z guzkową gruźlicą płuc.

Młody wiek w chwili aresztowania miał duży wpływ na stabilizację procesu chorobowego i w przyszłości na kliniczne wyleczenie. Nie chciałbym, aby ktokolwiek mniemał, że w obozie nie było jamistej gruźlicy płuc, lecz biorąc pod uwagę stan skrajnego wyczerpania fizycznego i psychicznego przy braku jakichkolwiek leków przeciwprątkowych chorzy ci po prostu nie mieli najmniejszych możliwości przeżycia. Również w pierwszych latach powojennych liczba byłych więźniów z ciężkimi postaciami gruźlicy niewątpliwie była znacznie większa, o czym świadczą liczne zejścia śmiertelne z powodu tej choroby, stwierdzane w szpitalach bądź w sanatoriach u tych osób, które były hospitalizowane po uwolnieniu z obozów koncentracyjnych.

Zestawiając wyniki chorobowości gruźliczej (11%) u byłych więźniów obozów koncentracyjnych z okręgu szczecińskiego w roku 1965 z liczbą chorych w województwie szczecińskim, która wynosi 2,3%, dochodzę do podobnego wniosku, jak *Kłodziński* [1], że pobyt w obozie wpłynął w bardzo niekorzystny sposób na zwiększenie się chorobowości.

Przedstawione wyniki są dalszym ogniwem badań lekarskich wykonywanych w środowisku szczecińskim [2].

[1] *S. Kłodziński*: Wyniki badań byłych więźniów Oświęcimia w kierunku gruźlicy płuc, przeprowadzonych w 15 lat po wyzwoleniu. (Doniesienie wstępne). Przegl. Lek., 1961, nr 1a, s. 74—75.

[2] Zob. też *J. Schwann-Pawłowska*: Wstępne wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego). Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 98—101.

JERZY BUDNY Warszawa

Wpływ przebywania w obozie koncentracyjnym na uzębienie byłych więźniów

W licznych pracach, ogłoszonych w zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", wysnuwano wniosek, że warunki życia w obozach koncentracyjnych — głodowe racje żywnościowe, nadmierna, wyczerpująca praca, urazy, choroby, ciągłe niebezpieczeństwo śmierci i inne — mają decydujący wpływ na psychikę i zdrowie byłych więźniów tych obozów. *Krzywicki* w referacie wygłoszonym na pierwszym zjeździe lekarzy ZBoWiD-u — byłych więźniów obozów koncentracyjnych stwierdził, że przyzębie ludzi, a więc narząd utrzymujący ząb w zębodole, w bardzo czuły sposób reaguje na każde dłużej trwające niedomaganie ustroju. U zbadanych 418 byłych więźniów stwierdził, że „pobyt w obozach koncentracyjnych wpłynął bezwzględnie ujemnie na ich narząd zębowy".

Celem tej pracy jest ilościowe zbadanie stanu uzębienia byłych więźniów obozów koncentracyjnych, porównanie z ilościowym stanem uzębienia chorych zgłaszających się do Kliniki Stomatologii Zachowawczej Akademii Medycznej w Warszawie — jako grupą kontrolną — oraz opracowanie nasuwających się wniosków.

Do porównania służyły diagramy uzębienia 500 byłych więźniów, zbadanych w latach

1962—1964 przez lekarzy stomatologów (*Budziszewska, Halska, Hryniewiecka, Krzywicki, Pruski, Giebartowska, Sipowicz, Uziębło* i autor) z diagramami uzębienia chorych klinicznych.

Do stanu uzębienia nie wliczano trzecich zębów trzonowych, tzw. zębów „mądrości". Posiadany materiał podzielono według płci i wieku. Nie wzięto pod uwagę grupy wieku do trzydziestu lat (dzieci urodzone w obozach koncentracyjnych) (trzy osoby) i powyżej osiemdziesięciu lat (dwie osoby), jako mało reprezentatywnych.

Wśród 181 kobiet:

grupa	wieku	30—39	lat	liczyła	11 osób
„	„	40—49	„	„	52 osoby
„	„	50—59	„	„	68 osób
„	„	60—69	„	„	39 osób
„	„	70—79	„	„	11 osób

Wśród mężczyzn:

grupa	wieku	30—39	lat	liczyła	26 osób
„	„	40—49	„	„	98 osób
„	„	50—59	„	„	130 osób
„	„	60—69	„	„	57 osób
„	„	70—79	„	„	8 osób

Obok podziału byłych więźniów według wieku przeprowadzono dodatkowo podział na przebywających w obozach do roku i powyżej, celem ewentualnego uchwycenia wpływu liczby lat przebytych w obozie na stan uzębienia.

Wśród kobiet

w	wieku	lat	30—39	przebywających	rok	było 3
„	„	„	40—49	„	„	„ 14
„	„	„	50—59	„	„	„ 8
„	„	„	60—69	„	„	„ 11
„	„	„	70—79	„	„	„ 1

Wśród mężczyzn

w	wieku	lat	30—39	przebywających	rok	było 10
„	„	„	40—49	„	„	„ 9
„	„	„	50—59	„	„	„ 11
„	„	„	60—69	„	„	„ 7
„	„	„	70—79	„	„	„ 3

Dla każdej grupy wieku obliczono liczbę zębów, znajdujących się w jamie ustnej. Dane liczbowe przedstawiono w tabelach I—X.

Tabela I

Stan liczbowy uzębienia byłych więźniarek w wieku lat 30—39

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	5	5	7	7	4	2	7
6	5	5	6	6	1	3	6
5	7	5	5	5	5	6	5
4	6	5	4	4	9	7	4
3	9	7	3	3	10	10	3
2	9	10	2	2	10	10	2
1	9	10	1	1	10	10	1
	50 +	47			49 +	48	
	97	+	97				
	194						

Tabela Ia

Stan liczbowy uzębienia grupy kontrolnej

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	8	9	7	7	6	9	7
6	7	8	6	6	1	3	6
5	8	8	5	5	10	9	5
4	8	7	4	4	10	9	4
3	10	10	3	3	11	11	3
2	10	11	2	2	11	11	2
1	10	11	1	1	11	11	1
	61 +	64			60 +	63	
	125	+	123				
	248						

Tabela Ib

Stan liczbowy uzębienia grupy byłych więźniarek, przebywających w obozie do jednego roku

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	2	2	7	7	1	0	7
6	1	1	6	6	0	0	6
5	3	2	5	5	2	3	5
4	2	1	4	4	3	2	4
3	3	3	3	3	3	3	3
2	3	3	2	2	3	3	2
1	3	3	1	1	3	3	1
	17 +	15			15 +	14	
	32	+	29				
	61						

Tabela II

Stan liczbowy uzębienia byłych więźniów w wieku lat 30—39

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	23	20	7	7	19	17	7
6	12	10	6	6	5	12	6
5	18	16	5	5	22	20	5
4	13	20	4	4	21	23	4
3	24	23	3	3	25	25	3
2	22	21	2	2	26	25	2
1	22	22	1	1	26	26	1
	134 +	132			144 +	148	
	266	+	292				
	558						

Tabela IIa

Stan liczbowy uzębienia grupy kontrolnej

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	21	19	7	7	21	19	7
6	20	18	6	6	12	11	6
5	22	17	5	5	21	24	5
4	18	21	4	4	23	24	4
3	26	26	3	3	26	26	3
2	24	23	2	2	24	24	2
1	26	25	1	1	25	25	1
	157 +	149			152 +	155	
	306	+	307				
	613						

Tabela IIb
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniów, przebywających w obozie do roku

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	10	9	7	7	8	6	7
6	6	5	6	6	3	6	6
5	7	7	5	5	8	9	5
4	6	9	4	4	7	9	4
3	9	8	3	3	9	9	3
2	9	9	2	2	10	10	2
1	8	9	1	1	10	10	1
	55 + 56				55 + 59		
	111	+			114		
	225						

Tabela III
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniarek w wieku lat 40—49

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	32	24	7	7	19	19	7
6	15	19	6	6	14	14	6
5	23	25	5	5	36	34	5
4	21	20	4	4	43	45	4
3	40	43	3	3	47	51	3
2	34	35	2	2	47	48	2
1	37	36	1	1	47	46	1
	202 + 202				235 + 257		
	404	+			510		
	914						

Tabela IIIa
Stan liczbowy uzębienia grupy kontrolnej

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	35	35	7	7	21	22	7
6	28	28	6	6	16	16	6
5	34	30	5	5	38	37	5
4	34	33	4	4	43	45	4
3	45	46	3	3	50	49	3
2	41	44	2	2	51	51	2
1	48	45	1	1	50	50	1
	265 + 261				269 + 270		
	526	+			539		
	1065						

Tabela IIIb
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniarek, przebywających w obozie do roku

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	11	8	7	7	5	4	7
6	3	7	6	6	7	5	6
5	8	8	5	5	11	11	5
4	7	6	4	4	12	13	4
3	13	13	3	3	12	14	3
2	9	11	2	2	14	13	2
1	11	11	1	1	13	12	1
	62 + 64				74 + 72		
	126	+			146		
	272						

Tabela IV
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniów w wieku lat 40—49

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	52	51	7	7	54	43	7
6	44	35	6	6	27	24	6
5	54	53	5	5	65	69	5
4	48	45	4	4	81	85	4
3	85	80	3	3	98	96	3
2	78	74	2	2	92	91	2
1	82	85	1	1	90	92	1
	443 + 423				507 + 500		
	866	+			1007		
	1873						

Tabela IVa
Stan liczbowy uzębienia grupy kontrolnej

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	53	55	7	7	59	53	7
6	44	33	6	6	42	35	6
5	62	64	5	5	75	72	5
4	54	57	4	4	85	81	4
3	82	84	3	3	93	93	3
2	88	83	2	2	93	93	2
1	85	85	1	1	92	94	1
	468 + 466				539 + 521		
	934	+			1060		
	1994						

Tabela IVb
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniów, przebywających w obozie do roku

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	1	3	7	7	5	7	7
6	3	2	6	6	2	2	6
5	5	5	5	5	6	6	5
4	3	3	4	4	6	7	4
3	7	6	3	3	8	8	3
2	6	5	2	2	8	8	8
1	7	7	1	1	8	8	1
	32 + 31				43 + 46		
	63	+			89		
	152						

Tabela V
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniarek w wieku lat 50—59

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	27	26	7	7	19	17	7
6	22	23	6	6	20	15	6
5	20	23	5	5	38	36	5
4	28	30	4	4	46	47	4
3	43	45	3	3	58	57	3
2	38	38	2	2	53	53	2
1	41	41	1	1	53	52	1
	219 + 226				287 + 277		
	445	+			564		
	1009						

Tabela Va
Stan liczbowy uzębienia grupy kontrolnej

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	43	42	7	7	27	30	7
6	39	36	6	6	21	26	6
5	36	33	5	5	48	52	5
4	35	42	4	4	58	60	4
3	58	57	3	3	65	64	3
2	58	55	2	2	60	61	2
1	59	62	1	1	59	61	1
	328 + 327				338 + 354		
	655	+			692		
	1347						

Tabela Vb
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniarek, przebywających w obozie do jednego roku

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	3	3	7	7	3	2	7
6	2	2	6	6	3	3	6
5	2	4	5	5	4	5	5
4	3	2	4	4	6	6	4
3	5	4	3	3	6	6	3
2	4	5	2	2	6	6	2
1	5	6	1	1	6	6	1
	24 + 26				34 + 34		
	50	+			68		
	118						

Tabela VI
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniów w wieku lat 50—59

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	46	55	7	7	40	39	7
6	34	40	6	6	32	20	6
5	47	41	5	5	65	72	5
4	44	53	4	4	92	96	4
3	84	84	3	3	105	102	3
2	73	69	2	2	93	94	2
1	79	77	1	1	90	93	1
	407 + 419				517 + 516		
	826	+			1033		
	1859						

Tabela VIa
Stan liczbowy uzębienia grupy kontrolnej

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	57	61	7	7	78	49	7
6	46	57	6	6	53	44	6
5	61	81	5	5	90	73	5
4	70	89	4	4	110	98	4
3	113	102	3	3	126	126	3
2	97	105	2	2	118	110	2
1	118	113	1	1	110	106	1
	562 + 608				685 + 606		
	1170	+			1291		
	2461						

Tabela VIb
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniów, przebywających w obozie do roku

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	6	7	7	7	4	4	7
6	5	5	6	6	2	2	6
5	5	2	5	5	9	6	5
4	5	6	4	4	9	8	4
3	6	5	3	3	7	8	3
2	6	6	2	2	8	7	2
1	5	6	1	1	7	7	1
	38 + 37				46 + 42		
	75	+			88		
	163						

Tabela VII
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniarek w wieku lat 60—69

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	7	6	7	7	3	4	7
6	3	5	6	6	3	0	6
5	4	5	5	5	5	7	5
4	6	4	4	4	13	12	4
3	13	9	3	3	21	16	3
2	7	7	2	2	18	17	2
1	9	10	1	1	15	15	1
	49 + 46				78 + 71		
	95	+			149		
	244						

Tabela VIIa
Stan liczbowy uzębienia grupy kontrolnej

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	17	21	7	7	11	8	7
6	18	12	6	6	9	4	6
5	14	12	5	5	21	21	5
4	16	15	4	4	28	32	4
3	28	29	3	3	38	37	3
2	22	26	2	2	36	35	2
1	27	28	1	1	35	35	1
	142 + 143				178 + 172		
	285	+			350		
	635						

Tabela VIIb
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniarek, przebywających w obozie do roku

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	2	1	7	7	3	2	7
6	0	0	6	6	1	0	6
5	1	0	5	5	3	2	5
4	1	1	4	4	3	4	4
3	4	3	3	3	5	4	3
2	2	1	2	2	5	4	2
1	3	3	1	1	3	4	1
	13 + 9				23 + 20		
	22	+			43		
	65						

Tabela VIII
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniów w wieku lat 60—69

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	12	10	7	7	11	8	7
6	7	4	6	6	7	6	6
5	8	9	5	5	22	23	5
4	15	14	4	4	29	34	4
3	26	28	3	3	47	44	3
2	21	17	2	2	30	29	2
1	25	15	1	1	29	26	1
	114 + 97				175 + 170		
	211	+			345		
	556						

Tabela VIIIa
Stan liczbowy uzębienia grupy kontrolnej

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	21	21	7	7	27	18	7
6	27	18	6	6	24	15	6
5	24	30	5	5	36	36	5
4	33	36	4	4	42	51	4
3	45	33	3	3	51	51	3
2	27	30	2	2	51	45	2
1	36	42	1	1	48	48	1
	213 + 210				279 + 264		
	423	+			543		
	966						

Tabela VIIIb
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniów przebywających w obozie do roku

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	2	1	7	7	1	0	7
6	0	0	6	6	0	0	6
5	0	0	5	5	2	0	5
4	2	3	4	4	2	3	4
3	2	2	3	3	6	5	3
2	4	3	2	2	3	3	2
1	5	5	1	1	3	3	1
	15 + 14				17 + 14		
	29	+			31		
	60						

Tabela IX
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniarek w wieku lat 70—79

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	1	0	7	7	0	0	7
6	0	0	6	6	0	0	6
5	0	0	5	5	0	1	5
4	0	1	4	4	2	2	4
3	1	1	3	3	3	3	3
2	0	0	2	2	2	2	2
1	1	1	1	1	2	2	1
	3 + 3				9 + 10		
	6	+			19		
	25						

Tabela IXa
Stan liczbowy uzębienia grupy kontrolnej

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	4	6	7	7	4	3	7
6	6	4	6	6	2	3	6
5	4	5	5	5	5	4	5
4	7	5	4	4	7	7	4
3	8	8	3	3	8	9	3
2	8	8	2	2	9	10	2
1	8	9	1	1	9	11	1
	45 + 45				44 + 47		
	90	+			91		
	181						

Tabela IXb
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniarek przebywających w obozie do roku

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	0	0	7	7	0	0	7
6	0	0	6	6	0	0	6
5	0	0	5	5	0	0	5
4	0	0	4	4	0	0	4
3	0	1	3	3	1	1	3
2	0	0	2	3	0	1	2
1	0	0	1	1	1	1	1
	0 + 1				2 + 3		
	1	+			5		
	6						

Tabela X
Stan liczbowy uzębienia byłych więźniów w wieku lat 70—79

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	0	0	7	7	0	0	7
6	0	0	6	6	0	0	6
5	0	0	5	5	1	0	5
4	0	1	4	4	2	1	4
3	2	0	3	3	2	4	3
2	1	1	2	2	0	1	2
1	0	0	1	1	0	0	1
	3 + 2				5 + 6		
	5	+			11		
	16						

Tabela Xa
Stan liczbowy uzębienia grupy kontrolnej

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	3	0	7	7	2	0	7
6	0	3	6	6	2	2	6
5	2	4	5	5	4	3	5
4	5	3	4	4	4	4	4
3	4	6	3	3	5	7	3
2	5	5	2	2	5	5	2
1	4	4	1	1	5	5	1
	23 + 25				27 + 26		
	48	+			53		
	101						

Tabela Xb

Stan liczbowy uzębienia byłych więźniów, przebywających w obozie do roku

Szczęka				Żuchwa			
Strona prawa		Strona lewa		Strona prawa		Strona lewa	
Zęby	Liczba	Liczba	Zęby	Zęby	Liczba	Liczba	Zęby
7	0	0	7	7	0	0	7
6	0	0	6	6	0	0	6
5	0	0	5	5	0	0	5
4	0	1	4	4	1	1	4
3	1	0	3	3	2	2	3
2	0	0	2	2	0	0	2
1	0	0	1	1	0	0	1
	1 + 1				3 + 3		
	2		+		6		
	8						

Celem jaśniejszego zobrazowania wyników obliczono w procentach liczbę zachowanych zębów w stosunku do prawidłowych warunków anatomicznych, to jest w stosunku do 28 zębów na osobę. Wyniki uwidoczniono w tabeli XI.

W grupach wiekowych osób, przebywających w obozie do roku, nie zaobserwowano jakiejś stałej różnicy w liczbie zębów. W większości grup jednak daje się zauważyć u więźniów, przebywających w obozie do roku, nieznaczne podwyższenie procentu zachowanych zębów w stosunku do odpowiedniej grupy wiekowej byłych więźniów, przebywających w obozie dłużej niż rok. Wyniki podano w tabeli XII.

Reasumując otrzymane wyniki należy

Tabela XI

Wiek w latach	Kobiety			Mężczyźni		
	Grupa obozowa	Grupa kontrolna	Różnica w liczbie uzębienia	Grupa obozowa	Grupa kontrolna	Różnica w liczbie uzębienia
30—39	62,98%	80,51%	17,53%	76,54%	84,20%	7,56%
40—49	62,77%	73,14%	10,37%	68,25%	72,66%	4,41%
50—59	52,99%	70,74%	17,75%	51,07%	67,60%	16,53%
60—69	22,34%	58,24%	35,90%	34,83%	60,52%	25,69%
70—79	8,11%	58,76%	50,65%	7,14%	45,09%	37,95%

Z tabeli tych wynika, że we wszystkich grupach wieku u byłych więźniów liczba zębów zachowana w jamie ustnej jest mniejsza od liczby zębów odpowiedniej grupy kontrolnej. Stwierdzenie to odnosi się tak do kobiet, jak i do mężczyzn. Najmniejsza różnica istnieje w grupie wieku 40—49 lat, a więc w tej grupie, która w czasie przebywania w obozie miała 20—29 lat. Był to okres życia, w którym ustrój ukończył swój rozwój i charakteryzowała go największa odporność fizyczna i psychiczna. Stąd staje się zrozumiały fakt, że w tej grupie widzimy najmniejszą różnicę w liczbie zachowanych zębów w porównaniu z grupą kontrolną. Nieco większą różnicę widać w grupie wieku 30—39 lat, która w czasie przebywania w obozie nie miała jeszcze dwudziestu lat. Grupa tych osób znajdowała się w okresie rozwoju i mimo dużej odporności ustroju i łatwiejszego przystosowania się do warunków życia obozowego ulegała wyniszczającemu jego działaniu. Grupy wiekowe 50—59 lat, 60—69 lat i 70—79 lat wykazują progresywnie wzrastającą różnicę w liczbie uzębienia, która w grupie kobiet w wieku lat 70—79 jest największa. Należy to tłumaczyć coraz bardziej załamującą się odpornością ustroju.

Tabela XII

Wiek w latach	Kobiety		Mężczyźni	
	Do roku	Powyżej	Do roku	Powyżej
30—39	72,61%	59,37%	80,35%	74,33%
40—49	69,38%	60,33%	60,31%	69,06%
50—59	52,67%	53,03%	52,92%	50,90%
60—69	21,10%	24,72%	30,61%	35,42%
70—79	21,42%	6,42%	9,52%	5,71%

stwierdzić, że we wszystkich grupach wieku u tych byłych więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, w porównaniu z grupą kontrolną w tym samym wieku, stwierdza się zmniejszenie stanu uzębienia od 4,5% do 50,5%. Stan ten należy przypisać po pierwsze: nieludzkim warunkom bytu w obozach, po drugie: szybszemu starzeniu się ustroju po przebytym obozie.

Badania te potwierdzają słuszność wniosku postawionego na I zjeździe lekarzy ZBoWiD o obniżenie wieku emerytalnego byłym więźniom.

Co do zależności stanu uzębienia od liczby lat przebywania w obozie nie znaleziono jakiejś stałej wymiernej. Przypisać to należy prawdopodobnie zbyt małym liczbom porównawczym w grupach byłych więźniów, przebywających w obozie do roku.

RYSZARD ZABŁOTNIAK Białystok

Studia medyczne w czasie okupacji hitlerowskiej

(Z Komisji Historii Wojskowej Białostockiego Towarzystwa Naukowego pod patronatem prof. dr *Stanisława Herbsta*)

W okresie okupacji tajne nauczanie medycyny było zlokalizowane w następujących ośrodkach: w Warszawie, dysponującej kilkoma placówkami (między innymi w getcie), w Wilnie, w Krakowie i w Częstochowie.

W roku 1940/41 z inicjatywy Tajnej Rady Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego rozpoczęto konspiracyjne studia medyczne. Organizacyjnie wydział lekarski rozwinięto w oparciu o przedwojenną szkołę masażu *Jana Zaorskiego*, która w tym czasie otrzymała nazwę „prywatnej szkoły zawodowej dla personelu sanitarnego *Jana Zaorskiego*" [1]. Uzyskano zezwolenie władz okupacyjnych na szkolenie personelu pomocniczego, co w ówczesnych warunkach dawało możliwie wygodną osłonę. Korzystano z pomieszczeń „szkoły", z lokali byłego wydziału lekarskiego i szpitali miejskich. Pierwszym dyrektorem szkoły został prof. dr med. *Stefan Kopeć*, a po jego zamordowaniu prof. *Franciszek Czubalski*, jeden z inicjatorów tajnego kształcenia. Początkowo powołano tylko pierwszy rok studiów, liczący 87 słuchaczy, a po upływie 6 miesięcy utworzono rok drugi. Wówczas szkoła liczyła już łącznie około 300 studentów. W roku 1941 policja niemiecka po przeprowadzeniu wizytacji i stwierdzeniu zbyt wysokiego poziomu podjęła decyzję likwidacji „szkoły". Kierownictwo wydziału lekarskiego opracowało natychmiast plan zmian organizacyjnych, aby kontynuować pracę na zasadzie kompletów. Z niewyjaśnionych powodów hitlerowcy zrezygnowali z realizacji swej decyzji.

W marcu 1943 roku powstał rok III i IV. Teraz już znaczna część zajęć odbywała się w szpitalach. W Szpitalu Dzieciątka Jezus przeprowadzano wykłady i ćwiczenia dla 11 kompletów o łącznej liczbie 402 słuchaczy. Niektóre wykłady prowadzono także w prosektorium Szpitala Wolskiego w porozumieniu z dr *Stefanią Chodkowską*, w prosektorium Szpitala Ujazdowskiego za zgodą płk dr *Leona Kazimierza Strehla* oraz w Zakładzie Anatomii Patologicznej przy współudziale prof. *Ludwika Paszkiewicza* [2]. Zajęcia były znacznie skrócone (np. patologia ogólna — łącznie 24 godziny), prowadzone w formie repetytoryjnej, jednak dzięki niezwykle aktywnemu stosunkowi studentów tego rodzaju program w pełni zdawał egzamin. Większość studentów stanowiły kobiety biorące często żywy udział w pracach związanych z organizowaniem kompletów (*Maria Banasiewiczówna, Marianna Dudzińska, Janina Goeblówna, Łucja Daniszewska, Chróścielewska, Kalnikówna* i inne). Wielu wykładowców powielało i rozprowadzało wśród studentów swoje skrypty, wówczas stanowiące zwykle jedyną pomoc naukową. Obecność studentów w szpitalu legalizowano często pełnieniem tam różnych funkcji pomocniczych.

W gronie wykładowców szkoły *Zaorskiego* było wielu powszechnie znanych profesorów: *Witold Orłowski, Ludwik Paszkiewicz, Henryk Gnoiński, Franciszek Venulet, Edward Loth* i inni. Wymienieni profesorowie wykładali także na innych kompletach, nazwiska te więc będą się powtarzały.

Niezależnie od swych podstawowych zadań szkoła *Zaorskiego* szkoliła także pomocniczy personel służby zdrowia. Np. w latach 1942/43 przeprowadzono kilka kursów laborantek rentgenowskich, konspiracyjnie wykładając jedynie zasady udzielania pierwszej pomocy. Zajęcia te prowadzili między innymi mir dr *Zygmunt Krupiński* i mjr dr *Marian Mroczkowski* [3].

Znaczna liczba studentów ze szkoły *Zaorskiego* i innych kompletów, powiązanych z ugrupowaniami ruchu oporu, angażowała się do pracy na kursach sanitarnych, prowadzonych dla potrzeb partyzanckich oddziałów i na wypadek powstania. Wielu słuchaczy zaciągało się w partyzanckie szeregi.

Liczba kompletów prowadzonych w Warszawie jest obecnie bardzo trudna do ustalenia, zarówno z uwagi na to, że pozostawały one często w pewnej zależności wobec „szkoły", jak i dlatego, że w późniejszym okresie z nią się łączyły.

Kurs kierowany przez botanika, dr *Mariana Koczwarę*, pseudonim *„Wójcik"*, był jednym z pierwszych konspiracyjnych kompletów zorganizowanych w stolicy. Obejmował programem swoim zakres trzech pierwszych lat studiów. Wykładowcami byli: *Edward Loth, Bolesław Wojciechowski, Zygmunt Pękała, Hanna Szukiewicz, Tadeusz Kurkiewicz, Aleksander Elkner, Arkadiusz Flatau* i inni.

Dość długo odrębnie prosperowało konspiracyjne studium lekarskie. Program obejmował tu wszystkie lata medycyny. Zajęcia prowadzili: *Edward Loth, Kazimierz Opoczyński,*

[1] Prof. dr med. *Franciszek Czubalski* jako dyrektor Prywatnej Szkoły Zawodowej dla Personelu Sanitarnego *Jana Zaorskiego* w czasie okupacji niemieckiej. Pol. Tyg. Lek., 1946, nr 48, str. 1445—1446.

[2] *F. Venulet:* Tajne nauczanie patologii ogólnej w Warszawie podczas okupacji niemieckiej. Pol. Tyg. Lek., 1947, nr 40, str. 1160.

[3] Relacja *Aleksandry Eichhorn*, uczestniczki kursu laborantek rentgenologicznych.

Bronisława Konopacka, Stefania Chodkowska, Aleksander Pruszczyński, Józef Grzybowski i inni.

Witold Orłowski, Ludwik Paszkiewicz i *Henryk Gnoiński*, wykładowcy „szkoły", prowadzili nadto nieprzerwanie własne kursy.

Po wyzwoleniu dzięki tej działalności można było utworzyć także wyższe lata studiów. Łącznie w wydziałach medycznych w roku 1945 znalazło się około 2 000 studentów, którzy rozpoczęli studia w czasie okupacji. Miało to oczywiście duży wpływ na okresy, w których akademie kończyli pierwsi absolwenci.

Szczególnie wysokim poziomem wyróżniał się Wydział Lekarski Uniwersytetu Ziem Zachodnich z siedzibą w Warszawie [4]. Wydział ten pracował w warunkach trudniejszych niż np. Szkoła *Zaorskiego*, gdyż nie miał swojej części legalnej i działał wyłącznie w warunkach konspiracyjnych. Działalnością Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Ziem Zachodnich kierował *Adam Wrzosek*. Poza wykładowcami z innych ośrodków prowadzili tu zajęcia: *Zygmunt Pękała, Małgorzata Serini-Bulska, Barbara Kampioni-Manteuffel, Stanisław Trojanowski, Zbigniew Wojciechowski* i inni. W latach 1943—1944 liczba studentów tego Wydziału przekroczyła 600 osób. W listopadzie 1944 roku Wydział Lekarski UZZ zorganizował się ponownie w Krakowie, gdzie istniał jako odrębna instytucja do marca 1945 roku.

Osobnego omówienia wymaga filia UZZ w Częstochowie, gdzie nauczaniem medycyny na zlecenie *Adama Wrzoska* kierował *Zdzisław Stolzman*. Wykładowcami w latach 1943—1945 byli: *Roman Poplewski, Jan Bederski, Edward Borkowski, Władysław Stawarz, Leon Achmatowicz, Edward Hanke* i inni. W roku 1944 w obawie przed aresztowaniami wielu studentów tego ośrodka zbiegło do oddziałów partyzanckich.

W latach 1940—1942 w niezwykle ciężkich warunkach pracował zorganizowany w getcie warszawskim wydział lekarski, kierowany przez *Ludwika Hirszfelda* i *Juliana Zweibauma;* uczęszczało tam łącznie 500 słuchaczy. Sprawy organizacyjne znacznie ułatwił fakt, że w związku z licznymi epidemiami atakującymi ludność dzielnicy żydowskiej władze hitlerowskie zezwalały na prowadzenie dokształcania z zakresu chorób zakaźnych dla lekarzy. Chodziło w tym wypadku tylko o ochronę niemieckiego aparatu nadzorczego. Kilka 2—3-miesięcznych kursów dla lekarzy i stomatologów istotnie przeprowadzono. Ponadto doc. *Zweibaum* uwzględnił doświadczenia szkoły *Zaorskiego* i uzyskał zgodę na utworzenie kursu dla personelu sanitarnego. Zajęcia prowadzono ściśle według przedwojennych programów wydziału lekarskiego; początkowo powołano do życia tylko niższe lata studiów, a następnie dla tych, którzy studiowali przed rokiem 1939, także rok IV i V. Zakłady wydziału lekarskiego, choć to określenie jest przesadą, zajmowały się też działalnością naukową, między innymi opracowywano zagadnienie choroby głodowej [5]. Po wojnie zgłosiło się w celu kontynuowania nauki zaledwie niespełna 50 studentów, często byłych partyzantów. Wykładowcami Wydziału Lekarskiego UW w getcie — poza wymienionym już kierownictwem — byli także: *Józef Stein, Ludwik Sztabholc, Mieczysław Centnerszwer* i inni.

Tajny Wydział Lekarski Uniwersytetu w Wilnie ma bodaj najstarsze tradycje; właściwie w ogóle nie przerwał swej pracy. Początkowo tok studiów był nadzorowany przez *Michała Reichera*, a gdy ten musiał ukrywać się przed Niemcami, kierownictwo objął *Stanisław Legeżyński*. Wykładowcami byli: *Witold Sylwanowicz, Włodzimierz Mozołowski, Tadeusz Pawlas, Stanisław Hiller, Stefan Bagiński* i w różnym stopniu wszyscy profesorowie byłego Wydziału Lekarskiego. Staraniem całego personelu stworzono ośrodek o bardzo wysokim poziomie nauczania. Mimo trudnych warunków nigdy nie stosowano „taryfy ulgowej", o czym świadczą zachowane karty ocen. Wpisywano we wszystkich wypadkach prawdziwe daty ćwiczeń, repetytoriów i egzaminów, z odejmowaniem zawsze tej samej liczby lat. Zaszyfrowane i ocalone w ten sposób dokumenty oddały po wojnie wiele cennych usług. Program zajęć przewidywał wykłady i ćwiczenia z zakresu udzielania pierwszej pomocy i problematyki gazów bojowych. Ponadto dość luźno z Wydziałem Lekarskim były związane kursy z tych dziedzin prowadzone dla żołnierzy AK przez pracowników naukowych tegoż Wydziału.

Z uwagi na rozproszenie się później młodzieży wileńskiej nie można dokładnie ustalić, ile osób podjęło studia rozpoczęte w tych warunkach [6].

W Krakowie tajne kursy medyczne zainicjowano dość późno w porównaniu z innymi miastami. Przyczyną tego było niewątpliwie słynne aresztowanie krakowskich profesorów. Prace przygotowawcze podjęto w roku 1941, a nauczanie rozpoczęto w roku 1942. Kierownikiem kompletów został prof. *Władysław Szafer*, jego zastępcą prof. *Małecki*. Początkowo wykłady i ćwiczenia ujmowały program I i II roku, przy udziale około 50 słuchaczy na obu latach. Kursy te trwały do połowy roku 1944 i następnie w jesieni tego roku zostały wznowione. Zajęcia prowadzono w kompletach przeciętnie 5—7-osobowych. Po wojnie zweryfikowano 110 studentów, którzy studia rozpoczęli w okresie okupacji w Krakowie. Wykładowcami byli *Bożydar Szabuniewicz, Stanisław Maziarski, Stanisław Kohman, Zygmunt Grodziński* i inni [7].

[4] *M. Reicher*: Anatomia człowieka. Warszawa 1959, s. 3—8.

[5] *L. Hirszfeld*: Historia jednego życia. Warszawa 1967, s. 220—223.

[6] Dokumenty Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Wileńskiego w posiadaniu prof. *Mozołowskiego* oraz relacje prof. *Włodzimierza Mozołowskiego* i prof. *Stanisława Legeżyńskiego*.

[7] Sześćsetlecie medycyny krakowskiej. Tom II: Historia katedr. W sześćsetlecie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1964, s. 150—151.

D Z I A Ł
HISTORYCZNO — DOKUMENTARNY

JÓZEF WITKOWSKI
były więzień *Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei* w Łodzi nr 798

Wrocław

Hitlerowski obóz dla dzieci w Łodzi

Oświęcim, Majdanek, Gross-Rosen, Buchenwald — to nazwy powszechnie znane. Niewiele jednak osób, nawet dobrze pamiętających lata okupacji, wie, że istniał w Polsce obóz przeznaczony wyłącznie dla dzieci i młodzieży, który swym regulaminem, wyrafinowanym systemem kar i warunkami bytowania niewiele się różnił od obozów koncentracyjnych dla dorosłych. Mieścił się on w Łodzi na terenie wydzielonym z getta, w rombie dzisiejszych ulic Brackiej, E. Plater, Górniczej i cmentarza żydowskiego.

W okresie od 10 grudnia 1942 roku do 18 stycznia 1945 roku nosił on urzędową nazwę *„Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt"* (prewencyjny obóz policji bezpieczeństwa w Łodzi dla młodzieży polskiej). Jakkolwiek oficjalną datą założenia obozu jest 10 grudnia 1942 roku (odnotowała ją także kronika getta łódzkiego pod datą 20 grudnia 1942 roku), to w rzeczywistości obóz funkcjonował od roku 1941 (potwierdzają to liczni świadkowie). Obóz został założony przez niemiecką policję bezpieczeństwa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*RSHA*). Wieziono tam dzieci w wieku od 2 do 17 lat życia, obojga płci, nie tylko z Polski, lecz także z Lidic [1], dzieci o polskich nazwiskach z okolic Strasburga i Metzu we Francji, z zachodniej części ZSRR, a nawet z Niemiec. Znajdowały się tam również dzieci z Poznania i Mosiny w związku ze sprawą doktora *Witaszka* [2].

Obóz był hermetycznie zamkniętym obiektem, nie mającym żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Niezależnie od tego, że otoczony był i tak już dobrze strzeżonym gettem, sam w sobie był terenem zamkniętym, izolowanym również od getta wysokim płotem z drutem kolczastym. Po pierwszej próbie ucieczki wzniesiono dodatkowo wieżyczki z reflektorami i karabinami maszynowymi. Ucieczka z obozu była prawie niemożliwa, bo nawet ci, którym udało się wydostać z obozu, zostali ujęci w getcie. Z tego można wnioskować, jak bardzo hitlerowcom zależało na utrzymaniu w tajemnicy istnienia obozu i charakteru, jaki spełniał. Jedynym miejscem wejścia i wyjścia z obozu była brama główna, mieszcząca się od ul. Przemysłowej (stąd nazwa: obóz na Przemysłowej). Obóz podzielono na części chłopięcą i dziewczęcą. W obozie chłopięcym więziono chłopców 8—17-letnich; w obozie dziewczęcym (*Mädchenlager*) trzymano dziewczęta 8—17-letnie oraz dzieci 2—8-letnie obojga płci.

Obóz miał swoje filie, tzw. *arbeitsbetrieby*. Należał do nich folwark Dzierżąźnia (około 15 kilometrów od Łodzi). Więziono tam wyłącznie dziewczęta silne fizycznie, które były zatrudniane przy pracach rolnych oraz wykonywały prace przy bydle. Praca była niezwykle ciężka; trwała najmniej 12 godzin na dobę. Więźniarki musiały wstawać o czwartej rano. Za najmniejsze przewinienia lub zaspanie bito kijami, o czym świadczą zachowane kartoteki więźniarek z adnotacjami o karach oraz księga ewidencyjna więzionych dziewcząt (w sumie 164 dziewczęta). Mimo twierdzeń popartych opublikowanymi zdjęciami, że w Dzierżąźni więziono także przeszło 200 chłopców, twierdzę, iż chłopców tam nie więziono, a opublikowane zdjęcia są wykonane w obozie w Łodzi, o czym świadczy fakt, że jeden autor podpisał zdjęcie jako z Dzierżąźni, a drugi to samo zdjęcie jako z Łodzi (*K. Sosnowski* — zdjęcie 28 i 30; *J. Wnuk*— zdjęcie 20 i 21).

Komendantami obozu byli kolejno esesmani *Fugge, Wrug,* a ostatnim *Enders. W. Jażdżyński* podaje: *Anders,* ale na dokumentach widnieje podpis: *Enders* (ryc. 1). Ostatni dokument podpisany przez *Endersa* nosi datę 16 stycznia 1945 roku. Kierownikiem (*lagerleiterem*) obozu chłopięcego był *Hausch,* a dziewczęcego *I. A. Bayer,* łódzka *volksdeutscherka*; tytułowano ją także *„Frau Doktor"* lub pielęgniarką. *J. Wnuk* podaje: *Maria Bayer;* w „Woli Ludu", organie WK PPR w Poznaniu, w nr 32 z dnia 13. IX. 1945 roku, znajdujemy imię *Sydomia Bayer,*

[1] W odwet za zamach na *Reinharda Heydricha* hitlerowcy zniszczyli w czerwcu 1942 roku czeską wieś Lidice (zob. też *J. Zielina:* Dzieci z Lidic. Przegl. Lek., 1966, nr 1, str. 138—140). Mężczyzn z Lidic rozstrzelano, kobiety osadzono w obozach koncentracyjnych. Spośród 88 dzieci 7 uznano za nadające się do zniemczenia. 81 dzieci wywieziono do obozu w Łodzi, a następnie zabrano je stamtąd i uśmiercono w samochodach, z których spaliny nie były odprowadzane na zewnątrz. Zwłoki pogrzebano w masowym grobie w okolicy Chełmna.

[2] O antyfaszystowskiej organizacji ruchu oporu, stworzonej i kierowanej przez dra *Franciszka Witaszka* w Poznaniu, patriotę i społecznika, pisał *H. Tycner*: Grupa doktora *Franciszka Witaszka* w wielkopolskim ruchu oporu (Przegl. Lek., 1967, nr 1, str. 131—147). Rodziny pomordowanych członków tej grupy osadzono w obozach koncentracyjnych. Dzieci aresztowano w sierpniu i wrześniu 1943 roku i osadzono w *Polen-Jugendverwahrlager.* Te, które uznano za „rasowo przydatne", usiłowano zniemczyć, w tym dzieci samego dra *Witaszka.* Kilkoro ocalałych dzieci, dziś ludzi dorosłych, udało się odnaleźć.

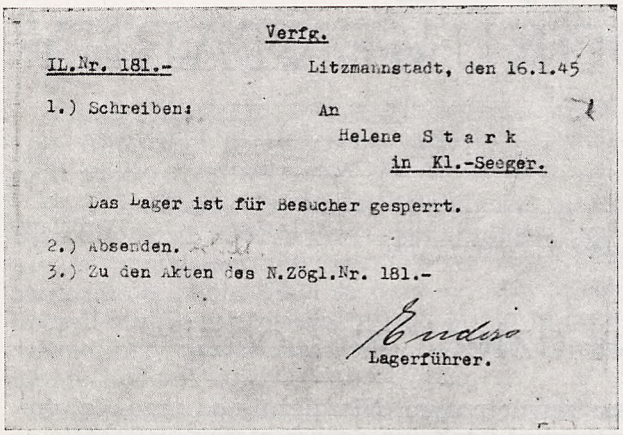

Verfg.

IL.Nr. 181.- Litzmannstadt, den 16.1.45

1.) Schreiben: An

Helene S t a r k

in Kl.-Seeger.

Das Lager ist für Besucher gesperrt.

2.) Absenden.

3.) Zu den Akten des N.Zögl.Nr. 181.-

Endersz

Lagerführer.

Ryc. 1. Jeden z ostatnich, być może nawet ostatni, dokument podpisany przez *lagerführera Endersa*, stwierdzający, że obóz jest zamknięty dla odwiedzających (oryginał dokumentu przechowuje autor artykułu). Ta i następne reprodukcje (z wyjątkiem prawdopodobnie ryciny 4) nie były dotychczas publikowane

w „Wieczorze Wybrzeża" (nr 30 z dnia 5. II. 1964 roku) *Isolda Bayer*. Na licznych dokumentach widnieje podpis *I. A. Bayer* (dokumenty przechowuje autor artykułu). Ponadto w skład załogi obozu wchodzili esesmani *August, Duchnowski, Buchholtz, Prajzentanc, Wenzel, Voit, Gross* i inni. „Wychowawczyniami" były *Olga Reischel, Eugenia Pohl, Maria Koster, Maria Linke* i inne. Do załogi należeli tzw. polscy „wychowawcy", funkcjonariusze policji kryminalnej *Feliks Stankiewicz, Józef Hofman, Józef Nowak, Alfons Pośpiech, Józef Borkowski* (fotograf), *Stanisław Mikołajczyk* (fryzjer) i inni.

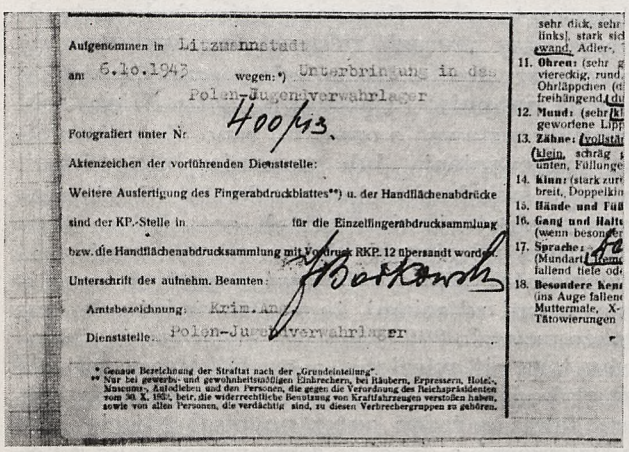

Aufgenommen in Litzmannstadt

am 6.10.1943 wegen:*) Unterbringung in das Polen-Jugendverwahrlager

Fotografiert unter Nr. 400/43.

Aktenzeichen der vorführenden Dienststelle:

Weitere Ausfertigung des Fingerabdruckblattes**) u. der Handflächenabdrücke sind der KP.-Stelle in für die Einzelfingerabdrucksammlung bzw. die Handflächenabdrucksammlung mit Vordruck RKP. 12 übersandt worden.

Unterschrift des aufnehm. Beamten: Borkowski

Amtsbezeichnung: Krim.An.

Dienststelle: Polen-Jugendverwahrlager

* Genaue Bezeichnung der Straftat nach der „Grundeinteilung".

** Nur bei gewerbs- und gewohnheitsmäßigen Einbrechern, bei Räubern, Erpressern, Hoteldieben, Mascotte, Autodieben und den Personen, die gegen die Verordnung des Reichspräsidenten vom 30. X. 1935, betr. die widerrechtliche Benutzung von Kraftfahrzeugen verstoßen haben, sowie von allen Personen, die verdächtig sind, zu diesen Verbrechergruppen zu gehören.

sehr dick, sehr
links], stark sich
gewand, Adler-,
11. Ohren: (sehr g
viereckig, rund,
Ohrläppchen (d
freihängend, du
12. Mund: (sehr kl
geworfene Lipp
13. Zähne: [vollstä
klein, schräg s
unten, Füllunge
14. Kinn: (stark zurü
breit, Doppelkin
15. Hände und Füß
16. Gang und Halt
(wenn besonder
17. Sprache: [Ma
(Mundart, Fremd
fallend tiefe od
18. Besondere Kenn
(ins Auge fallend
Muttermale, X-
Tätowierungen

Ryc. 2. Reprodukcja dolnej części ankiety osobowej więźniarki nr 181 obozu dla dzieci w Łodzi, *Gertrudy Nowak*, z podpisem „wychowawcy", *Józefa Borkowskiego*. Pod podpisem widnieje faktycznie pełniona funkcja (oryginał u autora artykułu)

Po obozie w Łodzi nie pozostały prawie żadne dokumenty. Dlatego wspólnym źródłem, z którego czerpali informacje autorzy dotychczasowych, nielicznych zresztą, publikacji na temat obozu i więzionych tam dzieci są wspomnienia byłych więźniów obozu, nielicznych, którzy ocaleli.

W obozie dokonywano selekcji dzieci „rasowo przydatnych" i umieszczano je w „domach rasy", tzw. *rassenamtach* w celu zniemczenia. Za „rasowo przydatne" zostały uznane np. dzieci, których rodziców zamordowano w związku ze sprawą dr *Witaszka*, w tym również dzieci samego dr *Witaszka*. Pozostałe dzieci wychowywano zgodnie z polityką nazistowską według wskazań samego *reichsführera SS*. W jego rozkazie z 6 stycznia 1943 roku nakazuje się, „żeby w obozach zbiorowych dla dzieci i nieletnich, projektowanych przez Główny Urząd Gospodarki *SS*, przeprowadzano przegląd rasowy i polityczny. Bezwartościowe pod względem rasowym jednostki młodzieży płci męskiej i żeńskiej należy przekazać do przedsiębiorstw gospodarczych obozów koncentracyjnych jako terminatorów. Dzieci te należy wychować. Wychowanie ich ma polegać na przyuczeniu do posłuszeństwa, pilności, bezwarunkowego podporządkowania się i uczciwości wobec niemieckich panów. Muszą umieć liczyć do 100, poznać znaki ruchu drogowego i być przygotowane do swych zawodów jako robotnicy rolni, ślusarze, kamieniarze, stolarze itd. Dziewczęta należy wyszkolić na robotnice, prządki, trykociarki i nauczyć innych podobnych zawodów". Rozkaz ten komentarza nie wymaga.

Okres organizacyjny został zakończony przed upływem roku 1942, toteż od początku 1943 roku napływały wciąż nowe transporty. Każdemu nowo przybyłemu zdejmowano odciski palców, robiono zdjęcia *en face* i z profilu, spisywano dane osobowe i nadawano numer obozowy. Odtąd „terminator" nie miał nazwiska, był tylko numerem. „Numer" otrzymywał koc, recznik, miskę i był kierowany „na sztubę", gdzie „wychowawca" przydzielał mu pracę.

Ryc. 3. Zdjęcie *en face* i zdjęcie z profilu więźnia nr 360 *Polen-Jugendverwahrlager* w Łodzi, *Jerzego Nowaka*, który zginął później w Gross-Rosen lub w Bergen-Belsen (zdjęcie oryginalne przechowuje autor artykułu)

Przez pewien okres więźniowie chodzili we własnej odzieży; później stopniowo wydawano drelichowe, więzienne ubrania koloru szarego i trepy parciane na drewnianych spodach. Zarówno ubranie, jak i trepy były najczęściej za duże. W maju zabierano trepy do magazynu i do października więźniowie chodzili boso.

Pierwsze transporty zapełniły obóz. Początkowo więźniowie spali na siennikach; później

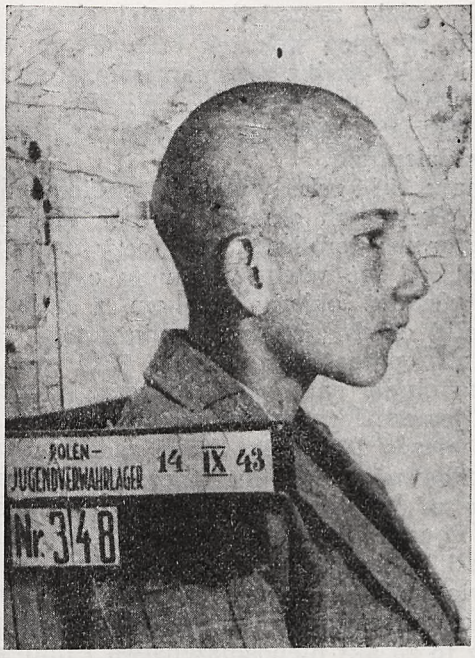

Ryc. 4. Reprodukcja wykonanego w obozie zdjęcia więźnia nr 348, *Eugeniusza Grendy*, mieszkańca Poznania (oryginał przechowuje jego siostra, *Urszula Susz)*

sienników dla wszystkich nie starczało. Więźniowie spali po kilku na jednej pryczy.

Rozbudowa obozu nie nadążała za potrzebami, toteż postanowiono wprowadzić pracę na dwie zmiany po 12 godzin. Postanowienie szybko urzeczywistniono i zaczął się okres wytężonej pracy w dzień i w nocy, przy świetle reflektorów. Więźniowie budowali drogi, niwelowali teren, karczowali drzewa, wznosili baraki i inne obiekty, a wśród nich karcer. Słowem, dzieci własnymi rękami zbudowały obóz, miejsce swojej zagłady. Każde dziecko po ukończeniu 8 lat życia obowiązane było pracować. Ociągających się w pracy bito kijami lub specjalnymi pejczami, bito po twarzy. Czynili to esesmani, a naśladowali ich polscy „wychowawcy". Wiele dzieci po prostu zabito kijami. Dzieci wprzągano do walca, którym walcowano drogi, do wozu naładowanego gliną lub gruzem, na którym siedział esesman i bił batem, zmuszając do pośpiechu.

W miarę rozbudowy obozu otwierano wciąż nowe warsztaty: szewski, krawiecki, stolarski, malarski, ślusarski, koszykarski, prostowania igieł i dekarsko-porządkowy.

Racje żywnościowe były głodowe. Na śniadanie i kolacje wydawano „pajdkę" chleba (100—150 g) i pół litra czarnej, gorzkiej *erzatz*-kawy, tylko czasem posłodzonej sacharyną. Na obiad — litr zupy z brukwi, liści z buraków lub kapusty, często z piaskiem i robakami. Kiełbasy, masła, margaryny nie dawano nigdy; niekiedy trafiała się łyżka marmolady. Mimo i tak już głodowego przydziału pożywienia więźniom przebywającym w „izbie chorych" dawano tylko pół racji żywnościowej. Dlatego w „izbie chorych" przebywali tylko ciężko chorzy. Powszechnie stosowano kary pozbawiania posiłków całkowicie lub częściowo. Karę pozbawienia posiłków stosowano za niewykonanie normy (wszelkie prace były znormowane), ociąganie się w pracy, złe wykonywanie pracy, zaśnięcie na nocnym dyżurze, kłamstwo (np. dziecko skłamało, że nie umie po niemiecku), zbyt późne lub niedbałe kłanianie się „panom i paniom wychowawcom" i wreszcie za moczenie się. Każde, nawet najdrobniejsze przewinienie kwalifikowało się do zastosowania tej kary. Czasem, gdy „wachman" był w humorze, można było otrzymać jedzenie za 5 lub 10 kijów.

W związku z tym mali więźniowie cierpieli ustawiczny głód. Głód, nadmierna praca, bicie i choroby szybko wyniszczały młody ustrój i po kilku miesiącach były to kościotrupy o zapadniętych, zastraszonych oczach i szaroziemistej cerze. Nieliczne paczki, jakie rodziny przysyłały niektórym, stanowiły dodatkowe źródło nieporozumień i udręki. Kiedyś ktoś podpatrzył, jak w getcie całe watahy obszarpanej młodzieży polują na ptaki, toteż wkrótce ten zwyczaj został wprowadzony u nas. W końcu mali więźniowie doszli do takiej perfekcji, że prawie wszystkie ptaki zostały wyłapane w sidła lub wybite ze specjalnej procy, ale to przecież nie rozwiązywało kwestii głodu. Dlatego tylko dzieci wyjątkowo odporne przetrzymały obóz.

Dzień od pobudki (godz. 5) do capstrzyku (godz. 22 lub 23) wypełniony był różnymi czynnościami i pracą z przerwami półgodzinną na śniadanie i kolację i godzinną na obiad. Więzień nie miał nigdy czasu na odpoczynek. Po pracy było sprzątanie, szukanie wszy, „gimnastyka" lub skakanie „żabki".

Mycie bez względu na porę roku odbywało się na dworze pod pompą lub w miednicy. Mydłem mył się tylko ten, kto je dostał w paczce, a ponieważ paczki otrzymywało niewielu, mycie się mydłem należało do rzadkości. Bieliznę również zmieniano bardzo rzadko. Prawie do wiosny 1944 roku nie było stale czynnej łaźni i pomieszczeń do parowania zawszonej odzieży. W tej sytuacji panował niesamowity brud. Robactwo nie tylko było dodatkowym utrapieniem dla młodych więźniów, ale na domiar za brud i wszy karano surową chłostą i pozbawieniem posiłku. Wygłodniałe dzieci wołały o chleb do getta, ale stamtąd słyszały podobne prośby.

Choroby dziesiątkowały więźniów. Dzieci chorowały na zapalenie płuc, zapalenie opon mózgowych, gruźlicę płuc, owrzodzenia na ciele, w jamie ustnej, świerzb, wrzody w gardle, szkorbut i krwawą biegunkę, a nawet paraliż dziecięcy. Wielu chorych wywożono do „szpitala" w Radogoszczu, skąd najczęściej nie wracali. Szczególnie dzieci wywiezione z powodu zapalenia opon mózgowych, gruźlicy i paraliżu nie wracały. W tych antysanitarnych i głodowych warunkach w listopadzie 1943 roku wybuchła epidemia duru wysypkowego i brzusznego. Początkowo władze obozowe zataiły ten fakt, próbując zlikwidować chorobę bez izolowania i okresu kwarantanny. Lekarza dłuższy czas nie było; później zatrudniono pediatrę z getta, dra *Vogla*. Mimo wielkiego poświęcenia i ogromnych wysiłków niewiele mógł on pomóc, nie dysponował bowiem żadnymi leka-

mi. Wskutek masowych zgonów ogłoszono kwarantannę obozu. Chorych wywożono do szpitala w getcie. Nie wiemy, ilu nie przeżyło i prawdopodobnie już nigdy się nie dowiemy, gdyż znając hitlerowskie umiejętności zacierania zbrodni, możemy mieć wątpliwości nawet w odniesieniu do oryginalnych dokumentów. Panią życia i śmierci była kierowniczka obozu dziewczęcego, która jednocześnie sprawowała nadzór nad izbami chorych oraz prowadziła ambulatorium. Zgłaszający się chory po zarejestrowaniu w książce najczęściej dostawał batem i wracał na „sztubę" lub do warsztatu, gdzie często też okładany był batem za „symulowanie choroby". W obozie brakowało najprostszych środków opatrunkowych, jak jodyna, wata czy bandaż.

Bayerowa wyjaśniała, że my możemy zdychać, najważniejsi są żołnierze na froncie. O jej metodach „leczenia" może świadczyć następujący fakt. Zimą 1944 roku 10-letnia *Teresa Jakubowska* skradła koleżance chleb. Przyłapana, została pobita i pozbawiona jedzenia. Będąc głodna, kradła dalej. Po kolejnym pobiciu przeniesiono ją do izby chorych. Tam znów podejrzana o kradzież chleba (prawdopodobnie nawet nie ona go skradła, bo była ciężko chora), została wywleczona na śnieg i bita do utraty przytomności, a następnie polewana wodą z pompy. Wkrótce zmarła [3]. W ten sam sposób „pielęgnowane" zmarły w dniu 9 maja 1943 roku o godzinie 10.30 (według aktu zgonu) *Urszula Kaczmarek* (urodzona w roku 1929 w Poznaniu) oraz w roku 1944 *Danuta Jakubiak*.

Ryc. 5. Reprodukcja zdjęcia przedstawiającego zmarłą więźniarkę, *Urszulę Kaczmarek* z Poznania (urodzona w roku 1929). Zmarła jest jedną z ofiar „pielęgnacji" praktykowanej przez *Bayerową*, którą za to skazano na karę śmierci. Oficjalną datą zgonu ofiary jest 9 maja 1943 roku, godzina 10 minut 30, ojciec zmarłej jednak uważa tę datę za błędną. Sprawa wymaga wyjaśnienia (oryginalne zdjęcie przechowuje ojciec zamordowanej)

W obozie był więzień o nazwisku lub imieniu *Georg*. Po pobiciu przez „wachmana" ropiała mu noga do tego stopnia, że miał w niej robaki. *Bayerowa* kazała go przenieść do izby chorych, gdzie zarządziła kąpiel chorej nogi w lizolu. W nocy wskutek bólu *Georg* wpadł w szał i rozbił szyby. Esesman związał go i zbił aż do utraty przytomności. Więzień wkrótce zmarł. Takie i podobne wypadki były na porządku dziennym.

W maju 1944 roku wybuchła epidemia jaglicy. W pierwszym okresie chorobę lekceważono. *Bayerowa* doradzała, żeby oczy przemywać moczem, co też wielu więźniów czyniło. Robiono również okłady chlebem z pajęczyną, a później chleb zjadano. Dopiero pod koniec lipca lub z początkiem sierpnia 1944 roku, gdy choroba objęła cały obóz, rozpoczęto leczenie. Wielu jeszcze leczyło się po wyzwoleniu.

Już wiosną 1943 roku dzieci zaczęły bezwiednie oddawać mocz. Za moczenie się karano chłostą od 10 do 25 kijów i pozbawiano posiłku. Ponadto zabierano sienniki tym, którzy je mieli. Moczące się dzieci budzono w nocy co dwie godziny, nawet co godzinę, a mimo to dzieci moczyły się nadal. Władze obozowe uznały to za akt nieposłuszeństwa i umieszczono te dzieci w specjalnym budynku (*Haus 8*), początkowo tylko w jednej „sztubie", później cały blok przeznaczono dla tych dzieci. Budynek był stale zapełniony. Dzieci spały na gołych deskach; za przykrycie miały jeden koc, toteż spały w ubraniach i bieliźnie i w mokrej odzieży chodziły do pracy. Gnijące deski prycz nie wysychały nigdy. Dzieci moczące się pracowały, a ponieważ śmierdziały, wyznaczano je do pracy na powietrzu latem i zimą. Dzieci te dostawały obrzęku na całym ciele i masowo umierały. Puchły do tego stopnia, że nie mieściły się w ubrania. Z tego bloku prawie w ogóle nie kierowano na izbę chorych. Największa śmiertelność była właśnie w tym bloku. Dzieci, które nie mogły już chodzić, marły śmiercią głodową [4], niektóre dobijał esesman *August* na terenie obozu.

Dla więźniów karanych kilkakrotnie stworzono specjalny blok karny (*Haus 3*). Więźniów zależnie od stopnia przewinienia znakowano czerwoną farbą olejną. Oznakowanie polegało na wymalowaniu pasa na spodniach, rękawie oraz piersiach i plecach na marynarce. Esesmani nazywali te dzieci „generałami". „Generałom" nie wolno było chodzić, musieli biegać. W nocy robiono im alarmy i masakrowano. Często po wydaniu posiłku musieli go spożywać, skacząc „żabką". Stosowano zbiorową odpowiedzialność. Za „przewinienie" jednego karano cały blok po to, żeby skłócić małych więźniów.

Postrachem były apele ogólne, na których wymierzano kary chłosty. Często np. karę 50 kijów dzielono na raty. Wymierzano 25 kijów, a w dwa, trzy dni później dalsze 25. Bity często tracił przytomność. Bity zazwyczaj musiał liczyć, a gdy się „pomylił", rozpoczynano bicie od nowa. Apele ogólne trwały często po kilka godzin na powietrzu bez względu na porę roku.

[3] Por. zeznania *Marii Wiśniewskiej*, opublikowane w książce pt. Dzieci polskie oskarżają (str. 94) oraz Wola Ludu (organ KW PPR, Poznań) nr 32 z dnia 13. IX. 1945 roku.

[4] Dwie osoby podają, że *Bayerowa* prowadziła doświadczenia na dzieciach moczących się. Wiadomość wymaga wyjaśnienia.

Nawet te dzieci, które normalnie się nie moczyły, na apelach bezwiednie oddawały mocz. Bili esesmani. Najczęściej bił *August*, choć obowiązywał zwyczaj, że każdy „wychowawca" bije swoich podopiecznych; często jeden więzień musiał bić drugiego, a jeśli czynił to zbyt słabo, z bijącego stawał się bitym. Toteż każdy wolał bić niż być bity. Była to jedna z form skłócania i deprawowania dzieci. Za donosicielstwo dawano „pajdkę" chleba lub porcję zupy. Z tego rodzaju dożywiania korzystało bardzo niewielu. A ci, którzy korzystali, dostawali w nocy „koca" deskami od łóżek.

Droga do karnego bloku prowadziła najczęściej przez apel ogólny i karcer. Po karze chłosty więźnia osadzano w areszcie, a po wypuszczeniu stamtąd kierowano na blok karny.

Karcer składał się z siedmiu cel (w tym jedna przeznaczona jako trupiarnia, dwie z pryczami, pozostałe bez prycz; ostatnie dwie ociekały wodą). Więzień skazany na karcer spał na betonie, a często w wodzie. Skazani na karcer dostawali raz dziennie chleb z wodą i co trzeci dzień ciepłe jedzenie. Wielu z tych, co przecierpieli karcer, trafiało na blok dla moczących się.

Mimo bardzo surowych kar, stosowanych wobec więźniów próbujących zbiec, usiłowania ucieczki zdarzały się dość często. Pierwszym próbującym ucieczki był więzień nr 313, *Stanisław Szewczyk*, urodzony w roku 1926, obecnie mieszkaniec Podłęża pod Krakowem. W dniu 20 kwietnia 1943 roku, korzystając z okoliczności, że esesmani byli pijani (urodziny Hitlera), wydostał się przez płot do getta, tam jednak został ujęty. Doprowadzony na wartownię, gdzie został pobity do krwi, miał iść na apel i do aresztu. Przestrzeń dzielącą wartownię od karceru musiał przebyć na kolanach (około 200 metrów ścieżki wysypanej szlaką), bity kijami i kopany przez „wachmanów". Działo się to na oczach całego obozu. Wielu jeszcze podejmowało ucieczkę, ale żadna próba się nie udała. Po pierwszej próbie ucieczki pospiesznie wzniesiono wieżyczki strażnicze z reflektorami i karabinami maszynowymi, w getcie zaś za ujęcie zbiega obiecano nagrody. Jednego z więźniów zastrzelono z powodu zbytniego zbliżenia się do ogrodzenia. Wiosną 1944 roku próbowali uciekać więźniowie *Edward Soczka* i *Marian Sobek*. *Sobek* został zastrzelony, *Soczka* ujęty.

Były więzień *Zbigniew Lewandowski*, urodzony w roku 1930, pisze: „Trzech spośród uciekających zastrzelono, jednego w obozie żeńskim [5], drugiego w rogu niedaleko wartowni, trzeciego w rogu na drutach". Próba ucieczki nie udała się również byłemu więźniowi nr 819, urodzonemu w roku 1929, *Kazimierzowi Bernasiowi*, obecnie mieszkańcowi Krynicy. Dopiero latem 1944 roku udała się pierwsza ucieczka. Więzień *Adam Dzięgielewski* zachorował na zapalenie opon mózgowych i został wywieziony do szpitala na wolność. Dzięki pomocy organizacji podziemnej udało mu się zbiec. Przeżył wojnę; obecnie mieszka i pracuje we Wrocławiu. Trzech więźniów zbiegło w czasie zwożenia wikliny z wolności. Również z Dzierżążni uciekano skutecznie.

Do *Polen-Jugendverwahrlager* trafiali więźniowie z różnych obozów i więzień, między innymi z Oświęcimia przyjechała grupa więźniów. Wśród nich był *Gałczyński* (nie udało mi się go odnaleźć) oraz *Stanisław Supłat*, urodzony w roku 1931 w Żywcu, obecnie mieszka w powiecie Chojna. Obaj zostali przewiezieni z Oświęcimia do Mysłowic, skąd skierowano ich do Łodzi. W roku 1944 przywieziono do obozu w Łodzi trzy więźniarki z Oświęcimia. Były to *Maria Hohans* z domu *Orlicka*, nr 117 (nr w Oświęcimiu 39849), *Augustyna Szyndler* z domu *Borowiec*, nr 118 (nr w Oświęcimiu 39840) i *Maria Bar-Małecka*. Wszystkie przeżyły. Dwie pierwsze są mieszkankami Jaworzna, *Bar-Małecka* mieszka w Chrzanowie.

Z Łodzi wywożono nie tylko do domów rasy (*rassenamtów*), lecz także do innych obozów. Jesienią 1944 roku wywieziono grupę więźniów do Oświęcimia. W grupie tej znaleźli się więźniowie przyłapani przez „wychowawcę" w grudniu 1943 roku w chwili, gdy oglądali egzekucję Żydów na cmentarzu żydowskim. Budynek, z którego obserwowano egzekucję, początkowo był mieszkalny, później przechowywano tam narzędzia rolnicze. Z grupy tej nie udało mi się odnaleźć nikogo. Również w roku 1944 wywieziono liczną grupę więźniów do Gross-Rosen, Dory, Bergen-Belsen i Ravensbrück. Byli wśród nich: *Jerzy Nowak*, *Władysław Pachojka*, *Eugeniusz Grenda*, *Maria Jesse* z domu *Czechowska*, *Maria Jaworska* z domu *Wiśniewska*, wszyscy z Poznania i okolic, oraz *Władysław Cholewa* z Krakowa. *Jerzy Nowak* i *Władysław Pachojka* zginęli w Gross-Rosen lub Bergen-Belsen. Pozostali przeżyli (por. przypis 7 na końcu artykułu). Oto co na ten temat pisze z obozu 12-letni *Tadeusz Heigelman*: „Kochana ciociu, bardzo ci za tę paczkę dziękuję i jak przyjadę do domu, to wam się za to odwdzięczę, bo z Mosiny już wyszedł *Grenda* i *Pachojka* i jedna dziewczyna na wolność" (w cytacie pisownię poprawiono).

Zwolnień zasadniczo w obozie nie stosowano. Do maja 1944 roku zwolniono kilku poszczególnych więźniów, między nimi więźniarkę nr 4, *Zofię Stawicką*, którą zatrudniono przy małych dzieciach w obozie dziewczęcym. Wkrótce została osadzona ponownie z powodu przenoszenia „grypsów" i do wyzwolenia przebywała w obozie. Omal nie przypłaciła tego życiem. Dopiero 9 maja 1944 roku zwolniono pierwszą grupę kilkunastu więźniów. Był wśród nich więzień nr 165, *Roman Sermet*, mieszkaniec Krakowa. Później jeszcze dwukrotnie zwolniono małe grupki więźniów. Ogółem zwolniono nie więcej niż 80—100 więźniów.

Mimo ogólnego przeświadczenia i autorytatywnych stwierdzeń, że po obozie nie pozostał żaden materialny ślad, udało mi się natrafić

[5] Jak podaje była więźniarka *Urszula Susz*, zastrzelony nazywał się *Gąsiorek* i pochodził z Krakowa. Sprawa wymaga wyjaśnienia.

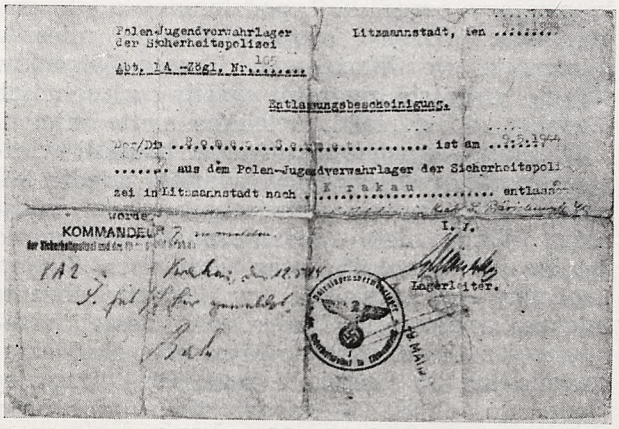

Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei — Litzmannstadt, den .....

Tgb. Nr. IA -Tgl. Nr. 105

Entlassungsbescheinigung.

Der/Die ..... ist am .....

..... aus dem Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt nach Krakau entlassen worden.

KOMMANDEUR der Sicherheitspolizei und des SD

I. V.

Lagerleiter.

Ryc. 6. Reprodukcja oryginalnego zwolnienia z *Polen-Jugendverwahrlager* więźnia *Romana Sermeta* z Krakowa (oryginalny dokument zachował R. *Sermet*)

na kilka cennych dokumentów. Są to: oryginalna kartoteka obozowa więźniarki *Teresy Iwickiej* z adnotacjami o karach, dwa zwolnienia pochodzące z tego okresu (jedno podpisane przez *lagerleitera Hauscha*, a drugie przez *Endersa*). Ponadto odnalazłem około 20 listów pisanych przez więźniów z obozu, w tym dwa, które ja pisałem koledze nie umiejącemu pisać oraz kilkanaście zdjęć z numerami obozowymi i napisem *Polen-Jugendverwahrlager*, kilka zdjęć grupowych, a także zdjęcie więźnia *Jerzego Nowaka*, który zginął w Gross-Rosen lub

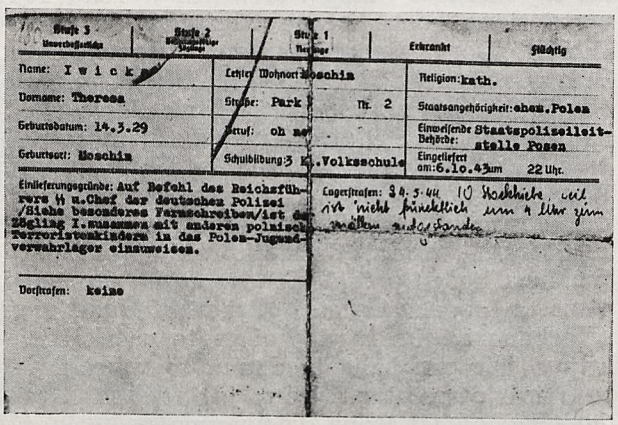

Stufe 3 | Stufe 2 | Stufe 1 | Erkrankt | Flüchtig

Name: Iwicka — Letzter Wohnort: Moschin — Religion: kath.

Vorname: Theresa — Straße: Park — Nr. 2 — Staatsangehörigkeit: ehem. Polen

Geburtsdatum: 14.3.29 — Beruf: oh ne — Einweisende Behörde: Staatspolizeileitstelle Posen

Geburtsort: Moschin — Schulbildung: 3 K. Volksschule — Eingeliefert am: 6.10.43 um 22 Uhr.

Einlieferungsgründe: Auf Befehl des Reichsführers SS u. Chef der deutschen Polizei /Siehe besonderes Fernschreiben/ ist die Zögling I. zusammen mit anderen polnischen Terroristenkindern in das Polen-Jugendverwahrlager einzuweisen.

Lagerstrafen: 30.3.44 10 Hockstehe weil sie nicht pünktlich um 4 Uhr zum Melken aufstand.

Vorstrafen: keine

Ryc. 7. Reprodukcja kartoteki obozowej *Teresy Iwickiej*, strona pierwsza.

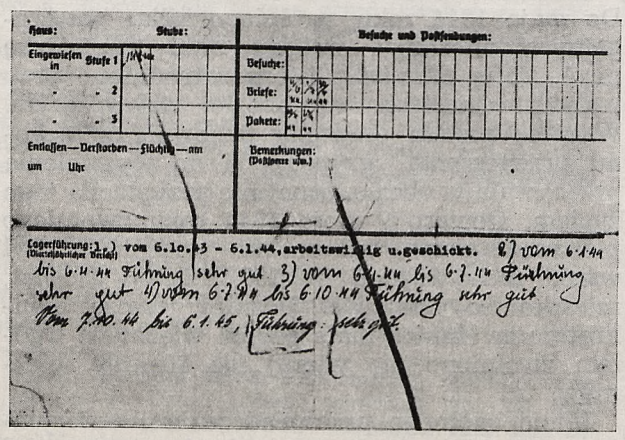

Haus: Stube: — Besuche und Postsendungen:

Eingewiesen in Stufe 1 — Besuche: — Briefe: — Pakete:

Entlassen — Verstorben — Flüchtig — am um Uhr — Bemerkungen: (Postsperre usw.)

Lagerführung: 1) vom 6.10.43 - 6.1.44, arbeitswillig u. geschickt. 2) vom 6.1.44 bis 6.4.44 Führung sehr gut 3) vom 6.4.44 bis 6.7.44 Führung sehr gut 4) vom 6.7.44 bis 6.10.44 Führung sehr gut Vom 7.10.44 bis 6.1.45, Führung sehr gut.

Ryc. 8. Strona druga kartoteki (oryginalny dokument zachowała *T. Iwicka*)

Bergen-Belsen i *Eugeniusza Grendy*. Ogółem mam przeszło 200 zdjęć byłych więźniów.

W odnalezionej kartotece obozowej więźniarki nr 180, *Teresy Iwickiej*, urodzonej w roku 1929, w rubryce „powód skierowania" czytamy: „Na rozkaz *reichsführera SS* i szefa policji niemieckiej (...) należy wychowankę razem z innymi dziećmi polskich terrorystów dostarczyć do *Polen-Jugendverwahrlager* (...). Ostatnio zamieszkała: Mosina (...), dawna Polska (...). Aresztowana w dniu 6.X.1943 roku o godzinie 22". W okresowych opiniach od 6 października 1943 roku do 6 stycznia 1945 roku, a więc od dnia aresztowania niemal do ostatnich dni funkcjonowania obozu powtarzają się adnotacje o bardzo dobrym zachowaniu, mimo to w rubryce „Kary" wpisano notatkę o 10 kijach za niewstanie punktualnie o czwartej do dojenia krów w dniu 24 maja 1944 roku.

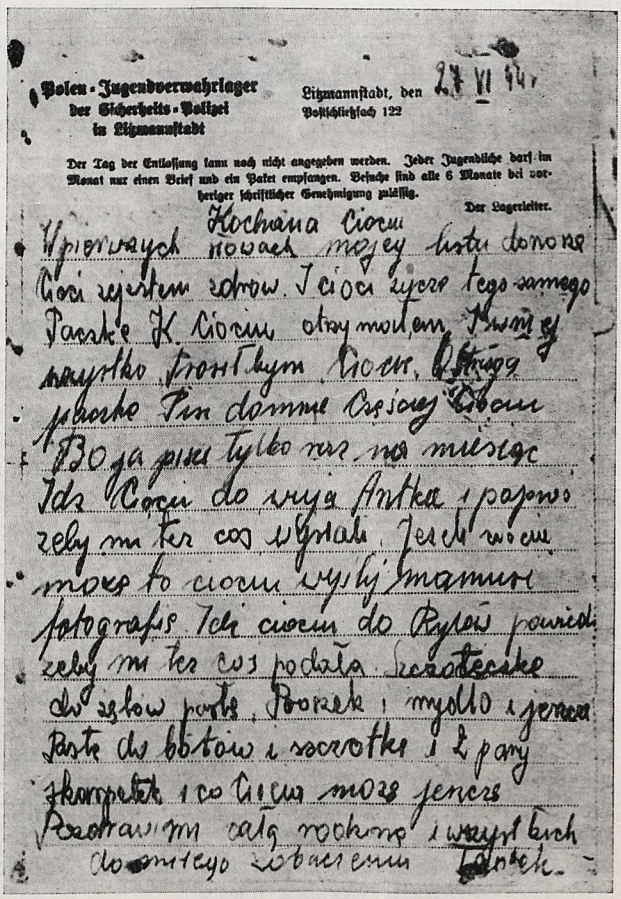

Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheits-Polizei in Litzmannstadt — Litzmannstadt, den 27 VI 44 — Postschließfach 122

Der Tag der Entlassung kann noch nicht angegeben werden. Jeder Jugendliche darf im Monat nur einen Brief und ein Paket empfangen. Besuche sind alle 6 Monate bei vorheriger schriftlicher Genehmigung zulässig.

Der Lagerleiter.

Kochana Ciociu
Wpierwszych nowach mojej listu donosze
Ciocia zyjemy zdrow. I cioci życze tego samego
Paczke K. Ciociu otrzymałam Twojej
wszystko trzymam Ciocia. Wdzięczny
jeszcze Nie dotrze Osiwej Ciocia
Bóg ja pisze tylko raz na miesiąc
Idz Ciocia do wuja Antka i pojdz
zeby mi ten cos wysłał Jeżeli wie
może to ciocia wyslij mamusi
fotografie Idz ciocia do Rylek powiedz
zeby mi ten cos podała Szczoteczke
do zębów pasta Borzek i mydło i jeszcze
Paste do butów i szczotke i 2 pary
skarpetek i co Ciocia może jeszcze
Pozdrawiam całą rodzinę i wszystkich
do zobaczenia Tadek.

Ryc. 9. Reprodukcja listu obozowego pisanego przez więźnia, *Tadeusza Heigelmana* w dniu 27 czerwca 1944 roku; treść listu (oryginał przechowuje autor artykułu)

W zachowanych listach pisanych z obozu do rodzin przez więźniów czytamy następujące fragmenty. Więzień nr 776, *Tadeusz Heigelman* pisze w dniu 2 grudnia 1943 roku: „Kochana ciociu, babciu i kuzynko! List wasz otrzymałem, za który bardzo dziękuję. Paczki jeszcze nie otrzymałem, ale się w tym tygodniu jej spodziewam. Możecie mi wysłać makowiec i syropu tyle, ile możecie i wszystkiego tyle, ile możecie, a najwięcej chleba, bo tutaj wszystko otrzymujemy". Więźniarka

nr 180, *Teresa Iwicka* pisze pod datą 20 listopada 1943 roku: „Pracuje teraz u szewca, nie ma tak źle, bo też tam mają ciepło (...), pisałam, że pracuje w ogrodzie. Pracował tylko dwa dni, ale że ma słabe oczy i łzy mu wciąż lecą, jak zimno jest, to teraz wzięli go do szewca". *Teresa* pisze tu o swoim młodszym, 12-letnim bracie, *Aleksandrze Iwickim*. Prośby powtarzają się we wszystkich listach: „Przyślijcie łyżkę do jedzenia, to będę miał własną". „Czemu tak długo nie piszecie i nie przysyłacie paczek?". „Przyślijcie mydło i szczoteczkę do zębów". Są to listy, które cenzura obozowa puściła. Ileż jednak nie dotarło do adresatów ze względu na to, że zbyt natarczywie domagano się w nich chleba i zbyt śmiało pisano o warunkach panujących w obozie.

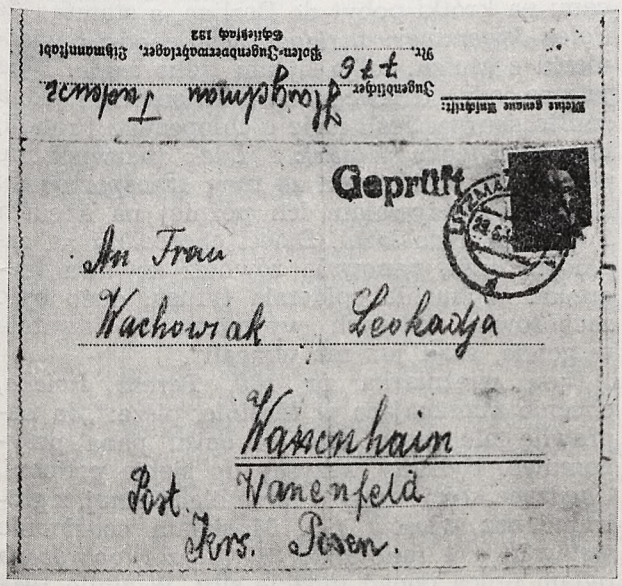

Ryc. 10. Strona adresowa obozowego listu *T. Heigelmana*

Na każdym liście znajdował się nadruk: „Dzień zwolnienia nie może być teraz podany. Pytania są bezcelowe" oraz informacja, że „wychowanek" może wysłać tylko jeden list i otrzymać tylko jedną paczkę miesięcznie. Kontakt dzieci z domem był utrudniony. Dzieci wysyłały listy do rodzin, które były już w obozach koncentracyjnych. Często dzieci nie pamiętały adresu, nie umiały pisać lub pisały o sprawach, których żadną miarą nie można było ujawnić.

Wszystko, co napisałem, oparte jest na autentycznych materiałach, jak listy, wspomnienia i zachowane nieliczne dokumenty. Zachodzi pytanie, czy po 22 latach pamięć nie zawodzi. Stanowczo nie. To, co przeżyli więźniowie-dzieci nie da się zapomnieć, nawet gdyby przeżyli dwa życia. Wkrótce po wojnie kilku więźniów przesłuchano, a ich zeznania opublikowano w książce pt. „Dzieci polskie oskarżają". Po 22 latach udało mi się odnaleźć trzy osoby spośród tych, których zeznania opublikowano. Żaden z nich o tym nie wiedział. Po porównaniu okazuje się, że dane opublikowane pokrywają się z nadesłanymi wspo-

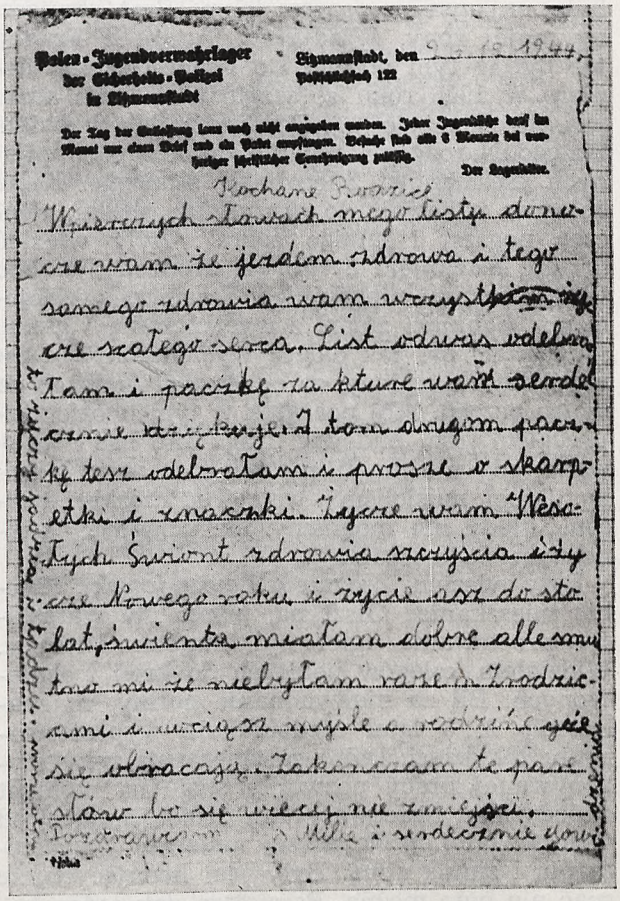

Ryc. 11. Reprodukcja tekstu listu obozowego *Tadeusza Heigelmana* i jego siostry, *Jadwigi*, pisanego w dniu 26 grudnia 1944 roku (ze zbiorów autora artykułu)

mnieniami. Świadczy to, jak głęboko w pamięci tych ludzi utkwiły przeżycia obozowe.

Oto, co piszą byli więźniowie, nieliczni, którzy ocaleli. Były więzień nr 687, mgr *A. Iwicki*, obecnie mieszkaniec Gdyni, podaje: „*Jaździński* pisze, że w zupie były kartofle. Jak sobie przypominam, to pod koniec już ich w ogóle nie było, a litr zupy składał się ze słonej wody, liści z kapusty lub buraków, piasku i różnych świństw (glisty, robaki). Z chleba robiliśmy takie kulki, żeby jak najdłużej w rękach utrzymać i nim się sycić". Były więzień nr 480, *Wacław Dyba*, obecnie mieszkający w Pabianicach, wspomina: „Gdy z głodu wybieraliśmy listki kapusty w śmietniku, to za to też były baty. Budowaliśmy baraki, bo coraz więcej dzieci przybywało i nie mogliśmy się pomieścić. Gdy które z głodu i wycieńczenia upadło, to esesman *August* zaraz bił, kopał i mówił: ty tyfusie, nie możesz zdechnąć, to cię dobiję. Sienników nie było. Do przykrycia mieliśmy jeden koc (...); musieliśmy wyprostować 1000 igieł; które dziecko nie wyprostowało, było bite. Pamiętam nazwiska trzech Francuzów: *Władysław Tatara, Czesław Rzeszutek, Czesław Fila*". Chodzi o przywiezionych z Francji.

Były więzień, *Edward Wiśniewski*, urodzony w roku 1929, obecnie mieszkaniec Olsztyna pisze: „*Buchholtz* znęcał się nad nami nieludzko. Głód był straszny, obierki znalezione

były najlepszym przysmakiem. Brat stryjeczny mojej żony, *Władysław Tatara* z Francji też był w tym obozie. Do Francji wrócił dopiero w 1946 roku ze względu na stan zdrowia. Już nie żyje (...). Pamiętam, jak w święta Bożego Narodzenia wpadło do nas paru pijanych esesmanów. Znęcali się strasznie. Kilku kolegów pakowali do skrzyń po piasku, depcząc nogami i łamiąc żebra". Były więzień nr 481, *Kazimierz Stefański*, urodzony w roku 1929, obecnie mieszkaniec Trzebicza, relacjonuje: „*Bąbiński* zmarł z wycieńczenia i głodu. *Magdaniec* był tak dalece wycieńczony, że nie mógł dojść do pracy, za co *August* dobił go na moich oczach. Mój początek w tym obozie rozpocząłem przy budowie dróg. Bito nas i katowano, gdy nie mogliśmy uciągnąć wozu z gliną. Drogi musieliśmy walcować ciężkim walcem; kiedy nie mogliśmy już uciągnąć, kazano nam skakać żabkę".

Były więzień, *Zbigniew Lewandowski*, obecnie mieszkaniec Olsztyna, pisze: „W warsztacie prostowania igieł był majster Niemiec. Widziałem kolegów pobitych do krwi i okaleczonych. Bił za niewykonanie normy, za znalezienie 2, 3 igieł niedokładnie wyprostowanych; bił dzieci, które ze zmęczenia przy wykonywanej pracy pozwoliły sobie na moment odpoczynku. Pracowały tam dzieci [mające] od 7 do 17 lat (...). Najwięcej umierało z wycieńczenia i zimna zimą. Były jęki konających, że spać nie było można. Pamiętam, jak jeden konał trzy dni; był to już prawie koniec zimy; wołał matkę, a wszyscy płakali. Było w tym coś strasznego i przejmującego. Przyszła lekarka Niemka w mundurze i takim kijem odtrąciła koc z niego. Koc był przyklejony do piersi, gdyż mu ropiała, zerwała całe ciało, aż widać było kości. Żył jeszcze. Zabrano go do koca i zaniesiono do trupiarni (karzec, tam, gdzie siedzieli za przewinienia)".

Były więzień, *Stefan Chachlowski*, mieszkający w Wilkowie pod Świdnicą, podaje: „Pamiętam, kiedy zimą przywieziono około 250 dzieci w wieku 5—7 lat i umieszczono w *Mädchenlager*. Były to dziewczęta i chłopcy. Umierały jedno po drugim". Były więzień nr 165, *Roman Sermet*, obecnie mieszkaniec Krakowa, pisze: „Traktowano i obchodzono się ze mną brutalnie. Do karnej grupy dostałem się za to, że jeden z moich kolegów miał dyżur i zasnął. Esesman uznał mnie za współwinnego i obydwóch nas wcielono do karnej grupy". Były więzień *Stanisław Wszołek*, obecnie mieszkający w Krakowie, wspomina: „Za najmniejsze przewinienie byliśmy bici albo skakaliśmy tzw. żabkę. Najgorsi w obozie byli lekarka *Bayerowa* i esesman *August* (...). Pracowałem przy odgruzowaniu obozu, jako dzieci byliśmy zaprzęgani do wozu, a Niemiec bił nas batem. Widziałem, jak przywieźli kolegę o nazwisku *Georg*, który został pobity przez esesmana tak dotkliwie, że po tygodniu zmarł". Była więźniarka nr 163, *Elżbieta Nowak*, urodzona w roku 1933, pisze: „Po paru dniach poczułam głód. Płakałam, wyciągałam glisty z zupy i jadłam. Starsze dziewczynki starały się nas pocieszyć (...). Kładłyśmy się kolejno i tyle, ile kto miał przeznaczone batów, dostawał. Nie pamiętam, ile ich dostałam, ale wiem, że o własnych siłach nie mogłam stanąć i dłuższy czas nie mogłam chodzić. Po miesiącu dostałam kartkę, że mogę do domu napisać. Nie umiałam dobrze pisać i zawsze ktoś mi pomagał pisać. Kazałam napisać, że jest mi źle, że jestem głodna i tęsknię za nimi, ale starsza dziewczynka powiedziała mi, że muszę napisać, że jest mi dobrze, bo listy są kontrolowane (...). Paczkę kontrolowali, coś niecoś zabrali, resztę oddali. Kiedy przyniosłam ją na «sztubę», wszyscy mnie obstąpili, że prawie wszystko rozdałam".

Była więźniarka, *Zofia Szope*, urodzona w roku 1929, pisze: „Wezwano mnie do gestapo w Metzu i wywieziono wraz z trzema chłopcami na krótki pobyt do Berlina, a stamtąd do *Polen-Jugendverwahrlager*. Jeśli chodzi o więźniarki z Metzu, to ja byłam tylko sama. Była jeszcze jedna dziewczynka z Thionville i jedna ze Strasburga. Jeśli idzie o chłopców z Francji, to «*Murzynek*» *Władek* i *Edek* (nazwisk nie pamiętam) byli razem ze mną transportowani z Metzu. Widywałam ich później na apelach i w marszu do łaźni. Dzieci chorowały na zapalenie oczu, panowała również krwawa biegunka. Wybuchła epidemia tyfusu, dużo było zachorowań, chorych wywożono do szpitala w getcie, skąd już nie wracali".

Była więźniarka nr 180, *Teresa Iwicka*, obecnie mieszkająca w Mosinie, pisze: „Ja naprawdę nie mogę sobie z opisu pana przypomnieć. Byliśmy wszyscy do siebie podobni. Chodzące kościotrupy o cerze blado-sinej, z głowami bez włosów (...). Musiałam codziennie wstawać o 4 rano i do 21 wieczór obarczona byłam pracą ponad ludzkie siły. W zimie 1944 roku miałam też strasznie odmrożone nogi; były to bardzo głębokie dziury, z którymi wróciłam i leczyłam jeszcze przez pół roku".

Były więzień nr 18, *Jan Kuczyński*, mieszkający w Łodzi, pisze: „Za małe przewinienie nie dostawało się obiadu, stało się pod gruszą, bito i kopano do nieprzytomności. Okrutni byli *Bayer*, *Pohl* i wszyscy polscy «wychowawcy». Podejrzany o zorganizowanie ucieczki z obozu, otrzymałem 50 batów, trzy dni aresztu i skierowany zostałem na blok 3 (*Haus 3*)".

Były więzień nr 524, *Józef Lubczyk*, urodzony w roku 1930, wspomina: „Wskutek słabego wyżywienia zapanował tyfus. Wywieźli nas w głąb getta. Część dzieci wróciła, a reszta została pochowana koło cegielni." Wspomniany już *Roman Sermet* dodaje: „Kiedy zapanował w obozie tyfus, na wieczornym apelu dozorcy mścili się, przypisując nam winę za powstałą epidemię. Latali od bloku do bloku i bili więźniów deskami od łóżek".

Były więzień, *Henryk Chrzanowski*, mieszkający w pobliżu Zielonej Góry, pisze: „Pamiętam noc wigilijną 1943 roku, gdy kilku zabili na przeglądzie czystości". Były więzień *Jerzy Skibiński*, urodzony w roku 1935, mieszkający w Poznaniu, pracownik naukowy Uniwersyte-

tu im. A. Mickiewicza po wojnie, zeznał: „Mydłem mył się tylko ten, kto dostał je w paczce z domu. Po ukończeniu 8 lat przeniesiono mnie do starszych. Wtedy musiałem już pracować. Pracowaliśmy przy sporządzaniu koszyków z wikliny" [6]. Po 22 latach, w roku 1967, na pytanie zawarte w ankiecie, jaki wpływ na stan zdrowia miał pobyt w obozie, odpowiedział: „Miał na pewno ujemny. Jako przykład może służyć fakt, że po powrocie do domu wielu młodszych kolegów (o 2—3 lata), lecz pozostających całą okupację w domu, było wzrostem wyższych niż ja; ten stan zmienił się dopiero po około 2—3 latach".

Była więźniarka nr 4 i 228, *Zofia Stawicka*, mieszkająca obecnie w Gdańsku, pisze: „Obóz po wojnie odwiedzałam kilka razy i zawsze doznawałam ciężkiego wstrząsu i kilka dni ciężko przeżywałam. Byłam wyjątkowo traktowana i pechowa, że nawet we śnie zrywam się w nocy, kiedy tylko myśli tam wracają (...) My w Gdańsku zostaliśmy po prostu wyproszeni ze ZBoWiD-u, ponieważ powiedziano nam, że taki obóz nie istniał. Pisze pan o wyjeździe do Krakowa, mamy tam kolegów. Proszę pozdrowić Kraków od nas".

Przez obóz przeszło około 12 tysięcy dzieci (według *W. Jażdżyńskiego*). Z chwilą wyzwolenia uratowało się około 600—800, spośród których wielu ciężko chorych później zmarło. Wielu nie miało lub nie wiedziało, dokąd iść. Tych zabierali mieszkańcy Łodzi z ulicy oraz wydział opieki społecznej. Oto co pisze o nich *Maria Niemyska-Hessenowa* w artykule pt. „Dzieci z «lagru» w Łodzi", opublikowanym w czasopiśmie Polskiego Instytutu „Służby Społecznej" (1946, nr 1): „Zdaniem wychowawców, różniły się one znacznie od innych dzieci. Przywarła do nich nazwa «te z lagru». Dla nich i dla wychowawców najcięższy był pierwszy okres, w którym nasycały swój tak długo nie zaspokajany głód. Dzieci były wtedy podobne do zwierzątek, rzucały się na wychowawców, traktując ich jak dozorców niemieckich, odbierały jedzenie innym towarzyszom. Dłużej niż tydzień nikt z opiekunów nie był w stanie z nimi wytrzymać. W miarę upływu czasu następowała z wolna zmiana na lepsze. Dzieci cieszyły się ciepłem i jako taką odzieżą. Nie znosiły jednak w dalszym ciągu żadnych zbiórek, chodzenia parami, gwizdków; wszystko to przypominało im obóz. Z trudem też przychodziło im wierzyć w życzliwą postawę opiekunów-wychowawców. Ciągle widziały w nich dozorców niemieckich. Miały też kompleks wobec towarzyszy «z wolności». Były bowiem w porównaniu z nimi zapóźnione, niektóre nie umiały pisać ani czytać".

O gehennie, jaką przeszły te dzieci, omal nie zapomniano. Po 20 latach powtórnie „odkryto" dzięki przypadkowi istnienie obozu. Teren obozu został całkowicie zabudowany, wszelkie ślady po nim zatarto. Pozostały jedynie trzy budynki. Dlatego postanowiono odtworzyć plan byłego obozu ze wszystkimi szczegółami. W związku z tym postanowiono odszukać pozostałych przy życiu. Mimo że nasz apel wydrukowały prawie wszystkie dzienniki w kraju oraz dwa tygodniki, dotychczas zgłosiło się i odnaleźliśmy niewielu ponad 150 byłych więźniów. Rozsyłamy specjalnie opracowaną ankietę z prośbą o załączenie do ankiety odręcznie sporządzonego szkicu obozu, krótkich wspomnień i ewentualnie pamiątek obozowych. Nadsyłane ankiety, szkice obozu oraz wspomnienia dorzucą jeszcze jedną kartę do historii okupacji hitlerowskiej i ujawnią nowe, nieznane dotąd szerszemu ogółowi szczegóły dzieciobójstwa.

* *
*

Warto dodać, że w dniu 18 grudnia 1967 roku odbyło się we Wrocławiu uroczyste posiedzenie Prezydium Zarządu ZBoWiD w związku z upływem przeszło ćwierćwiecza od czasu zorganizowania przez hitlerowców obozu dla dzieci w Łodzi. Udało się zebrać wszystkich byłych więźniów *Polen-Jugendverwahrlager* z terenu województwa wrocławskiego, jedna z koleżanek przyjechała z Torunia. Jednej spośród byłych więźniarek wręczono legitymację ZBoWiD. Obecni byli przedstawiciele prasy i telewizji.

Pewne informacje na temat hitlerowskiego obozu dla dzieci [7] w Łodzi podano w następujących publikacjach: 1. *Roman Zbigniew Hrabar*: Hitlerowski rabunek dzieci polskich (1939—1945). Wyd. „Śląsk", 1960, str. 76—77. — 2. *Józef Wnuk, Helena Radomska-Strzemecka*: Dzieci polskie oskarżają. Wyd. „Pax" 1961, str. 93—111. — 3. *Kirył Sosnowski*: „Ohne Mitleid". Wyd. Zachodnie, 1962, str. 105—106. — 4. *Wiesław Jażdżyński*: Reportaż z pustego pola. Wyd. Łódzkie, 1965.

---

[6] Zeznania *Jerzego Skibińskiego* opublikowano w książce pt. Dzieci polskie oskarżają (str. 97).

[7] Autor nadesłał wykaz imienny 19 dzieci, urodzonych między 1935 a 1941 rokiem, których rodziców zamordowano lub osadzono w obozach koncentracyjnych w związku ze sprawą dr *Witaszka*. Zostały one na polecenie Urzędu Rasy i Osadnictwa z dnia 21 lipca 1944 roku wywiezione w dniu 31 lipca 1944 roku z *Polen-Jugendverwahrlager* w Łodzi do obozu w Potulicach. *Włodzimierz Jastrzębski* w książce pt. Potulice — hitlerowski obóz przesiedleńczy i pracy 1941—1945 (BTN, Bydgoszcz 1967, str. 79) potwierdza, że w dniu 1 sierpnia 1944 roku transport ten został dostarczony do obozu w Potulicach. Ponadto otrzymaliśmy od autora częściowy wykaz imienny byłych więźniów wspomnianego obozu w Łodzi (25 osób urodzonych w okresie lat 1927—1933) z dokładnymi datami uwięzienia i adresami. Spisy te przechowuje zespół redakcyjny Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim (przyp. red.).

JAN STANISŁAW OLBRYCHT Kraków
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 46688 i Mauthausen nr 118152

Przeżycia medyka sądowego w czasie okupacji hitlerowskiej oraz po wyzwoleniu w sprawach z nią związanych

Prof. dr *Józef Bogusz*, przewodniczący Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, podjął się wielkiego, społecznego trudu wydawania w rocznicę oswobodzenia obozu w Oświęcimiu specjalnych numerów czasopisma wymienionego Towarzystwa, a mianowicie Przeglądu Lekarskiego, poświęconych zagadnieniom lekarskim okresu hitlerowskiej okupacji. Wyszło siedem takich zeszytów, które spotkały się z powszechnym, wielkim uznaniem. Ostatnio prof. *Bogusz* zwrócił się do mnie o napisanie dla numeru ósmego osobistych wspomnień z dziedziny medycyny sądowej w czasie okupacji hitlerowskiej i po wyzwoleniu, ponieważ orzeczenia moje jako biegłego, wydane przed Najwyższym Trybunałem Narodowym, opierały się nie na moich osobistych obserwacjach, lecz — celem wyeliminowania wszelkich emocjonalnych i subiektywnych momentów — na zupełnie przedmiotowej i do tego pierwszorzędnej podstawie, a mianowicie na pozostawionych oryginalnych hitlerowskich dokumentach i materiałach. Natomiast podanie do wiadomości (i to na piśmie, bo *verba volant, scripta manent*) moich własnych obserwacji będzie jednak jakimś dokumentem; materiałów takich nie mamy za dużo, lata zaś płyną, świadkowie wymierają, dowody rzeczowe giną, pamięć z biegiem lat zawodzi i należy ratować z pamięci żyjących to, co jest jeszcze do uratowania, tym bardziej że koła rewizjonistyczne w NRF starają się różnymi sposobami rzucić zasłonę na zbrodnie hitlerowskie.

Uważając za obowiązek społeczny i narodowy pozostałych przy życiu świadków, aby dawali wyraz prawdzie, czynię zadość temu życzeniu, chociaż zdaję sobie sprawę, że relacje te oddadzą tylko ułamki rzeczywistości obozowej oraz istniejącego w czasie okupacji hitlerowskiej wymiaru sprawiedliwości i że pisane wcześniej niż dopiero po upływie ćwierćwiecza byłyby bardziej szczegółowe.

* *
*

Od chwili wybuchu drugiej wojny światowej (w rannych godzinach 1 września 1939 roku przywieziono pierwsze ofiary nalotów niemieckich bombowców na ul. Warszawskiej), następnie po zajęciu Krakowa przez wojska niemieckie, a także po moim wśród licznych przygód powrocie z „wyprawy wojennej" spod Zbaraża przez Tarnopol, Lwów, Przemyśl, Jarosław do Krakowa, działalność krakowskiego Zakładu Medycyny Sądowej UJ przebiegała w dotychczasowym zwykłym trybie.

Dopiero w dniu 6 listopada 1939 roku, będąc na wezwanie władz uniwersyteckich na znanym wykładzie *obersturmbannführera Müllera* w sali 66 *Collegii Novi* w związku z powszechnie znaną *Sonderaktion Krakau* i wywiezieniem profesorów do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, otrzymałem od *Müllera* polecenie natychmiastowego zgłoszenia się w Urzędzie Bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst*) przy ulicy Grottgera 1, co nastąpiło pod tajnym — jak się przekonałem — nadzorem. Tu zawiadomiono mnie, że sprawy sądowe, złączone z czynnościami sądowo-lekarskimi prowadzonymi w Zakładzie, będą sądzone już to przez niemiecki sąd specjalny *(Sondergericht)*, już to przez polskie sądy. Rozstrzygać o tym będzie gestapo i dlatego Zakład ma tam kierować zawiadomienia o otrzymaniu zwłok, dowodów rzeczowych itp. Mnie polecono pełnienie funkcji lekarza biegłego zarówno w sądach polskich, jak i w sądzie specjalnym oraz wręczono przepustkę do więzienia w razie konieczności przeprowadzania tam psychiatrycznych badań więźniów. W ten sposób mogłem zobaczyć i przekonać się, jak wyglądał wymiar sprawiedliwości w czasie okupacji hitlerowskiej.

Bazą wymiaru sprawiedliwości było więzienie przy ul. Montelupich oraz tzw. więzienie św. Michała przy ul. Senackiej.

Więzienie przy ul. Montelupich było przepełnione nie tylko aktywnymi działaczami antyhitlerowskimi, członkami konspiracyjnych organizacji, ochotnikami do wojska polskiego we Francji, przyłapanymi w drodze przez granicę polsko-słowacką oraz ich przewodnikami, następnie ludźmi podejrzanymi o sabotaż, zakładnikami przybyłymi z więzienia w Myślenicach, Czarnym Dunajcu, Nowym Sączu, Tarnowie, posiadającymi lub podejrzanymi o posiadanie broni lub aparatu radiowego, lecz także ludźmi pochodzącymi z masowych obław i łapanek, Żydami oraz ludźmi, którzy do końca nie wiedzieli, co im się zarzuca. Były to osoby różnego wieku, od kilkunastoletnich do podeszłych wiekiem starców, ze wszystkich sfer społecznych i zawodów.

Pobyt ich w więzieniu trwał zazwyczaj niedługo. Sąd specjalny bowiem w szybkim tempie zasądzał więźniów na karę śmierci, resztę

na pobyt w obozach koncentracyjnych, a tylko nieliczną grupę zwalniał. Jakkolwiek, niestety, nie zachowały się akta więzienia Montelupich, krakowskiego gestapo i sądu specjalnego istnieją przedmiotowe dane o stosunkach istniejących w więzieniu Montelupich oraz o sposobie uśmiercania tych więźniów w Krzesławicach, a to na podstawie zeznań zwolnionych więźniów, „grypsów" przemycanych do swych bliskich, nielegalnej korespondencji w paczkach z żywnością i bielizną, wreszcie na podstawie listów i notatek znalezionych przy zwłokach ekshumowanych i informacji niektórych strażników więziennych.

W więzieniu Montelupich istniał znany hitlerowski surowy reżim więzienny oraz stosowano osławione metody gestapowe wymuszania zeznań. Założywszy mianowicie przesłuchiwanemu maskę na twarz, by nie było słychać krzyku, bito go bykowcami po ciele, zwłaszcza po stopach, aż do utraty przytomności. Omdlałego cucono wodą i dalej bito. W razie umieszczenia lub przeniesienia więźnia do celi nr 87 lub do celi nr 94 wiedziano, że czeka go kara śmierci, toteż cele te nosiły nazwę „cele śmierci".

Także wiadomo było, że więźniowie, których wożono w ciężarowych autach, krytych brezentem, z Montelupich do Krzesławic celem kopania rowów, zostaną nazajutrz we wczesnych godzinach tam przywiezieni, rozstrzelani i w wykopanych dnia poprzedniego rowach zakopani. Na trasie przejazdów z więzienia Montelupich do Krzesławic znajdowano często wyrzucone z aut przez więźniów kartki do swych rodzin, w których donosili, że jadą kopać dla siebie groby lub że jadą tam na śmierć.

Jak już zaznaczyłem, drugą bazą wymiaru sprawiedliwości w czasie okupacji hitlerowskiej w Krakowie było więzienie św. Michała przy ul. Senackiej. Przebywali w nim więźniowie sprzed wojny lub aresztowani na polecenie polskiej prokuratury sprawcy przestępstw, których sprawy były w toku. Kierownikiem więzienia był wówczas dawny polski strażnik, potem *volksdeutsch*, pozostali strażnicy byli Polakami. Nadzór nad więzieniem należał do szefa niemieckiej prokuratury w Krakowie i kierownik więzienia bez upoważnienia prokuratora niemieckiego nie miał prawa wydawać policji hitlerowskiej aresztowanych lub odsiadujących karę więzienia, co jednak w wielu przypadkach czynił, w kartotekach zaś zapisywał, że zostali oni przeniesieni do więzienia Montelupich, do obozu koncentracyjnego, wydani na rozstrzelanie, a nawet, co więcej, zdarzały się rozstrzeliwania w samym więzieniu na Senackiej; zwłoki wywożono karetkami Miejskich Zakładów Sanitarnych.

Jednym słowem, wymiar sprawiedliwości w czasie okupacji hitlerowskiej był parodią wymiaru sprawiedliwości, ponieważ wszystko zależało od gestapo, które było niejako państwem w państwie i o wszystkim decydowało.

W wielu przypadkach byłem świadkiem, jak zwolnionych czy to wyrokiem sądów polskich, czy sądu specjalnego od winy i kary gestapo wywoziło do obozów, głównie do Oświęcimia i tam ich „wykańczało". Gdy zaś rodziny zgłaszały się do więzienia dla uzyskania wiadomości o aresztowanych, to albo nie otrzymywały żadnych wiadomości, albo fałszywe, że dany więzień zmarł w transporcie, został wywieziony do pracy do Niemiec, do obozów itp., przy czym podawano zmyślone przyczyny zgonu.

Występując jako biegły przed sądami w czasie okupacji hitlerowskiej w sprawach o najwyższe dobra ludzkie, cześć, wolność i życie, przeżywałem wielką wewnętrzną walkę, budzącą głębokie i najrozmaitsze uczucia i refleksje, czy stać na stanowisku biegłego, którego prawem, obowiązkiem i honorem jest szukać przede wszystkim prawdy i służyć prawdzie, podczas gdy strony procesowe często innym służą panom. Wkrótce przekonałem się, że jest to możliwe tylko przy normalnym, uczciwym ustawodawstwie i sądownictwie. Tymczasem terrorystyczne prawo w Generalnym Gubernatorstwie przewidywało karę śmierci za drobne nawet przekroczenia. Także nawet najłagodniejsze wyroki wydawane przez sądy polskie za przestępstwa były w dużym odsetku właściwie wyrokami śmierci, ponieważ aresztantów Niemcy wywozili do obozu oświęcimskiego, gdzie ginęli.

Ponieważ nie zachowały się akta krakowskiego *sondergerichtu*, mogę z pamięci jedynie podać, że przypominam sobie takie przypadki, jak karę śmierci za przejazd koleją w wagonie *„Nur für Deutsche"* inteligentnej kobiety, która aresztowaną ratowała się symulacją choroby psychicznej, albo karę śmierci staruszki, która celem naprawienia pieca oddaliła się na kilka metrów od getta, aby pobrać piasek znajdujący się na ulicy. Ale bardzo dokładnie i szczegółowo przypominam sobie przypadek jako interesujący nie tylko pod względem sądowo-lekarskim, lecz także pod względem jurydycznym, ponieważ od wyroku *sondergerichtu* nie było odwołań, a tymczasem ja w tej samej sprawie brałem dwukrotnie udział przed krakowskim i warszawskim *sondergerichtem*, nadto brał w niej udział jako biegły dotąd występujący w sądach w NRF prof. *Specht*, przy czym doszło do moich z nim dyskusji w sali sądowej. Historia tego przypadku jest następująca.

Wkrótce po zajęciu Krakowa przez Niemców trzej kolejarze (wśród nich jeden *volksdeutsch*) raczyli się skradzionym z wagonu-cysterny kolejowej alkoholem metylowym. W kilka dni później ci sami kolejarze urządzili sobie pijatykę w znanej knajpie *Immerglücka* na Prądniku. U jednego z nich wystąpiły charakterystyczne dla zatrucia alkoholem metylowym zaburzenia wzrokowe, u *volksdeutscha* zaś nastąpił zgon. Przeprowadzone w Zakładzie Medycyny Sądowej sądowo-lekarskie oględziny i sekcja zwłok denata dały wynik ujemny. Chociaż w tym stanie rzeczy przyczyna śmierci nie mogła budzić wątpliwości, dla potwierdzenia rozpoznania na drodze chemicznej wzięto *lege artis* wnętrzności denata celem przeprowadzenia analizy chemiczno-toksykologicznej.

Z powodu wywiezienia chemika dra *Robla* wraz z profesorami UJ do obozu w Sachsenhausen nie mogła być ona przeprowadzona.

Gdy w kwietniu 1940 roku kierownictwo Zakładu Medycyny Sądowej UJ w Krakowie objął dr *Werner Beck*, asystent Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu, odesłał wnętrzności denata do tamtejszego Zakładu, a przeprowadzona tam przez doc. *Spechta* analiza chemiczno-toksykologiczna wykazała we wnętrznościach obecność alkoholu metylowego. Z powodu wyniku analizy i opinii doc. *Spechta*, odnoszącego śmierć *volksdeutscha* do pijatyki w knajpie *Immerglücka*, stanął on jako oskarżony przed *sondergerichtem* w Krakowie. Na rozprawie z uwagi na to, że badanie chemiczno-toksykologiczne nie wykazało w napojach alkoholowych zabranych z knajpy *Immerglücka* obecności alkoholu metylowego, pijatykę zaś w tym lokalu poprzedziło picie skradzionego z cysterny kolejowej alkoholu metylowego oraz wobec badań *Strassmanna*, że istnieje różna i znaczna osobnicza wrażliwość dotycząca zarówno ilości wypitego alkoholu metylowego, jak i czasu występowania objawów zatrucia oraz czasu zgonu, stanąłem na stanowisku, że śmierć jednego, a także zaburzenia wzroku u drugiego kolejarza należy odnieść do picia skradzionego z cysterny kolejowej alkoholu metylowego. W odpowiedzi *Specht* upierał się przy swojej opinii i twierdził, że nie są mu znane badania *Strassmanna*. Usłyszawszy to, przewodniczący *sondergerichtu* zwrócił się do mnie ze słowami: *„Herr Professor, sie haben Recht, Strassmann führte Untersuchungen über Massenvergiftungen mit Methylalkohol im Asyl für Obdachlose". Obstipui!*, że prawnik lepiej od *Spechta* znał piśmiennictwo fachowe. Toteż gdy wraz z *Beckiem* i *Spechtem* wróciłem po rozprawie do Zakładu Medycyny Sądowej, miałem przyjemność oglądać ich miny, wyjmując z biblioteki zakładowej 45 tom *Suppl.* z 1913 roku *Vierteljahrsschrift für gerichtliche Medizin und öffentliches Sanitätswesen* z pracą *F. Strassmanna* pt. *„Die Begutachtung von Massenvergiftungen mit besonderer Berücksichtigung der Methylalkoholvergiftungen"*.

W kilka miesięcy później otrzymałem wezwanie na rozprawę sądową przed warszawskim *sondergerichtem*, który zjechał do Krakowa dla rozpatrzenia sprawy *Immerglücka* i uwolnił go od kary i winy. Jednak gestapo nie tylko jego samego, ale całą rodzinę wywiozło do obozu w Oświęcimiu, gdzie zginęli. Oto jeden z przykładów państwa w państwie.

Jak już wzmiankowałem, w kwietniu 1940 roku objął kierownictwo Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie dr *Werner Beck*. Zakład otrzymał nazwę *Institut für gerichtliche Medizin und naturwissenschaftliche Kriminalistik im Amt des Generalgouverneurs* i podlegał bezpośrednio Wydziałowi Zdrowia w *GG*. Następnie do Zakładu Medycyny Sądowej włączył *Beck* mieszczące się w *Collegium Medicum* Zakłady Anatomii Topograficznej, Farmakologii, Fizjologii, część Zakładu Anatomii Patologicznej oraz mieszczący się przy ul. Kopernika 7 Zakład Chemii Lekarskiej. Pozwoliło to mnie i dr *Roblowi*, który powrócił z obozu w Sachsenhausen, zabezpieczyć dla podziemia jako *ultimum refugium* znajdujące się w Zakładach Farmakologii i Chemii Lekarskiej odpowiednie chemikalia.

W roku 1942 został stworzony w Zakładzie Medycyny Sądowej dział kryminalno-techniczny, w którym byli zatrudnieni tylko pracownicy z niemieckiej policji i Zakład zmienił swą nazwę na *Staatliches Institut für gerichtliche Medizin und Kriminalistik* i podlegał komendantowi policji bezpieczeństwa *GG* (*Kommandeur der Sicherheitspolizei im GG*). Instytutowi temu podlegały zakłady medycyny sądowej w Warszawie i we Lwowie.

Z chwilą objęcia kierownictwa Zakładu przez *Becka* zapanowała w Zakładzie atmosfera terroru. Jako zasłużony gestapowiec, nad którego biurkiem w Zakładzie wisiało zdjęcie *Hitlera* ściskającego *Beckowi* rękę, stosował on w Zakładzie gestapowe metody. Nadto był to alkoholik i ciężki psychopata. Na przykład gdy w Zakładzie były robione zdjęcia fotograficzne z interesujących pod względem naukowym przypadków lub służących jako załączniki do protokołów sądowo-lekarskich, uroił sobie, że zdjęcia te były dostarczane zagranicznej propagandzie antyniemieckiej. Nie cieszyłem się jego sympatią, zwłaszcza że sądy przechodziły zbyt często do porządku nad jego orzeczeniami i często mnie wzywały jako biegłego na rozprawy. Nic też dziwnego, że postarał się o moje aresztowanie.

Stosunki w Zakładzie Medycyny Sądowej za rządów *Becka* są opisane w artykule prof. *Popielskiego*, którego *Beck* po moim aresztowaniu ściągnął z lwowskiego do krakowskiego Zakładu. Toteż, aby się nie powtarzać oraz być wolnym od zarzutu subiektywizmu, powołuję się na artykuł *Popielskiego*.

Ponadto panujące za *Becka* stosunki i jego działalność opisał zaraz po wyzwoleniu w roku 1945 *Stanisław Grek* w Kurierze Codziennym w Warszawie, w piśmie Stronnictwa Demokratycznego, w numerach 96, 97, 98 i 100 pod tytułem „Arcybestia *Werner Beck*".

Wreszcie *Beck* i jego zbrodnicza działalność są także przedstawione w aktach o ekstradycję *Becka*, która — jak w wielu podobnych przypadkach — nie nastąpiła i dr *Werner Beck* mieszka spokojnie w Laurensberg, Roermonder Strasse 80 i pracuje w *Städtische Krankenanstalten* w Aachen, Goethestrasse.

Ostatniego dnia czerwca 1942 roku zostałem aresztowany w Zakładzie, gdzie przeprowadzono także bardzo szczegółową rewizję mego gabinetu, a także podobną rewizję w tym samym czasie w moim prywatnym mieszkaniu, jak się później dowiedziałem od żony. Stąd przewieziono mnie do gestapo i przesłuchiwano bardzo szczegółowo aż do wieczornych godzin. Przy przesłuchiwaniu zauważyłem na biurku przesłuchującego pismo ze znanym mi nadrukiem Instytutu. Ten fakt oraz szczególnie wnikliwy temat przesłuchiwania dowodnie przemawiał, że *Beck* był sprawcą mego aresztowania. Na-

stępnie zatrzymując się przed siedzibą hitlerowskiej służby bezpieczeństwa przy ul. Grottgera 1, przewieziono mnie do więzienia Montelupich. W więzieniu tym przebywałem niecałe dwa tygodnie, jednak miałem sposobność poznać tamtejszy, już opisany reżim więzienny, zobaczyć cele śmierci nr 87 i nr 94, a nawet wygiętą kratę w oknie celi, przez którą udało się zbiec z więzienia 2 lipca 1940 roku *Stanisławowi Marusarzowi*.

W dniu 13 lipca 1942 roku jako już niepotrzebny, a niebezpieczny *geheimnisträger* zostałem w towarzystwie kilkunastu współwięźniów przewieziony samochodem ciężarowym, okrytym brezentem, do obozu w Oświęcimiu z sygnaturą *RU* i *NN*, którą wydobył z *Politische Abteilung* niezapomniany kolega obozowy *Franciszek Targosz*. Później dowiedziałem się, że *RU* znaczyło *Rückkehr unerwünscht*, zaś *NN — Nacht und Nebel*, tj. mam zniknąć bez śladu. A jednak nie spełniło się to ich życzenie i po trzyletnim pobycie w obozach hitlerowskich w Oświęcimiu i Mauthausen powróciłem do Krakowa.

W obozie po rozebraniu i zabraniu nam wszystkich rzeczy, po kąpieli pod tuszem, ogoleniu głowy, otrzymaliśmy bieliznę, pasiaki i drewniaki. Następnie ustawiono nas przed jednym z bloków, kolejno wywoływano, wydawano trójkąty i numery obozowe celem umieszczenia na pasiakach oraz podawaliśmy adresy osoby, którą należy zawiadomić o ewentualnej śmierci. Gdy tak stojąc oczekiwałem mego wywołania, podszedł do mnie więzień z zielonym trójkątem i wręczył mi owinięty w gazetę kawałek chleba, mówiąc, że chyba jestem głodny, bo ostatni raz jadłem jeszcze na Montelupich. W więźniu tym rozpoznałem i przypomniałem sobie międzynarodowego włamywacza (nazwisko już zapomniałem), którego stan psychiczny badałem w okresie międzywojennym z polecenia sądu w Krakowie.

Przytaczam ten przypadek jako pierwszy z przykładów, że znajdowały się w obozach jednostki, których dotychczasowe życie stawiało poza nawiasem społeczeństwa, a które zdobywały się na humanizm i altruizm. I na odwrót, spotykałem w czasie pobytu w obozach przypadki, że osoby z wyższym wykształceniem, zajmujące wysokie stanowiska i żyjący aż do uwięzienia w kulturalnym środowisku, jak profesorzy, księża, sędziowie itd. kradli chleb współwięźniom.

Następnie zostaliśmy umieszczeni celem kwarantanny w natłoczonym bloku 11, tzw. bloku śmierci. Na zawsze pozostaną mi w pamięci jęki i krzyki dochodzące z bunkrów oraz ledwie słyszalne odgłosy strzałów spod czarnej ściany śmierci, gdzie dokonywano rozstrzeliwań. Jeśli znajdowaliśmy się w pomieszczeniu, którego okna wychodziły na dziedziniec między 11 a 10 blokiem, gdzie była owa ściana śmierci, przepędzano nas do przeciwległego pomieszczenia, którego okna wychodziły na druty pod wysokim napięciem, okalające obóz. Tu po raz pierwszy byłem świadkiem rzucania się więźniów na te druty, co w ciągu dalszych lat mego pobytu w obozach było prawie chlebem codziennym.

Z powodu stłoczenia i braku świeżego powietrza było wielu chętnych, do których i ja należałem, do wyjścia z bloku, choćby to było połączone z noszeniem ciężkich kotłów z jedzeniem. To stłoczenie dawało się we znaki szczególnie w nocy. Znalezienie na gołej podłodze miejsca celem przespania nocy nie było łatwe, a po opuszczeniu miejsca celem załatwienia czynności fizjologicznych w ogóle niemożliwe.

Zapadłszy na tak częstą obozową chorobę *durchfall* zostałem z bloku 11 przeniesiony do szpitala dla więźniów na blok 28. Na strychu tego bloku znajdowała się apteka, w której po wyzdrowieniu pracowałem. Z okien strychu bloku 28 miałem wielokrotnie sposobność obserwować rozstrzeliwanie więźniów pod czarną ścianą śmierci bloku 11. Z powodu wysokiej bramy i murów tego bloku mogłem widzieć jedynie głowę, kark i ewentualnie grzbiet do wysokości łopatek u ofiar stojących twarzą zwróconą do czarnej ściany. W jakiś czas ukazywała się lufa karabinu, po czym widać było zniknięcie ofiary, niczym figurki marionetkowej.

Niezatartym wspomnieniem z bloku 28 pozostaną dla mnie wybiórki chorych przez *lagerarztów* i *SDG* do gazu lub na tzw. „szpilę", tj. śmiertelne wstrzyknięcie fenolu. Jeżeli więzień był dotknięty jakąś chorobą, która wymagała dłuższego leczenia, a tym samym i żywienia, albo jeżeli był on silnie wycieńczony, a więc nie przedstawiał wartości jako siła robocza, albo jeżeli chodziło o stłumienie choroby zakaźnej, wtenczas wysyłano, nieraz dziesiątkami dziennie, nieszczęśliwców na śmierć. Ale czyniono to także ze zdrowymi. Pamiętam, jak między bloki 20 i 21 zajechał samochód z 20—30 naszymi chłopcami w wieku 8—12 lat, wesołymi, rozśpiewanymi i rozbawionymi rzekomą wycieczką. Już w niecałe dwie godziny później leżały ich zwłoki pokotem w sali kąpielowej bloku 20.

Apteka na strychu bloku 28 mieściła się w małym pokoiku, w którym pomieszczone były lekarstwa i opatrunki, dostarczane miesięcznie na podstawie zamówień *SDG* ze składów *SS* w bardzo skromnych ilościach. Nic więc dziwnego, że przy niedostatku leków otrzymywali je chorzy więźniowie, rokujący wyzdrowienie, kosztem beznadziejnie chorych. Tymi samymi zresztą kryteriami kierowano się w tej dżungli obozowej zjadając pożywienie beznadziejnie chorym.

Sprawa poprawiła się z chwilą obfitego napływu przywożonych przez nowych więźniów z krajów całej Europy różnorakich leków, a wśród nich także najnowszych sulfonamidów i antybiotyków produkcji pierwszorzędnych firm zachodnioeuropejskich. W tym stanie rzeczy, a wobec zbyt szczupłego pomieszczenia apteki na strychu bloku 28, umieszczono aptekę obozową w obszernej sali na parterze bloku 21. W „organizowaniu" leków zasłużył się szczególnie kol. *Cegielski*, który pracował

w tzw. „kanadzie" oraz dwaj koledzy (już nie przypominam sobie ich nazwisk), którzy wykazywali szczególnie dużo sprytu w przewożeniu z „kanady" ukrytych pod materiałem opatrunkowym leków do apteki obozowej. Część leków oddawałem obozowi kobiecemu, mającemu trudności w ich „zorganizowaniu" i tam je także oni odwozili.

Możność pracy i odbywania apelów pod dachem, dostęp do leków (witaminy, *roborantia* i inne) były bardzo ważnym momentem utrzymania się mego przy życiu. Możność zaś użycia środków znieczulających uwolniła mnie w okresie czyraczności od licznych operacji i zmian opatrunków po operacjach w narkozie, zwanej w obozie *„tene bene, halte fest"*. Ale przede wszystkim przekonałem się o wielkim wpływie *psyche* na *soma*. Liczni więźniowie obojętnieli na wszystko, widzieli tylko beznadziejność, popadali w stan stressu, załamywali się psychicznie i umierali często z błahych powodów. Ileż to razy pytaliśmy się o kolegę, z którym rozmawialiśmy jeszcze przed dwoma dniami i dowiadywaliśmy się, że jest już w krematorium, bo załamał się psychicznie. Z licznych kolegów obozowych, z którymi stale schodziłem się i wzajemnie pomagaliśmy sobie i podtrzymywaliśmy się na duchu, przypominam sobie już tylko *Adama Zacharskiego, Czesława Cegielskiego, Szczepana Kruczka, Franciszka Targosza, Józefa Lorka, Józefa Woźniakowskiego*. Także wiadomości dostarczane od dopiero co przybywających do obozu więźniów lub wiadomości z prasy podziemnej pokrzepiały na duchu, dawały nadzieję przetrwania i wyzwolenia oraz powstrzymywały od psychicznego załamania się.

Chociaż pełniłem funkcje aptekarza, miałem sposobność być świadkiem spraw wchodzących w zakres medycyny sądowej. I tak już w kilka tygodni po objęciu pracy w aptece na strychu bloku 28 zjawił się w aptece *SDG Klehr* i polecił mi przygotować się do sekcji zwłok. W obozie oświęcimskim w przeciwieństwie do innych obozów, np. Mauthausen-Gusen, nie istniało specjalne pomieszczenie do dokonywania sekcji zwłok, a także sekcje były tylko całkiem rzadko dokonywane i to wbrew wszelkim zasadom medycyny i higieny w sali operacyjnej septycznej na parterze bloku 28. Stosownie do polecenia *Klehra* udałem się do mieszczącego się w tym bloku składu zwłok (*Leichenhalle*) i zawiadomiłem o tym kolegów *leichenträgerów*, którzy mi powiedzieli, że nie ma tam żadnych zwłok, ponieważ wszystkie odesłano już do krematorium.

Gdy *Klehrowi* oświadczyłem, że do sekcji wszystko przygotowane, ale nie ma zwłok, ten ironicznie śmiejąc się odrzekł: *„die Leiche spaziert noch"*. I rzeczywiście, w jakiś czas później byłem świadkiem, jak do sali operacyjnej w bloku 28 wprowadzono młodego, wyniszczonego więźnia, któremu *Klehr* nakazał położyć się na stole, a więźniowi *Pańszczykowi* polecił wstrzyknąć leżącemu więźniowi śmiertelną dawkę fenolu w serce. Gdy śmierć nastąpiła, zjawił się powiadomiony o tym ówczesny *lagerarzt* prof. *Kremer* ze słoikami zawierającymi płyny utrwalające i oświadczył, że zamierza przeprowadzić badania, czy tzw. zanik brunatny (*atrophia fusca*) w narządach nie powstaje po śmierci, następnie polecił mi wyjąć ze zwłok wycinki z narządów, między innymi także z tych narządów, w których nigdy zanik brunatny nie występuje. Tak więc *Klehr* nie czekał na zejście śmiertelne któregoś z „muzułmanów", którzy masowo umierali, aby zaraz po śmierci pobrać wycinki z narządów, lecz polecił uśmiercić więźnia zastrzykiem z fenolu.

W sąsiedztwie apteki obozowej na parterze bloku 21 znajdowała się *Krankenbauschreibstube*, a także sala operacyjna aseptyczna. Pozwoliło mi to osobiście poznać czynności tam wykonywane i wglądnąć w nie bliżej.

W sali operacyjnej — zamiast na zwłokach — lekarze niemieccy uczyli się techniki operacyjnej. Pozostawało to w związku z rozkazami wydawanymi na apelach, aby więźniowie, którzy przed dostaniem się do obozu leczyli się z powodu pewnych chorób lub którzy w obozie skarżyli się na pewne dolegliwości, np. woreczka żółciowego, kamicy nerkowej itp., zgłaszali się do szpitala obozowego. Lekarze niemieccy albo w ten sposób, albo z kartotek szpitalnych dobierali sobie materiał operacyjny do tego czy innego zabiegu operacyjnego. W związku z tym, nie chcąc sam dostać się w ten sposób na stół operacyjny, postarałem się przez dr *Gadomskiego*, aby moją kartę chorobową zawierającą wzmiankę o przebytej przed laty kamicy nerkowej usunięto, a na jej miejsce wstawiono inną kartę chorobową z ogólnym rozpoznaniem „obserwacja".

W *schreibstubie* były fabrykowane dla więźniów rozstrzelanych lub zagazowanych fałszywe historie choroby, że zmarli oni z samoistnych przyczyn chorobowych i tej treści zawiadomienia wysyłano do rodzin ofiar. Pisarzy, nie lekarzy, wyspecjalizowano z podręczników lekarskich w opisywaniu objawów chorobowych w rozmaitych chorobach, np. w zapaleniu płuc, w niedomodze serca, w zapaleniu nerek, w uwiądzie starczym itp. i zależnie od liczby straconych lub zagazowanych w danym dniu więźniów fabrykowano na polecenie *lagerarzta* zmyślone historie poszczególnych chorób dla tylu i tylu więźniów. W fałszywych historiach choroby fingowano również daty zgonu i więźniowie straceni w jednym i w tym samym dniu posiadali różne daty zgonu.

Było to papierowe krycie rzeczywistości i gdyby nie klęska hitleryzmu, ktoś postronny, studiując po wojnie historie chorób więźniów i protokoły dokonywanych na nich zabiegów operacyjnych, mógłby przypuszczać, że opieka lekarska w obozie oświęcimskim nad więźniami była roztoczona według ostatnich wymagań nauki i sztuki lekarskiej. Na szczęście pogrom hitleryzmu uniemożliwił zatarcie śladów zbrodni.

Do apteki w bloku 21 zaglądali często mający w tym bloku swój gabinet lekarze SS dla zaopatrzenia się w poszukiwane zagraniczne leki, a także kosmetyki, które były z tzw. „kanady"

przesyłane wraz z lekami do apteki. Zwłaszcza bardzo częstym gościem był naczelny aptekarz obozowy, który dla swej prywatnej apteki na Śląsku zabierał całe masy leków.

Pewnego dnia zjawił się w aptece lekarz obozowy *SS-untersturmführer Werner Rohde* i przez dłuższy czas zatrzymał się przed półką z napisem *Aphrodisiaca*. I gdy mu zwróciłem uwagę, że środki te są bez wartości, on jakby zażenowany, że szuka dla siebie tych środków, odpowiedział, iż z polecenia sądu ma być przeprowadzone badanie nasienia więźnia Niemca w procesie alimentacyjnym i że dr *Dering* ma zamiar przeprowadzić punkcję jąder. Gdy mu oświadczyłem, że punkcja nie pozwoli na rozstrzygnięcie, czy ma się do czynienia z nekrospermią, ponieważ w punktacie z jąder plemniki są nieruchome i ruchomość nabywają dopiero po zetknięciu się z wydzieliną gruczołu krokowego, *Rohde* zapytał mnie, skąd jako aptekarz wiem o tych sprawach. Odpowiedziałem mu, że nie jestem aptekarzem, lecz medykiem sądowym. Po przeprowadzeniu badania nasienia oddałem mu do podpisania sporządzony dla niego protokół badania oraz likwidację kosztów badania. Być może, ta okoliczność była powodem, że często zwracał się on do mnie w różnych podobnych sprawach, których sam nie wiedział, jak je załatwić i darzył mnie odtąd sympatią. Zauważyli to koledzy i na ich prośbę zwróciłem się do niego w kilku przypadkach o zwolnienie kogoś z karnej kompanii; udało się to z pomyślnym wynikiem.

W jakiś czas później zwrócił się on do mnie o przeprowadzenie oględzin zwłok, przyznając, że poza dwukrotnie w czasie studiów uniwersyteckich przeprowadzonymi oględzinami zwłok nie zna się na tym, a nie chce źle zapisać się wobec *Politische Abteilung*. Chodziło tu o ofiary ucieczki z obozu Gruzinów. Już od dłuższego czasu zwróciła naszą uwagę obecność przy bloku 27, w którym mieścił się *Erkennungsdienst*, mężczyzn w uniformach *SS* o wybitnie ciemnej cerze oraz czarnych, krętych włosach. Z czasem dowiedzieliśmy się, że byli to Gruzini. W dawnym krematorium leżały osobno zwłoki znanego esesmana (nazwiska już nie pamiętam) oraz psa wilczura, a osobno zwłoki trzech Gruzinów. Esesman miał przestrzał klatki piersiowej, Gruzini zaś obok powierzchownych ran postrzałowych na kończynach i otarć naskórka, charakterystycznych dla pazurów psa, postrzały głowy z ranami wlotowymi pod brodą, okazującymi wyraźne osmolenie brzegów ran. Wobec tego wyniku oględzin stanąłem na stanowisku, że w walce, w której zginął esesman, Gruzini po doznaniu lekkich obrażeń kończyn, nie chcąc się dostać do niewoli i chcąc uniknąć tortur, jakie im groziły w razie dostania się do rąk esesmanów, popełnili samobójstwo.

Jesienią 1944 roku *standortarzt* dr *Edward Wirths* wezwał dra *Fejkla*, aby wraz ze mną zgłosił się do niego. Przyszedłszy do niego dowiedzieliśmy się, że wraca z kuracji w Wiesbadenie i że była tam poruszana sprawa zachowania się po śmierci serca. Wobec rozbieżności zapatrywań, czy śmierć następuje w fazie skurczu, czy rozkurczu serca oraz że nie wiadomo, jak po śmierci zachowują się zastawki serca, dla wyjaśnienia tych spraw zostaje wydane zarządzenie, aby z chwilą śmierci chorego więźnia oddziały szpitalne zawiadomiły *leichenträgerów*, którzy zabierają zwłoki, celem dokonania zaraz sekcji zwłok. Badania te przeprowadzałem przy asyście kolegi *Tabeau* (pseudonim *Wesołowski*). Wobec obowiązujących u nas przepisów prawnych, że wolno dokonywać sekcji zwłok dopiero po upływie 6 godzin od chwili zgonu, w protokole sekcyjnym zaś należy zaznaczyć, dlaczego sekcja była wcześniej dokonywana oraz czy były już zaznaczone pewne znamiona śmierci, poznanie i do tego tak wczesnych zmian pośmiertnych, mających duże praktyczne znaczenie w medycynie sądowej, wzbudziły moje zainteresowanie, a wyniki dokonanych wówczas sekcji ogłosiłem w Polskim Tygodniku Lekarskim w 1946 roku w numerach 25 i 26 pt. „O zmianach pośmiertnych".

W lecie 1944 roku lekarze *SS* wypytywali mnie o dawki śmiertelne różnych substancji oraz o jakiś środek, który podany w zamaskowaniu, tak by go pijący nie poznał, pozwoliłby otrzymać zeznania bez świadomości danej osoby. Oczywiście otrzymali oni ode mnie odpowiedź, że jest mi nieznany taki środek. Nazajutrz naczelny aptekarz obozu w Oświęcimiu *sturmbannführer* dr *Capesius* wraz z lekarzami obozowymi, esesmanami dr *Bruno Weberem* i *Rhodem* wezwali do pokoju lekarza obozowego, znajdującego się w bloku 21, kilku więźniów i podali im do wypicia płyn o zapachu i kolorze kawy. Po wypiciu tej „kawy" więźniowie opuścili pokój lekarza obozowego w stanie silnego podniecenia maniakalnego. Następnego dnia powtórzyło się to samo, przy czym więźniów, na których dokonano eksperymentów, musiano już wynieść na noszach z pokoju lekarza obozowego, a dwóch spośród tych więźniów zmarło w ciągu nocy. Gdy nazajutrz przy rannym raporcie zameldowano lekarzowi obozowemu o ich śmierci, ten wybuchnął ironicznym śmiechem, mówiąc, że jednak mieli ładną śmierć. Później dowiedzieliśmy się, że były to eksperymenty ze środkiem narkotycznym — meskaliną.

Wobec zbliżającego się frontu już od wczesnych miesięcy letnich 1944 roku wysyłano coraz częściej większe i mniejsze grupy więźniów do innych obozów. Ostatni transport ewakuacyjny więźniów z obozu oświęcimskiego nastąpił w dniu zajęcia Krakowa przez armię radziecką, tj. 18 stycznia 1945 roku. Z transportem tym opuściłem obóz oświęcimski.

W długich kolumnach po pięciu więźniów w rzędzie ruszyliśmy przy kilkustopniowym mrozie przez Jastrzębie-Zdrój i Pszczynę do Wodzisławia. Jeśli ktoś osłabiony nie mógł nadążyć w marszu, bywał zastrzelony. Już w pierwszym dniu marszu zostało co najmniej 80 kobiet i 30 mężczyzn rozstrzelanych przez esesowców. W Wodzisławiu załadowano nas na otwarte węglarki i wieziono przez Bogumin, Przerów, Wiedeń do Mauthausen. Więźniowie,

wyczerpani kilkudniowym marszem, przemarznięci noclegami w śniegu lub w szopach oraz jazdą na otwartych węglarkach przez trzy doby przy kilkunastostopniowym mrozie, w dużym odsetku umierali z powodu niskiej temperatury. Wielu więźniów przybyło w stanie agonalnym lub z objawami psychotycznymi do Mauthausen wieczorem w dniu 25 stycznia 1945 roku. I nic dziwnego; wszak w zimie taki transport znosi jedynie węgiel, cegły itp., a już ziemniaki i buraki itp. przesyła się w zamkniętych wagonach. Także marsz ze stacji kolejowej przez miasteczko Mauthausen pod górę do obozu dał się wielu we znaki.

W obozie nastąpiło oddanie osobistych rzeczy, kąpiel pod tuszem, po kąpieli bieg nago po śniegu do odległego o kilkadziesiąt metrów baraku i siedzenie przez noc na gołej ziemi w pozycji rozkracznej, mając między nogami współwięźnia, a ten w takiej samej pozycji następnego współwięźnia itd. Połączony z tym ból nie powtórzył się na szczęście następnej nocy, ponieważ organizacja obozowa (*Franciszek Poprawka, Kazimierz Rusinek, Franciszek Sokół, Władysław Czapliński*), jak się później dowiedzieliśmy, przeniosła mnie do obozu chorych. Tu przynajmniej miałem możność spania we dwóch na jednej pryczy. Dopiero znacznie później, po śmierci dra *Gromkowskiego,* otrzymałem nawet jego pryczę i szafkę.

Warunki obozowe w Mauthausen były o wiele gorsze niż w obozie oświęcimskim. Toteż niejednokrotnie po przyjeździe mówiliśmy, że Oświęcim był Grand Hotel wobec Mauthausen. Wprawdzie do jesieni 1942 roku warunki istniejące w obozie oświęcimskim nie różniły się od istniejących w obozie w Mauthausen, to później wobec przede wszystkim stosowania na niesłychaną skalę zagłady przywożonych do obozu w Oświęcimiu Żydów z całej Europy, możliwości „organizowania" zrabowanego przez esesmanów z transportów żydowskich wszelkiego rodzaju dóbr materialnych oraz otrzymywania od rodzin w tym czasie paczek żywnościowych warunki życiowe Aryjczyków wybitnie się poprawiły.

Natomiast wobec coraz częstszych ewakuacyjnych transportów więźniów z innych obozów, które Niemcy zdążyli opróżnić przed nadejściem sił alianckich i w miarę kurczenia się frontu armii hitlerowskiej pogarszały się warunki bytowe w obozie w Mauthausen i jego podobozach. Coraz bardziej brak było miejsca tak, że na pryczy spało po trzech więźniów; pogarszało się jedzenie pod względem ilościowym i jakościowym, ograniczone jedynie do wodnistej zupy z brukwią i nie obieranymi kartoflami tak, że między zębami zgrzytał piasek. Toteż nic dziwnego, że całe gromady wygłodniałych „muzułmanów" grzebały w śmietnikach, aby zjeść znalezione tam kawałki spleśniałego chleba, liście kapusty lub zgniłej cebuli i kości wyrzucone z kuchni.

Co więcej, w Mauthausen po raz pierwszy spotkałem się z przypadkami, dla których musiałem dopiero znaleźć właściwą nazwę, a mianowicie nekrofagii. Nie były to przypadki kanibalizmu, jak je we wspomnieniach nieraz się nazywa, ponieważ za kanibalizm uważa się zabicie człowieka i następowe jego zjedzenie. Tutaj w siennikach więźniów znajdowano kawałki mięśni i narządów wykrawanych przez zgłodniałych ze zwłok zmarłych z najrozmaitszych, ale nieznanych przyczyn, aby je następnie spożyć.

Wobec braku koniecznej ilości pożywienia zorganizowano pomoc, z której i ja korzystałem, otrzymując porcje żywności pozostałe po zmarłych oraz żywność z paczek, które już nie zastały żywych adresatów.

Wprawdzie coraz częstsze transporty więźniów z innych obozów koncentracyjnych do obozu w Mauthausen pogarszały warunki bytowe tutejszych więźniów z uwagi na coraz mniejszą ilość pożywienia i coraz mniej miejsca na pryczach, to z drugiej strony uzyskiwane od przybyłych nowych więźniów wiadomości napawały nas nadzieją i podtrzymywały na duchu, że zbliża się koniec wojny, napawały wiarą w wyzwolenie i dawały otuchę do wytrwania.

Za zbliżającym się końcem wojny przemawiały także takie fakty zaobserwowane przez nas, jak mobilizowanie ochotników na front, ubranie ich w mundury byłego *Afrikakorps* i musztra w obozie przed wymarszem na front. Także przybycie w kwietniu 1945 roku karetek Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i wywiezienie więźniów Francuzów i Belgów do Szwajcarii przemawiały za tym. Wreszcie coraz częściej przeprowadzane przez aliantów dywanowe naloty bombowców, podczas których esesmani opuszczali wieżyczki wartownicze i kryli się do przygotowanych obok schronów przeciwlotniczych.

W dniu 2 maja 1945 roku objęła władzę nad obozem w miejsce esesmanów wiedeńska policja. W dniu 5 maja ukazały się pierwsze czołgi amerykańskie. Zobaczywszy je, zwróciłem się ku nim wraz z ledwie trzymającymi się na nogach „muzułmanami". Wkrótce znikła policja i otwarły się bramy obozu. Nastąpił jeszcze dzień porachunku z „kapami". Już nazajutrz ukonstytuował się Komitet Polski, który wszedł w skład Międzynarodowego Komitetu i wydał Polski Biuletyn Prasowy. Przewodniczącym został dr *Józef Putek.* Komitet ten zajął się opieką nad więźniami Polakami aż do chwili wyjazdu oraz pracą nad przygotowaniem ich wyjazdu. Zdrowi zaraz po wyzwoleniu udawali się albo na Zachód, albo do kraju. Mimo licznych zachęt wyjazdu na Zachód odmówiłem, parafrazując: *„extra Cracoviam non est vita et si est vita, non est ita".* Stan zdrowia licznych więźniów nie pozwalał na wyjazd, ponieważ mimo ostrzeżeń lekarzy zgłodniali zjadali nie tylko dostarczone przez Amerykanów, lecz także uzyskane u *bauerów* jedzenie i ciężko chorowali, a niektórzy nawet i zmarli. Toteż nic dziwnego, że wkrótce władze amerykańskie tylko wyjątkowo wydawały przepustki, pozwalając na kilkugodzinne opuszczenie obozu. Wśród tych szczęśliwców, którzy otrzymywali przepustki, znalazłem się i ja, co pozwoliło mi

na wspaniałe wysokogórskie wycieczki w sąsiednie Alpy i nad modry Dunaj.

W czasie jednej z tych wycieczek spotkałem się z *bauerem* znanym mi jeszcze z czasów mej służby wojskowej. W roku 1907, będąc na trzecim roku medycyny, odbyłem połowę jednorocznej służby wojskowej w armii austro-węgierskiej, w 14 pułku piechoty w Bregencji. Pułk ten rekrutował się z Górnej Austrii. Wśród rozmowy, wykorzystując znajomość, pytałem się *bauera*, gdzie może znajdować się komendant obozu, *Ziereis*. Po otrzymaniu wiadomości został wysłany patrol wojskowy złożony z Amerykanów i Niemców, który rzeczywiście *Ziereisa* tam spotkał. Gdy na hasło patrolu „ręce do góry!" począł uciekać, patrol oddał strzały i *Ziereisa*, lekko rannego sprowadził do podobozu Gusen, gdzie został poddany przesłuchiwaniu, po czym powieszony. Protokół tego przesłuchania, zawierający wiele danych odnoszących się do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*RSHA*) i innych obozów, oddałem po powrocie do Krakowa sędziemu dr *Sehnowi*, przewodniczącemu Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, który miał go oddać wiceministrowi *Kazimierzowi Rusinkowi*.

Duża liczba chorych niezdolnych do transportu i potrzebujących opieki lekarskiej wśród pozostałych więźniów była powodem, dla którego zostałem w obozie i stosownie do życzenia przewodniczącego Komitetu Polskiego, dr *Józefa Putka* wyjechałem z nim autem do kraju dopiero z początkiem czerwca. W podróży tej przez Czechy otrzymywaliśmy gościnne przyjęcie i noclegi, zatrzymując się tylko nieco dłużej w Pradze, gdzie była prawdziwa wędrówka narodów z południa na północ i odwrotnie oraz ze wschodu na zachód i odwrotnie, a mianowicie wysiedleńców hitlerowskich. Wjazd do Polski nastąpił w Cieszynie. W czasie dalszej podróży do Krakowa pożegnał nas *Putek* we wsi rodzinnej Chocznia przed Wadowicami. Następny nocleg mieliśmy w Kalwarii Zebrzydowskiej, a przyjazd do Krakowa nastąpił w godzinach południowych w dniu 13 czerwca 1945 roku. Zatrzymaliśmy się na ulicy Kopernika 17 przed Szpitalem św. Łazarza, aby oddać aptece tego szpitala leki i materiał sanitarny, zabrane na drogę z obozu. Wystarczyło to, aby zjawili się z Zakładu Medycyny Sądowej i przywitali nas docent *Bolesław Popielski* i dr *Maria Byrdy*, a także zjawił się dziennikarz krakowskiego radia (nazwiska już nie pamiętam) z prośbą — aby mnie nie męczyć — o odpowiedź na jedno tylko pytanie, a mianowicie, które z moich przeżyć obozowych uważam za najsilniejsze. Odpowiedź moja do radia znajduje się w zeszycie piątym „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (str. 139).

Moja działalność jako medyka sądowego w związku z przebytą okupacją hitlerowską mimo odzyskanej wolności i wyzwolenia Ojczyzny nie skończyła się, ale spotęgowała.

I tak, wobec odpadnięcia zakładów medycyny sądowej we Lwowie i w Wilnie, zniszczenia Zakładu Medycyny Sądowej w Warszawie i osierocenia przez śmierć kierownika Zakładu Medycyny Sądowej w Poznaniu spadł obowiązek i ciężar pracy sądowo-lekarskiej dla całego kraju na barki kierowanego przeze mnie krakowskiego Zakładu Medycyny Sądowej, na domiar ograbionego przez okupanta z aparatury naukowej.

Ponieważ wojna i okupacja hitlerowska zebrała straszne żniwo wśród polskich pracowników naukowych, słusznie nasze centralne władze państwowe powołały celem uzupełnienia braków Centralną Komisję Kwalifikacyjną dla Pracowników Nauki, do prezydium której zostałem powołany i przez kilka lat więcej czasu spędziłem w Warszawie niż w Krakowie. Wreszcie centralne władze wymiaru sprawiedliwości oraz Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, do której zostałem powołany, wyznaczyły mnie jako eksperta sądowego w pracach badawczo-dochodzeniowych oraz przed Najwyższym Trybunałem Narodowym.

Idąc chronologicznie pierwszy raz po powrocie z obozu do Krakowa brałem udział w ba-

Ryc. 1. Członkowie komisji: od lewej prokurator *Edward Pęchalski*, wiceprezes Sądu Apelacyjnego dr *Józef Różański*, prokurator apelacyjny dr *Mieczysław Güntner*, prezes Sądu Apelacyjnego *Karol Gniewosz*, dr med. *Henryk Kaczyński*, prof. dr med. *Jan Olbrycht*, dr med. *Jan Sobik*, prezes Sądu Okręgowego *Jan Turowicz*, osoba o nazwisku nie ustalonym, przewodniczący Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie dr *Jan Sehn*, prokurator Sądu Okręgowego dr *Mieczysław Szewczyk*, wiceprokurator dr *Wincenty Jarosiński*

Ryc. 2. Rozkopanie grobów i przygotowanie wydobytych zwłok do oględzin sądowo-lekarskich

Ryc. 3. Obducent dr *Henryk Kaczyński*, laborant *Franciszek Sikorski*, prof. dr med. *Jan Olbrycht*, prokurator Sądu Okręgowego dr *Mieczysław Szewczyk*, prezes Sądu Apelacyjnego *Karol Gniewosz*, wiceprezes Sądu Apelacyjnego dr *Józef Różański*, prokurator Sądu Apelacyjnego dr *Mieczysław Güntner*

daniu zbrodni hitlerowskiej w Krzesławicach pod Krakowem od 15 października do 6 grudnia 1945 roku, gdzie — jak już o tym poprzednio wspomniałem — w tym starym poaustriackim, dość ukrytym forcie hitlerowcy dokonywali masowych morderstw. Badania te przeprowadzał liczny zespół sędziów i prokuratorów delegowanych do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce oraz jako eksperci ja z asystentami Zakładu Medycyny Sądowej dr *Kusiakiem, Kaczyńskim, Sobikiem*, tudzież personelem pomocniczym tego Zakładu (ryc. 1, 2, 3, 4). W tym czasie przekopano systematycznie cały teren fortu, aby nie pominąć jakiegoś grobu, i wykryto 29 grobów

Ryc. 4. Prof. dr med. *Jan Olbrycht*, dr med. *Marian Kusiak*, kobieta rozpoznająca zwłoki, laborant Zakładu Medycyny Sądowej UJ, *Franciszek Sikorski*

zbiorowych. Groby mieściły w sobie niejednakowe liczby zwłok; najmniej w jednym grobie dwoje zwłok, najwięcej w jednym grobie — 52 zwłok. Łącznie w 29 grobach znaleziono 440 zwłok, w tym 18 zwłok kobiet. Z uwagi na środowisko, w którym zwłoki przebywały (niektóre groby z ziemią bardzo wilgotną, inne z piaszczystą) oraz z uwagi na mniej lub więcej długoletni upływ czasu przebywania zwłok w danym środowisku zwłoki okazywały mniej lub więcej zaznaczone zmiany pośmiertne, jak tłuszczowosk lub strupieszenie; większość ich okazywała zeszkielecenie. Poza 43 zwłokami, które miały nieuszkodzone czaszki, prawie wszystkie inne miały uszkodzenia czaszki przeważnie charakterystyczne dla postrzałów w tył głowy.

Każde zwłoki otrzymywały przed wydobyciem blaszkę z numerem. Po wydobyciu poddawano zwłoki szczegółowym oględzinom: zbierano równocześnie znajdujące się przy zwłokach medaliki, dokumenty osobiste, listy, pisma itp. oraz wycinki z odzieży, sztuczne mostki i zęby, słowem — wszystko, co mogło służyć do rozpoznania zwłok. Przedmioty te umieszczano w oddzielnych torbach, posiadających blaszkę z identycznym numerem, co zwłoki celem przeprowadzenia dalszych ewentualnych specjalnych badań laboratoryjnych. W toku oględzin i sekcji zwłok dokonywano pomiarów kości długich w celu określenia wzrostu ofiar, ustalano przypuszczalny ich wiek, poszukiwano za bliznami pooperacyjnymi i kostnymi, zachowaniem się uzębienia, brakami w uzębieniu i za innymi charakterystycznymi cechami rozpoznawczymi.

Gdy prasa doniosła o masowych grobach w Krzesławicach, zgłosiły się rodziny, które przypuszczały lub miały pewność na podstawie otrzymanych „grypsów", że wśród znalezionych ofiar znajdują się ich najbliżsi. Rodziny zdecydowanie rozpoznały w 24 przypadkach zwłoki na podstawie ich oględzin, a w 67 przypadkach na podstawie oględzin wycinków odzieży i przedmiotów znalezionych przy zwłokach. W rezultacie rodziny rozpoznały w ten sposób 91 zwłok, natomiast 13 zwłok zidentyfikowano na podstawie dokumentów osobistych i różnych pism znalezionych przy zwłokach, czyli łącznie udało się zidentyfikować 104 zwłoki.

W następnym roku, tj. 29 i 30 listopada 1946 roku brałem udział w podobnym badaniu ofiar szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie (zob. zeszyt siódmy „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", str. 68—78; por. ryc. 5).

Pierwszy raz wydawałem opinię przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Warszawie w procesie przeciw gubernatorowi dystryktu warszawskiego, *Fischerowi*.

W Krakowie wydawałem opinię przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w dniu 10 grudnia 1947 roku w procesie przeciw załodze oświęcimskiej (w zeszycie drugim „Przeglądu Lekarskiego — Oświecim", str. 37—49).

W dniu 20 maja 1948 roku wydawałem opinię przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie w procesie przeciwko *Józefowi Bühlerowi*, byłemu szefowi w tzw. rządzie Generalnego Gubernatorstwa (w zeszycie trzecim, str. 103—115).

Wreszcie czyniąc zadość przekazanemu mi przez prof. *Jerzego Sawickiego* życzeniu władz centralnych oddałem mu maszynopis (w języku polskim), który w kilka lat później w języku francuskim ukazał się w oficjalnym organie

Międzynarodowej Akademii Medycyny Sądowej i Społecznej, tj. w *Acta Medicinae Legalis et Socialis* (1953, nr 1—2) pt. „*Observations critiques médico-légales sur la publication «Amtliches Material zum Massenmord von Katyń»*".

*
* *

Ukończywszy pisanie wspomnień z mych przeżyć w związku z okupacją hitlerowską, przychodzą mi po ich przeczytaniu pewne refleksje.

W końcu serdeczne składam dzięki prof. *Boguszowi*, że przekonał mnie o potrzebie napisania tych wspomnień. Równocześnie jednak przepraszam, że nie spełniłem danej obietnicy i nie pokusiłem się o wydobycie pełnej prawdy o człowieku rzuconym w nieludzkie warunki egzystencji. Nie jest to łatwe zadanie i wymaga z uwagi na różne liczne i skomplikowane czynniki, działające osobno lub we współzależnym powiązaniu z sobą (głód, egoizm, bicie, nędza, wiara, nieludzkie warunki bytowania, krańcowe wyczerpanie, żądza władzy, strach

Ryc. 5. Grób na terenie szpitala kobierzyńskiego, rozkopany w celu ekshumacji zwłok. Widoczne są laski inwalidzkie pomordowanych

Przede wszystkim przekonałem się o słuszności twierdzenia *Wergilego*, że *labor improbus omnia vincit* oraz że zwycięskie moje wyjście z różnych ówczesnych sytuacji życiowych, tudzież możliwość dokonania tak licznych powierzonych mi prac zawdzięczam również ofiarnej pracy moich współpracowników w Zakładzie Medycyny Sądowej oraz zmarłemu sędziemu dla spraw szczególnego znaczenia, dr *Janowi Sehnowi*, przewodniczącemu Krakowskiej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, co na zawsze zatrzymam we wdzięcznej pamięci.

przed utratą stanowiska, instynkt samozachowawczy, żądza przetrwania itd., itd.) innej miary pióra. Bez dokładnego zaś rozeznania się w tych najrozmaitszych czynnikach nie można wytworzyć sobie jasnego i prawdziwego obrazu. Osobiście, jako lekarzowi, a więc mającemu przyrodnicze nastawienie, wydaje mi się, że wśród tych różnorakich czynników najważniejszą rolę odgrywa jeden z najsilniejszych instynktów, a mianowicie instynkt samozachowawczy. Jednak na ten interesujący, ale trudny temat niech się wypowiedzą kompetentni specjaliści z odnośnych dyscyplin.

BOLESŁAW POPIELSKI Wrocław

Zakład Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego podczas okupacji hitlerowskiej

Katedra Medycyny Sądowej w Krakowie powstała w roku 1804, w którym do programu studiów Wydziału Lekarskiego Akademii Krakowskiej po raz pierwszy wprowadzono medycynę sądową jako odrębny przedmiot. Dziejom tej katedry w *Alma Mater Jagellonica* poświęcił odrębne studium *Marian Kusiak* [1].

Zakład Medycyny Sądowej UJ był przed wojną nowocześnie urządzony i wyposażony we wszelkie przyrządy naukowe oraz bibliotekę, co pozwalało na prowadzenie prac z zakresu medycyny sądowej i działów pogranicznych. Stan osobowy Zakładu w dniu 1 września 1939 roku był następujący: prof. dr *Jan Stanisław Olbrycht* (kierownik Zakładu), dr med. *Tadeusz Pragłowski* i dr med. *Marian Wodziński* (starsi asystenci), dr med. *Maria Byrdy* (młodszy asystent), *Stanisława Zięcikówna* (sekretarka), *Ferdynand Płonka*, *Jan Fitt* i *Franciszek Sikorski* (laboranci).

Zakład ten był czynny cały okres okupacji niemieckiej, w zmienionych oczywiście warunkach, nie jako zakład uniwersytecki, lecz jako naukowa instytucja do wykonywania badań z dziedziny praktyki sądowo-lekarskiej, przede wszystkim sekcji zwłok sądowych i sanitarno-policyjnych (jako prosektura miejska). Ponieważ początkowo zarówno Wydział Sprawiedliwości, jak też Oświaty i Spraw Wewnętrznych Generalnego Gubernatorstwa nie przyjęły Zakładu na swój etat, pracownicy Zakładu w pierwszych kilku miesiącach nie otrzymywali poborów, lecz jedynie wynagrodzenie wypłacane przez kasy sądowe za wykonywane sekcje zwłok i inne badania sądowo-lekarskie stanowiło w tym czasie wyłączne, zresztą bardzo skromne dochody pracowników, które rozdzielano równomiernie między wszystkich. Kierownikiem Zakładu był nadal prof. dr *Jan St. Olbrycht*, który w pamiętnym dniu 6 listopada 1939 roku po aresztowaniu nie został wywieziony wraz z innymi profesorami UJ do obozu koncentracyjnego, lecz po zwolnieniu pozostawiony został do dyspozycji władz niemieckich jako znawca sądowo-lekarski.

W kwietniu 1940 roku kierownictwo Zakładu objął mianowany przez okupantów Niemiec 30-letni dr med. *Werner Beck*, asystent Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu, wyznaczony na to stanowisko przez kierownika tego Zakładu, prof. *Buhtza*. Zakład krakowski otrzymał oficjalną nazwę *Staatliches Institut für gerichtliche Medizin* i podporządkowany został wydziałowi zdrowia rządu Generalnego Gubernatorstwa (*Abteilung Gesundheitswesen*) [2]. Do Zakładu-Instytutu przyłączono także Zakład Chemii Lekarskiej UJ. Stan osobowy Zakładu nie zmienił się w tym czasie w porównaniu ze stanem z dnia 1 września 1939 roku. Prof. *Olbrycht* pozostawał nadal w Zakładzie w charakterze kierownika oddziału sądowo-lekarskiego; kierownikiem oddziału chemii i toksykologii sądowej, utworzonego ze wspomnianego Zakładu Chemii Lekarskiej UJ, był dr *Jan Zygmunt Robel* [3].

Niemiecki kierownik dr *W. Beck* posiadał duże ambicje i chorobliwą wprost żądzę wpływów i władzy. Otrzymał (bądź sam sobie nadał) tytuł dyrektora instytutu i kierownika służby sądowo-lekarskiej w Generalnym Gubernatorstwie, z siedzibą w Instytucie Medycyny Sądowej w Krakowie jako centrali, z filiami w Warszawie, a po zajęciu Małopolski Wschodniej przez Niemców w roku 1941 również we Lwowie. Obie filie, warszawska i lwowska, podporządkowane centrali krakowskiej, utworzone zostały z uniwersyteckich zakładów medycyny sądowej w tych miastach. Personel tych zakładów pozostał zasadniczo ten sam, jak w dniu 1 września 1939 roku. Kierownikiem Zakładu Medycyny Sądowej w Warszawie był nadal prof. dr *Wiktor Grzywo-Dąbrowski;* we Lwowie obowiązki kierownika pełnił doc. dr *Bolesław Popielski* do października 1943 roku, potem adiunkt dr *Adam Kozłowski*. Kierownik Zakładu Medycyny Sądowej we Lwowie, prof. dr *Włodzimierz Sieradzki*, profesor zwyczajny medycyny sądowej, został w wieku lat 74 rozstrzelany pamiętnej nocy 4 lipca 1941 roku razem z wieloma innymi profesorami Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i ich rodzinami przez specjalny oddział gestapo, bez sądu, w kilka godzin po aresztowaniu [4].

Resztki rozgrabionego przez okupanta Instytutu Ekspertyz Sądowych Ministerstwa Sprawiedliwości w Warszawie, w szczególności działu chemicznego, zostały sprowadzone do Krakowa i przyłączone do instytutu krakowskiego.

---

[1] *M. Kusiak:* Dzieje Katedry Medycyny Sądowej. W: Sześćsetlecie medycyny krakowskiej. Tom II: Historia katedr. W sześćsetlecie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1964, s. 313—339.

[2] W dalszym ciągu tej pracy nazwa ta będzie określana krótko słowem: Instytut.

[3] Zob. też: *S. Kłodziński*: Rola trucizn jako *„ultimum refugium"* w obozie w Oświęcimiu. Dr *Jan Zygmunt Robel*. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 122—124.

[4] Zob. *Z. Albert*: Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 roku. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 58—77.

W końcu roku 1940 pracownicy Zakładu otrzymali dopiero pierwszą pensję, wypłaconą przez wydział zdrowia w wysokości ustalonej dla urzędników państwowych Polaków. Największym ciosem dla polskiego personelu było aresztowanie prof. *Olbrychta* w końcu czerwca 1942 roku. Prof. *Olbrycht* był moralnym opiekunem wszystkich Polaków zatrudnionych w Zakładzie; sama jego obecność w Zakładzie i autorytet dawały personelowi polskiemu wrażenie, że pracują nadal w swojej polskiej placówce, pod polskim kierownictwem, a okupacyjny personel niemiecki hamowała w pewnym stopniu w jaskrawych wybrykach znęcania. Dla ambitnego i żądnego władzy dr *W. Becka* obecność w Zakładzie i autorytet prof. *Olbrychta* niewątpliwie były niewygodne. W czerwcu 1942 roku, jak wspomniano, aresztowany został prof. *Olbrycht*. Po aresztowaniu prof. *Olbrycht* był więziony początkowo przez kilka tygodni w więzieniu przy ul. Montelupich w Krakowie, potem został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu; przebywał w nim aż do stycznia 1945 roku, po czym ewakuowany został w straszliwych warunkach do obozu koncentracyjnego w Mauthausen, gdzie przetrwał aż do wyzwolenia w maju 1945 roku. Swą okupacyjną epopeę prof. *Olbrycht* opisuje we wspomnieniach zamieszczonych w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

Z personelu Zakładu ubyli w czasie okupacji hitlerowskiej laborant *Jan Fitt* (zmarł w roku 1940) i laborant *Ferdynand Płonka* (zmarł w roku 1944).

W latach wojny przystąpili do pracy w Zakładzie w grudniu 1942 roku *Jan Sobik*, *Jan Walczyński*, *Bolesław Podgórski*, studenci medycyny, w charakterze asystentów. W listopadzie 1943 roku został tutaj przeniesiony z „filii" lwowskiej doc. dr med. *Bolesław Popielski*.

Jesienią 1943 roku rozszalała we Lwowie akcja terrorystyczna nacjonalistów ukraińskich, skierowana przede wszystkim przeciwko członkom Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W końcu września zastrzelono skrytobójczo z wyroku terrorystycznej organizacji profesora histologii UJK, prof. dr *Bolesława Jałowego*, którego łączyła z doc. *Popielskim* serdeczna przyjaźń i współpraca. Zmuszony terrorem do wyjazdu ze Lwowa doc. *Popielski* zwrócił się do dr *Becka* z prośbą o zwolnienie go z pracy w filii lwowskiej Instytutu; dr *Beck* kategorycznie odmówił zwolnienia, natomiast przydzielił doc. *Popielskiego* do centrali w Krakowie.

W dalszym ciągu przybyli następujący studenci medycyny w charakterze asystentów: *Stanisław Doleżal* (w grudniu 1943 roku), *Jerzy Uhryn* i *Halina Malkowska* (w marcu 1944 roku), *Jerzy Luberda*, *Jerzy Pędziwiatr* i *Jerzy Kwapiński* po powstaniu warszawskim (w listopadzie 1944 roku).

Wymieniono jedynie osoby z obsady lekarskiej, pomijając wykaz licznych przyjętych pracowników administracji i niższych funkcjonariuszy, tak narodowości polskiej, jak i niemieckiej. Praca w Instytucie dawała Polakom dobre dokumenty (*Ausweis*), które chroniły zwłaszcza młodzież od wywiezienia na roboty do Rzeszy. Dla Niemców praca w Instytucie stwarzała na pewno doskonałe możliwości uchylenia się od służby frontowej.

W toku swego urzędowania dr *Beck* rozszerzył stopniowo dotychczasowe pomieszczenia Zakładu Medycyny Sądowej (mieszczące się w gmachu *Collegium Medicum*, przy ul. Grzegórzeckiej 16) o inne zakłady medycyny teoretycznej mieszczące się w tym gmachu (Zakłady Farmakologii, Fizjologii i Anatomii Topograficznej oraz część Zakładu Anatomii Patologicznej). Zakład Anatomii Patologicznej jako prosektura szpitalna (*Prosektur der Staatlichen Krankenanstalten*) nie podlegał w pierwszym okresie dr *Beckowi*. Kierownikiem tego zakładu — podobnie jak przed wojną — była początkowo doc. dr *Janina Kowalczykowa*. W początkach stycznia 1943 roku aresztowano ją i więziono w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Dopiero po aresztowaniu doc. *Kowalczykowej* dr *Beck* objął również kierownictwo Zakładu Anatomii Patologicznej. Zakład ten przez cały czas okupacji zachował jednak swoją odrębność [5] i — w przeciwieństwie do Zakładu Medycyny Sądowej — uniknął większych przeróbek lokalowych. Stale powiększał się personel niemiecki Instytutu, przybywały sekretarki, stenotypistki, asystentki techniczne i kierownicy biur.

W połowie roku 1942 został zorganizowany dział kryminalno-techniczny, obsadzony wyłącznie przez urzędników policji niemieckiej. Instytut uzyskał nową, oficjalną nazwę: *Staatliches Institut für gerichtliche Medizin und Kriminalistik*. Po aresztowaniu prof. *Olbrychta* odpowiedzialny dział sądowo-lekarskich badań śladów krwawych i grup krwi powierzył dr *Beck* asystentce technicznej *Izie Rosig*, która nie miała ani teoretycznego, ani praktycznego przygotowania do tej pracy, aczkolwiek mogła zapoznać się z badaniami tego rodzaju u prof. *Olbrychta* jeszcze przed jego uwięzieniem; nie rozumiała ona nawet działania mikrospektroskopu i nie umiała się nim posługiwać. Można sobie wyobrazić, jaka była obiektywność badań przez nią prowadzonych. Niestety, wraz z aktami sekretariatu niemieckiego wywieziono również protokoły badań przeprowadzonych w tym czasie przez „kierowniczkę" działu biologicznego, asystentkę techniczną *Izę Rosig*.

Mieszkający w gmachu *Collegium Medicum* laboranci i woźni zlikwidowanych zakładów teoretycznych, przyłączonych do Instytutu przez dr *Becka*, przyjęci zostali przez niego do Instytutu w charakterze portierów, woźnych, stróżów, sprzątaczy i szoferów. Personel Zakładu, liczący w dniu 1 września 1939 roku 9 osób, powiększył się w czasie okupacji do 52 osób. To znaczne powiększenie personelu, nie spowodowane istotną potrzebą, charakteryzuje przerost administracji, jakim cechowała się gospodarka okupanta. W przebudowanych pomieszczeniach Zakładu Fizjologii urządzono pracownię fotograficzną, wyposażoną nowocześnie

[5] *J. Kowalczykowa:* Historia Katedry Anatomii Patologicznej w Krakowie. W: Sześćsetlecie medycyny krakowskiej..., jw., t. II, s. 415—433.

w wartościowe aparaty fotograficzne i potrzebne urządzenia dodatkowe. Salę wykładową Zakładu Fizjologii przebudowano na bibliotekę, w której zebrano i scentralizowano wszystkie książki z bibliotek Zakładu Medycyny Sądowej, Zakładu Fizjologii i Zakładu Farmakologii. Do skatalogowania i nadzoru nad biblioteką przyjęty został germanista, profesor gimnazjum mgr *Janusz Korosadowicz*, który pełnił równocześnie obowiązki tłumacza. Bibliotekę uzupełniano nowo nabywanymi książkami niemieckimi i prenumeratą naukowych czasopism niemieckich, którą kontynuowano; była to jedna z nielicznych pozytywnych stron kierownictwa niemieckiego. Niezależnie od tego zaopatrzono również bibliotekę dość obficie w materiał propagandowy narodowego socjalizmu, w szczególności w dzieła dotyczące zagadnień rasy, swoistej eugeniki itp.

Pracy bieżącej było w Zakładzie dużo. Zwiększona warunkami wojennymi i okupacyjnymi śmiertelność (nieszczęśliwe wypadki, samobójstwa, śmierć z wycieńczenia wskutek ciężkich, głodowych warunków życia) znacznie powiększyła materiał sekcyjny. Ponadto — z inicjatywy dra *Becka*, któremu bardzo zależało na powiększeniu statystyki materiału sekcyjnego — przekazywano do Zakładu zwłoki osób zmarłych w więzieniach i w obozie koncentracyjnym w Płaszowie. Przeciętna liczba zwłok sekcjonowanych w Zakładzie wynosiła w czasach pokojowych 300—400 w roku, natomiast w czasie okupacji liczba ta wzrosła do około 1000 (np. w roku 1944 było 1309 zwłok). Na zwłokach więźniów zmarłych z wycieńczenia i z głodu w obozie koncentracyjnym w Płaszowie lub w transportach do pracy w Rzeszy, na zwłokach ofiar bestialskiego pobicia w gestapo i osób zastrzelonych w czasie „łapanek" lub skazanych na śmierć i zastrzelonych w więzieniach personel Zakładu poznawał naocznie okrucieństwa okupanta. Protokoły sekcyjne dzięki staraniom personelu Zakładu zachowały się w większości; stanowią one poważny materiał dowodowy tych ponurych lat [6].

Praca w Zakładzie Medycyny Sądowej została zorganizowana przez dra *Becka* w ten sposób, że wszystkie sekcje zwłok i inne badania były przez niego kontrolowane (każdą sekcję zwłok należało dyrektorowi „oddać"), a wszystkie pisemne protokoły i pisma musiały przejść przez sekretariat niemiecki i uzyskać podpis dyrektora. Sekcje zwłok osób narodowości niemieckiej oraz sekcje w specjalnych przypadkach, w których śledztwo prowadziło gestapo i które dla polskiego personelu były tajne, wykonywał w większości przypadków osobiście dr *Beck*. Protokoły sekcji zwłok początkowo dr *Beck* polecił pisać w języku niemieckim; polecenie to tak długo sabotowano, aż wreszcie wytłumaczono dr *Beckowi*, że protokoły dla sądów polskich, które są przez władze niemieckie uznawane, powinny być pisane w języku polskim. Odtąd tylko protokoły sekcji zwłok osób narodowości niemieckiej oraz w sprawach rozpatrywanych przez sądy niemieckie były pisane po niemiecku. W zasadzie obowiązywał w urzędowaniu język niemiecki; zarządzenie to stale sabotowano. Muzeum Zakładu stało się dumą dr *Becka*; pomimo polskich napisów, umieszczonych na preparatach muzealnych, często oprowadzał po nim powołane i niepowołane osoby. Mimo częstych poleceń i surowych napomnień przewlekano aż do końca okupacji przetłumaczenie napisów polskich na napisy niemieckie na zbiorach muzealnych. Przyrządy naukowe, instrumenty i odczynniki, które nie służyły bezpośrednio praktycznym celom i nie leżały w sferze zainteresowań dra *Becka*, były nieodpowiednio zabezpieczone, niewłaściwie przechowywane i w wyniku uszkodzeń wyrzucane.

W związku z powiększeniem się personelu niemieckiego wszystkie pokoje i pomieszczenia Zakładu przekształcone zostały na biura, poczekalnie i gabinety. Personel polski pomieszczono w nie należących dawniej do Zakładu Medycyny Sądowej lokalach innych zakładów. Polski personel lekarski i biurowy, składający się z ośmiu osób, mieścił się w ciągu dwóch lat w jednym niewielkim pokoju. Przeróbkom, przebijaniom drzwi, przestawianiom mebli i przeprowadzkom nie było końca; wciąż organizowano coś nowego, urządzano nowe biura, laboratoria, by po pewnym czasie je demontować i w innych pomieszczeniach urządzać na nowo.

W roku 1942 dr *Beck* uznał, że ze względów materialnych, przede wszystkim zaś ze względu na osobistą pozycję, władzę i kompetencje Instytut powinien podlegać nie wydziałowi zdrowia, lecz wydziałowi bezpieczeństwa (*Abteilung für Sicherheitswesen*). Od tego roku Instytut podlegał administracyjnie komendantowi policji bezpieczeństwa w Generalnym Gubernatorstwie *Kommandeur der Sicherheitspolizei in G. G.*), a dr *Beck* otrzymał w hierarchii policji bezpieczeństwa wysokie stanowisko służbowe. W instytucie pojawili się w charakterze pracowników funkcjonariusze policji bezpieczeństwa. Polskiemu personelowi oświadczono, że podlega on odtąd surowemu sądownictwu policji bezpieczeństwa i wszelkie przewinienia będą szczególnie surowo karane. Groźby obozu koncentracyjnego, aresztowania i wywiezienia do Rzeszy należały do bardzo częstych. Wszelkie popełnione i niepopełnione drobne przewinienia uważano za sabotaż. O tym, że groźby te nie były płonne, świadczą aresztowania prof. *Olbrychta* i doc. *Kowalczykowej*. Jednego z woźnych za drobną niesubordynację (był on w stanie podchmielonym) dyrektor umieścił w obozie koncentracyjnym w Płaszowie na okres 6 tygodni.

Polscy pracownicy, kontrolowani i pilnowani na każdym kroku przez licznych urzędników niemieckich, czuli się w tym czasie jak w obozie koncentracyjnym, zwłaszcza że co najmniej 10 godzin dziennie spędzali w murach Zakładu. Personel polski nie otrzymywał nawet wszyst-

[6] Planuje się analizę tych dokumentów i zamieszczenie artykułu na ten temat w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" (przyp. red.).

kich przeznaczonych dla ludności polskiej przydziałów żywności i „punktów" odzieżowych, które ginęły w zagmatwanej administracji i nie dochodziły do rąk potrzebujących. Poza okresowym przydziałem jarzyn i niewielką ilością mleka zbieranego, wódki i papierosów nie otrzymywano niczego. Dopiero w roku 1944 część pracowników otrzymała po kilkanaście „punktów odzieżowych", za które w najlepszym razie mogła nabyć pół roboczego ubrania lub robocze obuwie. Inne instytucje prywatne i państwowe w Krakowie dawały przynajmniej swym pracownikom co rok po kilkadziesiąt „punktów" odzieżowych oraz różne nadzwyczajne przydziały. Jeden z niemieckich urzędników administracji stale podkreślał, że Polakom nic się nie należy, a wszystko przeznaczone jest dla walczących Niemiec.

Pomimo ciągłej kontroli i poganiania organizacja pracy w Instytucie pozostawiała wiele do życzenia z winy samego dyrektora. Niezależnie od tego dr Beck celowo i rozmyślnie utrudniał personelowi pracę, czyniąc to ze złośliwą satysfakcją w celu upokorzenia i nękania pracowników. Najczęstszą i jedną z najprzykrzejszych udręką było czekanie lekarzy i laborantów na tzw. „odebranie" sekcji; po skończonej sekcji zwłok musiał lekarz w niewygodnym odzieniu sekcyjnym, w rękawiczkach gumowych stać przy otwartych zwłokach nieraz parę godzin, zanim dyrektor zdecydował się przyjść i odebrać sekcję; nie obchodziło się przy tym bez krzykliwych awantur. Gdy przypominano dyrektorowi o skończonych sekcjach i czekających lekarzach, wyrażał się ostro: „niech czekają, aż sczernieją". Zmęczeni krzątaniną i czekaniem laboranci musieli nieraz w późnych godzinach pozasłużbowych uprzątać salę sekcyjną. Dla załatwienia pilnych nieraz spraw służbowych musiało się czekać po parę godzin na przyjęcie przez dr *Becka*, który tymczasem popijał w wesołym towarzystwie wódkę, spał lub czytał gazety. Niezależnie od 10-godzinnego dnia pracy wprowadził dyrektor stałe dyżury lekarskie; jeden z czterech lekarzy musiał stale przebywać w Instytucie, przy czym nie korzystał ani z odpowiedniego pokoju dyżurnego, ani z pożywienia, ani też z dodatkowego wynagrodzenia. Dyżury te były niepotrzebnym marnotrawieniem czasu i sił, gdyż w przeważającej liczbie przypadków lekarz dyżurny spędzał cały czas bezczynnie. Nie mając możności ubocznego zarobkowania przy 10-godzinnym dniu pracy, przy częstych dyżurach i głodowych pensjach większość pracowników wyprzedawała się i żyła dosłownie w nędzy. Prośby o zwolnienie z Instytutu, nawet poparte złym stanem zdrowia, z reguły kończyły się odmową; w takich wypadkach dr *Beck* mawiał, że droga z Instytutu prowadzi do obozu lub do robót w Rzeszy.

Dyrektor dr *Beck* osobiście kierował personelem polskim Instytutu. Z innymi przedstawicielami władz okupacyjnych pracownicy Zakładu prawie się nie stykali. Nie wydaje się, by dr *Beck* był w pełni psychicznie zdrowym człowiekiem. Niezależnie od znacznego nadużywania alkoholu, co zdarzało się bez wyjątku codziennie, cechowała go bezwzględność i brutalność, przy dużej zmienności nastrojów. Nie siląc się na rozpoznanie psychologiczne, przytoczę kilka faktów obrazujących jego postępowanie.

Dr *Beck* stworzył w Instytucie atmosferę terroru. Swym pełnym zupełnie nieoczekiwanych odruchów postępowaniem potrafił tak sterroryzować wszystkich pracowników, że zetknięcie się osobiste z dyrektorem było poważnym, niemiłym przeżyciem, o którym ze strachem opowiadano sobie po cichu z ust do ust. Najniewinniejszą metodą terroru było urządzanie nadzwyczaj krzykliwych awantur, bardzo często (nieraz kilkakrotnie w ciągu dnia), które spotykało tak personel lekarski, jak i niższych funkcjonariuszy. W większości przypadków w ogóle nie wiedziano bądź nie rozumiano, o co chodzi, bo jedne i te same zarządzenia, najskrupulatniej przestrzegane, były jednego dnia obowiązujące, na drugi dzień zaś stawały się powodem nagany. Lekarze, asystenci byli upokarzani i krzykliwie besztani w obecności młodszych kolegów, sekretarek i funkcjonariuszy; również odwrotnie, lekarze musieli asystować przy awanturach robionych personelowi administracyjnemu i niższym funkcjonariuszom. Słowa *„polnische Schweinerei"* należały do najczęstszych. Zasadniczym motywem tego rodzaju awantur były groźby; dyrektor groził aresztowaniem, obozem koncentracyjnym, robotami w Rzeszy, odebraniem poborów, kart żywnościowych i przydziałów. Te codzienne awantury były przeplatane dobrym humorem dyrektora i objawami łaskawości; słyszało się wtedy o „stosunkach koleżeńskich", o „rozumieniu przez niego zagadnienia polskiego", słyszało się komplementy pod adresem nauki polskiej, pod adresem wyjątkowych zdolności poszczególnych pracowników itp. Te objawy dobrego humoru bywały często przypieczętowane poczęstunkiem wódką, który się z reguły nie ograniczał do paru kieliszków, lecz kończył zupełnym upiciem biorących w nim udział. Nie było mowy o sprzeciwianiu się piciu, bo to wywoływało szał wściekłości u dyrektora, który nieraz pod groźbą rewolweru kazał stawać na baczność i komenderując wojskowym stylem otwarcie ust, wlewał delikwentowi nie tylko wódkę, lecz niekiedy laboratoryjny nierozcieńczony alkohol całymi szklankami. Dyrektor wystarał się o przydział alkoholu dla Instytutu „dla celów naukowych" w ilości 50 litrów miesięcznie; przydział ten był zużywany na pijaństwa i prywatne cele dyrektora.

W pewnym okresie dr *Beck* zorganizował naukowe posiedzenia referatowe, które często nie dochodziły do skutku, natomiast te, które się odbyły, kończyły się zazwyczaj pijaństwem; zdarzało się, że i uśnięciem dyrektora przy stole. Dr *Beck* urządzał często dla urzędników policji i innych organizacji wykłady, które miały popularyzować medycynę sądową. W takich wykładach starał się zaimponować słuchaczom makabrycznymi przedstawieniami, wprowadzał ich do sali sekcyjnej pełnej zwłok ludzkich,

sekcjonowanych przez personel lekarski. W tej sali był urządzony równocześnie bufet alkoholowy dla pokrzepienia laików przestraszonych scenerią. Wykład taki kończył się zwykle ogólnym pijaństwem. Jedną z metod uzyskiwania „prawdomówności" przy ściąganiu wywiadów w badaniach sądowo-lekarskich było upicie badanego i wyciąganie od upojonego alkoholem potrzebnych zeznań; postępowanie takie zastosował dr *Beck* np. w badaniu funkcjonariusza niemieckiego, podejrzanego o negatywne nastawienie do reżimu i symulowanie choroby psychicznej. Na jednym z wykładów o alkoholu dr *Beck* demonstrował działanie środków odurzających na niższych funkcjonariuszach Zakładu. Ludziom tym kazał na oczach słuchaczy pić w dużych ilościach wódkę, spirytus i eter. Jednego z woźnych zatrutego eterem z trudem przywrócono do życia.

W przystępie dobrego humoru odwiedzał dyrektor, często nieoczekiwanie i bez zapowiedzi nawet w godzinach nocnych, pracowników w ich mieszkaniach prywatnych, zarówno w gmachu Zakładu, jak i w mieście; w czasie odwiedzin niedwuznacznie domagał się poczęstunku alkoholem, którego nikt ze sterroryzowanych pracowników Zakładu nie odważał się odmówić. Również w przystępie dobrego humoru dyrektor ulegał prośbom pracowników i wydawał potrzebne do różnych celów zaświadczenia, udzielał parodniowych, okolicznościowych urlopów lub zezwalał niższym funkcjonariuszom mieszkającym na terenie Zakładu na potajemne hodowanie świń (co, jak wiadomo, było surowo zabronione). W takich przypadkach konieczny był rewanż w postaci poczęstunku, gdyż w przeciwnym razie dyrektor w złym humorze i wrogo ustosunkowany sam przypominał zainteresowanym, jak należy postąpić.

Nieoczekiwane nocne wizyty składał dyrektor najczęściej mieszkającym w parterze *Collegium Medicum* niższym funkcjonariuszom Zakładu. Stały się one istną plagą, zmieniając się w rodzaj nocnych odpraw, alarmów bądź kontroli, na które spędzał dyrektor całe rodziny z kobietami i dziećmi na korytarz, trzymając je przez kilka godzin w strachu i napięciu. Dyrektor wybierał sobie zazwyczaj jedną lub kilka ofiar, znęcając się nad nimi moralnie i fizycznie; inni musieli być niemymi świadkami tych scen. W czasie tych awantur wygłaszał przemówienia (każąc je dokładnie tłumaczyć), w których przewijał się motyw, że „Niemcy wojnę wygrały, wy jesteście zwyciężeni i nie macie żadnych praw"; wszystkich posądzał o sabotaż i groził surowymi karami. W scenach tych występowały bardzo jaskrawo sadystyczne cechy usposobienia dra *Becka*. Miał on wyraźną satysfakcję, widząc strach w oczach ofiary i na drugi dzień, wspominając swe wyczyny, z dziecinną wprost radością cieszył się, że ofiara bardzo się bała. Moralnemu znęcaniu w postaci beształania i straszenia towarzyszyło niekiedy znęcanie fizyczne w postaci bicia szpicrutą, rewolwerem, pięścią lub innymi przedmiotami. Niektóre ofiary pobicia musiały przez kilka tygodni leczyć się w szpitalu.

Tak na przykład *Tadeusz Sikorski*, pomocnik laboranta, doznał wskutek pobicia pęknięcia błony bębenkowej w jednym z uszu, z następowym ropnym zapaleniem ucha środkowego. Niższy funkcjonariusz *Gawlik*, dwukrotnie ciężko pobity, doznał pęknięcia żeber, stłuczenia nerek z krwiomoczem i leżał przez kilka tygodni w szpitalu. Szczytem bestialstwa było ciężkie pobicie studenta medycyny *Stanisława Doleżala*, za rzekome potrącenie czy też odtrącenie ręki dyrektora, który zamierzył się na niego, chcąc go uderzyć w twarz. W nocy w ciągu dwóch godzin bił go dyrektor pięścią, kolbą rewolweru, kopał leżącego, stawał na nim. *Doleżal*, który doznał licznych ran tłuczonych głowy, złamania kości nosowej, pęknięcia żeber oraz rozległych krwawych podbiegnięć powiek oczu i tkanki podskórnej w różnych miejscach ciała, przebywał przez kilka tygodni w szpitalu. Pobicia nie uniknęły nawet starsze kobiety, żony i matki pracowników. Ulubioną zabawą dyrektora było „skazywanie na śmierć" z mierzeniem z pistoletu i strzelaniem nad głową skazanego. W czasie orgii pijackich, poza sadystycznym znęcaniem się nad ludźmi, niszczył dr *Beck* wszelkie napotykane przedmioty, wpadając w szał demolowania. W ten sposób wyrzucił z piętrowych okien szkielet ludzki, urządzenie całego pokoju asystenckiego z szafami, pościelą, książkami itp.; rzucając cegłami zniszczył jednemu z laborantów izbę mieszkalną; przy tego rodzaju wyczynach uległy zniszczeniu liczne lampy i szyby, a nawet maszyna do pisania. Zdarzało się, że mieszkania niemiłych dyrektorowi Niemców również spotykał podobny los.

Wyczyny awanturniczo-terrorystyczne dra *Becka* znane były szeroko w otoczeniu Zakładu tym bardziej, że urządzał on w pobliżu Zakładu nawet „prywatne" łapanki, legitymując i bijąc przygodnych przechodniów. W pobliskim szynku był stałym gościem, zaprzyjaźnionym z pijackimi bywalcami tego lokalu. Atmosfera terroru budziła powszechne współczucie dla polskich pracowników Zakładu, które mieszkańcy okolicznych ulic często wyrażali, twierdząc, że pracujemy w „mordowni" bądź w obozie koncentracyjnym. Opisane warunki pracy uczyniły cały okres okupacji niemieckiej dla pracowników Zakładu szczególnie ciężkim. Inni niemieccy współpracownicy dr *Becka*, choć niekiedy w wyczynach sadystycznych (bicie po twarzy) naśladowali dyrektora, nie zaciążyli swą osobowością nad Zakładem w takim jak on stopniu.

Obiektywnie należy stwierdzić, że dr *Beck* w swej zmienności nastrojów okazał parokrotnie objawy życzliwości, wyrażające się wieloma istotnie dobrymi uczynkami. Raz np. przyczynił się niewątpliwie do zwolnienia kilku aresztowanych, między innymi brata jednego z lekarzy oraz dwóch lekarzy. Początkowo zatrzymane przez niego materiały i klisze do pisanego przez prof. *Olbrychta* podręcznika dr *Beck* wydał w czasie ewakuacji żonie profesora.

Postępowanie dr *Becka* przywodzi na myśl spostrzeżenie *Kretschmera*, że na przykład w okresie wojny psychopaci wypływają na powierzchnię życia zbiorowego i narzucają swoją wolę społeczeństwu. „Psychopaci istnieją zawsze, ale w czasach chłodnych my bywamy ich ekspertami, w czasach gorących zaś oni panują nad nami" [7].

Pozostają do wyjaśnienia poważne dochody dr *Becka*, który nie liczył się z pieniędzmi. Jednym z poważnych źródeł były złote zęby zwłok sekcjonowanych w Zakładzie. Wyznaczony przez niego laborant miał obowiązek wyjmować po sekcji zwłok złote zęby w ścisłej tajemnicy i wręczać. je dyrektorowi. Dochody płynące z tego procederu oraz ze sprzedaży laboratoryjnego spirytusu były obracane na cele prywatne, na luksusowe ubrania, drobiazgi i urządzenie mieszkania, przede wszystkim zaś na zbytkowne — jak na warunki wojenne — odżywianie się w restauracjach i zaopatrywanie rodziny w artykuły żywnościowe. Jak się często chełpił dr *Beck*, wysokie paskarskie ceny nie miały dla niego znaczenia. Z czaszek ludzkich i piszczeli wziętych ze zwłok sekcjonowanych w Zakładzie dr *Beck* kazał sporządzać makabryczne popielniczki, które przesyłał w upominku swoim znajomym i przyjaciołom.

Pomimo trudnych warunków życia i pracy polscy pracownicy naukowi nie zaprzestali pracy naukowej. Korzystano z dużego materiału sekcyjnego i bieżących badań laboratoryjnych; sporządzano preparaty mikroskopowe i dyskutowano nasuwające się zagadnienia naukowe, pogłębiając w ten sposób naukowe przygotowanie i doświadczenie; z bardziej interesujących przypadków zabezpieczono materiały i preparaty do przyszłych prac. Jeden z bardzo interesujących z punktu widzenia naukowego przypadków sekcyjnych, opracowany przez asystentkę dr *Marię Byrdy*, ogłoszony został bez porozumienia się z nią przez dr *Becka* w piśmiennictwie niemieckim. Wszyscy pracownicy kontynuowali rozpoczęte prace naukowe, które w dużej mierze postąpiły naprzód bądź zostały ukończone. Prof. *Olbrycht* kontynuował pisanie podręcznika i egzaminował studentów tajnie odbywających studia lekarskie. Starszy asystent dr *Pragłowski* pracował nad zatorami tłuszczowymi, starszy asystent dr *Wodziński* nad guzkowym zapaleniem okołotętniczym, asystent dr *Maria Byrdy* nad samobójstwami kombinowanymi; doc. *Popielski* przygotowywał prace z dziedziny grup krwi i uszkodzeń postrzałowych.

Straty materialne Zakładu były następujące. W sierpniu 1944 roku rozpoczęła się pierwsza ewakuacja Zakładu. Do około 50 skrzyń zapakowano i wywieziono niemal wszystkie wartościowe przyrządy naukowe i częściowo pozostały inwentarz. Oprócz tego wywieziono 17 skrzyń zawierających prawie cały inwentarz „filii" lwowskiej, tj. Zakładu Medycyny Sądowej UJK we Lwowie, wcześniej już do Krakowa przywiezionych. W końcu grudnia, w okresie drugiej ewakuacji, wywieziono jeszcze około 20 skrzyń zawierających przeważnie zmagazynowane przez Niemców w dużej liczbie przybory biurowe, kancelaryjne i artykuły gospodarcze. Z ważniejszych przedmiotów wywieziono następujące: 1) księgi inwentarzowe Zakładu; 2) księgi zwłok sekcjonowanych w Zakładzie (od roku 1935) oraz akta osobowe zwłok sekcjonowanych w okresie okupacji; uniemożliwiło to zidentyfikowanie zwłok osób zmarłych lub zastrzelonych w więzieniach; zwłoki takie oddawano personelowi lekarskiemu bez podania nazwisk i dat personalnych, oznaczając je jedynie kolejnymi numerami, przy czym dane osobowe pozostawały w sekretariacie niemieckim; 3) akta sekretariatu niemieckiego; 4) kilkanaście wartościowych książek naukowych i ważniejszych podręczników medycyny sądowej z biblioteki zakładowej; 5) optyczne instrumenty naukowe, między innymi nowoczesne mikroskopy binokularne, nabyte tuż przed wojną, nasadki porównawcze itp.; 6) instrumenty sekcyjne i szlifierkę do szlifów kostnych; 7) urządzenie laboratoryjne (lodówkę, wirówkę itp.); 8) urządzenie pracowni serologicznej, wyposażonej nowocześnie przez prof. *Olbrychta* tuż przed wojną; 9) urządzenie pracowni fotograficznej wraz z aparatami; 10) optykę do epidiaskopu, wskutek czego przyrząd ten, koniecznie potrzebny w pracy dydaktycznej został unieruchomiony; 11) urządzenie pracowni chemicznej wraz z odczynnikami; 12) bieliznę zakładową.

Wartość wymienionych przedmiotów, zarówno materialna, jak i naukowa, była bardzo duża. Zakład Medycyny Sądowej UJ był przed wojną urządzony nowocześnie i w pełni wyposażony do wykonywania prac naukowo-badawczych. Po wywiezieniu wspomnianego wyposażenia można w nim było wykonywać zaledwie podstawowe bieżące badania sądowo-lekarskie. Straty spowodowane ewakuacją znacznie przewyższały wartość nabytych przez okupantów i pozostawionych przez nich przedmiotów (jedna chłodnia, nieco książek oraz meble biurowe). Wobec wywiezienia ksiąg inwentarzowych trudno oznaczyć dokładnie wysokość strat materialnych; przybliżone obliczenie wyraża się liczbą co najmniej 100 000 złotych wartości przedwojennej.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocalała biblioteka Zakładu, którą zapakowano już do skrzyń, lecz w ostatniej chwili nie zdołano jej zabrać.

Personel Zakładu starał się w miarę — niewielkich zresztą wobec ciągłej kontroli dra *Becka* — możliwości ochraniać i ukrywać inwentarz Zakładu. W ten sposób uratowano na przykład fotometr Pulfricha, mikrospektroskop i aparat fotograficzny *contax*. W ostatnich dniach przed ewakuacją personel lekarski ukrył bezcenne, historyczne stare książki (starodruki z dziedziny medycyny sądowej), będące białymi krukami, oraz ważne w pracy bieżącej podręczniki. Ochrona i ukrywanie wymienionych

[7] Cyt. wg *K. Spetta:* Poczytalność psychopatów. Państwo i Prawo, 1967, z. 3, s. 467.

przedmiotów narażały na niebezpieczeństwo, gdyż w razie wykrycia groziło to poważnymi konsekwencjami.

W dniu 17 stycznia 1945 roku, w przeddzień wyzwolenia, dwa obładowane samochody Instytutu z dr *Beckiem* opuściły Kraków wraz z uciekającą administracją niemiecką. Dwóch kierowców Instytutu, Polaków, pozostawiło przy nadarzającej się okazji na drodze ucieczki dr *Becka* i towarzyszące mu osoby, a po paru dniach wróciło szczęśliwie do Krakowa.

Skreślone wyżej dzieje Zakładu Medycyny Sądowej UJ w czasie okupacji hitlerowskiej stanowią mały, lecz wymowny i charakterystyczny wycinek z przeżyć i przejść ludności polskiej, zmuszonej do pracy w zmienionych i jakże nieraz ciężkich warunkach.

Bezpośrednio po wyzwoleniu Krakowa, w styczniu 1945 roku pracownicy Zakładu podjęli pracę w zdewastowanym Zakładzie. Mimo licznych braków uruchomiono najważniejsze pracownie badań bieżących dla potrzeb władz wymiaru sprawiedliwości. Podjęto również zajęcia dydaktyczne (wykłady i egzaminy). Rada Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego powierzyła kierownictwo Zakładu do czasu powrotu prof. *Olbrychta* doc. *Popielskiemu*. W połowie czerwca 1945 roku pracownikom Zakładu Medycyny Sądowej UJ w Krakowie dane było przeżywać radosne chwile powitania prof. dr *J. Olbrychta*, który szczęśliwie wrócił z obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu i Mauthausen.

Piszący te słowa przeżył tylko część okresu dziejów Zakładu w czasie okupacji niemieckiej (od listopada 1943 roku); w związku z tym korzystał w dużej mierze przy pisaniu tej relacji z wiadomości dostarczonych przez pozostałych pracowników Zakładu, przede wszystkim przez dr med. *Marię Byrdy*. Wspomnienia te zostały napisane w czerwcu 1945 roku na polecenie władz uczelni, a uzupełnione dla „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

ZBIGNIEW WLAZŁOWSKI Gdynia
(były więzień obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen nr 49943)

Gruźlica płuc i postępowanie z chorymi na gruźlicę w obozie koncentracyjnym Gusen [1]

W hitlerowskim obozie koncentracyjnym ludzie nieuleczalnie chorzy, wymagający leczenia dłuższego niż trzy miesiące, oraz słabi, niezdolni do wytężonej pracy fizycznej nie mieli prawa istnienia. Gruźlica więc jako choroba przewlekła i według hitlerowskich władz w warunkach obozowych nieuleczalna nie mogła być w obozie tolerowana i musiała być bezwzględnie likwidowana.

W opinii władz obozowych słowo gruźlica łączyło się z pojęciem wyniszczenia i osłabienia ustroju. Każdy wychudzony i zagłodzony więzień był więc w pojęciu esesmanów chorym na gruźlicę i nadawał się do likwidacji. Więźniów takich była w obozie ogromna większość. Transporty przybywające do obozu składały się przeważnie z więźniów, którzy przebywali już w więzieniu i przeszli tortury gestapowskich przesłuchań, a więc krańcowo wyniszczonych i osłabionych. Ludzie ci kierowani natychmiast do pracy w kamieniołomach lub karnej kompanii, źle ubrani, głodni i bici szybko zapadali na zdrowiu i siłach i stawali się „muzułmanami". W ostrym klimacie podalpejskim oraz w atmosferze kamieniołomu, gdzie tumany unoszącego się pyłu utrudniały oddychanie, duża liczba więźniów chorowała na nieżyty dróg oddechowych oraz była skłonna do zapaleń odoskrzelowych płuc i opłucnej. W warunkach tych również gruźlica płuc siała ogromne spustoszenie.

W pierwszym okresie trwania obozu, tj. w latach 1940—1941, gdy służbę zdrowia w obozie tworzyli ludzie nie mający z medycyną nic wspólnego i nie znający się na chorobach i leczeniu, rozpoznanie gruźlicy stawiał „kapo rewiru" i jego pomocnicy, wyłącznie na podstawie zewnętrznego wyglądu badanego, a następnie na oko zatwierdzane było przez lekarza *SS*, któremu przedstawiano do wglądu wybranych chorych.

Istniało co prawda zarządzenie, by wszyscy więźniowie leżący w szpitalu obozowym byli poddawani badaniom lekarskim i by wykonywano u nich badanie plwociny na prątki Kocha oraz odczyn opadania krwinek, a od końca 1941 r. prześwietlenie lub zdjęcie rtg płuc. W początkowym okresie trwania obozu prymi-

[1] Obóz koncentracyjny o specjalnie ciężkich warunkach został założony w roku 1938 w Mauthausen (w pobliżu Linzu, w Austrii Górnej). Zasłynął ze swych kamieniołomów. W roku 1940 powstał największy podobóz, filia obozu Mauthausen, w Gusen, którego więźniowie, przeważnie Polacy, musieli pracować niewolniczo przy budowie podziemnych zakładów zbrojeniowych. W następnych latach hitlerowcy utworzyli kilkadziesiąt mniejszych podobozów Mauthausen przy różnych zakładach przemysłowych. Przez ten zespół obozów przeszło około 139 tysięcy więźniów różnych narodowości, ponadto około 25 tysięcy więźniów nie zarejestrowanych, rozstrzeliwanych wkrótce po przybyciu. W poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" autor podał szczegółowe informacje o szpitalu w Gusen, uzupełniając swą pracę wyborem bibliografii. W artykule niniejszym charakteryzuje okres lat 1940—1945 (przyp. red.).

tywne laboratorium, dysponujące jedynie najprostszymi odczynnikami i mikroskopem, mieściło się w bloku 29, w pomieszczeniu wspólnym z izbą przyjęć, ambulatorium chirurgicznym i punktem aptecznym. Analizy w tym czasie wykonywał dr *Albin Garbień* pod kontrolą lekarza *SS Schildbacha*, a po jego wyjeździe z obozu *Hubert Skolik*. Dr *Garbień* był zatrudniony jako sprzątający, a w laboratorium pracował jedynie dorywczo.

Chorych na gruźlicę potocznie zwano inwalidami. Byli oni już wybierani w blokach mieszkalnych przez blokowych spośród zgłaszających się do lekarza oraz z najbardziej wychudzonych więźniów. Wybranych więźniów kierowano do baraku 32, potocznie zwanego blokiem inwalidzkim, gdzie oczekiwali oni na likwidację.

Mordowanie tych chorych odbywało się w rozmaity sposób. Likwidacja ich w szpitalu obozowym miała cechy zorganizowane. W bloku inwalidzkim zaś była akcją jak gdyby żywiołową. Chorzy na gruźlicę przebywający w „rewirze", czyli szpitalu obozowym, w pierwszym okresie trwania obozu byli umieszczani w bloku 31 lub w miejscu wydzielonym w bloku 29, zwanym *Bahnhofem*. Chorzy czekający tam na likwidację leżeli nago na podłodze. Nie otrzymywali jedzenia; przeważnie umierali z głodu i wycieńczenia, leżąc we własnych wydalinach. Mycie ich polegało przeważnie na polewaniu wodą płynącą z gumowego węża, podłączonego do kranu.

Na rozkaz naczelnego lekarza Mauthausen oraz podległych mu lekarzy *SS*, kierujących szpitalem w Gusen, codziennie po przyjęciach lekarskich, po południu lub po wieczornym apelu wykonywano tak zwane „szprycowanie". Zabieg polegał na tym, że więźnia przeznaczonego na śmierć przyprowadzano lub przynoszono na noszach do sali opatrunkowej, kładziono na stole operacyjnym i wkłuwano do serca 100—250 g benzyny lub wody utlenionej. Czynność tę wykonywali osobiście sanitarni podoficerowie *SS*, tzw. *SDG* lub „kapowie" *Sach*, *Roth* i sztubowy *Käfferbeck*.

W ten sposób zabijano kilkanaście osób dziennie. Gdy zebrała się większa liczba podlegających likwidacji i stosowane metody uśmiercania okazały się niewystarczające, przystępowano do masowego uśmiercania chorych. Jedną z większych takich akcji było wymordowanie w wigilię r. 1941 kilkudziesięciu chorych w bloku 31. Późnym wieczorem chorych leżących w tym bloku wyprowadzano pojedynczo z sali. W drzwiach stał „sztubowy" *Käfferbeck* z pomocnikiem. Jeden uderzeniem drewnianej pałki w głowę ogłuszał wychodzącego, drugi sprawnym ruchem zanurzał głowę denata w stojącej obok beczce z wodą. Następnie odrzucano ofiarę na leżącą obok stertę zwłok. Egzekucji patronowali sanitarny podoficer *SS* oraz „kapo" *Roth*.

Inną podobną akcję przeprowadzono wczesną wiosną 1942 r. Na rozkaz ówczesnego lekarza *SS*, *hauptsturmführera Kiesewettera* podano 70 chorym w bloku 27 przy śniadaniu w kawie roztwór cyjanku potasu.

Chorych na gruźlicę i inwalidów nie pozostających w stanie szpitala gromadzono w bloku 32, tj. inwalidzkim. Czekający na śmierć leżeli stłoczeni na pryczach po 2—3 osoby lub na gołej podłodze bądź też ustawieni w szeregach niezależnie od pogody stali przed blokiem całymi godzinami. Dostawali mniejszą ilość zupy niż więźniowie w innych blokach obozowych. Blokowy *Karl Schrögler* ze swym pomocnikiem *Seppem* przeważnie nie wydawał im już chleba, uważając, że i tak muszą umrzeć, a żywność przyda się dla innych więźniów. Masowo topił ich w beczce z wodą lub zabijał innymi wymyślnymi metodami.

Bardzo wielu chorych zginęło w czasie tak zwanych dezynsekcji obozu w jesieni 1941 r. i zimie 1942 r. Na zlecenie władz obozowych firma *Slupecky* z Linzu przeprowadziła odwszawienie. Wszystkich więźniów obozu o godz. 4,00 rano spędzono nago na plac apelowy. Chorych ze szpitala nie mogących o własnych siłach lub przy pomocy kolegów udać się na wyznaczone miejsce powynoszono na noszach. Do uszczelnionych baraków mieszkalnych, w których zostawiono pościel, bieliznę i ubrania więźniów, wrzucono gaz cyklon. Ciała nagich ludzi były wystawione na działanie dotkliwego chłodu ranka, potem prażącego słońca. Wieczorem wszyscy musieli przejść osobistą dezynsekcję, polegającą na zanurzeniu się w żrących, dezynfekcyjnych płynach. Wyczerpani, osłabieni chorzy ludzie leżeli pokotem na placu apelowym. Wielu nie wytrzymało trudów dezynsekcji i rozstało się z życiem, wielu zapadło na zapalenie płuc i przeziębienia. W dezynsekcji obozu, przeprowadzonej 2 marca 1942 r., zagazowano w bloku 16 wszystkich chorych jeńców radzieckich w liczbie około 164 osób oraz około 300 inwalidów w bloku 32.

Największą zorganizowaną akcją masowego likwidowania gruźlików była zsyłka chorych do tzw. sanatorium. Akcja ta była poprzedzona rentgenowskimi badaniami małoobrazkowymi wykonanymi ruchomym aparatem rentgenowskim w lecie 1941 r. przez ekipę pracowników *SS* przybyłą z Linzu. Badania te objęły wszystkich więźniów znajdujących się wtedy w obozie, a więc około 5000 osób. Wkrótce potem przyszło zarządzenie utworzenia transportu inwalidów, w sumie 2 000 osób, celem wysłania ich do sanatorium. Według zapewnień władz obozowych chorzy w sanatorium mieli być zwolnieni z pracy, otrzymywać lepsze jedzenie i być leczeni.

Rozporządzeniem tym zostali objęci wszyscy chorzy leżący w rewirze, słabi i wychudzeni więźniowie z pozostałych bloków obozowych oraz pewna liczba imiennie wyznaczonych przez kancelarię obozową. Chorych przeznaczonych do transportu podzielono na cztery grupy i rozmieszczono w czterech oddzielnych barakach 20, 21, 22, 23, gdzie mieli oczekiwać zapowiedzianego wyjazdu. Mijały tygodnie, a transport nie odchodził. Ludzie ci, zwolnieni z pracy jako element nieproduktywny, otrzymywali zmniej-

szone porcje jedzenia (ćwierć litra zupy i 250 gramów chleba na dobę). Nie wolno im było wydalać się z baraków, siedzieli więc skuleni, trzęsący się z zimna, przy otwartych oknach, lub całymi dniami stali w szeregach na uliczce przed blokami. Masowo umierali.

Największe spustoszenie wśród inwalidów siały w owym czasie tzw. kąpiele. Późną jesienią 1941 r. i zimą 1942 r. codziennie po apelu wieczornym pędzono inwalidów do kąpieli. Polegały one na tym, że grupę około 300 osób przetrzymywano pod strumieniami lodowato zimnej wody, płynącej z pryszniców ustawionych na betonowym podmurowaniu. Ponieważ ścieki odpływu wody były zatkane, oziębieni i osłabieni ludzie padali do wody zbierającej się i sięgającej do kolan, topili się lub umierali na mrozie. Opornych wpychali pod strumienie wody blokowi i „kapowie", otaczający zwartym kordonem kąpiących się więźniów i ponaglani przez przypatrujących się tym scenom esesmanów oraz komendanta obozu *Chmielewskyego* i *oberscharführera Jentscha*, zwanego przez więźniów *„Badenmajstrem"*.

Transport inwalidów do sanatorium wysłano dopiero na początku 1942 r. Ponieważ zgromadzeni uprzednio więźniowie wybrani do transportu codziennie masowo wymierali, zastępowano braki nowymi, wybieranymi dorywczo w innych blokach obozowych i w „rewirze". Sposób wysyłania tych chorych również nie wróżył nic dobrego. Na plac apelowy zajechało kilka karetek więziennych, do których wpychano tylu ludzi, ilu się tylko zmieściło. Dołączano również zmarłych. Karetki powracały w ciągu dnia kilkakrotnie. Cały transport obejmował 1132 osoby. Reszta, brakująca do planowanej liczby 2000, zmarła zakąpana na śmierć przez *Jentscha*. Dla odjeżdżających wydział polityczny już z góry wystawiał dokumenty zgonu, jak gdyby umierali śmiercią naturalną. Już po kilku dniach dotarła do obozu wieść, że wszyscy inwalidzi zostali przewiezieni do Hartheim, miejscowości odległej o 10 km od Linzu, do zakładu masowego uśmiercania. Wszyscy zostali zagazowani.

W okresie największego nasilenia zabijania gruźlików i inwalidów komendantem obozu był *obersturmführer Karl Chmielewsky*, potem *Fritz Seidler*. Niemieckimi lekarzami *SS* w Gusen byli esesowcy *Schildbach, Krüger, Ramsauer, Herschel, Richter, Jung, Van den Hoff, Kiesewetter, Haas, Adolf, Vetter*. Najbardziej nieludzki i bezwzględny był *Kiesewetter*, najdłużej piastujący swój urząd lekarza obozowego. Wszyscy oni podlegali naczelnemu lekarzowi obozu w Mauthausen, esesmanowi *Krebsbachowi*. „Kapo" szpitala obozowego w tym czasie byli: *Franz Sach, Heinz Roth* i *Józef Bobrowski*, zwany *Kasandrą*.

W połowie 1942 r., gdy w Gusen zaczęto tworzyć ośrodek przemysłu zbrojeniowego, budować fabryki broni i części do samolotów, zaprzestano masowych mordów więźniów. W „rewirze" zapanowały również inne porządki. Zmarł na gruźlicę „kapo" *Zach*, został zabity jego następca *Roth* i otruł się *Kasandra*. „Kapo rewiru" został sudecki Niemiec *Emil Sommer*, a naczelnym lekarzem więziennym mianowano chirurga dr *Antoniego Gościńskiego*. Kierownikami oddziałów szpitalnych zostali lekarze specjaliści, którzy do tego czasu pracowali nieoficjalnie jako sprzątacze i sanitariusze lub w innych komendach obozowych.

Zaniechano bezwzględnego zabijania chorych na gruźlicę i inwalidów. Chorych na gruźlicę płuc zaczęto kłaść w izbie B bloku 29, a pomieszczenie dla nich nazwano „oddziałem gruźliczym". Chorzy tam leżący otrzymywali wyżywienie nieco lepsze niż powszechnie stosowane w obozie i „rewirze". Dieta składała się z mącznej zupy, kaszy manny, ziemniaków z sosem i niedużej porcji białego chleba, margaryny i plasterka kiełbasy. Jako leczenie zastosowano podawanie preparatu zaszyfrowanego pod symbolem „Nr 101". Środek ten, w postaci ciemnoczerwonych, drobnych granulek, w smaku gorzki, przetrzymywany w ciemnych butelkach półlitrowych i litrowych był przechowywany i wydzielany przez lekarza *SS*. Chorzy otrzymywali ten preparat w łyżce stołowej trzy razy dziennie po jedzeniu. Wszyscy, którym podawano ten preparat musieli mieć wykonane przed zabiegiem badanie plwociny na prątki Kocha, odczyn opadania krwinek, morfologię krwi oraz analizę moczu. Mogli być leczeni jedynie chorzy prątkujący, z radiologicznie stwierdzonymi zmianami w płucach. Badania laboratoryjne i zdjęcia płuc powtarzano w odstępach trzytygodniowych. Skrzętnie zapisywano w historiach choroby ciepłotę, ciężar ciała oraz uwagi o samopoczuciu chorego.

Ordynatorem oddziału wewnętrznego i gruźliczego został dr *Adam Konieczny*, internista z Poznania. Pomagali mu dr *Józef Markiewicz*, a po jego wyjeździe do innego obozu *Sylwester Królak*. Sanitariuszami na oddziale byli studenci *Mieczysław Lisiecki, Józef Sabura, Ryszard Frajtag, Pablo Del Rio* i *Ventura Gibal*.

Analizy lekarskie i badania rentgenowskie od końca 1941 r. przeprowadzał student medycyny z Krakowa *Zbigniew Wlazłowski*, który miał do pomocy 15-letniego *Michała Morozkę* i laboranta drogeryjnego, *Władysława Kostujaka*. Krótko, gdyż zaledwie kilka tygodni pracował tam również profesor bakteriologii z Brna, *M. Tomašek*. Po kilku tygodniach został jednak przeniesiony do innego obozu. Laboratorium wówczas mieściło się w specjalnym pomieszczeniu w bloku 28. Oprócz wyposażenia laboratoryjnego znajdował się tam również polowy aparat rentgenowski marki „Siemens" oraz niektóre urządzenia do fizykoterapii. Szpitalem i obozowym oddziałem gruźliczym opiekował się lekarz *SS, hauptsturmführer Bömichen*.

Pracujący w szpitalu lekarze-więźniowie doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że nagła zmiana postępowania z chorymi i zaprzestanie mordowania gruźlików nie były podyktowane pobudkami humanitarnymi, lecz zamiarem sprawdzenia na ludziach nowego preparatu zaszyfrowanego „Nr 101". Przewidywania te sprawdziły się, gdyż mniej więcej po roku

przyszło zarządzenie, by oddział gruźliczy rozwiązać, zdrowszych i silniejszych chorych zwolnić z „rewiru" i wysłać do pracy, a słabszych i bardziej wyniszczonych zlikwidować.

Eksperymentom z preparatem „Nr 101" zostało poddanych około 300 chorych prątkujących, z mniej lub bardziej zaawansowanymi zmianami w płucach. U wielu były to zmiany naciekowe z rozpadem w jednym lub obu płucach. U innych tylko zmiany włókniste. Przeważnie wszyscy gorączkowali i wykazywali objawy typowe dla tej choroby.

Praca personelu lekarskiego oraz fachowych pracowników służby zdrowia zatrudnionych w szpitalu była bardzo ciężka, odpowiedzialna i niebezpieczna. W pierwszym okresie trwania obozu, gdy medycy pracowali w „rewirze" tylko na stanowiskach sprzątaczy lub sanitariuszy, działalność ich i pomoc, którą mogli udzielać chorym, była bardzo ograniczona i zakonspirowana. Mogli jedynie pośrednio wpływać na „kapo rewiru" i jego pomocników, którzy jako całkowici ignoranci w dziedzinie lecznictwa musieli czasami zasięgać ich rady i liczyć się z ich zdaniem. Niekiedy udawało się wytłumaczyć „kapo" lub przeprowadzającemu wizyty lekarzowi *SS*, że dany więzień nie jest gruźlikiem i po krótkim leczeniu wróci do pracy albo wstawić się za kimś jako osobistym przyjacielem. Bardzo ciężkie zadanie miał więzień badający w laboratorium plwocinę chorych. Zdawał sobie sprawę, że w wypadku wykrycia prątków Kocha chory nieuchronnie musi umrzeć. Często przy badaniach asystował lekarz *SS* i sprawdzał preparaty.

Pomimo że liczba prątkujących była bardzo duża (30—40 badanych plwocin wykazywało niekiedy prątki Kocha), prątki stwierdzano wyłącznie u więźniów będących już w agonii, dla których nie było ratunku i ujemna analiza plwociny nie wpłynęłaby na ich dalsze losy.

W okresie, gdy lekarzom i medykom zezwolono pracować oficjalnie w szpitalu obozowym, zaczęto w ścisłej tajemnicy przed władzami *SS* oraz niepowołanymi więźniami przeprowadzać oprócz oficjalnej fikcyjną dokumentację i na szerszą skalę leczyć chorych, którzy bez tej pomocy musieliby nieuchronnie umrzeć. W laboratorium wydawano chorym, u których stwierdzono bakteriologicznie i radiologicznie zmiany w płucach, podwójne wyniki. Jedne, oficjalnie, do wglądu „kapo" i lekarza *SS*, stwierdzające u chorego fikcyjne rozpoznanie, np. zapalenie płuc lub opłucnej. Drugie faktyczne, dostarczane lekarzowi więziennemu.

Konspiracyjną pracę lekarzy bardzo ułatwiło zarządzenie zalecające otwarcie oddziału gruźliczego i przeprowadzenie prób wspomnianym preparatem. Gdy się zorientowano, że środek „Nr 101" nie wywiera żadnego korzystnego działania na leczenie gruźlicy, a całkiem przeciwnie, wywołuje u chorych mdłości, wymioty, bóle głowy, biegunki, łamania w kościach i brak łaknienia, zastosowano inną metodę działania.

W ścisłej tajemnicy przed lekarzem *SS*, *hauptsturmführerem Bömichenem*, który przeprowadzał akcję doświadczalną, zaprzestano podawania preparatu i zaczęto leczyć chorych metodami ogólnie przyjętymi. Zależnie od stanu choroby i rodzaju przypadku u jednych doktorzy *Konieczny* i *Markiewicz* zakładali odmy opłucne, u innych dr *Antoni Gościński* i *Marian Filipiak* wykonywali wycięcie żeber oraz przecięcia nerwu błędnego. Chorzy we względnie dobrych warunkach szpitalnych, lepiej żywieni stosunkowo szybko przychodzili do lepszego stanu zdrowia. Lekarzowi *SS*, *Bömichenowi*, który był zbyt leniwy, by sprawdzać leczenie i badać chorych, wmówiono łatwo, że poprawa stanu zdrowia chorych jest zasługą stosowanego preparatu. Od zadowolonego z wyników leczenia lekarza udawało się niekiedy uzyskiwać dodatkowe przydziały żywności, witamin oraz zastrzyków chlorku wapnia i glukozy, które z pożytkiem podawano chorym. Podwójnie prowadzona dokumentacja, podwójne wyniki badania plwociny, krwi i badań rentgenowskich dawały całej akcji rękojmię powodzenia.

Po zlikwidowaniu oddziału gruźliczego i ponownym zaleceniu zabijania gruźlików praca lekarzy szpitalnych przybrała inne formy. Chorzy, u których teraz stwierdzono gruźlicę z fikcyjnymi rozpoznaniami, zostali skierowani do poszczególnych bloków, w których byli leczeni przez wtajemniczony personel. Po powrocie do zdrowia byli kierowani do lżejszej pracy i otaczani opieką organizacji obozowej. Dzięki temu wiele istnień ludzkich zostało uratowanych, a wielu więźniów chorych na gruźlicę przeżyło obóz i po wyzwoleniu odjechało do swych krajów.

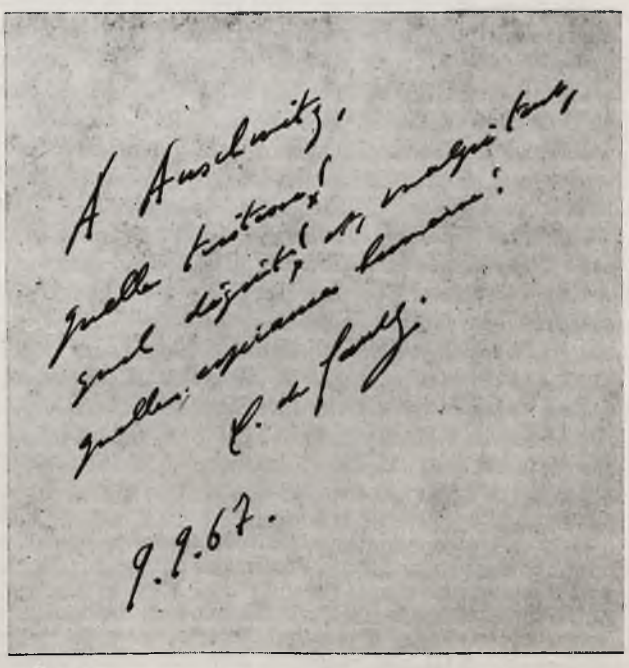

Reprodukcja wpisu prezydenta Francji, gen. *Ch. de Gaulle'a* do Księgi pamiątkowej Państwowego Muzeum w Oświęcimiu (fotokopię nadesłało Muzeum w Oświęcimiu)

STANISŁAW KŁODZIŃSKI Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Proces lekarza SS, Horsta Fischera[1]

Esesowska załoga „służby zdrowia" obozu zagłady Oświęcim-Brzezinka została po wojnie schwytana w stosunkowo znacznym procencie i zasądzona. W „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" przedstawiono wykaz 115 osób spośród tej załogi[2], która regulaminowo winna była czuwać nad zdrowiem i życiem więźniów. W wymienionym spisie, pod pozycją 17 widnieje nazwisko dra *Horsta Fischera, SS-Hauptsturmführera,* aresztowanego 20 lat po wojnie w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Warto podług materiałów procesowych bliżej ukazać sylwetkę *Fischera.* Urodził się on w Dreźnie 31 grudnia 1912 roku. Był synem kupca. Wcześnie zmarli jego rodzice, a on sam wychowywał się u krewnych. Po ukończeniu gimnazjum w Berlinie i Dreźnie uzyskał maturę w r. 1932. Interesował się w tym czasie harcerstwem. W r. 1937 skończył studia lekarskie na uniwersytecie w Berlinie, gdzie również odbywał staż, a następnie specjalizował się w chirurgii.

22 lutego 1941 roku uzyskał tytuł doktora medycyny. W związku z doktoratem podpisał następujące przyrzeczenie: „Uroczyście przyrzekam i obiecuję, że zawsze będę głęboko poważał wiedzę medyczną i ile mi tylko sił starczy, będę o nią walczył, a także wypełnię z wiernością i sumiennie obowiązki lekarskiego stanu wobec żądających mojej pomocy, jak też w stosunku do kolegów-lekarzy w myśl idei humanistycznej".

Fischer ożenił się na krótko przed rozpoczęciem wojny. Miał czworo dzieci. Dwoje narodziło się po wojnie. W listopadzie 1933 roku wstąpił do *SS.* W maju 1937 roku był już członkiem *NSDAP.* W roku 1940 przeszedł w Stralsund ośmiotygodniowe przeszkolenie wojskowe. Tutaj też poznał swojego przyszłego przełożonego w Oświęcimiu, lekarza *SS* dra *Edwarda Wirthsa.* W kwietniu 1940 roku został *SS-Untersturmführerem.* Krótko przebywał w Pradze, Bernie, Berlinie, w wojskowej akademii w Grazu, a następnie w oddziale dywizji *SS Wiking* w Wiedniu. W czerwcu 1941 roku przeniesiono go do Lublina, po czym wziął udział w ataku na Związek Radziecki. Awansował i 30 stycznia 1942 roku został *obersturmführerem,* będąc lekarzem oddziału pancernego. Otrzymał medal za walkę na wschodzie i krzyż zasługi II klasy z mieczami. Zachorował na błonicę, a mając objawy porażenia, został przesłany do Niemiec celem dalszego leczenia się. Po kilkutygodniowym pobycie w Berlinie skierowano go do sanatorium w Bad Homburg, gdzie poznał lekarza *SS,* dra *Lollinga,* kierownika obozów koncentracyjnych. Na jego propozycje wyraził zgodę pełnienia obowiązków lekarza *SS* w obozach koncentracyjnych. Kilkakrotnie zmieniał miejsca pracy, aż w dniu 6 listopada 1942 roku trafił do obozu w Oświęcimiu.

Tutaj spotyka się ze znanym już sobie lekarzem garnizonu drem *Eduardem Wirthsem.* Otrzymuje różne funkcje. 21 czerwca awansuje na *hauptsturmführera* i wkrótce potem mianują go zastępcą lekarza garnizonu. Na tym stanowisku pozostaje aż do ewakuacji, tj. do 18 stycznia 1945 roku. Od października 1943 roku mieszka w Oświęcimiu wraz z żoną i dwojgiem dzieci.

Dr *Eduard Wirths* jako przełożony *Fischera* przedstawił następującą charakterystykę swego podwładnego (19. VIII. 1944 r.): „Dr *F.* posiada charakterystyczne właściwości, kwalifikujące *SS-Führera.* Jest prosty, otwarty i rzetelny, pewny w swoim postępowaniu, wolny od jakichkolwiek słabości, skłonnności czy manii. Ma doskonałą duchową i fizyczną postawę, która w połączeniu z jego dobrą wiedzą medyczną i jego znajomością przepisów czy zarządzeń jest szczególnie przydatna dla lekarza *SS* (...). Wydaje się utrwalony w swoim poglądzie na świat (...) Wypełnia bez reszty wszystkie powierzone mu zadania służbowe. Wydaje się odpowiedni do przyszłych ważniejszych lub gdzie indziej szerzej zakrojonych zadań".

W czasie ewakuacji *Fischer* towarzyszył więźniom aż do Wodzisławia Śląskiego, kierując z polecenia komendanta obozu transportem ewakuacyjnym. Przez Gross-Rosen dotarł do Oranienburga. Następnie był lekarzem jednostki *SS.* W czasie walk o Berlin pracował jako lekarz na punkcie opatrunkowym. Uniknął niewoli, niszcząc wcześniej swój mundur esesowski, książeczkę wojskową i pistolet. W czasie przeniesienia rannych z punktu opatrunkowego do szpitala Charité udało mu się operacyjnie usunąć esesowski tatuaż grupy krwi. Równocześnie zaopatrzył się w cywilne ubranie i papiery, zabierając je ze swojego berlińskiego mieszkania. Następnie rozpoczął pracę jako lekarz w szpitalu w Weissensee. Tutaj jednak został rozpoznany jako esesman i aresztowany. Udało mu się jednak uciec i opuścić Berlin, skąd udał się do swojej rodziny przebywającej w Brunszwiku. Po drodze wstąpił do miejscowości Golzow, gdzie urzędował jego daleki krewny, ksiądz *Günther.* Ten, znając

[1] Artykuł opracowany na podstawie materiałów opublikowanych w *„Neue Justiz Zeitschrift für Recht und Rechtwissenschaft"* (Berlin, R. 20: 1966, nr 7, s. 193) pt. *„Gerechte Strafe für Verbrechen gegen die Menschlichkeit. Urteil des Obersten Gerichts vom 25 März 1966 — 1 Zst (I) 1/66 — gegen dem KZ-Arzt Fischer"* oraz na podstawie własnego udziału autora jako świadka w procesie.

[2] *S. Kłodziński*: Esesmani z oświęcimskiej „służby zdrowia". Wykaz wstępny. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 146.

przynależność *Fischera* do *SS* i jego zajęcia w Oświęcimiu, nakłonił go do pozostania w Golzow, przedstawiając *Fischera* za siostrzeńca. *Fischer* otrzymał tu dowód osobisty, wykorzystując swoje dawne zdjęcie fotograficzne.

Od 1 czerwca 1945 roku prowadził praktykę lekarską w Golzow. Tutaj też przybyła jego rodzina. Następnie krótko pracował jako lekarz w obozie dla przesiedleńców w Belzig i Gronnenfelde. Ostatecznie wystarał się o zamieszkanie w miejscowości Spreenhagen, gdzie otrzymał własny domek. W tej miejscowości poprzednio pracował lekarz także o nazwisku *Fischer*. W Spreenhagen uzyskał zezwolenie na osiedlenie. Aby zataić swoją zbrodniczą przeszłość, sfałszował wymagane ankiety i życiorysy. W celu zatarcia śladów podawał, że praktykę lekarską ukończył w Królewcu. Utrzymywał, że był lekarzem wojskowym, że z powodu choroby w r. 1942 został z wojska zwolniony i że aż do r. 1945 był lekarzem w Wodzisławiu Śląskim.

Sfałszował także życiorysy swoich starszych dzieci. Nie wspomniał, że mieszkały one okresowo w Oświęcimiu. Za pomyślną okoliczność uważał, że jakiś lekarz obozów koncentracyjnych, *dr Fischer*, jak to wynikało z wiadomości prasowych, zasądzony został w procesie norymberskim. W Spreenhagen *Fischer* praktykował, był położnikiem, a także lekarzem przemysłowym. Był przeciwnikiem rozwoju Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Interesował się wiadomościami z radia i telewizji zachodniej. W latach od 1954 r. do sierpnia 1961 r. często wyjeżdżał do Berlina zachodniego. Z końcem czerwca 1960 roku odwiedził swoich krewnych w Niemczech zachodnich. Wyśledzony, został aresztowany w dniu 11 czerwca 1965 roku w Spreenhagen.

Przeszłość obozowa *Fischera* była następująca. Został on zatrudniony w obozie w Oświęcimiu początkowo jako lekarz oddziałów *SS* (*Truppenarzt*). W marcu 1943 roku przejął dodatkowo obowiązki lekarza obozowego w Monowicach (Oświęcim III). W listopadzie 1943 roku porzucił pracę lekarza oddziałów *SS* i wyłącznie pełnił funkcje lekarza obozowego w Monowicach i podobozach. Lekarzem obozu Oświęcim pozostał do września 1944 roku. Od tej chwili aż do ewakuacji obozu kierował oddziałem chirurgicznym szpitala *SS* i równocześnie był lekarzem obozowym obozu macierzystego Oświęcim I.

Zadaniem jego jako lekarza obozowego było kierowanie szpitalem obozowym więźniów, nadzorowanie pracy lekarzy-więźniów i sanitariuszy-więźniów oraz pomieszczeń więźniów, kuchni, urządzeń sanitarnych i stanu higienicznego obozu. Jemu podlegali sanitariusze *SS (SDG)*. W praktyce jednak dbał o „sztuczne obniżenie obłożenia szpitala obozowego". Działo się to przez dokonywanie regularnych selekcji wśród chorych, wykonywanych w porozumieniu z lekarzem garnizonowym i komendanturą obozu. Selekcje polegały na odsyłaniu wybranych przez siebie chorych do komór gazowych Oświęcimia II, tj. do krematoriów w Brzezince. Było to tzw. *„Überstellung"*. Mniejsze grupy chorych wyznaczał na śmierć przez dosercowe wstrzyknięcie fenolu. Selekcji dokonywał nie tylko wśród chorych szpitala, lecz także wśród pracujących więźniów z terenu obozu bądź oddziałów pracy.

Wczesną wiosną i jesienią 1943 r. dr *Fischer* zastępował lekarzy obozowych w czasie ich urlopów czy wyjazdów służbowych z Oświęcimia I. Rozkazem komendantury obozu został powołany w lecie 1943 r. na zastępcę lekarza garnizonowego dra *Wirthsa*. Był bowiem energiczny i miał oprócz dra *Mengelego* najwyższy stopień wojskowy wśród lekarzy *SS*. Funkcję tę sprawował do ewakuacji obozu, tj. do 18 I 1945 r. W zastępstwie lekarza garnizonowego wydawał między innymi rozkazy przeprowadzania selekcji wśród transportów deportowanych, nadchodzących na tzw. rampę, zawiadywał wydawaniem gazu (cyklon B), przeznaczonego do komór gazowych, nadzorował akcję zagłady i niszczenia więźniów. Dr *Fischer* kontaktował się w zastępstwie lekarza garnizonowego z przedstawicielami koncernów i zakładów pracy, dostarczając tam odpowiednią siłę roboczą więźniów, przy czym usuwał słabych i chorych (w czasie urlopu *Wirthsa* w r. 1943 i w jesieni r. 1944).

Przez dra *Wirthsa* informowany był o „eksperymentach", które przeprowadzali *Clauberg* i *Schumann*. W nieobecności *Wirthsa* układał plany „służby na rampie" i sam brał w niej udział, a także ją nadzorował. *Wirths* zapoznał go zaraz po przybyciu z selekcjami jeszcze na starej rampie, tudzież z komorą gazową, zamaskowaną w domku wieśniaczym, gdzie obserwował pełny cykl gazowania. Od tego czasu włączył się w nadzór pracy *SS* „dezynfektorów" i całego procesu niszczenia. *Fischer* był zorientowany w planach niszczenia nadchodzących transportów. Pamiętam jedną z akcji wyniszczenia, w czasie której rozebrana kobieta z jednorocznym dzieckiem na ręku i trzyletnim dzieckiem prowadzonym za rękę biegła w czasie styczniowego mrozu 1943 r. do drzwi „sauny", pragnąc uchronić dzieci i siebie w zbawczym cieple „łaźni". Została zagazowana. *Fischerowi* udowodniono współdziałanie w zagazowaniu w okresie od końca 1942 r. do wiosny 1943 r. w czasie dwunastu akcji, obejmujących każdorazowo 250—300 ofiar, a więc co najmniej 3 000 więźniów. Obserwował przy tym usuwanie ze zwłok złotych zębów oraz akcję spalania na stosach.

Udowodniono mu też dokonywanie selekcji na rampie wśród transportów nadchodzących od końca kwietnia 1943 r. Za każdym razem przyjeżdżał on razem z „dezynfektorami", przywożąc odpowiednią ilość cyklonu B sanitarkami na rampę i ustawiał się przy torach. Przychodziło tam po 30—40 wagonów towarowych, obstawionych esesmanami. Otwierano je na rozkaz kierownika obozu w obecności *blockführerów*, wypędzano deportowanych wśród bicia, przekleństw i kopniaków na tzw. rampę. Bagaże pozostawiano w wagonach lub też skła-

dano na rampie. Zmarłych w czasie transportu wyładowywano i układano obok.

Blockführerzy wśród gwałtów i bicia formowali kolumnę marszową. Jedna składała się z mężczyzn i młodocianych, druga z kobiet, matek z dziećmi i młodocianych poniżej 16 lat. Rodziny rozdzielano natychmiast. Deportowanych lekarzy, lekarzy dentystów, aptekarzy, sanitariuszy, pielęgniarki odsyłano bez selekcji do obozu. Reszta kolumny marszowej kobiet przechodziła przed drem *Fischerem*. Upoważniony przez niego esesman zatrzymywał na krótko kobiety jedną po drugiej, a on sam oglądał każdą przez kilka sekund i decydował skinieniem palca, czy jako niezdolna do pracy ma być skierowana do komory gazowej, czy do obozu, to znaczy na śmierć przez pracę. Tak samo wyglądała selekcja wśród mężczyzn. Zdecydowanie niezdolne do pracy były matki z dziećmi, kobiety ciężarne, kalecy i inwalidzi. W taki to sposób potrafił wyselekcjonować dr *Fischer* np. transport składający się z 4 000 deportowanych w ciągu około 90 minut.

W czasie selekcji na rampie było wiele wstrząsających scen. Np. deportowanym z Węgier mówiono, że przybyli do Polski na osiedlenie. Rozdzielenie rodzin odbywało się wśród płaczu i krzyku kobiet i dzieci. Próbowały się one połączyć ze swoimi rodzicami i mężami. Trzymały się i rozdzielano je siłą. *Blockführerzy* odciągali za włosy kobiety trzymające się mężów. Nic nie wzruszało *Fischera*. Gdy 20-letnia córka nie chciała się pewnego razu odłączyć od matki skazanej na śmierć w komorze gazowej, dr *Fischer* skinieniem ręki zdecydował śmierć tej zdolnej do pracy dziewczyny. Taką samą decyzję powziął w odniesieniu do chłopca pięcioletniego, który przybył ze swym ojcem, uznanym za „zdolnego do pracy". Gdy ojciec wyjaśnił, że przecież matka nie żyje, kazał odprowadzić chłopca do grupy kobiet przeznaczonych na śmierć.

Fischer pełnił służbę na rampie od wiosny 1943 r. do maja 1944 roku co tydzień przez 24 godziny, tj. dwa razy w tygodniu po 12 godzin. Stwierdził, że wyselekcjonował w czasie od kwietnia 1943 roku do sierpnia 1944 roku 40—50 transportów o łącznej liczbie 80—100 tysięcy deportowanych. Według jego obliczeń zaledwie 25%—30% deportowanych uznał za zdolnych do pracy. Przeznaczył zatem co najmniej 55 000 deportowanych na natychmiastową śmierć w komorach gazowych. Za to barbarzyńskie działanie otrzymywał dodatkowe wyżywienie (*Sonderverpflegung*) w postaci kiełbasy, rumu bądź wódki.

W maju 1943 roku uruchomiono krematorium II. Dr *Fischer* stwierdził, że budynek krematorium i jego urządzenie robią wrażenie „wymuskanych". Przed budynkiem bowiem celem zamaskowania założono rabatki z trawy, a w oknach umieszczono paczki z kwiatami. W rozbieralni znajdowały się napisy: „Do kąpieliska".

Według własnego zeznania *Fischera* miał on w czasie od 31 marca 1943 roku do maja 1943 roku zgodnie z planem w odstępach po 10 do 14 dni nadzorować „dezynfektorów" *SS* przy wrzucaniu cyklonu B do komór gazowych oraz zabezpieczać zniszczenie ofiar. Komory gazowe miały przepuszczalność 500—600 ludzi. Przy tej pojemności drzwi komory gazowej mogły być jeszcze zamknięte. Dr *Fischer* współdziałał w ten sposób w co najmniej czterech przypadkach w zamordowaniu łącznie 2 400 deportowanych.

Jesienią 1943 r. *Fischer* brał udział w zniszczeniu dużego transportu deportowanych z Norwegii. Deportowanym powiedziano, że idą do kąpieli. Gdy jeden z deportowanych zorientował się w zamiarach esesowców, wyrwał esesmanowi pistolet i zranił dwóch esesmanów. Dr *Fischer*, mający wówczas służbę przy krematorium, zauważył, że część deportowanych przeznaczonych na śmierć ma zamiar uciekać. Wyciągnął pistolet i zabezpieczył krematorium. Ostatecznie esesmani zastrzelili w rozbieralni 10—20 deportowanych, resztę zagazowali.

W końcu r. 1943 dr *Fischer* jako pełniący służbę brał udział w zniszczeniu więźniarskiego *sonderkommanda* w baraku w pobliżu starej rampy. Kierownikiem tego *sonderkommanda* był *SS-Oberscharrführer Otto Moll*. Upił on uprzednio więźniów. Gdy zasnęli, uszczelniono pomieszczenie. Dr *Fischer* nadzorował wtedy „dezynfektorów", którzy wrzucili cyklon B w odpowiedniej ilości do baraku. Zabito wówczas 20 więźniów z *sonderkommanda*. Więźniowie bowiem z tego i innych *sonderkommand* znali zbyt dobrze zbrodnie *SS*, toteż już z góry byli skazani na śmierć, którą w określonych odstępach czasu zadawano.

Jako lekarz obozowy miał dr *Fischer* za zadanie brać udział w karaniu więźniów chłostą. Dr *Fischer* podpisem wyrażał zgodę na wykonanie tej cielesnej kary. Jednakże bardzo często nie widział delikwentów, stwierdzając zdolność do „odbycia kary". W 51 przypadkach był obecny przy jej wykonywaniu. Tak np. w dniu 28 grudnia 1943 roku zgodził się na takie ukaranie więźnia nr 116794, *Sally Koppel*. Więzień ten w dniu 7 XII 1943 r. „rozerwał ręcznik, własność obozową" i sporządził z niego onuce. Otrzymał 10 uderzeń kijem.

Wiosną i jesienią 1943 r. dr *Fischer* jako lekarz obozu macierzystego przeprowadził selekcje w szpitalu obozowym w blokach 9, 20 i 21, uważając, że szpital jest przepełniony chorymi. Po przeglądzie chorych, trwającym przy każdym z nich 15—60 sekund, decydował o tzw. „przeniesieniu" *(Überstellung)*, co oznaczało śmierć w komorach gazowych Brzezinki (zeznawali o tym świadkowie: *Drohwein, Reschke, Niedojadło, Kłodziński, Grabczyński)*. Łącznie wyselekcjonował wtedy *Fischer* około 780 więźniów, skazując ich na śmierć w komorach gazowych lub za pomocą wstrzyknięcia fenolu.

W marcu 1943 roku dr *Wirths* zawiózł *Fischera* do Monowic i przedstawił go ówczesnemu kierownikowi obozu, *SS-Untersturmführerowi Schöttlowi*, pokazując szpital obozowy. *Wirths* zwrócił mu przy tym uwagę na znaczenie wojenne produkcji tego obozu, prowadzonej przez koncern *IG-Farben*. W związku z tym

zadaniem lekarza obozowego było uważać, by nie każdy chory więzień dostawał się do szpitala. W tymże obozie jako jego lekarz *Fischer* przeprowadzał liczne selekcje zarówno w szpitalu, jak i w obozie, a wreszcie w oddziałach pracy. Na podstawie zeznań wiarygodnych świadków ocenia się tutaj liczbę wyselekcjonowanych więźniów na około 4 000.

Jednocześnie zeznawali na ten temat świadkowie-więźniowie z Monowic: *Markowitsch, Hüttner, Rausch*, prof. *Heymann, Kowalski, Niedojadło, Kośmider, Minc, Mucha, Betlen* i *Makowski*, zatrudnieni jako pisarze, lekarze, sanitariusze w pięciu blokach szpitala obozowego. Selekcje takie przeżywali przebywający wówczas jako chorzy obecni świadkowie: *Guttentag, Hoffmann, Lippmann*, dr *König, Wohl, Ehrlich* i *Tauber*.

Tylko w niektórych przypadkach udawało się obozowemu ruchowi oporu wyciągnąć poszczególnych kolegów z transportów przeznaczonych na śmierć. Dr *Fischer* sam niekiedy ratował przed śmiercią niektórych chorych. Czynił to jednak wtedy, kiedy przebieg choroby wyjątkowo go interesował. Gdy zainteresowanie minęło, los ich był mu obojętny, toteż często i tacy chorzy szli później do komory gazowej, skierowani tam przez sanitariusza *SS Neuberta*, który takie selekcje często przeprowadzał na własną rękę.

Świadek, były więzień, dr *Vitek* zgłosił raz *Fischerowi*, że w bloku kwarantanny jest dwóch więźniów chorych na zapalenie płuc. *Fischer* nie mając podstaw zakwalifikował ich jako podejrzanych o dur wysypkowy. Mimo protestów podtrzymał swoje rozpoznanie i przeznaczył wszystkich 60—70 więźniów przebywających w tej sali bloku na śmierć przez zagazowanie. Świadek, były więzień, *Rausch* przedstawił wydarzenie z 16-letnim chłopcem, dostarczonym do szpitala wskutek pobicia, po którym wystąpiły porażenia. Chłopiec wyjątkowo przebywał w szpitalu, ponieważ *Fischera* interesował przebieg zdrowienia chorego. Po półrocznym leżeniu chłopak zaczął już mówić i poruszać się o kulach. Wtedy *Fischer* przestał się nim interesować i skierował go do komory gazowej. Świadek, były więzień *Niedojadło* przedstawił sądowi zachowanie się *Fischera* po nalocie alianckim na zakłady *IG* w Monowicach. 200—300 więźniów, którym nie wolno było uciekać do schronów, zostało wtedy rannych. 100 spośród nich *Fischer* skierował do komory gazowej. Kiedy nazajutrz po nalocie trzeba było zaprowadzić do rentgena kilku chorych (zeznania świadka, dra *Makowskiego*), chorzy ci również skierowani zostali do komory gazowej. Z zeznań świadka *Markowitscha* wynikało, że więźniów skierowanych do komór gazowych wieziono razem ze zmarłymi w szpitalu odwożonymi do krematorium.

Fischer przeprowadzał selekcje nie tylko w szpitalu, lecz także w barakach więźniów zdrowych oraz na placu apelowym w czasie wymarszu i powrotu do obozu oddziałów pracy. Stał wtedy w bramie obozu razem z przedstawicielem koncernu *IG-Farben*. Polował wtedy na tzw. „muzułmanów" (zeznania świadków: dra *Vitka, Wohla, Hazai, Hoffmanna*, prof. *Heymanna, Rauscha, Brudnera, Kaudersa* i *Lippmanna*). Świadek *Hoffmann* przypomniał wydarzenie, gdy w czasie wybiórki po barakach *Fischer* natknął się na 14-letniego więźnia. Mimo protestów blokowego i stwierdzenia, że chłopiec ten pracuje w drużynie roboczej, skierował go do gazu. Z dalszych zeznań świadków wynika, że *Fischer* w czasie swoich selekcji w oddziałach pracy skierował na zagazowanie co najmniej 2 400 więźniów.

Podobne selekcje przeprowadzał *Fischer* także i w tzw. podobozach, które podlegały mu od listopada 1943 r. Dr *Cohn* był więźniem-lekarzem chirurgiem w podobozie w Jaworznie. Z jego wypowiedzi wynika, że *Fischer* w czasie comiesięcznych wizyt selekcjonował ze stanu 250 więźniów 20—30 osób, kierując je do gazu. O stanie zdrowia chorych orientował się tylko z kart gorączkowych. Podobnie zeznawał świadek *Wiener*, były więzień z podobozu w Świętochłowicach. *Fischer* kierował w r. 1944 z tamtejszej izby chorych po 10—15 więźniów na zagazowanie w odstępach 3—4-tygodniowych.

Selekcjonował on również więźniów w podobozach „Kopalnia Janina" (grudzień 1943 roku, świadek były więzień *Kasner*) i w Jawiszowicach (grudzień 1943 roku — styczeń 1945 roku, świadek *Dominik*). *Fischer* zeznał, że owe selekcje były wynikiem narzekań przedstawicieli *IG* do lekarza garnizonu *Wirthsa* i że przeprowadzał je „dla obniżenia wybitnie wysokiego stanu chorych". Taką też selekcję musiał przeprowadzić w podobozie Goleszów. Według niego tą drogą „usunął" on w czasie od listopada 1943 roku ze wszystkich podobozów 1300—1600 chorych więźniów. Z początkiem roku 1944 polecił on sanitariuszom *SS*, pracującym w podobozach, samodzielne przeprowadzanie selekcji i przysyłanie ofiar do komór w Brzezince.

Przedstawione fakty ustalił Najwyższy Sąd Niemieckiej Republiki Demokratycznej na podstawie licznych dokumentów, wypowiedzi świadków i biegłych. Przed sądem stanęli świadkowie, byli więźniowie z Węgier *Betlen* i *Hazai*, z Austrii *Rausch*, z Niemieckiej Republiki Federalnej *Hoffmann* i *Posener*, z Czechosłowacji *Radwański, Kulka, Minc, Foltynowa, Wohl*, dr *Vitek, Ehrlich, Tauber, Kasner* i dr *Mohl*, z Polski *Kosztowny, Pyś*, dr *Grabczyński*, dr *Kłodziński, Trajster, Niedojadło, Makowski*, prof. dr *Fejkiel, Kośmider, Mucha, Dominik, Joachimowski, Kowalski* i dr *Paczuła*, z Niemieckiej Republiki Demokratycznej *Markowitsch, Hüttner, Lill, Reschke, Frohwein, Lippmann, Kauders*, dr *König, Guttentag, Besch, Brudner, Amann, Wiener* i dr *Cohn*. Sąd uwzględnił także pisemne zeznania świadka prof. *Heymanna*. Nie było żadnych wątpliwości co do prawdziwości zeznań świadków. Potwierdzili to także biegli sądowi *Smoleń, Pachomow*, prof. dr *Winter* i prof. dr *Mottek*.

Na podstawie wypowiedzi świadków i zeznań oskarżonego *Fischera* udowodniono, że w czasie swojej służby jako lekarz obozowy i jako

zastępca lekarza garnizonowego w obozie koncentracyjnym Oświęcim współdziałał on w zamordowaniu co najmniej 70 000 deportowanych i więźniów obozu koncentracyjnego. Za to też odpowiadał przed sądem. Przedstawione zbrodnie lekarza *SS Horsta Fischera* działy się przed z górą 20 laty w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu i w jego podobozach. Nie podlegają one w Niemieckiej Republice Demokratycznej przedawnieniu, gdyż tylko świadomość sprawiedliwego ukarania sprawców tego rodzaju zbrodni chronić może narody przed powtórzeniem się ludobójstwa.

Dr *Horst Fischer* został skazany przez Najwyższy Sąd Niemieckiej Republiki Demokratycznej na karę śmierci. Wyrok został wykonany. Tę słuszną karę poniósł jednak jeden z licznych pionków, bezpośredni wykonawca obłędnej hitlerowskiej ideologii. Uchodził on jeszcze w oczach więźniów za stosunkowo „przyzwoitego esesmana". Jego bezwzględni mocodawcy z szeregów *SS*, ideolodzy III Rzeszy, przedstawiciele koncernów i niemieckich firm, planujący „na zimno" zagładę ludzkości, właściwi sprawcy ludobójstwa, nie trafili na ławę oskarżonych. Ten właśnie istotny aspekt został jasno i wyraźnie uwypuklony w czasie procesu dra *Horsta Fischera*. Zagadnienie to jednak wykracza poza ramy niniejszej relacji.

STANISŁAW JAGIELSKI Warszawa
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka
Hamburg-Neuengamme, Bremen-Farge, Płaszów, Gross-Rosen,Hersbruck

Psychiczne „galwanizowanie muzułmana"

Zespół redakcyjny „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" zaproponował mi napisanie artykułu opartego na obserwacjach lekarskich z lat obozowych. Gdy ma się w życiowym bagażu sześć przebytych *kacetów*, to zadanie i rachunek wydają się proste. Jest z czego wybierać. Tematyka i materiał o rozmiarach monstrualnych. W tych niesamowitych latach dominowało jednak prawie wyłącznie umieranie. Nie śmierć, lecz właśnie umieranie, powolne, odarte z okruchów godności, umieranie ludzi-nieludzi, pozbawionych często przez system obozowy cech uprawniających do zaszeregowania ich do gatunku *homo sapiens*. A na tym tle nasza lekarska działalność, pętana regulaminowym okrucieństwem obozów, nasza gorliwość tępiona wszechobecną podejrzliwością *politische Abteilung* i nasza wiedza, okaleczona brakiem rekwizytów medycznych, niezbędnych w efektywnej pracy lekarskiej.

W takiej sytuacji pewne sukcesy mogli zapisywać na swoim koncie przede wszystkim chirurdzy. Interniści wygrywali życie chorych głównie przez *Schonung* — okresowe zwolnienia od pracy w warunkach nieuchronnej śmierci. Nie z naszej winy straciliśmy również niepowtarzalną na szczęście możliwość naukowego zbadania *in vivo* tysięcy więźniów zbliżających się do bariery umierania, nie mogliśmy bowiem realizować poważnych badań *in vitro*. Dziś, gdy czytamy artykuły naukowe o badaniach metabolizmu substancji białkowej, a szczególnie o czynności i roli błony komórkowej, otwierają nam się oczy na wiele zagadnień; zaczynamy nawet, przez pryzmat wspomnianych prac, stwarzać sobie nowe pojęcie fachowe o przedmiocie zwanym „muzułman". Lecz dzisiaj uczeni budują swoje wnioski prawie wyłącznie w oparciu o doświadczenia *in vitro*, natomiast my dysponowaliśmy tysiącami przypadków *in vivo*. Z tej przewagi nie było nam dane skorzystać. Dlatego większość doniesień fachowych, publikowanych przez obozowych lekarzy, cechują raczej domniemania, w małym zaś tylko zakresie wnioski poparte naukową dokumentacją.

Wydaje się jednak, że zarówno doświadczenia z tamtych czasów, jak i obiektywne, retrospektywne spojrzenie na przeszłość upoważniają nas do podejmowania konkretnych stwierdzeń na temat stanów psychicznych ludzi krańcowo wyczerpanych głodem i ciężką pracą, na temat reakcji psychicznych tych ludzi i możliwości kierowania ich odruchami. Czytelników „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" wprowadziły już w tę tematykę w pewnym zakresie prace psychiatrów krakowskich, które rzuciły tutaj wiele światła.

Interesująca mogłaby być konfrontacja naszych spostrzeżeń z wynikami współczesnych badań *in vitro* w sensie ustalenia progu, za którym człowiek przestaje reagować na bodźce psychiczne. Bo iż próg taki istnieje, nie ulega wątpliwości. Dostrzegaliśmy go, śledziliśmy, więcej nawet, wyrobiliśmy w sobie wyczulenie na jego obecność, obserwując tysiące współwięźniów, którzy na naszych oczach przekraczali tajemniczą barierę bytu-niebytu, wsysani w stadium bezwolnej wegetacji. Usiłowaliśmy stawać im w poprzek drogi, uniemożliwiać przekraczanie krytycznej granicy. Początkowo wydawało się, że nie możemy mieć na to żadnego wpływu. Czy naprawdę? Dziś gdy uruchamiamy w szpitalach oddziały reanimacji, gdy na porządku dziennym stosuje się kardiostymulatory, gdy zewnętrznymi impulsami jesteśmy w stanie dyrygować układem nerwowym, przenoszę się myślą do dni brunatnej zagłady, gdy ginęli masowo ludzie, gdy my, lekarze, w bezradnej krzątaninie zdoby-

waliśmy się już tylko na gesty, a nie zawsze zdawaliśmy sobie sprawę, że z poczynań naszych wyzwalać mogliśmy impuls wystarczający do rozdmuchania gasnącej iskry życia.

Szermierzem koncepcji niepoddawania się nawet w obliczu pozornie niewątpliwego umierania był prof. *Mieczysław Michałowicz* [1]. W Gross-Rosen, w atmosferze obozowego koleżeństwa, Profesor przypominał nam często swoje tezy z wykładów uniwersyteckich, między innymi, że człowieka nie kształtuje jego forma anatomiczna, lecz przywileje psychiczne i charakterologiczne, które dochodzą do głosu głównie w krytycznych stanach patologicznych. „Miałem opinię łagodnego egzaminatora — mawiał Profesor. — Przesada! Przekładałem po prostu umiejętności indywidualnego rozszyfrowywania zjawisk przyrody ponad umiejętności operowania uświęconymi schematami".

Więźniami w Gross-Rosen byli przeważnie Polacy, spośród których wyłącznie rekrutował się personel lekarski. Tę wyłączność udało nam się zdyskontować w postaci utworzenia zwartej organizacji służby zdrowia, z którą liczyć się musieli wszyscy więźniowie, również faworyzowani więźniowie-Niemcy. Prof. *Michałowicz* zainaugurował cykl wykładów z dziedziny patologii i psychopatologii, z których największe wrażenie robiły rewelacyjne (jak nam się wówczas wydawało) dowodzenia o roli impulsów w stanach depresyjnych. Profesor twierdził: „Dopóki człowiek oddycha przytomnie, istnieje nadzieja wyprowadzenia go z depresji biologicznej na drodze właściwego doboru bodźców psychicznych. Nie wolno nam jednak zapominać, że psychika, to nie mięsień żaby w doświadczeniu *Galvaniego*. «Galwanizowanie» układu psychicznego wymaga dopasowania bezbłędnego bodźca oraz wybrania skutecznego terminu do zastosowania impulsów".

O trafności uwag Profesora zdołaliśmy się przekonać w licznych i różnorakich przypadkach. Mieliśmy do czynienia z materiałem ludzkim, w którym proces zmęczenia fizycznego i wyniszczenia głodowego doprowadzał do załamania sprawności psychicznej; następował okres absolutnej bierności i obojętności na wszelkie zjawiska zewnętrzne i wewnętrzne. „Muzułman" przekraczał próg umierania. Dodatkowa kromka chleba nie była już w stanie wyrwać go z apatii. Prof. *Michałowicz* twierdził, że kromka chleba jako dodatek do właściwego impulsu potrafi zdziałać cuda w sensie regeneracji psychicznej.

Zorganizowaliśmy eksperyment. W bloku nr 7 (tzw. *Schonungblock*), w którym gromadzono „muzułmanów", znaczna część więźniów nie podnosiła się już z prycz i nie przyjmowała posiłków. Pewnego dnia w porozumieniu z blokowym wysłaliśmy obozowego gońca, który wpadł do bloku nr 7 krzycząc: „Apel! Alianci zbliżają się do Gross-Rosen!" Blokowy *Paul*, członek konspiracyjnej organizacji obozowej, poderwał więźniów na nogi, polecając „sztubowym" rozdawanie chleba „na wypadek ewakuacji". I wtedy właśnie argumenty Profesora przeobraziły się w realny sukces. Wielu spośród „muzułmanów", którzy już nie opuszczali legowiska w oczekiwaniu śmierci, podniosło się z niebywałą energią, ustawiając się w kolejce po chleb. Blokowy potrafił i nadal utrzymać dyscyplinę w atmosferze fałszywego alarmu, który zresztą wkrótce potwierdził się jako prawdziwy. Przez następne dni lekarze oddelegowani do bloku nr 7 opiekowali się grupą „psychicznie galwanizowanych" „muzułmanów". Kilkunastu więźniów powróciło znad brzegu Styksu.

A zatem bodziec psychiczny, pozytywny impuls — oto, czego brak było więźniom do życia. O ten dodatek do kromki chleba musieliśmy się troszczyć również my, a może właśnie głównie my, lekarze *kacetów*. Warunki do przetrwania mieliśmy lepsze niż inne kategorie więźniów. Mieliśmy również dobrze zorganizowane wpływy na działalność pozostałych sekcji obozowych. I przyznać należy bez fałszywej skromności, że większość z nas potrafiła wyzyskać atut przewagi nie tylko dla osobistych celów.

W obozach wegetowały tysiące ludzi nieprzeciętnych wartości: aktorzy, muzycy, malarze, literaci, kompozytorzy... Któż by zliczył te tłumy, których zawód, nieprzydatny dla budowy potencjału tysiącletniej Rzeszy, skazywał ich nieuchronnie na szybką zagładę. Więźniów tych wybieraliśmy z grup roboczych, a po przywróceniu im minimalnej sprawności fizycznej oddawaliśmy ich do bloków pod opiekę zaufanych blokowych i „sztubowych". Tam mieli oni zapewnione spokojniejsze życie, tam również staraliśmy się umożliwić im częściową choćby kontynuację działalności kulturalnej. Tam właśnie pod ołówkiem inżyniera *Fiszera* powstawały kapitalne wizje architektoniczne Warszawy przyszłości, tam też narodziły się najboleśniejsze, ale i najpiękniejsze chyba strofy literackie *Marii Colonna-Walewskiej*, teksty *Morcinka* i *Rusinka*, tam ujrzały światło dzienne pełne ekspresji rzeźby i rysunki *Ksawerego Dunikowskiego*, tam komponowali *Nowacki* i *Chaponeur*, tam tworzyli *Wydrzyńscy*, *Dzieduszyccy*, *Svatkowie*, tam kultywował wirtuozerię *Stanisław Włodarski*, przed wojną pierwszy skrzypek filharmonii warszawskiej, tam śpiewał *Dembowski*, śpiewak operetkowy, występujący obecnie w teatrze „Komedia" w Warszawie, tam było wiele większych i mniejszych gwiazd. Byli nam potrzebni jako emisariusze piękna, mądrego słowa, zgrabnej strofy; byli naszym wszędobylskim duchem, neutralizującym smak hańby, byli ofiarną dłonią dla słaniających się. W ich interpretacji *Requiem* brzmiało fanfarami zwycięstwa.

Gdy front niemiecki załamał się pod Stalingradem, a buta esesmanów zmiękła, choć nawiedzały ich jeszcze napady histerycznej wściekłości, można było w obozach pozwolić sobie na niejedno, w przekonaniu, że hitlerowcy ma-

[1] Zob. też: Dwugłos o profesorze *Mieczysławie Michałowiczu* w dziale biograficznym niniejszego zeszytu.

ją i będą mieli coraz więcej kłopotów, odciągających ich uwagę od działalności więźniów w *kacetach*. Ludziom zamkniętym śmielej niż w pierwszych latach wojny dozowaliśmy optymistyczne wiadomości z konspiracyjnego kolportażu. Więźniowie odzyskiwali z wolna równowagę psychiczną. Do kromki chleba należało dodać przypraw: barw uśmiechu, cierpkości satyry, pieprzu erotyki, słodyczy melodii. Walka z marazmem na wszystkich frontach. Emisariusze słowa i pieśni zabrali się żywo do roboty. Nie było tygodnia, żeby w zakonspirowanych zakamarkach nie urządzano „biesiad wokalno-literackich". Były to, i nierzadko, pożal się Boże „częstochowskie" zebrania, na których królowała ballada dziadowska lub pieśń złodziejska, stanowiąca majstersztyk rzewnej melodii i wiechowskiego słownika. Różny był bowiem element w obozach, różne upodobania, do których musieliśmy przysposabiać również naszą twórczość. Trzeba przyznać zresztą, że „częstochowskie" ballady cieszyły się powodzeniem nie tylko w kołach prymitywnych więźniów. Zresztą to nieważne. Ważne było to, że zaobserwowaliśmy i doceniliśmy doniosłość reakcji więźniów na magię słowa. Nie definiowaliśmy wówczas charakteru akcji, stwierdzaliśmy jedynie ponad wszelką wątpliwość jej terapeutyczne działanie.

Pociski trafiające bez pudła, to liryka. Łzy wzruszenia nie przynosiły ujmy. Jeśli liryka, to i „ona". Jedni skrywali „ją" zazdrośnie przed wścibskimi nagabywaniami kolegów, drudzy skwapliwie demonstrowali „ją" w ramach bałwochwalczej legendy. Liryka jak celny strzał trafiała do jednych i do drugich.

...Z minionych wspomnień rój odprysków barwnych
na ekran powiek pamięć sennie rzuca.
Do iluż jednak chwil nieodwracalnych
nie można trafić? Brak po prostu klucza...

Jedni słuchają z zamkniętymi oczami, inni patrzą, lecz zdają się nie dostrzegać otoczenia. Myślami są bardzo daleko.

...Gdybym, jak kiedyś, śledzić przy pianinie
mógł dreszcz Twych palców przez białe klawisze,
może bym przecież w martwej plątaninie
odnalazł siebie, uśpionego w ciszę.

Żeby jednak móc myśleć o „niej", należało być w miarę sytym. Głodny więzień marzył wyłącznie o jedzeniu. Do niego adresowana była „Modlitwa o chleb":

To jest bezczelne kłamstwo nie znających głodu,
to plotka, drwiąca z prawdy, ordynarna, podła!
Chleb nigdy nie był taki, jakim go od młodu
nazywać zwykli ludzie w swych codziennych modłach.
Bo kto i w jakim celu tę legendę zmyślił?
I czemu taka piękna jest i taka czysta,
kiedy cierpiącej rzeszy prośba się nie ilści,
królestwo się nie zbliża, nie nadchodzisz, Chryste!
Nie! W takim życiu więcej nie wolno wytrzymać.
Wysłuchaj, Panie, raz choć tych, co wzrok im zmętniał,
na czarną ziemię spojrzyj jasnymi oczyma
i spraw, by kromka chleba stała się powszednia!

Jeśli nie dane im było skosztować tej powszedniej kromki, jeśli już nie znajdowali sił, by dźwignąć się do życia, stawaliśmy nad nimi w ciszy *Leichenhalle*, jakby w konfrontacji z poniesioną klęską:

Przez szpary w deskach światło cieknie,
na narach[2] leży *quelque cadavre*[3].
Oczy zamknięte, nic nie rzeknie,
już nie uśmiechnie się do barw.
Śmierć mu zaszkliła białka oczu,
usta rozwarła w okrzyk bólu,
a zwoje mózgu mrok otoczył
i z serca wszystką krew wytoczył
śmierci mróz.
Przede mną leży człeczy gruz,
którego znojny czas upłynął
i stężałymi usty krzyczy,
że wszyscy zginą, zginą, zginą...
I nie wiem, kto zacz? Kto go spłodził?
I jakiej matki ból narodzin
wydał go światu? Czyje serce
nad nim płakało w czas boleści?
I jakie myśli w głowie nosił?
I co się kryje w bruzdach lic?
Nie wiem nic.

Dla tych, którzy oczekiwali nadejścia lepszego jutra, byliśmy niewątpliwie zastępem nadziei. Spodziewali się od nas pomocy. Gdy brakło leków, w rozgrywce o życie pozostawał nam jeszcze samarytański gest i magia sugestywnego słowa, w efekcie często nadspodziewane atuty.

Tam, gdzie nieszczęście przez łeb ludzi zdzieli,
gdzie wilki wyją, chaty pustoszeją,
jawi się zastęp ludzi w bieli,
jawi z nadzieją.
Kiedy cię z rowu cierpienie wywlecze,
staniem przy tobie, lekarze nieznani;
podniesie strzępy skrwawione człowiecze
samarytanin.
Kiedy oślepniesz od wrażego blasku,
samarytanin w drodze cię podtrzyma;
będzie wieczorem i o jasnym brzasku
twymi oczyma.

Marzenia bywały rozmaite. Młodym śniła się dziewczyna. Temat śliski w środowisku erotycznie wygłodzonych mężczyzn. Podatny grunt dla wulgarnej, rynsztokowej twórczości. Należało jej przeciwdziałać, przeciwstawić też erotyk, lecz bez akcentów trywialności. Udawało się. Szczególnym powodzeniem cieszyła się wśród *häftlingów* księżycowa ballada. Księżyc, doświadczony koneser spraw miłosnych, składa słońcu raport ze swojej nocnej warty. Na raport składają się sceny miłosne, personifikujące naturę, między innymi:

Dziś nocą mgła pokryła cień kręgów na wodzie,
co biegły brzegi stawu połączyć westchnieniem.
Westchnieniem, powtarzam, połączyć. I nie wiem,
co tam głębia wyrabia z cieniem,
jak się to skończy?...
Dziś nocą wiatr gałęzie rozczesywał drzewom
i dygotał po liściach pieszczotą zuchwałą,
a drzewa, zaskoczone rozkoszy ulewą,
kołysały się miękko, na prawo, na lewo,
i szeptały, że miło, że mało...
Dziś nocą... itd.

---

[2] Nary (z ros.) — prycze.
[3] Jakiś trup.

Księżyc udaje się wprawdzie na spoczynek, ale zaszczepia słońcu *idée fixe:*

...Idę,
na gwiazdach złożę senną głowę.
Trudno mi będzie zasnąć.
Bo wiem, że w jakimś mieście
(nazwy już nie pamiętam)
leży biała dziewczyna przy oknie odsłoniętym.
Dziewczyna jest naga jak prawda.
Dziewczyna jest piękna jak burza.
Dziewczyna oczy ma w gwiazdach.
Dziewczyna usta ma w różach.
Dziewczyna milczy w mroku.
Dziewczyna czeka na kogoś,
a nie słyszy wołania, ni kroków,
ni ciemną, ni jasną drogą.
Księżyc odpłynął powoli za ciemność, za pustkę,
[za ciszę,
a słońce idzie po niebie i złotym sercem kołysze.
We wszystkie okna zagląda, zagląda we wszystkie oczy,
nie wie, że okno dziewczyny otwiera się... ku północy.

Odtrutką na wulgarną piosenkę były występy *Wojciecha Dieduszyckiego*, obozowego barda. Pamiętamy wszyscy jego „pikantne wysokie C":

Najsłodszy mi narkotyk z tych, które znam,
to czarodziejski dotyk Twych ust, *madame*...

Równą popularnością cieszyły się melorecytacje. Muzykę komponował najczęściej *Zdzisław Nowacki*, grał *Stanisław Włodarski*.

Choć czas ubiega na zegarze,
wciąż mnie nawiedza czuła scena,
gdy w twym zacisznym buduarze
preludium grałaś mi Chopina...
Dziś wiatr wtóruje mojej męce,
wygrywa coś na strunach skał...
Hej, gdyby wiatr miał twoje ręce,
to by grał, to by grał!

Jesienią, gdy nostalgia doskwierała nam najdotkliwiej:

Jesienią bywa rzewniej,
bo smutek gęstszy,
bo znad Bałtyku, od mgieł włochata,
skrzypi sośnina
i w nadwiślańskich — słyszysz — chatach
deszcz zacina.
Dzisiaj tęskna nowina
i słota skośna, słota stroma,
słota sina
i listopad
i słomy chocholej mokry aromat
w drewnianych, drewnianych płotach...

Ileż by się jeszcze dało przytoczyć przykładów, ileż wierszy cytować! Przepadły w zawierusze transportów, umknęły z pamięci. Ale czy to potrzebne? I tak już przekroczyłem ramy stylu poważnego czasopisma lekarskiego. Ktoś mógłby nawet nazwać artykuł miniaturową antologią poezji obozowej. I miałby rację. Lecz poezję obozową podsycaliśmy, a w dużej mierze sami tworzyliśmy my, lekarze, znajdując w jej krzewieniu wśród więźniów i w rezultacie tej pracy zachętę do kontynuowania wcale nie marginesowej działalności podtrzymywania więźniów na duchu. Przekonywającym faktem pozostaje wdzięczna pamięć ludzi, którym przywracaliśmy wiarę w siebie; faktem dowiedzionym są słowa Profesora, że gasnące dni ożywiać może impuls idei, trafiający w indywidualność „galwanizowanego" obiektu.

Poezja obozów koncentracyjnych zasługuje na spisanie utworów w jej skład wchodzących i na edycję odpowiedniej antologii. Ze współczesnego punktu kryteriów oceny wiele z tych utworów spotkać może zarzut, iż są one utrzymane w przestarzałej konwencji poetyckiej. Niemniej jednak przed laty, w *pandemonium* obozowym, stanowiły one świeży akcent w obozowej wegetacji, podtrzymywały nadzieję, krzepiły ducha więźniów i ta psychologiczna rola nadaje im szczególnej wartości.

Mijały obozowe lata. Nastroje się zmieniały. Zbliżał się dzień, w którym historia już bez retuszu narzucała wiarę w ostateczny triumf. Przez zakonspirowane kręgi obozowych zebrań przewijała się poezja zwycięstwa, budząca już nie tylko wolę wytrwania, lecz i gotowość do podjęcia walki.

Z mogił, co gąszczem po polach broczą, z mogił,
z rąk, co opadły jak żółte liście dębu,
wyśnisz się, wyjdziesz na drogi,
choć sztandarów zetlały już strzępy,
o, matczyna! Z jałowcowych gęstwin,
co splątały się jak strumyczki krwi w zawiły ścieg,
dasz nam drugi wiek, Jagielloński, Zwycięski,
Złoty Czas, Wielkiego Pokoju wiek!

Ryc. 1. Rzeźba ceramiczna z cyklu „Oświęcim". „Gaz". Wykonał *Zygmunt Flin*, były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 108060

EDWARD HANKE
były więzień obozu w Sosnowcu

Chorzów

Refleksje więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau, Wincentego Spaltensteina

Informacje wstępne

Wincenty Spaltenstein urodził się 18 stycznia 1888 roku w Byszowie, w ówczesnej Galicji wschodniej. W r. 1914 ukończył studia prawnicze w uniwersytecie we Lwowie. W latach następnych był sędzią w Buczaczu, we Lwowie, w Poznaniu i w Królewskiej Hucie. W r. 1925 został wybrany drugim burmistrzem miasta Królewskiej Huty, a później prezydentem Chorzowa, który powstał w 1934 r. przez połączenie Królewskiej Huty, Chorzowa, Maciejkowic, Hajduk Nowych i Wielkich. W latach 1927—1939 był wiceprezesem dzielnicy śląskiej stowarzyszenia gimnastycznego „Sokół". W mundurze tej organizacji przedstawia *Spaltensteina* załączone zdjęcie.

W okresie od 24 maja 1940 do 25 października 1941 roku Niemcy więzili *Spaltensteina* w obozach koncentracyjnych w Dachau, Sachsenhausen, Oranienburgu, Hamburgu-Neuengamme i ponownie w Dachau. Był członkiem delegatury warszawskiej rządu polskiego w Londynie. W r. 1945 *Spaltenstein* został prezydentem Gliwic. Od roku następnego był radcą prawnym Bytomskiego Zjednoczenia Chorzowskiego i adwokatem. Zmarł 2 stycznia 1958 roku.

Dnia 11 października 1940 roku gestapo wysiedliło mnie wraz z żoną i trojgiem dzieci z Chorzowa do Częstochowy. W połowie marca 1942 r. przybył do mnie *Spaltenstein*, mój dobry znajomy, późniejszy teść mojej córki, *Krystyny*. Przez granicę Generalnej Guberni przeprowadził go nielegalnie pewien członek polskiej tajnej organizacji. *Spaltenstein* na razie zamieszkał u mnie. Zabrałem się z nim zaraz do spisywania jego wspomnień obozowych. Miał wszystko w świeżej pamięci, lecz był początkowo bardzo wymizerowany, przygnębiony i trochę zahamowany, co utrudniało systematyczne pisanie czy dyktowanie. Orientację w tej tematyce ułatwiały mi własne przeżycia w obozie w Sosnowcu, opisane przeze mnie w mej książce „Trudy i oczekiwania" (Czytelnik, 1965).

Tak powstała praca obejmująca 157 stron maszynopisu i zawierająca następujące rozdziały: Wywiezienie do Dachau — Baraki — Organizacja obozu — Poranek — Apel — Kary — Szpital — Praca — Gimnastyka — Obiad — Apele popołudniowe i wieczorne — Wieczór — Kantyna — Niedziela — Orkiestra obozowa — Chór — Amatorskie przedstawienia — Przemówienia Hitlera — Dyskusje w obozie — Higiena, transporty i wizytacja — Więźniowie i ich psychologia — Psychologia oprawców — Zwolnienia, ucieczki i śmierć — Osobiste przeżycia — Oranienburg — Obóz w Hamburgu — Dachau po raz drugi — Zwolnienie.

Praca nie była dotychczas ogłoszona. Jej objętość przekracza możliwości publikacji w czasopiśmie, toteż poniżej podaję z niej dwa rozdziały, najbliższe charakterowi „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Fragmenty te dobrze oddają atmosferę i stosunki panujące w Dachau we wczesnych latach wojny, zawierają interesujące i oryginalne spostrzeżenia; zanotowane obserwacje między innymi trafnie ujmują klasowe rozwarstwienie więźniów i postawę oprawców, a nadto znajdujemy tutaj głębszą próbę opisu stosunku społeczności obozowej do hitleryzmu.

Oto dwa wybrane rozdziały.

*

DACHAU 1940—1941

I. Więźniowie obozu koncentracyjnego w Dachau i ich psychologia

Skład więźniów i ich psychologia przedstawiały się różnie. Z ogólnej liczby 15—16 tysięcy więźniów było w Dachau w czasie mego pobytu około 60% Polaków, 30% Niemców, resztę zaś stanowili: Żydzi, Czesi, Rusini, Serbowie, Francuzi i Belgowie.

Wśród Polaków było 25%—30% więźniów z warstwy inteligenckiej. Dwie trzecie Polaków zostało aresztowanych na ziemiach polskich, jedna trzecia w Rzeszy, dokąd się dostała jako jeńcy wojenni oraz jako przymusowi bądź dobrowolni pracownicy rolni lub przemysłowi. Powodów uwięzienia nie wyjawiano więźniom w 95% wypadków. Przeważali ludzie od 35 do 55 lat życia; najmłodszy miał w chwili uwięzienia 16 lat i jeden dzień, co dawało powód do dowcipów, bo 15-letnich nie wolno było wtedy umieszczać w obozach. Najstarszy Polak, którego spotkałem w obozie, miał 72 lata. Młodzież polską trzymano przez pewien czas w dwóch osobnych blokach. Niepełnoletnich brano wtedy do lżejszych prac, najmłodszym dawano niekiedy większą porcję strawy, zwłaszcza, że śmiertelność wśród nich była bardzo wielka.

W obozie było dużo polskiej szlachty, a w bloku 13 zgromadziło się przez pewien czas 11 hrabiów. Prześladowano ich szczególnie zawzięcie, podobnie jak księży i zakonników. Los ich był ciężki, aczkolwiek niektórzy z nich dostosowywali się nieźle do życia obozowego. Tak np. jeden z nich zgłaszał się regularnie do czyszczenia ustępów, dzięki czemu zyskał sympatię izbowego, który stawiał go innym za wzór. Los zrządził, że musiał on kilkakrotnie nosić kotły z jedzeniem do spółki z koniokradem, którego kiedyś oddał do sądu. Koniokrad wykazywał jednak respekt i pomagał, jak mógł, „swemu hrabiemu".

U każdego więźnia, który dostawał się do obozu, górowała początkowo ciekawość zapoznania się z tym nowym światem, tak odmiennym od życia normalnego. Ustępowała ona stopniowo, w miarę wnikania w szczegóły reżimu obozowego. Następowało przerażenie, a wkrótce przygnębienie. Każdy stawiał sobie pytanie, czy przetrzyma tę próbę i jak długo ona potrwa. Przez pewien czas żywił nadzieję, że wydostanie się z tego piekła po kilku miesiącach, a najpóźniej po pół roku. Dopiero rozmowy ze starymi więźniami, jak i pogadanki urządzane przez izbowych na temat życia obozowego i przepisów obowiązujących w obozie uświadamiały nowo przybyłym, że pierwsze kilka tygodni pobytu w Dachau, podczas których wówczas z reguły oszczędzano jeszcze świeżo internowanych, stanowiły tylko „przeszkolenie", zatem najłagodniejszy rodzaj katorgi. Mimo to stawiany przez tych funkcjonariuszy horoskop, że większość wyjdzie z obozu nie przez bramę na wolność, ale przez komin krematorium, nie znajdował wiary.

Potworne warunki życia obozowego polegały na stałym uczuciu głodu i zimna, na ustawicznym lęku przed karą i niepewnością życia, na przymusie współżycia z ludźmi wrogo usposobionymi, a nawet zbrodniczymi, w systemie niewolniczym, regulującym w najdokuczliwszy sposób każdy drobny przejaw życia. Systematycznie poniewierana godność ludzi wartościowych, inteligentnych i pozostających dawniej na stanowiskach kierowniczych, publiczne policzkowanie i obijanie kijami bez możności najmniejszej reakcji — wywoływały straszne przygnębienie i obrzydzenie życia. Ponieważ znaczna część więźniów była wyłącznie biernym produktem otoczenia, które urabiało ich psychikę, dochodzili oni w obozie do przekonania, że spotykany gwałt i brutalność są czymś normalnym i koniecznym i przyswajali sobie ten sam ton wobec współtowarzyszy.

To wszystko doprowadzało wnet do zmiany osobowości więźnia, zagrożonej wrogimi warunkami. Odpadały szybko cechy nabyte, nie złączone istotnie z danym charakterem. Spadały maski i uwidaczniało się, jakim był człowiek w głębi swego serca. Przeważna część więźniów zamieniała się w ten sposób w skrajnych egoistów, gotowych bez skrupułów ratować siebie choćby śmiercią drugich. Mimo groźby strasznych kar nawet inteligenci kradli swym towarzyszom chleb, mimo że pozbawiali ich w ten sposób możności życia. Inni zamieniali niewyczyszczone menażki, pakując je do szafki kolegi, za co ten otrzymywał niewinnie karę słupka. Tak obóz demoralizował ludzi, a zwłaszcza niewyrobioną młodzież, którą brutalni więźniowie terroryzowali, ażeby się nią bezprawnie wysługiwać.

U typów słabszych, często przynależnych do sfer inteligencji, następowało w tych warunkach szybkie załamywanie się. Stawali się smutni i apatyczni, stronili od innych, płakali, nie jedli, chudli, tracili pamięć (objaw spotykany w mniejszej mierze u wszystkich), doznawali osłabienia słuchu i węchu i z wolna marnieli.

Szczególnie tragiczny był los tych więźniów, którzy zostali brutalnie wyrwani ze środowiska osób łagodnych, kulturalnych, etycznych, intelektualnie i artystycznie wyrobionych, a w obozie dostali się do piekła ludzi krzykliwych, gwałtownych, zbrodniczych i tępych i musieli w tej odmiennej sytuacji przebywać stale, od rana do nocy. Zniknął dawny komfort, do którego przyzwyczajano ich od dzieciństwa i który pokochali całą duszą. Najjaskrawiej uwidaczniało się to u więźniów pochodzących z arystokracji. Fryzjer nie ondulował i nie perfumował włosów jaśnie pana, manicurzystka nie pielęgnowała białych rączek, kamerdyner nie ubierał w starannie odprasowane, wykwintne ubrania i lakierki, a kucharz nie dogadzał wybrednym zachciankom. Ścięto im włosy do skóry, dano pasiasty, wygnieciony i niedostosowany kaftan skazańczy i drewniane trepy; ręce tych więźniów były spracowane, brudne, popękane i okaleczone; głód dokuczał im ustawicznie. W domu czy pałacu byli przedmiotem szacunku i kultu otoczenia, dogadzano im na każdym kroku i obsługiwano

ich. Teraz szydzono z ich niezaradności i pochodzenia, popychano ich i gardzono nimi. Kiedyś rozkazywali setkom ludzi, teraz musieli obsługiwać prostego fornala. Komenderował nimi lada chłystek i bandyta, bił ich i wyznaczał im pracę ponad siły, do której nie byli przyzwyczajeni. Dbali dawniej przesadnie o honor i stawiali go często ponad życie. Gdy im ubliżono, pojedynkowali się; tu znosić musieli bez szemrania ustawiczne upokorzenia i upodlenia, nawet wyzwiska, policzkowania i kopniaki. Mieli się gorzej od innych. Ich świat, wytworzony wiekową tradycją, zniknął dla nich bezpowrotnie, a nowy był wprost ohydny. Nie warto im było w tych nędznych warunkach żyć i męczyć się bezcelowo. Tęsknili zatem za śmiercią i ginęli jak cieplarniane kwiaty, wystawione na zimny deszcz i wichurę.

Inni znów dziczeli i byli stale podenerwowani. U obydwóch typów dochodziło do stanów psychopatycznych, których specjalną formą była nerwica lękowa. Zdarzało się, że opętani nią chowali się podczas apelu między sienniki lub — w jednym wypadku — w ustępie pod deską siedzeniową; skończyło się to tragicznie, bo rozzłoszczony izbowy wepchnął tego biedaka do ustępu, gdzie się utopił.

Zdarzały się też typy bardzo zaradne, które umiały wżyć się jako tako w straszne warunki, nawiązywały kontakt z pielęgniarzami szpitalnymi lub kantyniarzami i prowadziły wnet tajny handel środkami spożywczymi, uzyskując przekupstwem różne udogodnienia.

Niemała była w końcu liczba osób szlachetnych, których charakter nie tylko nie został spaczony przez ucisk, lecz przeciwnie, zabłysnął wtedy tym jaśniej. Tacy bohaterowie, a nawet święci przynosili kolegom ulgę w pracy, dzielili się z nimi papierosami i żywnością. Pocieszali zmartwionych i uciemiężonych, chociaż sami nie mniej od nich cierpieli. Niemal w każdym bloku wyróżniały się takie zacne jednostki i nadawały ton otoczeniu. Zawodowi literaci i poeci pisali po kryjomu w wolnych chwilach małe utwory na temat cierpienia, walki i rozpaczy, miłości ojczyzny, tęsknoty itp.; kursowały one w gronie wtajemniczonych z rąk do rąk, a niektórzy uczyli się ich na pamięć, aby przekazać je potomności.

Nie istniała w obozie żadna ogólna serdeczność koleżeńska, jakiej by można oczekiwać u ludzi rzuconych w środowisko zagrażające ich życiu, i to ani między Polakami, a tym bardziej między Niemcami. Tworzyły się jednak grupy przyjaznych współwięźniów. Można było zauważyć to szczególnie dobitnie u księży, którzy nadto wykazywali najmocniejszego ducha i największą odporność moralną. Uwydatniał się często lokalny patriotyzm, który łączył więźniów pochodzących z tej samej miejscowości; nie było antagonizmów dzielnicowych.

Ważną przyczyną rozbicia solidarności polskiej w obozie była wielka różnica poziomu intelektualnego i pochodzenia klasowego więźniów, a nadto naturalny rozdźwięk panujący między typem narodowo-religijnym a narodowo-wolnomyślnym. Niższe warstwy, mające bezwzględną przewagę liczebną, niekiedy bojkotowały i szykanowały inteligentów.

Przyjaźń łączyła Polaków i Serbów, niekiedy i Czechów, a wyjątkowo tylko Polaków i Niemców. Ci ostatni byli bowiem nawet jako więźniowie zwykle zarozumiali i domagający się pierwszeństwa.

Przykro odczuwano stałe rozbijanie grup zaprzyjaźnionych wskutek ustawicznego przenoszenia z bloku na blok i wpychania w coraz to nowe środowiska. Najprzykrzej było dostać się z bloku polskiego na blok narodowościowo mieszany, ponieważ wspólny język polski wytwarzał atmosferę rodzinną. Również pobyt w bloku inwalidzkim był deprymujący, gdyż zmuszał do stałego oglądania niewymownej nędzy ułomnych, wyniszczonych fizycznie i dogorywających starców. Każdy dzień przynosił tam kilka wypadków zgonów, które następowały na oczach wszystkich, a o każdej porze leżało kilku ludzi w agonii. Jak wielka była śmiertelność w bloku nr 25, świadczy fakt, że w jednym kwartale zmarło tam około 600 osób.

Nikt nie poruszał w obozie tematów seksualnych i można było zauważyć całkowity zanik zmysłowości. Snadź natura, mobilizująca wszelkie siły do walki o utrzymanie zagrożonego życia, dławiła ten instynkt zbędny w danych warunkach. Natomiast rozmawiano często o jedzeniu i o wyszukanych potrawach. Głód dokuczał wszystkim i to w miarę zmniejszania się wagi ciała coraz silniej. Ciągłe przebywanie na świeżym powietrzu i słońcu oraz ustawiczna praca fizyczna wzmagały go. Nie był to ból, ale uczucie przykrej próżni i niepokoju. Nowo przybyłym porcja jedzenia wydawała się na ogół początkowo dość obfita, wnet jednak okazywała się zbyt mała. Byli ludzie, którzy pod wpływem stałego głodu nie mogli myśleć o niczym innym, jak tylko o jedzeniu. „Najeść się do syta, a potem umrzeć" — było ich hasłem. U komunistów niemieckich zaś, którzy przebywali w obozie już od wielu lat, obserwowano — całkiem przeciwnie — zanik apetytu. Ustrój ich przestawił się widocznie na bardzo oszczędną przemianę materii.

Wszyscy tęsknili za domem. Gdy spostrzegli z dala ptaki, przekazywali im w duszy pozdrowienia dla swych miłych. A przelatywało nad obozem z górnobawarskich jezior bezustannie ptactwo wodne, jak czaple, bociany, bekasy, czajki, dzikie gęsi i kaczki, pojedynczo lub kluczami. Zadziwiało wszystkich, że nie przelatywały one nigdy nad samym obozem, chociaż siadały niekiedy tuż obok niego lub w sąsiednich ogrodach. Stroniły najwidoczniej od tego nieszczęsnego i przeklętego miejsca.

Sentyment ogólny kierował się ku zwierzętom, czyli ku tuzinowi psów i dwom kotom. Więźniowie zazdrościli psom, że mogły swobodnie biegać i jeść do syta. Wytresowano je widocznie w nastroju wrogim do więźniów, bo nie zbliżały się do nich i nie dawały się im pogłaskać.

Z ogrodu zielarskiego widać było w odległości około 60 kilometrów pokryte śniegiem

szczyty Alp. Im się dokładniej rysowały, tym pewniej tego samego lub następnego dnia padał deszcz. Widok Alp przywodził na myśl Szwajcarię, krainę wolności, do której tak chętnie każdy by uciekł, gdyby tylko znalazł sposobność.

Powszechna była żądza zemsty za doznane straszne krzywdy. „Gdy mnie zwolnią, nie pójdę do domu, ale odszukam tego łotra i zgładzę go" — tak lub podobnie mówiono. Więźniowie wymyślali w fantazji specjalne męki, które miały spaść na katów. Inni zaś pragnęli, aby cały naród niemiecki pokutował za cierpienia sprawione Polakom. Dyskutowano również nad własnym losem na wypadek, gdyby reżim hitlerowski nagle się załamał czy to wskutek rewolucji, czy też klęski. Uświadamiano sobie, że wtedy władze niemieckie mogłyby nakazać rozstrzelanie wszystkich internowanych, aby uniknąć ich zemsty, i że trzeba będzie w krytycznej chwili uprzedzić te wrogie zamiary przez obezwładnienie straży. Dawano do zrozumienia, że tajna organizacja komunistyczna przygotowała się na tę ewentualność.

Znacznie przeważająca część więźniów narodowości polskiej była nastawiona narodowo, a liczba komunistów była znikoma. Warto podkreślić, że poczucie narodowe u niektórych Polaków rozwinęło się do form najszlachetniejszych. Gdy rodzina pisała takim więźniom, że mogliby być zwolnieni z obozu, jeżeliby krewni pozostający na wolności przyznali się do narodowości niemieckiej, wówczas błagali pisemnie, by żaden krewny nie zapierał się polskości, chętnie bowiem umrą za sprawę narodową. Na odwrót, byli i tacy, którzy przeklinali Polskę i własny los, twierdząc, że jest im obojętne, pod jakim reżimem żyją. Liczba tego rodzaju Polaków nie przekraczała jednakże 10%. Gdy izbowi w dyskusjach wieczornych wytykali Polakom rzekome mordowanie *volksdeutschów*, niektórzy odważni patrioci, nie bacząc na osobiste niebezpieczeństwo, zbijali niemieckie kłamstwa propagandowe. Gdy zarzuty takie w formie wyzwisk gestapowcy podnosili podczas apelów, nie istniała już możność obrony, gdyż próba taka równałaby się natychmiastowej śmierci.

Podobne warunki istniały również u uwięzionych Czechów, aczkolwiek liczba komunistów była tam większa. U Niemców przeważał za to żywioł komunistyczny w sposób decydujący. Starzy komuniści niemieccy, znający się w obozie od lat, żyli często między sobą jak bracia, wspierali się nawzajem, nie wypierali się swych przekonań, a nawet byli z nich dumni. Starali się dopuścić do stanowisk funkcyjnych w obozie jedynie swoich współideowców. Było w Dachau wówczas około 60 komunistów, którzy walczyli już w Hiszpanii przeciw zwolennikom generała *Franco*. Znajdowała się jednak tam także garstka niemieckich narodowców z hiszpańskiej legii antykomunistycznej „*Condor*". Komuniści pokładali swe nadzieje w przewidywanym przez nich upadku reżimu hitlerowskiego. Wierzyli, że dojdzie do tego dzięki zwycięstwu Rosji, do której potęgi mieli nieograniczone zaufanie, nawet w najkrytyczniejszych chwilach. Głosili, że Rosja wciągnie wojska niemieckie aż pod samą Moskwę, ale stolica ta nie podda się im; wróżyli, że bolszewicy wykończą armię *Hitlera* w porze zimowej. Mniemali, że Rosja sama nie sprosta wyzwoleniu podbitej Europy i że będzie musiała w tym celu oprzeć się na komunistach niemieckich, przy czym oni sami odegrają istotną rolę. Twierdzili nadto, że Polska powstanie jako państwo sowieckie.

Spośród Niemców nacjonalistycznie nastrojeni byli prawie wyłącznie Niemcy z Sudetów i Austriacy. Wszyscy, zarówno Niemcy, jak i inne narodowości, byli wrogami reżimu hitlerowskiego.

Wiara, że Niemcy wojnę przegrają i to wkrótce, była powszechna i stanowiła ucieczkę znękanych dusz, tworząc główne źródło ich wytrzymałości fizycznej. Niekorzystne dla Niemców wiadomości polityczno-wojskowe przyjmowano zatem z prawdziwą radością, korzystne zaś wywoływały przygnębienie. Panował ogólny i przesadny optymizm, wyrastający z nieistotnych szczegółów, które komentowano jednostronnie. Wiadomości czerpano z gazet niemieckich, czytywanych „między wierszami" lub wręcz na opak; wiadomości te otrzymywano od nowo napływających więźniów, od funkcjonariuszy obozowych, którzy w chwilach niekontrolowanych mieli dostęp do radioaparatów obozowych komendy, lub od tych gestapowców, którzy należeli prawdopodobnie do jakiejś tajnej organizacji komunistycznej lub jej sprzyjali. Mówiono nawet, że więźniowie-funkcjonariusze obozowi, zorganizowani w tajnej komunistycznej organizacji, posiadali przez długi czas własny aparat radiowy, ukryty w nieczynnym kotle stacji dezynfekcyjnej, położonej w ogrodzie. Aparat ten, przemycany w częściach z miasta, został wykryty, a jego obsługa rozstrzelana. Niektóre wiadomości pochodziły zapewne z kół komunistycznych z miasta. Część informacji wynikała nadto z bujnej fantazji plotkarzy, którzy wyżywali się puszczaniem „bomb" o nagłej zmianie reżimu, o ustąpieniu *Mussoliniego*, o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Amerykę itp. Te hasła „ustępowe" (*Latrinenparole*) obiegały cały obóz w mgnieniu oka. Każdego wieczoru, gdy więźniowie leżeli w łóżkach, referowano wiadomości bieżące w sposób dziwnie nie krępujący, a w tych dyskusjach brali udział również izbowi, solidaryzujący się tu wyjątkowo ze swoimi podwładnymi. Zdarzało się wprawdzie, że gestapo miało w izbach konfidentów, którzy denuncjowali takie rozmowy, ziejące nienawiścią do reżimu, lecz były to wypadki tak rzadkie, że nikt się z nimi nie liczył. Pokrzepiały te rozmowy na duchu i były potrzebne nie mniej niż pożywienie.

Rozpasany optymizm obozowy miał w sobie coś chorobliwego. Tak jak innych, opanował on również i mnie. Kładąc się spać, miałem wrażenie, że w ciągu nocy musi wydarzyć się coś, co od razu obdarzy mnie wolnością. Razu pewnego, gdy leżałem już w łóżku, sekretarz

blokowy przyniósł z kancelarii starszego obozu (sekretarze udawali się tam bowiem dotąd zarówno z rana o godzinie 4,10, jak i wieczorem, po instrukcje) wiadomość, że *Hitler* rzekomo ustąpił, a generał *Brauchitsch* ogłosił dyktaturę wojskową. Wieść ta wywołała powszechny szał radości, tak że więźniowie powyskakiwali z łóżek, zaczęli się ściskać i całować, a nawet tańczyć. W objęciach trzymali się nawet Polacy i Niemcy. Radowano się aż do późnej nocy, a entuzjazm ten ogarnął wszystkie bloki. Tym gorsza była depresja, gdy nazajutrz bajka się rozwiała.

II. Psychologia oprawców

Nie mniej swoista od psychologii więźniów była psychologia ich oprawców, czyli więźniów-funkcjonariuszy obozowych oraz gestapowców.

Więźniowie-funkcjonariusze byli na ogół typami bezwzględnymi i okrutnymi, pozbawionymi wszelkiego uczucia człowieczeństwa i humanitaryzmu. Władze obozowe przeprowadzały starannie ich selekcję i dobierały sobie właśnie funkcjonariuszy bezwzględnych i brutalnych, aby przy ich pomocy wykończyć więźniów. Byli to wyłącznie Niemcy przebywający w obozie od 3 do 5 lat. Kilku z nich brało jeszcze udział w budowie obozu (obóz koncentracyjny w Dachau został założony w marcu 1933 roku). Mówiono, że na stu takich bywalców pozostało tylko siedmiu, a i oni wyczekiwali już niedługo śmierci. Wszyscy przeszli kolejno przez liczne obozy, wielu było kalekami lub chorowało. Straszne przeżycia zrobiły z nich nienormalnych dziwaków, stale podlegających zmiennym nastrojom, to porywczo-brutalnym, to znów łagodnym wzruszeniom. Wobec komendy byli oni zawsze uniżenie ulegli. Przed uwięzieniem byli to z reguły robotnicy lub drobni handlarze; zdarzali się jednak i wyżsi wojskowi, a był wśród nich nawet jeden minister i wiceminister.

Na 30 blokowych, którym kolejno podlegałem, spotkałem się tylko raz z człowiekiem ludzkim, a dwa razy z osobnikami porządniejszymi. Połowa wymienionej kategorii funkcjonariuszy była wcielonymi szatanami, reszta zaś gwałtownikami, u których można było od biedy wytrzymać. Wielu z nich miało swoich faworytów; okazywali swe względy to młodzieży, to starcom, śpiewakom, muzykom, a często szachistom, których wtedy zamęczali partiami. To nie chroniło takiego partnera od tego, by w kilka minut po ukończeniu gry nie został pobity do krwi za jakąś błahostkę, a w pół godziny później znów został zmuszony do nowej partii.

Podobne przykre sytuacje obserwowałem w bloku inwalidzkim, gdzie blokowy, stary komunista niemiecki, który walczył w Hiszpanii w armii republikańskiej, zapragnął nauczyć się języka hiszpańskiego, aby po wojnie wyprowadzić się do tego kraju swych marzeń. Podręcznik języka wypożyczyła biblioteka; blokowy wybrał sobie niemieckiego nauczyciela, który znał ten język. W czasie jedno- do dwugodzinnych lekcji więźniowie musieli siedzieć cicho jak myszy pod miotłą, bo każde słowo i każdy ruch przyprowadzały blokowego do pasji. Obowiązek udzielania lekcji nie dawał nauczycielowi żadnych przywilejów, przeciwnie, po lekcji blokowy zarządzał przegląd rzeczy i z lubością tłukł właśnie swego instruktora, aczkolwiek ten nieszczęśliwiec miał wolne chwile zajęte lekcjami i nie mógł zajmować się porządkowaniem tak dokładnie, jak inni. Zrozpaczonemu pedagogowi udało się po kilku miesiącach zmienić blok i uwolnić się od przykrego obowiązku.

Anomalię psychiczną funkcjonariuszy obozowych tłumaczyli sobie więźniowie w różny sposób. Zbydlęcenie mogło być wywołane stałym widokiem krzywd, wskutek czego zdolność normalnego odczuwania cierpień bliźniego została z czasem zniweczona. Trwałe usunięcie poza nawias społeczeństwa mogło również wywołać taką psychopatyczną reakcję, za czym przemawiało spostrzeżenie, że najgorszymi katami byli właśnie ci, z którymi rodziny zerwały wszelki kontakt. Często funkcjonariusze, jak sami się do tego przyznawali, mścili się na niewinnych ofiarach za krzywdy własne i swoje zmarnowane życie. Niekiedy uniewinniali się, że w obozie obejmującym różnorodne, a często zbrodnicze typy, byli zmuszeni do posługiwania się terrorem dla uniknięcia nieporządków i utrzymania się na uprzywilejowanym stanowisku. Że takie rozważania i metody były dla nich istotne, potwierdzało bicie podwładnych wtedy najzawzięciej, gdy przyglądali się im gestapowcy. O tym, że takie tłumaczenie miało realne podłoże, świadczyła rozmowa, którą podsłuchałem pewnego dnia:

— Blokowy!

— Według rozkazu, panie *scharführer!*

— Wielu zmarło dziś w bloku?

— Trzech.

— Tylko trzech? W bloku jest prawie 800 ludzi, a trupów dziennie dwóch do trzech! Śmieszne! Masz władzę dyktatorską, jak cesarz rzymski wobec niewolników. Nawet twój nędzny pisarz jest tu tak potężny, jak poza obozem minister. A jednak nie możesz dać rady, niedołęgo!

— Poprawię się, panie *scharführer!* Dziś wieczorem każę wszystkim stać w koszulach w deszczu przez godzinę. To wystarczy. Będą umierać jak muchy! Statystyka się polepszy.

— Czas najwyższy!

— A może dopomógłby mi pan, panie *scharführer*? Tych dwóch tam, którzy wyrywają teraz trawę, pracuje mimo nagany opieszale.

— Dobrze! Zaraz się z nimi załatwię!

Gestapowiec podszedł do wskazanych i dwoma strzałami położył ich trupem.

•

Niektórzy funkcjonariusze przemieniali się w warunkach rygoru obozowego w fanatyków porządku regulaminowego, a ambicja ich wyżywała się w chęci zaprowadzenia w swoim

bloku najlepszego ładu. Życie ludzkie nie znaczyło dla nich nic, a porządek — wszystko. Inni spośród nich, widząc, że sami byli skazani na dożywotnią karę pobytu w obozie, zazdrościli zwolnionym i tym, którzy mieli możliwości zwolnienia, zatem Polakom, a zazdrość ta przeradzała się w złość i nienawiść.

Komendant obozu, który miał na sumieniu śmierć tysięcy ludzi, był typem ostrym i bezwzględnym. Stykał się on z więźniami tylko wyjątkowo, a swe szykany wykonywał za pośrednictwem więźniów-funkcjonariuszy, bo cała piekielna hipokryzja obozu polegała właśnie na maltretowaniu i zabijaniu więźniów przez ich współtowarzyszy. Gdy komendant wydawał osobiście zarządzenia dotyczące więźnia, cechowała je brutalna srogość. Strażników-gestapowców trzymał żelazną łapą w bezwzględnym rygorze. Mimo to zdarzały się epizody, które stwarzały dla więźniów nierozwiązalne zagadki.

Pewnego dnia komendant obozu zauważył podczas inspekcji 18-letniego polskiego chłopca palącego cygaro, a na domiar złego cygara takiego w obozie nie sprzedawano.

— Dlaczego palisz? — zapytał.

— Ząb mnie boli.

— Czy nie wiesz, że przy pracy palić nie wolno?

— Otrzymałem pozwolenie.

— Od kogo?

— Nie mogę zdradzić.

— Skąd masz cygaro?

— Znalazłem je.

— Czy wiesz, co cię czeka?

— Słupek.

— Tu masz jeszcze jedno cygaro, zapal je.

Chłopaka nie ukarano, co było dla wszystkich niepojęte.

Komendant obozu przeprowadzał się do nowego mieszkania. Wybrał sobie kilku więźniów i zaprowadził ich do swej żony.

— Ona wskaże wam pracę i musicie jej rozkazów bezwzględnie słuchać. Macie pracować bez wytchnienia. A ty, żono, znasz regulamin obozowy. Nie wolno więźniom siadać, palić lub jeść. Gdybyś się wyłamała spod tego rygoru, musiałbym się z tobą policzyć! — zapowiedział i wyszedł. Żona zaś zakomenderowała:

— Proszę panów siadać! Wypoczniecie sobie. Oto są papierosy i cygara. Proszę się obsłużyć. Zaraz służąca przyniesie jedzenie i piwo. Jeżeli nie starczy, przyniesie więcej. Nie spieszcie się z robotą, bo mamy kilka dni czasu.

Oszołomieni więźniowie nie wierzyli początkowo szczerości zaproszenia, lecz niebawem przekonali się, że żona komendanta traktowała ich raczej jako swych gości niż jako pracowników. Praca ta trwała przez osiem dni z każdorazowym obfitym poczęstunkiem, po czym komendant podziękował wszystkim za dobre wywiązanie się z zadania. Więźniowie zastanawiali się, czy wiedział o postępowaniu żony i czy kierowała się ona chęcią częściowej ekspiacji zbrodni męża.

Strażnicy podoficerowie-gestapowcy, zatrudnieni w magazynach, kantynie, kuchni oraz jako nadzór bloków, byli na ogół surowi, lecz wyrachowani, zatem łasi na dochody uboczne, składające się z kradzionych przez więźniów i dostarczanych im środków żywnościowych z kuchni i kantyny, nasion, kwiatów, warzywa i owoców. Zastrzegali się zawsze, że w razie wykrycia kradzieży więzień winien wziąć na siebie całą odpowiedzialność. Niekiedy gestapowcy otrzymywali zezwolenie komendanta na zabranie ograniczonej ilości produktów rolnych; brali wtedy przy pomocy więźniów przydziały kilkakrotnie większe.

Zwykli strażnicy-gestapowcy żyli w ustawicznym strachu przed komendą. Ich regulamin nakazywał im najsurowsze traktowanie więźniów, a jednak złagodzili oni z biegiem wojny, a zwłaszcza od wybuchu kampanii rosyjskiej, swe postępowanie. Zdecydowanych okrutników było wśród nich około 75%, 15% miało charakter zmienny, a 10% ustosunkowywało się przychylnie do więźniów. Byli tacy, którzy wprost polowali na ludzi zbliżających się do strefy zakazanej, aby ich zastrzelić i uzyskać w nagrodę dwutygodniowy urlop. Niepojęty był dla więźniów charakter tych katów. Nie umieli się inaczej odzywać, jak krzykiem i wyzwiskami. Nie znali innej reakcji, jak pchnięcie, uderzenia i kopnięcia, wymierzane ze szczególną satysfakcją najsłabszym i najstarszym. Czy byli zawsze takimi anormalnymi ludźmi, nawet w pożyciu rodzinnym? Czy tylko widok ubioru więziennego wprowadzał ich w szał? Najgorszymi byli starsi, noszący niższe szarże, zatem omijani w awansie najwidoczniej za jakieś wybryki. Całą złość za zawód doznany w służbie wyładowywali na biednych więźniach. Inni zaś, szczególnie Austriacy oraz Niemcy z Sudetów, którzy w swym sercu sympatyzowali z ofiarami nazizmu, utrzymywali bliższy kontakt z więźniami, starymi znajomymi. Wypowiadali się oni np. następująco: „W opinii publicznej wy więźniowie jesteście bohaterami, my zaś pogardy godnymi oprawcami. A jednak spełniamy tylko nasz przykry obowiązek. Gdyby to od nas zależało, zwolnilibyśmy was wszystkich".

Nie zawsze takie sentencje były bezinteresowne; często stanowiły tylko wstęp, aby otrzymać skradzione owoce.

Na ogół Niemców strażnicy traktowali stosunkowo łagodniej, Żydów i Polaków zaś najgorzej. Najwięksi okrutnicy spośród nich, z reguły zwyrodniali zboczeńcy, sami dostawali się z czasem dość często za różne przewinienia służbowe do obozu jako więźniowie. Były to bowiem typy niepohamowane, a ich nieokiełzana namiętność, podżegana wciąż nowymi wybrykami, doprowadzała ich prędzej lub później do niesubordynacji. Wiadomości takie oczywiście wywoływały w obozie radość i zadowolenie.

RYSZARD ZABŁOTNIAK Białystok

Pomoc lekarzy dla ruchu oporu we wschodniej Białostocczyźnie

Ruch oporu na Suwalszczyźnie działał w znacznie cięższych warunkach niż w innych rejonach kraju, gdyż ziemia ta była przyłączona do Rzeszy. Mimo dość licznego napływu niemieckich kolonistów działały na ziemi suwalskiej liczne oddziały partyzanckie, polskie i radzieckie [1]. Możliwe to było dzięki ofiarnej pomocy ludności. W każdej miejscowości działały terenowe placówki żołnierzy podziemia. Osobista walka i pomoc walczącym ze strony lekarzy i pielęgniarek przybrała w tych okolicach tak szerokie rozmiary, że właściwie nie było niezaangażowanego polskiego pracownika służby zdrowia.

W Suwałkach lekarz weterynarii *Paszkiewicz* w kilku wypadkach udzielał pomocy rannym konspiratorom. Za ukrywanie kapitana *Bielickiego* (pseudonim *„Ziomek"*) został zamordowany wraz z całą rodziną (łącznie 4 osoby).

Począwszy już od roku 1939 przez cały okres okupacji regularnie był wzywany do rannych felczer *Józef Niemunis*. Wzywano go nawet częściej niż wielu równie chętnych lekarzy ze względu na jego swobodę poruszania się. Felczer ten jako pracownik terenowej służby epidemiologicznej otrzymał od władz okupacyjnych specjalną przepustkę. Uzyskanie zezwolenia ułatwiał fakt, że podówczas już *Niemunis* nie należał do ludzi młodych. Z uprawnień swoich korzystał także do okresowego tworzenia miejsc dla Niemców niedostępnych ze względu na „choroby zakaźne". Przesadna często obawa okupanta zwłaszcza przed durem wysypkowym w określonych wypadkach bardzo się przydawała.

Do rannych i ukrywających się chorych udawał się felczer *Niemunis*, pokonując nieraz znaczne odległości w różnych porach doby, bez względu na obowiązującą godzinę policyjną. Z uwagi na szeroką działalność ruchu oporu udzielał nielegalnej pomocy przeciętnie w kilku wypadkach w każdym tygodniu. Dostarczał także materiałów opatrunkowych i leków, które uzyskiwał z dużym trudem [2].

Dr *Józef Jasiewicz*, pracownik Szpitala Powiatowego w Suwałkach, zawsze chętnie spieszył na każde wezwanie. Rannych ukrywał w Szpitalu; przeprowadzał niekiedy nawet poważne zabiegi operacyjne. Wraz z pielęgniarkami *Stanisławą Kraszewską* i *Leokadią Miłek* wydatnie pomógł przy odbiciu dwóch rannych partyzantów (*Tadeusza Zaręby* i *Henryka Mareckiego*). Współpracowniczki dr *Jasiewicza* zajmowały się ponadto dostarczaniem leków ze Szpitala do oddziałów partyzanckich [3].

Dr *Mamert Niciuński* z Suwałk również udzielał pomocy rannym i ukrywającym się chorym oraz dostarczał materiałów opatrunkowych. Wielu rannych przebywało na leczeniu w mieszkaniu doktora, które wyzyskiwano także jako punkt kontaktowy. Córki dr *Niciuńskiego, Anna i Zofia*, zginęły w Warszawie w czasie transportu broni.

W okolicach Sejn głównym ośrodkiem konspiracyjno-medycznym był dom dr *Bronisława Moroza*. Dr *Moroz* często wyjeżdżał do oddziałów leśnych, udzielał pomocy w swoim gabinecie, ukrywał u siebie rannych leżących (*Kazimierz Harasimowicz, Stanisław Anrulewicz* i inni). Jego mieszkanie bywało miejscem zbiórki żołnierzy przed planowanymi akcjami; cała rodzina zresztą była związana z ruchem oporu. Przez dom *Morozów* przechodziły meldunki, rozkazy, a także przerzuty oficerów z Litwy. Ta patriotyczna rodzina poniosła duże straty; syn, *Bronisław*, zginął w obozie, *Wiktor* został wywieziony do obozu, *Mikołaj*, ciężko ranny, jako inwalida zmarł po wojnie.

Dr *Morozowi* ofiarnie pomagała pielęgniarka *Janina Błońska*. Wykonywała ona lekarskie zalecenia, pielęgnując rannych i chorych w zakonspirowanych „lazaretach" [4]. Przenosiła leki i materiały opatrunkowe.

Lekarz weterynarii *Sobolewski* w Sejnach dostarczał partyzantom map sztabowych, ukrywał poszukiwanych przez władze okupacyjne, udzielał pomocy w prostszych jednostkach chorobowych. Współdziałał z dr *Morozem*.

W Lipsku nad Biebrzą dr *Władysław Rymsza*, podobnie jak wymienieni lekarze, leczył rannych i chorych partyzantów, zgłaszał się na każde wezwanie lub udzielał pomocy u siebie w domu. Ściśle współpracował z oddziałem AK por. *„Zająca"*, a szczególnie zasłużył się w okresie, gdy oddział ten nie miał własnego lekarza. Łączność między dr *Rymszą* a partyzantką utrzymywała żona leśniczego, pielęgniarka *Trąbczyńska*.

W Dąbrowie Białostockiej dr *Alfons Stoltz* dawał skierowania lekarskie do dowolnie wybieranych miejscowości, co znacznie ułatwiało poruszanie się żołnierzy podziemia [5].

Szeroką i bardzo pożyteczną działalność prowadził *Antoni Docha* w Żukiewiczach pod Grodnem. Udzielał nieprzerwanie pomocy le-

[1] Łącznie na Białostocczyźnie działało 558 plutonów pełnych i szkieletowych Armii Krajowej.

[2] Relacja inż. *Juliana Zielińskiego* i *Józefa Niemunisa* z Suwałk.

[3] Relacja *Antoniego Dąbrowskiego*, byłego dowódcy oddziału *„Żwirki"*.

[4] Relacja *Władysława Kuszla*, byłego dowódcy oddziału *„Żwirki"*, mieszkającego obecnie w Suwałkach.

[5] Relacja dr *Edwarda Radziwona* z Dąbrowy Białostockiej.

karskiej partyzantom radzieckim z oddziału im. Woroszyłowa brygady Aleksandra Newskiego oraz żołnierzom AK, gdyż w obu grupach partyzanckich nie było lekarza. Pomagał ukrywającym się obywatelom polskim pochodzenia żydowskiego, między innymi uratował życie dr fizyki *Aleksandrowi Blumensteinowi*, mieszkającemu obecnie w Paryżu [6].

Pomocą stomatologiczną służyły lek. dent. *Helena Dziadykowa-Kulwajć* z Sejn i lek. dent. *Stanisława Maciejewska* z Suwałk.

Nie pomniejszając ofiarności poszczególnych lekarzy, trzeba stwierdzić, że materiał sanitarny i leki pochodziły głównie z aptek prywatnych. W wielu aptekach leśne grupy zaopatrywały się bez żadnych kłopotów, oczywiście nieodpłatnie. Szczególnie wyróżniali się magistrowie: *Romuald* i *Bolesław Szwejkowscy* z Suwałk [7], *Stefan Bujakowski* z Suwałk, *Wacław Domosławski* z Sejn, *Gesner* i *Michalski* z Białegostoku oraz inni. Materiały dostarczane były przez specjalnych łączników. Czasem coś udawało się kupić od Niemców, czasem zdobyć. Niektóre przedmioty uzyskiwano z grup radzieckich lub ze zrzutów.

Organiczna służba zdrowia oddziałów partyzanckich, nie mniej interesująca, stanowi zagadnienie zasługujące na osobne opracowanie.

[6] Relacja dr *Antoniego Docha* z Sokółki, poparta dokumentami (między innymi zaświadczenie wystawione przez dowódcę oddziału radzieckiego).

[7] Posiedzenie PTHM w Białymstoku 23.V.1966 roku.

BARBARA MATUS Warszawa

Zielony Krzyż, służba sanitarna Batalionów Chłopskich

Z opłotków i chałup na pola walki

Po raz pierwszy w historii polskiej kobieta wiejska, dziewczyna, a nierzadko i staruszka wyszły masowo poza krąg działania tradycyjnych obowiązków matki, gospodyni dźwigającej trzy węgły chaty rodziny chłopskiej, poza wydeptaną ścieżkę do obory, stajni, kurnika, warzywnika, poza zagon swojej roli.

Wyszły w zwartych szeregach i te z podhalańskich wiosek, przeprowadzających kurierów i żołnierzy za granicę, jak uczestniczki Konfederacji Tatrzańskiej. I te z nizin mazowieckich, krakowskich czy lubelskich, które w czołówkach i placówkach Zielonego Krzyża szły obok żołnierzy BCh z torbą sanitarną i pierwszą pomocą. I te siostrzyce partyzantów kieleckich, i te faktyczne siostry i żony walczących z faszystami banderowskimi za Bugiem, na zyznych ziemiach Wołynia czy w palonych wsiach Małopolski Wschodniej. Nie jednostki, ale zwarte szeregi zaprzysiężonych, wyszkolonych sanitarnie, politycznie uświadomionych, patriotycznie rozbudzonych, świadome obowiązków i celów walki. Żołnierskie serca, pełne odwagi i determinacji biły w piersiach młodziutkich dziewcząt z Zielonego Krzyża, dających w codziennej pracy i walce dowody gotowości poświęcenia życia dla sprawy niepodległości i Polski Ludowej.

Po raz pierwszy w historii już chyba nie tylko wsi, nie tylko Polski, ale i Europy spośród walczących o wolność narodów nastąpił masowy zryw kobiet tworzących własną podziemną organizację, liczącą przeszło 15 tysięcy członkiń, które w warunkach konspiracji, terroru, pod groźbą więzień, tortur, obozów koncentracyjnych, palenia domów i eksterminacji rodzin walczyły, działały, organizowały, pomagały, uczyły się, wydawały swoje pisma, planowały prace na okres powojenny, słowem — prowadziły regularną działalność organizacyjną na wzór bojowych organizacji partyzanckich i żołnierskich, walczących z hitlerowcami.

Powstanie Zielonego Krzyża

Ledwo przebrzmiały ostatnie strzały regularnych walk kampanii wrześniowej, a wojsko i dowódcy polityczni zeszli do podziemia, aby kontynuować walkę z wrogiem, Stronnictwo Ludowe — postępowa partia chłopska, utworzona w roku 1931 przez połączenie „Piasta", „Wyzwolenia" i Stronnictwa Chłopskiego — również przystąpiło do intensywnego tworzenia sieci organizacyjnej kierownictw politycznych; pod kryptonimem ROCH kontynuowano działalność Stronnictwa, przestawiając się oczywiście na nowe formy i cele działania i biorąc udział w pracach Delegatury Rządu.

Obok Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), który stanowił trzon podziemnego wojska polskiego, prowadzącego sabotaż, dywersję, partyzantkę i przygotowanie do powstania, także partie polityczne, a więc i ROCH, powoływały własne siły zbrojne przeznaczone do ochrony wsi i działaczy oraz do walki zbrojnej. Centralne Kierownictwo Ruchu Ludowego (ROCH) organizowało już od jesieni 1940 roku „Chłostrę" (kryptonim utworzony od nazwy „Chłopska Straż), konspiracyjną organizację wojskową skonsolidowanego ruchu ludowego, która z czasem przemianowała się na Bataliony Chłopskie. Nazwa „Chłostra" przetrwała przez cały okres

okupacji jako kryptonim w korespondencji i rozkazodawstwie. Oddziały taktyczne Batalionów Chłopskich wchodziły w skład Armii Krajowej w ramach akcji scaleniowej; oddziały terenowe BCh tworzyły Ludową Straż Bezpieczeństwa (LSB), sprawującą nadal zwierzchnictwo nad oddziałami specjalnymi i partyzanckimi.

Kobiety, przedwojenne działaczki SL i Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici", weszły od początku konspiracji ludowej do pracy, początkowo głównie w zakresie łączności, kolportażu, opieki społecznej. W miarę rozbudowywania się działalności podziemnej, nasilania akcji i różnych form walki zrodziła się potrzeba stworzenia służby sanitarnej dla „Chłostry", jak również rozbudowania odpowiednich form pomocy i współpracy w dziedzinach z natury i przyzwyczajeń właściwych kobietom, począwszy od pieczenia chleba dla żołnierzy, obszycia ich, oprania, a kończąc na opiece nad ich rodzinami, dziećmi i wszystkimi maltretowanymi przez okupanta, a pomocy kobiecej potrzebującymi.

Tak powstała myśl powołania do realizacji tych celów specjalnej organizacji kobiecej, która zorganizowała się jesienią 1941 roku pod nazwą Ludowy Związek Kobiet (LZK). Obok celów politycznych, na okres okupacji i powojenny, obok tworzenia siatki organizacyjnej trójek kierownictw wojewódzkich, powiatowych i gminnych od samego początku istnienia LZK organizowane były sekcje i punkty sanitarne na stopniu powiatów i gmin, do których wciągano głównie młodsze dziewczęta wiejskie. Służba sanitarna LZK w ciągu kilku miesięcy przekształciła się w Wydział Zielonego Krzyża w centrali LZK. Ośrodkiem dyspozycyjnym mającym za zadanie organizowanie placówek i czołówek Zielonego Krzyża (ZK) w powiatach, gminach i gromadach, szkolenie ich i zaopatrywanie, a równocześnie koordynowanie działalności z komendami BCh, stały się inspektorki ZK, a równocześnie członkinie kierownictw politycznych LZK. Wchodziły one do komend BCh jako szefowie sanitarni na stopniu okręgu (województwa), obwodu (powiatu) i gminy.

Zielony Krzyż, będący częścią składową LZK, miał głównie zadania sanitarne wobec „Chłostry" i realizował różne formy pomocy żołnierzom BCh oraz ludności wiejskiej, ale równocześnie miał zdecydowane oblicze polityczne, ludowe i od tej strony stanowił tak integralną część ruchu ludowego, jak żołnierze BCh i LSB byli członkami Stronnictwa i wszyscy uznawali za swoją reprezentację polityczną Stronnictwo Ludowe ROCH, a za swój rząd i władzę — aż do lipca 1944 roku — wyłącznie polski rząd w Londynie z premierem *Sikorskim*, a potem *Mikołajczykiem*.

Upolitycznienie zarówno BCh, jak LZK i Zielonego Krzyża odbiło się oczywiście korzystnie na postawie i świadomości społecznej członków tej organizacji. Dla nich nie było wszystko jedno, o jaką Polskę niepodległą walczą, bo wyznając określony program polityczny walczyli zdecydowanie o demokratyczną, ludową Polskę, na sprawiedliwości społecznej opartą, antyfaszystowską i antysanacyjną.

Wyraźne oblicze ideowo-polityczne żołnierzy BCh i sióstr ZK znajdowało swój wyraz w deklaracjach ideowych, wydawnictwach, prasie, programach kursów politycznych, a przede wszystkim w światopoglądzie wywodzącym się z radykalnych przedwojennych „Wici", do których należała większość przywódców i członków BCh i LZK.

Zielony Krzyż miał swoją prasę centralną, gazetki wojewódzkie i dodatki w gazetkach powiatowych, do których pisywały kobiety, a które też kobiety redagowały, wydawały, powielały, kolportowały i czytały.

Do najważniejszych należał organ centralny LZK, drukowany miesięcznik pt. „Żywia", powielany miesięcznik województwa krakowskiego „Wiadomości Kobiece", dodatek do rzeszowskich „Wieści" pt. „Chłopka" i inne dodatki. W prasie tej było wiele artykułów poświęconych sprawom zdrowia; przykładowo można wymienić następujące: „O odżywianiu wycieńczonych" („Żywia", 1943, nr 1), „O walce z tyfusem plamistym" („Żywia", 1944, nr 1), „Jak tamować krwotoki" (tamże, 1944, nr 2 i 3), „Co siostra Zielonego Krzyża ma zrobić dla żołnierzy BCh" (1944, nr 4), „Jak chronić BCh przed alkoholizmem" (1944, nr 6).

LZK krakowski wydał 6 zeszytów powielanych, poświęconych wyłącznie sprawom pierwszej pomocy, leczenia, opatrywania ran, żywienia chorych, pielęgnacji.

Ryc. 1. Sztandar BCh wyhaftowany przez członkinie LZK w powiecie miechowskim. Napis na sztandarze: „Honor i Ojczyzna. Ludowy Związek Kobiet Batalionom Chłopskim Inspektoratu Miechowskiego 1939—1944"

Zakres działania Zielonego Krzyża

Instrukcja wydana przez referat sanitarny „Chłostry" w Komendzie Głównej wyraźnie określa, że LZK został upoważniony do prowa-

dzenia całokształtu akcji sanitarnej dla potrzeb BCh, LSB i ludności wiejskiej. Na potrzeby LSB i ludności wiejskiej tworzono powiatowe oddziały ZK, złożone z 3—5 sióstr; powstały one z przekształcenia placówek sanitarnych LZK. Powiatowym oddziałem ZK w zasadzie kierowała jedna z trójki powiatowej LZK. Jego głównym zadaniem było zorganizowanie na terenie powiatu placówek i czołówek ZK, zaopatrzenie ich w apteczki, pomoc sanitarną, prowadzenie szkolenia sanitarnego i ideowego.

Placówki sanitarne zajmowały się na terenie swojej gminy opieką nad chorymi miejscowymi, organizowaniem konspiracyjnego szpitala i melin dla ukrywania podleczonych, wyszukiwaniem lekarzy, co miało szczególne znaczenie w okresie walk przyfrontowych, gdy z pomocy lekarskiej korzystali nie tylko ranni żołnierze, lecz także ludność cywilna. W zakres zadań wchodziły ponadto opieka i pomoc dla wysiedlonych czy ukrywających się, organizowanie paczek żywnościowych i lekarstw dla przebywających w obozach i więzieniach oraz opieka nad rodzinami uwięzionych.

Czołówka sanitarna ZK przydzielana była do plutonu BCh lub do oddziału partyzanckiego bądź specjalnego. Składała się z 3—5 sióstr ZK i szła wraz z oddziałem do akcji, jak to było np. w walkach pod Zaborecznem, Wojdą i Różą, w Puszczy Solskiej, w akcjach zgrupowania *„Ośki"*, w oddziale *„Sępa"* w Sądeckiem, *„Rysia"* w Hrubieszowskiem, w Pińczowskiem czy na innych terenach.

Czołówka ZK była więc tym najbardziej ruchliwym i bojowym zespołem ZK, złożonym z reguły z młodych dziewcząt. Opiekowały się one swoim oddziałem nie tylko od strony sanitarnej; zajmowały się również ukrywaniem i transportem chorego czy rannego do szpitala, zaopatrywaniem żołnierzy w bieliznę, rzeczy osobiste, żywność, dostarczaniem prasy, rozrywek kulturalnych w postaci urządzania tzw. zielonych świetlic, organizowaniem uroczystości z okazji np. zakończenia podchorążówki, wręczania opasek mobilizacyjnych, malowanych czy haftowanych przez siostry ZK, wręczania sztandaru haftowanego przez siostry ZK i zaprzyjaźnione z nimi kobiety wiejskie, nawet nie zaprzysiężone, z okazji np. święta ludowego.

Obowiązki czołówki ZK tak reguluje instrukcja Komendy Głównej „Chłostry" z marca 1944 roku: „Zadaniem czołówki ZK jest niesienie bezpośredniej pomocy sanitarnej żołnierzom plutonu BCh, którym się opiekuje, oraz otoczenie siostrzaną opieką każdego żołnierza. W tym celu czołówka organizuje apteczkę (torbę sanitarną) dla użytku plutonu; stara się, aby każdy żołnierz BCh miał osobisty pakunek sanitarny podług ustalonego wzoru; każda siostra czołówki ZK posiada również osobistą torbę sanitarną oraz biały fartuch i welon z odznaką Zielonego Krzyża nad czołem; czołówka stara się, aby każdy żołnierz BCh był zaopatrzony starannie w niezbędne rzeczy osobiste, jak skarpetki, rękawice, nauszniki, chustki do nosa, bieliznę na zmianę, koc czy dywan, nici, igły, środki przeciw robactwu, papier listowy, ołówek, trochę suchej żywności; utrzymuje łączność z rodziną najbliższą żołnierza i pośredniczy między nim a rodziną w czasie, gdy ten znajdzie się poza domem; wykonuje odznaki mobilizacyjne dla żołnierzy; stara się o zaopatrzenie plutonu w prasę ludową i w razie możliwości organizuje zieloną świetlicę i pomoc w samokształceniu".

Podobne obowiązki miała placówka ZK, zajmując się głównie opieką nad chorymi żołnierzami BCh w czasie walk na terenie jej działalności oraz nad ludnością cywilną, opieką nad rannymi i chorymi, bezdomnymi dziećmi, wysyłaniem paczek dla więźniów, dla przebywających w obozach i na robotach, opieką nad rodzinami uwięzionych itd. (rozdział V wymienionej instrukcji).

Rozszerzając obowiązki ZK podane w instrukcji „Chłostry", kierownictwo LZK opracowało „instrukcję o organizowaniu samopomocy społecznej", która miała szczególnie duże znaczenie w czasie częstych ewakuacji, wysiedlań, aresztowań czy też mordowania rodzin, pacyfikacji całych wsi, po których pozostawały często niedobitki dzieci i młodzieży, pozbawionej opieki rodziców i krewnych.

Zielony Krzyż zgodnie z potrzebami serca i wewnętrznej solidarności z cierpiącymi, a równocześnie realizując rozkaz organizacyjny, zawarty w cytowanej instrukcji, wykonywał zadania opieki społecznej przez: pomoc wysiedlonym i ewakuowanym, rodzinom pozostałym po aresztowanych i pomordowanych; szeroką akcję opieki nad więźniami i przebywającymi w obozach koncentracyjnych; opiekę nad ukrywającymi się przed wrogiem; niesienie pomocy w żywności i ubraniach inteligencji ludowej przebywającej w miastach, jak profesorom uniwersytetu, naukowcom, literatom i działaczom znajdującym się w potrzebie.

Odpowiedzialnymi — zgodnie z poleceniem instrukcji — za organizację opieki społecznej były zespoły ZK, a więc od wydziału ZK w centrali LZK poczynając, na gminnych placówkach ZK kończąc. Oczywiście środków materialnych na tego rodzaju akcję nie mógł dostarczać tylko zespół kobiecy i dlatego sięgano po dotacje z funduszy ROCHa, do zapasów zdobytych na wrogu przez oddziały specjalne, jak nabiał z *liegenschaftów* i mleczarni, czy też otrzymywano „nadwyżki" ze „Społem", przydzielane przez ludowców pracujących w zarządach spółdzielczości.

Do spełniania głównych zadań były potrzebne siostrom ZK dwa czynniki: przeszkolenie i sprzęt, który stanowiły apteczki, leki, narzędzia itp.

Szkolenie

Szkolenie sanitarne było niezwykle ważną sprawą, z pewnością ważniejszą od przeszkolenia ideowo-politycznego, które znajdowało swoje źródło i naturalne podłoże w samym pochodzeniu, świadomości klasowej, wpływach najbliższej rodziny, bo młode siostry ZK rekrutowały się głównie z córek i sióstr ludowców i żołnierzy BCh. Ponadto regularnie dostarczana prasa ludowa kształtowała systematycznie oblicze ideowe młodego narybku ludowego.

Gorzej było z wiadomościami z zakresu pierwszej pomocy rannym i chorym, bandażowania ran, robienia zastrzyków, pielęgnowania i żywienia, tudzież z dziesiątkiem drobnych posług, niezbędnych przy rannych i chorych. Trzeba było równocześnie z zaprzysiężeniem i wprowadzeniem w tok obowiązków organizacyjnych rozpoczynać szkolenie.

Pierwszą rzeczą było znalezienie lekarza, felczera czy położnej, którzy by chcieli i mieli czas prowadzić kursy sanitarne. Dobrze, jeśli w promieniu kilku kilometrów był własny lub kierowany z AK wykładowca; trudniej, jeśli go nie było. Zdarzało się, że lekarze Żydzi, którzy musieli uchodzić z Warszawy czy z dużych miast, przechodzili w opiekę LZK i BCh, w zamian za co chętnie szkolili sanitariuszki i udzielali doraźnej pomocy rannym i chorym. Takie nieocenione usługi oddali w Kieleckiem oddziałom BCh i szkoleniu ZK dr *„Anka" Wolf* z AL, dr *Zofia Mackiewicz* z Warszawy, dr *Jakub Hajman* po powstaniu na terenie Skierniewickiego.

Gdy brak było lekarzy, szkoleniem zajmowały się instruktorki ZK, szkolone różnymi sposobami. Jeździły one od powiatu do powiatu, prowadząc kursy pierwszego stopnia dla dziewcząt. Taką instruktorką „z bożej łaski" była *Zosia Leganówna* w województwie krakowskim, a po przeszkoleniu na centralnym kursie w Szpitalu Maltańskim w Warszawie *Wala Litawianka* w Sądeckiem, *Zuza Wątróbska* w Gorlickiem, *Teresa Kociówna-„Okularnik"* w Siedleckiem i 40 innych z tego kursu w rozmaitych powiatach. Ten sześciotygodniowy kurs, połączony z praktyką szpitalną, prowadzony od 5 czerwca do 10 lipca 1944 roku, był wielkim sukcesem organizacyjnym kierownictwa centralnego LZK.

Kursów sanitarnych od pierwszego do trzeciego stopnia, prowadzonych przez instruktorki „Społem", nauczycielki z LZK, własne instruktorki ZK i siły fachowe, odbyło się kilkaset; spośród 8 tysięcy sanitariuszek ZK każda była uczestniczką kursu przynajmniej raz, a wiele po kilka razy, średnia zaś frekwencja jednego kursu — ze względu na dojazdy i warunki konspiracji — wahała się w granicach 15—30 dziewcząt.

Duża rola wydziałów lustracyjnych i kobiecych „Społem" w zakresie szkolenia i różnych prac pomocniczych była możliwa dzięki patriotycznej postawie prawie wszystkich spółdzielców, dzięki udziałowi kierowników i pracowników „Społem" w ruchu konspiracyjnym oraz dzięki dużym możliwościom poruszania się i oficjalnego prowadzenia kursów zawodowych dla wsi, łącznie z kursami pierwszej pomocy dla członków Ligi Przeciwlotniczej. Już w roku 1940 w Krakowie, kiedy jeszcze nie śniło się o tworzeniu ZK, *Helena Mierzwina*, znana działaczka SL i „Wici", nawiązała bliski kontakt z przewodniczącą Rady Kobiecej i Zarządu „Społem", *Wandą Bogdanowiczową*, która przez cały czas trwania konspiracji oddawała poważne usługi ruchowi ludowemu. Od tego także czasu datuje się bliska współpraca z dr *Marylą Ferkówną* z Krakowa, która stała się szefem zaopatrzenia sanitarnego dla krakowskiego LZK w leki, środki opatrunkowe, trudne do otrzymania zastrzyki, a równocześnie konsultantem autorki przy opracowywaniu programów kursów sanitarnych i wydawaniu powielanych kursów dla placówek i czołówek ZK.

Podobną rolę jak „Społem" przy organizowaniu kursów i pomocy w zaopatrzeniu, akcji samopomocy, kolportażu i magazynowaniu, spełniała w Małopolsce Wschodniej Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa, której większość pracowników była zaprzysiężona w szeregach ROCHa i BCh.

Zaopatrzenie

Zaopatrzenie czołówek i placówek w ZK w środki działania nie napotykało na trudności

Ryc. 2. Kurs Zielonego Krzyża na Podlasiu w roku 1944

nie do pokonania. Zdobycie lekarstw było o wiele łatwiejsze niż zdobycie broni i amunicji. Począwszy od zakupów dokonywanych w polskich aptekach, przez dary otrzymywane od lekarzy i pielęgniarek z aptek szpitalnych, aż do zdobywania w akcjach zbrojnych na różne ośrodki niemieckie. O wiele trudniej było zdobyć szczepionkę weiglowską przeciwdurową, ale i tam w niemieckim instytucie pracowali Polacy, wykradający nawet duże ilości szczepionek, potrzebnych czy to w celu przerzutu do Oświęcimia, czy do aptek powiatowych ZK.

Zwykłe narzędzia lekarskie, jak nożyce, skalpele, strzykawki itp. najczęściej kupowało się i tu słowa serdecznej pamięci należą się sklepowi aptecznemu *Drobnera* przy pl. Szczepańskim w Krakowie, w którym autorce anonimowo sprzedawano dziesiątki zestawów potrzebnego sprzętu, nie pytając dla kogo i po co, a tylko porozumiewawczo mrugano okiem, gdy zamawiała stale po kilka tuzinów różnego rodzaju narzędzi prosząc, aby każdy zestaw był oddzielnie i dobrze opakowany. I tak było w całej Polsce. Solidarność całej służby zdrowia z walczącą Polską i ofiarność w każdej sprawie były nieograniczone. Przychodziło się do obcej sobie apteki, dawało zestaw leków i prosiło o przygotowanie 20 apteczek w kompletach według spisu. O oznaczonej godzinie podjeżdżał głęboki wózek dziecinny, „delikwenta-ochronę" umieszczało się wysoko na apteczkach, nakrytych kocykiem, i już jazda na punkt rozdzielczy, gdzie czekali łącznicy, niecierpliwie wyglądający materiałów dla czołówek i placówek ZK.

Kupowało się też apteczki będące w handlu dla tzw. Obrony Przeciwlotniczej, z których należało wyrzucić papierowe bandaże, zastępując je prawdziwymi i gazą, a „cywilne" leki na świerzb i oparzenie uzupełniało się środkami bardziej potrzebnymi w lesie.

Do zespołów apteczek — o różnej wielkości i różnym zaopatrzeniu, zależnym od możliwości finansowych terenu — wkładało się zazwyczaj spis leków i krótki opis dawkowania oraz pisemne wyjaśnienie, do czego służą, aby świeżo upieczone absolwentki kursu sanitarnego nie pomyliły kofeiny z kodeiną, zastrzyków czy proszków.

Z apteczek korzystali nie tylko żołnierze „Chłostry", lecz także ludność wiejska, nękana zwłaszcza w okresie walk przyfrontowych różnymi chorobami i epidemiami, toteż starano się, aby apteki posiadały większe zapasy niezbędnych leków, szczególnie że liczono się z odcięciem od dostaw, jak to było np. w Kieleckiem w czasie walk w roku 1944.

Kierownictwo LZK zakładało w swoich planach, że te apteczki ZK staną się w przyszłości, po wyzwoleniu, zalążkiem gminnej apteki, a czołówki i placówki ZK będą początkiem izb zdrowia bądź izb porodowych na wsi, opartych na pracy już przeszkolonych sióstr ZK, zwłaszcza że w wielu wsiach były utworzone w czasie okupacji tajne szpitaliki, w których leczono chorych i rannych żołnierzy-partyzantów.

Taki szpital polowy istniał w gajówce Przepiórka (powiat Zamość); kierowała nim *Paulina Czuwarówna*, przewodnicząca powiatowa LZK, a sanitariuszkami były *Eugenia Kołodziejówna* — *„Kalina"* (zginęła w bitwie pod Różą) i *Stanisława Suchajówna*. Dr *Janusz Peter* przeszkolił wiele sióstr ZK, które następnie korzystały z wiadomości uzyskanych u niego opatrując rannych w licznych walkach i akcjach na Lubelszczyźnie.

W szpitalu polowym w Życzynie (powiat Puławy) leczono 30 rannych i chorych z terenu przyfrontowego, a drugi taki szpital znajdował się pod opieką dr *Wojtczaka* w Nałęczowie.

Szczególnie pamiętny był szpital polowy utworzony przez lekarza *Jana Dudę* w wąwozach pod ziemią w okolicy wsi Chrzanów (powiat Kraśnik), gdzie udzielano pomocy rannym z oddziału partyzanckiego *Czepigi, Sankowa, Wasylenki* i *Nadielina*.

Ujęcie liczbowe przeszkolonych sióstr ZK, odbytych kursów sanitarnych, posiadanych apteczek itp. byłoby dzisiaj dość trudne, zwłaszcza że z wielu powiatów brak jest dokładnych danych. Przykładowo można podać, jak w najlepiej zorganizowanych powiatach przedstawiał się stan liczbowy. Np. w powiecie krasnostawskim było tysiąc zorganizowanych kobiet, a najlepsze gminy liczyły po 125 członkiń (Jajsławice, Krasnystaw, Żółkiewka). W powiecie Puławy było 723 zaprzysiężonych członkiń, w powiecie Opatów 840 kobiet, w powiatach Jędrzejów i Iłża po 300 kobiet. Wiele jednak powiatów województwa warszawskiego czy krakowskiego liczyło zaledwie po 80 czy 100 członkiń.

Ze względu na szczupły rozmiar artykułu nie sposób wymienić nazwisk wszystkich wybitniejszych działaczek i charakteryzować działalność poszczególnych powiatów z punktu widzenia pracy Zielonego Krzyża, ani wyliczać sanitariuszek biorących udział w akcjach i walkach. Warto wymienić kilka kobiet, uwzględniając głównie te, które zginęły oraz nazwiska organizatorek tego wielkiego ruchu kobiet wiejskich, dzisiaj zapomnianego zarówno w publikacjach, jak i podczas uroczystości rocznicowych, zbowidowskich i innych. Na przypomnienie zasługują nasze wiejskie Emilie Plater, które przyczyniły się do zwycięstwa, a o których głucho i których imionami nie nazywa się ulic.

Kobiety z Zielonego Krzyża

Koncepcja powołania organizacji Zielonego Krzyża na podstawie już prowadzonych przez LZK sekcji sanitarnych jako pewnego odpowiednika wiejskiego idei Czerwonego Krzyża, z przeznaczeniem przede wszystkim dla żołnierzy BCh, powstała w głowach i sercach dwóch organizatorek i kierowniczek LZK, to jest *Marii Szczawińskiej* i *Hanny Chorążyny*, obu przedwojennych „wiciarek" i działaczek ludowych o dużym doświadczeniu i wyrobieniu polityczno-społecznym. Szefem sanitarnym w KG BCh był dr *Gnoiński*, lekarz, główny doradca wspomianych organizatorek.

Ryc. 3. *Maria Szczawińska*, członek kierownictwa centralnego LZK i szef łączności z zagranicą w Komendzie Głównej BCh

Ryc. 4. Dr *Henryk Gnoiński*, szef sanitarny w Komendzie Głównej BCh

Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej w centrali LZK zajmował się nie tylko przygotowaniem materiałów dla ZK, lecz także opracowywał założenia programowe i organizacyjne w zakresie zdrowia wsi i opieki społecznej na okres po wyzwoleniu. Do prac tych pod koniec okupacji włączyła się czynnie pielęgniarka z zawodu, działaczka „Orki", *Maria Grajkowska*, która zaraz po wyzwoleniu wraz z dr *Janiną Dybowską* organizowała pomoc i badania lekarskie na terenach przyczółkowych i frontowych we wsiach kieleckich i lubelskich.

W poszczególnych województwach sprawami Zielonego Krzyża w zakresie organizacyjnym, zaopatrzenia, szkolenia i całokształtu zagadnień zajmowały się: w województwie lubelskim wojewódzka przewodnicząca LZK, *Genowefa Osiejowa*, a w Komendzie Okręgowej BCh sprawy ZK reprezentowała *Janina Adamczyk;* w województwie kieleckim — przewodnicząca i członek trójki wojewódzkiej LZK, *Jadwiga Kotnisówna* i *Maria Chadajówna*, dzieląc się powiatami; w województwie krakowskim (wraz z Rzeszowskiem) szefem sanitarnym ZK w Komendzie Okręgowej BCh była autorka, a w szkoleniu sanitarnym i w pracy na odcinku ZK brały udział *Zosia Leganówna, Maria Ferkówna* (lekarz), *Wanda Janczakowa* (medyczka) w Gorlickiem, *Maria Sido* ze „Społem", *Maria Jędrzejec* (instruktorka podokręgu Rzeszów) i inne; w województwie warszawskim dwie instruktorki wojewódzkie, *Maria Biernacka* i *Aniela Siemieniakówna*. W pozostałych województwach nie było szefów sanitarnych w skali wojewódzkiej, a kobiety, które brały udział w pracach konspiracyjnych ROCHa i BCh, organizowały równocześnie służbę sanitarną.

Spośród tych sióstr ZK, które zginęły w walce, wymienię kilka. Reprezentują one pewne tereny i charakteryzują wartość wkładu całej zorganizowanej w ruchu ludowym wsi. Ich imiona związane będą na zawsze z historią krwawych walk o wolność narodu polskiego.

Genowefa Kołodziejówna — „Kalina"

Służba sanitarna, biorąca udział w walkach, w opatrywaniu rannych, w łączności i zaopatrzeniu w okresie bitew pod Wojdą, Zaboreczem i Różą, w czasie od 30 grudnia 1942 roku do 2 lutego 1943 roku, składała się z 15 sanitariuszek. Przewodziła im *Paulina Czuwarówna* — *„Marta"*, lat 34, która była szefem sanitarnym w tym okresie. Spośród tych sióstr Zielonego Krzyża kilka, jak *Emilia Cisło* — *„Kubuś"* lub *„Wojtek"*, *Stanisława Sachajko* — *„Jaskółka"*, *Klementyna Pióro* — *„Smętna"*, *Wiktoria Gniwek* — *„Niezłomna"*, *Genia Kołodziejówna* — *„Kalina"* i sama komendantka *Paulina* znosiły wraz z partyzantami trudy i narażały się na kule i śmierć na równi z żołnierzami BCh.

W bitwie pod Różą 2 lutego 1943 roku czołówka ZK urządziła punkt opatrunkowy w chałupie wiejskiej. Komendantka dostała trzy poważne postrzały w ramię w czasie walki, gdy partyzanci bronili się w chałupie, ostrzeliwując nacierających Niemców. Udało im się wyskoczyć z płonącego już domu i ujść do lasu, gdzie napotkali rozproszonych partyzantów i połączyli się z ciężko rannym komendantem BCh, *Azją*.

Kalina, która była też ranna, próbowała wycofać się do lasu po rzuceniu ostatniego granatu na Niemców. W czasie odwrotu jednak pocisk trafił ją w płuco, po czym otrzymała jeszcze jeden strzał i zginęła. *Kalina* spoczywa we wspólnej mogile w Krynicach wraz z 35 żołnierzami BCh.

Adela Grzebiszowa

Jeszcze pod Kockiem trwał bój w październiku 1939 roku, gdy młodzież „wiciowa", a wśród nich i *Adela Grzebiszowa* z Wiśniewa

w powiecie siedleckim, przystąpiła samorzutnie do zbierania porzuconej broni i amunicji, organizowania radiowego punktu nasłuchu i tajnego nauczania, a z chwilą gdy ROCH i BCh rozpoczęły działalność, *Adela* przystąpiła do organizacji jako łącznik komendy obwodu, potem zaś stworzyła punkt sanitarny ZK.

Ryc. 5. *Adela Grzebiszowa* z Wiśniewa w powiecie Siedlce, spalona przez Niemców

Jej małżeństwo z komendantem powiatowym BCh, *Marianem Grzebiszem* w kwietniu 1943 roku stało się wielką manifestacją ludową. Z orkiestrą przemaszerował przez wieś oddział BCh i LZK, a do niego dołączyła się solidarnie cała ludność.

Kilka miesięcy później gestapo wkroczyło do wsi Wiśniew, chcąc ująć komendanta *Grzebisza*. Gestapowcy przetrząsnęli całe gospodarstwo, żonę i matkę skatowali. Wściekli, że poszukiwanego nie znaleźli, podpalili gospodarstwo. Badając *Adelę*, pytają, gdzie mąż i gdzie ukryta amunicja. Dzielna kobieta nie przyznaje się do niczego, odmawia odpowiedzi. Ale kiedy ogień chwycił podwaliny stodoły i zaczęły rozlegać się wybuchy, bo w skrzyni po skrzyni pękały ukryte w nich granaty i amunicja schowana na strychu, żandarmi niemieccy wrzucili okrwawioną i sponiewieraną młodą kobietę w ogień płonącej stodoły.

W 22. roku życia wraz z nie narodzonym dziecięciem spłonęła żywcem, jak żywa pochodnia walki o wolność.

Zenona Algierska

Na życiu i działalności powiatu iłżeckiego zaważyła najsilniej działalność zgrupowania partyzanckiego „Oski", najbardziej znanego obok „Rysia" oddziału specjalnego BCh. *Jan Sońta, Władysław Gołąbek* i *Tadeusz Wojtyniak*, dowódcy i ideowi kierownicy tamtejszej ludowej młodzieży, zorganizowanej w oddziałach partyzanckich i LZK, wychowywali nowe pokolenie walczących nie tylko na odważnych żołnierzy, ale i na prawdziwie ideowych „wiciarzy".

Siostry ZK, często faktyczne siostry i narzeczone chłopców z lasu, otaczały iście siostrzaną opieką swoich żołnierzy, poczynając od prania, gotowania czy też pieczenia chleba, a kończąc na opatrywaniu ran i leczeniu chorych. Siostry ZK wdzierały się także do obozów pracy, dostarczając leków i żywności; docierały również do obozów jenieckich. *Helence Lasocie* i *Tosi Skorek* udało się ukryć dziesięciu jeńców w stercie torfu i uratować ich od grożącej niewoli niemal na oczach Niemców dzięki odwadze i zimnej krwi.

Młode sanitariuszki ponadto przenosiły broń, gdy oddział BCh planował jakąś akcję. Robiły to w płachtach z trawą lub w snopkach. W tej niebezpiecznej pracy wyróżniły się *Helenka Lasota* i *Zenka Algierska*, wysiedlone z Poznańskiego na wieś kielecką i związane z działalnością ZK powiatu iłżeckiego. Obie były pełne ducha bojowego i odwagi. W piekle przyfrontowym *Helenka Lasota* wytrwała aż do nadejścia wojsk radzieckich. *Zenka* poległa śmiercią żołnierza przy przewożeniu broni latem 1944 roku w Solcu nad Wisłą.

Helena Baranówna — „Wyka"

Powiat gorlicki należał do powiatów najlepiej zorganizowanych politycznie i bojowo w województwie krakowskim. Ale poniósł też duże i bolesne straty.

W Wilczyskach pod Stróżami większość chłopów była aktywnymi członkami ROCHa, żołnierzami BCh, a kobiety — członkiniami ZK. Działał na tym terenie oddział partyzancki *Kazimierza Wątróbskiego* — *„Sępa"*, którego jeden brat cioteczny, *Narcyz Wiatr*, był komendantem okręgowym BCh (zamordowany zaraz po wyzwoleniu), a drugi, *Alojzy*, inspektor okręgowy BCh zginął w torturach z rąk gestapowców. Sam *Kazek Wątróbski* również zginął z bratniej ręki. Zginęła w tragicznych okolicznościach prawie cała rodzina.

Donos na gestapo na rodziny *Wątróbskich* i *Baranów* złożyły z zemsty dwie dziewki z Wilczysk, *T.* i *R.*, ostrzyżone przez OS (oddział specjalny) z powodu zadawania się z Niemcami. Jedna z nich, *T.*, pasąc krowy podpatrzyła, jak *Tadeusz Baran* i *Marian Wątróbski* magazynierzy OS „Sępa", składali w krzakach karabiny, gdy *Zofia Baran* stała na straży.

Gestapo otrzymało listę podejrzanych o należenie do konspiracji. 28 sierpnia 1944 roku gestapowcy otoczyli całą wieś, po czym przeprowadzili gruntowną rewizję w domach proskrybowanych. U *Wątróbskich* znaleźli prasę i instrukcje konspiracyjne; ocalały jedynie opaski mobilizacyjne, ukryte przez sanitariusz-

Ryc. 6. *Helena Baran*, pseudonim *„Wyka"*, członek BCh i przewodnicząca gminna LZK w Bobowej, torturowana przez Niemców i zamordowana na Matylance 28 sierpnia 1944 r.

kę *Helenkę Baranównę*, pseudonim *„Wyka"*, w kociołku na piecu. Kiedy znaleziono apteczkę ZK, wzięto i *Helę*, i matkę *Wątróbskich*. Razem aresztowano 17 osób, spośród których zastrzelono wieczorem, po uprzednim torturowaniu, ośmioro członków rodziny *Wątróbskich* i *Baranów*, w tym matkę *Wątróbskich*, *Zofię* i *Helenę Baran*, ojca i braci. Pozostałe 9 osób wywieziono do obozu koncentracyjnego, skąd tylko dwie osoby wróciły.

Zastrzelona na Matylance sanitariuszka *„Wyka"* wyróżniała się w czołówce ZK odwagą, ofiarnością w pracy i mocnym charakterem. Była bardzo obowiązkowa, oddana sprawie ruchu ludowego i pomimo młodego wieku poważna i wyrobiona. Miała zdolności artystyczne, a haftowane przez nią opaski dla żołnierzy BCh były bardzo pięknie wykonane.

Ani ona, ani nikt z aresztowanych pomimo bicia i torturowania nie wydał nikogo z poszukiwanych żołnierzy OP, ani miejsca ukrycia broni, ani żadnych tajemnic, a gestapowcy widząc, że od nich nic nie wymogą, po kilku godzinach znęcania się zamordowali ofiary.

Siostry ZK umiały dotrzymać tajemnicy i bohatersko umierać.

Weronika Wąsikowa

Powiat Buczacz należał do najlepiej zorganizowanych powiatów w okręgu Małopolski Wschodniej. Było to niemałą zasługą *Weroniki Wąsikowej*, jedynej kobiety pełniącej funkcję komendanta obwodu BCh. Pomimo starszego już wieku i steranych sił umiała ona zdobyć się na niezwykły wysiłek organizacyjny, jakim było montowanie placówek „Chłostry" w tym podminowanym bandami UPA terenie. BCh osiągnęły pod koniec okupacji w powiecie buczackim przeszło 3 tysiące żołnierzy, co stanowiło najsilniejszy w okręgu powiatowy ośrodek wojskowy. Placówki BCh stacjonowały we wsiach Kowalówka, Monasterzyska, Nowa Huta, Stara Huta, Korościatyn, Nowosiółki, Barysz, Szwejków, Zastawa, Podzamcze i Duliby Petlikowce.

Wąsikowa już w młodzieńczych latach brała czynny udział w pracy niepodległościowej, za czasów zaboru austriackiego w drużynach bartoszowych, a potem w organizacji strzeleckolegionowej. W latach 1920—1925 razem ze swoim mężem aktywnie działała w Związku Chłopskim. W walce z sanacją znajdowała się w czołówce walczącego aktywu. Wchodziła w skład prezydium zarządu powiatowego stronnictwa w Buczaczu. W czasie strajku chłopskiego wysunęła się na pierwsze miejsce, toteż została pobita przez granatową policję, a domostwo jej w ohydny sposób zdewastowano podczas pacyfikacji.

Zaraz po zajęciu powiatu przez Niemców kieruje partyzantką ludową, korzystając ze swego bogatego doświadczenia politycznego i organizacyjnego. Dzięki olbrzymiej popularności w terenie udaje się jej w niedługim czasie wciągnąć w szeregi organizacyjne najwartościowszy element bojowy chłopów i kobiet wiejskich.

Zginęła w tragiczny sposób, zamęczona przez banderowców, którzy poćwiartowali jej ciało w Wielką Sobotę 1944 roku we wsi Suwałuski pod Monasterzyskami.

Córka jej, *Jadwiga Mrozikowa* była łączniczką i sanitariuszką na powiat Buczacz.

Zielony Krzyż w Małopolsce Wschodniej

Wiele wspaniałych dziewcząt i kobiet wydała ziemia kresowa. Zasłużyły się one sprawie walki o wolność i demokrację.

Franciszka Kanoś w powiecie Rudki wyróżniała się odwagą, a nawet brawurą. Wespół z kolegami organizowała zrzuty broni pomiędzy Chłopami a Tuligłowami koło Buczalskiego Tartaku. Zrzuty były przyjmowane precyzyjnie i nie wpadły w ręce Niemców. Jako kilkunastoletnia dziewczyna zadziwiała swoją przedsiębiorczością doświadczonych żołnierzy. Organizowała punkty sanitarne na polskich wsiach, dostarczała im lekarstw, pełniła służbę zwiadowcy z dobrym rozpoznaniem terenu, a zręcznie przeprowadzonym zwiadem przyczyniła się do udanej akcji na Nową Wieś. Pod

koniec okupacji została złapana i wywieziona do obozu koncentracyjnego, skąd nie wróciła.

Bronisława Gorczyca, pseudonim *„Bronka"*, jako łączniczka przenosiła pocztę z komendy okręgu we Lwowie do Kałusza, a stamtąd do placówki BCh we wsiach. Odważna i żywego usposobienia, z całym samozaparciem oddawała się pracy konspiracyjnej. Umiała wybrnąć z wielu trudnych sytuacji, które życie stawiało przed nią. W dniu 15 stycznia 1944 roku w czasie jednej ze swoich podróży została zatrzymana przez Niemców, spróbowała jednak ucieczki, aby ocalić materiały i adresy, mogące skierować uwagę wroga na trop organizacji. Kluczy i ucieka przed napastnikami, już nie, aby ocalić się, bo wie, że to niemożliwe, lecz aby ocalić materiały. Rzeczywiście w czasie tej brawurowej ucieczki udaje jej się ukryć paczkę z materiałami na cmentarzu. Została schwytana bez materiałów. Pomimo tortur Niemcy nic z niej nie wydobyli. Osadzono ją w obozie w Hanowerze, skąd już nie wróciła, zamęczona 10 lutego 1945 roku.

Stanisława Majdańska, pseudonim *„Lida"*, miała 18 lat, gdy jesienią 1941 roku wstąpiła wraz z ojcem w szeregi „Chłostry", organizując służbę sanitarną dla oddziału. Ponadto zajmowała się zwiadem i zakładała punkty informacyjne wśród swoich koleżanek mieszkających w Kałuszu. Podawały jej one wiadomości o posunięciach Niemców, o przygotowywanych akcjach, pacyfikacjach i ruchach Ukraińców. Kiedy oddział BCh, w którym była i *Lida*, natknął się na oddział policji ukraińskiej i Niemców, wywiązała się walka. Zginęło w niej kilku żołnierzy i *Lida*. Było to 14 czerwca 1944 roku.

W tym okresie zginęła również sanitariuszka *Michalina Pałeczka* i *Paulina Matyjaszkiewicz* — *„Ośka"*, barbarzyńsko zamordowane przez banderowców. Matka komendanta *Moskala, Anna*, 86-letnia staruszka, pomimo podeszłego wieku, oddana sprawom ruchu ludowego łączniczka i działaczka na terenie swojej wsi, zginęła zamordowana w okrutny sposób, wrzucona do płonącego domu w dniu 5 kwietnia 1944 roku.

*
* *

Na zakończenie tego krótkiego szkicu parę słów poświęcić trzeba naszym matkom, babkom i ciotkom, bez których pomocy nie byłby możliwy ten wielki wysiłek i zakres prac, działania i walki, jakie podjął ruch ludowy. Tysiące sióstr Zielonego Krzyża, łączniczek, kolporterek nie spełniłyby w tym stopniu swego zadania, gdyby nie pomoc ich właśnie matek, starych ciotek wiejskich, które na równi z zaprzysiężonymi działaczkami pracowały, pomagały, ukrywały, żywiły, dodawały otuchy, a w wielu wypadkach brały na swój ciężar prowadzenie domu i wychowywanie małych dzieci, gdy córka i syn szli do akcji lub musieli uciekać i ukrywać się. Te matki i babki przyjmowały przyjeżdżających w teren działaczy, żywiły ich, nocowały i ukrywały. W chwilach trudnych ratowały od nieszczęścia, czy to ukrywając broń, czy przenosząc prasę, czy zmyślnie chowając poszukiwanych. One stanowiły tę drugą armię LZK, niezaprzysiężoną, niezarejestrowaną, nie odznaczoną krzyżami i honorami, ale potężną i ważną.

Były takie, jak *Stanisława Wieraszka* w powiecie Sarnów, która w kobylicy wyniosła broń z otoczonej przez Niemców wsi, gdy wszyscy potracili głowy, i takie jak *Maria Molenda*, żona „Graba" z Kozienickiego, ratująca partyzantów, i takie też, jak matka autorki, *Franciszka Andrusikiewiczowa*, która w najgorętszym okresie popowstaniowym wzięła wnuka na kozioł fiakra i przewiozła na dworzec walizy pełne nielegalnej prasy. Jeszcze inne ginęły u progu swych domów za walczące o Polskę dzieci, jak *Zofia Kowalikowa*, matka *Marysi Węgorkowej-„Zgrzebnej"*, komendantki ZK, czy wspomniana już matka komendanta gminnego BCh, *Moskala*, czy też matka komendanta BCh z Kieleckiego, *Władysława Woźniaka-„Piołuna"* i *Kardasowa*, matka komendanta BCh z Częstochowskiego, zamęczona w Oświęcimiu. Wyliczać można by bez końca, bo każda z 15 tysięcy zaprzysiężonych członkiń LZK i ZK miała matkę, czy babkę, czy ciotkę, która jej w taki lub inny sposób pomagała w pracy i walce.

Pamięci tych do dzisiaj bezimiennych bojowniczek wielkiej sprawy, tych, co już nie żyją i tych niedobitków, które dożywają ostatnich lat swego pracowitego, znojnego i trudnego żywota — to skromne wspomnienie poświęcam.

ROMAN KIEŁKOWSKI Kraków

Rządy Hansa Franka w świetle dokumentacji Rady Głównej Opiekuńczej

Zeznania Konstantego Tchorznickiego, ich zasięg i źródła — Charakter Rady Głównej Opiekuńczej i wartość historyczna jej dokumentacji

Materiał faktyczny stanowiący osnowę niniejszej pracy oparty jest ściśle na zeznaniach *Konstantego Tchorznickiego*, drugiego i ostatniego zarazem prezesa Rady Głównej Opiekuńczej, instytucji charytatywnej działającej w Polsce w okresie okupacji. Przesłuchania dokonał w dniach od 13 do 24 listopada 1945 roku piszący te słowa, wówczas sędzia grodzki w Krakowie i członek ówczesnej Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce (obecnie ...Hitlerowskich...).

Wybuch wojny zastał *Konstantego Tchorznickiego* (urodzonego 15 listopada 1899 roku) w Warszawie na stanowisku sędziego Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Na skutek działań wojennych opuścił stolicę, zamieszkał w Krakowie, gdzie od 1 maja 1941 roku zaangażował go do pracy w Radzie Głównej Opiekuńczej ówczesny jej prezes Adam *hr. Ronikier*, i przydzielił go do organizującego się właśnie Wydziału Stowarzyszeń. Wydział ten miał przeprowadzić ewidencję i przejęcie majątku stowarzyszeń polskich rozwiązanych przez okupacyjne władze niemieckie. Po kilku miesiącach okazało się to nierealne, gdyż władze mimo uprzednich obietnic odmówiły w końcu oddania zagarniętego mienia. Zmieniona sytuacja spowodowała przesunięcie *Tchorznickiego* od 1 września 1941 r. na odpowiadające jego kwalifikacjom i znajomości języków obcych stanowisko radcy prawnego w Biurze Prezydialnym RGO. Na tym stanowisku *Tchorznicki* wraz z sekretarzem generalnym RGO, *Wojciechem Baranowskim* i sekretarzem prezesa, *Henrykiem Janką* tworzyli grono najbliższych współpracowników *Ronikiera*. Umożliwiło to *Tchorznickiemu* szczegółowe rozeznanie działalności zarówno całej instytucji, jak i jej prezesa.

Rada Główna Opiekuńcza była w okresie okupacji hitlerowskiej jedyną oficjalną instytucją polską o szerokim zasięgu. Nie reprezentując narodu polskiego w sensie politycznym, co jej przedstawiciele podkreślali jak najbardziej stanowczo przy każdej sposobności, była Rada Główna Opiekuńcza *negotiorum gestor* społeczeństwa polskiego w zakresie opieki i pomocy. Głównymi środkami rządów hitlerowskich w Polsce były przez cały okres okupacji nieustanne akty najkrwawszego terroru i tyranii. Toteż charytatywna działalność RGO, choć nikła w porównaniu z bezmiarem niedoli, którą napotykała na każdym odcinku swej pracy, była dla ofiar niezastąpioną pomocą.

Ten wyjątkowy charakter Rady Głównej Opiekuńczej rysuje się w każdym zdaniu zeznań *Konstantego Tchorznickiego* i czyni z nich dokument jedyny w swoim rodzaju. Przekazując długi rejestr zbrodni i aktów terroru, notuje on równocześnie odpowiedzi, postulaty i sugestie władz okupacyjnych wywołane interwencjami RGO. W sumie daje to dokumentarny przekrój wydarzeń, który pozwala prześledzić nie liczącą się z żadnymi normami prawa i etyki politykę reżimu hitlerowskiego w okupowanej Polsce. Materiały zawarte w zeznaniach *Tchorznickiego* stanowiły część polskich środków dowodowych rozpoznanych przez Międzynarodowy Trybunał Wojenny w Norymberdze w procesie głównych zbrodniarzy wojennych, w tym również *Hansa Franka*, oraz w przeprowadzonym w Krakowie procesie dra *Bühlera*, sekretarza stanu w rządzie Generalnego Gubernatorstwa.

Niełatwa w samym założeniu rola Rady Głównej Opiekuńczej była szczególnie trudna w ustalaniu danych o akcjach terrorystycznych okupanta. Instytucja nie dysponowała w tym zakresie władzą wykonawczą, a jej prezes nie posiadał nawet samochodu do swej dyspozycji. Uniemożliwiało to szybkie zbieranie wiadomości na objętych akcją terenach tym bardziej, że w wielu wypadkach sterroryzowana ludność ociągała się z udzielaniem informacji w obawie przed nowymi represjami. Źródłem wiadomości *Tchorznickiego* o faktach stanowiących przedmiot zeznań były, oprócz autopsji, materiały dokumentarne Rady Głównej Opiekuńczej, ograniczone terytorialnie do obszaru Generalnej Guberni. Treść ważniejszych wypowiedzi *Franka* oraz rozmów przeprowadzanych z odpowiedzialnymi przedstawicielami władz *Tchorznicki* utrwalał w bezzwłocznie redagowanych zapiskach. Część ich jest cytowana w istotnych skrótach w treści niniejszej pracy jako uzupełnienie relacji.

Zeznania *Tchorznickiego* nie wyczerpują całej dokumentacji RGO. Zwłaszcza długi okres prezesury *Ronikiera* zaznaczony jest tylko nielicznymi faktami. Siłą rzeczy najwięcej bezpośrednich wiadomości docierało do *Tchorznickiego*, gdy sam zajmował stanowisko prezesa, toteż okres ten rysuje się w jego zeznaniach jako szczególnie bogaty w fakty. Wypowiedzi *Tchorznickiego* nie rejestrują oczywiście wszystkich akcji terrorystycznych przeprowadzanych w Polsce przez hitlerowców. Także tylko o nielicznych przypadkach interwencji w sprawach indywidualnych aresztowań jest mowa w zeznaniach. Obrazują one zaledwie

drobną część działalności RGO na tym polu. Chociaż dalekie od wyczerpania zagadnienia, zeznania *Konstantego Tchorznickiego* przekazują materiał w wielu wypadkach unikalny, stanowiący trwały przyczynek do dziejów okupowanej Polski.

Geneza Rady Głównej Opiekuńczej, organizacja i skład osobowy — Pierwsze interwencje u władz

Poprzedniczką Rady Głównej Opiekuńczej, działającej w czasie drugiej wojny światowej na obszarze Polski nazwanym przez Niemców Generalną Gubernią, była instytucja o tej samej nazwie, utworzona w Warszawie w czasie pierwszej wojny światowej pod koniec 1915 roku. Celem jej było niesienie pomocy materialnej ludności dotkniętej wojną w części Królestwa Kongresowego okupowanej przez Niemców. Analogiczną instytucją w Galicji był Komitet Książęco-Biskupi w Krakowie, powołany i działający pod protektoratem księcia metropolity *Adama Sapiehy*. Działalnością swoją obejmował on również część Królestwa Kongresowego pozostającą pod okupacją austriacką. W pierwszej Radzie Głównej Opiekuńczej był czynny, między innymi, *Adam hr. Ronikier*, przez kilka miesięcy również poseł Rady Regencyjnej w Berlinie. Po klęsce Niemiec w 1918 roku Rada Główna Opiekuńcza nawiązała kontakt z administratorem pomocy amerykańskiej dla Europy, późniejszym prezydentem Stanów Zjednoczonych, *Herbertem C. Hooverem*. Dało to *Ronikierowi* sposobność do poczynienia wśród Amerykanów wpływowych znajomości.

Powołanie Rady Głównej Opiekuńczej po agresji niemieckiej na Polskę w roku 1939 łączy się genetycznie z przyjazdem do Warszawy pod koniec tegoż roku dwóch Amerykanów. W porozumieniu z Waszyngtonem wystąpili oni wobec władz okupacyjnych z planem pomocy dla ludności dotkniętej skutkami wojny. Wedle ich założeń z pomocy amerykańskiej miała korzystać ludność bez względu na różnice wyznaniowe i rasowe, a rozdział darów miał być dokonywany przez przedstawicieli ludności terenów okupowanych. W czasie konferencji wyłoniły się trudności ze strony okupantów co do objęcia akcją pomocy Żydów, ale Amerykanie przeforsowali ostatecznie swoje żądania. Zasada rozdziału darów z pominięciem władz okupacyjnych spowodowała konieczność zorganizowania przedstawicielstwa zainteresowanej ludności. Przy tej okazji wysłannicy amerykańscy wysunęli kandydaturę *Adama Ronikiera*, powołując się na jego działalność w poprzedniej Radzie Głównej Opiekuńczej, znaną w Stanach Zjednoczonych z okresu współpracy tej instytucji w ramach akcji pomocy *H. C. Hoovera*.

Adam Ronikier podjął się zaproponowanej misji i aby ją zrealizować, wszedł w porozumienie z przedstawicielami dwóch polskich organizacji. Były nimi: Komitet Pomocy Zimowej, zorganizowany przy udziale przedstawicieli wszystkich stronnictw politycznych przez Rząd Rzeczypospolitej na okres zimy 1938/39 r. oraz Stołeczny Komitet Samopomocy Społecznej, powstały samorzutnie na początku października 1939 roku, bezpośrednio po zajęciu przez Niemców Warszawy. W wyniku rozmów ukonstytuowały się Rada Główna Opiekuńcza z siedzibą w Krakowie, działająca na podstawie statutu zatwierdzonego po licznych konferencjach przez władze niemieckie na wiosnę 1940 roku.

Rada Główna Opiekuńcza składała się z sześciu członków i prezesa, którym został *Adam Ronikier*. Statut określał cel instytucji jako dobrowolną opiekę społeczną, realizowaną na podstawie i w ramach statutu. Siedziba prezydium mieściła się w Krakowie przy ulicy Potockiego 10. Organem wykonawczym Rady był dyrektor z przybranym personelem, mający swoją siedzibę w Krakowie przy ulicy Krowoderskiej 5.

Do zakresu działania prezesa należało utrzymywanie kontaktu z władzami niemieckimi i reprezentowanie RGO na zewnątrz, do dyrektora i przybranego personelu zaś sprawy gospodarczo-finansowe i wykonawcze. Odpowiednikami Rady Głównej Opiekuńczej w terenie były Miejskie Komitety Opiekuńcze z siedzibą w Krakowie i Warszawie oraz Polskie Komitety Opiekuńcze w miejscowościach, w których znajdował się urząd *stadt-* i *kreishauptmanna*. W siedzibach gmin zbiorowych odpowiednikami Polskich Komitetów Opiekuńczych były delegatury RGO. Przy władzach dystryktowych, których na terenie Generalnej Guberni było pięć po włączeniu dystryktu Galicja, funkcjonowali tzw. pełnomocnicy lub doradcy dystryktowi prezesa RGO. Nadzór nad działalnością RGO wykonywał urząd o nazwie *Abteilung Bevölkerungswesen und Fürsorge* (Dział Spraw Ludności i Opieki), wchodzący w skład *Hauptabteilung Innere Verwaltung* (Dział Główny Spraw Wewnętrznych) w rządzie Generalnego Gubernatorstwa.

W chwili obejmowania przez *Tchorznickiego* pracy w RGO szefem *Abteilung Bevölkerungswesen und Fürsorge* był dr *Föhl*, liczący około trzydziestu dwu lat. Według opinii członków Rady *Föhl* miał bliskie stosunki z gestapo i żadną miarą nie zasługiwał na zaufanie. W rozmowach z *Ronikierem* dawał często wyraz poglądom, jak szczęśliwy mógłby być los Polski i Polaków, gdyby zmienili swoje nastawienie i szli razem z Niemcami. *Föhl* odszedł ze swego stanowiska w maju 1943 roku. Jego następcą był do końca okupacji starszy radca administracji krajowej *Weirauch*, człowiek przyzwoity, starający się w miarę możności iść na rękę RGO w ramach jej działalności statutowej.

W tym samym czasie kolejnymi kierownikami *Hauptabteilung Innere Verwaltung* byli dr *Siebert*, dr *Losacker* i dr *von Craushaar*. *Siebert* był człowiekiem przyzwoitym. *Losacker* miał nastawienie wybitnie polonofilskie, co spowodowało, że już po kilku miesiącach

został usunięty ze stanowiska, zdegradowany i przydzielony do załogi obozu w Pustkowie w charakterze szeregowego żołnierza *SS*. *Craushaar* był człowiekiem, któremu brutalne metody reżimu nie odpowiadały, ale jako urzędnik nie miał sił ani ochoty z nimi walczyć. Co się tyczy uczciwej, przyjaznej wobec Polaków postawy dra *Losackera*, to dodatnią o nim opinię *Tchorznickiego* potwierdzają jego wypowiedzi na posiedzeniach rządu *GG*, notowane w dzienniku *Hansa Franka*.

Skład osobowy Rady Głównej Opiekuńczej zmieniał się, poza prezesem, kilkakrotnie. Od września 1941 roku był ustabilizowany i przedstawiał się następująco: prezes —*Adam Ronikier*, wiceprezes — *Janusz Machnicki* z Warszawy, członkowie: *Stanisław Wachowiak* z Warszawy, prof. *Władysław Wolter*, prof. *Wacław Krzyżanowski*, o. *Romuald Moskała* i prof. *Ludwik Piotrowicz* — wszyscy z Krakowa. Posiedzenia Rady w składzie krakowskim odbywały się co tydzień w lokalu przy ul. Potockiego 10. Raz na dwa miesiące odbywały się zebrania Rady Głównej Opiekuńczej w siedzibie *Abteilung Bevölkerungswesen und Führsorge* z udziałem przedstawiciela władzy niemieckiej i członków RGO z Warszawy.

Instytucjami pokrewnymi RGO były: Ukraiński Komitet Samopomocy i Żydowski Komitet Samopomocy. Urzędujący prezesi tych instytucji tworzyli Naczelną Radę Opiekuńczą. Do jej zadań należało ustalanie zasad rozdziału subwencji przekazywanych przez władze niemieckie. Uchwały te były miarodajne również przy rozdziale darów zagranicznych. Ponieważ podlegały one zatwierdzeniu przez władzę nadzorczą, Niemcy notorycznie faworyzowali Ukraińców na niekorzyść Polaków i Żydów. Ostatnie posiedzenie Naczelnej Rady Opiekuńczej odbyło się w styczniu 1943 roku z udziałem ówczesnego szefa władzy nadzorczej, *Föhla*. Prezes Żydowskiego Komitetu Samopomocy *Weichert* wysunął na nim wiele dezyderatów dotyczących pomocy dla Żydów. *Föhl* odrzucał je po kolei, a kiedy *Weichert* oświadczył w końcu, że ludność żydowska prosi jednak o opiekę, *Föhl* odpowiedział z cynicznym uśmiechem, że władze z pewnością zaopiekują się Żydami. Było już wtedy powszechnie wiadomo, że okupanci podjęli na wielką skalę akcję biologicznego wyniszczenia Żydów.

Adam Ronikier zawarł w czasie pracy w pierwszej Radzie Głównej Opiekuńczej oraz jako poseł Rady Regencyjnej w Berlinie liczne znajomości z osobami z niemieckich sfer rządowych. Kilku z tych ludzi przeszło potem do ruchu hitlerowskiego, a po kampanii wrześniowej znalazło się w Polsce na wysokich stanowiskach. Stosunki te posłużyły *Ronikierowi* do podjęcia interwencyj w sprawach aresztowań oraz innych represji stosowanych wobec Polaków. Z akcją tą *Ronikier* się nie krył, w oparciu bowiem o pewne oświadczenia władz okupacyjnych nabrał przekonania, jak się okazało błędnego, o ewentualnej skuteczności podobnej praktyki. W następstwie zaczęły napływać do RGO z całego obszaru Generalnej Guberni coraz liczniejsze podania o interwencję.

Latem 1941 roku gestapowcy naszli jednak biuro *Ronikiera*, przeprowadzili rewizję i skonfiskowali około tysiąca podań. Po tej rewizji zakazano oficjalnie interwencyj, ale *Ronikier* przesyłał nadal do władzy nadzorczej napływające wciąż podania. Po jakimś czasie poczęto znowu tolerować interwencje *Ronikiera*, a nawet na zlecenie władzy nadzorczej ustalono ich formę. Polegała ona na tym, że w sprawach wykraczających poza statutową działalność RGO *Ronikier* interweniował u władzy nadzorczej ustnie, a równocześnie składał pismo o tej samej treści bez nagłówka, zatytułowane *Notiz* i podpisane tylko nazwiskiem, z pominięciem wymieniania piastowanej funkcji prezesa RGO. Ta forma interwencji kontynuowana była również za prezesury *Konstantego Tchorznickiego*, tj. do końca okupacji.

Istotna część zeznań *Tchorznickiego* obrazuje zbrodnie i akty terrorystyczne popełniane przez okupantów hitlerowskich w czasie od 1943 do 15 stycznia 1945 roku. Nadto dotyczą one tragicznych wypadków sprzed tego okresu zaszłych w Myślenicach w r. 1940. Wypadki te stały się przedmiotem jednej z pierwszych interwencji ówczesnego prezesa RGO, *Adama Ronikiera*. Sprawa przedstawiała się następująco:

W urzędzie pocztowym w Myślenicach jedna z Polek została brutalnie zaczepiona przez gestapowca. W obronie napadniętej stanął Polak obecny przy zajściu i broniąc jej poturbował — zresztą nieszkodliwie — owego gestapowca. Reakcją ze strony władz niemieckich były masowe aresztowania i rozstrzelanie piętnastu osób wybranych zupełnie dowolnie. W liczbie rozstrzelanych były dwie siostry, jedna w wieku lat piętnastu, druga szesnastu. Na wieść o wypadkach *Ronikier* udał się do Myślenic. Po powrocie oświadczył *Tchorznickiemu*, że gdy w czasie rozmowy z matką rozstrzelanych dziewczynek usiłował złożyć jej wyrazy współczucia i pociechy, ta odpowiedziała wśród łez: „To dla Polski".

Akcje określane przez okupantów jako pacyfikacyjne oraz masowe wysiedlania ludności polskiej, podjęte w roku 1942 na terenach ziemi żywieckiej, zamojskiej i lubelskiej, przybrały na sile w ciągu roku 1943. Okupanci przeprowadzali je nad wyraz krwawo i brutalnie. Bez względu na wiek i płeć używano przeciwko bezbronnej ludności broni, także maszynowej, puszczano z dymem całe osiedla, a na Zamojszczyźnie pewne miejscowości padły ofiarą bombardowań z powietrza. Latem 1943 roku Niemcy przeprowadzili na wielką skalę akcję wysiedleniowo-pacyfikacyjną na obszarach powiatów zamojskiego, hrubieszowskiego i kraśnickiego. Kierował nimi dowódca *SS* i policji w Lublinie *Globocnik*. W ich toku zamordowano tysiące Polaków, tysiące rozproszyło się po lasach, wiele miejscowości spalono, kilkadziesiąt tysięcy osób skierowano do obozów koncentracyjnych lub wywieziono na przymusowe roboty do Niemiec.

Zarówno akcje pacyfikacyjne na Zamojszczyźnie, jak i akty terroru w innych częściach Polski były przedmiotem licznych interwencji ze strony Rady Głównej Opiekuńczej. Niemcy zbywali je albo przecząc faktom, albo zmniejszając wybitnie liczbę ofiar podawanych przez RGO i bagatelizując poszczególne zgłoszenia. Często odpowiedzi brzmiały stereotypowo: „Trudno, wojna jest wojną" albo że ofiarami byli bandyci lub członkowie ruchu oporu. Jeżeli jakaś akcja pacyfikacyjna lub wysiedleniowa dotyczyła większego obszaru kraju lub była szczególnie drastyczna i tak powszechnie znana, że nie można było jej zbagatelizować, oświadczano, że władze miejscowe nie mają na nią wpływu, gdyż kieruje nią Berlin lub zależy od innych czynników, np. wojskowych. Jeżeli interwencja dotyczyła osoby lub osób osadzonych w obozach koncentracyjnych lub w obozach pracy na terenie Generalnej Guberni, miejscowe władze twierdziły, że sprawy obozowe należą do kompetencji władz centralnych w Berlinie. Natomiast gdy aresztowany został przewieziony do Oświęcimia lub do obozu w Niemczech, uchylano się od rozpoznania interwencji pod pozorem, że przebywa na terenie Rzeszy.

Rada Główna Opiekuńcza u Hansa Franka — Memoriał w sprawie sytuacji ludności polskiej — Akcja wciągania na listę stammdeutschów — Masowe morderstwo w Zbydniowie

Hans Frank przyjął Radę Główną Opiekuńczą po raz pierwszy w dniu 12 czerwca 1943 roku. Inicjatywa spotkania wyszła od *Franka*. Posłuchanie odbyło się na Wawelu; Rada wystąpiła w pełnym składzie. Na odbytej z tej okazji konferencji członkowie Rady poruszali przede wszystkim sprawy wysiedleń i pacyfikacji. W odpowiedzi *Frank* oświadczył, że pewne akcje przedsięwzięte przez Berlin idą rzeczywiście za daleko, toteż podjął starania, aby je ukrócić. Życzeniem jego jest — dodał — aby stosunki między Polakami a Niemcami ułożyły się w Generalnej Guberni inaczej niż dotąd. Przeszkadza temu *diese verfluchte Wiederstandsbewegung*, on jednak nie traci nadziei, że te stosunki się poprawią. Rada Główna Opiekuńcza mogłaby odegrać w tym pewną rolę, bo uważa ją za rodzaj władzy samorządowej. Przy okazji pochwalił się swymi osiągnięciami w zakresie znormalizowania stosunków przez połączenie w rządzie Generalnego Gubernatorstwa władz policyjnych i administracyjnych. Oświadczenie to sugerowało, że władze administracyjne będą miały odtąd większy wpływ na zarządzenia i akcje policyjne.

Wynikiem wizyty było jedynie zwiększenie dotacji rządowej na cele RGO. Jak przed wizytą, tak i po niej nie ustawały w miastach polskich łapanki na ludzi, wywózki do Niemiec na roboty przymusowe, aresztowania i zesłania do obozów. Przeprowadzano egzekucje uliczne w Krakowie, Rzeszowie, Radomsku i innych miastach, szczególnie w Warszawie, której ulice były raz po raz widownią najstraszniejszych kaźni. Latem 1943 roku okupanci dokonali krwawych pacyfikacji w Krakowie na Salwatorze i Woli Justowskiej, w Liszkach, Przegorzałach oraz w innych miejscowościach powiatu krakowskiego. W toku tych akcji zamordowano i aresztowano setki osób. Obietnice *Franka* złagodzenia terroru okazały się mistyfikacją.

Nie dał również żadnych rezultatów memoriał Rady Głównej Opiekuńczej złożony w czerwcu 1943 roku.

We wtorek po Zielonych Świętach tego roku władza nadzorcza wezwała prezesa *Ronikiera*. Ówczesny szef tego urzędu, *Weirauch*, pokazał mu teczkę z pismem zawierającym polecenie przedłożenia memoriałów w trzech kwestiach: 1) ogółu bolączek ludności polskiej na terenie Generalnego Gubernatorstwa, 2) historii powstania Legionów Polskich w okresie pierwszej wojny światowej i 3) rozwoju historycznych stosunków polsko-niemieckich. Komunikując polecenie, *Weirauch* dodał, że teczka wraz z pismem została przysłana z głównej kwatery *führera* i zażądał bezzwłocznego opracowania odpowiedzi w powyższych kwestiach oraz przedstawienia gotowych tekstów jeszcze tego samego dnia.

Na zlecenie *Ronikiera* memoriał dotyczący pierwszego zagadnienia opracował *Konstanty Tchorznicki*, sprawę Legionów — *Kazimierz Okulicz*, a sprawę stosunków polsko-niemieckich na tle historycznym — *Wojciech Baranowski*. Memoriały dotyczące drugiego i trzeciego zagadnienia przedstawione zostały następnego dnia rano, natomiast memoriał w sprawie sytuacji ludności polskiej został oddany do rąk *Weiraucha* jeszcze tego samego dnia. Końcowy ustęp tego memoriału, będący syntezą poprzedzających go obszernych wywodów, stwierdzał, co następuje:

„Działalność władz była, wydaje się, z góry opanowana przez dwie idee: niszczenia wszelkiego życia polskiego wyłącznie dlatego, że było ono polskie oraz rozstrzygający wpływ władz policyjnych na wszystkie zarządzenia — naturalnie bez ograniczenia właściwych zarządzeń policyjnych.

To stało się powodem, że rozpoczęto przede wszystkim nieubłaganą walkę z tymi sferami społeczeństwa, których jedynym grzechem było, że zajmowały czołowe stanowiska w narodzie i że przed katastrofą z września 1939 roku pracowały nad dobrem swego państwa i narodu.

Profesorów uniwersytetu uwięziono i sprowadzono do obozów koncentracyjnych właśnie dlatego, że byli profesorami uniwersytetów i chcieli uprawiać wiedzę i uczyć (Kraków, Lwów). Zamknięto i zniszczono całe wyższe i średnie szkolnictwo, nauczycieli zamknięto w więzieniach. Dużą część większych właścicieli ziemskich wyrzucono z ich własności i ich warsztatów pracy. Tysiące duchownych aresztowano i internowano. Każdy pretekst i pozór

przekroczenia przepisów władz wystarczał, by sprowadzić najwyższy wymiar kary, nie wyłączając nawet kary śmierci. Z młodzieżą, obejmującą nawet dzieci, postępowano szczególnie ostro i bezwzględnie. Własność prywatna została jakby zniesiona. Nie ze względu na potrzeby wojenne, lecz z powodów przeważnie zupełnie nieznanych może każdy każdej chwili utracić całe swoje mienie, ruchomości i nieruchomości, swój warsztat i swoje narzędzia pracy, swoje wyroby i osobiste rzeczy. Bezpieczeństwo osobiste nie istnieje, każdy w każdej chwili narażony jest na aresztowanie, więzienie, wywóz do obozu koncentracyjnego.

Stosowane przez władze policyjne metody są bezwzględne, okrutne i niegodne człowieka. Obejmują one łapanki ludzi po domach i na drogach publicznych, placach, w lokalach, rozstrzelanie lub powieszenie bez wyboru i bez udowodnienia winy (kolektywna odpowiedzialność), stosowanie tortur celem wymuszenia zeznań lub materialnych korzyści, wyszukane cielesne i moralne męczarnie przy wyczerpującej pracy i warunkach sanitarnych sprowadzających choroby i śmierć. Ma się wrażenie, że każdy pretekst i każdy środek jest dobry, gdy chodzi o to, by z Polaka zrobić kalekę lub go zgładzić. W ten sposób już wiele tysięcy ludzi pozbawiono wolności, zdrowia i życia.

Z różnych powodów wysiedla się całe rzesze ludzi, którzy tracą przy tym całe swoje mienie, stają się żebrakami, doprowadzani są do rozpaczy. Rodziny rozrywa się, małżonków się rozdziela, dzieci odrywa się od ich rodziców, niszczy się podstawy życia tysięcy rodzin (dystrykt Lublin, powiaty: Zamość, Hrubieszów). Przymusowe wysiedlania w miastach sprowadzają również ogrom nędzy materialnej i nieszczęść.

Przymusowe wywożenie sił roboczych do Rzeszy pociąga również za sobą, przy stosowaniu wspomnianych metod policyjnych, wymienione skutki. Jeśli organa policyjne z jednej strony używają w najbezwzględniejszy sposób wszelkich możliwych środków przy zwalczaniu wszelkich nawet tylko pozorów naruszenia przepisów władz, gdy chodzi o ludność polską, to świadczą one z drugiej strony mało w tej dziedzinie, która przecież należy do ich zasadniczego zadania, a mianowicie w dziedzinie bezpieczeństwa publicznego tej ludności. Wymownym tego przykładem jest szerzący się coraz bardziej na terenie Generalnego Gubernatorstwa bandytyzm.

Wystarczy przejrzeć zbiór obowiązujących w Generalnym Gubernatorstwie przepisów, aby się przekonać, że wszelkie dziedziny życia publicznego (gospodarstwo, handel, rzemiosło, życie społeczne, kulturalne, nauka i nauczanie, ubezpieczenia, wszelka produkcja, słowo i pismo, stowarzyszenia, funkcje) są najzupełniej zdławione.

Życie Niemców w Generalnym Gubernatorstwie jest zupełnie odseparowane od życia reszty ludności, co uniemożliwia wszelkie zrozumienie się we wszystkich dziedzinach. Ta sama zasada, stosowana do płac i wynagrodzeń za pracę, do cen żywności i wszelkich towarów, do miejsc pracy i wypoczynku, do środków komunikacyjnych, zaostrza ogromnie i tak już trudne wskutek trwania wojny warunki życia, sprowadzając wzrastające zubożenie i często rażącą nędzę, a także inne, w tych warunkach naturalne, nader szkodliwe objawy (jak paskarstwo, łapownictwo).

Jeśli do tej długiej listy niezmiernych ludzkich cierpień i nieszczęść doda się sposób, w jaki odnosi się wielu Niemców (przedstawicieli władz, funkcjonariuszy czy innych) do ludności polskiej, to nie można się dziwić, że dotychczasowe czteroletnie rządy w tym kraju nie przyniosły ludności polskiej nic innego prócz nieszczęść, rozgoryczenia, wrogich nastrojów i tęsknoty za zmianą jej warunków życia. Cóż więc innego wywołały dotychczasowe rządy w Generalnym Gubernatorstwie, jak jeno wykopanie głębokiej przepaści między narodem polskim a niemieckim oraz silne zespolenie Polaków w ich nastawieniu wobec Niemców?

Pozostaje otwarte pytanie, czy i jak da się to jeszcze naprawić".

Wszystkie trzy memoriały przedstawione *Weirauchowi* dostały się z kolei w drodze urzędowej do rąk ówczesnego prezydenta *Hauptabteilung Innere Verwaltung, Losackera.* W swym sprawozdaniu skierowanym do rządu GG *Losacker* potwierdził w całości treść memoriału o położeniu ludności polskiej w Generalnym Gubernatorstwie. Jak się dowiedział *Ronikier,* memoriał ów łącznie ze sprawozdaniem *Losackera* był następnego dnia przedmiotem obrad rządu GG, odbytym na Wawelu pod przewodnictwem Franka.

Akcja zgłaszania się na tzw. *stammdeutschów,* zapoczątkowana przez okupantów w Tarnowie w roku 1943 opierała się na środkach brutalnego wymuszania. Tamtejszy *kreishauptmann* ogłosił za pomocą afiszów zarządzenie, aby wszystkie osoby narodowości polskiej mające jakiegokolwiek przodka niemieckiego pochodzenia stawiły się w sali jednego z kin. W oznaczonym miejscu i czasie zebrała się pewna część ludności, której dotyczyło zarządzenie. Obecny na sali przedstawiciel władz niemieckich zabrał głos, wzywając zgromadzonych do zapisywania się na listę *stammdeutschów.* Każdy z Polaków miał obowiązek podejść i złożyć wobec niego oświadczenie, czy zapisuje się na listę *stammdeutschów,* czy nie. Jednym z argumentów były posterunki policji rozmieszczone przy drzwiach, z bronią skierowaną na zebranych. Terror wywołany mową przedstawiciela władzy i postawą obecnej na sali policji spowodował, że znaczna część zebranych wpisała się na listę.

Opisana akcja stała się przedmiotem interwencji Rady Głównej Opiekuńczej. Uwieńczone to było o tyle pozytywnym wynikiem, że w Krakowie werbowanie na *stammdeutschów* odbywało się w warunkach znacznie łagodniejszych.

Masowe wysiedlania z mieszkań trapiły ludność miast polskich od początku okupacji.

W związku z utworzeniem specjalnej dzielnicy dla Niemców przybrały one w Krakowie w ciągu 1943 roku na sile i brutalności. Wysiedlanym wyznaczano bardzo krótki czas na przeprowadzkę, kierując ich do zniszczonych mieszkań w odległych dzielnicach miasta. Eksmisje stosowano również w budynkach będących własnością instytucji kościelnych i klasztorów. Seminarium duchowne, mieszczące się w okazałym gmachu pod Wawelem, zajęli Niemcy na koszary policji porządkowej już w roku 1940. Jedna z pierwszych interwencji prezesa *Tchorznickiego* dotyczyła klasztorów. Niemcy planowali zajęcie w Krakowie dwudziestu klasztorów. Interwencja okazała się skuteczna o tyle, że wysiedlono tylko szesnaście; w pozostałych zakonnicy zdołali się utrzymać.

W tym samym 1943 roku ówczesny *stadthauptmann* Krakowa *Krämer* wydał zarządzenie o przymusowej pracy, zobowiązujące gospodarstwa domowe, przedsiębiorstwa handlowe, przemysłowe i rękodzielnicze do kierowania oznaczonego procentu pracowników do pracy przymusowej w Rzeszy. W rozporządzeniu mieścił się przepis uprawniający zastąpienie zobowiązanego przez inną osobę. Dało to powód do nadużyć i pewnego rodzaju handlu ludźmi. Znajdowali się bowiem chętni, którzy powodowani nadzieją ucieczki z transportu do Rzeszy wynajmowali się za wynagrodzeniem jako zastępcze siły robocze.

Latem 1943 roku polską opinią publiczną wstrząsnęła wiadomość o masowym morderstwie dokonanym przez formację *SS* w miejscowości Zbydniów w powiecie tarnobrzeskim. Doskonale zagospodarowany majątek Zbydniów, ówcześnie własność *Zbigniewa Horodyńskiego*, obejmował obszar 2—3 tysięcy morgów. Wedle krążących wiadomości *kreislandwirt Fullner* z Tarnobrzega czy też miejscowe *SS* powzięli zamiar zagarnięcia majątku. Realizacji dokonano w drodze masowego morderstwa.

Pewnego letniego dnia 1943 roku odbył się w miejscowym kościele ślub krewnej właściciela majątku. Kilka dni przedtem zakwaterował się w dworskich budynkach gospodarczych oddział *SS*, urządzając w ich obrębie ćwiczenia w strzelaniu. Na wesele zjechało do Zbydniowa kilkanaście osób, przeważnie krewnych. Państwo młodzi wyjechali po ślubie tego samego dnia wieczorem; we dworze pozostali gospodarze oraz grupa krewnych i gości. Kiedy około godziny 22,30 zebrani rozeszli się na spoczynek, do dworu wdarli się esesmani. Rozpoczęło się masowe morderstwo; esesmani strzelali nawet do ludzi leżących w łóżkach. Aby usunąć świadków zbrodni, wymordowali również służbę. Strzały umilkły dopiero o godzinie 1 w nocy. Z pogromu ocalał tylko trzynastoletni syn właściciela. W czasie napadu zdołał on wymknąć się ze dworu i ukryć w łanie zboża. Również najmłodszy synek *Zbigniewa Horodyńskiego* usiłował ratować się ucieczką, ale poczęto za nim strzelać i padł trupem trafiony sześcioma strzałami.

Nie zdołały również ujść rękom morderców dwudziestokilkuletnia krewna gospodyni oraz jedna ze służących, chociaż uchroniły się przed pierwszymi strzałami, kryjąc się w piwnicy dworskiej. Nazajutrz rano około godziny 6 esesmani przeprowadzili szczegółową rewizję w dworze, znaleźli obie ukrywające się kobiety i zastrzelili na miejscu. Napastnicy zamknęli całe obejście dworskie do późnego ranka następnego dnia, nie wpuszczając w obręb zabudowań nawet pastucha, który przyszedł napoić bydło. Około godziny 9 rano esesmani wynieśli zwłoki ofiar, złożyli na wóz i zaciągnęli w głąb parku, gdzie wykopali dół, do którego wrzucili zwłoki pomordowanych. Scenę tę zaobserwował przez okno jeden z karbowych, mieszkający w pobliżu. Dopiero po pogrzebaniu ofiar dopuścili esesmani służbę w obejście dworu. Wezwano następnie ze wsi kilka kobiet, polecając im uporządkowanie wnętrza dworu. Sprzątające kobiety stwierdziły wtedy obfite ślady krwi na podłodze, pod sprzętami i na ścianach.

Ofiarą mordu padli właściciel majątku *Zbigniew Horodyński* wraz z żoną *Zofią z Giecewiczów* oraz ich córka i najmłodszy synek, siostra właściciela *Maria Kowerska*, senator i były minister Rzeczypospolitej *Meysztowicz* z córką, dawna nauczycielka i przyjaciółka domu nieustalonego nazwiska, małżeństwo *Wańkowiczowie*, cztery osoby ze służby domowej oraz kilka innych osób, których nazwisk nie zdołano ustalić; łącznie zginęło dziewiętnastu ludzi.

Następnego dnia po morderstwie ktoś ze służby zauważył, że pies dworski kręci się ciągle między dworem a pewnym miejscem wśród zboża. Idąc za psem, człowiek ów odnalazł ukrywającego się synka gospodarza i zabrał go w bezpieczne miejsce. Chłopiec chciał koniecznie zobaczyć się z rodzicami, nie chciał wierzyć, że nie żyją, niemal siłą musiano go zatrzymywać. Najstarszy syn *Horodyńskich*, liczący około osiemnastu lat, mieszkał w tym czasie w Warszawie i na ślubie go nie było. W rok po tragedii w Zbydniowie poniósł śmierć z rąk niemieckich w czasie jednej z akcji pacyfikacyjnych w Warszawie.

W krótkim czasie po morderstwie proboszcz w Zbydniowie i przedstawiciele miejscowego społeczeństwa podjęli u kwaterujących nadal we dworze esesmanów starania o zezwolenie urządzenia ofiarom chrześcijańskiego pogrzebu. Odmówiono, oświadczając, że byli to zbrodniarze; lepiej, że oni sami zginęli, niż żeby represje miały dotknąć ludność.

Na interwencję prezesa *Ronikiera* odpowiedziano, że w tej sprawie zostanie przeprowadzone dochodzenie, a winni zostaną ukarani.

Prawodawstwo hitlerowskie na usługach terroru — Rada Główna Opiekuńcza odmawia udziału w dożynkach — drugie posłuchanie u Franka

Na jesieni 1943 roku sytuacja uległa dalszemu zaostrzeniu. *Frank* ogłosił rozporządzenie

z dnia 2 października 1943 roku o zwalczaniu zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie. Przepisy tego rozporządzenia, sankcjonujące odpowiedzialność zbiorową, stały się podstawą masowych egzekucji ulicznych, ogłaszanych afiszami. Każdy afisz publikował dwie imienne listy. Pierwsza wymieniała nazwiska osób, na których wykonano już karę śmierci za udział w nielegalnej organizacji lub podobną działalność określoną bardzo ogólnie, druga — nazwiska aresztowanych za przestępstwa identycznej kategorii oraz zagrożenie, że osoby te ulegną karze śmierci w przypadku ponowienia się przestępstw przewidzianych w wymienionym rozporządzeniu.

Chociaż okupanci podjęli nowe środki terroru, stosując nadal wszystkie dotychczasowe, uznali za wskazane, by w dożynkach na Wawelu z udziałem *Franka*, wyznaczonych na niedzielę 24 października 1943 roku, wzięła udział również Rada Główna Opiekuńcza. Zaproszenie zakomunikowano *Ronikierowi* ustnie, przy czym urzędnik przekazujący zaproszenie dał do zrozumienia, że udział RGO w dożynkach jest osobistym życzeniem generalnego gubernatora. Nie taił przy tym, że odmowa może spowodować bardzo poważne konsekwencje, a nawet postawić pod znakiem zapytania dalsze istnienie instytucji.

Po trzech naradach postanowiono przyjąć zaproszenie w przekonaniu, że zlikwidowanie Rady byłoby nieszczęściem dla tysięcy podopiecznych korzystających z jej pomocy i świadczeń. Zastrzeżono jednak, że Rada wystąpi tylko przez delegatów i że przemówienie do chłopów będzie wygłoszone w języku polskim. Oba warunki zostały przyjęte. Radę mieli reprezentować prezes *Adam Ronikier*, prof. *Władysław Wolter* oraz członek Rady i wicedyrektor RGO *Adam Starzyński*.

Mimo wyrażonej zgody i zawiadomienia władzy nadzorczej o składzie delegacji sytuacja uległa w ostatniej chwili zasadniczej zmianie. Na posiedzeniu odbytym na krótko przed uroczystością Rada doszła do przekonania, że nastroje nurtujące społeczeństwo polskie nie pozwalają na udział w dożynkach. Wykonując powziętą uchwałę, *Ronikier* wystosował do *Franka* list z oświadczeniem, że w chwili gdy w masowych egzekucjach wykonywanych na ulicach miast leje się polska krew, udział Rady Głównej Opiekuńczej w dożynkach, uroczystości o charakterze radosnym, jest niemożliwy.

Rano 25 października 1943 roku, tj. następnego dnia po dożynkach doszła do *Ronikiera* wiadomość, że odmowa oburzyła niesłychanie *Franka*, który po przeczytaniu listu *Ronikiera* oświadczył: *„Das ist eine Beleidigung"*. Tego samego dnia prezes *Ronikier* oraz dyrektor RGO *Seyfried* zostali wezwani do starszego radcy *Weiraucha* na godzinę 15,30. Niemcy przyjmowali dotąd członków Rady bardzo punktualnie. Tego dnia obaj wezwani antyszambrowali przeszło dwie godziny. Kiedy wreszcie ich wezwano, *Weirauch* wstał i nie prosząc o zajęcie miejsc odczytał pismo stwierdzające, że „Prezes *Ronikier*, członek Rady prof. *Wolter* i wicedyrektor *Starzyński* nie okazali w działalności Rady Głównej Opiekuńczej takiego charakteru, który by czynił z nich osoby godne pełnego zaufania. Z tego powodu osoby te nie mogą spełniać nadal swych funkcji w Radzie." Po odczytaniu pisma *Weirauch* zwrócił się do dyrektora *Seyfrieda* z poleceniem zabezpieczenia dalszego toku czynności RGO, oświadczając na zakończenie, że do tego, co powiedział, nie ma nic do dodania.

Z zapisu w Dzienniku *Hansa Franka* wynika, że list *Ronikiera* odmawiający udziału w dożynkach był przedmiotem konferencji u *Franka*, odbytej w przeddzień uroczystości, tj. w sobotę 23 października 1943 roku o godz. 15. Oprócz generalnego gubernatora wzięli w niej udział: sekretarz stanu dr *Bühler*, prezydent *Ohlenbusch*, szef prasowy *Gassner* i starszy radca *Weirauch*.

Wedle notatki *Franka*, list wyrażał żal z powodu dokonanych ostatnio rostrzeliwań Polaków i wobec spowodowanego tym bolesnego podniecenia ludności polskiej uzależniał udział Rady Głównej Opiekuńczej w uroczystościach dożynkowych od gwarancji, że w przyszłości władze nie będą stosować takich zarządzeń policyjnych. W odpowiedzi generalny gubernator polecił starszemu radcy *Weirauchowi* „oświadczyć hr. *Ronikierowi*, aby do godz. 18 tego samego dnia zadecydował, czy zechce wraz z członkami Rady Głównej Opiekuńczej wziąć udział w jutrzejszych uroczystościach dożynkowych. Jeżeli w oznaczonym terminie oświadczenie to nie będzie złożone, to podejmie on kroki, jakie uzna za odpowiednie i nie zawaha się nawet przed rozwiązaniem Rady Głównej Opiekuńczej".

Frank nie zrealizował pogróżki rozwiązania instytucji, chociaż Rada Główna Opiekuńcza przeszła do porządku nad jego ultimatum. Przyczyna tego umiarkowania tkwiła prawdopodobnie w *idée fixe Franka* przekształcenia Rady Głównej Opiekuńczej w jakiś pozór przedstawicielstwa narodu polskiego. Toteż odmowę udziału w dożynkach, zorganizowanych po raz pierwszy w Generalnym Gubernatorstwie, określoną przez samego *Franka* jako obrazę, skwitował unikiem w formie dymisji udzielonej części członków Rady.

W ciągu następnych tygodni Rada rozważała kandydatury na opróżnione stanowiska. Na miejsce *Ronikiera* wysunięto kandydaturę *Konstantego Tchorznickiego*, a na miejsce prof. *Woltera* zaproponowano *Ludwika Dunina*, byłego dyrektora Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie. W dniu 6 grudnia 1943 roku obie kandydatury uzyskały wymagane statutem zatwierdzenie władz. Zawiadomił o tym Radę na osobnym posiedzeniu zastępca *Weiraucha*, *Türk*, komunikując równocześnie, że będzie ona wezwana w nowym pełnym składzie na Wawel, gdzie generalny gubernator udzieli jej posłuchania. Na posiedzeniu tym *Tchorznicki* jako nowy prezes wygłosił

przemówienie, w którym oświadczył między innymi:

„Będę uważał za swój obowiązek, by zawsze próbować łagodzić polską nędzę, ocierać każdą polską łzę już z tego samego powodu, że jest to łza i nędza mojego rodaka, bez względu na powody, które doprowadziły do tej nędzy i łzy, jakkolwiek zdaję sobie sprawę z tego, że RGO nie jest żadną reprezentacją ludności polskiej Generalnego Gubernatorstwa i że nie ma prawa uchodzić za taką reprezentację."

Przemówienie było odczytane w języku niemieckim z uwagi na udział w posiedzeniu przedstawiciela władzy nadzorczej; zgodnie z życzeniem *Türka* został mu bezzwłocznie wręczony odpis.

Posłuchanie u *Franka* odbyło się dnia 17 grudnia 1943 roku w tej części zamku wawelskiego, gdzie ongiś mieściły się kuchnie królewskie. Frank przyjął Radę w otoczeniu członków rządu GG oraz kilku wyższych urzędników. *Weirauch* przedstawił członków Rady, po czym *Frank* zasiadł w fotelu ustawionym na środku długiego prostokątnego stołu i wskazując prezesowi fotel naprzeciw poprosił o zajęcie miejsc. Po prawej stronie *Franka* zasiedli: sekretarz stanu w rządzie GG dr *Bühler*, dowódca policji bezpieczeństwa *SS-Obergruppenführer Bierkamp*, starszy radca administracji krajowej *Weirauch* oraz jego zastępca *Türk*, po lewej sekretarz stanu w rządzie GG dr *Boepple*, sekretarz stanu do spraw bezpieczeństwa *SS-Obergruppenführer Koppe* oraz dwóch czy trzech wyższych urzędników. Zarówno *Frank*, jak i członkowie rządu GG tudzież większość obecnych Niemców byli w mundurach i w orderowej gali. Przebieg konferencji stenografował urzędnik siedzący przy osobnym stoliku, a fotograf wykonywał zdjęcia kolejnych mówców.

Pierwszy zabrał głos *Tchorznicki*. Odczytał w języku niemieckim przemówienie doręczone *Weirauchowi* w odpisie poprzedniego dnia. Treść wypowiedzi akcentowała wyraźnie podstawową tezę Rady: kroczenie tą drogą, którą od początku wytyczyła ideowa zasada jej istnienia. Działalność Rady będzie się sprowadzać do niesienia pomocy rodakom pozbawionym często przez wypadki wojenne elementarnych środków do życia i dręczonym przez rozliczne, dotkliwe braki. Jedyną polityką, jaką Rada zamierza prowadzić, będzie polityka ratowania i pomocy społecznej, zgodna z podstawowymi założeniami instytucji i dlatego dostępna jej działaniu. Rada będzie zmierzać do usuwania i łagodzenia skutków zaszłych już ludzkich nieszczęść, jak i do zapobiegania im, aby ludzie nie popadli w rozpacz i beznadziejność. Ten cel będzie przyświecać Radzie Głównej Opiekuńczej, w nim bowiem mieści się istotna treść moralna uzasadniająca jej istnienie.

Po przemówieniu *Tchorznicki* na prośbę *Franka* wręczył mu tekst swej mowy, po czym zabrał głos *Frank*. Na wstępie podziękował on Radzie za jej pracę, a przechodząc do omówienia swych rządów w Generalnym Gubernatorstwie oświadczył, że nie leżało nigdy w jego intencji celowe wyniszczenie (*Ausrottung*) Polaków czy też ich germanizowanie i uniemożliwienie im życia kulturalno-narodowego. Cierpienia ludności są wielkie, ale życzyłby sobie jako Niemiec takiej sytuacji aprowizacyjnej w Rzeszy, jaka istnieje w Generalnym Gubernatorstwie. Wskutek nalotów setki tysięcy ludzi w Niemczech są zmuszone opuszczać swoje siedziby, utraciwszy rodziny i dobytek.

Omawiając stosunki w Generalnym Gubernatorstwie, nie może on, *Frank*, pominąć milczeniem morderstw dokonywanych na jego ziomkach, między nimi także na przedstawicielach *Wehrmachtu* i ludziach, którzy pełnią tutaj swoje obowiązki. Czyny zamachowców — ciągnął podniesionym głosem — są niedopuszczalne, muszą być i będą zdławione z całą siłą i bezwzględnością. W toku swojej działalności Rada Główna Opiekuńcza powinna wpływać uspokajająco na nastroje ludności. Uważa, że zgładzenie zamachowca, tj. zbrodniarza, leży nie tylko w interesie niemieckim, ale także i narodu polskiego. Na podstawie przedstawionych mu raportów nabrał przekonania, że krzywa skrytobójstw opada i może dojść do punktu, od którego Niemcy będą mogli zmienić postępowanie. Znajdzie to wyraz w coraz wydatniejszym popieraniu RGO. W zakończeniu przemówienia *Frank* złożył Radzie życzenia owocnej pracy, wzywając prezesa, ewentualnie także innych członków Rady, do otwartego przedstawienia dezyderatów.

Po przemówieniu *Franka* posłuchanie przybrało charakter konferencji o potrzebach materialnych Rady. W toku dyskusji zarówno *Frank*, jak i *Koppe* powracali nieustannie do wystąpień ruchu oporu, określanych przez nich jako „skrytobójcze morderstwa". Naciskając, aby Rada wywierała wpływ w kierunku zaniechania tych akcji, dawali do zrozumienia, że respektowanie materialnych potrzeb Rady zależeć będzie od podjęcia i wyników usiłowań w tym zakresie. *Tchorznicki*, odpowiadając, zasłaniał się niemożnością wpływania na społeczeństwo polskie. Reakcją na to stanowisko było zbywanie postulatów Rady nieistotnymi argumentami. W efekcie konferencja nie przyniosła *Frankowi* oczekiwanych rezultatów. Nie uzyskał on nawet pozoru zobowiązania RGO do łagodzenia wśród społeczeństwa polskiego woli walki.

Losy grupy uchodźców cywilnych z Krzeszowic — Martyrologia chorych więźniów z Majdanka — Pacyfikacje, morderstwa i egzekucje obejmują nowe obszary kraju

W pierwszych dniach września 1939 roku, uciekając przed działaniami wojennymi, wyjechała z pałacu w Krzeszowicach *Andrzejowa Potocka* ze swymi bliskimi. W skład grupy wchodzili nadto urzędnicy z rodzinami, szoferzy, służba itp. Przez Rumunię i Węgry dotarli oni do Jugosławii, gdzie zamieszkali na jednej z wysp o nazwie Krk. W wyniku wy-

padków wojennych wyspa dostała się we władanie Włochów, a następnie Niemców, co zadecydowało o wysiedleniu uchodźców z Polski. Dowódca *Wehrmachtu* dał wprawdzie *Potockiej* słowo honoru, że cała grupa zostanie przewieziona do Generalnej Guberni, stało się jednak inaczej.

Pod bagnetami przewieziono ich statkiem do Triestu, a stamtąd pociągiem do Klagenfurtu, gdzie osadzono ich w więzieniu. W czasie transportu traktowano ich jak przestępców. W Trieście nieletni chłopiec z tej grupy został trafiony w nogę przypadkowym wystrzałem z karabinu jednego z eskortujących. Rannego zostawiono w szpitalu w Trieście bez opieki bliskich. W Klagenfurcie przeprowadzono selekcję; osoby obojga płci uznane za zdolne do pracy skierowano do robót w Rzeszy, natomiast dzieci oraz osoby w podeszłym wieku, wśród których znalazła się również *Potocka*, wysłano do Krakowa. Przy selekcji rozdzielano małżonków, a matkom odbierano nieletnie dzieci. Transport dotarł do Krakowa zimą 1944 roku. Wszyscy byli w fazie krańcowego wyczerpania. Wiele osób zakwalifikowanych w Klagenfurcie do robót w Rzeszy skierowano w rzeczywistości do obozów koncentracyjnych. Nadeszły od nich listy, między innymi z obozów w Sachsenhausen i Ravensbrück.

Odpowiadając na interwencję *Tchorznickiego, Türk*, zastępca *Weiraucha*, oświadczył, że uważa za słuszne, aby ludzie, którzy spędzili kilka lat w świetnym klimacie Jugosławii, teraz pracowali. Na zakończenie dodał, że nie ma wpływu na losy osób wywiezionych do Rzeszy.

W związku ze wzmożeniem działalności bojowej organizacji ruchu oporu w Warszawie władze nałożyły na miasto w styczniu 1944 roku kontrybucję w wysokości miliona złotych. Rada Główna Opiekuńcza złożyła w tej sprawie memoriał, argumentując, że ściągnięcie tej kwoty odbije się ujemnie na położeniu materialnym ludności i całokształcie życia gospodarczego. Kontrybucję mimo to ściągnięto, jednak — jak doszły wieści — tylko w 67%.

Ze wszystkich części kraju objętych działalnością RGO nadchodziły nieustannie zgłoszenia o nowych masowych aktach terroru hitlerowskich okupantów. Stanowiły one podstawę ciągłych interwencji prezesa *Tchorznickiego*, pozbawionych jednak wpływu na postępowanie władz. Jedną z wielu była interwencja dotycząca niezmiernie krwawej pacyfikacji na terenie powiatu kraśnickiego. Ofiarą jej padło sześć wsi, które Niemcy zbombardowali, a następnie spalili. Ludność tych wsi w liczbie sześciu tysięcy osób została w znacznej części rozstrzelana, kilkuset pojmanych skierowano do robót przymusowych w Niemczech, część zdołała umknąć i rozproszyła się po okolicy. Pod opiekę RGO władze przekazały zaledwie niewielką grupę starych kobiet oraz dzieci poniżej lat dziesięciu.

Na początku kwietnia 1944 roku pełnomocnik RGO na Lublin, *Andrzej Skrzyński*, zawiadomił centralę w Krakowie o likwidacji obozu w Majdanku. Z treści raportu wynikało, że więźniowie Majdanka są wysyłani transportami do Niemiec, przy czym transport ostatni, obejmujący ciężko chorych, ma odejść w najbliższych dniach. W tej sprawie złożył *Tchorznicki* w dniu 11 kwietnia notatkę interwencyjną następującej treści:

„Obóz koncentracyjny w Majdanku (dystrykt Lublin) ulega likwidacji. Kilka transportów więźniów odeszło już stamtąd w tych dniach do Rzeszy. Ostatni transport ma odejść dziś, we wtorek. Ma on obejmować samych ciężko chorych, a między innymi i takich, którzy z powodu choroby zostali odesłani z robót w Rzeszy do Majdanka. Wobec stanu zdrowia wymienionych zachodzi obawa, że wielu z nich nie wytrzyma trudu podróży. RGO prosi usilnie, by tych ciężko chorych pozostawiono pod opieką lekarską w Lublinie i pod opieką RGO oraz Polskiego Czerwonego Krzyża. Kuria biskupia w Lublinie i Oddział Lubelski PCK przyłączają się do tej prośby."

Tego samego dnia *Weirauch* wręczył notatkę sekretarzowi stanu do spraw bezpieczeństwa *Koppemu*. Nie odniosła żadnego skutku. Ciężko chorych więźniów z Majdanka wywieziono do Rzeszy.

W dniu 20 czerwca 1944 roku miasteczko Brzostek w powiecie jasielskim stało się miejscem krwawych wydarzeń. W godzinach rannych zjechały do miasteczka mieszane formacje policyjne niemiecko-ukraińskie. Przeprowadzono po domach rewizje i polecono wybranym osobom ubrać się i czekać na miejscu dalszych rozkazów. Lista wybranych obejmowała również sparaliżowanego adwokata *Tułeckiego*, jego brata *Szymona*, liczącego przeszło sześćdziesiąt lat, oraz członka miejscowej delegatury RGO *Stanclika*.

W czasie trwania akcji przyjechała do miasteczka jednostka formacji samochodowej *Wehrmachtu*. Biorąc prawdopodobnie ukraińską policję pomocniczą za jednostkę partyzancką, *Wehrmacht* otworzył do niej ogień. W wyniku strzelaniny odniosło rany czterech policjantów ukraińskich, z których jeden zmarł. Przed śmiercią miał on rzekomo zeznać, że do Ukraińców strzelała ludność polska. To kłamstwo stało się podstawą najkrwawszych represji. Spośród tych, którym na początku rozkazano ubrać się i czekać, jedenaście osób rozstrzelano natychmiast, a w ich liczbie również *Szymona Tułeckiego* i *Stanclika*. Poza tym aresztowano i wywieziono jeszcze trzydzieści osób, między nimi burmistrza *Sybistę* i notariusza *Bieleckiego;* wszystkich aresztowanych potwornie zbito i skopano. Także i w tej sprawie interwencja nie dała żadnego wyniku.

Przedmiotem interwencji w dniu 21 czerwca 1944 roku była sprawa terrorystycznych pacyfikacji na terenie powiatu biłgorajskiego. Do akcji tej zostały użyte między innymi oddziały tzw. własowców, które dopuszczały się gwałtów na kobietach i nieletnich. RGO posiadało konkretną wiadomość o zgwałceniu przez żołnierzy z tej formacji dwunastoletniej dziewczynki ze wsi Zawadka, gmina Książpol, na-

zwiskiem *Szczur*, która w następstwie tych przejść zmarła. Gwałtom towarzyszyły rabunki i podpalenia. Zbombardowano z powietrza bombami zapalającymi wsie: Momoty, gmina Huta Krzeszowska, Ujście, Kiszki oraz Łazy w powiecie janowskim. Grozę położenia potęgowało organizowanie przez Niemców obozu koncentracyjnego w Biłgoraju, w którym wedle krążących pogłosek mieli osadzić całą męską ludność powiatu biłgorajskiego. Pogłoski były oparte na realnych podstawach: w dniu 11 czerwca 1944 roku umieszczono w nim stu mężczyzn ze wsi Sól w powiecie biłgorajskim.

Weirauch odmówił przyjęcia interwencji oświadczając, że w powiecie biłgorajskim władze ustaliły ponad wszelką wątpliwość współdziałanie ludności z oddziałami partyzantów.

W końcu października 1944 roku padły również ofiarą krwawej pacyfikacji miejscowość Łącko w powiecie nowosądeckim oraz dwie sąsiadujące z nią wsie. I tu także interwencja pozostała bez wyniku.

W dniu 29 maja 1944 roku prezes *Tchorznicki* złożył notatkę interwencyjną w sprawie masowego mordu dokonanego kilka dni przedtem w Warszawie. Stan faktyczny przedstawiał się następująco: Około godziny 17 kilku policjantów niemieckich poczęło ostrzeliwać mężczyznę uciekającego przez pole mokotowskie. W pewnym momencie policjanci skierowali akcję pościgową w kierunku domu mieszczącego się przy Alei Niepodległości nr 216, prawdopodobnie w przekonaniu, że tam ukrył się ścigany mężczyzna. Natychmiast otoczono dom, wyprowadzono mężczyzn na ulicę, po czym czternastu spośród nich rozstrzelano na miejscu jedynie z tego powodu, że nie byli w tym domu zameldowani. Zgłoszona interwencja pozostała bez odpowiedzi.

Nie inaczej działo się w Krakowie. W dniu 27 maja 1944 roku wstrząsnęła mieszkańcami wiadomość o masowej egzekucji ulicznej, dokonanej u zbiegu ulic Botanicznej i Lubicz. Ofiarą jej padło czterdzieści osób, wśród nich wielu o znanych w Krakowie nazwiskach, między innymi dr med. *Gradziński*, jedyny neurolog szpitala oo. bonifratrów w Krakowie.

Bezskuteczność zabiegów Rady Głównej Opiekuńczej o złagodzenie terroru — Pogromy ludności polskiej na Wołyniu i w dystrykcie Galicja

Całkowita bezskuteczność dotychczasowych interwencji łącznie z narastającą coraz gwałtowniej falą terroru skłoniły Radę Główną Opiekuńczą do podjęcia próby interweniowania u naczelnych władz GG. *Weirauch*, interpelowany w tej sprawie na początku lutego 1944 roku, uznał starania o uzyskanie audiencji u *Franka* za nierealne i skierował *Tchorznickiego* do szefa gestapo *Bierkampa*. Delegację w składzie: prezes *Tchorznicki*, członkowie RGO — *Janusz Machnicki* i *Stanisław Wachowiak* oraz były ambasador RP w Berlinie *Alfred Wysocki* przyjął ostatecznie zastępca *Bierkampa*, *obersturmbannführer Schindhelm*. W ciągu godzinnej konferencji delegacja przedstawiła grozę i tragizm sytuacji w Warszawie, prosząc o złagodzenie stosowanych metod policyjnych. Zrelacjonowano między innymi przebieg drastycznej łapanki w okolicy Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie oraz egzekucji ulicznej w dolnej części Alei Jerozolimskich, wykonanej na ofiarach sprowadzonych na miejsce kaźni w bieliźnie, z rękami powiązanymi drutem kolczastym i ustami zalepionymi gipsem.

Schindhelm oświadczył, że osobiście byłby za zaniechaniem ogłaszania egzekucji za pomocą afiszów. Dodał, że toczy się wojna i Niemcy muszą wszelkimi środkami dławić ruch oporu. Jeśli w czasie akcji podjętej przez władze zostanie aresztowany ktoś niewinny, jest zawsze otwarta droga dla interwencji prezesa RGO. Oświadczenie to było jedynym rezultatem konferencji. Fakt, że interwencje prezesa RGO nie dawały żadnego rezultatu, *Schindhelm* pominął milczeniem.

Sprawa egzekucji przy zbiegu ulic Botanicznej i Lubicz w Krakowie w dniu 27 maja 1944 roku była przedmiotem interwencji RGO u władzy nadzorczej, a w dniu 31 maja również w gestapo. Odpowiadając na postulat *Tchorznickiego*, że władze winny zaniechać stosowania odpowiedzialności zbiorowej, *Schindhelm* oświadczył, że jest to nieuniknione wobec postawy czynników podziemnych i ludności polskiej, która nie czyni nic, by działania te ukrócić. Nie przekonało go dowodzenie, że ludność nie ma możności takiego oddziaływania, jak również że publiczne egzekucje zamiast odstraszać szerzą wzburzenie i niepokój. „Właśnie dokonywanie egzekucji publicznych — wywodził *Schindhelm* — jest dobrodziejstwem dla ludności, bo zwraca jej dobitnie uwagę na skutki, które morderstwa i akty sabotażu na nią samą ściągają, i wskutek tego powinnny ją pobudzić do przeciwdziałania tym aktom."

Rozmowa nie dała żadnego rezultatu. W końcowym ustępie obszernej notatki zredagowanej bezpośrednio po konferencji *Tchorznicki* zapisał:

„*Schindhelm* oświadczył mi jasno w imieniu szefa *SD* (*Sicherheitsdienst*), że złagodzenie kursu w stosunku do ludności polskiej zależne jest od wstrzymania się przez nią od wszelkich aktów gwałtu i sabotażu. Dowodzenie moje, że wobec niejednolitości grup dokonywających tych aktów wywarcie wpływu przez społeczeństwo w powyższym kierunku jest praktycznie niewykonalne, pozostało bezskuteczne. *Schindhelm* obstawał przy tym, że ten pierwszy mały krok, przez co, jak wynika z poprzedniego przebiegu rozmowy, rozumiał zaniechanie czynnych przejawów wrogiego nastawienia ludności wobec Niemców, musi być przez ludność polską uczyniony, jeśli chce ona sprowadzić złagodzenie kursu władz."

W dniu 15 stycznia 1945 roku, na trzy dni przed wyzwoleniem Krakowa przez wojska radzieckie, silne oddziały policji niemieckiej, ma-

jące do dyspozycji również psy policyjne, otoczyły zwartym kordonem przedmieście Krakowa — Dąbie. W domach otoczonej dzielnicy przeprowadzono rewizje i aresztowania, które objęły kilkaset osób. Spośród aresztowanych rozstrzelano natychmiast na miejscu siedemdziesiąt osób jako podejrzanych o przekonania komunistyczne. Wśród rozstrzelanych były kobiety, a także dzieci w wieku od czternastu do piętnastu lat. W czasie tej akcji okupanci wymordowali całkowicie kilka rodzin. Rozkazano ludności pogrzebać ciała ofiar do wieczora tego samego dnia, grożąc spaleniem przedmieścia i rozstrzelaniem pozostałych mieszkańców w razie niewykonania rozkazu.

Osobną pozycję w rejestrze interwencji Rady Głównej Opiekuńczej u władz niemieckich stanowiły sprawy systematycznych masowych morderstw ludności polskiej na Wołyniu, dokonywanych przez bandy nacjonalistów ukraińskich. Od wiosny 1943 roku wypadki te poczęły zastraszająco wzrastać. Pozbawiona obrony ludność polska uchodziła masowo na tereny Generalnego Gubernatorstwa. Nad uchodźcami, nie posiadającymi przeważnie środków materialnych, roztoczyły opiekę terenowe organa RGO. Od początku lipca 1943 roku masowe morderstwa ludności polskiej rozpoczęły się również w dystrykcie Galicja. Sprawy położenia kresu tym krwawym akcjom oraz potrzeby materialne RGO, rosnące z napływającymi wciąż falami uchodźców, były przedmiotem licznych interwencji. Odpowiedzią było zwykle stwierdzenie, że Niemcy potrzebują żołnierzy na front, a nie do obrony Polaków przed Ukraińcami; co się tyczy uchodźców, to będą skierowani do pracy w Niemczech.

Mimo że starania o zapewnienie Polakom bezpieczeństwa nie dawały wyniku, *Tchorznicki* przedstawiał władzy nadzorczej dane napływające do RGO z zagrożonych terenów. Dotyczyły one martyrologii ludności polskiej w powiatach jarosławskim i drohobyckim, dalej w miejscowościach Nowe Stawy, Krościenko, Dobromil w powiecie przemyskim i Litewka, Kataryniec, Horbula, Andrianów koło Komarna w powiecie lwowskim oraz w miejscowości Podmichale w powiecie kałuskim, gdzie wymordowano ostatnie pozostałe przy życiu cztery rodziny polskie.

Całość zagadnienia była również przedmiotem osobistej interwencji *Tchorznickiego* u *Weiraucha* w dniu 2 maja 1944 roku. *Tchorznicki* podkreślił wtedy z naciskiem, że wedle wiadomości nadesłanych do RGO ludność polska w części dystryktu Galicja sięgającej do połowy powiatu lwowskiego została całkowicie wymordowana. Wedle przybliżonych obliczeń ofiara pogromów organizowanych przez nacjonalistów ukraińskich padło dziesięć do piętnastu tysięcy osób narodowości polskiej. Mienie chłopów uległo całkowitemu zniszczeniu. Przykładowo podał, że w samym powiecie kałuskim zniszczono 880 zagród polskich. Zwrócił również uwagę, że dochodzące do RGO wiadomości wskazują na współdziałanie z Ukraińcami formacji niemieckich. Rozmowa z *Weirauchem* toczyła się w atmosferze życzliwej, nie dała jednak absolutnie żadnego wyniku.

Negatywnie też zakończyła się akcja pełnomocnika RGO na dystrykt Galicji, dra *Tesznara*, który zabiegał o uzyskanie zgody okupantów na zorganizowanie samoobrony Polaków na terenach zagrożonych przez terror ukraińskich nacjonalistów. Gubernator dystryktu Galicja, *Wächter*, na posłuchaniu udzielonym *Tesznarowi* w dniu 6 marca 1944 roku uzależnił zgodę na zorganizowanie samoobrony ludności polskiej od dwóch warunków: po pierwsze, Rada Główna Opiekuńcza wyda odezwę o treści antykomunistycznej, po drugie, zostanie sformowany przez Polaków co najmniej batalion do walki z armią radziecką. Projekt samoobrony upadł, dr *Tesznar* bowiem uznał oba warunki za niemożliwe do przyjęcia.

Nie zgodzili się Niemcy również na skupienie ludności polskiej w większych miejscowościach, gdzie warunki bezpieczeństwa byłyby korzystniejsze, ani ze swej strony nie uczynili nic, by bezbronnej ludności zapewnić obronę przed pogromami. Dodać należy, że Ukraińcy mieli w tym okresie w dystrykcie Galicja własną milicję oraz ukraińską formację *SS*, które były używane, pod pozorem służby bezpieczeństwa, do mordowania ludności polskiej także we Lwowie.

W wyniku licznych konferencji z przedstawicielami RGO władza nadzorcza złożyła oświadczenie, że uchodźcy polscy ze wschodu nie będą wysyłani przymusowo na roboty w Niemczech. W praktyce i to oświadczenie okazało się pustym frazesem. Do końca okupacji transporty uchodźców kierowane były do punktów zbornych w Warszawie i w Krakowie. Po przeprowadzeniu selekcji uznanych za zdolnych do pracy wysyłano na roboty do Rzeszy.

Próby wciągnięcia Rady Głównej Opiekuńczej w orbitę propagandy hitlerowskiej — Otwarcie Krakowskiego Teatru Powszechnego — Niedola robotników polskich w Rzeszy — Kopanie szańców nową formą robót przymusowych — Represje wobec pracowników Rady Głównej Opiekuńczej — Masowe aresztowania i wywożenie mężczyzn

Chociaż *Frankowi* znane było stanowisko Rady Głównej Opiekuńczej, że jest ona instytucją wyłącznie charytatywną, a nie rodzajem przedstawicielstwa ludności polskiej, nie ustawał w usiłowaniach narzucenia jej takiej właśnie roli. Znalazło to oficjalny wyraz w przemówieniu *Franka* na konferencji prasowej dziennikarzy zagranicznych w Berlinie w dniu 7 lutego 1944 roku, kiedy Radę Główną Opiekuńcza nazwał przedstawicielką interesów narodu polskiego. Ponawiano również próby angażowania RGO do wystąpień na przeglądach i in-

nych uroczystościach, np. wigilii, święconym itp., urządzanych przez dowództwa formacji roboczych składających się z Polaków, jak *Baudienst* i inne. Chodziło o wywołanie wrażenia w społeczeństwie polskim i za granicą, że RGO patronuje tym formacjom, chociaż służą wyłącznie interesom okupantów i przez nich są organizowane. W Warszawie, w Radomiu, w Nadwórnej i w innych miejscowościach władze żądały od przedstawicieli RGO również publicznych antykomunistycznych deklaracji.

Wszystkie te zakusy spaliły na panewce. Nie dały także rezultatu starania Niemców o pozyskanie kogoś z grona wybitnych polskich prawników na członka Międzynarodowej Izby Prawniczej (*Internationale Rechtskammer*), instytucji czysto faszystowskiej, której prezydentem z woli *Hitlera* był *Frank*.

Otwarcie w Krakowie w dniu 15 marca 1944 roku powstałego z inicjatywy *Franka* teatru polskiego o nazwie Krakowski Teatr Powszechny dało okazję do prób wciągnięcia do tej imprezy Rady Głównej Opiekuńczej. Zażądano od *Tchorznickiego*, aby na otwarciu złożył władzom podziękowanie w imieniu Rady jako przedstawicielki narodu polskiego. *Tchorznicki* odmówił, a kiedy wysunięto groźby pod adresem instytucji, Rada uprosiła prof. *Piotrowicza*, aby wziął udział w inauguracji, lecz jako przedstawiciel ludności Krakowa, a nie Rady Głównej Opiekuńczej. To sprawiło, że uroczystość otwarcia teatru nabrała charakteru czysto lokalnego, wbrew zamierzeniom okupantów, którzy chcieli nadać jej możliwie najszerszy rozgłos.

W efekcie *Frank* nie wziął udziału w inauguracji, jak to było planowane, a przemówienie wygłosił nie członek rządu GG, lecz tylko *stadthauptmann Krämer*. Ponieważ wyraził on pogląd, że otwarcie teatru będzie stanowić punkt zwrotny w polskim życiu kulturalnym, prof. *Piotrowicz* w swej wypowiedzi udzielił obecnym Niemcom zwięzłej lekcji historii literatury i teatru w Polsce od wieku XVI do czasów najnowszych.

Usiłowania okupantów wciągnięcia RGO w akcję propagandy hitlerowskiej łączyły się z lekceważeniem najżywotniejszych interesów polskich i szły w parze z krwawymi aktami terroru podejmowanymi ustawicznie przez władze. Nie respektowano nawet tego rodzaju postulatów Rady, jak utworzenie polskiej pomocy sanitarnej w związku z coraz realniejszą możliwością nalotów i bombardowań lub przyjście w wydatniejszej mierze z pomocą rodzinom polskich robotników wywiezionych do Rzeszy.

Wywożenie robotników polskich do Niemiec trwało przez cały okres okupacji. Drastyczne metody poboru uzupełniane były łapankami na ulicach, w pociągach i innych miejscach. W Rzeszy władze czyniły wszystko, by polski robotnik był wyzyskiwany jako siła robocza do maksimum, a równocześnie jak najgorzej traktowany. Robotnicy cudzoziemscy w Niemczech mieli obowiązek noszenia wyszytej na odzieniu początkowej litery nazwy ich narodowości. Oznaczenie literą *P* (noszoną przez Polaków) pociągało bardzo dotkliwe konsekwencje.

Polacy byli używani do najcięższych robót, mieli najmniej wolnego czasu na odpoczynek, byli wynagradzani według najniższych stawek, mieli ograniczoną możność poruszania się i czynienia zakupów oraz otrzymywali najmniejsze przydziały. Ustosunkowanie się miejscowych władz do Polaków było również jak najgorsze, przy czym jedną z szykan było umieszczanie Polaków w obozach pracy razem z robotnikami innych narodowości, nastawionych wobec nich wrogo. Na ogół sytuacja robotników polskich pracujących na roli była lepsza niż pracujących w przemyśle. Jednak i praca w rolnictwie miała charakter typowo niewolniczy.

Chociaż działalność Rady Głównej Opiekuńczej była statutowo ograniczona do terenu Generalnej Guberni, Rada nie ustawała w usiłowaniach, by uzyskać możność roztoczenia opieki także nad milionowymi rzeszami robotników polskich przymusowo zatrudnionych w Niemczech. Najważniejsze postulaty Rady były następujące: 1) polska pomoc sanitarno-lekarska, 2) polska opieka duszpasterska, 3) możność wybierania przez polskich robotników w ich zakładach pracy mężów zaufania uprawnionych do przedstawiania dezyderatów Radzie Głównej Opiekuńczej, 4) polska opieka nad dziećmi pozbawionymi opieki w czasie pracy rodziców, 5) prawo noszenia litery *P* przez wszystkich robotników narodowości polskiej, niezależnie od miejsca ich pochodzenia. Rada domagała się nadto zrównania płac oraz przydziałów żywności i odzieży dla robotników polskich z płacami i świadczeniami uzyskiwanymi przez robotników innych narodowości, zaprzestania przez władze i ludność szykan stosowanych wobec nich wyłącznie z tego powodu, że są Polakami, oraz odsyłania polskich inwalidów pracy do ich rodzin w Polsce, a nie — jak praktykowały władze — do obozu w Neumarkt. Obóz Neumarkt w Bawarii stanowi osobną kartę w historii martyrologii robotników polskich w Rzeszy. Wysyłano tam wszystkich polskich inwalidów, gdzie wymierali wycieńczeni głodem i najgorszymi warunkami higienicznymi.

Wszystkie te, tak żywotne dla robotników polskich sprawy, były przedmiotem licznych interwencji i memoriałów ze strony Rady Głównej Opiekuńczej nie uwieńczonych w szerszej mierze pozytywnymi wynikami. Prezes *Tchorznicki* uzyskał jedynie oświadczenie dra *Craushaara*, że *Frankowi* udało się uzyskać w Berlinie zgodę na zrównanie płac wszystkich robotników cudzoziemskich pracujących w Rzeszy oraz że wszyscy robotnicy mają nosić oznaczenia stwierdzające ich narodowość, niezależnie od przynależności państwowej. Z obozu w Neumarkt udało się Radzie ściągnąć do kraju jedynie dwa transporty inwalidów pracy; pierwszy liczył siedemnaście osób, drugi trzydzieści kilka. Kondycja fizyczna i nastrój tych ludzi czyniły wstrząsające wrażenie. Obie gru-

py skierowała Rada pod opiekę Szpitala św. Łazarza w Krakowie.

Od pierwszych dni sierpnia 1944 roku nową plagą dla ludności polskiej stały się roboty fortyfikacyjne. Na obszarze GG powołano do nich ludność obojga płci w wieku od piętnastu do pięćdziesięciu pięciu lat. Wedle zapewnień władz roboty miały trwać dwa miesiące; w rzeczywistości trwały do końca okupacji. Przerwała je dopiero zimowa ofensywa wojsk radzieckich.

W obwieszczeniach powołujących ludność do robót fortyfikacyjnych przyrzekano, że pracujący otrzymają oprócz pieniężnego wynagrodzenia wyżywienie na miejscu. W niezmiernie licznych przypadkach albo nie było wyżywienia, albo było ono w niedostatecznej ilości. Natomiast nigdy nie zapomniano dostarczyć wódki, co przy nędznym odżywieniu powodowało liczne wypadki opilstwa i gorszące zachowanie wracających z robót. Interwencja w sprawie zaprzestania wydawania wódki zajętym przy kopaniu szańców spotkała się z kategoryczną odmową. Na pismo interwencyjne z dnia 29 listopada 1944 roku domagające się złagodzenia obowiązku udziału w kopaniu szańców władze odpowiedziały rozporządzeniem z dnia 30 grudnia 1944 roku, które rozszerzało granicę wieku obowiązanych do pracy i powoływało do niej kobiety zamężne, dotąd wolne od tego przymusu.

Rozpijanie ludności polskiej było jednym z ogniw planowej akcji demoralizowania społeczeństwa polskiego przez usiłowanie niszczenia jego sił fizycznych i moralnych. Oprócz wódki środkami prowadzącymi do osiągnięcia tego celu miały być liczne wydawnictwa periodyczne o charakterze pornograficznym, wyświetlanie filmów podobnego rodzaju oraz otwarcie dla Polaków domów gier w Warszawie i w Krakowie.

W nocy z dnia 2 na 3 lipca 1944 roku okupanci przeprowadzili w Krakowie masowe aresztowania. Wiele mieszkań opieczętowano wobec aresztowania wszystkich domowników. W czasie interwencji *Schindhelm* oświadczył *Tchorznickiemu*, że „wina za tego rodzaju wypadki spada nie, jak społeczeństwo mniema, na władze policyjne, tylko na samo społeczeństwo." Swoją wypowiedź zakończył słowami: „Całe społeczeństwo winno wpływać na to, by władze nie były zmuszone do tego rodzaju reakcji."

Szczególny charakter miało aresztowanie dra *Reguły*. Przed wojną był on wicesekretarzem UJ w Krakowie, a w czasie okupacji kierownikiem referatu finansowo-bankowego RGO. Aresztowanie nastąpiło w związku z przedstawieniem przezeń podrobionych dokumentów, które miały ukryć niearyjskie pochodzenie żony oraz jej córki z pierwszego małżeństwa. Na argumenty *Tchorznickiego*, że w tym przypadku chodzi o przestępstwo pozbawione charakteru politycznego i tak bardzo zrozumiałe ze względów ludzkich, *Schindhelm* przyznał, że czyn dra *Reguły* jest zrozumiały z uwagi na pobudki, ale podkreślił, że jest przestępstwem i to, w myśl zasad narodowo-socjalistycznych, właśnie przestępstwem politycznym. Interwencja nie dała wyniku. Dra *Regułę* skierowano z więzienia w Krakowie do jednego z obozów w Rzeszy. Bezpośrednio po wyzwoleniu tego obozu przez wojska radzieckie zastrzelił go jeden ze współwięźniów, biorąc go mylnie za szczególnie znienawidzonego lekarza obozowego.

Aresztowania dokonywane wśród personelu RGO powodowały niejednokrotnie zahamowania biegu spraw urzędowych. W krakowskim lokalu Rady przy ul. Krowoderskiej 5 przeprowadzono w dniach 9 i 10 sierpnia 1944 roku rewizje, w toku których znaleziono rzekomo w piwnicy broń ukrytą pod węglem. Chociaż prezes instytucji był na miejscu, nie okazano mu znalezionego ponoć łupu. Twierdzenie policji było oczywistym kłamstwem. Mimo to pierwszego dnia aresztowano cały 5-osobowy zespół Wydziału VII (Ofiarności), a nadto dwie osoby z kancelarii i woźnego. Następnego dnia aresztowano dyrektora RGO *Edmunda Seyfrieda* i wicedyrektora *Henryka Woronieckiego*. Obu aresztowanych zwolniono dopiero po siedmiu tygodniach, pozostałych zatrzymano nadal w więzieniu.

W dniu 26 stycznia 1944 roku aresztowano byłego prezesa RGO *Adama Ronikiera* i byłego członka Rady prof. *Władysława Woltera*. Natychmiastowa interwencja pozostała bez skutku; zwolniono ich dopiero po pewnym czasie. Nie oszczędzono również najbliższej rodziny prezesa *Tchorznickiego*. We wrześniu 1944 roku aresztowano obie jego córki: *Marię Tchorznicką* i *Aleksandrę Ostaszewską* wraz z mężem *Wojciechem Ostaszewskim*. W czasie interwencji *Schindhelm* powiedział *Tchorznickiemu*, że sprawa wszystkich trojga ma charakter gardłowy, a córki już się do winy przyznały. Na pytanie, na czym polega ich wina, nie odpowiedział, natomiast zauważył, że skoro prezes RGO nie posiada wpływu na najbliższą rodzinę, to jest wątpliwe, by go miał na swych współpracowników. Po trzech dniach zwolniono *Marię Tchorznicką*, a po trzech tygodniach jej siostrę wraz z mężem. Rzekome przyznanie się do rzekomej winy było kłamstwem, a fakt aresztowania próbą wywarcia presji na prezesa RGO.

W niedzielę 6 sierpnia 1944 roku, w godzinach popołudniowych, odbyły się w Krakowie olbrzymie obławy, w czasie których aresztowano około siedem tysięcy mężczyzn, przeważnie w młodym wieku. Formacje policji niemieckiej otoczyły całe dzielnice, aresztując przechodniów. Przeprowadzano rewizje, dom za domem, i zabierano z mieszkań mężczyzn. Nie oszczędzono nawet szpitali. Również i w nich przeprowadzono rewizje; zabierano mężczyzn, którzy korzystając z niedzieli przyszli odwiedzić chorych. Aresztowanych przewożono do obozu w Płaszowie. Po kilku dniach zaczęto przeprowadzać selekcję i wypuszczać grupami na wolność. Niemniej kilkaset aresztowanych umieszczono w więzieniu na Montelupich, skąd wywieziono ich do obozu

w Oświęcimiu. Ta pamiętna dla krakowian masówka miała na celu sterroryzowanie mieszkańców w związku z wybuchem powstania w Warszawie.

Podobne akcje terrorystyczne podejmowano po wybuchu powstania również w rejonie Warszawy. Dwie z nich były przedmiotem pisemnej interwencji, złożonej u *Weiraucha* w dniu 2 września 1944 roku. Pierwsza dotyczyła poboru mężczyzn w wieku od 17 do 35 lat w miejscowości Włochy pod Warszawą i wysłania ich przez obóz w Pruszkowie do Rzeszy. Druga dotyczyła losów mężczyzn załadowanych do 60 wagonów i wywiezionych z Kozienic i Radomia w niewiadomym kierunku. Trzecia interwencja, złożona w tym samym dniu, nie miała wprawdzie związku z powstaniem, niemniej dotyczyła również drastycznego postępowania władz. Chodziło o grupę 78 chłopców w wieku od 7 do 12 lat z miejscowości Pilzno pod Tarnowem, pozbawionych na skutek wojny opieki rodzicielskiej. Całą grupę skierowano do obozu w Płaszowie, skąd zwolniono ich dopiero po upływie dłuższego czasu i oddano pod opiekę RGO. W dwóch pierwszych sprawach interwencja nie dała żadnego wyniku, trzecia nastąpiła już po zwolnieniu chłopców i miała na celu zapobieżenie podobnym akcjom w przyszłości.

Powstanie warszawskie — Ewakuacja ludności stolicy — Obóz w Pruszkowie — Przedstawiciele RGO u generała von dem Bach Zelewskiego — Niemcy burzą Warszawę — Rabunek mienia Warszawy

W dniu 1 sierpnia 1944 roku wybuchło w Warszawie powstanie. Do pierwszej rozmowy władz z przedstawicielem RGO na ten temat doszło dopiero 10 sierpnia. *Türk* oświadczył *Tchorznickiemu*, że w Warszawie straciło dotąd życie 150 tysięcy ludzi, a dalszym następstwem będzie ewakuacja pół miliona mieszkańców. Zadaniem Rady Głównej Opiekuńczej będzie zaopiekowanie się ewakuowaną ludnością. Na wydatki z tym związane gubernator *Fischer* otrzymał 10 milionów złotych i jest nadzieja — twierdził *Türk* — że za jakiś czas zostanie wyasygnowane na ten cel dalsze 10 milionów.

Ogrom zadań, które spadły na Radę Główną Opiekuńczą w związku z wybuchem powstania, przerastał o wiele jej możliwości organizacyjne. Sytuację utrudniała postawa administracji niemieckiej, jak zwykle wroga i nie uwzględniająca postulatów Rady, nawet w zakresie zadań zleconych przez władze.

Prezes RGO nie miał do dyspozycji auta, sama zaś instytucja posiadała tylko jeden samochód ciężarowy o pojemności dwóch ton. Tym wozem transportowano środki lecznicze, odzież, żywność itp. dla setek tysięcy mieszkańców Warszawy wyczekujących pomocy. Z komunikacji kolejowej nie można było korzystać, gdyż Warszawa stanowiła już teren przyfrontowy i pociągi do niej nie dojeżdżały. Od początku akcja była paraliżowana przez władze. Przyrzeczonego kredytu 10 milionów złotych, chociaż był groteskowo nikły w porównaniu z ogromem zadań, nie można było otrzymać wobec biurokratycznych oporów władz. Odmówiono przekazania go Radzie, jak również wypłacenia pewnych sum bezpośrednio miejscowym Polskim Komitetom Opiekuńczym, natomiast żądano, by potrzebne kwoty Komitety wydatkowały na poczet przewidywanego kredytu, co było niewykonalne wobec braku funduszów. Przedstawicieli RGO dopuszczono w okolice podwarszawskie dopiero w drugiej połowie sierpnia, a kwoty z kredytu na akcję pomocy zaczęły napływać dopiero w ciągu września.

W związku z organizowaniem pomocy dla ludności stolicy *Tchorznicki* zwrócił się pisemnie w sierpniu 1944 roku wprost do gubernatora warszawskiego *Fischera* z żądaniem opieki i pomocy dla ludności cywilnej. *Fischer* odpisał, że nie odmawia poparcia dla charytatywnych poczynań RGO, dziwi się jednak żądaniu opieki i pomocy dla mieszkańców Warszawy, uważa ich bowiem za zbrodniarzy. Wytknął nadto, że pismo prezesa RGO przemilcza polityczne powody, które sprowadziły na ludność Warszawy jej obecną, ciężką sytuację.

W dniu 14 sierpnia 1944 roku *Türk* przyjął *Tchorznickiego* i *Kazimierza Okulicza*, pełnomocnika RGO na dystrykt radomski. Wedle zapisku *Tchorznickiego Türk* złożył w sprawie Warszawy następujące oświadczenie:

„Cała Warszawa ma być zgładzona i jej ludność usunięta — są to zarządzenia bezpośrednie *führera*. Nie do zniesienia jest bowiem, by armia walcząca otrzymywała na froncie cios w plecy. [*Türk*] nadmienił przy tym, że na Pradze żadnych odruchów powstańczych nie było i że Praga jest całkowicie w rękach Niemców. Bez odpowiedzi pozostawił uwagę *Okulicza*, że ruchy powstańcze we Francji są znacznie liczniejsze i — jak świadczą komunikaty sztabu niemieckiego — prowadzone przez «terrorystów francuskich», a mimo to nie wywołują podobnych jak w Polsce reakcji władz, gdyż nie słyszy się o takim traktowaniu miast francuskich jak Warszawy."

1 października 1944 roku *Tchorznicki* wyjechał na polecenie władz do Pruszkowa w celu zorganizowania opieki nad dalszymi falami ewakuowanych. Towarzyszyli mu z ramienia RGO *Andrzej Skrzyński* i dr *Leopold Tesznar*, ze strony władzy nadzorczej urzędnik o nazwisku *Reuter*. Podróż odbyto koleją. Następnego dnia rano, kiedy ekipa przyjechała do Pruszkowa, dołączył się do niej *Janusz Machnicki*, wiceprezes RGO, i wszyscy razem udali się na teren obozu, gdzie rolę przewodnika objął wojskowy komendant obozu, pułkownik *Siebert*. Obóz mieścił się w siedmiu halach warsztatów kolejowych w Pruszkowie. Panujące w nim stosunki obrazuje fragment sprawozdania *Tchorznickiego*, złożony władzy nadzorczej:

„Ogólny widok 14 tysięcy ludzi, które w owym dniu przebywały w obozie, sprawiał

niesłychanie przygnębiające wrażenie. Te tysiące ludzi, które siedzą lub leżą w siedmiu halach na kamiennych lub betonowych posadzkach, czasem na kawałku deski lub koca, lub tobołku własnych rzeczy — wszyscy zmęczeni i wynędzniali, wielu z nich z widocznymi oznakami przebytych cierpień i strasznych przejść, z chorymi, rannymi, starcami i dziećmi, wędrujący długimi rzędami do masowego karmienia lub z innych powodów z hali do hali lub do odchodzących transportów — tworzą wstrząsający obraz wszelkich fizycznych i moralnych cierpień. Zasieki druciane i liczne posterunki przywodzą wciąż na pamięć ciężki przymus, któremu poddani są ci ludzie. Pomimo że czynione są starania około utrzymania czystości w obozie, na skutek przebywania w nim tych mas zbiedzonych i wynędzniałych ludzi robi on wrażenie, że jest nieporządnie i brudno. Pożywienie (zupy) gotuje się w kilku kuchniach, w dużych kotłach. Chleba i zupy jest pod dostatkiem. Zupa jest nawet smaczna, a jednak nie jest ona niczym innym jak wodą zaprawioną smakiem jarzynowym; przecież w dniu naszego pobytu w obozie, w którym było czternaście tysięcy osób, zużyto niecałe 20 kg mięsa do zupy."

Wedle opinii płk *Sieberta* obóz w Pruszkowie mógł pomieścić 30 tysięcy ludzi. Dziennie odchodziło z obozu kilka transportów obejmujących łącznie 20—25 tysięcy osób. Do 2 października 1944 roku przeszło przez obóz, jak oświadczył *Siebert*, 284 tysiące ludzi. Spośród ewakuowanych wybierano zdolnych do pracy, ale — znowu wedle *Sieberta* — podczas selekcji trzy piąte uznano za niezdolnych. Właściwym dyktatorem obozu, w sensie polityczno-policyjnym, był *sturmbannführer Diel*. Oświadczył on, że „całkowita ewakuacja Warszawy jest niezbędna i musi nastąpić z powodu bliskości frontu, gdyż jest zasadą, że 10-kilometrowy pas za frontem musi być wolny od ludności cywilnej."

Jeszcze tego samego dnia w godzinach popołudniowych odbyła się konferencja przedstawicieli RGO z drem *Craushaarem*, kierownikiem administracji w rządzie GG. W imieniu Rady prezes *Tchorznicki* prosił o zaniechanie przez władze całkowitej ewakuacji Warszawy, o pozwolenie Radzie na roztoczenie opieki nad ludnością pozostałą w mieście i o możność ewakuacji z Warszawy mienia prywatnego, a nadto o przyjęcie przedstawicieli RGO przez dowódcę wojskowej grupy operacyjnej, generała *SS von dem Bach Zelewskiego*. *Craushaar* oświadczył, że zaniechanie ewakuacji uważa za niemożliwe, co przesądza również postulat opieki RGO nad pozostałą w mieście ludnością. Niemniej przyrzekł, że wysunięte dezyderaty przedstawi osobiście generałowi *von dem Bach Zelewskiemu*.

Następnego dnia w godzinach rannych dr *Craushaar* zawiadomił przedstawicieli RGO, że dnia 2 października 1944 roku o godzinie 9 został podpisany akt kapitulacji Warszawy. Generał *Bór* oddaje się do niewoli. Wojska powstańcze i ludność mają opuścić miasto grupami do dnia 5 października. Ewakuację ludności przeprowadzi rząd GG wspólnie z gen. *von dem Bach Zelewskim* przy użyciu formacji wyłącznie niemieckich. Władze obliczają ludność pozostałą w Warszawie na 250 tysięcy, z tym — zaznaczył *Craushaar* — że dowództwo Armii Krajowej liczbę tę zwiększa do 400 tysięcy. Wobec nasilenia ewakuacji utworzono pod Warszawą oprócz obozu w Pruszkowie jeszcze dwa inne. Obóz Ursus jest już gotowy, a Piastów będzie wkrótce zdatny do użytku. W sprawie mienia prywatnego oświadczył, że będzie ewakuowane i oddane w zarząd Rady Głównej Opiekuńczej.

Tego samego dnia generał *von dem Bach Zelewski* przyjął w swej kwaterze w Ożarowie prezesa *Tchorznickiego* i towarzyszących mu delegatów. Grono ich powiększyło się o członka RGO z Warszawy *Stanisława Wachowiaka*, wiceprezydenta Warszawy *Podwińskiego* i przedstawicielkę Polskiego Czerwonego Krzyża *Tarnowską*. *Von dem Bach Zelewski* potwierdził decyzję władz całkowitej ewakuacji Warszawy. Oświadczył, że miasto zostało podzielone na odcinki, z których ludność będzie kolejno ewakuowana. Jeżeli sytuacja strategiczna na to pozwoli, termin ewakuacji będzie można przedłużyć o 2—3 dni. Po ewakuacji ludności nastąpi ewakuacja mienia prywatnego, a po jej ukończeniu zacznie się — jak oświadczył — ewakuacja mienia kulturalnego. Do jej spraw ukonstytuowała się 6-osobowa komisja, złożona z Polaków i dwóch Niemców. Ze strony polskiej w skład komisji weszli wiceprezydent Warszawy *Podwiński* jako przewodniczący oraz prof. *Woliński*, *Wańkowiczowa* i dr *Lorenz*, ze strony niemieckiej zaś *Schönberg* i dr *Józef Mühlmann*, austriacki historyk sztuki.

Ewakuacja ludności Warszawy została ukończona w dniu 8 października 1944 roku. Z kolei winna nastąpić ewakuacja mienia prywatnego stosownie do oświadczeń dra *Craushaara* i faktycznego wówczas dyktatora Warszawy generała *von dem Bach Zelewskiego*. Tymczasem zamiast spodziewanej ewakuacji rozpoczął się w wyludnionej Warszawie najbrutalniejszy rabunek mienia prywatnego. Dokonywały go grupy Niemców wchodzących w skład stacjonowanych na miejscu oddziałów wojska, policji i formacji *SS*, a także wszelkiego rodzaju władz. Przyłączyły się do nich niestety grupy ludności polskiej, rekrutujące się z podmiejskich mętów społecznych.

Rabunek ten, określany terminem „szaber", trwał bez przerwy do 20 października 1944 roku. Dopiero 21 października władze dopuściły na teren Warszawy ekipę złożoną z pięciuset osób, zorganizowaną przez Warszawski Komitet Opiekuńczy. Ekipie tej polecono współdziałać pod nadzorem policji w ewakuacji mienia prywatnego, ale tylko na niewielkim obszarze miasta, który dostał się w ręce Niemców wskutek kapitulacji. Nadto termin ewakuacji mienia ograniczono do dziesięciu dni, tj. do 30 października.

Mienie pochodzące z Warszawy miało być przekazane RGO. Ostatecznie władze przekazały tej organizacji wszystkiego 186 ton. Składały się na to, w przeważającej mierze, bielizna, pościel oraz półtora wagonu dywanów i firanek. Na znak protestu przeciwko sposobowi przeprowadzania ewakuacji mienia prywatnego, sprzecznemu z zasadami określonymi przez decydujące czynniki, ustąpili z RGO dwaj jej członkowie z Warszawy: *Janusz Machnicki* i *Stanisław Wachowiak*. Całkowita rozbieżność między obietnicami a faktycznym sposobem przeprowadzania ewakuacji stała się również przedmiotem memoriału złożonego przez *Tchorznickiego* władzy nadzorczej. Także i ten memoriał, podobnie jak wiele innych, nie odniósł żadnego praktycznego skutku.

Sprawa ewakuacji mienia kulturalnego została przez władze bezapelacyjnie przekreślona mimo interwencji u władz centralnych w Krakowie, a nawet u sekretarza stanu *Bühlera*. Komisja *Podwińskiego* do spraw ewakuakcji mienia kulturalnego nie zebrała się ani razu. W końcu władze zaprzeczyły, że była w ogóle powołana. Jedynie dzięki osobistym stosunkom dra *Lorenza*, dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, udało mu się uratować 30% mienia kulturalnego Warszawy.

Od listopada 1944 roku okupanci rozpoczęli planowe niszczenie Warszawy. W gruz zamieniano wszystko, co ostało się po oblężeniu stolicy w roku 1939, po spaleniu getta i po powstaniu. Wysadzano w powietrze ocalałe jeszcze kościoły, pomniki i zabytkowe pałace; wnętrza zachowanych domów rabowano i wypalano, niszczono uzbrojenie ulic i pomieszczenia zakładów użyteczności publicznej. Akcję tę prowadziły specjalne oddziały wojskowe, a przerwała ją dopiero zwycięska ofensywa wojsk radzieckich i polskich.

Ludność ewakuowana z Warszawy została w bardzo znacznej części skierowana na roboty przymusowe w Rzeszy, a część do obozów koncentracyjnych. Ci spośród mieszkańców stolicy, którzy znaleźli schronienie na obszarze Generalnej Guberni, stali się bezzwłocznie przedmiotem najdotkliwszych szykan ze strony władz administracyjnych i policyjnych. Na ulicach miast, także i w Krakowie, urządzano na warszawian łapanki, a nocami przeprowadzano obławy na nich po mieszkaniach. Sam fakt posiadania *kennkarty* wystawionej w Warszawie decydował o aresztowaniu i zesłaniu do robót w Rzeszy. Te brutalne szykany stanowiły dodatkową udrękę rozpierzchłej po Polsce ludności stolicy.

Zapowiedź Franka dopuszczenia Polaków do współrządów — Grabież dzieł sztuki z Wawelu — Wymijająca odpowiedź Wehrmachtu — Delegacja RGO i ludności Krakowa u Franka

W ostatnich miesiącach okupacji zaczęły się mnożyć oficjalne zapowiedzi *Franka* wciągnięcia Polaków do współpracy w Generalnym Gubernatorstwie. Także prezydent *Craushaar* dwukrotnie oświadczył *Tchorznickiemu*, że władze zamierzają dopuścić Polaków do udziału w administracji, jednak niepewna sytuacja na froncie paraliżuje realizację tych planów.

Oświadczenia te sprawiły, że *Tchorznicki* w czasie rozmowy z *Weirauchem* dnia 30 października 1944 roku wyraził opinię, iż wypowiedzi generalnego gubernatora w sprawie udziału Polaków we współrządach oraz próby realizacji tego planu mogą spowodować poważne trudności i nieprzyjemności dla poszczególnych osób. Chwila bowiem jest zupełnie nieodpowiednia do podejmowania prób ułożenia stosunków z Polakami. *Weirauch* tłumaczył akcję *Franka* jego stałą dobrą wolą do polepszenia stosunków, co zamierzał osiągnąć „dokładaniem kamienia do kamienia, by w ten sposób mógł powstać gmach współpracy."

W praktyce rzekomo dobra wola *Franka* nie przejawiała się nawet w tych sprawach, w których decyzja należała wyłącznie do niego. Przykładem są dzieje grabieży dzieł sztuki przechowywanych na Wawelu.

Latem 1944 roku sytuacja Niemców na froncie wschodnim uległa wybitnemu pogorszeniu. Postępy zwycięskiej ofensywy armii radzieckiej i wojska polskiego doprowadziły do wyzwolenia części wschodnich obszarów Polski wraz z Lublinem. Na okupowanych jeszcze przez Niemców terenach władze przeprowadziły ewakuację napływowej ludności niemieckiej oraz części urzędów administracyjnych. W toku tej akcji w Krakowie niemiecki kustosz Wawelu, architekt *Ernest Palezieux*, wręczył konserwatorowi wawelskiemu, rektorowi *Szyszko-Bohuszowi*, klucze od piwnic i schronów, gdzie okupanci przechowywali zgromadzone z całej Polski dzieła sztuki. Wydawało się zatem, że zdecydowali pozostawić zagrabione dzieła ich prawnym właścicielom. Niestety, sytuacja uległa wkrótce radykalnej zmianie. Wczesnym rankiem 4 sierpnia 1944 r. *Palezieux* przyjechał na Wawel i zabrał ze schronu trzy cenne obrazy, w tym jeden pędzla *Leonarda da Vinci* oraz niezmiernie cenną statuetkę Matki Boskiej. Jeszcze tego samego rana Niemcy wynieśli z piwnic i schronów wawelskich przechowywane tam dzieła i po załadowaniu na samochody ciężarowe wywieźli w niewiadomym kierunku.

Ta nowa grabież stała się powodem interwencji oraz memoriału *Tchorznickiego* do rządu GG. Memoriał zawierał żądanie pozostawienia zgromadzonych na Wawelu dzieł sztuki, dokładnego spisu już wywiezionych i ich zwrotu. Rezultatem było tylko przekazanie przez *Weiraucha* spisu dzieł zabranych z Wawelu. *Craushaar* poinformował ponadto *Tchorznickiego*, że dzieła sztuki zostały przewiezione na Śląsk, do zamku o nazwie *Seichau*. Podając ten adres, *Craushaar* zaznaczył, że czyni to na życzenie generalnego gubernatora.

Przez przeszło czteroletni okres istnienia Rady Głównej Opiekuńczej Niemcy nie pozwolili jej nigdy zwrócić się do społeczeństwa drogą odezw czy innych publikacji. Po raz pierwszy

wyrazili na to zgodę w listopadzie 1944 roku w związku z akcją pomocy dla ewakuowanej ludności Warszawy. Tekst odezwy jednak tak drastycznie ocenzurowano, że wypadł blado. Odezwa Rady została poprzedzona odezwą *Franka*. Apelowała ona do Polaków o niesienie pomocy tej samej męczeńskiej ludności miasta, która padała codziennie ofiarą łapanek, aresztowań i innych najbrutalniejszych szykan ze strony władz, na których czele stał właśnie generalny gubernator.

W związku z gwałtownym przybliżaniem się frontu udała się w dniu 3 sierpnia 1944 roku delegacja do komendanta Krakowa generała *Heinicke*, złożona z księcia metropolity *Adama Sapiehy*, byłego austriackiego ministra dla Galicji *Juliusza Twardowskiego* oraz prezesa RGO *Konstantego Tchorznickiego*. W imieniu ludności Krakowa delegacja wyraziła prośbę o uznanie tego miasta za miasto otwarte i oszczędzanie jego ludności, zabytków i zakładów użyteczności publicznej. Gen. *Heinicke* oświadczył, że decyzja w tych sprawach nie należy do niego, zwróci się jednak z tym do odpowiednich czynników. Po upływie trzech tygodni nadeszła odpowiedź na ręce księcia metropolity. Nie dawała konkretnych obietnic ani przyrzeczeń, operowała ogólnikami i stwierdzała, że oszczędzanie miasta będzie zależało w dużej mierze od postawy ludności.

We wrześniu 1944 roku obiegały Kraków pogłoski o zamierzonej przez władze ewakuacji ludności, a budowanie na ulicach umocnień, zasieków, zapór przeciwczołgowych itp. nasuwało przypuszczenie, że Niemcy zamierzają się bronić również na terenie Krakowa. Zaniepokojenie ludności miało swoje źródło także w wiadomościach o losach innych miast Małopolski, a w szczególności Jasła. Jesienią 1944 roku miasto to zostało przez okupantów bez żadnego powodu zrównane z ziemią po uprzednim wypędzeniu mieszkańców, których pozbawiono nawet możliwości zabrania mienia ruchomego.

Fakty te spowodowały, że w dniu 23 września 1944 roku *Tchorznicki* zwrócił się do *Weiraucha* o wyjaśnienie, czy władze zamierzają przeprowadzić ewakuację Krakowa i czy w przypadku objęcia Krakowa przez linię frontu będzie oszczędzana ludność, zabytki i zakłady użyteczności publicznej. Rozmowy z władzą nadzorczą doprowadziły ostatecznie do przyjęcia przez *Franka* w dniu 13 listopada 1944 roku na Wawelu delegacji Rady Głównej Opiekuńczej i mieszkańców Krakowa. Radę reprezentowali na tej konferencji prezes *Tchorznicki* wraz z prof. *Wacławem Krzyżanowskim* i prof. *Ludwikiem Piotrowiczem*, mieszkańców Krakowa zaś b. minister *Juliusz Twardowski*, przewodniczący tzw. *Beiratu* przy *stadthauptmannie* (ciała doradczego nie działającego od lat), oraz *Kuhn* jako przedstawiciel kupiectwa, *Trembecki* jako przedstawiciel rzemiosła i *Feliks Kulesza* jako przedstawiciel robotników.

Frank przyjął delegację w obecności sekretarzów stanu dra *Bühlera* i *Koppego*, prezydenta *Craushaara*, starszego radcy *Weiraucha* i radcy ministerialnego nieustalonego nazwiska, który pełnił funkcje protokolanta. Podobnie jak w sierpniu władze wojskowe, tak teraz *Frank* nie dał żadnych konkretnych przyrzeczeń co do oszczędzania miasta i jego ludności, zasłaniając się względami strategiczno-wojskowymi, na które nie ma wpływu. Zaznaczył jedynie, że dowództwa wojskowe otrzymały rozkaz oszczędzania zabytków. Radził, by starcy, kobiety i dzieci w miarę możności opuścili miasto, pozostała zaś ludność winna się chronić przez udział w obronie przeciwlotniczej. Korzystając z okazji nadmienił:

„Oczywiście unicestwić te zamiary władz mogłyby wypadki podobne jak w Warszawie, gdzie przez zupełnie bezsensowne powstanie zniszczone zostało miasto z ogromnymi zasokami wszelkich dóbr i tętniące bujnym życiem. I tu jednak generalny gubernator wywierał wpływ na łagodne traktowanie powstańców, co znalazło swój wyraz w uznaniu ich za kombatantów. Trzeba więc, by RGO, a także i dumny biskup krakowski wywarli swój wpływ, aby nie doszło tutaj do podobnych wypadków, a w szczególności, by wywarli w tym kierunku wpływ na AK."

Tu wtrącił *Koppe*, że ludzie siedzący w lasach mogą wywołać niezmierne komplikacje właśnie w tej sprawie, o którą delegacji chodzi.

Rzeczywiste zamiary władz, a zarazem osobiste poglądy generalnego gubernatora w sprawie stosunku do obszarów opuszczanych przez wojska niemieckie ujawnia w sposób o wiele bliższy prawdzie niż cytowana wypowiedź notatka w dzienniku *Franka* z dnia 17 kwietnia 1944 roku:

„Pan generalny gubernator nie chce mieszać się do spraw o charakterze czysto wojskowym, gdyż nie wie, czy pora jest ku temu odpowiednia (...). Słuszny jest wydany wojsku rozkaz, aby Rosjanom pozostawić tylko «spaloną ziemię». Jeżeli zachodzi już konieczność opuszczenia pewnych obszarów, to nie można czynić różnicy między Generalną Gubernią a innymi obszarami. (...)"

Dziennik Hansa Franka — Nowy kurs polityki Rzeszy — Oświadczenie dowódcy *SS* dra Schöngartha w sprawie terroru w Polsce

Dziennik *Hansa Franka*, wydany w istotnych wyjątkach przez prof. dra *Stanisława Piotrowskiego* (Warszawa 1956, Wydawnictwo Prawnicze), daje możność poznania ideologii i całego mechanizmu władzy byłego generalnego gubernatora, w świetle własnych jego wypowiedzi. W ramach założeń niniejszej pracy dziennik pozwala także, chociaż w ograniczonym z konieczności zakresie, na konfrontację politycznej treści tych zwierzeń z materiałem wniesionym przez zeznania *Konstantego Tchorznickiego*.

Hans Frank, znacząc etapy swej kariery w prowadzonym od 25 października 1939 roku dzienniku, zanotował, że należy do nielicznych reprezentantów początkowego okresu narodo-

wego socjalizmu i historię ruchu zna z autopsji. Za punkt szczytowy swej działalności na tamtym etapie uważał swój występ jako obrońcy w roku 1930 w wielkim procesie w Lipsku przeciwko członkom armii, którzy w swej jednostce założyli komórkę hitlerowską. W tym procesie *Hitler*, na wniosek *Franka* dopuszczony przed sąd w charakterze świadka, złożył wiarołomną przysięgę, że w dążeniu do władzy będzie przestrzegał praworządności.

30 stycznia 1933 roku *Hitler* doszedł do władzy, co otwarło *Frankowi* wrota szybkiej kariery. Już w marcu tegoż roku został ministrem sprawiedliwości Bawarii, a kilka miesięcy później komisarzem sprawiedliwości Rzeszy. Rok 1934 przyniósł mu dwie dalsze nominacje: na kierownika Akademii Prawa Niemieckiego oraz na ministra Rzeszy. Po najeździe na Polskę *Hitler* mianował *Franka* dekretem z dnia 12 października 1939 roku gubernatorem zajętych polskich obszarów, z powierzeniem mu całości administracji i bezpośrednim podporządkowaniem *führerowi*.

Rola wielkorządcy bardzo odpowiadała ambicjom *Franka*, toteż starał się usilnie podbudować jej podstawę prawniczymi spekulacjami, wysnutymi z kodeksu nazistowskich poglądów. Przy każdej okazji, a miał ich bardzo wiele, rozwijał teorie dotyczące struktury ustrojowej Generalnego Gubernatorstwa i własnego w nim stanowiska. Głosił: „(...) Generalna Gubernia wykonuje swoje funkcje w dziedzinie prawotwórczej i wykonawczej jako państwo. Władza suwerenna nad tym krajem spoczywa w ręku *führera* Rzeszy Wielkoniemieckiej, a wykonuje ją w jego imieniu generalny gubernator, który reprezentuje zastępczo wszystkie kompetencje *führera*".

Prestiż swej władzy lubił *Frank* wzmacniać powoływaniem się na *führera:* „(...) Mój autorytet na tym obszarze jest autorytetem *führera*. Nikt nie może być przeciw mnie bez równoczesnego przyznania, że tym samym jest przeciw *führerowi*". Dbał też wielce, by stanowisko jego było oprawione w materialną świetność, oczywiście kosztem dóbr i własności Polaków. W Krakowie stanowiącym stolicę Guberni obrał siedzibę w zamku królewskim na Wawelu, a na letnią rezydencję zagrabił pałac *Potockich* w Krzeszowicach. Stylizując się na udzielnego księcia, utrzymywał w Krakowie przedstawicielstwo włoskie, reprezentowane przez delegata ambasady włoskiej w Berlinie.

Generalną Gubernię uważał *Frank* za obszar przeznaczony przez *führera* na skupisko Polaków, stanowiący *„ein Schutzstaat, eine Art Tunis"*. W ramach tego poglądu żywił przekonanie, że obszar ten trzymać należy mocno w niemieckim władaniu, a „Polakom złamać kręgosłup raz na zawsze, aby z tego obszaru najdrobniejszy nawet opór nie mógł nigdy więcej zagrażać polityce Rzeszy". Środkiem do osiągnięcia tego celu, przewyższającym wszystkie dotychczasowe, było zarządzenie *Franka*, określane jako „nadzwyczajny plan pacyfikacji", który na posiedzeniu w dniu 30 maja 1940 roku w sprawach policyjnych został przekazany do wykonania. „Przyznaję otwarcie — oświadczył wtedy *Frank* — że kilka tysięcy Polaków, i to przede wszystkim z warstwy przywódców duchowych Polski przypłaci to życiem. Chwila ta jednak nakłada na nas, narodowych socjalistów, obowiązek starania się o to, by naród polski nigdy więcej nie stawiał żadnego oporu". Moment jest szczególnie korzystny: „Do chwili, kiedy reflektor świata skierowany był na ten obszar, nic takiego z naszej przyczyny na wielką skalę nie mogło mieć miejsca". Obecnie uwagę świata przykuwa kampania we Francji: „Musimy teraz wykorzystać nadarzającą się sposobność. (...) Podstawą akcji — zwierzył się słuchaczom — jest rozkaz *führera:* warstwy uznane przez nas obecnie za kierownicze w Polsce, należy zlikwidować, co znowu narośnie, należy wykryć i w odpowiednim czasie znowu usunąć".

W okresie powodzeń *Wehrmachtu* na froncie wschodnim *Frank* snuł dalekosiężne plany powiększenia niemieckiej przestrzeni życiowej. 1 sierpnia 1942 roku we Lwowie na manifestacji w gmachu opery oświadczył:

„Piękne w tej wojnie jest to, że tego, co raz posiedliśmy, nigdy więcej nie oddamy (...). Jesteśmy dziś nad Wisłą i nad Dniestrem, a jutro może nad Wołgą znajdziemy się w tej samej sytuacji, co niegdyś przed przeszło 800 laty nasi przodkowie nad Łabą. Wtedy pas słowiański sięgał głęboko w dzisiejszą Rzeszę Niemiecką. Lecz oni wówczas też nie trwożyli się i nie drżeli, lecz postanowili, że najpierw mieczem niemieckim, a potem niemieckim pługiem zostanie kraj ten ostatecznie zniemczony. I poszczęściło się."

Wobec najbliższych współpracowników myśli te sprecyzował *Frank* już wcześniej w bardzo konkretnych kształtach. Na posiedzeniu rządu w dniu 16 grudnia 1941 roku snuł plany, których realizację miał przygotować z upoważnienia *führera:* „Będziemy budowali wielkie autostrady (...). Przy nich powstaną wielkie osady niemieckie. W dobranych punktach strategicznych powstaną wielkie ośrodki wojskowe, wokoło nich szerokim pasem rozwinie się życie niemieckie (...). Dalej na wschodzie powstanie kiedyś okręg Gotów, a z Generalnej Guberni będzie wówczas można zrobić okręg Wandalów."

Nie zaniedbywał również *Frank* okazji przygotowywania młodzieży do nowych zadań, pojętych w duchu hitlerowskiego programu rozszerzenia przestrzeni życiowej. W dniu 7 czerwca 1942 roku na poranku młodzieży hitlerowskiej w Krakowie z okazji wizyty przywódcy młodzieży Rzeszy *Artura Axmanna Frank* oświadczył: „Możemy powiedzieć: Każdy Niemiec, który przybywa na ten teren, znajduje tu swoją ojczyznę. Także i wy, moi chłopcy i dziewczęta, powinniście tu znaleźć swoją prawdziwą ojczyznę. Powinniście tu zaszczepić silnie korzenie nowej niemieckiej przestrzeni życiowej (...). Podobnie jak Wiedeń lub Hamburg powinny też Kraków i Warszawa, Lwów, Lublin lub Radom wrosnąć w niemiecką wspólnotę życia i odczuwania." I jeszcze

tego samego dnia zapewniał *Frank* na galowym obiedzie: „Kraj ten jest i pozostanie na zawsze niemiecki."

Klęska pod Stalingradem i dalsze wypieranie Niemców z obszarów przez nich zajętych zmusiły reżim hitlerowski do zmiany dotychczasowej polityki. Na konferencji prasowej 22 lutego 1943 roku *Frank* podał do wiadomości okólnik *Goebbelsa* zapowiadający nowe ustosunkowanie się do ludów europejskich mieszkających poza Rzeszą, włącznie z ludami Wschodu. *Frank* skomentował treść okólnika jako wielką zmianę. Zerwano z dotychczasowym systemem wyniszczenia, grabieży i dyskryminacji. W Rzeszy przejrzano wreszcie, że system gwałtu nie da się utrzymać na dalszą metę, bo gwałt jest tylko wyzyskaniem chwilowej technicznej przewagi orężnej. Jeden z obecnych dziennikarzy o nazwisku *Fenske* wyraził przekonanie, że w stosunku do Polaków zmiana niemieckiej polityki przychodzi za późno.

Uwaga miała charakter czysto teoretyczny także dlatego, że nowy kurs był w stosunku do Polaków jedynie zmianą taktyki, a nie poniechaniem zaborczych planów. W dniu 19 czerwca 1943 r. na manifestacji *NSDAP* w domu „Romy" w Warszawie *Frank* oświadczył z tupetem charakteryzującym jego wypowiedzi w okresie największych sukcesów militarnych *Wehrmachtu:* „Polska republika czy też w jakikolwiek sposób ukształtowane własne państwo polskie nigdy więcej nie powstanie", co zebrani skwitowali burzliwymi oklaskami.

W nowej sytuacji chodziło *Frankowi* o to, by „utrzymać w spokoju, porządku, pracy i dyscyplinie około 15 milionów wrogiego i organizującego się przeciw nam plemienia". Obawiał się, że dalsze stosowanie bezwzględnego terroru na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej, sankcjonowanej zresztą wydanym przez niego samego rozporządzeniem o ochronie dzieła odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie, doprowadzi kraj do powstania. Dał temu wyraz w dniu 2 sierpnia 1943 roku na przyjęciu w Krakowie dla 30 mówców Rzeszy:

„Jest szaleństwem, jeżeli kosi się w tym kraju kosami. Ja mówię: jeśli kosić, to nie głowy, lecz tylko pola. Co po zwycięstwie stanie się z tym narodem, jest obecnie obojętne, lecz to, co się dzieje obecnie, jest ważne (...). My wszyscy wiemy, że kraj ten stanie się kiedyś niemiecki, że nie będziemy tu tolerowali Polaków, ale na to przyjdzie czas po zwycięskim zakończeniu wojny. Jest rzeczą niemożliwą chcieć przeprowadzić teraz osiedlenia i doprowadzić przez to kraj do powstania."

Zwrot spowodowany widmem coraz bardziej wyraźnie rysującej się klęski sprawił, że *Frank* zwrócił baczną uwagę na Radę Główną Opiekuńczą, którą jeśli się dotąd interesował, to nie w stopniu uzasadniającym krótką choćby wzmiankę w dzienniku. O zmianie nastawienia świadczą dwa kolejne posłuchania, udzielone Radzie w dniach 17 czerwca i 17 grudnia 1943 roku. W przemówieniach *Franka* brzmią wyraźnie pogłosy nowego kursu: bardzo oględnie sformułowane przyznanie, że akcje terrorystyczne idą zbyt daleko, odżegnywanie się od zamiarów wyniszczenia Polaków i dławienia ich życia kulturalnego i narodowego, wreszcie zapowiedź złagodzenia postępowania władz, ale pod warunkiem zaniechania ruchu oporu. Ten ostatni motyw stanowił dominantę wszystkich konferencji *Franka* i podległych mu szefów gestapo z przedstawicielami RGO. Łączyły się zawsze z tym próby narzucenia Radzie roli reprezentanta narodu polskiego i mediatora wobec sił frontu walki z okupantem. Intensywność tych zabiegów jest wymownym świadectwem prężności polskiego ruchu oporu i wartości militarnej jego akcji bojowych.

Jeśli chodzi o efekty nowego kursu, to ani podwyższenie od września 1943 roku przydziałów żywności, ani otwarcie w Krakowie teatru i zapowiedź reformy kadłubowego szkolnictwa polskiego nie wniosły nic istotnego w dotychczasowe warunki życia pod okupacją. Egzekucje uliczne, obławy, aresztowania i wywózki do Rzeszy terroryzowały ludność polską nadal, jak w ciągu poprzedniego okresu. Propaganda związana z otwarciem teatru zakończyła się rychło całkowitą kompromitacją. Teatr bojkotowany od początku, zarówno przez społeczeństwo, jak i przez elitę polskiego aktorstwa, zakończył swoją działalność już po trzech miesiącach.

Po wybuchu powstania w Warszawie *Frank* powrócił raz jeszcze do koncepcji wyzyskania Rady Głównej Opiekuńczej do celów polityki reżimu. Tym razem chodziło mu o zadośćuczynienie politycznym dążeniom Polaków, oczywiście w rozmiarach odpowiadających hitlerowskiej racji stanu. Próby te traktował jako przeciwwagę programu Manifestu Lipcowego, ogłoszonego przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego w dniu 22 lipca 1944 roku. Planując dopuszczenie Polaków do współrządów w administracji *Frank* miał zamiar przekształcenia Rady Głównej Opiekuńczej w Polski Wydział Narodowy.

Projekty te przekreśliła zwycięska zimowa ofensywa armii radzieckiej i Wojska Polskiego, kładąc kres okupacji hitlerowskiej na ziemiach polskich. Świadectwem i miarą wartości planowanych przez *Franka* reform i ustępstw na rzecz Polaków są jego uwagi, zanotowane w dzienniku pod datą 16 maja 1944 roku:

„Jest jasne, jak słońce, że kraj nad Wisłą będzie tak samo niemiecki, jak Nadrenia (...). Jesteśmy zmuszeni do dwulicowości, z jednej strony należy utrzymać 16 milionów ludzi przy pracy, a drugiej strony (...) jak by to było pięknie, gdyby wszystko można było bez reszty urządzić inaczej. Partia nie musi się martwić z powodu tych politycznych konieczności. Może ona powiedzieć: pięknie, to wszystko jest konieczne z powodów politycznych, ale z programu nie zrezygnowano — on leży w szufladzie."

Wyniki swych pięcioletnich przeszło rządów podsumował *Frank* bardzo charakterystycznym oświadczeniem, złożonym w dniu 9 grudnia 1944 roku na posiedzeniu rządu w sprawach

bezpieczeństwa, ostatnim już tego rodzaju. Stwierdził mianowicie, że posiedzenie to uważa za najpoważniejsze, jakie odbył kiedykolwiek, a sądzi tak w wyniku jasnego rozeznania, że Polacy są zdecydowani w swej większości wystąpić przeciw niemieckiemu kierownictwu. Wypowiedź ta, będąc całkowitym przyznaniem się *Franka* do bankructwa jego pojednawczej, dwulicowej polityki, jest zarazem wymownym świadectwem postawy narodu polskiego, nieugiętej zarówno wobec terroru, jak i prób okupanta skłonienia go do współpracy.

Na posiedzeniu rządu GG w dniu 20 kwietnia 1943 roku dowódca brygady *SS* dr *Schöngarth* oświadczył: „Takiego ucisku, jaki cierpi naród polski, nie znosił jeszcze nigdy żaden naród..." Zeznania *Konstantego Tchorznickiego* przekazują część faktów, które złożyły się na ten nie notowany w dziejach ucisk. Dziennik *Hansa Franka* ukazuje bazę ideologiczną terroru stosowanego w Polsce, a nadto przedstawia wizję tego, co by czekało naród polski w razie zwycięstwa hitlerowskiej Rzeszy.

ZYGMUNT ŁAKOCIŃSKI Lund (Szwecja)

Folke Bernadotte i akcja Szwedzkiego Czerwonego Krzyża

Dnia 30 marca 1945 roku coś niezwykłego zaczęło się dziać w *KZ Neuengamme* [1]. Zapowiedziana publiczna egzekucja, tj. powieszenie sześciu rosyjskich więźniów, została odłożona bez podania jakiejkolwiek przyczyny. W obozie zaczęły krążyć podawane z ust do ust wśród 25 tysięcy więźniów wieści, początkowo łączące to nie spotykane dotąd wydarzenie z równie wyjątkowym wypadkiem sprzed pięciu tygodni, kiedy to wypuszczono z kaźni na względną wolność w Niemczech rektora Uniwersytetu w Oslo, profesora *Didrika A. Seipa* wraz z żoną. Rychło jednak z nieznanego źródła pojawiły się pogłoski o jakiejś zamierzonej akcji Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, zaczęło się powtarzać nazwisko hr. *Folke Bernadotte*.

Wieści te, zrazu — mogłoby się wydawać — zupełnie fantastyczne, znalazły swe potwierdzenie jeszcze tego samego dnia. Po raz pierwszy w 10-letniej historii obozu Neuengamme osoba z zewnątrz, z wolności, przekroczyła bramę obozu. Wysoki, poważny mężczyzna w mundurze *khaki*, odbijającym się od znanej zieleni mundurów esesmańskich, szedł w towarzystwie komendanta obozu *Thumanna*, tego samego, który przechwalał się „zasługą" zlikwidowania setek tysięcy ludzi, oraz zawodowego kata obozowego, dr *Pauli*. Jakaż jednak zmiana nastąpiła w zachowaniu reprezentantów *herrenvolku!* Bez bicza w ręku, bez pistoletów, bez sfory psów dookoła szli z atencją śladem mężczyzny z emblematami Czerwonego Krzyża.

Więźniowie nie wierzyli własnym oczom prężąc się na baczność w myśl regulaminu. W miarę przechodzenia przybyłych coraz to więcej norweskich więźniów rozpoznawało w niezwykłym gościu pobratymca, bratanka króla szwedzkiego *Gustawa V*, działacza Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, od r. 1943 jego wiceprezesa. Punktem kulminacyjnym stało się spotkanie między zwiedzającym a więźniem norweskim *Oddem Nansenem*, synem wielkiego *Fridtjofa Nansena*, głośnego badacza polarnego, przyrodnika, znanego filantropa z czasów pierwszej wojny światowej. Rozmowa była krótka: „*God dag*" (dzień dobry), „*god dag*". Te słowa obiegły cały obóz, *Folke Bernadotte* spotykał się z nimi w ciągu dalszej wędrówki, która się skończyła niesłychaną w obozie manifestacją, odśpiewaniem półgłosem przez skandynawskich więźniów — na oczach zaszokowanego orszaku niemieckich dozorców — szwedzkiego hymnu państwowego „*Du gamla, du fria*".

Niezwykłe wydarzenia zaczęły się sypać jak z rogu obfitości. Po raz pierwszy nadesłano do obozu niemieckie środki lecznicze, wyposażenie lekarskie, środki dezynfekcyjne i przybory toaletowe, piece i koce, a wszystko to w 48 godzin po odjeździe *Bernadotte'a*. 2 kwietnia przybyła do obozu Neuengamme ekspedycja Szwedzkiego Czerwonego Krzyża i rozpoczęto przygotowania do ewakuacji więźniów.

By lepiej zrozumieć te wypadki, należy się nieco cofnąć w czasie. *Folke Bernadotte* już w listopadzie 1943 roku, wkrótce po wybraniu go na wiceprzewodniczącego Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, opracował plan zakrojonej na ogromną skalę akcji wymiany rosyjskich i niemieckich więźniów, a także — rzecz dla nas interesująca — plan również szerokiej akcji pomocy dla okupowanej Polski. Plany te nie doczekały się realizacji, natomiast wymiana niemieckich i angielskich jeńców wojennych stanowi chlubną kartę w działalności Szwedzkiego Czerwonego Krzyża.

O sprawie najbardziej nas tu obchodzącej opowiedział w sposób bezpretensjonalny sam *Folke Bernadotte* w swym pamiętniku pt. „Slutet" („Koniec"), wydanym w r. 1945 w Sztokholmie.

[1] Hitlerowski obóz koncentracyjny w pobliżu Hamburga.

W dniu 3 listopada 1944 roku odbyło się w wyzwolonym już Paryżu śniadanie, w którym wzięli udział: szwedzki *chargé d'affaires Belfrage* jako gospodarz, doradca Szwedzkiego Czerwonego Krzyża do spraw powojennych dr *Ulf Nordwall*, sekretarz szwedzkiego państwowego komitetu międzynarodowej akcji pomocy asesor *Eryk Leijonhufvud*, generalny konsul szwedzki w Paryżu, legendarny *Raoul Nordling* oraz *Folke Bernadotte*. Uwagę obecnych przykuwał zwłaszcza *Raoul Nordling* ze względu na rolę, jaką odegrał w wypadkach poprzedzających wyzwolenie Paryża. Kapitulacja niemieckiego dowódcy *von Choltitza*, zapobiegnięcie zniszczeniu miasta przez działania wojenne oraz ratowanie ludzi przed wysyłką do Niemiec były w dużej mierze wynikiem jego inicjatywy i pośrednictwa. Te osiągnięcia nie pozostały bez wpływu na hrabiego *Bernadotte'a*, któremu właśnie podczas tego zebrania zaczęły się zarysowywać pierwsze plany akcji ratowania więźniów z niemieckich obozów koncentracyjnych.

Ryc. 1. *Folke Bernadotte*, hrabia *af Wisborg*, urodzony 2 stycznia 1895 roku, prezes Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, doktor medycyny *honoris causa* uniwersytetu w Upsali, działacz społeczny, po wojnie mediator ONZ w Palestynie, zamordowany 17 września 1948 roku przez izraelskiego nacjonalistę (fotografia z broszury pt. Folke Bernadotte. P. A. Norstedt och Söners Förlag, Stockholm 1948)

Koncepcje owe dojrzewały powoli do końca roku 1944. *Bernadotte* nie był skłonny do nadmiernego optymizmu. W ciągu całej wojny Niemcy ze zrozumiałych względów kategorycznie odmawiali reprezentantom Międzynarodowego Czerwonego Krzyża rzeczywistego wglądu w sytuację w obozach koncentracyjnych. A nie można było powoływać się na żadne międzynarodowe umowy czy prawa po prostu dlatego, że do chwili gdy podpisano konwencję w Genewie w roku 1929, nikomu jeszcze na myśl nie wpadło zamykać cywilnych więźniów politycznych w obozach karnych. Zaplanowanie tego i wykonanie było wynalazkiem hitlerowców.

Bernadotte wiedział, że nie warto w ogóle zaczynać pertraktacji z podrzędnymi władzami niemieckimi, że należy od razu poruszyć najwyższe instancje. Czas naglił, zwłaszcza że już od dłuższego czasu krążyły pogłoski, iż władze niemieckie zamierzały w wypadku klęski wojennej zlikwidować więźniów wraz z obozami, aby pozbyć się świadków tego, co się tam działo.

W dyskusjach sztokholmskich nad planami akcji doniosłą rolę odegrał 60-letni Norweg, minister *Ditleff*, dyplomata z zawodu. Postać ta interesuje nas i z tego względu, że był on dyplomatycznym reprezentantem Norwegii w Warszawie przez dłuższy czas przed wojną. Osobiście znany autorowi, gorący przyjaciel Polski, co stale na każdym kroku podkreślał, miał liczne okazje realnych wystąpień w naszych sprawach. Jego zainteresowania, opinie i pomysły odegrały, wedle własnego wyznania hrabiego *Bernadotte'a*, niemałą rolę w opracowaniu planów.

Sposób postępowania dyktowały przede wszystkim praktyczne względy: należało rozpocząć działanie od starań o zwolnienie norweskich więźniów i przewiezienie ich do Szwecji. *Bernadotte* widział w tym analogię do akcji przeprowadzonej uprzednio przez konsula *Nordlinga* w Paryżu, tylko z tą różnicą, że obecnie chodziło o działalność na daleko większą skalę. Należało uzyskać kontakt z szefem *SS, Heinrichem Himmlerem*. Zarówno on, jak i inni dygnitarze hitlerowscy żywili nieco nazistowskiego sentymentu do narodów skandynawskich i dlatego projekt ten wydawał się najlepszym punktem wyjścia w akcji, która zresztą wnet rozsadziła wszelkie nakreślone z góry ramy.

Etapy przygotowawcze całego planu działania opisano już w licznych innych opracowaniach. Jego realizacja wymagała nieustannych dyskusji zarówno w Szwecji, jak i w Niemczech, Danii i innych krajach. Z niemieckiej strony już w najwcześniejszym okresie pojawiły się argumenty nie tyle charytatywnej, co czysto politycznej natury. W warunkach szybko postępującego rozprężenia w Niemczech w wyniku ofensywy aliantów wyłoniła się konieczność szukania jak najdogodniejszych pozycji przed kapitulacją. Najgłębszym motywem było oczywiście dążenie niemieckich dygnitarzy, każdego z osobna, do ratowania własnej skóry. Poważną kartą przetargową w tych rachubach było „sprzedanie" życia więźniów z „kacetów". Szło nadto o wbicie klina między zwarty dotychczas front aliantów, o jedno-

stronną kapitulację na froncie zachodnim, ale poza tym intencje rozbiegały się w różnych kierunkach, każdy działał nie tylko na własną rękę, lecz i w najgłębszej tajemnicy przed innym.

Wszystko zaś napotykało na nieprzezwyciężone niemal przeszkody, jak wyłączanie jednostronnej kapitulacji oraz opór ze strony *Hitlera*, podówczas już tak rozstrojonego psychicznie, iż jakiekolwiek logiczne wnioski, plany, a tym mniej decyzje w ogóle nie mogły być brane pod uwagę. Najmniejsza wzmianka o zamiarze sabotowania stanowczego nakazu *führera* likwidacji obozów i więźniów mogła pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki, zagrażające bezpośrednio życiu poszczególnych dygnitarzy, którzy by usiłowali w ten sposób ratować się z opresji. Jakiekolwiek pośrednictwo szwedzkie w sprawie kapitulacji wobec mocarstw zachodnich nie mogło wchodzić w rachubę. Z drugiej strony, obrawszy już raz *Himmlera* — w formie niemalże konspiracyjnej — jako partnera w akcji uwalniania więźniów, nie można było od razu pozbawiać go wszelkich nadziei w tej sprawie, nie dopuszczając równocześnie przy tym do kompromitacji szwedzkich czynników oficjalnych wskutek niefortunnego trybu postępowania. Słowem, sytuacja była trudna i delikatna.

Uratowanie norweskich więźniów politycznych poprzedził pewien fakt, który wyzyskano jako precedens. Dzięki nieustannym zabiegom szwedzkiego posła pełnomocnego w Berlinie, *Arvida Richerta*, udało się uzyskać zwolnienie pewnej części norweskich studentów internowanych w Niemczech i zezwolenie na ich powrót do Norwegii. Teraz uzyskano zasadniczą, aczkolwiek cichą zgodę na skupienie norweskich więźniów w obozie Neuengamme przed dalszym transportem do Szwecji. Łączyło się to z pewną sanacją stosunków w tym obozie, wspomnianą na wstępie.

W wyniku zabiegów ministra *Richerta* już w początkach lutego 1945 roku wysłano do Berlina szwedzką ekipę Czerwonego Krzyża, która miała być do dyspozycji poselstwa, a w szczególności miała się zająć repatriacją Szwedek zamężnych w Niemczech oraz w miarę możności ich dzieci, osamotnionych z różnych powodów. Niemcy zasadniczo nie chcieli się pogodzić z myślą wysyłania „niemieckich" dzieci do Szwecji, aby według słów *Himmlera* nie zostały „wychowane na wrogów niemieckiej ojczyzny i oplwane przez swoich rówieśników za to, że ich rodzice byli Niemcami". Ta właśnie szwedzka ekipa miała następnie działać w ramach szerszej akcji.

Jednym z naczelnych argumentów wysuwanych przez hrabiego *Bernadotte'a* wobec Niemców była fatalna opinia, którą mieli w Szwecji i która wyrażała się nieraz skrajną wrogością, manifestowaną między innymi w prasie, np. w *„Göteborgs Handels- och Sjöfartstidning"*. Należało więc sugerować stronie niemieckiej zmianę tych nastrojów przez okazanie ludzkich uczuć wobec więźniów. Liczne wypowiedzi dygnitarzy niemieckich z *Himmlerem* na czele świadczyły, iż w pełni zdawali sobie sprawę ze skrajnie złej opinii w cywilizowanym świecie oraz z beznadziejności swego położenia. Niemniej pewne koła hitlerowskie uważały możliwość zaskarbienia sobie w oczach aliantów zasługi za tak cenną i ważną, że *Himmler* gotów był ryzykować zatarg z *Hitlerem*.

Akcja stopniowo się rozrastała, objęła następnie i duńskich więźniów. Szybkie zbliżanie się obydwu frontów: zachodniego i wschodniego przyspieszały coraz bardziej zasadnicze rozstrzygnięcia w sprawach obozów koncentracyjnych, przy czym decyzje coraz mniej zależały od czynników centralnych; decydowali nieraz komendanci poszczególnych obozów zagrożonych bezpośrednio działaniami wojennymi. Zanim jednak to stało się powszechne, powzięto odgórnie jeszcze wiele postanowień, np. w odniesieniu do grupy francuskich więźniów, Żydów i innych.

Co się tyczy Żydów, pewne starania poczyniono już przedtem za pośrednictwem prezydenta Szwajcarii, *Musy'ego*. Zawarto z *Himmlerem* układ, na mocy którego Żydzi z „wzorowego" getta Theresienstadt w Czechosłowacji mieli zostać zwolnieni i przeniesieni do Szwajcarii, a stąd do Stanów Zjednoczonych. Dowiedziała się jednak o tym prasa zagraniczna i doniosła w komunikatach, a jeden z referentów prasowych *Hitlera* złożył mu o tym raport. *Himmler* zapytany przez *führera*, jaką rekompensatę miałyby otrzymać Niemcy w zamian za przeprowadzenie tej akcji, zmuszony był odpowiedzieć, że żadnej. Słysząc to, *Hitler* wpadł w jeden ze swych ataków furii i zabronił raz na zawsze tego rodzaju przedsięwzięć, czym tak zastraszył szefa *SS*, że ten nawet nie udzielił audiencji przybyłemu do Berlina prezydentowi *Musy'emu*. Natomiast w jednej z rozmów z hrabią *Bernadotte Himmler* obiecał, że raczej przekaże internowanych Żydów w ręce aliantów, a nie dopuści do nakazanej „ewakuacji" z obozów.

W marcu 1945 roku sprawy posunęły się naprzód tak dalece, że zajęto się organizacją korpusu ekspedycyjnego Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Otrzymał on w myśl niemieckich warunków pełne wyposażenie i tabor przewozowy, aby nie obciążać niemieckiego taboru komunikacyjnego lub wojskowego. Personel nie mógł przekraczać liczby 250 ludzi. Grupa składała się z 3 plutonów autobusów po 12 pojazdów oraz z jednego plutonu transportowego o 12 samochodach ciężarowych. Poza tym korpus miał plutony: warsztatowy, kucharski, sanitarny i intendentury. Szefem ekspedycji mianowano pułkownika *Gottfrida Björcka*. Personel w całości zestawiono z ochotników wybranych wśród zawodowych wojskowych oraz rezerwistów powołanych do służby. Dystynkcje wojskowe na mundurach zastąpiono emblematami Czerwonego Krzyża. Korpus wyruszył z prowincji Skåne, przeprawił się z Malmö do Danii i w Odense dnia 11 marca 1945 roku został przyjęty przez Duński Czerwony Krzyż. Następnego dnia przekroczono granicę niemiecką i podążono dalej przez Flensburg, Kilonię

i Lubekę do zamku Friedrichsruh, którego właściciele, rodzina *Ottona von Bismarcka*, gościli korpus, a następnie nie szczędzili wysiłków, by ułatwić jego zadanie.

Mimo energicznej akcji *Kaltenbrunnera* sabotującej wykonanie umowy *Himmler* przeforsował jej dotrzymanie i korpus mógł natychmiast przystąpić do swych prac. W ciągu marca 1945 roku przewieziono trzy większe transporty do Neuengamme: około 2 200 Duńczyków i Norwegów z Sachsenhausen, 600 Skandynawów z Dachau oraz 1600 policjantów, głównie Duńczyków, z różnych obozów położonych na północny zachód od Drezna. Więźniowie z Sachsenhausen byli przewożeni w okresie od 15 do 30 marca siedmioma transportami. Do Dachau wyjechała 19 marca, po uzyskaniu środków pędnych, kolumna 35 samochodów pod dowództwem płk *Björka*, która pokonując przestrzeń około 1 750 km wróciła po pięciu dniach. Transporty z innych obozów odbyły się w ostatnich dniach marca.

Kiedy *Bernadotte* odwiedził obóz w Neuengamme 30 marca, ofensywa aliantów czyniła coraz większe postępy i nie było tajemnicą, że dni zarówno tego obozu, jak i wszystkich innych kaźni na terenie Niemiec są policzone. Przegląd obozu potwierdził najgorsze oczekiwania. Zabrano się natychmiast do usuwania najdotkliwszych braków i wstrzymania zorganizowanego barbarzyństwa. Szwedzki Czerwony Krzyż uzyskał pozwolenie na przysłanie pewnej liczby delegatów i zakwaterowanie ich w obozie. Pod kierownictwem prof. *Rundberga* starali się oni natychmiast polepszyć higieniczne warunki życia więźniów. Zarządzono coś tak niezwykłego, jak konferencja w jednym z baraków dla chorych z udziałem kierownictwa obozu i reprezentacji więźniów, duńskich i norweskich lekarzy oraz wybranych przez więźniów mężów zaufania.

Odwiedziny w obozie zaktualizowały też automatycznie sprawę więźniów innych narodowości. Nowe koncesje uzyskano podczas ponownego spotkania z *Himmlerem* w dniu 2 kwietnia. Po początkowej odmowie natychmiastowego przetransportowania duńskich i norweskich więźniów do Szwecji, *Himmler* zgodził się w końcu na pewne ustępstwa, aczkolwiek teoretycznie mogło to ściągnąć na niego gniew wodza Trzeciej Rzeszy. W toku pertraktacji *Bernadotte* zaproponował wysłanie wszystkich duńskich i norweskich kobiet oraz wszystkich chorych do Szwecji. Transport ten miał objąć część z 461 studentów z Neuengamme; dokładną ich liczbę miano ustalić później. Wszyscy duńscy policjanci mieli zostać wysłani do Danii, tam krótko internowani, a potem wypuszczeni na wolność. Przewiezionych do Szwecji Skandynawów nie miało się internować, tylko umieścić ich w szpitalach lub pensjonatach pod warunkiem zobowiązania, że nie będą oni na razie wracać do Danii, Norwegii lub wyjeżdżać do Anglii. Na podobnych warunkach zgodził się *Himmler* wypuścić na wolność pewną część norweskich internowanych cywilnych, między innymi rektora *Seipa* oraz część obywateli francuskich ze specjalnej listy szwedzkiej.

Postępy stawały się widoczne; katastrofalne położenie Niemiec wywierało coraz skuteczniejszy wpływ na stan umysłów dygnitarzy hitlerowskich. W krytycznej sytuacji *Himmler* zarządził odtransportowanie wszystkich Skandynawów z Neuengamme do Danii. Zadanie to całkowicie zaabsorbowało szwedzki korpus ekspedycyjny na kilka dni.

W dniu 21 kwietnia podczas kolejnej konferencji *Himmler* zgodził się na odesłanie wszystkich francuskich kobiet z obozu Ravensbrück do Francji. Również tymi transportami zajął się Szwedzki Czerwony Krzyż. Nie dość tego; wobec faktu, że linia frontu już się tam zbliżała, *Himmler* był skłonny do rozpuszczenia całego obozu. Mimo że zadanie ewakuacji przekraczało możliwości szwedzkiej ekspedycji, wykonano je w dużej części za pomocą własnego parku samochodowego, a częściowo kolei. Jak wiadomo, główny kontyngent polskich więźniarek przewiezionych do Szwecji pochodził właśnie z tego obozu. W akcji tej czynną rolę odegrał też Duński Czerwony Krzyż z kwaterą w Padborg i wielkim obozem przejściowym w Fröslev. Kobiety polskie z pewnością nigdy nie zapomną tego prawdziwie triumfalnego pochodu przez Danię do Szwecji i serdecznego przyjęcia doznanego w obu krajach.

W końcowym wyniku akcji Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, a następnie *UNRRA* przewieziono z niemieckich obozów koncentracyjnych do Szwecji 33 700 osób w okresie od kwietnia do sierpnia 1945 roku. Zakres akcji ratowania więźniów w miarę załamywania się Trzeciej Rzeszy rozrastał się w zawrotnym tempie. Personel i sprzęt ekspedycji wyzyskano do ostatecznych granic; trzeba było szybkich uzupełnień i zmian. Samochody szwedzkie w liczbie 75 odbyły w ciągu sześciu tygodni, każdy z osobna około 15 tysięcy km drogi, czyli więcej niż jedną trzecią obwodu kuli ziemskiej. Transporty samochodowe, uzupełniane koleją i statkami, improwizowane nieraz, aby ratować ludzi bezpośrednio zagrożonych śmiercią, odbywały się nierzadko w warunkach wysoce dramatycznych, w czasie bombardowań alianckich, co pociągało za sobą ofiary w zabitych i rannych wśród personelu i uwolnionych więźniów.

O jednej m. in. z dramatycznych i konfliktowych sytuacji pisał mjr *Sven Frykman* w sprawozdaniu pt. *„Rödakorsexpeditionen till Tyskland"* („Ekspedycja Czerwonego Krzyża do Niemiec", Stockholm 1945). Dla umożliwienia koncentracji Skandynawów w Neuengamme mieli być przeniesieni tylko stąd do Brunszwiku, a nie zwolnieni całkowicie, więźniowie-Polacy, Francuzi i Belgowie. Szwedzi z największym wahaniem podjęli się tego zadania, ale nie było wyboru. Więźniowie, wycieńczeni do ostatecznych granic, chorzy i umierający — wyniesiono kilku zmarłych z autobusów — przeżyli kilka godzin ludzkiego traktowania ze strony szwedzkiego personelu. Szoferzy szwedzcy byli świadkami, jak esesmani bili niemiło-

siernie więźniów kolbami karabinów. Ponieważ nieszczęśliwi nie otrzymali żadnej żywności na drogę, Szwedzi zajęli się rozdzielaniem wśród nich chleba, masła itp. w nader nieprzychylnej asyście esesmanów, którzy zdobywali się na frazes: „Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by jakikolwiek więzień w Niemczech pozostał bez jedzenia". Nieostrożna uwaga jednego z więźniów spowodowała natychmiastowe — w obecności Szwedów — znęcanie się nad nim esesmana oraz zapowiedź surowej kary. Po kilku godzinach jazdy musiano pozostawić w nowym obozie tych ludzi skazanych na tortury, a wielu — na pewną śmierć.

Niemcy nie zaopatrywali obozów w żywność, wobec czego rozwiązywano doraźnie ten ważny problem za pomocą przesyłek Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, który — jak wiadomo — roztaczał opiekę zasadniczo tylko nad jeńcami wojennymi. Największy skład tego rodzaju znajdował się w Lubece, skąd w miarę potrzeby przerzucano żywność do różnych obozów lub transportów znajdujących się w drodze. Szwedzka ekspedycja uratowała w ten sposób około 15 tysięcy więźniów, zapewniając im znośne warunki przejazdu i — jeśli to było możliwe — natychmiastowe podniesienie kondycji fizycznej. Mimo to stan wyczerpania więźniów był nieraz tak wielki, że pomoc przychodziła zbyt późno.

Pierwszy transport przybył do Szwecji 23 kwietnia 1945 roku. Następne nadchodziły codziennie lub co drugi dzień, koleją i statkami. Międzynarodowy Czerwony Krzyż wynajął dwa szwedzkie statki, „Lillie Matthiessen" i „Magdalena", które odpłynęły 1 maja z Lubeki do Trelleborga z 700 więźniami na pokładzie. 3 maja przybył do portu Malmö większy statek „Homberg" z niemiecką załogą i wartownikami, z których niejeden uważał zapewne wyjazd do neutralnego kraju za niespodzianą sposobność uniknięcia odpowiedzialności. Nikt z ówczesnych świadków nie zapomni przerażającego widoku. Więźniowie, Polacy i Rosjanie, wszyscy niemal chorzy, stali w ładowni w potwornej ciasnocie, dusząc się, żywi z umarłymi. Dozorcy niemieccy zabarykadowali się w jednej z kajut w obawie przed samosądem więźniów; na pokładzie kilku wygłodzonych Rosjan biło się o puszkę konserw rybnych. Personel Szwedzkiego Czerwonego Krzyża przyjmujący transport schodził pod pokład w kompletnych strojach przeciwiperytowych, by uchronić się przed zakażeniem. Pasażerów wynoszono na noszach; chorzy byli przeważnie tak osłabieni, że nie mogli nawet ust otworzyć, aby przyjąć łyk wody.

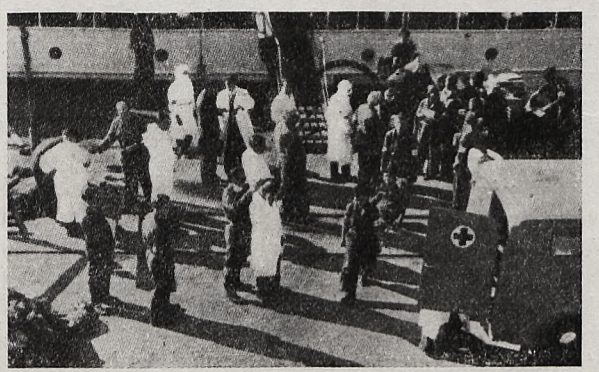

Ryc. 2. Transport byłych więźniów obozu w Bergen-Belsen do karetek Szwedzkiego Czerwonego Krzyża ze statku w porcie szwedzkim; zwracają uwagę ochronne stroje sanitariuszy (reprodukcja z książki pt. Folke Bernadotte af Wisborg. Svensken och världsmedborgaren. Lindfors Bokförlag AB, Stockholm 1949, str. 116)

Transporty morskie przybywały głównie do Malmö i Trelleborga, później sporadycznie do Göteborga i innych portów w południowej Szwecji. Transporty kolejowe jechały przez Danię, owacyjnie witane przez ludność i obsypywane darami. W Szwecji przygotowaniami do przyjęcia uwolnionych zajęło się wiele instytucji i organizacji ideowych i filantropijnych, jak Obrona Cywilna (organizator z ramienia władz), *„Fred och Frihet"* („Pokój i Wolność"), *Rädda Barnen"* („Ratuj Dzieci"), *„Fredrika Bremer"* i inne. Największe bodaj usługi oddała organizacja *„Lottokåren"* („Korpus Lotty"), oddziały żeńskiej służby pomocniczej w armii, zaprawione do pracy w wojsku w okresie wojennego pogotowia kraju. Zmobilizowano armię lekarzy, pielęgniarek, a przede wszystkim zapewniono pomieszczenia dla zdrowych i chorych w szpitalach, hotelach, szkołach i innych gmachach użyteczności publicznej, nie wyłączając nawet muzeów (Malmö) oraz w barakach. Jaki był tryb postępowania, można przedstawić na przykładzie miasta uniwersyteckiego Lund w południowej Szwecji, położonego niedaleko Malmö.

Do Lund przysłano część pierwszego transportu, przybyłego do Malmö w dniu 28 kwietnia, składającą się z 288 kobiet, w większości Polek. Pociąg zajechał na boczny tor przy głównym dworcu, blisko centrum miasta. Miejsce przed dworcem otoczono gęstym kordonem pospolitego ruszenia, za którym stała nieprzejrzana masa ludności. Trzeba tu przypomnieć, że prasa szwedzka już przed laty podała dokładne wiadomości o niemieckich obozach koncentracyjnych i nie było chyba Szweda, który by nie znał znaczenia nazw: Bergen-Belsen, Auschwitz, Dachau, Neuengamme i wielu, wielu innych.

Do pociągu weszła ekipa lekarzy i pielęgniarzy, by skontrolować stan zdrowia i sił, udzielić pierwszej pomocy. Po jakimś czasie wszyscy wysiedli i uformowano kolumnę czwórkową, która następnie przeszła przez miasto w kierunku łaźni miejskiej, opróżnionej i przygotowanej na przyjęcie transportu. Pochód robił wstrząsające wrażenie, ludzie oczom nie wierzyli. Środkiem kordonu pospolitego ruszenia szedł wąż istot ludzkich przybranych w fantastyczne strzępy łachmanów, z tobołkami na plecach, w nie spotykanym nigdzie obuwiu, w trepach, boso albo z nogami obwiązanymi szmatami. Wspólnym znakiem, łączącym wszystkich, były ukośne białe krzyże, naszyte lub wymalowane wapnem na plecach: nowe dystynkcje więźnia obozu koncentracyjnego. Wśród śmiertelnej ciszy tłumu, nie przerwanej

nawet westchnieniem, wlókł się powoli orszak ludzkiej nędzy, gubiąc po drodze jakieś dziwaczne odpadki, skarby obozowe czy śmieci — lub jedno i drugie.

W łaźni, gdzie oczekiwała cała ekipa służby zdrowia, przygotowano mały posiłek. Znając stan zdrowia byłych więźniów, urządzono zawczasu wiele latryn polowych. Przemyślany system załamał się po kilku minutach, gdyż nie przewidziano skutku gościnnego przyjęcia przez Duńczyków — ogólnego „durchfallu". Kobiety wprowadzono do szatni, gdzie rozbierały się do naga, składając ubrania i wszystko, co nadawało się tylko do spalenia, do dużych worków papierowych, mniejsze zaś przedmioty, ewentualne pieniądze, listy, fotografie itp. do niewielkich torebek oznaczonych numerem, które po dezynfekcji zwracano właścicielkom. Niełatwo przejść z nawyków obozowych do normalnego życia; wąskie stosunkowo przejście do wykładanej kaflami sali natrysków wywoływało kilkakrotnie wybuchy lekkiej paniki, przypominało bowiem niedawną przeszłość i innego rodzaju „opiekę". Nastąpiły krótkie oględziny lekarskie, przede wszystkim dla kontroli stanu zawszenia, prysznic i kąpiel parowa,

Ryc. 3. Funkcjonariuszka Szwedzkiego Czerwonego Krzyża karmi wycieńczoną byłą więźniarkę (reprodukcja z książki pt. Folke Bernadotte af Wisborg. Stockholm 1949, str. 117)

a potem basen pływacki. Na jego amfiteatralnych trybunach — stosy sukienek, płaszczy, swetrów, bielizny, pończoch, obuwia, przyborów toaletowych, torebek i walizek. Każdą z kobiet ubrano po kąpieli od stóp do głów w nowiuteńkie rzeczy i wyposażono w kompletną wyprawkę dla potrzeb osobistych.

Nie zapomnę nigdy gromady dziewcząt tańczących w świetle księżyca na trawniku przed pływalnią, obrazu o jakimś nieziemskim uroku. Nikt by nie mógł poznać w tych istotach upiorów sprzed kilku godzin. Ale ogólny stan zdrowia był zatrważający. Jedna z kobiet ważyła 28 kg. W ciągu całego pobytu w Lund zmarło 84 byłych więźniów.

Po odbyciu łaźni i odesłaniu chorych do szpitala odprowadzono pozostałych do obozu-kwarantanny, urządzonej w jednej ze szkół miejskich. Następne transporty, przybywające co wieczór lub co drugą noc (opisana wyżej procedura trwała w zasadzie od wieczora do rana), od razu kierowano na bocznicę kolejową, wprost do łaźni miejskiej. W ciągu kilku dni zapełniono sześć większych budynków w mieście: halę sportową, szkoły: Parkową, Klasztorną, Komunalną dla dziewcząt, Råby oraz studencką halę gimnastyczną Palaestra. Zajęto też kilka oddziałów klinicznych w szpitalu miejskim oraz stworzono kilka prowizorycznych lazaretów. W okresie największego nasilenia akcji przebywało na raz w Lund 2700 „flyktlingów", jak ich nazywano, przy czym należy pamiętać, że obozy i kliniki w Lund były jedynie etapami kwarantanny przed dalszą podróżą do obozów rekreacyjnych.

Nie brakło momentów komicznych, zwłaszcza w pierwszym, najtrudniejszym okresie aklimatyzacji w obcym otoczeniu. Odmienny wikt szwedzki na przykład budził nieraz zabawne reakcje. W komunalnej szkole dla dziewcząt na pierwszy posiłek podano, zapewne dzięki pomysłowi jakiejś poczciwej „Lotty" układającej jadłospis, narodową potrawę prowincji Skåne: śledzia w słodkim sosie z rodzynkami. Jak dziś widzę młodą Polkę, która z wszelkimi oznakami przerażenia i obrzydzenia, trzymając śledzia za ogon, podchodzi z nim do wodociągu, płucze go dokładnie, a potem zjada z wielkim smakiem. Albo tę starszą panią w muzeum w Malmö, której podano pierwszą kromkę białego szwedzkiego chleba, jak wiadomo, zaprawionego obficie cukrem. Kobieta szlocha rozpaczliwie. Zapytana o powód płaczu, skoro wszystko złe już minęło i jest wśród życzliwych ludzi, żali się ze łzami w oczach: „Ach, biedne moje dzieci w Warszawie!" — „No cóż, pani je wnet zobaczy". — „Kiedy one tam pewnie głód cierpią, a ja tu siedzę i babką się zajadam".

Od pierwszej chwili zajęto się też zabezpieczeniem dokumentacji pobytu w „kacetach". Udało się zebrać i przechować pokaźną liczbę najróżniejszych przedmiotów codziennego użytku w obozach, przedmioty wyrabiane na miejscu, tzw. „sabotaże", ręcznie pisane podręczniki tajnego nauczania, modlitewniki, zbiory poezji obozowej, dewocjonalia, przepisy kucharskie, dokumenty różnego rodzaju, prymitywny sprzęt lekarski itp. Przede wszystkim jednak zajęto się spisywaniem zeznań poszczególnych więźniów oraz ich wspomnień od chwili aresztowania aż do przybycia do Szwecji. Sporządzono

protokoły o różnej objętości, od 2—4 stron folio ręcznego pisma aż do 60 i więcej.

Formę i wzór tych protokołów opracowano przy współudziale profesora historii nowożytnej na Uniwersytecie Lundeńskim, *Sture Bolina*. Uwzględniały one: stereotypowy wstęp zamiast przysięgi, personalia, osobiste wspomnienia świadka, nie sugerowane jakimikolwiek pytaniami protokołującego oraz podwójny komentarz: charakterystykę świadka i uwagi do podanych faktów. Każdy protokół był pomyślany jako idealne źródło historyczne do przyszłych badań naukowych. Zebrano przeszło pół tysiąca protokołów, a cała praca była finansowana z zasiłku rządu szwedzkiego. Świadkowie składali swe zeznania w pełnym zaufaniu, wahając się jednak czasem podawać swoje nazwiska. Dla zapewnienia poczucia bezpieczeństwa i dyskrecji zobowiązano się traktować zeznania jako tajne w ciągu pięćdziesięciu lat. Cały dorobek pokazano w Muzeum Historii Kultury w Lund na nieco spóźnionej wystawie pamiątkowej pod nazwą „Aby przeżyć" z okazji 20-lecia przybycia do Szwecji transportów więźniów. Wystawa wzbudziła wielkie zainteresowanie, obszerne sprawozdania obiegły całą prasę szwedzką, radio i telewizję, a echa jej dotarły do prasy polskiej w Kraju.

Po krótkiej stosunkowo kwarantannie kierowano mniejsze i większe transporty w głąb Szwecji, przeważnie do południowej jej części, ale również i na północ, np. do prowincji Dalarna i Gästrikland. Liczba tych obozów — różnej wielkości — w okresie największego nasilenia akcji doszła do dwustu. Największe z nich, to bodaj obóz kobiecy w Doverstorp w prowincji Östergötland i męski w Öreryd w prowincji Småland. Obozy organizowano w uzdrowiskach, pensjonatach, w budynkach szkolnych, hotelach, zamkach i pałacach lub w barakach wojskowych. Umieszczano w nich byłych więźniów według narodowości; były obozy francuskie, holenderskie, węgierskie lub wreszcie najliczniejsze — polskie. Od początku pod szczególną opieką duńskiego rabinatu i światowej organizacji „Joint" znalazły się obozy żydowskie, przygotowujące byłych więźniów do wyjazdu do Izraela i do pracy w kibucach.

Nad każdym obozem sprawowali opiekę i nadzór kierownik oraz wielu kuratorów. Częste były odwiedziny i kontrole ze strony centralnych instancji opieki społecznej, szwedzkich i innych narodowości. Tworzono samorządy obozowe, rozwijano żywą działalność kulturalno-oświatową. Głód książek był tak wielki, że dostarczanie literatury w zadowalającej ilości stanowiło jeden z najcięższych do rozwiązania problemów. Zaspokojenie tego rodzaju potrzeb było pilnym nakazem, gdyż dawały one o sobie znać u więźniów dosłownie już w pierwszych godzinach po przybyciu. W każdej kwarantannie w Lund już w ciągu pierwszej doby tworzono na żądanie samych byłych więźniów małe warsztaty przemysłu artystycznego, dostarczając potrzebnych materiałów i sprzętu. Artystka malarka *Jadwiga Simon-Pietkiewicz* otrzymała komplet przyborów malarskich; wystawę jej dzieł urządzono w Lund tak rychło, że tylko w drodze wyjątku mogła ona wyjść prosto z kwarantanny na otwarcie ekspozycji, która wzbudziła ogromne zainteresowanie szwedzkiej prasy codziennej i fachowej.

Przytoczone tu przykłady nie były wyjątkami. W obozach rekreacyjnych spontanicznie zakładano orkiestry amatorskie, sekcje sportowe, literackie, taneczne, teatralne. W każdej dziedzinie obozy miały fachowców, zdolnych do kierowania zespołami, nieraz na najwyższym poziomie. Zespoły, zwłaszcza teatralne, występowały także na zewnątrz, propagując w najlepszy sposób polską kulturę i sztukę wśród społeczeństwa szwedzkiego. Jasełka polskie w wykonaniu grupy teatralnej z obozu w Doverstorp budziły w miastach szwedzkich swoim wysokim poziomem artystycznym, tańcami i folklorem zrozumiałą ciekawość i zachwyt. Trudno wyliczyć tu wszystkie przejawy inicjatywy, którą wykazali po odzyskaniu wolności byli więźniowie. Czy otrzymali oni w Szwecji to, czego mogli się spodziewać?

Jeszcze w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück zebrali się więźniowie — reprezentanci 21 narodów dla przedyskutowania swej przyszłości. Wyniki dyskusji zostały ujęte w 5-punktowej rezolucji, którą znana działaczka norweska, prof. *Sylwia Salvesen*, wręczyła hrabiemu *Bernadotte* do przekazania międzynarodowej organizacji Czerwonego Krzyża. W pierwszym punkcie rezolucji żądano dokładnego zbadania lekarskiego wracających z niewoli niemieckiej, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, w drugim — zapewnienia chorym i rekonwalescentom leczenia w szpitalach i sanatoriach, w trzecim — przyznania uprawnień jeńców wojennych. Czwarty punkt wysuwał sprawę „pomocy dla samopomocy", nie na zasadzie dobroczynności, ale w formie prawa więźniów do otrzymania pożyczki pieniężnej, możliwie bezprocentowej, o określonym systemie długoterminowych spłat. W ostatnim punkcie domagano się sporządzenia krótkich, treściwych sprawozdań z przeżyć więźniów w obozach i więzieniach, zarówno w Niemczech, jak i w poszczególnych krajach, podania liczb zmarłych, przyczyn śmierci itp. Założono od razu, że celem sprawozdań, które miały być pisane w ojczystych językach i po francusku, będzie ujawnienie prawdy, a nie propaganda lub zachęcanie do zemsty.

W jakim zakresie władze i instytucje szwedzkie zrealizowały te postulaty, wynika częściowo z faktów podanych wyżej. Każdego więźnia już po opuszczeniu przez niego kwarantanny poddano dokładnemu badaniu lekarskiemu, a protokoły tych badań zachowano. Niestety, nie znajdują się one w jednym centralnym archiwum, np. Ministerstwa Zdrowia w Sztokholmie, ale są rozproszone w różnych prowincjach. Uzyskanie do nich dostępu i przegląd tych akt, to sprawa nader żywotna i pilna.

25 maja 1945 roku minister spraw socjalnych przedstawił, odpowiadając na interpelację par-

lamentarną, przebieg akcji charytatywnej. Wśród przyjętych do tego dnia w południowoszwedzkiej prowincji Skåne około 20 tysięcy osób różnej narodowości stwierdzono 213 pewnych zachorowań na dur wysypkowy, 73 prawdopodobnych. Najczęściej spotykanymi chorobami były poważne skutki niedożywienia, niedokrwistość, choroby jelit, płonica. Bardziej sporadycznie występowały błonica, dur i paradur. Wielu uchodźców było ciężko chorych w chwili przybycia, 80 zmarło, przeważnie w pierwszych dniach po przyjeździe. Z pewnego transportu, składającego się ze stu kobiet, pięć zmarło w ciągu 12 godzin. Transport morski do Trelleborga miał dwóch zmarłych na pokładzie. Z 48 ciężko chorych przyjętych do pewnego szpitala zmarło 4 w ciągu trzech dni. W transporcie polskich matek z niemowlętami wszystkie dzieci w wieku od 10 do 3 miesięcy były zagłodzone (utworzono dla nich dwa specjalne oddziały w szpitalach w Lund i Landskronie, a później przeniesiono całą grupę na stały pobyt do Reftele w prowincji Småland). Większość przybyłych dzieci była w najwyższym stopniu wynędzniała, cierpiała na zakażenie jelit i ciężkie choroby skóry. Zmarło sześcioro dzieci.

Zasługuje na podkreślenie, że groby wszystkich zmarłych są otaczane wzorową opieką tak przez Szwedów, jak i Polaków. Z reguły wydzielano na nie specjalną kwaterę cmentarną, wkładano wiele starań i środków, by stworzyć godne rozwiązanie całości, postawić nagrobki i zwykle wspólną tablicę pamiątkową. W kilku miejscowościach, np. w Lund, gdzie znajduje się kilkadziesiąt takich grobów, ufundowano pomnik dominujący nad kwaterą. Pomnik w Lund, powstały dzięki prywatnej ofierze pewnej byłej więźniarki oraz składkom społeczności polskiej, jest dziełem węgierskiego rzeźbiarza o światowej sławie. W czasie obchodów rocznicowych, a przede wszystkim w dniu Święta Zmarłych tu głównie gromadzą się Polacy.

Spośród szwedzkiego personelu zatrudnionego w akcji odwszawiania trzy osoby uległy zakażeniu i zmarły, jak stwierdził dalej minister spraw społecznych. Natomiast nie spotkano nowych zakażeń po przeprowadzeniu tej akcji. Ministerstwo Zdrowia przedłużyło okres kwarantanny do trzech tygodni dla wszystkich byłych więźniów przybywających po dniu 4 maja 1945 roku.

Dla przeprowadzenia badań lekarskich uruchomiono trzy ośrodki przyjęć w miastach: Malmö, Hälsingborg i Lund. Chorych kierowano, zależnie od liczby wolnych miejsc, do klinik szpitalnych lub oddziałów epidemicznych. Napływ chorych jednak był tak wielki, że musiano utworzyć prowizoryczne szpitale w szkołach i innych budynkach. Łącznie skierowano do szpitali 1650 osób. W celu odciążenia szpitali w prowincji Malmöhus zorganizowano w głębi kraju liczne prowizoria, które przyjęły w tym czasie 1400 chorych. Wymagało to powołania do pracy na podstawie ustawy o obowiązkowym zatrudnieniu 126 starszych i młodszych lekarzy, 215 pielęgniarek i 50 pomocnic. Ponadto około 40 lekarzy zgłosiło się na ochotników.

Uzupełniając sprawozdanie ministra, należałoby dodać, że nie uwzględniło ono przypuszczalnie dość dużej liczby byłych więźniarek, które jako pielęgniarki wykonywały od pierwszych chwil po przybyciu transportów ofiarną pracę wśród chorych towarzyszy, jak mi wiadomo, bezpłatnie, z czysto ludzkich pobudek. Należy też wspomnieć i o pewnej liczbie polskich lekarzy, równie ofiarnie pracujących. Spośród nich wymienię jedynie dr *Zofię Mączkę-Patkaniowską* z Krakowa, która od pierwszego dnia pobytu między innymi prowadziła swe badania naukowe nad „królikami", ogłoszone później drukiem.

Dalsze dzieje opieki nad byłymi więźniami przekraczają ramy niniejszego artykułu. Większość z nich, zawdzięczających staraniom Szwedzkiego Czerwonego Krzyża przywrócenie życiu i zdrowiu, odjechała w kilku transportach do Kraju przed Nowym Rokiem 1946.

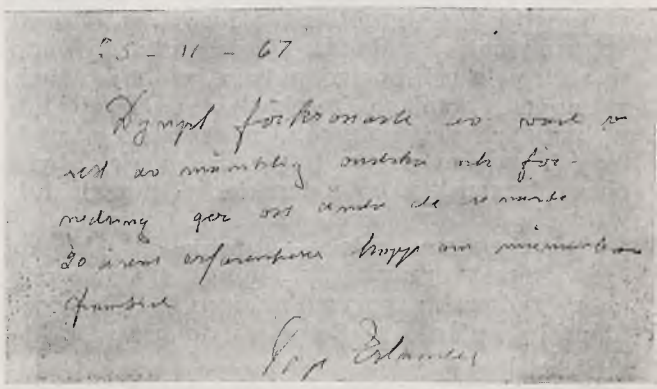

Reprodukcja wpisu premiera Szwecji, *Tage Erlandera* do księgi pamiątkowej Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. Przekład polski:

„Głęboko złamany tym, co widzieliśmy z ludzkiego zła i poniżenia; doświadczenia ostatnich 20 lat dają nam jednak nadzieję w przyszłość ludzi".

(Fotokopia z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu).

ROMUALD SZTABA
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka, Majdanek, Gross-Rosen nr 29235 i Litomierzyce

Gdańsk

Ze wspomnień lekarza obozu w Gross-Rosen

Trudno jest wspominać fakty sprzed 23 lat. Były to fakty tragiczne, powinny więc na długo pozostać w pamięci. Spostrzeganie i pamięć ludzka są jednak zawodne. Te same zdarzenia dwoje ludzi odbiera inaczej. Z odległości czasu jedne zdarzenia są podkreślane, inne tracą ostrość i są usuwane. Istnieje prawo pozytywności wspomnień (*Lersch*, cyt. za *H. Münchem* [1]), to znaczy, że chętniej przypominamy sobie rzeczy dobre i radosne, a łatwiej zapominamy złe. W ciągu minionych 20 lat nie miałem zwyczaju omawiania i analizowania ze współwięźniami chwil przeżytych w obozie, toteż wspomnienia, które chcę tutaj przedstawić, są moimi wrażeniami i przeżyciami, wolnymi od sugestii narzuconych przez innych. Wiem, że mogą być one niedokładne i fragmentaryczne.

W Gross-Rosen przebywałem prawie rok, od kwietnia 1944 roku do chwili likwidacji obozu w lutym 1945 r. Nie potrafię nic powiedzieć o pierwszym, najtrudniejszym okresie życia w obozie i w szpitalu obozowym. Nie chcę opisywać mordowania więźniów przez blokowych i „kapów", nie będę opisywał wielogodzinnych apeli i „komand" wracających z kilkoma zabitymi więźniami. Wszystko to jest już dobrze znane. We wszystkich obozach działo sie podobnie, gdyż wszędzie byli esesmani, niemieccy starsi obozu, „kapowie" i blokowi. Szkic swych wspomnień pragnę poświęcić lekarzom, z którymi byłem w Gross-Rosen, a którzy pomimo różnic wieku, tytułów i stanowisk poprzednio zajmowanych potrafili ofiarować nam, swym kolegom, głęboką męską przyjaźń, a chorym więźniom uczciwą pracę.

Duży transport, złożony z kilkuset więźniów został pospiesznie zorganizowany w Majdanku w pierwszych dniach kwietnia 1944 roku. Do transportu włączono prawie całą lekarską obsadę „rewiru". W krytych wagonach, oddzieleni drutem kolczastym od strażników będących w środku każdego wagonu, przybyliśmy na dworzec w Gross-Rosen [2]. Nastrój wśród nas panował dobry. Złożyło się na to wiele przyczyn, a mianowicie rozluźnienie dyscypliny, jakie w ostatnich miesiącach panowało w Majdanku, świadomość, że w dawnych granicach Polski jest już armia radziecka i polskie oddziały, pośpiech, z jakim przygotowano transport, wiosna w przyrodzie i nadzieja dalszych, korzystnych zmian.

Szliśmy pewnym krokiem i z dużą energią dość długą drogą z dworca kolejowego do obozu. Po przejściu żelaznej bramy wejściowej ujrzeliśmy nieduży obóz, położony na stokach góry, w różnych jej poziomach. Porządek i rygor można było spostrzec od razu. Zachowanie się załogi esesowskiej było krzykliwe, agresywne i brutalne, jak dawniej, w pierwszych latach wojny. Zaraz po przyjeździe zorganizowano kąpiel dla całego transportu, z wrzaskami i biciem, według reguły panującej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Transport majdankowski został umieszczony w dwóch blokach kwarantanny, odgrodzonych drutem od reszty obozu. Kwarantanna trwała 6 tygodni, które upłynęły dość szybko pomimo braku pracy. Atrakcją kwarantanny były paczki żywnościowe wysyłane przez rodziny do Majdanka, a które tutaj przybyły za nami oraz listy wysyłane przez nas z powiadomieniem o nowym miejscu pobytu. Pierwsze rozdawanie paczek dla naszego transportu odbyło się na dużym placu. Do stołu, na którym ułożono paczki, wzywani byli więźniowie po ich odbiór. Między innymi wywołano profesora *Michałowicza* [3]. Profesor prawie biegiem zbliżył się do stołu i stanął na baczność z czapką w ręku. Z drugiej strony stołu był esesman *Drozdowski* (podobno Litwin z pochodzenia). Niespodziewanie *Drozdowski* zapytał prof. *Michałowicza*, czy rzeczywiście jest profesorem, a gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, krzyknął: „Tutaj ja jestem profesorem!" — i uderzył naszego seniora w twarz. Profesor stracił równowagę, przewrócił się i zgubił okulary. Powolne powstawanie profesora z ziemi i poszukiwanie okularów — był to okropny widok dla nas, którzy tak blisko z nim byliśmy w Majdanku. Dyscyplina panująca w obozie nie pozwalała na najmniejszą reakcję z naszej strony. Profesor podniósł się z ziemi, z trudem znalazł potłuczone okulary i znowu stanął na baczność.

Do chwili naszego przybycia obsadę szpitala

---

[1] Przegl. Lek., 1967, 1, s. 88.

[2] Obecnie Rogoźnica. Przy tamtejszych kamieniołomach hitlerowcy założyli w r. 1940 obóz koncentracyjny. Była to początkowo filia obozu w Sachsenhausen. W maju 1941 roku obóz w Gross-Rosen stał się jednostką samodzielną. Najwięcej ofiar pochłonął on w r. 1945, gdy z różnych podobozów i z Oświęcimia ewakuowano tutaj tysiące więźniów. Liczne podobozy Gross-Rosen działały do roku 1943. Gross-Rosen ewakuowano w lutym 1945 roku, przy czym zginęło wiele tysięcy więźniów, w pociągach i w czasie marszu, z zimna i zastrzelonych. Przez Gross-Rosen przeszło 125 tysięcy więźniów, zginęło ponad 40 tysięcy (przyp. red.).

[3] Zob. Dwugłos o profesorze *Mieczysławie Michałowiczu* w niniejszym zeszycie.

stanowiło niewielu lekarzy. Starszym lekarzem obozu był *Antek Mianowski*, który poprzednio przez krótki czas przebywał w Majdanku. W bloku nr 2 pracował dr *Kazimierz Biały*. Dr *Stefan Żegleń* z Makowa Podhalańskiego zajmował się okulistyką, gdyż więźniowie pracujący obok w kamieniołomach potrzebowali stale pomocy okulistycznej. W bloku 6 jako chirurg pracował lekarz, w starszym wieku, Francuz *Lafone*. Wśród więźniów wyróżniał się tym, że z dużą fantazją nosił na głowie granatowy beret, manifestując w ten sposób swą przynależność narodową. Funkcję „kapo rewiru" sprawował zawodowy przestępca *Georg Prill*, głupi i zły, ordynarny wobec chorych zgłaszających się do izby przyjęć. Zamieszany w morderstwo starszego obozu, w kilka tygodni po naszym przybyciu został zdegradowany i wcielony do karnej kompanii; wyjechał potem do innego obozu. Po nim funkcję „kapo rewiru" objął — łagodniejszy niż *Prill* — *Rudi Langer*, ukarany obozem za homoseksualizm. Jedyny większy kłopot, który nam sprawiał, to były wizyty w blokach chorych i badania młodszych więźniów o miłej powierzchowności. Wiedząc o tej słabości, zawsze byliśmy obecni podczas takich badań, które wobec tego kończyły się szybko na rozmowie z chorym chłopcem.

Z Majdanka do Gross-Rosen przyjechali razem ze mną następujący lekarze: prof. *Mieczysław Michałowicz*, prof. *Stanisław Konopka*, *Jan Nowak*, *Tadeusz Kosibowicz*, *Rudolf Glykner* (lekarz wojskowy armii czechosłowackiej), *Witold Kopczyński*, *Włodzimierz Doktor*. Po przebytej kwarantannie zostaliśmy zatrudnieni w „rewirze". Prof. *Konopka* został przydzielony do izby przyjęć i sprawował nadzór nad apteką „rewiru". Przez kilka tygodni pomagał mu dr *Witold Kopczyński*, dopóki nie został wysłany z grupą roboczą do Aslau.

Praca w izbie przyjęć polegała na udzielaniu porad, robieniu opatrunków oraz na przedstawianiu „kapo rewiru" chorych zakwalifikowanych do przyjęcia do szpitala. Ostateczna decyzja przyjęcia zależała od „kapo". Pomimo to często udawało nam się wielu lżej chorych umieścić w „rewirze". Prof. *Michałowicza* i *Jana Nowaka* skierowano do bloku 2, gdzie leżeli chorzy internistyczni. Blok 3 stał bezpośrednio za blokiem 2. Przedłużeniem bloku 3 był blok 4. Znacznie niżej niż poprzednie bloki stał blok 5 i obok niego blok 6. Schodziło się do tych bloków po kamiennych schodkach. Blok 5 był blokiem zakaźnym; mieli tam przebywać chorzy z gruźlicą płuc i będący w obserwacji, podejrzani o choroby zakaźne. W bloku 6 leżeli więźniowie z rozpoznaniem chorób chirurgicznych.

Organizacja bloków chorych w „rewirze" Gross-Rosen była nieco inna niż w Majdanku. W Gross-Rosen największą władzę w bloku posiadał blokowy, który nie był lekarzem. Zarządzał wszystkim i myślę, że przy braku lekarzy w pierwszych latach istnienia obozu sprawował — przynajmniej częściowo — ich funkcje. Bezpośrednim przełożonym blokowych był „kapo rewiru", który powierzał te funkcje swoim zaufanym. Rola nasza w bloku chorych ograniczała się tylko do czynności lekarskich; możliwość konfliktów z blokowym była duża.

Początkowo przydzielono mnie do bloku 3. Gdy przyszedłem, władzę tam dzierżył młody chłopiec, *Władek*, niewolny od despotyzmu i brutalności. Współpraca z nim była trudna. Przez pierwsze tygodnie nieufnie patrzyliśmy na siebie. Wkrótce przeniesiono mnie do bloku 5, w którym blokowym był starszy Niemiec, recydywista, przestępca kryminalny, *Karol Maul*. *Maul* zajmował się tylko stroną gospodarczą, pozostawiając nam lekarzom dużą swobodę. Sytuacja nasza, lekarzy z Majdanka, po objęciu pracy w „rewirze" była dość trudna. Byliśmy nowymi więźniami w obozie żyjącym z dawna własnym, uregulowanym życiem. Ażeby pracować wydajnie dla chorych, należało nie tylko otoczyć ich w szpitalu możliwymi warunkami (sienniki, koce, wyżywienie, leki), lecz także dać im możność długiej rekonwalescencji oraz postarać się potem o mało wyczerpującą pracę. Należało przyjmować do „rewiru" oprócz chorych także ludzi starszych i zmęczonych, nie zawsze mających według regulaminu podstawy do pobytu w szpitalu. Jako sanitariuszy należało zatrudnić ludzi uczciwych i ofiarnych. Ażeby tego dokonać, powinno się mieć zorganizowaną grupę przyjaciół we wszystkich ważniejszych ośrodkach obozu. Należało podporządkować sobie wielu „kapów" i blokowych, a nawet esesmanów. Najlepszym na to sposobem były pieniądze i wódka. Nie posiadaliśmy ani jednego, ani drugiego. Zawartość początkowo otrzymywanych paczek — dla wysokich dygnitarzy obozu — nie miała dużej wartości. W bloku „rewiru" z tradycji rządził despotycznie blokowy i nie dawał sobie tej władzy umniejszać. Blokowych chronił i popierał „kapo rewiru" *Prill*. Nie znaliśmy kolegów z innych placówek obozowych, a w samym obozie panował twardy reżim, utrzymywany, pomimo że był to już rok 1944, przez *rapportführera Eschnera* i podległych mu esesmanów. My lekarze byliśmy w Gross-Rosen potrzebni olbrzymiej masie więźniów wynędzniałych, słabych i chorych, którzy szukali w „rewirze" odpoczynku i spokoju. Naszą więc rolą było uzupełnić skromną liczebnie obsadę lekarską i razem działając osłabiać rządy blokowych, w szpitalu, dać chorym możliwą jak na warunki obozu opiekę lekarską, a przede wszystkim stworzyć atmosferę porządku, uczciwości i zaufania. Czy nam się to udało, powinni powiedzieć więźniowie, którzy przebywali w „rewirze".

W lecie 1944 roku transportem z Krakowa przyjechało do Gross-Rosen kilku lekarzy, między innymi dr *Ludwik Fischer* z Zakopanego [4] i *Tolek Pieszak*, mój kolega ze studiów. Zostali oni przydzieleni także na blok 5, w którym pracowaliśmy do końca istnienia obozu. Pomoc dr *Fischera*, doświadczonego ftyzjatry, była dla

[4] Zob. *S. Kłodziński*: Dr *Ludwik Fischer*, więzień obozu w Gross-Rosen nr 7851. Przegl. Lek., 1966, 1, s. 229—234 (przyp. red.).

nas szczególnie cenna, niestety tylko w badaniu fizykalnym i diagnostyce gruźlicy, gdyż leczenia praktycznie nie było. W miarę przybywania do Gross-Rosen lekarzy z innych obozów lub więzień byli oni zatrudniani w blokach rewirowych, np. do bloku 2 przydzielono prof. *K. Gibińskiego*, do bloku 4 dr *Szadurskiego* z synem. Dr *Walenty Popek*, laryngolog, sprawował funkcję konsultanta wszystkich bloków rewirowych oraz izby przyjęć. Dr *Zygmunt Kulig* po krótkim pobycie w Gross-Rosen pojechał jako lekarz „komanda" Hartzmandorf. Dr *Mieczysław Kotarbiński* mieszkał w 5 bloku „rewiru", ale sprawował opiekę okulistyczną nad więźniami z kamieniołomów, podobnie jak dr *Żegleń*. Nie potrafię powiedzieć, komu lekarze Polacy zawdzięczają pracę w „rewirze". Na pewno istniał wśród Polaków jeden człowiek lub mała grupa ludzi, którzy swym wpływem na esesmanów i „kapo rewiru" spowodowali zatrudnienie lekarzy w szpitalu i dali im w ten sposób możność przetrwania ostatnich miesięcy wojny. Być może, że uczynił to *Antek Mianowski*, zawsze energiczny i pełen inicjatywy, może *Janek Nowak*, który szybko zdobywał zaufanie przełożonych.

Największym szacunkiem, wielką serdecznością i głębokim zaufaniem nas wszystkich cieszył się prof. *Michałowicz*. W trudnych chwilach niepokojów i załamań każdy z nas biegł ze swymi kłopotami do niego. Zawsze otrzymywaliśmy ojcowską wyrozumiałość i dobrą radę, podaną w sposób bezpośredni, najbardziej prosty i szczery. Profesor zawsze był optymistą, lubił żartować z siebie i z innych. Dużym wydarzeniem dla pracowników „rewiru" były prelekcje prof. *Michałowicza*, wygłaszane na naukowe tematy lekarskie. Władze zgodziły się na ich wygłaszanie w języku niemieckim i w obecności esesmana sanitarnego (*SDG*). Profesor na tle zagadnień lekarskich szpitala obozowego mówił o obowiązkach lekarzy, humanizmie ich pracy, o problemie dobra i poświęcenia. Jak to zwykle lubił robić podczas swych wykładów uniwersyteckich, cytował fragmenty z literatury i mówił o przyszłości medycyny. Prelekcji takich odbyło się kilka. Obok prof. *Michałowicza* widzę stale wysoką, nieco pochyloną sylwetkę *Jana Nowaka* z Krakowa, który serdeczną i dyskretną opieką starał się pomóc profesorowi w jego codziennym życiu. Starał się o mnóstwo drobiazgów, tak potrzebnych w życiu obozowym. Chronił zdrowie profesora i ograniczał jego kontakty poza „rewirem", ażeby nie spowodować konfliktów z więźniami niemieckimi i esesmanami.

W bloku nr 2, w którym pracował prof. *Michałowicz*, dr *Nowak*, prof. *Gibiński* i dr *Biały*, wśród chorych znajdowało się stale wielu przedstawicieli inteligencji polskiej. Wynajdywano coraz to inne choroby, ażeby więźnia jak najdłużej zatrzymać w „rewirze". Sprawy te wymagały swoistej dyplomacji i znajomości psychologii przełożonych. Blokowym w bloku nr 4 był młody Czech i dobrze się stało, że dr *Glykner*, wysoki rangą oficer armii czechosłowackiej, został tam przydzielony. Swym spokojem wpływał hamująco na młodego i bardzo energicznego swego rodaka. W bloku 6, w którym leżeli chorzy chirurgiczni, byli lekarze, którzy już przed aresztowaniem pracowali w tej specjalności: *Tadeusz Kosibowicz*, *Włodzimierz Doktor*, *Władysław Bernadzikowski* i *Stanisław Różycki*.

Praca wszystkich lekarzy „rewiru" przebiegała spokojnie, bez konfliktów osobistych. Nikt z nas nie przejawiał skłonności do wodzostwa czy chęci zdobywania honorów u władz obozowych. Młodzi dawali starszym swą energię i inicjatywę, starsi młodszym rozwagę i wiedzę zawodową. Niebezpieczne i niepotrzebne byłoby organizowanie narad i wyznaczanie zadań. Z innych obozów znaliśmy zwyczaje i pracę w „rewirach". Znaliśmy się nawzajem i mieliśmy do siebie zaufanie. Koledzy nowo przybyli do obozu rozpoczęli z nami szczerą współpracę.

Pewnej letniej niedzieli błyskawicznie obiegła obóz wiadomość, że w basenie przeciwpożarowym z wodą, znajdującym się w środku obozu, znaleziono zwłoki starszego obozu (najwyższa władza obozu, którą mógł pełnić więzień), Niemca, z dużą raną głowy. Wśród Polaków powstał niepokój, gdyż wiedzieliśmy, że podejrzenia o morderstwo pójdą w naszym kierunku. Szybko jednak wyszło na jaw, że starszy obozu został zamordowany w nocy przez swych kolegów-więźniów, Niemców, należących do grupy „dygnitarzy" obozowych. W wyniku śledztwa kilku z nich zostało zamkniętych w areszcie, innych wywieziono do różnych obozów. Główni sprawcy otrzymali wyrok śmierci przez powieszenie.

Na dużym placu ustawiono na podwyższeniu pięć szubienic, a wszyscy więźniowie obozu, nie wyłączając personelu „rewiru", ustawieni w zwartych kolumnach musieli przypatrywać się egzekucji. Po raz pierwszy w życiu widziałem z bliska przebieg wieszania człowieka. Obraz widziany w Gross-Rosen zostanie mi do końca życia w pamięci. Mimo że przedtem widziałem już wiele wstrząsających scen podczas września 1939 roku i w poprzednich obozach koncentracyjnych, kolejne wieszanie pięciu ludzi wywarło na mnie duże wrażenie. Najgorszym momentem było usunięcie stopnia spod nóg skazanego i zawiśnięcie na pętli. Może nie wszyscy reagowali jak ja, ale bardzo wielu kolegów odwracało głowy, a kilku zemdlało. Nie miało wtedy większego znaczenia, że wieszani byli Niemcami i przestępcami kryminalnymi, którzy setki więźniów pomordowali. Gdy żyli, niejednokrotnie życzyliśmy im śmierci; teraz nienawiść do nich minęła. Sposób zadawanej śmierci przez powieszenie i nasilanie wrażenia kolejnymi pięcioma egzekucjami wzbudził odrazę do tych, którzy to zorganizowali. Minęły na szczęście czasy rozrywania przestępców końmi czy wbijania na pal. Czyżby w życiu społeczeństw egzekucje przez powieszenie nadal były konieczne? Perfidią chyba i sadyzmem hitlerowców można tłumaczyć zmuszanie kilku tysięcy ludzi do oglądania takich egzekucji.

Wśród ponurych dni powszednich niedziela w obozie i w „rewirze" była dniem względnego spokoju. Nie widziało się esesmanów w obozie, a blokowi i „kapowie" nie wykazywali zwykłej aktywności. Popołudnia niedzielne były wolne od pracy, a największą atrakcją dla wielu więźniów były mecze piłki nożnej. Uczestniczyły w nich w Gross-Rosen trzy drużyny: dwie polskie i jedna niemiecka. Stałe boje między sobą toczyły drużyna polska z niemiecką. Ich rzeczywisty poziom był wyrównany, z lekką przewagą drużyny polskiej, ale wygrać mecz musieli Niemcy. Jeśli się to graczom nie udawało, sędzia zawodów pomagał Niemcom do uzyskania zwycięstwa. Sędzią był zawsze Niemiec. Podporą ataku drużyny polskiej było dwóch ligowych graczy, koledzy *Stolarski* z Łodzi i *Łysakowski* z Warszawy.

Po meczu spacerowaliśmy małymi grupkami po obozie, odwiedzaliśmy przyjaciół, omawialiśmy z nimi sytuację wojskową i polityczną. Miłym zwyczajem wśród więźniów było, żeby w niedzielne popołudnie mieć czysty pasiak i świeżo wygolony pas na głowie [5]. Była to specjalna elegancja świątecznego dnia w obozie i jednocześnie dowód psychicznej i fizycznej postawy. Nasze spotkania i rozmowy niedzielne były źle widziane przez esesmanów, a nawet przez więźniów Niemców, którzy wobec złej sytuacji na frontach obawiali się ze strony Polaków zorganizowanego ruchu oporu. Gdy tylko kilku Polaków stało razem, słyszało się powiedzenie, że jest to *polnische Widerstandbewegung*. Powiedzenia tego, dość powszechnego, często nawet używali żartobliwie sami Polacy. Do większych represji z tego powodu nie dochodziło.

Nie mogę się wypowiedzieć, czy istniał w obozie Gross-Rosen ruch podziemny i w jakim zakresie. Nie wiem, czy istniały nielegalne kontakty więźniów ze światem zewnętrznym. Pracując w „rewirze", w bloku zakaźnym, miałem luźny kontakt z więźniami w obozie. Wydaje się usprawiedliwiona ostrożność starych więźniów Gross-Rosen wobec nas, nowych, nieznanych, przybyłych z Majdanka. Być może, organizacje takie istniały, zagadnienie konspiracji obozowej wykracza jednak poza zakres tej osobistej relacji, natomiast z pewnością będzie przedmiotem innych, nowych pozycji literatury dotyczącej obozu w Gross-Rosen.

Środowisko polskie zostało niespodzianie zaskoczone wcieleniem do karnej kompanii kilkunastu bardziej znanych i popularnych więźniów Polaków. Pobyt w kompanii karnej pod „opieką" blokowego *Vogla* prowadził zwykle do szybkiej śmierci z wyniszczenia wskutek pracy w kamieniołomach lub z ręki „kapów" bądź blokowego. Chorzy więźniowie tej kompanii nie mieli prawa do leczenia w „rewirze". Do karnej kompanii odeszli wtedy *Krzysztof Radziwiłł*, *Roztworowski*, dr *Włodzimierz Bołądź*, *Raczkowski* (nazwisko konspiracyjne) i inni, a z „rewiru" kolega *Jan Lech*. Nie wiedzieliśmy, co było tego powodem [6]. Nie podejrzewaliśmy, że istniały między nimi powiązania organizacyjne. Jedni uważali, że było to zastraszenie Polaków po lipcowym zamachu na życie *Hitlera* [7], inni łączyli to z wybuchem powstania warszawskiego. O powstaniu dowiedzieliśmy się bardzo późno, z urzędowej gazety niemieckiej *„Völkischer Beobachter"*; zamieszczona tam krótka wzmianka informowała o stłumieniu „rebelii" polskich grup „bandyckich" w Warszawie. Było to w końcu sierpnia 1944 roku.

Z upływem czasu lekarze zdobywali w obozie większe znaczenie. „Kapo" *Rudi* rzadko pokazywał się w naszym bloku zakaźnym, a jeśli przychodził, to jak zwykle szukał wśród chorych młodych chłopców. Blokowy *Maul* nie wtrącał się do prowadzenia chorych. Umyślnie użyłem tutaj określenia „prowadzenie" chorych, a nie „leczenie". „Rewir" w Gross-Rosen mógł bowiem bardzo niewiele leków ofiarować swym chorym. Dysponowaliśmy bardzo skąpymi ilościami sulfonamidów, węgla, glinki białej, isticyny; do opatrunków było trochę niewyjałowionej gazy, ligniny, bandaży papierowych i nieco maści. W okresach nasilenia świerzbu maści Wilkinsona było pod dostatkiem; poszukiwana była maść siarkowa. Nie mieliśmy szkła i odczynników laboratoryjnych, aparatów rentgenowskich ani odmowych. Blok szpitalny dawał chorym więźniom tylko wypoczynek, umożliwiał im przebywanie w łóżku i otrzymywanie całych porcji pożywienia, czasem dietetycznej zupy. Dla nas pracowników „rewiru" warunki pracy były znacznie lepsze niż w grupach roboczych w obozie, ale brak chwili samotności oraz stałe przebywanie wśród chorych i kolegów powodowało zautomatyzowanie życia i jego spłycenie. Nie było miejsca na wspomnienia i osobiste myśli ani czasu na refleksje. A jednak przychodziły one i często w niespodziewanych sytuacjach.

Każdego ranka przed pobudką, jesienią i w zimie jeszcze przed świtem, musieliśmy na zmianę z *Tolkiem Pieszakiem* ustalać tożsamość i numery więźniów zmarłych w nocy. Zawsze kilka nagich, wynędzniałych ciał leżało na podłodze w umywalni bloku. Należało sprawdzić numer zmarłego więźnia, ustalić jego nazwisko, wypisać mu na piersiach właściwy numer obozowy oraz przygotować meldunek zgonu. Te spotkania ze zmarłymi więźniami, w ciszy śpiącego jeszcze obozu i bloku, nasuwały nam

[5] Wszyscy więźniowie z wyjątkiem Niemców mieli w Gross-Rosen krótko obcięte włosy i wygolony pas, biegnący pośrodku głowy od czoła do karku. Więźniom kompanii karnej golono dodatkowy pas, biegnący od ucha, przez szczyt głowy do drugiego ucha.

[6] Spośród wymienionych *Radziwiłł*, *Bołądź* i *Lech* po kilkutygodniowym pobycie w kompanii karnej zostali wysłani do innych obozów. *Radziwiłł* i *Lech* po zakończeniu wojny wrócili do kraju; *Bołądź* pozostał za granicą. Co się stało z innymi, nie wiem.

[7] Jak wiadomo, nieudały zamach na *Hitlera* w jego kwaterze głównej w Kętrzynie (Rastenburgu), inspirowany przez nacjonalistyczną opozycję generałów i prawicowych polityków, został dokonany przez płk. *C. Stauffenberga* 20 lipca 1944 roku.

smutne myśli o osamotnieniu i poniżeniu człowieka w obozie, o istocie cierpienia, śmierci i sprawiedliwości. Zapytywaliśmy siebie wtedy, czy w warunkach obozowych chorzy otrzymywali od nas wszystko to, co można im było ofiarować. Wypisanie numeru obozowego na wychudzonej klatce piersiowej oraz chwila zadumy były ostatnim pożegnaniem zmarłego przez żyjących jeszcze kolegów.

Coraz więcej chorych przybywających do „rewiru" i niemożność szybkiej poprawy ich stanu zdrowia zmuszały do zwiększenia ciasnoty w blokach „rewirowych". Rosnąca liczba chorych w „rewirze" była przyczyną przeprowadzania selekcji, znanych mi z innych obozów. Z Gross-Rosen pamiętam jedną selekcję, przeprowadzoną w szpitalu przez esesmanów i „kapo rewiru". Wybrano dużą grupę najciężej chorych do transportu. Wiedzieliśmy dobrze, co oznacza ten transport. Selekcja ta utkwiła nam lekarzom w pamięci, gdyż u władz powstało podejrzenie, że podane przez nas listy chorych do transportu są niepełne. Przybiegł „kapo rewiru", pofatygował się nawet osobiście młody lekarz niemiecki w randze oficerskiej. Lekarz zachowywał się spokojnie, przejrzał chorych zakwalifikowanych do transportu oraz leżących w szpitalu i uwzględnił nawet prośbę pracownika teatru w Poznaniu. Więzień ten w dość dobrym języku niemieckim prosił o pozostawienie go w obozie. Po wyjściu lekarza sprawa ucichła, a mogła mieć bardzo poważne następstwa; widmo karnej kompanii było bliskie.

Jesień 1944 roku przyniosła pewne osłabienie dyscypliny w obozie. Wpłynęły na to niepomyślne dla Niemców wydarzenia na froncie zachodnim, południowym i wschodnim oraz duży napływ transportów z innych obozów oraz „komand" podległych obozowi w Gross-Rosen. Rozpoczęto pospiesznie budować nowe bloki w przedłużeniu obozu w kierunku zachodnim. Chorych w „rewirze" było znacznie więcej niż normalnie, lecz brak nadzoru ze strony władz niemieckich dawał większą samodzielność i możliwość dłuższego chronienia rekonwalescentów.

Wyrazem dużego złagodzenia reżimu obozowego było zezwolenie władz obozowych na zorganizowanie w grudniu 1944 roku polskiej szopki świątecznej, opisanej przez dr *Jagielskiego* w *„Sclavus saltans"*. Były to niezapomniane chwile wzruszeń i serdecznych wspomnień wszystkiego, co drogie jest sercu każdego z nas. Dzwonił nam ze sceny dzwon Zygmunta, śpiewała melodia hejnału z wieży mariackiej, górale tańczyli zbójnickiego, były recytacje polskich wierszy i solo skrzypcowe. Prowizoryczna sala w baraku nie mogła pomieścić wszystkich więźniów Polaków. Szopkę powtarzano kilkakrotnie. Przychodzili więźniowie, patrzyli, słuchali i płakali. Powracali kilka razy. W tym jedynym, bardzo polskim widowisku, wystawionym przez Polaków na terenie niemieckiego obozu koncentracyjnego w święta Bożego Narodzenia, brali także czynny udział polscy lekarze; dr *S. Jagielski* był jednym z głównych organizatorów, a dr *S. Różycki* śpiewał jako solista.

Potem przyszły znowu trudne dni. Nastała mroźna zima i duże śniegi. Zaczęły przychodzić transporty zgłodniałych, zmarzniętych i bardzo zmęczonych więźniów. Mieli oni odmrożone ręce i nogi. Dla dużego transportu kobiet, które przyszły pieszo z Oświęcimia, opróżniono dwa baraki. Po kilkudniowym odpoczynku więźniarki poszły dalej. Liczba więźniów w obozie wzrosła kilkakrotnie. Zmniejszono nam porcje chleba i zupy. W „rewirze" pracy było bardzo dużo.

Z dala, szczególnie w nocy, słychać już było strzały artyleryjskie; ogłaszano alarmy przeciwlotnicze; słyszeliśmy bombardowania lotnicze. Zaczęły wychodzić i wyjeżdżać transporty więźniów w głąb Rzeszy. Wreszcie w pierwszych dniach lutego dostaliśmy zarządzenie, żeby wybrać spośród chorych tych wszystkich, którzy są zdolni do transportu i którzy mogą o własnych siłach przejść pieszo z obozu do dworca kolejowego. W „rewirze" powstał niepokój; wszyscy chorzy chcieli szykować się do transportu, lecz wielu z nich nie mogło o własnych siłach nawet zejść ze swych piętrowych, drewnianych łóżek. W obozie zapanował pośpiech i nieład. Późnym popołudniem wszyscy lekarze „rewiru", razem z lżej chorymi i resztą więźniów z obozu, wyszli długą kolumną liczącą przeszło tysiąc osób. Po drodze kilkakrotnie kolumnę zatrzymywano, wreszcie późnym już wieczorem wszyscy wrócili do obozu. Dopiero rano nastąpił powtórny wymarsz na dworzec i odjazd w otwartych wagonach towarowych w nieznanym kierunku.

Transport nasz był ostatnim, który opuścił obóz w Gross-Rosen. Zostało tylko kilkudziesięciu Niemców, „kapów" i blokowych oraz niewielka załoga esesmanów. Mam najgorsze przypuszczenie co do losu chorych pozostałych w „rewirze" [8].

[8] Zob. również ostatnie publikacje na temat obozu w Gross-Rosen, wymienione w dziale Ocen niniejszego zeszytu „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (przyp. red.).

JERZY NOWICKI
były więzień obozów koncentracyjnych w Stutthofie i Policach nr 45032
Łódź

Od Stutthofu do Sandbostel

Po schwytaniu mnie w obławie ulicznej w Łodzi zostałem 18 maja 1940 roku wywieziony na roboty przymusowe do Prus Wschodnich. Pracowałem tam między innymi w miejscowości Schönwald, gdzie wraz z dwunastoma towarzyszami różnych narodowości (kilku Polaków, Litwini, Łotysze, Białorusini, Ukraińcy) byłem zmuszony do całodniowej pracy przy wyrębie lasów. Miałem wtedy 16 lat. Nie mogąc znieść ciężkich warunków, już w pierwszych miesiącach planowaliśmy ucieczkę stamtąd. O szczegółach naszych zamiarów rozmawialiśmy w krótkich chwilach wolnych od pracy. Rozmowom naszym przysłuchiwał się nadzorca, zniemczony Mazur, który ukrywał przed nami swą znajomość języków polskiego i rosyjskiego.

Któregoś dnia, w marcu 1943 roku nadzorca pobił jednego z nas, młodego chłopca z Odessy, za którym się ujęliśmy. Nadzorca z zemsty doniósł o naszych planach do gestapo. W rezultacie uwięziono nas, przeprowadzono mordercze śledztwo w Istenburgu (w Prusach Wschodnich), skąd po kilku tygodniach przewieziono nas do gestapo w Tylży, następnie zaś do więzienia w Ragnicie (na granicy litewskiej). Stamtąd wraz ze wszystkimi więźniami przetransportowano nas do Stutthofu [1]. Po jakimś czasie — w początkach maja 1944 r. — dostałem się do pierwszego transportu, z którego około 600 więźniów skierowano do filii Stutthofu, mianowicie do podobozu w Policach.

Ze względu na ograniczone rozmiary relacji mogę z okresu moich przeżyć podać tylko wybrane urywki.

Podobóz w Policach

Police (Pölitz) — to mała miejscowość, położona w odległości około 15 km na północny zachód od Szczecina. Przed rokiem 1939 mieściła się tutaj mała fabryka chemiczna. Podczas wojny Niemcy rozbudowali tam szybko wielki kombinat produkujący benzynę syntetyczną. Zakład ten o nazwie *Chemische Werke Hydropetroleum Industrie Gesellschaft*, w skrócie *Hydrierwerke*, służył gospodarce wojennej i był oparty wyłącznie na niewolniczej pracy więźniów. Dopiero w ostatnich latach zaczęto publikować bliższe informacje na temat Polic [2].

[1] Pomija się fragment wspomnień, dotyczący pobytu autora w Stutthofie, w którym przebywał on ponownie po powrocie z Polic (przyp. red.).

[2] O zespole obozów na terenie Polic zob.: *M. E. Jezierska:* Obozy w Policach. Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Wydawn. Prawnicze, Warszawa 1965, nr 15, str. 66—99. Jest to syntetyczne opracowanie, oparte na wszechstronnych źródłach, między innymi na oświadczeniach składanych przez świadków w r. 1964. Wśród nich zeznawał *Jerzy Nowicki*. Spośród 9 tysięcy uwięzionych w Policach odnaleziono ostatnio zaledwie kilkanaście osób. Dnia 23 kwietnia 1967 roku odbyła się wielka manifestacja społeczeństwa szczecińskiego w Trzeszczynie i odsłonięcie pomnika martyrologii w Policach, które były na Pomorzu Zachodnim w latach wojny największym ośrodkiem wyniszczenia ludzi przez niewolniczą pracę.

Ryc. 1. Baraki byłego obozu, filii Stutthofu, w Policach (tzw. „obóz zimowy" w Mścięcinie pod Policami). Obecnie mieści się tutaj tuczarnia trzody chlewnej, podległa Oddziałowi Gospodarki Zwierzętami Rzeźnymi w Szczecinie. Fot. *C. Gołowacz* dnia 24 kwietnia 1967 r.

Pomijam więc ogólniejsze dane na temat tego podobozu, aby skupić się raczej na osobistych przeżyciach i obserwacjach.

Podobóz Police był odległy o 2 km od terenów wspomnianego kombinatu. Był to obóz letni, w którym przebywałem do września 1944 roku. Późną jesienią 1944 roku przeniesiono więźniów stamtąd do obozu zimowego w Mścięcinie (Messenthin), znajdującego się około 4 km od Polic.

Ryc. 2. Wejście na teren byłego obozu w Mścięcinie. Fot. C. *Gołowacz* dnia 24 kwietnia 1967 r.

Za bramą obozu letniego, będącego częścią składową *SS-Sonderlager Pölitz bei Stettin — Aussenlager Stutthof*, znajdował się plac apelowy. Cały teren obozowy był ogrodzony wysokim drutem kolczastym. Na rogach stały wieże strażnicze. W późniejszym okresie postawiono drugi rząd drutów kolczastych, pomiędzy którymi biegały psy. Na drutach wisiały gęsto rozmieszczone lampy elektryczne. Niedaleko bramy stał barak, w którym mieściła się izba przyjęć chorych oraz pomieszczenia dla więźniów funkcyjnych.

W izbie przyjęć urzędował lekarz obozowy, doktor *Bolesław Kaczyński* [3]. Na prawo od baraku funkcyjnego mieściły się dwa baraki (blok 1 i blok 2), zbudowane z surowych desek, bez dachu, pokryte plandeką. Nieco dalej znajdowało się pięć dużych namiotów, z których jeden był przeznaczony na obozowy „rewir". Wewnętrzne urządzenia obozowe — baraki, umywalnie i latryny — były bardzo prowizoryczne. Umywalnia znajdowała się pod gołym niebem. Zainstalowano tu rury wodociągowe, które zasilały wodą drewniane koryta. Latryna mieściła się w narożnym zakątku obozu obok wieży strażniczej. Był to dół, nad którym przerzucono dwa drągi do siadania i do oparcia. Całość ogrodzona była z trzech stron surowymi deskami. Latrynę stale obserwowali strażnicy *SS*, pełniący dyżury w narożnej wieży.

Bloki 1 i 2 były pozbawione okien. W ścianach z desek widniały szerokie szpary. Z dwóch przeciwnych stron były wejścia. Trzypiętrowe koje stały po jednej stronie baraku. Druga, węższa strona baraków mieściła stoły i dawała przejście z jednego końca baraku na drugi. Zamiast podłogi było klepisko. Na noc rozbieraliśmy się, układając ubranie w kostkę na długich stołach. Więźniowie pozostawali tylko w koszulach. Do przykrycia służyły koce. Zdarzało się jednak, że wskutek braku wystarczającego przydziału koców kradziono je sobie wzajemnie. Bywały noce, że wskutek tych kradzieży spało się bez przykrycia. Ale ponieważ z powodu braku koca było się bitym przez blokowego, przeto trzeba było koc zdobywać i kraść innym. Wędrowały więc one z pryczy na pryczę, z ręki do ręki. Poszkodowany wędrował pomiędzy kocami po całym baraku, dopóki nie udało mu się ściągnąć koca z innego śpiącego więźnia. Taka sytuacja powodowała ciągłe konflikty, kończące się pobiciem złapanego „złodzieja" przez współwięźniów, a czasem przez blokowego. Te nocne dramaty dodatkowo nasilały codzienną, obozową gehennę. Dodać warto, że noce w tamtej okolicy mimo lata były chłodne, szczególnie w końcu sierpnia.

W wypadku potrzeby fizjologicznej w nocy musieliśmy wychodzić w samych koszulach. Przed wejściem do prowizorycznej ubikacji każdego więźnia obowiązywało meldowanie się *postenowi*, dyżurującemu w narożnej strażnicy. Meldowanie wyglądało w ten sposób, że w odległości około 10 metrów od strażnicy więzień zatrzymywał się, stawał na baczność wyprężony i meldował w języku niemieckim: Panie *posten*, proszę o zezwolenie do ubikacji! Podczas dnia meldowanie też obowiązywało, z tą różnicą, że więzień musiał energicznym ruchem ściągać czapkę do prawego uda. Jeżeli więzień zameldował nieprzepisowo, *posten* nakazywał marsz biegiem do baraku i z powrotem do ponownego zameldowania. *Posteni* nieraz urządzali sobie drwiny z więźniów. Gdy im się na przykład wydawało, że więzień zbyt długo przebywa w ubikacji, nakazywali marsz biegiem do baraku. Szczególnie uciążliwe i przykre było to dla więźniów chorujących na biegunkę.

Dzień pracy w tym obozie rozpoczynał się o godzinie piątej. Po pobudce blokowi, sztubowi i inni funkcyjni, krzycząc i bijąc, pospiesznie gonili więźniów do prowizorycznej umywalni. Odbywała się tam formalna walka o to, by docisnąć się do wody i bodaj pomoczyć twarz i włosy, by nakazowi „higieny obozowej" stało się zadość. Mydła oczywiście nie było. W powietrzu świstały pałki funkcyjnych, godząc w plecy więźniów, którzy nie mogli docisnąć się do rur z cieknącą wodą. Łatwiej było umyć się bezpośrednio po przyjściu z pracy, kiedy „komanda" robocze rozchodziły się do bloków.

W kilka dni po przybyciu pierwszego transportu więźniów do Polic, w początkach maja 1944 roku, znaleźli się już chorzy więźniowie. W kilka tygodni później „rewir" obozowy, mieszczący się wtedy jeszcze tylko w jednym na-

W przemówieniu wygłoszonym podczas wspomnianej uroczystości minister *Janusz Wieczorek* podkreślił, że „stan zdrowotny więźniów tych obozów [tzn. w Policach] należał do najgorszych w całej Rzeszy". Zob.: Głos Szczeciński, 1967, nr 96, str. 1 i 3 (przyp. red.).

[3] Zmarł przed kilku laty.

miocie, był przepełniony. Początkowo były to wypadki osłabienia wskutek ciężkiej pracy ponad siły oraz okaleczenia ciała od razów pałek „kapów". W obozie panowała duża wszawica, a ponieważ raz tylko przeprowadzono odwszenie odzieży w czasie naszego „turnusu" letniego, zaczęły się szerzyć też inne choroby. W miarę powiększania się zachorowalności więźniów szczupłe pomieszczenie w namiocie nie mogło przyjąć wszystkich chorych. Chorzy więźniowie, którzy nie dostali się do „rewiru" z braku miejsca, byli zmuszeni wychodzić do codziennej pracy.

Warunki szpitalne w Policach były o wiele gorsze niż w obozie „macierzystym" w Stutthofie. W okresie nasilania się chorób, zwłaszcza pod koniec sierpnia i z początkiem września 1944 roku, na jednym łóżku w „rewirze" obozu letniego leżało trzech ludzi. Chorzy na różę leżeli razem z chorymi na dur i *durchfall*. Z powodu braku podstawowych leków oraz antyhigienicznych i surowych warunków obozowych zwiększała się śmiertelność wśród więźniów. Mimo opłakanej sytuacji w „rewirze" chorzy i wyniszczeni więźniowie starali się tam dostać, aby umożliwić sobie chociażby względny odpoczynek i uwolnić się choć na krótko od zwykłych warunków obozowych, w których normalną rzeczą były pobicia kijami przez różnych oprawców funkcyjnych, a także śmierć od razów, kolb czy pałek.

Bardzo trudno było jednak dostać się do „rewiru". Mimo to — dzięki doktorowi *Kaczyńskiemu* — przyjęty tam zostałem dwa razy. Pierwszy raz w czerwcu z powodu rany na głowie, zadanej mi przez osławionego *lagerältestera Wacława Kozłowskiego*, drugi raz z powodu flegmony na nodze.

Wielu gorączkujących więźniów z objawami dezynterii lub innych chorób musiało wychodzić z „komandami" do pracy przy budowie bunkrów. Po rannym apelu, podczas formowania się „komand" roboczych, chorzy ci ustawiali się w kolejce przed namiotem lekarza, chcąc uzyskać skierowanie na „rewir". Byli oni solą w oku *Kozłowskiego*, który z pasją rozganiał stojących w kolejce i posługiwał się przy tym kijem, zakończonym żelazem. Wpadał znienacka i bił po głowach, krzycząc: „A ty, sukinsynu!"

Pewnego krytycznego dnia w czasie takiego niespodziewanego „nalotu" *Kozłowskiego* jeden z jego ciosów ugodził mnie w lewą skroń. Gdy odzyskałem przytomność, leżałem już w „rewirze" pod plandeką na drugim piętrze obozowej koi. W końcu sierpnia byłem po raz drugi pacjentem tego „rewiru". Nim jednak się tam dostałem, chodziłem do pracy, kulejąc na chorą nogę. Okręcałem ją workiem, ponieważ nie mogłem jej obuć w drewniany sabot. Worek miał chronić ranę przed brudem i pyłem w czasie pracy przy przenoszeniu cementu i w czasie marszu po piaszczystej drodze.

Chorych w „rewirze" przybywało. Lżej chorych wypisywano do pracy. Nie było prawie żadnych leków, brakowało nawet bandaży. Rany owijano gazą i okręcano taśmą papierową. Z biegiem czasu dochodziły przypadki coraz liczniejszych chorób, jak dur, czerwonka, zapalenie płuc, gruźlica, flegmony o znacznie rozwiniętym stanie ropnym, choroby głodowe, puchlina, stany skrajnego wycieńczenia i wyniszczenia, a także poważne uszkodzenie kości i ciała, spowodowane biciem przez katów obozowych. Najbardziej wycieńczonych nazywano w Policach „kryplami". Był to stutthofski odpowiednik oświęcimskiego określenia „muzułman".

W czasie ciepłych dni gorączkujący pocili się niepomiernie. Pod plandeką namiotu szpitalnego panował zaduch nie do wytrzymania. Odór kału mieszał się ze smrodem ropiejących flegmon. Więźniowie chorzy na *durchfall* załatwiali potrzeby fizjologiczne pod siebie. Spłukiwane przez chorych koce suszyły się na łóżkach, co potęgowało zaduch.

Mimo usilnych starań doktora *Kaczyńskiego*, „rewir" pomału, ale systematycznie stawał się wykończalnią przebywających tu więźniów. Natomiast lekarz *SS Heidecke* nie interesował się „rewirem" w ogóle. Nigdy go tam nie widziałem.

Z powodu głodowego wyżywienia u wielu więźniów występowała dziwna choroba, powodująca zmiękczenie kości. Wystarczyło jedno uderzenie kijem, a więzień tracił przytomność i dostawał się do „rewiru" z poważnymi uszkodzeniami kości. Bicie było na porządku dziennym. Bili funkcyjni, wywodzący się przeważnie z niemieckich kryminalistów, noszącyh w obozie zielone trójkąty, jak również esesmani. Oprócz chorób, głodu i pracy ponad siły znęcanie się było jeszcze jedną, poważną udręką, ponieważ bito więźniów okrutnie za najmniejsze przewinienie, z błahych powodów i bez powodu, w czasie pracy, marszu czy apelu, przy wydawaniu posiłków, rannym wstawaniu i wieczornym rozbieraniu się, a nawet wtedy, kiedy więźniowie leżeli w kojach w czasie „spoczynku" nocnego. W wyniku systematycznego znęcania się kilkuset więźniów poniosło śmierć w czasie mojego pobytu w Policach w okresie letnim. Do największych oprawców należał wspomniany już *lagerältester Kozłowski* [4].

Pracowaliśmy przeważnie na terenie *Hydrierwerke* przy budowie potężnych, masywnych bunkrów. Praca trwała na dwie zmiany, dzienną i nocną. Dźwigaliśmy worki z cementem, nosiliśmy żelazne pręty, pchaliśmy wózki, tzw. „lorki" z rozrobionym cementem, bądź piachem albo żwirem. Szuflowaliśmy bezustannie piasek, żwir lub rozrobiony cement i wyładowywaliśmy różne materiały. Poza tą ciężką pracą trafiała się niekiedy lżejsza, na przykład sczepianie za pomocą obcęgów i drutu

[4] Za swoje zbrodnie został on skazany na śmierć w procesie trzynastu zbrodniarzy ze Stutthofu w roku 1946 i stracony. Pisze o nim szerzej *M. E. Jezierska* w cytowanej pracy. Przed laty relacje o *Kozłowskim* ogłosił również Dziennik Bałtycki (1946, nr 115) i Dziennik Pomorski (1946, nr 119). Jego nazwisko wymieniano także podczas procesu *Reichsstaathaltera* tzw. prowincji *„Danzig-Westpreussen"*, *Alberta Forstera* (w r. 1948).

prętów żelaznych, stanowiących szkielet bunkra. „Kapowie" bez przerwy nas poganiali, wykazując skrajną gorliwość i nie pozwalając na chwilę wytchnienia. Tempo pracy było więc mordercze, a wypadki utraty przytomności, a nawet śmierci — częste. Niemal codziennie więźniowie wlekli słabszych współtowarzyszy z pracy do obozu. W Stutthofie można było czasem pozorować pracę, w Policach zaś było to prawie niemożliwe ze względu na bardzo liczny i stały nadzór esesowców i funkcyjnych.

Kilkanaście tygodni przypadło mi pracować na nocnej zmianie. Wszyscy więźniowie nosili pasiaki. Włosy mieli krótko przystrzyżone, z pięciocentymetrowym, dokładnie wygolonym paskiem pośrodku głowy. Więźniowie nocnej zmiany byli oznaczeni dodatkowo wielkim, poprzecznym krzyżem, malowanym farbą fosforową na plecach.

Teren Polic był często w dzień i w nocy bombardowany przez eskadry samolotów alianckich. Dla zamaskowania Niemcy stosowali zasłony dymne. Ustawione co sto metrów beczki z grubej blachy obficie dymiły jakimś palącym się płynem. W pobliżu tych beczek stały maleńkie baraki, w których dyżurowali jeńcy włoscy, zatrudnieni przy zadymianiu. Z chwilą usłyszenia syreny zwiastującej nalot, esesmani zarządzali krótki apel, podczas którego pospiesznemu zbieraniu więźniów towarzyszyły kolby i pałki, po czym goniono nas biegiem, piątkami do pobliskich, nieco górzystych terenów leśnych, oddalonych około 6 km. Nocą działo się to samo, ale nie było wtedy widać biegnących więźniów, lecz skaczące w rytmie biegu, świecące, duże poprzeczne krzyże, w rzędach po pięć, jeden rząd za drugim. Po takich alarmach zwiększała się liczba zmarłych.

Podczas pewnego kolejnego nalotu „komando" nasze, po odwołaniu alarmu lotniczego, było gonione przez liczną eskortę esesmanów i funkcyjnych z pobliskiego lasu z powrotem do miejsca pracy. Biegliśmy przez cały teren *Hydrierwerke*. Wzdłuż krawężnika uliczki były ustawione przez robotników tu pracujących pojemniki po zupie. Kible te — tak je nazywaliśmy w Policach — były dowożone i odwożone zmechanizowaną platformą. Wskutek nalotu zabranie ich zostało opóźnione. Wiedzieliśmy z opowiadań innych więźniów, że często znajdowały się w nich pozostałości zupy fabrycznej. Dla więźnia — „krypla" zupa taka była marzeniem. Nic więc dziwnego, że gdy kolumna nasza zbliżała się do kilkunastu kibli stojących tuż przy jezdni, wyskoczyła ku nim grupa więźniów. I ja znalazłem się wśród nich. Powstał niesamowity chaos. Pokrywy z brzękiem spadały na asfalt. Więźniowie, pchając się jeden przez drugiego, czerpali dłońmi z dna kibla gęstą zawartość. Ci, którzy pechowo natrafili na pusty, dopadali tam, gdzie inni w dzikim pośpiechu toczyli już między sobą nieludzki wyścig — kto więcej. Nie można było stracić ani sekundy, bo już nadbiegali z wrzaskiem esesmani i *lagerkapo Erich Schamp*. Mijały sekundy. Jeszcze jedna garść i druga wędruje do wypchanych ust z niepołkniętą zupą. Przy pierwszym kiblu słychać już jęki bitych kolbą więźniów i odgłosy spadającego na plecy kija. „Kapo" *Erich* siekł nim z największym pośpiechem. Esesmani krzyczeli: *Raus! Raus!* Trafiony kolbą w plecy, chciałem się podnieść do ucieczki, ale otrzymałem drugie, silne uderzenie w szczękę. Odskoczyłem w bok i wcisnąłem się w kolumnę więźniów. Dotknąłem brody i szyi, obcierając krew rozmieszaną z zupą. Teraz dopiero odczułem ból szczęki, lecz jeszcze nie zdałem sobie sprawy w pełni z minionego wydarzenia. Myśli uparcie trzymały się doznanego przed minutą smaku zupy. Przez moment dostrzegłem skulonych więźniów, leżących w kałuży zupy rozlanej na ziemi i *Ericha*, kończącego swą zbójecką akcję. Jeszcze dzisiaj, po latach nie mogę zapanować nad sobą, przywodząc na myśl to wspomnienie, które tkwi we mnie szczególnie głęboko.

Innego dnia, podczas jednego z nalotów, kiedy wskutek zadymienia terenu bomby spadały w różnych odległościach od kombinatu, kilka eksplozji zniszczyło boczną stronę drutów obozowych w pobliżu bloków 1 i 2. Władze obozowe, obawiając się ucieczek więźniów, przez kilka kolejnych nocy wypędzały z bloków wszystkich więźniów na plac apelowy, tworząc z nich wielki czworobok. Kazano nam siedzieć w miejscu i przez całą noc nie wolno było się podnieść. Potrzeby fizjologiczne załatwiano pod siebie. Po rogach wspomnianego czworoboku zawieszano na kijach małe, przyćmione lampy. Pilnowali nas gęsto ustawieni, uzbrojeni w masywne kije „kapowie", *forarbajtrzy* i inni funkcyjni. Przebywaliśmy tak pod gołym niebem przez cztery noce, dopóki nie zostały zasypane leje pobombowe, a ogrodzenie z drutów — naprawione.

Pewnego dnia po bombardowaniu obozu, wkrótce po apelu rannym, gdy formowały się „kommanda" robocze, aby — jak co dzień — wyjść do pracy poza obóz, dostałem się do małego sześcioosobowego „kommanda". Pod eskortą dwóch esesmanów udaliśmy się do jednego z pobliskich zagajników. Po drodze przyłączył się do nas cywilny Niemiec, który przy jednym z drzew nakreślił na ziemi duży prostokąt. Kopiąc dół według tego oznaczenia byliśmy opanowani jedną myślą, że będzie to nasza mogiła. Gdy dół osiągnął półmetrową głębokość, Niemiec w cywilu wstrzymał kopanie. Odczuliśmy to jako darowanie życia. Wyjaśniono nam, że w tym miejscu mamy teraz ostrożnie kopać bombę-niewypał. Zmienialiśmy się często przy tej robocie, a myśl o eksplozji paraliżowała ruchy. Gdy głębokość dołu zakryła nas po głowy, po wielu wysiłkach natrafiliśmy na bombę. Znalazłem się w trójce więźniów, którzy musieli odgrzebać do końca bombę wystającą do połowy z ziemi. Gdy opuściliśmy to miejsce w ślad za cywilem i esesmanami, którzy uprzednio przezornie się oddalili, nadjechało auto ze specjalistami od odbezpieczania i unieszkodliwiania niewypałów. W *Bom-*

benkommando pracowaliśmy przez trzy dni, a następnie do tej pracy poszli inni więźniowie. Odkopując sześć niewypałów, sześciokrotnie przeżywaliśmy grozę śmierci, mogącej nadejść w każdej sekundzie. Każdego dnia otrzymywaliśmy dodatkową porcję zupy fabrycznej. Mimo niebezpiecznej pracy ta skromna porcja była dla wygłodniałych „muzułmanów" niemałym zadośćuczynieniem. Była to wyjątkowa okazja posilenia się, a także „lekkiej" śmierci.

Gdy po raz drugi znalazłem się w „rewirze", jak wspomniałem, z powodu flegmony na nodze, do licznej grupy „muzułmanów" dołączono wszystkich chorych z „rewiru" i ten wyselekcjonowany ludzki materiał w liczbie około 400 osób odtransportowano w początkach września do Stutthofu w celu likwidacji nas w tamtejszej komorze gazowej.

Na rampie kolejki wąskotorowej w Stutthofie esesmani dokonali powtórnej selekcji. Było to dla nas wstrząsające przeżycie. Wagoniki wąskotorówki podjechały pod krematorium. Następowało stopniowe rozładowanie. Do każdego wagonu podchodzili esesmani i odpinając jedną ze ścian, wołali: *„Raus, Schweinerei!"* Pojedynczo podchodziliśmy ku stojącym oficerom *SS*. Jeden z nich, wysunięty nieco do przodu, z rozkraczonymi nogami, bacznie wpatrywał się w idących więźniów. Jedna z jego rąk założonych na piersi odrywała się i wykonywała co pewien czas ruch w prawo lub w lewo. Ten jeden ruch decydował o życiu lub śmierci. Więźniowie, idąc powolnym krokiem, z natężeniem wpatrywali się w tę rękę. Obserwując tę scenę niemych wyroków i czekając na swą kolejność, wiedzieliśmy już, że ważą się tutaj nasze losy. Mimo wycieńczenia i słabości, choroby i lęku, powodujących chwiejność kroków i powolność ruchów, każdy podchodzący, na którego przyszła kolej, musiał patrzeć śmierci w oczy i mobilizował resztki sił, aby iść równym krokiem, w wyprostowanej postawie. Trudno dzisiaj powiedzieć, ilu towarzyszom udało się tym sposobem uniknąć stutthofskiej komory gazowej. Więźniów, których ręka kata skierowała w lewo, umieszczono częściowo w „rewirze", częściowo zaś na terenie tzw. „nowego obozu", tj. w bloku czwartym.

Gdy trochę podniosłem się w „rewirze" ze stanu skrajnego wycieńczenia, skierowano mnie znów do „kommand" roboczych. W listopadzie 1944 roku przygotowano transport więźniów ze Stutthofu do Gdyni. Ponieważ znalazłem się w tym transporcie, kolejnym miejscem mojego pobytu stał się podobóz w Gdyni.

W tym czasie zbliżała się zwycięska ofensywa II Frontu Białoruskiego, który ominął umocnione rejony oporu w Gdańsku i Gdyni, a wyzwolił je dopiero 28 marca 1945 roku. Przy wyzwalaniu tych dwóch mocno ufortyfikowanych miast brała udział również polska I Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte. My jednak znajdowaliśmy się już daleko od Gdyni, na wodach Bałtyku, gdyż 25 marca 1945 roku zostaliśmy ewakuowani drogą morską z Gdyni do Hamburga.

Tragiczna ewakuacja do Hamburga

Byłem o krok od wolności, gdy towarowe baseny portowe Gdyni znajdowały się pod ustawicznym, zmasowanym ogniem artyleryjskim i lotniczym. Eksplodujące pociski, bomby, setki ołowianych kul i odłamków mogły w każdej sekundzie ugodzić we wroga, jak i w tych, którzy — wycieńczeni i odziani w pasiaki — spodziewali się bliskiego wyzwolenia.

Było to w połowie marca 1945 roku. Był trzeci dzień, jak obozowe władze *SS* usiłowały ewakuować drogą morską kilka tysięcy stutthofiaków, przebywających od kilku miesięcy na „komandzie" w Gdyni. Przez pierwsze dwa dni goniono nas do portu pasażerskiego, skąd odpływały duże statki, przepełnione uciekinierami. Do okrętów stojących w porcie nadciągały duże oddziały wojsk niemieckich, przemieszane z niemiecką ludnością cywilną. Stłoczona i bita przez funkcyjnych i esesmanów masa więźniów oczekiwała na swą kolej. W ogromnej panice zapełniały się Niemcami stojące w porcie statki, na które nas nie przyjmowano, z czego byliśmy w gruncie rzeczy zadowoleni.

Ewakuacja naszego gdyńskiego „kommanda" doszła do skutku dopiero w trzecim dniu po południu. Popędzono nas tym razem do portu towarowego, dokąd droga wiodła przez kilka ulic pod ciągłym ogniem artyleryjskim i lotniczym. Co kilkanaście minut nadlatywały eskadry bombowców, a w przerwach tych nalotów przelatywały co chwilę lżejsze samoloty bojowe, siekąc z broni pokładowej. Rozstawione za Gdynią „katiusze" co pewien czas siały straszliwym ogniem po całym porcie. Ładowanie na okręty odbywało się przy wielkiej panice esesmanów i wojska, ewakuowanego drogą morską. Całe nasze gdyńskie „kommando" wtłoczono na dwa niewielkie statki towarowe.

Znalazłem się w grupie, którą wepchnięto pod pokład jednej połowy statku, gdzie znajdowały się różne auta ciężarowe i osobowe. Dostawaliśmy się tam przez okrągły właz, od którego do samego dołu prowadziły wąskie, strome schodki, a raczej drabina z żelaznych, zaokrąglonych prętów. Gdy tylko któryś z nas zdołał wsunąć się w ów otwór, był natychmiast pchnięty kolbą esesmańską i leciał w kilkumetrową przepaść na dno statku. Na dole, przy samej drabinie, tworzyła się sterta zepchniętych więźniów. Przeważnie byli to chorzy z „rewiru", lub ci, którzy otrzymali silny cios kolbą karabinu. Silniejszym udawało się szybciej wydostać spod sterty ciał. Oni też wydostawali potem słabszych i umieszczali ich w samochodach na siedzeniach lub na autach ciężarowych. Było też i kilkanaście ofiar, których zwłoki wyrzucono za burtę, gdy statek wypłynął na pełne morze. Esesmani rozlokowali się na górnym pokładzie ze swymi bagażami. Gdyśmy mijali Hel, jeden z patrolujących statków radzieckich wyrzucił ku nam dwie torpedy. Statek zrobił gwałtowny zwrot i torpedy prześlizgnęły się obok burty. Znajdując się na dnie statku, odczuliśmy ten gwałtowny manewr,

nie przypuszczaliśmy jednak wtedy, co nam groziło. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero od naszego *pflegera*, który zszedł później do nas, aby opatrzyć rany niektórych więźniów, zranionych jeszcze podczas ewakuacji w porcie gdyńskim w czasie ostrzeliwania i bombardowania. Siedzieliśmy w niepewności i lęku jak stado wychudłych szczurów, które ma być lada chwila zatopione.

W czasie sześciodniowego rejsu do Hamburga cierpieliśmy głód jeszcze większy niż w Policach. Nie otrzymywaliśmy nic więcej do jedzenia w ciągu dnia oprócz jednej kostki margaryny, dzielonej na czterech więźniów; dwa razy otrzymaliśmy w ciągu tej podróży po małym kubku wody. Codziennie umierało kilkudziesięciu więźniów, których zwłoki pochłaniało morze. Prawie wszyscy ranni z powodu głodu i ran, długo nie opatrywanych, nie doczekali celu podróży. Największa śmiertelność panowała między czwartym a szóstym dniem. Tylko ci, którym się udało w jakiś sposób „zorganizować" jeszcze na lądzie gdyńskim trochę chleba, mieli większą możliwość przetrwania tego strasznego głodu.

Myśl o jedzeniu była wyłączna. Głód zabijał wszystkie inne myśli, a w uczuciach dominowało bezustanne pragnienie zjedzenia czegokolwiek, co pozwoliłoby przedłużyć ledwie tlące się życie. Ci, którzy mieli kawałek chleba, jedyną znikomą nadzieję przeżycia, strzegli go przed okiem innych jak drogocenny skarb. Pokruszony w kawałki, by lepiej można go było ukryć, chowano za zawszoną, cuchnącą od brudu koszulę, gdzie przylegał do kości powleczonych skórą. Wychudła ręka „krypla" wyciągała zza pazuchy kawałek tej ambrozji tylko wtedy, gdy nie patrzyły niczyje oczy.

Wewnątrz tej pływającej trumny panował mrok. Jedynie w górze, nad naszymi głowami, świeciła mała lampa, która swym skąpym blaskiem ledwie przebijała mroczne wnętrze. Wpatrując się można było dostrzec pełzających, ledwie żywych więźniów, poszukujących jakiegoś kęsa chleba, podobnie jak wygłodniałe zwierzęta węszą za żerem. Istoty te zamierały co pewien czas w bezruchu, nasłuchując, czy nie usłyszą w ciągłym szumie fal obijających się o burtę i w turkocie maszyn jakiegoś dobrze znanego im szmeru poruszających się ust, a także wpatrywały się w panujący mrok, czy nie dostrzegą gdzieś ruchu ręki unoszącej się do ust. Podpełzały cicho do miejsca i upatrując upragnionej zdobyczy, rzucały się na podobną sobie istotę, by wyrwać jej z zaciśniętych kurczowo palców ostatni czasem kęs pożywienia. Więźniowie ci całkowicie byli owładnięci nieprzemożoną chęcią przedłużenia swego życia choć o parę godzin, dręczył ich bowiem głód, którego nie da się opisać, a dojmujące poczucie śmierci głodowej mobilizowało resztki sił do tej walki.

Nie był to głód, jakiego doznaje człowiek biedny, żebrzący wśród sytych na wolności, ani głód frontowego żołnierza, pozbawionego ostatnich zapasów, lecz mającego jeszcze w swym ustroju zapasy tłuszczu i energii, ani też głód osamotnionego partyzanta, który ma wokół siebie czyste powietrze, kałuże mętnej wody do picia i soki roślin do spożycia. Nie byle jakiego trzeba by pióra, aby uzmysłowić głód wycieńczonego „muzułmana", odbywającego tę drogę po długich męczarniach obozowych.

Któregoś dnia, dłużącego się niepomiernie jak inne, wpadły do naszej płynącej jaskini blaski dnia. Oczy wszystkich więźniów uniosły się w górę, skąd przez mały, okrągły otwór zaczęło schodzić w dół po żelaznej drabinie kilku esesmanów. Z krzykiem i wrzaskiem zaczęli zaglądać do każdego wnętrza samochodu, wdrapywali się na platformy ciężarówek, zrzucali z nich na wpół przytomnych więźniów. Zeszli, aby odszukać swoje walizy, skradzione im ostatniej nocy przez zamroczonych głodem więźniów, którzy byli jeszcze na tyle silni, że przedostali się na górny pokład w poszukiwaniu pożywienia, nie bacząc na śmierć grożącą od kul esesowskich. Wydrapali się tam drugim wyjściem, które się znajdowało na rufie statku, gdzie nie docierało nikłe światło żarówki palącej się w naszym pomieszczeniu. Napotkawszy na jakieś bagaże, więźniowie ci ściągnęli je w dół do swego legowiska. Po wyjściu esesmanów zapadła grobowa cisza, zakłócana jedynie szumem fal i turkotem turbin. Przy tej okazji wyniesiono więźniów zmarłych z głodu, aby wyrzucić ich za burtę. Po jakimś czasie zaczęły się znów wędrówki dogorywających więźniów, jak gdyby w letargu szukających kęsa pożywienia.

Piątego dnia statek przestał kołysać. Warkot maszyn i szum fal ucichły zupełnie. Ciszę od czasu do czasu przerywały dochodzące z pokładu rozkazy i nawoływania. Snadź znajdowaliśmy się blisko celu, do którego płynęliśmy zapewne przez cieśniny duńskie, gdyż wskazuje na to tak długi okres podróży. Oczekiwaliśmy wyjścia na światło dzienne, aby odetchnąć świeżym powietrzem po tylodniowym oddychaniu w zaduchu, fetorze zwłok i flegmon. Nagle, z łoskotem otworzyła się klapa otworu, przez który na linie kilka rąk wpuściło niewielkie naczynie. Obok, podtrzymując je ręką, schodził w dół „kapo". Za nim ukazało się jeszcze kilku innych „kapów" i nasz gdyński *pfleger* w asyście dwóch esesmanów. Schodząc na dół, ku naszemu zdumieniu nieśli oni dwa kosze napełnione chlebem. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Każdy z nas otrzymał po pół bochenka świeżego chleba i po małej chochli jakiejś gorącej zupy. Nie było to jednak głodowe majaczenie, lecz najprawdziwsza zacierka ugotowana na wodzie z ciemnej mąki. Jedni pili ją z własnych zardzewiałych, brudnych puszek, które — nauczeni doświadczeniem ciężkich chwil obozowych — zachowali przy sobie na wszelki wypadek. Ci, którzy nie mieli żadnych naczyń, otrzymali zupę w zniesionych tutaj blaszanych kubkach. Kto wypił zupę, brał się za chleb, łamiąc go tak rękoma, jak sęp rozrywa szponami zdobycz. Chleb był tak świeży, a może i niedopieczony, że przy łamaniu go przyklejał się do rąk i z odłamanego kęsa robiła się bryłka klejącego się ciasta.

Znaleźli się jednak przezorni, którzy mimo niebywałego głodu zjedli tylko część otrzymanej porcji, zachowując resztę na później. Więźniowie porozchodzili się do swych legowisk, ukrywszy pozostałości za brudną koszulą. Po kilku godzinach zawarczały motory statku i odczuliśmy ponowne kołysanie, co było dowodem, że płyniemy gdzieś dalej.

Zbawczy zdawałoby się chleb stał się przyczyną śmierci kilkunastu towarzyszy niedoli. Ci, którzy zjedli od razu otrzymaną porcję, doznali silnych skurczów żołądka. Skutkiem była agonia wijących się z bólu wychudłych „muzułmanów", którzy znaleźli wieczny spokój wkrótce za burtą statku.

Szóstego dnia dobiliśmy do portu w Hamburgu. Oddychaliśmy wreszcie świeżym powietrzem, w którego istnienie już zwątpiliśmy i które wchłanialiśmy, jakby pochodziło z innego, nierealnego świata.

W Hamburgu i w Sandbostel

Popędzono nas przez zburzony port hamburski do miasta leżącego w gruzach. Hamburg tonął w ciemnościach. Mijaliśmy rumowiska i sterczące szkielety budynków, zygzaki powyginanych szyn tramwajowych i wielkie bombowe leje. Szliśmy ostatkiem sił; nie wiadomo, skąd jeszcze znajdowały się w nas. Potykaliśmy się co krok o porozrzucane cegły. Być może, sił dodawał nam widok ruin miasta, jak gdyby wymarłego. Zaczęło w nas kiełkować ledwie odczuwalne poczucie wolności. Mimo to nie wolni byliśmy jeszcze od obawy śmierci.

Zatrzymano nas przed pięciopiętrowym budynkiem fabrycznym, który był odgrodzony od strony ulicy kolczastym drutem. Za drutami kręciło się kilku więźniów w pasiakach. Okazało się później, że w tej fabryce, pozbawionej urządzenia, przebywali więźniowie, pracujący w ruinach Hamburga i w okolicach. Stanowili oni „kommando" podległe obozowi w Neuengamme [5].

Otworzyła się kolczasta brama i po krótkim apelu wgoniono nas na niezamieszkałe jeszcze, bodajże piąte piętro budynku. W obszernej hali były ustawione dobrze nam znane, trzypiętrowe koje. W pierwszych dniach pobytu trwały bombowe naloty alianckie. Wydawało się, że lada chwila runiemy wprost do przepływającego obok kanału, tak silne były pobliskie eksplozje.

Po kilku dniach sytuacja się zmieniła. Gdy tylko zawyły syreny, na schodach budynku i w jego halach rozpętała się masakra więźniów pędzonych do piwnic. Blokowi, bijąc kijami, wypędzali wszystkich na schody. Co pół piętra stał z kijem oprawca i siekł po głowach spadający po schodach tłum więźniów, stanowiących jedną masę, walącą się z góry na dół przez całą klatkę schodową. Napór lecących był tak silny, że każdy więzień w ściśniętej masie ludzkiej spychany był aż na sam dół. Po każdym takim alarmie na schodach pozostawało kilku stratowanych na śmierć więźniów, którzy, ugodzeni silnie kijem, stracili równowagę i zsunęli się pod nogi pędzącej ciżby.

W suterenach, w których trzymano nas przez cały dzień nalotu aż do odwołania, znajdowała się woda na całej przestrzeni piwnic. Szczęśliwsi byli ci, którym udało się trafić do „komanda" roboczego, pracującego na terenie zburzonego miasta. Poza drutami, z dala od świszczących kijów w czasie częstych nalotów, z dala od przenikliwie zimnej wody, w której stać trzeba było kilka razy dziennie, w pracy, na wolnym powietrzu, śmierć mniej groziła, a możliwość przeżycia jeszcze jednego dnia więcej była znaczniejsza.

Pracowaliśmy zazwyczaj przy zakopywaniu lejów bombowych, oczyszczaniu ulic z gruzów i usuwaniu powykręcanych szyn tramwajowych. Któregoś dnia bomba zniszczyła przylegający do naszej fabryki — podobozu budynek, w którym mieszkali pilnujący nas esesmani, a także starsi wiekiem żołnierze *Wehrmachtu*. Następnego dnia dostałem się do kilkunastoosobowego „kommanda", któremu polecono oczyszczenie tego rejonu z gruzów oraz wydobycie dobytku naszych „stróżów", który pływał w zalanych wodą suterenach rozbitego budynku. Mimo wycieńczenia pracowaliśmy z zapałem, gdyż podczas wyławiania sprzętu i waliz mogliśmy nasycić się chlebem tak, jak nigdy dotąd w warunkach obozowych.

Bochenki chleba, napęczniałe wodą, pływały między różnym sprzętem i kusiły swym widokiem wygłodniałych więźniów. Drewniana szafka z położonymi na krzyż kilkoma deskami służyła za prymitywną tratwę, na której podpływało się do przedmiotów unoszących się na wodzie. Główną uwagę skupiało się jednak na rozmokniętych, rozpęczniałych bochenkach. Skutkiem tej chlebowej uczty było nasilenie się biegunki, która dokuczała nam już podczas ewakuacji statkiem, kiedy to karmiono nas margaryną. U mnie objawy biegunki pojawiły się w czwartym dniu tego tragicznego rejsu i oczywiście zaostrzyły się po jedzeniu mokrego chleba.

Po dwóch dniach podczas pracy w mieście udało nam się zdobyć za wiedzą *postenów* (z *Wehrmachtu*) większą ilość konserwowego, zielonego grochu w zbombardowanej fabryce konserw warzywnych. Przez cały dzień pracy jedliśmy naszą zdobycz z nieustającym apetytem. Te dwie okazje przeładowania żołądka doprowadziły do silnych zaburzeń pokarmowych, czego następstwem był krwawy *durchfall*. Środków leczniczych nie mieliśmy żadnych. Ci, którzy mogli zwęglić gdzieś kawałek chleba, tym sposobem tylko powstrzymywali dalsze za-

[5] Hitlerowski obóz koncentracyjny Neuengamme został założony w pobliżu Hamburga w r. 1940. Podlegało mu około 60 podobozów, mieszczących się przy różnych zakładach przemysłowych. Więźniowie wykonywali w nich niewolniczą pracę. W Neuengamme przeprowadzano zbrodnicze eksperymenty lekarskie w związku z badaniem gruźlicy. W maju 1945 roku część więźniów została ewakuowana drogą morską. Podczas tej ewakuacji zginęło około 7500 więźniów z powodu bombardowania okrętów przez lotnictwo brytyjskie.

ostrzenie się choroby. Gdy nadarzała się okazja, jedzono też węgiel drzewny.

Mijały dni i tygodnie. Każdy dzień przynosił śmierć dziesiątkom więźniów. Wolność nie nadchodziła. Detonacje eksplodujących bomb raz było słychać silniej, raz słabiej. Przybliżały się, to znów oddalały na krańce hamburskich ruin. Gasły nadzieje przetrwania.

Któregoś dnia w fabryce-podobozie zawrzało. Gorączkowy ruch funkcyjnych i ich bieganina wydały się dziwnie podejrzane. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że przed fabryką przygotowują większe ilości prowiantu. Niebawem pognano nas na dół na apel. *Posteni* gotowi byli już do wymarszu. Otworzono bramę i kolumna zaczęła od czoła wychodzić piątkami. Przed bramą wydawano prowiant. Otrzymaliśmy po pół bochenka chleba i po kawałku kiełbasy. Eskortowani przez żołnierzy *Wehrmachtu* i esesmanów ruszyliśmy poza ruiny Hamburga.

Na skraju miasta dołączono do nas kilkuset więźniów. Byli to więźniowie z jakiegoś neuengammskiego podobozu. Doprowadzono nas do podmiejskiego węzła kolejowego i wtłoczono do płytkich, odkrytych wagonów. Pociąg ruszył w nieznanym kierunku. Jechaliśmy z niedużą szybkością. Zachowanie się więźniów w czasie tej — jak się okazało, ostatniej — podróży wskazywało na to, że wszyscy cierpią na *durchfall*.

Na całej długości bocznych krawędzi wagonów widoczne były gołe części ciała chorujących na *durchfall* więźniów, którzy zmuszeni byli w akrobatyczny sposób załatwiać fizjologiczne potrzeby. Wagony były tak przepełnione, że nie sposób było przecisnąć się do bocznych ścian. Więźniowie stojący w środku wagonu załatwiali więc swe potrzeby we własną odzież. Dla przeważającej większości więźniów, wycieńczonych już długoletnim pobytem w obozach, kończyło się to po kilku tygodniach, jeśli już nie śmiercią, tak wielkim osłabieniem, że chory z trudnością utrzymywał się na nogach.

Po kilku godzinach takiej jazdy, przerywanej częstymi postojami, pociąg nasz zatrzymał się w polu w pobliżu jakiejś stacyjki [6]. Rozpoczął się uciążliwy i tragiczny marsz. Kolumna chorych więźniów posuwała się w nieładzie polną, piaszczystą drogą. Szliśmy już nie w tradycyjnych, obozowych piątkach, lecz rozsypaną na szerokość drogi długą tyralierą. Dla wielu więźniów była to ostatnia droga w ich życiu. Co pewien czas padał ktoś na piaszczystą ziemię, dobijany esesmańską kulą. W dalszej drodze nie mogących iść ładowano na wagoniki biegnącej przez pola kolejki wąskotorowej i razem ze zmarłymi czy rozstrzelanymi przywieziono do Sandbostel.

W miarę zbliżania się do tego nieznanego miejsca dalszych naszych cierpień, gdyśmy ujrzeli w oddali osiedle licznych baraków, otoczone drutem kolczastym i okolone wieżami strażniczymi, owładnął nami gwałtownie spotęgowany strach. Obozem tym, do którego nas wprowadzono, był *Stalag X—B*, mieszczący się między Bremą a Hamburgiem w miejscowości Sandbostel. Część tego obozu (kilkanaście baraków) została poprzednio opróżniona z jeńców wojennych. W pozostałej części, ogrodzonej drutami, znajdowali się jeńcy różnych narodowości.

Wyczerpani do utraty przytomności zajęliśmy wolne baraki, w których stały dwupiętrowe koje z gołymi siennikami. Gdzieniegdzie leżał na nich sflaczały, brudny koc, przysypany śmieciem starej słomy. Tu, w tym ostatnim miejscu więźniarskiej wegetacji, działy się koszmarne sceny. Były to niewątpliwie najtragiczniejsze dni za drutami hitlerowskich kombinatów śmierci. Nie sposób jest przedstawić w krótkim zarysie te dramatyczne sceny; znikome wyobrażenie o nich mogą dać urywki relacji.

Od chwili zamknięcia nas za drutami obozu w Sandbostel nie dawano nam nic do jedzenia ani do picia. Pozostawiono nas na pastwę głodowej śmierci. Ci, którzy mogli się jeszcze utrzymać na nogach, włóczyli się po całym obozie, szukając pożywienia i napoju. Zdobywali czasem jakiś ochłap, przerzucony przez sąsiadujących za drutami jeńców, którzy, snadź przejęci naszą sytuacją, przerzucali, co mogli: surowe ziemniaki, czasem gotowane, kawałki chleba, brukiew, buraki, wodę w butelkach i tym sposobem w pierwszych dniach wspomagali nas.

Z początku, kiedy niektórzy z nas mieli jeszcze pozostałości prowiantu otrzymanego w Hamburgu, a nie dojedzonego z powodu duru czy silnej gorączki, napadali na nas inni, głodni więźniowie, nie mający nic do jedzenia. Rzucali się oni na słabszych, bardziej schorowanych lub całkiem pozbawionych sił do jakiejkolwiek obrony przed napastującymi. Odbywała się też wymiana chleba za wodę. Spragniony, gorączkujący więzień zamieniał kawałek chleba na kilka łyków wody z tym, któremu udało się zdobyć z przerzutu coś do picia. Na taką chwilę czekali inni zgłodniali, spragnieni więźniowie. Kiedy palce kurczowo ściskały wyciągnięty do zamiany kawałek odłamanego chleba, rzucało się natychmiast kilku czatujących, zgłodniałych więźniów. Następowała bezwzględna walka na wpół obłąkanych z głodu więźniów. W czasie takiego szamotania się z kawałka chleba robiły się okruszki, które w pośpiechu walczący z sobą więźniowie zbierali rozsypane po ziemi.

Od pierwszych dni pobytu w Sandbostel śmiertelność była bardzo duża i rosła z każdym dniem. Początkowo zwłoki zmarłych wywożono wozem drabiniastym do pobliskiego dołu kloacznego. Później zaniechano tej „ostatniej posługi" i na całym terenie obozowym ziemia co kilka kroków pokryta była licznymi, nagimi kościotrupami. Ze zmarłych inni ściągali odzież i wkładali dwa, trzy pasiaki, jeden na drugi, aby było cieplej.

[6] Prawdopodobnie Bremenverde. Nazwę tę podał jeden ze świadków, były jeniec wojenny ze *Stalagu X—B* w Sandbostel, *Paweł Dąbrowski*, uczestnik powstania warszawskiego, pseudonim „Chlor". Odległość ze stacji Bremenverde do obozu (*Stalag X—B*) wynosiła około 22 km.

Relację o tych wydarzeniach podał również wspomniany już świadek, jeniec *Stalagu X—B, Paweł Dąbrowski:*

„Wieczorem (12. IV. 1945 r.) do obozu weszła pierwsza grupa więźniów z obozów koncentracyjnych. 13. IV przez cały dzień (...) wchodzą więźniowie w pasiakach, posuwają się wolno jak kondukt żałobny. Na twarzach widoczne są blizny. Najczęściej dwóch przyjaciół wlecze w środku nieprzytomnego (...) więźnia. Z odległości kilkunastu kilometrów aż do obozu prowadziły szyny, po których woziliśmy węgiel na wywrotkach. Na te wywrotki Niemcy wsadzali niezdolnych do dalszego marszu więźniów i kazali pchać je innym (...). Na miejscu przechylano wózki i wysypywano na jedną stertę nieprzytomnych ze zmęczenia i głodu (...). Za kolumną ciągnęły (...) dwa wozy drabiniaste, załadowane trupami. Później, po kilkunastu dniach, te same wozy co jakiś czas wyjeżdżały załadowane trupami tych, co padli z głodu i wycieńczenia. Trupy wywożono do olbrzymich dołów kloacznych. Do tych dołów przedtem wywoziliśmy codziennie w beczkowozach kał z obozu" [7].

Inny świadek, również jeniec wojenny z tego samego *stalagu* podaje:

„W kwietniu 1945 r. *oflag* i *stalag X—B* ewakuowano partiami w kierunku Lubeki. Po odejściu większości oficerów wydzielono partię tego obozu, odgradzając od naszego dwoma rzędami drutów. Któregoś ranka zobaczyliśmy spacerujących między drutami uzbrojonych *wachmanów*, a następnie jakichś ludzi (...). Jak się okazało, byli to więźniowie z obozu koncentracyjnego. Widok tych ludzi zrobił wówczas na nas wstrząsające wrażenie. Przypominali raczej jakieś zwierzęta niż normalne istoty ludzkie. Wszyscy byli wychudzeni do granic możliwości, część z nich miała wygolony pas włosów pośrodku głowy. Wielu nosiło pasiaki, niektórzy okrywali się strzępami koców" [8].

Z zawrotną szybkością szerzyły się różne choroby, między innymi dur brzuszny. U większości więźniów występowały zaburzenia psychiczne. Oprócz panującej u wszystkich więźniów wszawicy pojawiły się też świerzb i figówka. Wszawica była tak straszna, że na ciele tworzyły się rany oblepione mnóstwem wszy, tworząc w wielu miejscach ruszające się skorupy — żywe rany.

Jeden z jeńców, więzionych w Sandbostel, podaje w swych notatkach, które pisał w *stalagu:*

„Przytaczam niektóre wyjątki (...) w nadziei, że staną się one przyczynkiem do odtworzenia tragicznego losu więźniów (...). 12. IV. 1945 r. (...) obóz wymaszerował (został ewakuowany). Ja zostałem w grupie chorych, liczącej około 3500 osób. Dziś prawie cały dzień stoimy z «bagażami» na placu. Przenoszą nas do części zamieszkałej przez Jugosłowian, którym polecono się ścieśnić. Naszą część dawną odgrodzili drutami. Ma tu przyjść obóz koncentracyjny. 13. IV. 1945 r. przybył obóz koncentracyjny. Dużo chorych i słabych... W nocy w jednym tylko baraku zmarło ich siedmiu. Trupy Niemcy wywieźli do ustępu. Obozu pilnuje *SS*. Leżymy na gołej podłodze. Brak ziemniaków, prycz, wody i światła [9]. 14. IV. 1945 r.: Podobno esesmani pilnujący obozu koncentracyjnego uciekli, zostawiając obóz komendantowi *stalagu* [10]. 17. IV. 1945 r.: Znów pogotowie marszowe. Mamy stąd wyjść. Z obozu koncentracyjnego przedostają się do nas dniem i nocą przez druty w poszukiwaniu pożywienia. 19. IV. 1945 r.: W naszym bezpośrednim sąsiedztwie panuje tyfus. Jest już podobno i u nas kilka wypadków zachorowań (...)" [11].

Warunki jeszcze bardziej się pogarszały. W ostatnich dniach przed wyzwoleniem więcej było widać nagich zwłok niż snujących się po obozie więźniów. Prawie wszyscy dogorywali na zawszonych kojach w barakach cuchnących kałem i ropą z ran. Żywi leżeli razem z umarłymi, gdyż nie miał ich kto wynieść na zewnątrz baraków. Czasem ktoś zdobywał się na wysiłek i ostatkiem sił ściągał z górnego piętra koi zmarłego, wyciągał go na korytarz baraku i tam zostawiał.

W latrynie leżały stosy zwłok tych, którzy idąc do niej więcej już nie wyszli. Inni, przychodząc tam, zrzucali i wywlekali nie wystygłe jeszcze ciała zmarłych towarzyszy i tak powstawał zator, który stopniowo rósł w sterty na wpół nagich szkieletów.

Jeńcy wojenni, przebywający, jak wspomniano, po drugiej stronie drutów, śledząc straszliwą walkę o życie i coraz tragiczniejszą sytuację więźniów, wystąpili do władz pozostałych w obozie o umożliwienie przyjścia z pomocą więźniom. Zdecydowana postawa i solidarność jeńców wszystkich narodowości wywołała u władz obozowych pewną obawę przed odpowiedzialnością za spowodowanie wskutek swej bierności tak wysokiego stopnia wymierania więźniów. Zezwolono wyznaczonej grupie jeńców na wchodzenie na nasz teren i dostarczanie skromnych racji żywnościowych, pochodzących z porcji, które otrzymywali jeńcy. Wspomniany uprzednio *Paweł Dąbrowski* podaje:

„Zwróciliśmy się do (...) władz obozowych, ażeby zezwoliły nam wejść do obozu koncentracyjnego, który był naprzeciw naszych baraków (...) i zrobić tam jakiś porządek, gdyż nie mogliśmy patrzeć na to, jak więźniowie wyciągali jeden drugiemu (...) z ust ziemniaki otrzymane z naszych przerzutów (...). Około 30 osób wpuszczono do obozu (...). Wygłodniali więźniowie na wniesione (...) kotły z jedzeniem rzucali się całymi gromadami i jeden przez drugiego usiłowali coś dla siebie zdobyć. Zorganizowaliśmy się w ten sposób, że ci, którzy mieli dzień wolny od pracy, szli na teren obozu koncentracyjnego, reszta miała się starać o żywność. Z otrzymanych trzech ziemniaków (...) oddawał jeden dla więźniów (...). Zupa była najczęściej z twardej brukwi. Przy obiedzie wlewało się każdemu 3/4 (...) zawartości, resztę wynosiło się do kacetu.

Do pracy na terenie obozu koncentracyjnego zgłaszali się ochotnicy (...) Każdą narodowość więźniów zgromadziliśmy oddzielnie. Z prycz zdejmowaliśmy trupy, mimo że więźniowie (...) z tego nie byli zadowoleni, gdyż mieli już taki zwyczaj, że nikomu o tym nie meldowali, a na umarłych (...) pobierali nieraz posiłki. Myśmy jednak ze względu na pojawienie się tyfusu i możliwości wybuchnięcia epidemii usuwali trupy (...). Na terenie obozu dochodziło nawet do ludożerstwa, dlatego też konieczne było usuwanie trupów z baraków. Wygłodzeni więźniowie najczęściej wyjmowali wnętrzności z tych, którzy przed chwilą skonali" [12].

Tadeusz Kubalski wspomina o pomocy więźniom:

[7] Cytat z maszynopisu udzielonego przez *Pawła Dąbrowskiego* autorowi artykułu (przyp. red.).

[8] *Tadeusz Kubalski,* Za Wolność i Lud, 1954, nr 20 (233).

[9] Chodzi o warunki jeńców wojennych.

[10] Załoga *SS* opuściła obóz dopiero na kilka dni przed wyzwoleniem, tj. 18—19 kwietnia 1945 r. Niektórzy funkcyjni więźniowie uciekli nieco później.

[11] *Stanisław Piekarczyk* (ze Zduńskiej Woli), Za Wolność i Lud, 1964, nr 22.

[12] Cytowane z maszynopisu.

„Zaczęliśmy rzucać im kawałki chleba, kartofle, brukiew i zapalone papierosy. «Kacetowicze» rzucali się na to natychmiast, zupełnie nie panując nad sobą (...). Widzieliśmy na własne oczy, jak niektórzy z nich po zjedzeniu surowych kartofli (...) umierali. Zrezygnowaliśmy więc z tego typu pomocy, natomiast wystąpiliśmy do władz obozowych o pozwolenie wstępu na teren «kacetowiczów». Tu muszę podkreślić, że cały obóz podlegał jeszcze władzy wojskowej. Po dwóch dniach, po przybyciu esesmanów wszelki kontakt z więźniami został przerwany. Tymczasem jednak po otrzymaniu (...) zezwolenia utworzyliśmy (...) ekipy do noszenia więźniom lekarstw i żywności. Na rzecz «kacetowiczów» zrzekł się wtedy posiłków cały nasz obóz. Pamiętam, że zaniesiono im wówczas kilkanaście wanienek z zupą i kartoflami.

Przy rozdziale jedzenia zauważyliśmy, że na pryczach wraz z żywymi leżeli umarli. Pamiętam, że (...) z moim bratem, *Stanisławem* usiłowaliśmy ratować niektórych już ledwo oddychających. Siłą otwieraliśmy zaciśnięte szczęki nieprzytomnych, aby nakarmić ich ciepłą zupą. Wtedy też dowiedzieliśmy się, że kacetowicze przybyli z obozu w Stutthofie.

Wśród nich znajdowali się ludzie różnej narodowości, także i Żydzi, lecz najwięcej było Polaków, pomiędzy nimi (...) wywiezieni z powstania warszawskiego. Jeszcze tego samego dnia udało nam się przeprowadzić do naszego obozu trzech lub czterech więźniów, będących w trochę lepszym stanie fizycznym. (...) Nie mogę sobie przypomnieć, czy wszyscy oni towarzyszyli nam podczas ewakuacji obozu podoficerskiego, ale jeden z nich na pewno.

Ewakuacja nastąpiła na początku kwietnia 1945 roku, w kilka dni po przybyciu więźniów do Sandbostel. Podczas marszu do Westertimke widzieliśmy leżące przy drodze martwe ciała «kacetowiczów», których przywieziono do obozu wąskotorową kolejką (...). Niestety, nie jestem dziś w stanie określić liczby oglądanych wtedy ofiar. Podczas pierwszego dnia pobytu więźniów w Sandbostel kilkudziesięciu (...) zmarło. Wiadomo mi (...), że po naszym wyjściu przychodziły do obozu dalsze transporty więźniów. Już po wyzwoleniu (...) dowiedziałem się, że obóz ten został zamknięty przez Anglików wskutek epidemii tyfusu czy też obawy przed możliwością wybuchu takiej epidemii" [13].

Pomoc, jakiej udzielili nam jeńcy *Stalagu X—B*, trwała tylko kilka dni, mimo to jednak miała dla nas żywotne znaczenie. Oprócz dostarczonej żywności udzielono też pomocy lekarskiej. Zgrupowano nas wtedy w barakach według narodowości.

Paweł Dąbrowski podaje:

„Moim zadaniem było zgrupowanie wszystkich Czechów. Lekarze mieli również pełne ręce pracy. Wielu więźniów dostarczonych pod opiekę lekarską trafiało się z dziurami w głowie od pałek «kapów». Środków opatrunkowych prawie nie było. Lepiej w lekarstwa zaopatrzeni byli lekarze francuscy i włoscy, toteż dostarczali je oni częściowo naszym lekarzom. Wszystkich więźniów dobijało jeszcze to, że tysiące wszy zagnieździło się na ich ciele. U niektórych utworzyła się taka gruba warstwa, że w żaden sposób nie można było tego zdjąć (...). W niedzielę 15 kwietnia pomoc nasza dla więźniów skończyła się (...). Później otrzymaliśmy rozkaz przygotowania się do wymarszu i opuściliśmy obóz w Sandbostel" [14].

Kilka dni przed wyzwoleniem słychać było dochodzące gdzieś z oddali odgłosy niemilknącej kanonady. Te odznaki toczącej się walki nie robiły już żadnego wrażenia na półprzytomnych więźniach. Nadzieja na przeżycie wygasła zupełnie. Godziny życia były policzone. Na twarzach więźniów malowała się całkowita apatia. Nawet dawny lęk i strach występujący w spojrzeniach więźniów nie był już widoczny.

Leżałem na swojej koi na drugim piętrze z otwartymi szeroko oczyma, wpatrując się w jeden punkt stropu baraku. Obok mnie leżały nagie zwłoki współtowarzysza. Był to Litwin; chorował na dur. Z wysiłkiem zwlokłem się z górnej koi i wyszedłem na korytarz baraku, potykając się o leżące tu zwłoki. Z sąsiedniej izby wyżebrałem od chodzących jeszcze tu więźniów pomoc potrzebną do usunięcia zwłok Litwina. Wyciągnięto je na korytarz i pozostawiono tam.

Pewnej nocy usłyszeliśmy poszczególne wystrzały karabinowe. Powtarzały się co pewien czas i nie milkły aż do świtu. Dręczyły nas różne złe myśli, przede wszystkim obawa, czy nie rozstrzeliwują więźniów. Gdyśmy tak rozmyślali, do baraku wpadł jeden z więźniów, niosąc jakiś tobół. Za nim pojawiło się kilku następnych. Rzucili się oni na więźnia, który ze swym tobołem ukrył się na dolnej koi w końcu baraku. Słychać było przyśpieszone oddechy i odgłosy walki. Okazało się niebawem, że bójka więźniów toczy się o chleb. Do walczących podskoczyło jeszcze kilku innych więźniów, którzy obserwowali szamocących się. Walka rozgorzała niemal w całym baraku. Bochenki chleba, które były w tobole, przechodziły z rąk do rąk. Wydzierano je sobie nawzajem. Pokruszone padały na podłogę, a więźniowie pełzając po niej zbierali kawałki chleba. Później dowiedzieliśmy się, że zrobiono włamanie do magazynu żywnościowego, w którym znajdowały się chleb, marmolada i cukier. *Posteni*, słysząc odgłosy włamania i późniejsze coraz częstsze, całonocne głośne zachowanie się więźniów wchodzących i wychodzących z łupem, strzelali co chwilę do magazynu ze swych narożnych posterunków.

Wspomniany jeniec ze *Stalagu X—B*, *Stanisław Piekarczyk* relacjonuje:

„W nocy wdarła się grupa z obozu koncentracyjnego do kuchni obozowej i przyległych magazynów. Pchnął ich do tego kroku głód. Padło przy tej wyprawie około stu osób. Niemcy strzelali do nich całą noc. Rano zbierali i wynosili trupy" [15].

Na krótko przed wyzwoleniem któregoś dnia kilku współwięźniów przyniosło do baraku jakieś jedzenie. Każdy z nich miał różnego kształtu blaszane puszki, z których łapczywie wyjmowano palcami kawałki mięsa. Sąsiad z dolnej koi podał mi dwa kawałki ugotowanego, ciepłego jeszcze mięsa. Zjadłem dorowiznę, nie czując żadnego smaku. Miałem już wtedy dużą gorączkę. Były to pierwsze objawy duru. Później okazało się, że podane mi mięso i zawartość puszek były to ugotowane ludzkie narządy. Dotąd nie spotkałem się z tym w „normalnych" warunkach obozowych. Dopiero w Sandbostel przekonałem się, jak przemożnie głód opanowuje wycieńczonych, oszołomionych „muzułmanów", stojących tuż przed progiem śmierci z wyczerpania. Ze zjawiskiem tym spotkałem się jeszcze w okresie mojej pracy w Istenburgu. Niemcy, którzy znęcali się nad jeńcami radzieckimi i głodzili ich, doprowadzili

[13] Za Wolność i Lud, 1964, nr 20 (233).

[14] Cytowane z maszynopisu.

[15] Za Wolność i Lud, 1964, nr 22.

tych ludzi do takiego stanu, że żywili się oni swoimi zmarłymi towarzyszami podczas swej upiornej podróży z Tylży do Istenburga w zamkniętych wagonach. Było to wówczas dla mnie niezrozumiałe; dopiero po przejściu głodu w Sandbostel mogłem się wczuć w ich sytuację. Kości swych towarzyszy zrzucali oni z pociągu, co oczywiście hitlerowcy wyzyskali dla swej propagandy.

Pewnego dnia tuż przed wyzwoleniem, w nocy, obóz w Sandbostel opuścili wszyscy esesmani, bezpośredni sprawcy naszej tragedii. Byłem tak skrajnie wyniszczony, że nie pamiętam ani daty, ani ich nazwisk. Uciekli także ci wszyscy oprawcy, którzy mieli na sumieniu współudział w pogłębianiu piekła obozowego i znęcanie się nad nami. Pozostali tylko żołnierze *Wehrmachtu*. Wiadomość o tym szybko rozeszła się po wszystkich blokach, lecz trafiła do świadomości tylko nielicznych więźniów. Większość dogorywała w silnej gorączce na swych kojach, nie reagując zupełnie na tę wiadomość.

O świcie zagrzmiały działa, tym razem już gdzieś bardzo blisko. Pociski przelatujące nad obozem gwizdały w powietrzu, niosąc w którymś kierunku swój śmiercionośny ładunek. Na placu obozowym, między barakami, przed ubikacją, w korytarzach baraków rosły stosy nagich kościotrupów. Z tych skupisk kości wyzierały wykrzywione od bólu, straszne, zastygłe twarze. Przeważająca część żyjących więźniów znajdowała się w agonii, prawie w obłędzie.

Leżałem razem z konającymi w silnej gorączce. Miewałem częste zamroczenia. Był to dur. Dręczyło mnie niezmierne pragnienie, trudne do opisania. Jęczałem, jak inni, błagając o coś do picia, ale na próżno. Nikt nikomu nie mógł tam w niczym pomóc. Minęły dwa dni w oczekiwaniu nie tyle oswobodzenia, ile własnej śmierci. Od dwóch dni nie podnosiłem się w ogóle z legowiska zapaskudzonego kałem. Dur i biegunka wyczerpały mnie do ostateczności. Miałem częste zaburzenia jelitowe w postaci krwawej piany.

Nadszedł dzień, w którym usłyszeliśmy warkot samochodów i terkot karabinów maszynowych tuż koło naszych baraków. Kilku więźniów wybiegło z baraku. Niebawem usłyszeliśmy dojmujący krzyk, nieludzki niemal. W pierwszej chwili wydawało nam się, iż hitlerowskie kule przeszyły więźniów, którzy wybiegli z baraku. Wkrótce wyjaśniło się, że był to okrzyk radości, wręcz dzikiej i szalonej. Gdyśmy się dowiedzieli, że w pobliżu drutów pojawiły się pierwsze oddziały wojska angielskiego, mimo zupełnego wyczerpania i choroby niektórzy więźniowie wysuwali się na czworakach przed barak, by na własne oczy ujrzeć zwiastunów wolności.

Dziś trudno wyrazić słowami tę radość, jaka zapanowała wtedy. Graniczyła ona prawie z szałem, który opanował istoty mało podobne do ludzi. Ci, którzy mogli utrzymać się na własnych nogach, rzucali w górę czapki i bluzki i padali sobie w objęcia. Część z nich biegła ku drutom, w kierunku samochodów, z wyciągniętymi w górę rękami. Słabsi więźniowie wili się po ziemi, płakali, niemal wyli z radości.

Po przejściu frontowych oddziałów angielskich jeńcy, nasi sąsiedzi zza drutów, znów przyszli nam z pomocą. Wnosili i rozdzielali żywność, napoje i lekarstwa. Chorych na dur przenieśli do oddzielnego baraku. Jeden z jeńców wspomina:

„Mieliśmy dostać (...) kaszę i jakąś strawę. Dowódca obozu (polski) rozkazał wydać ją do obozu koncentracyjnego. Dla Polaków (...) zbieraliśmy papierosy, witaminy, żywność i odzież. Komendant niemiecki otrzymał podobno rozkaz, aby z nadejściem aliantów przekazać przez parlamentariuszy obóz Anglikom (...). Czekamy na siły główne, które się (...) nami zainteresują. Jak do tej pory, żaden oddział się w obozie nie zjawił. 29. IV. 1945 r. (...) Francuzi objęli warty w obozie. Niemców zgromadzono w dawnej wartowni (...). W dniu jutrzejszym ma przybyć do obozu komisja aliancka. Dowódcą dywizji, która nas uwolniła, jest generał-major *Adaer* (...). Przed obozem wisi biała flaga. Niemcy się poddają" [16].

Przyjechały do obozu wojskowe karetki Czerwonego Krzyża i rozpoczęła się natychmiastowa pomoc ze strony lekarzy i służby sanitarnej. Anglicy zwerbowali z okolicznych wiosek kilkadziesiąt Niemek. Część z nich musiała zbierać po całym obozie zwłoki więźniów i układała warstwami w pobliskim dole, wykopanym w tym celu. Innym Niemkom polecono zająć się myciem chorych więźniów.

Świadek podaje:

„30. IV. 1945 r. (...): Komisja aliancka urzęduje w obozie... 3. V. 1945 r. (...): Anglicy już drugi dzień wśród chorych na tyfus. Dezynfekują ich i wywożą do pobliskiego szpitala. 4. V. 1945 r.: Anglicy na razie interesują się obozem koncentracyjnym" [17].

Po oczyszczeniu mnie z robactwa i dokładnym, lecz ostrożnym obmyciu, dwóch angielskich wojskowych ułożyło mnie na nosze, posypało proszkiem dezynfekującym i nagi mój szkielet okręcono kocem, po czym umieszczono w karetce Czerwonego Krzyża. Samochód, w którym znajdowało się czterech chorych, ruszył w nieznanym kierunku. W czasie jazdy straciłem przytomność. Kiedy ją odzyskałem, nie pamiętam.

Po kilku dniach dowiedziałem się od kolegów, którzy leżeli ze mną w jednej sali, że przez długi czas byłem nieprzytomny. Znajdowałem się w stanie beznadziejnym. Nic nie mówiłem i nic nie jadłem. Podtrzymywano mnie glukozą (kroplówka), wstrzykiwano jakieś leki i kilka razy zrobiono mi transfuzję krwi.

W takim samym beznadziejnym stanie była większość oswobodzonych więźniów. Mimo wyjątkowo troskliwej opieki, starań i pełnego poświęcenia ze strony lekarzy i pielęgniarek wielu spośród więźniów nie udało się utrzymać przy życiu.

Zachowałem jedyny oryginalny dokument, kartę chorego z angielskiego polowego szpitala wojskowego [18], mieszczącego się pod Rotenbur-

[16] Za Wolność i Lud, 1964, nr 22.
[17] Tamże.
[18] Ze względów technicznych nie udało się skliszować tego dokumentu (przyp. red.).

giem. Przedtem leżałem jakiś czas w barakach w odległości kilku kilometrów od Sandbostel. Później przewieziono nas do jakiejś miejscowości pod Rotenburgiem, gdzie znajdował się ów polowy szpital. Pamiętam tylko, że składał się on z kilkunastu baraków i kilku wielkich namiotów, a był umiejscowiony w niewielkim, sosnowym lasku. Miałem wtedy 21 lat, 1 m 68 cm wzrostu, a ważyłem zaledwie 29 kg.

Kiedy wreszcie stan mojego zdrowia pozwalał mi spożywać różne kleiki i lekkostrawne potrawy, wielu innych moich towarzyszy mojej obozowej niedoli umierało przez liczne jeszcze dni. Po kilkunastotygodniowym leczeniu angielskie władze wojskowe przetransportowały nas kilkanaście kilometrów dalej, do innych baraków, położonych przy szosie prowadzącej do miasteczka Rotenburg. Tam przebywaliśmy parę miesięcy jako rekonwalescenci pod opieką *UNRRA*. Później wyjechaliśmy do drugiego obozu *UNRRA*, mieszczącego się w byłych koszarach niemieckiej marynarki wojennej w miejscowości Neustadt (w Holsztynie) nad zatoką lubecką. Tu spotkaliśmy nielicznie ocalałych więźniów obozów koncentracyjnych z pokładów zatopionych statków *„Cap Arcona"*, *„Deutschland"*, *„Thielbeck"* i *„Athen"*. Los tych więźniów znany jest z innych relacji. Byli tam wśród nich także stutthofiacy, ewakuowani morzem na barkach prawdopodobnie z Gdańska i Helu.

* * *

Dotychczas udało się ustalić, że z filii stutthofskiej w Policach (obozy tzw. letni i zimowy) żyją między innymi: *Wasyl Akimow* (Moskwa), nr 37411; *Leon Baruch* (Lądek Zdrój), nr obozowy z Dachau 131274; *Czesław Gołowacz* (Szklarska Poręba), nr 21339; *Alojzy Rynglewski* (Nowe Miasto Lubawskie); *Arkadiusz Ziemnicki* (Białystok). Zmarli: *Stefan Czarniecki* i dr *Bolesław Kaczyński*. Inni byli więźniowie z obozów polickich: *Wasyl Michałowicz Boczarow* (ZSRR); *Anastazy Budysz* (Szczecin), były więzień Bremerhafen; *Adam Wasylewicz Czeszko* (ZSRR); *Wacław Guzowski* (Włocławek), nr 19675; *Józef Hanusiak* (Łętownia, pow. Sucha Beskidzka); *Henryk Jabłoński*, nr 34825; *Leon Jończyński* (Lipice, pow. Chojnice); *Korabijewski*; *Zenon Kępa* (Szczecin); *Walentyna Kolbera* (z obozu kobiecego); *Włodzimierz Pląskier* (Gdynia); *Janusz Rybczewski* (Szczecin); *Borys Wasylewicz Sapiegin* (ZSRR), nr 30084; *Łazar Borysiewicz Słapak* (ZSRR), nr 24661; *Włodzimierz Iwanowicz Timonin* (ZSRR), nr 50165; *Józef Zieliński*, nr 24204.

Spośród więźniów (oprócz *Jerzego Nowickiego*), ewakuowanych do Sandbostel, udało się odnaleźć następujące osoby: *Stefan Borkowski* (Łódź), ewakuowany z Neuengamme; *Mieczysław Figiel* (Warszawa), wywieziony z powstania warszawskiego do Stutthofu (nr 92592), a później do Neuengamme (nr 60124), skąd ewakuowany do Sandbostel. Były jeniec *Stalagu X—B* w Sandbostel, *Czesław Czekierski*, podał w „Za Wolność i Lud" (nr 1 z 1965 r.) następujące nazwiska więźniów obozu Sandbostel: *Jan Adamczyk* z Mławy, *Jan Bogumił* z Grójca, *Walenty Fajfnowski* z Kaskowic, *Piotr Jusek* z Warszawy, *Jan Kulesza* z Warszawy, *Jan Markowski* z Częstochowy, *Zbigniew Maździarz* z Łodzi, *Henryk Michalski* z Poręby pod Warszawą, *Stanisław Ślusarek* ze Zduńskiej Woli, *Władysław Święcik* z Belelna. Ich losy są nieznane.

STEFANIA PERZANOWSKA
były więzień obozu koncentracyjnego w Majdanku nr 235,
w Oświęcimiu-Brzezince nr 77368, w Revensbrück nr 107185

Radom

Szpital obozu kobiecego w Majdanku

Obozy koncentracyjne — pomimo identyczności zamierzeń w ich tworzeniu, a tym samym prawie identycznej struktury wewnętrznej — bardzo różniły się między sobą. Swoistość każdego obozu decydowała w mniejszym lub większym stopniu o istnieniu tych różnic. Wynikały one z różnych sytuacji i okoliczności, często zupełnie przypadkowych, a jak najbardziej istotnych dla układu miejscowych warunków.

Tak było właśnie w obozie kobiecym w Majdanku. Egzystencję swoją rozpoczął on dość późno, bo dopiero w początkach stycznia 1943 roku [1]; pierwsze transporty, które tu przybyły, składały się wyłącznie z polskich więźniarek politycznych; nimi właśnie, nie mając innego wyboru, władze niemieckie przy błyskawicznym zapełnianiu się obozu obsadzały różne więźniarskie stanowiska. Wszystko to zdecydowanie zaważyło na atmosferze kobiecego Majdanka.

Mimo że starszą obozu *(lagerälteste)* została niestety upodlona *Żenia Piekarska*, więźniarka z Pawiaka, która w Majdanku podała się za *reichsdeutschkę*, była zauszniczką komendantki, a w biciu i szykanowaniu starała się ją nawet prześcignąć, nie była ona w stanie zmienić ustalonego już oblicza obozu. *Piekarska* nawet z nieliczną zgrają pomocnic była w swoim łotrostwie odosobniona, gdyż olbrzymią resztę stanowisk obozowych objęły uczciwe polskie więźniarki, przyjazne, a nawet opiekuńcze dla swoich koleżanek. Ich postawa,

[1] Chodzi o obóz kobiecy. Obóz koncentracyjny, utworzony w Majdanku jesienią 1941 roku, był początkowo przeznaczony dla radzieckich jeńców wojennych, a od maja 1942 roku stał się miejscem masowej zagłady Żydów. Wśród 40 tysięcy więźniów tam przebywających Polacy stanowili większość. Natomiast osób przeznaczonych na śmierć nie rejestrowano, lecz od razu kierowano do komór gazowych, a zwłoki palono w krematorium obozowym lub na stosach w pobliskim tzw. Lesie Krępieckim. Spośród 300 tysięcy więźniów rejestrowanych zginęło około 160 tysięcy; ponadto zginęło tam około 200 tysięcy Żydów. 3. XI. 1943 r. zginęło w Majdanku 18 tysięcy Żydów z Lublina w tzw. akcji *Erntefest* (przyp. red.).

łącznie z postawą ogółu Polek, zdecydowała o czystej moralnie atmosferze całego pola [2].

Krótko tutaj nakreślone swoiste cechy obozu kobiecego w Majdanku niemało zaważyły na tworzącym się szpitalu i na pracy obozowej służby zdrowia.

Dziwnym i istotnie wyjątkowym zbiegiem okoliczności przez pierwsze parę miesięcy byłam jedyną lekarką na kobiecym polu. Codziennie zgłaszały się do mnie różne chore, ale ja nie miałam żadnej możliwości ani badania, ani leczenia. Wszelkie prośby o umożliwienie mi go komendantka obozu kwitowała wymyślaniem. Niemiecki lekarz, gdy się zjawił po paru dniach, też zwymyślał mnie od idiotek, bo ośmieliłam się powiedzieć, że jedną chorą podejrzewam o dur wysypkowy. Gdy jednak po dwóch dniach zobaczył u tej chorej typową wysypkę durową, zgodził się na moją prośbę o oddzielny barak szpitalny, kazał go przerobić, a mnie szpital zorganizować. Wobec tego trzeba było wyszukać personel. Chodząc po barakach dopytywałam się o fachowe siły do pracy w montującym się szpitalu.

Z transportu warszawskiego zgłosiły się: studentka trzeciego roku medycyny (z okupacyjnego tajnego nauczania) *Hanna Jodko-Narkiewicz, Halina Cetnarowicz* (z pierwszego roku medycyny), chemik-bakteriolog *Irena Todleben* i cztery pielęgniarki dyplomowane: *Zofia Orlicka, Wanda Orłoś, Wanda Ossowska, Maria Żurowska*. Z transportu radomskiego: lekarka dentystka *Jadwiga Łuczak*, mgr farmacji *Józefa Wdowska* i *Stefania Sawicka*, przyuczona pielęgniarka ze Skarżyska. Poza tym kilkanaście nie wyszkolonych zawodowo koleżanek obozowych wyraziło chęć pracy w szpitalu.

To był nasz początkowy zespół pracowników. Omówiłyśmy plan pracy i nasze zamierzenia. Pielęgniarki dyplomowane z częścią sił niefachowych miały pracować w szpitalu; z pozostałych chciałyśmy utworzyć kolumnę sanitarną, która by kontrolowała czystość osobistą współwięźniarek i walczyła z wszawicą. W naszej nowicjuszowskiej naiwności planowałyśmy i marzyłyśmy o tym, aby kolumnie sanitarnej udało się doprowadzić obóz kobiecy do pełnego odwszenia i czystości. Rzeczywistość obozowa z pozbawieniem elementarnych urządzeń higieniczno-sanitarnych, z całkowitym brakiem wody (wskutek zamarzniętej studni) i zawszonymi kocami w barakach okazała się jednak o wiele silniejsza od naszych zamierzeń i planów. Niemniej jednak kolumna sanitarna pracowała z zaciętością i uporem, co dawało wyniki w miarę miejscowych możliwości.

Władze obozowe ani do organizacji naszej pracy, ani do składu personelu nie wtrącały się z początku zupełnie, co się okazało dla nas jak najbardziej korzystne. Nowo powstający szpital także nikogo nie obchodził; poza pustym barakiem, przedzielonym na 8 salek, nie dano nam nic do jego urządzenia. Własnym przemysłem zdobyłyśmy i pozbijałyśmy trzypiętrowe łóżka, tudzież sienniki, które napełniłyśmy wiórkami. Od koleżanek z innych baraków wyprosiłyśmy trochę koców, misek, łyżek i kilka żarówek. Przydzielone mi poprzednio fonendoskop, termometr i minimalna ilość prymitywnych leków, to był początkowo nasz cały majątek szpitalny.

Jak tylko wykończono jedną salkę, czym prędzej ulokowałyśmy chore durowe, których już było kilkanaście, a gdy zakończono roboty w całym baraku, przeniosłyśmy do niego wszystkie chore i rozpoczęłyśmy w początkach lutego 1943 roku naszą pracę szpitalną w pierwszym baraku na piątym polu kobiecym.

Gdy nareszcie po 10 dniach sanitarne władze obozowe raczyły się zainteresować szpitalem, przysłano nam trochę koniecznego zestawu, jak termometry, baseny, strzykawki i sterylizator, a także nową, minimalną zresztą, porcję leków. Potem dodano parę stołków, taborety i miski.

Zaludnienie kobiecego pola wzrastało z każdym tygodniem, przychodziły bowiem częste i liczne transporty, między innymi także rosyjskie i żydowskie; odpowiednio do tego zwiększała się liczba chorych, a szpital musiał się powiększać o nowe baraki. Rozwinęła się epidemia duru wysypkowego.

*
* *

Myślałam niejednokrotnie, że to na pewno było zbyt szumne słowo „szpital" na określenie niesłychanie prymitywnych miejsc pobytu chorych w Majdanku. W gwarze obozowej używano słowa „rewir". Nie lubiłam posługiwania się bez koniecznej potrzeby niemieckimi określeniami, nie lubiłam też słowa „rewir". Używałyśmy zatem słowa szpital, mimo że nasze warunki dalekie były od elementarnych wymagań szpitalnych.

Istniały tam bydlęce baraki z trzypiętrowymi pryczami; na nich wegetowały chore, leżące tylko na siennikach i przykryte tylko jednym kocem. O prześcieradłach ani poduszkach nie było mowy. Leżenie na trzecim piętrze prycz było dla nieprzytomnych chorych na dur bardzo niepożądane, ale często konieczne. Do baraków, pozbawionych wody, musiano ją nosić ze studni. Gdy ta była zamarznięta, topiono lód lub śnieg. Każdy basen trzeba było wynosić za barak, do dołu kloacznego. Jeśli to już musiał być taki prymityw, daleki od tego, co rozumiemy potocznie przez pojęcie szpitala, to tym bardziej chciałyśmy, żeby nasza praca realizowała się tak, jak w każdym normalnym szpitalu i polegała na uczciwym wykonywaniu szpitalnych obowiązków.

Do tego był niezbędny odpowiedni zespół pracowników, ale szczęśliwie się on dobrał. Nieoceniona była ofiarna opieka doświadczonych pielęgniarek, zwłaszcza nad gorączkującymi, najczęściej zamroczonymi chorymi na dur. Niemniej ofiarnie pracowała niewyszkolona część personelu, przyswajając sobie zasady pracy pielęgniarskiej pod kierunkiem swoich koleżanek. Można by powiedzieć, że to by-

[2] Polami nazywano w Majdanku poszczególne rejony obozu (przyp. red.).

ła swego rodzaju szkoła pielęgniarska, bez wykładów, bez ćwiczeń na fantomach; od razu praca z ciężko chorymi, bardzo odpowiedzialna. Gdy miałam wolną chwilę, przeważnie wieczorem, przypominałam im anatomię i fizjologię, zasady aseptyki, główne objawy najczęstszych chorób w obozie, sens i treść niektórych zabiegów. Między sobą dziewczęta te wprawiały się w liczeniu tętna, a nawet w robieniu zastrzyków. Było wśród nich sporo małolatek, bo małoletnim rekonwalescentkom często sama proponowałam pracę w szpitalu, widząc ich zamiłowanie w tym kierunku, a także chcąc je uchronić przed ciężką pracą fizyczną bezpośrednio po chorobie, przed biciem i szykanami esesowskich dozorczyń. Jedna z więźniarek, jedynaczka, miała 15 rok życia, gdy na jej oczach, pod ścianą domu, w którym mieszkała w Warszawie, rozstrzelano jej ojca, a ją wywieziono do obozu. Spośród tych ówczesnych małolatek cztery są obecnie lekarkami, a jedna skończyła szkołę pielęgniarską w Warszawie.

Każdy barak szpitalny miał określoną liczbę pielęgniarek zależnie od stanu chorych. Za całokształt pracy była odpowiedzialna pielęgniarka oddziałowa (odpowiadało to funkcji blokowej w obozie). Sprzątające, czyli tzw. „sztubowe", pełniły taką rolę, jak salowe. Kancelaria szpitalna prowadziła ewidencję i kartotekę chorych.

Wszystkie pielęgniarki pełniły ośmiogodzinne dyżury nocne i dzienne według planu. Pielęgniarki dyżurne mierzyły trzy razy dziennie ciepłotę i tętno chorych. Odpowiednie dane zapisywały na kartach gorączkowych, rysowanych we własnym zakresie, które wisiały nad każdą pryczą. Notowały także zlecenia przy codziennej wizycie lekarskiej. Myły ciężko chore, czesały je i karmiły, często prały jedyną, zanieczyszczoną koszulę chorej i suszyły ją na piecyku, zmieniając także zanieczyszczony siennik; podawały baseny, które potem wynosiły za barak. Robiły to wszystko, wspinając się na trzypiętrowe prycze i krzątając się koło nich, przy zupełnym braku wody w barakach. Pilnie i z sercem wykonywały też wszystkie zlecone zabiegi.

Była to trudna i owocna szkoła. Po roku istnienia kobiecego pola i kobiecego szpitala majdankowskiego, gdy bywało do 10 baraków z chorymi i pracowało około 100 pielęgniarek, praca szła im jeszcze składniej, bo już były doświadczonymi pracownicami szpitala, zżytymi z sobą, solidarnymi, życzliwymi i serdecznymi dla chorych. W okresie niemal półtorarocznego istnienia szpitala tylko dwukrotnie musiałam godzić skłócone między sobą pielęgniarki; rozmieściłam je w różnych barakach, aby uniknąć niesnasek. Ten stan rzeczy i taki skład pielęgniarski był możliwy tylko dlatego, że przy organizowaniu szpitala nikt mi go nie narzucał; sama szukałam osób najodpowiedniejszych.

Władzom obozowym ciągle nie podobało się, że pracowników jest w ogóle za dużo i że pielęgniarki pracują po 8, a nie 12 godzin, jak wszyscy inni w obozie. Ale okłamując esesowców i lawirując udawało się nam jednak ten stan rzeczy utrzymywać przez cały czas.

Początkowo część pielęgniarek odnosiła się do mnie z pewną rezerwą. Nie znałyśmy się dotąd; ja byłam z Radomia, one w większości warszawianki. Jestem wymagająca w pracy, mam dość autorytatywny sposób podawania swoich zleceń i nie ujawniam się od razu ze swoimi uczuciami i sympatiami. Ale bardzo szybko, gdyśmy się bliżej poznały, odnalazłyśmy wspólny język, zżyłyśmy się i zaprzyjaźniły nawzajem. Rozumiałyśmy się w pół słowa, a czasem nawet bez słów. Wchodząc do baraku, mogłam wyczytać z twarzy pielęgniarek, czy wszystko jest w porządku, czy też jest jakiś nowy kłopot.

*

* *

O ile sprawa obsady pielęgniarskiej była rozwiązana zupełnie wystarczająco, o tyle liczba lekarzy była przez cały czas bardziej niż skąpa, a na początku istnienia szpitala wprost minimalna, gdyż byłam tylko ja. Miałam do pomocy studentkę III roku tajnej medycyny, *Hankę Jodko-Narkiewicz*. Była ona inteligentna, miła, pracowita, z dużym zacięciem chirurgicznym, ale z zasobem wiedzy medycznej na pewno nie wystarczającym do samodzielnej pracy. Niemniej jednak pomagała mi znacznie, zwłaszcza przy drobnych zabiegach chirurgicznych i opatrunkach, a wizyty lekarskie robiłyśmy wspólnie. Po paru miesiącach *Hankę* zwolniono z obozu dzięki usilnym staraniom rodziny.

Wkrótce po jej zwolnieniu przybyła z więzienia lubelskiego w początkach maja 1943 roku młoda lekarka, *Aglajda Brudkowska*, z którą pracowałyśmy razem do końca istnienia majdankowskiego szpitala, tj. do kwietnia 1944 roku. *Ada* była antytezą *Hanki*. Obie były młode, ale *Hanka*, postawna brunetka z rumianą twarzą i świeżym wyglądem mimo Pawiaka i obozu, kipiała wprost młodością i energią, była wylewna i serdeczna, szybka w ruchach i odruchach; lubiła dużo mówić; znałam dobrze z jej opowiadań jej maleńką córeczkę, matkę, męża, jej niepokoje i tęsknoty. Niebieskooka blondynka *Ada*, wątła, blada i mizerna, małomówna i nieśmiała, nie uzewnętrzniająca swoich uczuć, zaraz po przyjściu do obozu robiła wrażenie osoby niezmiernie wyczerpanej fizycznie i psychicznie. Miała z pewnością dużego stopnia anemię wtórną, czasem bowiem ledwie trzymała się na nogach i męczyły ją częste i uporczywe migreny. Obie były jednakowo prawe, prostolinijne i pracowite, bardzo oddane chorym, ale *Ada* okupywała swą pracę wielkim wysiłkiem, co było tym bardziej cenne i godne podziwu. *Hanka* była w obozie tylko parę miesięcy, natomiast asteniczna, coraz bardziej wychudzona i szarobladа dr *Brudkowska* przetrwała i pracowała w nim przeszło dwa lata. Obie przeżyły obóz i są lekarkami; *Hanka* pracuje w Warszawie, *Ada* — w Puławach.

Na krótko przed zwolnieniem *Hanki* i przyjściem *Ady* niemiecki sanitariusz *Reinertz* przyprowadził młodą lekarkę żydowską, *Marię Marder*, z wyraźnym zaleceniem władz, że ma pracować tylko przy kontroli sanitarnej w barakach i łaźni, niedługo zresztą, bo w najbliższym czasie pójdzie „na transport". *Niusia* mieszkała razem z nami. Z początku nie odzywała się do nas wcale i poruszała się jak manekin. W twarzy jej nie było zastraszenia, jak u większości Żydówek, tylko jakieś tragiczne osłupienie. Po paru dniach, w nocy, słysząc, że nie śpi i płacze, podeszłam, pogłaskałam ją, przytuliłam i wtedy zaczęła mówić. Przywieziono ją do nas z Treblinki, gdzie była świadkiem, jak wzięto do komory gazowej jej paroletniego synka i matkę, też lekarkę. Chciała iść razem z nimi na śmierć, ale Niemcy oderwali ją od nich i przywieźli do Majdanka.

Niusia nie poszła na żaden transport; pracowała razem z nami, a po pewnym czasie odzyskała nawet normalny wygląd i chęć do życia. Była serdeczna, koleżeńska i miła. Przechorowała dość ciężko dur brzuszny i właśnie wtedy, kiedyśmy uzgodniły, że następnego dnia wróci do pracy, bo czuje się już zupełnie dobrze, zamordowano ją w Majdanku 3 listopada razem ze wszystkimi Żydami.

*
* *

Po likwidacji getta warszawskiego, w którym 16 maja 1943 roku wygasło powstanie, przyszedł na nasze pole z dużym transportem żydowskim personel lekarsko-pielęgniarski szpitala na Czystem (około 20 osób). Te lekarki i pielęgniarki zostały przydzielone za zgodą niemieckiego lekarza *Blankego* do pracy w różnych barakach, ale większość z nich za parę dni rozchorowała się na dur brzuszny. Widocznie przyjechały już w okresie inkubacji choroby. Wyzdrowiały wszystkie, a trzeci listopada, dzień masowej akcji *Erntefest* („dożynki"), likwidacji Żydów, zastał je jeszcze w szpitalu, w okresie rekonwalescencji.

Gdy w poobiednich godzinach tego koszmarnego dnia ładowano na samochody ciężarowe chore Żydówki i kazano także ustawić się całemu żydowskiemu personelowi szpitala, poradziłam wszystkim, także i tym podurowym rekonwalescentkom, aby szły w białych fartuchach i z opaskami Czerwonego Krzyża na ramieniu; wydawało mi się, że te emblematy i oznaki ich pracy zawodowej zaważą może na ich losach. I tak wyszły w tej białej, piątkowej kolumnie z obozu... Tego dnia wymordowano w Majdanku 18 tysięcy Żydów.

Ze wspomnianej masakry uratowała się dzięki szczególnemu przypadkowi dr *Alina Brewda*. Przed wojną była ordynatorem Oddziału Ginekologicznego Szpitala na Czystem. Niemcy prowadzili dokładną ewidencję lekarzy w obozach, a więc i po przyjściu do Majdanka personelu Szpitala na Czystem odnotowali liczbę i specjalności przybyłych lekarek, zatem także jej nazwisko. Dr *Brewda* pracowała z nami. Oddałam w jej doświadczone ręce drobną chirurgię i położnictwo, co mi sprawiło ulgę, bo nie lubiłam roli przymusowego położnika. Nasza współpraca trwała niedługo. Z Berlina przyszło pismo do komendy obozu, że chirurg-ginekolog dr *Alina Brewda* ma być natychmiast odstawiona do Oświęcimia. Bardzo nie chciała jechać; nikt nie lubił obozowych przenosin, a Oświęcim nie cieszył się lepszą opinią niż Majdanek. Interweniowałyśmy w tej sprawie u niemieckich lekarzy obozowych, jednak bez wyników. Dr *Brewda* wyjeżdżała zgnębiona i zdeprymowana. Odwoziła ją sama komendantka *Erich*, bo takie miała ponoć zalecenie. Temu właśnie wyjazdowi dr *Brewda* zawdzięczała życie... Gdyśmy się spotkały w kwietniu 1944 roku w Oświęcimiu, nie mogło się jej pomieścić w głowie, że wszystkie Żydówki, a więc i jej wszystkie koleżanki z warszawskiego szpitala zostały wymordowane. Dziś dr *Brewda* żyje i pracuje w Londynie.

Przy pomocy różnych osób i instytucji usiłowałam odtworzyć pełną listę nazwisk wymordowanego żydowskiego personelu służby zdrowia w Majdanku. Nie jestem jednak pewna, czy jest ona całkiem dokładna; nie zapewniali mnie o tym także informatorzy. W pamięci ludzkiej zbrodnicze wydarzenia pozostawiają ślady niezatarte, natomiast niektóre nazwiska po pewnym czasie się zapomina. Te, które udało mi się zebrać, podaję w alfabetycznej kolejności. Lekarki: *Braule-Hallerowa, Folmanowa, Irena Gradzińska, Maria Marder, Najster, Najburzanka, Przeworska, Irena Rubin, Orlis* i *Wdowińska;* pielęgniarki: *Altszul, Rysia Bielicka, Dora Cukier, Dziubas, Fryd, Frydman, Gryll, Helena Gallowa, Ickowicz, Izerlis, Nina Najdycz, Nebel, Odes, Podlipska* i *Prożańska.*

*
* *

W drugiej połowie 1943 roku do przepełnionego już, dziesięciotysięcznego obozu kobiecego w Majdanku przyganiano jeszcze nowe transporty. Najczęstsze i najliczniejsze były rosyjskie, składające się przeważnie z wiejskich kobiet, wychudzonych, wynędzniałych, zupełnie zagubionych i bezradnych. Ich nędza obozowa była wyjątkowo jaskrawa, bo wywiezione ze swych wsi daleko poza granice ojczyzny nie dostawały żadnych paczek, a ich bezradność czyniła je ciągłym obiektem bicia i szykan niemieckich władz.

Raz przyszedł niewielki, rosyjski transport o innym trochę składzie i wyglądzie; były to kobiety z partyzantki, przywiezione tu jako jeńcy wojenni. Wśród nich były cztery lekarki, które zgłosiły się do pracy i pracowały razem z nami przez parę miesięcy, a potem wywieziono je do Ravensbrück. Były pracowite i chętne, miały tylko trudności w porozumiewaniu się z otoczeniem, znając jedynie język rosyjski. Pamiętam dwa nazwiska: *Lidii Simbircewej* i *Nadii Pawlenko.*

I wreszcie przed naszą ewakuacją szpitala majdankowskiego przysłano nam do pomocy 10 młodziutkich lekarek rosyjskich, które już po paru dniach pojechały razem z nami i z całym szpitalem do Oświęcimia.

Te nieliczne i doraźne pomoce, choć bardzo cenne, wskutek swojej krótkotrwałości nie pozwalały na stały podział pracy. Przez kilka miesięcy byłyśmy tylko we dwie z *Adą Brudkowską*. Nie mając żadnego wpływu na liczbę lekarek, zwiększałyśmy jednak znacznie ponad normę obozową obsadę pielęgniarską, co bardzo ułatwiało pracę.

Nadmiar zajęć był ustawiczny. W połowie 1943 roku, w okresie nasilenia duru wysypkowego, leżało już w sześciu barakach przeciętnie 500—800 chorych. Pracę musiałyśmy zaczynać o świcie, kończąc ją późnym wieczorem. Z rana były przyjęcia ambulatoryjne, ale i po wieczornym apelu trzeba było badać kobiety, które zachorowały w ciągu dnia, a także nakładać opatrunki na poranione drewniakami nogi albo pobite głowy lub plecy. Po rannym ambulansie były codzienne wizyty lekarskie w barakach, z pielęgniarkami zapisującymi zlecenia i podającymi aktualne dane o stanie chorych. Przy dużej liczbie chorych przeciągały się one do wieczora, a pracowałyśmy również w niedziele i święta.

Zależało nam bardzo na tym, aby te wizyty nie tylko przypominały normalny obchód szpitalny, lecz aby także zdołały wyrwać nieszczęsne chore z obozowo-chorobowej martwoty, a tym samym obudzić w nich siły żywotne Przy nieprawdopodobnym prymitywie urządzeń, przy niedostatecznej ilości leków, przy stałym koszmarze obozu chciałyśmy tym bardziej, aby wewnętrzna atmosfera szpitala łącznie z naszą pracą pozwoliła chorym odzyskać wiarę w przetrwanie i w powrót do zdrowia, co oczywiście zwiększało nasze skąpe możliwości lecznicze.

*
* *

Nie można było na chwilę zapomnieć, że znajdowałyśmy się w obozie koncentracyjnym, gdzie każdego dnia groziły możliwości różnych niespodzianek, a władze niemieckie usilnie starały się, aby tych niespodzianek nie zabrakło także w obozowym szpitalu.

Gdy wpadała do nas komendantka *Elsa Erich*, a niestety zdarzało się to bardzo często, z reguły robiła o coś awanturę i prawie każda jej wizyta kończyła się biciem kogoś z personelu. Zawsze znalazła coś, co według niej było przestępstwem obozowym: miska gotującej się wody dla chorych spragnionych picia, nieprzepisowo na baczność stojąca pielęgniarka, zbyt ciepły piecyk, niedostatecznie wygładzony koc na pryczy. Każde z podobnych przestępstw zasługiwało na wymysły i razy, a miska wrzątku kopnięciem buta była zrzucana z piecyka.

Te „wizytacje" komendantki były na szczęście krótkie i niecodzienne. Natomiast najgorszą plagą byli esesowscy sanitariusze, którzy mając oficjalny przydział do szpitala kręcili się po nim całymi dniami. W praktyce całe ich zajęcie ograniczało się do coraz to nowych szykan i stałego przeszkadzania nam w pracy. Miewali szały porządku i innowacji, wodzili palcami po sufitach baraków, szukając tam kurzu, wyrzucali sprzęt ambulatoryjny na podłogę, rzekomo nie tak ułożony, jak trzeba, darli karty gorączkowe, jakoby źle zapisane, kazali wypisywać chore ze szpitala, uważając je za symulantki, lub przeprowadzać je z jednego baraku do drugiego. Niewyczerpani byli w coraz złośliwszych i bezsensownych pomysłach.

Wyróżniali się w tym *Reinertz* i *Musfeld*, który był także szefem krematorium. Ten ostatni pił także na umór i po pijanemu strzelał w baraku szpitalnym z rewolweru w podłogę czy nogi taboretów, gdzie popadło. W przystępie pijackiego napadu zaprowadził mnie kiedyś do krematorium, twierdząc, że za sabotaż i nieposłuszeństwo musi ze mną wreszcie skończyć, ale krematorium właśnie przed godziną się zepsuło i było nieczynne.

Trzeci sanitariusz, *Konieczny*, wyżywał się przede wszystkim w żydowskich selekcjach w łaźni, górując w tym względzie nad swoimi kolegami; wszyscy trzej zresztą po zakończeniu selekcyjnej akcji wracali do szpitala obładowani zagrabionymi zegarkami, biżuterią i złotem. *Reinertz* przepadał także za nacinaniem ropni, których wskutek wszawicy i świerzbu było dużo. Robił to zawsze niemytymi rękami, a wygotowany skalpel wycierał przed zabiegiem o swoje brudne spodnie. Na szczęście, trójka ta nie urzędowała u nas przez cały czas trwania szpitala; przyszedł po nich sanitariusz *Havenith*, który się nie upijał, nie awanturował i można było przy nim względnie spokojnie pracować.

Do kompletu władz szpitalnych należeli niemieccy lekarze obozowi. Pierwszy był *Bodman*, potem *Blanke* i jego pomocnik *Rindfleisch*. Lecznictwo szpitalne nie obchodziło ich zupełnie, jedynie młody *Rindfleisch* interesował się tym trochę. Nie należała do wyjątków obojętność obozowych lekarzy niemieckich na sprawy szpitalne, z reguły nie poniżali się oni bowiem do tak nieinteresujących zajęć, jak leczenie chorych; ludzi tych absorbowały selekcje, czyli wydawanie wyroków śmierci. To, że lekarze niemieccy na kobiecym polu w Majdanku nie wtrącali się w sprawy szpitala, było nieocenionym błogosławieństwem, gdyż można było bez żadnej kontroli z ich strony przyjmować chore i wypisywać je wtedy, kiedy się uznawało za stosowne, co zarówno dla nas, jak i dla chorych było niesłychanie cenne.

Trudno pojąć, dlaczego jako masowych morderców w obozach hitlerowskich wyznaczano właśnie lekarzy, a nie wykonywali zamiast nich zbrodniczej roboty zwyczajni oprawcy esesowscy, dlaczego angażowali się w te zbrodnie ludzie z dyplomem lekarza lub noszący miano sanitariuszy. Przecież i jednych, i drugich gdzieś uczono, że mają ludzi ratować od chorób i śmierci, nieść pomoc i opiekę, a nie wysyłać na śmierć. Co więcej, niemieccy lekarze trud-

nili się swym krwawym rzemiosłem obozowym nie tylko bez wewnętrznych oporów, ale ze zwierzęcym uśmiechem na ustach, jak *Blanke*, lub z szatańskim błyskiem w oczach, jak *Mengele*, czy też z bardzo znudzoną miną, jak *Fischer* w Ravensbrück. *Blanke* potrafił także strzelać z rewolweru do Żydówek, gdy te uciekały z szeregów przeznaczonych do komory gazowej; *Mengele* na moich oczach wrzucał w płomienie palących się rowów maleńkie dzieci żydowskie, wyjmując je własnoręcznie z wózków stojących rzędem na oświęcimskiej rampie kolejowej. Lekarze *Gebhard* i *Fischer* dokonywali w Ravensbrück masowych, morderczych operacji na młodziutkich dziewczętach polskich. Zawsze buntuję się wewnętrznie, gdy muszę mówiąc o tych zbrodniarzach używać słowa: lekarze.

W szpitalu majdankowskim nie tylko nie wtrącali się oni do przyjmowania chorych, lecz także — dziwnym i wprost zagadkowym zbiegiem okoliczności — żaden z tych zbrodniarzy nie robił w nim selekcji żydowskich. Odbywały się one w łaźni, w kolumnach roboczych stojących na polu obozowym, ale nigdy w szpitalu. Natomiast wiem, że na sąsiednich, męskich polach selekcje szpitalne niemieccy lekarze obozowi urządzali wielokrotnie i to nie tylko w wypadku Żydów.

Selekcja, niewinne słowo, określane w encyklopedii jako dobór lub wybór, tu, w obozie, było nabrzmiałe potworną, zbrodniczą treścią. Gdy *Blanke* śmiejąc się, a sanitariusze wrzeszcząc wyciągali kobiety z szeregów ustawionych piątkami, wydawali wyroki śmierci na odsunięte z tłumu kobiety. Kolejny etap skazanych rozgrywał się w komorze gazowej. *Blanke* z upodobaniem wpatrywał się w okienko komory, obserwując przedśmiertne drgawki swoich ofiar. Po zakończeniu „akcji" zwłoki wędrowały do krematorium. Dławiący w gardle dym z krematoryjnego komina był finałem tych zbrodni.

*
* *

Klasycznym przykładem obozowego absurdu i brutalnego znęcania się nad więźniami było przysłanie z Oświęcimia na wiosnę 1943 roku 800 kobiet chorych na zimnicę. Wszystkie trzeba było od razu umieścić w szpitalu. Te młode greckie Żydówki — a wśród nich kilkanaście Polek — przedstawiały bardzo żałosny widok. Stale drżały z powodu zimna naszego klimatu i malarycznych dreszczy, skupiały się w przytulone do siebie gromadki, wodząc dokoła przerażonym wzrokiem; głodne i spragnione, wszędzie szukały resztek płynów i jedzenia. Gdy nastało ciepłe lato, a jednocześnie gdy przy pomocy PCK i RGO można było zacząć je leczyć należycie i odżywiać, nasze Greczynki bardzo się poprawiły i odmieniły. Nie dygotały już z zimna, odzyskały swój dziewczęcy wygląd i urodę, zaczęły się nawet na nowo uśmiechać, wyzbyły się lęku, były ufne i serdeczne. I właśnie wtedy, kiedy odzyskały cechy normalnego człowieczeństwa, a nawet może i wiarę w przetrwanie, wymordowano je wszystkie w pamiętnym dniu 3 listopada 1943 roku.

*
* *

Sanitarnym władzom obozowym nie brakowało nigdy zaskakujących pomysłów. W okresie największego nasilenia epidemii duru wysypkowego, w początkach czerwca 1943 roku przyszło z kancelarii obozu pismo do szpitala, że od następnego dnia nie wolno meldować żadnego przypadku duru. Nie wiedziałyśmy, jak na to zareagować, mając dwa pełne baraki durowe. Na drugi dzień rano zjawił się w ambulatorium *Musfeld*. Wszedł w chwili, gdy badałam chorą przyniesioną z baraku. Zobaczył wysypkę, spytał mnie: „plamisty?" i gdy odpowiedziałam twierdząco, kazał zanieść chorą do pustego, sąsiedniego magazynu; zamknął się tam na klucz i nie pozwolił nikomu wchodzić. Po 15 minutach wyszedł i kazał mi wejść do magazynu. Chora już nie żyła. Uśmiercił ją zastrzykiem dożylnym, prawdopodobnie fenolem. Wskazując na zmarłą wykrzykiwał do mnie: „Nie ma więcej tyfusu plamistego na kobiecym polu, zrozumiałaś?!" Istotnie, zrozumiałam, co grozi każdej chorej na dur i czym się skończy ujawnienie każdego przypadku tej choroby. Od razu wiedziałam, że trzeba zainscenizować i odegrać komedię jeszcze jednego więcej zakłamania obozowego.

Całą noc przepisywałyśmy karty chorobowe i gorączkowe w obydwu barakach; nazajutrz leżały tam chore z wszystkimi możliwymi rozpoznaniami, tylko nie z durem wysypkowym. Jakże szybko i radykalnie władze obozowe likwidowały epidemię! Nikt mnie więcej nie pytał, co się stało z tymi chorymi, które przed dwoma dniami były meldowane w raporcie codziennym jako przebywające dur wysypkowy.

Przeżyłam w tym okresie jednak sporą emocję. Pewnego dnia zameldowano, że przyjedzie do naszego szpitala komisja lekarska z Berlina. Istotnie, przyjechało sześciu Niemców w towarzystwie lekarza obozowego, *Blankego*. Oprowadzając ich po barakach durowych, recytowałam jak z nut wszystkie wymyślone rozpoznania, z obawą jednak, gdyż przeważnie nieprzytomne chore miały swoisty, durowy wygląd. Kontrolujący prawie biegiem przeszli przez baraki szpitalne, nie zatrzymując się ani na chwilę przy żadnej chorej, a tylko na zakończenie zapytali: *„Kein Fleckfieber auf Lager?"* (Nie ma duru wysypkowego w obozie?), na co skwapliwie odpowiedziałam: *„Jawohl, kein Fleckfieber"* (tak jest, nie ma duru wysypkowego). Komedia komisji była zakończona, a chore kobiety mogły spokojnie pod innymi rozpoznaniami powracać do zdrowia.

A przyczyna, dla której zakazano meldowania duru wysypkowego okazała się klasycznie typowa dla atmosfery zakłamania obozowego. Mianowicie przyszło z Berlina do komendy obozu pismo, że jeśli w Majdanku będzie epi-

demia duru wysypkowego, zostaną wstrzymane urlopy esesmanów.

*
* *

W lipcu 1943 roku błędne koło obozowego nonsensu przygnało na nasze pole kilkaset kobiet z dziećmi z wysiedlonej Zamojszczyzny i Biłgorajskiego. Trzy kobiety weszły z zawiniątkami w ręku; niosły w nich noworodki urodzone poprzedniej nocy w stłoczonych, bydlęcych wagonach. Zębami odgryzły pępowiny, a noworodki zawinęły w części swojej garderoby i nazajutrz po porodzie szły pieszo kilka kilometrów z Lublina do Majdanka. Wzięłyśmy te kobiety do szpitala, do którego poszły zresztą niechętnie; okres połogu odbyły, a noworodki chowały się zdrowo. Po przyjściu kobiet z Zamojszczyzny porody zaczęły się powtarzać jeden za drugim. Były kłopoty z bielizną dla noworodków; owijałyśmy je początkowo w papierowe bandaże, ale koleżanki ze szwalni szybko poszyły dla nich koszulki i pieluszki. Zaczęła się też u starszych dzieci epidemia odry i ospy wietrznej. I właśnie w największym jej nasileniu cała Zamojszczyzna wychodziła z obozu. Pomimo naszych perswazji gorączkujące, z wysypką dzieci zabierały matki pospiesznie ze szpitala, aby tylko razem, jak najszybciej opuścić ten obrzydliwy obóz. Na szczęście był wtedy ciepły, słoneczny, letni dzień.

A we wrześniu, chyba także na zasadzie nonsensu, cały obóz kobiecy został przeniesiony na pierwsze pole. Było sporo zamieszania i roboty z przenoszeniem chorych, z doprowadzeniem do czystości bardzo zaśmieconych i nieprawdopodobnie zapchlonych baraków i z zagospodarowaniem się w nowym otoczeniu. Pierwsze pole zewnętrznie niczym nie różniło się od piątego; takie same baraki, podobnie tonąca w błocie obozowa ulica ze stojącą pośrodku szubienicą. Z urządzeń obozowych było tylko jedno bardzo dla nas cenne, mianowicie pole było skanalizowane i dochodziła woda. W oddzielnych pomieszczeniach w końcu każdego baraku znajdowały się krany z wodą i korytka, a także parę prowizorycznych sedesów, a więc luksus w porównaniu z odkrytymi dołami kloacznymi piątego pola.

Szpital rozmieściłyśmy w sześciu barakach. W pierwszym urządzono ambulatorium, kancelarię, apteki, dwie salki chorych i gabinet dentystyczny, o który po wielu staraniach wzbogaciłyśmy się jeszcze na piątym polu. Prowadziła go tutaj *Jadwiga Łuczak* z Radomia, doświadczona lekarka-stomatolog. Aptekę prowadziła mgr farmacji *Józefa Wdowska,* także z radomskiego transportu. Obie pracowały cierpliwie i skrupulatnie. Doszła jeszcze jedna inwestycja: rzekome laboratorium analityczne, które prowadziła *Irena Todleben,* chemik-bakteriolog. Mieściło się ono na jednym stole w baraku IV i składało się z mikroskopu, minimalnego zestawu laboratoryjnego i maszynki elektrycznej.

Współpracowała z nami także kolumna sanitarna, której bardzo ułatwiała pracę woda w barakach; utrzymanie czystości nie stanowiło już takiego zagadnienia, jak poprzednio. W tych warunkach zaczęła wygasać epidemia duru wysypkowego. Gdy ustąpiła ona zupełnie na początku r. 1944 i wydawało się, że będzie trochę mniej roboty, w pierwszych dniach lutego przybył wielki, 780-osobowy transport ciężko chorych kobiet z Ravensbrück. Był to transport koszmarny, który nawet na nas, otępiałych wskutek egzystencji obozowej, zrobił wstrząsające wrażenie.

Wszystkie przywiezione kobiety były wychudzone do ostatnich granic, o szaro-ziemistych, maskowatych twarzach, na których malowało się tylko śmiertelne wyczerpanie. Wydawało się wprost niepojęte, że te szkielety ludzkie mogą się jeszcze poruszać, chodzić i mówić. Wieziono je dwie i pół doby w zimnych, bydlęcych wagonach, bez jedzenia i picia. W Lublinie wrzucono je do ciężarówek jak martwe przedmioty, jedną na drugą. Wszystkie były ciężko chore. Opowiedziały także, że przed tygodniem zrobiono w Ravensbrück w barakach masową selekcję; one właśnie jako najciężej chore padły ofiarą tej selekcji i miały iść do komór gazowych. Ale jakoby popsuło się właśnie krematorium; czekano dwa dni i potem odesłano je do Majdanka. Przerażająca martwota ich twarzy była chyba martwotą skazańców.

Przez dwa dni od świtu do późnej nocy badałyśmy z *Adą Brudkowską* te nieszczęsne chore; rozmieściłyśmy je po różnych barakach, łącznie z nowo przydzieloną, dawną zbiorową umywalnią. Z początku po prostu nie docierało do nich to, że chce się im pomóc, że ktoś się nimi opiekuje, że będziemy je leczyć i starać się, aby żyły. Leczyć, a nawet dożywiać je mogłyśmy względnie nieźle dzięki pomocy PCK i RGO, a także ofiarnych osób z Lublina.

Rozmaitość chorób była ogromna. Najwięcej było gruźlicy i to przeważnie u młodych dziewcząt, głównie Polek i Jugosłowianek. Były przypadki zniekształcającego gośćca stawów i kręgosłupa, przewlekłej niedomogi krążenia z dużymi obrzękami, choroby nerek, pęcherza, przewlekłe ciężkie biegunki i porażenia podurowe. Znajdowała się tam miła, starsza Holenderka ze spastycznym niedowładem podurowym, była też pełna uroku, młoda Belgijka z gruźlicą kręgosłupa i uciskowym niedowładem nóg. Cierpiała bardzo, tym więcej, że do ciężarówki rzucono ją na samo dno, a na niej leżały inne kobiety.

Leczenie tych ciężkich, przewlekłych przypadków nie było łatwe i nie mogło być szybkie, tym bardziej że przybyłe nie mogły przez dłuższy czas wyzbyć się martwoty i ciągłego lęku. Powoli zaczęły się jednak cofać obrzęki i uporczywe biegunki; poprawiały się przypadki gruźlicy; ustępowały podurowe częściowe niedowłady. Belgijka *Peggy Solemé* leżała w gipsowym łóżeczku. Część tych chorych pojechała w kwietniu przy ewakuacji szpitala majdankowskiego z nami do Oświęcimia, a resz-

ta, względnie już zdrowa, została na kobiecym polu, aby potem jeszcze raz wrócić do Ravensbrück podczas likwidacji całego majdankowskiego obozu.

*
* *

W lutym 1944 roku szpital mieścił się już w 10 barakach. Było w nim przeszło tysiąc chorych, a że trwał już drugi rok, wiele tysięcy kobiet przesunęło się przez szpital w ciągu tego czasu. Duża liczba chorych wiązała się ze wspomnianą już różnorodnością chorób.

Najcięższą i najczęstszą chorobą wszystkich obozów, a więc i majdankowskiego, był dur wysypkowy. Rozpoczął się on od samego początku naszego przybycia i epidemia jego wzmagała się lub zmniejszała zależnie od stopnia zawszenia obozu. Trwała przez cały rok 1943; w zimie tegoż roku zaczęła przygasać, a na początku roku 1944 skończyła się całkowicie. Duża w tym była zasługa systematycznej pracy wspomnianej już kolumny sanitarnej, która uparcie walczyła z obozową wszawicą.

Dur wysypkowy był jednak przez ów rok 1943 chorobą tak powszechną, że mało kto się przed nią obronił. Uważany jest za jedną z najcięższych chorób zakaźnych, gdyż z reguły daje bardzo wysoką gorączkę z utratą przytomności, majaczeniem i ogólnym niepokojem, a po spadku ciepłoty wielkie osłabienie. W obozie zaobserwowałam, że dur wysypkowy powodował mniej powikłań niż brzuszny. Dur brzuszny panował przez cały czas, ale u znacznie mniejszej liczby chorych. W obu rodzajach duru starałyśmy się przede wszystkim od początku podtrzymywać miesień serca; o żadnych lekach przeciwdurowych wtedy nie było mowy. W okresie rekonwalescencji zaś szło o to, aby jak najdłużej udało się chorą utrzymać w szpitalu, a po durze brzusznym, aby pilnować diety.

Drugą pod względem zarówno częstości, jak i ciężkości chorobą w obozie była biegunka (*„durchfall"*). Przed nią też niewielu udało się obronić, a było wiele więźniarek, które zapadały na nią wielokrotnie. Najbardziej krytyczny był pierwszy rok pobytu w obozie. O przebiegu decydowała ogólna kondycja fizyczna. Im chora była słabsza i bardziej wyniszczona, tym cięższa była biegunka. Z reguły bardzo uporczywa, szybko prowadziła do odwodnienia i osłabienia mięśnia sercowego. Sądzę, że jedną z jej głównych przyczyn był brak tłuszczu i białka w pokarmach, a także zupełny brak witamin. Częściową przyczyną mogła być też niedogotowana, bardzo często zgniła, zastygła obiadowa brukiew. Nie była to jeszcze typowa biegunka głodowa, którą bardzo często widywało się w późniejszym okresie istnienia obozu, a której towarzyszyły zawsze znaczne obrzęki. Biegunka głodowa była jeszcze bardziej uporczywa i trudniejsza do leczenia. Z pewnością niejednokrotnie jeden rodzaj biegunki przechodził w drugi lub oba się na siebie nakładały.

Najwięcej kłopotu w tej chorobie sprawiała konieczność ścisłej diety. PCK i RGO przysyłały zupę dietetyczną dwa razy w tygodniu, co i tak bardzo ratowało sytuację, podobnie jak paczki z domów. Jakim to było istotnie błogosławieństwem, przekonałam się w skali porównawczej w Oświęcimiu i Ravensbrück, gdzie biegunka ścinała z nóg, zwłaszcza w warunkach zupełnej głodówki.

Bardzo częstą, a można powiedzieć — także nieodłączną chorobą obozu był świerzb jako naturalny wynik zawszenia i złych warunków higienicznych i sanitarnych. Jesienią i zimą, kiedy zmarznięte kobiety niechętnie się myły, świerzbu było najwięcej. Jako najczęstsze powikłanie tej choroby zjawiała się czyraczność, a nawet duże ropnie i ropowice, które występowały wskutek ciągłego drapania chorej skóry.

W pewnym okresie pojawiło się kilkadziesiąt przypadków rumienia guzowatego, przebiegającego w dość łagodnej postaci, bez powikłań. Interesujące jest, że wszystkie chore na rumień pochodziły z jednej kolumny roboczej, tj. kartoflarni.

Gruźlica była także częstą chorobą obozową. Przeważała gruźlica płuc, ale spotykało się również gruźlicę kości, kręgosłupa, skóry. Oczywiście nie było mowy o żadnej kontroli rentgenowskiej ani o badaniach pomocniczych.

Z chorób zakaźnych była jeszcze krótkotrwała epidemia odry i ospy wietrznej u dzieci z Zamojszczyzny i 800 przypadków zimnicy u chorych przywiezionych z Oświęcimia już z tą chorobą. Bywały też anginy i jeden przypadek błonicy, na którą w zagadkowy sposób zapadła jedna z więźniarek. Do tego dochodziła bogata skala chorób wewnętrznych, z których najczęstsze były uporczywe niewydolności krążenia z ogromnymi obrzękami kończyn, a czasem i z wodobrzuszem.

Zdarzały się pewne niespodzianki zdrowotne. Na przykład kobiety, które od lat leczyły się z powodu różnych chorób żołądka, wątroby i dróg żółciowych, tutaj prawie się na to nie uskarżały. Widocznie wyżywienie obozowe, pozbawione tłuszczów, używek i wyciągów mięsnych, w tych właśnie przypadkach zadziałało jak lecznicza dieta.

Chorób wenerycznych spotykało się niewiele. Aczkolwiek tworzono wewnątrz wszystkich kobiecych obozów koncentracyjnych domy publiczne, korzystali z nich tylko esesmani, a w soboty także więźniowie *volks* i *reichsdeutsche* i specjalnie zasłużeni „kapo". W Majdanku już wiosną 1943 roku niemiecki lekarz obozowy oświadczył mi, że mam brać krew na odczyn Wassermanna i rozmazy u tych kobiet, które się zgłoszą do domu publicznego. Na porannym apelu komendantka miała ogłosić, że taki przybytek się organizuje i kandydatki mają przyjść do ambulatorium na badania. Pobrany materiał odsyłano do Lublina, a odpowiedź wracała do nas do szpitala. Ku mojemu zdziwieniu zgłosiła się zaskakująco duża liczba, kilkadziesiąt kobiet. Nie doszło jednak do stworzenia domu publicznego, jakkolwiek chęt-

ne kandydatki dopytywały się, kiedy będą zatrudnione. Krew na odczyn Wassermanna pobierałyśmy także co miesiąc u kobiet, które pracowały w kuchni esesowskiej.

Wielką naszą troską były chore psychicznie. Było ich kilkanaście. Po masowych egzekucjach bicia, w okresach nasilonych selekcji, zawsze zjawiały się nowe, chore psychicznie więźniarki, wśród nich schizofreniczki, ciężkie stany depresyjno-maniakalne i inne. Za to niespodzianką znów był prawie zupełny brak histerii i zwykłych nerwic ogólnych.

Natomiast chyba do zaburzeń układu neurowegetatywnego należałoby zaliczyć masowe zatrzymywanie się krwawień miesięcznych. Zaczynało się ono w więzieniu i trwało przeważnie przez cały czas obozu. Znałam bardzo wiele młodziutkich dziewcząt i dojrzałych kobiet, u których brak miesiączki trwał parę obozowych lat i u których wszystko wróciło do normy w pierwszym miesiącu po uwolnieniu. Te zaburzenia powodowały niejednokrotnie różne objawy, jak uporczywe migreny, uderzenia do głowy, bóle w podbrzuszu i wzmożoną pobudliwość nerwową.

Z tak wyjątkowo dużą liczbą awitaminoz spotkałam się tylko w obozach. Występowały one jednak dopiero po pewnym czasie od uwięzienia. Tylko więźniowie z transportów rosyjskich przyjeżdżali już z awitaminozami, podobnie jak prawie wszystkie oświęcimskie Greczynki, przybyłe z zimnicą, cierpiące na gnilec w różnych postaciach i stopniach nasilenia. Gdy zaczęły nas dożywiać PCK i RGO i gdy przywożono kiszoną kapustę, o którą bardzo prosiłam, gnilec u Greczynek cofał się w tempie po prostu błyskawicznym. Gdybym tego sama nie oglądała, nigdy bym nie przypuszczała, że tak szybko, z dnia na dzień, może się cofać wysoko zaawansowana awitaminoza. Prócz gnilca wskutek niedoboru witamin było także wiele chorób skórnych i zaburzenia w widzeniu. Liczne odchylenia od normalnego stanu zdrowia ostatecznie okazywały się często awitaminozami.

*
* *

Liczba chorych w szpitalu była różna zależnie od zapełnienia obozu i od tego, czy panowała jakaś epidemia. W połowie 1943 roku, gdy szpital mieścił się już w sześciu barakach, chorych było przeciętnie 500—700; gdy zaś przywieziono chore z Ravensbrück, liczba chorych wzrosła do 1 300 i wtedy szpital miał dziesięć baraków. Do Oświęcimia wyjechało razem z nami około 700 chorych.

Śmiertelność w kobiecym szpitalu majdankowskim, jak na warunki obozowe, była niewielka, ale zmienna, przede wszystkim w zależności od nasilenia epidemii duru wysypkowego. Gdy się mówi o śmiertelności, myśli się jednocześnie o ludziach martwych. Jedną z najcięższych potworności obozowych było właśnie nieposzanowanie zwłok. Jak poniewierano człowiekiem za życia, tak tym bardziej pomiatano nim po śmierci. Po kobietach zagazowanych i spalonych w krematorium pozostawał mdlący dym. Zwłoki zmarłych w szpitalu też musiano odstawiać do krematorium. Okropnością było także nakazane usuwanie zmarłym złotych koronek zębowych, jeśli je posiadały. Przez jakiś czas robił to lekarz z męskiego pola, potem zmuszono do tej czynności naszą dentystkę pod kontrolą esesowskiego sanitariusza.

Zmarłe nagie, bo ubranie było przecież rzeczą cenną, układało się za barakiem na ziemi; na pierwszym polu kazano je kłaść w umywalni. Rano przychodzili „nosiciele trupów" z męskiego pola ze zwykłymi taczkami, na które rzucali nagie zwłoki i szli z nimi przez cały obóz. Taczki były płytkie i małe, ręce i nogi zmarłych zwisały, a czasem nawet wlokły się po ziemi. Gdy umarła matka jednej z pielęgniarek i córka z koleżankami chciała ją sama wynieść, ułożoną równo na noszach i ubraną w pasiak, *Blanke* i *Erich* zrobili o to dziką awanturę.

Przez parę powojennych lat w prześladujących mnie snach obozowych często przeżywałam na nowo te właśnie obrazy, martwe ręce uderzające głucho o taczki i wlokące się po ziemi nogi moich zmarłych chorych.

*
* *

Różnorodność chorób, podobnie jak liczba chorych, stała w jaskrawym kontraście z możliwościami leczniczymi, zwłaszcza w pierwszych miesiącach naszego pobytu w Majdanku. Brak leków, stała i tragiczna bolączka wszystkich szpitali obozowych, był typowym przykładem wyrafinowanej perfidii i zakłamania obozowych władz. Pełne baraki ciężko chorych i prawie nie istniejąca możliwość aktywnego leczenia, to była codzienna obozowa rzeczywistość i nasza stała zgryzota.

Co tydzień pisało się oficjalne zapotrzebowanie apteczne z podaniem aktualnej liczby chorych i wysyłano do centralnej apteki na męskim polu, ale prawie nic się nie dostawało. Tygodniowy przydział dla kilkuset chorych obejmował zaledwie jako leki przeciwgorączkowe trochę salicylanów i sulfamidów, z modnym wówczas prontosilem, węgiel i *bolus alba* przeciw biegunce, a z leków nasercowych krople walerianowe i po trzy ampułki kardiamidu, kofeiny i kamfory. Kilkanaście papierowych bandaży, paczka gazy, ligniny i trochę jakiejś maści były dopełnieniem tego cotygodniowego zaopatrzenia aptecznego.

W tych warunkach możliwości leczniczych nie osiągających najkonieczniejszego minimum, w ciężkiej i zdawałoby się beznadziejnej sytuacji przyszła na ratunek chorym więźniom Majdanka ofiarna Lubelszczyzna. Pomimo pełnej izolacji obozu docierały do Lublina wiadomości o tym, co się dzieje za pobliskimi drutami. Przezacni, pełni poświęcenia lubliniacy ruszyli do akcji pomocy. Niestrudzony prezes lubelskiego Polskiego Czerwonego Krzyża, *Ludwik Christians*, po niezliczonych staraniach zdobył wreszcie od marca 1943 roku zezwole-

nie na dowożenie raz w tygodniu leków i żywności dla chorych polskich więźniów. Ta piękna, nieoczekiwana pomoc, choć na pewno nie wystarczająca, była po prostu zbawienna i w pełni z wdzięcznością przez nas doceniana.

Gdy po paru miesiącach nawiązałyśmy kontakty „grypsowe" z prezesem *Christiansem*, prosząc o większe ilości i większe zróżnicowanie rodzajów leków, od razu zaczęłyśmy je otrzymywać, a nasze możliwości lecznicze poprawiły się znacznie. Ofiarny i niestrudzony zespół Czerwonego Krzyża był pełen pomysłów w niesieniu nam pomocy. Udało się nawet uzyskać przewiezienie kilku kobiet w ostatnich tygodniach ciąży i paru bezpośrednio po porodzie do szpitala w Lublinie; przysłano nam słomę do sienników, o którą nieśmiało prosiłam w którymś z „grypsów"; ofiarodawcy pamiętali także o obdarowaniu chorych na święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Należy wymienić choć parę nazwisk spośród najaktywniejszych ówczesnych działaczy PCK: *Ludwik Christians, Zofia Orłowska, Elżbieta Krzyżewska, L. Jurek* i lekarze: *Cyprian Chromiński, Michał Voit, Aleksander Rybiński* i mgr *Sobaczewski.*

Jesienią 1943 roku dołączyła się do akcji pomocy chorym w Majdanku druga lubelska organizacja charytatywna: RGO. Przywożono dwa razy tygodniowo pożywne, dietetyczne zupy, bułki ze sztucznym miodem, mleko, cukier i duże ilości różnych leków, o które prosiłyśmy. W RGO także pracowali ludzie godni podziwu. Ze wzruszeniem wspominam przywożącą dary RGO panią *Janinę Suchodolską,* która pomimo czujnych oczu esesowców zawsze umiała podać mi świeże wiadomości polityczne i której pomysłowość i inwencja były niezmordowane. To ona z ramienia RGO wystarała się u komendanta obozu o zezwolenie na dodatkowy przyjazd w dzień wigilii i przyjechała, przywożąc mnóstwo pięknie ubranych choinek, wigilijnego jedzenia i opłatków. Ona także wespół z p. *Hanną Huskowską* przywoziła nielegalnie, pod bułkami, książki dla chorych więźniów i zabierała i przywoziła „grypsy", czym też systematycznie się trudnił pan *L. Jurek* z PCK. Wysiłki tych charytatywnych organizacji odbiegały daleko od zwykłej, formalnej działalności.

Oprócz pomocy organizacji charytatywnych dla więźniów Majdanka również prowadzono całkowicie nielegalną akcję ratowania ich życia. Do szlachetnych i niesłychanie odważnych ludzi, którzy przedsięwzięli te grożące niebezpieczeństwem starania, należała inicjatorka i kierowniczka wspomnianej akcji, nieustraszona *Saturnina Malmowa;* już z początkiem 1943 roku udało się jej nawiązać kontakt grypsowy najpierw z męskim, a potem z kobiecym polem. W „grypsach" były prośby o żywność, leki, wiadomości. *Malmowa* skupiła wokół siebie podobnie ofiarnych ludzi i tak powstała nielegalna organizacja pomocy. Do obozu posyłano paczki żywnościowe, leki, czasem nawet sprzęt lekarski, szczepionki i wiadomości polityczne. Nieprzerwanie rozwijała się ta akcja w miarę rosnących potrzeb aż do końca egzystencji majdankowskiego obozu. Wymagała ona nie tylko wielkiej ilości pieniędzy, czasu, starań, lecz także niezwykłego poświęcenia i odwagi. Niezmiernej wytrwałości i zawziętości trzeba było, aby prowadzić tę pracę niestrudzenie przez cały czas, narażając się w najlepszym wypadku na uwięzienie i obóz. Ta systematyczna pomoc była konsekwentną odpowiedzią na prośby ciągle przychodzące z obozu.

Więźniowie Majdanka doceniali w pełni nie tylko odwagę i poświęcenie tych, którzy nieśli im pomoc, lecz także serdeczną troskę promieniującą z ich poczynań. Dlatego też w listach do *Saturniny Malm* nazywali ją zawsze „Mateczką" (zob. ryc. 1 i 1a, 2 i 2a). Przechowały

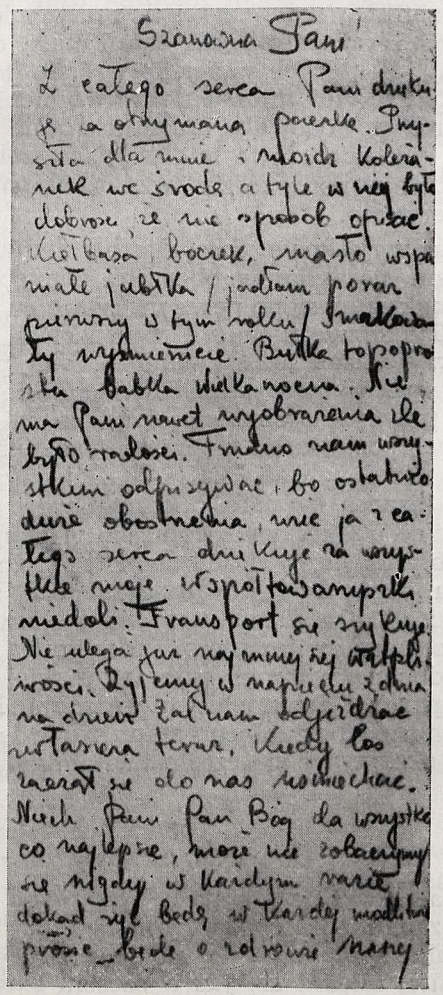
Szanowna Pani
Z całego serca Pani dziękuję za otrzymane paczki. Były one dla mnie i wielu Koleżanek we środę a tyle w nich było dobrego że nie sposób opisać. Kiełbasa, krochel, masło wspaniałe jabłka / jednym słowem poranienny w tym wojsku / Smakowały tym wyśmienicie. Bułka to prosto z babki wielkanocnej. Nie ma Pani nawet wyobrażenia ile było radości. Trudno nam wszystkim odpisywać, bo ostatnio dużo obostrzeń, więc ja z całego serca dziękuję za wszystkie moje współtowarzyszki niedoli. Transport się szykuje. Nie ulega już najmniejszej wątpliwości. Byliśmy w najbliższą środę na drugi załadunek odjeżdżać ostatecznie teraz. Kiedy los zaczął się do nas uśmiechać. Niech Pani Pan Bóg dla wszystkich co najlepsze, może nie zobaczymy się nigdy w każdym razie dokąd się będę w każdej modlitwie proszę będzie o zdrowie Matki

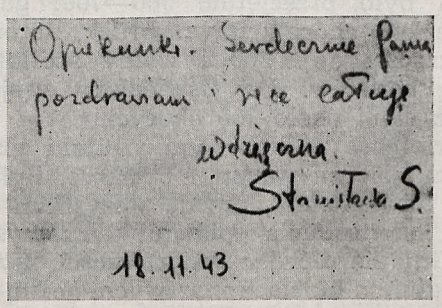
Opiekunki. Serdecznie Pani pozdrawiam i życzę całego
Wdzięczna
Stanisława S.
18.11.43

Ryc. 1 i 1a. Reprodukcja „grypsu" *Stanisławy Sobieskiej* do *„Mateczki" (Saturniny Malm).* Jest to podziękowanie z dnia 18 listopada 1943 roku za otrzymaną paczkę

się „grypsy" i liczne, bardzo ubogie, obozowe drobiazgi, przysyłane wraz z nimi jako dowód wdzięczności.

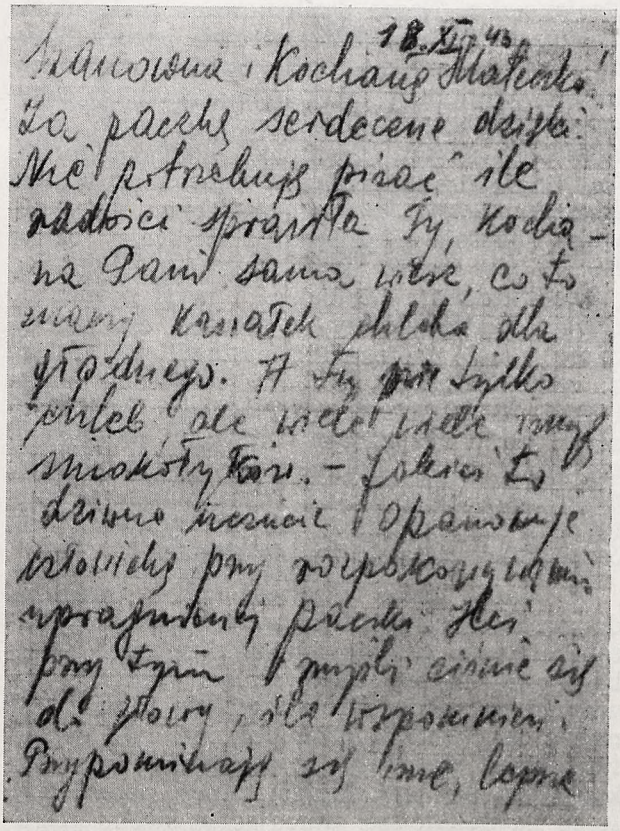

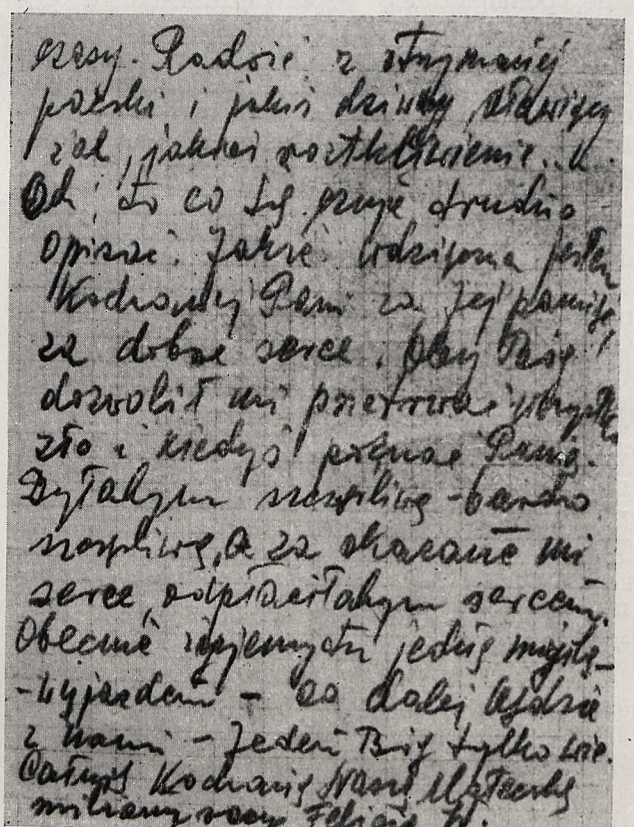

Ryc. 2 i 2a. Reprodukcja „grypsu" *Felicji Wierzbickiej* do *Saturniny Malm* (również podziękowanie za dostarczoną paczkę)

Żyją także ludzie, którzy akcję pomocy prowadzili, do tej pory prawie bezimienni. Na przypomnienie zasługują ich nazwiska: wspomniana już *Saturnina Malmowa (Mateczka)*, *Elżbieta Krzyżewska* (pseudonim *Córcia*), *Antonina Grygowa* (pseudonim *Ciotka*), dr *Teodor Lipecki*, dr *M. Voit*, państwo *Janiszewscy*, mgr farmacji *Józef Wójcik*, dr *J. Adamczyk*, dr *M. Woskowski*, *Jan Supryn*, *M. Pniewski*, *J. Dąbrowski*, *G. Bąbolewska*, *Stanisława Warda*; z nie żyjących: szarytka siostra *Jadwiga* i mgr farmacji *Migurski*. Jeżeli ta lista nie obejmuje wszystkich uczestników akcji kierowanej przez *Saturninę Malmową*, pominięci niechaj to wybaczą; wytłumaczeniem jest odległość 22 lat. My, byli więźniowie Majdanka, nie zapomnimy nigdy, ile zawdzięczamy całej ofiarnej Lubelszczyźnie.

*

* *

Z tego, choć bardzo skróconego i fragmentarycznego opisu naszego szpitala w Majdanku wynika jednak wyraźnie, że miał on sytuację pomyślniejszą i łagodniejszą niż inne szpitale obozowe; składały się na to swoiste warunki na kobiecym polu, np. niewtrącanie się lekarzy niemieckich do spraw szpitala, a przede wszystkim pozostawienie nam zupełnej swobody w zakresie przyjmowania i wypisywania chorych. To był moment najbardziej istotny.

Z początku jako nowicjusz myślałam, że tak jest również gdzie indziej. Dopiero gdy w Oświęcimiu i Ravensbrück zobaczyłam, jak niemieccy lekarze biorą jak najbardziej czynny udział w przyjmowaniu i wypisywaniu chorych, gdy patrzyłam na gehennę ambulatoryjnych przyjęć z szykanami lekarza *SS*, gdy wysłuchiwałam dzikich awantur *Mengelego* i *Königa* o zbyt małe wypisywanie chorych, gdy musiałam patrzeć na szpitalne selekcje *Mengelego* i na wyrzucanie przez niego ze szpitala ciężko chorych, gdy musiałam wspólnie z oświęcimskimi koleżankami przeżywać ciągły lęk o los naszych chorych, dopiero wtedy doceniłam w pełni, jakim błogosławieństwem dla kobiecego Majdanka było pozbawione wszelkiej aktywności zachowanie się tamtejszych lekarzy niemieckich.

Tej bierności, będącej *curiosum* w obozach, nie spotkałam już w Oświęcimiu i Ravensbrück. Codzienne niepokoje i obawy o los więźniarek w „rewirach" były oszczędzone szpitalowi w Majdanku, poza jedynym dniem 3 listopada 1943 roku. Z tym większym uznaniem i podziwem myślę o oświęcimskich koleżankach za ich niezmordowaną pracę w najtrudniejszych warunkach.

Drugim atutem szpitala w Majdanku była intensywna pomoc ofiarnej Lubelszczyzny, dzięki której przez ostatnie osiem miesięcy prawie w ogóle nie brakowało lekarstw, a chore mogły być dożywiane i otrzymywały choć częściową dietę. Po trzecie, w pierwszych transportach na kobiece pole Majdanka przybyły

polskie więźniarki polityczne i z nich można było zmontować personel szpitalny, dzięki szczególnemu przypadkowi ofiarny dla chorych, fachowy, zżyty z sobą, stanowiący koleżeńską grupę o skrystalizowanych, mocnych charakterach.

Gdy zaczynałyśmy pracę w lutym 1943 roku w jednym baraku na piątym polu, personel ten składał się z kilkunastu osób, a po roku, gdy szpital rozrósł się do 10 baraków, sięgał niemal setki. Kilka miesięcy byłyśmy tylko z *Adą Brudkowską* same, bez pomocy innych lekarek i nie poradziłybyśmy sobie, gdyby nie idealna współpraca z personelem pomocniczym. Ze względu na niezmordowaną pracowitość tych kobiet, które mogły być wzorem pracy pielęgniarskiej i dokonały wielkiego wkładu w ratowanie życia chorych więźniarek, należy tutaj wymienić je imiennie. Były to: *Wanda Albrecht-Kowalska, Maria Bielicka, Maria Szczepańska, Stefania Błońska, Kazimiera Bojakowska, Danuta Brzosko-Mędryk, Halina Cetnarowicz, Danuta Cichawa, Zofia Chlewicka, Danuta Czajkowska, Zofia Baseliak, Maria Dworakowska, Janina Despot-Zenowicz, Anna Fularska, Zofia Fabowska-Grzeżutko, Helena Gallowa, Janina Grabska, Wiesława Grzegorzewska, Irena Hołownia, Alina Jankowska, Maria Jaroszewicz, Alicja Kamińska, Jadwiga Korwin-Kamińska, Józefa Kobyłecka, Joanna Kozera, Zofia Krasińska-Leśniakowa, Eugenia Kucierzyńska, Jadwiga Lipska-Węgrzecka, Irena Lipińska, Krystyna Mostowska, Eugenia Matuszewska-Wagnerowa, Hanna Mierzejewska, Barbara Narbutowicz, Antonina Nieszczyńska, Aleksandra Nostitz-Jackowska, Zofia Orlicka, Wanda Orłoś, Wanda Ossowska, Hanna Narkiewicz-Jodko, Irena Pełka, Alina Paradowska, Alina Pleszczyńska-Bentkowska, Danuta Plutecka, Irena Peters, Maria Polkowska, Hanna Protasowicka, Maria Rosner, Stefania Rożek, Julia Rodzik, Stefania Sawicka, Zofia Sierant-Wójtowicz, Iwona Stembrowicz, Wanda Ślusarczyk, Janina Ślusarczyk, Halina Śliwińska, Halina Stypułkowska, Stanisława Sobieska, Maria Stpiczyńska, Irena Todleben, Tatiana Trojanowicz, Maria Ulatowska, Ludwika Wiśniewska, Wiesława Warchałowska, Józefa Wdowska, Maria Wierzbicka, Janina Wierzbicka, Matylda Woleniowska, Irena Wartasiewicz, Bronisława Wasiak, Jadwiga Wolska, Irena Zatrybowa, Karolina Żurowska, Maria Żurowska, Hanna Żurowska, Daromira Żenczykowska* i *Maria Żupańska.*

Spośród wymienionych trzy osoby zostały zwolnione z obozu: *Hanna Narkiewicz-Jodko, Zofia Orlicka* i *Maria Stpiczyńska.* Zmarły w obozie: *Danuta Cichawa, Helena Gallowa, Hanna Żurowska* i *Maria Żupańska,* a po wojnie *Hanna Protasowska, Zofia Sierant, Kazimiera Bojakowska, Maria Rosner* i *Tatiana Trojanowicz.* Nasze dyplomowane pielęgniarki pracują nadal w służbie zdrowia oprócz *Wandy Orłoś,* będącej na rencie. Spośród nieletnich, które w szpitalu w Majdanku wzbudziły w sobie zamiłowanie do pracy przy chorych, sześć zostało po wojnie lekarkami: *Wanda Albrecht, Danuta Brzosko, Halina Cetnarowicz, Hanna Fularska, Maria Jaroszewicz* i *Irena Wartasiewicz;* nieletnia więźniarka z Radomia *Joanna Kozera* jest obecnie dyplomowaną pielęgniarką.

Nienawidziłam Majdanka i myśl o nim do dzisiaj spędza mi sen z powiek, ale szpital, chore i cały personel pozostawił na zawsze w mojej pamięci mocne i serdeczne ślady. I choć minęło prawie ćwierćwiecze, zadzierzgnięte wśród nas związki przyjaźni przetrwały tak próbę czasu, jak przetrwały próbę tamtego, majdankowskiego okresu. Niewymierne są wartości takiej przyjaźni, jak niewymierna jest cena, którą przyszło za nią zapłacić...

W obozie, gdzie większość kobiet zmuszano do morderczych robót fizycznych, praca w szpitalu zupełnie słusznie uchodziła za jedną z najlżejszych. Tu się pracowało pod dachem, we względnym cieple, nie marzło się zatem i nie mokło na deszczu godzinami, nie było się bitym przez esesowskie dozorczynie i nie wykonywało się ogłupiającej pracy ponad siły. A co najważniejsze, pracując w swoim zawodzie, pomagało się współwięźniarkom w powrocie do zdrowia i ta świadomość bardzo mobilizowała psychicznie, podkładając treść i sens pod obozową egzystencję. Z całą zatem pewnością nasz zawód pomógł nam bardzo do przetrwania obozu, co doceniałyśmy w pełni i z czego zdawałyśmy i zdajemy sobie sprawę.

Chyba nigdzie tak, jak w obozie, nie czułyśmy wprost namacalnie wartości naszego zawodu, ale też nigdy i nigdzie nie przeżywałyśmy tak tragicznych chwil bezradnego buntu, gdy musiałyśmy być świadkami wysyłania na śmierć bezbronnych naszych chorych, a także bezsilnego, niemego protestu przeciw poniewieraniu zmarłymi. Śmierć była powszechna w obozie, tak samo powszechne było nieuszanowanie zwłok. Ale to nie tylko nie było w stanie w niczym zmniejszyć tragizmu śmierci obozowej, przeciwnie, podnosiło jej majestat nawet do miary antycznego patosu.

O tym nikt, ktokolwiek przeżył obóz, zapomnieć nie jest w stanie.

ZOFIA PAWŁOWSKA
były więzień obozu koncentracyjnego w Majdanku

Krosno nad Wisłokiem

W rewirze na Majdanku[1]

Trzeci z rzędu barak po prawej stronie od bramy, z zewnątrz taki sam jak inne, różnił się od reszty uwidocznionym na froncie znakiem Czerwonego Krzyża. Był to szpital, tzw. „rewir", wymarzony raj dla wielu słabych i zmordowanych więźniarek, przytułek, ostoja i ratunek dla chorych.

Codziennie po rannym apelu stało pod ścianą baraku wielu chorych, przyprowadzanych przez pielęgniarki z kolumny sanitarnej. Do pozostania w rewirze kwalifikowano chore z gorączką 39°, pozostałe odsyłano do baraku. Musiały one stawać na apele i iść do pracy; tylko od dobrej woli lub cywilnej odwagi blokowej zależało, czy chora musiała się męczyć, udając zdrową, czy też za milczącą zgodą leżała w ciemnym kącie, kryjąc się przed okiem *aufzejerki.*

Zawsze jednak w grę wchodziło ze strony dr *Perzanowskiej,* kierującej szpitalem, uczucie ludzkości i chęć dopomożenia nieszczęśliwym. Wiele więźniarek ma jej do zawdzięczenia, że choć z przekroczeniem zarządzeń, dostawały się jednak do szpitala, wracały tym samym szybciej do zdrowia i unikały cięższej choroby. Oczywiście dr *Perzanowska,* sama również więźniarka, była zależna od lekarzy niemieckich, dr *Rindfleischa* i *oberarzta Blankego.* Czego jednak nie potrafi dokonać silna wola i pragnienie niesienia pomocy potrzebującym!

Ileż to razy na hasło: „*Rindfleisch* jedzie" lub „zbliża się *Blanke*" dr *Perzanowska* wydawała momentalnie polecenia, rzucała porozumiewawcze spojrzenia zespołowi lekarek i pielęgniarek i sytuacja w ambulatorium stawała się właśnie taka, jaka „być powinna", a w izbach szpitala znikało wszystko, co mogło niepotrzebnie zwracać uwagę. Ona sama wypadała przed drzwi baraku i stojąc na baczność w swym lekarskim fartuchu zdawała raport. Usta wymawiały niemieckie wyrazy, a równocześnie przez głowę przelatywały jak błyskawica myśli: „Czy *Malinka* zdołała ułożyć odpowiednio i okryć te najstarsze, których wygląd mógł nasunąć *Blankemu* myśl o uśmiercających zastrzykach lub krematorium; czy *Danusia* schowała lekarstwa, które miały być nielegalnie przekazane na pole męskie; czy sień dostatecznie czysta" itd., itd.

Oczy jej patrzyły bystro wprost w oczy przeciwnika, ręce zwisały przepisowo. Miało się wrażenie, że *oberarztowi* pochlebiało takie składanie meldunku przez lekarkę, a ów porządek, który miał obowiązek sprawdzić wewnątrz szpitala wydawał mu się jego zasługą. Na szczęście nie mógł przeniknąć istotnych myśli kierowniczki szpitala ani jego personelu i nic nie wiedział o wielu, bardzo wielu tajemnicach.

Następowała „wizyta", która była zawsze ogniową próbą wytrzymałości nerwowej lekarek, pielęgniarek, służby szpitalnej i chorych. Nieraz na kogoś posypały się gromy, nieraz groźby. Więźniarki leżały na swych pryczach równo wyciągnięte, przygładzone koce upodabniały się do przepisowej „kostki", zmęczone gorączką oczy szły za rosłą postacią lekarza, starając się odgadnąć, co się kryje za jego gestami.

Gdy wizyta odbyła się bez katastrofy i drzwi zamknęły się za „gośćmi", głębokie westchnienie ulgi dobywało się z piersi chorych i pielęgniarki mającej tam dyżur. Ale lekarkę czekały jeszcze dalsze kontrole, oględziny chorych w innych izbach, przegląd środków aptecznych, sprawdzanie nowo zbudowanej umywalni dla chorych i wiele innych spraw, z których trzeba było wyjść cało i z pożytkiem dla cierpiących. Czasem lekarz wpadał tylko na chwilę, ale czasem wizyta przedłużała się męcząco; najgroźniejsze zaś wizyty były wtedy, gdy towarzyszył mu pijany kierownik krematorium. Przed jego półprzytomnym wzrokiem i mało ludzkim wyrazem twarzy drżeli wszyscy.

Oprócz lekarzy przychodziła często na inspekcje *oberaufseherin,* siejąc postrach krzykiem i razami pejcza. Nigdy nie wiedziało się, kiedy i skąd wpadnie i co najpierw zauważy, czy nie spodoba się jej liczba lub wygląd chorych, czy troskliwa opieka lekarska pielęgniarek. Ciągle też krążyli po rewirowym baraku strażnicy-esesmani. To również było plagą wszystkich, chorych i pracownic szpitala.

Po gwałtownym ruchu przedpołudniowym szpital cichł powoli, a po wieczornym apelu spokój, przynajmniej pozorny, ogarniał barak. Letnią porą było nieraz bardzo duszno, gdyż okna trzeba było zasłaniać kocami. Słabe choćby światło wydobywające się na zewnątrz wywoływało strzelaninę z wież wartowniczych, a ciężko chorych nie można było zostawić w zupełnej ciemności. Zdarzyło się pewnego razu, że gdy smuga światła wypłynęła przez okno, w moment później padł strzał i tak ranił w brzuch jedną z chorych, że w dwa dni później zmarła.

Pielęgniarki były życzliwe i serdecznie ułatwiały chorym przetrwanie najcięższych chwil. Wspomnienie zacności i dobroci pań: *Ireny, „Malinki", Wandy, Marychny, Danusi, Haneczki* i innych, których imiona i nazwiska ule-

[1] Fragmenty obszerniejszych wspomnień pt. „Na krawędzi", napisanych w r. 1946. Dotyczą one wydarzeń i przeżyć autorki z czasu jej pobytu w Majdanku od lutego do sierpnia 1943 roku. Pełniła ona tam funkcje pielęgniarki w kolumnie sanitarnej. Tytuł fragmentów pochodzi od redakcji. (Przyp. red.).

ciały z pamięci, będzie się zawsze łączyć z trwałym uczuciem wdzięczności chorych.

Kolumna sanitarna, związana z rewirem, pełniła służbę w barakach pola i łaźni kobiecej. Należała do niej opieka nad higieną kobiet w barakach, opieka nad chorymi tam na miejscu, opatrywanie mniejszych ran, owrzodzeń itp., prowadzenie chorych do badań. Przydział leków następował po rannym apelu, a potem odbywały się zajęcia dzienne, których ostatni etap przypadał już na godziny po wieczornym apelu.

Osobą, ku której z pełną ufnością zwracali się wszyscy, była zawsze opanowana, cicha, pełna jakiegoś wewnętrznego spokoju, dr *Ada Brudkowska*. Od momentu przybycia do obozu w kwietniu 1943 roku pociągnęła ku sobie serca więźniarek w baraku, w którym się zatrzymała. Przeszedłszy na rewir, poczęła z pełnym oddaniem pełnić swe obowiązki, zawsze chętna do usług, umiejętnie kojąca cierpienia.

A cierpień tych widziało się w ambulatorium nieskończenie wiele. Wypadki przy pracy, postrzelenia przez Niemców, straszliwe odmrożenia rąk i nóg, ropiejące miesiącami; po przybyciu w lecie Żydówek z getta — masowe oparzenia i flegmony nóg, setki przypadków złośliwej róży; po wypędzeniu ludności z Zamojszczyzny — koklusz, ospa, zapalenie płuc u dzieci, ślicznych, niebieskookich, z lnianymi czuprynami. Serce krajało się na ich widok, jak małe, słabe ptaszyny wyrzucone z gniazd siedziały rzędem na ławce w ambulatorium, chwytając powietrze zaschłymi wargami.

Tu w szpitalu walczyły z ciężką chorobą dwie kobiety, które za nielegalny handel i uporczywe milczenie na przesłuchaniu zostały skazane: jedna na tydzień, druga na trzy tygodnie stania między drutami. Dzień w dzień widziało się te nieszczęsne istoty na wyznaczonym miejscu. Od rana do wieczora nie wolno im było oddalić się stamtąd, chyba do pobliskiego ustępu; odejście i powrót były kontrolowane.

Gdyby nie pomoc towarzyszek i przyjaciółek, nie byłyby zdolne wytrzymać tej kary: w ustępie zastawały czekające ich jadło, które pospiesznie pochłaniały, by móc na czas powrócić na miejsce. Chłodne ranki, żarem słońca przesycone upalne dni, deszcz, nieraz długotrwały, a zwłaszcza całodzienne stanie dobijały ludzi. A jednak tak się stało, że wyżyły obie, tylko więźniarka skazana na tydzień walczyła potem długo w szpitalu z ciężkim zapaleniem płuc i stawów. Druga zaś, twarda Ślązaczka, pokonała szybko silną wolą wszystkie choroby, które w niej tkwiły. Twarz jej podobna była do szarej maski, o skórze jakby rogowej, spalone słońcem włosy stały się płowe, ale nieustępliwe oczy, idące za okrutnymi Niemcami, zuchwałe były jak dawniej: „A i tak nie wskóracie nic, pierony jedne!"

Nad Majdanek nadeszła noc. W izbach rewiru ustały rozmowy, głowy tulą się do sienników, gdzieniegdzie słychać szept odmawianego pacierza. Ciszę przerywa czasem jęk lub bolesne stękanie albo przez sen wyrzucane słowa. Przez drzwi uchylone na wąski korytarzyk wpada do izby niebieskawe światło, w którym widać krawędzie pryczy i ciemne kształty spoczywających na nich kobiet. Części izby, do których nie dociera światło, są ciemne i tajemnicze. Na myśl przychodzą powoli wspomnienia o tych, które już stąd odeszły do swych baraków lub do krematorium. Wszystkie pragnęły żyć, okupić się czymś śmierci; wszystkie cierpiały tutaj fizycznie i moralnie.

BRONISŁAW RUBIN Tarnów
były więzień obozów w Płaszowie, Gross-Rosen, Falkenbergu i Ebensee

Wspomnienia lekarza z Falkenbergu i Ebensee

Problematyka niemieckich obozów koncentracyjnych w Polsce i masowej zagłady cywilnej ludności polskiej, żydowskiej i innych narodowości na terenie naszego kraju i okupowanej Europy nie zostanie nigdy wyczerpana. Z drugiej strony zasób materiałów już zebranych i opublikowanych przytłacza swymi rozmiarami i wstrząsającą wymową do tego stopnia, że w końcu powoduje u czytelnika, słuchacza czy widza pewne stępienie jego wrażliwości. Czas pracuje w kierunku zapomnienia. Odnosi się to głównie do osób młodszych, które znają okupację tylko z historii lub też do osób, które w czasie okupacji osobiście nie ucierpiały. Najbardziej chodzi o przeciwstawienie się zobojętnieniu ludzi niedostatecznie zorientowanych politycznie w bieżącej sytuacji.

Propaganda zachodnioniemiecka działa aktywnie. Starannie obserwuje się i opukuje nasz teren w poszukiwaniu punktów najmniejszego oporu, przeprowadzając uderzenia na razie polityczne i stosując dobrze nam znaną z niedalekiej przeszłości obłudę, kłamstwa, zafałszowania, oszczerstwa oraz pochlebstwa dla miękkich i naiwnych, a pogróżki wobec twardych i opornych. Aktywności tej towarzyszy polityka rewizjonizmu i odwetu, przy czym roszczenia tzw. pokojowej rewizji granic poparte są olbrzymimi zbrojeniami.

Obowiązkiem jest pamiętać o tym, że nasza tysiącletnia walka o byt państwowy i narodowy trwa nadal, ponieważ trwa śmiertelne zagrożenie, w obliczu którego maksymalny i zgo-

dny wysiłek całego narodu i bezustanna jego czujność są konieczne.

Biorąc to wszystko pod uwagę, sięgamy do tragicznej przeszłości. Niewątpliwie obok problematyki lekarskiej z takich między innymi rozważań zrodziły się zeszyty „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", spraw tych bowiem nie można oderwać od polityki. Nie chodzi tu przecież o przeszłość, nie dającą się już odwrócić, lecz o wysnucie z niej wniosków na dziś i jutro.

Przystępując do opisu moich przeżyć okupacyjnych, zdaję sobie sprawę, że nie wniosę zasadniczo nowego materiału i nie szukam jaskrawych efektów.

Pomijam moje przeżycia w okresie po zajęciu Lwowa przez Niemców, gdzie w łapance ulicznej w rocznicę zabicia *Petlury*, doprowadzony w jednej z grup na *gestapo*, sam jeden może tylko wyszedłem z życiem dzięki zawodowi lekarza czy kaprysowi gestapowca. Udało mi się opuścić Lwów w listopadzie 1941 roku, toteż nie byłem świadkiem ani uczestnikiem wielkiej tragedii tamtejszej ludności żydowskiej. Nie wybrałem też opisu eksterminacji getta w Tarnowie, gdzie w trzech tzw. wysiedleniach wymordowano na miejscu połowę przeszło trzydziestotysięcznej społeczności żydowskiej z Tarnowa i okolicznych miasteczek i wsi, a drugą połowę wywieziono do obozów zagłady w Bełżcu, Płaszowie i Oświęcimiu, z których — jak wiadomo — tylko bardzo drobny ułamek pozostał przy życiu dzięki klęsce wojennej III Rzeszy. Chciałbym jedynie stwierdzić w tym miejscu, że członkowie *NSDAP* w mundurach partyjnych brali pomocniczy udział w tzw. akcjach wysiedleńczych. Osobiście rozpoznałem w pierwszym wysiedleniu szefa wydziału gospodarczego ówczesnej tarnowskiej *Kreishauptmannschaft*, który wszedł z pejczem i rewolwerem w ręce do naszego mieszkania. Pomijam też obóz w Płaszowie, w którym więziony byłem osiem miesięcy, uważając za bardziej kompetentnych tych kolegów, którzy przebywali w nim od chwili utworzenia aż do jego likwidacji.

Wybierając z mych przeżyć okupacyjnych najspokojniejszy porównawczo odcinek podobozu Falkenberg, biorę pod uwagę, że historia kilkudziesięciu małych żydowskich obozów pracy na Śląsku Dolnym, stanowiących podobozy Gross-Rosen i objętych wspólną nazwą *Lager Riese* (*Riesengebirge*) jest mało znana. Były to obozy pracy: Bernsdorf, Bolhenheim, Brunnlitz, Gorlitz, Grunberg, Halbstadt, Hirschberg, Hohenelbe, Kaltwasser, Kitlitztreben, Kratzau, Buchwald, Doernhau, Erlenbusch, Falkenberg, Faulbruck, Freiburg, Friedland, Fürstenstein, Fünfteichen, Gebersdorf, Gebharsdorf, Gellenau, Geppersdorf, Grafenort, Reichenbach, Tannhausen, Walbrunn, Waldenburg, Wirschkowitz, Kurzbach, Langenbielau, Lehmwasser, Ludwigsdorf, Maschrisch, Maerzbachtal, Marzdorf, Mittelstein, Ober Altstadt, Purschnitz, Peterswaldau, Wolfsberg, Wüstegiersdorf, Wüstewaltersdorf, Zittau, Marstadt.

Na ułamkowym materiale obozu pracy Falkenberg chcę wykazać, że także bez gazowania i strzelania zagłada więźniów Żydów, pozbawionych pomocy z zewnątrz w postaci paczek żywnościowych, szła szybkim i pewnym krokiem naprzód. Dlaczego nie gazowano ani nie strzelano? Działo się to w drugiej połowie r. 1944, gdy odwrót niemiecki na wschodzie był w toku na całym froncie od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego, a wojska radzieckie podchodziły do granicy Prus Wschodnich, do dawnych granic Polski i wkroczyły do Rumunii. Wojska brytyjsko-amerykańskie lądowały 6 czerwca 1944 roku w Normandii i posuwały się ku granicom Rzeszy, a naloty z zachodu dawały się silnie we znaki Niemcom. Sprawa sił roboczych na terenie Rzeszy, ogołoconej z mężczyzn, a w szczególności sprawa ukrycia przemysłu wojennego w budowanych w tym celu sztolniach stały się już bardzo trudne i pilne. W obliczu nadchodzącej klęski wojennej było też już wtedy wiadomo, kto będzie pisał historię drugiej wojny światowej i kto wystąpi w roli sędziego. W tych warunkach wybór metod zagłady już się liczył.

W słoneczny, chłodny poranek, około 6 maja 1944 roku wyładowano w Gross-Rosen transport 500 Żydów więźniów obozu koncentracyjnego Płaszów. Przeszliśmy przez miasteczko, które spało jeszcze. W bramie obozu przywitała nas orkiestra obozowa, przy której dźwiękach pomaszerowaliśmy na plac apelowy. Kazano nam rozebrać się do naga. Więźniowie kancelarii obozowej, *szrajberzy*, przeprowadzali naszą rejestrację. Po rozebraniu się, zupełnie niespodziewanie i bez wiadomego mi powodu, zostałem kopnięty przez olbrzymiego esesmana w okolicę poniżej serca. Padłem nieprzytomny. Do przytomności przywołało mnie polskie słowo towarzysza więźnia: „wstań". Poderwałem się. Nade mną stał ten sam esesman, krzycząc *„auf"* i gotów był, przyjętym zwyczajem obozowym, kopać mnie aż do wiadomego skutku, gdybym „nie wykonał rozkazu". Skromnym wynikiem kopnięcia było złamanie dwóch żeber, co przez dłuższy czas utrudniało mi poruszanie się w tłumie obozowym. Od poranka do zmroku staliśmy nago marznąc na placu apelowym, zanim dostaliśmy się do łaźni, gdzie po tzw. kąpieli umundurowano nas w letnie pasiaki, ponumerowano i umieszczono w suterenie dużych bloków. Następnego dnia zjawił się w tym bloku *Genek Kuziora* z Tarnowa, szukając znajomych. Od niego dowiedziałem się, że z transportu stu więźniów z tarnowskiego więzienia z dnia 14 kwietnia 1942 roku, z którym przybył do Gross-Rosen, pozostało przy życiu dzięki szczególnym pomyślnym okolicznościom jedynie sześciu.

Tego samego dnia więźniowie dentyści spisali nasze złote zęby, nie byliśmy bowiem przeznaczeni do życia, lecz do służby III Rzeszy za życia i po śmierci. Następnie podzielono nas na dwie grupy po 250 więźniów i załadowano gorzej niż śledzie na ciężarówki. Grupa, w której się znalazłem, została przewieziona do obozu pracy w Falkenbergu. Jak się później do-

wiedzieliśmy, drugą grupę płaszowską przewieziono do obozu Wüstegiersdorf, gdzie znajdowała się centrala *Lager Riese*. Przed wyładowaniem nas z ciężarówki zmarł stojąco w transporcie jeden z więźniów wskutek obrażeń wewnętrznych po pobiciu go w Gross Rosen przez blokowego Niemca, byłego kryminalistę (*Berufsverbrecher*).

Komendant obozu Falkenberg w wieku około 55 lat, podoficer i ochotnik, jak się później chwalił, jednej z pierwszych kompanii *SS*, z zawodu rzeźnik, odbierając transport, nie przyjął zwłok zmarłego w transporcie więźnia. Dla załatwienia formalności konieczne było stwierdzenie zgonu. Jeden z więźniów wskazał na mnie jako lekarza. Stwierdziłem zgon i to była moja pierwsza smutna czynność lekarza w obozie Falkenberg.

Obóz był w stanie organizacji. Było tam wtedy około 300 więźniów z Grecji, Jugosławii (z terenów między Sawą i Drawą), ze Słowaczyzny i z Węgier. Więźniowie byli pomieszczeni w około 10 małych, stożkowatych namiotach z masy papierowej. Wszyscy oni przeszli przez Oświęcim. Wielu z nich było chorych na głodowe zaburzenia przewodu pokarmowego, ropnie kończyn lub różę. Poza tym znajdowały się w obozie trzy wielkie puste baraki. Naszą grupę pomieszczono w jednym z nich, zlikwidowano namioty i wspomnianych 300 więźniów przeniesiono do drugiego baraku. Obóz nie posiadał jeszcze kuchni. Kawę gotowano pod gołym niebem, zupę i chleb dowożono codziennie. W obozie nie było lekarza. Komendant obozu zlecił mi opiekę nad chorymi i zaopatrzył w kilkadziesiąt tabletek aspiryny, kilkanaście zużytych żyletek, kilka paczek gazy i ligniny. Dotychczas on sam pełnił niejako czynności sanitariusza. W tych warunkach czynność moja ograniczała się początkowo do drobnych opatrunków i zatrzymywania chorych w tzw. izbie chorych (jedna, potem dwie „sztuby").

Zdrowi więźniowie chodzili codziennie do pracy daleko poza obozem w kamieniołomach, sztolniach, warsztatach, także do prac transportowych przy wyładowywaniu wagonów kolejowych. Ci ostatni rychło zaopatrzyli aptekę obozową w wazelinę, materiały opatrunkowe itp. Gotowano korę wierzbową dla uzyskania salicylu. Stary aptekarz węgierski *Farkasz* przyrządzał maści z żywicy. Warsztatowcy sporządzili lancety, szyny i kule. Do szycia używano igieł i nici z wasztatu krawieckiego i szewskiego.

Nowe transporty więźniów Żydów ze Słowaczyzny, Węgier i getta łódzkiego przybyłe przez Oświęcim, uzupełniły liczbę więźniów do 1 500. Obóz miał już kuchnię i latrynę. Uzyskałem zgodę komendanta na zatrudnienie jeszcze trzech lekarzy. Byli to: dr *Pajewski*, ceniony internista z Łodzi, dr *Kemme*, doświadczony lekarz z okolicy Koszyc, którego chłopi słowaccy bronili przed wysiedleniem i starszy doświadczony lekarz znad Balatonu. Spełniali oni obowiązki lekarzy obozowych wedle swych najlepszych sił i wiedzy, zachowując jak najbardziej wzorową postawę. Zatrudniono też dwóch lekarzy dentystów (z jedną parą kleszczy). Stary sanitariusz z pierwszej wojny światowej, *Engler* z Nowego Sadu dbał o sprawy sanitarne i wyżywieniowe. Towarzysz *Adam Last* z Krakowa prowadził administrację łącznie z raportami dziennymi, które sporządzał po nocach, gdyż zmiany w stanie chorych zachodziły do późnego wieczora. Zwykle zasypiał siedząc przy tych raportach. Pozostałych jeszcze lekarzy udało się zatrzymać w obozie jako kolumnę sanitarną.

W lecie 1944 roku mimo systematycznego ilościowego i jakościowego niedożywiania więźniów, mimo ciężkiej pracy fizycznej i uciążliwych marszów do miejsca pracy, popędzania i bicia słabszych więźniów kolbami karabinów przez *wachmanów*, liczby chorych i zgonów trzymały się w granicach dość umiarkowanych. Był to częściowo też okres kompensacji niedoborów kalorycznych z zapasów tkankowych [1]. Już przed zimą, gdy o chłodzie, głodzie i słocie trzeba było chodzić codziennie 6 do 7 km do pracy i tyleż z powrotem, pracować przeważnie pod gołym niebem i wystawać na apelach, liczba chorych leżących, niezdolnych do pracy w pojęciu obozowym doszła do 200 (cały jeden barak), a liczba zgonów dochodziła do dwóch dziennie. Była to podobno najlepsza statystyka ze wszystkich obozów pracy *Lager Riese*.

Liczba więźniów była uzupełniana nowymi transportami. Odchodziły też od nas małe transporty do sąsiednich obozów, do których komendant wybierał co słabszych, chodzących jeszcze więźniów. Ze statystyki tej, wykazującej narastającą w postępie geometrycznym śmiertelność, wynika jasno, że bez *zugangu* obóz uległby samoistnej likwidacji przez wymarcie więźniów w ciągu jednego lub półtora roku.

W okresie letnim przyjeżdżał raz w miesiącu z Wüstegiersdorf młody lekarz *SS*, dr *Rindfleisch*. Nie wszedł on nigdy do baraku chorych, lecz ograniczał się do zadania kilku pytań lub zleceń i odebrania raportów na piśmie, które na jego wyraźne upomnienie miałem składać biegiem (*im Laufschritt*). Raporty, w szczególności rozpoznania w kartach zgonów nie mogły nosić śladów śmierci z wyniszczenia głodowego. Zaopatrzenie farmaceutyczno-sanitarne było minimalne. Bezpośredni nadzór nad służbą zdrowia na miejscu pełnił otyły 60-letni sanitariusz z pierwszej wojny, w cywilu urzędnik asekuracyjny z Wuppertalu. Przechodził on rano przez barak szpitalny. Był on nieszkodliwy, ale też nieprzydatny. Po ewakuacji Oświęcimia funkcje lekarza *SS Lager Riese* objął osławiony dr *Thilo*. Ten ostatni również nie wszedł do izby chorych, interesował się tylko raportami. Podczas swej jedynej wizyty w Falkenbergu polecił wymierzyć mi 25 kijów za zawszenie obozu i takie same porcje blokowym za zły stan sanitarny bloków. Wszy po-

[1] *J. Kowalczykowa*: Choroba głodowa w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przegląd Lekarski, 1961, 1a, s. 58—60.

lecił bić mechanicznie. Po jakimś czasie przysłał trochę sulfonamidów i salicylatów.

Charakter masowych chorób nie różnił się od opisanych przez doc. dr *J. Kowalczykową* pod nazwą choroby głodowej na tle deficytu kalorycznego, niedoboru białka zwierzęcego i hipowitaminozy. Chorzy gaśli jak świeca, której brakło paliwa. Należy tu zaznaczyć, że więzień, z zawodu rzeźnik, który przyszedł do obozu w znakomitej kondycji fizycznej i z wielkim zapasem tłuszczu tkankowego, gdyż profilaktycznie odżywiał się poprzednio szczególnie obficie, spożywając codziennie kilogram tłustego mięsa, już po miesiącu pobytu w obozie stracił na wadze kilkadziesiąt kilogramów jedynie z powodu zmiany trybu życia i odżywiania. Ludzie, którzy odżywiali się skromnie, w warunkach obozowych okazywali większą wytrzymałość.

W komendzie obozu zaszły dwukrotnie zmiany. Wspomniany już pierwszy komendant traktował obóz jak własną zagrodę. Chodził po obozie, zaglądał do każdej dziury i jak pastuch bydło okładał tu i ówdzie więźniów kijem po plecach. W czasie apelu z reguły atakował mnie ostro za zbyt wielką, jego zdaniem, liczbę chorych. Niekiedy przechodził przez barak chorych, ale obeszło się bez szczególnych interwencji. Kilka razy polecił mi zbadać chorych *wachmanów*, tłumacząc, że do lekarza daleko, a brak środków lokomocji. Otóż ten pierwszy komendant odszedł w następstwie intryg i rywalizacji prestiżowej z miejscową ekspozyturą gestapo (spotykali się w miasteczku przy piwie). Pomówiono go między innymi o stosunki homoseksualne z więźniem, Grekiem, który w pierwszym okresie obozowym gotował nocą kawę obok baraku komendanta. Pewnego dnia komendant zapędził tego Greka kijem do odchodzącego transportu, nazywając go brudasem. Te i podobne wiadomości przenikały do obozu więźniów z sąsiadującego z nami o miedzę obozu *Organisation Todt*, gdzie mała grupa naszych towarzyszy obozowych wykonywała prace porządkowe, a kierownik tej grupy, urzędnik bankowy z Budapesztu, zdobył sobie pewne zaufanie.

W te intrygi wciągnięto także mnie. Kilka razy wezwano mnie w charakterze lekarza do komendanta *Organisation Todt*. Innym razem polecono mi zbadać tam w obecności matki młodą kucharkę, przyjaciółkę komendanta. Nieostrożnie wypisana przeze mnie recepta na specyfik, bez podpisu, powędrowała do najbliższej apteki, a stąd na gestapo. Pewnego dnia weszło do obozu dwóch gestapowców w cywilu z maszyną do pisania, odszukali mnie w baraku szpitalnym i zażądali wyjaśnień, na czyje zlecenie badałem Niemców, zapewniając równocześnie, że nie chodzi o mnie, lecz o komendanta i że nie mam potrzeby się go obawiać (*er wird sich schwer hüten, dich anzugreifen*). Spisano za mną protokół, w którym zeznałem, że każdorazowo działałem na zlecenie i za wiedzą komendanta. Po odejściu gestapowców zjawił się komendant obozu i powiedział, że zezwolił im na wejście do obozu, sądząc, że chodzi im o poradę lekarską. „*Ich habe gedacht, dass sich einer von ihnen die Pfeife angebrannt hat*". Po moich wyjaśnieniach, o co chodziło, komendant odgrażał mi się ciężko. Już po dwóch dniach przeniesiono go do mniejszego obozu pracy.

Nowy komendant był wesołkiem i pijakiem, który niekiedy siadał na placu apelowym i grał na harmonii. Podczas apelów kopał często więźniów w podudzia lub bił w nos, wywołując krwawienie. Słabsi padali z miejsca na ziemię. Były to wypróbowane sztuczki obozowe. Niedługo potem w komendzie obozu zaszła ponowna zmiana, tym razem na lepsze. Mimo to sytuacja więźniów wyniszczonych fizycznie i nerwowo z biegiem tygodni i miesięcy stawała się nie do zniesienia. Wyrazem tego było kilka samobójstw przez powieszenie, jedno przez rzucenie się pod koła ciężarówki. Było to zaraźliwe. Z ciężarówki spadł też wyniszczony Grek *Kantos*, łamiąc podstawę czaszki. Stał jeszcze bezpośrednio po wypadku na apelu, podtrzymywany przez braci, lecz zmarł tej samej nocy. Było ich siedmiu braci w jednej „sztubie", bardzo się kochali. Całą noc głośny lament sześciu braci *Kantos* wypełniał i wzruszał obóz.

Otrzymałem polecenie wydzielenia grupy słabszych więźniów spoza izby chorych do transportu do obozu wypoczynkowego czy też szpitalnego. Sprawa oczywiście nie podobała mi się i nie ukrywałem moich obaw. Ku memu zdziwieniu towarzysze obozowi bili się o udział w transporcie. Jeden z nich, aptekarz, Węgier, gdy mu wyłuszczyłem moje obawy, powiedział mi, że jest mu wszystko jedno, gdyż dłużej tego chodzenia do pracy i popędzania kolbami nie wytrzyma. Jak się po wojnie dowiedziałem, grupa ta poszła istotnie do obozu szpitalnego w Dhoernau. Był to wstęp do ewakuacji obozu, która miała wkrótce nastąpić.

Podsłuchaliśmy wiadomości o zajęciu Gliwic przez armię radziecką, potem o walkach o Wrocław. Mówiono coraz głośniej o mającej nastąpić ewakuacji obozu Falkenberg. W lutym 1945 roku usłyszeliśmy głuche odgłosy dział spod Wrocławia. Pod koniec lutego nadszedł dzień ewakuacji obozu. Wczesnym rankiem załadowano chorych z baraku szpitalnego na konne wozy chłopskie. Jak się po wojnie dowiedziałem od towarzysza obozowego *Adama Lasta*, który z powodu ostrego nieżytu oskrzeli dołączył się do transportu chorych, przewieziono ich do obozu szpitalnego w Dhoernau. Chorzy leżeli beznadziejnie na pryczach, dostając znacznie gorsze kalorycznie wyżywienie, gryzieni przez wszy. Śmiertelność była olbrzymia. *Adam Last*, który przeżył dzięki umiejętności sporządzania skomplikowanych raportów, podaje, że pod koniec wojny umierało tam z głodu 70 więźniów dziennie. W ostatniej fazie wybuchła też epidemia duru wysypkowego, bezpośrednio przed wyzwoleniem.

Transport reszty więźniów ruszył pieszo. Zabrakło dwóch więźniów. Byli to *szrajber* kancelarii obozowej, Holender, który pomagał

w pracach kancelaryjnych w organizacji *Todt* i tam, zdaje się, nawiązał jakieś stosunki oraz jego pupilek, młody chłopak z Bielska, który jeździł po chleb do prywatnej piekarni w sąsiednim miasteczku. Widocznie Niemcy myśleli już o alibi, udzielając im oparcia. Represji za ucieczkę na pozostałych więźniach nie było. Pierwszego dnia przeszliśmy pieszo 18 km do sąsiedniego obozu przy 20-stopniowym mrozie. Przenocowaliśmy i zabrawszy więźniów tego obozu ruszyliśmy dalej. Nocowaliśmy przeważnie w magazynach kolejowych, pełnych starego żelastwa, toteż nie było gdzie się położyć. Na tym tle dochodziło do starć między więźniami. Pragnienie często gasiliśmy śniegiem. Zaopatrzenie dostawaliśmy nieregularnie i znacznie gorsze niż zwykle. Maruderów, pozostających w tyle, z reguły zastrzelano. Biegunki głodowe i zapalenie płuc dobijały słabszych. Na każdym postoju pozostawialiśmy kilkudziesięciu zmarłych. Ten los przypadł też w udziale starszemu lekarzowi znad Balatonu, którego po kilku dniach transportu zawiodło serce. Część transportu została oddzielona i poszła do Niemiec, jak się później dowiedzieliśmy. W tej grupie znalazł się dr *Pajewski*, który podobno zmarł w tym transporcie. Nie byłem zdolny tej niesprawdzonej wiadomości podać jego żonie, która po wojnie szukała go w Ebensee. Pojechała dalej śladem drugiego transportu. Grupa, w której się znajdowałem, dowlokła się do Kłodzka. Przeszliśmy przez przełęcz i znaleźliśmy się w Czechosłowacji. Tu załadowano nas na otwarte węglarki i o głodzie i mrozie obwożono w kółko po kotlinie czeskiej. W Pilźnie mieliśmy kilkugodzinny postój. Gdy strażnicy niemieccy się odwracali, konduktorki kolejowe rzucały nam swoje śniadania. To samo robili robotnicy z sąsiednich zakładów przemysłowych. Na stacji stał transport młodych Słowaków ofiarowanych przez kolaboracyjny rząd ks. *Tiso* lotnictwu niemieckiemu. Tak jadąc bez końca, zawadziliśmy nawet o Karlove Vary, tj. Karlsbad, który nie leży wcale na drodze ze Śląska do Austrii Górnej. W kotlinie czeskiej tu i ówdzie przez śnieg przeświecały trawy. W Austrii Górnej przywitały nas znowu silne mrozy i wysokie śniegi. Po trzech tygodniach transportu dobrnęliśmy do Ebensee. Dosłownie więcej niż połowa więźniów zginęła w tym morderczym, dobrze zaplanowanym transporcie od kul, głodu, wyniszczenia i chorób.

W Ebensee było około 15 000 więźniów. Starzy więźniowie rychło poinformowali nas, że wyjście z tego obozu jest tylko przez komin. Były liczne wypadki durów brzusznego i wysypkowego. W szpitalu obozowym mieścił się oddział zakaźny. W obozie znajdowało się już wiele tysięcy ewakuowanych oświęcimiaków, wśród nich liczni lekarze. Tylko niektórych z nich zatrudniono w szpitalu.

Przez trzy noce spaliśmy pod gołym niebem, po czterech na ściance barakowej, okrytych wspólnie kocami. Do łaźni i dezynfekcji brano w pierwszej kolejności najsilniejszych, czekając aż słabsi się wykończą. Po kąpieli biegliśmy na mrozie około sto metrów nago do magazynu po pasiaki. Wreszcie umieszczono nas w baraku, z którego powyjmowano drzwi i okna. Dopiero po kilku dniach przeniesiono nas do zamkniętych baraków. Odmrożone stopy i ręce nie pozwalały nam spać po nocach.

Zostaliśmy skierowani do pracy w przemyśle zbrojeniowym przy budowie sztolni ukrytych przed bombardowaniem. Były dość częste alarmy lotnicze. Do pracy szło się 4—5 km. Dwa razy po drodze były wysokie schody drewniane dla wyrównania różnic wysokości górzystego terenu. Na tych schodach zmarło wielu słabych więźniów. Przypominam sobie, jak przy pracy czterech wyniszczonych więźniów nie było w stanie unieść dużego głazu i rzucić go na wózek. Zirytowany stary majster Niemiec sam jeden podniósł go. Starczyło mu jeszcze sił, by nas okładać kijem po plecach za rzekomą niechęć do pracy. Czuliśmy to kilka dni. Powracający z pracy więźniowie nieśli na noszach zwłoki zmarłych przy pracy lub też znajdujących się tylko w stanie śpiączki głodowej. Jednych i drugich rzucano w kąt zimnego baraku. Do rana byli skostniali, a przecież gorąca kawa, czy glukoza, nie mówiąc o transfuzji krwi, mogły ich odratować. Dr *Kemme*, jak dowiedziałem się od jego syna, zmarł w szpitalu obozowym, do którego udał się z powodu zakażenia ręki. Ja też byłem już „muzułmaninem" w tym końcowym okresie, lecz unikałem szpitala. Znałem tylko dwa wypadki, by ktoś wyszedł w tym czasie żywy ze szpitala; byli to więźniowie protegowani przez wpływowe czynniki obozowe.

Na kilka dni przed wyzwoleniem powieszono trzech więźniów za drobne przywłaszczenia, np. kawałka gumy do załatania buta, na które poprzednio nie zwracano uwagi. Powracający z pracy więźniowie przemaszerowali obok szubienicy. Esesmani zaostrzyli terror w obawie buntu więźniów w obliczu zbliżających się wojsk alianckich.

Piątego maja 1945 roku w nocy znikła cała niemiecka obsada obozu. Tej samej nocy więźniowie dokonali samosądu na kilku oprawcach. Między innymi zabity został „kapo" szpitala. Był to, zdaje się, jakiś sanitariusz niemiecki. Rano ukazały się oddziały amerykańskie. Co silniejsi wyszli z obozu w poszukiwaniu żywności. Zaopatrzenie jeszcze nie dopisywało. Zgłosiłem się do transportu szpitalnego i zostałem przewieziony do Ischlu, gdzie umieszczono nas w zaadaptowanym budynku. Ważyłem mniej niż 40 kg. Szybkość opadania ciałek czerwonych wynosiła u mnie 100 mm po godzinie. Opiekowali się nami lekarze austriackiego pułku lotniczego. Karmiono nas zupą i makaronem. O pokarmach białkowych nie było mowy. Obrzękłe wskutek głodu jelita przepuszczały „nudle" niestrawione. Z parteru dochodziły nas odgłosy wesołych libacji naszych opiekunów. Tam raczono się winem i treściwymi pokarmami. Wielu byłych więźniów umierało jeszcze nadal w szpitalu z wyniszczenia i odleżyn. Patrzono na to obojętnie, ograniczając się do zmiany opatrunków przez sio-

stry, a przecież wystarczyłaby mała transfuzja dla zapoczątkowania rekonwalescencji. Tak zginął obok mnie leżący 19-letni krakowianin. Jednego z chorych, który domagał się ostro mleka, jaj lub sera ubrano podstępnie w kaftan bezpieczeństwa i przewieziono do szpitala dla chorych umysłowo. Dalszy jego los nie jest mi znany. Wojna przeciw nam trwała więc po kapitulacji dalej.

Po kilku tygodniach odwieziono mnie w grupie chorych do szpitala umieszczonego w barakach dawnego obozu w Ebensee. Wróciliśmy więc na stare prycze, ale bez sienników lub materaców. Leżeliśmy na deskach pokrytych jednym kocem. Reklamowaliśmy to u opiekujących się nami lekarzy amerykańskich, żądając przyniesienia polstrów z sąsiedniego miasteczka Ebensee. Odpowiedziano nam: „My jesteśmy inni niż Niemcy, nikomu niczego nie zabieramy, a nasz transport zaangażowany jest w wojnie z Japonią". Przyjęliśmy to do wiadomości. Było lato 1945 roku, więc można to było wytrzymać. Zaopatrzenie dostateczne dostawaliśmy w postaci konserw. Leczenie było na właściwym poziomie. Powoli wracaliśmy do sił.

Opuściłem szpital i znalazłem się w polskim obozie zbiorczym w tej samej okolicy. Widziałem, jak wieziono esesmanów pod strażą ciężarówkami do prac leśnych. Żołnierz amerykański odkładał karabin i opalał się na słońcu, a esesmani siedzieli na łące i palili papierosy. W obozie polskim znaleźli się wywiezieni na roboty rolne do Niemiec młodzi Polacy i Polki, często z niemowlętami oraz byli więźniowie sąsiednich obozów koncentracyjnych. Były też szumowiny, kolaboranci, którzy zmuszeni byli opuścić kraj z armią niemiecką. Zaopatrzenie w *UNRRA* było dobre.

Amerykanie rozmieścili się w prywatnych kwaterach niemieckich w Ebensee. Lato było upalne. 15—20-letnie dziewczęta wałęsały się z nimi. Taka swoboda seksualna nieznana była w purytańskiej jeszcze w tym czasie Ameryce. Murzyni znaleźli się w europejskim raju, gdzie białe dziewczęta stały się dla nich dostępne. Fraternizacja czyniła postępy. Krążyły czekolady, konserwy, alkohol. Rozwijał się też handel hurtowny amerykańskim demobilem.

Pracowałem w obozowej służbie zdrowia. We wrześniu 1945 roku drugim transportem powróciłem do kraju. W tym samym transporcie znajdowali się też wszyscy członkowie samorządu obozowego. Zabrano do kraju akta obozowe. Ci, którzy pozostali, znaleźli się na warunkach *D. P.*[2] Po powrocie do kraju leżałem jeszcze przez cały rok 1946 i 1947 w klinikach w Krakowie.

Jakie refleksje nasuwają się z perspektywy przeszło 20 lat powojennych lekarzowi, byłemu więźniowi obozów koncentracyjnych, który stracił całą swą rodzinę wskutek zbrodniczej działalności okupanta i zorganizowanego przez niego systemu masowej zagłady?

Historia, niestety, powtarza się na naszych oczach. W NRF doszła do władzy tzw. wielka koalicja partyjno-rządowa, co równa się brakowi jakiejkolwiek opozycji parlamentarnej. Rząd dysponuje dostateczną większością dla przeprowadzenia przez *Bundestag* zmian w konstytucji i rządowego projektu ustawy o stanie wyjątkowym *(Notstandgesetz)*. Celem tej ustawy jest likwidacja w momencie decydującym ewentualnej opozycji poza *Bundestagiem*. Już dziś związki zawodowe nie mają wiele do powiedzenia. W polityce zagranicznej NRF tzw. nowa polityka wschodnia została dostatecznie skomentowana i zdemaskowana w Warszawie i Karlovych Varach. Jesteśmy świadkami szaleństwa rewizjonizmu, zagrażającego znowu światu i narodowi niemieckiemu. W tych warunkach brak podstaw do optymizmu.

[2] *D. P. (Displaced Persons)*, czyli „dipisi" były to osoby przesiedlone z okupowanej Europy do Niemiec hitlerowskich i pozostałe w Niemczech zachodnich w obozach dla przesiedleńców (przyp. red.).

FRANZ DANIMANN
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 32635
Wiedeń

W obozie oświęcimskim [1]

„W lecie 1941 roku — dokładnej daty nie potrafię podać w tej chwili — zostałem nagle wezwany do *Reichsführera SS* do Berlina bezpośrednio przez jego adiutanturę. *Himmler*, wbrew swemu zwyczajowi, bez asysty adiutanta oświadczył mi, co następuje: «*Führer* zarządził ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej. My, *SS*, mamy ten rozkaz wykonać. Istniejące na wschodzie miejsca zagłady nie podołają akcjom zamierzonym na wielką skalę. Wobec tego wyznaczyłem na ten cel Oświęcim (...). Po rozmowie z *Eichmannem* prześle mi pan natychmiast plany projektowanego urządzenia (...). Wszyscy Żydzi, których dostaniemy w nasze ręce, będą w czasie tej wojny bez wyjątku zgładzeni»" [2].

Tak opisał w swych wspomnieniach były

[1] Opracowanie redakcyjne maszynopisu niemieckiego, przełożonego przez *Teresę Kulczyńską*. Tytuł pochodzi od redakcji.

[2] Wspomnienia *Rudolfa Hössa*, komendanta obozu oświęcimskiego. Wydanie trzecie. Opracowanie, wstęp i przypisy: *Jan Sehn*. Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1965, str. 193.

komendant obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka *Rudolf Höss* sposób, w jaki mała miejscowość polska stała się miejscem zagłady nr 1 w Trzeciej Rzeszy. Okoliczności tej sprawy, jak wiadomo, naświetlił szerzej proces *Eichmanna*, ukazując niszczycielską pasję narodowych socjalistów. Nie tylko Żydów, lecz ludzi różnych narodowości kierowano do tego obozu, gdy tylko uznano ich za wrogów Rzeszy, gotując im śmierć. Nie brano pod uwagę żadnych względów.

Wielkie akcje eksterminacyjne poprzedzono próbami metod zagłady, aby opracować najbardziej celowe i racjonalne postępowanie. Przy tych próbnych gazowaniach chodziło według *Hössa* głównie o transporty ze wschodu. W sierpniu 1942 roku, a więc przeszło 25 lat temu, opróżniono budynek szpitalny tzw. obozu macierzystego Oświęcim i zagazowano większość chorych. Między ofiarami była też pewna liczba Austriaków. O pierwszych próbach stosowania gazu trującego do mordowania więźniów opowiada również *Höss* w swoich zapiskach [3].

Te suche fakty warto zestawić z indywidualną relacją austriackiego więźnia. Oto urywki moich wspomnień.

*
* *

Od pierwszej chwili mego pobytu w Oświęcimiu spadały na mnie prawie bez przerwy wydarzenia niepojęte i niezrozumiałe. Trudno mi było zebrać myśli i zastanowić się nad tym, co się wokół działo. Odbywały się masowe rozstrzeliwania w bloku śmierci, publiczne egzekucje na placu apelowym bez procesu i bez wyroku, nieustannie dymiły kominy krematoriów, szalała niczym nie hamowana brutalność i żądza mordu u każdego esesmana, nieludzko traktowano więźniarki w sąsiednim obozie kobiecym, dokuczały okropne warunki sanitarne i głód. Trzeba było trochę czasu, abym się do tego „przyzwyczaił". Tak było, jak gdyby się żyło tylko do odwołania. Każdego wieczoru, gdy wspinałem się na swoją pryczę, dziękowałem Bogu, że jeszcze żyję i z niepokojem myślałem, co przyniesie jutro i następne dni. Możliwości śmierci było w Oświęcimiu wiele. Podejrzenie ze strony oddziału politycznego, zły humor albo niełaska któregokolwiek esesmana, nieostrożne słowo, pomyłka przy pracy, wszystko to narażało na śmierć w bloku 11. A ja sądziłem, że już coś wiedziałem o hitlerowskich obozach koncentracyjnych, zanim deportowano mnie do Oświęcimia. Teraz zaś każdy dzień przynosił nowe doświadczenia. Niejedno sam widziałem, o innych sprawach mówiło się szeptem między więźniami, a niejednego w ogóle się nie dowiadywałem, gdyż obóz zastałem obsadzony głównie Polakami, a ja nie znam języka polskiego. Dlatego czułem się z początku trochę odizolowany, ale to się z biegiem czasu ułożyło.

Okropności każdego dnia przerastały zdolność pojmowania u więźnia. Czy ziemia nie powinna się otworzyć i pochłonąć wszystkiego, co się tu dzieje? Czy świat nie powinien zakrzyknąć z oburzenia i nakazać wstrzymania morderstw? Raz po raz uzmysławiałem sobie, zwłaszcza w godzinach zmroku, między czuwaniem a zaśnięciem, że wszystko, co mnie otacza, wieże strażnicze, druty naładowane elektrycznością, wysoki mur, który otacza obóz, nędzne pasiaki więźniów, ich pochylone, ostrzyżone głowy, stałe niebezpieczeństwo śmierci — jest tylko okropnym snem, z którego się zaraz obudzę.

Niejednokrotnie zauważyłem, że moi koledzy-więźniowie dziwnie lękają się szpitala więziennego. Wolą iść kulejąc na obrzękłych nogach, z byle czym obandażowanymi głowami, a nawet z gorączką udawać się do pracy, niż dać się przyjąć do szpitala. Od moich polskich towarzyszy nie mogę się niczego dokładnie dowiedzieć. Często jeden drugiemu nie ufa. Wzruszanie ramionami, nieokreślony wyraz twarzy pozwalają się wszystkiego domyślać. Dowiaduję się jedynie, że przyjęcie do szpitala przeprowadzają lekarze *SS* i przypuszczam, że to jest powodem, dla którego tylko ci się zgłaszają, którzy już naprawdę nie mogą inaczej. Ale mimo że niczego dokładnie nie wiem, ogarnia mnie też pragnienie, żeby tylko w tym piekle nie zachorować. Jeżeli esesmani już zdrowych więźniów, których zaledwie niejasno podejrzewają o wrogie nastawienie, bez wahania mordują, to z chorymi, którzy są według esesowskiej etyki niepotrzebni, tym bardziej nie będą sobie robić większych skrupułów. Twardość serca jest największą cnotą esesmana. A równocześnie istnieje w obozie niebezpieczeństwo zachorowania, grasują dury wysypkowy, brzuszny i rzekomy, panuje brak wody i z tym związana trudność utrzymania czystości, więźniów dręczy niedożywienie, ciężka praca fizyczna, przeludnienie bloków mieszkalnych. Łatwo o zakażenie.

Pewnego dnia spostrzegam, że coś ze mną nie jest w porządku. Czuję się osłabiony i rozbity bardziej jeszcze niż zwykle, odczuwam gwałtowny ból głowy oraz przykre rwanie i drżenie w nogach. Na szczęście wieczorny apel w tym dniu nie trwa zbyt długo, toteż prędko dostaję się do bloku. Ale po raz pierwszy od czasu przybycia do Oświęcimia nie zjadam swojej porcji chleba. Zwykle wystarcza mi ona do zaspokojenia zaledwie pierwszego głodu. Dziś nie chce mi się jeść, tylko pić. Wargi mam zupełnie suche. Wiem, że to jest zły znak. W brzuchu i w żołądku wszystko się przewraca. W ustępie długo nie mogę wstać. Biegunka. Kilku kolegów niecierpliwie czeka na moje miejsce. Zupełnie wyczerpany wdrapuję się na swoją pryczę i od razu zasypiam ciężkim, kamiennym snem, nie troszcząc się o moich towarzyszy na legowisku. Na drugi dzień czuję się znacznie lepiej. Już zaczynam wierzyć, że mi się jeszcze i tym razem dobrze udało. Wyruszam, jak zwykle, z moim „komandem" do pracy. Ale po południu, właśnie

[3] Tamże, str. 195.

gdy wleczemy płyty kamienne do urządzenia ogrodu willi esesowskiej, ogarnia mnie nagle dziwny zawrót głowy. Muszę się oprzeć o ścianę, aby nie upaść.

Michał, mój polski kolega, który mnie już od dłuższego czasu milcząco obserwował, od razu podchodzi: „Co ci jest, *Franz*? Boli cię? Gdzie?" Ruszam tylko bezradnie ramionami i nawet nie potrafię dokładnie powiedzieć, co mnie boli. Głowa stała się okropnie ciężka, ciągnie mnie niesamowicie w dół. Oby móc tylko na chwileczkę położyć się albo usiąść! Na szczęście nie ma w pobliżu nadzorującego nas esesmana. Mogę rzeczywiście usiąść w niszy budynku. Moi koledzy uważają. Wreszcie jest czas powrotu. Z największym wysiłkiem wlokę się w szeregu z powrotem do obozu. Ale jak wytrzymam długie stanie na placu apelowym? Domyślam się, że mam gorączkę. Mechanicznie stawiam krok za krokiem.

Przed rozejściem się naszego „komanda" już w obozie *Michał* szepcze łamaną niemczyzną: *„Nach Appell ich kommen! Warten. Vielleicht kann helfen"* (że przyjdzie po apelu i zaczeka; „może będę mógł pomóc"). *Michał* jako starszy więzień ma różne możliwości, które dla mnie jako dla stosunkowo nowego przybysza są jeszcze niedostępne. Automatycznie przytakuję głową i idę, chwiejąc się, na plac apelowy. Od tej chwili jednak zaczyna mi się wszystko mieszać i tracę pamięć. Widzę wszystko tylko jeszcze jak przez coraz gęstszą mgłę. Jak z oddali słyszę komendę blokowego i wrzask esesmanów. Czy runąłem i czy odciągnięto mnie na bok, nie wiem.

Z tego, co potem się działo, mam tylko bardzo niewyraźne wspomnienia niektórych szczegółów. Znalazłem się w pomieszczeniu, które wyglądało jak łazienka, ale gdzie czuć było szpitalem. Jakiś więzień-pielęgniarz mnie rozbierał. Znów straciłem przytomność, nie wiem, na jak długo. Po godzinach czy może dniach w jakiejś chwili niejasno zdałem sobie sprawę, że bada mnie lekarz-więzień. Potem wydaje mi się, że znacznie później ktoś karmił mnie jak małe dziecko; podano mi basen i butelkę; nie mogłem wstać. Polski lekarz-więzień niepoprawną niemczyzną mówił coś o pneumonii z powikłaniami i kiwał przy tym głową. Najważniejsze jednak, że nie był to dur, który stanowił największy postrach wśród chorób obozowych. Lekarz-więzień we wzruszający sposób troszczył się o mnie. Przyniósł też pozdrowienia od *Michała*, który go prosił, aby się mną opiekował.

Po pewnym czasie mogłem już wstawać, ale byłem bardzo osłabiony. Z każdym dniem jednak czułem się lepiej i wkrótce mogłem też nawet trochę pomagać. Podawałem chorym baseny, sprzątałem, uczestniczyłem przy mierzeniu ciepłoty i rozdawaniu jedzenia, w cichej nadziei, że może od czasu do czasu zostanie parę łyżek zupy. Z postępem zdrowienia wracał mi apetyt. Aczkolwiek wychudłem bardzo w czasie choroby i porcje w szpitalu były mniejsze niż w obozie, pozbawione także pewnych dodatków, które otrzymywało się w „komandzie" pracy, niemniej jednak szpital wydawał mi się w porównaniu z obozem spokojną wyspą pośrodku burzliwego oceanu, bez apeli, esesmanów, ryków komendy, bez szubienic i bloku 11. Na myśl wszakże, iż najpóźniej już za parę tygodni będę musiał opuścić szpital, robiło mi się słabo.

Pewnego dnia zaczęło się w bloku dla nie gorączkujących istne szaleństwo, szorowanie, mycie, czyszczenie, wywracanie sienników, czyszczenie kubłów, jak w koszarach przed wizytą generała. Zapowiedziano wizytę obozowego lekarza *SS*. Z ust do ust krążyła szeptana wiadomość, że lekarz ten ma wybrać większą liczbę chorych, którzy zostaną przeniesieni do szpitala w filialnym obozie w Brzezince, gdzie urządzi się oddziały dla ozdrowieńców. W ten sposób jakoby odciąży się tak bardzo przeładowany szpital w Oświęcimiu. Więźniom wydała się podejrzana tak niezwykła troska esesmanów o chorych. Personel szpitalny był bardzo zdenerwowany zapowiedzianą wizytą. Pielęgniarze krzyczeli na wszystkich i nie można im było niczym dogodzić. W tym czasie właśnie nastąpił u mnie nawrót choroby, który mnie rzucił z powrotem na pryczę. Na nogach zrobiły mi się ropiejące obrzęki. Całe zamieszanie więc przeszło mi nad głową. Nie zwróciło specjalnie mojej uwagi, że wielu chorych, często bez uprzedniego badania, wypisywało się pospiesznie do obozu. Przeciwnie, cieszyłem się, że ze względu na moje flegmony wypisanie mnie nie wchodzi w rachubę. Zaskoczył mnie *Hans*, który wbrew moim protestom stanowczo zapowiedział wypisanie mnie nazajutrz do obozu. *„Oder willst ins Gas gehen, du Narr?"* („Albo może wolisz iść do gazu, ty idioto?"), syknął, oglądając się ze strachem, czy kto nie usłyszał jego słów. Wyszedł, a ja leżałem znieruchomiały i próbowałem zrozumieć sens tego, co powiedział *Hans*. Ale niezdolny do jakiejkolwiek jasnej myśli zapadłem w sen, z którego wyrwał mnie mój krajan z Karyntii *Wiktor*, potrząsając mną gwałtownie. Szeptał mi do ucha, że w Brzezince w ogóle nie ma szpitala, a tym bardziej oddziału dla ozdrowieńców, natomiast są komory gazowe, dokąd będzie sortował więźniów lekarz obozowy. Próbowałem oponować, że to niemożliwe, choćby z uwagi na reakcję zagranicy, takiej rzeczy bowiem się nie ukryje, wykończonoby Niemców na całym świecie. *Wiktor* przekonał mnie co prawda nie o prawdzie tego, o czym mówił, ale o tym, że w żadnym wypadku nie wolno mi ryzykować pomyłki, nie dającej się naprawić, gdyby on miał rację.

Miałem więc następnego dnia opuścić „rewir". Ale nazajutrz wstrzymano wypisywanie chorych, podobno na osobisty rozkaz lekarza obozowego. Nawet wtedy jeszcze nie dopuszczałem myśli o niebezpieczeństwie. Upiorne przygotowania na przyjęcie lekarza obozowego trwały nadal. Widocznie szło o to, aby mu niczym nie popsuć humoru. Sens niektórych poczynań wyjaśnił mi się dopiero później. Chorych się myje i goli, strzyże się włosy. Nie

z przesadnej dbałości o czystość, ale dlatego, że świeżo umyty i ogolony chory prezentuje się lepiej i ma lepsze widoki w obliczu wszechmocnego lekarza. Dziwiło mnie, że wszyscy tak drżą przed... lekarzem. Pielęgniarze chodzą od łóżka do łóżka i szepczą z chorymi. Mówią po polsku, więc nie rozumiem. Jednak robi mi się trochę straszno. *Hans* się w ogóle nie pokazuje. Wreszcie przychodzi polski lekarz i kalecząc język mówi z naleganiem: „Przy lekarzu obozowym stać zupełnie prosto!" — i staje na baczność, chcąc mi w ten sposób pokazać, jak się mam zachować. Głaszcze mnie po ramieniu i odchodzi dalej, pochylony jakby pod brzemieniem trosk. Później się dowiedziałem, że *Hans* leżał wtedy z wysoką gorączką w izbie pielęgniarzy.

Potem musimy my, którzy jeszcze potrafimy stać, zejść z łóżek i ustawić się na korytarzu, boso i w samych koszulach. Karty gorączkowe wciskają nam w ręce. Przy każdym chorym, który nie może wstać, kładą kartę gorączkową na łóżku. Znowu po chwili słyszę jakby z wielkiej odległości ostry głos wołający „baczność!", a następnie raport. Ciężkie buty gdzieś łomoczą w korytarzu. Wreszcie zjawia się i on, ten postrach; wysoki, chudy, w okularach, przechodzi szybkim, bezosobowym krokiem, zauważam dystynkcje *obersturmführera SS* (porucznika).

Czekamy, spędzeni dość wcześnie, aby dostojny gość nie musiał czekać i nie wpadł w gniew, za który musieliby płacić więźniowie. Zaczął swój obchód na pierwszym piętrze. Jestem tak zmęczony, że nie mogę myśleć o niczym innym niż o powrocie do łóżka. Wydaje mi się, że stoimy tu już od wieków. Kilku kolegów tymczasem upadło. Zaraz i ze mną stanie się to samo. A potem nagle nic już nie wiem, co się ze mną dzieje.

Ocknąłem się na mojej pryczy, nie mogąc uporządkować myśli. Znowu polski lekarz wyjaśnił mi, co się stało, pomagając sobie gestami. Mianowicie lekarz obozowy posegregował chorych na pierwszym piętrze i zabrał ze sobą dla Brzezinki karty gorączkowe ciężko chorych, jak również tych, którzy wymagali jeszcze dłuższego leczenia. Wystarczył mu jeden rzut oka na chorego, nikogo nie badał. Tylko niewiele kart zostawił z poleceniem natychmiastowego odesłania tych chorych do obozu. Następnie odjechał na obiad, zapowiadając, że przeglądu dokończy po południu. Pozostali chorzy musieli zatem dalej czekać, dopóki wreszcie nie przyszło zawiadomienie, że w tym dniu lekarz już nie może wrócić. Wtedy pielęgniarze z powrotem przenieśli na łóżka czekających chorych, z których kilku już się przewróciło. Stan wielu chorych znacznie się pogorszył.

Następnego dnia w grupie współwięźniów odesłano nas do obozu. Jak zawsze przy wypisywaniu z „rewiru", otrzymaliśmy najgorsze, najbardziej podarte pasiaki, a zamiast butów drewniaki. Na szczęście nie od razu przydzielono nas do pracy, gdyż trwała akcja odwszawiania. Szczęściem również apele w najbliższych dniach nie były zbyt długie, toteż odzyskaliśmy trochę siły przed powrotem do pracy.

Ci, których lekarz obozowy wysortował z trzech bloków, opróżniając prawie cały „rewir", zostali odtransportowani otwartymi samochodami do Brzezinki w koszulach i płaszczach więźniarskich. Do tych 600 czy 700 osób lekarz obozowy dołączył również kilku pielęgniarzy, motywując to potrzebą dostarczenia chorym nieprzerwanej opieki. Później się dowiedziałem, że byli w tym transporcie także trzej moi dobrzy koledzy Austriacy, *Józef Nagel, Alojzy Sindl* i *Franciszek Riegler. Riegler* był już prawie całkiem zdrowy i pracował jako posługacz w izbie chorych. *Sindl*, który niejeden kawałek chleba ze mną podzielił, był też w chwili selekcji — tak bowiem później nazwano w obozie opisaną praktykę lekarza *SS* — na drodze do wyzdrowienia.

W dniach po transporcie wiatr niósł od Brzezinki zapach spalonych ciał, które uprzednio zagazowano. Ciągle jeszcze broniłem się przed myślą o komorach gazowych w Brzezince. Dowiedziałem się, że podobnie nie wierzył w istnienie tych komór *Alojzy Sindl*. Może właśnie mniemanie więźniów, że na taką potworność nie mógłby się poważyć *Himmler*, zachęcało esesmanów do tego rodzaju czynów.

Po kilku dniach nie było już wątpliwości. Z Brzezinki przenikały coraz konkretniejsze wiadomości. Przynosili je koledzy pracujący na zewnątrz Oświęcimia I. Zagazowanie oświęcimskiego transportu chorych nie było zresztą jakąś akcją wyjątkową, od dłuższego czasu bowiem pędzono do gazu całe transporty z zewnątrz. Z innych transportów przeznaczano do gazu tylko dzieci, starców, chorych i słabych. Selekcję przeprowadzali lekarze [4]. Niebawem wróciły do Oświęcimia płaszcze więźniarskie, którymi okryto chorych do transportu. W Brzezince nie były już potrzebne. A w *schreibstubie* szpitala obozowego wydobyto kartoteki chorych przekazanych do Brzezinki i wpisano meldunki o śmierci. Jak wspomniałem na początku, nie tylko Żydzi, lecz ofiary różnej narodowości znajdowały śmierć w komorach gazowych Brzezinki. Trwało to do października 1944 roku, kiedy na rozkaz *Himmlera* komory gazowe wysadzono w powietrze z powodu zbliżania się frontu.

Gdy wreszcie uzyskałem pewność co do losu, jaki przypadł w udziale transportowi chorych, zrobiło mi się na chwilę zupełnie słabo, choć właściwie miałem przecież czas przyzwyczaić

[4] Najwyższe władze Rzeszy wcale nie uważały, że obozy masowej zagłady mogłyby przynieść ujmę dobrej opinii ich tak ukochanego narodu niemieckiego. We wspomnieniach *Hössa* znajduję opis wizyty tzw. *reichsführera SS Himmlera* w Oświęcimiu i lakoniczną uwagę: *„Reichsführer SS* podczas wizyty w Oświęcimiu w lecie 1942 roku obejrzał dokładnie przebieg akcji zagłady, począwszy od wyładowywania, aż do opróżnienia bunkra II (...). Nie kwestionował niczego, nie rozmawiał w ogóle na ten temat". (W cytowanym polskim wydaniu *Wspomnień Rudolfa Hössa* zob. str. 197 — uwaga redakcji).

się do tej myśli. Z takim opóźnieniem uzmysłowiłem sobie, jak blisko koło mnie przeszła śmierć. Trwało to chwilę, zanim odzyskałem panowanie nad sobą.

*
* *

Po latach, gdy Oświęcim należy już do przeszłości, mam okazję rozmawiać z rodzinami więźniów zamordowanych w Oświęcimiu-Brzezince. Większość z nich nie otrzymała w ogóle zawiadomienia o śmierci swoich bliskich. Te zaś zawiadomienia, które otrzymano, brzmiały prawie wszystkie jednako: „... Z żalem donoszę, że mąż Pani zmarł w dniu... z powodu osłabienia mięśnia sercowego. Wyrażam swoje współczucie z powodu tej straty..." [5].

[5] Autor w oryginalnym tekście niemieckim cytuje fragmenty wspomnień *Hössa* dotyczące akcji zagłady w Brzezince. Czytelnik polski ma łatwy dostęp do relacji *Hössa* w cytowanym wydaniu polskim, zwłaszcza na stronach 193—211.

LEON GŁOGOWSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 1281
Katowice

Moje pierwsze dni w obozie oświęcimskim

Z kwarantanny [1] mamy przejść do baraków wojskowych. Nasz „kapo" już tam był, wybrał cały blok parterowy na szpital. Blok ten, murowany, stoi najbliżej budynku kwarantanny. Mieścić się tam będą izby chorych, ambulatorium chirurgiczne, pomieszczenia dla personelu szpitala i kancelaria.

Po poprzednich przeżyciach stałem się małomówny, nieufny wobec wszystkich. Starałem się nie „podpadać". Liczyłem na swoje umiejętności języka niemieckiego. Nikomu nie mówiłem, że jestem z zawodu lekarzem. Byłem przekonany, że piekło mam już za sobą. Nawet nie podejrzewałem, że mogłoby być jeszcze gorzej.

Przemarsz chorych do nowego bloku nie przedstawiał specjalnej trudności. Chorzy trzymali się jakoś na nogach i powoli sami przeszli. Chorowali na świerzb, biegunkę i ogólnie byli wyczerpani. Pochód skierował się bezpośrednio do bloku przeznaczonego dla nas, przez głęboką fosę, pokrytą w tym miejscu deskami, obok bloku 28. Ogrodzenie z drutu kolczastego zakończono po naszym przejściu. Bramę główną z cynicznym napisem *„Arbeit macht frei"* poznałem później.

W bloku szpitalnym kancelaria *(Schreibstube)* zajmowała pierwszy pokój po lewej stronie, kierownikiem był *Kazimierz Szczerbowski.* Ambulatorium chirurgiczne mieściło się w drugim pokoju po prawej stronie. Pierwszy pokój po prawej, bardzo mały, był służbowy dla lekarza *SS* i dla *SDG.*

Osobiście pełniłem kilka funkcji od razu, byłem pisarzem, opiekowałem się chorymi w izbach chorych i prowadziłem ambulatorium chirurgiczne. Później się okazało, że muszę prześwietlać rentgenem, urządzić i prowadzić laboratorium. Ponadto musiałem być pierwszym tragarzem zwłok *(leichenträgerem),* gdyż do grzebania nie było jeszcze funkcyjnych.

*
* *

[1] Zob. *L. Głogowski:* Kwarantanna obozu Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1966, 1, str. 190—194.

Pierwszy dzień, sobota 6 lipca 1940 roku, zapowiadał się bardzo upalnie, nie było najmniejszej chmurki. Nastrój wśród więźniów nie najgorszy. *Arbeitskommanda* grupami wymaszerowały do swoich robót poza obrębem obozu. W obozie pozostało kilka osób do uporządkowania dróg, ścieżek, placu apelowego i izb blokowych. Więźniowie wyszli do pracy odziani jedynie w płócienne spodnie i koszulki. Obuwia czy drewnianych dreptaków nie wydawano. Głowy strzyżono bardzo krótko lub je golono.

Podobnie w szpitalu panował nastrój względnego spokoju. Załatwiłem szybko sprawy w sekretariacie. Nikt nie spodziewał się, że znajdzie się ktoś, kto by tak szybko załatwił korespondencję w języku niemieckim. Potem zaopatrzyłem ambulatorium chirurgiczne, do dyspozycji miałem tylko opaski papierowe. Najważniejszymi lekami były aspiryna i *sepso* (środek odkażający). Potem przeszedłem izbę chorych. Badałem chorych, ustalałem rozpoznanie, mierzyłem gorączkę, robiłem notatki, jak w szpitalu. Z możliwościami leczenia było krucho. Chorzy leżeli na podłodze, na szczęście uzyskano cośkolwiek słomy. Również do pokoju personelu szpitalnego otrzymaliśmy słomę i koce.

Zajęcia miałem dosyć, dzień minął mi szybko. Apel wieczorny dla personelu szpitalnego odbył się w korytarzu i był krótki. Stan się zgadzał. Blokowy osobiście sprawdził i goniec zaniósł raport do raportowego *(Rapportführer).* Po apelu do spożycia kolacji nie doszło. Na nowo z wielkim krzykiem zarządzono apel. Sprytny blokowy *Hans Bock* zarządził apel personelu w pokoju ambulatoryjnym, który na razie był pusty. Personel nawet dość pokaźny, bo liczący około 17 osób. Wśród nich starszy lekarz dr *Stefan Pizło, Czesław Sowul, Kazimierz Szczerbowski, Feliks Walentynowicz, Ryszard Kwoka, Stanisław Fedrowicz,* dr *Edward Nowak, Eugeniusz Obojski, Henryk Sieniawski, Józef Hordyński, Roman Sediwy, Franciszek Lechowicz, Marian Toliński,* dr

Leon Głogowski. Grupa pielęgniarzy utworzyła się z pierwszych chorych już na kwarantannie.

Tymczasem w obozie istne *inferno*. Kilkaset osób pędzono do powtórnego apelu na wolne miejsce obok szpitala, widzieliśmy ich przez okno. Reszta więźniów, około 900 do 1 000 osób, stała daleko od nas przy bloku pierwszym, a raczej między blokami.

Apel się nie zgadzał, brak jednego więźnia. Później się dowiedziałem, że się nazywał prawdopodobnie *Tadeusz Wiejowski*. Ustalono, że uciekinier należał do „komanda", które w ogóle nie wyszło poza obręb obozu. „Komando" pracowało przy zamiataniu dróg i ścieżek obozowych. „Kapowie" i esesmani przez całą godzinę skrupulatnie przeszukiwali wszystkie zakątki blokowe obozu, ale bez skutku. *Wiejowskiego* nie znaleźli. Ucieczka więźnia przez druty wysokiego napięcia była absolutnie niemożliwa. Sposób ucieczki na razie pozostał zagadką.

W obozie szemrali, że uciekinier na pewno jest w szpitalu. We wszystkich blokach sprawdzono starannie imienny spis. Ustalono nazwisko. W towarzystwie blokowego esesmani przeszli kilkakrotnie wszystkie sale, nas przy tym każdorazowo przeliczali. Esesmani zmieniali się często, na zmianę udawali się na kolację mocno zakrapianą alkoholem. Byli rozgoryczeni, bo „przez was, polskie świnie, musimy tu być".

Komendantura zastosowała represję, która fatalnie skończyła się dla więźniów. Przybył *SS — Sturmführer Mayer*, zastępca komendanta, przystojny mężczyzna, zwany przez więźniów „lalusiem". Słynął jako wielki sadysta. Przyszedł z psem wilczurem. Kazał ogłosić przez tłumacza obozowego — był nim hrabia *Baworowski* — że więźniowie tak długo będą stali, dopóki nie odnajdzie się uciekinier.

Zaczęła się złowroga akcja. Do naszego pokoju przychodził co chwilę jakiś esesman. Każdy ćwiczył nas na swój własny sposób. Pierwszy, *Palitsch* kazał nam zrobić przysiad w kolanach z wyciągniętymi przed sobą ramionami. W tej pozycji zostawił nas przez pół godziny. Była to tylko zaprawa do tego, co miało nastąpić. Koledzy, którzy zaczęli słabnąć, albo nieznacznie się poruszyli, zostali od razu zbici i skopani. Ja „oberwałem" pierwszy, bo stałem w pierwszym szeregu, twarz spuchła mi od bicia. Esesman tłukł, gdzie popadło.

Czasem w towarzystwie esesmana znalazł się „kapo" niemiecki. „Kapo" rekrutowali się z przestępców zawodowych *(Berufsverbrecher)*. W Oświęcimiu znaleźli się po kilku latach obozu koncentracyjnego w Esterwegen, Oranienburgu i Sachsenhausen. Biciem, kopaniem i maltretowaniem popisywali się przed esesmanami.

Po przysiadce należało stać na baczność, a ręce trzymać do góry oparte o tył głowy. Po kilku godzinach ręce mdlały i opadały. Objaw taki już był alarmem; esesman przyskoczył i zaczął wszystkich okładać. Moja twarz „podpadła". Znowu najwięcej mnie bito. Czasem mieliśmy chwilę spokoju, kiedy nas pilnował nasz blokowy. Dla pozoru wiele krzyczał, lecz nie bił.

Przez okno widzieliśmy stójkę obok naszego bloku. Rozgrywały się tam dantejskie wprost sceny. Więźniowie stali boso w koszuli i drelichowych spodniach. Plac wysypany szorstkim, rzecznym żwirem, który mocno uciskał stopy. Daremnie usiłowali usuwać nogami większe kawałki żwiru, bo natrafiali stale na taki sam żwir. Plac apelowy oświetlony był reflektorami. Między więźniami stojącymi w szpalerach były odstępy. Esesmani i „kapowie" przechadzali się ustawicznie między szeregami. Za każde najmniejsze poruszenie się więźnia okładali go pałkami, „bykowcami", wężami gumowymi. Bili prawie do utraty przytomności. Komendant *Mayer* szczuł więźniów psami, które były specjalnie wyszkolone. Przy pierwszym ugryzieniu wyszarpywały kawałek ciała.

Stójka okazała się feralną. Było zimno, na rozgrzewkę esesmani robili gimnastykę podobną jak z więźniami na podwórku. Potem znów trzeba było prosto stać, ręce zaś trzymać oparte o tył głowy. I znowu mnie pierwszego bito, gdyż stałem w pierwszym szeregu. Gdy już byłem kilka razy bity, chwiałem się. Zlitował się nade mną kolega, *Czesław Sowul*, niepostrzeżony zajął moje miejsce, a mnie wepchnął do środka. Nic to nie pomogło. Wpadł esesman *Theuer* jak dzikus, z krzykiem i hałasem. Zrobił „przegląd", wepchnął tych pierwszych na bok, znalazł mnie i znowu najwięcej mnie się dostało. Esesman *Theuer* miał do mnie szczególną urazę: pochodził z Raciborza, znał dość dobrze język polski, uważał mnie za renegata, bo miałem obywatelstwo niemieckie, a przyznawałem się do narodowości polskiej. Szukał mnie: *„wo ist der Leo?"*, wyciągał mnie ze środka i bił zaciekle.

Powoli minęła noc. Wydawała się nieskończenie długa. Nikomu nie wolno było odejść z potrzebą fizjologiczną. Przy pełnym pęcherzu esesmani zarządzali gimnastykę, a przy takich ruchach trudno było utrzymać mocz. Wśród nas było kilku z biegunką, których sytuacja była jeszcze gorsza. Gdy świtało, już wszyscy mieli spodnie mokre.

Uciekinier się nie znalazł, toteż nie było widoków na zakończenie stójki. Nie mogłem zrozumieć, że z powodu braku jednego więźnia można tylu niewinnych ludzi bestialsko maltretować.

Tymczasem koledzy przed naszym oknem znacznie trudniej znosili katowanie. Słychać było głośne szczękanie zębami z powodu zimna, nic nie pomogła esesmańska rozgrzewka. Im też nie wolno było wychodzić do latryny. Swoje potrzeby załatwiali wprost do spodni.

Nad ranem esesmani i funkcjonariusze z komendantury byli już mocno pod gazem. Popijali dla animuszu. Zjawił się też na terenie szpitala lekarz, *hauptsturmbannführer Popiersch;* nasz blokowy wymógł od niego przerwanie stójki personelu szpitalnego i rozpuszczenie nas do pracy. Należało zająć się chorymi. Coraz więcej nieprzytomnych więźniów

przynoszono z terenu obozu. Początkowo układano ich w korytarzu, a potem z braku miejsca przed bramą wejściową do bloku szpitalnego.

Śniadania nie było, nikt nawet herbaty nie mógł ugotować, bo wszyscy stali. Pracowaliśmy cały dzień, staliśmy całą noc, a teraz bez spania i jedzenia dalej do pracy. Nieprzytomnych na korytarzu trzeba było jakoś ułożyć i zająć się nimi.

Po nocy nastał prześliczny, lipcowy poranek. Była niedziela. Więźniowie obok naszego bloku nadal stali na baczność lub robili przymusową gimnastykę. Słońce wschodzące coraz wyżej prażyło twarze i ogolone głowy. Więźniowie mdleli z pragnienia, upału i zmęczenia. Przy najmniejszym poruszeniu się bito ich i katowano; oprawcy oblewali wiadrami wody zemdlonych i leżących na ziemi, robili sobie z tego zabawę. Po ocuceniu znowu zmuszali więźniów do dalszego stania na baczność.

Przed południem przyszedł znowu do szpitala lekarz obozowy, dr *Popiersch*. Wizytował kancelarię i cały szpital. W pokoju chirurgicznym długo patrzył przez okno. Obserwował stójkę obok szpitala. Wszyscy więźniowie ledwie stali, między nimi chodzili esesmani i bili. Lekarz milczał, obok niego stał blokowy i ja, jego sekretarz. Obserwowaliśmy lekarza uważnie; nie wiadomo było, jak lekarz się zapatruje na takie traktowanie więźniów. Zdecydowałem się poruszyć ambicję lekarską i powiedziałem, pokazując przez okno na tamtych, że na pewno już wszyscy mają pełne spodnie *(sicher haben schon alle volle Hosen)*. Wzmianka co do higieny pomogła. Doktor milcząc poszedł do „rewiru" *SS*. Wymógł na komendanturze odwołanie stójki po południu, mimo że uciekiniera nie złapano. Stójka trwała 21 godzin. Było to u granic wytrzymałości, teraz wszyscy byli już bliscy omdlenia. Słońce prażyło dotkliwie, zdarzały się ataki szału, w obłędzie więźniowie wybiegali z szeregów, wydawali z siebie nieludzkie krzyki. Poważna część więźniów leżała na ziemi. Esesmani krzyczeli: gińcie przeklęte świnie polskie, za jedną świnię mamy tysiące innych *(verreckt ihr verfluchte polnische Schweine, für ein Schwein haben wir tausend andere)*.

Po stójce obiadu nie było, gdyż nikt go nie przygotował, wielu mniej odpornych chorowało na udar słoneczny. Mieli opuchnięte ogolone głowy i obrzęki nóg. Na podudziach ukazały się ciemne plamy, z których później powstawały wrzody. Ci nie byli zdolni do pracy. Materiału opatrunkowego nie było. Fizycznie zupełnie wyczerpani i nawet niezdolni do poruszania się, leżeli na podłodze.

Była to najdłuższa stójka apelowa, którą przeżyłem. Odwołano ją bynajmniej nie z pobudek humanitarnych. Obóz był w stanie rozbudowy i potrzebował ludzi zdrowych do pracy. Tymczasem głód, swawola rozwydrzonych esesmanów i „kapów", nieludzkie warunki, sytuacja pełna napięcia i zgrozy, znęcanie się — to wszystko wskazywało na celową zagładę.

Jak mi wiadomo, uciekiniera *Wiejowskiego* nikt nie złapał. Nie ustalono, kto to był, stwierdzono tylko, że uciekł z obozu rzekomo przez kanał odpływowy do rzeki Soły. Nawet nie wiadomo, czy było to jego prawdziwe nazwisko. Jeden z więźniów w czasie śledztwa przyznał się, że rozmawiał z *Wiejowskim* przed ucieczką na temat ucieczki, chciał widocznie uratować wszystkich od beznadziejnej stójki. Dostał za to 25 batów.

Nazajutrz odwiedził szpital „kapo" *Leon Wieczorek*, drugi *lageräitester*. Chodził zarówno po obozie, jak i do szpitala z pałką. Nie podobało się to naszemu blokowemu *Bockowi;* miał on co prawda zielony „trójkąt", ale nie nosił pałki, jak tamten, w ogóle nie umiał ludzi bić. Brzydził się sadystami. Prosił też *Leona „Groźnego"*, ażeby chorych nie traktował pałką. Chciał się uwolnić od nadzoru „kapo" *Leona* i stworzył szpital jako odrębną całość. Wszystkie te pomysły były mu dobrze zasugerowane przez nas; ulegał on wpływom otoczenia polskiego. Coraz częściej zagadywał nasz blokowy lekarza *SS*, żeby ze szpitala zrobił osobny *„Lager"*. Ostatecznie osiągnął to. Nie lubił *Leona*, nie chciał być jego podwładnym, miał zupełnie inny charakter. Dostał nominację na *lagerältestera*. Byłem obecny, kiedy nasz blokowy oznajmił to *Leonowi*. Rozeszli się w zgodzie, nam było to na rękę.

Szpital został wyłączony z terenu głównego i odgrodzony od reszty obozu zasiekiem z drutu. Wejście na teren szpitala kontrolował odźwierny, 17-letni *Adam*. Bramę zamykano po każdorazowym wejściu kogokolwiek. Nie mieli dostępu więźniowie z terenu obozu lub esesmani, jeśli nie byli upoważnieni. Czasem *SDG* musiał przy bramie interweniować, nawet gdy chodziło o pracowników oddziału politycznego, jak: *Dylewski, Boger, Lachmann* i inni.

Najczęściej szpital odwiedzali: *obersturmbannführer* dr *Popiersch*, rodem ze Śląska, prawdopodobnie z Pszczyny (znał język polski) i *obersturmführer Fischer*, drobny, szczupły lekarz. Dojeżdżali do szpitala na rowerach. Odźwierny *Adam* codziennie godzinami czyścił ich rowery. Lekarze mieli do pomocy *SDG (Sanitätsdienstgehilfe)*, byli to z zawodu: stolarz i rzeźnik *(Herbert Scherpe)*, nie mieli nic wspólnego z lecznictwem i pielęgnowaniem chorych. Byli wykonawcami rozkazów lekarzy. *Scherpego* znałem już przed wojną, chodziłem z nim do tej samej szkoły w Gliwicach *(Schule 7)*.

* * *

Jak wspomniałem, byłem pisarzem *(schreiberem)*, drugim moim zajęciem było prowadzenie izby chorych. Zaprowadziłem karty zdrowia, wpisywałem anamnezę i objawy choroby. Robiłem to, nie mając na uwadze leczenia, bo środków leczniczych było bardzo mało. Raczej robiłem zapiski dla ułatwienia sobie wypisania karty zgonu, bo do mnie należało ustalenie powodu śmierci, a na początku obozu sumienie mi nie pozwalało wpisywać czegoś niezgodnego z prawdą. *„Totenmeldung"*

powinien był według mnie zgadzać się ze stanem faktycznym, do tego stopnia byłem naiwny.

Czasem chorzy zdrowieli bez mojej pomocy. Tak było z *Liebermannem*, więźniem blisko 70-letnim. Wprowadzono go do izby chorych półprzytomnego. Stwierdziłem objawy apopleksji i porażenia, chociaż niezupełnie typowe. Nawet do głowy mi nie przyszło, że mogą to być skutki maltretowania. Dałem mu tabletkę aspiryny, położyłem go na słomie i nakryłem kocem. Leczenie to pomogło. Po kilku dniach odzyskał przytomność, znowu się ruszył, a nawet chodził. Przeszedł przez szpital „kapo" *Leon*, dostrzegł Żyda *Liebermanna* i zapytał, jak długo tu jeszcze pozostanie. Powiedziałem: aż do wyleczenia. Odpowiedział mi: po co tak długo? Nie zrozumiałem, o co chodzi. Jeszcze w tym samym dniu mój blokowy nalegał, żeby *Liebermanna* zwolnić, bo już się dobrze porusza. Nie pomogły żadne perswazje. Po zwolnieniu *Liebermanna* z izby chorych widziałem go przy pompie wodnej. Tam go już „leczył" „kapo" *Leon*. Położył go twarzą pod strumień wody, dwóch go trzymało, a inny więzień tak długo musiał pompować, aż mu zalał wodą płuca.

Wypisanie meldunku o zgonie (*Totenmeldung*), z którego się robiło aż siedem odbitek, było dla mnie kłopotliwe. Naradzałem się z blokowym. Ostatecznie zażądałem podania powodu śmierci, bo przecież *Liebermann* nie zmarł na terenie szpitala. Blokowy radził, żebym nie zadzierał z *Leonem Groźnym*. Powiedział: ostatecznie żaden kogut nie wypieje, na co ktoś tutaj zmarł (*kein Hahn kräht danach woran jemand hier stirbt*). Zrozumiałem, że „choroba *Liebermanna*" nie jest odosobnionym wypadkiem, nie ma nic wspólnego z lecznictwem. Zrozumiałem, że tak czy inaczej Żydzi w obozie nie mają żadnego prawa do życia i że chodzi tu o ich zupełną zagładę niezależnie od sposobu zabijania. Zanotowałem jako powód śmierci: udar mózgu (*Gehirnschlag*). Podobnie musiałem postąpić z innym Żydem, *Fischhabem* z Krakowa.

Mimo beznadziejności, w niektórych wypadkach nie traciłem inicjatywy. Robiłem pisemne zapotrzebowanie do „rewiru" *SS* na lekarstwa i środki opatrunkowe. Rentgen kazałem zainstalować w bloku naprzeciwko (blok 28) w najmniejszym pokoiku. Tam też wybrałem pomieszczenie na laboratorium analityczne dla prostych badań.

*
* *

Nie mogłem się skarżyć na brak urozmaicenia w różnorodnych zajęciach. W pierwszych dniach pobytu w obozie na jednym z bloków popełnił samobójstwo młody więzień. Do moich funkcji należało szczegółowe opisanie, w jaki sposób się powiesił, jak wisiał, na czym wisiał, jaka była bruzda wokół szyi. Niemiecka dokładność wszystkiego wymagała. Wypadek ten wszakże nie utkwiłby mi w pamięci tak dokładnie, gdyby nie były związane z nim pewne perypetie.

Dostałem od lekarza rozkaz, aby denata przygotować do publicznych oględzin. Blisko obozu stał budynek, który prawdopodobnie poprzednio był przydrożną kapliczką; tam wisielec miał być wystawiony. Stolarnia dostarczyła nam coś w rodzaju trumny. Ciężkie to było pudło, czterech mężczyzn z trudem mogło podnieść próżną skrzynię. W czwórkę przeszliśmy przez bramę, niosąc denata na ramionach, obok nas szedł *SDG, Theuer*. Będąc za bramą *Theuer* zaczął nas przeganiać. Obawiałem się, że wyzionę ducha i zbuntowałem trzech innych współtowarzyszy. Udawaliśmy tak zmęczonych, że niemal nam trumna z ramion nie spadła. Nie czekając na komendę, postawiliśmy ją. Esesman *Theuer* krzyczał, przeklinał, wymachiwał. Powiedziałem mu, że spieszyć się należy do chorego, a gdy już kto nie żyje, to się ma czas. Pierwszy raz zauważyłem jakiś swój wpływ na niego. Już potem spokojnie, choć z wysiłkiem, doszliśmy do kapliczki. Uprzejmie mu radziłem, jak ten katafalk upiększyć, żeby denat wyglądał „po ludzku".

Taką parodię tylko raz przeżyłem. Było to możliwe do pomyślenia tylko w początkowej fazie budowy obozu. Prawdopodobnie krewni mieli wpływy w komendanturze, a zgonów było wtenczas jeszcze mało w stosunku do wysokiej śmiertelności w późniejszym okresie. W okresie masowego mordowania i umierania w najpodlejszych warunkach, podobne ceremonie pogrzebowe z poszczególnym więźniem budziły wesołość.

ANNA TYTONIAK Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 6866

Jesień 1942 roku w szpitalu kobiecym w Brzezince

Odbytem świata nazwał obóz kobiecy w Brzezince lekarz *SS*, *hauptscharführer Thilo* w swojej wypowiedzi do *J. Kremera*, który umieścił to określenie jako najbardziej trafne w swoich pamiętnikach. W pełni odnosi się ono do warunków, w których wegetowały więźniarki. Cuchnące powietrze, brud, błoto, pchły, wszy, szczury, robactwo itd. pozwalały określić Brzezinkę jako *„anus mundi"*.

Dnia 6 sierpnia 1942 r. przeniesiono kobiecy obóz z obozu macierzystego Oświęcim I do Brzezinki i umieszczono na odcinku B I a, który poprzednio zajmowali jeńcy radzieccy. Jeńców wygubiła tu zaraza, ciężka praca fizyczna i głód; resztę zagazowano w komorach krematoryjnych. Ziemia, spękana od słońca upalnego lata, utrwaliła na swej powierzchni odbicie tysięcy stóp ludzkich, które mieszały tę gliniastą glebę jeszcze długo przed nami. Obóz jeniecki, zajmujący około 10 hektarów, wyglądał jak ogromny, stratowany plac targowy. Wszystko dokoła, ziemia i baraki zlewały się w jeden kolor szarej, iłowatej gliny. Gdzieniegdzie widniały żałosne kępki trawy.

Po lewej stronie drogi obozowej stało w trzech rzędach 15 murowanych budynków stajennych; po prawej stronie były baraki drewniane, malowane na zielono; jedyna miła dla oka barwa w tym smutnym pejzażu. Do tych samych baraków, w których wyginęli jeńcy, wprowadzono przeszło 15 tysięcy kobiet. W kojach leżały sienniki, którym została już tylko nazwa; w istocie były to brudne, podarte, papierowe worki, wypełnione słomą startą na pył.

Byłyśmy brudne, zawszone, zapchlone już w poprzednim obozie, ale to, co zastałyśmy w murowanych stajniach, przekracza wszelkie pojęcie o brudzie i insektach. Ogromne, wygłodniałe wszy łaziły po siennikach, jak mrówki po rozkopanym mrowisku. Miałyśmy za sobą już cztery miesiące obozu w blokach murowanych, piętrowych, które w porównaniu z tymi barakami pozostały w naszych wspomnieniach jako zupełnie znośne. Tu, w tych barakach było wszystko wilgotne, klepisko uginało się pod butami, sienniki cuchnęły pleśnią i ludzkim potem. W dni deszczowe przez uszkodzony dach na głowę ciekła woda.

Ten okres pobytu w obozie po wprowadzeniu nas do Brzezinki, to okres najstraszliwszy ze strasznych, to dno brudu i nędzy nie do opisania; tu łamał się najtrwardszy organizm i najtwardszy charakter człowieka. Mieć wszy wyhodowane na własnej skórze, to jeszcze fraszka, ale wejść w gniazda cudzych, wygłodniałych insektów, spragnionych krwi ludzkiej, było przeżyciem koszmarnym nie do opisania. W kilka dni po wprowadzeniu nas do tych baraków kobiecy obóz objęła epidemia durów brzusznego i wysypkowego, biegunki, świerzbu i malarii.

Kobiecy szpital obozowy, zwany tu „rewirem", nosił tylko nazwę szpitala. Składało się na „rewir" 6 drewnianych baraków z dwupiętrowymi łóżkami, ustawionymi tak ciasno, że tylko bokiem można się było przecisnąć w przejściach między łóżkami. Między blokami roboczymi a barakami szpitalnymi była tylko jedna zasadnicza różnica, mianowicie że tu wolno było leżeć i chorować do najbliższej selekcji.

Leczenie polegało jedynie na walce ustroju z chorobą i tylko co silniejsze wracały do zdrowia, słabsze umierały w kilka zaledwie dni. Personel lekarski latem i wczesną jesienią 1942 roku można było policzyć na palcach jednej ręki, nie mówiąc już o tym, że były to przeważnie medyczki po paru latach studiów, a pielęgniarki, to po prostu więźniarki, które szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostały pracę pod dachem. Obsadę lekarską i pielęgniarską kierowała *Ewa Weiss*, medyczka ze Słowacji, która dobierała personel spośród swoich znajomych. Ze środków leczniczych przeciętnej więźniarce dostępna była jedynie maść ichtiolowa na wszelkie stany zapalne kończyn i czasem trzeba było w ogóle mieć szczęście, aby dostać dwie pastylki węgla na biegunkę. Chore leżały brudne, ropiejące po dwie na jednym łóżku, w dziennych koszulach szarych od brudu, upstrzonych pchłami, okryte jednym kocem, w zaduchu i odorze.

W przedniej części baraku były chore, które siadały o własnych siłach, w tyle baraku, na gołych deskach leżały ciężko chore; dogorywające półtrupy, nieprzytomne, załatwiały swe naturalne potrzeby pod siebie, toteż z desek wyciekał kał i mocz na chore umieszczone o piętro niżej.

Śmiertelność w tym okresie wahała się w granicach od 250 do 300 osób dziennie.

Szpital, jak wszystkie zresztą baraki mieszkalne, pozbawiony był zupełnie wody, nawet do picia, nie mówiąc już o tym, że chore nie były myte przez cały czas trwania okresu chorobowego.

Rola pielęgniarki nie wymagała żadnych kwalifikacji; polegała ona tylko na podawaniu posiłków i czasem basenów, których było po 6 sztuk na blok, liczący 800 osób. Baseny te, chyba nigdy nie myte, oklejone były kałem ludzkim.

Chore leżały szczęśliwe, że są pod dachem, że wolno im leżeć, nie miały żadnych życzeń. Ciężko chore, nieprzytomne, jęczały głośno, wymachiwały nagimi i wychudłymi ramionami do swej zjawy gorączkowej. Gdyby nagle wprowadzono człowieka z wolności do takiego ba-

raku chorych, doznałby niewątpliwie wstrząsu psychicznego.

Do szpitala nikt się dobrowolnie nie zgłaszał, ponieważ szpital oznaczał selekcję i śmierć w komorze gazowej.

Setki chorych wleczono tu dziennie, zbierano kobiety z placyków między blokami. Były to przeważnie ciężko chore, takie, którym już było obojętne, gdzie im przyjdzie umierać. One się już nie broniły przed niczym. Lżej chore, które jako tako mogły poruszać nogami, pierzchały po apelu jak spłoszone ptactwo domowe do wszystkich możliwych kryjówek w obozie. Za budynkiem kuchennym leżały porozrzucane, wtłoczone w ziemię, betonowe krążki do budowy studni. Była to jedyna dobra kryjówka, w której grupa polskich Żydówek urządziła sobie dzienny szpital. Po rannym apelu skradały się tu, wczołgiwały w betonowe łoże i tak zwinięte w kabłąk leżały bez ruchu do wieczornego apelu.

Pracowałam wtedy w kuchni, jedynym miejscu, gdzie była woda, toteż mogłyśmy im czasem, jeśli nikt nie pilnował, podać trochę herbaty ziołowej. Wygląd tych chorych budził strach i litość: spieczone usta, szkliste, rozgorączkowane oczy, ciała przeraźliwie wychudłe. Ręce ich z trudem trzymały miskę z płynem. Podziwiałam tę ich codzienną, straszliwą drogę do kryjówki. Nogi wlokły za sobą jak ciężkie kłody drzewa, potykały się, upadały nosem w ziemię, aby za małą chwilkę odpoczynku podjąć dalszych kilka metrów drogi. Szpitala bały się panicznie, wolały tu, pod gołym niebem, być narażone na opady deszczu albo prażyć się w promieniach słońca, które grzało niemiłosiernie pozbawiony wody obóz.

Kawa poranna czy też wieczorna herbata często nie docierała na bloki robocze. Na dyżurne wyznaczone z poszczególnych baraków do noszenia kotłów z płynem napadały na drodze bojówki, złożone ze spragnionych wody więźniarek, uzbrojonych w kije i miski. Zaczynała się walka, która kończyła się wylaniem zawartości kawy i tak 50 bądź 100 osób pozbawiano płynu (kociołki były 25-litrowe i 50-litrowe).

We wszystkich blokach panował chaos nie do opisania, wszystko trzeba było zdobywać. Apele trwały całymi godzinami, „kapo" z drągami w rękach przeszukiwały wszystkie możliwe kryjówki, aby w końcu znaleźć chorą więźniarkę, która zasnęła gdzieś w ciemnym kącie baraku. Wleczono ją obitą kijami z zemsty za stracony czas.

W szpitalu apel nie zgadzał się prawie codziennie. Liczono głowy więźniarek, skacząc z łóżka na łóżko, często jakaś chora wystawiała nagle swą oskubaną głowę i liczenie zaczynało się od nowa.

Przed barakami szpitalnymi leżały sterty trupów o każdej porze dnia i nocy, nagie szkielety ludzkie, ziemistego koloru. Jedynie po wystających, szerokich miednicach można było ustalić, że były to kobiety.

Mięśnie, a raczej resztki mięśni policzków, przedramienia i ud obżarte były przez szczury. Jeżeli pisarka nie odnotowała natychmiast po zgonie numeru, a trup leżał kilka godzin, rankiem twarz, w której pozostały tylko oczy w głębokich oczodołach, nie pozwalała ustalić, kto umarł. Stąd często omyłki. W kartotekach uśmiercano żywych, rodziny zawiadamiano o zgonie. *Leichenkommando,* które miało za zadanie wynoszenie trupów, ledwo pociągało własnymi nogami ze zmęczenia. Makabryczny to był widok: na krótkich noszach, zbitych z kilku desek, umocowanych na dwóch drążkach, ciała zwisały głową i rękami z jednej strony, a nogami z drugiej strony i tak wlokły się po ziemi „lagrowej".

Epidemie chorób zakaźnych w tych okropnych warunkach higienicznych szerzyły się w zastraszający sposób, co było zresztą w planie założycieli obozu, którzy nie przewidzieli jednego, że esesmani narażeni są w zetknięciu z nami na te same choroby. Zarządzono jak najdalej idące środki ostrożności, esesmanom zabroniono dotykać więźniarki gołą ręką. Nie wolno im było wchodzić do szpitala, który zresztą omijali, jak wyspy zadżumionych. Lekarz *SS, Kitt* doszedł do wniosku, że przy braku kobiecego personelu lekarskiego jest rzeczą niemożliwą opanować chaos, który istniał na blokach roboczych i w szpitalu. Należało przede wszystkim wyłowić wszystkie chore do szpitala i przez komory gazowe zlikwidować zarazę. W dniu 5 września przeprowadzono selekcję, w której *Kitt* wybrał 800 chorych Żydówek. Następnego dnia przewieziono je do komór gazowych.

W tym czasie jeszcze nie było bocznicy kolejowej do Brzezinki. Transporty ludzi do gazu odbywały się samochodami ciężarowymi. Ruch samochodowy z więźniami do gazu na odcinku z Oświęcimia do Brzezinki panował prawie bezustannie. Jeżeli nie wożono ludzi do gazu, to ekipa samochodowa transportowała drzewo do palenia zwłok w rowach przy krematoriach. Krematoria nie wystarczały bowiem do spalania zwłok. Dymy z krematoriów zasnuwały całą okolicę, słup ognia nad kominami sięgał kilka metrów w górę. Nocą od blasku tego płomienia niebo jaśniało łuną stale trwającego pożaru.

1 października 1942 roku władze obozowe przeprowadziły selekcję, której byłam naocznym świadkiem. Wracałam właśnie z oddziału politycznego, w którym przesłuchano mnie jako świadka trzech samobójstw popełnionych poprzedniej nocy na drutach elektrycznych w pobliżu kuchni, gdzie pracowałam jako nocna zmiana. Wracałam pod eskortą z Oświęcimia I. Przed obozem zatrzymano wszystkie kolumny robocze wracające z pracy. Przy wejściu do bramy odbywała się selekcja. Selekcję przeprowadzała komendantka obozu, *Mandel,* dozorczyni *Drechsler* i dwóch esesmanów. Ustawieni w bramie wejściowej oglądali każdą wchodzącą więźniarkę, która musiała uprzednio zdjąć buty i pokazać stopy. Wystarczyło mieć małe skaleczenie, nie mówiąc już o wychudzeniu, a automatycznie kierowano do wewnętrznej części obozu, między druty na-

ładowane elektrycznością, a rów dzielący od dalszej części obozu. Wzdłuż tego rowu stały więźniarki-„kapo" i esesmanki z psami, pilnując, aby któraś z wyselekcjonowanych nie mogła uciec w stronę bloków.

Po wejściu i przeglądzie wszystkich kolumn roboczych zajechały natychmiast samochody i tego samego dnia samochodami ciężarowymi wywieziono około 2 000 kobiet do komór gazowych. Do przybycia ostatniego samochodu, który jechał środkiem obozu kobiecego, stałam przy wejściowej bramie, zostawiona przez *postena* (strażnika). Umierałam ze strachu. Robiłam rachunek sumienia, licząc się z tym, że zabiorą mnie na ostatni samochód. Był taki moment po selekcji, że rozwścieczona esesówka *Drechsler* dopadła do mnie, wymachując pejczem, z krzykiem, co ja tu robię. Powiedziałam, że wracam z oddziału politycznego i to chyba uratowało mnie od losu wyselekcjonowanych, ponieważ słowo *politische Leitung* działało magicznie. Wprowadzono mnie do obozu, w którym była *„blocksperra"*. Wzdłuż drutów elektrycznych, gdzie uprzednio stały wyselekcjonowane, zostały tylko sterty butów i misek.

W celu zaprowadzenia pewnego ładu w szpitalu i jego administracji sięgnięto po kadry lekarsko-pielęgniarskie i administracyjne do obozu męskiego. Równocześnie blokowe we wszystkich blokach przeprowadziły werbunek medyczek i pielęgniarek z prawdziwego zdarzenia. Między innymi zgłosiła się jako studentka trzeciego roku medycyny *Jadwiga Marcówna* z Brzeska, więźniarka z pierwszego transportu Polek. Wszystkie więźniarki, które zgłosiły się na ten apel, musiały przed przyjęciem ich do pracy w szpitalu przejść dokładne badania stanu zdrowia. Pobierano im także krew, kał i mocz do badań laboratoryjnych. Pobrane próbki odsyłano do laboratorium w obozie męskim bądź do *Higiene-Institut* w Berlinie albo w Rajsku. Po otrzymaniu wyników analizy wzywano do pracy w szpitalu zwerbowane kadry. Wezwana została również *Jadwiga Marcówna*. Zabrano ją natychmiast do samochodu, przewieziono do obozu męskiego w Oświęcimiu I i dano zastrzyk dosercowy z fenolu, ponieważ stwierdzono na podstawie analizy, że jest nosicielem duru wysypkowego. Od tej chwili nie było już żadnych ochotniczek do pracy w szpitalu ze względu na zbyt duże ryzyko poddawania się badaniom analitycznym. Były co prawda w obozie dokładne dane personalne w kartotekach więźniarek, ale w tym niesamowitym bałaganie przegląd kartotek okazał się syzyfową pracą, z której w końcu zrezygnowano. Transporty przybywały do obozu co dzień z całej środkowej Europy. Było więc w czym wybierać kadry lekarskie do pracy w szpitalu.

W obozie męskim utworzono kolumnę sanitarną, dochodzącą każdego dnia do obozu kobiecego. W skład tej kolumny wchodzili lekarze: *Bolesław Zbozień, Leon Głogowski, Monkowski* i pielęgniarze: *Julian Kiwała, Jan Wolny, Zenon Ławski, Nicet Włodarski, S. Paducha, Marian Mikołajczyk* i *Zbigniew Rybka*. W późniejszym czasie doszli: *Jackowski* i jako stolarz *Wiesław Kielar*. Pracownikami administracji szpitala byli: *Jerzy Czubak, Wojciech Barcz, Jan Szary*. Wymienionej grupie więźniów powierzono zorganizowanie szpitala w takiej formie, jaka istniała już w obozie męskim [1].

„Komando" męskie zastało obóz kobiecy jak pobojowisko. Największe żniwa śmierci notowane w obozie przypadły na ten właśnie okres.

Z kuchni, w której pracowałam, ustawionej poprzecznie do bloków murowanych, z okien widać było dokładnie wszystkie place przed blokami. Na placach leżały ciężko chore, konające kobiety, głównie przy blokach Żydówek z Holandii i Francji. Któregoś dnia wysłano mnie z kuchni po dokładne dane liczbowe więźniarek w poszczególnych blokach, musiałam zatem wchodzić do wszystkich bloków.

Nigdy nie zapomnę tego, co widziałam w blokach murowanych. Były to po prostu trupiarnie, skąd „sztubowe" (porządkowe) wywlekały, ciągnąc za nogi, zmarłe w ciągu nocy więźniarki. Przed blokami wzdłuż murów leżały w błocie konające, twarze ich obsiadły muchy i to tak gęsto jedna obok drugiej, że więźniarki te wyglądały jak czarne maski, w których czasem poruszyła się powieka i błysnęło na chwilę białko oka. *SS-Scharführer Stibitz* kopnięciem buta w głowę sprawdzał, czy wśród leżących nie ma symulantek.

Ścieżki wzdłuż baraku i te, które prowadziły do latryny, zupełnie były mokre od kału i moczu. Chore na biegunkę i zapalenia pęcherza załatwiały swe naturalne potrzeby wszędzie, zwłaszcza nocą, kiedy nikt nie pilnował. Z okien murowanych bloków znaczyły się wyraźnie wzdłuż muru smugi kału ludzkiego; to ciężko chore wystawiały pośladek przez okno, bo i tak nie doszłyby do latryn.

Po wprowadzeniu nas do obozu latryny umieszczone w murowanych barakach były przez kilka dni pokryte dachem, ale podczas burzy silna wichura zerwała dach i tak już pozostały bez dachu do końca istnienia odcinka B I a w Brzezince. Walka o miejsce w latrynie toczyła się dniem i nocą. Dochodziło do bójek, które kończyły się na betonowej posadzce, pokrytej kałem i moczem.

Były także szumnie zwane umywalnie, w których przed szóstą rano czasem z kurków i wysoko umocowanych tuszów kapała woda. Tu też co rano toczyły się walki o parę kropel wody. Dziesiątki więźniarek z miskami podniesionymi w pogotowiu do góry czekały na cud, na wodę i jeżeli któraś złapała kilka kropel, traciła je natychmiast w walce. Tylko co sprytniejsze wypijały łyk wody. O myciu tam nie było mowy.

Mycie całego ciała odbywało się nocą w dni deszczowe na placach przed blokami, pod tuszem z gołego nieba, a tak się złożyło, że owa jesień 1942 roku była typową złotą polską je-

[1] Zob. też między innymi: *J. Kiwała*: Szpital w obozie żeńskim w Brzezince na przełomie lat 1942—1943. Przegl. Lek., 1965, 1, s. 114—118 (przyp. red.).

sienią i tygodniami trzeba było czekać na deszcz.

Więźniarki dręczone pragnieniem nie odczuwały głodu. W wyschniętych rowach leżały kawałki chleba, których nie podejmowały. Na jednym rogu kuchni była studnia z wodą podskórną. Wierzchni krążek betonowy mieścił się na równi z ziemią, niczym nie zabezpieczony. Była to studnia, w której co noc topiły się więźniarki, sięgające tam po wodę. Woda znajdowała się na głębokości metra od powierzchni. Aby jej nabrać do miski, jedna więźniarka trzymała drugą za nogi, a nie mogąc utrzymać ciężaru, puszczała sięgającą po wodę i ta się topiła. Codziennie rano wyciągano po dwa, trzy topielce.

Pod kuchnią spragnione do ostateczności kobiety stały z miskami, żebrząc o wodę. Czasem któryś z esesmanów pozwalał wejść do pierwszego pomieszczenia kuchni i nabrać wody do misek, ale kończyło się to sadystyczną zabawą esesmanów, którzy w pewnej chwili włączali do kranu węża gumowego i rozpędzali więźniarki strumieniami wody. Uciekały one i w popłochu wylewały zdobytą wodę. Po przeciwległej stronie kuchni znajdowała się tzw. „sauna" (łaźnia), ale dostępna była ona jedynie dla personelu kuchni i nowych transportów, które bezustannie przybywały do obozu. Jedynie dla więźniarek z obozu „sauna" czynna była w czasie odwszawiania, ale dopiero w późniejszym okresie obozu.

Rankiem po pierwszym gwizdku o godzinie trzeciej na każdym odcinku obozu wisiały na drutach po dwa, trzy trupy samobójczyń różnych narodowości. Śmierć kosiła kobiety w zastraszający sposób. W miejscu rzadkich kępek trawy na placach przed barakami powstało gęste błoto, pojawiło się robactwo, muchy i chmary komarów. Ptaki szybowały wysoko albo kołowały, omijając to miejsce zagłady. Brud, głód i zabójczy wilgotny klimat, latryny wypełnione po brzegi kałem (prowizoryczna kanalizacja była zatkana), brak wody do picia i mycia zamieniał kobiety w krótkim czasie w szkielety o stępiałych twarzach. W takich warunkach należało zebrać chore z bloków roboczych i ulokować w szpitalu, a tam posegregować na różne bloki w zależności od choroby. To było zadanie dla dziesiątków ludzi, ale ta mała kolumna męska zabrała sie do pracy w atmosferze, którą wytrzymać mógł człowiek tylko silny duchowo i fizycznie. Blokowe szpitalnych bloków, niemieckie prostytutki, z kobietami nie liczyły się zupełnie; dbały tylko o to, aby pędzić wygodny tryb życia.

Po objęciu kierownictwa szpitala przez mężczyzn nastąpiły zasadnicze zmiany zarówno w personelu, jak i w ogólnym porządku w bloku. Beczkowozy z wodą przywożono częściej, konające z pragnienia więźniarki mogły pić wodę (zresztą podskórną). Chorym mierzono temperaturę. Mężczyźni przemycali do obozu wszystko, co było możliwe: żywność, leki, czasem nawet witaminy.

Pierwszy raz zetknęłam się z dr *Bolesławem Zbozieniem* i *Julianem Kiwałą* w bloku 10 roboczym. Robili oni przegląd chorych, które miały tzw. *Blockschonung* (zwolnienie z pracy i apeli przez kilka dni). Muszę tu zaznaczyć, że co najmniej jedna trzecia stanu bloku roboczego była chora, szpital nie pomieściłby w żadnym wypadku wszystkich chorych. Blok *kommanda* pracującego mógł z łatwością ukryć dłużej leżące więźniarki, ponieważ *kommando* pracowało na dwie zmiany, nocną i dzienną. Nocna zmiana spała w ciągu dnia.

Wszystkie chore były zbadane przez dr *Zbozienia,* udzielono im z miejsca pierwszej pomocy, nawet niektóre otrzymywały zastrzyki. Niestety, wiele chorych zmarło; nie dało się już uratować między innymi jednej z trzech sióstr *Kopycińskich, Jadwigi* (komplikacje po durze wysypkowym). Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu po ciężko chore przychodziły pielęgniarki z noszami, czego nie było nigdy do tego czasu.

Pojawienie się mężczyzn w bloku początkowo nie wywarło na kobietach żadnego wrażenia. Życie obozowe zrobiło z nas jakieś twory bezpłciowe. Kobieta w obozie z obciętymi do skóry włosami wyglądała odrażająco, nie mówiąc już o tym, że ubrane byłyśmy jak strachy na wróble, w sukienkach powyżej kolan albo do kostek, a męskie, drewniane buciory na wychudłych nogach stwarzały obraz żałośnie śmieszny.

Pewnego dnia zachorowałam i ja, znalazłam się więc w szpitalu, oczywiście po wielu oporach, ponieważ bałam się szpitala jak wszystkie więźniarki. W szpitalu już było widać rękę mężczyzny. Cały personel kobiecy poruszał się zupełnie inaczej pod ich kierunkiem. Do administracji szpitala, a także do ogólnego ambulansu i jako personel pielęgniarski wprowadzono pierwsze Polki. Mężczyźni narzucali tu całkowicie swój styl pracy, wszyscy pracowali bez wytchnienia, od przybycia do obozu po rannym apelu do wieczora. Rano odbywał się w każdym bloku przegląd ciężko chorych, a potem wszelkie zabiegi.

Na długim piecu dr *Zbozień* robił opatrunki; wprawne ręce chirurga pracowały jak maszyna; chore, przeważnie na zapalenie ucha środkowego, w brudnych koszulach, owinięte w koce, siedziały wzdłuż pieca i kolejno przesuwały się do zabiegu. Ten ambulans na piecu obserwowały wszystkie przytomne chore. Dr *Zbozień* miał dla każdej uśmiech i kilka miłych słów, które działały jak różdżka czarodziejska. Najbardziej umęczona twarz rozjaśniała się na chwilę dziękczynnym uśmiechem. Tam też rodziły się dzieci. To wszystko przypominało już jakiś skromny, choć duży szpital polowy. W każdym razie nastąpiła gruntowna zmiana na lepsze.

W moim łóżku pod siennikiem była schowana przemycona przez mężczyzn apteczka. Lekarstwa przynoszono w małych paczuszkach. Przeważnie były to środki nasercowe, glukoza, koramina, cebion, prontosil.

Po odejściu mężczyzn i po wieczornym apelu rekonwalescentki na nowo uczyły się chodzić. Całe gromady chorych w dziennych ko-

szulach, z kocem narzuconym na plecy, spacerowały dookoła pieca; wyglądało to tak, jak pielgrzymka żebraków do ziemi obiecanej. Porządkowe i lżej chore gromadziły się przy piecu, gotowały w miskach zdobyte gdzieś ziemniaki, inne znowu opiekały na prętach kawałek chleba jako cudowny lek na biegunki. Kobiety bardziej dbały o siebie niż uprzednio. Wieczorne wyłapywanie insektów wyglądało jak sabat czarownic. Rozebrane do naga, wychudłe więźniarki robiły przegląd swojej lichej koszuliny. Trudno opisać te koce, w które wszczepiały się tysiące pcheł, tłustych, wypasionych, z wystającym tylko szklistym czubkiem odwłoku. O wyłapywaniu pcheł nie było mowy, chyba że jakaś prasa hydrauliczna zmiażdżyłaby je jednorazowo. Przeważnie wyskakiwały na sąsiednie łóżka albo w przejścia, tak że chodzące chore miały od razu czarne, żywe skarpetki.

Po klepisku baraku i po belkach wiązania spacerowały jak koty ogromne szczury z przychówkiem. Urządzały sobie nawet gody miłosne w ciemniejszych kątach bloku. Na widok szczurów nie reagowałyśmy już. To były prawie nasze zwierzęta domowe; oswojone, a nawet bezczelne pchały się pod koce za skórką chleba lub czubkiem stopy ciężko chorej więźniarki.

W drugiej połowie listopada przeprowadzono w szpitalu pierwsze odwszenie, które było czymś makabrycznym. Na końcu bloku ustawiono dużą beczkę z wodą wymieszaną z jakimś cuchnącym płynem, w którym kąpano wszystkie chore. Zawszawionym strzyżono włosy na głowie, pod pachami i w kroczu i tak w tej samej wodzie nurzały się wszystkie, czyli około 600 osób. Po pierwszej dziesiątce woda w beczce była brudna, jak w kałuży ulicy „lagrowej". Okryte kocem, mokre jeszcze chore przeprowadzano z jednego bloku do drugiego, co wywołało wiele przypadków zapalenia płuc. Dla Niemek przeznaczono blok 22, jedyny, w którym była podłoga. Na przodzie tego bloku było oddzielone przepierzeniem z desek pomieszczenie, w którym zakwaterowano personel szpitalny, pielęgniarki i administrację „rewiru". Później umieszczono tu kuchnię dietetyczną.

W początkach grudnia odbyła się w bloku 22, w pomieszczeniu dla personelu szpitala masowa egzekucja czterdziestu kobiet, które przywieziono z Lublina, były one wysiedlone z Zamościa, w różnym wieku. Uśmiercano je zastrzykiem z fenolu w serce. Odbywało się to w ten sposób, że przed drzwiami ustawiono całą grupę pod eskortą esesmanów. Więźniarki wchodziły kolejno do pomieszczenia, w którym uśmiercano je i zwłoki wyrzucano z drugiej strony przez drzwi, prowadzące przez blok 22. Tam już czekało na zwłoki *Leichenkommando*, złożone z Żydówek słowackich, które natychmiast przenosiły uśmiercone kobiety, ociekające jeszcze krwią. Egzekucją kierował esesman *Houstek*. Zastrzyk dosercowy wykonywali esesmani przywiezieni z obozu głównego Oświęcim I. Była to jedyna masowa egzekucja, którą wykonano w obozie kobiecym, ponieważ do tego czasu skazane na karę śmierci, jak *Danutę Terlikowską* z Warszawy i inne przewożono do obozu męskiego Oświęcim I. Zastrzykiem z fenolu uśmiercano na miejscu w Brzezince jedynie nowo urodzone niemowlęta. Zabierano matce dziecko i przenoszono do ambulansu, a następnie *SDG* dokonywał zastrzyku z fenolu. Bywało często tak, że niemowlę leżało głodne nawet przez dwa dni i czekało na kozetce w ambulansie na wykonanie zastrzyku. Kiedy esesmani odchodzili, więźniarki przenosiły dziecko matce, aby je nakarmiła, ratując przed powolną śmiercią głodową.

W bloku 24 blokową była akuszerka *Klara*, Niemka z zielonym trójkątem, skazana na obóz za nielegalne poronienia. Wiedząc o tym, że niemowlęta są nieuchronnie uśmiercane zastrzykiem z fenolu, w późniejszym okresie tak prowadziła poród, aby niemowlę urodziło się nieżywe.

W początkach grudnia w baraku nr 30 uruchomiono aparaturę rentgenowską do sterylizacji. Dr *Schumann* w lotniczym mundurze zjawiał się początkowo raz w tygodniu, a później dwa razy, z dużymi grupami więźniarek i więźniów, których naświetlano.

Selekcje w „rewirze" odbywały się co najmniej raz na dwa tygodnie. Wspomniany już lekarz *SS Kitt* wybierał ciężko chore i tzw. muzułmanki, które przenoszono lub przeprowadzano na bloki 25 i 26. Były to bloki śmierci. Gromadzono w nich zbierane z obozu, wyselekcjonowane mniejsze grupy, które od czasu do czasu wywożono do gazu. Blokową w tych blokach była młoda jeszcze dziewczynka, Żydówka ze Słowacji. Wszystkim zebranym tam więźniarkom odbierano ubranie i tak nago wyczekiwały po kilka dni na transport do gazu. Bloki te były odgrodzone murem od reszty obozu, nie wolno było tam nikomu wchodzić; dniem i nocą słychać było jęki i głośne zawodzenia skazanych na śmierć kobiet, które okradane z żywności oczekiwały na wywóz do gazu. Samochody ciężarowe dojeżdżały po wyselekcjonowane pod samą bramę tych dwóch bloków i o każdej porze roku na samochód wsiadały nagie kobiety. Koła samochodów grzęzły często w podmokłym gruncie i po jakimś czasie wyryły głębokie koleiny, prowadzące od bramy do wrót bloków 25 i 26.

Przy wszystkich selekcjach i wywożeniach do gazu akcją kierował esesman z oddziału politycznego *Houstek*, w obecności lekarza esesmana i komendantki *Mandl*. Na blokach szpitalnych była już częściowa segregacja chorych zależnie od choroby. Częściowa, ponieważ na wszystkich blokach lekarze-więźniowie ukrywali chore na dur wysypkowy, stawiając inne rozpoznania.

W bloku 22 dr *Zbozień* uruchomił podręczne laboratorium do przeprowadzania analiz moczu i krwi. Do tego czasu nie było w obozie kobiecym żadnych pomocniczych badań dla ustalenia diagnozy. Chore wymagające operacji, jak trepanacji czaszek i operacji wyrostków robaczkowych poddawane były zabiegom opera-

cyjnym w obozie męskim, początkowo w Oświęcimiu I, a później w Brzezince w *HKB (Häftlingskrankenbau).* W laboratorium odbywały się również wszystkie zabiegi chirurgiczne ropni czy amputacje odmrożonych palców; wykonywał je dr *Zbozień;* przy znikomej ilości chlorku etylu robiono tylko miejscowe znieczulenia i to nie zawsze. Pamiętam jeden z takich zabiegów u chorej na rozległą flegmonę. Dosłownie mięśnie uda i łydki tworzyły jednolity worek z ropą, która przy podniesieniu nogi chorej w górę przelewała się jak ze zbiornika z uda do łydki. Dr *Zbozień* przenosił chore na rękach, robił zabieg i sam po zabiegu sprzątał ze zwykłym swoim uśmiechem dobroci na ustach. Wiele setek chorych z tego okresu zawdzięcza mu życie. Chore niemal modliły się do niego; wystarczyło, że zamienił z nimi kilka słów, a zapewniały, że czują się lepiej.

W tym samym laboratorium mieściła się już oficjalnie apteczka, przeznaczona wyłącznie dla Niemek. Sanitarka z obozu męskiego przywoziła leki pochodzące z tego, co przywoziły ze sobą transporty z całej Europy. Tą drogą wędrowały też leki przemycane do obozu przez ruch oporu. Duży odsetek chorych już teraz leczono różnego rodzaju lekami. Ambulatorium bloku nr 22 dysponowało kilkunastoma strzykawkami i różnymi narzędziami chirurgicznymi, zdobywanymi przez mężczyzn w rozmaity możliwy sposób. Dr *Zbozień* wykonywał na miejscu zabiegi chirurgiczne u chorych ciężarnych przywiezionych z transportów z krwotokami.

Wszelkie te zabiegi odbywały się w najprymitywniejszych warunkach, nie mówiąc już o tym, że wygotowanie narzędzi chirurgicznych w wodzie podskórnej koloru brązowego zabarwiało instrumenty na brązowo, a na wierzchu wody tworzył się tłusty kożuch w kolorach tęczy. Mimo to nie było po zabiegach przypadków zgonu wskutek zakażenia.

Ten ogromny wkład pracy mężczyzn w zorganizowanie szpitala w obozie kobiecym, właściwe ustawienie pracy pielęgniarskiej, niesienie jak najdalej idącej pomocy więźniarkom, pozwoliły nam łudzić się, że przy tej pomocy przetrwamy obóz. Pomoc mężczyzn miała swój wyraz wszędzie, na każdym odcinku w obozie, jak na przykład lokowanie rekonwalescentek w tych „komandach", w których praca była lżejsza. Przez wszystkie możliwe źródła opieka mężczyzn docierała do nas.

W późniejszym okresie, kiedy wstrzymano dochodzącą męską ekipę, a trzeba było leków specjalnych, sygnalizowałyśmy przez różne inne dochodzące „komanda" mężczyzn, jak stolarzy, instalatorów itp. o zapotrzebowaniu leków, które realizowali natychmiast. Po wycofaniu dochodzącego „komanda" lekarzy i pielęgniarzy dochodzili do szpitala specjaliści w zależności od potrzeby po dwa, trzy razy w tygodniu. Leczono lżejsze przypadki gruźlicy, chore jeździły raz w tygodniu do prześwietlenia w Oświęcimiu I, uprzednio zbadane przez dr *Tondosa,* więźnia z Zakopanego, specjalistę chorób płucnych. Otrzymywałyśmy duże ilości wapnia w zastrzykach i najcudowniejszy lek, tran, który stawiał na nogi chore na daleko posuniętą gruźlicę. Przewożono chore do szpitala męskiego w celu wykonania odmy płuc i różnych innych specjalistycznych zabiegów.

Mężczyźni ratowali całe rzesze chorych. Otrzymywałyśmy od nich polecenia ratowania takiej, czy innej wartościowej jednostki, którą należało chronić. Dzięki mężczyznom Polki pracowały już we wszystkich placówkach, jak administracja obozu, oddziały polityczne, nie mówiąc już o tym, że w szpitalu miały duży wpływ, mimo iż główną lekarką pozostała do końca więźniarka ze Słowacji. W ambulansie przyjęć były dwie Polki: *Monika Galicyna* i *Helena Matheisel,* które odegrały wielką rolę w przyjmowaniu i lokowaniu chorych w bezpiecznych blokach. W administracji szpitala Polki wprowadzone przez mężczyzn zaprowadziły ład i porządek w kartotekach. Dzięki ich pracy ratowano setki wyselekcjonowanych przez lekarzy *SS.* Listy imienne transportów do gazu fałszowano, wstawiając ogromny procent już dawno zmarłych więźniarek, dzięki czemu ratowano spośród wyselekcjonowanych wszystkie te, które miały możliwość powrotu do zdrowia.

Kobiece kadry lekarskie powiększały się z każdym dniem, ponieważ transporty bezustannie przybywały do obozu. Zasilono także kadry lekarskie po transporcie z obozu kobiecego w Ravensbrück.

W lutym 1943 roku szpital obejmował już 6 baraków drewnianych dla chorych, blok, w którym mieścił się ambulans, laboratorium analityczne i pomieszczenia na biuro administracji oraz blok 30, w którym mieszkał częściowo personel administracyjny; w środkowej części tego bloku, jak wspomniano, znajdowała się też aparatura rentgenowska używana do sterylizacji. Przystąpiono do budowy bloku 29, w którym później umieszczono wszystkie chore na gruźlicę. Mężczyźni instalowali w blokach dopływ wody i wprowadzali takie udogodnienia, jak umywalki w poszczególnych blokach.

Szpital stanowił w obozie placówkę, która odegrała wielką rolę w życiu obozowym. Odizolowany drutami od reszty obozu, wskutek chorób zakaźnych niedostępny dla esesmanów, „rewir" był tą częścią obozu, w której można było przedsiębrać wiele posunięć w celu ratowania i ochrony więźniarek potrzebujących pomocy.

ANTONINA PIĄTKOWSKA
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 6805, Ravensbrück i Neustadt-Gleve

Warszawa

Z przeżyć oświęcimskich

W dniu 27 kwietnia 1942 roku zostałam przewieziona z więzienia Montelupich do Oświęcimia pierwszym transportem Polek z Krakowa i Tarnowa. Kobiety zostały umieszczone w bloku 8, wydzielonym z męskiego obozu. W murowanym bloku trzeba było spać bez siennika i koca; głód, bicie, kopanie, praca ponad siły ludzkie wyczerpywały do reszty; ale największą tragedią był szarpiący strach i niepokój o los najbliższych, przerażenie matek i żon, które tu w obozie miały swoich najbliższych. Sama miałam w obozie oświęcimskim męża i syna, 17-letniego *Romka Wierzbickiego*, wywiezionego do Oświęcimia 5 kwietnia 1941 roku z Krakowa z powodu przynależności do organizacji podziemnej.

O śmierci mojego męża, *Bolesława Piątkowskiego*, dowiedziałam się już wcześniej. Niemiec *Widermann*, „zaopatrzeniowiec" więzienia Montelupich w Krakowie, zawiadomił mnie, że mąż mój zmarł 2 maja 1941 roku „na zapalenie płuc". Co do syna, wierzyłam uparcie, że żyje.

Życie w obozie stawało się dla nas z każdym dniem cięższe. Miałam za sobą 13 miesięcy więzienia Montelupich, ciężkie badania w gestapo na Pomorskiej [1] i dochodzenia w sprawie ukrywanej broni. To, co się wokół mnie w obozie działo, nawet nie bardzo docierało do mnie. Bicie nieważne, byleby nie zabili, pragnęłam bowiem żyć i zobaczyć mojego *Romka*.

Szukałam go zupełnie beznadziejnie. Na widok każdego mężczyzny w pasiaku wszystko we mnie zamierało. Z uporem szukałam syna wśród „komand" maszerujących do pracy, rozglądałam się po oknach męskich bloków... Wreszcie ogarnęła mnie rozpacz: ja chyba dostaję obłędu, wszystkie twarze więźniów są całkiem jednakowe! Nie jestem już w stanie ich rozróżnić. Jeśli nawet spotkam *Romka*, to mogę go nie poznać! Wtedy znajdowałam się w najbardziej zapewne krytycznym stanie psychiki. W warunkach głodu i skrajnego wycieńczenia ocalenie moje mogło nastąpić tylko dzięki pomocy życzliwych współwięźniów.

W tym rozpaczliwym okresie wszedł w moje życie więzień nr 4507, *Konstanty Jagiełło*. Pewnego dnia zobaczyłam, że pod blok nr 8 podjeżdża ciągnięty przez więźniów wózek z kotłami. Blokowa wysłała kilka więźniarek, aby zabrały kotły. Jedyna myśl, jaka tłukła się w moim mózgu, sprawiła, że jak automat przyłączyłam się do więźniarek spieszących po kotły. Musiałam z bliska zobaczyć więźniów, bo może jest wśród nich *Romek*... A przy wózku stał młody chłopiec. Czyżby *Romek*? Podeszłam najbliżej, żeby rozpoznać, bo mimo wysiłku mgła jakaś opadła mi na oczy. Przez tę mgłę zobaczyłam numer: 4507. A więc nie *Romek;* wiedziałam już znacznie wcześniej, że numer *Romka* był 11844. Nie mogłam uwierzyć, wytrzeszczałam oczy, mijały sekundy, ale numer na piersi więźnia pozostał bez zmiany — wynosił 4507. Widocznie coś w moim wyglądzie było niepokojącego, gdyż młody więzień zwrócił się do mnie energicznym tonem: „Nie wolno się załamywać, tu trzeba żyć!" Roztrzęsiona, czepiając się ostatniej nitki nadziei, zapytałam go, czy nie zna *Romka Wierzbickiego*, podałam, kiedy był przywieziony. Odpowiedział mi krótko, że jak się dowie, to da znać. Zapytał o moje nazwisko, spojrzał na mój numer i powtórzył: 6805. Szybko jeszcze dodał: „Proszę pamiętać mój numer, moje imię: *Kostek*".

Już się nie bałam, że oszaleję. Czekałam, aż młody więzień zjawi się znowu i przyniesie wiadomość o *Romku*. Po paru dniach zobaczyłam *Kostka*. Towarzyszący mu esesman rozmawiał z *aufzejerką*, mogłam więc zbliżyć się o tyle, aby usłyszeć od *Kostka: „Romek Wierzbicki* wywieziony do Niemiec". *Kostek*, mówiąc to, był jakiś smutny tak, że nawet zaskoczyła mnie jego postawa. Dopiero znacznie później miałam się dowiedzieć przyczyny. W tamtej chwili oddaliłam się tylko szybko od mojego *Kostka*, „mojego", bo tak go właśnie od tego momentu nazywałam w myślach, stał mi się bowiem naprawdę bliski jak własny syn.

Po ucieczce jednej z więźniarek naszego „komanda" Polkom jako pierwszym „Aryjkom" zgolono włosy. 200 Polek wysłano do karnej kompanii, tzw. *„SK" (Strafkompanie)* na Budy. Po paru dniach przyszły tam następne więźniarki, 200 francuskich Żydówek. Warunki życia w karnej kompanii na Budach były koszmarne. Więźniarki wymierały bardzo szybko. Podtrzymywała mnie na duchu myśl o *Kostku*. Wierzyłam, iż dowie się on na pewno, gdzie jest mój Romek, czy żyje, a wiadomość przyśle mi niezawodnie. Ta wiara pozwalała wszystko przetrzymać. Dwukrotnie przez więźniów, którzy przychodzili do pracy na Budy, dostałam od *Kostka* paczuszki. Były w nich lekarstwa i chleb, w naszych warunkach istne skarby, ale większą wartość miało potwierdzenie, że *Kostek* pamięta i chce pomóc.

W nocy 16 sierpnia 1942 roku przepędzono karną kompanię z Bud do obozu B Ia w Brzezince i ulokowano w bloku nr 1. Z 400 kobiet pozostało przy życiu 137 i te spędzono teraz do murowanego bloku bez okien, bez światła i wody. Zamiast podłogi — grząskie błoto; robactwo, pluskwy, czarno od pcheł, szczury; nie było mowy o spaniu. Był to obóz po wymordowanych jeńcach radzieckich. Codziennie przy-

[1] Ulica (obecnie Wybickiego), przy której mieściła się w przedwojennym tzw. „Domu Śląskim" osławiona siedziba gestapo w Krakowie (przyp. red.).

chodziły teraz nowe transporty kobiet, prawie z całej Europy. Panował niesamowity głód, zaczęły się szerzyć choroby, nasilała się śmiertelność. Szpital, to trzy bloki przepełnione do ostatnich granic; brakowało lekarzy, lekarstw, wody, chore konały z pragnienia. Istna wyspa trędowatych. Dr *Stefania Kościuszkowa* [2] z Rabki pracowała jako posługaczka w szpitalu. Nie mogła się zdradzić, że jest lekarzem, bo wtedy na pewno wyrzucono by ją ze szpitala, a była ona jedynym lekarzem w tym piekle. W dniu 25 sierpnia przywieziono dr *Janinę Węgierską* [3]. Od tego dnia były już w szpitalu obozowym dwie lekarki, które z narażeniem własnego życia walczyły o przetrwanie swoich chorych.

W pierwszych dniach września przybiegła do mnie jedna z więźniarek, młoda Słowaczka, którą znałam jeszcze z bloku nr 8, przynaglając, że mam natychmiast iść na szpitalny blok nr 23 do dr *Węgierskiej*. Był tam *Kostek*. Zapytałam go o syna; odpowiedź ta sama: wywieziony, jest mu dobrze. *Kostek* wręczył mi paczuszkę i już musiałam wracać do swojego bloku. Wtedy — chyba po raz pierwszy — wkradła mi się do serca pewna wątpliwość, niejasne podejrzenie, że *Kostek* coś przede mną ukrywa, ale odrzuciłam złe myśli, bo przecież to chyba niemożliwe, aby ten szlachetny chłopiec mógł mnie okłamywać, wiedząc, jak boleję i jak czekam na wieść o dziecku. Rozpakowałam przyniesioną paczuszkę i znów wróciła radość. Witamina C, dwie cebule, chleb, lignina, trzy bandaże na opatrunki, kawałek mydła. A więc najpotrzebniejsze przedmioty dla więźniarek z ropiejącymi, owrzodziałymi nogami, mogące nawet uratować komuś życie.

Październik 1942 roku. Coraz więcej chorych. Szczególnie Francuzki okazywały się niewytrzymałe. Umierały najczęściej na obozową biegunkę (tzw. *durchfall*). Zaczęła się epidemia duru wysypkowego. „Rewir" przepełniony, brak miejsca dla kobiet przywożonych niemal z całej Europy; umierały „na lagrze", w blokach i pod blokami.

W pierwszych dniach listopada 1942 roku zachorowałam na dur wysypkowy. Do „rewiru" mnie nie przyjęto, nie było miejsca. W bloku nie pozwalano leżeć, choć oczywiście, wolno było umrzeć. Tego jednego nam nie zabraniano. Dr *Stefania Kościuszkowa* opowiadała mi później, że ukrywano mnie w bloku, jeśli się tylko dało, ale jeśli to było niemożliwe, leżałam jak inne, pod blokiem na deszczu czy śniegu. Stale opiekował się mną *Kostek Jagiełło*, dostarczał lekarstw, przychodził, kiedy tylko mógł. I wreszcie któregoś dnia otworzyłam już przytomnie oczy. Przy mnie stał *Kostek*. W jego oczach widziałam prawdziwą radość z mojego powrotu do życia. Niewątpliwie jemu właśnie i dr *Stefanii Kościuszkowej* zawdzięczam uratowanie wówczas od śmierci. Kiedy dziękowałam najserdeczniej za opiekę nade mną, *Kostek* odpowiedział, że przecież mojego *Romka* tutaj nie ma, więc on go tylko zastępował; to był jego obowiązek właśnie wobec mojego syna.

Nadszedł rok 1943; życie pogarszało się jeszcze bardziej. Codziennie przychodziły coraz liczniejsze transporty ludzi przeznaczonych do gazu. Krematoria, jak wiadomo, nie nadążały ze spalaniem zwłok. Palono ludzi w naprędce przygotowanych dołach. Obóz oświetlony był całymi nocami; nisko nad ziemią rozciągał się dym. Gdy wiatr wiał w stronę obozu, swąd spalonych ciał nie pozwalał oddychać. Groza i beznadziejność sytuacji, bezsilność wobec gigantycznej zbrodni, coraz częściej zakradające się do serc pytanie, co zrobią z nami, ciągle szerzące się wiadomości, że stare numery więźniarskie mogą być wymordowane, oto co nas wówczas przytłaczało.

Nietrudno zrozumieć, jak wielką rolę odgrywało dla nas wówczas każde słowo pociechy i każda pomoc. Właśnie *Kostek*, wśród innych podobnych mu, ofiarnych więźniów, nie dających się załamać w obozie, zjawiał się wtedy, gdy najtrudniej było obronić się przed paniką. Przynosił wiadomości krzepiące i napełniające otuchą. Przekazywałam je oczywiście dalej, mimo że zdawałam sobie często sprawę, iż to, co mówił o ogólnej sytuacji Niemiec, nie mogło być prawdą. Ale przekazywałam, bo wiedziałam, że to jest dobre kłamstwo. *Kostek* tłumaczył, że należy wszystko robić, aby podtrzymać w więźniarkach nadzieję i wolę przetrwania. Tylko równocześnie musiałam sobie zadawać pytanie, czy takim samym dobrym kłamstwem nie posłużył się wobec mnie, kiedy pytałam o los mego syna.

Kiedyś spotkałam więźnia, o którym wiedziałam, że pracuje w biurze obozu oświęcimskiego. Podałam mu numer *Romka*, prosząc, aby ten więzień poinformował mnie o jego losach. Nie powiedziałam jednak, że jest to mój syn; twierdziłam, że to jeden ze znajomych z Krakowa. Po paru dniach więzień ten powiedział mi, że *Roman Wierzbicki* został wybrany na śmierć w dniu 29 lipca 1941 roku przez niemieckiego lekarza dr *Horsta Schumanna*, wraz z 575 innymi więźniami wywieziony do Sonnenstein w Saksonii i tam zamordowany.

Wtedy załamałam się zupełnie. Nie pomogła żadna pomoc ani opieka i serdeczność naszych lekarek, dr *Ireny Białówny* i dr *Węgierskiej*. Nie chciałam dalej żyć, nie miałam dla kogo walczyć o każdą niemal minutę mojego niepotrzebnego już teraz życia. Opanował mnie też ogromny żal do *Kostka*, iż tak długo mnie okłamywał.

Wystarczyło kilka dni, abym się stała typowym obozowym „muzułmanem", cieniem człowieka, nie nadającego się już do niczego. Po paru dniach zjawił się znowu *Kostek*. Nawet nie miałam sił ani chęci, aby mu robić jakiekolwiek wymówki. Płakałam tylko bardzo i powiedziałam mu, że *Romek* nie żyje. Początkowo zaprzeczył stanowczo, ale gdy przytoczyłam szczegóły, przyznał, że wiedział o tym. Wiedział, ale nie mógł zdobyć się na to, żeby mi o tym powiedzieć, bo wiedział równocześnie,

[2] Zob. *J. Kościuszkowa:* Dr *Stefania Kościuszkowa*. Przegl. Lek., 1961, 1a, s. 78 (przyp. red.).

[3] Zob. *S. Szmaglewska*: Sylwetki lekarzy, więźniów Oświęcimia. Przegl. Lek., 1964, 4, s. 118 (przyp. red.).

iż w moich aktach obozowych mam również wyrok śmierci. Odpowiedziałam, że przecież to zupełnie nieważny argument. Wszakże każdy z nas, kto przekroczył bramę obozu, ma wyrok śmierci, obojętne, czy zapisany w aktach, czy nie. I tu *Kostek* zaoponował bardzo gwałtownie. Nie, nie każdy, właśnie, że nie każdy; to od nas samych w bardzo dużej mierze zależy, a przede wszystkim od woli życia, czy przetrzymamy obóz. *Kostku* — powiedziałam — nie ma we mnie tej woli, śmierć będzie wybawieniem, a nie udręką.

Wtedy dostałam surową, ale jakże sprawiedliwą lekcję. Bardzo twardo *Kostek* wyjaśnił, że właśnie za dużo nas ginie i że nie chodzi tu o moje jedno życie. Mam obowiązek żyć, aby pomagać przetrwać innym, tak właśnie załamanym, jak ja w tej chwili. A samowolnie przyspieszać swego końca nikt nie ma prawa, bo każde życie jest cenne i każde należy chronić. Jest to nasz sposób walki i od tej walki nikt nas zwolnić nie może, bo tylko chroniąc życie więźniów dalej walczymy wraz z całą Polską.

Kostek opiekował się mną odtąd jeszcze troskliwiej; czuwał rzeczywiście jak najbardziej oddany syn. Coraz częściej przysyłał mi paczki z lekarstwami, abym mogła pomóc możliwie największej liczbie chorych więźniarek i w ten sposób zmuszał mnie do wyjścia ze swego własnego bólu i zajęcia się losem innych. Do dziś pamiętam rozjaśnione radością oczy dr *Kościuszkowej*, kiedy otrzymała od *Kostka* upragnioną od dawna strzykawkę i igły do zastrzyków; miała czym ratować chore.

Któregoś dnia *Kostek* przysłał mi jakieś duże proszki w różowych opłatkach. Kiedy pytałam, w jakich przypadkach je dawać, odpowiedział, że wszystkie proszki zostały sprawdzone i są dobre dla każdego. Dopiero później dowiedziałam się, że był to zestaw różnych witamin, ale już następnego dnia po rozdzieleniu proszków słyszałam, jak więźniarki zachwycały się, że to lekarstwo cudownie działa. W największej mierze działała tu chyba wiara w skuteczność leku i zaufanie do tych, którzy leki te „organizowali".

Nastał rok 1944. Już w pierwszej połowie czerwca zaczęły się coraz liczniejsze ucieczki więźniów. W tym okresie miałam wyznaczone spotkanie z *Kostkiem*. Mieliśmy rozmawiać w łaźni. Podkreślał wtedy, żeby więźniarki-Polki starały się wzajemnie podtrzymywać na duchu, gdyż mogą nas spotkać różne niespodzianki. Niemcy wojnę przegrywają, to pewne. Ale właśnie dlatego trzeba być czujnym. Ludzie czuwają i tu w obozie, i poza nim.

Zdziwiona tą wypowiedzią, zapytałam *Kostka*, czy rzeczywiście poza obozem są jacyś ludzie, którzy by mogli nam pomóc w decydującej chwili. „Tak, są i czuwają" — brzmiała jego odpowiedź. Po kilku dniach dostałam od niego paczkę, do której dołączył wycinek niemieckiej gazety. Treść komunikatu była dla Niemców wręcz dramatyczna. Nie trzeba chyba dodawać, że wiadomość ta dotarła do setek i tysięcy więźniarek. Był to rzeczywiście wyjątkowo wzmacniający lek.

W drugiej połowie czerwca spotkałam *Kostka* znowu w łaźni. Było to dobre miejsce spotkań, gdyż zatrudniony był tam bliski znajomy *Kostka*, więzień *Henryk Porębski*, którego i ja znałam. Wiedziałam, że mu można wierzyć. Tego dnia *Kostek* wyjątkowo serdecznie do mnie mówił i podkreślał, że jeśli będę czegoś potrzebowała, to mam się zaraz zwrócić do *Henryka*, a on mi na pewno pomoże. Nie odmówi mi też pomocy drugi więzień obsługujący łaźnię, którego nazwiska już dzisiaj nie pamiętam.

Nie musiałam długo zastanawiać się nad słowami *Kostka*. Już 29 czerwca dowiedziałam się od znajomego więźnia, który przychodził z męskim „komandem" do obozu kobiecego w celu wykonywania różnych prac, że uciekło dwóch więźniów. Nie znał ich nazwisk, ale *Henryk* z łaźni poinformował mnie, że 27 czerwca *Kostek* wraz z drugim więźniem, *Tomaszem Sobańskim* uciekli z obozu. Jakaż to była dla mnie ogromna radość! Udało mu się, wydostał się na wolność! Po paru tygodniach *Henryk* doniósł mi, że *Kostek* jest już w partyzantce w okolicach Oświęcimia i nadal walczy o nasze życie, organizuje i ułatwia ucieczki z obozu innym więźniom. W tej walce spotkała go śmierć. Zdradzony przy organizowaniu kolejnej ucieczki kilku więźniów, padł od kuli esesowskiej, walcząc do ostatka.

Gdy wracam myślami do tego wyjątkowego człowieka i gdy rozważam istotne znaczenie duchowej i materialnej pomocy ze strony współwięźniów, utwierdzam się w przekonaniu o słuszności słów więźnia *Konstantego Jaroszewicza*, że „trzeba żyć i walczyć do samego końca, po to, aby inni żyć mogli".

STANISŁAW DZIADUŚ Myślenice
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 45125,
Gross-Rosen nr 8494 i Mauthausen nr 104302

Urywki wspomnień z Oświęcimia-Brzezinki

Każdemu się wydaje, że dokładnie wie, co znaczy słowo „Oświęcim". W r. 1941 mnie też się wydawało, że wiem, a przynajmniej wyczuwam, co ów obóz oznacza. Dopiero gdy się tam znalazłem, okazało się, że wiedziałem i wyczuwałem niewiele. Rzeczywistość przeszła wszelkie moje wyobrażenia. Dziś, po 27 latach od założenia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, Niemcy pragną wymazać to straszne pojęcie ze świadomości ludzkiej, a choćby tylko złagodzić wyobrażenia o nim. Lecz przypominanie prawdy o Oświęcimiu i innych katowniach hitlerowskich jest konieczne, by można było żywić nadzieję, że podobne zbrodnie już się nie powtórzą. Tylko ludzie świadomi, znający koszmarną, zbrodniczą historię *NSDAP* mogą się na czas zorientować, do czego prowadzi skromna działalność *NPD* i bliskich jej ugrupowań. Przypominanie prawdy o okresie brunatnej zagłady jest nieodzownym warunkiem ostrzeżenia, którego potrzebę odczuwamy wyraźnie. Te właśnie okoliczności skłaniają mnie, by po tylu latach wrócić wspomnieniami do Oświęcimia i w krótkim artykule przedstawić urywki z całości moich obserwacji obozowych.

Od 11 listopada 1941 roku siedziałem w więzieniu w Tarnowie. Zastał mnie tam rok 1942. W małej celi nr 138 było nas pięciu. Zastanawialiśmy się często nad naszym przyszłym losem. *Mariusz Dostkowski*, były sekretarz Urzędu Morskiego w Gdyni, *Wicherek*, burmistrz z Makowa Podhalańskiego i *Urbańczyk*, nauczyciel liceum handlowego z Tarnowa wierzyli, że zostaną zwolnieni, gdyż — co było z pewnością prawdą — żadnej jeszcze konkretnej działalności przeciwko panowaniu III Rzeszy w Polsce nie podjęli. *Jerzy Lis* (porucznik Wojska Polskiego) i ja byliśmy innego zdania, przewidując dla siebie najgorsze, a dla wszystkich zesłanie do obozu koncentracyjnego. Co do jednego już się upewniłem, że niezbyt ważne jest, za co kto siedzi i czy w ogóle za cokolwiek go uwięziono. Nie chodziło też o to, czy gestapo udowodni komuś działalność na szkodę III Rzeszy, lecz o wytępienie Polaków, począwszy od tych, u których świadomość narodowa i poczucie buntu wobec hitleryzmu są najsilniejsze. Nic więc dziwnego, że ze stale przepełnionego więzienia szły transporty więźniów do obozów koncentracyjnych. O Oświęcimiu słyszeliśmy to i owo; wszystko było straszne, groźne, ale ciągle niewiadome.

Stopniowo i nasza cela przenosiła się do obozu koncentracyjnego. Najpierw wywieziono tych, którzy się najmniej tego spodziewali, potem mnie, a za kilka tygodni *Jerzego Lisa*. Celę stale dopełniano.

I tak 7 lipca 1942 roku znalazłem się przed bramą z napisem *„Arbeit macht frei"*. Widok ulicy za bramą, bloków i ogrodzenia, tudzież przechodzących więźniów sprawiał przygnębiające wrażenie. W budce przy bramie obok esesmana pełniącego wartę uwijał się karzeł w pasiaku, wzrostu nieco powyżej metra. Coś mu się nie podobało w odpowiedzi któregoś z nas; podskoczył i uderzył go w twarz, potem kopnął w podskoku raz i drugi. Od razu było widać, że tu nie tylko esesmani mają nad więźniami władzę życia i śmierci; tu nawet karzełki mają część tej władzy. Wkrótce się przekonałem, że w mordowaniu więźniów i wyniszczaniu ich nadludzką pracą pomagała esesmanom część więźniów, głównie kryminalistów, pełniących różne funkcje. Tu mocniejszemu dawano (często zmuszano do przyjęcia!) pałkę, aby bił i zabijał słabszego. Na szarym końcu tej maszyny wyniszczania stał też ów więzień-karzełek, pełniący funkcję *laufra* (gońca) przy bramie.

Powoli przeszedł czas kwarantanny w bloku 11, który był równocześnie blokiem śmierci. To tu, wewnątrz szczelnie zamkniętego podwórza między blokiem 11 a 10 znajdowała się ściana śmierci, na którą przez tyle dni przyszło nam codziennie patrzeć. Tu po obu stronach ściany śmierci stały i straszyły nas szubienice. Tu wzbudzały w nas bojaźliwą ciekawość zasłonięte szczelnie okna bloku 10, w którym — jak się później dowiedziałem — przeprowadzano na wyznaczonych kobietach zbrodnicze operacje doświadczalne, sprowadzające śmierć lub kalectwo.

Pod koniec trzeciego tygodnia pobytu w Oświęcimiu przydzielono nas do innych bloków i do różnych „komand". Po kilkudniowych wędrówkach od jednej niekwalifikowanej pracy do drugiej udało mi się dostać do ciesielni. Stale jednak myślałem o tym, jak się dostać do pracy w szpitalu.

Pewnego letniego wieczoru szczęście uśmiechnęło się do mnie. Po apelu wieczornym spotkałem na drodze obozowej *Adama Klusa*, kolegę z gimnazjum w Łańcucie. *Adam* wraz z młodszym bratem został przysłany pierwszym transportem do Oświęcimia. Miał numer 416 czy 417. Siedział tu już dwa lata. Przeżyło ich z tego transportu niewielu, bo około 20 spośród około 800 osób. *Adam* wraz z bratem pracował w kuchni esesowskiej. Jako stary więzień mógł mi pomóc w uzyskaniu lepszej pracy. Po krótkich, zwięzłych relacjach o swoich losach zwróciłem się do *Adama* z prośbą o pomoc w dostaniu się do pracy w szpitalu. „Jak chcesz, to ci to załatwię; najpierw jednak chodź przyjrzeć się szpitalowi" — zaproponował kolega.

Poszliśmy w kierunku bloków 19 i 20, w których mieścił się szpital dla więźniów. *Adam*

nie wprowadził mnie jednak do wnętrza bloku, lecz udał się ze mną poza blok. Tam na ziemi leżały zwłoki zmarłych więźniów, których nie zdążono jeszcze wywieźć do krematorium. Było ich dużo, około 100. Ujrzałem twarze wyschnięte, kończyny ścieńczałe prawie do wymiarów kości, biodra guzowate od wystających kości i potwornie rozdęte brzuchy. Patrzyłem jak osłupiały na ten stos ludzkich ciał, zniekształconych głodem i cierpieniem. Zaczęło mi się robić mdło. „Czy jeszcze masz ochotę na pracę w szpitalu?" — pyta *Adam.* Odparłem, że nie. „To zostań u cieśli, to dobre komando!" doradził. I u cieśli zostałem.

W obozie ludzie ginęli z zimna, z głodu, z chorób, wśród których obfite żniwo zbierała krwawa biegunka i dur wysypkowy; ginęli bici i zabijani przez esesmanów, blokowych, „kapów". Ale stokroć straszniejsze dla nas były apele i to nie tyle owe sławne, opisywane już nieraz apele karne, zarządzane wtedy, gdy kogoś brakowało i przetrzymywane godzinami, nocami, dniami, ile zwykłe apele codzienne, ewidencyjne, kiedy nas rano liczono i potem wysyłano do pracy. Zawsze po zakończeniu rannego apelu i po sprawdzeniu przez *rapportführera* stanu liczbowego więźniów następowała komenda: *Arbeitskommando antreten!* (Ustawić się według „komand" pracy!). Ale wcześniej był taki groźny moment, który powodował, że każdy z nas stał na apelu jak struty, jak skazaniec, po którego przychodzi kat. Mianowicie przed wspomnianą komendą pisarz blokowy, a czasem sam esesman, tzw. *blockführer*, czytał numery niektórych więźniów i przy każdym dodawał: *Nach dem Appel ins Block!* (Po apelu na blok!). Oznaczało to, że więzień po apelu nie pójdzie do swojej grupy roboczej, ale uda się do kancelarii blokowej. Tu będzie czekał na dalsze wypadki. Zwykle za godzinę przyjdzie po tego więźnia esesman i zaprowadzi go do głównej kancelarii. Tu jeszcze raz sprawdzą tożsamość więźnia i zaprowadzą go na blok 11, by według kolejności postawić go pod ścianą śmierci i rozwalić, jak się to mówiło żargonem obozowym. Gdy apel przeszedł, miało się nadzieję, że może uda się znowu jeden dzień przeżyć.

Ci, którzy musieli odejść, szybko żegnali się z kolegami, przekazując im ostatnie pozdrowienia dla najbliższych i szli na śmierć. Pamiętam wiele takich pożegnań. Najpierw pożegnałem się z kolegami sam, gdy mnie wyczytano: *Nummer 45125 nach dem Appel ins Block!* Wyjątkowo pożegnanie okazało się zbyteczne. Zostałem zaprowadzony do oddziału politycznego, gdzie gestapo zapytało mnie, dlaczego nie piszę listów do rodziny, co było nieprawdą, bo pisałem już jeden. Podano mi już napisany list, w którym przygotowano stereotypową formułkę dla mojej matki, że jestem zdrów i czuję się dobrze. Przeczytałem ten gotowy list, podpisałem i zaprowadzono mnie z powrotem do pracy. Koledzy przywitali mnie, jak gdybym wrócił zza grobu. Ale to były rzadkie wypadki, iż wyczytanych wzywano w jakiejś innej sprawie, a nie na „rozwałkę".

Żegnali się koledzy i nie wracali więcej. I tak bodajże 20 sierpnia 1942 roku w samo południe (wyjątkowo podczas południowego apelu) pożegnał się z *Konstantym Jagiełłą* i ze mną *Stanisław Dubois*, z którym byliśmy razem w jednym bloku i pracowaliśmy w warsztatach, tylko on w betoniarni, a ja w ciesielni. Pożegnał się i nie wrócił. Życzył nam przeżycia obozu i służenia Polsce. *Kostek Jagiełło*, o którym wspomina również *Antonina Piątkowska* w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", uciekł później zgodnie z planem z obozu. Zginął w walce z esesmanami, udzielając pomocy uciekającym z Oświęcimia.

Tak też 23 lub 25 października 1942 roku pożegnał się ze mną współtowarzysz z celi nr 138 więzienia w Tarnowie, porucznik *Jerzy Lis*. Staliśmy obok siebie na apelu porannym. Gdy wyczytano jego numer, trochę zachwiał się z wrażenia. Szybko się jednak wyprostował i przyjął swobodną postawę. W pośpiechu uścisnął mnie i ucałował, mówiąc przy tym: może wrócisz, to powiedz matce i siostrze, że je kocham i że w chwili śmierci o nich będę myślał. Do zobaczenia! Niech żyje Polska! Poszedł i więcej nie wrócił. W r. 1945 jego matce przekazałem to pożegnanie.

28 października tegoż roku po uprzednim krótkim pobycie w obozie funkcjonariuszy gestapo z Lublina wyczytano na apelu rannym 260 ludzi. Wszyscy pochodzili z ziemi lubelskiej. Złowrogie *„Nach dem Appel ins Block!"* zapowiedziało rozstrzelanie ich wszystkich jeszcze tego samego dnia.

Nie każdy umierający miał czas pożegnać się z kolegami. Więźniowie, którzy umierali z choroby, z głodu, z wycieńczenia, schodzili z tej najstraszliwszej części świata cicho i spokojnie. Umierali w czasie pracy, na drodze. Współtowarzysze niedoli układali zmarłych na wozie, który wracając z pracy ciągnęli do obozu. Tu dopiero, po raporcie, zwłoki przewożono do krematorium. Inni umierali cicho i niepostrzeżenie we śnie. Tak na przykład zaraz w lipcu 1942 roku zmarł mój współtowarzysz nazwiskiem *Zieliński*, śpiący razem ze mną na jednym łóżku. Od wielu dni chodził do pracy z wysoką gorączką, chory na dur wysypkowy. Do szpitala nie szedł, bo stamtąd chorych ciągle wybierano do gazu. Bał się gazu. Umarł cicho, ale komory gazowej uniknął. Gryzły mnie te same wszy, co i jego, lecz — o dziwo — na dur nie zachorowałem. Snadź są ludzie, którzy dzięki zapewne dawno przebytej selekcji otrzymali po przodkach wrodzoną odporność na tę chorobę.

W styczniu 1943 roku zostałem z grupą 20 cieśli przeniesiony do Brzezinki. O ile poprzedni obóz określilibyśmy jako miejsce codziennej, planowej, uporządkowanej zbrodni, o tyle Brzezinka poza pełnieniem tej samej funkcji była na dodatek miejscem najgorszej ludzkiej męczarni. Tu więźniów nie tylko mordowano i gazowano planowo i masowo. Tu ludzie gnili w błocie, w brudzie, tu umierali w strasznych barakach, niczym nie podobnych do więzienia

czy mieszkań ludzkich, tu cierpieli skrajny głód.

Wypadało mi mieszkać wraz z setkami więźniów w baraku typu końskiego nr 6. Był to rzeczywiście rodzaj stajni. Wysoko wiszący dach na drewnianych słupach, jedne drzwi wejściowe i drugie z przeciwka wyjściowe, stale zamknięte, żadnych okien w ścianach, po obu stronach pod ścianami trójkondygnacjowo ustawione łóżka, w łóżkach nie sienniki, ale słoma, w środku duży piec, od którego biegł poziomo, a dalej pionowo przewód kominowy z cegły, mający ogrzewać tę dużą stajnię — oto obraz wnętrza.

Pamiętam pierwszy apel wieczorny przed blokiem. Stanęliśmy w pięciu szeregach. Wszędzie ludzie słabi, wycieńczeni, o chudych twarzach i dużych, w chudości twarzy szczególnie dużych oczach. Niektórzy na apel idą wolno, obojętni, jakby już na świecie nieobecni. „Sztubowi" i blokowi popychają ich kopniakami i przynaglają uderzeniami; oni upadają, podnoszą się, idą i przesuwają się tych kilkadziesiąt kroków, nie zwracając na bijących żadnej uwagi. Biegunka, odwodnienie, wyniszczenie ustroju znieczuliło ich już i na blokowych, i na esesmanów, i na bicie. Nie mają nawet siły, by reagować na to krzykiem czy przyspieszeniem kroku i unikać razów. Te kilkadziesiąt kroków, to często ich ostatni marsz. Stają na końcu blokowej kolumny i umierają cicho, bezgłośnie. Na końcu naszych szeregów „sztubowi" układają pokotem zmarłych, jest ich zawsze kilku. Muszą tu leżeć do sprawdzenia stanu obozu. Potem współtowarzysze niedoli odwiozą ich wozem do dołów, gdzie zostaną spaleni na stosie.

Stoję tak i patrzę na ów apel, na ludzi. Wszystko to wydaje mi się jakimś pierwotnym, potwornym światem. W miejscu, gdzie stoję, woda ze stopniałego w odwilży śniegu sięga mi wyżej kostek. Jeżeli nie zdobędę dobrych nowych butów z cholewami, to tych apeli wielu nie przeżyję — myślę (buty zdobyłem następnego dnia). Ponure myśli obejmują mnie bez reszty. Zbiórka na apel się przedłuża, bo ciągle wielu brak. Może gdzieś zmarli i nikt o tym jeszcze nie wie, może poszli do latryn i nie mogą wrócić na czas, bo każdy metr przy ich wyczerpaniu, to dla nich kilometrowa droga. Może nie dojdą, a my będziemy stać i czekać, czekać 2—3 godziny. W tym czasie znów umrze kilku, tych na końcu szeregu.

Proszę spojrzeć. Idzie jeden od sąsiedniego bloku. Między blokami, na kierunku jego marszu rozciąga się duża, głęboka kałuża. Woda brudna, zimna, podłoże bagniste. Więzień przystanął przed kałużą i namyśla się, czy ją obejść, czy iść na przełaj. Zdecydował się brnąć na przełaj. Idzie, idzie, a nogi coraz mu trudniej wyciągać z bagnistego podłoża. Przystanął, by odpocząć. Zmęczone, zanikłe z głodu mięśnie nie mogą utrzymać resztek ciała w pozycji pionowej. Wolno, z oporem więzień uklęknął w kałuży. Jeszcze mu za ciężko i ta pozycja go męczy. Wobec tego podparł się łokciami. Tak wytrzymał kilka minut. Siły go w końcu opuściły, więc legł w kałuży, trzymając jeszcze przez chwilę głowę ponad wodą. Wreszcie i głowa opadła i skryła się pod mętną, błotnistą powierzchnią wody. *Blockführer*, który właśnie stał już przed naszymi szeregami, podszedł i zapisał numer zmarłego. Był z naszego bloku. Stan bloku się zgadzał, więc esesman poszedł złożyć raport podoficerowi ewidencyjnemu, tzw. *rapportführerowi*.

Tak wyglądały apele w Brzezince. Oczywiście i tu przy rannych apelach nierzadko czytano: *Nummer X nach dem Appel ins Block*.

Wkrótce po przybyciu do Brzezinki spotkałem kolegę, *Mariana Kałużyńskiego*. Pochodził ze Smardzewic w Kieleckiem. Studiował, o ile pamiętam, w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Mieszkaliśmy razem w „Akademickim Ognisku Wiejskim" przy ulicy Reja 9. Należeliśmy do „Wici". *Marian* dostał się do obozu z obławy ulicznej. Razem z nim przybył jego szwagier (nazwiska nie pamiętam). *Marian* pracował jako sekretarz w tzw. *Effektenkammer* (magazyn rzeczy po przybyłych więźniach), a szwagier — jako elektryk. A więc obydwaj mieli pracę wyjątkowo dobrą. *Marian* więc miał nadzieję, że uda mu się ten obóz przeżyć. Mieszkaliśmy wszyscy w tym samym bloku, tylko zgodnie z zawodem na różnych odcinkach. Widywaliśmy się z tego powodu raczej rzadko.

Pewnego dnia już po gongu dołączyłem do swoich przy wieczornym apelu. Wypadało mi więc stanąć na końcu szeregów wśród tych najsłabszych, z biegunką, z gorączką, umierających. Pierwszy w prawo w moim rzędzie stał jakiś chudy, trzęsący się z gorączki więzień. Przytrzymałem go za ramię i przesunąłem ostrożnie, by dołączył i wyrównał. Ten wtedy odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Twarz miał wyschniętą, chudą, ale policzki rozpalone i duże, niebieskie oczy. Oczy przestraszone, cierpiące, ale oczy znajome. „*Marian*, to ty?! Co ci jest?" szepnąłem przerażony. „Już od kilku dni mam tyfus plamisty — mówi *Marian* — ale nie idę do szpitala, bo wybierają do gazu". Po apelu naradziliśmy się ze szwagrem i udaliśmy się z *Marianem* do baraku szpitalnego. Za paczkę papierosów udało nam się umieścić go w baraku nr 12, gdzie według opinii więźniów był lepszy szpital niż w drugim szpitalnym baraku.

Za dwa lub trzy dni *Mariana* wyznaczono do gazu. Poszedł szwagier do blokowego i za jedną żarówkę elektryczną wykupił go od śmierci w komorze gazowej. Blokowy skreślił go z listy, wpisując na jego miejsce kogoś, kto nieprzewidzianie w tym czasie zmarł. Na niewiele się to przydało. Po dwóch dniach *Marian* zmarł śmiercią naturalną.

I tak umierali koledzy. Nawet dobre warunki pracy nie dawały pewności, że śmierć nas minie. Nawet po powrocie z obozu koledzy umierali wskutek chorób, które przeszli w obozie. Tak w 15 lat po uwolnieniu zmarł mój serdeczny przyjaciel ze studiów medycznych w Warszawie, przyjaciel z obozu i przyjaciel po obozie, lek. *Włodzimierz Chojnacki*. I gdy przyszło

mi go żegnać w czasie pogrzebu w Nowym Brzesku, gdzie długie lata pracował w ośrodku zdrowia, rozpłakałem się. Łzy nie pozwoliły mi mówić. Przypomniałem sobie wtedy, że zapalenia stawów (a potem wady serca) nabawił się w obozie w Gross-Rosen, gdy specjalnie dla nas, lekarzy i sanitariuszy (wtedy pracowałem w szpitalu) zrobiono w śniegu i błocie „sport" wielogodzinny. *Włodek* mimo wszystko tego sportu bezkarnie nie przeszedł.

* * *

Późną nocą wszy zaczęły mnie znowu gryźć, więc obudziłem się. Przy drzwiach wejściowych do naszego baraku panował jakiś dziwny ruch. Stało tam w ogonku kilku więźniów, a przed nimi na stopniu z desek stał jeden więzień, tzw. straż nocna (*Nachtwache*). Ów strażnik półgłosem z nimi rozprawiał. Niektórych odpychał, to znowu innych przypuszczał do siebie do małego przedsionka, przez który wychodziło się z baraku. Przepuszczany ginął w mroku przedsionka i po chwili wracał. *Nachtwache* wpuszczał wtedy według swego wyboru następnego towarzysza do owego przedsionka.

Długo nie mogłem się połapać, co to wszystko znaczy. Uważnie wsłuchiwałem się w dochodzące do mojego łóżka słowa i wpatrywałem się w grupę ludzi tłoczących się w kierunku wyjścia. Całe to miejsce było słabo oświetlone latarnią naftową. Wreszcie zrozumiałem wszystko. W przedsionku baraku stała duża beczka, służąca potrzebującym za nocny „kibel". Do latryny było daleko i po nocy nie wolno było więźniom kręcić się po obozie. Po godzinie 21 we wszystkich obozach obowiązywała tzw. *Blocksperre*, czyli zakaz opuszczania bloku. W Oświęcimiu ustępy spłukiwane wodą znajdowały się w liczbie kilku wewnątrz bloków. W Brzezince były tylko latryny. Wobec tego w przedsionku każdego baraku stała duża beczka. Na beczce przez krawędzie położona była deska do siedzenia; w ten sposób sporządzono prymitywny ustęp, tylko odkryty i w samym wejściu do baraku. Dlatego smród z tej beczki rozchodził się po baraku.

Więzień pilnujący beczki, to też ważna figura w życiu obozowym. Wkrótce wykombinował, że od użytkowników można brać opłaty w postaci papierosów, chleba, a nawet szalika czy swetra. A że z powodu licznych przypadków biegunki użytkowników było w bród, więc przy beczce robiło się ciasno. Kto się opłacał, był wpuszczany zaraz; kto nie miał czym płacić, musiał czekać. Tu jak wszędzie nieubłaganie działało prawo podaży i popytu. I znowu ci najsłabsi, najubożsi byli najbardziej przez los skrzywdzeni. Nie mając czym płacić za szybki dostęp do beczki, oddawali wodnisty, czyszczący stolec w spodnie. Tym wcale nie przejmował się więzień pełniący z woli blokowego *Nachtwache*; twardo egzekwował „sraczowe".

* * *

Pewnej niedzieli po apelu porannym ustawiono nas na drodze obozowej w Brzezince, około stu chłopów, jeszcze z wyglądu przynajmniej zdrowych i mocnych. Z każdego bloku esesmani z „lagrowym" wybierali po kilku. Taka wybiórka pachniała zawsze niebezpieczeństwem, a co najmniej trwożyła niepewnością. Na szczęście obok wybranej grupy przechodził znajomy (bodaj nazwiskiem *Seremet*), były naczelnik poczty z Łańcuta. Zobaczyliśmy się w obozie po raz pierwszy. Zagadnąłem go więc pospiesznie, co to ów zaszczytny wybór znaczy. Jako stary więzień Brzezinki wiedział więcej o sprawach tego obozu niż ja. Objaśnił mnie, że spośród tej grupy będą wybierać ludzi na *vorarbeiterów* i na „kapo".

Tych funkcji nie chciałem się podjąć, więc szybko i niepostrzeżenie opuściłem wybraną grupę. Ucieczka się udała. Kolega zaprosił mnie na drugie śniadanie. W jednym z bloków był „sztubowym", miał więc dodatki żywnościowe i w ogóle większe możliwości zorganizowania wyżywienia. Blok, w którym mieszkał, nie był typu końskiego, ale inny, „typu ludzkiego", murowany, pokryty dachem. Ten mur miał grubość jednej cegły, tj. 12 cm, od ścian zewnętrznych ku środkowi co dwa metry biegły murki wewnętrzne. Między tymi murkami co 80 cm położono deski. W ten sposób powstały prycze. I w tych norach — na podłodze, na deskach wyżej i na następnej, o 80 cm wyższej podłodze — spało na słomie po 8 do 12 więźniów. A że przy głodzie i chłodzie, przy byle jakim pożywieniu obozowym więźniowie przeważnie byli chorzy na *durchfall*, więc wydaliny biegunkowe wsiąkały w słomę, potem w deskę i spadały z góry na niższe piętra.

Myśmy, tj. cieśle, rzemieślnicy, jako najbardziej użyteczni mieszkali w barakach końskich. Te baraki typu „ludzkiego" były zamieszkałe przez robotników niewykwalifikowanych. Tacy byli mniej potrzebni, łatwiejsi do zastąpienia, toteż wyznaczono im mieszkania, w których umrzeć musieli szybciej. I właśnie do takiego baraku wprowadzić mnie usiłował mój kolega z Łańcuta. Wejście z jednej strony było niezwykle zanieszczyszczone i w dodatku obok leżeli zmarli, których jeszcze po rannym apelu nie zdążono wywieźć na stos. Wobec tego zaszliśmy z drugiej strony. W baraku był nieznośny smród. W celach poznania przemogłem się i zwiedziłem barak, porozmawiałem z kolegą, ale do drugiego śniadania nie dałem się nakłonić. Jeszczem nie doszedł do tego etapu, by w tych warunkach jeść. Pożegnałem kolegę, dziękując za gościnę.

* * *

Pewnego pięknego dnia wypadło mi pracować na dachu baraku stojącego przy bramie obozu kobiecego. Niedaleko stał barak, w którym mieścił się szpital kobiecy. Był początek marca. Słońce przygrzewało dość mocno. W powietrzu unosił się zapach spalonych ciał i psuł cały pogodny nastrój wiosennego dnia. Przed barak szpitalny zajechały dwa wozy ciężarowe, by zabrać i przewieźć ciężko chorych do gazu. Pracownicy *Sonderkommando* („komando" specjalne) wynosili na noszach chore, wy-

niszczone kobiety. Najpierw wolno, ostrożnie układano je na platformie auta. Dwóch ludzi podnosiło nosze, a dwóch stojących na aucie unosiło chore kobiety i układało gęsto na platformie. Praca przy tej metodzie się przedłużała, toteż pilnujący pracy esesmani wydali rozkaz ładującym więźniom, aby zmienili sposób umieszczania ludzi w aucie i pokazali, jak to robić. Jeden brał kobietę chorą za nogi, drugi za ręce, mały zamach i chora wyrzucona spadała na podłogę auta. Dzięki dobrej organizacji niemieckiej komora gazowa nie musiała zbyt długo czekać na swą strawę.

*
* *

W Brzezince na olbrzymim obszarze budowano setki baraków, przeważnie tych typu końskiego. Powstały w ten sposób obozy dla Żydów, Cyganów, Polaków, Rosjan, Czechów, Słowaków i dla wielu innych narodowości. Sam z grupą 20 więźniów (w tym 4 Polaków i 16 Żydów) budowałem kolejno baraki. Plac naszej budowy znajdował się w odległości 200—300 metrów od miejsca, gdzie palił się wieczny ogień, znicz, na którym spalano ciała zagazowanych ludzi. W tym czasie w Brzezince nie było jeszcze owych luksusowych krematoriów, których ruiny do dzisiaj można oglądać. Dopiero zaczynano je budować. Przywożonych do zagazowania ludzi wpędzano do baraku z napisem: *Waschraum* (łaźnia), zamykano drzwi, a esesman przez otwory w dachu wrzucał do wewnątrz puszki z gazem. Mniej więcej po 15 minutach otwierano znowu drzwi i wywożono kolejno na wózkach zwłoki zagazowanych. Wrzucano je na stosy drewna, poukładane w dołach przed barakami i podpalano. I tak lata całe płonął ów wieczny ogień; wiatr roznosił daleko woń spalonych ciał.

W czasie pracy w Brzezince, patrząc na ów ostatni etap tysięcy ludzi, chodziłem smutny, zadumany, zrezygnowany. Nie wątpiłem, że budowane baraki przeznaczone będą dla Polaków, Czechów i innych Słowian, którzy tu po wyniszczeniu Żydów będą przywożeni, aby następnie przejść tę ostatnią, okropną drogę w myśl planów III Rzeszy.

Wśród Żydów pracujących ze mną był majster ciesielski rodem z Białegostoku. Pewnego dnia, gdy widoczność była bardzo dobra, więzień ten patrzył na *Waschraum*, na wieczny ogień, na cały nieludzki proceder gazowania i spalania ludzi. Patrzył i patrzył, a łzy ciekły mu obficie po twarzy. Gdy zapytałem, dlaczego płacze, wyjaśnił, że przed dwoma tygodniami jego cała rodzina, żona i czworo dzieci przeszły przez tę komorę gazową. Zapytałem go też, czy w Białymstoku Żydzi nie wiedzieli, że ich wywożą na śmierć. Odpowiedział, że, owszem, krążyły pogłoski, iż Niemcy uśmiercają Żydów w komorach gazowych, ale on, jak i większość temu nie wierzyła. Trudno bowiem było uwierzyć, że to tak bez winy, bez powodu można jak insekty tępić ludzi.

Według jego opowiadania w swoim czasie administracja niemiecka spisała wszystkich Żydów zamieszkujących Białystok. Sporządzono trzy listy i rozpuszczono pogłoski, że Żydzi zostaną wywiezieni w trzech kolejnych transportach na Ukrainę, gdzie otrzymają gospodarstwa rolne, tworzone z ziem po opuszczonych kołchozach. Według hitlerowskiej propagandy Niemcy postanowili zrobić z Żydów — handlarzy, spekulantów, pasożytów — lud rolniczy,

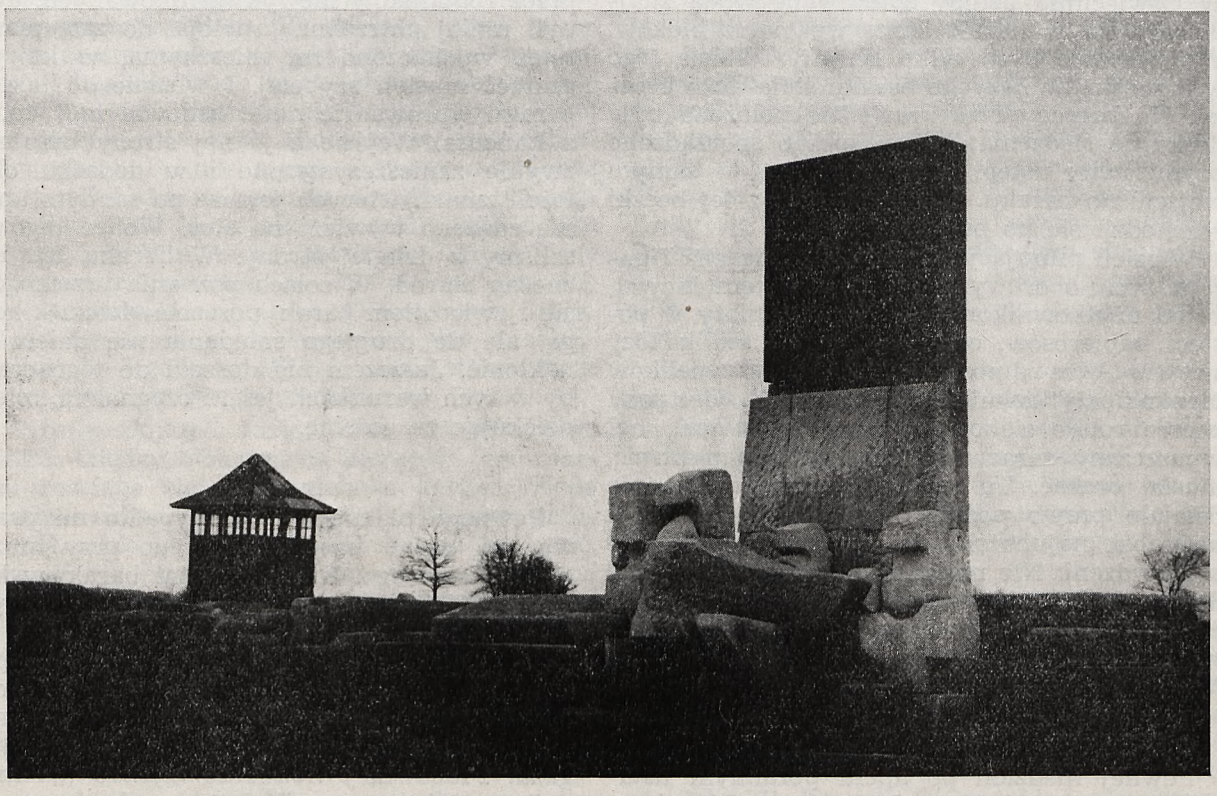

Pomnik Ofiar Oświęcimia. Fot. *Adam Kaczkowski*

pracowity. Mój współtowarzysz został wyznaczony do trzeciego transportu, który miał wyruszyć w parę tygodni po pierwszym i drugim. Pomyślał więc, że to niekorzystnie. Bo przecież ten, kto przyjedzie pierwszy, może i ziemię lepszą, i lepsze zabudowania dostanie. Z pewnością będzie miał korzystniejszy wybór. Poszedł więc na gestapo i zapytał, czy nie przepisano by go wraz z rodziną do pierwszego transportu. Pytany gestapowiec odmówił. Wobec tego mój rozmówca wsunął mu do kieszeni 20 dolarów w złocie. Ten argument pomógł. Człowiek ten został przepisany do pierwszego transportu; żona i dzieci jako nieprzydatne do pracy poszły do komory gazowej, a jego jeszcze pozostawiono jako cieślę do budowy baraków.

Słysząc, że do ostatniego etapu dopłacił 20 dolarów w złocie, uśmiechnąłem się gorzko. I był to jedyny uśmiech, jaki zagościł na mojej twarzy w Brzezince, na przedpolu fabryki śmierci.

Wkrótce przyszedł dzień opuszczenia Brzezinki; zostałem wyznaczony do transportu i przewieziony do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen.

Przyjeżdżam jednak do Brzezinki od czasu do czasu, by pokazać to straszne miejsce żonie, znajomym, dzieciom w miarę, jak dorastają. Byłem tam niedawno, by zobaczyć pomnik ofiar Oświęcimia. Razem z innym *Marianem*, który przebywał tam wraz ze mną, a teraz przyjechał ze Stanów Zjednoczonych do rodziny i kolegów z obozu, dołączyłem się do wycieczki z Łęczycy i słuchałem objaśnień przewodnika, który nigdy w obozie nie był, człowieka młodego, starającego się oddać grozę opisywanych czasów, grozę komór gazowych. Patrzyłem na wycieczkę i czułem, że ci przybysze nie odczuwają nic, nie wyobrażają sobie tych okropności. Włączyłem się więc do objaśnień, by pomóc zwiedzającym w zrozumieniu treści Oświęcimia i Brzezinki. Czy mi się to udało, nie wiem. Czy nam się uda uniknąć w przyszłości Oświęcimia? Myślę, że tak. To przecież najważniejsze zadanie wszystkich ludzi. I tych, co obóz przeżyli, i tych, co nigdy by go przeżywać nie chcieli.

JÓZEF KRET
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20020

Kraków

Ze wspomnień oświęcimskich

Istnieją związki, organizacje, zawody, które w swoisty sposób i z różnym skutkiem kształtują myśl społeczną, rozwijają nawyki myślenia o drugim człowieku i troskę o jego dobro. Życie w różnych okolicznościach i sytuacjach wystawia na próbę uspołecznienie tych zrzeszeń ludzkich i humanizm ich członków.

Nie mogło być większej i surowszej próby, na jaką wystawiony był humanizm i uspołecznienie człowieka nad tę, jaką tworzyły obozy koncentracyjne, a wśród nich największy kacet, oświęcimski. Był on prawdziwą „próbą ognia", która w całej jaskrawości ujawniała jakość i wartość poszczególnych jednostek, ugrupowań, jak też społeczności ludzkiej.

Dla zawodu lekarskiego próba ta wypadła chwalebnie, jak to wielokrotnie potwierdziły różne relacje obozowe. Humanizm lekarzy zdał świetnie egzamin w miejscu zorganizowanego mordowania. Pozostali oni wierni swemu powołaniu. Podobnie wysoki poziom etyki społecznej wykazali więźniowie-harcerze. Jedni i drudzy nie sprzeniewierzyli się w nieludzkich warunkach nakazom szczytnego zawodu i wyznawanym ideałom.

O postawie i działalności lekarzy w obozie oświęcimskim wiemy już sporo; obfity materiał na ten temat znajduje się w zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Harcerze nie doczekali się podobnej publikacji. Nie jest więc wiadome szerszej opinii, jak ów surowy egzamin wypadł dla tego odłamu więźniów, którzy wychowali się w swoistej atmosferze i których osobowość formowała się według wymagań prawa harcerskiego. A prawo to, zawarte w dziesięciu punktach, choć stworzone na miarę wieku młodzieńczego, było twarde. Obóz koncentracyjny był dla harcerzy miejscem, gdzie trzeba było złożyć egzamin z dochowania wierności dekalogowi harcerskiemu. Wymagało to nieprzeciętnego hartu woli i mocnego charakteru. Egzamin wypadł pomyślnie. A ich wierność prawu i przyrzeczeniu harcerskiemu, wyrażona postawą i działaniem w obozie, doczeka się na pewno kiedyś godnej publikacji.

Tutaj chciałbym w paru obrazach, wydobytych z zakamarków pamięci, podać jedynie próbkę humanizmu harcerzy w miejscu, które było zaprzeczeniem wszystkiego, co ludzkie. Oczywiście pamięć przechowała to przede wszystkim, czego sam od nich doznałem.

Już w drugim dniu pobytu w obozie, kiedy nasz kilkudziesięcioosobowy transport nie otrząsnął się jeszcze z przerażenia wywołanego widokiem tego, co się dokoła dzieje, i kiedy cały dzień ćwiczyliśmy przy akompaniamencie bicia *(Mützen auf, Mützen ab!)* pod komendą jednego z funkcyjnych, którego nazwano „pimpuś", ktoś tuż przed apelem wieczornym ukradł mi czapkę (widocznie czapek było mniej niż więźniów). Co teraz począć? Przecież blokowy będzie przed samym apelem sprawdzał sprawność w nakładaniu i zdejmowaniu cza-

pek, a mnie pozbawionego nakrycia głowy wyciągnie z kolumny i na gołogłowym wyładuje swój sadyzm. Takie „wyładowanie" może się różnie zakończyć. Byłem pod świeżym wrażeniem wczorajszego wieczoru na naszym bloku: dwaj więźniowie, Polacy z Gdańska, zwrócili krytyczną uwagę na temat, jak mi się wydaje, okradania chleba przez „sztubowych". Gdy wszyscy pokładli się spać i światła pogasły, obydwóch wywołano z izby. Usłyszeliśmy odgłosy ciężko spadających razów i jęki bitych, które powoli przechodziły w rzężenie i cichły. Po chwili uchyliły się drzwi „sztuby" i usłyszeliśmy skierowaną do nas zapowiedź „pimpusia": „tak się załatwia takich, co im się tu coś nie podoba".

Strach mnie ogarnął na myśl, że mogę podzielić ich los. Brak czapki starczy za pretekst.

Zrozpaczony wyszedłem na nasz deptak za rzędem bloków (*Birkenallee*) i usiadłem na ławce. Przysiedli się do mnie trzej młodzi więźniowie, ubrani w czyste pasiaki (widocznie zatrudnieni w biurach obozu), i widząc strach w moich oczach, zapytali o powód takiego stanu. Gdy powiedziałem, o co chodzi, jeden z tej trójki ulotnił się bez słowa i za chwilę pojawił się z czapką. Byłem uratowany. Wybawicielami moimi okazali się trzej więźniowie ze Śląska, harcerze, zatrudnieni w biurze rejestrującym więźniów przywożonych do obozu (*Aufnahmekommando*). Byli to: *Karol Bok*, *Otto Szubert* i *Jan Trembaczowski*.

Fakt ten, w normalnym życiu błahy i niegodny wzmianki, tam w okrutnych obozowych warunkach walki o wszystko, był aktem wielkiej wagi, był zaprzeczeniem zoologicznego egoizmu zrodzonego z drapieżnych stosunków stworzonych przez twórców obozu. U druhów tych obóz nie zniszczył wewnętrznego nakazu „niesienia chętnie pomocy drugiemu człowiekowi", jak głosiło harcerskie przyrzeczenie.

Po kilkudniowym stażu na bloku przejściowym rozparcelowano naszą grupę na różne bloki. Spora gromadka skierowana została do bloku drugiego. Warunki i atmosfera w każdym bloku zależne były w dużej mierze od funkcyjnych, a częściowo także od jego mieszkańców. Tu np., w bloku drugim, w porównaniu z tamtym wszystko zło „lagrowe" przybierało formy groteskowe. Wszelkie piekielne praktyki obozowe wykonywano tutaj nieudolnie i jakby „na niby". Bo gdy w przejściowym bloku blokowy lub sztubowy zapowiedział czyjś koniec, to obietnicy dotrzymywał. Tam nie rzucano słów na wiatr. Tu zaś szafowano groźbą bez praktycznego pokrycia. Funkcyjny, który przyjmował nas na blok 2, taki z grubsza ciosany poczciwiec o wyglądzie pomocnika rzeźnickiego, stanął przed szeregiem nowo przybyłych i przybrawszy groźną minę wyrecytował: „kuniec z wami" — zrobił przy tym gest ręką dokoła szyi. „Jo wos tu pozabijom"— dokończył. Następnie pouczał: „U mnie w pirszym rzyndzie porzundek, rozumita, porzundek!"

Jeśli blokowemu chodziło rzeczywiście o porządek, to dla trzech przybyłych tu harcerzy otwarło się pole działania. Harcmistrz *Tadeusz Wąsowicz*, znany przed wojną ze swych talentów w organizowaniu życia i gospodarki obozów skautowych, ofiaruje wraz z dwoma druhami pomoc „sztubowemu". Z błyskawiczną szybkością rzuca projekt podziału dyżurów porządkowych w „sztubie" i korytarzu, dyżurów w celu przynoszenia posiłków i porządku przy ich wydawaniu (wymagała tego znikoma ilość naczyń), sprawiedliwego, bez okradania, dzielenia chleba i dodatków, czystości całego pomieszczenia i walki z wszami i innym robactwem. Momentalnie zarysował się obraz ładu i płynących z niego korzyści dla mieszkańców izby, a nawet bloku. Projektant w osobie *Wąsowicza* chce pierwszy służyć przykładem, łapie za wiadro, by zaczerpnąć wody i rozprawić się z brudem. Będzie „porzundek".

I tu nastąpiło nieoczekiwane krótkie spięcie: „sztubowy" był wyraźnie zaskoczony śmiałym poczynaniem sobie przybyszów. Początkowo zbity z tropu milczał, wnet jednak ocknął się, nabrał odwagi, rzucił się na *Wąsowicza*, wyrwał mu wiadro i zamierzył się uderzyć. Klął przy tym i sypał wyzwiskami, w czym wykazał większe umiejętności niż w zarządzaniu „sztubą". Poparli go jego kompani, wspólnicy od okrawania chleba i „machlojek" z margaryną. Reszta izby tkwiła w tępym milczeniu. Może myślano, że inicjatywa tych trzech nowicjuszy kryje w sobie niebezpieczeństwo nowej, złodziejskiej spółki. Harcerzy się po prostu nie rozumiało. Ich postawa zbyt kontrastowała z obyczajami, jakie zrodziły się w obozowej społeczności. Pod presją tych obyczajów rozsądek i dobra wola musiały ustąpić.

Należało obmyśleć i zastosować jakąś taktykę, by powoli, stopniowo oswajać tych ludzi z możliwością i sposobem uczynienia życia w izbie bardziej ludzkim. Zastosowany odpowiedni „system" życia w izbie przyniósł pewne rezultaty: rozwiał nieufność, pozwolił wpływać na tych ludzi niezłych, ale szybko nasiąkłych klimatem obozowym. Wyłaniał się w tej małej społeczności nowy ład, który docierał do świadomości wszystkich i zyskiwał ich aprobatę.

Niedługo jednak cieszyliśmy się melioracją obyczajów społeczeństwa „sztubowego". Znów nas rozdzielono. Rozstać się musiałem z moimi dwoma druhami, przeniesionymi do innych bloków. Mnie relegowano do bloku 10a.

W bloku pierwszego piętra, oznaczonym literą „a", były tylko dwie duże izby, każda mieściła 300—500 osób. Przybywszy do bloku 10a natknąłem się od razu na *Staszka Wolnego*, podharcmistrza, rodem z Rybnika. Żywiołowo wyraził radość ze spotkania. „Mamy tutaj pewne osiągnięcia — zaczął opowiadać z przejęciem — udało mi się uzyskać zgodę naszego groźnego blokowego na to, żeby każdego wieczora, kiedy wszyscy pokładą się w swoich kojach, po zgaszeniu światła, wygłosić pogadankę dla mieszkańców izby. Jest nas tu na razie trzech do takich wieczornych opowieści: harcmistrz *Lewicki* ze Lwowa, druh *Czamara*

z Warszawy i ja. Bardzo się nam przydasz na czwartego, jeżeli się zgodzisz."

Zgodziłem się jak najchętniej. Wyraziłem przy tym przyjemne zdziwienie, że na takie arcyludzkie, kontrastujące z istotą obozu zakończenie dnia zgodził się blokowy, siejący postrach osławiony zabijaka, nazwany krwawym *Stefanem*. „Jak się to stało?" — pytam. „To nie było łatwe — mówi *Staszek* — ale udało się dzięki temu, że jesteśmy krajanami. Znał moich rodziców, imponowali mu. Utrafiłem w jakąś dobrą strunę, dość, że zgodził się i my z tego korzystamy. Jest to świetna okazja czymś się tej udręczonej braci więźniarskiej przysłużyć. Wyobraź sobie — ciągnie dalej — czterystu kolegów umęczonych, często zrezygnowanych, zdanych w całodziennej ciężkiej pracy na pastwę „zielonych" [1] drabów, każdego wieczoru przed zaśnięciem zapomni o koszmarze dnia, odetchnie atmosferą normalną, ludzką, oderwie się na chwilę od obozowego piekła i dzięki naszym opowiadaniom przeniesie się w świat wolny. W nas samych też odżyją wspomnienia gawęd przy ognisku na obozach harcerskich".

Ustaliliśmy naprędce tematykę dalszych naszych pogadanek.

Pomysł ten był nowością, a z uwagi na istotę obozu i osobę blokowego stanowił rewelację. Dla słuchaczy był kojącym lekiem potrzebnym ich obolałym duszom. Kilkuset mieszkańców izby, prawie samych Polaków, z aprobatą i wdzięcznością przyjęło tę nowość. Ale było też paru Niemców z zielonymi trójkątami. Przedstawicielom wybranego narodu panów nie podobała się ta impreza. Gwałtem wymogli na blokowym, by zakazał tych wieczornych *„Schwätzerei"* [2], jak się wyrażali. Grozili pobiciem gawędziarzy, Nie obeszło się zresztą bez poturbowania. Pamiętam, jak nieludzko pobity został *Czamara* przez „kapo" w czasie pracy w dniu, w którym na niego wypadła kolej wieczornej gawędy. Mimo pożałowania godnego stanu, w jakim się znajdował, nie pozwolił, by go tego wieczoru zastąpić w pogadance o treści z pogranicza psychologii i socjologii. Ciężkie przeżycia dnia spotęgowały jeszcze żarliwość jego słów.

Wiadomo już z wielu relacji obozowych, że pierwsze tygodnie w obozie były dla każdego więźnia okresem najtrudniejszym. Temu wstępnemu okresowi aklimatyzacji towarzyszyły głębokie przeżycia. Już samo wstąpienie do piekieł po przekroczeniu bramy wejściowej wywoływało wstrząs i mogło porazić słabszą jednostkę. Pierwsze tygodnie pochłaniały też największe ofiary każdego przybywającego transportu [3]. One były decydujące w stawianiu prognozy na przetrwanie. Dochodziło się przeważnie po kilku tygodniach do punktu kryzysowego i szala przechylała się na jedną lub na drugą stronę. Mnie taki kryzys dosięgnął tu właśnie, w bloku 10a. Siły wyczerpały się zupełnie, ale w jakiś niepojęty sposób żyło się jeszcze i poruszało, czekając niejako na swoją kolej, by znaleźć się na liście z napisem *„Abgang"* [4].

Dwie szczególne zmory przyprawiały mnie w tym czasie w stan krańcowego wycieńczenia i depresji. Jedną był szef drużyny roboczej, w której pracowałem, tzw. *Kommandoführer*. Był nim osławiony sadysta, morderca tysięcy więźniów, *SS-Hauptscharführer Moll*. Drugą zmorą był wspomniany już blokowy, zwany powszechnie *„krwawym Stefanem"*. Los naszej drużyny był w rękach jednego w czasie dniówki roboczej, a na resztę doby przechodziliśmy we władanie drugiego. Obaj obok drąga i ciężkich łap dysponowali zasobem pomysłów unicestwiających siły fizyczne i psychiczne ich podopiecznych.

Jedną z szykan, jaką stosował blokowy, było wymaganie, by po rannej pobudce błyskawicznie w ciągu sekund zasłać idealnie równo legowisko, tj. siennik wypchany wiórami i koc. Wyrównać idealnie siennik z wilgotnymi wiórami, zbitymi w twarde kłębki, nie jest rzeczą prostą ani łatwą. Jeśli blokowy dostrzeże jakąś nierówność na zasłanej pryczy, jakąś drobną fałdkę na kocu, to biada takiemu. Przeważnie wieczorem po powrocie z pracy spotykał się taki delikwent z twardą pięścią, butem lub lagą. Niekiedy powiększał liczbę trupów składanych w kącie izby.

Jak już wspomniałem, na ten właśnie okres przypadł u mnie krańcowy upadek sił. Pozbawione mięśni piszczele z największym wysiłkiem mogły sprostać wymaganiom blokowego i doprowadzić siennik i łatany koc do idealnej równości.

Niektórym więźniom udawało się zdobyć gdzieś deseczkę, która służyła im za żelazko; wyrównywali nią i wygładzali powierzchnię koca. W ten sposób wychodzili zwycięsko z tej siennikowej batalii. Byli to jednak tylko nieliczni szczęśliwcy.

Właśnie mój sąsiad na pryczy był szczęśliwym posiadaczem takiej namiastki „żelazka". Był to młodzieniec energiczny, zaradny, życzliwy i niezwykle uczynny. Cecha to rzadka w owych drapieżnych stosunkach życia obozowego i w warunkach nieustannej, dramatycznej walki o życie. Numer jego wskazywał, że przybył do obozu w jednym z pierwszych transportów. Blisko roczny pobyt w obozie nie zdeprawował tego więźnia i nie pozbawił go owych najpiękniejszych przymiotów. Widząc, że nie mam już sił, by szybko uporać się z legowiskiem, każdego ranka bez słowa słał również moją pryczę i wyrównywał zdobyczną deską. Jego wygląd zewnętrzny odbijał dodatnio od innych współtowarzyszy doli, wychudłych, słabych, owrzodzonych szkieletów. Powodem jego lepszego wyglądu i lepszej kon-

[1] Zielonym trójkątem, jak wiadomo, oznaczeni byli zawodowi przestępcy.

[2] Gadaniny.

[3] Na przykład z naszego transportu liczącego około 40 osób po kilkunastu tygodniach pozostało przy życiu ośmiu. I z tej ósemki ubył jeden (zmarł na dur) dopiero po dalszych dwóch latach pobytu w obozie.

[4] Lista z napisem *„Abgang"* zawierała nazwiska zmarłych.

dycji fizycznej była praca w kommandzie *HWL* (*Hauptwirtschaftslager*)[5] w magazynach żywnościowych, gdzie przechowywano i sortowano przed wysyłką na front suszone jarzyny i owoce, różne produkty, jak kasza, mąka i inne. Pracujący tam mogli się ukradkiem tymi wiktuałami dożywiać. Mojemu sąsiadowi udało się często przemycić w nogawce trochę suszonych „fruktów" do obozu. Wówczas wrzucał do mojej miski garść suszonej marchwi, pietruszki lub jakiejś kaszy itp. Powiększało to kaloryczność i nadawało smaku obozowej zupie, gotowanej na zgniłej brukwi. Czułem wyraźnie przybywanie sił.

Nie rozmawialiśmy z sobą nigdy, bo nie było warunków na rozmowę. On przychodził późno ze swym „kommandem" po pracy do obozu. Po całodziennej wyczerpującej robocie, po apelowej stójce, każdy kładł się jak kłoda i zasypiał.

Ale jednego dnia zarządzono *blokszperę* (zakaz opuszczania bloku) i wcześniej niż zwykle położyliśmy się na spoczynek. Wtedy to mój sąsiad, wpatrując się we mnie, powiedział, że kogoś mu przypominam, a także głos mój wydaje mu się skądś znany.

— Mnie również się zdaje — odpowiedziałem — jakbym was już gdzieś spotkał.

Zaczynamy zastanawiać się nad ewentualnością naszego spotkania w przeszłości: może wojsko, może miejsce studiów, albo miejsce zamieszkania? Lecz nie, żadna z tych możliwości nie wchodzi w grę. On był przed wojną studentem Uniwersytetu Warszawskiego, a pochodzi z Dąbrowy Górniczej.

— Z waszej Dąbrowy Górniczej poznałem kiedyś bardzo dzielny zastęp harcerzy — mówię po chwili. — Chłopcy z tego zastępu brali udział w zawodach narciarskich w Zwardoniu zimą 1934/35 r. Zastępy ze wszystkich chorągwi harcerskich z całego kraju współzawodniczyły z sobą w ciągu trzech dni o poczesne miejsca w tej młodej jeszcze wówczas gałęzi sportu. Trwała zacięta walka o palmę pierwszeństwa i o nagrody. Zdobywcą pierwszej nagrody był właśnie zastęp „orłów" z Dąbrowy Górniczej. Szczególnie utkwił mi w pamięci jako członkowi jury zastępowy tego zwycięskiego zespołu, szesnastoletni, niezwykle dzielny chłopiec, prawdziwie orla natura.

— Nazywał się *Jurek Winkiel*, który w tej chwili rozmawia z wami — przerwał mi mój sąsiad, rozpromieniony i uradowany wspomnieniem jego wielkiego dnia sprzed lat. — To wy, kolego, jesteście chyba tym sędzią na jednej z przeszkód, gdy odbywaliśmy bieg z przeszkodami, który tak gorąco podkreślał nasze zawodnicze i harcerskie walory i forsował nas do nagrody. I wy przecież ogłaszaliście wyniki zawodów. Wasze serdeczne gratulacje, jakie składaliście mi z powodu odniesionego zwycięstwa oraz mocny uścisk dłoni żyły zawsze w mej pamięci.

Nie będę opisywał wzruszeń dwóch potępieńców, którzy z dna nędzy i poniżenia mogli wybiec wspomnieniem do tych najszczęśliwszych dni i najpiękniejszych chwil, kiedy to pogrążeni w białym, śnieżnym żywiole mogli upajać się szaleństwem zimowego sportu.

Od tego wieczoru porcje suszonych jarzyn i owoców przynoszonych przez *Jurka* w nogawkach wzrosły w dwójnasób.

Władze obozowe w początkowej fazie istnienia obozu stale przerzucały więźniów z bloku na blok, uniemożliwiając ich zżywanie się i wzajemną pomoc.

Znów musiałem jednego dnia opuścić blok 10a. Odchodziłem już jednak z większym zasobem sił. Przezwyciężyłem swój kryzys; ustrój psychofizyczny miał już za sobą proces wstępnej akomodacji do obozowego klimatu. Szczęśliwy i zbawienny dla mnie okazał się traf, że w tym właśnie przełomowym okresie dzieliłem sąsiedztwo z zastępowym „orłów" sprzed kilku lat. Jego postawie i ofiarności, jego odwadze w przenoszeniu dla mnie wiktuałów z magazynów *SS* zawdzięczam chyba, że w czasie, kiedy ze względu na mój stan znajdowałem się pod znakiem „być albo nie być", szala, na której ważył się mój los, przechyliła się na stronę „być".

W pierwszych dniach września 1941 roku nastąpił smutny dla mnie moment rozstania z *Jurkiem*.

Dalsze lata wędrówki z bloku na blok, z „komanda" do „komanda" wypełnił długi rejestr różnych wydarzeń, niebezpiecznych przygód, groźnych momentów i związanych z nimi tragicznych przeżyć. Nie ominął mnie także paromiesięczny pobyt na dnie obozowego piekła w kompanii karnej (*Strafkompanie*, w skrócie *SK*), jak i czterokrotne osadzenie w bloku 11.

W tych dalszych latach wegetacji obozowej byłem świadkiem odważnych czynów harcerzy mających na celu niesienie pomocy współwięźniom. Sam niejednokrotnie doznałem dobrodziejstwa ich humanitarnej działalności. Gdy lekarze w pasiakach ratowali przede wszystkim fizyczny byt zagrożonych, harcerze także „nieśli chętną pomoc bliźnim", jak głosiło ich prawo harcerskie. Pełnili głównie opiekę wychowawczą nad młodocianymi więźniami i nad tymi, co popadali w stan rezygnacji i psychicznego załamania.

Należy podkreślić, że na ponurym tle obozowej rzeczywistości jasnym blaskiem świeciły liczne przejawy ofiarności, poświęcenia i prawdziwego heroizmu zarówno ludzi spod znaku *Asklepiosa*, jak i harcerzy z „Szarych Szeregów". Ale to już osobny rozdział.

[5] Główny magazyn żywnościowy.

JAN WOLNY
były więzień obozu koncentracyjnego w Dachau nr 8394, w Oświęcimiu nr 15496

Witaszyce-Jarocin

Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen[1]

II

Po jednorocznym pobycie w *KL* Dachau, któregoś dnia w maju 1941 roku, tuż po śniadaniu, na które nam dano jak zawsze napar z cuchnących ziół, pochodzących z obozowej plantacji, po apelu rannym zupełnie niespodziewanie zabrano nas, pielęgniarzy Polaków, przebrano w gorsze łachmany obozowe i dołączono do transportu odchodzącego do innego obozu. Bici przez esesmanów, zostaliśmy załadowani do bydlęcych wagonów. Stłoczeni po 40 osób w jednym wagonie towarowym, w zaduchu, jechaliśmy około trzy doby. Co pewien czas na postojach doczepiano dodatkowe wagony z więźniami przy akompaniamencie strzelaniny, bicia, krzyków i przekleństw.

Dopiero stacje mijane na terenie Polski zorientowały nas, w jakim kierunku jedziemy. Wczesnym rankiem niedzielnym, ledwie żywi ze zmęczenia i strachu, osłabieni i głodni, dojechaliśmy na oświęcimską bocznicę kolejową. Wyładowano nas pod gradem uderzeń, wśród krzyków, szczuto nas psami, bito i kopano. Z wagonów Niemcy wyrzucili zmarłych lub zabitych w czasie podróży. Ustawieni w piątki, staliśmy na bocznicy kilka godzin. Esesmani zabili wtedy kilku więźniów.

Ci z nas, którzy mieli za sobą dłuższy pobyt w więzieniach i obozach koncentracyjnych, byli bardziej czujni i zdyscyplinowani, toteż z trudnych sytuacji łatwiej wychodzili cało. Przebiegłość, nieufność i dystans wobec esesmanów były samoobroną przed biciem. Esesmani bowiem, zapytani o cokolwiek przez niedoświadczonych więźniów, np. poszukując swych krewnych, nie uzyskiwali istotnych odpowiedzi, natomiast narażali się na pobicie do krwi.

W kolumnie przebiegaliśmy bramę z napisem: *Arbeit macht frei.* Znaleźliśmy się więc w osławionym obozie zagłady, o którym już słyszeliśmy od więźniów przeniesionych stąd do Dachau. Padał deszcz, ziemia była rozmokła i błotnista. Mimo niedzieli zauważyłem nieprawdopodobnie wychudzonych więźniów, pracujących przy budowie dwóch dużych bloków. Mimo dojmującego zimna ubrani byli tylko w cienkie pasiaki, na gołych nogach mieli drewniaki. Pracowali szybko, popędzani biciem przez esesmanów i „kapów". Poplamieni krwią i błotem, resztkami sił pchali wyładowane gliną i cegłą taczki lub wagoniki. Nie mogłem wtedy zrozumieć, dlaczego ci słabi ludzie chętnie skaczą z pierwszego piętra budowli na ziemię. Dopiero później zauważyłem, że po zaniesieniu cegieł na piętro musieli skakać na ziemię, aby nie tarasować prowizorycznych schodów. Byli potłuczeni, niektórzy łamali kości, w pobliżu leżało kilkanaście zwłok. W głębi obozu duże grupy więźniów ćwiczyły morderczą, bezproduktywną gimnastykę, zwaną „tańcem aniołów", którą już poznałem w Dachau: kilkugodzinne czołganie się, skakanie, rolowanie, tańczenie aż do zawrotu głowy itd. Zapowiedziano nam też, że wyjście stąd jest tylko jedno: przez komin krematorium i że nie jesteśmy ludźmi.

Na kąpiel czekaliśmy nago na polu kilka godzin, następnie w łaźni esesman dla zabawy puszczał wodę na przemian zimną lub wrzącą. Protesty więźniów uśmierzano krzykiem i biciem. Potem podczas dezynfekcji zanurzaliśmy się w żrącym płynie, do którego mordercy obozowi wkładali siłą starszych i słabszych głową w dół i przytrzymywali ich w beczce dość długo. Przyczyniało się to do poparzeń i zatruć. Strzyżenie włosów było również powodem do wielu szykan. Wreszcie otrzymaliśmy odzież obozową, najczęściej zupełnie niedopasowaną. Próby wymieniania się otrzymanymi częściami garderoby powodowały bicie przez esesmanów. W końcu spisano nas i opatrzono numerami obozowymi.

Grupę dziesięciu sanitariuszy z Dachau przydzielono do bloku nr 28, gdzie się mieścił „szpital" obozowy. Po wieczornym apelu przystąpiono tam do przydzielenia nam pracy. W obecności *lageraltëstera Hansa Bocka* i *blockältestera Petera Welscha,* kryminalisty z czarnym trójkątem, przemówił do nas, nowicjuszy, pisarz ambulansowy, *Alfred Stössel,* znów ordynarnie zapowiadając nam zagonienie w parszywej robocie na śmierć. *Bock* i *Welsch* potwierdzająco kiwali głowami i śmiali się drwiąco. Pracę przydzielał nam dr *Dering. Mieczysław Posmyk, Andrzej Węgliński* i ja mamy po apelu rannym zgłosić się do pracy w ambulansie, *Władysław Mucha* tamże do biura, *Franciszek Sobkowiak* i *Józef Bernacik* na pomocników sanitariuszy w bloku nr 28, *Stanisław Rospęk* do bloku „szonungowego", *Jerzy Szymkowiak* do sali zabiegowej, a *Czesław Przewoźny* i *Emil* (starszy człowiek, Ślązak, nazwiska nie pamiętam), wraz z pięcioma sanitariuszami oświęcimiakami, musieli odejść ze szpitala do obozu. Ulokowano nas w sali pielęgniarzy w bloku nr 28. Znalazłem się na drugiej kondygnacji łóżek dwupiętrowych obok *Czesława Sowula,* doświadczonego oświęcimiaka, który w trudnych chwilach podtrzymywał mnie na duchu.

Pierwsze drzwi po prawej stronie w bloku 28

[1] Skrót redakcyjny fragmentu rękopisu autora. Zob. też Przegl. Lek., 1966, 1, 198—202 (przyp. red.).

prowadziły do ambulansu. W środku sali na stole ustawione były słoiki z różnymi maściami i materiałami opatrunkowymi. Wokół stołu, na dziesięciu taboretach, sadzano chorych, którym tyluż sanitariuszy robiło opatrunki. Z lewej strony tego pomieszczenia, poza ruchomymi okienkami, znajdowało się biuro, w którym prowadzono kartotekę zgłaszających się chorych. Wpisywano tam rozpoznania i nazwy stosowanych leków. W biurze tym pracowali pisarze ambulatoryjni *Alfred Stössel, Kazimierz Kowalski* i nowo przydzielony *Władysław Mucha.* Lekarzami ambulatoryjnymi w tym czasie byli doktorzy więźniowie: *Rudolf Diem, Władysław Dering, Marian Dupont, Władysław Tondos, Franciszek Gralla, Jan Gadomski.* Po prawej stronie ambulansu znajdowała się apteka, a raczej szafa z lekarstwami; prowadził ją *Marian Toliński.*

Poza tym w bloku 28 na parterze mieściła się mała kuchnia, w której gotowano dietę oraz laboratorium, łaźnia, salka zabiegowa i sypialnia dla personelu sanitarnego. Później sypialnię tę zamieniono na salę przejściową dla ciężko chorych, w której pracowali *Adam Kuryłowicz* i *Franciszek Sobkowiak.* Kostnica była w piwnicach tego bloku. *„Teofil"* i *Eugeniusz Obojski* zatrudnieni byli noszeniem zwłok. Na piętrze przebywali chorzy. Na strychu gromadzono protezy odebrane więźniom. W sortowni odebranych leków pracował później więzień, prof. dr *Jan Olbrycht.*

Na parterze bloku 21 znajdowały się dwie sale dla chirurgicznie chorych, gabinet lekarzy i sanitariuszy *SS,* główny sekretariat szpitala, główna sala operacyjna, sypialnia dla lekarzy i sanitariuszy, sala dentystyczna, ustępy i mała łaźnia. Na piętrze były dwie sale chorych: chirurgiczna oraz dla różnych chorych, a także pokój *lagerältestera* szpitala.

Bloki 19 i 20 były „szonungowe", tzn. dla ozdrowieńców. Umieszczano tam jednak najciężej chorych. Z braku łóżek w bloku nr 20 chorzy leżeli na siennikach na podłodze. Tam chorych nikt nie leczył z powodu braku środków opatrunkowych i lekarstw. Ci, których nie uratowała własna odporność, musieli umrzeć. W blokach tych obowiązkiem sanitariusza było: przynoszenie rano kawy, w południe zupy, na kolację herbaty oraz chleba i podzielenie między chorych, utrzymanie porządku w salach chorych, na korytarzu i w ustępach, wynoszenie zwłok i ciągłe czuwanie nad stanem liczebnym chorych.

Do bloku nr 19 kierowano rekonwalescentów po przebytych chorobach lub słabych więźniów. Nie chodzili oni do pracy, ale całymi godzinami przebywali na placu między blokami i ćwiczyli morderczą gimnastykę. Przynajmniej jedna trzecia spośród nich nie przetrzymywała tej katorgi. Blokowym był tam *Ludwik Morawiec,* który podobnie jak blokowy bloku nr 20, *Hans Bidermann,* wraz z innymi przestępcami okradał chorych ze skromnych racji żywnościowych i znęcał się nad nimi. Bez powodu rzucali się oni na słabych i chorych więźniów i bili ich do krwi.

W r. 1941 w całym obozie panował wielki terror i głód. *Lagerältesterzy,* blokowi, „kapowie", przodownicy pracy i porządkowi byli panami życia i śmierci udręczonych więźniów. Stanowiska te zajmowali najczęściej niemieccy przestępcy. Bezkarnie mogli każdego więźnia okradać, męczyć, bić i zabijać. Sprzyjało to pożądanej przez esesmanów wysokiej śmiertelności w obozie.

W obozie koncentracyjnym w Dachau, mimo że był on też miejscem zagłady, panował lepszy porządek zarówno w szpitalu, jak i na terenie *lagru.* Tam fukcyjnymi byli więźniowie-komuniści niemieccy. Nie pozwalali oni okradać i bić współtowarzyszy niedoli obozowej. Natomiast w Oświęcimiu umierało wówczas 250 osób dziennie, zatem więcej niż w Dachau.

W tym trudnym okresie zacząłem pracować w opisanym ambulansie. Dobrymi i dokładnymi opatrunkami oraz łagodnym postępowaniem wobec chorych usiłowaliśmy polepszyć katastrofalne warunki.

Po czterech miesiącach pracy w ambulansie, w porozumieniu z doktorami *Diemem* i *Deringiem,* przeniesiono mnie do sali trzeciej w bloku nr 21. Było w niej 37 łóżek, a na nich około 50 bardzo ciężko chorych chirurgicznie. Od tego czasu do moich obowiązków należało: prowadzenie kart chorobowych, zrobienie opatrunków w sali, podawanie lekarstw i wykonywanie zastrzyków, rozdzielenie żywności, a po apelu wieczornym pomoc w robieniu opatrunków w ambulansie bloku nr 28 lub w obozie w blokach roboczych.

Na salę operacyjną miałem prawo wstępu o każdej porze, gdyż stamtąd dostawaliśmy wyjałowione materiały opatrunkowe oraz sterylizator do narzędzi i strzykawek. Pomagałem również przy sterylizowaniu narzędzi w czasie operacji w sali operacyjnej.

W sali trzeciej bloku nr 21 przepracowałem i przeżyłem 3 lata i 6 miesięcy. Obliczyłem, że robiąc przez 1 320 dni po 35 opatrunków dziennie, wykonałem ich 46 200. Nieraz przypadało na mnie nawet więcej niż 45 opatrunków na dzień.

Na wychudzonych i opuchniętych z głodu ciałach obserwowałem rany rozległe i głębokie. Często były one otoczone różą, świerzbem, egzemą lub strupami. Dorośli chorzy ważyli około 40 kg. Z powodu dotkliwego braku lekarstw i materiałów opatrunkowych rany goiły się bardzo opornie. Nieraz rana bliska była zagojenia, a chory umierał z głodu lub ogólnego osłabienia, bądź też zabity fenolem lub w komorze gazowej. W wielu przypadkach leczenie przerywano, zabierając chorych z łóżek w celu rozstrzelania.

W miarę możności dostarczałem lekarstw, żywności, bielizny i pościeli dla chorych w mojej sali, pomagałem im i stwarzałem lepsze warunki. Na równi z innymi podlegałem różnym szykanom, toteż nigdy nie wierzyłem, że któryś z nas przeżyje oświęcimskie piekło.

Nigdy nie było wiadome, czy następny dzień nie przyniesie nieszczęścia. Na przykład z koń-

cem lipca 1941 roku ogłoszono w bloku 21 w poszczególnych salach wizytę *lagerarzta*. Kazano chorym zdjąć wszystkie opatrunki. Do sali nr 3, w której, jak już wspomniałem, byłem sanitariuszem, weszli *Entress, SDG* (sanitariusz *SS*) *Klehr* i *lagerältester Hans Bock*. W czasie oglądania ran zabrali z sobą karty gorączkowe czterech chorych, którzy po amputacji kończyny byli już prawie wyleczeni. W czasie apelu wieczornego *Bock* wyjaśnił, że wybrani chorzy zostaną wysłani do sanatorium na lepsze wyżywienie i dalsze leczenie. W obozie ogłoszono podczas apelu, że wszyscy starzy, ułomni i osłabieni mogą się zgłosić na wyjazd do sanatorium. Nazajutrz po przerwie obiadowej w bloku nr 21 zebrała się komisja: dr *Schwella*, dr *Entress*, dr *Schumann* (w mundurze lotnika), *Klehr* i jakiś cywil, zapewniający po polsku, że u niego w sanatorium wszyscy szybko się leczą. Zgłosiło się bardzo wielu więźniów z bloków roboczych. Dr *Entress* wyznaczał kandydatów do sanatorium. Nie przyjęci błagali o wyjazd. Następnego dnia rano porobiono opatrunki wyznaczonym do sanatorium, niektórych odziano w cywilne ubrania, a po obiedzie kazano nam odprowadzić ich na bocznicę kolejową. Chorych przewieziono samochodem i wygodnie rozlokowano w wagonach w pozycji siedzącej lub leżącej. Załadowano również około 400 kalek, starszych i chorych przyprowadzonych z bloków roboczych. Wszyscy otrzymali na drogę żywność oraz gorącą kawę i zupę. Esesmani obchodzili się z wyjeżdżającymi bardzo grzecznie. Ogarnęło nas przerażenie, gdy do Oświęcimia dotarła wiadomość, że wywiezionych zagazowano w okolicach Drezna.

Z końcem marca 1942 roku, po apelu rannym *lagerältester Bock* dołączył mnie do grupy sanitarnej, w której byli *Franciszek Sobkowiak, Mieczysław Posmyk* i *Adam Kuryłowicz*. Oczekując na niewiadome około dwóch godzin w bloku nr 28, zauważyliśmy esesmana *Kaduka*, krzyczącego: *wo sind die Pfleger?* (gdzie są sanitariusze?). Gdy *Hans Bock* wskazał na nas, przeraziliśmy się, wiedząc, że *Oswald Kaduk* — to osławiony sadysta i morderca. Znieruchomiałem ze strachu do tego stopnia, że przez chwilę nie mogłem ruszyć z miejsca, gdy *Kaduk* kazał nam biec w stronę bramy głównej. Jadąc na rowerze, bił nas kijem, gdzie popadło. Następnie trzymano nas około trzech godzin pod *blockführerstubą*, pomiędzy drutami wysokiego napięcia. Przechodzący bramę więźniowie z politowaniem spoglądali na nas i znacząco kiwali głowami. Wiedziałem, że w Dachau gestapo obozowe skazało mnie na śmierć z zamianą na dożywotni pobyt w obozach koncentracyjnych. Wymieniwszy spojrzenia i gesty ze współtowarzyszami, przekonałem się, iż czeka nas albo rozstrzelanie, albo chłosta za jakieś urojone przewinienia. Pojawił się pluton egzekucyjny w hełmach, składający się z około 30 esesmanów, którzy weszli do dołów żwirowni i ustawili się w dwuszeregu tyłem do *blockführerstuby*, a twarzą w stronę skarpy wykopu. Wesoło rozmawiali, śmiali się i palili papierosy. Coraz więcej esesmanów zatrzymywało się przy żwirowni. Stali tam już *Boger* i *Palitsch*, później nadeszli *Höss* i *Entress*. *Klehr* dołączył do nas jeszcze dwóch sanitariuszy.

Następnie esesmani przyprowadzili skazańców, grupę więźniów oraz gromadę cywilów, wśród nich dwie młode kobiety i dziewczynkę nie więcej niż 12-letnią. Kazano im wszystkim położyć się twarzą w dół. Nas zabrano spomiędzy drutów i ustawiono w dołach z lewej strony plutonu egzekucyjnego. Jeden z esesmanów po polsku rozkazał nam tych, którzy zostaną zastrzeleni, szybko zabrać i załadować na wóz.

Pierwszą piątkę skazańców doprowadzono do stołu, przy którym siedział szef oddziału politycznego *Grabner*, komendant obozu *Höss* i trzech cywilnych Niemców. Krótko sprawdzano nazwiska ofiar i wygłaszano formułkę o karze śmierci za popełnienie „ciężkiej zbrodni" przeciwko władzy niemieckiej. Po odprowadzeniu pod skarpę ustawiano po pięć osób w szeregu, zawiązywano im oczy opaską, a odległy o około 20 metrów pluton egzekucyjny strzelał jednocześnie. Za każdym razem strzelało 15 esesmanów.

Gdy przy pierwszej egzekucji ścisnęło mi się serce i zrobiło ciemno w oczach, oprzytomniałem dopiero na krzyki *Kaduka* i *Klehra:* „Prędko, brać ich, ładować na wóz!" Z pistoletem w ręku biegł do nas *Palitzsch*. Biegiem zbliżyliśmy się do zastrzelonych, którym *Entress* otwierał oczy, sprawdzając, czy nastąpił zgon. Każdego zabitego dwóch sanitariuszy niosło za ręce i nogi do wozu, na który zwłoki rzucało się z rozmachem. Jeden sanitariusz na wozie układał trupy. Mimo że *Sobkowiak* i *Kuryłowicz* byli już starszymi ludźmi, a ja ważyłem 40 kg, ze strachu ładowanie zwłok szło nam dość sprawnie.

Najmocniej przeżyłem moment, gdy owe kobiety i dziewczynka zaczęły płakać i prosić o darowanie im życia. Wtedy podszedł *Palitzsch*, jedną z krzyczących kobiet ogłuszył uderzeniem kolby pistoletu w głowę i dowlókł pod skarpę. W czasie rozstrzeliwania staliśmy odwróceni, ze ściśniętym sercem, po czym podbiegliśmy z *Mieciem Posmykiem* do dziewczynki. Leżała martwa, krew sączyła się jej strumieniem z ust, z oczu spływały łzy. Delikatnie podaliśmy jej ciało koledze na wóz. *Boger* i *Palitzsch* dobijali rozstrzelanych, wkładając im lufę pistoletu do ucha i strzelając. Wykonywali oni tę pracę bardzo chętnie, z uśmiechem na ustach, a wracając spod skarpy robili wrażenie, jak gdyby szli z udanego polowania. Tego dnia zastrzelono 30 osób, narodowości polskiej.

Zwłoki musieliśmy zaciągnąć do krematorium, rozebrać i rzucić na duży stos. W drodze powrotnej *Klehr* nakazał nam milczenie wobec kolegów obozowych o tym, co się stało. Mimo to zaufanym współtowarzyszom zdradziliśmy tę zbrodnię Niemców. Wieść rozeszła się po obozie, wyolbrzymiona, mówiono nawet o rzekomym buncie zastrzelonych.

Pomysłowość oprawców właściwie nie miała granic. Mniej więcej w maju 1941 roku cała służba sanitarna w szpitalu obozowym została bardzo zainteresowana dużą liczbą więźniów zapadających na różę. Okazało się, że cierpi na nią wielu chorych ze świeżymi ranami, przeważnie z bloków, w których rządzili kapowie *Bednarek* i *Krankenmann*. Wpadli oni na pomysł, aby celowo powodować rany kijami zakażonymi różą i w ten sposób pozbywać się ze swych bloków niewygodnych więźniów. Ich kije po kryjomu zabrał *Zygmunt Benikas*. Więzień ten dostarczył je do szpitala, gdzie kije te laboratoryjnie odkażono, po czym oddano z powrotem. Od razu zmniejszyła się liczba zachorowań na różę.

Staraliśmy się w miarę możności pomagać chorym. Pewnego razu przywieziono do Oświęcimia z więzienia katowickiego grupę schwytanych partyzantów. Sądząc, że są wiezieni do lasu na rozstrzelanie, usiłowali spowodować pożar samochodu w celu ułatwienia ucieczki. Zapalili jakieś szmaty, ale ponieważ esesmani długo nie zatrzymywali płonącego samochodu, nie chcąc dopuścić do ucieczki, kilku partyzantów bardzo się poparzyło. Dwóch z nich, osadzonych w bloku nr 11, zmarło tego samego dnia. Czterech przyniesiono do sali trzeciej bloku 21. *Entress* kazał ich szybko leczyć, bo są bardzo potrzebni. Zdjęto im pęcherze, założono opatrunki i kompresy z riwanolu. Po kilku dniach zaczęli ropieć, leżeli bowiem w sali, w której leczono chorych ropiejących. *Entress* wyraźnie był niezadowolony z leczenia. Któregoś dnia do sali wszedł *Józef Cyrankiewicz* i w mojej obecności rozmawiał z partyzantami. Zorientował ich, gdzie są i uprzedził, aby w czasie przesłuchań mimo bicia nie zdradzali żadnych tajemnic ani nazwisk, gdyż wtedy byłoby więcej ofiar, które by esesmani dowieźli spoza obozu. *Cyrankiewicz* zwrócił się do mnie, abym zorganizował dla tych chorych więcej wyżywienia, gdyż od kilku dni są głodni. Sprawą dokarmiania zajęli się koledzy pracujący w magazynach. Chleb, margarynę, marmoladę, przynoszone aż do 18 stycznia 1945 r. przez *Zbigniewa Wilczyńskiego* i *Zygmunta Benikasa*, dzieliłem pomiędzy najsłabszych i najbardziej potrzebujących chorych.

W tym czasie otrzymałem do swojej sali dalszych czterech chorych. Jeden z nich nazywał się *Lemański*. Przyjął go *Entress* z rozpoznaniem: podejrzany o zapalenie ślepej kiszki. Nie wyglądał mi na chorego; zręcznie schodził z łóżka, starał się usługiwać ciężej chorym, dużo rozmawiał z innymi. Któregoś dnia był wezwany do oddziału politycznego. *Bernard Świerczyna* przyszedł później z *Zygmuntem* (nazwiska nie pamiętam), więźniem, który był pisarzem w oddziale politycznym i posłyszał, jak *Lemański* udzielał esesmanowi *Lachmanowi* informacji, o czym rozmawiają poparzeni partyzanci. O tym, że był to szpicel, utwierdziło mnie w przekonaniu przybycie *Wierusza-Kowalskiego* z zupą i chlebem dla *Lemańskiego;* obaj się śmiali i długo rozmawiali na korytarzu. *Wierusz-Kowalski* kiedyś leżał u mnie w sali z niedużą raną na stopie. Odwiedzał go wtedy *Olpiński;* obydwu znano jako konfidentów.

O profesji obozowej *Lemańskiego* powiedziałem dr *Zbyszkowi Sobieszczańskiemu*, dr *Władysławowi Fejklowi* i *Januszowi Krzywickiemu*. Postanowili, że *Lemański* musi zachorować na rozwolnienie, by mieć powód do przeniesienia go na oddział zakaźny w bloku nr 20. Zamysł ten wykonaliśmy. Rano i w południe nie dostał ode mnie jedzenia, po południu dałem mu lewatywę. Pozorowaliśmy, że się go przygotowuje do operacji ślepej kiszki, na co się on nie zgadzał i żądał rozmowy z *Bockiem*. Dość późno operację odwołaliśmy. Do odgrzanej zupy dla *Lemańskiego* wlałem środek przeczyszczający. Biegał on do ustępu przez całą noc. W czasie rannej wizyty skarżył się doktorowi na ból brzucha, prosił o lekarstwo. Dałem mu tabletki isticiny, środek również przeczyszczający. Tego samego dnia przeniesiono go do bloku 20 z diagnozą *durchfall*. Wkrótce zmarł on tam i Oświęcim pozbył się jednego ze swych niebezpiecznych konfidentów.

Po jakimś czasie zabrano czterech poparzonych partyzantów do oddziału politycznego. *Zygmunt* opowiadał mi, że w czasie przesłuchań milczeli mimo straszliwego bicia i nic nie powiedzieli na temat swej organizacji. Z przesłuchań nie wrócili. Rozstrzelano ich na podwórzu w krematorium oświęcimskim.

Konfidentów kierowało gestapo, domyślając się, że w obozie istnieje ruch oporu wśród więźniów. Jednak nawet za pomocą konfidenckich usług esesmani nie rozszyfrowali tej zagadki. Kilku aresztowanych członków ruchu oporu pracujących w szpitalu nawet za cenę życia nie wyjawiło tej tajemnicy.

Jak w wypadku owych partyzantów, często leczyliśmy chorych domyślając się, że trud nasz idzie na marne, gdyż po wyleczeniu byli wzywani do gestapo, gdzie w czasie przesłuchań bito ich po gojących się ranach i często zabijano. Ale też udawało się zyskać efekty, jak np. w wypadku młodego więźnia, *Olka Tyczyńskiego*, który trafił do sali trzeciej. Był to przed wojną oficer kawalerii, pochodził z Warszawy. Miał do kolana opuchniętą nogę i dużą ranę ropną na stopie.

W obecności doktora *Tadeusza Orzeszki* i *Zbyszka Sobieszczańskiego Entress* dokonał oględzin ran u naszych chorych. Zatrzymawszy się dłużej przy *Tyczyńskim*, powiedział: „Tę nogę jutro muszę amputować, operację chcę osobiście przeprowadzić". Wiedziałem, że więzień bez nogi nie ma żadnych możliwości przeżycia obozu, a nogę *Tyczyńskiego* mogliśmy wyleczyć. W dniu wyznaczonym na operację zrobiłem *Olkowi* lewatywę. Nogę wykąpałem, włosy na niej zgoliłem. Potem poszedłem na salę operacyjną, gdzie w tym czasie ślepą kiszkę operował *Entress* w asyście dr *Orzeszki* i *Sobieszczańskiego*. Pomagałem czyścić narzędzia chirurgiczne.

Ukończywszy tę operację, *Entress* zażądał chorego z nogą do amputacji. Poszedłem do

sali trzeciej, na wóz położyłem świeże prześcieradło i pobrudziłem je kałem ludzkim. *Olka* położyłem na nim, zawiozłem do sali operacyjnej i powiedziałem, że chory ma rozwolnienie, cały się pobrudził. *Entress*, który rozumiał po polsku, choć nie mówił tym językiem i udawał, że go nie rozumie, powiedział, iż takiego nie będziemy operować. Kazał go usunąć z sali. Noga *Olka* została wyleczona, a on sam skierowany do pracy. Obecnie przebywa w Ameryce.

Z innych więźniów należy wspomnieć jeszcze o *Stanisławie Dubois*, znanym działaczu, z którym zapoznał mnie *Bernard Świerczyna*. *Dubois* miał ranę na ręce. Skontaktowałem go z doktorem *Zbyszkiem Sobieszczańskim* i ten w sali operacyjnej bloku nr 21 każdego dnia po wieczornym apelu oglądał ranę *Stanisława Dubois* i zakładał mu opatrunki. Po kilkunastu dniach rana się zagoiła.

Naprzeciw bloku 21 znajdował się słynny blok 11. Mogliśmy obserwować, kogo prowadzą tam na śmierć. W bardzo piękny dzień, po południu, przy końcu sierpnia 1942 r. przybiegł do mojej sali zdenerwowany *Benek Świerczyna* i powiedział mi, że widział, jak prowadzono do bloku 11 *Stasia Dubois*. Przez szparę po podniesieniu dachówek do góry, ze strychu bloku 21 obserwowali podwórze bloku 11 *Benek Świerczyna* i *Czesio Duzel*. Ponieważ nie mogłem docisnąć się do szpary, informowali mnie oni szeptem o tym, co widzieli.

Pomiędzy esesmanami znajdował się *Grabner*. Potem więźniów wyprowadzono pod ścianę śmierci. Czwartym wyprowadzonym na rozstrzelanie był *Stanisław Dubois*. Prowadzono go bez bluzy, z rękami związanymi w tyle. Dwaj moi koledzy odsunęli się od szpary, zasłonili oczy rękami i z jękiem przykucnęli. Przeżegnałem się i modliłem się w myśli za duszę *Stanisława Dubois*. Jego ciało zobaczyłem wieczorem tego dnia w kostnicy bloku nr 28. Miał otwór po strzale w potylicę.

W bloku nr 11 rządził zbrodniarz, *Wacław Szymborski*, zwany przez więźniów *„Krwawym Wackiem"* lub *„Wackiem Ruskim"*. Był on „sztubowym", kalefaktorem, a potem zastępcą blokowego w tym bloku śmierci. Młody, pokracznie zbudowany, kosztem innych więźniów dobrze odżywiony, chełpił się pochodzeniem z Warszawy, przyjaźnił się z takimi oprawcami, jak *Bednarek*, *Krankenmann* (zagazowany później pod Dreznem) czy *Bogdan Komarnicki*, świetnie czuł się w atmosferze bunkrów i cel śmierci w swym bloku i pomagał esesmanom, jak mógł. Doprowadzał więźniów na rozstrzelanie, wiązał im ręce drutem, nakładał skazanym pętle na szyję, wyręczał esesmanów w wymierzaniu chłosty, bił niemiłosiernie więźniów z karnej kompanii w bloku 11, zmuszał biciem do samobójstwa, gdyż zrozpaczeni katowani szli na druty wysokiego napięcia.

Pewnego dnia pomagałem robić opatrunki w sali kolegi *Zenka Ławskiego*. Przed oknami jego sali było przejście do bloku nr 11. Z podwórza dolatywały przekleństwa i krzyki. Widzieliśmy przez okno dopiero co przybyłych więźniów. Wszyscy byli bladzi, świeżo ostrzyżeni i w czystych pasiakach. Ich wygląd zdradzał, że zostali przywiezieni z więzienia. Przed szeregiem przesuwał się *Krwawy Wacek*. Obandażowaną dłoń oparł o guziki zapiętej bluzy. Pytał, za co kto jest aresztowany i jaki ma zawód. Trafiwszy na księdza, skatował go bez litości. Ciosem obandażowanej ręki powalił księdza na ziemię, krzycząc: „Tu Boga nie ma, tu jest tylko *Wacek*". Leżącego kopał, gdzie popadło. Dłoń miał zdrową. Pod bandażem przymocowany był kawałek żelaza. *Wacek* chełpił się, że nawet chorą dłonią może człowieka zabić jednym uderzeniem.

Wacek lubił urządzać w swym bloku orgie. Dowiedziałem się o tym od chorej, która leżała w bloku nr 13 (późniejszy 11). Z kilkoma kompanami zabawiał się w którąś wigilię. Z cel wywlókł około siedmioro młodych dziewcząt. Wybrał spośród nich trzy i mimo ich próśb i protestów zaprowadził je do biura esesmana *Schlagego*. Były to dwie Polki (jedna z nich relacjonowała mi o tym) i Jugosłowianka. Całą noc *Wacek* z kompanami pili wódkę i gwałcili nieszczęśliwe dziewczęta. Pod groźbą śmierci kazali im o tym milczeć, gdy je odprowadzili do celi. Lekarka w mojej obecności oglądała chora, mającą nie więcej niż 16 lat. Stwierdziła ślady pogryzienia, poranione krocze i sine podbrzusze. Opowiedziała o tym doktorowi *Deringowi*. Z obawy o życie chorej, która mi o tym mówiła, postanowiliśmy milczeć.

Zdarzyło się, że *Wacek* skaleczył rękę, uderzając jakiegoś więźnia w zęby. Gdy go opatrywał sanitariusz, pytaliśmy *Wacka*, dlaczego bije, przecież kiedyś może być pozbawiony funkcji, toteż byłoby lepiej, aby nie miał w obozie wrogów. Odpowiedział na to, że wrogów nie ma, bo wszystkich zamordował. Na okazję i śmierć *Wacka* czekała grupa ruchu oporu w szpitalu. Bał się on szpitala jak ognia, gdyż domyślał się, że jeśli zachoruje, to ze szpitala żywy nie wyjdzie. Radość wśród więźniów nie miała granic, gdyśmy się dowiedzieli, że *Wacek* jest chory na dur wysypkowy. Choroba wzięła górę nad zwyrodnialcem. Gorączkujący, prawie nieprzytomny został przeniesiony do szpitala do bloku nr 20. Tam dokonane zostało dzieło, na które tak długo czekali wszyscy więźniowie. *Wacek* skonał marnie.

Na temat pracy personelu szpitalnego w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka wiele już pisano, podkreślając tę kartę jako dzieło ratowania życia i niesienia pomocy więźniom w beznadziejnych warunkach bytowania obozowego. Może zabiorą jeszcze na ten temat głos byli więźniowie, którzy przeszli przez oświęcimskie „rewiry" szpitalne.

EDWARD CIESIELSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 12969
Warszawa

Ucieczka z Oświęcimia[1]

Ucieczka grupy więźniów z obozu oświęcimskiego, w której uczestniczyłem, była jedną z kolejnych organizowanych przez obozowy ruch oporu. Chodziło o wyniesienie na wolność materiałów wywiadowczych dotyczących zbrodni hitlerowskich popełnianych w Oświęcimiu-Brzezince, a także o sprowadzenie zbrojnej odsieczy na obóz oświęcimski, aby przy współudziale z istniejącą podziemną organizacją obozową rozbić obóz i uwolnić więźniów tam przebywających[2].

Gdy mnie *Tomek Serafiński* spytał, czy nie zechciałbym mu pomóc w zorganizowaniu takiej ucieczki, zaznajomiony z jej celem natychmiast wyraziłem zgodę i oświadczyłem, że chciałbym mu towarzyszyć.

Poczęliśmy czynić odpowiednie przygotowania. Za kilka dni otrzymałem od *Tomka* buty, następnie zaś przyniosłem mu i sobie cywilne bluzki-wiatrówki, czarne damskie spodnie i cywilne koszule. Garderobę tę otrzymałem od członka naszej organizacji, *Świerczyny* („kapo" *Bekleidungskammer)* i schowałem w swojej szafce, w której przechowywana była czysta bielizna przeznaczona dla więźniów bloku nr 20. Po kilku dniach *Tomek* przyniósł kieszonkowy zegarek, który również tam ukryłem. Następnie *Tomek* dostarczył mi dolary w banknotach. Ja zaś przygotowałem podręczną małą apteczkę, zawierającą bandaż, jodynę, plastry itp. *Marian Toliński*, pracujący w aptece bloku nr 28, przyrzekł mi dostarczyć trzy dawki cyjanku potasu. Trzy, ponieważ *Tomek* oświadczył mi, że z obozu mamy uciec w trójkę. Swego trzeciego towarzysza dotychczas nie znałem. Te wszystkie przygotowania czyniliśmy w kwietniu 1943 roku.

W końcu marca i z początkiem kwietnia 1943 roku Niemcy zaczęli wysyłać transporty więźniów z Oświęcimia do innych obozów koncentracyjnych, znajdujących się na terenie Niemiec. W tym czasie do obozów tych wywieziono około 8 tysięcy więźniów oświęcimskich. Listę transportów ustalał *Politische Abteilung*. Wszyscy przeznaczeni do wywiezienia poddawani byli dokładnym oględzinom przez lekarzy *SS*. Do transportu przeznaczano więźniów zdrowych i nie wycieńczonych fizycznie. Pewnego wieczoru, późno, bo około godziny 23, wszedł do bloku nr 20 esesman i odczytał listę więźniów przeznaczonych do transportu. Wśród wyczytanych byłem również ja. Rozkazano nam natychmiast ubrać się i wyjść z bloku, po czym przyłączono nas do oczekującej już grupy więźniów i zaprowadzono nas wszystkich do bloku nr 13, w którym grupowano wywożonych.

Znalazłem tam *Tomka Serafińskiego*. Postanowiliśmy „trzymać się razem". Do bloków transportowych, pilnowanych przez *SS*, nie wolno było podchodzić więźniom z innych bloków. W następnym dniu wyprowadzono nas kolejno przed blok, gdzie musieliśmy rozebrać się z odzieży i bielizny. Następnie poddawani byliśmy oględzinom lekarskim. Na swoją kolejkę nie doczekałem się, ponieważ pracownikom szpitala esesman *Scherpe* rozkazał wystąpić z szeregów i udać się do bloku nr 28.

W ambulansie bloku 28 spisano nasze numery, po czym udaliśmy się do naszych macierzystych bloków. Znalazłem się więc ponownie w bloku nr 20. Oględziny lekarskie więźniów przeznaczonych do transportu trwały cały dzień. *Tomka Serafińskiego* jeszcze w tym dniu nie zdążono zbadać. Postanowiłem za wszelką cenę wyrwać go z transportu. Dr *Władysław Dering* z bloku nr 21, dokąd natychmiast udałem się w tej sprawie, poradził mi pójść do *Mariana Tolińskiego*, wziąć od niego pas na przepuklinę i doręczyć w jakiś sposób *Tomkowi*. Otrzymawszy ten pas, wziąłem apteczkę i z jednym jeszcze kolegą ze szpitala udałem się do bloku nr 13. Dyżurującemu esesmanowi zameldowałem, że jesteśmy delegowani ze szpitala przez *lagerältestera*, aby porobić opatrunki w bloku i udzielić ewentualnej pomocy sanitarnej przebywającym tam więźniom. Pod tym pozorem udało nam się dostać do sali na I piętrze, w której przebywał *Tomek*. W ubikacji wręczyłem mu pas i poinformowałem go, jak się ma zachować podczas badań lekarskich.

Fortel z pasem na przepuklinę doskonale się udał. *Tomek* w następnym już dniu został wycofany z transportu i skierowany do swego dawnego bloku nr 3. Nasz trzeci kolega, który zbiegł z nami z Oświęcimia, również uniknął transportu ze względu na ranę na nodze, spowodowaną kopnięciem przez esesmana.

W związku z odjazdem z Oświęcimia większej grupy więźniów, którzy przebywali dłuższy okres w obozie, nasza organizacja podziem-

[1] Artykuł ten jest redakcyjnym skrótem szczegółowego opisu ucieczki, zawartego na stronicach 86—123 maszynopisu obszernego pamiętnika *Edwarda Ciesielskiego*. Edycję całości przygotowuje Wydawnictwo Literackie. Według informacji otrzymanej od mgr *Tadeusza Iwaszki* z Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, ucieczkę tę zorganizowała działająca na terenie obozu oświęcimskiego Tajna Organizacja Wojskowa (TOW), której komendantem był wówczas płk *Juliusz Gilewicz*. Ucieczkę tę przygotowali i przeprowadzili więźniowie: *Witold Pilecki* (nr obozowy 4859), który przebywał w obozie pod przybranym nazwiskiem jako *Tomasz Serafiński* i pracował w obozowej paczkarni, *Jan Redzej* (nr obozowy 5430), który jako *Jan Retke* pracował w magazynie żywnościowym, i autor relacji, *Edward Ciesielski* (nr obozowy 12969), zatrudniony jako pielęgniarz w bloku nr 20. Więźniowie ci zbiegli z obozu w dniu 27 kwietnia 1943 r. w nocy o godz. 2 z „komanda" *Bäckerei Landsmann* (przyp. red.).

[2] Plan zbrojnego uwolnienia więźniów Oświęcimia przez oddziały partyzanckie, jak wiadomo, nie mógł zostać zrealizowany (przyp. red.).

na została częściowo zdekompletowana. *Tomek* na nowo począł wiązać przerwane nici.

W ostatnim tygodniu przed Wielkanocą, 20 kwietnia 1943 roku przeprowadziłem z *Tomkiem* dłuższą rozmowę na temat naszej ucieczki. Postanowiliśmy zbiec w wielki piątek, ponieważ dzień ten u Niemców jest wyjątkowo uroczysty, wobec czego można liczyć na zmniejszoną czujność esesmanów, których część w okresie świąt była na urlopie. Przedsięwzięcie nasze zależało od tego, kiedy wyjedzie na urlop *arbeitsdienstführer Franz Hössler*. Mianowicie mieliśmy uciec przez piekarnię, w której pracował nasz trzeci towarzysz *Jaś*, gdyż udało się z pomocą pewnego więźnia ślusarza dorobić klucz do śruby w sztabie przytrzymującej drzwi wejściowe do piekarni. Piekarnia była tzw. *aussenkommandem* (zewnętrznym oddziałem pracy), dokąd skierowania wydawał *Hössler*. My zaś takich skierowań nie otrzymalibyśmy oficjalnie nigdy, ponieważ uprzednio musiałby wyrazić na to zgodę Oddział Polityczny, który z reguły Polakom takich zezwoleń nie wydawał. *Hössler* pozostawał w obozie i z naszych planów na wielki piątek nic nie wyszło.

Zaczęliśmy konkretnie działać w wielką sobotę 24 kwietnia. *Tomek* wtedy pracował w paczkarni i przebywał, jak wspomniałem, w bloku nr 3, *Jaś* mieszkał w bloku nr 15, gdzie znajdowali się wszyscy pracownicy zatrudnieni w piekarni, ja zaś nadal w bloku szpitalnym (nr 20) pełniłem funkcję żywnościowego. Aby dostać się do piekarni, należało przede wszystkim znaleźć się w bloku nr 15. *Tomek* jako pracownik paczkarni, chcąc dostać się do jakiegoś innego oddziału pracy, musiał przede wszystkim mieć na to zgodę swego *kommandoführera*, którym był esesman. Ubieganie się o wyrażenie takiej zgody byłoby wprost szaleństwem, ponieważ rzuciłoby podejrzenie na osobę *Tomka*. Dlatego też postanowiliśmy rozwiązać to wszystko w inny sposób. W wielką sobotę po apelu wieczornym udałem się wraz z *Tomkiem* do ambulansu bloku nr 28, do *Mariana Tolińskiego*, z którym sprawę już uprzednio omówiłem. Chodziło nam w tej chwili o przyjęcie *Tomka* do szpitala, w bloku nr 20. Za pośrednictwem dr *Diema*, który zakwalifikował go jako podejrzanego o dur wysypkowy, *Tomek* znalazł się tam oficjalną drogą i został umieszczony w „sztubie" *Janusza Młynarskiego*. Dr *Fejkiel*, od którego zależały zwolnienia ze szpitala, przyrzekł mi, że wypisze *Tomka*, kiedy tylko zechcę. Co do zwolnienia ze szpitala mnie samego potrzebna była zgoda starszego szpitala *(Lagerältester von Krankenbau)*, Niemca przywiezionego pół roku temu z Dachau.

Chcąc dostać się do bloku nr 15 i być skierowanym do pracy w piekarni, należało mieć pisemne skierowanie zaopatrzone podpisem *Hösslera* i pieczęcią. Dokumenty takie dla mnie i dla *Tomka* sfałszowałem. Od pewnego pracownika *szrajbsztuby* otrzymałem dwa oryginalne skierowania do pracy z nazwiskiem *Hösslera* i jego pieczęcią. Wystawione były one na inne nazwiska i do innych oddziałów, ale wywabiliśmy stare dane, wpisując nazwisko *Tomka* i moje. Tak zaopatrzeni w fałszywe skierowania czekaliśmy do drugiego dnia świąt wielkanocnych.

W poniedziałek wielkanocny rano zameldowałem się u blokowego *Paula* i okazałem mu skierowanie do pracy w piekarni. Bardzo się zdziwił i poprowadził mnie do *lagerältestera*, któremu oświadczył, że ja jako sanitariusz skierowany zostałem do piekarni. *Lagerältester* zapytał mnie, czy nie mam gdzieś przypadkiem odnotowane w kartotece, że jestem piekarzem. Odpowiedziałem, że nigdy z piekarnictwem nie miałem nic wspólnego i że skierowanie to jest na pewno jakąś omyłką, ale nie mogę się przecież sprzeciwić zarządzeniom *hauptscharführera Hösslera* i dlatego dziś pójdę do pracy w piekarni, a ze swej strony proszę, aby *lagerältester* i blokowy *Paul* w dniu jutrzejszym, gdy będzie *Hössler*, reklamowali mnie i wyjaśnili tę pomyłkę. Obaj Niemcy zgodzili się na to, a mnie spadł jeden kamień z serca. *Tomka* dr *Fejkiel* zaopiniował jako zdrowego, gdyż rozpoznanie duru było mylne, a czynności zwolnienia załatwiono w poniedziałek po południu.

Wyjąłem z szafki przygotowane uprzednio narciarki, wiatrówkę i spodnie i poszedłem do bloku nr 28 do ciemni rentgenowskiej, gdzie spotkałem *Witolda Kosztownego*, który częściowo wiedział o naszej zamierzonej ucieczce. Podczas gdy on pilnował, czy ktoś nie nadchodzi, przebrałem się w ciemni w przygotowaną odzież, na którą założyłem więzienne pasiaki. W ten sam sposób przebrał się również *Tomek*, po czym oficjalnie ze *szrajberem* bloku nr 21 udaliśmy się do bloku 15. Tam *szrajber* zgłosił nas blokowemu, oddając mu nasze karty personalne i sfałszowane skierowania do piekarni. Blokowy przejrzał wszystko dokładnie i polecił nam udać się do „sztuby", w której mieszkali piekarze. „Kapo" piekarni, Niemiec z Czech, przebywający w Oświęcimiu zaledwie miesiąc, zdziwił się, gdy mu blokowy oświadczył, że należy zatrudnić dwóch nowych piekarzy. Nasze sfałszowane skierowania były ostatecznym argumentem. W grupie piekarzy pracował *Jaś*, nasz trzeci kolega, ale udawaliśmy, że się w ogóle nie znamy.

Cała trudność w tej chwili polegała na tym, aby w bieżącym dniu dostać się na nocną zmianę. O przydziale tym decydował wyłącznie „kapo" piekarni. Zgodził się w zastępstwie chorego więźnia skierować *Tomka* na nocną zmianę, mnie zaś przeznaczył na dzienną następnego dnia. Wobec tego postaraliśmy się od znajomych na terenie obozu o chleb pszenny, owoce i sardynki, przysyłane w paczkach od rodzin lub „organizowane" w tzw. „kanadzie". W końcu sali bloku nr 15 urządziliśmy „bibę", na którą zaprosiliśmy naszego „kapo". Dla niego, nowego więźnia, wszystkie te przysmaki były niedostępne. Oniemiał z podziwu na ich widok i jego stosunek do nas stał się nagle bardzo życzliwy. Chcąc się zrewanżować, proponował nam lepsze łóżka i dzienną zmianę,

gdyż praca nocna bardzo wyczerpuje. Wytłumaczyliśmy mu, że codziennie możemy przynosić takie rarytasy, ale „organizować" je należy tylko w dzień, wobec czego musimy pracować w nocy. „Kapo" natychmiast zapisał nasze numery w rubryce „zmiana nocna", listę tę oddał blokowemu, a ponieważ zmiana nocna była zapewniona, nikt nie mógł nas podejrzewać, że w tę noc zamierzamy uciec z obozu. „Kapo" poinformował nas, iż wymarsz do pracy nastąpi około godziny 18; wtedy *läufer* przezwiskiem *Bumbo* zawiadomi, że więźniowie z piekarni winni się ustawić przy bramie głównej, gdzie poczekają do chwili wymarszu z obozu.

Marian Toliński i *Witold Kosztowny*, którzy wiedzieli o naszych planach, zjawili się u nas w bloku 15 około godziny 16. Poszedłem z *Maniusiem Tolińskim* do ubikacji, gdzie otrzymałem od niego trzy maleńkie, celuloidowe kapsułki, zawierające cyjanek potasu. Każda kapsułka przeznaczona była dla jednego z nas, aby w razie potrzeby uchronić się przed powrotem do obozu i wiadomych następstw nieudanej ucieczki. Serdecznie pożegnaliśmy się z *Tolińskim* i *Kosztownym*.

Tomek Serafiński zaopatrzył się jeszcze w przybory do golenia, które powierzył mej opiece. Poza tym każdy z nas miał czysty ręcznik. Zaczęło się oczekiwanie na gońca, bardzo szarpiące nerwy. Podobnie denerwująca była ostatnia noc, którą spędziliśmy zupełnie bezsennie. Mieliśmy odzież cywilną, a *Tomek* ponadto dysponował zegarkiem kieszonkowym i miał kilkaset dolarów.

Około godziny 18 przybiegł do naszej „sztuby" goniec z bramy głównej i krzyknął: *Bäckerei antreten!* (Piekarnia, wystąp!) Szybko podążyliśmy w kierunku bramy głównej. Ustawiliśmy się trójkami. Było nas ośmiu więźniów (trzech z piekarni esesowskiej, a pięciu z piekarni wypiekającej chleb dla więźniów). Do ustawionej naszej grupy podszedł oficer *SS* i sprawdził nazwiska i daty urodzenia. Dzień był wyjątkowo piękny. Słońce chyliło sie ku zachodowi. Z dala na horyzoncie widać było groźne, czarne chmury, zwiastujące deszcz, bardzo w naszej sytuacji pożądany.

Po sprawdzeniu listy dyżurujący esesman otworzył bramę główną. Naszą grupę otoczyło sześciu uzbrojonych esesowców. Wypuszczający nas podoficer *SS* zwrócił uwagę eskortujących, aby żaden „pies" nie uciekł. Po plecach przeszły mi ciarki; czyżby ten esesman coś o nas wiedział? Nawet *Tomek* się zaniepokoił i zapytał mnie, czy przypadkiem więzień, od którego braliśmy ręczniki, nie domyślił się czegoś. Ale gdyby podejrzewano nas o ucieczkę, prawdopodobnie nie wypuszczonoby nas w ogóle poza bramę obozu.

Maszerowaliśmy środkiem szosy Katowice-Bielsko, wśród krzyków esesowskich, szczególnie młodego, rudego esesmana, który groził nam zastrzeleniem, gdyby ktoś wystąpił pół kroku z szeregów. Mijali nas przeważnie esesmani, spacerujący z piskliwie roześmianymi dziewczętami.

Znajdowaliśmy się w odległości około 1 km od obozu. Doszliśmy do skrzyżowania dróg. W tym miejscu nastąpił podział grupy na dwie części. 3 więźniów pod eskortą 3 esesmanów udało się w prawo do piekarni esesowskiej, druga zaś grupa, tj. pięciu więźniów, wśród których znajdował się *Tomek Serafiński*, *Jaś Retke* i ja, eskortowana przez 3 esesmanów została skierowana szosą skręcającą w lewo. Towarzyszący nam dwaj więźniowie, młodzi, jak wynikało z numerów naszytych na piersiach, byli niepewni, toteż należało odnosić się do nich z największą rezerwą. Myśleliśmy o włączeniu ich do ucieczki, przy czym po wydostaniu się na wolność musieliby dalej radzić sobie sami, ale zamiar ten odrzuciliśmy, gdyż było prawdopodobne, że narazilibyśmy się na zdradę z ich strony. Wskazana była wobec nich ostrożność.

Szosą spacerowało bardzo dużo ludzi, elegancko ubranych, zapewne Niemców, większość Polaków bowiem wysiedlono z tych terenów ze względu na znajdujący się w pobliżu obóz zagłady.

Skręciliśmy w prawo, ku budynkowi piekarni, przypominającej jakiś wielki, ceglany młyn. Piekarnia nie była ogrodzona. Na placu stało kilka taczek, leżało też tutaj drewno ułożone w stosy, tzw. szczapy. Niebo już zaciągało sie chmurami, gdzieniegdzie zaczynał kropić deszcz. *Postenführer* (rozprowadzający esesman) podszedł do drzwi wejściowych do piekarni, wyjął ze skórzanej raportówki klucze, otworzył kłódkę, odrzucił sztabę, przytrzymującą żelazne drzwi, otworzył je i wszedł do wnętrza. Po chwili wyszedł z piekarni, a za nim dzienna zmiana (5 więźniów i 2 esesmanów). Gdy poprzednicy opuścili piekarnię, weszła tam nasza grupa wraz z eskortą. Drzwi od piekarni zamknęli za nami na klucz, po czym słychać było zgrzyt zakładanej żelaznej sztaby, którą zamykano na kłódkę. Czynność zamkniecia wykonał *postenführer*.

Piekarnia była dobrze zabezpieczona. Tuż za drzwiami był maleńki, kwadratowy korytarzyk, po którego lewej stronie znajdowały się drzwi prowadzące do drwalki i magazynu węgla. Po wejściu do drwalki po stronie prawej podwójne drzwi prowadziły do pomieszczenia, w którym wmontowany był duży kocioł służący do podgrzewania wody. Znajdował się nad paleniskiem. Obok stał stolik i dwa krzesła, nad stolikiem widniał czerwony guzik alarmowy. Siedzieli tu przez cały czas naszej pracy w piekarni dobrze uzbrojeni esesmani. Mały korytarzyk oddzielał esesmanów od magazynu maki i chleba oraz zasadniczego pomieszczenia piekarniczego z piecami, elektrycznymi dziežami do rozrabiania ciasta i innym sprzętem. W korytarzyku tym umieszczony był telefon, widoczny przez esesmana siedzącego przy palenisku. Zarówno do magazynu mąki i chleba, jak i do miejsca wypiekania nie było drzwi, a tylko otwory w ścianach. *Jaś* był już uprzednio zorientowany co do topografii piekarni i panujących tu zwyczajów. Esesmani co godzinę podchodzili do telefonu i składali meldunki o sytuacji na ich posterunku. Poza tym niekiedy

nocą przyjeżdżał oficer rontowy, kontrolujący nocne posterunki. Jeden z esesowców podchodził wówczas do okna i odpowiadał na pytania oficera. W czasie nocnej służby esesmani przyrządzali sobie kolację. Uprzedzeni o tym, wzięliśmy od *Mariana Tolińskiego* środek nasenny, aby móc go ewentualnie wsypać do ich kawy.

W piekarni zatrudnionych było trzech pracowników cywilnych. Mówili do nas po polsku, ale nie byliśmy pewni, czy to nie są Niemcy. Zwracali się do nas bardzo ostro. Ubrani byli tylko w spodenki i długie fartuchy piekarskie. Ich eleganckie ubrania, snadź z uwagi na poniedziałek wielkanocny, wisiały na wieszakach w drwalce. Wskazałem je *Tomkowi*, podkreślając, że są akurat trzy komplety. *Tomek* nie zgodził się na skorzystanie z tych ubrań. Powiedział, że możemy wziąć jedynie nakrycia głowy. Były tam dwie cyklistówki i jeden kapelusz. Zgodę na ich wzięcie *Tomek* uzasadnił tym, że nie są to rzeczy drogie, nie skrzywdzimy więc specjalnie tych cywilów, a nakrycia głowy są nam specjalnie potrzebne, żebyśmy się z daleka nie rzucali w oczy. Może ci cywile są porządnymi ludźmi, a te ubrania — to cały ich majątek. Pomyślałem sobie, że jednak daleko było mi do uczciwości, podczas gdy nigdy nie można o niej zapominać, bo to jest przecież największy skarb człowieka.

Pracownicy cywilni wyrazili zdziwienie, że przyprowadzono do pracy dwóch nowych więźniów. Na ich zapytanie przyznaliśmy się, że nie jesteśmy piekarzami. Ich gniew uspokoił *Jaś*, mający u nich wyraźny autorytet. Widać było nawet, że go dość polubili. *Tomkowi* polecono wyrabiać ciasto i sporządzać bochenki chleba, ważyć na wadze i układać na desce. Ja otrzymałem na razie zadanie, abym wyniósł rozżarzone węgle z pieca piekarniczego. Przydzielono mi w tym celu mokrą szmatę umocowaną na długim kiju. Pracowałem w koszuli, a pot ściekał mi po całym ciele. Dość długo trwało, nim uporałem się ze wszystkimi węglami w piecu. Czynność tę wykonywało się przy każdej partii upieczonego chleba. Nigdy w życiu nie pracowałem w piekarni, toteż nie miałem dotąd pojęcia, jaka to jest ciężka praca. Z obserwacji wnioskowałem, że *Jaś* zdążył już poznać tajniki tej pracy i nabrać wprawy. Natomiast patrząc na *Tomka*, zauważyłem, jak bardzo się męczy i nie może sobie poradzić z ciastem. Częściowo uratował go *Jaś*, mówiąc piekarzom, że to jest ksiądz z Wilna, nienawykły do takiej roboty. Natychmiast przestali go szykanować, a nawet co nieco pomagali mu. Ja zaś postanowiłem wybrnąć z sytuacji w inny sposób. Podnosząc długą deskę, na której znajdowały się surowe bochenki chleba, upadłem nagle i z miną wyrażającą cierpienie oświadczyłem, że uczułem w plecach jakiś trzask i nie mogę się podnieść ani też w ogóle ruszyć z miejsca. Symulacja powiodła się, gdyż nawet *Jaś* podbiegł do mnie i zapytał, czy naprawdę tak źle się czuję. Uspokoił się, kiedy mu wyjaśniłem cel tego epizodu.

Jeden z cywilnych piekarzy zameldował rudemu esesmanowi o moim „wypadku". Esesowiec podszedł i spytał, ile mam lat. Odpowiedziałem mu, że 17 (miałem wówczas 21 lat). Jak długo przebywasz w obozie? — indagował dalej. Odparłem, że przeszło dwa lata. „I jeszcze żyjesz?" — zapytał. Nie odpowiedziałem nic. Polecił mi wziąć pusty worek po mące i położyć się na nim na korytarzu, abym odpoczął. „W dniu jutrzejszym nie chcę cię w piekarni w ogóle widzieć. Musisz się zgłosić do szpitala, to cię tam wyleczą" — dodał. Położyłem się na worku zgodnie z poleceniem. Moi towarzysze pracowali dalej.

Ze swej pozycji mogłem obserwować esesmanów. Jeden z nich, siedzący przy stole obok dzwonka alarmowego, pisał list chyba do kogoś bliskiego, od czasu do czasu bowiem przerywał pisanie, wyjmował z portfelu zdjęcie i z wielkim zainteresowaniem przyglądał mu się, po czym zabierał się na nowo do pisania. Drugi esesman siedział obok paleniska za kotłem i był wpatrzony w żarzące się węgle.

Po zakończeniu każdej partii pieczenia chleba, piece rozpalano na nowo. Więźniowie udawali się wówczas do drwalki i magazynku z węglem, skąd przynoszono drewno i węgiel. Musieli wówczas przechodzić przez pomieszczenie, w którym przebywali esesmani. Drewno i węgiel przynoszono w skrzyniach, takich, jakich się używa do noszenia gliny i cegły przy budowie. W ciągu naszej pracy czynność tę wykonywano owej nocy czterokrotnie.

W oknach budynku były wmontowane kraty. Urządzenie alarmowe znajdujące się w piekarni było wykonane w ten sposób, że kable prowadzące do niego od głównej wartowni przechodziły pod ziemią, natomiast kable telefoniczne biegły normalnie po słupach nad ziemią. Jednak w samej piekarni kabel urządzenia alarmowego i kabel telefoniczny były wmontowane w pobliżu siebie, właśnie w korytarzyku, w którym teraz leżałem na worku z mąki. Wszystkie te urządzenia już dawno przepatrzył *Jaś*, toteż uwzględniliśmy je w naszych planach.

Po dwóch godzinach od chwili mego „nieszczęśliwego wypadku" przyszedł do mnie rudy esesman i zapytał, jak się czuję. Odpowiedziałem, że znacznie lepiej. Wiadome było, że esesowcy niechętnie patrzyli na bezczynnie leżącego więźnia, toteż mój rudy esesman polecił mi wstać i zrobić kilka przysiadów. „Z trudem" je wykonywałem. „No, nie jest tak źle — odezwał się esesman — trzeba ci przydzielić pracę, bo to ci dobrze zrobi". Rozkazał mi wziąć łopatę, nosić węgiel z magazynu węglowego i wrzucać go do paleniska, pod kotłem do gotowania wody. Polecenie to rozpocząłem wykonywać, pod okiem esesmanów. Była godzina 22.30, należało już niezwłocznie przystąpić do realizacji naszego planu ucieczki. Uniemożliwiał nam to jednak stojący pod oknem piekarni, oczywiście na zewnątrz, przygodny esesman ze swoją kochanką. Schronił się on przed deszczem, który w tej chwili rozpadał się ku naszemu zadowoleniu na dobre. Tę ese-

sowską parę widać było jak na dłoni z okna magazynu mącznego, do którego co chwilę zaglądał *Jaś*, aby się przekonać, czy oni tam jeszcze stoją. Jak na złość wciąż stali, przytuleni do siebie. Napięcie nerwowe potęgowało się z każdą sekundą. Trwało to do północy. Wydawało nam się, że tych dwoje kochanków uniemożliwi nam tak starannie i żmudnie przygotowaną akcję. W swych planach braliśmy pod uwagę każdą okoliczność, jaka by się mogła przytrafić. Wydawało nam się, że przewidzieliśmy wszystko, co by zagrażało ucieczce, z wyjątkiem, jak się okazało, romansu esesmana z jego kochanką.

Ku wielkiemu naszemu zadowoleniu około północy zakochana para zniknęła sprzed okien piekarni. Pierwszy dostrzegł to *Jaś*. Odetchnęliśmy z ulgą. Lecz musieliśmy jeszcze czekać aż do całkowitego upieczenia się partii chleba, co potrwało dalszą godzinę. Wtedy winniśmy rozpalić na nowo piece piekarnicze, ale już tę przerwę postanowiliśmy wyzyskać.

Należało się spieszyć, gdyż czasu zostało niewiele, a zadaniem naszym było dotarcie pod osłoną nocy do najbliższego lasu, odległego nie bliżej niż około 15 km. Aby pokonać tę przestrzeń do rana, trzeba było możliwie szybko wydostać się z piekarni. Jeden esesman siedział stale obok dzwonka alarmowego, drugi obok pieca przygotowywał sobie kolację, smażąc na węglach kiełbasę. *Jaś* i *Tomek* znajdowali się w drwalce. Trwała przerwa na przygotowywanie węgla i drewna do rozpalania pieców. Węgiel i drewno przygotowywali oni obaj. Wszedłem do pomieszczenia z węglem, by rozpocząć „przygotowania". Ponieważ zajęło się tym aż trzech, mieliśmy pewność, że cywilni nie wyślą tam dwóch pozostałych więźniów. Ja nakładałem węgiel na taczki, *Tomek* zaś rąbał drewno na drobne kawałki. W tym czasie *Jaś* wydobywał klucz ze skrytki znajdującej się w węglu i poszedł do drzwi wyjściowych, aby odkręcić nim mutrę przytrzymującą sztabę. Mutrą tą zakręcona była od strony wewnętrznej śruba, przykręcona na zewnątrz do sztaby. Ja i *Tomek* pracowaliśmy zawzięcie, aby do uszu esesmanów nie doszły stuki powstałe przy odbijaniu sztaby, nad którą mozolił się *Jaś*. W chwili, gdy jego robota zdawała się być na ukończeniu, do pomieszczenia, w którym się znajdowaliśmy, wszedł nagle rudy esesman. Serce mi zamarło na chwilę z przerażenia, przeświadczony bowiem byłem, że *Jaś* zostanie schwytany na gorącym uczynku przy otwieraniu drzwi i wszystko się wyda.

Przestaliśmy pracować, co było już umówionym uprzednio sygnałem ostrzegawczym dla *Jasia*, że w pobliżu jest niebezpieczeństwo. Z chwilą wejścia esesmana zapanowała bezwzględna cisza. Groźnym wzrokiem popatrzył na mnie i na *Tomka* i zapytał: *„Wo ist der dritte?"* (gdzie jest ten trzeci?). Odpowiedziałem, że nie wiem, o jakiego trzeciego mu chodzi. Esesman wówczas skierował się ku drzwiom, przy których majstrował *Jaś*. Pewien byłem, że nastąpił koniec całej naszej przedsięwziętej akcji. Lecz, o dziwo, stało się inaczej. Esesman dosłownie po paru sekundach wyszedł spokojnym krokiem z korytarzyka wiodącego od drzwi wejściowych i udał się na swe miejsce, gdzie znajdował się drugi esesman dyżurujący przy dzwonku alarmowym.

Po pewnej chwili nadszedł *Jaś* i roześmiany oświadczył, że drzwi są już przygotowane do wyważenia. Opowiedział, że po nadejściu esesmana zorientował się natychmiast w sytuacji, porzucił szybko robotę przy drzwiach i wskoczył do ubikacji znajdującej się naprzeciw drzwi, ściągnął spodnie i usiadł na sedesie. Esesman, ujrzawszy go w tej pozycji, odezwał się: „Ach, tutaj jesteś", następnie oświecił drzwi, przyjrzał się im dokładnie i uspokojony, że wszystko jest w należytym porządku, odszedł do siebie.

Ale jeśli chodzi o drzwi, to esesman najwyraźniej oślepł. Widać tam było wyraźnie ślady roboty *Jasia*. „Teraz przystępujemy do dalszej części" — oświadczył *Tomek*. Należało przeciąć kabel telefoniczny i kabel dzwonka alarmowego. Wykonanie tych czynności przypadło w udziale mnie. Otrzymałem duży scyzoryk, dobrze wyostrzony i poszedłem do korytarza, gdzie znajdował się telefon. Uprzednio byłem poinformowany, jak należy przecinać kabel dzwonka, aby nie spowodować spięcia i nie wywołać alarmu. Telefon umieszczony był na specjalnej półce. Pod ścianą obok tej półki ustawiony był worek częściowo wypełniony mąką. Wszedłem na worek z mąką, korzystając z tego, że esesman smażący kiełbasę, który obejrzawszy się do tyłu zobaczyłby mnie, był zajęty przygotowywaniem kolacji. Dwoma ruchami odciąłem kabel telefoniczny, następnie zaś kabel dzwonka alarmowego.

Zszedłem spokojnie z worka, wziąłem łopatę z węglem, wrzuciłem na nią kawałki kabla i wraz z węglem wsypałem do pieca. Postąpiłem, jak się okazało, nieostrożnie. Wrzucony kabel był izolowany gumą, która w rozżarzonych węglach zaczęła się palić, wydając swoisty zapach. Esesman natychmiast to poczuł i zdenerwowany zaczął krzyczeć na mnie, pytając, co za świństwo wrzucam do pieca. Odpowiedziałem, że nie wiem, co tam jest, widocznie coś znajdowało się w węglu i wydaje nieprzyjemną woń. Esesman polecił mi zwracać na przyszłość uwagę i brać czysty węgiel do palenia w piecu.

W chwilę po przecięciu kabla cywilny piekarz przywołał mnie i rozkazał nosić wodę do elektrycznych mieszadeł. Do każdej z nich miałem przynieść po kilka wiader zimnej i gorącej wody. Odmówić nie mogłem, gdyż wywołałoby to podejrzenie. Czynności te trwały dość długo. Nagle odezwał się głos oficera rontowego, wzywającego esesmana do okna. Było to dla mnie szczególnie denerwujące, ponieważ wiedziałem, że po wizycie oficera rontowego pilnujący nas esesmani składają meldunek telefoniczny do głównej wartowni. A telefon był już nieczynny. Poczułem zawroty gło-

wy, na czoło wystąpił mi pot. Za chwilę esesman przyjdzie do telefonu. Sekundy wydawały się godzinami. Co za straszny zbieg okoliczności, za chwilę nie byłoby nas już w piekarni.

Z przerażeniem wpatruję się w idącego esesmana. Przechodzi on szybkim krokiem do nieczynnego aparatu telefonicznego, siada na swym dawnym miejscu i chwyta za kiełbasę pozostawioną na rozżarzonych węglach. Kończy jeść rozpoczętą kiełbasę. Drugi esesman jest w dalszym ciągu zajęty pisaniem listu. Nic wokół siebie nie dostrzega. Odetchnąłem. Prawdopodobnie esesman złoży meldunek po zjedzeniu kolacji.

W pewnym momencie podbiega do mnie *Tomek* i oświadcza, że należy natychmiast opuszczać piekarnię, bo każda sekunda jest droga i lada chwila może się to wszystko bardzo tragicznie skończyć. Podszedłem do cywilnego piekarza i powiedziałem mu, że odpowiednią ilość zimnej wody już przyniosłem i teraz udaję się po wodę gorącą. Piekarz kiwnięciem głowy wyraził na to zgodę.

Puste wiadro przeniosłem przez korytarzyk, w którym znajdował się telefon, następnie znalazłem się w salce, w której przebywali pilnujący nas esesmani, puste wiadro postawiłem obok kotła z gotującą się wodą i udałem się w kierunku drzwi. Po drodze do głównych drzwi wejściowych, przechodząc przez poszczególne pomieszczenia, oddzielone od siebie trzema drzwiami, każde z nich dokładnie za sobą zamknąłem.

Przy głównych drzwiach czekali już *Tomek* i *Jaś*. Ostatnie drzwi wewnętrzne schwyciłem silnie za klamkę i przytrzymałem, aby się przypadkiem nie otworzyły. W tym czasie *Tomek* i *Jaś* starali się siłą wyważyć drzwi główne, które w tej chwili były jeszcze zamknięte na klucz, ale ponieważ po odkręceniu mutry sztaba na zewnątrz ich już nie przytrzymywała i zasuwy zostały odsunięte, mieliśmy pewność, że drzwi dadzą się wypchnąć, a zamek, który w tej chwili uniemożliwiał ich otworzenie, wyślizgnie się pod wpływem nacisku na drzwi.

Kilkakrotne próby poczynione przez *Tomka* i *Jasia* nie dawały na razie rezultatu. Dopiero gdy we trójkę na komendę *Jasia* zaczęliśmy napierać na drzwi, dał się słyszeć lekki zgrzyt i otworzyły się z trzaskiem. Wybiegłem na świeże powietrze i odruchowo miałem zamiar całym pędem biec dalej, ale *Tomek* kazał mi wrócić i wykonać akcję do końca. A więc zabarykadować esesmanów w piekarni. Zamknęliśmy drzwi z powrotem i szybko, bardzo zresztą chaotycznie, poustawialiśmy pod nimi stojące taczki, następnie szczapy drewna, drągi itd. Trwało to wszystko zaledwie kilka sekund. Następnie powolnym krokiem oddaliliśmy się od piekarni i poczęliśmy iść rowem wzdłuż szosy. Padał deszcz. Było zupełnie ciemno. Odetchnęliśmy całą piersią wolnym powietrzem. Przyspieszaliśmy kroku, a w końcu zaczęliśmy biec. Rowem obok szosy dobiegliśmy do nasypu kolejki wąskotorowej, którędy „lorami" przewożono materiał budowlany.

Biegliśmy następnie nasypem tej kolejki. Trudno mi opisać wrażenie, jakiego wtedy doznawałem. Byłem wolny, ale wydawało mi się, że nie mogę po prostu utrzymać równowagi. Biegliśmy jeden za drugim, na odległość wzrokową, nie odzywając się do siebie ani słowem. Gdyśmy dotarli do krzaków, za którymi z szumem płynęła Soła, zatrzymaliśmy się nad jej brzegiem. *Jaś* oderwał swój numer obozowy i wrzucił go do rzeki. To samo uczyniłem ze swoimi spodniami-pasiakami, podobnie pozbył się pasiaka *Tomek*.

Należało teraz przedostać się na drugą stronę Soły, wpław lub innym sposobem. Zanurzyłem rękę w wodzie. Była lodowato zimna. Przewidując, że w tej lodowatej wodzie może ktoś z nas dostać skurczu mięśni i utonąć, doszliśmy do wniosku, że przepłynięcie Soły jest niemożliwe. Nagle usłyszeliśmy kilka następujących po sobie strzałów karabinowych. Prawdopodobnie strzelali „nasi" esesmani z piekarni, chcąc w ten sposób zaalarmować wartownię główną. *Tomek* ostrzegł, że esesmani mogą strzelać rakietami, oświetlając teren, i w ten sposób dostrzeżono by nas. Najbezpieczniej więc będzie znajdować się w pobliżu zarośli. Strzały umilkły. Wokół panowała zupełna cisza, przerywana tylko spadającymi kroplami deszczu.

Zastanowiliśmy się chwilę, w jaki sposób przedostać się przez rzekę. W tym momencie dostrzegliśmy pociąg, który zbliżał się w kierunku Soły, nad którą staliśmy. W pociągu widać było gdzieniegdzie palące się światła. Wyraźnie widzieliśmy, że pociąg przejechał przez rzekę. W pobliżu był więc most kolejowy. Jeszcze w obozie byliśmy poinformowani, że most na Sole znajduje się na terenie miasta Oświęcimia, ale próba przejścia przez ten most naraziłaby nas na zetknięcie się z patrolami *SS*. W obecnej więc sytuacji najlepszym wyjściem wydawał się nam most kolejowy. Mimo wątpliwości, czy i na nim nie ma wartowników, udaliśmy się w jego kierunku. Szliśmy jeden za drugim w odległości wzrokowej, bardzo małej z powodu ciemności. Cały czas padał drobny deszcz. Kapelusz, który miałem na głowie, był na mnie za mały. Gdy niespodzianie wpadłem w jakiś dół i przewróciłem się, spadł mi niespostrzeżenie z głowy i potoczył się w kierunku Soły. O odszukaniu go nie było mowy z powodu ciemności i pośpiechu. Poprzedniego dnia ogolono mi głowę w obozie, toteż teraz bez kapelusza odczuwałem dotkliwe zimno, zwłaszcza na deszczu.

Idąc w pobliżu zarośli do mostu, postanowiliśmy przejść przez niego, a w razie potrzeby napaść na wartownika. W pobliżu dostrzegliśmy jego budkę, pomalowaną w pasy biało-czarno-czerwone, a w odległości około 200 metrów od budki widać było przyćmione światło, a więc prawdopodobnie znajdowała się tam wartownia. Podczołgaliśmy się jak najbliżej budki, zdecydowani na wszystko; postanowiliśmy czekać na odpowiedni moment, aby się rzucić na wartownika. Tak leżeliśmy kilka mi-

nut. Z budki nie dochodziły żadne odgłosy, toteż należało przypuszczać, że jest pusta. Stwierdził to za chwilę *Jaś*. Możliwe, że wartownik znajdował się po drugiej stronie mostu lub też gdzieś odszedł.

Szybkim krokiem szliśmy przez most w odległości jeden od drugiego około 2 metrów, *Jaś*, *Tomek* i ja na końcu. Nie doszliśmy do końca mostu, lecz po znalezieniu się na wysokości drugiego brzegu postanowiliśmy zejść w dół po przęśle mostu, licząc się z tym, że u wylotu mostu mógł się znajdować wartownik. Po zejściu w dół zetknąłem się z ziemią.

Szybko oddaliliśmy się od mostu, brnąc w rozmokłej ziemi i co chwilę zapadając się w grząskie błoto. Po dłuższej chwili Sołę i most pozostawiliśmy daleko za sobą. Czułem się już wówczas trochę bezpieczniej, bo obóz pozostawiliśmy teraz po przeciwnej stronie rzeki.

Kierowaliśmy się na wschód. Przewodnictwo marszu objął *Tomek*. Droga była bardzo uciążliwa. Szliśmy bowiem na przełaj przez pola, które o tej porze roku bywają zwykle bardzo rozmokłe i lgnące. W czasie naszej wędrówki szczególnie uciążliwa była właśnie ta błotnista, grząska, rozmokła ziemia, którą podsycał stale padający deszcz. Marsz po tym błotnym polu kosztował nas naprawdę dużo wysiłku fizycznego. Ale świadomość, że idziemy już jako wolni ludzie, dodawała nam sił.

Znajdowaliśmy się w pobliżu podobozu oświęcimskiego w Monowicach *(Bunawerke)*. Nocy tej, gdy patrzyłem na *Bunę*, wydawało mi się, że to jest nasz centralny obóz i że wracamy do niego, zamiast się stamtąd oddalać coraz bardziej.

Oświetlony obóz *Bunawerke* wyglądał w nocy bardzo groźnie. W jego pobliżu było pokopanych mnóstwo rowów, przeważnie bardzo głębokich. Przeprawianie się przez te rowy sprawiało nam sporo trudności. Opóźniało to nasz marsz i przeszkadzało w drodze do lasu, do którego powinniśmy dotrzeć przed świtem, aby się w nim ukryć w ciągu dnia.

Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że w dzień wyślą za nami pościg. Jak wspomniałem, najbliższy las znajdował się w odległości 15 km od Oświęcimia. Wytężaliśmy wszystkie siły, aby przyspieszać kroku.

Nic nie mieliśmy do jedzenia. Był wprawdzie projekt, aby z piekarni zabrać trochę chleba, ale o tym w ostatniej chwili zupełnie zapomnieliśmy. Ja tylko miałem w kieszeni swej wiatrówki trochę aptecznego, krystalicznego cukru. Od czasu do czasu połykałem po jednym kryształku, co natychmiast wzmacniało moje siły. Po jakimś dwugodzinnym marszu doszliśmy do rzeki, którą, według określenia *Jasia*, miała być Wisła.

W tym rejonie rzeka ta miała dość skalisty brzeg. Przez pewien czas szliśmy jej brzegiem w kierunku wschodu. Wędrówka ta trwała prawdopodobnie około godziny. Zaczynało świtać, a do lasu jeszcześmy nie dotarli. Deszcz przestał padać. Coraz bardziej było widno. Wydawało się nam, że za przeciwnym brzegiem jest las. Ale w takich wypadkach można się pomylić, tym bardziej że chmury widoczne na horyzoncie stwarzają obraz podobny do lasu. Szliśmy jeszcze jakiś czas, wpatrując się w dal po drugiej stronie rzeki.

Tomek miał jakiś preparat (wydaje mi się, że terpentynę), przeznaczony do zacierania śladów przed psami policyjnymi. Cały czas przy jego pomocy zacierał ślady. Środek ten dostarczył mu *Witek Kosztowny*, więzień pracujący w laboratorium bloku nr 28.

Szliśmy brzegiem Wisły, szukając jakiejś łodzi. Trwało to jeszcze około pół godziny. Natrafiliśmy na upragnioną łódkę, ale była ona przykuta łańcuchem do pala. W oddali widać było zabudowania chłopskie. Dochodziło do nas głośne szczekanie psa. Zbliżyliśmy się do łódki, pełnej wody po całonocnym deszczu. Obok leżała pogięta puszka po marmoladzie. *Jaś* podszedł do łódki, stwierdził jednak, że trzeba mieć klucz aby ją odczepić. W pewnym momencie wydobył z kieszeni klucz, którym otwierano drzwi piekarni. Klucz ten pasował i do tej kłódki. „Na razie wszystko jak w bajce" — odezwał się *Tomek*. *Jaś* otworzył łódkę. *Tomek* puszką po marmoladzie wylewał wodę, ale nieskutecznie, bo puszka była dziurawa. Zaraz odbiliśmy od brzegu. *Jaś*, najsilniejszy z nas, wiosłował. Na 3 metry przed przeciwnym brzegiem łódka ugrzęzła na mieliźnie. Musieliśmy wysiąść do wody i zanurzeni po pas dosłownie resztkami sił wydostaliśmy się na brzeg. Pokrzepiliśmy się kryształkami cukru i pomaszerowaliśmy w stronę lasu, odległego już tylko o 1 km.

Jaś wydobył z kieszeni jakąś damską różnokolorową chustkę, którą owinąłem łysinę. Koledzy zauważyli, że wyglądam jak jakaś bardzo zmęczona niewiasta w narciarskich spodniach.

W momencie, gdy wchodziliśmy do lasu, *Jaś* zdjął czapkę i zawołał: „No, mam zaszczyt powitać panów w wolnym lesie", po czym serdecznie ucałował się z *Tomkiem* i ze mną. Był to pierwszy, szczęśliwie zrealizowany etap naszej ucieczki.

WŁADYSŁAW SALWA („MAZUR") Kraków

Wspomnienia rannego partyzanta

Z okresu partyzanckiego wypada wspomnieć przede wszystkim o tych przeżyciach, które się łączą z tematyką lekarską. Nie sposób też pominąć okoliczności, które kiedyś towarzyszyły doli partyzanckiej, gdy zachodziła potrzeba „lizania się z ran", leczenia odmrożonych kończyn czy innych niedomagań.

Opieka lekarska wyglądała więc wówczas całkiem inaczej niż w warunkach normalnych, ponieważ leczenie się wymagało opuszczenia oddziału na jakiś czas i pozostania na łasce dobrych ludzi. Narażało to zarówno ich, jak i rannego lub chorego partyzanta na niebezpieczeństwa grożące za ukrywanie go, a także groziła śmierć w razie zetknięcia się z Niemcami.

Brak lekarzy i środków leczniczych dopełniał goryczy leczącego się. Medycyna ludowa, będąca sztuką w rękach „babek" wiejskich, ziołolecznictwo, leczenie psim smalcem, to środki często stosowane w tamtych czasach. Korzystanie z opieki lekarza było w zasadzie praktykowane najczęściej w wypadkach ciężkich zranień. Ruchliwe oddziały partyzanckie wyjątkowo miały w swych ugrupowaniach lekarzy, czy nawet doświadczonych sanitariuszy. „Spalony" lekarz, kwaterując w jakiejś „melinie", był bardziej pożyteczny dla ogółu ludzi i różnych ugrupowań partyzanckich niż w wypadku bezpośredniego włączenia się do leśnego oddziału [1].

Istniały przeto ścisłe kontakty z lekarzami konspiracyjnymi, którzy praktykowali w miasteczkach i na wsiach i którzy byli w razie potrzeby dowożeni do miejsc, gdzie ciężko ranny przebywał. Jak wiadomo, sprowadzenie takiego lekarza musiało się odbywać wedle wszelkich zasad konspiracji, a więc najczęściej pod osłoną nocy, ponieważ po tzw. godzinie policyjnej dnia następnego dany lekarz musiał się znaleźć na miejscu w pracy. Śledzenie pracy lekarzy dawało Niemcom niejednokrotnie argument do posądzeń o współpracę z „bandytami polskimi". Podejrzenia takie kończyły się najczęściej aresztowaniem.

Na przykładzie własnych przeżyć pragnę nakreślić obraz losu rannego podczas okupacji, opieki lekarskiej i pielęgniarskiej nad partyzantem.

Był dzień 21 czerwca 1944 roku, ostatni dzień mej walki z Niemcami w oddziale „Wybranieckich" AK, w Górach Świętokrzyskich. Oddział przygotowywał się do następnej akcji partyzanckiej i w tym celu podciągnął w okolice Chmielnika do wsi Pożogi. Piękna, czerwcowa pogoda r. 1944 sprzyjała partyzanckiemu nastrojowi. Wyczuwało się jednak wśród zawsze żywych i wesołych kolegów atmosferę nieco „wisielczą", jak zawsze przed zaplanowaną wcześniej akcją czy walką. Nikt wszakże nie zapominał o tym, że należy uzupełnić uzbrojenie, wyczyścić mundur i broń. Rozmowy i żarty przeplatały się ze sporami o jakość osobistego uzbrojenia. Każdy chciał mieć broń maszynową (przeważnie „steny" polskie lub niemieckie „M. P."), dużo granatów i oczywiście broń krótką. Wiedzieliśmy, że wartość bojowa każdego partyzanta sprawdzi się w walce, w której wiele zależy od uzbrojenia, jak również od odpowiedniego zaplanowania. Akcje bojowe przygotowywane przez nas podlegały skrupulatnym rozważaniom i nieraz poprzedzało się je długą i żmudną pracą wywiadowczą.

Piękne kieleckie lasy i dobrzy ludzie tej ziemi stwarzały swoistą oprawę charakterystycznego nastroju partyzantów, przygotowujących się do walki. Tamtejsi mieszkańcy przeżywali go także, ponieważ ich synowie i córki również walczyli, jeśli nie w oddziałach „Wybranieckich", to w innych. Nie czuliśmy w tej atmosferze wyobcowania. Prosta ludność przeżywała razem z nami wspólne klęski i powodzenia. Nie żałowała swym partyzantom ostatniej kromki chleba, dobrej rady, ostrzeżenia. Wiedziała, że rozstając się z nami, niektórych z nas nie będzie już oglądać. Nigdy też nie pytano, co się stało. Była to nasza wspólna sprawa i wspólny ból. Łzy i radość — to typowe cechy nastroju dzielnych ludzi z Kielecczyzny. Pieśnią partyzancką „Rozszumiały się wierzby płaczące..." żegnano mieszkańców, opuszczając siedziby wiejskie. Obraz pożegnania był podobny, jak w pamiętnym wrześniu 1939 roku: zakryte, spłakane twarze kobiet i dziewcząt, stoicki spokój mężczyzn.

Mój nastrój w opisanym dniu był odmienny niż zwykle. Przeczucie trudnej walki mieszało się z wewnętrznym przekonaniem (które wcześniej nigdy mi nie towarzyszyło w podobnych sytuacjach), że mogę zostać ranny. Nie był to lęk przed śmiercią, do której partyzanci byli przygotowani, ale obawa takiego zranienia, które spowoduje niezdolność do dalszej walki, do bezpiecznego wymknięcia się Niemcom, do samodzielnego poruszania się. Ranny stawał się obciążeniem dla kolegów, a wzięty do niewoli mógł „wygadać się" jeszcze przed swą śmiercią. Nie chciałbym znaleźć się żywy w rękach wroga — myślałem — gdyby zaszła tak tragiczna dla mnie sytuacja. Dlatego jak nigdy dawniej, dozbrajałem się jak mogłem. Ładownice pełne amunicji, za pasem granaty polskie i angielskie; nawet w górnych kieszeniach munduru umieściłem granaty; *parabellum* zawiesiłem u jednego boku, a *vis* u drugiego.

[1] Autor zwraca tutaj uwagę na bardzo istotną przyczynę stosunkowo niewielkiej liczby ściśle lekarskich wspomnień z partyzantki w publikacjach powojennych (przyp. red.).

Dlaczego się tak obciążam? — myślałem i znajdowałem wytłumaczenie w dziwnym przeczuciu „czegoś". „Przecież nie będziesz się mógł ruszać" — zwracali uwagę inni. Wiedziałem, że mają rację, ale przekonanie, że może zębami będę musiał wyciągać granat z kieszeni lub że w razie zranienia jednej ręki drugą będę musiał dokonać ostatniego użytku z broni krótkiej, dyktowało mi takie, a nie inne postępowanie. Walka do ostatka z wrogiem i w razie konieczności przywołania śmierci w sytuacji bez wyjścia — były wewnętrznym nakazem, przed którym nie uciekał żaden partyzant z oddziału „Wybranieckich".

Deszczowa noc i wysokie zboża sprzyjały naszym ruchom ku wyznaczonemu celowi. Oddział nasz z różnych stron zbliżał się do natarcia na Chmielnik. Wraz z jednym plutonem znalazłem się na szosie prowadzącej z Buska do Chmielnika w pobliżu miasteczka. O ściśle oznaczonej godzinie zostały przecięte połączenia telefoniczne z Chmielnikiem. Pozakładaliśmy zapory na drogach, okopaliśmy stanowiska ogniowe — i czekamy. Główne siły oddziału dokonują swego zadania w samym miasteczku. My czekamy na wroga, który ewentualnie mógł się ukazać od strony Buska. Zaległa zupełna cisza, tylko odgłosy ruchów naszego transportu dochodzą do nas z miasteczka. Czas się dłuży. Chciałoby się, by to wszystko miało już swój koniec. Czemu nie otrzymujemy od *„Barabasza"* rozkazu o zakończeniu akcji? Spodziewamy się, że przy przedłużeniu się operacji Niemcy z Buska udzielą pomocy swoim oddziałom. Naszym zadaniem jest zatrzymać wroga i nie dopuścić na tyły operujących głównych sił „Wybranieckich".

Godzina pierwsza. Nagle nad horyzontem od strony Buska pojawiły się znane nam światła reflektorów samochodów niemieckich. W plutonie naszym zapanowało ożywienie. Każdy gorączkowo sprawdzał swe zabezpieczenie i broń. Kolumna samochodów szybko się zbliżała. Jeszcze jedna chwila, a już są w zasięgu naszego ognia. Gasną reflektory. Tumult, krzyk, wołanie niemieckie, wybuchy granatów, ogień, jasność od wzbijających się rakiet niemieckich. Prowadzący kolumnę wóz pancerny tylko na chwilę cofa się pod naszym ogniem karabinów maszynowych i „piatów", grzęźnie gdzieś w polu i w zbożach, znika nam z oczu. Reszta kolumny zatrzymana w zgrzytach hamulców. Niemcy rozbiegają się po polach, strzelają bez ładu. W świetle ognia karabinów maszynowych i rakiet dostrzegamy porzucone i wywrócone samochody. Wóz pancerny zdołał przedostać się przez nasz ogień i polami skierował się do miasteczka, gdzie napotykając na przeszkodę ogniową *„Matrosa"* został unieszkodliwiony.

Niemcy, ostrzeliwując w nieładzie i z daleka nasze pozycje, wcale nie zbliżali się ku nam. Nie zdradzali ochoty do bezpośredniego zaatakowania niezłanego im przeciwnika. Wtem rakieta od *„Barabasza"* dała sygnał zakończenia akcji i wycofania się; w myśl rozkazu mamy wycofywać się w taki sposób, aby stanowić straż tylną oddziału. Przerywany ogień Niemców nie przeszkadza nam w zbiórce plutonu. Wycofujemy się skokami. Czynię to i ja. Unoszę się z pozycji leżącej, próbuję wstać i nagle słyszę odgłos krótkiej serii karabinu maszynowego. Nagłe i silne uderzenie w lewe udo zwala mnie, czuję ciepło w nogawicy spodni, chcę wstać, lecz nie mogę i nie mam się czym podeprzeć; jeszcze jedna próba i następne kończą się takim samym efektem. Zrozumiałem, że jestem ranny. Wołać nie wolno, bo przy wycofywaniu się obowiązuje zupełna cisza. Czuję, że i ruchy prawą ręką są mniej sprawne, podobnie jak ruchy prawej nogi. Wiem, że otrzymałem kilka pocisków. Partyzantów ze swojego plutonu nie widzę. Zupełna ciemność. Nie krzyczę, bo wróg blisko. Ostatkiem sił wyciągam granaty zza pasa i układam przed sobą na ziemi, odbezpieczam *visa* i czekam... Jestem coraz słabszy, lecz nadal przytomny.

Swoich ani Niemców nie widzę i nie słyszę. Nagle dochodzą mnie jakieś szmery i wolne ruchy od strony, gdzie nie mógłbym się jeszcze spodziewać Niemców. Słyszę też ciche wołanie mego pseudonimu; odpowiadam cicho, cichutko. W ustach suchość, w głowie szum. Brak siły do ruchu ręką. Już nic nie wiem...

Przytomność odzyskuję po bliżej nie określonym czasie. Widzę, że czterech kolegów niesie mnie na rozłożonym płaszczu. Chcę pić, pić... Obowiązuje nadal zachowanie ciszy, tym bardziej że już dnieje, a Niemcy są za nami w pościgu. Polnymi drogami dążymy do lasu, kryjemy się w nim. Trudno jest oddalić się szybkim marszem od ścigających Niemców, gdy w plutonie jest dwóch rannych. Dowódca plutonu zarządza postój w lesie w pełnym pogotowiu bojowym.

Po kilku godzinach udało się nam nawiązać łączność z placówką miejscowego oddziału AK. Sprowadzono akuszerkę w celu dokonania pierwszych opatrunków rannym. Bandażuje mi ona prawą rękę i nogę. Jednak z lewą nogą ma poważne trudności, choćby z tego powodu, że znajduje się ona pod plecami. Tłumaczy, że rana jest duża i że musi tu coś zdziałać lekarz; ona nie jest w stanie nic zrobić. Nawet nie porusza tej nogi. Twierdzi, że znaczne skrzepy i strzępy spodni lepiej zostawić zaschnięte i nie odrywać. Bólu nie czuję. Lewa noga jest tylko bardzo ciężka i odrętwiała. Proszę o wyjaśnienie, czy nie mam rozerwanej jamy brzusznej, a to dlatego, że czuję pieczenie i ból w tym miejscu. Wszystko jest dobrze; to krew i skrzepy oraz rozległe wyrwanie mięśni tak dawało znać o sobie.

Zbliża się wieczór. Pluton po nawiązaniu łączności przygotowuje się do odmarszu. Ruchy Niemców po drogach znacznie zmalały; ryzyko transportu rannego też jest mniejsze. Dostarczono wóz chłopski i oddział zaczął powoli posuwać się w głąb lasów. Późną nocą doszliśmy do celu, tj. do wsi zaszytej w górach, Huty Szklanej.

Mój wygląd musiał być przerażający. Koledzy z innych plutonów podchodzili do wozu,

na którym leżałem i w milczeniu odchodzili. Sprowadzono księdza, który czynił nade mną swoje powinności. Wiedziałem, że pewnie trzeba umrzeć, lecz śmierć szybko nie przychodziła. Przeniesiono mnie do chaty i ułożono ostrożnie na posłaniu ze słomy, na podłodze. Mówi się, że pojechali po chirurga. Rzeczywiście, po kilku godzinach sprowadzono z Kielc dr *Józefa Kalisza*, znanego chirurga i ordynatora szpitala w Kielcach. Słyszałem, że były kłopoty z przywiezieniem go, bo przecież wszystko to działo się w nocy i przed godziną ósmą powinien on być w szpitalu na swoim posterunku.

Doktora *Kalisza* sprowadzili konni partyzanci między godz. 2 a 3 nad ranem. W izbie rozbłysły lampy naftowe. Lekarz ogląda rany, przygotowuje opatrunki, skalpele, nożyce itd. Każe dostarczyć deszczułki. Rozcina spodnie mojego munduru. Dwóch rosłych partyzantów trzyma mnie za ręce i głowę oraz za prawą nogę, tymczasem dr *Kalisz* stara się najpierw powoli zmienić pozycję zranionej nogi (na której cały czas leżałem), a następnie opierając się swą jedną nogą o moje krocze, w sposób silny i nagły prostuje ją. Nie czuję bólu. Noga jest odrętwiała. Znów wzmogło się krwawienie, szybko jednak opanowane uciskiem. Strzępy skóry i mięśni, wyrwanej kości zostały skrzętnie usunięte i wreszcie przybandażowano nogę do sztachety oderwanej z płotu. „Masz szczęście, chłopie — mówi doktor — wyrwało ci kawał nogi, ale naczynia główne zostały". Z wielkości rany i jej charakteru wywnioskowano, że Niemcy strzelali do nas z kul *dum-dum*. Po tych pierwszych oględzinach lekarskich zostałem przeniesiony do innych chat w pobliżu naszego obozu leśnego na Widełkach, później w Cisowej, a wreszcie w okolicy Daleszczyc. Opiekowali się mną chłopi, którzy czuli swą przynależność do organizacji podziemnej.

Przez jakiś czas mój stan musiał być bardzo zły, ponieważ z tego okresu nic nie pamiętam. Cuchnąca woń ropy przebijającej się przez opatrunki oraz robaki pełzające po mizernej pościeli wskazywały na proces gnilny, który wywołał odrazę u mnie samego. Nie byłem zdolny do żadnego działania i nie pozostawało mi nic, jak czekać. Od czasu do czasu przychodził ktoś i dawał mi jakiś zastrzyk, ktoś zmieniał opatrunki — i to wszystko.

Pamiętam jednak jaśniejszą chwilę z tego czasu. Mianowicie któregoś dnia przebudziłem się i spostrzegłem, że bandaże i koszulę mam z radzieckiego spadochronu. Gospodyni i moja opiekunka, współpracująca z nami *Żarnowska* wyjaśniła, że to z oddziału majora *Maksa (Józef Sobiesiak*, były dowódca brygady „Grunwald", obecnie generał). Polscy partyzanci z AL przyszli odwiedzić rannego akowca i pozostawili do jego dyspozycji spadochron, lekarstwa i opatrunki.

Przez okres pierwszych dwóch miesięcy właściwie nie było żadnego leczenia poza zmianą opatrunków. Ale i to przecież było bardzo wiele, jeśli się zważy, że z powodu nasilonych ruchów wojsk niemieckich podówczas wszelkie kontakty partyzanckie były jeszcze bardziej utrudnione. Znad Wisły zbliżała się ofensywa wojsk radzieckich. Niemcy zajmowali kwatery w poszczególnych wioskach, spychając nas, partyzantów, do leśnych kryjówek. Moja sytuacja stawała się też coraz bardziej przykra. Stale mnie gdzieś przenoszono, ukrywano. Leżałem po nocach i we dnie pod przykryciem z gałęzi, to znów w jakichś dołach... Wreszcie znalazłem się w leśniczówce koło Daleszczyc. Znów sprowadzono lekarza, założono opatrunki i sporządzono wyciąg plastrowy, nie na długo wszakże, gdyż po dwóch dniach wybuchła we wsi strzelanina z Niemcami, a mnie znów, wbrew zasadom postępowania lekarskiego, musiano zanieść do lasu i ukryć w poszyciu.

Tego rodzaju perypetie ciągnęły się aż do listopada 1944 roku, kiedy to po przygotowaniu fikcyjnych dowodów osobistych i fałszywych świadectw rzekomego wypadku spowodowanego maszyną rolniczą zostałem przetransportowany „na własne ryzyko" do szpitala w Kielcach. Tu się mną zaopiekował wspomniany już dr *Józef Kalisz* oraz dr *Edward Latała*.

W marcu 1945 roku opuściłem szpital. Była już wolność.

Rzeźba ceramiczna z cyklu „Oświęcim". „Muzułmanin". Wykonał *Zygmunt Flin*, były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 108060

MARIAN KICIARSKI („JUR") Olkusz

Olkusz pod okupacją hitlerowską

Wspomnienia lekarza

W Olkuszu, mieście powiatowym, odległym niecałe 50 km od Krakowa, już w dniu 1 września 1939 roku we wczesnych godzinach rannych nalot samolotów hitlerowskich zasygnalizował mieszkańcom inwazję niemiecką. Nieprzyjacielscy lotnicy strzelali z maszynowej broni pokładowej do ludności olkuskiej na ulicach i drogach, a także do przejeżdżających przez Olkusz pociągów z cywilnymi pasażerami. Fakty te, jak również zwożenie licznych rannych do szpitala, zestrzelenie jednego z samolotów krążących nad Olkuszem i bezpośrednie zetknięcie się z butnym lotnikiem niemieckim przekonały mieszkańców, że napaść przez odwiecznego wroga stała się rzeczywistością i walka z nim nie będzie łatwa.

3 września ewakuowano z Olkusza władze powiatowe. Znaczna część ludności opuściła swoje domy i rozpoczęła tragiczną wędrówkę na wschód. Następnego dnia stare, królewskie miasto Olkusz znalazło się w szponach hitlerowskiego najeźdźcy.

W pierwszych tygodniach swoich rządów okupacyjne władze niemieckie w Olkuszu usiłowały zachować pozory; wzywały do utrzymania spokoju i do powrotu do warsztatów pracy, zapewniając, że nikogo nie spotka krzywda. Mimo to zaczęły się aresztowania pod byle jakim pozorem, a uwijający się po mieście esesmani bili ludzi gumowymi „bykowcami", w czym celował zwłaszcza niejaki *Paterman, SS-sturmbannführer,* w czarnym mundurze i z biczyskiem w ręku, postrach Olkusza aż do r. 1941, specjalista od maltretowania Żydów. Codziennie kilku lub kilkunastu sprowadzał do swojej kwatery, ustawiał twarzą do ściany z podniesionymi w górę rękami i wśród wyzwisk bił swe ofiary do krwi. Leczyć tych ludzi musiało się „dyskretnie", bez możności jakiejkolwiek interwencji.

Strzelano też do ludzi, jak do zajęcy, ale gdy pewnego dnia żandarm zastrzelił w biały dzień uciekającą przed nim młodą dziewczynę, dziecko jeszcze prawie, co wywołało ogólne poruszenie i oburzenie, żandarma z Olkusza przeniesiono, a strzelanie do ludzi stało się wyjątkowe. Wydarzenie to opisał wierszem były dyrektor liceum w Olkuszu, a następnie dyrektor Biura PAN w Krakowie, mgr *Józef Fijałek.*

Już w pierwszych miesiącach okupacji zaczęło się kierowanie masowo aresztowanych do obozów koncentracyjnych. Jednym z pierwszych, o którego „naturalnej śmierci" w obozie rychło Olkusz „urzędowo" powiadomiono, był młody i energiczny profesor *Ryś,* przedwojenny działacz lewicowy. Wrócili, między innymi, ale z nadszarpniętym zdrowiem, dr med. *J. Łapiński,* mec. *J. Kański,* prof. mgr *J. Czura,* byli urzędnicy olkuskiego starostwa *Głowacki* i *Podworski.* Wrócił też, ale dopiero po wojnie, dr med. *M. Głuszecki.*

W pierwszych tygodniach okupacji powstał w Olkuszu tzw. *Arbeitsamt,* który kilkanaście tysięcy, a może i więcej ludzi z powiatu olkuskiego wysłał do Niemiec na roboty przymusowe. Wielu „zakwalifikowanych" udało się nam, lekarzom, od tego wyjazdu uratować; był to nasz codzienny trud przez cały okres okupacji.

W grudniu 1939 r. powiat olkuski podzielono na dwie części; część zachodnią włączono do Śląska, a więc do *„Reichu"*, a część wschodnią z miastem Wolbromiem do Generalnego Gubernatorstwa. Granica między *Reichem* a *Generalgouvernement* biegła w odległości 3 km od Olkusza. W wyjątkowych wypadkach ludność z podzielonych części powiatu mogła otrzymywać zezwolenie, „przepustkę", na przekroczenie granicy, np. rolnicy, chorzy kierowani do szpitala w Olkuszu itp. Granica ta, ostro strzeżona, odegrała dużą rolę w życiu okupacyjnym Olkusza; przemycanie do Gubernatorstwa ludzi „spalonych" w Rzeszy, uciekających z przymusowych robót i z obozów niemieckich, z obozów jenieckich itp. oraz częste potyczki oddziałów partyzanckich z Niemcami — to wszystko trzymało ludność w stałym napięciu i niepokoju. Zabitych i rannych na granicy ludzi kierowano do Szpitala Powiatowego w Olkuszu, a aresztowanych tam umieszczano w więzieniach olkuskich, skąd wywożono ich z zasady do obozów koncentracyjnych.

Społeczeństwo olkuskie stosunkowo szybko otrząsnęło się z oszołomienia i wstrząsu i instynktownie poczęło się bronić; znikły przedwojenne osobiste animozje, a także różnice społeczne i polityczne, znikł też całkowicie sztuczny, w ostatnich latach przed wojną zaszczepiony antysemityzm. Motorem tego zespolenia całego społeczeństwa prócz zrozumianej potrzeby samoobrony były niewątpliwie tradycje naszych walk niepodległościowych i rewolucyjnych. Nieobojętna też stawała się potrzeba zemsty, stale zwiększająca się w miarę doznawanych krzywd, upokorzeń i coraz częstszych i dotkliwszych represji. Postępowanie ogółu, a przede wszystkim inteligencji, począł coraz bardziej cechować pewnego rodzaju „wallenrodyzm"; zrozumiano, że wobec nieludzkiego, a silnego i bezwzględnego najeźdźcy, wobec groźby całkowitej zagłady narodu trzeba „stać się lisem", aby przetrwać i aby w odpowiednim czasie „stać się lwem" i siłą usunąć wroga z ojczyzny. Poczytność „Konrada Wallenroda" już

An

Dr. Kiciarski

in Olkusz

Krankenhaus

Ryc. 1. Pierwsze wezwanie dr *M. Kiciarskiego* na *gestapo* (11 lipca 1941 r.)

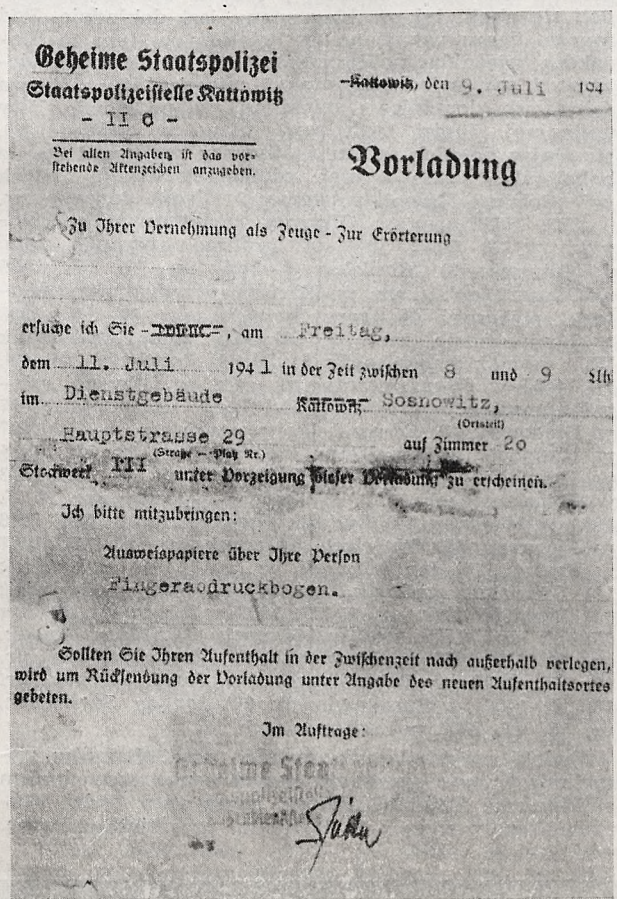

Geheime Staatspolizei
Staatspolizeistelle Kattowitz
- II C -

Kattowitz, den 9. Juli 194

Bei allen Angaben ist das vorstehende Aktenzeichen anzugeben.

Vorladung

Zu Ihrer Vernehmung als Zeuge - Zur Erörterung

ersuche ich Sie -, am Freitag,

dem 11. Juli 1941 in der Zeit zwischen 8 und 9 Uhr

im Dienstgebäude Kattowitz, Sosnowitz, (Ortsteil)

Hauptstrasse 29 (Straße – Platz Nr.) auf Zimmer 20

Stockwerk III unter Vorzeigung dieser Vorladung zu erscheinen.

Ich bitte mitzubringen:

Ausweispapiere über Ihre Person

Fingerabdruckbogen.

Sollten Sie Ihren Aufenthalt in der Zwischenzeit nach außerhalb verlegen, wird um Rücksendung der Vorladung unter Angabe des neuen Aufenthaltsortes gebeten.

Im Auftrage:

Ryc. 2. Druga strona wezwania

w pierwszych tygodniach okupacji była wyjątkowo duża.

Ale nie łatwo było w czasie okupacji „być lisem" i „uprawiać" wallenrodyzm! W tym czasie, kiedy postrachem Olkusza był jeszcze esesowiec *Patermann*, pojawił się w Olkuszu osobnik, również odziany w czarny mundur esesmana, z dużym rewolwerem u boku. Nazwisko miał polskie, kończące się na „ski". Pracował jako tłumacz policyjny „*Schupo*" i policji kryminalnej „*Kripo*". Wszyscy omijali go z daleka, ze strachem. Przekonaliśmy się jednak wkrótce, że nie było powodu do obawy. Osobiście stwierdziłem to, gdy mnie wezwano na policję do zbadania grupy kobiet aresztowanych na granicy. W czasie ich badania przeze mnie odbywało się równocześnie przesłuchiwanie aresztowanych. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że zeznania aresztantek są przez tłumacza odpowiednio przeinaczane, korzystnie dla zeznających. Gdy popatrzyłem na tłumacza, spotkałem się z dziwnym i jakimś smutnym spojrzeniem jego oczu. W jakiś czas potem tłumacz został nagle aresztowany i osadzony w areszcie olkuskim. Okazało się, że był Żydem, magistrem farmacji, który na podstawie fałszywych dokumentów jako *Reichsdeutsch* został zatrudniony w policji. Ponieważ funkcjonariusze *Schupo* i *Kripo* za jego pośrednictwem brali łapówki itp., ułatwiono mu ucieczkę z aresztu. Pochodził on prawdopodobnie z Będzina. Występował jako *Zygmunt Kiedrowski* (prawdziwe nazwisko: *Jakub Landsman*). Po ucieczce z więzienia olkuskiego pracował w urzędzie generalnego gubernatora *Franka* w Krakowie, gdzie jednak został zdemaskowany jako członek wywiadu polskiego podziemia i następnie bez sądu stracony.

Na duchu podtrzymywała ludzi nie tylko sama wiara, że Niemcy muszą wojnę przegrać. Mówiło o tym radio londyńskie, a potem i radzieckie, przekonywała o tym prasa podziemna i członkowie ruchu oporu, przekonywał mundur partyzantów i wiadomości o walkach staczanych przez nich z Niemcami, a później niemiecka klęska pod Stalingradem.

„Centralą prasową" w okręgu olkuskim był Wolbrom. Aparaty radiowe zakonspirowane były między innymi w Ośrodku Zdrowia i w Kasie Chorych w Olkuszu. O walkach partyzanckich w okręgu olkuskim, których było sporo, pisał i pisze na życzenie MON były komendant grupy operacyjnej AK, mjr „*Hardy*" (*Gerard Woźnica*).

Jakie wrażenie w czasie okupacji wywierał mundur polski, stwierdziła na sobie moja żona. W lecie 1943 roku udała się ona do znajomych nad granicą. Traf chciał, że dom otoczony został przez grupę „*Hardego*". Żona o żadnych moich kontaktach z konspiracją nie wiedziała, zbyt niebezpieczne bowiem byłoby zwierzanie się o swej przynależności do podziemia. Legitymując domowników, „*Hardy*" po usłyszeniu jej nazwiska spojrzał na nią jakoś dziwnie i stał się mniej służbowy. Po załatwieniu pewnych spraw „intendenckich" z gospodarzem domu „*Hardy*" wraz ze swoją grupą znikł w pobliskim lesie. Oficer polski, na pięknym koniu, na czele dużego, około 200 ludzi liczącego oddziału wojska w polskich, przedwojennych mundurach, w czasie, gdy od dawna widziało się tylko mundury nieprzyjacielskie, mógł zrobić i zrobił wrażenie. Gdy żona z entuzjazmem o tym incydencie po powrocie do domu opowiadała, z trudem powstrzymałem się od zdradzenia jej, że jestem podkomendnym „*Hardego*". Wkrótce coraz częściej stwierdzałem braki w mojej apteczce; jak się okazało, żona w tajemnicy przede mną poczęła zaopatrywać w leki i opatrunki pobliskie oddziały partyzanckie.

Z wydarzeń, które szczególnie wstrząsnęły Olkuszem, ale i zahartowały do walki z Niem-

Ryc. 3. „Krwawa środa" w Olkuszu

cami, były wydarzenia z lipca 1940 roku. Wydarzenia te w relacji złożonej po wyzwoleniu władzom opisałem następująco:

„W nocy z 15 na 16 lipca 1940 r., około godziny 23, wezwany zostałem telefonicznie przez posterunek policji niemieckiej w Olkuszu do willi dr med. *Juliana Łapińskiego*, przebywającego od 21 maja 1940 roku w Dachau. Oświadczono mi, że w willi ranny został policjant niemiecki. Zanim zdołałem się ubrać, wpadł do mieszkania zdenerwowany policjant niemiecki. Ponaglony uderzeniami kolby karabinu w plecy, wśród obelg pod adresem moim, Olkusza i wszystkich Polaków (*polnische Schweine* itd.), biegiem znalazłem się na miejscu wypadku. Zastałem tam już dyżurnego lekarza ze szpitala, absolwenta medycyny *Rzadkowskiego*, oraz policję i żandarmerię. Postrzelony policjant, niejaki *Ernest Kaddatz* z Liepenhagen, leżał na wznak na podłodze w kałuży krwi.

Oględziny lekarskie wykazały wlot kuli w okolicy rękojeści mostka, a z rany wylotowej między łopatkami wyciekała krew. Denat nie żył już, z czym nie chcieli pogodzić się policjanci i żandarmeria, domagając się ratowania go. Tymczasem przybyli na miejsce wypadku i inni lekarze olkuscy, między innymi dr *Wacław Kallista*, dr *Marian Auerhan-Głuszecki* oraz felczer szpitalny *Władysław Woźniak*. Przybyli też niemieccy dostojnicy partyjni i administracyjni z ówczesnym *landratem Grollem* na czele (dr *Heinrich Groll, Diplom-Bücherrevisor beim Landsfinanzamt Karlsruhe als Vertreter in Steuersachen amtlich zugelassen*, urodzony 5 marca 1902 r. w Bretten, powiat Karlsruhe, zam. w Pforzheim, Durlacherstr. 26). *Groll* był wypadkiem bardzo przejęty. Pytał o nasze lekarskie zdanie co do odległości, z jakiej oddano strzał, przyczynę śmierci itd. Wypytywał się obecnych o okoliczności, w jakich denat do domu się sprowadził itp. Z tych dochodzeń wynikało, że denat wprowadził się na jeden dzień przed wypadkiem do willi (w której od chwili aresztowania dra *Łapińskiego* mieszkały na pierwszym piętrze jedynie żona i dwie córki dr *Łapińskiego*) oraz że na kilka dni przed wypadkiem ktoś włamał się do niezamieszkałych pokoi na parterze, ale został spłoszony. Pamiętam najdokładniej, że *Groll* na podstawie powyższych okoliczności orzekł, iż niewątpliwie chodzi w tym wypadku o przypadkowe zabicie policjanta przez spłoszonego złodzieja, który o wprowadzeniu się policjanta mógł nie wiedzieć. Z wypowiedzi żony denata wynikało, że w pewnej chwili mąż jej, obudzony szmerem dochodzącym z sąsiedniego pokoju, usiadł na łóżku i w momencie tym otwarły się drzwi pokoju, w których stanął jakiś osobnik w ubraniu cywilnym. W chwili, gdy denat chciał sięgnąć po leżący pod poduszką rewolwer, ugodzony został kulą z rewolweru przez stojącego w drzwiach osobnika. Na krześle obok łóżka wisiał mundur policyjny denata, z czego wnioskować należy, że strzelający wiedział, iż strzela do policjanta niemieckiego. Strzelał więc w swojej obronie. Ponieważ policjant wprowadził się do willi dzień przedtem, złodziej nie przypuszczał, że ktoś na parterze willi będzie obecny. Okoliczności te zostały stwierdzone przez *Grolla*, który na tej podstawie oświadczył oficjalnie z wyraźną ulgą, że chodzi o przypadek, a nie, jak się wyraził, o jakiś mord polityczny. Odczuwało się, że *Groll* oświadczenie to złożył niejako oficjalnie dlatego przede wszystkim, by jako *landrat* nie spotkał się z zarzutem, że na jego terenie wydarzył się mord polityczny. Dokonana w kilka dni później przez lekarza powiatowego niemieckiego z Chrzanowa sekcja wykazała, że kula rozerwała aortę i że śmierć była natychmiastowa.

Społeczeństwo olkuskie, przerażone wypadkiem, znając represje w analogicznych wypadkach stosowane gdzie indziej, uspokoiło się, dowiedziawszy się o okolicznościach, w jakich zabójstwo nastąpiło.

Niestety, już następnego dnia po wypadku, po południu, przyjechało do Olkusza gestapo i *SS* w liczbie kilkuset ludzi, zwołano na rynek wszystkich olkuskich Niemców (napływowi urzędnicy), skąd udano się pod dom dr *Łapińskiego*. Z opowiadania mieszkańców Olkusza i okolicy, którzy z daleka przyglądali się akcji, jej przebieg znany jest dokładnie. Pod murem domu ustawiono 20 Polaków, w tym 15 Ślązaków, więźniów politycznych z więzienia mysłowickiego i sosnowieckiego oraz 5 mieszkańców Olkusza zabranych doraźnie z mieszkań na podstawie listy policyjnej. Ludzi tych rozstrzelano o godzinie 20, strzelając do nich salwami. Wszyscy zachowali się po bohatersku, kilku z nich zdołało krzyknąć: „Niech żyje Polska". Zginęli wówczas: 1) *Teofil Jurczyk*, ur. 9. XII. 1906, zam. w Olkuszu; 2) *Wawrzyniec Kulawik*, ur. 8. VIII. 1903 w Bydlinie, robotnik, zam. w Olkuszu; 3) *Stanisław Luboń*, ur. 13. IV. 1906 w Olkuszu, rob., zam. w Olkuszu, przedwojenny działacz społeczny; 4) *Jerzy Stroński*, ur. 22. IV. 1888 w Leningradzie, zam. w Olkuszu, emer. pułkownik WP, członek konspiracji; 5) *Józef Strzelecki*, ur. 26. III. 1904 w Olkuszu, fotograf, zam. w Olkuszu, członek konspiracji; 6) *Michał Baralyga*, ur. 9. VIII. 1917 w Stecowej; 7) *Edward Bujanowski*, ur. 4. X. 1897 w Lipinach; 8) *Stanisław Juraszek*, ur. 23. III. 1914 w Buczkowicach; 9) *Józef Kubica*, ur. 6. II. 1883 w Buczkowicach; 10) *Władysław Kubica*, ur. 13. I. 1911 w Mecznej; 11) *Ludwik Kwaśny*, ur. 6. XII 1918 w Mecznej; 12) *Wojciech Laszczak*, ur. 22. IV. 1887 w Bystrej; 13) *Jan Łukasek*, ur. 7. II. 1915 w Bystrej; 14) *Stanisław Łukasik*, ur. 15. I. 1913 w Czeladzi; 15) *Józef Madlak*, ur. 3. III. 1907 w Mecznej; 16) *Jan Nowak*, ur. 10. V. 1892 w Mecznej; 17) *Stefan Nowak*, ur. 10. VI. 1920 w Mecznej; 18) *Józef Pawlicki*, ur. 19. III. 1910 w Pabianicach; 19) *Józef Sternal*, ur. 12. II. 1906 w Buczkowicach; 20) *Ignacy Suchaczek*, ur. 12. VI. 1900 w Łodygowicach.

Zwłoki rozstrzelanych zostały przez Niemców natychmiast po egzekucji wywiezione samochodem w kierunku Trzebini. Złożyli je na auto Żydzi, których Niemcy wraz z 15 Polakami przywieźli ze sobą.

Ryc. 4. Dom dr *Juliana Łapińskiego*, spalony 17 lipca 1940 r. przez *gestapo* w Olkuszu. Obok, po prawej, część ściany domu, przy której rozstrzelano dwudziestu patriotów 16 lipca 1940 r.

Następnego dnia, tzn. 17 lipca 1940 roku zwołani zostali Niemcy ponownie pod willę dr *Łapińskiego*, dokąd przybyło też obecne w Olkuszu od poprzedniego dnia *gestapo* i *SS*. Trzech gestapowców (pochodzących prawdopodobnie z Wrocławia) podłożyło we wszystkich pokojach parterowych willi materiał palny i za pomocą bomb zapalających budynek podpalono. To samo zrobiono z oficyną. Oba budynki do wieczora spłonęły. .

Dnia 31 lipca 1940 roku, po północy, przyjechała do Olkusza ponownie ekspedycja karna złożona z gestapowców, *SS*, żandarmerii, policji niemieckiej i prawdopodobnie także żołnierzy *Wehrmachtu*, Od godziny 2 do rana wywlekano z domów wszystkich mężczyzn w wieku od 14 do 55 lat, w mieszkaniach zaś przeprowadzano rewizje, znęcając się nad kobietami i dziećmi. Miasto otoczono gęstym pierścieniem patroli, u wlotu i wylotu ulic ustawiono karabiny maszynowe. Wywleczeni z domów mężczyźni musieli stać długo twarzą do muru domów z rękami podniesionymi do góry, w końcu podzielono ich na kilka grup i zaprowadzono część na rynek, a resztę na place przy budynkach szkolnych i innych, gdzie kazano im leżeć bez ruchu twarzą do ziemi z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Wśród wyzwisk i obelg znęcano się nad wszystkimi w wszelki możliwy sposób, kopiąc, depcząc butami po głowach i plecach, bijąc nahajami i kolbami, urządzając „spacer na czworakach", tj. chodzenie na kolanach i łokciach itp. Najwyrafinowaniej dręczono nieszczęśliwych na tzw. Czarnej Górze, gdzie kazano im czołgać się i padać w znajdujące się tam bajora wody, maszerować w szyku wojskowym, przy czym na przodzie kazano nieść chorągiew polską znalezioną w tym dniu przy rewizji na strychu jednego z domów. Maszerującym kazano śpiewać polskie pieśni, bijąc równocześnie każdego kijami, kolbami i «bykowcami».

Jeden z maltretowanych, pracownik magistratu, *Tadeusz Lupa*, w wieku około 25 lat, znajdujący się w grupie na placu przy budynku Kasy Chorych, nie mogąc znieść tych tortur, próbował ratować się ucieczką. Zerwał się nagle z ziemi, lecz w momencie, gdy próbował przedostać się przez płot, otrzymał 8 kul karabinowych w brzuch. Nieszczęśliwy, wijąc się z bólu, zmarł na oczach oprawców i maltretowanych. Równocześnie Niemcy z jeszcze większą energią i systematycznością znęcali się nad Polakami.

Akcję zakończono około godziny 3 po południu. 12 ciężko skatowanych wywieziono do więzienia w Sosnowcu, kilkadziesiat ciężko pobitych zniosła na noszach względnie odprowadziła do domów rodzina.

W dniu tym, jak i w dniach następnych, wszyscy lekarze w Olkuszu zajęci byli udzielaniem pomocy lekarskiej pobitym. Wśród pobitych, których opatrywałem, wyjątkowo bestialsko zmasakrowany był Żyd olkuski, niejaki *Majer*, obywatel USA, o czym Niemcy wiedzieli.

Ofiara tych zajść był m. in. także olkuski proboszcz, ksiądz *Piotr Mączka*, który w dniu 10. VIII. 1940 r. zmarł.

Nazwisk przyjezdnych Niemców biorących udział w akcji nie zdołano ustalić. Z miejscowych Niemców byli obecni: *landrat Groll*, *orstgruppenleiter NSDAP* dr praw *Pokorny*, komendant *Schupo*, komendant żandarmerii, burmistrz *Rudolf Skaletz* (ze Stilerfeld, Śląsk). Ten ostatni odnosił się zawsze szczególnie wrogo do Polaków, a w czasie akcji okazywał głośno swoje zadowolenie. *Grollowi*, kierownikowi Kasy Chorych *Kriestowi* (ze Śląska Opolskiego) i *Pokornemu* udało się «wyreklamować» lekarzy i kilku Polaków urzędników".

Ryc. 5. „Komisja" gestapowska, przesłuchująca olkuszan w dniu „krwawej środy", tj. 31 lipca 1940 r.

Dzień 31 lipca 1940 roku nazwany został „olkuską krwawą środą".

Z wyjątkiem nielicznych hien i spekulantów mieszkańcy Olkusza, jak i całe społeczeństwo polskie w okupowanym kraju, myśleli tylko o tym, aby przetrwać. Tylko nieliczni robili świetne interesy z Niemcami w czasie, gdy w obozach codziennie ginęli tysiącami ludzie, gdy na frontach wojennych, w walkach partyzanckich i w więzieniach ginęli najlepsi. Hieny te i spekulanci, jakkolwiek wzbogacili się i w większości przeżyli wojnę, byli w czasie okupacji, jak i po wojnie, przez ogół społeczeństwa piętnowani. Mimo niewspółmiernie dużych represji ze strony Niemców, niektórych całkowicie aspołecznych i niebezpiecznych osobników musiano w czasie okupacji doraźnie karać, np. chłostą, lub nawet w wypadkach wyjątkowych wydawać wyroki śmierci. W samym Olkuszu skazano na śmierć i wykonano wyrok na kilku kolaborantach-konfidentach. Jeden z tych skazanych na śmierć konfidentów ocalał; raniony kulą rewolwerową przez wykonawcę wyroku, ale nie śmiertelnie, wyleczony został w „konspiracyjnym" szpitalu olkuskim, w którym wyrok uprzednio rozważano i zadecydowano. Zgodnie z obowiązującym powszechnie prawem zwyczajowym wykonania wyroku nie ponawiano.

Po złączeniu w r. 1943 szeregu organizacji konspiracyjnych, działających w powiecie olkuskim od pierwszych miesięcy okupacji, konspiracyjna służba zdrowia w powiecie podlegała Komendzie AK w Olkuszu. W skład Komendy wchodzili: śp. *Ambroży Homa*, *Henryk Wiktorowicz*, komendant grupy operacyjnej *Gerard Woźnica* — *„Hardy"*, zastępcy *„Hardego" Józef Mrówka* — *„Mat"* i *Kazimierz Kluczewski* — *„Pijok"*, intendent *W. Sacht* — *„Witold"* i inni oraz ja jako szef sanitarny. Ze względu na charakter służby zdrowia istniał stale bezpośredni kontakt także z innymi operującymi w terenie oddziałami partyzanckimi, np. z grupą *„Twardego"* w Miechowskiem, a także otrzymywano bezpośrednio rozkazy z Komendy Okręgu w Katowicach, której podlegała Komenda w Olkuszu. W skład Komendy Okręgu wchodzili: komendant płk dypl. *Zygmunt Janke* — *„Walter"*, mjr *Czesław Gałecki* — *„Paproć"*, mjr *Ewald Miguła* — *„Oracz"*, por. *Tadeusz Siara* — *„Góral"* i inni.

Jako lekarz powiatowy w Olkuszu od r. 1933 pracowałem we wszystkich prawie przedwojennych organizacjach społecznych i z natury rzeczy szybko „wchłonięty" zostałem przez konspirację, należąc formalnie lub też współpracując ze wszystkimi powstającymi kolejno w Olkuszu organizacjami konspiracyjnymi bez względu na ich zabarwienie polityczne czy spo-

łeczne. Często w czasie okupacji podkreślałem, że różnice ideologiczne itp. nie powinny nas dzielić, że sprawy sporne uzgodnimy po wojnie. Formalnie zaprzysiężony zostałem po raz pierwszy w dniu 10. III. 1940 r. przez śp. *Konrada Juszczyka* („Orzeł Biały") oraz ponownie w dniu 11. V. 1941 r. przez *Henryka Wiktorowicza* (Gwardia Ludowa PPS). Dzień 10. III. 1940 r. można uważać za datę powstania konspiracyjnej służby zdrowia w Olkuszu.

Działalność konspiracyjnej służby zdrowia skupiała się przede wszystkim w szpitalu, którego tymczasowe kierownictwo objąłem w dniu 21. V. 1940 r. W skład konspiracyjnej służby zdrowia wchodzili m. in. zawsze ofiarni i niezawodni ordynatorzy śp. dr *Zenon Modrzejewski* (chirurg) i śp. dr *Wacław Kallista* (ginekolog) oraz dr *Stanisław Rzadkowski* (asystent-chirurg), pielęgniarki: siostra *Zofia Duczmal, Alina Ścisłowska-Kerthowa, Katarzyna Wołek-Mitkowa, Alina Łaskawiec* i *Janina Miska-Słuszniakowa*, salowa *Stanisława Król*, urzędniczka izby przyjęć *Jadwiga Czapska*. Na terenie powiatu czynni byli: dr *Stanisław Kochmański* w Kluczach, dr *Michał Trzeciak* w Wolbromiu, śp. dr *Bolesław Penkala* w Skale, felczer *Stanisław Lipka* w Ogrodzieńcu i *Edward Nawara* w Gorenicach. W oddziałach partyzanckich pozostawali śp. *Zygmunt Niebrzydowski* (AL) i dr *Jan Nowak* (AK). Leki dla partyzantów dostarczano głównie ze szpitala olkuskiego i z apteki śp. mgr *Wojdackiego* w Olkuszu, przede wszystkim za pośrednictwem członków AK kpt. *Kazimierza Kluczewskiego, Józefa Lipy*, śp. *Piotra Wardęgi* i innych.

Na szczególne podkreślenie zasługuje rola dr *Mariana Głuszeckiego*. Był on jedynym lekarzem, który po ewakuacji Olkusza pozostał w mieście i sam jeden w pierwszych tygodniach okupacji obsługiwał ludność i szpital w Olkuszu. Jako doświadczony i dobry lekarz dzięki swemu wyjątkowemu taktowi i wielkiej kulturze osobistej, a także dzięki doskonałej znajomości języka niemieckiego (uczęszczał w czasie pierwszej wojny światowej do gimnazjum wiedeńskiego), był on przez władze administracyjne niemieckie bardzo szanowany i ceniony. Jakkolwiek nie należał formalnie do konspiracyjnej służby zdrowia, nigdy nie uchylał się, aż do swego aresztowania i osadzenia w obozie (Oświęcim), od żadnego świadczenia nawet najbardziej ryzykownego. Jemu też należy zawdzięczać, że stosunek administracyjnych władz okupacyjnych, przynajmniej w pierwszym okresie okupacji, nie był negatywny w stosunku do lekarzy. Ja osobiście, jako przedwojenny działacz społeczny, wiele mu mam do zawdzięczenia: potrafił moją działalność przedwojenną tak skomentować, że z pierwszych miejsc na liście „niebezpiecznych dla okupanta" ludzi znalazłem się na jednym z miejsc ostatnich.

W szpitalu olkuskim ukrywano prześladowanych przez Niemców działaczy społecznych, „spalonych" działaczy ze Śląska i z innych dzielnic Polski, partyzantów chorych i rannych, ściganych robotników, młodzież wysyłaną na roboty przymusowe do Niemiec. W szpitalu dokonywano różnych „ochronnych" operacji, a także fikcyjnych badań lekarskich itp. celem wprowadzenia Niemców w błąd, a to wszystko przy współudziale prawie całego personelu szpitala. Ukrywanych w szpitalu partyzantów bądź działaczy zaopatrywano często w odpowiednie dokumenty i kierowano za pośrednictwem łączników do Gubernatorstwa. Celowali w tym „szmuglowaniu" ludzi między innymi stary działacz PPS, *Jan Kocjan* i jego syn *Stanisław* ze Starego Olkusza. Niektórzy „pacjenci" przekraczali „nielegalnie" granicę na podstawie karty informacyjnej szpitala jako rekonwalescenci zamieszkali rzekomo we wsiach przygranicznych. Wielokrotnie personel szpitalny udzielał pomocy rannym partyzantom w terenie, a niektórych, z uwagi na specjalne okoliczności, leczono w chałupach wiejskich lub w zakonspirowanych mieszkaniach w Olkuszu.

Do czasu wysiedlenia Żydów z Olkusza szpital powiatowy współpracował wbrew zakazowi z zakonspirowanym w getcie szpitalem żydowskim (operacje, konsylia lekarskie, leki, materiały opatrunkowe i narzędzia lekarskie itp.).

Aresztowanych rannych i chorych umieszczali Niemcy w szpitalu pod dozorem żandarma lub *Schupo*. Z tymi mieliśmy najwięcej zmartwień. Jednych leczyliśmy możliwie długo, innym wymyślaliśmy jakieś operacje, jeszcze innym „fabrykowano" gorączki itd. O wielu aresztowanych Niemcy z czasem zapominali. Jeden np. z partyzantów (*Dąbek*) z postrzelonym przez karabin maszynowy udem nie tylko wyszedł po rocznym leczeniu wolny ze szpitala, ale też nie amputowano mu nogi, mimo że kość była wielokrotnie złamana i amputacja wydawała się konieczna; chirurg dr *Modrzejewski* zadecydował leczenie zachowawcze jako dłuższe. I jakoś się wszystko udało.

Niektórzy aresztowani musieli na rozkaz konspiracji uciekać ze szpitala. Robili to prawie zawsze za moją wiedzą i wtedy razem stwarzaliśmy jakieś pozory. Gdy w pewnym momencie zagrożono mi, że za ucieczkę taką będę osobiście odpowiedzialny, najbliższa ucieczka odbyła się bez mojej wiedzy; aresztowany, którego miano w najbliższych dniach wywieźć do więzienia w Mysłowicach, opuścił szpital przez bramę szpitalną, ale uprzednio, z własnej inicjatywy, aby mnie z kolei nie narazić na aresztowanie, przywiązał do okna ustępu gruby sznur, zwisający na dach sali operacyjnej. Nad ranem, gdy spostrzeżono ucieczkę, kierownik administracyjny szpitala, Niemiec, zawiadomił władze o ucieczce. Zwisający sznur sytuację jakoś uratował.

Celem uśpienia czujności władz niemieckich, okazania, że nasze zainteresowania są „rzeczowe", przeprowadzałem stale jakieś remonty budynków szpitalnych, a przy sposobności unowocześniono salę operacyjną, zaadaptowano przylegający do szpitala budynek po zlikwidowanej przez Niemców ochronce, zakupywano i instalowano, jakie się tylko dało kupić, sprzę-

ty i aparaturę. W tym „rozgardiaszu", w którym wielu robotników przewijało się stale przez szpital, łatwiej też było o kontakty konspiracyjne, zebrania różnych organizacji itp. W szpitalu „urzędowali" jako chorzy, długie miesiące i wieloletnie, działacze PPS i PPR (np. tow. *Stefan Krawczyk*, późniejszy starosta olkuski, tow. *Norbert Migielski*, po wojnie członek KP PPR w Olkuszu i inni).

W Olkuszu pracowało w czasie okupacji 5 lekarzy Kasy Chorych. Liczba zwolnień chorobowych, mimo ciągłych apeli niemieckich, była zawsze duża. W sierpniu 1943 roku wezwano nas do magistratu na „konferencję". Przybyłe gestapo oświadczyło nam krótko i węzłowato, że jeśli to się nie zmieni i nadal będziemy „zmniejszali" potencjał wojenny Niemiec, znajdziemy się tam, gdzie na pewno być nie chcemy. Niewiele to jednak pomogło; liczba zwolnień raczej zwiększała się, a najwięcej ich zawsze miała śp. dr med. *Maria Wajda*.

Nawet w gabinecie lekarskim trzeba było strzec się prowokatorów i konfidentów. Urządziłem się w pewnym momencie w ten sposób, że gdy rozmowa stawała się niebezpieczna, naciskałem dyskretnie znajdujący się na bocznej ścianie biurka dzwonek i wtedy zjawiała się w gabinecie pielęgniarka i tak długo krzątała się „służbowo", dopóki niepożądany rozmówca nie wyszedł. Gdy w poczekalni zjawiał się Niemiec albo zgłaszał swoją wizytę telefonicznie (obowiązywało przyjmowanie Niemców poza kolejką) wpuszczałem do gabinetu naraz wszystkich mężczyzn, a częściej jeszcze czekające kobiety; wtedy Niemiec albo rezygnował z „dokładnego", jak żądał, badania i poprzestawał na „doraźnej" poradzie, albo też zamawiano go do szpitala, gdzie zajmował stosunkowo mało czasu, gdyż na „długie" badanie i „gadanie" nie zezwalały zajęcia szpitalne, różne telefony itp.

Ta stała „walka" z Niemcami spędzała sen z oczu członkom konspiracji, lekarzom, pielęgniarkom i pozostałemu personelowi szpitalnemu. Z ulgą dowiadywano się rano, że nikogo nie aresztowano, że nie było jakiejś „wsypy": przez cały okres konspiracji ktoś z wtajemniczonych siedział w więzieniu lub w obozie, kogoś „szmuglowano" przez granicę, ktoś ukrywany był w szpitalu. Nigdy nie można było być całkowicie pewnym, czy znęcaniem się Niemcy nie „wydobędą" jakichś zeznań. W roku 1941 aresztowany i przesłuchiwany oficer Gwardii Ludowej PPS w Olkuszu *Żołądź — „Maria"* wyskoczył z okna budynku gestapo w Sosnowcu, ponosząc śmierć na miejscu; uczynił to z obawy, aby Niemcy w jakiś specjalny sposób nie wydobyli z niego katastrofalnych dla organizacji zeznań. Niebezpieczni też byli stale konfidenci, których liczba w Olkuszu, miejscowości „przygranicznej", była zawsze duża; w ostatnim roku okupacji, według danych wydobytych z „landratsamtu", było w Olkuszu, liczącym wówczas tylko 8 tysięcy mieszkańców, przeszło 100 konfidentów.

W ramach akcji „Burza" przygotowano zespół lekarsko-pielęgniarski, w skład którego weszli między innymi dr *Rzadkowski*, pielęgniarka *Ścisłowska* i ja. Zespół ten jako szpital polowy wyznaczony był do ewentualnego przyłączenia się do oddziałów bojowych, w wypadku otrzymania rozkazu współdziałania miejscowych grup partyzanckich z wkraczającą na teren Śląska Armią Czerwoną.

Z pozostałych różnych zapisów szpitalnych i notatek lekarskich zdołano ustalić małą tylko część osób, którymi w różnych okresach okupacji konspiracyjna służba zdrowia w Olkuszu opiekowała się bezpośrednio. Są to między innymi: 1) *Henryk Bobrzecki*, Olkusz (AK, zwolnienie z wyjazdu do Niemiec), 2) *Edward Czeladzki*, Olkusz (wyjazd do Niemiec), 3) *Filus*, Witeradów (PPR, groźba aresztowania), 4) *Zenon Fronik*, Olkusz (PPS, groźba aresztowania), 5) *Andrzej Gomulicki*, Olkusz (AK, groźba aresztowania), 6) *Andrzej Isakow*, Katowice, Batorego 8 (PPR, „spalony"), 7) *Ryszard Januszek*, Olkusz (wyjazd do Niemiec), 8) *Marian Kiciński*, Olkusz (aresztowany za ucieczkę z Niemiec), 9) *Weronika Kura*, Olkusz (Oświęcim), 10) *Maria Kordaszewska*, Olkusz (aresztowana), 11) *Teofil Kasprzyk*, Bobrek-Niwka k. Katowic (PPR, „spalony"), 12) *Mieczysław Kazibut*, Olkusz (AK, łącznik, partyzant), 13) *Stefan Krawczyk*, Olkusz (przewodn. KP PPS w Olkuszu, „spalony" w GG), 14) *Marian Królikowski*, Olkusz (AK, wyjazd do Niemiec), 15) *Antoni Majda*, Olkusz (wyjazd do Niemiec), 16) *Stefan Michalski*, Olewin (Oświęcim), 17) *Feliks Miluczenko*, Olkusz (partyzant, ranny), 18) *Norbert Migielski*, Olkusz (PPR, „podejrzany"), 19) *Zygmunt Michalski*, Olkusz (PPR, tajne nauczanie), 20) *Eufrozyna Maliszewska*, Olkusz (aresztowana), 21) *Maksymilian Manterys*, mgr farm., Rabsztyn (ucieczka z Oświęcimia), 22) *Józefa Maderska*, Olkusz (ucieczka z Niemiec), 23) *Stanisław Orkiszewski*, *Olkusz* (ucieczka z Niemiec), 24) *Stefania Piotrowska*, pielęgniarka, Olkusz (Oświęcim), 25) *Stanisław Szota*, Olkusz (PPS, „podejrzany"), 26) *Władysław Sośnierz*, Olkusz, Bór Biskupi (aresztowanie), 29) *Iwan Uszakow*, ZSRR (jeniec radziecki, ranny), 30) *Stanisław Wasiel*, Braciejówka (aresztowanie — AK?), 31) *Piotr Wardęga*, Olkusz (AK, łącznik, „podejrzany"), 32) *Stanisław Wójtkiewicz*, Strzemieszyce (PPR, „spalony"), 33) *Aldona Wiosna*, Katowice, Kopernika 12 (AK, „spalona" w Żywcu), 34) *Zofia Walczak*, Starczynów (wyjazd do Niemiec), 35) *Romuald Żurek*, Olkusz (wyjazd do Niemiec, aresztowanie) i inni.

Ludzi „przechowywanych" w szpitalu umieszczano najczęściej w prowadzonym przeze mnie oddziale zakaźnym, dokąd niechętnie przychodzili kontrolujący często szpital Niemcy, także i lekarze niemieccy. Odpowiednie „rozpoznanie" uzyskiwano przez posyłanie do Instytutu Higieny w Bytomiu krwi rzeczywiście chorych na dur, paratyfus lub czerwonkę. Wysyłaną krew oznaczano nazwiskiem rzekomego chorego. Kontrole były częste i denerwujące, wymagały zachowania zimnej krwi. Grało się *va banque*. Przeświadczeni byliśmy, że wcześniej lub później „wpadniemy", chodzi-

ło nam o to, by jak najwięcej mieć za sobą udanych wyczynów, żebyśmy z lżejszym sercem mogli ginąć, żebyśmy wiedzieli przynajmniej, że nie wykańczają nas za darmo.

I tak na przykład do leżącego na oddziale chirurgicznym radzieckiego partyzanta *Uszakowa*, rannego ciężko w obie nogi, przyjeżdżało dość często gestapo. Każde pojawienie się gestapa w szpitalu groziło „wsypą", albo też mogło być wynikiem jakiejś „wsypy". Niemożność transportu *Uszakowa* potrafiliśmy dotąd zawsze jakoś wytłumaczyć. Gdy w jesieni 1944 roku zgłosiło się po *Uszakowa* gestapo, wydawało się, że sytuacja jest tym razem nie do uratowania; stan jego był zupełnie dobry, *Uszakow* wyglądał dobrze i czerstwo. Mimo to zaryzykowaliśmy oświadczając Niemcom, że *Uszakow* ostatnio zachorował na zapalenie płuc, co jednak gestapowców nie bardzo przekonało. Wtedy dr *Modrzejewski* wyszedł jakby podenerwowany z gabinetu i wrócił za chwilę ze

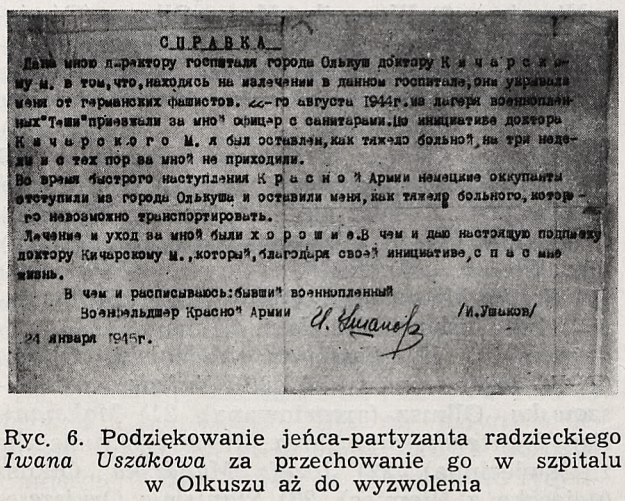

СПРАВКА

Дана мною д-ректору госпиталя города Олькуш доктору К и ч а р с к о м у м. в том, что, находясь на излечении в данном госпитале, они укрывали меня от германских фашистов. 22-го августа 1944г. из лагеря военнопленных "Тешь" привезли за мной офицер с санитарами. По инициативе доктора К и ч а р с к о г о М. я был оставлен, как тяжело больной, на три недели и с тех пор за мной не приходили.

Во время быстрого наступления К р а с н о й Армии немецкие оккупанты отступили из города Олькуш и оставили меня, как тяжело больного, которого невозможно транспортировать.

Лечение и уход за мной были х о р о ш и е. В чем и даю настоящую подписку доктору Кичарскому М., который, благодаря своей инициативе, с п а с мне жизнь.

В чем и расписываюсь: бывший военнопленный
Военный фельдшер Красной Армии /И.Ушаков/

24 января 1945г.

Ryc. 6. Podziękowanie jeńca-partyzanta radzieckiego *Iwana Uszakowa* za przechowanie go w szpitalu w Olkuszu aż do wyzwolenia

zdjęciem rentgenowskim jakiegoś chorego na gruźlicę. Z całą powagą pokazywaliśmy oficerom gestapo zmiany „zapalne" w płucach dowodząc, że transport *Uszakowa* jest w tym stanie bezwzględnie dla życia niebezpieczny. I tym razem jakoś udało się *Uszakowa* uratować. *Uszakow* doczekał się w szpitalu nadejścia wojsk radzieckich (20. I. 1945 r.). Gdy leżących w naszym szpitalu żołnierzy radzieckich, rannych w czasie walk o Olkusz, odwiedził w pierwszych zaraz dniach po wyzwoleniu generał radziecki wraz z komendantem naszej partyzantki, podziękowano nam wyjątkowo serdecznie za uratowanie *Uszakowa* i równocześnie także za opiekę nad partyzantami w czasie całej okupacji.

Innym razem lekarz powiatowy i jego zastępca z Będzina (jeden w mundurze *SA*, a drugi w mundurze *SS*) kazali przyprowadzić do gabinetu lekarskiego ukrywanego w szpitalu członka AK, specjalistę od sabotaży, podejrzanego przez Niemców o konspirację, a przyjętego przez nas do szpitala z fikcyjnym rozpoznaniem zapalenia nerek. Gdy badaniem fizykalnym zmian żadnych nie stwierdzono (był to człowiek dobrze zbudowany i odżywiony) i gdy wydawało się, że „wpadliśmy" na całego, lekarze „urzędowi" kazali przynieść do gabinetu mocz rzekomo chorego i odczynniki. Dr *Rzadkowski* udał się z badanym do laboratorium i do oddanego świeżo moczu wlał nieco krwi. Nie wiedząc o tym, *dr Modrzejewski* i ja z rezygnacją patrzyliśmy na wynik badania. Ku naszemu zdumieniu zobaczyliśmy obfity biały osad. *„No ja!"* powiedzieli Niemcy i poszli. Wieczorem, dla odprężenia, wypiliśmy za zdrowie kol. *Rzadkowskiego* kilka „głębszych".

Ta działalność szpitala i mój w niej udział nie mogły być przez Niemców zupełnie nie zauważone. W maju 1942 roku wezwano mnie na gestapo w Sosnowcu. Pojechałem z żoną i dziećmi. Mając niejedno „na sumieniu", pożegnałem się przed budynkiem gestapo z najbliższymi, przekonany, że z „przesłuchania" już nie wrócę. Oficer gestapo przyjął mnie bardzo grzecznie, potraktował papierosem i wszczął rozmowę o stosunkach w Olkuszu, a specjalnie o warunkach pracy w szpitalu. Gdy na zapytanie, co wiem o partyzantach, odpowiedziałem, że nic nigdy o partyzantach nie słyszałem, oficer nagle wstał z krzesła, wrzasnął: *„Sie sind ja deutschfeindlich!"*, uderzył mnie kilka razy w twarz, a gdy się na krześle zachwiałem, podtrzymał mnie i następnie, jak gdyby nigdy nic, oświadczył mi grzecznie i spokojnie, że muszę być jednak „czujny" i że na razie mogę iść do domu. Następne dwa przesłuchania na gestapo też nie bardzo były miłe, odbyły się jednak bez bicia.

Te „przesłuchania" i policzki przekonały mnie, że tak czy owak jestem przegrany i że obojętne jest właściwie, czy „nabroję" więcej lub mniej. Nie uchylałem się nadal przed takim czy innym konspiracyjnym zadaniem, sam wielokrotnie występowałem z inicjatywą, ale aż do końca wojny w każdym poczynaniu czułem słodki posmak zemsty.

W dniu 31. I. 1943 r. zwolniono mnie nagle ze szpitala i kierownictwo szpitala objął przysłany z Niemiec dr *Klinger, SS-obersturmführer*. Miałem być przeniesiony z Olkusza do Czechowic lub wysłany w głąb Niemiec jako *„politisch unzuverlässig"*. Tę korespondencję „urzędową" w mojej sprawie mam; po opuszczeniu przez Niemców Olkusza w styczniu 1945 roku władze starościńskie dały mi moje „personalne dokumenty okupacyjne" na pamiątkę. Dr *Klinger* kierował szpitalem ostro, ale tylko 4 tygodnie. W dniu 28 lutego jednak o godzinie 10 wezwano mnie do *„landratsamtu"* i oświadczono, że mam objąć ponownie tymczasowe kierownictwo szpitala, gdyż dr *Klinger* został telegraficznie wezwany na front. O godz. 5 po południu robiłem obchód szpitalny wśród uroczystej, niesamowitej dla mnie na salach chorych ciszy.

Nie zawsze z tej nierównej walki z okupantem służba zdrowia wychodziła zwycięsko. Szczególnie bolesna i tragiczna była walka o życie młodej Żydówki *Racheli Grünstein*. W relacji złożonej po wojnie władzom sprawa ta przedstawiała się następująco:

Dnia 2. VIII. 1944 r. przywieziona została do szpitala przez żandarmerię z Ogrodzieńca *Rachela Grünstein*, urodzona w Opatowie 25. XII. 1919 r., zam. w Opatowie. Wymieniona pracowała ostatnio w fabryce amunicji w Pionkach koło Radomia i uciekła z pociągu wiozącego ją do Oświęcimia. Przy przechodzeniu granicy została wielokrotnie raniona odłamkami granatu ręcznego i kulami karabinu maszynowego. Stwierdzono rozległe rany darte na całej kończynie dolnej lewej, ranę postrzałową dłoni prawej, złamanie obojczyka i obu kości przedramienia prawego. Jakkolwiek stan chorej wydawał się beznadziejny, leczona starannie (szczególnie ofiarnie i z narażeniem bezpieczeństwa osobistego pielęgnował chorą, zmieniał opatrunki itd. felczer *Władysław Woźniak)* chora czuła się z każdym dniem lepiej i zdaniem moim oraz chirurga dr *Modrzejewskiego* winna była wyzdrowieć. W dniu 7. VIII. 1944 r. rano dr *Buneman*, lekarz *SS*, z urzędu zdrowia w Będzinie, któremu Olkusz podlegał, polecił mi telefonicznie jako ówczesnemu kierownikowi szpitala Żydówkę otruć. Nie mogąc znaleźć innego wyjścia z sytuacji zawiadomiłem przez pielęgniarkę niemiecką, *Ernę Korn*, posterunek żandarmerii w Ogrodzieńcu, że chora nadaje się do dalszego transportu i że może być umieszczona w szpitalu więziennym. Następnego dnia dr *Buneman* przyjechał do szpitala i gdy się przekonał, że Żydówka żyje, polecił drugiej pielęgniarce niemieckiej, *Marii Modrow*, wstrzyknąć chorej dożylnie przyniesioną przez siebie morfinę w ilości 0,5/10 ml, a gdy *Modrow* do tego polecenia z różnych powodów nie zastosowała się, w dniu 9. VIII osobiście, w asyście *Modrow*, dożylnie wstrzyknął morfinę chorej, mówiąc jej przy tym, że chodzi o specjalne lekarstwo nasercowe. Po odejściu dr *Bunemana* i *Modrow* weszła na chwilę do separatki chorej pielęgniarka *A. Ścisłowska*, zorientowała się natychmiast, co się stało i wołając głośno: „otruli Żydówkę, otruli Żydówkę" pobiegła do dr *Modrzejewskiego* (ja w tym czasie byłem w szpitalu nieobecny). Po bezzwłocznym podaniu chorej odpowiedniej dawki atropiny przystąpiono do dalszego ratowania chorej. Stan chorej był ciężki i mimo przejściowej poprawy zmarła ona w dniu 16 sierpnia wśród objawów osłabienia krążenia i ropnego zapalenia płuc, co było niewątpliwie następstwem podania śmiertelnej dawki morfiny.

Dzień 9 sierpnia 1944 roku stał się dla mnie dniem wyjątkowo pamiętnym nie tylko z powodu „konfliktu" z *SS* w związku z otruciem Żydówki *Grünstein*, ale także z powodu sabotażu, do którego zostałem „wmieszany". Zgodnie z otrzymanym poleceniem wydałem w dniu tym jednemu z członków konspiracji zwolnienie chorobowe, mające stanowić w razie potrzeby jego „alibi". Ten rzekomo chory wchodził w skład grupy, która w nocy z 9 na 10 sierpnia wysadziła w Rabsztynie koło Olkusza pociąg niemiecki ze sprzętem wojennym. W nocy o godzinie 3 nad ranem zostałem wezwany wraz z kol. *Rzadkowskim* i kilku innymi pracownikami szpitala na miejsce wypadku. Widok wysadzonego mostu kolejowego, spiętrzonych i wykolejonych wagonów, niesamowity widok zwisających z wagonów między przęsłami mostu zwłok, jęki rannych, krzyki i przekleństwa Niemców oraz niepewność losu sabotażystów, to wszystko stanowiło duże przeżycie. Około 40 rannych, po udzieleniu pierwszej pomocy na miejscu, przewieziono do szpitala, gdzie z trudem zorganizowałem dla wszystkich jakieś tymczasowe pomieszczenie. Rannych przewieziono za kilka dni do szpitali wojskowych na Śląsku. Wydarzenie to odwróciło uwagę Niemców od sprawy otrutej Żydówki. Sam sabotaż kolejowy przeszedł jakoś bez represji; z wypowiedzi Niemców dowiedzieliśmy się, że dochodzenia miały rzekomo wykazać, iż sabotaż dokonany został przez spadochroniarzy radzieckich.

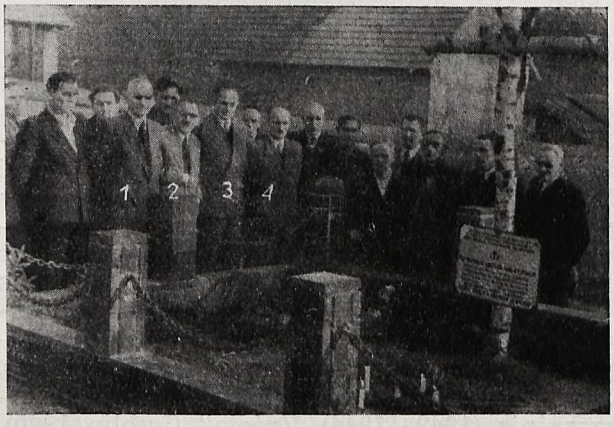

Ryc. 7. Grób Partyzantów na cmentarzu we wsi Chechło, w powiecie olkuskim. Stoją: 1. Kpt. *Kazimierz Kluczewski*, zastępca komendanta grupy partyzanckiej *„Hardego"*, 2. kpt. dr *Marian Kiciarski*, szef sanitarny grupy, 3. mjr *Gerard Woźnica („Hardy")*, 4. kpt. *Józef Mrówka*, zastępca komendanta grupy (oznaczeni cyframi na zdjęciu). Zdjęcie wykonano 1 listopada 1957 r.

W zimie 1943/44 roku wezwany zostałem do sabotażu kolejowego w Sławkowie koło Olkusza, gdzie zderzyły się ze sobą dwa pociągi ze sprzętem wojennym wskutek celowo wadliwie ustawionych zwrotnic. Po udzieleniu pierwszej pomocy rannych i zabitych zawieziono na Śląsk. Nie zaangażowany w tej akcji bezpośrednio, jakoś inaczej to wydarzenie przeżywałem. A może nie byłem jeszcze wtedy tak „nerwowy"?

Kiedy dzisiaj, w czerwcu 1966 roku, z perspektywy dwudziestu paru lat wracam wspomnieniami do tych mrocznych dni okupacyjnych, trudno mi uwierzyć, że to wszystko się przeżywało, trudno mi nawet wierzyć w zapiski i notatki z tych czasów pochodzące.

Trudno mi też uwierzyć, aby ludzkość mogła kiedykolwiek wybaczyć krzyżackim Niemcom ten ogrom krzywd, nieszczęść i cierpień, jakich nie tylko my, Polacy, doznaliśmy od nich.

JEREMIASZ SOWIAKOWSKI Szczecin

Okupacyjne wspomnienia z Janowa Lubelskiego

Janów Lubelski i powiat janowski położone były przed wojną w środku terytorium Polski, toteż na wypadek wojny była tam przewidziana ewakuacja władz centralnych. Ongiś Janów należał do dóbr ordynacji *Zamoyskich,* prawa miejskie otrzymał w r. 1640; w r. 1653 *Jan Zamoyski* nadał temu miastu nazwę Janów Ordynacki. Najbardziej zapisał się Janów na kartach historii w okresie drugiej wojny światowej, podczas której został zniszczony w 90%. W latach 1941—1943 znajdował się tam hitlerowski obóz pracy, znany między innymi z „Brygady śmierci", tj. relacji *Weliczkera* o zagładzie tego obozu. Warto dodać, że przed czterema laty *Penderecki,* autor słynnego oratorium *„Dies irae"*, skomponował utwór muzyczny inspirowany przez tę relację.

Między Janowem Lubelskim i Lipą rozciąga się obszar leśny, który również przeszedł do historii minionej wojny, mianowicie lasy janowskie i lipskie. Lasy te i sąsiadująca z nimi Puszcza Solska kryły dużą grupę partyzantów radzieckich i polskich. Na temat walk toczonych w tym rejonie istnieją już opublikowane relacje, między innymi „Walki partyzanckie w lasach lipskich, janowskich i Puszczy Solskiej" *W. Tuszyńskiego* (Warszawa 1954), „Lasy w ogniu" *W. Sulewskiego* (Warszawa 1962), „Gwardia Ludowa i Armia Ludowa na Lubelszczyźnie (1942—1944). Źródła" (Lublin 1960), „My ze spalonych wsi" *T. Szymańskiego,* a także różne artykuły rozproszone po czasopismach.

Do tych relacji pragnę dorzucić niektóre własne wspomnienia.

Z kampanii 1939 roku

Szpital janowski liczył przed wojną 75 łóżek etatowych; chorych było 90—100. W sierpniu 1939 roku starosta wezwał mnie z urlopu w celu przygotowania szpitala na 150 łóżek przez przekwaterowanie pracowników z budynków szpitalnych oraz celem zorganizowania drużyn ratowniczych w mieście. Byłem wówczas prezesem powiatowym PCK.

W ostatnich dniach sierpnia 1939 roku udało mi się sprowadzić rodzinę z wczasów w okolicy Zaleszczyk. 2 września stawiłem się moim samochodem (marki *chevrolet*) do poboru wojskowego w Lublinie. Jedyny mój samochód tej marki został zwolniony, abym mógł sprawnie poruszać się w czasie wojny i nieść pomoc ludności i władzom. Kraśnik należał do Janowa, Nisko nie miało szpitala, toteż zasięg szpitala janowskiego obejmował prawie cztery powiaty. Zaraz po wyjeździe z placu poborowego Niemcy zbombardowali miasto i plac.

4 września przywieziono do szpitala siedmiu rannych cywilów z Kraśnika, którzy padli ofiarą bombardowania dworca kolejowego. Pomocnicza służba zdrowia w mieście funkcjonowała należycie. Dziewczęta z drużyn ratowniczych PCK przygotowały około 200 opasek ze znakami czerwonego krzyża dla ratowników.

W tym dniu zaczęli nadciągać do Janowa uciekinierzy ze Śląska, z okolic Krakowa i Częstochowy. Ich liczba rosła z każdą godziną, toteż wszystkie drogi, osiedla i miasto były nimi zapełnione. Liczba chorych w szpitalu wzrastała równocześnie z przypływem ludności z zachodu.

W piątek 8 września odbywał się w Janowie odpust. Pogoda była przepiękna. Oprócz uciekinierów przybyły do miasta duże gromady ludzi z okolicznych wsi tak, że w mieście znajdowało się dwadzieścia kilka tysięcy osób. Około godziny 13 nadleciały niemieckie samoloty i obrzuciły całe miasto bombami. Na rynku znajdował się mały budynek z potrawami barowymi, zapełniony wtedy ludźmi. Bomba trafiła w domek. Z baru i z ludzi pozostały tylko szczątki, porozrzucane dookoła. Do szpitala zaczęto znosić setki rannych. System ratowniczy przestał działać. Nikt nawet nie gasił pożarów. Po upływie półtorej godziny nastąpiło drugie bombardowanie Janowa przez 44 samoloty bombowe, pomimo że w mieście nie było ani jednego żołnierza. Po tych dwóch bombardowaniach dostarczono do Szpitala około 1300 rannych. Około 350 osób było zabitych. Cała ludność zaczęła uciekać do lasów. Dopiero w nocy mieszkańcy powrócili i przystąpili do gaszenia pożarów.

W czasie bombardowania została spalona apteka miejska razem z lekami. W Szpitalu dużego zapasu leków nie było, bo nie nadeszło uzupełnienie. Cały wieczór i całą noc operowałem rannych przy świetle lampek bateryjnych. Lekarze szpitalni poszli do wojska, zostałem sam. Część rannych zmarła, pozostałych opatrzono. 9 września znów cała ludność miasta, obawiając się bombardowania, uciekła do lasu, a z nią również moi pracownicy ze Szpitala. Zostałem tylko ja, jedyny lekarz i trzy pielęgniarki.

Szpital miał konie robocze, które zwoziły żywność z okolicznych wsi. Mieszkańcy gminy Kawęczyn pomagali najwięcej w dożywianiu i w opatrywaniu rannych. W dzień moi pracownicy znowu uciekali do lasu, a na noc wracali i pomagali w opatrywaniu rannych. Liczba rannych rosła stale, gdyż wszystkie wsie i miasta położone wzdłuż dróg prowadzących do Janowa były przez Niemców bombardowane.

W Modliborzycach kilkadziesiąt osób schroniło się do murowanego domu. Bomba zabiła wszystkich. Ocalało tylko jedno niemowlę, które przywieziono do Szpitala. Lżej rannych odsyłano do wsi i na noc przychodzili do opatrunków. Umarłych chowano na cmentarzu prawosławnym.

Po bombardowaniu dokonanym 8 września władze powiatowe i miejskie przestały istnieć. Starosta *Henryk Banaszkiewicz* uciekł samochodem z rodziną na wschód i polecił intendentowi Szpitala ewakuować się razem z końmi szpitalnymi. Wskutek tego zostałem pozbawiony możliwości zaopatrywania rannych w żywność. Po pięciu dniach intendent wrócił razem z końmi, bo drogę na wschód przecięły już zagony niemieckie. W dzień konie ukrywano na wsi, a całą noc zwoziły żywność i zaopatrzenie do Szpitala, np. z Klemensowa przywieziono 500 kg cukru.

11 września Janów był szczególnie przepełniony ludnością uciekającą na wschód i policją z zachodu. Wszyscy zatrzymywali się przed Szpitalem, gdyż było to jedyne czynne miejsce, gdzie można było odpocząć, pożywić się, obmyć się i opatrzyć rany. W południe nadleciały dwa samoloty niemieckie i spuściły na oczach wszystkich dwóch spadochroniarzy tuż za miastem, przed Zofianką. Policjanci udali się tam natychmiast rowerami, chwycili spadochroniarzy i zastrzelili ich. Rowery oddali następnie mnie do dyspozycji Szpitala.

Do 13 września jako tako uporządkowałem Szpital. Liczba chorych wynosiła wtedy około 800 osób. Przez Janów przechodził polski szpital polowy, który zaopatrzył mnie w leki i środki opatrunkowe. Tego dnia całe miasto wypełnione już było wojskiem. Około południa nastąpiło ponowne bombardowanie Janowa i okolic. Znów do Szpitala zaczęto zwozić setki rannych, wojskowych i cywilnych. Przed bombardowaniem odebrałem od naszych wojsk trzech rannych jeńców niemieckich i umieściłem w Szpitalu. W mieście byli szpiedzy niemieccy, którzy szybko poinformowali o tym Niemców. To uchroniło Szpital od bombardowania, bo na budynkach szpitalnych nie było znaków czerwonego krzyża. Znając hitlerowskie metody prowadzenia wojny, można mniemać, że znaki te raczej prowokowałyby Niemców do bombardowania.

Od 10 września drogi z Lublina, Niska, Annopola i drogi polne były pełne wycofujących się oddziałów wojskowych i uciekinierów. Niemcy bombardowali wszystkie osiedla na tych drogach. Przez Janów przewalały się tłumy ludzi w kierunku Frampola, Biłgoraja i Zamościa.

15 września, gdy w mieście było pełno wojska, nadleciała w południe eskadra około 50 samolotów niemieckich i urządziła nową masakrę. Na polu koło parkanu szpitalnego odpoczywał duży oddział wojska polskiego i tam Niemcy rzucili 46 bomb. W szpitalu byli już niemieccy jeńcy wojenni i dlatego szpital uniknął znów bombardowania.

W czasie wrześniowej „wędrówki ludów" przejeżdżał przez Janów profesor UJ, dr *Stanisław Ciechanowski* z rodziną. Zatrzymał się u nas na odpoczynek. Dzieci zostały wykąpane i oczyszczone. Profesorowi przepłukałem pęcherz i zmieniłem opatrunek, bo miał założony cewnik przez brzuch. *Ciechanowscy* przenocowali i następnego dnia pojechali dalej. Przybył także z Krakowa mój kolega, lekarz, dr *Kurek* i pozostał w Szpitalu.

Jedynie Szpital tętnił zorganizowanym życiem, gdyż prawie cały Janów legł w gruzach i palił się kilkanaście dni. Wszyscy, którzy przechodzili przez miasto, wojskowi, cywile, a także mieszkańcy, zatrzymywali się w Szpitalu i w moim mieszkaniu, aby odpocząć, posilić się ciepłą strawą, oczyścić się, opatrzyć rany i zabrać żywność na drogę. Ludzie z okolicznych wsi zwozili żywność dniami i nocami, przy czym gmina Kawęczyn wciąż przodowała. Oboje z żoną oddaliśmy cały zapas pieniędzy, żywność, bieliznę i ubrania na zaopatrzenie uchodźców wypędzonych z domów.

Większość tych wygnańców, którzy wędrowali na wschód przez Janów, mniej więcej po 20 września wracała tędy na zachód. Tak samo wracał z rodziną prof. *Ciechanowski*. Tak był zmęczony wędrówką, że gdy tylko położył się u nas na tapczanie, pragnął już tak zakończyć życie i nie wędrować dalej.

Ci, którzy wracali do swoich miejsc zamieszkania, nie mieli dokumentów, bądź też ich dokumenty nie nadawały się do okazania okupantowi. Wobec tego zaopatrywałem ich wszystkich w zaświadczenia szpitalne. Pisałem: „ten i ten został przydzielony na czas wojny do pomocy w Szpitalu w Janowie i obecnie wraca w swoje strony". Dla tych, którzy wracali na zachód, dodawałem tłumaczenie niemieckie, dla innych, którzy udawali się na wschód, tłumaczenie rosyjskie. Takich zaświadczeń wydałem około 300. W czasie paniki, jeśli mieszkańcy miasta nie zdążyli uciec do lasu, przybywali do Szpitala, gdzie otrzymywali opaski czerwonego krzyża i byli przydzielani na oddziały. Roboty było dużo, bo rannych i chorych mieściło się tutaj do 4 października około tysiąca, toteż setki mieszkańców jako pomocników można było schronić na terenie Szpitala.

Po 20 września od wschodu weszły do Janowa wojska niemieckie. Zabrano ze Szpitala rannych Niemców. Zabrano także i mój samochód. Ranni Niemcy leżeli na oddziale kobiecym, jeden z nich na porodówce, gdzie leżały położnice, rodzące, księża i oficerowie. Wszystko było pomieszane, łóżko porodowe zabrane, a porody odbywały się bez powikłań. Strach i napięcie nerwowe pomagały rodzącym, a obecność Niemców i księży w sali działała uspokajająco.

Codziennie przechodziły przez miasto wojska niemieckie ze wschodu na zachód. 26 września zatrzymał się przed Szpitalem duży oddział niemiecki, w którym znajdowało się około 15 lekarzy niemieckich i tyluż lekarzy polskich, wziętych do niewoli. Lekarze polscy przybyli ze swoimi samochodami, najwięcej *oplami*, z którymi poszli na wojnę. Wszyscy lekarze, około 30 osób, przybyli do naszego mieszkania i urządzili kolację ze swoich produktów, myśmy bowiem nie mieli tyle żywności. Przyjęcie było prawie towarzyskie, gdyż lekarze niemieccy traktowali naszych, jak kolegów. Lekarze polscy w czasie kolacji opróżnili swoje samochody i oddali mi wszystko dla Szpitala:

leki, opatrunki, narzędzia, gazę, eter, a jeden z kolegów, major, dał mi 7 litrów spirytusu. 27 września rano wszyscy wyjechali.

Tego dnia padał deszcz. Do miasta przybyło bardzo dużo wojska. Cały teren Szpitala był zatłoczony wojskiem. Wieczorem przybyły nowe oddziały. Zajęto wszystkie okoliczne domy z piwnicami, gdyż miasto leżało w gruzach. Na ulicach było pełno trupów końskich i ludzkich oraz niszczony sprzęt wojskowy i motoryzacyjny. W Janowie i w okolicy wybuchła epidemia czerwonki. Cały oddział zakaźny Szpitala był zapełniony tymi chorymi. Mimo ostrzeżeń żołnierze niemieccy zakwaterowali się i na tym oddziale. Cały wieczór nadciągało wojsko, a deszcz, zimno i brak miejsca na kwaterach spowodowały, że żołnierze zaczęli pchać się do wszystkich pomieszczeń szpitalnych. Z tego powodu doszło do scysji ze mną tak, że jeden żołnierz niemiecki rzucił się na mnie z bagnetem, lecz stojący obok podoficer chwycił go za rękę i obezwładnił. Żadnych oficerów w pobliżu nie było, toteż sam broniłem Szpitala przed dewastacją do godziny około 23.30, kiedy zawezwano mnie na podwórze, bo niemieccy sanitariusze przywieźli kilkoma niemieckimi samochodami ciężarowymi nowy transport rannych żołnierzy polskich. Jeden z tych sanitariuszy, który prowadził transport, nie odjechał z powrotem, ale został w Szpitalu i pomagał w uporządkowaniu rannych. Sanitariusz ten bronił Szpitala przed natręctwem niemieckich żołdaków.

Rano, 28 września część wojsk niemieckich odeszła w kierunku Modliborzyc, a w mieście zostały nieliczne oddziały i polowy szpital weterynaryjny na placu naprzeciw starostwa. Od lekarzy z tych oddziałów otrzymałem zapas opatrunków i leków dla Szpitala. Dzień ten był ciepły i pogodny. Główna część Niemców ulokowała się w więzieniu. Do godziny 13 panował spokój. Po południu usłyszeliśmy strzelaninę w mieście i w okolicy. Na teren Szpitala wpadli żołnierze niemieccy. Rozbiegli się po okolicznych domach, sprowadzili wszystkich mężczyzn z domów, piwnic, zabudowań gospodarczych i zgromadzili ich w poczekalni szpitalnej. Zostałem tylko ja jako lekarz w białym fartuchu, którego nie zdejmowałem prawie nigdy, z kobietami i z dziećmi. 54 mężczyzn zebranych w poczekalni szpitalnej przeznaczono na rozstrzelanie, bo „mieszkańcy Janowa napadli na wojsko niemieckie". Strzelanina w mieście objęła teren na wschód aż do Krzemienia. Usłyszeliśmy również strzały armatnie. Pułkownik *Koc* zdobywał więzienie. Około godziny 17 zauważyłem walczących Niemców i naszych przed Szpitalem. Znajdowałem się wtedy w domu. Natychmiast udałem się do Szpitala i na korytarzu oddziału chirurgicznego spotkałem Niemców uciekających razem z zakładnikami w kierunku wschodnim i goniących ich polskich żołnierzy od strony miasta. Zatrzymałem Niemców, rozbroiłem ich, przecisnąłem się przez uciekających zakładników i rannych leżących na korytarzu i zatrzymałem naszych, którzy wpadli na korytarz z bronią gotową do strzału. Był to oficer i dwóch żołnierzy. W ten sposób uchroniłem Szpital od strzelaniny wewnątrz budynku.

Rozbrojonych Niemców oddałem naszym jako jeńców, zabraniając popełnić samosąd wewnątrz Szpitala. Oficer niemiecki uciekł na ulicę i tam został zastrzelony przed Szpitalem. Sanitariusza niemieckiego nie pozwoliłem zabrać. W obrębie Szpitala wszyscy obecni tam wojskowi niemieccy i polscy podporządkowywali się mnie i wykonywali moje polecenia. Wyjątkiem był żołnierz niemiecki, który — jak wspomniałem — rzucił się na mnie z bagnetem, gdyż nie pozwalałem zajmować pomieszczeń szpitalnych, aby uchronić je przed dewastacją.

Wieczorem 28 września załoga Janowa poddała się. Walka grupy pułkownika *T. Zieleniewskiego*, dowódcy 33 dywizji piechoty w kampanii wrześniowej, trwała na przestrzeni około 40 km, tj. od Dzwoli aż poza Polichnę. Od strony Krzemienia kawaleria polska pod dowództwem pułkownika *Fiałkowskiego* rozgromiła zmotoryzowane zgrupowanie niemieckie. Pułkownicy *Koc* i *Lechnicki* wpadli do miasta; *Koc* zdobywał więzienie, mając kilka dział, a *Lechnicki* walczył w mieście i został ciężko ranny. Jeden pocisk rozerwał mu lewą rękę, a drugi pocisk wpadł z tyłu pod lewą łopatkę i wylatując z przodu zniszczył klatkę piersiową w okolicy sutka. Walka na ulicach rozgorzała na białą broń. Obie strony poniosły duże straty. Zginęli wszyscy lekarze i personel pomocniczy szpitala weterynaryjnego. Pułkownika *Lechnickiego* w ciężkim stanie przyniesiono do Szpitala. Był on wiceministrem skarbu w rządzie sanacyjnym. Umieściłem go w moim gabinecie dyrektorskim. Wykonałem zabieg operacyjny, oczyściłem rany i opatrzyłem. Trzymałem go przy życiu przez pięć dni.

Wymieniona przestrzeń walk została oczyszczona od Niemców przez wojska polskie. Janów stanowił centrum odbitego terenu. Cały wieczór i całą noc przywożono do Szpitala rannych i ściągały do miasta rozproszone oddziały, biorące udział w walce. Przybyło dwudziestu kilku wojskowych lekarzy polskich. Otrzymali opaski i zostali przydzieleni na oddziały do pomocy w ratowaniu rannych. Był między nimi dr *Krawczyński*, dyrektor Szpitala w Sandomierzu. Zatrzymało się w Szpitalu również wielu oficerów, którzy także pomagali pracownikom szpitalnym i lekarzom. Wszyscy oddali broń. Szpitalny magazyn na ubrania został zamieniony na magazyn broni.

Jeden zawodowy podporucznik nie chciał na moje polecenie odpiąć pasa i oddać rewolweru, bo „przysięgał, że nigdy nie odda broni". Poprosiłem dwóch lekarzy, podpułkownika i majora, którzy w mojej obecności wyjaśnili mu, że „obecnie naszym zwierzchnikiem jest dr *Sowiakowski* i jemu mamy się podporządkować". Oficer zdjął pas i oddał mi go razem z rewolwerem. Otrzymał opaskę i został przydzielony na oddział jako sanitariusz.

W nocy, podczas kolacji w moim mieszkaniu oficerowie, upojeni zwycięstwem nad Niem-

cami, wznieśli toast „za wolną Rzeczpospolitą Janowską z głową państwa, dyrektorem *Sowiakowskim*", zapewne dlatego, że ja jeden nieprzerwanie urzędowałem. Był to weselszy moment, wyjątkowy w apokaliptycznym czasie wydarzeń wrześniowych w Janowie.

Dzień 29 września upłynął na zwożeniu rannych, toteż stan Szpitala przekroczył liczbę tysiąca osób. Na korytarzu oddziału chirurgicznego w czterech rzędach leżało 250 rannych. Praca odbywała się bardzo sprawnie, bo liczba lekarzy i pomocników była wystarczająca. W ciągu dnia konie szpitalne zwoziły żywność ze wsi, a mieszkańcy okolicznych wsi — z zawsze przodującą gminą Kawęczyn — przywozili prowiant, mleko, płótno i ubrania cywilne w celu przebrania żołnierzy i oficerów. W nocy z 29 na 30 września nikt nie spał. 30 września około godziny 11 przed południem przyjechały od strony Krzemienia dwa samochody radzieckie z dwoma oficerami w stopniu pułkownika i z trzema polskimi oficerami (dwóch pułkowników i jeden major). Przybyli oni do Szpitala, odwiedzili pułkownika *Lechnickiego* i zwrócili się do mnie, abym poczekał kilka godzin, a oni przyjadą ponownie, z transportem zaopatrzenia szpitalnego.

Dzień był pogodny i ciepły. Większość mieszkańców znajdowała się na ulicy. Mieszkańcy okolicznych domów, niektórzy lżej ranni i moja żona z dzieckiem przebywali na ulicy przed Szpitalem. Nagle około godziny 13 rozległy się strzały i usłyszeliśmy warkot samochodów. Wszyscy zaczęli uciekać do Szpitala, po czym ukazały się samochody, naprzód pancerne, za nimi ciężarowe z wojskiem niemieckim. Niemcy znowu zajęli Janów i dojechali aż do budynku sądu. Natychmiast otoczyli Szpital. Grupa żołnierzy z oficerami weszła do budynku chirurgicznego i trafiła wprost na mnie. Jeden z oficerów krzyknął do mnie: „*Hände hoch!*" i zapytał, kto jestem. Odpowiedziałem, że jestem dyrektorem Szpitala. Niemcy mieli broń gotową do strzału. Oficer dowodzący patrolem powiedział: „Tu są ukryci polscy żołnierze z bronią, którzy napadli na Niemców i wymordowali cały szpital weterynaryjny". Odpowiedziałem, że w Szpitalu nikt nie ma broni i są tylko ranni, chorzy i personel pielęgniarski. Oficer ten kazał mi iść do każdej sali, do każdego pomieszczenia, a Niemcy trzymając broń w rękach szli za mną i przeszukiwali każdy zakątek. Zaskoczyło i zdziwiło ich zameldowanie się w sali chorych niemieckiego żołnierza, zdrowego i wolnego. Zapytali go, jakim cudem się tutaj znajduje. Odpowiedział, że jest sanitariuszem, przywiózł rannych i dyrektor nie pozwolił go wziąć do niewoli. Na pytanie, czy są w Szpitalu żołnierze polscy z bronią, odparł: „*Ich gebe mein Kopf, dass kein polnischer Soldat mit Waffen ist*". Mimo wszystko Niemcy przeszukali ze mną cały Szpital i dopiero wtedy uspokoili się. Po raz drugi uratowałem więc Szpital od Niemców, zatrzymawszy sanitariusza niemieckiego. Pierwszy raz, jak opisałem, uratowali Szpital od bombardowania ranni niemieccy.

Po południu całe miasto było zajęte przez zmotoryzowany pułk niemiecki. Około 70 mężczyzn, mieszkańców Janowa, Niemcy zastrzelili z zemsty za akcję z 28 września. Po południu w naszym mieszkaniu zakwaterowali się lekarze pułku w liczbie czternastu. Każda kompania miała swego lekarza. Lekarzem naczelnym był *oberstabsarzt* dr *Benlau* z Monachium. Po obiedzie odprawił wszystkich lekarzy, a sam pozostał u nas na kwaterze. Jego matka, pisarka, napisała kilka książek. W jednej z nich broniła Żydów przed prześladowaniem. Tę książkę swojej matki znalazł w bibliotece mojej żony. Bardzo się wzruszył, gdyż nie był hitlerowcem. Zaprzyjaźnił się z nami. Był to specjalista pediatra.

Po ostatniej walce skierowano do Szpitala oprócz wojskowych również wielu rannych mieszkańców Janowa. Opatrując rannych, zauważyłem między nimi inspektora powiatowego *Strużaka* razem z synem. *Strużak* zwrócił się do mnie, abym ratował jego żonę z dziećmi i całą ludnością Janowa, która zebrana jest w dwóch miejscach i czeka na rozstrzelanie, jeśli padnie chociaż jeden strzał w mieście do Niemców. Jedna grupa mieszkańców, kobiety i dzieci, stoi koło budynku wydziału powiatowego z rękami podniesionymi do góry i zwrócona twarzą do ściany, a druga grupa znajduje się w okolicy elektrowni. Udałem się natychmiast do dr *Benlaua* i zapytałem, czy to prawda. Odpowiedział, że tak zarządził *oberst*, bo cywile napadli na wojsko niemieckie i razem z żołnierzami polskimi wymordowali cały szpital polowy, weterynaryjny. Odpowiedziałem, że to nieprawda. Ani jeden cywil nie brał udziału w walce. Walczyli żołnierze w ubraniach cywilnych i wszyscy mieli blaszki żołnierskie. Jako dowód przyniosłem mu ze Szpitala kilka blaszek żołnierskich od rannych żołnierzy w ubraniach cywilnych. Powiedział mi, że oni, tj. Niemcy także znaleźli przy zabitych cywilach blaszki żołnierskie. Na moją prośbę zebrał blaszki i udał się natychmiast do dowódcy. Wróciłem do Szpitala, ale zanim przyszedł do nas dr *Benlau*, już przybiegli zwolnieni mieszkańcy miasta do Szpitala razem ze *Strużakami*. Uwolnieni mieszkańcy nie poszli do domów, tylko schronili się w Szpitalu. Bali się prześladowania niemieckiego. Dr *Benlau* wrócił zadowolony i powiedział, że przekonał pułkownika i „*alle sind schon frei*".

Około godziny 19 przyszło kilku lekarzy niemieckich do dr *Benlaua* z raportem i zameldowali mu, że między sądem a Szpitalem znajdują się czołgi radzieckie. Wszyscy poszliśmy je oglądać. W wyniku zawiłych ruchów wojskowych na Lubelszczyźnie Janów był zajęty przez Niemców, cała okolica była pełna wojsk polskich, a od Krzemienia przybyły czołgi radzieckie. Po kilku godzinach postoju czołgi wróciły do Krzemienia.

W Szpitalu było bardzo dużo osób cywilnych i wojskowych z terenów wschodnich. Uciekinierzy ci wyrazili chęć powrotu na wschód, zajęty już przez wojska radzieckie. Wszystkim

im wypisywałem zaświadczenia w języku polskim, niemieckim i rosyjskim; oprócz mnie podpisywał dr *Benlau* jako wojskowy lekarz niemiecki. Osoby te opuściły Szpital i udały się na wschód. Większość przebywających w Szpitalu, a pochodzących z zachodu, została na miejscu. Tym, którzy zgłosili chęć powrotu na zachód, dr *Benlau* tak samo podpisywał wszystkie zaświadczenia. Na zaświadczeniach pisałem, że obywatel X został na czas wojny przydzielony do pracy w Szpitalu janowskim i obecnie wraca do swojego miejsca zamieszkania. Wypisywałem miejscowość docelową.

1 października wojska niemieckie opuściły Janów, a wojska radzieckie zajęły miasto. Piętnastokilometrowa strefa niezajęta mieściła się między Krzemieniem a Modliborzycami. Przez ten pas przechodziły oddziały polskie, jedne na północ, drugie na południe.

4 października wieczorem zajechała przed Szpital niemiecka kolumna samochodowa. Szpital został obstawiony karabinami maszynowymi i dowodzący oficer zawiadomił mnie, że Niemcy wycofują się za Wisłę, a Lubelszczyznę zajmują wojska radzieckie i kto chce z wojskowych i cywilnych, może wyjechać razem z oddziałami niemieckimi. Przeszliśmy po salach i zgłosiło się około trzysta osób do wyjazdu, w tym wszyscy lekarze. W Szpitalu pozostało przeszło czterystu rannych i chorych.

6 października Niemcy wrócili do Janowa. Następnego dnia przetransportowano przez miasto kilka tysięcy jeńców polskich z grupy operacyjnej „Polesie" generała *Franciszka Kleeberga*, ostatniej wielkiej jednostki, która najdłużej walczyła w kampanii wrześniowej. Przed naszym domem Niemcy urządzili postój oficerów-jeńców. W samochodach siedziało dwóch czy trzech generałów, którym nie wolno było z nich wychodzić. Z któregoś samochodu niespostrzeżenie wyszedł jeden pułkownik, wszedł do naszego mieszkania i powiedział żonie, że jest lwowianinem i nie chce iść do niewoli niemieckiej. Przebraliśmy go w moje ubranie cywilne, po czym przeprowadziłem go przez Szpital na drugi koniec ogrodu. Przez dziurę w ogrodzeniu wyszedł w kierunku miasta i uciekł. Przy wyjeździe Niemcy zorientowali się, przeszukali okolicę, ale on już był daleko.

Żołnierzy, podoficerów i niższych oficerów Niemcy prowadzili przez pole, obok ogrodzenia szpitalnego. Przez dziurę w płocie wyciągnęliśmy około pięćdziesięciu jeńców różnych stopni, których ukryłem w Szpitalu i którzy potem poszli do domu.

Z lat okupacji

W połowie października przyjechał do Janowa starosta niemiecki, nazwiskiem *Stressenreuter*. Przybył też oddział organizacji *Todta*, tj. służby pracy, rekrutowanej pod przymusem spośród ludności krajów podbitych. Zaczęły się „łapanki" do porządkowania miasta, a przy tym bicie i znieważanie mieszkańców. Znów Szpital stał się schronieniem, tym razem przed obławami. Ujawnili się *volksdeutsche*, o których nikt przedtem nie wiedział. Krawiec *R.* przypiął sobie opaskę ze swastyką i biegał z Niemcami, wyciągając z domu różne osoby i znęcał się nad nimi. Żona jednego z techników zamieszkała z szoferem starosty i jego kolegą, esesowcem *Müllerem*.

W listopadzie przybył do miasta na kwaterę batalion budowlany, a z nim lekarz, Niemiec pochodzenia polskiego, dr *Zakopielski*. Z polecenia władz niemieckich objął on nadzór nad Szpitalem. Bez jego zezwolenia nie wolno było wypisywać żadnego oficera. Każdy oficer miał być oddany do niewoli władzom jako jeniec. Później złagodzono rozkaz i wolno było wypisywać do domu podporuczników piechoty z podpisem lekarza niemieckiego. W Szpitalu byli ranni oficerowie lotnicy, czołgiści, saperzy, artylerzyści i inni różnych stopni. Wszystkich pouczyłem, aby się nie przyznawali do swoich stopni i podawali, że są podporucznikami piechoty. Na tej podstawie każdy został zwolniony do domu, uzyskując podpis dr *Zakopielskiego*.

Obserwacje lekarskie rannych wojennych z okresu kampanii wrześniowej, którzy leżeli w Szpitalu dłużej niż 10 dni, zebrałem i opisałem w pracy pt. „Zakażenie tężcem ran wojennych, nie leczonych zapobiegawczo surowicą przeciwtężcową". Zebrałem 3 025 przypadków. Praca ta została wygłoszona na zjeździe chirurgów w Krakowie w roku 1948 i opublikowana w „Polskim Przeglądzie Chirurgicznym" (1950, 6, str. 961—966).

W roku 1940 funkcjonowała już w pełni administracja powiatowa, tj. polska policja, niemiecka żandarmeria, więzienia, obóz karny, zarząd lasów, poczta i zarząd miejski. Na wiosnę uwięziono pierwszą grupę Polaków, wśród nich kapitana policji *Sierakowskiego*, oficera *Kurzawskiego* i innych. W maju przywieziono do Szpitala polskiego kapitana i jego syna, ciężko rannych. Po zabiegu operacyjnym ojca zabrano i rozstrzelano, a syna udało mi się przechować do czasu wyzwolenia. Nazywa się *Jerzy Trzankowski* i jest lekarzem na Śląsku.

W r. 1941 Niemcy przygotowywali najazd na ZSRR. Przez Janów w kwietniu, w maju i w czerwcu szły dzień i noc wojska niemieckie na wschód (VI armia). Szef sanitarny tej armii, generał lekarz i jego kolega, lekarz weterynarii złożyli mi wizytę, gdyż lekarz ten, dr *Schober*, referował moją pracę „Operacje serca" w Berlinie. Do Szpitala Niemcy sprowadzili sanitarkę, aby w razie potrzeby woziła chorych i rannych Niemców do Szpitala lub do Lublina. Gdy raz wysłałem tą sanitarką dziecko polskie do Lublina, starosta niemiecki chciał mnie zamknąć. Transport rannych Niemców do Szpitala uwolnił mnie od więzienia.

Jesienią 1941 roku Niemcy sprowadzili około 700 Żydów z Wiednia do Modliborzyc. Między nimi było czternastu lekarzy, w tym trzech profesorów wydziału medycznego w wiedeńskim uniwersytecie i lekarz nadworny cesa-

rzowej *Zyty Habsburg*, której odbierał wszystkie dzieci przy porodzie. Była także wśród nich siostrzenica kardynała austriackiego *Faulhabera*, której ojciec był Żydem. Co tydzień lekarze ci przyjeżdżali do nas na obiad i przywozili bardzo duże ilości sardynek i owoców południowych. Otrzymywali liczne paczki z całego świata. W roku 1942 wszystkich wywieziono i zgładzono. Z obozu w Kraśniku uwolniliśmy córkę drukarza *Kaminera*, jego zięcia *Gliksmana*, *Kaminerównę* z Biłgoraju i wysłaliśmy do Warszawy.

W r. 1942 działały już w lasach i we wsiach oddziały partyzanckie. Lekarzy szpitalnych w razie potrzeby delegowałem do rannych partyzantów, ale partyzanci musieli przychodzić i udawać publicznie, że siłą zabierają lekarza do lasu. Tylko pielęgniarka operacyjna *Jabłońska* wiedziała o tym.

Następnego roku oddziały partyzanckie zajęły lasy i przecięły drogę Zamość-Biłgoraj-Janów-Kraśnik, toteż Niemcy mogli tą drogą poruszać się tylko w większych kolumnach. Tegoż roku został zastrzelony przez *fortschutzów* (ochrona leśna) mój przedwojenny szofer, *Józio*. Każde zabranie lekarza do lasu było meldowane żandarmerii. Raz poszedł do lasu samodzielnie lekarz *Zarychta* bez mojego polecenia i bez meldowania. Niemcy schwytali rannych partyzantów i oni ujawnili lekarza. Dwóch gestapowców przyjechało z Lublina, aby go aresztować, ale przedtem wysłałem go do Lublina, a później, gdy przyjechali drugi raz, po ostrzeżeniu przez moją żonę uciekł ze Szpitala do lasu.

W czerwcu 1943 roku Niemcy „przeczesali" lasy janowskie i schwytali kilkaset osób. Kilkunastu ludzi przywieźli transportami na cmentarz prawosławny przed Szpitalem. W biały dzień zamordowali ich i zakopali w dołach. Z naszego mieszkania widzieliśmy tę scenę. Był u nas wtedy nasz przyjaciel inż. *Zdzisław Wilusz*. Widok ten tak nim wstrząsnął, że na drugi dzień inżynier poszedł do partyzantki. Jako przedwojenny oficer najpierw był dowódcą kompanii, później batalionu. Przybrał pseudonim *„Sęp"*. W listopadzie 1943 roku przybył ze swym oddziałem w okolicę miasta, a jego oficerowie sztabowi trzy dni przebywali u nas i razem ze mną układali plan zdobycia Janowa. W mieście było około tysiąca Niemców. Oddział *„Sępa"* liczył około 140 ludzi. Zaopatrzyłem oddział w leki, opatrunki, mydło, tytoń, wódki, żywność, bieliznę, buty itp.

Wszystkie budynki, w których kwaterowali Niemcy, były zablokowane karabinami maszynowymi. Największy oddział *Schutzpolizei* miał około 800 ludzi. Szosa do Kraśnika była zablokowana, przewody telefoniczne zostały przecięte. Szosa do Frampola nie została zabezpieczona, ponieważ nikt z nas nie spodziewał się z tej strony pomocy dla Niemców. We środę wieczorem przed targiem o godzinie 22 wjechały na rynek furmanki z partyzantami. Oficerowie otrzymali ode mnie latarki elektryczne. Nocnych wartowników niemieckich zlikwidowano bez hałasu. Cywilnych odesłano do domu. Od godziny 22 do 5 rano całe miasto było zajęte przez partyzantów. Przez noc trwała strzelanina. Partyzanci wywozili zapasy z niemieckich magazynów. Nikt z Niemców nawet nie wychylił się z budynków, bo wszystkie domy zajęte przez nich były zablokowane przez partyzantów i zabezpieczone karabinami maszynowymi. Szkoła, w której kwaterował batalion *schupo*, była obstawiona kilkoma ciężkimi karabinami maszynowymi; równocześnie ostrzeliwały one żandarmerię i policję. Przewody telefoniczne zostały przerwane. Szosa z Kraśnika była ubezpieczona. Na odgłos strzelaniny o godzinie 5 rano przybyło z Frampola pięćdziesięciu żandarmów, którzy dostali się do szkoły i zaatakowali partyzantów od strony więzienia. W ten sposób uwolnili batalion *schupo*. *Wilusz* dał rozkaz do odwrotu w kierunku wsi Łążek. Pościgu Niemcy nie urządzali, gdyż byli oszołomieni tak nagłą i precyzyjnie wykonaną akcją partyzantów. Dwóch rannych żołnierzy *Wilusza* opatrzyli moi pracownicy.

W czasie akcji ktoś z mieszkańców poznał głos *Wilusza* i poinformował o tym Niemców. Ponadto Niemcy zorientowali się, że akcja ta musiała być przeprowadzona przez dowódcę dobrze obeznanego z terenem. Na czas akcji żona *Wilusza*, lekarka dentystka, wyjechała do Żyrzyna pod Puławami. Niemcy wysłali za nią listy gończe.

Na drugi dzień starostwo przeniosło się do Kraśnika. W Janowie pozostał *Landkommissariat*. Sekretarką tego urzędu była urodziwa, młoda kobieta, prawdopodobnie Żydówka. Podawała się za Niemkę. Była moją stałą pacjentką. Od niej dowiadywałem się o planowanych przez Niemców akcjach represyjnych. Poinformowała mnie, że władze niemieckie poszukują *Wiluszowej*. Wysłałem kuriera do Żyrzyna, aby zatrzymał *Wiluszową* przed powrotem *do Janowa*. Tak samo dowiedziałem się od niej o mającym nastąpić aresztowaniu księdza dziekana *Dąbrowskiego* i on zawczasu uciekł w okolicę Nowego Sącza, gdzie ukrywał się biskup lubelski.

W roku 1943 Niemcy nie byli już panami południowych terenów Lubelszczyzny. Lasy w całości były opanowane przez partyzantów, również wsie, zwłaszcza na terenie Roztocza.

Przyjmowałem dziennie w gabinecie prywatnym od kilkudziesięciu do stu kilkudziesięciu chorych. Wszystkich mieszkańców Janowa i wysiedlonych i wygnańców z terenów zachodnich od początku wojny do końca okupacji przyjmowałem bezpłatnie. Między tymi chorymi zawsze znajdowało się kilku lub więcej partyzantów i rodzin partyzanckich. Często przywożono do mnie rannych albo chorych partyzantów w przebraniu kobiecym. Poza tym w naszym mieszkaniu przebywała zawsze duża liczba osób z miasta i okolicy oraz łącznicy partyzanccy, którzy przechodzili przez Janów w różnych kierunkach. Do stołu siadało stale kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt osób. Ze wszystkich stron zwożono do mnie żyw-

ność. Z Annopola, z Wisły, przywożono łososie. Można było wszystkich nakarmić i obdarować na drogę. W tym mieszanym towarzystwie goście czuli się swobodnie i bezpiecznie, a zwłaszcza partyzanci.

Najczęściej oddziały partyzanckie kwaterowały w lasach janowskich, we wsiach Kiszki i Szwedy.

Tym oddziałom bardzo często pomagałem w ratowaniu rannych i chorych. Łącznikiem był leśniczy z Flisów, *Mikołaj Moskalew*. Oddziały kpt. *Mikołaja Kunickiego („Muchy"), „Błyskawicy", „Dziadka", „Maksyma"* i inne stale przysyłały do mnie po leki i po lekarzy szpitalnych. Pielęgniarka *Józia* z AL często jeździła w teren i opatrywała partyzantów. Leczyłem za jej pośrednictwem dowódcę brygady ziem lubelskich kpt. *„Maksyma" (Andrzeja Flisa)*.

Jak wspomniałem, kamienica, w której mieszkaliśmy, sąsiadowała bezpośrednio z terenem Szpitala i między nią a budynkiem oddziału chirurgicznego był korytarz, który łączył się ze schronem pod wjazdem, schron zaś łączył się z naszą piwnicą. W podłodze naszego pokoju jadalnego był specjalny otwór prowadzący do tej piwnicy. W razie niebezpieczeństwa w Szpitalu ludzie uciekali podziemnym przejściem do naszego mieszkania, a stąd w teren.

Natomiast w razie nagłego przybycia Niemców do naszego mieszkania partyzanci uciekali przez Szpital w kierunku miasta. Ruchem tym kierowała moja żona, *Ewa*. Wszyscy pracownicy Szpitala byli bardzo zdyscyplinowani. Nie zdarzyło się, aby ktoś doniósł Niemcom o tym, co się u nas dzieje. W dzień chorymi byli Niemcy, w nocy zaś opatrywano partyzantów. Zabiegi operacyjne na partyzantach przeprowadzałem najczęściej w nocy, w moim gabinecie prywatnym. Zwykle w czasie zabiegu partyzanci często napadali na luzem jadące samochody, przy czym zabili niemieckiego inspektora lasów państwowych.

W zimie 1943/1944 oddział partyzancki AL razem z oddziałem radzieckim napadł na posterunek policji polskiej w Modliborzycach i zdobył go. Na pomoc przybył oddział janowskiej *schupo* i stracił kilku zabitych i kilkunastu rannych, których przewieziono do Szpitala. Jeden oficer po amputacji uda zmarł i essesmani omal mnie nie zastrzelili. Obronił mnie oficer prowadzący transport i lekarz niemiecki (z Lublina), z którym połączył mnie telefonicznie oficer transportu.

W marcu 1944 roku akcję po wsiach na północ od Janowa (Godziszów, Jędrzejów, Chrzanów itd.) przeprowadzał pułk *schupo*. Dwudziestu kilku rannych Niemców operowałem i opatrywałem w szpitalu. Lekarz pułkowy (Austriak, wysiedlony z Grazu) oznajmił mi, że Niemcy są już rozbici, nie mogą utrzymać frontu, a w walce z partyzantami są bezsilni. Ostrzegł, aby wystrzegać się oddziałów *SS*, które przy wycofywaniu się niszczą wszystko i wszystkich.

W czerwcu 1944 roku lasy janowskie i okoliczne były w całości zajęte przez partyzantów. Niemcy sprowadzili *Armeekorps*, który składał się z trzech dywizji piechoty, brygady kawalerii i oddziałów specjalnych: saperów, czołgów, samochodów pancernych, artylerii samobieżnej i lotnictwa, ogółem do 30 tysięcy żołnierzy. Otoczyli oni lasy janowskie ze wszystkich stron, przystępując do wielkiej obławy. W Janowie kwaterował sztab operacyjny korpusu. W Szpitalu zainstalował się niemiecki szpital polowy i kompania sanitarna, razem 184 ludzi.

Bitwa obronna z obławą niemiecką trwała od 9 do 25 czerwca. Najbardziej rozgorzała w dniach 13—14 czerwca w lasach janowskich na tak zwanym Porytowym Wzgórzu, odległym o sześć kilometrów od miasta. Po stronie partyzantów walczyły — opisane już w różnych powojennych publikacjach — część pierwszej brygady AL im. Ziemi Lubelskiej (dowódca kpt. *Ignacy Borkowski-„Witek"*) wraz z trzecią kompanią liniową BCh, druga brygada AL im. *W. Wasilewskiej*, którą dowodził kpt. *Stanisław Szelest*, specjalny oddział łącznikowy pod dowództwem *Leona Kosmana-„Janowskiego"*, polsko-radziecki oddział partyzancki kpt. *Kunickiego-„Muchy"*, zgrupowanie radzieckich oddziałów partyzanckich im. Aleksandra Newskiego (dowódca mjr *Wiktor Karasiow*) oraz 7 innych radzieckich oddziałów partyzanckich; ogółem okrążone siły partyzantów liczyły około 3 tysięcy ludzi. Całością dowodził ppłk *Mikołaj Prokopiuk*.

14 czerwca nad Branwią, w rejonie wspomnianego już Wzgórza Porytowego, główne siły niemieckie usiłowały radykalnie przełamać obronę i zniszczyć obóz partyzancki, który był skupiony na przestrzeni stosunkowo niewielkiej. W bitwie tej zginęło około 2 tysiące hitlerowców i około 200 partyzantów. Straty niemieckie łącznie z rannymi sięgały 3400 ludzi, a więc przekraczały liczbę oblęganych partyzantów. W nocy z 14 na 15 czerwca partyzanci wyszli z okrążenia i wycofali się do Puszczy Solskiej, w której przebywały oddziały zamojskiego inspektoratu AK pod dowództwem mjr *Edwarda Markiewicza-„Kaliny"* (około 800 żołnierzy), a jeden oddział przebił się na północ. Rannych z tego oddziału opatrzyli nasi pracownicy szpitalni. Druga faza walki zaczęła się 20 czerwca, gdy Niemcy otoczyli Puszczę Solską. W dramatycznych okolicznościach mjr *„Kalina"*, który później zrzekł się dowództwa i zaginął w lesie, odrzucił propozycję walki wspólnej z AL, zmierzającej do przebicia się z okrążenia na wybranym kierunku. 22 czerwca przez pierścień obławy przebiły się zdziesiątkowane oddziały AL, a w nocy z 23 na 24 — oddziały radzieckie. W okrążeniu pozostały oddziały AK. Niemcy zlikwidowali je 24 czerwca, a niedobitki ścigali jeszcze do pierwszych dni lipca.

Po nieudanej akcji z 13—14 czerwca Niemcy zupełnie stracili głowę. Partyzanci nawet w dzień spacerowali z bronią po Janowie. Na Szpital Niemcy nie zwracali już uwagi. Oddziały niemieckie przeprowadzające specjalne akcje przeciw partyzantom nigdy nie porozu-

miewały się z Niemcami stacjonującymi w mieście, ponieważ im nie dowierzały. Przeprowadzano akcje w nieznanym terenie na ślepo. Z sytuacji tej korzystali mieszkańcy miasta i domostw pod lasami i chronili się w Szpitalu. Zwiększał się wtedy stan chorych o kilkaset osób. Codziennie zgłaszało się stan chorych do żandarmerii. W czasie akcji stan ten powiększał się znacznie i na korzyść ludności, i na korzyść żandarmerii. Bardzo duże ilości prowiantu, przede wszystkim drobiu (gęsi, kury, kaczki, indyki), jaj i przetworów mlecznych wędrowały do żandarmerii. Żandarmi natychmiast, na drugi dzień, wysyłali żywność pocztą *nach Heimat*.

W czasie akcji w czerwcu 1944 roku cały korytarz podziemny, schron, wszystkie oddziały i piwnice były zapełnione ludnością cywilną, chroniącą się przed pacyfikacją niemiecką.

W lipcu partyzanci zaczęli minować drogi dojazdowe do lasu, ale najczęściej ofiarami min były furmanki chłopskie. Pewnej nocy lipcowej, gdy operowałem w swoim gabinecie prywatnym łączniczkę AL, oddział partyzancki, który pełnił straż, poprzecinał wszystkie słupy telefoniczne przed Szpitalem, wszczął walkę z *fortschutzami* i zaminował drogę przed Szpitalem, ażeby nie dopuścić Niemców do mojego gabinetu. Przybyli rano żandarmi spowodowali wybuch min i wszystkie szyby w Szpitalu i okolicznych domach wypadły.

25 lipca przyszli do mnie kurierzy z Biłgoraja z wiadomością, że miasto to zostało zajęte przez wojska radzieckie, a Janów ma być zajęty 27 lipca. Równocześnie dowiedziałem się, że ogromne masy wojska niemieckiego maszerują drogami polnymi przez wsie Rąblów, Chrzanów, Godziszów na Janów w kierunku Wisły, bo szosa Frampol-Janów jest już dla nich nie do użytku. Równocześnie przybył oddział specjalny celem wysadzenia wszystkich ważniejszych obiektów miejskich w powietrze. Wobec tego wysłano kurierów do Biłgoraja do dowództwa radzieckiego w celu przyspieszenia opanowania Janowa. Około godziny 4 rano kurierzy wrócili przez lasy i zawiadomili mnie, że pułk czołgów radzieckich maszeruje lasami z Biłgoraja i o godzinie 6.30 zacznie się natarcie od strony Szpitala. Wszystkich chorych należy usunąć z sal i ułożyć w bezpiecznych miejscach.

Punktualnie o godzinie 6.30 usłyszeliśmy strzały armatnie, Niemcy z okolic Szpitala zaczęli uciekać, a czołgi radzieckie wjechały do ogrodu szpitalnego i otworzyły ogień do zgrupowania niemieckiego znajdującego się na cmentarzu w odległości około półtora kilometra od Szpitala. Bitwa trwała dwa dni na terenie Szpitala. Rannych żołnierzy radzieckich operowałem sam przez trzydzieści godzin bez wytchnienia. Szesnastu lekarzy i felczerów wojskowych przywoziło i zabierało rannych po zabiegach operacyjnych, aby zwolnić miejsce dla następnych. Dokładny opis walk o miasto Janów podaję w moich „Wspomnieniach lekarza" w czasopiśmie „Za Wolność i Lud" (1967, nr 13, str. 13).

TADEUSZ SEWERYN Kraków

Do psychologii „übermenschów"

Kartki z pamiętnika

1

W Hitlerii panowała moda na aktorów i oratorów. Nawet *Frank* na Wawelu przybierał bohaterską pozę, imitował „führerowską" chrypkę, patos i butę, obłudną dobroć, zwierzęcą wściekłość i hochsztaplerski tupet. Inni także przy byle sposobności wrzeszczeli do radia, na *geburtstagach* i różnych „festach" wyrywali się z mowami, w których szczekliwym głosem i przyśpieszonym tempem zmierzającym do histerycznego wybuchu nadymali się megalomańską pychą, schlebiali germańskiej dumie i zapowiadali zwyciężenie całego świata, a przede wszystkim krzyczeli, krzyczeli i wrzeszczeli, bo *übermensche* nie wydawali nigdy rozkazów ludzkim głosem.

Mieszkający u mnie w r. 1940 przy ulicy Felicjanek Bocznej w Krakowie strażnik więzienia na Montelupich, kapral *Hasselbeck*, zażądał raz, by mu podać herbaty. Przyniosłem. Zapytał, czy mam coś do jedzenia. Przyniosłem kromkę chleba przydziałowego, zwanego w Krakowie „dźwiękowcem", a nawet marmoladę, wyrabianą, jak wiadomo, z odpadków buraczanych i owocowych. Odsunął chleb, mówiąc, że to dla świń, a o marmoladzie wyraził się *Dreck mag ich nicht essen*.

Potem gestem reprezentanta *herrenvolku* kazał mi usiąść przy stole. Usiadłem, a on wyrżnął mi orację, z której się dowiedziałem, że mam zaszczyt siedzieć przy stole z synem profesora Akademii Sztuk Pięknych w Monachium (nie próbowałem stwierdzić prawdziwości tych słów), że ród jego sławny jest w Niemczech od pięciuset lat, że Niemcy, to naród filozofów, a on sam, *Hasselbeck*, nitscheanista i dualista, taki ma pogląd na dzieje ludzkości: Ziemia —

to uprawne pole, na którym rosną rośliny pożyteczne i chwasty. Pożyteczne — to Niemcy, a chwasty — to Słowianie i Żydzi, których w imię kulturalnej misji dziejowej, jak chwasty należy wyplenić, *ausrotten*, aby nie zagłuszały wzrostu roślin symbolizujących zdrową i pożyteczną rasę ludzkości. Niektórzy filozofowie nazywają te chwasty *Untermenschen*, ale my *untermenschów* też będziemy tępić, to jest nasza misja dziejowa.

Dowiedziałem się więc, dlaczego *übermensch* z Monachium posadził mnie przy stole. Oczywiście mogłem się bronić dyskusją, aby sobie oszczędzić upokorzenia, ale czy warto dyskutować z szympansem uzbrojonym w brzytwę? Taką to „filozofią" nie on jeden maskował podczas wojny żądzę zrobienia kariery, a więc utuczenia się cudzą krwią.

Do animalistycznej etyki i filozofii tego strażnika więzienia na Montelupich wracałem często, gdy w Polsce grzmiały salwy plutonów egzekucyjnych, a głośno w świecie reklamowane „dzieło odbudowy Generalnej Guberni" wyrażało się przede wszystkim w rozbudowie obozów koncentracyjnych, gdy każdy Polak codziennie naocznie przekonywany był faktami, że jeśli żyje, to tylko z łaski zwycięzców lub dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Wszakże jako naród znaleźliśmy się poza prawem, a wszelkie prawo stało się udziałem tych, którzy posiedli siłę na ziemi, na morzu i w powietrzu. Przestaliśmy dla nich istnieć jako ludzie — jednych tępiono jak chwasty, innych oszczędzano łaskawie, ale tylko jako rzeczy, jako narzędzia pracy lub w ogóle materiał do „badań naukowych".

Kiedy kapral *Hasselbeck* objawiał mi swoją filozofię, nie rozumiałem jeszcze pojęcia *Untermensch* ani też nie znałem nazwiska filozofa, na którego powoływał się mój lokator. Później dopiero się dowiedziałem, że ów „filozof" imponujący kapralowi *Hasselbeckowi* — to uwielbiany przez *Hitlera* oszust *Jörg Lanz von Liebenfels* (1874—1954), eks-zakonnik, szlachcic-samozwaniec, a przede wszystkim hochsztapler, który w Niemczech dał się poznać dzięki temu, że zabawiając się w antropologa, podzielił ludność na *Aringer*, tj. aryjczyków, oraz *Äffischen*, tj. małpoludy, a więc zwierzęta tylko z wyglądu podobne do ludzi.

W ślady tego szarlatana weszli inni teoretycy rasizmu [1], a także ciemne masy spod sztandarów narodowego socjalizmu. Poszedł za nim też i kapral *Hasselbeck*, który wprawdzie nosił cholewiaki wyglansowane na wysoki połysk i mundur dobrze wyprasowany, ale w myśleniu okazywał się prostakiem. Lubował się on w stawianiu każdej sprawy na płaszczyźnie albo — albo, *entweder — oder*, na lewo — na prawo, i to nazywał dualizmem. Uznawał tylko podział na dwie kategorie, to mu wystarczało, dlatego wielbił niedouczonego *Jörga Lanza von Liebenfels*.

W więzieniach hitlerowskich wszystko robiło się biegiem i na *eins, zwei*. Tymczasem 12 czerwca 1942 roku szef *Sicherheitspolizei* oraz *Sonderdienstu* dodał jeszcze *drei*, jeśli chodziło o stopień dręczenia ludzi podczas przesłuchania przez gestapo i *SD*. Otóż III stopień tortur zdystansował wszystko, co wymyślił średniowieczny sadysta i inkwizytor.

Nietrudno dociec, co kierowało systematykiem hitlerowskim ustalającym wyrafinowane stopnie katowania przesłuchiwanych więźniów. Dyktowała je bezkresna nienawiść rasowa, narodowa i światopoglądowa do tych, których strażnik więzienny na Montelupich — i nie tylko on — nazywał chwastami ludzkości.

Niemiecka skłonność do systematyki wyrażała się przede wszystkim w maniackim znakowaniu więźniów umownymi symbolami geometrycznymi o różnych kształtach i barwach. W Oświęcimiu więzień polityczny musiał, jak wiemy, nosić na piersiach po lewej stronie czerwony trójkąt o wierzchołku zwróconym ku dołowi. Ale jeśli więźniem politycznym był Polak, malowano na jego trójkącie czarną literę P, jeśli Czech — literę T (*Tscheche*), jeśli Holender — N (*Niederländer*), jeśli Francuz — literę F itd. Przestępcom zwykłym przyszywano trójkąt zielony, kryminalistom — trójkąt zielony z literą K, emigrantom — niebieski, badaczom Biblii — fioletowy, a uchylającym się od pracy, a więc bezrobotnym, włóczęgom i prostytutkom — trójkąt czarny. Jeśli zaś więzień był podejrzany o homoseksualizm, musiał nosić trójkąt różowy, ale tym różniący się od innych *„markierungów"*, że wierzchołek tego trójkąta był zwrócony ku górze.

Najbardziej wyżywał się hitlerowski systematyk w znakowaniu Żydów. Na podstawie zarządzenia generalnego gubernatora z 10 listopada 1939 roku Żydzi musieli nosić na prawym ramieniu białe opaski z niebieską gwiazdą Dawida. Ale w obozach koncentracyjnych przyszywano im trójkąty żółte z wierzchołkiem zwróconym ku dołowi. Żydom-emigrantom przyszywano trójkąt żółty skrzyżowany z trójkątem niebieskim. Żydów pomawianych o przestępstwa zwykłe cechowano zielonym trójkątem skrzyżowanym z żółtym. Ale jeśli Żyda zaliczono do kategorii kryminalistów, np. za to, że kupił chleb od Aryjczyka, albo że przebywając „na wolności" nie nosił opaski z gwiazdą Dawida, dawano mu wtedy jeszcze literę K. Żydom zaliczonym do pederastów dawano trójkąt żółty, na którym malowano trójkąt różowy. Jeśli był badaczem Biblii, dawano mu trójkąt fioletowy na podkładzie z trójkąta żółtego; jeżeli był bezrobotnym, otrzymywał trójkąt czarny skrzyżowany z żółtym. Jeśli Żyd uważał się za Polaka, dawano mu gwiazdę powsta-

[1] Jeden z nich, dr *H. Gauch*, autor książki: *Neue Grundlagen der Rassenforschung* (wyd. w r. 1933), pisał: „Nienordycki człowiek zajmuje pośrednie miejsce między nordyckimi ludźmi i zwierzętami, przede wszystkim małpami człekokształtnymi. Dlatego nie jest w ogóle człowiekiem we właściwym przeciwieństwie do zwierzęcia, lecz właśnie tylko przejściem do niego, stopniem pośrednim". Nienordyckiego człowieka nazwał *Stoddart untermenschem* w pracy: *Der Kulturumsturz, die Drohung des Untermenschen* (Upadek kultury, zagrożenie przez podczłowieka). Zob. *K. Saller:* Mord na tle rasowym i urojenie bohaterstwa w narodowym socjalizmie. „Przegląd Lekarski — Oświęcim", 1967, nr 1, s. 24, 28.

łą z żółtego trójkąta skrzyżowanego z czerwonym, naznaczonym literą P. Jeśli kogoś pomawiano albo dowiedziono mu, że przespał się z Niemką lub w ogóle Aryjką, jako „*Rassenschänder Jude*" otrzymywał trójkąt żółty z wierzchołkiem zwróconym ku górze, a na nim umieszczano czarny linijny (a nie płaszczyznowy) trójkąt zwrócony wierzchołkiem ku dołowi.

Wszystkie skrzyżowania wykonywano w ten sposób, by z nakrywania się tych trójkątów powstawała sześciorożna gwiazda, przy czym trójkąt żółty był zawsze na spodzie, a na wierzchu występował, zależnie od „lagrowego" klasyfikatora, trójkąt czerwony albo niebieski, albo różowy, albo fioletowy, albo czarny płaszczyznowy, albo czarny liniowy itd.

Systematyk hitlerowski brnął coraz bardziej w gąszczu kryptonimów, aż sam się w nim gubił, bo gdy oświęcimski kombinat śmierci wypełniali więźniowie pochodzący z 28 narodów, trudno było dla każdego wymyślić inną literę. Zresztą poza tymi „winklami" oraz numerami noszonymi na pasiakach i wytatuowanymi na ciele niektórym więźniom przeznaczonym do karnej kompanii przyszywano z przodu na piersiach po obu stronach, na obu nogawkach oraz na plecach kwadratowy płatek z czarnym kółkiem w środku. Niektórzy zaś otrzymywali biały płatek z literami *IL* (*im Lager*) na znak, że lepiej mieć ich na oku i zatrudniać w samym obozie, bo poza nim mogą być skłonni do ucieczki.

Po co to wszystko? Po co ta rzekomo precyzyjna systematyka ludzi przeważnie przypadkowo schwytanych podczas obław w miastach lub wsiach? Ależ to właśnie cechowało podstępnych paladynów *Hitlera*, że swej przestępczej „twórczości" nadali pozory naukowości. Już w pierwszym obozie koncentracyjnym, założonym w r. 1933 przez *Göringa* w Oranienburgu pod Berlinem, przygotowywano „socjologiczne *markierungi*". W Oświęcimiu ten „socjologizm" rozrósł się tak bujnie, że niektórych więźniów zatrudniano całymi latami wykonywaniem tych wielobarwnych „winklów" [2].

A komandosi? Tych nie znakowano, bo w ogóle nie wysyłano ich do obozu, lecz mordowano na miejscu zgodnie z zarządzeniem z 4 marca 1944 r., wydanym przez długoletniego tajemniczego szefa gestapo *Heinricha Müllera*, podległego *Reinhardowi Heydrichowi*. Na podstawie tegoż zarządzenia, zwanego *Kugel Erlass*, jeńcy wojenni mieli być wyjęci spod ochrony prawa międzynarodowego.

A jeńcy radzieccy? Tych albo od razu zapędzano wprost do komory gazowej, gdzie uśmiercano ich cyklonem B, albo wedle rozkazu *Oberkommando der Wehrmacht* z 20 lipca 1942 roku pieczętowano ich piętnem wypalanym lub wycinanym w żywym ciele. W tym bestialskim rozkazie zaznaczono: „Piętno to ma mieć kształt kąta ostrego o rozwartości 45° i długości boków 1 cm, skierowanego w górę, wypalonego na lewym pośladku (...). Piętno można wyrżnąć lancetem (...). Do barwienia wziąć chińskiego tuszu." [3] Z niezwykłą dokładnością, *mit höchster Genauigkeit*, określono tutaj „naukowo" różne rozwarcia ramion trójkąta i ich długość. Cechowanie bydła znały różne narody od niepamiętnych czasów, ale trzeba było dożyć czasu narodowego socjalizmu, aby te metody, praktykowane w hodowli bydła, zastosowano do ludzi. Tu już systematyk hitlerowski podał rękę sadyście, opętanemu nienawiścią zrodzoną w mętach ideologii.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby w r. 1945 zwycięskie siły antyfaszystowskie ze Wschodu i Zachodu nie przyniosły wyzwolenia więźniom obozów koncentracyjnych, nadal dymiłyby kominy krematoriów, płonęłyby stosy trupów, a niemieckie auta ze znakami Czerwonego Krzyża, wyrabiane w firmie *Saurer* w Berlinie, a dostarczane przez *Rauffa*, oficera transportowego Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, nadal przywoziłyby puszki z cyklonem B do *baderaumów*. Wtedy już systematycy hitlerowscy znakowaliby chyba więźniów przeznaczonych do sterylizacji, do uśmiercania zastrzykami fenolu, do zagłodzenia, do spalania żywcem na stosie, do zakażania malarią i żółtaczką lub durem itp., a wszystko dla „nauki".

Na tym uniwersytecie zbirów kształciła się policja hitlerowska, działająca poza Oświęcimiem. Wszak w obozie koncentracyjnym w Płaszowie chłopom ze wsi podkrakowskich, których uważano za *bandenverdächtig*, też przyszywano płatki z kółkami. Wszakże przed pacyfikacją wsi Krępy w powiecie miechowskim kazano chłopom położyć się na ziemi, narysowano niektórym trzy kreski na plecach, a potem każdego z tych nacechowanych prowadzono przy dźwiękach zwołanej orkiestry, grającej „Boże, coś Polskę", do jednego z domów przemienionego na katownię. A gdy chciano szybko zapełnić obóz w Szebniach koło Jasła, esesowcy nachodzili wsie w nocy, kreślili na ścianach domów różne kółka, kwadraty, cyfry rzymskie lub arabskie, a potem wedle tych kodów szybko we dnie brali nawet całe rodziny.

Upodobanie do symboliki znaków było dla hitlerowców bardzo charakterystyczne i to już od dawna. *Rudolf Pavlu*, zamianowany na *prima aprilis* 1941 roku *stadthauptmannem* Krakowa, uważał kolorowe kredki za odpowiednie środki przejawu władzy. Wprowadzając *deutsche Ordnung* w mieście *Krakau*, szczegółowo określił w § 20 regulaminu urzędowania, kto w czasie służby ma się posługiwać ołówkiem czerwonym, a kto niebieskim, komu przysługuje ołówek zielony, a komu wolno zafajkowywać na brunatno. Dowcipni krakowianie przypinali mu ironiczny epitet kolorysty.

[2] Do takiej pracy został odkomenderowany w obozie oświęcimskim kolega mój z Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, artysta malarz i grafik *Jerzy Adam Brandhuber*, któremu na tym miejscu składam podziękowanie za zorientowanie mnie w tej obłędnej plątaninie „lagrowych" *markierungów*.

[3] *T. Cyprian, J. Sawicki:* Walka o zasady norymberskie (1945 —1955). Warszawa 1956, s. 323.

Podziwiać należy przenikliwe spojrzenie *Ernesta Tollera* [4], który jeszcze w r. 1923, gdy *Hitler* dopiero wysuwał pazury po władzę, dostrzegł w późniejszym przywódcy brązowych koszul model bohatera swej ekspresjonistycznej komedii „Wyzwolenie Wotana". W sztuce tej marny, ale pyskaty fryzjer *Wotan* chce wyzwolić swój naród z inercji, chce stworzyć dlań idealny wzorzec państwa germańskiego — gdzieś w dżungli brazylijskiej (bo do tego najlepiej nadaje się dżungla). Powierzając swemu totumfackiemu *Wolfblitzowi* przygotowanie graficznego planu realizacji tej jego *idée fixe*, takie daje mu zlecenia: „Niech pan nie zapomina o ornamentach. Wyjaśnienia dodatkowe. Schemat w różnych kolorach. Czarny tusz, czerwona kredka. Koła, kwadraty, prostokąty. Organizacje podległe — nadrzędne. Powiązania poziome — linie pionowe."

Rozmyślna plątanina, blichtr fachowości, kliniczny przykład hochsztaplerstwa. Ostrowidztwo *Tollera* jest zdumiewające: wszak z genealogii politycznej *führera* poznał dopiero jego nieudały marsz (który rozpoczął się od *Bürgerbräukeller* w Monachium 9 listopada 1923 roku), a już przewidział przyszłość tego *übermenscha*. Przewidział, że za tym kapralem z bawarskiego pułku podczas pierwszej wojny światowej ruszy tłum wyścigowców do kariery. Wtedy już malarz pokojowy z grzywką oklapniętą na czoło, ucharakteryzowany na sutenera z krępym wąsikiem pod nosem, nie będzie wyżywał się w malowaniu punktów i kółek na ścianach, bo te punkty i kółka przeniosą mu się, jak mówiono, na mózg, w który zapuści korzenie opętańcza, demoniczna żądza władzy, strojna w pseudonaukowość, systematykę, symbolikę itp. obłudne szatki gangsterskiego celu.

W związku z napastliwą deklaracją filozofii zamieszkałego u mnie *übermenscha* z Monachium, która prawem asocjacji podsunęła mi niektóre uwagi o nieludzkim czasie okupacji — nie dodałem, że wraz z kapralem *Hasselbeckiem* mieszkał też drugi strażnik więzienia na Montelupich, również udatny przedstawiciel *herrenvolku*, *Haraschke* z Hamburga. Odznaczał się on tym, że mówił zawsze głośno, jak by mnie już z góry uważał za więźnia, namiętnie grał — choć nie miał słuchu — na pianinie w moim pokoju, a poza tym klął na Polaków, że są brudni i nie mają pojęcia o higienie. Okazało się rychło, że ten *kulturträger* z Hamburga po raz pierwszy w swym życiu kąpał się w łazience właśnie u mnie. Kiedy zaś, niezręcznie majstrując w instalacji gazowej, spowodował wybuch, tak się tym przestraszył, że nagi wyskoczył z łazienki, robiąc z siebie niepotrzebnie widowisko, co potem skrupiło się na mnie. Musiałem się pokornie tłumaczyć, że ten wybuch nie był przygotowanym przeze mnie zamachem na jego życie.

Ten to *Haraschke*, dowiedziawszy się, że Francja skapitulowała, zawołał z emfazą: „Teraz maszerujemy na Moskwę! Nic nas nie obchodzi przymierze ze *Stalinem!* Na Moskwę! Pobijemy wszystkie narody, teraz albo nigdy!" I po napoleońsku założywszy rękę z tyłu na biodro, dużymi krokami przechadzał się po moim pokoju od drzwi do okna i już z góry upajał się władzą, którą otrzyma w Moskwie: „Naprzód zacznę cywilizować *diese eckelhaften Bolschewisten, Nieder — auf! Nieder — auf! und nachher: Arbeiten! Schnell! Schnell! Schneller!*" Zarechotał nagłym śmiechem, jak by mu się udało wymyślić coś nowego.

To wszystko, co mówił, to echo propagandy. Przypomniał mi się pusty frazes *Wilhelma II:* „Teraz albo nigdy", decydujący w roku 1914 o wypowiedzeniu wojny i słowa z *„Mein Kampf":* „Nasza misja dziejowa polega na tym, aby podporządkować sobie inne narody. Naród niemiecki powołany jest do dania światu nowej klasy panów".

Hasselbeck uważał się za pana. *Haraschke* jako pochodzący z podmiejskiego plebsu był dla niego zawsze *dummer Kerl*. Nie jest to ważne, że obaj nienawidzili się wzajemnie, co zresztą w narodowym socjalizmie nie należało do rzadkości, ani to, że jeden drugiemu szył buty i odgrażał się nawet wobec nas, Polaków. Ostatecznie *Haraschke* poszedł na front. Ważniejsze było to, że *kulturträger* z Hamburga, opuszczając Kraków, pozostawił w swej nocnej szafce książkę *Deutsche Heldensagen*, ilustrowaną przez *A. Kampfa*, a napisana przez folklorystę [5], który z ułamków legend i pieśni, wywodzących się przeważnie z okresu wędrówek ludów, skonstruował wcale udatną całość. Znalazł się tu oczywiście *Zygfryd* i pogromca smoka *Beowulf*, uwielbiany przez Gotów, dzielny król Longobardów *Rother*, piękna córka królewska *Krymhilda* znad Renu i *Ditrich* z Berna, identyfikowany historycznie z królem Ostrogotów, *Teodorykiem* (475—526), są tu echa walki Burgundów z Hunami, upamiętnione w podaniu o Nibelungach, saga o *Gudrunie*, *Parsywalu*, wzmianki o *Attyli* rezydującym w Pannonii, o Wizygotach na zachodzie sąsiadujących z państwem rzymskim, Ostrogotach stykających się ze Słowianami itd.

Książka była wydana nie tylko dla młodzieży, ale i dla dorosłych, a celem jej było budzenie czci dla praojców wyrębujących mieczem granice Germanii. Jednocześnie miała ona wzywać wszystkich Niemców, jak pisze autor w zakończeniu, „aby zwrócili wzrok przed siebie w młodą przyszłość naszego narodu" (*um den Blick nach vorn in die junge Zukunft unseres Volkes zu richten*).

Otóż to. Ta *junge Zukunft* okazała się dla nas tragiczna, gdyż historia pod to grzeczne słówko wpisała realną treść: agresję, zabór ziemi, niewole, zniszczenie kraju i ludobójstwo. Dla Niemców książka ta stała się jedna z tysiąca, które propaganda goebbelsowska w okresie kształtowania się ideologii hitlerowskiej

[4] *Ernest Toller*, pisarz i publicysta, który z powodów rasistycznych opuścił Niemcy, w roku 1939 pozbawił się życia w Nowym Jorku pod wpływem depresji psychicznej, wywołanej wiadomościami o gehennie swych rodaków w Niemczech.

[5] *H. F. Blunck: Deutsche Heldensagen.* Berlin 1938.

sprytnie wyzyskiwała, między innymi w tym celu, aby przy ich pomocy przysposabiać umysłowość narodu niemieckiego do przyjęcia czynnej postawy w odbudowie (*Neuaufbau*) prastarej kultury germańskiej i wiary w urojenia o bohaterstwie germańskich praprzodków. W tych to właśnie legendach bohaterskich przejawiał się bowiem nieodzowny narodowemu socjalizmowi wysoce rozwinięty w krajach germańskich kult jednostki, który posuwał się aż do jej ubóstwienia.

To nie przesada. Powołajmy się na dokumenty historyczne. Historyk rzymski *Ammianus Marcellinus* z w. IV w dziele: *„Rerum Gestarum libri"* pisze, że Gotowie otaczali przodków swych czcią boską, a *Jordanes* w VI wieku łączy ten zwyczaj z Gotami w ogóle [6]. Władze kościelne za *Karola Wielkiego* (742—814) występowały przeciw tym, którzy *sibi sanctos fingunt quos libet mortuos.*[7] Niemniej jeszcze w XI wieku najwybitniejszy geograf średniowieczny, *Adam Bremeński* wspomina, że Germanie północni z żyjących ludzi tworzyli sobie bogów, np. Szwedzi *colunt et deos ex hominibus factos, quos pro ingentibus factis immortalitate donant, sicut in vita Anscarii leguntur Henricum regem fecisse* [8]. *Saxo Gramatyk* zaś, arcybiskup w Lund, zanotował w XII wieku, że *Haldan,* syn *Haralda, divinis a populo honoribus donaretur et publico dignus libamine censeretur.*[9]

Tego rodzaju kult nie był znany Słowianom. Z postępem kultury i cywilizacji wygasł on w krajach germańskich, ale narodowy socjalizm postanowił go wskrzesić w III Rzeszy i bałwochwalstwo przywrócić do czci. Wokół *führera* zaczęto tworzyć aureolę. Dla *Himmlera* „wypowiedzi *Hitlera* brzmiały jak głosy nadziemskie, posiadały dla niego moc boską" *(wie Äusserungen aus der übersinnlichen Welt. Sie besassen für ihn göttliche Kraft).*[10] Nie bez przyczyny *führer* nazywał *Himmlera „treuer Heinrich"*.

Cóż tu dodać? Chyba to, co ogłosił członek Izby Lordów, odważny podsekretarz stanu *Foreign Office, Robert Vanzittard,* którego wypowiedź cytowała często polska prasa podziemna: „...jeszcze słowa ministra *H. Kerrla: «führer* jest nosicielem nowego objawienia (...), *Adolf Hitler* jest prawdziwym Duchem świętym». Nie dziw, że pastor *Niemöller* rzekł: «Jesteśmy zmuszeni dać wyraz swej trosce, że *führerowi* oddaje się cześć należną jedynie Bogu». Za to powiedzenie skazany został na dożywotnie odosobnienie" (*R. Vansittard:* Czarny rejestr. Londyn 1941). Za jakie powiedzenie? To właśnie, że... „jesteśmy zmuszeni". To wystarczyło.

Szturmowe kolumny *SA (Sturmabteilung)* — brązowych koszul z czarnym znakiem połamanego krzyża wymuszały ten kult przemocą i terroryzowały własny naród brutalnymi środkami represji. Nawet ludzie z chrześcijańskiej demokracji, liczni w Niemczech, dobrowolnie wyzbywali się *Grüss Gott* na rzecz *Heil Hitler,* a formuła ta weszła nawet do aktów urzędowych i rytuału w życiu publicznym, a nawet towarzyskim. Wreszcie dnia 28 października 1938 roku ukazała się proklamacja, w której bóg swastyki został wzniesiony ponad wszelkie ludzkie prawa: „Wszelkie środki podejmowane dla urzeczywistnienia woli wodza uważa się za zgodne z prawem, nawet gdyby były sprzeczne z obowiązującymi ustawami i dotychczasową praktyką." [11]

Potężnie rozbudowana sieć donosicielska przysporzyła gestapu milionową armię nieetatowych współpracowników. Nawet naukę wzięto na powróz. W tych warunkach zastrachane społeczeństwo niemieckie obawiało się jak śmierci mówić, a nawet tylko myśleć o cieniach padających na mandorlę blasków *führera.* Wiedziano na przykład już podczas wojny, że o zdrowie *Hitlera* dbał jego zaufany lekarz przyboczny *Morell,* który aplikował swemu podopiecznemu aż 28 różnych leków dziennie, ale nikt nie odważył się pytać: A może to za dużo? Albo: Dlaczego *Morell,* ignorant i szarlatan? Albo: Czy w Niemczech nie ma już lekarzy z prawdziwego zdarzenia? W tego rodzaju zapytaniach dopatrzono by się perfidnego podkopywania wiary w absolutną nieomylność decyzji wodza. Dopiero po wojnie nieśmiało zaczęto szeptać, a potem pisać, że nad psychologią *Hitlera* zaciążyć miały trawiące jego organizm syfilis i choroba Parkinsona. Tajemnicę odnoszącą się do syfilisu, a w szczególności do objawów paraliżu postępowego, który miał rzutować na akty szaleństwa *Hitlera* w 1942 roku, ujawnił *Himmler* swemu zaufanemu masażyście, *Feliksowi Kerstenowi* [12], a hipotezę co do nieuleczalnej drżączki porażennej, zwanej chorobą Parkinsona, postawić miał wobec *Himmlera* prof. *de Crinis,* dyrektor szpitala psychiatrycznego Charité. Mówiono też o defektach błędnika (choroba Ménière) [13].

Trudno dociec, co z tych zeznań odpowiada prawdzie, niemniej wydaje mi się, że warto się zastanowić nad fragmentem pamiętnikarskich zapisków *Rudolfa Dielsa,* pierwszego szefa gestapo w czasie, gdy to narzędzie tyranii podlegało *Göringowi.* W szczególności warto zwrócić uwagę na opis zachowania się *Hitlera* podczas pożaru *Reichstagu,* czego bezpośrednim świadkiem był *Diels.* Na balkonie, ponad płonącą salą posiedzeń — czytamy tam — stał nieruchomo *Hitler,* milczał i trupio rozwarte

[6] *T. Seweryn:* Manizm. W: Słownik starożytności słowiańskich. T. 3. Wrocław-Warszawa-Kraków 1967, PAN; s. 161.

[7] *H. A. Saupe: Indiculus superstitionum et paganiarum.* Lipsk 1891, s. 5 i n., art. 25.

[8] *Adami Hammaburgensis ecclesiae pontificum. Hannoverae 1846, G. H. Pertz,* s. 201.

[9] *Saxo Grammaticus: Gesta Danorum. Ed. A. Holder.* Strasburg 1886, s. 220.

[10] *J. Sawicki:* Przedmowa do książki *E. Crankshawa:* Gestapo narzędzie tyranii. Warszawa 1958, s. XXIII.

[11] *E. Crankshaw,* jw., s. 94.

[12] *J. Kessel: Medizinalrat Kersten. Der Mann mit den magischen Händen.* München 1961, s. 176.

[13] *G. Blond:* Agonia Trzeciej Rzeszy. Poznań 1957, s. 216.

oczy utkwił w buchające z dołu płomienie. Nagle ocknął się jakby z letargu, „zaczął wrzeszczeć, a pasja zdawała się go rozsadzać. Straciwszy panowanie nad sobą, wołał: Teraz bez żadnej litości! Zmiażdżymy każdego, kto stanie nam na drodze! Naród niemiecki nie będzie znał litości! Każdy działacz komunistyczny dostanie kulą w łeb! Posłowie komunistyczni muszą zawisnąć na szubienicy tej nocy!" [14]

Amok, klasyczny malajski amok. To typowe odgrażanie się, szał wściekłości, uderzenie krwi do głowy, nagły wybuch żądzy mordu, wyładowującej się w ślepej, okrutnej ekstazie, wyzwolonej całkowicie z jakichkolwiek wewnętrznych hamulców. Ogarnięty amokiem Jawajczyk z pianą na ustach, gdy ciśnienie skoczyło mu nagle do około 300, pędzi na oślep z oszczepem w dłoni i rycząc z wściekłości za doznaną lub urojoną krzywdę, morduje lub rani, kogo tylko spotka na drodze. Ale jeśli ubóstwiany wódz narodu popada w tego rodzaju ostrą psychozę, to coś tu nie licuje z bożyszczem narodu *Goethego, Schillera, Beethovena* i *Kanta*.

Z racji jakiejś uroczystości jesienią 1940 roku, zapaskudzili hitlerowcy cały Kraków czerwonymi sztandarami z ponurym godłem mordu — swastyką. Zwisały one z górnych pięter w dół i łopotały złowieszczo tuż nad głowami przechodniów. Tu i ówdzie poplamiono je bryzgami czarnego atramentu, a na „fanę" przed oknem mego mieszkania jakiś przechodzeń wysmarkał się z niezwykłą pasją, celnie trafiwszy żółtą plwociną w sam środek swastyki, skąd rozbryzg flegmy spływał w dół skandalicznym strumykiem.

Spostponowaną szkaradnie swastyką z czarnym gackiem zajął się oficer *Schutzpolizei*, księgowy *Schuhmacher* z Poczdamu, zajmujący część mego mieszkania po wyjeździe strażnika *Haraschki* na front. Naprzód wezwał mnie na przesłuchanie, a potem właściciela domu, prof. dr *Stefana Bollanda* (obecnie rektora WSE). Kiedy zaś ani ja, ani on nie mogliśmy mu podać nazwiska człowieka, który zbeszcześcił godło narodowego socjalizmu, *Schuhmacher* uznał, że swój obowiązek spełnił, niemniej wzburzony i zakłopotany pytał po kilka razy: Czy wiecie, co was czeka, gdy się o tym dowie gestapo?

Ale gestapo nie dowiedziało się o tym. *Schuhmacher* nas nie zadenuncjował. Odtąd uważałem go za przyzwoitego człowieka. Nie entuzjazmował się wcale *blitzkriegiem*, a ilekroć pytałem go o przypuszczalny wynik wojny, odpowiadał mi westchnieniem. Ja zajmuję się tylko cyframi, a z cyfr nie wynika nic pewnego. Wyobraźnia zaś jest mi obca.

Raz zwrócił sie do mnie z prośba o wypożyczenie jakiejkolwiek książki niemieckiej dla jego żony, która chwilowo niedomaga i leży w łóżku. Dałem mu pojemne dzieło *Fischera „Die Frau in der Karikatur"*, bogato ilustrowane przez karykaturzystów francuskich, angielskich, niemieckich, dawnych i nowych. Podziękował uprzejmie, ale jeszcze tego wieczora zwrócił mi książkę, mówiąc: Proszę to schować, nie pokazywać nikomu i nie wspominać, że mi pan to pożyczył, bo byłby pan karany, a ja miałbym nieprzyjemności, że panu tę książkę zwróciłem. — Ależ dlaczego, z jakiego powodu? — Powód się znajdzie. U nas takie książki są palone na stosie.

Zamilkłem. A może autor pożyczonej książki był Żydem? Przypomniałem sobie, że *Goebbels* wespół z *Göringiem*, niezręczni inicjatorzy podpalenia Reichstagu, podżegali do palenia na stosie dzieł *Einsteina, Tomasza Manna, Freuda, Wassermanna, H. G. Wellsa, Uptona Sinclaira* i innych, a minister propagandy w rządzie III Rzeszy chwalił się, że otrzymał misję ratowania narodu od tej „drukowanej zarazy".

Również *Reinhard Heydrich*, światowego rozgłosu ganster i cyniczny łotr, wykombinował sobie gigantyczną a intratną misję. Nie chciał się zadowolić rolą najzapalczywszego podpalacza synagog, sławą rabusia demolowanych sklepów żydowskich i głównego twórcy *RSHA* (Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy), więc zabiegał usilnie, by mu powierzono misję ostatecznego rozwiązania problemu żydowskiego (*Endlösung der Judenfrage*) w krajach dotychczas jeszcze nie podbitych: w Wielkiej Brytanii, Irlandii, Szwecji, Hiszpanii, Szwajcarii i Turcji. Chciał być pierwszym, który w tych krajach poda płonącą żagiew podpalaczom synagog i pierwszym, który wyznaczy kontrybucje Żydom, a potem zorganizuje im obozy koncentracyjne. Taki był ten „dobry i szlachetny człowiek", jak nazwał go w przemówieniu nad jego grobem *Himmler*.

Dziw nad dziwy, że każdy narodowy socjalista wmawiał w siebie jakąś urojoną misję historyczną. Wierzył w nią również świetny przedstawiciel *übermenschów* dr *Josef Mengele*, elegancki zbir, uprzejmy morderca małoletnich, prowadzący „badania naukowe" w stacji doświadczalnej, mieszczącej się w cygańskim obozie w Brzezince. Szczególnie pasjonowały go przyrodnicze przyczyny determinujące powstawanie bliźniaków. Swojej „misji" oczywiście nie spełnił, niemniej nadrabiając tupetem i poważną miną, odbierał hołdy jako uczony, który gwarantuje narodowi niemieckiemu rozmnożenie germańskiej rasy. Zapewniał on, że każda niemiecka matka będzie mogła rodzić bliźniaki [15], a naród niemiecki szybciej niż którykolwiek inny wyrówna milionowe ubytki ludności, powstałe wskutek wojny i znowu będzie *„Deutschland, Deutschland über alles, über alles in der Welt!"*

Od takich *übermenschów* z misją historyczną roiło się wszędzie. Jedni wynajdywali przyrządy do torturowania więźniów politycznych, drudzy głowili się nad sposobem sprowokowania powstania na Ukrainie, by potem zakończyć je ludobójczą masakrą Ukraińców i Pola-

[14] *R. Diels: Lucifer ante portas.* Zürich 1950. *Crankshaw*, jw., s. 49.

[15] W pracowni dr *Mengelego*. „Za Wolność i Lud", 1966, nr 16.

ków. Wszyscy zaś patrzyli na nas z góry, bo inaczej żaden *übermensch* nie potrafił. To są rzeczy znane. Zmartwiały schemat urojonych wielkości, nadęte pęcherze, banalne tematy w oprawie upiornych faktów i nieludzkiego czasu. Dlatego ulgę sprawiało nam przestawienie się, choćby chwilowe, na wypadki przebłyskujące jaką taką pogodą.

Dla nas „ponad wszystko" była praca dla wolności. Tym żyłem i ja, ale gdy gestapowcy, wpadłszy do mego mieszkania, stwierdzili, że zbiegłem, a za mną także i żona, całą złość swoją wyładowali na *Schuhmacherze*. Chcieli zeń zrobić kozła ofiarnego, który by okupił ich kompromitację. Naubliżali mu strasznie, że tu za drzwiami mieściła się *Kommandantur der Wiederstandsorganisation*, a on o tym nie wiedział. Polacy zaś najbliższej okolicy zanosili się z radości, że gestapo, które w swoim zakresie miało być zawsze *über alles*, wypuściło ptaszka z klatki [16].

Odtąd prowadziłem życie nielegalne. Zapuściłem sute wąsiska, oblekłem się w stary kożuch barani, byłem zadowolony, że znajomi nie poznawali mnie na ulicy. Zamieszkałem w Nowych Rakowicach, żona koczowała w Krakowie, to tu, to tam, a dzieci osobno u dobrych ludzi. Zdarzyło się, że raz zimowym wieczorem zobaczyłem na pustej ulicy Wiślnej mego *Schuhmachera*. Zbaczał właśnie w stronę Plant. Strzelił mi wówczas do głowy pomysł, aby upomnieć się o pozostawione u niego poszewki. Ucieszył się, gdy mnie zobaczył, wypytywał o żonę i dzieci. Umówiłem się z nim, u kogo ma pozostawić moją bieliznę pościelową do odbioru.

— Zrobię to zaraz jutro, ale w zamian za to niech pan mi przyrzeknie, że pan nie będzie chodził po Krakowie.

Uśmiechnąłem się. Jeśli pan mi zwróci moją własność — mówię — to będzie początek wyrównywania szkód wojennych spłacanych państwu polskiemu przez państwo niemieckie.

Zabiłem mu klina. Cofnął się, ale rychło się zreflektował i skwitował moją odpowiedź również uśmiechem, obejrzał się trwożliwie i wyszeptał:

— *Gut*, ale niech pan będzie łaskaw nie poznawać mnie na ulicy, *das wäre ja fürchterlich gefährlich für mich und für Sie.*

— *Gut, also auf Wiedersehen, Herr Schuhmacher!*

— Do widzenia? Nie, nie! Bardzo o to proszę.

— Co prawda, jeszcze panu mogę być potrzebny...

Znowu zabiłem mu klina. Nie byłem mu potrzebny, ale poszewki zwrócił.

[16] *T. Seweryn:* Wspomnienia wojenne. Ucieczka. „Wieści" 1965, nr 11 i 12 (z 14 i 21 III). W artykułach tych podaję opis ścigania mnie przez gestapowców, działających jak nakręcone automaty, przy czym ujście z życiem zawdzięczam wyzyskaniu błędów w ich schematycznym myśleniu i działaniu.

2

Pamiętam [17], jak czarnomundurowa horda pomieszana z cywilami przemaszerowywała wojskowym krokiem koło pałacu „Pod Baranami", wrzeszcząc pod urzędem szefa dystryktu krakowskiego: *Gib uns Krakau ohne Polen!* albo: *Nieder mit den Polacken!* Za tą hordą maszerowała *Hitlerjugend* i podniósłszy buńczucznie prawice do góry wydzierała się rytmicznie: *Heil Sieg — heil Sieg — heil Sieg!* albo też wołała: *Nach Ostland wollen wir reiten!*

Było to żałosne widowisko. Kraków bez Polaków? Jak oni to sobie wyobrażają? Mają plan i organizację, mają siłę i swego herszta, w którego ślepo wierzą, ale brak im wyobraźni. Chcą jechać na wschód? Ależ owszem, tylko jak ułoży się jutro, do tego potrzebna jest szczypta wyobraźni.

Uczepiwszy się tej myśli i wróciwszy do domu, rozwijałem ją dalej, widząc w niej duży ładunek propagandowy. Istotnie. Przydałaby się im krzta wyobraźni, aby wreszcie dojrzeli człowieka pod numerem wytatuowanym na ciele, pod pasiakiem obozowym, pod błotem i potem wynędzniałego niewolnika, złowionego podczas łapanek ulicznych i wywiezionego do Rzeszy, by pracował dla *herrenvolku*. W ostatecznym bowiem rozrachunku z historią i etyką przegrać musi ten, kto jeszcze w XX wieku, burząc ustalone prawidła stosunków międzyludzkich, widzi w bliźnim tylko numer, tylko rzecz lub tylko narzędzie pracy. Bankrutowali skutkiem braku wyobraźni tacy politycy, którzy nas w dobie krwawego terroru chcieli obdarzyć samorządem i radą przyboczną *(Beirat)*, i ci wojskowi, którzy opowiadali baśnie i nam w nie wierzyć kazali, że już, już przypłynie do Gdyni angielska flota i przywiezie półmilionową armię generała *Sikorskiego* — do wspólnej walki z komunizmem.

Koniowi zakłada się klapy na oczy, aby patrzył tylko w jednym kierunku, tylko przed siebie. Oligofrenik też ma takie klapy. Niedorozwój inteligencji wyraża się u niego brakiem krytycyzmu, brakiem zdolności abstrahowania, brakiem możliwości dostrzegania związku między apercypowanymi zjawiskami. Jest to robot nastawiony przez autorytet i rozkaz, a każdy zwierzchnik jest autorytetem i każdy rozkaz święty. Ten żywy robot jest pozbawiony myślenia plastycznego, tj. przystosowalności myślenia do różnych aspektów rzeczy i spraw, trzyma się jednokierunkowości kurczowo, jak pijany płotu. Widzi jednostronnie, bo patrzy tylko z jednego punktu, z pominięciem innych punktów widzenia. [18]

Władysław Wójcik, działacz PPS, zakupił za pośrednictwem *Felka Marszałka* ze Stronnictwa Demokratycznego pistolet maszynowy typu „bergmann". Owinął go w gazetę, włożył pod pachę i szedł z Podgórza w stronę głów-

[17] Niektóre partie tego rozdziału były pomieszczone w artykule *T. Seweryna:* Oligofrenicy w czasie okupacji. „Życie Literackie", 1966, nr 25 (z 19 VI).

[18] Zob. *Z. Pietrasiński:* Psychologia sprawnego myślenia. Warszawa 1959, s. 28, 32.

nej poczty przy ulicy Wielopole. Kluczył bocznymi ulicami, unikając ruchliwej ulicy Starowiślnej (dziś Bohaterów Stalingradu), gęsto naszpikowanej wszelkiego rodzaju policją. Chciał co rychlej dostać się na ulicę Bosacką.

Właśnie stanął przed pocztą tramwaj jadący w stronę dworca kolejowego. *Wójcik*, trzymając „bergmanna" pod pachą, usiłował wepchnąć się do przedziału „dla nie-Niemców", ale nadaremnie. Ledwie uwiesił się na schodkach, poczuł, że ktoś szarpie go za rękę, a potem za „bergmanna".

— *Runter, Runter!*

Obejrzał się i zobaczył policjanta niemieckiego. Moment był groźny. Policjant, zrzucając *Wójcika* ze schodów tramwaju, zdarł z „bergmanna" gazetę i odsłonił całą kolbę pistoletu maszynowego.

— *Komm! Komm!* — krzyczał i popchnął *Wójcika* pod mur. — *Verfluchter Kerl!* Zmierzył go wściekłym wzrokiem i włożył rękę do torby skórzanej.

Sytuacja beznadziejna. Przychwycono go przecież z bronią w ręku i to z niemiecką bronią kradzioną. No, teraz wyciągnie z torby rewolwer, zmusi do podniesienia rąk i skuje. Ale nie! Policjant wyciągnął z torby czarno oprawiony kwitariusz, pośpiesznie coś w nim napisał, potem wyrwał kartkę i podał *Wójcikowi* krzycząc:

— *Zwanzig zloty, Strafe. Bist du stumm? Zwanzig zloty bezahlen!*

Policjant spełnił swój obowiązek. Od tego jest *Ordnungspolizei*, by pilnowała porządku. Pilnował i on — dlatego nie pozwolił jeździć ludziom na stopniach tramwaju. Odbieranie broni nie należało do jego obowiązków, więc nie spostrzegł jej. Widział tylko ludzi przekraczających przepisy porządkowe.

Niebezpieczniejsza przygoda zdarzyła się kierownikowi kancelarii okręgowej Delegatury, architektowi *Zygmuntowi Zarembie*, który mieszkał przy placu Matejki 9. Dziwne zapatrywania miał ten człowiek: „W dzień mogę harować jak wół, ale noc muszę mieć dla swych przyjemności". Zgodnie z tą zasadą całymi wieczorami, a nieraz i nocy zarywając, spędzał przy biurku, fałszując *ausweisy, arbeitsbescheinigungi, kennkarty, bezugscheiny*, zaświadczenia o odbyciu prac okopowych, a przede wszystkim wycinając precyzyjnie japońskim nożykiem gumowe pieczątki z „gackiem" i bez. Mówił, że przy tym wypoczywa.

Gdy więc raz siedział w swej pracowni przy biurku, zagraconym skrawkami gumy, pieczątkami i blankietami różnych legitymacji, usłyszał łomot do drzwi od klatki schodowej oraz krzyk: *Los! Los!* Przerażony porwał ze stołu aparat radiowy. Gdzie go schować? Gdzie schować? Biegał z nim po pokoju, a wreszcie w panicznej nieprzytomności postawił na podłodze, zgarnął kupkę cynkowych czcionek pod stół i chciał usunąć stertę *kennkart*, a tymczasem siostra *Helena* otworzyła drzwi.

Weszło dwóch żandarmów. Minęli pierwszy pokój i pchają się wprost do pracowni. *Zygmunt* podbiegł do nich i starał się sobą zakryć biurko, przeginając się po chaplinowsku to w prawo, to w lewo. Strach rozkleił mu wszystkie komórki mózgowe. W zdenerwowaniu mówił pośpiesznie, co mu ślina na język przyniosła:

— Aa! Witam panów, *habe die Ehre*, dobrze się składa, mam doskonałą wódkę od mojego szwagra, *einen guten Schnaps von meinem Schwager, verstehen Sie mich, ich bin kein Fiaker*, nie lubię pić sam, panowie, napijmy się, *gute Wodka*.

Oni popatrzyli na niego baranim wzrokiem, on zaś wyjął z szafy flaszkę, postawił na stole trzy kieliszki i nalał. Uchylił drzwi i zawołał, że pod Barbakanem można było słyszeć: *Hela*, kiełbasa i chleb! To moja praca, jeszcze przedwojenna. Rzeźbię naprzód w glinie, a potem odlewam w gipsie.

Oglądają. Jednemu wbiła się czcionka w podeszwę, wytarł więc but o podłogę, a czcionkę kopnął pod szafę. *Helena* przyniosła na talerzu wonną kiełbasę pokrajaną na kawałki oraz kromeczki świetnego chleba razowego. *Zygmunt* zachwalał, że to wszystko ze wsi od szwagra, podniósł kieliczek do góry: *Meine Herren prosit!* Skusili się. On pił, więc nie zatruta. Zagryzali kiełbasą i chlebem, mlaskając z zadowolenia. A *Zygmunt*, bawiąc się, obserwował bystro, czy który nie zauważył aparatu radiowego i czcionek na podłodze, a na biurku pieczątek i blankietów. Nie! Nikt się tym nie interesował. Jedli i pili wódkę od szwagra. Wreszcie pożegnali się, łaskawie podają dłoń gościnnemu gospodarzowi. Już wyszli, już są na schodach! *Zygmuntowi* spadł ciężar z serca.

— *Auf Wiedersehen!* — woła radośnie.

Wtedy jeden z żandarmów obejrzał się, wrócił do pokoju, wziął *Zygmunta* pod rękę, poprowadził go z powrotem do pracowni, zbliżył się do biurka, na którym leżały pieczątki, blankiety *kennkart* i czcionki i powiedział tajemniczo przyciszonym głosem:

— Jeśli pan tutaj pracuje (położył dłoń na biurku), niechże pan dobrze zasunie storę. Widzi pan, lampka z silną żarówką rzuca światło na plac przed kościołem, a pan może mieć nieprzyjemności, że okna są zaciemnione nieprzepisowo, *unvorschriftsgemäss! Verstehen Sie mich? Na! Auf Wiedersehen! Ja, sie hätten Recht gehabt, diese Wodka von ihrem Schwager war wirklich ausserordentlich gut.*

Ale z zaciemnieniem jeszcze coś innego się zdarzyło. *Zbigniew Kuźma*, główny łącznik Kierownictwa Walki Cywilnej, otrzymał rozkaz wymalowania napisów POLSKA WALCZY albo w skrócie P. W. na kamienicach swego rejonu, tj. od kościoła bernardynów po Rynek Główny. Było ciemno, godzina policyjna, ulice puste. Miał jeszcze do „opisania" kilka domów przy ulicy Grodzkiej, ale pech chciał, że w wiadrze z wapnem brakło mu wody. Wbiegł więc na znane mu podwórze, aby ze znajdującej się tam studni napompować nieco wody do kubła, gdy nagle posłyszał gromki głos: *Halt!* i jednocześnie oświetlony został latarką elektryczną przez hitlerowskiego żandarma. *Zbyszek* struchlał, wszakże pochwycony został

na gorącym uczynku. W lewej ręce trzymał wiadro z wapnem, w prawej pędzel.

Żandarm, oświetlając go od stóp do głów, pytał: *Wo wohnst du?* Co tu robisz? Gdzie mieszka dozorca domu? itd., wreszcie rozkazał: Idź do niego i powiedz mu, że tam, na drugim piętrze jest okno nieprawidłowo zaciemnione.

Do tej rubryki nadaje się też wypadek, który zdarzył się w Myślenicach z początkiem października 1943 roku. Wybuchł wtedy w nocy pożar w magazynach siana kontyngentowego. Ludziska pędzili do ognia, aby go zlokalizować — taki zwyczaj w Polsce. Ale *Sonderdienst* zatrzymał ich i żądał okazania przepustek nocnych. Wobec tego nawet strażacy, nie chcąc się narażać, musieli zawrócić do domów. Siano spłonęło doszczętnie, ale *Sonderdienst* chlubnie spełnił swój obowiązek. Kazali mu w nocy kontrolować przepustki, więc kontrolował. Nic mu nie mówiono o wyjątkach na wypadek pożaru, wobec tego nie robił wyjątku.

W Krakowie zaś włóczyły się po ulicach policyjne i wojskowe patrole, a nadto tzw. *„streifki"* z niemieckich uzbrojonych urzędników, legitymowały przechodniów, przeprowadzały rewizje, a mimo to działy się na ulicy rzeczy, które były demonstracją polskiego podziemia przeciwko niemieckiej czujności. W nocy 22 października 1943 roku wymalowano orła polskiego na skrzynce pocztowej wiszącej na budynku Izby Przemysłowo-Handlowej przy ulicy Długiej nr 1. Niemcy nakazali tę skrzynkę zdjąć, ale robotnicy polscy z rozmysłu guzdrali się przy tej robocie, aby wywołać jak największe zbiegowisko. Niemcy wściekali się na nich, Polacy zaś śmieli się z tych niedorajdów, ale tak po szelmowsku, że głupi by poznał, do kogo się śmieją i z kogo. *„Streifki"* zaś ze zdwojoną gorliwością uwijały się w tłumie i legitymowały, pilnie spełniając swój obowiązek, do którego nie należało rozpędzanie zbiorowiska ulicznych gapiów.

Swoją drogą społeczeństwo polskie w ponurych czasach okupacji łaknęło choć trochę radości, instynktownie wyczuwając, że uśmiech pokrzepia. Nieraz samo życie tworzyło z epizodów pocieszną składankę.

W październiku 1944 roku Niemcy umieścili przy drodze za Myślenicami duży napis: *„Achtung! Banditengebiet!"* (Uwaga, strefa bandytów). W odpowiedzi na to partyzanci gorczańscy wywiesili w Dzień Zaduszny koło szosy prowadzącej z Rabki do Limanowej i Nowego Sącza tablicę z napisem: „W godzinach od 16 do 7 używanie tej drogi przez Niemców jest zakazane".

Partyzantom sowieckim bardzo się takie *„opowieszczenije"* spodobało. Przynieśli skądś nowe drewniane wrota i na nich czarną mazią wypisali ten sam rozkaz, nadawszy mu jednak styl wypływający z ducha języka rosyjskiego: *„Zaprieszczenije. Upotrieblenije etoj dorogi giermanskimi faszistami zaprieszczeno s 4 czasow posle południa do 7 czasow utra"*. Powyższe *„zaprieszczenije"* zawiesili na przydrożnej wierzbie.

W konsekwencji obopólnie wydanego rozkazu obie kombatanckie partyzantki przystąpiły ochoczo do ostrzeliwania gęstym ogniem karabinowym każdego auta niemieckiego przejeżdżającego tą szosą w godzinach zakazanych. Wszakże chodziło tutaj o wymuszenie poszanowania autorytetu władz partyzanckich polskich i radzieckich.

Ustanowienie „godziny policyjnej dla Niemców" posiało w szerokim promieniu zarodki paniki, często nie uzasadnionej konkretną rzeczywistością. Na tym tle doszło w Mogilanach koło Krakowa do pociesznego zdarzenia, które wyzyskiwaliśmy w swojej szeptanej propagandzie.

Podobno pojawił się we wsi wściekły pies, a chłopi uważali za swój obowiązek, aby go zabić, nim zdoła pokąsać ludzi. Uzbrojeni w widły, osęki i siekiery rozpoczęli pościg za psem, a wrzawą starodawnych łowów napełnili całą wieś. Kiedy zaś goniony pies schronił się do długiej rury betonowej pod mostkiem przed Mogilanami i wypędzić się stamtąd nie dał, chłopi zagrodzili mu drogę ucieczki widłami wbitymi w ziemię u wylotów rury i debatowali, jak by tu psa wygnać z kryjówki. Wtedy właśnie nadjeżdżało auto.

— Niemcy jadą! Poprosimy ich, żeby psa zastrzelili!

Wyszli na drogę z kijami, osękami, widłami i siekierami, a rękami dawali Niemcom znaki, żeby się zatrzymali. Auto zatrzymało się, a jakże, a z niego zaczęli wychodzić Niemcy z rękami podniesionymi do góry.

Zawinił tutaj esesman, który urzędników wyjeżdżających w teren instruował, jak mają się zachowywać w wypadku napadu. Partyzanci polscy mają taką taktykę: wysyłają na drogę kilku chłopów bez broni, którzy odważnie zatrzymują auto, każą ludziom wysiadać i oddawać broń. Gdy się to zdarzy, broń trzeba oddać, w przeciwnym razie uzbrojeni partyzanci, zaczajeni w zaroślach, wystrzelają was. Polakom potrzebna jest broń, a nie auta, bo i tak by ich używać nie mogli.

Kto tutaj pobłądził? Niemcy, o których — jakże niesłusznie — mówiono, że zawsze wszystko przewidzieli, nie przewidzieli tego, że na wojnie nie ma schematów. To właśnie Polacy układający regulamin walki powstańczej przewidzieli, że wojskowo podkształcony partyzant „musi skierować cały wysiłek na oswobodzenie się z nawyków myślowych, zasad regulaminowych i przedwojennego wyszkolenia, a kierować się jedynie własnym zdrowym rozsądkiem i wyobraźnią." [19]

Tu jednak jedno drobne uzupełnienie jest konieczne. Przytaczając garść faktów zaobserwowanych w okresie okupacji hitlerowskiej, stwierdzamy jednak, że rzeczywistość nasza czasu wojny była zbyt poważna, ponura, okrutna i groźna, aby wolno było liczyć na to, że mamy do czynienia wyłącznie ze schematami niedorozwoju inteligencji naszego wroga. Ta

[19] Zasady walki powstańczej. Regulamin VI TWZW. 1942, s. 26.

rzeczywistość włóczyła się za nami trop w trop, nawet w snach.

Ileż to razy, wróciwszy do domu bardzo utrudzony, bałem się zasnąć, aby we śnie nie powtarzać zdarzeń na jawie. Ileż to razy czułem w ramionach dotkliwy ból od dźwigania ciężkiego kożucha, a w skroniach głuche pulsowanie krwi. To głód atakował mi nerwy, a zmęczenie podcinało moją świadomość.

Owionęło mnie ciepło. Usiadłem na łóżku, a wsparłszy nogi o podłogę, położyłem się w poprzek. Dyszę ciężko. Myśli, jak ptaki przestraszone, nie dadzą się spędzić w gromadę. Męczę się, co dzień coraz większy ciężar dźwigam. Nie podołam, padnę. Ciężkie powieki spadły mi na oczy. Zbieram swoje myśli. To było dziś. Wsiadłem ze *Zbychem* [20] w tramwaj. Jedziemy do rogatki Mogilskiej. Już niedaleko. Wtem wpadli od przodu czarne diabły z trupimi główkami i kogoś biją. Oddycham ciężko. Widzę zmasakrowaną twarz. Pytam *Zbycha:* Masz? Skinął głową. — To odbezpiecz. Już ostatni przystanek — *aussteigen!* — krzyczą. *Zbyszkowi* każą podnieść ręce do góry. Popatrzył na mnie błagalnie. Wyciągam — paf, paf, paf! Ale jakoś dziwnie strzelam, bez huku, „parabellum" ani nie drgnęło w dłoni, ale widzę błysk ognia wylatującego z lufy. Oni do mnie. *Zbyszek* do nich. Biegnę w stronę ulicy Kieleckiej, słyszę za sobą tupot ciężkich butów, czuję, zbliżają się. Zboczyłem w jakieś puste pole, jakiś step, jakąś mroczną przestrzeń — tylko gdzieś daleko miga jakieś światełko, jakaś gwiazdka. Mógłbym wsiąknąć w tę ciemność i skryć się przed pościgiem, ale serce tłucze i klekoce, zdradza mnie, zdradza niemiłosiernie. Wreszcie padłem, nie mogę, nie mogę iść dalej. Przybiegli, ale nic nie mówili, nie krzyczeli i nie klęli, tylko w ciemności błyskały ich trupie główki. Jakiś ciężar położyli mi na nogach, dwóch przytrzymywało mi ręce, a trzeci zbliża się do mnie, trzymając w lewej ręce duży, żelazny gwóźdź, a w prawej duży, drewniany młot. Przeraziłem się. Mam zginąć taką śmiercią? Biblijna *Jahel* uśmierciła *Sysara,* wbiwszy mu w czaszkę duży gwóźdź namiotowy. Zlitujcie się, ja nie jestem *Sysarem! Igor* wbijał jeńcom greckim gwoździe w głowy. [21] Zlitujcie się! Już czuję na czole zimny gwóźdź, tu, tu, powyżej nasady nosa. Zimny pot wystąpił mi na twarz.

Wtem ktoś szarpnął mnie za ramię i krzyczy:

— *Kammerad, steh auf!*

Otwieram oczy. Nade mną chwieje się czapka z trupią główką. Widzę rewolwer we mnie wymierzony. Zimna lufa uciska moje czoło.

— *Höhr mal! Steh auf!*

Zdrętwiałe palce wbiłem w koc. Wstrzymałem oddech i przerażonymi oczyma patrzę na mego mordercę. Wtem morderca cofa rewolwer i zaczyna głośno się śmiać, a z nim śmieje się jeszcze dwóch ponurych dowcipnisiów. Powoli dźwigam się z łóżka na poły przytomny po tym przeżyciu upiornego snu i przerażającej jawy. Powoli zaczynam wracać do rzeczywistości. Ach tak! To był żart, gestapowski żart. Przyszli „esesyny" do moich sąsiadów, Ślązaków, pracujących na lotnisku w Rakowicach Nowych, wiedzieli, że można się u nich napić łąckiej śliwowicy. Gdy jednak „berdyjów" [22] nie zastali w mieszkaniu, weszli do mego pokoju, a zobaczywszy mnie śpiącego w poprzek łóżka, na poczekaniu wymyślili żart, który, jak widać, bardzo przypadł im do gustu, bo śmiali się z niego i ze mnie do rozpuku. W zabawie tej rej wodził aranżer żartu.

— Widzieliście jego białe oczy? Ja takie oczy znam. Rozstrzeliwaliśmy pod wieczór. Był długi dół, a w nim nagie trupy. Rano kazaliśmy spędzić chłopów, aby zasypali ten dół ziemią. Patrzę, co jest? Nie mogę w to uwierzyć. Kilku nieboszczyków wsparło się na pokrwawionych rękach i patrzy wprost przed siebie białymi oczami, jak on.

I wskazał na mnie. To było widocznie bardzo śmieszne, bo znowu zaczęli rechotać.

— A wiecie co? Nasz *hauptsturmführer* mówił nam w szkole: Nie będziesz dobrym esesmanem, jeśli nie nauczysz się śmiać z takich białych oczu. Słusznie. Służba nasza wymaga przezwyciężenia siebie i swych mieszczańskich przyzwyczajeń. My musimy się zaprawiać do odmiennego reagowania na cudzą boleść i strach. Słusznie mówił nasz *reichsführer SS* w Charkowie: W Polsce podczas wielkich mrozów musieliśmy przepędzić tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy ludzi. Usłyszawszy to, powinniście zaraz o tym zapomnieć, aby dalej rozstrzeliwać tysiące wybitnych Polaków.

To wszystko, co słyszałem, było straszne. Mój koszmarny sen klecił się z wątków prawdziwych, z myśli snutych na jawie i z faktów przeżytych. Stąd był w nim silny ładunek emocjonalny. Tu chyba zawodzi freudowska wykładnia snów, a trafia w sedno raczej *J. Eysenck,* który przekonuje, że „aktywność psychiczna w czasie snu wiąże się z tymi samymi problemami, które ją pobudzają na jawie." [23]

To, co słyszałem z ust rozbawionych esesmanów, było nie mniej koszmarne od rzeczywistości na jawie. Dowiedziałem się, że w Hitlerii prowadzi się hodowlę instynktów zbrodniczych. Polega ona na wyzbyciu się człowieczeństwa, a pielęgnowaniu moralnego wilkołactwa.

Zadania na dziś? W ich prostackim pojęciu nie nastręczają one żadnych poważniejszych trudności: nasycać psychikę słowiańskich niewolników lękiem, aż białe z przerażenia oczy staną się powszechnym objawem zbiorowej psychozy — wtedy *diese Hunde* bez oporu poddadzą się woli zwycięzców.

---

[20] *Zbigniew Kuźma,* wspominany już pierwszy łącznik Kierownictwa Walki Cywilnej i Kierownictwa Oporu Społecznego.

[21] Poprzedniego wieczoru przeglądałem ilustrowaną Biblię i czytałem o wyprawie *Igora* na Połowców.

[22] Śląski odpowiednik gwarowego „bestyjów".

[23] *H. J. Eysenck:* Sens i nonsens w psychologii. Warszawa 1963, s. 197.

EUGENIUSZ BRZEZICKI, ADOLF GAWALEWICZ, TADEUSZ HOŁUJ,
ANTONI KĘPIŃSKI, STANISŁAW KŁODZIŃSKI, WŁADYSŁAW WOLTER

Kraków

Więźniowie funkcyjni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych

(Dyskusja[1])

W dniu 25 stycznia 1967 roku z inicjatywy Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego — podczas corocznej, uroczystej sesji z okazji 22 rocznicy wyzwolenia obozu Oświęcim-Brzezinka — odbyła się publiczna dyskusja na temat roli więźniów funkcyjnych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Dyskusję zagaił jej organizator, prof. dr *Józef Bogusz;* kierował nią jako moderator literat *Tadeusz Hołuj,* były więzień obozu oświęcimskiego nr 62937, zajmujący się w swojej twórczości między innymi dyskutowanym problemem. Prof. *Bogusz* przedstawił uczestników dyskusji. Dyskutantami „przy okrągłym stole" byli: dr *Eugeniusz Brzezicki,* były więzień obozu w Sachsenhausen, profesor neurologii i psychiatrii z Krakowa; dr *Adolf Gawalewicz,* były więzień obozu w Oświęcimiu (nr 9225) i w Bergen-Belsen, prawnik; dr *Antoni Kępiński,* docent psychiatrii z Krakowa, współinicjator naukowych badań lekarskich środowiska byłych więźniów; dr *Stanisław Kłodziński,* adiunkt Kliniki Ftyzjatrycznej AM, były więzień Oświęcimia nr 20019, były lekarz obozowy, działacz społeczny, członek międzynarodowego ruchu oporu Oświęcim-Mauthausen; dr *Władysław Wolter,* profesor prawa karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, były więzień obozu koncentracyjnego Sachsenhausen nr 5172.

Przed dyskusją zebrani obejrzeli film dokumentarny, wypożyczony z Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, pt. „Byłem kapo". Film ten ukazuje byłego więźnia obozu Oświęcim-Brzezinka, odsiadującego w Polsce karę dożywotniego więzienia za dokonane przestępstwa obozowe. Sfilmowane wypowiedzi tego funkcjonariusza obozowego aparatu zagłady przybliżyły obecnym dyskusyjną problematykę, do której nawiązują poniższe teksty.

*

* *

Tadeusz Hołuj:

Dyskusja jest trudna nie tylko dlatego, że problem nie jest wyjaśniony w nauce, w historii, w fachowym piśmiennictwie, ale nie jest wyjaśniony także u nas samych. Dlatego dyskusja jest improwizacją. Chcemy po prostu podzielić się swoimi myślami i zabrać głos w dyskusji, która trwa w opinii publicznej. Nie chodzi przecież tylko o badania naukowo-historyczne. Ukazał się już siódmy zeszyt „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", w którym są próby oświetlenia tej sprawy od strony naukowej, ale zagadnienie bynajmniej nie jest wyczerpane; to są dopiero pierwsze kroki. Jest to również współczesna sprawa polityczna, o tyle drastyczna, że nie tylko w Polsce, lecz właśnie w Europie zachodniej zagadnienie więźniów funkcyjnych stawiane jest ostrzej, niżby się mogło wydawać z różnych publikacji, książek beletrystycznych, wypowiedzi, filmów.

Zaczęło się to zresztą właściwie już po wojnie, od roku 1945, kiedy przez ulice Paryża przechodziły pochody ofiar hitleryzmu, a wśród różnych transparentów widziało się też napisy przeciwko więźniom funkcyjnym, wiele też z tych haseł zwracało się przeciw Polakom: „Polacy, mordercy z obozów". Dzisiaj takich transparentów nie ma nie tylko dlatego, że upłynął pewien czas i wiele spraw wyjaśniono sobie w naszych środowiskach więźniarskich. Niemniej jednak od czasu do czasu ukazuje się na ekranach światowych film, czy pojawia się na półkach księgarskich książka, na pewno polemiczna, zajmująca się właśnie tą sprawą w formie artystycznej lub od strony naukowej.

To złożone zagadnienie jest bardzo trudne do rozważenia i w rzeczywistości, jeśli idzie o problematykę, a nie temat, niezmiernie szerokie; mówić się tutaj będzie o sprawach zasadniczych, o moralności ludzkiej, o postawie człowieka, o tym, o czym właściwie tak długo się mówi, jak istnieje ludzkość. Trudno byłoby od nas wymagać, abyśmy te sprawy tutaj definitywnie rozstrzygnęli.

Wreszcie jest to zagadnienie dla wielu różnych specjalistów, zarówno dla prawnika, gdy idzie o ocenę nie tylko wedle kodeksu drukowanego, obowiązującego w poszczególnych państwach, ale wedle tego niepisanego kodeksu, który panował w społeczności więźniarskiej,

[1] Skrót redakcyjny, opracowany na podstawie zapisów z taśm magnetofonowych i w porozumieniu z autorami wypowiedzi (przyp. red.).

jak też dla socjologa, który by mógł określić, jakiego rodzaju było społeczeństwo, w którym pracowali ci funkcyjni, czy normalne, czy nienormalne, w jakim stopniu nienormalne; dla etyka, żeby się zająć sprawami norm etycznych, które nie tylko powstawały w obozie, ale były temu obozowi narzucane z zewnątrz przez istniejący system hitlerowski, przez SS. Jest to sprawa dla psychologa, dla lekarza itd.

Nasza dyskusja byłaby akademicka, gdybyśmy tutaj nie wszczęli rozważań od uprzytomnienia sobie paru spraw historycznych. Sądzę, że nie można wydawać żadnych wyroków, ani etycznych, ani moralnych, ani prawnych, jeśli się traktuje to zagadnienie pozahistorycznie i jeśli się przynajmniej pokrótce nie uprzytomni sobie i słuchaczom, jakiego rodzaju było w ogóle społeczeństwo obozowe, to znaczy, czy to było jakieś społeczeństwo ochotnicze, czy przymusowe, w jakie warunki to społeczeństwo już wchodziło. To znaczy, czy dopiero więźniowie stworzyli sobie jakieś normy etyczne, czy już obóz był utworzony w określonym celu, czy też celem obozu było rzeczywiście tylko zebranie jakichś niewygodnych elementów z Europy i przetrzymanie ich kilka lat lub do końca wojny, czy też cele były dalej idące. Sprawa społeczeństwa, w którym dopiero wyrosło poruszane zagadnienie, wydaje mi się podstawowa w dyskusji.

Adolf Gawalewicz:

A więc jak sformułować odpowiedź na postawione właśnie pytanie, czym była społeczność więźniarska w interesującym nas tu odcinku historii hitlerowskich obozów koncentracyjnych, przypadającym na lata wojny 1939—1945? Wydaje się, że ogólnym założeniem dla próby odpowiedzi na to pytanie może być bardzo lapidarnie ujęte stwierdzenie, że społeczność więźniów była tworem sztucznym, anormalnym, nienaturalnym. Ta sztuczność wynikała z różnych czynników, które ją kształtowały. Pierwszy z nich, to sam sposób tworzenia społeczności więźniarskiej, polegający na zasadzie przymusu. Nikt przecież do obozu nie przyszedł dobrowolnie. Tak samo rozwój społeczności więźniarskiej, czyli zmiany w jej układzie, ubytki, przyrosty odbywały się na zasadzie nienaturalnej. Wywierało to istotny wpływ na strukturę tej społeczności. Mianowicie społeczność obozowa różniła się w sposób bardzo istotny od społeczności, która podlega normalnym prawom rozwoju.

Zwłaszcza całkiem inaczej niż w normalnym społeczeństwie kształtowały się tam ilościowe i jakościowe proporcje wynikające z podziału (gwałtownie z reguły zmieniającego się składu masy więźniów) pod względem wieku, narodowości, wyznania, przekonań politycznych, poziomu ideowo-moralnego, stopnia wykształcenia. Więźniów dzieliły także nawyki do określonego standardu życia i inne jeszcze właściwości, jak kwestia odporności psychicznej i fizycznej. Tak samo nie jest obojętne, że przymusowo więzione masy były podzielone według płci (obozy męskie, obozy kobiece); ten podział też rzutował w swoisty sposób na społeczność obozową. Uprzytomnienie sobie stopnia tego rozwarstwienia ma swoje istotne konsekwencje dla tematu dyskusji. Oczywiście te wszystkie rozwarstwienia występowały w różnym nasileniu w różnych okresach w tych samych obozach. Można więc stwierdzić, że konsekwencją anormalnych zasad tworzenia obozów było rozwarstwienie społeczności obozowej pod wieloma bardzo istotnymi względami, występujące w zasadniczo innym układzie niż w społeczeństwie wolnym.

Tego typu społeczność była poddana działaniu reżimu obozowego, który w decydującym stopniu potęgował anormalność obozowego tworu. Przez pojęcie „reżim obozowy" rozumiem cały zespół nakazów, zakazów, system quasi-norm, system kryteriów wartości moralnych, które władze obozowe starały się zaszczepić, atakując brutalnie społeczność więźniów. Do tego pojęcia należy także zaliczyć całokształt warunków związanych z zaspokajaniem elementarnych potrzeb życiowych, a więc kwestie zakwaterowania, wyżywienia, pracy.

Anormalnie rozwarstwiona społeczność więźniarska, poddana działaniu wysoce anormalnego reżimu obozowego, musiała ponosić różne ważkie konsekwencje tego stanu rzeczy. Spośród konsekwencji z tego tytułu — ze względu na przedmiot dyskusji — na pierwszy plan wysuwają się zmiany w dotychczas (tj. w życiu cywilnym) uznawanej hierarchii wartości zarówno w zakresie ocen moralnych, jak i w stosunku do pracy fizycznej i umysłowej, umiejętności technicznych i kwalifikacji humanistycznych. To ogromne przewartościowanie, dewaluacja jednych i rewaluacja innych walorów mogły doprowadzić i doprowadzały u niektórych jednostek do zaniku ocen etycznych, do pewnej „aklimatyzacji", znieczulenia. Zawodziły gotowe, z wolnego świata wyniesione wzorce postępowania. Powstawały „sprzyjające" warunki do kształtowania się poglądu o bezużyteczności (w wielu sytuacjach) ofiar. Wartościowe jednostki stawały przed dylematem, czy podjąć się lub czy pełnić nadal w zmieniających się sytuacjach określoną funkcję w obozie, która dawała wprawdzie możność niesienia pomocy współwięźniom, ale za cenę pozornej lub — obiektywnie biorąc — mniej lub bardziej efektywnej pomocy w sprawowaniu przez władze obozowe ich zadań. Jaką miarą ocenić trafność i aspekt moralny decyzji na tle tych zagadnień i wobec faktu, że władze obozowe dysponowały dużymi możliwościami zastąpienia wartościowej jednostki przez indywiduum „spod ciemnej gwiazdy"? Wreszcie nie można zapominać o różnego stopnia ograniczeniach możności kierowania przez więźnia swym postępowaniem.

Oto niektóre konsekwencje wynikające dla więźniów ze scharakteryzowanego przed chwilą rozwarstwienia społeczności obozowej, terroryzowanej reżimem „lagrowym". Ale trzeba też koniecznie zwrócić uwagę na konse-

kwencje wynikające z tych samych przyczyn dla władz obozowych. Ta sytuacja więźniów dawała ich nadzorcom możność doboru odpowiadających celom obozu pomocników, możność *divide et impera* oraz infiltracji swej ideologii. A przecież mimo wszystko karty historii obozów są zapisane długim rejestrem czynów wymagających wielkiej odwagi, bohaterstwa, samozaparcia i poświęcenia. Dyskutujemy więc o sprawach niezmiernie zawiłych.

Tadeusz Hołuj:

Dr *Gawalewicz* powiedział, że nienormalny i sztuczny był ten podział, który zaistniał w obozie, na narodowości, na wyznania, na rasy, ale taki podział istnieje także na świecie. Co było wobec tego tu nienormalne? Myślę, iż to, że podziały te się nie pokrywały, na przykład jeśli w hierarchii wartości cywilizacyjno-kulturowych Francuz -inteligent stoi wyżej od, powiedzmy, greckiego woziwody, to różnica ta w obozie się nie sprawdzała. W obozie był inny przekrój klasowy. Jeśli ktoś był wybitnym intelektualistą, wygłaszającym przez swoje długie nieraz życie wykłady o moralności, to w obozie wcale nie musiał być wysoce etycznym człowiekiem. Stosunki międzyludzkie inaczej tam wyglądały, bo normalny podział na narodowości, na rasy, na religię itd. istnieje wszędzie. Czy to się pokrywało z normami wartości obozowych? Wydaje się, że nie, gdyż tam się sprawdzały zupełnie inne cechy, tam następowało wielkie przewartościowanie.

Na szczycie hierarchii stawał człowiek, który w życiu cywilnym nie stał na szczycie hierarchii danej grupy społecznej, tzn. był to system wartości, wedle którego np. jeśli ktoś był znakomitym fachowcem-ślusarzem, to na pewno wyżej stał niż intelektualista z kilkoma fakultetami, bo taki był reżim obozowy, bez względu na terror i prześladowanie, taki był układ społeczny. To było pierwsze ogromne zaburzenie. Ludzie, którzy przychodzili z jakiejś konkretnej warstwy, znajdowali się nagle w całkiem innych warunkach społecznych. Wiadomo, że na przykład ci więźniowie, którzy trafiali do obozu z warunków wysokiego dobrobytu i cywilizacji, najszybciej się załamywali z powodu absolutnej nieprzystosowalności osobowej i społecznej. Na przykład pierwsze transporty polskie świetnie się trzymały; byli to młodzi chłopcy z „granicy", jeszcze nie zniszczeni wojną; bezpośrednio przyszli do obozu, mieli większe siły fizyczne oporu niż wszyscy późniejsi. Drugie zagadnienie wynika z pytania, jakie były normy moralno-prawne w obozie, bo nie wystarczy, wydaje mi się, powiedzieć, że one istniały. A więc, czy więźniowie, którzy weszli w obóz i zaludnili ten obóz, rzeczywiście stwarzali normy prawno-etyczno-moralne, czy też zastawali już pewien system norm, który był realizowany w tym środowisku, narzucony mu przez *SS*.

Eugeniusz Brzezicki:

Właściwie były dwa rodzaje obozów, obozy wzorcowe, w których byliśmy my, profesorowie, jak Sachsenhausen i Dachau w początkach wojny, a potem rozbudowano *vernichtungslagry*, obozy, w których *de facto* głównie niszczono ludzi. Ich założeniem była masowa zagłada. Dlatego trudno jest porównywać warunki w tych dwóch typach obozów. Koledzy z drugiego typu obozów przebywali w całkiem innych warunkach, znacznie gorszych. Tam człowiek łatwiej się załamywał niż w warunkach, w których my byliśmy. Mimo to nawet muszę przyznać, iż mimo że byłem w obozie wzorcowym, to widziałem ludzi na bardzo wysokim poziomie, którzy w tych początkowych stadiach już się łamali i robili rzeczy takie, jakich w życiu normalnym człowiek ten by nie zrobił. Chodzi na przykład o kradzież chleba, która była w obozie rzeczą straszną dlatego, że stawką było życie. Zresztą różnica między obozami, którą chciałem podkreślić, później się zatarła; obozy wzorcowe stały się znacznie gorsze w późniejszych czasach.

Tadeusz Hołuj:

Nie ulegają wątpliwości różnice między poszczególnymi obozami i w dziejach poszczególnych obozów również różnice w ich rozwoju. Ale zarówno w obozach zagłady, jak w obozach pracy czy w starych obozach wzorcowych istniała jakaś norma *SS* w stosunku do człowieka, bo nie chodziło tylko o biologiczne zniszczenie. Wedle tej normy układało się społeczeństwo obozowe. Wyobrażam to sobie w ten sposób, jak da się odczytać z dokumentów hitlerowskich, że istniała pewna hierarchia nie wartości moralnych, ale całych narodów i grup społecznych. Naprzód byli Niemcy; w obozie koncentracyjnym Niemiec był kimś lepszym aniżeli ktokolwiek inny. A na czele tej hierarchii stali kryminaliści, ludzie z *Wehrmachtu*, niewielu hitlerowców, bo jeśli ktoś był hitlerowcem, to po co by siedział w obozie, ale jednak Niemcy, obywatele niemieccy; to się rozszerzało później na pojęcie *reichsdeutsch;* nawet Austriacy; skądinąd mogli to być opozycjoniści, ale sam fakt, że to był obywatel Wielkiej Rzeszy, że znał język niemiecki, stwarzał inną sytuację tego człowieka. Nawet komuniści niemieccy czy też austriaccy mieli o wiele lepsze stanowisko społeczne w obozie — bo o społecznym mówię, nie o politycznym — aniżeli tacy sami czescy czy francuscy, którzy byli przecież z reguły tępieni. W stosunku do człowieka z obozu chodziło o zniszczenie w nim człowieczeństwa, a nie tylko o to, żeby go unicestwić fizycznie. Idzie o to, jakie wobec tego były normy w obozie koncentracyjnym, to znaczy, co było uznawane w tym systemie przez *SS* za dobre i pożyteczne dla *SS*, a co nie.

Stanisław Kłodziński:

System obozów koncentracyjnych ustalony przez *SS* wyglądał różnie w różnych okresach. Przyjmując, że w dyskusji zajmujemy się okresem obozów hitlerowskich z drugiej wojny światowej, wiemy, że normy stawiane więź-

niom przez *SS* wyglądały inaczej w pierwszych dwóch latach zwycięstw hitlerowskich, inaczej zaś w latach następnych. Wreszcie *SS* stawiało w obozach różne wymagania w stosunku do różnych kategorii więźniów. Także obóz koncentracyjny w Oświęcimiu przechodził przez różne fazy rozwoju. W pierwszym okresie swego istnienia był to obóz wyniszczania Polaków, następnie Rosjan łącznie z Polakami, a w trzeciej fazie — Żydów. Więźniowie polscy do niego kierowani ginęli w nim przede wszystkim zgodnie z założeniami akcji A—B, Rosjanie jako „komisarze" wyszukiwani spośród jeńców wojennych, Żydzi jako prześladowani rasowo.

W pierwszym okresie do klęski pod Stalingradem wartość siły roboczej więźnia polskiego nie odgrywała dla *SS* zasadniczej roli. Więzień jak najszybciej miał zginąć przez pracę. *SS* zgodnie z planem politycznym miało w jak najkrótszym czasie wytępić polską inteligencję, skierowaną do obozu. Uboczny cel *SS*, rozbudowa obozu i dalsze cele wojenno-polityczno-gospodarcze pozwalały na przetrwanie w obozie tylko tym więźniom, którzy umieli się stać niezbędni w gospodarce obozowej (z wyjątkiem tych, co otrzymali wyrok z odpowiedniej komórki gestapo).

W tym układzie pierwszego okresu społeczeństwo więźniów składa się z dwóch klas: z bezimiennej masy więźniów pracujących, bitych, głodujących i wymierających, pozbawionych wszelkich praw oraz z nielicznej elity funkcyjnych, więźniów kryminalnych niemieckich, wyszkolonych i przysłanych z innych obozów. Więźniowie funkcyjni byli przedłużeniem ramienia *SS*. Ich egzystencja, wcale zresztą nienajgorsza, była uzależniona od ścisłego wykonywania poleceń *SS*. Pozbawieni wszelkich skrupułów moralnych więźniowie ci prześcigiwali się w usłużności, donosicielstwie itp., potęgując atmosferę krwawego terroru. Regulamin obozów starych, jak Dachau, Buchenwald czy Sachsenhausen, stał się w Oświęcimiu fikcją. Przy coraz liczniej napływających do Oświęcimia transportach więźniów politycznych z okupowanych terenów polskich tempo wymierania okazało się zbyt wolne. Stan dzienny obozu rozrastał się. Kadra kierownicza *SS* i rutynowanych więźniów funkcyjnych nie wystarczała. Obóz miał się przemienić w gigant. Komendaturze obozu narzucano coraz większe zadania gospodarczo-polityczne. Zaistniała konieczność powiększenia i stabilizacji kadry funkcyjnych. Czasowo potrzebni dla rozbudowy obozu fachowcy spośród więźniów krzepli na swoich stanowiskach. Byli to rzemieślnicy, inżynierowie, lekarze. Oni to jako „niezbędni" niezastąpieni fachowcy powoli opanowywali i przeinaczali istniejący „ład obozowy", starając się wyrugować tępych, pozbawionych wszelkich zasad moralności funkcyjnych więźniów kryminalnych.

Walka o zdobycie władzy „samorządowej" w obozie toczyła się nieustannie, niepozornie, bezwzględnie, samoistnie, bez przebierania w środkach. Wbrew woli i zamierzeniom *SS* powolne przejmowanie stanowisk funkcyjnych w obozie z rąk zielonych w ręce czerwonych stawało się faktem. Oczywiście nowi funkcyjni, więźniowie polityczni, zajmując eksponowane miejsca w obozie, stawali się owym przedłużonym ramieniem *SS*. Od wkładu pracy funkcyjnych w obozie zależało w pewnym stopniu tempo oświęcimskiej śmierci. Czy obrana więc przez więźniów politycznych droga przejęcia funkcji w obozie była z moralnego punktu widzenia uzasadniona? Z jednej strony egoistyczną pobudką objęcia funkcji w obozie był niezaprzeczalny fakt, że w pewnym sensie, przynajmniej okresowo, funkcyjny ratował swoje życie, z drugiej zaś strony włączał się w ten sposób w machinę śmierci, ułatwiając *SS* tępienie współkolegów. Czy staranie się o funkcję w obozie było więc instynktowną drogą ratowania własnego życia, pokrytą pozorami ogólnego dobra więźniów? Czy słuszny był ten taniec na linie funkcyjnego, ta ustawiczna walka między realizacją planów i rozkazów *SS* a ukrytym działaniem doraźnym na korzyść współkolegów? Wydaje się, że jedno nie ulega wątpliwości: wśród otaczających nas i żyjących byłych więźniów hitlerowskich obozów bardzo wielu jest funkcyjnych.

Tadeusz Hołuj:

Jedna uwaga. Czy rzeczywiście tak było, że tylko podział na funkcyjnych i niefunkcyjnych decydował o przetrwaniu obozu? Przecież ze wszystkich obozów mamy to doświadczenie, że — weźmy pod uwagę początki obozu — na przykład Żyd i ksiądz nie mieli żadnej możliwości przetrwania, nie zależało to od funkcji. Że całe grupy były inaczej uszeregowane, jeśli chodzi o możliwość przetrwania. Przecież wiemy, że w obozach były paczki żywnościowe, ale te paczki dostawały tylko pewne kategorie więźniów i to nie kategorie wedle funkcji, tylko wedle przynależności narodowej. Tak było, nie ma co ukrywać.

Co się tyczy Polaków, to w tej hierarchii społecznej, w tym społeczeństwie obozowym na pewno stali oni wyżej niż np. Rosjanie czy Żydzi. Taka była norma niezależnie od wzajemnych stosunków między tymi grupami. Chciałbym zapytać panów, czy zgodzilibyście się ze mną, że jednak normą obozu koncentracyjnego było zniszczenie człowieczeństwa, to znaczy wszystkiego, co w normalnym, cywilizowanym kręgu społecznym uchodzi za pozytywne. Więźniowie powinni być solidarni. Czy normą *SS* było pobudzenie, czy niszczenie solidarności? Czy wobec tego, gdy mówimy już o samych funkcyjnych, o tym, gdzie oni się znaleźli, po której stronie, jakie wartości wybierali, czy myśmy te hierarchie wartości sami stworzyli w obozach, czy były nam narzucone? Czy my dopiero jako więźniowie obozów koncentracyjnych tworzyliśmy sobie te pojęcia, czy myśmy się wyrzekali solidarności pomiędzy więźniami, czy to była sprawa związana z reżimem *SS*, czy była nam narzucona przez aparat pomocniczy *SS*? I wreszcie, czy

można mówić w tym wypadku, jak się mówi we wszystkich trybunałach zachodnioniemieckich, o „samorządzie" więźniów?

Antoni Kępiński:

Bardzo trudno człowiekowi, który nie był w obozie, wyobrazić sobie, co się tam działo, wczuć się w przeżycia więźniów i odtworzyć nawet w przybliżeniu schemat życia obozowego. Tym bardziej trudno sprawy obozowe takiemu człowiekowi osądzać i w ogóle pytanie jest, czy ma on do tego prawo.

Przeżycia obozowe określa się najczęściej jednym słowem: „koszmar" lub „piekło". Popularne te określenia wydają się najtrafniejsze i wszelkie próby wyjścia poza nie kończą się na ogół fiaskiem. Słowa te podkreślają nieludzkość wszystkiego, co działo się w obozie, a z drugiej strony też pewną ludzkość. Bo ostatecznie i obraz piekła w umyśle ludzkim powstaje, a koszmar jest przecież marzeniem sennym, więc również z umysłu ludzkiego się wywodzi. Nie można wyłączyć, że kiedyś przyśnił się komuś koszmar Oświęcimia, nim jeszcze stał się on rzeczywistością. Ale od snu czy marzenia na jawie jest jednak daleka droga do realizacji.

Jak się taka realizacja dokonuje? Wydaje się, iż dokonuje się podobnie jak we wszystkich układach sterujących, zarówno technicznych, jak biologicznych i społecznych. Mianowicie istnieje jakiś plan, jakaś idea i ona stopniowo przez poszczególne szczeble hierarchii dochodzi do realizacji, tj. część otoczenia zostaje wedle tego planu przekształcona. Weźmy jakąś maszynę, która ma coś wytwarzać, np. ze zboża bułeczki. To w niej musi być zawarty plan poszczególnych czynności, które doprowadzą do końcowego efektu. Otoczenie, w tym wypadku zboże, musi być zniszczone, nim z niego powstaną bułki. Żywy ustrój musi zniszczyć część swego otoczenia, które staje się jego pokarmem i zostaje przekształcone według struktury ustroju.

W obozie panowała podobna zasada. Ten, kto wchodził do obozu, musiał być zniszczony, musiał przestać być tym, kim był przedtem; stawał się numerem, ale on potem zajmował jakąś drobniutką funkcję w tym olbrzymim aparacie obozowym. Wydaje mi się, że właściwie każdy był w jakimś sensie funkcyjnym, choćby sprzątał obóz, choćby przenosił kamienie, on jakąś funkcję w tym obozie wykonywał, był włączony w cały aparat. Ostre oddzielanie funkcyjnych od niefunkcyjnych nie wydaje mi się słuszne.

Każdy musiał być jakoś włączony w tę potworną machinę. „Ceremoniał przyjęcia" nowych więźniów wprowadzono po to, żeby ich jeszcze bardziej oszołomić, aby już zupełnie nie wiedzieli, co się z nimi dzieje. Gdy taki więzień dochodził po pewnym czasie do siebie (większość jednak w tym pierwszym okresie umierała), to musiał wybrać jakąś rolę dla siebie. Te role były zasadniczo trzy. Albo stawał się „numerem", kompletnym zerem, albo starał się utrzymać to, z czym wszedł do obozu, a to było nierealne, bo trudno mu było być tym, czym był dawniej, zachować dawne swoje postawy, albo przyjmował strukturę mu narzuconą, starał się awansować w aparacie władzy, jaki w obozie istniał. Jeśli chciał jakoś przeżyć, musiał lawirować — to, co powiedział kolega *Kłodziński* — musiał z jednej strony być sobą, a z drugiej strony przyjmować daną strukturę obozu. To była sytuacja niezmiernie trudna, wymagająca niesłychanej giętkości, a jednocześnie twardości psychicznej.

W obozie koncentracyjnym wszystkie zjawiska nabierały niezwykłej jaskrawości. W życiu normalnym, przypuśćmy, ktoś nie ma czasem ochoty żyć, mówi: ach, mam już dość tego wszystkiego! Ale na drugi dzień budzi się i znów ma ochotę do życia. W obozie, jeśli tak sobie powiedział, to zazwyczaj umierał. To samo było z decyzją. My w życiu codziennym też decydujemy, ale w obozie decyzje często miały wagę życia lub śmierci. Powiedzmy, lekarz obozowy nie dał komuś jakiegoś lekarstwa, źle podsunął kartę gorączkową lekarzowi *SS*, to mogło się równać wyrokowi śmierci. Napięcie decyzji było tam więc ogromne i bardzo trudno sobie wyobrazić, jak ci ludzie potrafili decydować w tych wszystkich sytuacjach.

Często się osądza; mówi się, że ten był dobry, a ów zły w obozie. Mnie się zdaje, że bardzo trudno taki osąd wydać, bo o drugich jedni mówią w barwach jasnych, inni w barwach ciemnych. W obozie wszystko nabierało charakteru krańcowego i rzeczywiście spotyka się krańcowe opinie o tym samym człowieku, choćby o tym, któregośmy dziś widzieli na filmie; większość mówiła o nim, że był złym „kapo", ale na pewno znaleźliby się tacy, którzy by mówili, że taki zły nie był, bo komuś pomógł, tam bowiem jego decyzje rozstrzygały o tym, czy ktoś przeżyje, czy nie przeżyje.

Kwestia, jaką drogę ktoś obrał, była często sprawą przypadku; świeżo przybyły do obozu trafił, przyjmijmy, na kogoś, kto mu pomógł i tym kimś mógł się okazać człowiek, który był dla innych zły, np. był „kapo" i on to wciągnął go w całą machinę zła, ale także tym kimś pomocnym mógł być przypadkowo członek ruchu oporu.

Jeszcze jedna kwestia. W obozie człowiek nie mógł sam przezwyciężyć własnej słabości; działał na zasadzie instynktu stadnego; życie tam zaczynało się od „my"; musiał znaleźć sobie kogoś albo jakąś grupę i to grupę o dość silnej strukturze. Zdaje mi się, że nie jest kwestią przypadku, iż późniejszy samorząd obozowy był samorządem czerwonym; mianowicie ideologii hitlerowskiej musiała się przeciwstawić grupa o bardzo twardej i silnej ideologii. Prawdopodobnie jakaś inna ideologia nie miałaby siły, by przeciwstawić się *SS* i nie miałby tej siły poszczególny człowiek.

Tadeusz Hołuj:

Jesteśmy więc przy człowieku, który ma wybrać funkcję czy nie ma wybrać funkcji w obozie. Czy można powiedzieć, że każda funkcja ze swego statusu była funkcją przestępczą? Czy

również istniała świadomość tego wyboru? Jeśli więzień godził się na jakąś funkcję, czy mógł wiedzieć, że ta funkcja może go doprowadzić do konieczności następnego wyboru już pomiędzy rzeczywiście przestępstwem a odmówieniem wykonania rozkazu? Mógł być więzień, którego funkcja z tytułu nie była funkcją przestępczą. Byli tacy, którzy sprawowali tylko jakąś drobną funkcję obozową, ale gdy przychodziło do wykonania jakichś masowych rozkazów, byli także przywoływani do ich wykonywania. Czy mogli to przewidzieć, czy nie? Jaka motywacja tutaj była, nawet psychologiczna, przy przyjmowaniu tej funkcji? Oczywiście widzieliśmy na filmie, do czego zmierzał ten system wychowawczy; na pewno zmierzał do tego, aby wyszkolić w obozie jak najwięcej pomocników, co nie ulega wątpliwości, choć my chyba w tej dyskusji za mało to podkreślamy.

Władysław Wolter:

Z wielką rezerwą odzywam się tutaj, dlatego, że moja rola jest cokolwiek trudna. Poruszono tyle kwestii i tyle parametrów nałożono, że zachodzi obawa zgubienia się w tej olbrzymiej machinie, a my, tj. przedstawiciele pewnych doktryn prawniczych, jesteśmy przyzwyczajeni do operowania schematami, gdyż inaczej nie poradzilibyśmy sobie.

Już w pierwszych słowach kolegi *Gawalewicza* słyszeliśmy, że obóz, to była organizacja anormalna, sztuczna, a to dla nas, prawników, wywołuje specjalne trudności. Słowo „anormalny", „sztuczny" chyba nie oddaje w pełni prawdy, bo to była organizacja przeciwludzka. Za mało powiedzieć: „anormalna"; trzeba ją określić jako organizację przeciwludzką. W taką organizację być wplątanym powodowało daleko idące konsekwencje. My prawnicy nie mamy na to schematów, bo jeśli nawet sięgniemy do najdawniejszych, prymitywnych społeczeństw, to były to jednak społeczeństwa ludzkie, które mogły mieć takie czy inne stopnie rozwoju moralnego, ale nie były zwrócone przeciw sobie samym, jeśli tak paradoksalnie się wyrażę. Natomiast tutaj mamy taką organizację; zwyczajnie nazywa się to organizacją przestępną; całe obozy zostały uznane za organizację przestępną. Pozwolę sobie tylko przytoczyć jeden cytat z orzeczenia Najwyższego Trybunału Narodowego: „Przez organizację obozu koncentracyjnego rozumie się niemieckie władze, administrację i załogę obozu, z wyłączeniem osób spośród więźniów pełniących przymusowo różne funkcje organizacyjne, którzy mogą odpowiadać tylko za działalność indywidualną". To określa cały problem, ale trzeba coś dodać.

Obozy te wykazały nam chyba jedną rzecz. Nawet my, którzyśmy mieli szczęście być w obozie stojącym o niebo wyżej niż *vernichtungslager* Oświęcim-Brzezinka, czy inne mu podobne, mieliśmy możność obserwowania pewnego zjawiska, które oczywiście przejawiało się w mniejszym lub większym stopniu. Będę mówił o pewnej grupie osób, o tym parametrze, który mnie interesuje specjalnie. To, co nazywamy cywilizacyjną ogładą, polityrą, nabywaną od dzieciństwa, w tych warunkach przeciwludzkich bardzo łatwo odpryskiwało. Ujawniały się wtedy pewne właściwości ludzkie, których nie zaobserwowaliśmy, widząc tych samych ludzi w innych warunkach. Było tak dlatego, że trudność adaptacyjna, wzmożona przez niebezpieczeństwo śmierci, które groziło przecież i w tych obozach „lepszych", i wzmożony instynkt samozachowawczy, który rodził się w tych ludziach, doprowadzały do tego, iż ujawniały się wszystkie — powiedzmy delikatnie — słabostki, czasem więcej niż słabostki, które przeważały, a dają się właśnie tłumaczyć tym, że odporność ludzka na naciski anormalnych organizacji przeciwludzkich jest bardzo różna; dlatego jedni znosili to dłużej, drudzy krócej, jedni prędzej się już wykolejali, a inni później.

Ostatecznie dzisiaj na filmie mieliśmy możność przekonać się o jednej rzeczy, która jest dla nas pewną zasadniczą tezą, że — jeżeli pozwolę sobie zrobić maleńką tylko dygresję — przestępczość, nie w warunkach obozowych, jest jednak w dużej mierze wynikiem stosunków, w jakich dany człowiek się znajdzie, a zwłaszcza w jakich się znajdzie od chwili młodości, gdy jeszcze charakter jest bardzo plastyczny i gdy można go jeszcze formować albo deformować.

Oczywiście padło tu słusznie takie zdanie, że przecież nie każda funkcja mogła zdyskryminować danego człowieka. Były różne funkcje, ale niewątpliwie przyjęcie funkcji rodziło niebezpieczeństwo, że ktoś, kto ją sprawował, mógł — proszę mi wybaczyć to słowo — awansować, a każdy awans był groźny, gdyż powodował, że miało się potem bardzo bliskie kontakty z *SS*, odbierało się polecenia i zlecenia; wtedy albo musiało się odmówić wykonania rozkazu, co było równoznaczne z daleko idącymi konsekwencjami, albo stawało się człowiekiem, który potem już z własnej woli spełniał te czynności w sposób zbrodniczy, czego absolutnie wybaczyć nie można, choć można powiedzieć, że nie wszyscy są stworzeni na bohaterów i nie każdy może się zdobyć na to, żeby być bohaterem. To nie jest takie proste i łatwe. Ale jednak czasem te warunki wymagały pewnego bohaterstwa, ażeby się przeciwstawić. Dochodziło więc do takich tragicznych wypadków, jak widzieliśmy na tym filmie [2].

Ta organizacja i te normy służyły nie dla utrzymania ludzi, tylko dla ich zniszczenia. W tej sytuacji moralność i wymagania etyczne były tutaj deprymowane przez całą tę organizację jako wynik określonego nastawienia politycznego sfer rządzących ówcześnie w Niemczech hitlerowskich. Przenoszenie żywcem naszych norm etyczno-moralnych na stosunki obozowe jest niemożliwe. Musimy tutaj

[2] Dużą część filmu „Byłem kapo" zajmują enuncjacje skazanego, który usiłuje się usprawiedliwić, że we wczesnej młodości, niedoświadczony trafił do obozu, gdzie uległ trybom panującego tam systemu (przyp. red.).

stosować pewną swoistą miarę, która jednak nie oznacza jakiegoś liberalizmu absolutnego, tylko znaczy, że tutaj musimy być bardzo ostrożni.

I dlatego moją końcową tezą, zresztą wynikającą również z tej dziedziny, którą reprezentuję, jest, że indywidualizowanie jest rzeczą niezbędną; nie można tych spraw uogólniać. Nie można ani powiedzieć, że wszyscy funkcyjni są niewinni, bo trudno, spełniali tylko swoje obowiązki, ani nie można też powiedzieć odwrotnie, że nie powinno się było żadnych funkcji podejmować, tylko trzeba stwierdzić, że jednak w tych warunkach człowiek miał powinność zostać człowiekiem. To jest cały problem: miał powinność zostać człowiekiem i w miarę swoich właśnie możliwości ten zasadniczy obowiązek spełniać, a jeżeli go nie spełniał, to musi za to ponieść odpowiedzialność. Jeśli się mówi, że to funkcyjni wszystko zło robili, to jest tylko wybieg, którego może użyć ktoś, kto chce od siebie odepchnąć zarzut, że za działalność funkcyjnych odpowiadają ci, którzy wszystkie te funkcje i całą organizację stworzyli.

Tadeusz Hołuj:

Mamy więc system, w którym zbrodnia była premiowana, a czyn dla dobra więźniów był karalny. Czy wobec tego można by powiedzieć, że spośród funkcyjnych dałoby się wyróżnić grupę bezspornych przestępców, uznanych za winnych przez środowisko więźniarskie? Wiemy bowiem, że i w obozie koncentracyjnym pewni ludzie surowo byli potępiani przez środowisko; wiemy również, że były tajne i nietajne wyroki na tych przestępców i to wykonywane. Była jednak w obozach koncentracyjnych pewna granica nieprzekraczalna.

Jest także pewna gradacja stopnia odpowiedzialności, niezależnego nawet od stopnia funkcji, bo wiemy o tym, że byli drobni, mali funkcyjni, którzy zamordowali więcej ludzi i więcej mają istnień ludzkich na sumieniu aniżeli wielcy funkcyjni z groźnymi opaskami na ramionach.

Warto się zastanowić, czy w obozie pewien stopień odpowiedzialności zależał od jakiegoś rozeznania, stanu, inteligencji człowieka (tu nie chodzi o wykształcenie i intelektualizm). W obozie inaczej traktowało się takiego, jak ten tu oto na filmie, człowieka prostego, który reprezentował właściwie tylko samego siebie w stosunku do innych więźniów, a inaczej trzeba było traktować i dzisiaj w dalszym ciągu chyba w naszej opinii tak się traktuje człowieka, który pełniąc funkcję reprezentował w szerokiej opinii więźniarskiej, a dzisiaj też w opinii pozawięźniarskiej nie tylko swą własną osobę, nazwisko i numer więźnia, ale pewną grupę. To znaczy, jeśli był to więzień wysoko postawiony w cywilizowanym życiu, sprawujący przed wojną jakąś znaczną funkcję, więzień cieszący się pozytywnym autorytetem z okresu sprzed wojny albo z obozu, a w obozie staczał się na drogę przestępstwa, to stopień jego odpowiedzialności jest, moim zdaniem, o wiele większy, gdyż wiąże się to również z rozeznaniem tego, co w tych konkretnych warunkach było normą *SS*, a co normą więźniów politycznych.

W środowisku obozowej służby zdrowia sprawa funkcyjnych jest jeszcze bardziej zawiła. Funkcyjni ci nie byli wyznaczeni przez *SS* w szpitalach, w służbie zdrowia dlatego, żeby mordować ludzi. Takiego celu nawet *SS* nie stawiało jako tytuł funkcji. Lekarz blokowy czy lekarz szpitala nie był przeznaczony przez *SS* do mordowania. Ale przecież wiemy, że w tych szpitalach działy się straszliwe rzeczy. Jak tutaj można podejść do sprawy odpowiedzialności funkcyjnych, charakteru funkcyjnych, przyjmowania tych funkcji?

Eugeniusz Brzezicki:

Sam mogę powiedzieć tylko o tym obozie, w którym byłem. Tam funkcyjni dawani do pomocy lekarzom, to byli kryminaliści. Trudno więc było spodziewać się od nich, żeby się zachowywali odpowiednio. Od jednego z lekarzy *SS* w Sachsenhausen, który ze mną był w dość dobrych stosunkach, usłyszałem, że są dwie zasadnicze cechy postępowania *SS*: „litość jest słabością" i „nienawiść wrogowi". To założenie było wszędzie, wszystko jedno, czy dotyczyło szpitala, obozu czy nawet frontu, gdy szło o *SS*. Lekarze *SS* wyznaczali przecież na gazowanie, a zatem nie można tutaj mówić o tym, żeby wykonywali funkcję taką, jaką nakazuje prawo Hipokratesa. Stąd właśnie procesy lekarzy *SS*. Ja bym ujął sprawę w ten sposób: z jednej strony istniał wielki nacisk całej machiny hitlerowskiej, która z założenia była bezwzględnie nieludzka, z drugiej zaś mamy odpowiedzialność osobistą.

Tadeusz Hołuj:

Więźniowie usiłowali we wszystkich obozach opanować pewne funkcje. Otwarcie należy powiedzieć, że wiele z tych akcji nie było kierowanych żadnymi wielkimi pobudkami, tylko po prostu była to normalna walka o władzę, o życie, o stanowiska, podobnie jak w normalnym społeczeństwie. Ale była również akcja kierowana, celowa, gdyż więźniowie polityczni chcieli wszędzie, we wszystkich obozach mieć na stanowiskach przede wszystkim pozytywnych dla społeczności więźniarskiej, swoich ludzi, zaufanych więźniów politycznych. Być może jest to mniej efektywna strona zagadnienia, mniej jaskrawa i wymierna chociażby wobec kodeksu, ale jednak były to wielkie akcje, może jeszcze nie dość doceniane przez historię obozów koncentracyjnych.

Tak samo działo się i w szpitalach obozowych. Trzeba przypomnieć, że we wszystkich obozach koncentracyjnych, po pewnym okresie walki z elementami przestępczymi, szpitale służyły za jakąś ludzką bazę w obozie koncentracyjnym. Nie mówię tylko o bazach ruchu oporu, ale po prostu tam była nadzieja i otucha więźniów.

Bezwzględną walkę narzucił system. Były przecież tajne wyroki i sądy kapturowe, ale

czasem obywało się bez nich; społeczność więźniarska „załatwiała" się z funkcyjnymi, którzy byli zdrajcami czy mordercami, jeśli to tylko nie groziło odpowiedzialnością zbiorową w stosunku do reszty społeczności.

Doszliśmy chyba w naszej dyskusji do konkluzji, że nie można identyfikować sprawowania funkcji w obozie i posiadania pewnej nawet władzy w społeczeństwie obozowym z działalnością przestępczą. Mnóstwo było bowiem przestępców obozowych, którzy nie byli funkcyjnymi. W obozie oświęcimskim Polak-więzień „zaszpilował", zgłaszając się na ochotnika, tysiące współwięźniów; to nie była jego funkcja, gdyż nie było takiej funkcji kata, z której tytułu można by zabijać ludzi. Ten ochotnik zabijał, realizując cele okupanta. To nie było karalne przez *SS*, ale każdy dobry uczynek dla współwięźniów był karalny. Wyjaśnić jeszcze trzeba, dlaczego więzień polityczny przyjmował opaskę i szedł na funkcję. Czy rzeczywiście była to gwarancja, że on na tej funkcji będzie służył więźniom?

Stanisław Kłodziński:

Wydaje się, że należało kierować się względami utylitaryzmu moralnego, to znaczy, jeżeli były możliwości, iż pełniąc daną funkcję będzie można znacznie więcej zrobić dobrze i jeżeli miało się przekonanie, iż na tym stanowisku więzień funkcyjny nie poniży się i nie złamie zasadniczych przepisów moralnych, to jego obowiązkiem było bezwzględnie stanowisko takie obejmować po to, aby móc ratować istnienie i życie wielu swoich współkolegów. To jest chyba zasadnicza i słuszna postawa w tej sytuacji, gdyż zostawałaby może filozofia hinduska, że należało torpedować wszelkie akcje *SS* i nie przyjmować żadnych funkcji; taka postać biernego oporu była w obozie koncentracyjnym praktycznie niewykonalna. Gdyby wszyscy więźniowie zmówili się, że nie pomogą *SS* w wyniszczeniu społeczeństwa więźniarskiego, czyli stawialiby jakiś powszechny bierny opór, wtedy niewątpliwie *SS* nie byłoby w stanie wyniszczyć aż tak wielkiej liczby ludzi. Ale esesmani znaleźli popleczników, którzy im w tej akcji pomagali. Z praktycznego i życiowego punktu widzenia należało włączać się tylko pozornie w aparat *SS* po to, aby innych ludzi ratować.

Tadeusz Hołuj:

Zapewne prawie na wszystkich funkcjach mógł być człowiek, który sprzyjał więźniom lub sprzyjał *SS*. Mogły być wypadki, że był to ten sam człowiek. Trochę pracował dla jednej, trochę dla drugiej strony, stąd też niezwykle trudne procesy kryminalne. Siedzi oskarżony na ławie oskarżonych, ma stu świadków obrony, że był bohaterem i stu świadków, że był mordercą; jedno i drugie jest prawdą. W stosunku do pewnej grupy był jak najlepszym człowiekiem, pomagał. Mogła to być jego grupa zawodowa z tego samego pokolenia, transportu czy rejonu zainteresowań; niszczył inną grupę. Mogły to być różne grupy narodowościowe czy społeczne. W stosunku do jednych był zainteresowany, żeby pomagać, w stosunku do innych, żeby je niszczyć. Oczywiście to bardzo komplikuje sprawę, bo te linie przechodziły przez człowieka, a nie tylko przez funkcje.

Ostatnie zagadnienie w naszej dyskusji, to sprawa Polaków funkcyjnych, najbardziej drastyczna, gdyż trzeba tutaj wyjaśnić rolę Polaków w całym aparacie funkcyjnym.

Stanisław Kłodziński:

Nie wszyscy, którzy dostali się do obozu, byli więźniami politycznymi. Jeśli chodzi o społeczeństwo polskie, to w znacznej mierze byli to ludzie, którzy trafili do obozu ze względu na planowane biologiczne wyniszczenie narodu. Wobec tego nie byli to ludzie, którzy mogliby być typowym przykładem więźnia politycznego, jak tego moglibyśmy się spodziewać na przykład po komunistach zahartowanych w walkach hiszpańskich czy w jakiejś akcji politycznej, prowadzonej przez całe życie. Więźniów polskich trzeba traktować jako duże środowisko, niewyrobione, często nie mające nic wspólnego z polityką i ideologią, osadzone w obozie także z „łapanek", za przemycanie słoniny czy kiełbasy, z masowych akcji i wobec tego od tych ludzi trudno się było spodziewać jakiegoś sztandarowego, politycznego stanowiska w samym obozie.

Tadeusz Hołuj:

W tej grupie największe możliwości mieli *volksdeutsche* i *reichsdeutsche*. Nomenklatura ta nic nie mówi Francuzom, Belgom czy Holendrom. Stąd, jak powiedziałem na początku, był ten atak przeciw Polakom, bo ci więźniowie utożsamiali takich ludzi ze zwykłym obywatelem polskim. Więzień, który mówił po polsku, a trochę po niemiecku, był dla nich Polakiem. Z tej kategorii rekrutowało się najwięcej przestępców obozowych, nie dlatego, że wszyscy *volksdeutsche* byli przestępcami, ale po prostu *SS* do swojego aparatu pomocniczego brała przede wszystkim ludzi znających język niemiecki bądź poczuwających się do wspólnoty z Trzecią Rzeszą. Zaszkodzili oni opinii Polaków w zdecydowany sposób. Jeśli się czyta niektóre książki o obozach koncentracyjnych, wydane na Zachodzie, to czasem włosy się jeżą na głowie, gdy się czyta właśnie o Polakach funkcyjnych. Opinia ta trwa i jest gruntowana w pewnej mierze także przez niektóre procesy zachodnioniemieckie, które z kolei wywołują falę oporów w określonych środowiskach NRF, potrzebę usprawiedliwienia *SS*. Z potrzeby tej operują tam często zarzutem przeciw Polakom — więźniom funkcyjnym. Na każdym procesie niemal siedzi wśród esesmanów jakiś więzień. Czy więc za to, że byli w ogóle tacy przestępcy w obozie, za to, że tworzył się taki system wartości, że ludzie szli na tę drogę, wielu 17 czy 16-letnich, czy za to także nie ponosi winy *SS*? Jeśli wśród dziesięciu oskarżonych jest jeden więzień, to oni również powinni ponosić odpowiedzialność za tego więź-

nia. Nie on bowiem stworzył ów system, nie on stworzył te normy moralne, nie on realizował z własnej woli program zbrodni, chyba że był to jakiś psychopatologiczny morderca.

Eugeniusz Brzezicki:

Między ludźmi jest wielka różnica typologiczna. Znamy cechy charakterystyczne Niemców, które w wysokim stopniu ułatwiały im to, co robili. We wszystkim bardzo dokładni, organizacyjnie są sprawni, podporządkowani rozkazom wykonują je dokładnie; to wszystko rzutuje na ich sposób zachowania się. Polacy zaś, gdy im się dobrze powodzi, są „odśrodkowi", każdy jest indywidualistą. Gdy są razem w warunkach złych, są „dośrodkowi", trzymają się wspólnie znacznie lepiej, toteż z obiektywnego punktu widzenia Polacy zachowywali się w większości lojalnie między sobą. Zasadniczo ich sposób zachowania się był w większej mierze solidarny niż na przykład u Niemców, którzy załamują się bardzo szybko w razie jakichś trudności życiowych. Niemcy już przed wiekami byli gwałtowni, szaleni i walczyli do upadłego (*furor germanicus*). Dla jeńców niewyrozumiali, mordowali ich w sposób okrutny. Tak samo bezwzględni byli Krzyżacy. Widzimy, że oni właściwie w tym okresie zupełnie się nie zmienili. Myśmy się też mało zmienili; mimo że wygląda to na samochwalenie się, stoimy znacznie wyżej od Niemców właśnie pod względem tego, że w czasach trudnych trzymamy się znacznie lepiej niż w dobrych.

Władysław Wolter:

Podkreśliłem już, że za zbrodnie indywidualne, popełnione przez funkcyjnych, odpowiada ten aparat, który narzucił normy prowadzące do zła. Nie jest to więc żadna ekskuza, że to nie my, tylko oni. Sprawcami są nie tylko ci, którzy fizycznie rękę przykładają, ale ci, którzy daną organizacją kierują. A to było jednak kierownictwo świadome, celowe, które zmierzało do tych właśnie celów zbrodniczych.

Co do Polaków, pragnę dodać, że ja nie mam żadnych osobistych takich doświadczeń; myśmy się z tym nie zetknęli. Mam tylko jedno doświadczenie; w obozie Sachsenhausen zetknęliśmy się z górnikami, właśnie bardzo twardymi, zahartowanymi Polakami z Westfalii, którzy już od pierwszej chwili, gdyśmy tam przyszli, okazywali nam tyle serca i tak próbowali iść na rękę, że to było wprost rozczulające. A więc to, co powiedziano tutaj, że Polacy czuli wewnętrzną spoistość, niewątpliwie odgrywało rolę, ale z drugiej strony musimy pamiętać, że w tych obozach znajdowali się bardzo różni ludzie. Z różnych powodów, z obław ulicznych itp. dostawali się tam w masie bardzo różnorodnej ludzie, którzy absolutnie nie byli przygotowani na to, żeby stawić czoła wszystkiemu, co ich spotkało; niestety ulegali oni tej degrengoladzie, która niewątpliwie zaistniała. Nie możemy zaprzeczyć, że takie wypadki były, ale uogólnienie, że to myśmy byli, Polacy funkcyjni, którzy mordowali, jest oczywiście absurdem i nonsensem takim, że nawet trudno z tym walczyć.

Tadeusz Hołuj:

Sprawa jest w dalszym ciągu otwarta; nie tylko kwestia oceny byłych więźniów funkcyjnych, ale sprawa najdramatyczniejsza, moim zdaniem, to znaczy, że w ogóle stało się możliwe stworzenie warunków, takiego systemu wartości, w którym premiowane było zło, a więc warunków, w jakich tacy chłopcy, jak ten tutaj na filmie (to nie jest indywidualny wypadek) stawali się mordercami, a poważny niestety odsetek więźniów przyjął ten system za swój. Nie znaczy to, że się godził politycznie i ideowo, ale uważał, że tak będzie, że to jest koniec tego świata, a nowy świat, to właśnie ten obozowy system wartości, toteż trzeba w nim znaleźć swoje miejsce, gdzieś się umościć, gdzieś uwić sobie gniazdo, utrzymać się w tym systemie do końca swego życia. Te nasze porzekadła obozowe, że „i tak trawka, i tak trawka", są bardzo tragiczne, bo oznaczały u wielu ludzi, że się pogodzili nie z systemem niszczenia ludzi i że oni sami będą zniszczeni, ale również z tym systemem wartości, który przewidywał kolejkę do zagłady.

I tacy ludzie mówili: „To jeszcze nie nasza kolej, a jeżeli pewna grupa ludzi i tak ma zginąć, to po co się nimi opiekować. Jeśli mam do wyboru dać pigułkę dwóm chorym, z których jeden należy do grupy mającej możliwość przetrwania, a drugi należy do skazanych na zagładę, na przykład choremu Żydowi i choremu «Aryjczykowi», to choćby ten Żyd był bardziej chory, bardziej potrzebujący, dawało się choremu «Aryjczykowi»". Dzisiaj można to różnie oceniać, ale to była jakaś podświadoma asymilacja do warunków, które nam narzucano; w tym tkwi niebezpieczeństwo, że ten bakcyl był silniejszy niż się nam samym wydawało.

PIOTR WESEŁUCHA Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen nr 43368

Uwagi o swoistości psychicznej byłych więźniów

Grupa byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, zaproszona przez panią *Ryder*, wyjechała w lipcu 1967 roku z Warszawy do Anglii celem spędzenia tam urlopu. Skład grupy był właściwie zupełnie przypadkowy, po kilku byłych więźniów Oświęcimia, Sachsenhausen, Majdanka, Dachau, Mauthausen, zresztą kto się wówczas nad tym zastanawiał. Zjechali z różnych stron Polski, z Warszawy, Krakowa, Poznania, Gdańska, Bydgoszczy, Kędzierzyna, Białegostoku; każde miasto miało przedstawicieli.

Podobnie różnorodnie przedstawiała się grupa pod względem wieku, w jej skład wchodzili bowiem nauczyciele, architekci, lekarze, pielęgniarki, pracownicy administracyjni, ksiądz, renciści... Właśnie, renciści! Byli oni jakby dzwonkiem alarmowym dla wszystkich pozostałych. Z jednej strony przypominali swoją obecnością działalność „eksperymentalną" sumiennych i dokładnych, jak zwykle, lekarzy niemieckich, którzy przeprowadzali na nich swoje „doświadczenia naukowe", z drugiej zaś sygnalizowali, że wśród byłych więźniów coraz bardziej nabrzmiały staje się problem geriatryczny. Ale o tym później.

Skład zawodowy grupy był typowy. Typowy oczywiście dla himmlerowskiego planu „oczyszczenia" Polski. Według niego należało zapobiec, aby inteligencja polska nie przejęła kierowniczej roli w narodzie. Polaków należało utrzymać w głupocie, by nie stawiali oporu. Dlatego właśnie w grupie tej był taki odsetek ludzi mogących odgrywać wychowawczą czy kierowniczą rolę w społeczeństwie.

W pociągu rozmowa zaczęła się w sposób „penetrujący". Wszyscy raczej ostrożni, opancerzeni, spodziewający się agresji i gotowi do obrony. Nic dziwnego zresztą, gdyż fakt przetrwania obozu był dla nich czymś tak niezwykłym, że zazwyczaj woleli tego tematu nie poruszać w środowisku przeważnie całkiem niezorientowanym. A ponieważ środowisko takie było raczej typowe dla nich, weszli więc w swój zwykły stereotyp. Pozostał jednak dla nich temat dozwolony, a mianowicie opis swych warunków domowych, swej pracy.

„Kieruję dużym wydziałem w instytucie. Praca jest odpowiedzialna, ale zarazem bardzo efektowna. Mam dużą satysfakcję z naszych osiągnięć. Ludzie, którymi kieruję, są naukowcami wysokiej klasy, cechuje ich poza tym wysoka kultura osobista i konflikty w takim układzie są trudne do pomyślenia".

„A jak ci się układa życie w domu?" — „Mam dwóch synów; jeden zdaje w przyszłym roku maturę. Jest teraz ciasno, gdyż każdy chciałby mieć pokój dla siebie, ale nie jest to aż takim problemem, by ulegała zepsuciu atmosfera życia rodzinnego".

„Właściwie wszędzie, gdzie są dorastające dzieci, sprawa własnego kąta urasta do problemu. Myślałem, że tylko Warszawa z tym się boryka, ale, jak widzę, w całej Polsce są dwudziestolatki. U mnie są inne kłopoty, a mianowicie mam dość poważne dolegliwości sercowe. Pod wpływem zdenerwowania, wzruszeń, zmęczenia, a często bez powodu pojawiają się silne bóle za mostkiem. Przebyłem przed pół rokiem zawał serca. I wyobraź sobie, że w tej chwili zapomniałem o istnieniu serca, natomiast zaczyna mi dokuczać żołądek. Zapalę papierosa, to może mi przejdzie".

W zasadzie jednak członkowie grupy bardzo niechętnie ujawniali swe dolegliwości. Dane na ich temat i to dane bardzo wyrywkowe mogłem zebrać w toku przeszło trzytygodniowej obserwacji. Wydaje się wszakże, iż przynajmniej niektóre z nich zasługują na przytoczenie. I tak:

Archeolog, lat 65. Fizycznie był zawsze pełnosprawny. Stale niespokojny, jakby nieco zezłoszczony. Bardzo często wiercił się niespokojnie, wstawał, siadał. Często ujawniał brak poczucia dystansu i wzmożone samopoczucie. Nakryty stół za każdym razem tak wyzwalał w nim niepohamowane uczucie głodu, że bez względu na okoliczności siadał samotnie i zaczynał jeść na przykład suche płatki z talerza. Natomiast w sytuacjach bardzo „napiętych" dla grupy okazał się wielokrotnie koleżeński, czuł się współodpowiedzialny za rezultaty działalności tej grupy, działał szybko i... niespodziewanie. Wydawało się, że względy materialne nie odgrywają u niego poważniejszej roli.

Nauczyciel, lat 64. Fizycznie słabo wydolny, astmatyk. Nie chciał się zwrócić do żadnego z lekarzy znajdujących się w grupie, mimo że jego oddech ze świstami i furczeniem słychać było na odległość. Z wdzięcznością jednak przyjął ofiarowane mu tabletki. Pogodny, chętnie brał udział w chóralnym śpiewie, aczkolwiek stanął na etapie „Wojenko, wojenko..." i „Przybyli ułani..." Wdowiec, żonaty drugi raz; młoda żona spodziewała się właśnie dziecka.

Rencista, lat 51. Ciężko chory na serce (zupełna niemiarowość). Stale zażywał przywiezione ze sobą leki. Zdarzyły się kilkakrotnie epizody zasłabnięcia. Raczej depresyjny. Gdy zaistniała możliwość uzyskania leków zagranicznych, przedstawił całą listę środków bardzo kosztownych, ale nie mających żadnego, nawet odległego związku z choroba zasadniczą. W grupie miał kilku kolegów obozowych, ale ci unikali kontaktów z nim. Wyjaśniali to jednym słowem: kombinator. Może i to było powodem, że był prawie zawsze osamotniony. A przecież jego bardzo ciężka choroba organiczna wymagała właściwie stałego opiekuna, jakiegoś dobrego „anioła stróża".

Urzędnik, lat 65, o miernym raczej zdrowiu fizycznym, aktywny, ale mało wydolny. Zasypiał często po drodze i w drodze. Wydawało się, że cierpi na chorobę przymusowych abstynentów, gdyż szukał raczej bezowocnie okazji do wypicia; miał duże zaburzenia pamięci, często konfabulował. Bardzo pogodny, lubił chętnie „poświnić" (językiem), ale miał wyjątkowego pecha, gdyż dostał wspólny pokój z księdzem. O swoich przejściach obozowych nie mówił nic.

Ksiądz, lat 62. Fizycznie sprawny, bardzo pogodny, namiętny palacz. Inteligentny, oczytany; doskonały mówca. Bardzo szybko zaprzyjaźnił się z wielo-

ma kolegami, którzy chętnie szukali z nim kontaktów. Mimo to jednak wyczuć w nim można było i to dość wyraźnie jakieś niezadowolenie i niepokój wewnętrzny. Stan taki trwał przez długi czas i dopiero pod koniec wydawało się, że ustąpił całkowicie. Bardzo rzadko wspominał o swych obozowych przeżyciach, rozdrażniało go to bowiem niezwykle.

Lekarka, lat 45. Stara, wygojona choroba płuc powoduje, że mimo zdrowego wyglądu i sprawności fizycznej czuje się słabo. Stale walczy o powietrze. Jest raczej pogodna, ale popada często w konflikty z powodu drobiazgów, które narastają u niej do problemów. W związku z tym staje się początkowo jakby wyobcowana i tylko pomoc jednej z koleżanek, która orientuje się w sytuacji, pozwala jej nawiązać ponownie prawidłowe stosunki z grupą. Z jej wypowiedzi wynika, że również w pracy ma dość częste konflikty z chorymi. Jest bałwochwalczo zakochana w swoim mężu, pisze do niego tasiemcowo długie listy, równocześnie pisze też pamiętnik z podróży, by w domu zdać mu sprawę z tego, co widziała. Jako dokumentacja służą kupowane wszędzie *slajdy*. Ma córkę, dla której, podobnie jak dla męża, żywi ślepe uwielbienie. O siebie dba mało. Przeżycia obozowe odsuwa z dyskusji. Sama nigdy nie mówi na ich temat.

Prawnik, lat 50. Choruje na przewlekły stan zapalny dróg żółciowych ze znacznym uszkodzeniem miąższu wątrobowego. Poza tym ma uszkodzenie torebek stawowych obu stawów barkowych (wiele godzin słupka w obozie). Przez cały czas jest bardzo ostrożny, raczej lękowy, unika wychodzenia na pierwszy plan. Widzi wszystko początkowo w czarnych kolorach, ale chętnie wierzy w zapewnienia i akceptuje racjonalizację zwróconą w kierunku przeciwnym. Pod wpływem napięcia psychicznego wspartego drobnymi błędami dietetycznymi dostaje licznych ataków kolki wątrobowej, natomiast błędy dietetyczne bez wsparcia psychicznego ataków tych nie wywołują. Jest koleżeński, postępuje tak, jakby postąpił Polak-*häftling* wobec drugiego *häftlinga*. Chętnie i dużo mówi o obozie i swoich w nim przeżyciach.

Architekt, lat 50. Fizycznie raczej sprawny, wielokrotnie leczony w zakładach psychiatrycznych z powodu stanów nerwicowych. Okresowo ma napady częstoskurczu, które przeżywa bardzo lekowo. Dobry organizator, pogodny, sumienny. Bardzo chwiejny emocjonalnie, łatwo popada w dobry nastrój, którym zaraża innych, ale równie łatwo wzrusza się i płacze. Jest niezwykle koleżeński i zwraca mało uwagi na własny interes. Jest dumny ze swych synów, którą to czwórkę ma w fotografiach w swoim portfelu i chętnie ją demonstruje. Lubi również swój zawód i wydaje się, że przeżywa przykro istnienie sprzecznych nieraz ze sobą paragrafów, utrudniających prawidłowe jego wykonanie. Tematyki obozowej nie unika, ale też traktuje ją bez entuzjazmu.

Nauczyciel, lat 57. Choruje na gościec przewlekły postępujący. Dzięki jednak rozsądnej gimnastyce typowe zniekształcenia są nieduże i upośledzają sprawność fizyczna jedynie nieznacznie. Jest bardzo koleżeński i wykazuje koleżeńskość typową dla byłych więźniów. Ma szczególnie trudną sytuację w domu, żona jego jest trwale przywiązana do łóżka (gościec przewlekły postępujący zniekształcający); często musi wstawać do niej w nocy. Jest bardzo wdzięczny za informacje dotyczące ewentualnych nowych metod leczniczych w tej przykrej chorobie. Temat, który go absorbuje, zalega niezmiernie długo w jego świadomości, toteż staje się dla otoczenia dość uciążliwy. Uwielbia swój zawód, zna go i rozumie doskonale, kocha młodzież i nie szczędzi dla niej swych sił. Ani razu nie wspomniał o swoich obozowych przeżyciach.

Przedstawiono tutaj niektóre szczegóły dotyczące jedynie kilku byłych więźniów z 30-osobowej grupy, ale jest to próbka, która doskonale reprezentuje całość. Wyłączono tzw. „dzieci oświęcimskie", trzy osoby, które zapewne wymagają specjalnego i to raczej psychiatrycznego opracowania, ale na tle jakiejś większej grupy podobnych „dzieci oświęcimskich".

Pociąg przejeżdżał przez Niemcy (NRD i NRF) tranzytem. Była to więc o tyle szczęśliwa sytuacja, iż kontakty z Niemcami były krótkotrwałe („pieczątkowe"), mimo że dość liczne. Oglądano ich z różnych stron i porównywano z tamtymi, „naszymi" Niemcami. Niektórzy widzieli ich niedawno, gdyż brali udział w różnych procesach jako świadkowie. Większość jednak, to tak zwane „dwadzieścia lat później".

W Dover zaproszono grupę do autokaru i podróżą zmęczonych przywieziono do starego pałacu w Melford. Piękna posiadłość wiejska. Cisza aż budziła ze snu. Wtedy to okazało się, że gdy w dużym mieście chrapanie nie stanowi żadnego zagadnienia w porównaniu z hałasem sprawianym przez setki najróżniejszych pojazdów, to tam na wsi chrapanie budziło nie tylko mieszkańców danego pokoju, ale i wszystkich z przyległych komnat. Wynika z tego, że wszystko zależy od układu odniesienia.

Umożliwiono następnie zwiedzanie najbliższych okolic, wspaniałych wczesnośredniowiecznych świątyń, słynnego miasta uniwersyteckiego Cambridge, zabytkowych wsi itd.

Gdy zapytano panią *Ryder*, która od lat jest inicjatorem i organizatorem takich wakacji dla byłych więźniów, dlaczego to robi, odpowiedziała, że w ten sposób pragnie uczcić tych, co zginęli w niemieckich obozach koncentracyjnych oraz tych, co przetrwali (*survivors*, to imię, którym tych ostatnich ochrzciła). Należy dodać, że istnieje cała setka prześladowanych ongiś przez Niemców ludzi, którzy w dniu wyzwolenia szukali na nich rewanżu i za ten właśnie rewanż zostali skazani na długoletnie, nieraz dożywotnie więzienie przez sądy alianckie. Pani *Ryder* jest jedynym człowiekiem, który jeszcze dzisiaj próbuje tych ludzi wyciągnąć z opresji. Ma jednak duże trudności, gdyż odpowiednie rządy różnych państw nie chcą, czy nie mogą podjąć interwencji w ich sprawie.

W czasie podróży grupa społecznie dojrzewała. Początkowo powoli, a później coraz szybciej była usuwana śniedź, która zaczynała pokrywać prawidłowe dla wszystkich byłych „kacetowców" poczucie wspólnoty, prawdziwie rodzinnej. Wszyscy poczuli się w pełni odpowiedzialni za siebie samych, za całą grupę, za Polskę i za ludzkość; trudno tu znaleźć mniej górnolotne wyrażenie, by określić tamtą sytuację.

Goszczonych byłych więźniów oddano na dziesięć dni pod opiekę miejscowych „rotarianów" (członków *Rotary Club*). Umożliwiono im obejrzenie wspaniałych zabytków historycznych w samym Londynie, jak i Windsor, Eton, Stratford nad Avon, St. Albans (z rzymską osadą Verulamium). Pokazano kilka miast-satelitów Londynu, jak Welwyn Garden City i Stevenage, które zostały wybudowane z myśla o maksymalnej wygodzie i zdrowiu ich mieszkańców. Zapraszano na spotkania towarzyskie zarówno w publicznych lokalach, jak

i w domach prywatnych. Zaproszono na koncert w *Royal Albert Hall* w Londynie, podczas którego występowała orkiestra symfoniczna Polskiego Radia.

Zmieniono radykalnie opinię o angielskiej kuchni i angielskich drogach. Autorami dotychczasowej negatywnej opinii byli prawdopodobnie tylko Anglicy, którzy są raczej skromni. Chłodny i milczący Anglik był chyba jedynie wytworem satyryków, gdyż Anglicy, z którymi członkowie grupy nawiązywali kontakt, okazali się prawdziwymi ludźmi z krwi i kości. Wiedzieli dużo o niemieckich obozach koncentracyjnych, a jeszcze więcej chcieli się dowiedzieć. Próbowali w sposób niezwykle taktowny dać do zrozumienia, że to, co czynią obecnie, ma być jakimś hołdem dla całego narodu polskiego za jego przeogromne ofiary i cierpienia oraz za jego obecną postawę. Bardzo mile przyjmowali wielokrotne propozycje odwiedzenia Polski, zobaczenia jej rozwoju, obejrzenia pradawnych i nowych pamiątek historycznych.

Częste przypominanie przeszłości, kontakty z podobnymi sobie, wspólne nieraz przeżycia obozowe, wszystko to spowodowało jednak, że cały wolny czas został poświęcony rozgrzebywaniu historii obozowej. Zaczęło się typowe rozdrapywanie starych ran. Ale nie było tu widać wzruszenia, tylko raczej analizę siebie samych na zimno. Była w tym jakaś beznadziejność, bo odpowiedzialni bezpośrednio za zadawane cierpienia byli właściwie wykonawcami rozkazów, nader gorliwymi. Że doznawali przy tym, być może, sadystycznej rozkoszy i że nie musieli takich rozkazów wykonywać, to jest oczywiste. Ale przecież byli oni tylko wytworem tysiącletniej historii Germanów, dla których zabijanie, nietolerancja, podboje były tym, czym dla dawnych Greków olimpiady. A więc czy zastosować wobec nich ich własny system zbiorowej odpowiedzialności i zdehumanizować się samym?

Niezmiernie przykre wrażenie robiły sporadyczne kontakty z tak zwaną polityczną emigracją. Niektórzy emigranci osiągnęli zupełnie znośny poziom bytu materialnego. W dyskusjach z grupą, zresztą, jak już wspomniano, niezmiernie rzadkich, wysuwali na czoło argumenty konturowo-chmurne i górne. Ale w ostatecznych wnioskach dochodziło się do bardzo przyziemnych stwierdzeń, że „koryto" jest dla nich decydującym czynnikiem. I było im bardzo głupio, gdy musieli przyznać, że to właśnie oni są tymi, dla których patriotyzm właściwie przestał istnieć.

Było wśród nich także paru biedaków, wiążących z trudem koniec z końcem, ale ci dla odmiany byli opanowani jakimś obsesyjnym lękiem, opartym na wspomnieniach zalegających w ich świadomości i podświadomości.

Wszyscy z grupy byłych więźniów byli pod koniec pobytu tak spragnieni powrotu do swoich, że dom stał się prawie jedynym i wyłącznym tematem. Zapewne także najistotniejsze było to, że odpadły wszystkie tytuły, godności, bariery, natomiast wytworzyła się jakaś zwartość, bezgraniczna solidarność, niezmiernie głęboka przyjaźń, tak typowa dla byłych „kacetowców". Szczytne hasła głoszone przez „rotarianów" miałyby tutaj idealny wzorzec do demonstracji i naśladowania.

Pożegnanie w Poznaniu stało się pożegnaniem rodziny i to bardzo drogiej rodziny. Obiecano sobie kontakty osobiste, pomoc w zdobywaniu książek, wczasów leczniczych, miejsc hotelowych, lekarstw itp.

W tym miejscu nasuwa się dość istotny problem do rozwiązania. Mianowicie odpowiednia opieka lekarska dla byłych więźniów wymaga wnikliwego rozważenia. Wszyscy członkowie grupy zgadzali się, że lekarze, do których się zgłaszali, przeważnie nie rozumieli zagadnienia, że skróty myślowe lub pewne określenia, które dla byłego więźnia oznaczają treść „na kilka stron druku", nie stanowiły dla lekarza badającego nic, były pustym słowem bez pokrycia. „Nie dam rady wiosłować, bo miałem kilkakrotnie słupek..."; „Byłem dwa miesiące w karnej kompanii..."; „Byłem muzułmanem..."; „Mam odbite nerki..."; „Byłem 5 lat w Mauthausen..." Nie zorientowany lekarz stawia pod tymi zdaniami znak równości z wywiadem zbieranym od jakiegoś pijaczyny-bumelanta. A trafiali się nawet tacy biegli psychiatrzy, którzy twierdzili, że oskarżony, były „kacetowiec", najlepiej czuje się w więzieniu. Musieli później bardzo wstydzić się samych siebie. Chociaż może nawet i nie tak bardzo się wstydzić. Psychiatra badający chorego winien przede wszystkim znać język, którym posługuje się badany. A im się wydawało, że mówią tym samym językiem, którym posługiwał się były „kacetowiec", nie rozumieli jednak zupełnie nic. Bo byli więźniowie, jeśli nawet usiłują coś wytłumaczyć, to robią to w sposób tak nieudolny, że aż przykro słuchać. Próbują od urodzenia niewidomemu opowiadać o kolorach. Tak więc sprawą niezmiernie trudną jest ocena zarówno stanu fizycznego, jak i stanu psychicznego badanego byłego więźnia. Gdy się ogląda niekiedy orzeczenia lekarskie dotyczące stanu zdrowia takiego byłego „kacetowca", dochodzi się do wniosku, że obecna sytuacja wymaga podjęcia próby innego rozwiązania.

Trudno jest zaprojektować jakiś nie stosowany dotychczas nigdzie sposób badania i leczenia, a pomyślany wyłącznie dla pewnej niezbyt licznej i to malejącej społeczności. Natomiast wydaje się zupełnie realne uruchomienie jednego lub kilku oddziałów rozpoznawczo-leczniczych, przeznaczonych początkowo wyłącznie dla spraw byłych „kacetowiczów". Za wzór takiego oddziału mógłby służyć oddział psychosomatyczny w III Klinice Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej w Krakowie. Z tą jedyną różnicą, że warunkiem przyjęcia byłaby przeszłość obozowa, a nie nerwica. Natomiast należałoby utrzymać bez zmian całość schematu organizacyjnego, a więc na oddziale pracowaliby internişci ze znajomością psychiatrii, psychiatrzy ze znajomością interny, psycholog, asystent społeczny, specjalista od

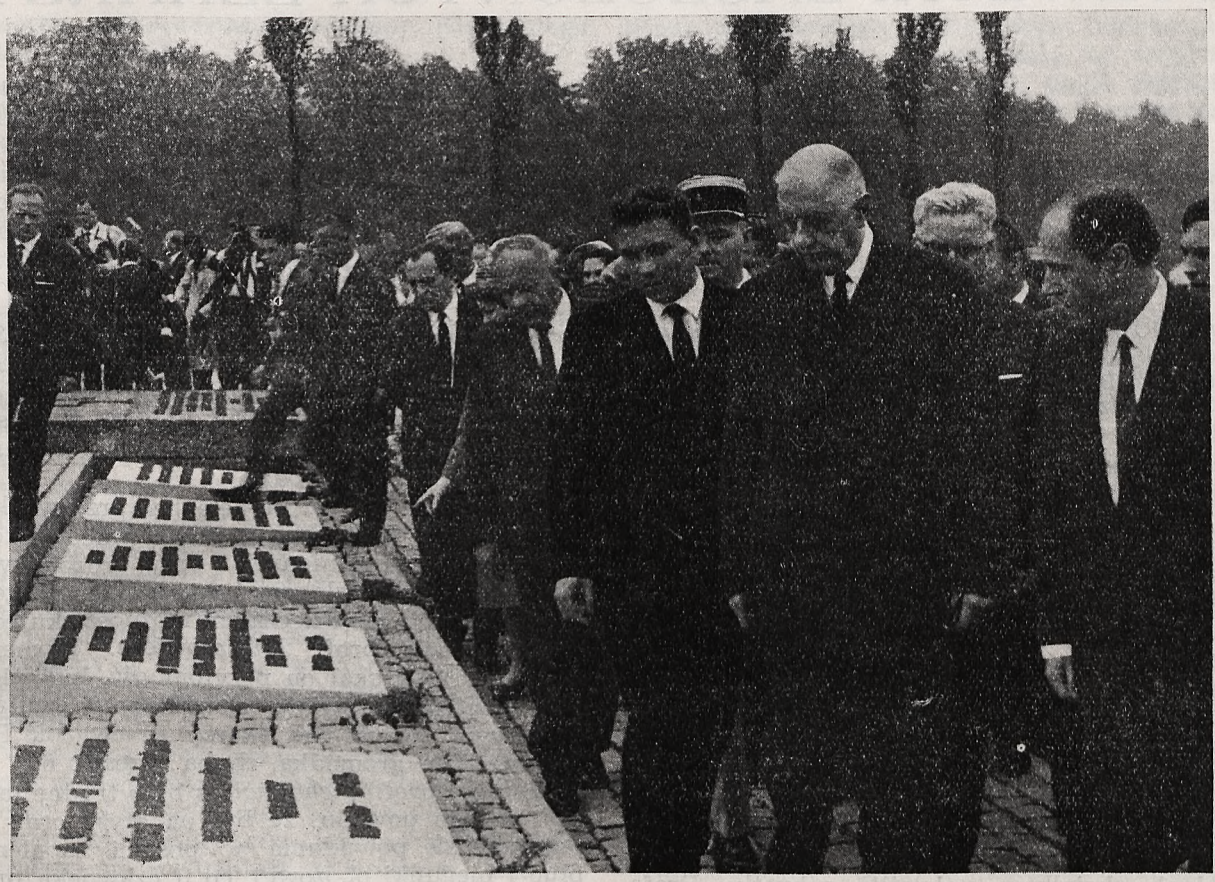

Prezydent Francji, gen. *Charles de Gaulle* ogląda napisy na Pomniku Ofiar Oświęcimia-Brzezinki w dniu 9 września 1967 roku podczas zwiedzania byłego obozu oświęcimskiego (zdjęcie z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

gimnastyki leczniczej, specjalista od fizykoterapii, masażysta itp. Należałoby schemat ten uzupełnić w ten sposób, że psychiatra i internista byliby byłymi więźniami i to właśnie z powodów przeze mnie podanych. Oddział taki miałby profil zasadniczo geriatryczny i po wykonaniu swego zadania, to znaczy po zmianie pokoleń, kontynuowałby swą pracę już jako oddział geriatryczny ogólnie dostępny.

Trudno w tej chwili mówić o liczbie łóżek, przynależności organizacyjnej i podobnych sprawach, gdyż brak jest jakichkolwiek funduszów na zbudowanie baraku lub baraków szpitalnych, nie ośmielę się bowiem pomyśleć o jakimś trwalszym budynku.

W rachubę wchodzi możliwie szybka akcja, dopóki jeszcze żyją ci, dla których jest ona zamierzona. Byłby to chyba najpiękniejszy pomnik dla tych, którzy zginęli i dla garstki tych, którym udało się przetrwać.

Dwugłos o profesorze Mieczysławie Michałowiczu

JAN NOWAK Warszawa
były więzień obozów koncentracyjnych
Oświęcim-Brzezinka, Majdanek, Gross-Rosen
i Leitmeritz

Profesor w obozach kaźni hitlerowskiej

22 listopada 1965 roku zmarł jeden z najświetniejszych i najpopularniejszych lekarzy naszych czasów, prof. dr *Mieczysław Michałowicz*, nestor polskich pediatrów, doktor *honoris causa* Akademii Medycznej w Krakowie, członek wielu zagranicznych towarzystw lekarskich, wybitny naukowiec i myśliciel, pionier stosowania elektroniki i cybernetyki w polskiej medycynie, niezapomniany wychowawca licznych zastępów polskich pediatrów.

Dane mi było śledzić i podziwiać jego działalność w okresie międzywojennym, w czasie okupacji i po drugiej wojnie światowej, tutaj jednak chciałbym nakreślić sylwetkę Profesora z okresu czarnej nocy okupacyjnej.

Aresztowano go w Warszawie 11 listopada 1942 roku w czasie akcji specjalnej, skierowanej przede wszystkim przeciw polskiej inteligencji z wszelkich postępowych i lewicowych organizacji przedwojennych. Zbyt dobrze była znana antyfaszystowska postawa Profesora, jednego z założycieli Stronnictwa Demokratycznego, zbyt głośna jego walka jako rektora Uniwersytetu Warszawskiego przeciw gettu ławkowemu, aby mógł uniknąć represji ze strony okupanta.

Po kilkumiesięcznym pobycie na Pawiaku na wiosnę 1943 roku został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Majdanku i początkowo umieszczony na tzw. trzecim polu. Rychło jednak udało się nam przenieść go na tzw. pierwsze pole, gdzie się znajdował centralny „rewir", czyli szpital więźniów. Przebywając w bloku 5, Profesor znajdował się przez cały czas pod moją opieką. Tu w trzecim tygodniu pobytu w obozie zachorował na dur wysypkowy.

Każdy, kto był w obozie koncentracyjnym, wie, co oznaczała ta choroba w tragicznych warunkach życia więźniów. Wiadomo jednak również, że wola walki z ciemiężcą wyzwalała w nas nieprzezwyciężone zasoby hartu i odwagi, a objawy poświęcenia dla współtowarzyszy niedoli nie były czymś niezwykłym. Tak też było w czasie choroby prof. *Michałowicza*. Znalazła się w obozie i glukoza i strofantyna. Zdołaliśmy przemycić nawet jasne świeże pieczywo z pobliskiego Lublina przy pomocy ofiarnych ludzi z Czerwonego Krzyża z doktorem *Christiansem* na czele. Pomagali nam również działacze lubelscy, np. „mateczka" *Saturnina Malm*, „ciocia" *Antonina Grigowa*, „*Elżunia*", czyli *Elżbieta Krzyżewska*, *Hanna Huskowska* i wielu innych ludzi, których nazwiska powinny być ujawniane i których by warto było wyróżnić i nagrodzić.

Stamtąd, z Lublina płynęła bez przerwy korespondencja przenoszona przez pracowników cywilnych zatrudnionych przy rozbudowie Majdanka. Tym szlakom łączności ze światem ludzi wolnych zawdzięczałem możność skutecznego leczenia prof. *Michałowicza*. Moment, w którym odzyskał on przytomność, był wielkim świętem dla świata lekarskiego w szpitalu obozowym. A było nas lekarzy, przeważnie Polaków, spora gromadka, chyba przeszło 60.

Leczenie prof. *Michałowicza* było trudne także i z tego powodu, że był on otyły oraz że pojawiły się powikłania w postaci zapalenia płuc i biegunki obozowej, co u człowieka prawie 70-letniego nie wróżyło nic dobrego. Ale między innymi dobrej opiece pielęgniarskiej przydzielonego wtedy do naszego bloku słowackiego Żyda *Nikolasza Krauzego*, który skrupulatnie wypełniał wszystkie polecenia lekarzy, stan zdrowia Profesora systematycznie się poprawiał.

Przyszła wreszcie chwila, w której prof. *Michałowicz* zaczął mówić. Pamiętam, że pewnego dnia zażądał, abym mu dostarczył jakiegoś płynu biologicznego. Po małej dyskusji doszliśmy do przekonania, że Profesor ma na myśli mleko lub wodę mineralną. I mleko dostaliśmy z Lublina; przynosił je w butelce ukrytej w cholewie buta robotnik pracujący przy zakładaniu kanalizacji w naszym bloku. Znalazła się również woda mineralna, o którą się postarał kolega-więzień, *Jan Wolski*, zatrudniony w kantynie *SS*.

Przez całą wiosnę 1943 roku nasz Profesor powoli wracał do zdrowia i sił. W czerwcu udało się nam, za zgodą lekarza *SS*, zorganizować zebrania personelu „rewiru", na których prof. *Michałowicz* prowadził popularne wykłady w języku niemieckim z zakresu różnych dziedzin medycyny. Trudno bez wzruszenia wspominać te chwile, kiedy szedłem z nim na te wykłady, niosąc przygotowane pomoce naukowe: tabele i wykresy. I trudno też jest opisać entuzjazm słuchaczy, który towarzyszył wykładom Profesora w znienawidzonej mowie ciemiężców. Jego pogadanki miały się przyczynić do podniesienia poziomu opieki nad chorymi, ale wzbudzały też zrozumiały w tamtych warunkach nastrój patriotyzmu. Profesorowi zaś dawały one zapomnienie; odrywały go od

twardej rzeczywistości, tragizmu codziennego życia obozowego.

Czuł się prof. *Michałowicz* bardzo potrzebny, mógł przecież uczyć i przemycać w wykładzie wiele swoich humanistycznych myśli, które krzepiły i podnosiły na duchu. I odtąd miałem możność poznawać w codziennym współżyciu arcyciekawą i bogatą osobowość Profesora. Zarówno inni, jak i ja, podziwialiśmy jego wiarę w pewne zwycięstwo nad faszyzmem i w odrodzenie Polski. Były takie chwile, że wiedząc o grożących nam niebezpieczeństwach, staraliśmy się ukrywać je przed nim, chcąc oszczędzać jego siły. On zaś, wiele się domyślając, starał się odwracać od tych ponurych spraw naszą uwagę i np. podejmował rozmowę na tematy naukowe.

Dzięki kontaktom z PCK w Lublinie udało się uzyskać zgodę władz obozowych na widzenie się Profesora z żoną w budynku Czerwonego Krzyża w mieście. Było to wielkie przeżycie dla niego i dla nas. Wrócił do obozu umocniony w woli wytrwania, dzielił się wiadomościami o akcjach aliantów na wszystkich frontach.

Na wiosnę 1944 roku nastąpiła ewakuacja obozu w Majdanku. Przewieziono nas do Gross-Rosen. Po okresie względnej swobody na ziemi polskiej, w Majdanku, gdzie dyscyplina *SS* wyraźnie się rozluźniała, zaznaliśmy głodu fizycznego i głodu wszelkich wiadomości z zewnątrz, które tak podtrzymywały nas na duchu w Majdanku. Profesor szczególnie odczuwał tę przykrą sytuację.

Gdy przychodziły transporty, szczególnie po upadku powstania warszawskiego, wymykał się spod naszej opieki i nie zważając na niebezpieczeństwo, chodził do innych bloków, szukał wiadomości o Warszawie i swoich bliskich.

Szczególnie niebezpieczne chwile przeżyliśmy w tym obozie w lipcu 1944 roku, kiedy po zamachu na *Hitlera* rozszalał się ze zdwojoną siłą terror, szczególnie wobec przedstawicieli inteligencji polskiej. Zorganizowane w tym czasie przez *SS* tzw. *sonderkommando* zapełniło się co wybitniejszymi więźniami obozu. Z największym trudem udało się uchronić Profesora przed włączeniem do tego „komanda".

Znowu nadeszła chwila ewakuacji. Stale odchodziły transporty zdrowych, przez nasz teren przechodziły liczne transporty z innych obozów, szczególnie z Oświęcimia. Wieczorami słyszeliśmy coraz bliższe odgłosy frontu. My na rozkaz *SS* mieliśmy się oddalać od tego frontu, który przecież niósł dla nas wolność. W lutym 1945 roku miał odejść ostatni transport tych, którzy nie mogli iść pieszo. Usiłowano do tej grupy zaliczyć Profesora, który nam wtedy powiedział: „Cokolwiek się stanie, chcę być razem z wami, wy jesteście cząstką mojej ojczyzny. Jeśli mi przyjdzie paść — to przy was, razem z wami".

Wyruszyliśmy 9 lutego późnym wieczorem. Kolumnom marszowym towarzyszyła eskorta *SS* z psami. Ujadanie psów i strzały esesmanów do tych, co zostawali po drodze, tworzyły straszliwą kakofonię pod czarnym niebem pokrytym chmurami. Schodziliśmy ze wzgórza ku miastu Gross-Rosen, kiedy nagle usłyszeliśmy warkot samolotów. Wkrótce potem zawrócono nas do obozu.

Obawa, że obóz zostanie zbombardowany przez samoloty niemieckie, a wina zostanie zrzucona na aliantów, była powszechna wśród więźniów. Profesor przetrwał i tę próbę w dobrej formie. Nazajutrz znowu wymaszerowaliśmy z obozu. Po przejściu kilku kilometrów załadowano nas do otwartych wagonów towarowych. Trzy dni i trzy noce jechaliśmy bez posiłku przez Saksonię i wreszcie 13 lutego dowieziono nas do obozu Leitmeritz, położonego na północny zachód od Pragi czeskiej. Po drodze wyrzucano z wagonów setki trupów zmarłych więźniów.

Obóz pracy w Leitmeritz (Litomierzyce) był filią obozu koncentracyjnego Flossenbürg. W otaczających obóz wzgórzach znajdowały się hale fabryczne, w których produkowano części do czołgów. Razem z Profesorem znaleźliśmy się w szpitalu tego obozu w dawnych koszarach austriackich. Obóz liczył pięć tysięcy więźniów, ale wciąż przychodziły nowe transporty z terenów bombardowanych przez aliantów. W szpitalu leżało 1500 chorych, w tym przeszło 500 z durem wysypkowym.

Nawiązaliśmy rychło kontakty z członkami czeskiego ruchu oporu, mieliśmy stale informacje o sytuacji na frontach i coraz więcej nadziei. Niestety wśród tej gorączkowej atmosfery było coraz więcej zachorowań na dur u lekarzy, którzy dotychczas uchronili się od zakażenia.

I ten obóz zaczęto ewakuować, ale pewnego dnia w maju ogłoszono, że jesteśmy wolni. Obchodziliśmy razem z Profesorem sale chorych z radosną wiadomością. Entuzjazm był ogromny. 8 maja personel szpitala więźniów opuścił obóz jako ostatnia grupa. Dla opieki nad resztą chorych pozostało 5 lekarzy. Każdy, kto mógł chodzić, opuszczał łóżko i szedł w stronę Protektoratu Czech i Moraw. Tam nas witały flagi czerwono-białe, które przypominały nam Polskę. Profesor szedł lekko, odmłodniały i radosny. Trzy tygodnie spędziliśmy w Pradze. 1 czerwca 1945 roku powróciliśmy do kraju.

STEFANIA PERZANOWSKA Radom

były więzień obozów koncentracyjnych
Majdanek, Oświęcim-Brzezinka, Ravensbrück

Wspomnienia z Majdanka

We wszystkich obozach koncentracyjnych pomimo ścisłej izolacji części kobiecej obozu od męskiej kontakty między więźniami tych części były utrzymywane wbrew rygorystycznym zakazom i pomimo surowych kar.

Toteż kiedy w kwietniu 1943 r. „kapo" majdankowskich szpitali, zwany przez wszystkich

„kapo nr 1", przyszedł do mnie z wiadomością, że przed paroma dniami przywieziony został z Pawiaka na męskie pole prof. *Michałowicz* i że chce się ze mną zobaczyć, z łatwością udało mi się załatwić możliwość tej wizyty. Zażądałam oficjalnie, aby Profesor przyszedł do kobiecego szpitala na konsylium. Liczyłam się z tym, że tytuł profesorski będzie argumentem usprawiedliwiającym to żądanie.

Istotnie, za dwa dni przyszedł do nas prof. *Michałowicz* w asyście esesmanów i „kapo nr 1". „Kapo" szybko „spławił" esesmana tak, że mogliśmy rozmawiać z Profesorem swobodnie i dość długo bez niemieckiej asysty.

Znałam prof. *Michałowicza* od dawna. Kończyłam studia medyczne na Uniwersytecie Warszawskim, byłam więc jego uczennicą. U niego zdawałam pediatrię, spotykałam go potem na zebraniach i zjazdach, a kiedyś przed wojną spędziliśmy szereg długich chwil na pogawędkach w Wiedniu, gdzie ja byłam woluntariuszką w klinice, a Profesor przyjechał wraz z synem na zawody olimpijskie.

Gdy teraz spotkałam go w Majdanku, przeraziłam się jego wyglądu. Ten zawsze tęgi, ogromny mężczyzna był teraz tak chudy, że pasiak wisiał na nim jak na wieszaku. Wydawał się przez to jeszcze wyższy, a jego zawsze rumiana, okrągła twarz wydłużyła się jakoś i była szaroblada.

To pierwsze wrażenie było tak silne, że widocznie uzewnętrzniło się w moim wyrazie twarzy, bo Profesor po serdecznym przywitaniu zaczął mnie od razu bardzo gorliwie przekonywać, że fizycznie świetnie się czuje, że bardzo jest zadowolony z ubytku wagi, że jest teraz o wiele sprawniejszy w ruchach i że ta odchudzająca kuracja całkowicie mu odpowiada.

Jak dawniej, jak zawsze, stale się uśmiechał; emanowała z niego niezrównana, niepowtarzalna witalność, a także optymizm i pogoda mimo wszystko i wbrew wszystkiemu.

Pytał mnie o moje sprawy rodzinne, osobiste, szczegóły aresztowania i początki mego pobytu w Majdanku. Interesował się szpitalem, personelem, chorymi. Obszedł ze mną baraki szpitalne, obdzielając chore spojrzeniami pełnymi serdecznego współczucia.

O sobie, a specjalnie o swoim pobycie na Pawiaku, nie mówił ani słowa, a moje zapytania na ten temat kwitował tylko łagodnym półuśmiechem. Natomiast mówił wiele i bardzo serdecznie o kolegach z męskiego — majdankowskiego — szpitala, którzy mu tyle okazują serca i w miarę możliwości ułatwiają pobyt w obozie. Na zakończenie zaś naszej pierwszej rozmowy z całą stanowczością oświadczył: „A ja wam, koleżanko, mówię, że jeszcze będę profesorem warszawskiego uniwersytetu i będę uczył waszą córkę!" Z romowy ze mną wiedział, że mam córkę, która marzyła, aby móc po wojnie studiować medycynę.

Ponieważ byłam w Majdanku już kilka miesięcy i dostawałam paczki od rodziny, poczęstowałam Profesora jakimś przygrzanym naprędce kawałkiem mięsa i białą domową bułką. Po tym, jak zjadł wszystko do ostatniej okruszyny, widać było, że bardzo był wygłodzony po pawiackim więzieniu. Nawet po wojnie, gdyśmy się spotkali w Ciechocinku, wspominał jeszcze ten poczęstunek i wychwalał przed swoją żoną moje talenty kulinarne mówiąc, że nigdy w życiu nie jadł tak smacznie przyrządzonego mięsa. To głód sprawiał, że za nadzwyczajny przysmak uznawało się najlichszy kęsek mięsa.

Za kilka dni znów przyszedł do nas Profesor pod pozorem dalszych konsultacji medycznych. Przyprowadził go, podobnie jak za pierwszym razem, „kapo nr 1", który jednak zapowiedział, że wizyta nie może trwać dłużej niż godzinę. Profesor dowiedział się, że w naszym szpitalu leży *Zofia Praussowa*, senator i znana działaczka PPS. Chciał się z nią zobaczyć i zapytać o zdrowie. Byli oni chyba w jednym wieku i znali się dobrze, bo Profesor był także z ramienia PPS członkiem przedwojennego senatu.

Zaprowadziłam go do trzeciego baraku szpitalnego, gdzie przebywała wtedy *Praussowa*. Oboje wzruszeni bardzo tym spotkaniem rzucili się sobie w ramiona przy powitaniu. Profesor opiekuńczo i mocno przytulił do siebie małą, drobną panią *Zofię* i powiedział: „Jakeśmy się teraz spotkali, to mówmy sobie od tej chwili po imieniu. Pamiętaj *Zosiu*, jestem *Mieczysław*". W tym zdaniu i w tym geście był nie tylko ogrom serdeczności, ale jednocześnie chęć wyrażenia opiekuńczej troski o tę siwą, wynędzniałą kobietę.

Przysiedli potem na pryczy, wypytywali się nawzajem o sprawy rodzinne, przypominali swoje przedwojenne wspólne poczynania i wreszcie, oboje pełni entuzjazmu, zaczęli snuć plany pracy na przyszłość, w powojennej, wolnej Polsce. Poważni wiekiem, doświadczeni społecznicy roztrząsali zawzięcie wszelkie powojenne możliwości, problemy i zagadnienia. Profesor miał głowę pełną pomysłów i pełne ręce przyszłej pracy. Pani *Zofia*, paląc z przejęciem papierosa za papierosem, sekundowała mu dzielnie w snuciu planów. Było coś fascynującego w tej parze chudzielców przycupniętych na pryczy i entuzjazmującej się tym, co było takie niepewne. Tak byli pochłonięci dyskusją i tak daleko myślami odbiegli od rzeczywistości obozowej, że dwukrotnie musiałam przypominać o konieczności powrotu Profesora na męskie pole.

Przy pożegnaniu Profesor, wiedząc, że pani *Zofia* jest namiętną palaczką, obiecał, że postara się dla niej o papierosy. Dotrzymał obietnicy i szereg razy przysyłał *Praussowej* papierosy przez znajomych więźniów. Profesor nie palił, a na męskim polu łatwiej było zdobyć tytoń, bo mógł być nawet przysyłany w paczkach. Niemniej jednak każdy papieros był cenną rzeczą i stanowił wymienną obiegową monetę obozową. Profesor rezygnował z tej wymiany i przysyłał papierosy swej obozowej koleżance.

Po jakichś 10 dniach przyszedł do nas jeszcze raz, ale na bardzo krótką chwilę i był w znacznie gorszej formie fizycznej niż poprzednio. W kilka dni potem zachorował na dur wysypkowy. Bardzo się o niego niepokoiłam — na pewno na równi z kolegami z męskiego pola — miał przecież 68 lat! Gdy przetrwał szczęśliwie ten tyfus, a nie mógł jeszcze chodzić, pisywał do mnie często „grypsy", dopytując się w nich o znajomych, o różne sprawy obozowe. Tę „grypsową" korespondencję utrzymywaliśmy już stale.

W początkach lutego 1944 roku przywieziono do naszego szpitala transport chorych kobiet z Ravensbrück. Profesor w kolejnym „grypsie" zapytywał mnie, czy jest wśród nich jego dawna pacjentka *Krystyna Dębowska*. Gdy odpisałam, że istotnie jest taka, przyszedł, aby ją odwiedzić. Znowu obszedł ze mną wszystkie baraki szpitalne, pani *Zofii* przyniósł papierosy, wysłuchał obozowych perypetii p. *Dębowskiej*, interesował się wszystkimi chorymi oraz sprawami szpitalnymi, a o sobie, jak zwykle, nie mówił nic i na nic nie narzekał.

W końcu marca 1944 roku odtransportowywano część personelu szpitala męskiego do Gross-Rosen. Wśród wywożonych był i prof. *Michałowicz*. Tego dnia była wyjątkowo obrzydliwa, typowo marcowa pogoda: padał deszcz ze śniegiem, wiatr wstrząsał z głośnym gwizdem drutami, a majdankowska droga tonęła w śliskim i grząskim błocie. Zobaczyłam Profesora idącego z trudem, borykającego się z deszczem siekającym w twarz i wiatrem, który wydymał mu pasiak. Zgubił w błocie najpierw jeden drewniak, potem drugi i szedł boso. Gdy nas dojrzał, kiedy przechodził koło kobiecego pola, uśmiechnął się po swojemu i pomachał ręką na pożegnanie.

W kwietniu i ja opuściłam Majdanek, wędrując z chorymi i częścią szpitalnego personelu do Oświęcimia. Byłam tam już parę miesięcy, gdy przyszła do mnie lekarka, która właśnie wróciła z Gross-Rosen. Szukała mnie z polecenia prof. *Michałowicza*, który prosił ją, aby mnie pozdrowiła i powiedziała, że czuje się zupełnie dobrze, pracuje i... pisze podręcznik. Trzy razy pytałam, czy się nie pomyliła. Nie, nie pomyliła się, Profesor jej nawet pokazywał rękopisy na skrawkach papieru.

Taki właśnie był Profesor *Michałowicz*. Chyba tylko on z tą niespożytą siłą witalną, z olbrzymim bogactwem swego umysłu, z tym nieprawdopodobnym optymizmem i niezachwianą wiarą w przetrwanie, mógł się zdobyć na pisanie w obozie koncentracyjnym naukowego podręcznika. Pozbawiony nie tylko wszelkiej literatury pomocniczej, ale na pewno pozbawiony także ciszy i możliwości skupienia się, potrafił się jednak zupełnie odizolować od koszmaru otoczenia i pisać swoją książkę, bo uważał, że po wojnie będzie ona bardzo potrzebna. Wiemy, że kończył już ją w wolnej Polsce, będąc znowu profesorem, a nawet rektorem uniwersytetu w Warszawie. Większa część jednak dwutomowej „Fizjopatologii wieku dziecięcego" powstała właśnie w Gross-Rosen.

Po wojnie widywałam Profesora niejednokrotnie. Pamiętam, jak w r. 1945 biegał po rusztowaniach odbudowującej się Kliniki Pediatrycznej przy ul. Litewskiej. W ostatnim dziesięcioleciu nie miałam okazji spotykania się z Profesorem i zobaczyłam go dopiero na zjeździe lekarzy obozowych w Warszawie w r. 1964. Zewnętrznie postarzał się bardzo. Gdy podeszłam do niego, aby się przywitać, w pierwszej chwili pomyślałam, że chyba mnie nie poznał, choć, jak zwykle, serdecznie się uśmiechnął.

W przerwie obiadowej w szatni podeszłam do niego, bo wiedziałam, że chodzi z trudem o lasce i podałam mu ramię na czas oczekiwania na płaszcz. Profesor stanął ze mną na boku i powiedział do mnie: „Koleżanka pewnie myśli, że jej nie poznałem — pamiętam doskonale koleżankę i majdankowski szpital kobiecy, tak jak pamiętam córkę, którą egzaminowałem swego czasu z pediatrii".

Gdy przyniesiono płaszcz i zapytałam, czy jedzie na obiad do domu i prosiłam o przekazanie ukłonów dla pani profesorowej, z uśmiechem wręcz filuternym powiedział: „Wcale nie jadę do domu, ja się wypuszczam z kolegami obozowymi na Warszawę!" Pożegnaliśmy się i wyszedł w licznym towarzystwie. Wtedy widziałam Profesora *Michałowicza* po raz ostatni i taki pozostał w mojej pamięci. Zawsze młody wbrew zewnętrznym pozorom, promieniujący pogodą i uśmiechem, bezpośredni i serdeczny, przyjazny i bliski wszystkim ludziom, urzekający swoją osobowością i nieprzebranym bogactwem serca i umysłu.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019
Kraków

Dr Józef Żegleń

W dniu 18 grudnia 1965 roku ziemia Podhala przygarnęła swojego nieodrodnego syna, dr *Józefa Żeglenia*, zasłużonego lekarza-społecznika, byłego więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

Józef Żegleń urodził się w rodzinie chłopskiej w Bystrej Podhalańskiej w dniu 4 marca 1890 roku. Wychowywał się we wczesnych latach młodości w Naprawie pod Jordanowem. Szkołę średnią ukończył w Krakowie. O zawodzie lekarza marzył od wczesnej młodości. Zdecydował się pokonać trudności językowe i pierwsze arkana medyczne poznał w Wiedniu. Gdy jednak po pierwszej wojnie światowej otwarły się podwoje Uniwersytetu Jagiellońskiego już w niepodległej Polsce, młody *Żegleń* przekroczył progi *Almae Matris* i uzyskał w grudniu 1919 roku dyplom lekarza. Zgodnie z apelem odrodzonej Ojczyzny przybrał mundur wojskowy i podjął pracę w garnizonach w Częstochowie, Kielcach i Rzeszowie. Po demobilizacji, już żonaty, osiedlił się na stałe w Makowie Podhalańskim (powiat suski), by wśród ludu, z którego wyrósł, walczyć o zdrowie swoich górali. Osiągnięty awans społeczny spłaca za siebie i za młodszego brata, który w dwa miesiące po skończeniu studiów i otrzymaniu dyplomu lekarza zmarł z powodu zapalenia nerek.

Dr *Józef Żegleń* pracował ofiarnie, bez reszty oddany chorym. Prowadził wolną praktykę, był lekarzem miejskim, kolejowym, w końcu Ubezpieczalni Społecznej. Sobie tylko znanym sposobem potrafił rozmnożyć swój czas, dzieląc go i na pracę zawodową i społeczną. Był wzorowym mężem i ojcem. Po mobilizacji w roku 1939, przydzielony do pułku jako lekarz, szczęśliwie wrócił do Makowa Podhalańskiego po tragicznej kampanii wrześniowej. Niedługo jednak dane mu było cieszyć się osobistą wolnością. Był zbyt znaną postacią na Podhalu. Mógłby być zbyt groźny dla okupanta. Perfidne macki gestapo trafiały też do małych miasteczek. W toku tzw. „akcji A — B" jako groźny polski inteligent znalazł się na liście niebezpiecznych, których tropiło gestapo, aby ich zlikwidować.

Aresztowanie nastąpiło w lecie 1940 roku. Wezwany do magistratu w Makowie Podhalańskim, dr *Żegleń* nie wrócił już stamtąd do domu. Po kilku dniach aresztu w Makowie został przekazany do Czarnego Dunajca, a z kolei do więzienia w Tarnowie. W dniu 8 października 1940 roku transportem więźniów z Tarnowa i Krakowa przybył do Oświęcimia. Otrzymał tutaj numer więźnia politycznego P *(Pole)* 5921. Przez cały rok ten 50-letni już lekarz pracował w znanych warunkach obozowych, wyładowując cement, nosząc zwłoki kolegów, dzieląc codzienną niedolę współwięźniów. Twarda, góralska dusza jednak się nie poddała. Nawet przyranne zakażenie ze zwłok zmarłych nie złamało sił odpornościowych więźnia nr 5921.

Po niemal rocznym pobycie w Oświęcimiu czekał go dalszy transport, tym razem do obozu w Gross-Rosen, gdzie otrzymał numer 1486. Udało mu się uzyskać tutaj pracę w tzw. „rewirze". W pełni ujawnił się w Gross-Rosen dr *Józef Żegleń* jako prawdziwy patriota i człowiek umiejący wyróżnić się w „glajchszaltującym" więźniów *pandemonium* obozowym. W najtrudniejszych warunkach, w skrajnym prymitywie wykazał hart ducha, talent lekarza, cechy świetnego organizatora, przyjaciela chorych. Nie szczędził swych sił i możliwości, aby nieść pomoc słabym i cierpiącym. Leczył namiastką leków, psychoterapią, podnoszeniem więźniów na duchu, swoim optymizmem i uśmiechem, gdyż w straszliwych warunkach Gross-Rosen nie było mowy nawet o prymitywnym leczeniu w niezaopatrzonym w leki i inne środki szpitalu obozowym. Tamtejszy „rewir" był bowiem parodią szpitala.

Dr *Żegleń* wiele umiał zdziałać, gdyż wywalczył sobie dobrą pozycję, lecząc po kryjomu załogę *SS* i niemieckich „kapów". Pomocą była znajomość języka niemieckiego, którą umiejętnie zyskiwał zaufanie esesmanów. Uzależniał od siebie funkcjonariuszy załogi obozu. Z osiągniętych wpływów korzystał stale, ratując kolegów przed śmiercią i biciem, a zwłaszcza przed morderczą pracą w kamieniołomach, które — w braku komór gazowych — były w Gross-Rosen podstawowym instrumentem wyniszczania. W pamięci kolegów pozostał jako nieskazitelny, uczynny, aktywny, dobry fachowiec-lekarz, dzielący się wszystkim, nawet własnym chlebem.

Miażdżące tryby hitlerowskiej machiny obozowej od pierwszych dni tak załamywały więźniów przybywających do Gross-Rosen, że często szukali oni szybko wybawienia w samobójczej śmierci. Toteż dr *Żegleń* również nowo przybyłym więźniom niósł słowa pociechy i podawał wskazówki, jak żyć w obozie, by ocalić życie, a zwłaszcza nie splamić honoru więźnia politycznego. Podobnie jak w Oświęcimiu, tak też i tutaj precyzyjny system zagłady nie zła-

Premier Szwecji, *Tage Erlander* zwiedził 25 listopada 1967 roku tereny byłego hitlerowskiego obozu masowej zagłady w Oświęcimiu-Brzezince. Interesował się szczególnie losem kobiet i dzieci, eksperymentami lekarzy *SS*, a na płycie międzynarodowego Pomnika Ofiar Faszyzmu złożył wieniec z szarfami o narodowych barwach szwedzkich. Na zdjęciu szef rządu szwedzkiego (na pierwszym planie, z odkrytą głową) w Brzezince. (Z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu).

mał postawy moralnej dr *Żeglenia*, który potrafił także troszczyć się o młodzież, ratując najmłodszych więźniów przed deprawacją i przed śmiercią.

We wspomnieniach więźniów zachowała się jego postawna sylwetka (był dość tęgi, jak na warunki obozowe) człowieka energicznego, bardzo jednak bladego. Oczy miał przenikliwe i bystre, a zarazem życzliwe spojrzenie. W obozie nazywano go „doktorem *Jossefem*". Przychodzono do niego jak do ojca we wszystkich sprawach, nie tylko lekarskich. Cieszył się pełnym zaufaniem kolegów. Przychodzili do niego wszyscy, więźniowie różnych narodowości i różnych przekonań politycznych, nawet bandyci, niemieccy „kapo", jak *Fogel*, blokowy, morderca w tzw. karnej kompanii.

Dr *Józef Żegleń* pracował w Gross-Rosen w bloku „rewirowym" nr 5, gdzie „leczono" choroby zakaźne: dury wysypkowy i brzuszny, różę, jaglicę, gruźlicę i inne. Blok ten jako niebezpieczny rzadko odwiedzali esesmani. Wyzyskał to dr *Żegleń*, by przetrzymywać tam chorych, ratować przed karną kompanią, czy przesłuchiwaniami w oddziale politycznym. Sam ratując innych zakaził się tam durem wysypkowym i brzusznym. Codzienne żniwo śmierci było w tym bloku najbogatsze, a jednak dr *Żegleń* walczył o każdego chorego. Pewnego dnia udało mu się dzięki pomysłowości i odwadze uratować młodego, 17-letniego więźnia radzieckiego. Chłopiec ten miał zginąć z rozkazu oddziału politycznego. W ostatniej chwili dr *Żegleń* uratował go, podstawiając w jego miejsce innego chłopca w okresie agonii.

Dr *Żegleń* znał życie całego obozu. Swoimi radami i trafnymi ocenami sytuacji potrafił nieraz wpłynąć hamująco na nieopatrzne odruchy załamanych, potencjalnych samobójców, nierozsądnych ryzykantów.

Klęską więźniów w Gross-Rosen była jaglica. Cały wysiłek, na jaki się mógł zdobyć, dr *Żegleń* poświęcił zwalczaniu tej epidemii. Niezliczonym chorym przez cały dzień cierpliwie lapisował spojówki, wpuszczał krople, wygniatał jagły, zakładał maści. Wielu uratował od niechybnej ślepoty. Kruszenie skał i obróbka kamienia, codzienna niewolnicza praca więźniów w Gross-Rosen powodowały w tych niechronionych obozowych warunkach liczne owrzodzenia rogówek. Precyzja i cierpliwość, z jaką dr *Żegleń* podchodził do leczenia, zjednały mu miano najlepszego okulisty w obozie.

W Gross-Rosen stał na posterunku do ostatniego wychodzącego stamtąd transportu. Pieszo wymaszerował stamtąd do Flossenbürga, a następnie do Dachau, gdzie ostatecznie wyzwoliły go wojska amerykańskie. Był to już ostatni czas. Znękany, powrócił dr *Żegleń* do kraju w dniu 4 sierpnia 1945 roku. Podążył do Makowa Podhalańskiego, by wśród rodzinnych, ukochanych stron nieść dalej pomoc cierpiącym, na tak utęsknionym w obozach Podhalu.

Pamięć o tej wyjątkowej postaci utrwaliła się w sercach więźniów i w sercach Podhalan. Cześć jego pamięci!

Opracowano na podstawie 1) listów Żony do autora, 2) życiorysu dr *Żeglenia*, 3) dokumentów Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, 4) listów do autora, nadesłanych przez kolegów-lekarzy dra *Żeglenia*, jego współtowarzyszy obozowych dr *Zygmunta Kuliga* i dr *Bernadzikowskiego*, 5) wspomnień *Józefa Polaka*, więźnia Gross-Rosen.

JAN MASŁOWSKI Kraków

Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1967

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie. Kierownik: Prof. dr *K. Spett*)

Wstęp

Każdemu uważnemu czytelnikowi, poszukującemu lekarskiej problematyki okupacyjnej w ostatnich publikacjach, mogło nasunąć się spostrzeżenie, iż w porównaniu z latami ubiegłymi [1] stosunkowo niewiele nowych pozycji — poza zeszytem siódmym „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" [2] — wydano w ciągu ostatniego roku w Polsce. Zeszyty nasze spełniają więc swoje zadanie, gromadząc większość prac z tej dziedziny. Ze względu na mały nakład i specjalistyczny charakter zeszyty te nie docierają jednak do większej liczby czytelników, do których trafiają przeważnie teksty przypadkowo raczej niż planowo opublikowane gdzie indziej. Dotyczą one okupacyjnej tematyki lekarskiej nie tylko wtedy, gdy jest mowa o niej w tytule; często są ukryte w różnych innych wydawnictwach, a także rozproszone w dziennikach i czasopismach. Szczególną uwagę należy zwrócić tutaj na książki, które udostępniają szerszy materiał, nie mieszczący się w zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Pełne wyliczenie bibliograficzne przekraczałoby rozmiary krótkiego omówienia, toteż artykuł niniejszy wskazuje tylko na teksty najważniejsze.

Niektóre świadectwa zbrodni

Mimo upływu blisko 23 lat od zakończenia drugiej wojny światowej pojawiają się coraz to nowe świadectwa zbrodni hitlerowskich. Niestety, bezmiar okrucieństw był tak wielki, że niemożliwe jest ich ustalenie w pełnym zakresie [3]. Część tekstów łączy się bezpośrednio z ciągle nie rozwiązanym problemem kary i toczącymi się procesami zbrodniarzy hitlerowskich [4]. Obok wydań popularnych [5] i pewnych opracowań ogólnych [6] śledzimy przebieg gromadzenia i udostępniania coraz dalszych wyczerpujących dokumentów i informacji.

Na temat mordu dokonanego przez hitlerowców na 10 tysiącach chorych w szpitalu psychiatrycznym w Obrzycach pod Międzyrzeczem można — obok artykułu doc. dra *Stanisława Dąbrowskiego* w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" — znaleźć informacje w źródłowym opracowaniu *Wiktora Lemiesza* [7], wydanym w związku z monachijskim procesem 14 pielęgniarek z Obrzyc. Autor ten źródłowo zanalizował okoliczności obrzyckiej tragedii, a wyniki swych badań opublikował w prasie już w roku 1960.

Szpital w Obrzycach był częścią systemu, który w hitlerowskiej akcji „eutanazyjnej" pochłonął około 270 tysięcy ofiar. W Obrzycach

---

[1] *A. Kępiński, J. Masłowski:* Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964—1965. Przegl. Lek., 1966, 1, s. 241—247. — *J. Masłowski:* Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1966. Przegl. Lek., 1967, 1, s. 244—259.

[2] Treść zeszytu siódmego wyczerpująco omówił prof. dr *J. Bogusz* (zob. Przegl. Lek., 1967, 1, s. 3—12). W Słowie wstępnym do niniejszego zeszytu są odnotowane oceny zeszytu poprzedniego pióra innych autorów. Zob. też *J. Bogusz:* Okupacja w świetle badań lekarskich. Za Wolność i Lud, 1967, nr 7, s. 4 i 5.

[3] Oto głos Niemca na ten temat: „Można przeczytać grube księgi i szczegółowe dokumentacje dotyczące obozów koncentracyjnych, także i samego Oświęcimia, a przecież ani w przybliżeniu nie ogarniać ogromu poniżenia, jakie na tym miejscu zgotowano człowiekowi" (*E. Müller-Gangloff:* Wie kann man „mit Auschwitz leben"? [Jak można żyć, mając na sumieniu Oświęcim?]. Tygodnik Powszechny, 1967, nr 16, s. 1).

[4] Autorytatywne wiadomości w tym zakresie podaje bieżąco przede wszystkim Biuletyn Informacyjny (Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego). Przygotowywany jest między innymi proces dra *Horsta Schumanna*. Zob. *M. Kieta*: Ich plecy mają zasłonić wielką zbrodnię. Za Wolność i Lud, 1967, nr 17, s. 3 i 6. — Zob. też: Mordercy z Sachsenhausen. Przed procesem w Kolonii. Za Wolność i Lud, 1967, nr 9, s. 5 i 6. O wcześniejszych procesach piszą *J. Gumkowski* i *T. Kułakowski*: Zbrodniarze hitlerowscy przed Najwyższym Trybunałem Narodowym. Wyd. 3. Wydawn. Prawnicze, Warszawa 1967, ss. VII, nlb. 1, 269, nlb. 3, tabl. 6 — *T. Cyprian, J. Sawicki:* Ludzie i sprawy Norymbergi. Wydawn. Poznańskie, Poznań 1967, ss. 479, nlb. 1.

[5] Np. Zbrodnie hitlerowskie w Polsce. Red. całości i układ graficzny *T. Kur*. Polska Agencja *Interpress*, Warszawa 1967, ss. 24 nlb., ilustr.

[6] Np. *S. Nowak:* Wspomnienie o neurologach i psychiatrach polskich, którzy zginęli w czasie II wojny światowej. Przegl. Lek., 1967, nr 2, s. 302—304. Natomiast do drobnych opracowań wycinkowych należą sprostowania, jak np. *S. Klonowicza:* O służbie medycznej 1 KPanc. w czasie operacji łużyckiej. Wojskowy Przegląd Historyczny, 1967, nr 3, s. 418—419 lub *T. Łubieński*: Decyzja. Polska 1967, nr 11, s. 6—7 i 32—33 (tamże między innymi informacje o losach obozowych więźnia-sanitariusza z Oświęcimia, *Krzysztofa Hofmana*, obecnie lekarza). Podobne pozycje powinny również zostać uwzględnione w przyszłości w bibliografii retrospektywnej.

[7] *W. Lemiesz:* Zbrodnia w Obrzycach. Zachodnia Agencja Prasowa, Warszawa 1966, ss. 162, tabl. 10, ilustr. Rec. *J. Wilczur*, Prawo i Życie, 1967, nr 5, s. 5.

ginęli także ludzie psychicznie zdrowi, ale zamknięci tam przymusowo jako przeciwnicy reżimu hitlerowskiego lub z różnych powodów mu niewygodni. O dogmatycznej wręcz niechęci wpływowych kół w NRF do opinii z byłych wschodnich krajów okupowanych świadczy fakt, iż sąd przysięgłych w Monachium nie uwzględnił materiału dowodowego zebranego w Polsce (między innymi przez *W. Lemiesza),* a wspomniane pielęgniarki uniewinnił [8] 12 marca 1965 roku. „Nie wiadomo nic o losach dyrektora zakładu w Obrzycach i wielu innych lekarzy. Być może, praktykują po dziś dzień w swoim zawodzie w NRF" [9]. O zbrodni w Obrzycach informowano również w czasopismach [10].

Zagłady chorych domyślali się ich najbliżsi, tracąc z nimi kontakt. Na marginesie warto przypomnieć, że szukanie kontaktu rodzin z uwięzionymi było bardzo kłopotliwe dla okupanta. Dotyczyło to również np. przesyłek pieniężnych dla więźniów. Wykazano, że pozornie niewinne operacje bankowe wiązały się z procesem zagłady w obozach koncentracyjnych. „Niemieckie banki w GG orientowały się dobrze w działaniu hitlerowskiej zbrodniczej machiny" [11].

Lekarzy mogą interesować również źródłowe publikacje dotyczące zbrodni *Wehrmachtu* [12], zagadnienie to bowiem zazębia się między innymi o medycynę sądową. Ppłk dr *Kazimierz Kaczmarek* cytuje np. protokoły sekcyjne dotyczące oględzin zwłok żołnierzy z 5 dywizji piechoty II Armii Wojska Polskiego, bestialsko zamordowanych przez hitlerowców na krótko przed rozgromieniem Trzeciej Rzeszy. Do głębi poruszający jest opis szczątków zmasakrowanego generała brygady *Aleksandra Waszkiewicza,* dowódcy tej dywizji [13]. Jeśli jeńcy od razu nie znaleźli śmierci, to poddawani byli uciążliwym warunkom w *oflagach* i *stalagach* [14].

Duży zasób informacji ważnych z lekarskiego punktu widzenia zawierają też takie pozycje, jak relacja *Juliusza Feuermana* [15]. Opisy wegetacji w gettach z reguły uwzględniają sytuację zdrowotną, determinowaną zgęszczeniem mieszkańców w zamkniętych skupiskach, które były pozbawione odpowiedniej dostawy żywności i celowo trzymane w najgorszych warunkach sanitarnych.

Ponieważ niewielu mieszkańców gett ocalało, trudno jest o dowody zbrodni hitlerowskich stamtąd. Tym cenniejsze są przeto takie publikacje, jak dokumenty dotyczące getta białostockiego [16], wspomnienie z getta w Brodach [17] i dokładna kronika getta łódzkiego [18], ukazująca się w kolejnych tomach, także w języku niemieckim. Niezwykłe wrażenie wywierają dokumenty ukryte w ziemi, a po latach odkopane [19], czy też tak źródłowe relacje, jak pamiętnik dra *Nyiszli* [20], omówiony już przed rokiem w tym dziale.

„Relacje i dokumenty (...) przypominają często tragiczne przeżycia osobiste, wyrafinowany system okupacyjnych szykan, życie w gettach, łapanki, publiczne masowe mordy i całą gamę ludzkich postaw moralnych — od aktywnej pomocy, za którą płaciło się życiem, przez współczucie, obojętność, paraliżujący wszelkie odruchy strach aż do szmalcownictwa włącznie" [21]. Związane z tą sprawą zagadnienie „Polacy z pomocą Żydom w latach 1939—1945" wymaga wyczerpującego, naukowego opracowania. Dużym krokiem naprzód w tym zakresie jest głośna książka *Władysława Bartoszewskiego* i *Zofii Lewinówny* [22]. Znawca przedmio-

---

[8] Pierwszy wyrok śmierci w sprawie obrzyckiej wydał radziecki sąd wojenny w Międzyrzeczu 10 maja 1945 roku; ponadto dwa wyroki wykonano w roku 1946 w Berlinie zachodnim. Zob. też: *M. Sokołowski:* Zbrodnia w Obrzycach. Nowe Książki, 1967, nr 9, s. 547.

[9] Notatka pt. Konferencja naukowa w Obrzycach przypomniała światu o zbrodniach hitlerowskich. Za Wolność i Lud, 1967, nr 8, s. 15.

[10] *W. Lemiesz:* Pacjent „P-9819". Na linii Obrzyce-*-Wehrmacht.* Nadodrze, 1967, nr 8, s. 5.

[11] *H. Dobrowolski:* Nieznana karta z historii obozów zagłady. Życie Literackie, 1967, nr 37, s. 12.

[12] Materiały z konferencji naukowej poświęconej zbrodniom *Wehrmachtu* popełnionym na ziemiach polskich w czasie drugiej wojny światowej (1939—1945). Red. nauk. *Mieczysław Wrzosek.* Wojskowy Instytut Historyczny, Warszawa 1967, ss. 166, nlb. 2, tab. — *K. Kaczmarek:* Zbrodnie hitlerowskie na żołnierzach II Armii WP. Wojskowy Przegląd Historyczny, 1966, nr 4, s. 49—71, fotokopie.

[13] Tamże, s. 54—56. Zob. też Najnowsze Dzieje Polski. XI, s. 187—199.

[14] Zob. np. *H. Wolna:* Stalag VIII B i F 334. Wrocławski Tygodnik Katolicki, 1967, nr 4, s. 6 i 7 (relacja z obozu jenieckiego w Łambinowicach). — Zob. też *B. Siudowski:* W obozie jenieckim, jak w obozie koncentracyjnym. Za Wolność i Lud, 1967, nr 19, s. 13. Niezmiernie ciężki był również los niewolników pracujących w rolnictwie hitlerowskim. O braku opieki lekarskiej nad nimi liczne wzmianki można znaleźć w książce pt. Przemoc, poniżenie, poniewierka. Wspomnienia z przymusowych robót rolnych 1939—1945. Wybrał, opracował i wstępem opatrzył *L. Staszyński.* „Książka i Wiedza", Warszawa 1967, ss. 707, nlb. 3.

[15] *J. Feuerman:* Pamiętnik ze Stanisławowa (1941—1943). Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego, 1966, nr 59, s. 63—91.

[16] Wybrał i podał do druku *Adam Rutkowski.* Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego, 1966, nr 60, s. 98—109. — Zob. też dwie prace *P. Kapłana:* Judenrat w Białymstoku. Przełożył z języka żydowskiego *Adam Rutkowski.* Tamże, nr 60, s. 51—76. Zagłada Białegostoku. (Luty 1943). Przełożył *Adam Rutkowski.* Tamże, nr 60, s. 77—88.

[17] *F. Zorne-Laufer:* Dziennik z czasów okupacji hitlerowskiej. Tamże, nr 59, s. 93—100.

[18] Kronika getta łódzkiego. Z oryginału do druku przygotowali, wstępem i przypisami opatrzyli: *Danuta Dąbrowska* i *Lucjan Dobroszycki.* Teksty niemieckie tłumaczyła *D. Dąbrowska.* Wydawn. Łódzkie, Łódź 1965 (np. tom 2 obejmuje okres od czerwca do grudnia 1942 roku). Rec. między innymi *M. Turlejska:* Dalsze dzieje dzielnicy śmierci. Nowe Książki 1967, nr 19, s. 1182—1183.

[19] Zapiski *Załmena Lewentala* (fragmenty). Przełożył i opracował *S. Gostyński.* Tygodnik Powszechny, 1967, nr 17, s. 1 i 2.

[20] Zob. też *K. Goldbergowa:* W pracowni doktora *Mengele.* Życie Literackie, 1967, nr 5, s. 5 i *E. Lederer:* Następny po *Eichmannie.* Polityka, 1967, nr 14, s. 1 i 8.

[21] *M. M. Drozdowski:* Z pomocą Żydom. Nowe Książki, 1967, nr 12, s. 713.

[22] Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939—1945. Wybór i opracowanie: *W. Bartoszewski, Z. Lewinówna.* Znak, Kraków 1966 (wydrukowano w kwietniu 1967 roku), ss. 634, nlb. 2. Zebrano tu przeszło 200 relacji zarówno tych, którzy pomagali, jak i tych, którym pomagano. Rec. między innymi *J. Tu-*

Jeden z licznych przykładów traktowania przez władze hitlerowskie ludności w krajach okupowanych. Na reprodukcji zdjęcia archiwalnego widoczni są członkowie *Ordnungsdienst*, powieszeni 1 września 1942 roku we Lwowie przy ul. Łokietka 6

tu *W. Bartoszewski* nakreślił we wstępie do tej publikacji charakterystykę ewolucji eksterminacyjnej polityki hitlerowskiej wobec Żydów, naszkicował warunki ich życia w gettach, a także podał treść rozporządzeń okupanta, grożących karą śmierci za pomoc Żydom.

Książka ta przedstawia, jak podczas okupacji rozwinęło się „poczucie solidarności, przezwyciężające wszystkie narosłe w ciągu wieków niechęci i spory. Człowiek skazany na śmierć ze względu na swą przynależność rasową, napiętnowany gwiazdą Syjonu, jest po prostu bratem, któremu trzeba pomóc bez względu na konsekwencje" [23]. Dalsze badania pozwolą jeszcze bliżej określić nie tylko walor jakościowy, ale i rozmiary tej pomocy. Znajdujemy tutaj także informacje o wyrokach śmierci na konfidentów, którzy wydawali Żydów Niemcom i na renegatów, którzy w celach zysku szantażowali ukrywających się.

Już prasa konspiracyjna piętnowała wypadki kolaboracji z Niemcami i ujawnianie Żydów, którego dopuszczali się nie tylko Polacy, lecz także ludzie wysługujący się Niemcom, np. nacjonaliści ukraińscy w służbie hitlerowskiej bądź członkowie policji żydowskiej w gettach. Nawoływano do pomocy Żydom, traktując jako „obowiązek każdego Polaka (...) pomoc ofiarom niemieckiego bestialstwa" [24]. Pomoc Żydom była akcją zorganizowaną, o czym zresztą, jak pamiętamy, pisał już uprzednio prof. *Tadeusz Seweryn* w siódmym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Nawet antysemici, jak ksiądz *Godlewski* czy *Mosdorf*, włączyli się do tej akcji pomocy.

„Walorem recenzowanego wyboru relacji i dokumentów jest oparcie go na bardzo szerokiej i reprezentatywnej bazie źródłowej, w tym między innymi na dokumentach znajdujących się w archiwach emigracyjnych oraz pamiętnikach i relacjach autorów przebywających za granicą (...) — pisze recenzent. — Praca (...) powinna ukazać się w drugim wydaniu (pierwsze jest już wyczerpane) oraz w wersjach obcojęzycznych" [25]. Tam, gdzie się pisze o zbrodni, nie powinno brakować również dowodów przeciwstawiania się zbrodni. Przeciętny czytelnik, zajmujący się okresem okupacji, powinien znać — oprócz nazwisk zbrodniarzy esesowskich, hitlerowców i ludzi wspomagających brunatny reżim na całym terenie opanowanym przez Trzecią Rzeszę — także sylwetki ich ofiar i bojowników ruchu oporu.

Nie trzeba uzasadniać celowości tego rodzaju publikacji, tym bardziej że na Zachodzie pewne koła usiłują szerzyć błędny i oszczerczy pogląd, jakoby eksterminacja Żydów nie była możliwa, gdyby Polacy nie współdziałali z hitlerowcami, rzekomo pomagając im w zagładzie Żydów. Smutne jest, że „do rozpowszechnienia tej opinii przyczyniły się między innymi powieści autorów żydowskich (którzy zresztą na ogół nie byli w Polsce w latach wojny) takich, jak *Leon Uris* czy ostatnio *Jerzy Ko-*

rowicz: Ludzie z naszej ojczyzny. Tygodnik Powszechny 1967, nr 25, s. 1 i *T. Kur*, Prawo i Życie, 1967, nr 9, s. 8.

[23] *J. Turowicz*, l. c.

[24] Cyt. wg *M. M. Drozdowskiego*, l. c., s. 714.

[25] Tamże, s. 715.

siński" [26]. Podobne poglądy padają na podatny grunt w NRF, w której odradzają się tendencje neohitlerowskie.

Należy dodać, że skłonności faszystowskie i próby fałszowania historii [27] obejmują w NRF szeroki zakres, począwszy od literatury pięknej [28], a skończywszy na pomysłach prawnych. Szkoda, że praktycznie niedostępny jest powielony przekład polski studium *Hansa Heinza Holza* i *Paula Neuhöffera* [29] pt. „*Griff nach der Diktatur?*", wydany „na prawach rękopisu, do użytku wewnętrznego". Tekst ten może być ostrzeżeniem przed niemiecką tendencją do dyktatury, przewijającą się nawet w oficjalnych projektach ustawodawczych w NRF o stanie wyjątkowym. Nie dziwi to w państwie skłonnym do kultywowania tradycji militarystycznych [30]. Głównie z tego względu nigdy za silne i zbyt liczne nie będą głosy ostrzegające przed niebezpieczeństwem. Za mało jednak przeciwstawiamy się odpowiednimi publikacjami w rodzaju książki *Bartoszewskiego* i *Lewinówny*. Ciągle jeszcze w polemice przoduje literatura piękna [31]. Tym większe znaczenie ma systematyczne gromadzenie argumentów w postaci dowodów zbrodni, zwłaszcza jeśli powstają w ten sposób wyczerpujące opracowania monograficzne.

Wśród nich wymienić należy książkę o obozie w Gross-Rosen, którym ostatnio autorzy bardziej się interesują [32], mianowicie monografię byłego więźnia stamtąd, *Mieczysława Mołdawy* [33]. To staranne wydanie, wzorowo też opracowane graficznie przez *Franciszka Barącza*, zawiera wszechstronne wiadomości na temat tego obozu. Autor, który stawał po wojnie w procesach zbrodniarzy hitlerowskich jako świadek oskarżenia, gdzieniegdzie tylko wspomina w tej monografii o swych własnych losach, natomiast w pełni eksponuje różnorodne informacje, zebrane z niemałym trudem. Wynika z nich dowodnie, że Gross-Rosen można zaliczyć do najskuteczniejszych efektów „przerażająco sprawnej organizacji" [34]. W obozie tym nie działały ani komory gazowe, ani bloki śmierci, lecz głód, terror i tempo pracy sprawiały, iż przeciętne przeżycie więźnia nie przekraczało tam 3—5 tygodni; wartość kaloryczna dziennego wyżywienia sięgała zaledwie 500—800 kalorii; miesięczny ubytek ciężaru więźnia dochodził do 20 kg [35]. Bardzo niewielu ocalało, zwłaszcza w latach 1942—1943.

Z punktu widzenia niniejszego przeglądu zwracają uwagę takie fragmenty monografii *Mołdawy*, jak analiza regulaminu higieny osobistej, który w esesowskiej realizacji był źródłem dodatkowej udręki więźniów [36], karty poświęcone epidemiom i chorobom w Gross-Rosen [37], urywki zawierające liczne nazwiska znanych lekarzy (np. doktorzy *Stanisław Dziaduś*, *Ludwik Fischer*, *Jan Nowak*, *Antoni Mianowski*, *Józef Żegleń*, a także profesorowie *Stanisław Konopka*, *Mieczysław Michałowicz*, *Romuald Sztaba*), którzy zasłużyli się w obozowym ruchu oporu [38]. Wśród pisarzy wspomniany jest *Roman Niewiarowicz*. Autor skrzętnie wyliczył wielu ofiarnych więźniów, również księży *Rzymełkę* i *Szymańskiego*, który ze szczególnym poświęceniem niósł pomoc i ulgę chorym i umierającym [39].

Warto dodać, że do Gross-Rosen dostał się także wśród tysięcy innych więźniów *Osi Bousko*, komendant komisariatu policji w krakowskiej dzielnicy Podgórze i komendant getta w Krakowie (w latach 1943—1944) dlatego, że sprzyjał prześladowanym i wypowiadał się przeciw hitleryzmowi [40].

Dzięki sześciojęzycznym mutacjom miesięcznika „Polska" szerszy krąg czytelników w świecie zapozna się z zamieszczonymi tam w skromnym, ale znamiennym wyborze „Pamiętnikami lekarzy" [41], nawiązującymi do znanej książki pod tym tytułem. Prof. dr *Władysław Fejkiel* zwięźle omawia znane mu z obozu oświęcimskiego, przeprowadzone tam przez lekarzy

---

[26] *J. Turowicz*, l. c.

[27] *J. Kieliński:* Nikczemność. Prawo i Życie, 1967, nr 19, s. 8.

[28] W ocenie literatury niemieckiej ważniejsze jest kryterium postawy moralnej i politycznej autora niż jego wybór postawy estetycznej (*E. Feliksiak:* Literatura w cieniu swastyki. Polityka 1967, nr 37, s. 6). Zob. też: *W. Szewczyk*: Kłopoty z wojną. (II wojna światowa w beletrystyce NRF). Życie Literackie, 1967, nr 40. s. 3.

[29] *H. H. Holz, P. Neuhöffer:* Sięganie po dyktaturę? Teksty, komentarze, opinie w sprawie planowanego ustawodawstwa stanu wyjątkowego. Tłumaczenie z niemieckiego. Zachodnia Agencja Prasowa, Warszawa 1966, ss. XXI, nlb. 1, 114, bibliografia.

[30] *T. Kur:* Hitler odszedł, mity odżywają. Prawo i Życie, 1966, nr 26, s. 6 i 7. Zob. też: Rola ziomkostw w systemie rewizjonistycznej polityki NRF. Wybór materiałów z konferencji Rady Naczelnej Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich. „Polonia", Warszawa 1967, ss. 100, bibliografia; do użytku wewnętrznego. (Por. przypis 82). Pokrewną problematykę porusza nadto *J. Bogusz* w Słowie wstępnym do niniejszego zeszytu „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

[31] *W. Szewczyk:* Hitleryzm i Niemcy we współczesnej literaturze polskiej. Instytut Śląski, Opole 1966, ss. 43, nlb. 1.

[32] *J. Gielo:* W Gross-Rosen kwitną żarnowce. Kultura, 1967, nr 31, s. 9. Zob. też: Jednodniówka okolicznościowa Klubu byłych Więźniów Gross-Rosen z okazji Miesiąca Pamięci Narodowej. (Teksty *F. Kidawy* i innych). Wyd. ZBoWiD, Warszawa 1967, ss. 82, nlb. 2, ilustr., bibliografia; do użytku wewnętrznego. Tamże między innymi referat *J. Nowaka*, lekarza z Warszawy, o „rewirze" obozowym. Uprzednio wiele informacji w tym zakresie podał *A. Gładysz:* Obóz śmierci. Wydawn. Łódzkie, Łódź 1964, ss. 207, nlb. 3 (trzy pierwsze wydania spośród pięciu wersji wspomnień dra *Gładysza* były zatytułowane: Powrót z piekła hitlerowskiego. Wspomnienie z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen i Litomierzycach. Tarnów 1945, ss. 56; Tarnów 1945. ss. 124, nlb. 1; Tarnów 1946, ss. 175, nlb. 1).

[33] *M. Mołdawa*: Gross-Rosen. Obóz koncentracyjny na Śląsku. „Polonia", Warszawa 1967. ss. 187, nlb. 1, tabl. 9, ilustr., mapy.

[34] Tamże, s. 6.

[35] Tamże, s. 34.

[36] Tamże, s. 60—62.

[37] Tamże, s. 65—72.

[38] Tamże, s. 148.

[39] Tamże, s. 153—154.

[40] *R. Kolber:* Austriaka *Bousko* rozstrzelano w Gross-Rosen. Za Wolność i Lud, 1967, nr 8, s. 9.

[41] Pamiętniki lekarzy. Polska, 1967, nr 8, s. 17—21. Tamże: *F. Loth*: Ostry dyżur w gestapo. — *W. Fejkiel*: Geheimnisträger. — *C. Sadowski (Skiba)*: Kto winien?

SS zbrodnicze eksperymenty pseudolekarskie, między innymi doświadczenia *Clauberga*. Dr *Cyprian Sadowski* pisze o lekarsko-sanitarnym zabezpieczeniu rannych akowców, którzy brali udział w zamachu na *Kutscherę*. Dr *Felicjan Loth*, wspominając epizody ze szpitala więziennego w Pawiaku, przedstawia, jak wówczas „sumienie lekarskie i zasady deontologii kłóciły się wielokrotnie z wymaganiami życia i konspiracji".

Ryszard Wasita w wywiadzie z drem *Lothem* pt. „Konflikty lekarskiego sumienia" [42] uzyskał od niego wypowiedź bardzo istotną dla zagadnień etyki: „Jest w nas, lekarzach, jakaś permanentna dwoistość, a powiem nawet mocniej, konfliktowość. Co ważniejsze: czy dobro narażonej na zdekonspirowanie organizacji, czy cierpienia jednego jej uczestnika, którego czeka po leczeniu najcięższa próba milczenia w rękach specjalistów od zeznań. Łatwo powiedzieć, że ważne jest zarówno jedno, jak drugie. Tam [na Pawiaku] nie było nawet czasu na zastanawianie się. Trzeba było szybko podejmować decyzję. I zawsze w końcu przeważała sprawa konkretnego człowieka, taki ratunek i pomoc, jakie mu lekarz-więzień był w stanie dać". Podobne rozterki nie minęły wraz z okupacją. Dr *Loth* rozważa dalej: „Co jest bardziej humanitarne, ludzkie: czy upieranie się przy utrzymywaniu życia nowo narodzonych kalek, którym medycyna może zapewnić najwyżej minimum sprawności fizycznej, ale nigdy nie zapewni szczęścia człowiekowi tak bardzo różnemu od innych? (...) Opozycjoniści najchętniej powołują się na przykład *Toulouse-Lautreca* (...); dał światu wielką sztukę (...), ale za jaką cenę? Czy nie traktujemy jego tragicznego życia z pozycji egoizmu? (...) Termin eutanazja został dostatecznie głęboko skompromitowany przez rasistowskie teorie hitleryzmu. Pojęty zupełnie inaczej, jako nieingerencja medycyny w przypadkach bezspornych, pozostawienie takich przypadków regulującemu rytmowi samej natury, zostanie chyba wcześniej lub później zaakceptowany przez ludzkość (...). Gdy mi przywożą dziecko z wrodzonym kalectwem nawet najbardziej dotkliwym, beznadziejnym, nigdy nie mam wahań. Możliwa jest tylko jedna decyzja: ratować".

Problemy nurtujące dra *Lotha*, bardzo trudne i ocierające się o granicę ryzyka moralnego, przywodzą na myśl twórczość dra *Józefa Stompora* [43], którego wczesną powieść, poprawioną i uzupełnioną, wydano po raz drugi [44]. Chirurg ten i były partyzant, czerpiąc przykłady z lat okupacji, konsekwentnie we wszystkich swych utworach usiłuje drążyć te dyskusyjne zagadnienia deontologii za pomocą literackich metod poznania i przekazu.

Z literatury dotyczącej Pawiaka wznowiono relację *Leona Wanata* [45], który przebywał tam od maja 1940 roku do lipca 1944 roku i jako pisarz kancelarii więziennej miał dostęp do wielu dokumentów. Ponieważ ten *geheimnisträger* zdołał uciec Niemcom (podczas przejazdu z Pawiaka do siedziby gestapo przy alei Szucha), otrzymaliśmy jedną z najbardziej źródłowych relacji o Pawiaku, w którym, jak wiadomo, znamienną rolę konspiracyjną odegrali uwięzieni lekarze. Z Warszawą także jest związana między innymi relacja prof. dra *Edwarda Dreschera* [46].

O zasługach lekarzy podczas okupacji na polu tajnego nauczania medycyny zwięzłą informację ogłosił dr *Ryszard Zabłotniak* [47]. W niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" publikujemy uzupełniony przez autora tekst tej pracy.

Do najbardziej wstrząsających zagadnień należą późne skutki zbrodni hitlerowskich. W tym zakresie „Polska" zamieściła bardzo dobrze skonstruowany artykuł dr *Wandy Półtawskiej* na temat poobozowych doznań byłych więźniów, którzy urodzili się lub przebywali w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych [48], z powołaniem się na wcześniejszą publikację o „dzieciach oświęcimskich" w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". W ten sposób zwięzła, ale wyraziście ujmująca istotę sprawy relacja o tych najmłodszych więźniach trafiła do zagranicznych czytelników.

Postawa prześladowanych podczas okupacji w świetle wspomnień

Wspomnienia, często nie doceniany, a czasem lekceważony rodzaj piśmiennictwa z przeszłości okupacyjnej, stanowią podstawowy materiał, na którym można się oprzeć, chcąc badać postawę człowieka w okresie tak skrajnej próby, jaką była sytuacja wytworzona przez ucisk i prześladowania hitlerowskie. Tematem tym interesuje się nauka [49]. Rozprawa doktor-

[42] Polska, 1967, nr 8, s. 14—16.

[43] O prozie *J. Stompora* zob. Przegląd Lekarski, 1967, nr 1, s. 248—249.

[44] *J. Stompor:* Partyzant od Starego. Wyd. 2. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1967, ss. 271, nlb. 4.

[45] *L. Wanat:* Za murami Pawiaka. Wyd. 4, „Książka i Wiedza", Warszawa 1967, ss. 546.

[46] *E. Drescher:* Szpital powstańczy przy ul. Poznańskiej 11 w Warszawie w 1944 roku. Wojskowy Przegląd Historyczny, 1967, nr 2, s. 458—462. — Zob. też *B. Marzinek:* O szpitalu chirurgicznym na Milanówku w czasie powstania warszawskiego w 1944 r. Tamże, 1967, nr 3, s. 433—434. W związku z tematyką warszawską zob. nadto *M. Serini-Bulska:* Klinika Położniczo-Ginekologiczna Uniwersytetu Warszawskiego w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. Archiwum Historii Medycyny, 1967, z. 2, s. 297—306. Por. przypis 91.

[47] *R. Zabłotniak:* Wydziały lekarskie podczas okupacji. Za Wolność i Lud, 1967, nr 17, s. 14—15. — O studiach medycznych umożliwionych tym, którzy znaleźli się w Wojsku Polskim na Zachodzie, zob. *Z. Teleszeński:* Polski Wydział Lekarski przy Uniwersytecie w Edynburgu. Archiwum Historii Medycyny, 1967, z. 1, s. 45—63.

[48] *W. Półtawska:* To nie jest historia. Polska, 1967, nr 6, s. 13—14 i 32. O autorce zob. *J. Szczepańska:* Spotkanie z dr *Wandą Półtawską*. Ty i Ja, 1967, nr 12, s. 2—4.

[49] *A. Glińska:* Dokumentalna wartość pamiętników oświęcimskich w badaniu moralności obozowej. Zeszyty Oświęcimskie, nr 10, s. 19—38.

ska *Alicji Glińskiej* o moralności więźniów Oświęcimia, opublikowana w skrócie w poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", powstała głównie na podstawie analizy pamiętników i wspomnień obozowych.

Z satysfakcją notujemy, że ta zasadnicza praca o postawie moralnej ludzi prześladowanych przez hitlerowców została udostępniona również w czasopiśmie „Etyka" [50]. Wartość wspomnień i ich przydatność dla celów naukowych — obok innych metod — nie może już podlegać dyskusji. Najlepszy dowód, że praca dr *Glińskiej* została oceniona jako „bezprecedensowa w literaturze światowej" [51].

Wśród wznowień wyróżniają się w r. 1967 przede wszystkim wspomnienia prof. dra *Juliana Aleksandrowicza* [52] i *Stanisława Grzesiuka* [53].

„Kartki z dziennika doktora *Twardego*", wymagające bliższego omówienia ze względu na swą szczególną pozycję wśród pamiętników lekarzy, są publikacją o wysokich walorach dokumentarnych [54]. W książce tej — np. w odniesieniu do ludzi służby zdrowia podziemnego Krakowa [55] — można znaleźć wiele nazwisk i faktów, które podał dopiero prof. *Aleksandrowicz*. Jest to formalnie zbiór samoistnych szkiców, malujących wydarzenia z getta krakowskiego, osobiste dramatyczne przeżycia autora i jego najbliższych, epizody z partyzanckiej działalności dra *Twardego*, sylwetki ludzi bohaterskich i pełnych poświęcenia obok postaci ujemnych i ubogich duchem. Całość, wzbogacona zdjęciami, które przybliżają czytelnikowi przedstawianą rzeczywistość, stanowi strukturę skomponowaną podług przemyślanej koncepcji, uwydatniającej w subtelny sposób podstawowe, a zarazem najistotniejsze wartości humanistyczne. Autor umiejętnie wydobywa je z opisywanych sytuacji i czynów ludzkich, których motywy stara się określić. Słusznie pisał recenzent wydania z r. 1962, że omawiana książka — to „wielostronny dokument ludzkiej szlachetności" [56]. Autentyzm relacji prof. *Aleksandrowicza* często przeraża i wzrusza.

Autor „na ludzi, ich postawę i czyny patrzył okiem przyrodnika, którego przede wszystkim interesuje aspekt biologiczny i społeczny ich postępowania" [57]. Może dlatego „jest w książce *J. Aleksandrowicza* kilka portretów ludzkich, które mówią nam o wartościach moralnych znacznie więcej aniżeli wielkie traktaty (...), jakże odległe od tego, co człowiek wynosi z praktyki, z normalnego, codziennego doświadczenia" [58]. „Mamy tu szeroką skalę postaw ludzkich ujawnionych w wielkiej próbie czasu wojny" [59]. Prof. *Aleksandrowicz* z opisu wydarzeń okupacyjnych wysnuwa wiele aktualnych wniosków; jeden z recenzentów zapytuje wprost: „A więc książka o okupacji, czy o medycynie?" [60].

Intencją autora było przedstawienie absurdów, do jakich prowadzi faszystowsko zabarwiony nacjonalizm i rasizm. Przy tym „*Julian Aleksandrowicz* traktuje ludzi indywidualnie, każdemu stara się oddać (...) sprawiedliwość osobistą" [61]. Kreśli sylwetki Niemców z *hakenkreutzem* w klapie, którzy — jak *Juliusz Madritsch* czy *Rajmund Tisch* [62] — ratowali nie tylko poszczególnych, ale setki Żydów. Pokazuje też młodego żołnierza o twarzy prawie dziewczęcej, manifestującego okrucieństwo, którego ktoś go kiedyś musiał nauczyć. Tylko kto? W dyskusji, którą po egzekucji toczyła starszyzna partyzancka, padały różne koncepcje: czy sztuka sakralna, czy opisy okrucieństw w literaturze pięknej itp. Wszyscy zgodnie stwierdzali, że zbyt często pokazuje się ludziom sposoby udręczania drugiego człowieka zamiast sposobów, jakimi jeden człowiek innemu przynosi ulgę.

W myśl poglądów prof. *Aleksandrowicza* szczęśliwy zakres działalności zawodowej, pozwalającej pomagać innym, jest związany przede wszystkim z zawodem służby zdrowia. W jednej z refleksji autor wysuwa myśl, aby tyleż godzin „nauki miłosierdzia", nauki umniejszania ludziom cierpień wprowadzić do szkolnictwa średniego, wyższego i w okres pozaszkolny, ile godzin życia poświęca się na wychowywanie w sensie unicestwienia drugiego człowieka. Autor porusza sprawę tego, co jest dobre, a co złe w odniesieniu do układu: człowiek i gatunek ludzki jako jedność samosterująca. Niewątpliwie złe jest to, co powoduje przedwczesną śmierć istoty ludzkiej, co przysparza chorób i cierpień ponad te udręki, które są nieodłącznie związane z ludzką egzystencją. A więc co jest dobre, czytelnik sam może sobie dopowiedzieć.

Korzenie tej idei integracji humanitarnej tkwią w doświadczeniach okupacyjnych auto-

---

[50] *A. Glińska:* Moralność więźniów Oświęcimia. Etyka, 1967, nr 2, s. 173—232. Autorka pominęła zagadnienie tzw. prominentów obozowych, gdyż zdaniem *T. Reka* (Echa oświęcimskie. Warszawa 1919, s, 108), 90—95% ogółu uwięzionych stanowił „proletariat obozowy", tj. zwykli więźniowie i „o nich trzeba mówić, jeśli się chce poznać obóz".

[51] *Z. Szawarski:* Etyka i nauka. Polityka, 1967, nr 33, s. 11.

[52] *J. Aleksandrowicz:* Kartki z dziennika doktora *Twardego*. Przedmowa *W. Bartoszewskiego*. Wyd. 2, Wydawn. Literackie, Kraków 1967, ss. 236, nlb. 4, tabl. 8, ilustr. Również z punktu widzenia lekarza i żołnierza wszystkie lata minionej wojny ogarnął *A. Majewski:* Wojna, ludzie, medycyna. T. 1—2. Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, Lublin 1960, ss. 356, nlb. 2, portr. 1 + ss. 363, nlb. 2, tabl. 1. Książki pisane przez lekarzy, a obejmujące ten cały okres, należą do wyjątków na rynku wydawniczym.

[53] *S. Grzesiuk:* Pięć lat kacetu. Wyd. 4, „Książka i Wiedza", Warszawa 1967, ss. 438, nlb. 2.

[54] *W. Bartoszewski:* O wojnie, getcie i ludziach prawdziwych. Twórczość, 1963, nr 2, s. 140—142.

[55] *J. Aleksandrowicz*, o. c., s. 211—226.

[56] *H. Bereza:* Fragmenty wspomnień. Nowe Książki, 1964, nr 21, s. 1312.

[57] *(Jota):* Ludzie prawdziwi. Gazeta Krakowska, 1962, nr 302, s. 3.

[58] *S. Wygodzki:* Lekarz w lesie. Tygodnik Kulturalny, 1963, nr 37.

[59] Za Wolność i Lud, 1967, nr 17, s. 18.

[60] *Z. Greń:* Dokument. Dziennik Polski, 1962, nr 272, s. 3.

[61] *Z. Starowieyska-Morstinowa:* Z notatnika recenzenta. Tygodnik Powszechny, 1962, nr 48, s. 5.

[62] Zob. Przegl. Lek., 1967, 1, s. 169.

ra, który kiedyś w rozmowie z piszącym te słowa podkreślił również, że sam drugi raz się urodził w chwili, gdy znajdował się wskutek zmęczenia na pograniczu rzeczywistości i złudy, a zupełnie obcy, prosty gospodarz z Woroblina przyjął go serdecznie o godzinie drugiej w nocy przemarzniętego i wyczerpanego. Ofiarni i odważni ludzie bezinteresownie czekali na niego, świecąc lampę naftową w oknie przez dwie doby, żeby ten wędrowiec, narażony na śmierć z zamarznięcia lub od kuli, znalazł w ciemnej nocy okupacyjnej szczególny symbol — światło dobrych ludzi, które zwiastowało te drugie narodziny.

Znana książka „Pięć lat kacetu" nie żyjącego już *Stanisława Grzesiuka* — to słynna relacja więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych, cechująca się szczególną, realistyczną wymową. Autor uniknął jakiegokolwiek sentymentalizmu i zbędnych interpretacji. Dzięki temu dał wstrząsający obraz hitlerowskiej machiny śmierci i zachowania się więźniów wobec jej nacisku.

Dr *Jeremiasz Sowiakowski* skierował uwagę czytelników na okupacyjne dzieje Lubelszczyzny, mianowicie na wydarzenia wokół szpitala w Janowie Lubelskim. Autor był dyrektorem tego szpitala. W niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" zamieścił on wspomnienie na ten temat. Uprzednio opisał swe okupacyjne przeżycia i dzieje szpitala janowskiego w cyklu artykułów pt. „Wspomnienia lekarza" w dwutygodniku „Za Wolność i Lud", począwszy od dni wrześniowych 1939 roku, przez okres wkrótce nawiązanych kontaktów lekarzy z partyzantami [63] i bitwę w lasach janowskich [64], a skończywszy na sytuacji szpitala podczas wyzwalania Janowa [65].

Wybitną nowością wydawniczą w zakresie literatury pamiętnikarskiej jest książka arcybiskupa *Adama Kozłowieckiego*[66], który po wyzwoleniu znalazł się w polskiej misji w Rodezji, pozostał w Afryce i obecnie jest głową Kościoła katolickiego w Zambii. Tacy oprawcy, jak *rapportführer Gerhard Palitzsch*, „kapo" *August*, morderca *Krankenmann* szykanowali i maltretowali *Kozłowieckiego*, więźnia Oświęcimia nr 1006, specjalnie dlatego, że był on *Ordenspriester* (kapłanem zakonnym). Następnie autor przeszedł czteroletnią gehennę w Dachau.

Arcybiskup *Kozłowiecki*, dysponujący nieprzeciętną pamięcią, spisał po wyzwoleniu szczegółowo swe przeżycia, starając się nawet opatrywać datą opisy poszczególnych dni katorgi. Rzeczowa relacja o wydarzeniach przeplata się w tej książce z głęboką refleksją, a sposób interpretacji faktów, właściwy duchownemu, wzbogaca wiedzę o hitlerowskich obozach; nadto znajdujemy tutaj temat rzadko poruszany, mianowicie wspomnienia z więzienia w Wiśniczu Nowym. Cennym aneksem są informacje o 73 jezuitach polskich, ofiarach terroru hitlerowskiego [67]. Lektura omawianego pamiętnika pozwala na bliższe zapoznanie się z postawą duchownych ciemiężonych w „kacetach".

Martyrologia duchownych w katowniach hitlerowskich kontrastuje z polityką Watykanu, a także z postawą episkopatu Trzeciej Rzeszy. Sprawę stanowiska biskupów niemieckich wobec okupowania i ciemiężenia Polski podjął ostatnio *Wojciech Borowski* [68].

Do wspomnień, których autentyzmowi sprzyja brak literackiego wypolerowania, należy relacja *Marii Rychlik* [69] z Jordanowa. Autorka, Ślązaczka, dostała się z „Pallace", zakopiańskiej siedziby gestapo, na dwa lata do obozu oświęcimskiego. Hitlerowcy prześladowali również dwóch synów i córkę autorki. O jej relacji pisze recenzent, że „realistycznie, bez patosu i zbędnego kolorytu opisane losy jednej rodziny i osób z nią związanych są tragicznym dokumentem z lat wojny, upamiętniającym męczeństwo i zarazem walkę tysięcy podobnych rodzin" [70]. Nie jest to rewelacja pod względem historycznym i faktograficznym, ale „fresk nakreślony (...) przez niewprawny pędzel prymitywistyczny, który najprostszymi środkami osiąga pożądany efekt (...). Na liście owych prymitywnych środków, którymi operuje autorka, należy umieścić przede wszystkim szczerość, a poza tym rezygnację z suchej relacji na rzecz próby oddania nie ograniczonych konwencją ani nie przytłumionych czasem ówczesnych wrażeń, uczuć, reakcji" [71]. Autorka podkreśliła walor życia i sens walki o nie, nawet tam, gdzie „codziennie, co chwila przekraczało się granicę między życiem a śmiercią (...). Taka szczepionka wspomnień każdemu jest potrzebna. Pozwala wywołać przeciwciała potrzebne szczególnie wtedy, gdy fala obojętności powoli i nieuchronnie zalewa świat" [72].

---

[63] *J. Sowiakowski:* Odurzeni eterem. Za Wolność i Lud, 1967, nr 4, s. 11 i 15.

[64] *J. Sowiakowski:* Największa bitwa. Tamże, nr 11, s. 11 i 12.

[65] *J. Sowiakowski:* Wyzwolenie. Tamże, nr 13, s. 13.

[66] *A. Kozłowiecki:* Ucisk i strapienie. Pamiętnik więźnia 1939—1945. Przejrzał i do druku przygotował *Julian Humeński.* Wydawn. Apostolstwa Modlitwy. Kraków 1967, ss. 558, nlb. 1, tabl. 1. — Pamiętniki więzionych księży zrecenzował między innymi *M. Bednarz:* Pobożni w piekle. Tygodnik Powszechny, 1967, nr 17, s. 2.

[67] *T. S.:* Wspomnienia arcybiskupa Zambii. *Adam Kozłowiecki* o Wiśniczu, Oświęcimiu i Dachau. Za Wolność i Lud, 1967, nr 8, s. 14.

[68] *W. Borowski:* Obowiązek niemieckiego biskupa. Duchowieństwo niemieckie i okupacja Polski 1939—1945. Zachodnia Agencja Prasowa. Warszawa 1966 (wydrukowano w styczniu 1967 roku), ss. 259, nlb. 1, ilustr. — Zob. też *S. Friedländer:* Pie XII et le III Reich. Documents. Paris 1964, ss. 238 (rec. *B. Maszlanka:* Pius XII a III Rzesza. Wojskowy Przegląd Historyczny, 1966, nr 4, s. 285—304). Interesujący i wnikliwy jest artykuł *A. Bardeckiego*: Milczenie Piusa XII. Tygodnik Powszechny, 1967, nr 17, s. 1 i 2. — Zob. ponadto: *S. Markiewicz*: Spadkobiercy krzyżackich tradycji. Wydawn. MON, Warszawa 1966, ss. 454, nlb. 2.

[69] *M. Rychlik:* Śmierć daje życie. Wspomnienia więźniarki Oświęcimia. Wydawn. Literackie, Kraków 1967, ss. 159, nlb. 4, tabl. 5, ilustr.

[70] Zob. Za Wolność i Lud, 1967, nr 7, s. 18.

[71] *A. Mostowicz:* Wspomnienia z otchłani. Nowe Książki, 1967, nr 9, s. 514.

[72] Tamże, s. 515.

Wśród 230 więźniarek politycznych przywiezionych do Oświęcimia z Francji i oznaczonych numerami 31625—31854 znalazła się bohaterska *Danielle Casanova*, której śmierć w obozie jest tematem obrazu *Borysa Taslitzkiego*. Dentystka z zawodu, *Casanova* zasłynęła w „rewirze" oświęcimskim jako wyjątkowa opiekunka i samarytanka. Przypomnienie jej postaci i innych więźniów francuskich jest zasługą publicystów [73], nieczęsto podejmujących tematy obozowe.

Prostym i jednocześnie precyzyjnym językiem są napisane wspomnienia okupacyjne żony robotnika fabrycznego, *Haliny Birenbaum* [74]. Cierpienia i upodlenie człowieka znajdują tutaj swój przejmujący wyraz. Ale przede wszystkim instynkt życia bije z kart tej książki, przywodząc recenzentce [75] na myśl jedno z przysłów żydowskich, opublikowanych przez *Samuela Adalberga* w końcu XIX wieku: „Godzina życia — i to życie". „Autorka wojnę i okupację hitlerowską przeżyła w getcie warszawskim i w obozach koncentracyjnych na Majdanku, Oświęcimiu, Ravensbrück i Neustadt-Gleve. Była wówczas (...) kilkunastoletnią dziewczynką. Wspomnienia swoje spisała jako dojrzała kobieta z perspektywy dwudziestu lat (...). Stara się być przede wszystkim rzeczowa i w miarę dokładna, unika egzaltacji i patosu" [76]. *Birenbaum* bez kamuflażu opisuje wilcze prawa panujące w obozach, zbrodnie dokonywane „po prostu", hitlerowski system deprawowania ofiar, straszliwe warunki sanitarne, a na tym tle ukazuje ów instynkt życia, który pozwala przetrwać to, co wydaje się nie do zniesienia. Najjaskrawszym przykładem niezwykłej pomysłowości w ratowaniu życia mogą być opisy zawarte w książce *Szymona Datnera* [77].

Surowy realizm cechuje wspomnienia *Jerzego Kwiatkowskiego* [78], który przed uwięzieniem w Oświęcimiu i innych obozach przebywał w Majdanku od marca 1943 roku do lipca 1944 roku. Pracując w różnych miejscach obozu, a zwłaszcza w kancelarii, obserwował tajniki katowni majdankowskiej. Opisał zjawiska i epizody, które składają się na przejrzysty, dokładny obraz całokształtu życia obozowego, bardzo w Majdanku swoistego. „To, co składa się na prywatną, intymną sferę życia autora, podane zostało w sposób delikatny, ściszony" [79]. Książka ta czekała kilkanaście lat na wydanie, aż mecenas *Hanna Romer-Pannenko* zabrała pamiętnik *Kwiatkowskiego* do Polski dla Muzeum w Majdanku, gdzie rękopis odpowiednio oceniono.

Natomiast zbytnia beletryzacja zaciążyła ujemnie np. na wspomnieniach *Stanisława Szeflera* [80].

Z hitlerowskimi „lagrami" wiążą się ponadto dwa interesujące wspomnienia (z obozu w Bergen-Belsen oraz z różnych więzień i Ravensbrück), umieszczone w niełatwo dostępnej broszurze [81].

Niezależnie od indywidualnego ujęcia formalnego wymienione publikacje wyrażają bezpośrednio lub pośrednio postawę autorów, u których dominuje chęć przetrwania prześladowań i wyjścia bez poważniejszego uszczerbku moralnego z *pandemonium* zorganizowanego gwałtu norm etycznych.

Pilne postulaty wydawnicze

Czytelnik zagraniczny jest z powodu bariery językowej na ogół odcięty od wartościowych i interesujących publikacji wydawanych w języku polskim. Edycje obcojęzyczne materiałów zawartych w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" są dopiero przygotowywane, a inne przekłady dla zagranicy należą do wyjątków. Wśród nich warto zwrócić uwagę na takie wydania, jak studium *Stanisława Schimitzka* [82], który polemizuje z fałszerstwami dokonywanymi w NRF w odniesieniu do wydarzeń minionej wojny, książka *Kazimierza Smolenia* o Oświęcimiu [83], czy też popularna broszura *Edwarda Grynia* i *Zofii Murawskiej* o obozie w Majdanku [84]. Ze względu na materiał ilustracyjny i zasadnicze informacje znaczną wartość ma seria broszur wydawanych przez Ra-

---

[73] *J. Steinhauf, J. Tomaszewski:* Marsylianka za drutami. Dziennik Polski, 1967, nr 213, s. 3 i 4.

[74] *H. Birenbaum:* Nadzieja umiera ostatnia. „Czytelnik", Warszawa 1967, ss. 214, nlb. 2.

[75] *H. Zaworska:* „Godzina życia — i to życie". Nowe Książki, 1967, nr 11, s. 686—687.

[76] Tamże.

[77] *S. Datner:* Ucieczki z niewoli niemieckiej. 1939—1945. „Książka i Wiedza", Warszawa 1966, ss. 450, nlb. 2, tabl. 32.

[78] *J. Kwiatkowski:* 485 dni na Majdanku. Wydawn. Lubelskie, Lublin 1966, ss. 503, nlb. 1, tabl. 4.

[79] *S. Wygodzki:* Majdanek w oczach pamiętnikarza. Nowe Książki, 1967, nr 7, s. 419. — Cenne materiały dotyczące tego obozu ukazują się osobno w Zeszytach Majdanka (przewodniczący kolegium redakcyjnego: *Tadeusz Mencel*). Staraniem Rady Naukowej Wydawnictw o Majdanku przy Towarzystwie Opieki nad Majdankiem oraz Wydawnictwa Lubelskiego opublikowano w roku 1967 tom drugi Zeszytów Majdanka (ss. 277, nlb. 7, ilustr., bibliografia).

[80] *S. Szefler:* Okupacyjne drogi. „Książka i Wiedza", Warszawa 1967, ss. 390, nlb. 6.

[81] *M. Ziemba:* W 20 rocznicę oswobodzenia obozu zagłady w Bergen-Belsen. Biuletyn Biblioteki Jagiellońskiej, nr 1, styczeń—czerwiec 1965. Kraków 1966, s. 64—66. — *C. Zawodzińska:* Z perspektywy dwudziestu lat. Tamże, s. 67—68.

[82] *S. Schmitzek:* Vertreibungsverluste? Westdeutsche Zahlenspiele. Zachodnia Agencja Prasowa, Warszawa 1966, ss. 357, tabl. 4, ilustr., mapy, bibliografia. — Z fałszerstwami zachodnioniemieckimi rozprawia się też *A. J. Kamiński*: Śladami Hakaty. Rola „ziomkostw" w polityce Niemieckiej Republiki Federalnej. „Książka i Wiedza", Warszawa 1966, ss. 527, nlb. 1. — Zob. też *A. W. Walczak*: BHE [Block der Heimatvertriebenen und Entrechteten], Zachodnioniemiecka Partia Przesiedleńców. Instytut Zachodni, Poznań 1967, ss. 382, tab., bibliografia. (Por. przypis 30).

[83] *K. Smoleń*: Auschwitz 1940—1945. (Forditotta Bárkányi Zoltánné). Az Auschwitzi Múzeum Kiadva'nya [Kraków] 1966, ss. 106, nlb. 2, ilustr., mapa.

[84] *E. Gryń, Z. Murawska:* Majdanek, concentration camp. Wyd. 2. Przełożył *Jan Gaczoł*. Wydawn. Lubelskie, Lublin 1966, ss. 65, nlb. 3, tabl. 1, ilustr., mapy. To samo w językach rosyjskim, niemieckim i francuskim. Podobne publikacje polegają na możliwie wszechstronnym i zwięzłym ujęciu problematyki, toteż zawierają zasób informacji najbardziej podstawowych.

dę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, poświęcona różnym miejscom kaźni (Oświęcim [85], Majdanek, Palmiry, Pawiak, Treblinka itd.). Liczba obcojęzycznych publikacji w tej dziedzinie jest jednak żenująco uboga. O poprawę w tym zakresie winniśmy się upominać przy każdej sposobności. Istotne znaczenie dla czytelnika zagranicznego mają raczej publikacje naukowe niż broszury ogólnie informujące [86].

Niestety, nieczęsto można znaleźć w prasie rzeczowe wskazówki, proponujące, czym się kierować w wyborze wydań dla zagranicy. Wśród materiału, który bez wątpienia należy brać tutaj pod uwagę, znalazłoby się wiele prac o lekarskiej tematyce okupacyjnej, jak też prac opublikowanych przez lekarzy. Zawód lekarza ma w świecie duży autorytet i lekarzowi łatwiej jest niż publicyście trafić do przekonania cudzoziemca. Wskazane więc byłoby lepsze planowanie przekładów na języki obce i poszerzanie planów wydawniczych.

Niekiedy wysuwano trafne projekty. Na przykład w odniesieniu do „Kartek z dziennika doktora *Twardego*" recenzentka pisała przed 5 laty: „Wydaje mi się, że książka powinna być przetłumaczona, zwłaszcza na angielski, a przynajmniej jej treść powinna być szeroko rozkolportowana na Zachodzie, bo wiemy dobrze, że zwłaszcza w Ameryce co chwila podnoszą się głosy, że Polacy na równi z Niemcami tępili Żydów, że kto wie (taką wersję słyszałam niedawno), czy to nie oni właśnie byli inicjatorami akcji przeciwżydowskiej. Kto i w jakim celu tego rodzaju pogłoski szerzy i podtrzymuje, jest chyba jasne" [87].

W zakresie publikacji przeznaczonych na rynek krajowy również należy odrobić wiele zaniedbań. Wydawcy powinni na przykład podjąć trud odszukania i ponownego opublikowania zapomnianych a wartościowych pozycji, które kryją się w niedostępnych nieraz dla niespecjalistów rocznikach czasopism powojennych, nie mówiąc już o konspiracyjnej prasie z czasów okupacji [88]. Jednym z licznych przykładów tekstów nadających się do proponowanego wyboru może być cenny referat prof. dra *Franciszka Adamanisa* [89], łączący ważne spostrzeżenia naukowe ze sprawą lekarskiego ruchu oporu w Gusen. Przy okazji przychodzi upomnieć się znów o wydanie książkowe opowiadań oświęcimskich *Bronisława Mroza-Długoszewskiego* [90], który ratował życie, opowiadając gawędy i baśnie w szpitalu w Brzezince. Setki podobnych pozycji odkryto by za pomocą proponowanych poszukiwań. W odniesieniu do okupacyjnych zagadnień lekarskich niejednokrotnie także wskazywaliśmy w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" na różne luki tematyczne.

Sprawdzenia wymaga, ile tekstów naukowych nie wyzyskano jeszcze w druku. Na przykład można by ogłosić fragmenty rozprawy doktorskiej dra *Kazimierza Frąckowskiego* [91], w której oprócz wielu wszechstronnych informacji o obozie w Sachsenhausen zawarte są rozdziały poświęcone szpitalowi obozowemu, organizacji lecznictwa, warunkom higienicznym, doświadczeniom eksterminacyjnym i prosekturze obozowej.

Wolno się spodziewać, że w przyszłości poprawi się dobór publikowanych tekstów, a dysponowanie przestrzenią wydawniczą będzie bardziej przemyślane. Więcej miejsca, zwłaszcza w wydaniach książkowych, należałoby poświęcić obiektywnym i ścisłym materiałom informacyjnym i dokumentarnym, nawiązującym do lekarskiej problematyki okupacyjnej. Dziedziną tą warto by nadto szerzej zainteresować publicystów, wypowiadających się obszernie w czasopismach ogólnie dostępnych. Bardzo mało w nich jeszcze pojawia się proponowanych tekstów. Niektóre tematy, np. udział lekarzy w ruchu oporu, można by upowszechnić w serii „Żółtego Tygrysa".

W wypadku poruszania zagadnień okupacyjnych i wiążącego się z nimi problemu niemieckiego nie wystarcza intuicja i żywiołowy talent pisarski; potrzebne są przede wszystkim obiektywizm, należyty zasób wiadomości, powściągliwość oceny, umiejętność subtelnego ustalania proporcji przedstawianych szczegółów. Nie wszyscy piszący pamiętają, że literackie modyfikowanie faktów zamiast asekurować może się stać pułapką dla autora.

---

[85] Zob. przypis 86.

[86] Np. Auschwitz. Wyd.: Com. gén. de l'Association des combattans pour la liberté et la démocr., Conseil de sauvegarde des monuments de lutte et de martyre. [Warszawa] 1967, ss. 20, nlb. 4, tabl. 6, ilustr., mapa. To samo w językach niemieckim i polskim.

[87] *Z. Starowieyska-Morstinowa*, l. c. (zob. przypis 61).

[88] Jej wybitnym znawcą jest doc. dr *Stanisław Sierotwiński*, autor cennej publikacji: Kronika życia literackiego w Polsce pod okupacją hitlerowską. Próba przeglądu zdarzeń w układzie chronologicznym. Rocznik Naukowo-Dydaktyczny WSP w Krakowie. Zeszyt 24: Prace historycznoliterackie III. Kraków 1966, s. 5—72.

[89] *F. Adamanis:* Pirogeny w płynach iniekcyjnych. Farmacja Polska, 1949, nr 6, s. 218—220. — Farmacja jest nielicznie reprezentowana w omawianym piśmiennictwie, aczkolwiek ostatnio pojawiło się kilka prac. Niektóre zagadnienia, częściowo znane już z „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", poruszył *J. Mikulski:* Eksperymenty farmakologiczne w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Zeszyty Oświęcimskie, nr 10, s. 3—18. Zob. też *W. Dębska:* Odsłonięcie tablicy poświęconej pamięci farmaceutów wielkopolskich pomordowanych w latach okupacji hitlerowskiej 1939—1945. Farmacja Polska, 1967, nr 5/6, s. 481—487. W 500 egzemplarzach powielono źródłowe i pionierskie opracowanie *W. W. Głowackiego:* Męczeńskie drogi farmaceutów wielkopolskich w latach okupacji hitlerowskiej 1939—1945. Wyd. Okręgowa Komisja Historyczna ZBoWiD w Poznaniu, 1967, ss. 73, nlb. 2, bibliografia. W aneksie autor cytuje wspomnienia *J. Pacanowskiego, J. Pawłowskiego* i *F. Adamanisa.*

[90] *J. Masłowski:* Mistrz gawędy. Za Wolność i Lud, 1967, nr 2, s. 7. Tamże są wyliczone tytuły tych opowiadań, jak również podana jest ich krótka ocena.

[91] *K. Frąckowski:* Medycyna hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen-Oranienburg. [Gdańsk], bez daty. Maszynopis, ss. 176. Cenne fotokopie. — Tylko w 154 egzemplarzach została powielona rozprawa doktorska *T. Brzezińskiego:* Służba zdrowia w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r. Łódź 1964 (wydane w lutym 1967 r.), ss. 199, tabl. 8, ilustr., mapy, bibliografia.

Szersze upowszechnianie i wzbogacanie zagadnień wchodzących w zakres omawianej tematyki ciągle jeszcze nie jest realizowane poza „Przeglądem Lekarskim — Oświęcim". Przeszkadza temu zapewne między innymi brak odpowiedniej techniki wyzyskania istniejących źródeł. Z pewnością wydawnictwa powinny tutaj kierować się innymi kryteriami niż np. w wypadku literatury pięknej. W odniesieniu do niej wydawcy idą trzema zasadniczymi drogami: współpracy z ustalonymi autorami, odrzucania oczywistej grafomanii i pewnego wysiłku w wysuwaniu nowych autorów. W wypadku lekarskich spraw okupacji kolejność ta winna być odwrotna, gdyż to, co się jeszcze da ocalić od zapomnienia, może uratować tylko celowa inspiracja, wertowanie archiwów i poszukiwanie ludzi, którzy mają naprawdę coś istotnego do powiedzenia, ale z różnych przyczyn nie sięgają po pióro, może nie uświadamiając sobie nawet, że wnieśliby wartościowy wkład swą wypowiedzią.

O tych tekstach, zarówno nie wyjętych jeszcze z szuflad, jak i nie napisanych dotychczas, powinna decydować ich wartość dokumentarna, a nie forma, nieporadna czasem, jednocześnie jednak w swej surowości, nieraz rozwlekłości, w emocjonalnych komentarzach zawierająca istotne fakty, daty, nazwiska, oryginalne opisy wydarzeń i sytuacji, swoiste refleksje i spostrzeżenia. Poszukiwanie autorów, odpowiednio prowadzone rozmowy z nimi, bo kiedy były więzień opowiada, przeżywa wszystko na nowo, oto środki, dzięki którym ukryte i marnowane materiały można by z pożytkiem doprowadzić do druku. Dokładne przejrzenie i należyte uporządkowanie archiwów również jest pilnie potrzebne; sprawa dotyczy zwłaszcza orientacji nie tylko w tytułach rękopisów, lecz także w ich treści.

Niewątpliwie na podstawie kilkuletniej obserwacji tego wszystkiego, co w zakresie okupacyjnej tematyki lekarskiej ukazuje się poza „Przeglądem Lekarskim — Oświęcim", można stwierdzić, iż tak pojętej inspiracji, niestety, dotychczas na ogół brakuje. Wskutek tego problematyka psychosocjolekarska lat okupacji, interesująca nawet przypadkowego czytelnika, o czym świadczy szybkie wykupywanie tych rzadkich publikacji, nie jest należycie upowszechniana. Plany wydawnicze nie odpowiadają jeszcze pod tym względem istniejącemu zamówieniu społecznemu.

Prezydent Francji, gen. *Charles de Gaulle*, w dniu 9 września 1967 roku na terenie byłego obozu masowej zagłady w Oświęcimiu-Brzezince (zdjęcie z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

TREŚĆ POPRZEDNICH ZESZYTÓW „PRZEGLĄDU LEKARSKIEGO", POŚWIĘCONYCH ZAGADNIENIOM LEKARSKIM OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

Zestawił: *Jan Masłowski*

Wszystkie pozycje w tym spisie są uszeregowane tematycznie. Liczby rzymskie (I—VII) oznaczają kolejne zeszyty „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim": I = Przegl. Lek., 1961, nr 1a, II = Przegl. Lek., 1962, nr 1a, III = Przegl. Lek., 1963, nr 1a, IV = Przegl. Lek., 1964, nr 1, V = Przegl. Lek., 1965, nr 1, VI = Przegl. Lek., 1966, nr 1, VII = Przegl. Lek., 1967, nr 1. Liczby arabskie odnoszą się do numeracji stron w poszczególnych zeszytach.

*
* *

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą (II 34, III 34, IV 2, V okł., VI okł., VII okł.). — J. Bogusz: Słowo wstępne (I 34—35, II 35—37, III 35—41, IV 3—7, V 3—12, VI 3—13, VII 3—12).

DZIAŁ NAUKOWY

J. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w tzw. Generalnym Gubernatorstwie. Orzeczenie wygłoszone w dniu 20. V. 1948 r. przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie w sprawie przeciwko *Józefowi Bühlerowi*, byłemu szefowi w tzw. rządzie GG (III 103—115). — J. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Orzeczenie wygłoszone na rozprawie sądowej przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w dniu 10. XII. 1947 r. (II 37—49). — J. Sehn: Niektóre aspekty prawne tzw. eksperymentów dokonywanych przez hitlerowskich lekarzy *SS* w obozach koncentracyjnych (I 35—44). — J. Sehn: Sprawa oświęcimskiego lekarza *SS J. P. Kremera* (I 49—61). — T. Bilikiewicz: Z rozważań nad psychologią ludobójstwa (VI 14—20). — A. Kępiński: Niektóre zagadnienia psychosocjologiczne masowych zbrodni hitlerowskich II wojny światowej (I 81—83). — A. Kępiński: Oświęcimskie refleksje psychiatry (IV 7—9). — A. Kępiński: Refleksje oświęcimskie: psychopatologia władzy (VII 52—60). — A. Kępiński, M. Orwid: Z psychopatologii „nadludzi". Uwagi na marginesie autobiografii *Rudolfa Hössa* (II 83—89). — A. Kępiński: „*Anus mundi*" (V 150—152). — A. Kępiński: Koszmar (VI 54—58). — M. Łyskanowski: Los psychicznie chorych pod panowaniem ideologii hitlerowskiej (VII 64—67). — R. Kiełkowski: Zagłada chorych szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie (VII 68—78). — H. Münch: Głód i czas przeżycia w obozie oświęcimskim (VII 79—88). — J. Kowalczykowa: Choroba głodowa w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu I (58—60). — J. Kościuszkowa: Losy dzieci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (I 60—61). — W. Półtawska: Z badań nad „dziećmi oświęcimskimi". Uwagi ogólne (V 21—24). — W. Półtawska: Stany hipermnezji napadowej. Na marginesie badań tzw. „dzieci oświęcimskich" (VII 89—93). — W. Półtawska, A. Jakubik, J. Gątarski, J. Sarnecki: Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 21—36). — J. Gątarski: Badania elektroencefalograficzne osób urodzonych lub przebywających w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 37—38). — J. Sarnecki: Konflikty emocjonalne osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 39—46). — E. A. Cohen: Reakcja początkowa na osadzenie w obozie koncentracyjnym (V 28—31). — V. E. Frankl: Higiena psychiczna w sytuacji przymusowej. Doświadczenia w zakresie psychoterapii w obozie koncentracyjnym (V 24—28). — R. Leśniak, J. Mitarski, M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Niektóre zagadnienia psychiatryczne obozu w Oświęcimiu w świetle własnych badań (II doniesienie wstępne), (I 64—73). — M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Cel i metoda badań psychiatrycznych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (IV 9—11). — A. Teutsch: Próba analizy procesu przystosowania do warunków obozowych osób osadzonych w czasie II wojny światowej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Doniesienie wstępne (II 90—94). — A. Teutsch: Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stressu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka (IV 12—17). — M. Orwid: Uwagi o przystosowaniu do życia poobozowego u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Doniesienie wstępne (II 94—97). — M. Orwid: Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka (IV 23—29). — A. Szymusik: Poobozowe zaburzenia psychiczne u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Doniesienie wstępne (II 98—102). — A. Szymusik: Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (IV 23—29). — R. Leśniak: Zmiany osobowości u byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Doniesienie wstępne (IV 29—30). — R. Leśniak: Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (V 13—20). — S. Dąbrowski, H. Schramm, T. Żakowska-Dąbrowska: Trwałe zmiany psychiczne powstałe w wyniku pobytu w obozach koncentracyjnych i eksperymentów pseudolekarskich (I 31—34). — S. Kłodziński, J. Kutyba: Wstępne wyniki badań stanu zdrowia 100 byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (z dzielnicy Stare Miasto w Krakowie), (VI 47—48). — C. Kempisty: Stan zdrowia byłych więźniów ze środowiska wrocławskiego (VII 96—98). — J. Schwann-Pawłowska: Wstępne wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego), (VII 98—101). — J. Zielina: Wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych (VI 49—52). — H. Wieliczański: Spostrzeżenia nad obecnym stanem zdrowia byłych więźniów hitlerowskich (IV 43—45). — M. Dominik: Sytuacja zdrowotna i bytowa byłych więźniów oświęcimskich w świetle ankiety (VII 102—104). — S. Kłodziński: Zbrodnicze doświadczenia farmakologiczne na więźniach obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (preparat 3582, rutenol, Be 1084, periston), (V 40—46). — S. Kłodziński: Próby biologicznego wyniszczenia narodu polskiego pod pozorem „walki z gruźlicą" w okresie okupacji hitlerowskiej (II 70—77). — S. Kłodziński: Zbrodnicze eksperymenty z zakresu gruźlicy dokonywane w hitlerowskich obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej (II 77—81). — S. Kłodziński: Wyniki badań byłych więźniów Oświęcimia w kierunku gruźlicy płuc, przeprowadzonych w 15 lat po wyzwoleniu (I 74—75). — J. Krzywicki: Stan uzębienia u byłych więźniów obozów hitlerowskich (V 36—37). — J. Krzywicki: Obrażenia szczękowe w obozie oświęcimskim (VII 94—96). — R. Waitz: Zmiany chorobowe u byłych więźniarek obozów koncentracyjnych (III 41—50). — F. Blaha: W sprawie patogenezy miażdżycy tętnic (na podstawie własnych obserwacji w obozie koncentracyjnym w Dachau), (IV 45—50). — W. Fejkiel: Eksperymenty dokonywane przez personel sanitarny *SS* w głównym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (IV 101—105). — W. Półtawska: Operacje doświadczalne w obozie koncentracyjnym Ravensbrück (III 90—97). — S. Kłodziński: Dur wysypkowy w obozie Oświęcim I (V 46—67) — S. Kłodziński: Fenol w *KL Auschwitz-Birkenau* (III 62—65). — S. Kłodziński: Z zagadnień ludobójstwa: „sterylizacja" i kastracja promieniami Roentgena w obozie oświęcimskim. Dr *Horst Schumann* (IV 105—111). — T. Szymański: *Noma* (rak wodny) w obozie cygańskim Oświęcim-Brzezinka (II 68—70). — R. Waitz, M. Ciepielowski: Doświadczalny dur wysypkowy w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie (V 68—69). — S. Kłodziń-

ski: Z zagadnień „gospodarczej" eksploatacji zwłok ludzkich w Niemczech hitlerowskich (IV 91—86). — S. Kłodziński: Zbiór szkieletów żydowskich dla uniwersytetu III Rzeszy w Strasburgu (z działalności prof. dr *Augusta Hirta*), (IV 96—101). — T. Sznajder: Były Oddział Zakaźny Państwowego Szpitala św. Łazarza w Krakowie w czasie okupacji (VII 61—62). — R. Zabłotniak: Białostocka służba zdrowia w czasie okupacji hitlerowskiej (VII 63). — S. Kłodziński: Niektóre zagadnienia deontologii lekarskiej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (III 101—103). — S. Dzięcielska-Machnikowska: Problemy zawodu lekarskiego w okresie okupacji hitlerowskiej w świetle literatury pięknej i pamiętników (VII 48—51). — A. Schweitzer: Zagadnienie etyki w rozwoju myśli ludzkiej (VI 58—64). — J. Milčinski: Kryzys etyki lekarskiej (VII 30—37). — A. Glińska: Z badań nad moralnością więźniów Oświęcimia (VII 37—45). — A. Gawalewicz: Z rozważań na temat oświęcimskiej problematyki moralnej (VII 45—48). — K. Saller: Mord na tle rasowym i urojenie bohaterstwa w narodowym socjalizmie (VII 13—30). — S. Kłodziński: Cel i metodyka badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (V 31—36). — S. Kłodziński: Konieczność kontynuowania badań naukowych nad zagadnieniem Oświęcimia (VI 52—54).

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

S. Urbańczyk: W Sachsenhausen i Dachau (w 25 rocznicę uwięzienia profesorów uczelni krakowskich), (V 76—86). — E. Brzezicki: Socjopsychopatia a *„Kazet-Lager"* Sachsenhausen (III 77—83). — S. Skowron: Z pobytu w obozach koncentracyjnych. Refleksje biologa (III 84—88). — J. Miodoński: Kilka wspomnień o *sonderaktion Krakau* 1939 (III 69—77). — O staraniach czynionych dla uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (na podstawie relacji członków rodzin profesorów), (IV 53—57).— F. Walter: Zmarli podczas wojny profesorowie i docenci Wydziału Lekarskiego UJ (IV 50—53). — K. M. Pospieszalski: Wykaz pracowników Uniwersytetu Poznańskiego zmarłych w czasie wojny (VII 128—131). — Z. Albert: Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 r. (IV 58—77). — S. Mahrburg: Karty z okresu terroru hitlerowskiego w Wilnie (V 86—90). — M. Beardwell-Wieleżyńska: Obóz koncentracyjny w Bergen-Belsen bezpośrednio po wyzwoleniu (VII 105—112). — Z. Wlazłowski: Szpital w obozie koncentracyjnym Gusen (VII 112—121). — M. E. Jezierska: Blok 46 obozu buchenwaldzkiego w marcu 1945 r. (VII 126). — M. E. Jezierska: Zagadnienie małych obozów (VII 127—128). — W. Fejkiel: O służbie zdrowia w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (I 44—51). — S. Kłodziński: Wkład polskiej służby zdrowia w ratowanie życia więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim (VI 51—57). — T. Paczuła: Obóz i szpital obozowy w Oświęcimiu we wczesnych okresach istnienia (III 50—53). — T. Paczuła: Organizacja i administracja szpitala obozowego *KL Auschwitz* (II 61—68). — L. Głogowski: Królik doświadczalny (V 108—109). — L. Głogowski: „Szpital" w Brzezince (V 109—114). — R. Szuszkiewicz: Dentystyka w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (IV 77—80). — J. Zielina: Blok 9 szpitala obozu Oświęcim (IV 82—84). — M. Nowakowska: „Szpital kobiecy" w obozie w Oświęcimiu-Brzezince (I 61—64). — J. Kiwała: Kuchnia dietetyczna (*Dietküche*) w szpitalu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (IV 80—82). — J. Kiwała: „Szpital" w obozie żeńskim w Brzezince na przełomie lat 1942—1943 (V 114—118). — J. Wolny: O organizowaniu pomocy lekarsko-sanitarnej w obozie kobiecym w Brzezince (V 118—120). — E. Lingens: Problemy narodowościowe w szpitalu kobiecym w Brzezince (VI 111—113). — D. Lorska: Blok X w Oświęcimiu (V 99—104). — D. Lorska: Wspomnienia z bloku nr 10. Dr *Hans Münch* (VI 105—107). — T. Szymański, D. Szymańska, T. Śnieszko: O „szpitalu" w obozie rodzinnym dla Cyganów w Oświęcimiu (V 90—99). — S. Leszczyńska: Raport położnej z Oświęcimia (V 104—106). — E. Niedojadło: „Szpital" obozowy w Bunie (V 120—122). — O. Wolken: Gdy myślę o dzieciach (V 106—107). — O. Wolken: Komentarz do statystyki chorych i zmarłych w obozie-„kwarantannie" w Brzezince za okres od 20. IX. 1943 do 1. XI. 1944 (IV 84—87). — O. Wolken: Z zagadnień losu Żydów w Oświęcimiu (wymieralność), (IV 88—90).— S. Sterkowicz: Obozowe sprawy życia i śmierci w retrospekcji lekarza (III 97—101). — O. Wolken: Oswobodzenie obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 113—119). — S. Kłodziński: Paczki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla więźniów Oświęcimia (VII 122—125). — J. Bellert: Praca polskich lekarzy i pielęgniarek w szpitalu obozowym PCK w Oświęcimiu po oswobodzeniu obozu (III 66—69). — W. Jekiełek („Żmija"): Akcja pomocy Batalionów Chłopskich więźniom obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 120—131). — S. Rzeźnik: Wykradzenie więźnia obozu w Oświęcimiu *Tadeusza Orzelskiego* ze Szpitala św. Łazarza w Krakowie (11. VI. 1941 r.), (VI 132—138). — S. Kłodziński: Pomoc wysiedlanym przez hitlerowców w świetle relacji sióstr PCK, *Stefanii Rzącowej* i *Marii Osińskiej* (VI 87—89). — J. Zielina: Dzieci z Lidic (VI 138—140). — H. Tycner: Grupa doktora *Franciszka Witaszka* w wielkopolskim ruchu oporu (VII 131—147). — J. Misiewicz: Zapiski z dni powstania warszawskiego w Szpitalu Wolskim (VII 147—156). — J. Włoczewski: Ursus a powstanie warszawskie. (Wspomnienia lekarza), (VI 140—142). — H. Rawska: Ze wspomnień okupacyjnych pielęgniarki z Ursusa (VI 142—145). — S. Kłodziński: „Konferencja krynicka" lekarzy hitlerowskich w październiku 1941 roku (III 115—123). — M. Ciećkiewicz: Ubezpieczalnia Społeczna w dobie okupacji w tzw. Generalnej Guberni (III 124—129). — M. Ciećkiewicz: Lecznictwo ubezpieczeń społecznych w Polsce w czasie okupacji (VI 65—86). — J. Mostowski: Zakłady prof. Bujwida dla wyrobu surowic i szczepionek w Krakowie i ich współpraca z ruchem oporu i obozami koncentracyjnymi (III 135—137). — T. Pankiewicz: Apteka „Pod Orłem" w getcie krakowskim (VI 89—101). — T. Seweryn: Wielostronna pomoc Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej (VII 162—183). — A. Biberstein: Z problematyki żydowskiej służby zdrowia w Krakowie pod okupacją hitlerowską (VII 156—162). — M. Skulimowski: Zagłada szpitala żydowskiego w Wieliczce w roku 1942 (VI 101—105). — S. Kłodziński: Esesmani z oświęcimskiej „służby zdrowia". Wykaz wstępny (VI 146—149). — Wyrok frankfurcki (VI 150—155).

WSPOMNIENIA

A. Gawalewicz: Reszta będzie milczeniem (VI 174—182). — A. Gawalewicz: Poczekalnia do gazu. Fragmenty wspomnień muzułmana (III 54—62). — A. Gawalewicz: Numer wraca do nazwiska. I. Finał „epopei lagrowej" (IV 30—43). — A. Gawalewicz: Numer wraca do nazwiska. II. Prolog ludzkiego życia (V 123—134). — L. Głogowski: Kwarantanna obozu Oświęcim-Brzezinka (VI 190—194). — J. Kret: Lekarze znaleźli wyjście (VI 184—190). — A. Woycicki: Dwa oblicza „Służby Rozpoznawczej" (VI 182—184). — M. E. Jezierska: Chorować nie wolno. Wspomnienie z Oświęcimia (VI 194—198). — E. Piekut-Warszawska: Dzieci w obozie oświęcimskim. (Wspomnienia pielęgniarki), (VII 204—205). — D. Lorska: Z pobytu w Oświęcimiu (VII 206—208). — Z. Mączka-Patkaniowska: Zeznania z bunkra (V 135—138). — Z. Kączkowski: Próba ucieczki z obozu oświęcimskiego (VII 208—211). — A. Kopyciński: Orkiestra w oświęcimskim obozie koncentracyjnym (IV 112—116). — J. Olbrycht: Z przeżyć obozowych (V 139). — J. Grenda: Wspomnienia z pracy szpitala PCK w Oświęcimiu po wyzwoleniu obozu (VII 223). — J. Wolny: Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen (VI 198—202). — J. Markiewicz: Wspomnienia lekarza z Mauthausen-Gusen (V 144—

148). — S. Pigoń: Wspominki z obozu w Sachsenhausen (1939—1940), (VI 156—171). — S. Kelles-Krauz: Wspomnienia lekarza z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen (III 83—90). — S. Głowa: Ewakuacja obozu w Sachsenhausen (VI 171—174). — S. Perzanowska: Gdy wracam myślami do Majdanka. I: Wspomnienia lekarki (VI 202—209). — S. Perzanowska: O niektórych hitlerowskich lekarzach w Majdanku (VI 209—211). — S. Perzanowska: Pomoc lubelskich organizacji społecznych więźniom Majdanka (V 140—144). — P. Wesełucha: Niemcy. Wspomnienia z Działdowa, Dachau i Mauthausen-Gusen (VII 192—196). — K. Hałgas: Z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. (Wspomnienia lekarza), (VII 197—202). — A. Makowski: Wspomnienia lekarza z obozów koncentracyjnych w Monowicach, Buchenwaldzie i Zwieberge-Langensteinie (VII 212—222). — Z. Garnuszewski: Wspomnienia lekarza z konspiracji i partyzantki (VII 194—191). — T. Müller: Wspomnienia internowanego i jeńca wojennego (VII 225—228). — W. Lorenczuk: Wspomnienia z prac ekshumacyjnych na Pomorzu po wyzwoleniu (VII 224—225).

ZAGADNIENIA ODSZKODOWAŃ I ORZECZNICTWA

I. Domańska: Akcja PCK na rzecz byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, ofiar zbrodniczych eksperymentów pseudolekarskich (V 70—71). — L. Brzozowski: Uwagi dotyczące uprawnień do świadczeń rentowych byłych więźniów obozów koncentracyjnych (V 71—73). — S. Kłodziński: Uwagi dotyczące stanu zdrowia byłych więźniów obozów koncentracyjnych w związku z orzecznictwem rentalnym (V 73—74). — A. Szymusik: Dotychczasowy stan inwalidzkiego orzecznictwa psychiatrycznego, dotyczącego byłych więźniów obozów koncentracyjnych (V 74—75).

RÓŻNE

T. Seweryn: „Wisła" na falach eteru (V 152—159).— T. Seweryn: Polskie sądownictwo podziemne (VI 212—217). — A. Kopyciński: Skład orkiestry obozowej w Oświęcimiu (VI 217—219). — K. Żywulska: List do Matki (V 149). — Zarządzenie Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej w sprawie badań lekarskich stanu zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, członków ZBoWiD (V 165).

SPRAWOZDANIA

J. Nowak: Sprawozdanie z IV kongresu lekarskiego *FIR* w Bukareszcie (22—27 VI 1964), (V 160—161). — A. Kępiński, J. Masłowski: Pierwszy zjazd lekarzy ZBoWiD. Dorobek i perspektywy (V 161—163). — S. Kłodziński: III krajowy kongres delegatów ZBoWiD, Warszawa 24—25. IX. 1964 r. Z zagadnień socjalno-medycznych kongresu (V 164—165). — Oddział krakowski Polskiego Towarzystwa Lekarskiego czci dwudziestą rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 220—226).

SZKICE BIOGRAFICZNE

J. Aleksandrowicz: Ludzie służby zdrowia w okupowanym i podziemnym Krakowie (III 129—134). — J. Bogusz: Dr *Mieczysław Owca-Orwicz* (V 171—172). — E. Brzezicki: Prof. dr *Jan Miodoński* w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Wspomnienie pośmiertne (IV 125—126). — W. Denikiewicz, J. Kościuszkowa, J. Kowalczykowa, J. Mostowski, E. Opoczyński, D. Pytlik, T. Szymański: Sylwetki niektórych zmarłych polskich lekarzy i pracowników służby zdrowia, zasłużonych w niesieniu pomocy więźniom Oświęcimia. Mgr farm. *Maria Bobrzecka*. Prof. dr *Marian Gieszczykiewicz*. Dr *Franciszek Gralla*. Dr *Stefania Kościuszkowa*. Doc. dr *Jan Kowalczyk*. Dr *Henryk Krause*. Dr *Witold Kulesza*. Dr *Jan Malinowski*. Dr *Ernestyna Michalikowa*. Dr *Witold Preiss*. Dr *Zbigniew Szawłowski*. Dr *Wilhelm Türschmiedt*. Dr *Maria Werkenthin* (I 75—83). — M. Dominik: Dr *Halina Jankowska* (VII 229—236). — T. Hołuj: *Marian Toliński* (IV 121—122). — W. Jasińska: Kilka wspomnień o dr *Wandzie Starkowskiej* (VI 237—238). — W. Kiedrzyńska: Dr *Celina Choynacka* (V 167—168). — W. Kiedrzyńska: Dr *Maria Kujawska* (V 166—167). — M. Kieta: Prof. dr *Jan Sehn* (VI 239—240). — S. Kłodziński: Dr *Aleksander Smerek* (V 172—174). — S. Kłodziński: Dr *Dorota Lorska* (VII 236—241). — S. Kłodziński: Dr *Ludwik Fischer*, więzień obozu w Gross-Rosen nr 7851 (VI 229—234). — S. Kłodziński: *Maria Stromberger* (II 102—107). — S. Kłodziński: Rola trucizn jako *„ultimum refugium"* w obozie w Oświęcimiu. Dr *Jan Zygmunt Robel* (IV 122—124). — E. Lingens: Dr *Adelajda Hautval* (IV 119—121). — A. Przerwa-Tetmajer: Lekarki z organizacji młodzieżowej „Życie": *Helena Wolf* („*Anka*") i *Janina Zachariasz-Krajewska* (VI 234—236). — W. Sienicki: Dr *Stanisław Kelles-Krauz* (VI 227—228). — S. Szmaglewska: Sylwetki lekarzy — więźniów Oświęcimia (IV 116—119).

OCENY

E. Lingens: Nowy sposób oceny zbrodni hitlerowskich (VII 242—243). — A. Kępiński, J. Masłowski: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964—1965 (VI 241—247). — J. Masłowski: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1966 (VII 244—259).

BIBLIOGRAFIA

J. Masłowski: Zagadnienia lekarskie okresu okupacji hitlerowskiej. Bibliografia polska 1944—1964 (V 175—189).